



# STRASZNY SMOK

MILES CAMERON



# STRASZNY SMOK

MILES CAMERON

PRZEŁOŻYŁA MARIA GĘBICKA-FRĄC

WYDAWNICTWO MAG

WARSZAWA 2017

## PROLOG

Na północy Nova Terra i Antica Terra zawitała wiosna. Przybyła też do Galii i Etrurii, i do Arelatu, gdzie ludzie znów zaczęli poznawać, jak to jest bać się nocami, i do Iberii, gdzie zjawiała się wcześniej. Ale najpierw przybyła do Oksytanii, w której gospodarze i gospodynie zabrali się do poważnej pracy, nawożąc i obsiewając pola, gdy tylko stajał lód w starych redlinach i ziemia zaczęła mięknać. W zależności od majątku rolnika, od zamożnego gospodarza z kamiennym domem i dwoma zaprzęgami wołów albo rosnących koni, po maleńkie chaty osadników na skraju spornych ziem, gdzie młoda para zaprzęgała się do pługów swojej roboty prowadzonego przez najstarsze dziecko, lemiesz odkładały skiby zimnej gleby. Każdego dnia radliny przesuwwały się coraz dalej na północ, od wcześniej pojawiającego się oksytańskiego słońca ku granicom i przez poczerńnię od ognia pola Jarsayu, później do Albiny i Brogatu, gdzie było mniej chłopów małorolnych i więcej drobnych właścicieli ziemskich, ale również więcej najmitów bez ziemi, i gdzie duże żelazne pługi głębiej rozorywały ziemię, żeby ją przygotować na późniejsze słońce.

Tak oto z południa na północ pługi odwracały glebę wszędzie tam, dokąd sięgnęła ręka człowieka.

I to samo słońce, które ogrzewało pola, ogrzewało też place ćwiczeń. Zamkowe dziedzińce, podwórza przy stajniach, równiny pod zewnętrznymi murami albo stare zamkowe fosy przemieniały się w Pola Marsowe, na których młodzi mężczyźni wraz z kilkoma kobietami uczyli się żołnierskiego rzemiosła. Starsi ludzie rozprostowywali bolące plecy i rozgrzewali zeszywniałe przez zimę stawy, przeklinając umykającą młodość albo swój coraz dojrzalszy wiek. Ci, którzy żyli z wojny, patrzyli na powiększone brzuchy i podczas Wielkiego Postu mocniej się przykładali do pracy, a wojna i pogłoski o wojnie przyspieszały ich ciosy w słupy i w manekiny do ćwiczeń. Wraz z wiosną na zachodnią Oksytanię, Jarsay i Brogate rozpoczęły się napaści Dzikich. Głodni ludzie i gorsze od nich stworzenia wykorzystywały kapryśną pogodę, żeby atakować

odludne farmy i leśne domy, i wielu rycerzy miało okazję nie tylko ćwiczyć do pierwszej niedzieli Wielkiego Postu. Gdyby smok wzleciał i spojrzął z wysoka na ziemię, zobaczyłby zarówno zajętych orką wieśniaków, jak i dym wznoszący się z płonących zagród wzdłuż całej zachodniej granicy Człowieka z Dziczą.

Rycerze z bezpieczniejszych stron, gdzie nie sięgało zagrożenie ze strony irków i boglinów, zwiedzili się o królewskim turnieju w Harndonie i marzyli o tym, żeby wziąć w nim udział. Zamawiali nowe zbroje albo dopasowywali stare, reperowali kolczugi, polerowali, naprawiali i znów polerowali co starsze płyty, żeby dołączyć do orszaków wielkich panów, którzy mieli się ścierać przed samym królem Alby. Wieści o turnieju roznosili komedianci, trubadurzy, śpiewacy i ladacznicze, a także druciarze, najemnicy, szeryfowie, mnisi i każdy, kto w czasie odwilży podróżował po strasznie błotnistych drogach.

Z Oksytanii do Brogatu napłynęła plotka, że w Morei, zanim rozmarzła, Czerwony Rycerz odniósł kolejne zaskakujące zwycięstwo i stał się panem całego kraju. W Oksytanii trubadurzy śpiewali nową pieśń o nim i o jego Czerwonej Kompanii. I tam, gdzie śpiewali, że Czerwony werbuje, młodzi synowie ściskali matki, wkładali zbroje i jechali na północ do dalekiego miejsca zwanego Gospodą Dormling.

Nastała wiosna i serca młodych ludzi rwały się do walki.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### Gospoda Dormling - kompania

Pyskata stała na stole w czerwonej sukni zasznurowanej pod lewym ramieniem - sznurowanie pozwalało zobaczyć, że pod spodem nie ma bielizny. Śpiewała.

*Panny się spotykają pod palmą w ogrodzie,  
czasami raz w tygodniu, a niekiedy co dzień,  
bawiąc się frywolnie, nie wstydząc nagości,  
nieświadome oczu nieproszonych gości.  
Ujrawszy kukułcze gniazdko u pewnej ślicznotki,  
kawaler postanowił użyć swej grzechotki.  
Tak, kukułko, och, kukułko w kukułczym gnieździe.  
Tak, kukułko, och, kukułko w kukułczym gnieździe.  
Dam każdemu szylinga i po jednym ciastku,  
jeśli zmierzwi piórka w mym kukułczym gniazdku.  
Jeden pulchną panną wielce się zachwyca,  
inni lubią dziewczki o smukłych kibiciach,  
ale w nocy, pod kocami, gdy zaświeci gwiazda,  
każdy chce włożyć grzechotkę do mojego gniazda.  
Spotkałam go rano, a potem w noc ciemną  
nie wiedziałam, co robić, chciałam być uprzejmą,  
on nie mógł znaleźć drogi i na próżno szukał,  
więc mu pokazałam, gdzie kukułka kuka.  
Wskazałam mu drogę przez wszystkie zaułki  
do gniazda, gdzie się lęgną malutkie kukułki.  
Gdy tylko je znalazł, chciał mi zmierzwić piórka,  
a ja na to: uważaj, chyba nie ta dziurka.  
Nieprawda, odpowiedział, mylisz się, dziewczeczko,  
I później mnie zostawił z małą kukułeczką.*

Głos miała niepiękny, trochę skrzekliwy, bardziej papuzi niż słowiczy, jak rzekł Rozmyślny Mord do swoich kamratów, ale na pewno donośny, i wszyscy znali melodię i refren.

Wszystkimi w tym wypadku byli ci, którzy się znajdowali w izbie wielkiej kamiennej gospody pod Łęgami Dormlingu, powszechnie uważanej za największą gospodę na całym świecie. W dużej izbie były łuki i wykusze jak w kościele i masywne kolumny osadzone na kamiennych fundamentach, schodzące głęboko do piwnic również owianych sławą. Na ścianach grubszych niż wzrost mężczyzny wisiały gobeliny tak stare i do tego stopnia pokryte sadzą, popiołem i dymem z sześciuset lat, że trudno było zobaczyć, co przedstawiają, choć, jak się wydawało, wielki smok pysznił się za długim szynkwasem, gdzie służący i kilku faworyzowanych klientów znajdowali schronienie przed armią okupującą wszystkie inne miejsca.

W tę najzimniejszą wiosenną noc marca śnieg osiadł na namiotach, więc kompania Czerwonego Rycerza - to znaczy ta jej część, która nie została w przytulnych koszarach w Liwiapolis - wypełniła po brzegi gospodę i stodoły wraz z kilkuset Moreańczykami, kilkoma góralami pędzącymi stada i zdumiewającą zbieraniną najemników, kupców, dziwek, wagantów, głupich młodzieńców i naiwnych młodych kobiet szukających czegoś, co, jak niewątpliwie wierzyli, okaże się „przygodą”, łącznie z dwudziestoma w gorącej wodzie kąpanymi oksytańskimi rycerzami, ich ulubionym trubadurem i giermkami, wszystkimi uzbrojonymi po zęby i chętnymi poddać się próbie.

Tłum stojący na grubych na dwa cale dębowych deskach gospody był tak zbity, że najmilsza i najbardziej atrakcyjna córka Gospodarza miała kłopot, żeby się przebić do dalej leżących izb. Mężczyźni próbowali ustępować jej z drogi, gdy szła z drewnianą tacą pełną skórzanych kubków, ale niewiele to dawało.

Gospodarz kazał rozpalić cztery wielkie ogniska na podwórzu i ustawić stoły na kozłach, a także serwować piwo w ogromnej kamiennej stodole, lecz każdy chciał przebywać w samej gospodzie. Trzaskający mróz, który zamrażał wodę w kałużach i sprawiał, że bydło zbijało się w stada w wielkich zagrodach i owczarniach w łęgach nad gospodą, spowodował największy napływ klientów, jakiego można się było kiedykolwiek spodziewać. Ludzie zapelnili gospodę tak szczelnie, że Gospodarz się bał, że pomrą w ścisku albo,

co gorsza, nie zdołają kupić jego piwa.

Odwrócił się w stronę młodego człowieka, który stał z nim za szynkwasem. Młodzieniec miał ciemne włosy, zielone oczy i czerwony strój. Patrzył na zatłoczone wnętrze z zadowoleniem, jakie anioł może okazywać na widok pobożnych uczynków.

- Twoja przekłeta kompania i poganiacze w tym samym czasie? Nie mogłeś się zjawić tydzień wcześniej albo tydzień później? Nie znajdziesz dość paszy na wzgórzach. - Głos Gospodarza brzmiał przenikliwie nawet w jego własnych uszach.

Gabriel Murien, Czerwony Rycerz, kapitan, Megas Dukas, diuk Tracji i posiadacz tuzina innych tytułów nadanych mu przez wdzięcznego cesarza, pociągnął długi łyk czarnego, słodkiego zimowego piwa, po czym błysnął promiennym uśmiechem.

- Będziemy mieli paszę - rzekł. - W Brogacie było ciepłej. W Albinie jest wiosna. - Uśmiechnął się. - I zauważ, to tylko dziesiąta część mojej kompanii. - Uśmiech stał się cieplejszy, gdy spojrzał na stół werbunkowy pod ścianą. Żądni przygód młodzieńcy z sześciu krajów i trzech narodów zaciągali się do kompanii. - Ale rośnie - dodał.

Czterdziestu ludzi Gospodarza, większość w jego barwach i w większości jego krewni, stało jak żołnierze za długim szyn kwasem i w zdumiewającym tempie wydawało piwo. Gabriel patrzył na nich z przyjemnością, jaką zawodowiec czerpie z obserwowania, jak inni ćwiczą swoje rzemiosło - podobała mu się sprawność, z jaką żona Gospodarza prowadzi rachunki, prędkość, z jaką jedni służący zbierają pieniądze albo robią karby na kijkach, i skwapliwość, z jaką drudzy otwierają beczki, przelewają zawartość do dzbanów, a z nich do budi, skórzanych kubków, powyszczerbianych garnczków i cynowych kufli. Inni podchodzili do szynkwasu i do odszpuntowanych beczek z miarową regularnością kompanijnych kuszników wypuszczających bełty.

- Wygląda na to, że każdy ma pieniądze - przyznał z niechęcią Gospodarz.

Jego najstarsza córka Sara, piękna rudowłosa dziewczyna, wdowa z berbeciem, którego obecnie trzymała jej kuzynka - zajęła miejsce

Pyskatej i śpiewała starą pieśń, bardzo starą pieśń. Pieśń nie miała refrenu i górale pomrukiwali, akompaniując jej. Kiedy jeden z moreańskich muzyków zaczął wygrywać melodię na mandolinie, szorstka ręka zamknęła się na jego ramieniu, zmuszając go do zaprzestania.

Gospodarz patrzył na córkę na tyle długo, że jego żona przestała zbierać pieniądze i zgromiła go wzrokiem. W odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Mają pieniądze, jak mówię. Podobno na wschodzie spotkało cię kilka przygód?

Czerwony Rycerz wpasował ramię w kąt pomiędzy półką i ciężkim dębowym kredensem za szynkwasem.

- W istocie - odparł.

Gospodarz pochwycił jego spojrzenie.

- Słyszałem wszystkie nowiny i w żadnej nie umiem doszukać się sensu. Powiedz mi, jeśli łaska, co się wydarzyło.

Gabriel dopił piwo i spojrzał na dno srebrnego kubka. Obdarzył Gospodarza cierpkim uśmiechem.

- Nie jest to krótka historia.

Gospodarz uniósł brew i powiódł spojrzeniem po morzu ludzi. Tłum wywoływał ser Alkajosa i skandował jego imię.

- Nie mógłbym cię zostawić, nawet gdybym chciał - powiedział Gospodarz. - Dokonaliby na mnie samosądu.

Gabriel wzruszył ramionami.

- No tak. Od czego mam zacząć?

Sara, zarumieniona po śpiewaniu, przeszła pod klapą szynkwasu i wzięła dziecko z ramion kuzynki. Uśmiechnęła się do Czerwonego Rycerza.

- Zamierzasz coś opowiedzieć? Chryste na krzyżu, tato! Wszyscy chcą posłuchać!

Gabriel pokiwał głową. Piwo magicznym sposobem trafiło do jego kubka. Magia została odprawiona przez jędrną młodą kobietę w pięknym koronkowym czepku. Uśmiechnęła się do niego.

- Niełatwo zacząć taką opowieść, skarbie. - Odwzajemnił uśmiech służebnej dziewczki z wyniosłym zainteresowaniem.



Sara była za młoda, żeby się poznać na dwuznaczności.

- Zaczynij od początku!

Gabriel dziwnie poruszył ustami, niemal jak królik nosem.

- Nie ma początku. Historia sięga daleko w przeszłość, jest nieskończenie długą opowieścią o ruchu i bezruchu.

Gospodarz przewrócił oczami.

Gabriel zrozumiał, że za dużo wypił.

- Niech będzie. Pamiętasz bitwę pod Lissen Carak?

Tuż za Czerwonym Rycerzem Tom Lachlan ryknął swoim groźnym śmiechem. Gabriel Murien obrócił głowę. Lachlan - obecnie Poganiacz, prawie siedem stóp mięśni, odziany w tartan i szarość, przepasany szerokim, nabijanym srebrem pasem, uzbrojony w miecz długi jak kij pastuszy - podniósł klapę i wszedł za szynkwias.

- Chłopcze, wszyscy pamiętamy Lissen Carak. To dopiero była bitwa!

Gabriel wzruszył ramionami.

- Magister, który przezwiał się Głogiem... - Z ponurym uśmiechem wskazał stojącą na kredensie świeczkę w szklanym kloszu. Wokół niej trzepotało kilkanaście ciem różnej wielkości.

Po drugiej stronie izby Mag poczuła szarpnięcie *ops*. Spięła się.

*Stał na jasnej nowej mozaikowej podłodze w swoim pałacu pamięci. Prudencja znowu zajmowała miejsce na cokole i jej posąg wyglądał na wyrzeźbiony z ciepłej kości słoniowej, nie na wykuty z zimnego marmuru. Rysy miała bardziej ruchliwe niż w jego latach młodzieńczych i siwo-czame włosy, jakie pamiętał z dzieciństwa.*

*W głębi serca wiedział, że jest podobizną, a nie ucieleśnionym duchem, lecz była ostatnim darem, jaki zostawił mu magister Harmodiusz. Był rad, że ją odzyskał.*

- *Immolate tinea consecutio aedificium - powiedział.*

*Prudencja zmarszczyła brwi,*

- *Czy to nie trochę... zbyt dramatyczne? - zapytała.*

*Wzruszył ramionami.*

- *Słynę z arogancji i talentu dramatycznego - odparł. - Będzie ślepy i przy odrobinie szczęścia przypisze to rzeczonyj arogancji. Uznaj, że stawiam zastonę dymną dla naszego gościa... O ile się zjawia.*

Nie odpowiedziała wzruszeniem ramion, ale jakoś dała temu wyraz, może przez prychnięcie dezaprobaty bez jednego ruchu kościanym mięśniem.

- Katarzyna! Tales! Iskander! - rzekł cicho i jego pałac pamięci zaczął się obracać.

Główna komnata - komnata cesarzy-była skonstruowana, a raczej istniała w jego pamięci jako kopuła wsparta tu trzech parach łuków. Pomiedzy nimi znajdowały się nisze z posągami godnych: ubiegły rok powiększył i wzmocnił jego magiczne umiejętności, co wzbogaciło komnatę o kolejny rząd.

Najniższy rząd zajmowały podstawy jego mocy, reprezentowane przez trzynastu świętych Kościoła,, sześciu mężczyzn, sześć kobiet i stojącego pomiędzy nimi androgynicznego Świętego Michała. Nad świętymi ciągnęło się piętro filozofów, których pisma kształtowały jego młodość - starożytni takiego czy innego wyznania, z różnych epok archaicznych. Nad nimi znajdował się trzeci poziom z dwunastoma nowożytnymi postaciami: sześć kobiet, sześciu mężczyzn i jedna osoba w kapturze. Harmodiusz je tu umieścił i Gabriel z pewną rezerwą podchodził do tego, co mogą oznaczać, ale znał Świętego Aecjusza, który wymordował rodzinę swojego cesarza; znał króla Jeana le Preux, który udaremnił podbój Etrurii przez irków po katastrofalnym upadku archaicznego świata; znał cesarzową Liwię i Argencję, wielką wojenną królową Iberii.

Gdy wykrzyknął imiona, wybrane posągi poruszyły się wraz ze swoimi piętrami, zajmując miejsca nad dużym talizmanem strzegącym zielonych drzwi w odległym końcu komnaty Niedawno pojawiły się drugie drzwi, dokładnie naprzeciwko zielonych - małe czerwone drzwiczki z kratą. Gabriel wiedział, co się za nimi kryje. Minął je, zbytnio się do nich nie zbliżając. W podłodze przy cokole Prudencji tkwiła osadzona brązowa tarcza ze srebrnymi literami i małą dźwignią. Sam ją zaprojektował. Miał nadzieję, że nigdy nie będzie zmuszony jej użyć.

- Ryby - powiedział.

Pod najniższym rzędem posągów biegł pas, który wyglądał na wykuty z brązu, z wytłoczonymi, wyrytymi, zdobionymi złotem, srebrem i emalią trzynastoma znakami zodiaku. Ten pas też się obrócił choć w kierunku przeciwnym do obrotu posągów.

Czyste złote światło słoneczne wpadło przez rzeźbiony kryształ wielkiej kopuły, uderzyło w zodiakalny znak ryb i zlało się w złoty promień.

Duże zielone drzwi się otworzyły. Za nimi znajdowała się roziskrzona kratka, jakby ktoś wykuł brzoź z rozgrzanego do białości żelaza. Przenikająca przez nią zielona promiennosc napelniła komnatę czarów, choć została ona jakoś obrysowana przez złote światło z kopuły.

Gabriel z zadowoleniem wyszczerzył zęby w uśmiechu i pstryknął palcami. Każda ćma w gospodzie spadła na podłogę, martwa.

Sara się roześmiała.

- Niezła sztuczka - skomentowała. - A co z myszami?

Jej synek, który miał ledwie cztery miesiące, spojrział na nią z bezwarunkową miłością i spróbował znaleźć jej sutek ustami.

Gabriel się roześmiał.

- Jak mówiłem, magister, który obecnie tytułuje się Głogiem, niegdyś znany jako Richard Plangere, ruszył z armią Dzikich przeciwko Lissen Carak. Ściągnął wszystkich zwykłych sprzymierzeńców: zachodnie bogliny, kamienne trolle, kilka złotych niedźwiedzi z górskich plemion i kilku zbuntowanych irków z Jezior, wiwerny i opiekunów. Przywołał do siebie wszystkich tych, których łatwo skusić. Udało mu się również przekonać Sossagów z Wielkiego Domu, tych, którzy żyją w Kraju Kabaczka na północ od morza wewnętrznego.

- Zabili Hectora! Bodaj Bóg ich przeklął. - Nienawiść Sary do zabójców męża płonęła jak jej włosy.

Czerwony Rycerz spojrział na młodą kobietę i pokręcił głową.

- Nie mogę podzielić tej klątwy, skarbie. Mają Głoga za gościa. Odwrócili się do niego plecami, wiesz. I... - Spojrział na Poganiacza. - Dla Sossagów i Huranów to my jesteśmy brutalnymi dzikusami, którzy ukradli ich ziemie.

- Tysiąc lat temu! - syknął Zły Tom.

Gabriel wzruszył ramionami. Za nim ser Alkajos grał na kitarze ze starożytnego świata i śpiewał starożytną pieśń dziwnym, niesamowitym głosem. Ponieważ każde słowo padało w prawdziwym archaicznym, powietrze migotało od *ops* i *potentia*.

Ser Michael prześliznął się pod klapę i znalazł miejsce, żeby się oprzeć. Kaitlin, jego żona w tak zaawansowanej ciąży, że człapała, a nie chodziła, już spała w jednym z lepszych łóżek gospody. Za nim

Pyskata - ser Alison - piorunowała wzrokiem jakiegoś górala, dopóki nie naparł na swoich kamratów i nie zrobił miejsca dla jej szczupłej osoby.

Góral podjął naturalną, ale nieprzemyślaną decyzję, żeby przeciągać ręką po jej ciele, i nagle stwierdził, że świszczy przyciśnięty do dębowych desek. Luby Pyskatej, hrabia Zak, wszedł mu na plecy i przeskoczył nad szynkwasem.

Góral wstał z twarzą wykrzywioną z wściekłości i stanął nos w nos ze Złym Tomem. Wzdrygnął się.

Tom podał mu jeden ze swoich dzbanów piwa.

- Idź się napić - mruknął.

Gospodarz gniewnie spojrzał na najazd Albanów, którzy zakłócili sprawne wydawanie piwa.

- Nie wynająłem ci prywatnej izby? - zapytał kapitana.

- Chcesz posłuchać opowieści czy nie? - zapytał kapitan.

Gospodarz tylko chrząknął.

- Zatem Głóg...

Każdy w zasięgu słuchu zdawał sobie sprawę, że kapitan, diuk, czy jaki tam głupawy tytuł ostatnio nosił, właśnie po raz trzeci wypowiedział imię Głoga.

\*\*\*

Trzysta albańskich lig na północny zachód od gospody Głóg stał w śnieżycy późnej zimy na wschodnim cyplu wyspy, którą zawładnął i uczynił swoim miejscem mocy. Wielkie grzywacze słodkiego morza wewnętrznego biły w skały wybrzeża, wznosząc się na wysokość dziesięciu ludzi w powietrze, gnane przez silny wschodni wiatr.

W zatoce pękał lód.

Głóg przyszedł tutaj, żeby przygotować dzieło magiczne - zestaw dzieł, sieć dzieł - przeciwko swojemu celowi: Ghause, żonie Hrabiego Zachodniego Muru. Poczul swoje imię jak trzepot skrzydełek ćmy w powietrzu blisko twarzy w gorącą letnią noc. Wielu wypowiadało jego imię głośno i szeptem na tyle często, że nie zawsze zwracał na to uwagę, lecz w tym wypadku imieniu towarzyszył wybuch mocy, który czuł w eterealu nawet w kręgu stworzonego przez siebie świata.

Drugie zawołanie było łagodniejsze, ale takie rzeczy chodzą

trójkami. Żaden użytkownik sztuki nie byłby taki głupi, żeby przyciągnąć jego uwagę i na tym poprzestać.

Gdy poczuł imię po raz trzeci, było rzucone od niechcienia, pogardliwie. Głóg poruszył cienkimi jak kije kościstymi rękami.

Ciemne Słońce nie był pospolitym wrogiem i stał w miejscu mocy otoczony przez przyjaciół. I jak zwykle go oślepił. Ostrożnie, z wymuszonym spokojem - gdyby był zwyczajnym człowiekiem, zgrzytałby zębami - Głóg załatał dziurkę wyrwaną w eterze przez wypowiedzenie jego imienia i wrócił do pracy.

Ale stracił cierpliwość i wezbrał w nim gniew; pamiętał jak przez mgłę, bo obecnie miał w pamięci czarną dziurę, że kiedyś był przeciwny uleganiu gniewowi. Teraz część gniewu wlał w czary przeciwko Ghause - czy jest lepsza zemsta? Jednakże wciąż czuł, że Ciemne Słońce go upokorzył, ział więc do niego głęboką nienawiścią.

Dlatego bez jednej myśli zadziałał. Zmienił kierunek ataku. Zginął wartownik. Opiekun - demon, jak nazwaliby go ludzie - został przekabacony, a jego poczucie rzeczywistości uległo wypaczeniu.

Zmierz się z tym, śmiertelniku, pomyślał Głóg i wrócił do swych czarów.

W trakcie, jak ptak zaniepokojony podczas wicia wiosennego gniazda, upuścił gałązkę. Trawiony nienawiścią i gniewem nie zwrócił na to uwagi.

\*\*\*

- Zaatakował Lissen Carak i go pokonaliśmy. Popełnił tuzin błędów na każdy nasz. Mam rację, Tom? - Gabriel się uśmiechnął.

Ogromny góral wzruszył ramionami.

- Nigdy nie słyszałem, żebyś się przyznawał, że popełniliśmy jakieś błędy.

Ser Gawin oparł się o szynkwias po drugiej stronie.

- Wyobraźcie sobie, jak opowiedziałyby to Jehan, gdyby tu był z nami - powiedział.

- W takim razie to były wyłącznie moje błędy - oznajmił Gabriel, uniósł kubek i się napił.

To samo zrobili wszyscy mężczyźni i kobiety w czerwieni.

- Tak czy siak, daliśmy mu w kość - rzekł Tom. - Ale to nie było

żadne Chaluns, prawda? Ani bitwa pod Chevinem. - Obie bitwy, odległe w czasie o ponad tysiąc lat, były chwalebnyymi i drogo okupionymi zwycięstwami sił ludzi nad Dziczą.

Gabriel się skrzywił.

- Nie, bardziej to była potyczka. Wygraliśmy w lasach, a potem drugie starcie pod fortecą, lecz zabiliśmy za mało boglinów, żeby cokolwiek zmienić. - Wzruszył ramionami. - Nie zabiliśmy Plangere'a ani nie spowodowaliśmy zmiany jego nastawienia. - Powiódł dokoła wzrokiem. - A jednak... żyjemy. Runda pierwsza dla nas, prawda?

Zły Tom uniósł kubek i się napił.

- Latem pojechaliśmy na wschód do cesarstwa. Do Morei.  
- To brzmi znacznie lepiej - zauważył Gospodarz.  
- Wątek jest splątany. Cesarz chciał nas wynająć, ale nie znaleźliśmy celu. Gdy poznaliśmy przyczynę, już został uprowadzony i na tronie zasiadała jego córka Irena. A diuk Andronikus próbował zająć miasto.

- Przez które to miasto nasz diuk rozumie Liwiapolis - powiedział Rozmyślny Mord do swojego nowego łucznika Diccona, chłopaka tak chudego i jednocześnie muskularnego, że większość kobiet w izbie zdążyła zwrócić na niego uwagę. - Największe, psiamać, miasto na świecie. - Rozmyślny wiedział, co oznacza zebranie oficerów, dlatego cierpliwie wkręcił się do kręgu słuchaczy.

Gospodarz uniósł brew. Jego córka się roześmiała.

- Z tego, co słyszałam, Irena zawładnęła nim tak, jakby miała moc.

- Nie, to tylko plotka - zaprzeczył jej ojciec.

Towarzysze Czerwonego Rycerza milczeli jak zakłęci. Nawet nie wymienili spojrzeń.

- Przybyliśmy - zaczął z ulgą kapitan - dosłownie w ostatniej chwili. Rozgromiliśmy uzurpatora...

Tom parsknął. Michael odwrócił wzrok, a Pyskata zrobiła niegrzeczny gest.

- Mało brakowało, a dostalibyśmy solidne lanie - mruknęła.

Kapitan uniósł brew.

- I po krótkiej zimowej kampanii...

- Jezu! - syknęła Pyskata. - Pomija wszystko, co najważniejsze!

- Na cycki Tar! - zaklął Zły Tom.  
Natychmiast zapadła cisza, więc słowa jakby zawisły w powietrzu.
- Co właśnie powiedziałeś? - zapytał Gabriel. Jego brat Gawin miał taką minę, jakby Tom rąbnął go wielką pięścią.  
Zły Tom zmarszczył brwi.
- To góralskie przekleństwo - wyjaśnił.  
Gabriel wlepił w niego wzrok.
- Naprawdę? - zapytał i westchnął. - Tak czy owak, w trakcie krótkiej, ale wielce dla nas pomyślnej zimowej kampanii zniszczyliśmy tabor diuka i zostawiliśmy jego armię bezsilną w śniegach, po czym forsownym marszem...
- W środku, kurwa, zimy! - wtrącił Zły Tom.
- Przez Zielone wzgórza dotarliśmy do Osawy, żeby uratować cesarskie zyski z handlu futrami. - Kapitan się uśmiechnął. - Co nam się opłacało, że tak powiem.
- Niczego nie opowiadasz, jak trzeba - skrytykowała go Pyskata.  
Gabriel zerknął na nią spode łba, a ona pomimo wielu lat znajomości nie mogłaby powiedzieć, co wyrażało spojrzenie: złość czy kpinę.
- Może w takim razie ty to opowiesz - zaproponował.  
Uniosła i szybko opuściła brwi.
- Niech będzie. - Spojrzała na Gospodarza. - My... mieliśmy wielkie szczęście i... - Pomyślała o względach bezpieczeństwa i zrozumiała, że przecież nie może wspomnieć o Kronmirze, szpiegu, który odwrócił się plecami do wroga i do nich dołączył, a obecnie jechał do Harndonu z Gelfredem i zieloną gromadą. - I... my... eee...
- Gabriel spojrzał jej w oczy i oboje się roześmieli.
- Jak mówiłem - podjął - ponad miesiąc temu dzięki zdradzie osoby z dworu diuka w Lonice dowiedzieliśmy się, gdzie jest przetrzymywany cesarz, i ruszyliśmy mu na ratunek. Starliśmy się z wojskiem diuka, pokonaliśmy go i zabiliśmy jego syna Demetriusza.
- Który zdążył zamordować swojego ojca - mruknął ser Alkajos, dołączając do kręgu słuchaczy.
- Tak oto oddaliśmy cesarza jego kochającej córce i wdzięcznemu miastu, wzięliśmy nagrody i przybyliśmy prosto tutaj, żeby wydać

pieniądze -powiedział Czerwony Rycerz. - Zostawiając, czego chyba nie zauważyłeś, połowę naszej kompanii na straży cesarza.

- Porusza ustami i mówi, a ja nie pojmuję ni słowa. - Zły Tom się roześmiał. - Z wyjątkiem tego, że wciąż dostajemy zapłatę.

Ser Michael zawtórował wielkoludowi.

- Opowiedziałeś, co się stało, bez mówienia, jak do tego doszło.

- Na ogół tak to bywa - zgodził się Gabriel. - Zwiemy ten proces „historią”. W każdym razie byliśmy zajęci, mamy srebro i jesteśmy w drodze na południe. Pomożemy Tomowi przegnać bydło na jarmark, a później większość z nas uda się do Harndonu na turniej królewski, który ma się odbyć w Zielone Świątki.

- Ale najpierw wstąpimy do Albinkirku - nadmienił ser Michael.

Gabriel spiorunował wzrokiem protegowanego, który jednak nie dał się zastraszyć i z wielką śmiałością dodał:

- Zobaczyć się z zakonnicą.

Kapitan nie stracił zimnej krwi i tylko wzruszył ramionami.

- Wziąć udział w radzie na północy kraju - poprawił. - Ser John Crayford zaprosił wielu możnych. Rada odbywa się równocześnie z jarmarkiem w Lissen Carak.

Gospodarz pokiwał głową.

- Tak, przybył do mnie herold. Wyślę jednego z moich synów ze Złym Tomem. Zła pora, żebym sam pojechał. - Zmarszczył nos. - A ty... wybacz. Może jesteście królewskimi najemnikami, ale co macie wspólnego z północną krainą?

Gabriel Murien się uśmiechnął. Przez chwilę był podobny do matki bardziej, niżby sobie tego życzył.

- Jestem Diukiem Tracji - odparł. - Moja władza sięga od Wielkiego Morza po wybrzeża Ticondagi.

- Słodki Jezu i wszyscy święci... - mruknął Gospodarz. - Więc teraz Murienowie trzymają cały Mur,

Gabriel pokiwał głową.

- Przeorysza ma trochę, zachodnią część. Ale tak, Gospodarzu.

Gospodarz pokręcił głową.

- Cesarz dał ci Mur?

Pyskata miała taką minę, jakby dopiero teraz ją olśniło, jakie mogą



być konsekwencje tego, że jej kapitan został Panem Muru. Zły Tom wyglądał tak, jakby topór trafił go między oczy. Gawin patrzył na brata z czymś, co mocno przypominało podejrzliwość.

Tylko ser Michael pozostał niewzruszony.

- Cesarz żyje z głową w chmurach - rzucił lekkim tonem. Podrapał się po brodzie. - W przeciwieństwie do naszego szanownego pana i władcy.

Reakcja, jaką mógł wywołać ten komentarz, nie nastąpiła, gdyż z ręcznej windy, która służyła do przywożenia beczek z głębokich piwnic, wyłonił się szczupły mężczyzna o czarnych jak smoła włosach. Pracownicy Gospodarza czasami korzystali z tego wynalazku, zwykle dla psoty albo kiedy na gwałt potrzebowano piwa, ale większość tych, którzy stali za szynkwasem, nigdy dotąd nie widziała czarnowłosego przybysza. Nosił dobrze skrojony, bardzo krótki czarny wams i pasujące doń rajtuzy. Miał bladą, niemal przezrystą skórę, jak wyjątkowo ascetyczni święci na obrazach.

- Mistrzu Smith - powiedział Gabriel z ukłonem.

Gospodarz wydał policzki.

- Czy możemy - zaczął z rozważą - przejść do innego pokoju?

Jeden po drugim przeszli pod klapą szynkwasu do głównej izby i przepchnęli się do sieni, skąd udali się do prywatnej izby na podstrzeszu. Było tam zimno; młoda kobieta, która uważnie przyjrzała się kapitanowi, przyklękła z wdziękiem i jęła rozpalać w kominku. Dygnęła, tym razem kierując spojrzenie jasnych oczu na pana Smitha.

Pan Smith zaskoczył ich wszystkich, odprowadzając ją wzrokiem, gdy szła po wino i piwo. Smużka dymu płynęła z jego nozdrzy.

- Ach, dzieci ludzi... - Spojrzał spod uniesionej brwi na Gabriela. - Jesteście ciekawymi zwierzętami. Nie chcesz jej, ale masz mi za złe, że chce mnie.

Gabriel poderwał głowę jak uderzony. Za jego plecami ojciec Arnaud zakrztusił się piwem i zakrył usta ręką.

- Czy zawsze musisz mówić to, co myślą ludzie? - zapytał Czerwony Rycerz. - Nie byłoby ci do śmiechu, gdyby ktoś czytał w twoich myślach. Proszę, nie rób mi tego więcej.

Mistrz Smith patrzył na niego z uprzejmym uśmiechem.

- Ale dlaczego masz mi to za złe?

Gabriel zrobił tak długi wydech, że to nie mogło być westchnienie. Było to fizyczne uwalnianie się od napięcia. Jego oczy się poruszyły...

Wzruszył ramionami.

- Brakuje mi w łóżku towarzystwa kobiet - wyznał z brutalną szczerością. - I lubię się czuć upragniony.

Mistrz Smith pokiwał głową.

- Podobnie jak ja. Czy widzisz we mnie rywala?

Pyskata postanowiła się wtrącić.

- Jestem tego pewna, zważywszy, że w przeciwieństwie do nas jesteś kimś w rodzaju boga. - Uśmiechnęła się do czarnowłosego mężczyzny. - Ale da sobie z tym radę.

- Sam mogę toczyć moje bitwy - zaznaczył Czerwony Rycerz, kładąc rękę na jej ramieniu. Z wdziękiem skinął głową do pana Smitha. - Jesteśmy sprzymierzeńcami. Sprzymierzeńcy często są potencjalnymi rywalami. Sądzę jednak, że zbyt wiele przypisujesz moim powierzchownym myślom i moim zwierzęcym reakcjom. Lubię dziewczyny i czasami... - uśmiechnął się - robię coś z przyzwyczajenia.

Pan Smith pokiwał głową.

- Ja natomiast jestem opryskliwym towarzyszem, moi sprzymierzeńcy. Czy wiecie, że przed tym drobnym zatargiem z czarnoksiężnikiem na północy byłem całkiem szczęśliwy, leżąc na mojej górze i rozmyślając? Odsunąłem się od świata nie bez powodów. I gdy biorę udział w tej grze, te powody wydają się jeszcze ważniejsze. - Rozejrzał się. - Przepętnia mnie nie ambicja czy chęć sprostania wyzwaniu, tylko niejasne zmęczenie. Stawianie czoła naszemu wspólnemu wrogowi... - Po chwili milczenia dodał: - Naprawdę wolałbym, żeby po prostu zajął się jakimś innym spiskiem w zupełnie innym świecie.

Służka wróciła. Miała szerokie ramiona - nadzwyczaj szerokie. Cechowała się osobliwym wdziękiem, jakby życie w rosnącym ciele zmusiło ją do jakichś niezwykłych ćwiczeń.

Czerwony Rycerz pochylił się w jej stronę.

- Jesteś tancerką! - zawołał zachwycony.

Skinęła głową.

- Tak, panie.

- Góral!

Mistrz Smith się roześmiał.

- Z pewnością... z pewnością zwiemy takie jak ona góralkami.

Zarumieniła się i wbiła wzrok w ziemię. Po chwili uniosła głowę i popatrzyła na pana Smitha.

Gabriel pociągnął łyk wina.

- Chyba przegrałem tę rundę - oznajmił.

Pyskata przewróciła oczami i oparła się o stół.

Z chrustu buchnęły niemal hermetyczne płomienie, ogień zahuczał i w niewielkim pomieszczeniu natychmiast zrobiło się cieplej.

Ojciec Arnaud szepnął coś, gdy Zły Tom wcisnął się do izby, a Pyskata ryknęła śmiechem.

- To jak obserwowanie dwóch lwów z króliczkiem! - zawołała.

Ojciec Arnaud wcale nie był rozbawiony.

Mistrz Smith wziął swoje piwo i usiadł na krześle przy końcu stołu, a inni zajęli dwie ławy i różnorakie stołki przyniesione przez trzech chłopców. Nie starczyło miejsca dla wszystkich. Ser Michael rósł jak na drożdżach i wydawało się prawdopodobne, że niedługo osiągnie rozmiary Złego Toma. Zły Tom wcisnął się w zakamarek przy kominku, jakby chciał zgromadzić ciepło na przyszłe spanie ze stadem na wrzosowiskach. Pyskata zdobyła stołek naprzeciwko kapitana. Mag przyszła i usadowiła się na ławie obok niego, a Gawin po drugiej stronie. Gospodarz zasiadł naprzeciwko mistrza Smitha. Ser Alkajos stanął za kapitanem oparty plecami o dębową boazerię. Rozmyślny Mord stał w drzwiach przez czas potrzebny zakonniczy na zmówienie modlitwy, a potem zniknął, gdy kapitan dał znak ręką.

- Gdzie jest ten niezwykle młody człowiek? - zapytał mistrz Smith.

- Mamy całą kompanię niezwykle młodych ludzi. - Gabriel pokiwał głową. - Chodzi ci o ser Morgana?

Mistrz Smith przytaknął i mrugnął.

- Spodziewałem się, że będzie tutaj. Został w Morei.

- Gdzie jego miejsce, w szkole. - Ser Gabriel pochylił się ku niemu.

- Zostawiłeś w Morei połowę kompanii?

- Ser Milus zasłużył na samodzielne dowodzenie. W końcu je objął. Ma prawie wszystkich łuczników i... - Czerwony Rycerz umilkł.

Ser Michael się roześmiał.

- I wszystkich naszych zaufanych rycerzy.

Mistrz Smith pokiwał głową.

- Stąd wasza eskorta trackich... panów.

Ser Gabriel przytaknął.

- Nie przypuszczam, żeby któryś z nich planował wbić mi nóż między żebra, ale uznałem, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli przez parę lat nie będzie ich w Tracji.

Wszedł hrabia Zak i na skinienie Pyskatej zamknął drzwi biodrem, gdyż trzymał w rękach tacę pełną chleba i oliwy. Podszedł i przycupnął obok niej na zydlu.

- Ponadto mamy hrabiego Zakuijaha, który nas wszystkich pilnuje - powiedział ser Gabriel.

- I magistra, którego nosisz w głowie? - zapytał mistrz Smith.

Pytanie sprowokowało kilka ponurych spojrzeń. Pyskata zrobiła minę, która świadczyła, że dokonała jakiegoś powiązania. Przygryzła wargę i spojrzała na swojego kochanka. Zak wzruszył ramionami.

Większość obecnych nigdy nie widziała tak zakłopotanego, niezdecydowanego kapitana. Ale zaraz wziął się w garść.

- Wszystkie moje sekrety wyszły na jaw. Cóż. Harmodiusz odzyskał swoje miejsce w... hm... cielesnym świecie.

Mistrz Smith pokiwał głową. Jego wzrok zatrzymał się na hrabim Zaku.

- A ty przypadkiem dołączyłeś do naszej małej kompanii? - zapytał mistrz Smith.

- Chcę zobaczyć turniej - wyjaśnił wojownik. - Poza tym w Morei nie będzie się działo nic ekscytującego.

Alkajos chrząknął.

- Oby Bóg cię wysłuchał - powiedział.

Hrabia Zak wzruszył ramionami.

- Tak, chyba że ktoś truje cesarza.

Alkajos położył rękę na sztylcie.

Mistrz Smith wypuścił nosem smużkę dymu. Wyjął z kieszeni fajkę, nadzwyczajną ekstrawagancję, gdyż w cywilizowanych krajach prawie nie znano nawyku palenia tytoniu, i zaczął ją nabijać przegniłymi czerwono-brązowymi liśćmi.

- Możemy zacząć? - zapytał uprzejmie.

Gabriel rozłożył ręce.

- Mam niewiele do zameldowania. I niewiele do powiedzenia poza „dziękuję”. Bez ciebie niewiele byśmy dokonali. Z bólem dodam, że bez twojej pomocy w kwestii delikatnego zrównoważenia mocy i logistyki zimą ponieśliśmy porażkę.

Mistrz Smith z wdziękiem skłonił głowę na znak, że się z nim zgadza.

- Jak wyszła petarda? Urządzenie wybuchające?

Ser Michael szczechnął śmiechem.

- Głośne. Czasami wciąż dzwoni mi w uszach.

Mistrz Smith bawił się brodą, jakby dopiero teraz zauważył, że ją ma.

- Wspaniale. W następnych miesiącach będzie więcej zabawek podobnej natury. W istocie załatwiłem... albo załatwię, żebyś mógł je odebrać w Harndonie. - Powiódł wzrokiem dokoła. - Zbliżamy się... do trudnej części.

Pyskata rozdeła nozdrza.

- A tamta była łatwa?

Mistrz Smith westchnął. Wsunął do ust ustnik fajki, bardzo długiej zamurzańskiej fajki bogato zdobionej igłami jeżozwierz, pyknął i fajka sama się zapaliła.

- Tak. W następnej fazie bez względu na to, co będziemy robić, zostaniemy zauważeni. Nawet w tej chwili nasz adwersarz z pewnością się zastanawia, czy w grze bierze udział kolejny gracz. Albo czy kości nie są sfalszowane. Podjął dwie próby, żeby osadzić swojego pionka na tronie Alby. Podjął mało imponującą próbę spowodowania upadku Morei. Sądzę, iż jest przekonany, że jego adwersarzem jest Harmodiusz. Na razie. - Pan Smith uśmiechnął się z

afektowaną satysfakcją. - Obecnie... - Wydmuchnął dym. - Obecnie koncentruje swoje knowania na Ticondazie i Dormlingu. Na moim własnym podwórku.

Ser Gawin zeszywniał.

- Spokojnie, chłopcze - zmitygował go ser Gabriel. - Jestem pewien, że nasza rodzicielka może pokonać wszystko, z czym będziemy się mierzyć.

Mistrz Smith pokręcił głową.

- Ghouse jest ofiarą swojej próżności - oznajmił.

Gabriel pokiwał głową.

- Zawsze tak myślałem.

Ojciec Arnaud się roześmiał, podobnie jak Pyskata. Zły Tom pozwolił sobie na prychnięcie.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - mruknął.

Gabriel ostentacyjnie powachlował się ręką.

- Skończyliście?

- Oni cię kochają - zapewnił go pan Smith. - Śmianie się z ciebie pomaga im jakoś wytrzymać twoją denerwującą arogancję.

- Musisz to częściej powtarzać. Nie wątpię, że jesteś uważany za duszę towarzystwa. - Ser Gabriel pokiwał głową. - Mogę spróbować?

- Chce się nauczyć buchać dymem - skomentowała Pyskata.

Ser Gawin był nieszczęśliwy i było to po nim widać. Szarpnął brodę i pokręcił głową.

- Rusza na Ticondagę? Co robimy, żeby mu to udaremnić?

Mistrz Smith podał fajkę kapitanowi.

- Próbujemy nie dać się oszukać. Staramy się nie odkryć kart. Jemu... wicie, kogo mam na myśli... ani trochę nie zależy na Ticondazie. Chce zająć Lissen Carak i to, co leży pod klasztorem. Ale... Ale. Czy wicie, w jaki sposób odbieram waszą rzeczywistość?

Zapadła cisza.

- Z siły naszych spojrzeń możesz odgadnąć, jak bardzo chcielibyśmy wiedzieć - powiedział Gabriel. Zakasłał i oddał długą fajkę Smithowi.

Pan Smith się roześmiał.

- Sam się o to prosiłem! Dobrze. Jeśli nie odgrywam żadnej roli w

waszych sprawach, obserwowanie ich z dystansu jest całkiem proste. Co więcej, postrzeganie ogólnego potoku waszej rzeczywistości, przeszłości, terażniejszości i, jak to zwiecie, przyszłości, a raczej, jak ja to ujmuję w waszym znakomitym języku, waszej nieskończoności terażniejszości, jest dla mnie równie łatwe jak oddychanie.

Powiódł wzrokiem po ich twarzach.

- Ale kiedy jestem zmuszony ingerować...

Poprawił mankiet. Wyglądało to tak, jakby po raz pierwszy ujrzał grzbiet swojej ręki. Wbił w niego wzrok i gdy patrzył, jego skóra stała się mniej gładka, jak na dłoni znacznie starszego człowieka. Uniósł brwi.

- Hm. W każdym razie, kiedy ingeruję, powoduję zmiany. Podobnie jak wszyscy moi krewni. Jak wy, skoro o tym mowa... ha, ha.

Śmiał się przez chwilę. Nikt mu nie zawtórował.

- A niech to. Chodzi mi o to, że im bliżej jestem działania, tym mniej widzę. Tym mniej nieskończoności terażniejszości się pojawia. - Urwał. - Rozumiecie?

Pyskata westchnęła.

Mag się uśmiechnęła.

- Ponieważ postanowiłeś się wmieszać, znalazłeś się w tym ciągu zdarzeń i nie możesz zobaczyć nic więcej.

- Dobrze powiedziane. Tak. Ale delikatna część polega na tym, że moja obecność tutaj wpływa na... na... na wszystko. To inne wszystko, niż gdyby mnie tutaj nie było. Z naszymi przeciwnikami i również innymi... nawiasem mówiąc, podoba mi się słowo „mieszać”, jest całkowicie adekwatne.

Z całym tym mieszaniem się ze strony mojej rasy żaden z nas nie może niczego zobaczyć. Jest możliwe, że ciągniemy wszystko w jednym wątku.

- Przeznaczenie - rzekła Mag tonem postaci z misterium pasyjnego. - Wy o nim decydujecie, kiedy postanowicie się wtrącić.

- W waszym rozumieniu - powiedział mistrz Smith. Uniósł brew. - Tak czy owak, żałownie mało wiem o kilku następnych miesiącach. Ale wtrąca się nas tyłu, że nasz przeciwnik musi to zauważyć. Co

więcej, wlewa moc w kilka swoich cieni, marionetek i narzędzi i rezultat jego poczynań będzie... katastroficzny.

- Nie mógłbyś zrobić tego samego? - zapytał Tom. - To znaczy... skoro drań szachruje, trzeba odpowiedzieć tym samym.

Mistrz Smith pokiwał głową.

-Już to zrobiłem. Miecz u twojego boku, ser Thomasie... czarny proszek, który płonie. - Przyłożył rękę do policzka. W tym geście było coś niewłaściwego, jakby stawy ręki miały większą swobodę ruchów, niż powinny. - Ale jeśli w tej grze są strony, ja reprezentuję tę, która pragnie, żeby najpotężniejsze istoty grały zgodnie z zasadami. Wzbraniałbym się przed opisaniem mojej strony jako dobrej. Pozwolę sobie tylko podkreślić, że po mojej stronie jest mniej ofiar śmiertelnych i że chcemy zminimalizować... - odwrócił wzrok - negatywne skutki.

- To dodaje otuchy - skomentował Gabriel. - Jesteśmy po stronie ponoszącej mniej negatywne skutki. Moglibyśmy to wyhaftować na kompanijnym sztandarze. - Pociągnął długi łyk piwa. - Jestem wdzięczny, że nie silisz się na tajemniczość i owijanie w bawełnę, ale wychodzi ci to samo z siebie. Mogę powtórzyć twoje słowa? Mówisz, że im więcej nam pomagasz, tym mniej widzisz z tego, co się będzie działo. Mówisz, że jest was kilku, czego zresztą się domyśliłem, ale nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek słyszeli to wyłożone tak otwarcie. Będziesz nam pomagać do pewnego momentu, lecz nie do końca, gdyż podkopałoby to... - Ser Gabriel się roześmiał. - Twoje wewnętrzne przekonanie, że jesteś bóstwem. Albo smokiem.

- Albo czym ty, do nędzy, jesteś - burknęła Pyskata.

- Tak - przyznał mistrz Smith. - Jesteś zdolnym uczniem.

- Mogę ci zadać kilka pytań? - zapytał ser Gabriel.

Pan Smith się napił.

- Oczywiście. Ale rozumiesz, że chodzi o ingerencję w waszą sekwencję wydarzeń. Na im więcej pytań odpowiem, tym bardziej będę wmieszany, jeśli nawet nie podejmę żadnego działania.

- Wielkie dzięki - powiedział ser Gabriel. - Ale to twój kłopot, nie nasz.

- Zgadza się.



- Czy Harmodiusz przechodzi na drugą stronę?

Ból wykrzywił zwykle nieruchome oblicze pana Smitha.

- Mistrz Harmodiusz daleko zaszedł - odparł. - Tak daleko, że może postanowi zostać stroną, zamiast się po którejś opowiedzieć. Krzepi mnie to, że miarkował się ze swoimi mocami w ostatnim starciu. Dalej nie mogę się posunąć.

- Czy de Vrailly zabije króla?

Rozległ się szmer jednocześnie zasysanych oddechów.

Mistrz Smith wypuścił z ust strużkę dymu - sztucznego dymu, nie smoczego.

- Sekwencja, jaka się stosuje do króla Alby, jest dla mnie zupełnie nieczytelna. Nie mam jasności. - Westchnął. - Ale też nie widzę, by cokolwiek złego działo się z królem, poza tym, że staje się narzędziem.

Ser Gabriel się wyprostował.

- Psiamać. A co z wiosną? Z terażniejszością? Ze stadem i jarmarkami?

Pan Smith pokiwał głową.

- Znowu jestem zbyt blisko tego wszystkiego. Grozi mi zdemaskowanie przez mojego adwersarza. Ale tyle widzę: Głóg zawarł przymierze z osobnikiem, który zwie się Czarnym Rycerzem. Obaj są niewolnikami i sojusznikami na północy, i wszędzie indziej, skoro o tym mowa, i wspólnie przygotowują ważne przedsięwzięcie. Ich zwiadowcy już są w Adnarniach, kilka głupich stworzeń próbowało wejść w mój Krąg i nawet w tej chwili dolina Cohoctonu jest celem licznych napaści. Więc tak... spodziewam się, że w drodze zostaniesz zaatakowany i że wróg podejmie wysiłki, które będą miały na celu zdeorganizowanie handlu. Mój adwersarz zna się na tych sprawach.

Wszyscy jakiś czas siedzieli w milczeniu, przyswajając sobie podane informacje.

- Czy dojdzie do kolejnej próby zamachu na cesarza? - zapytał ser Alkajos.

- Nie jestem prorokiem - odrzekł mistrz Smith z wyraźnym rozdrażnieniem. - I biorąc pod uwagę twój udział w wydarzeniach,

lada moment możesz mnie zirytować.

Wszyscy obrócili głowy, patrząc na Moreańczyka.

Alkajos poczerwieniał.

- Wybrałem stronę. Jestem tutaj.

Mistrz Smith wzruszył ramionami.

- Tak czy owak, jestem za blisko, ale powiem jedno: każde wydarzenie, które zagraża stabilności miasta, zagraża... wszystkiemu.

- Wielce enigmatyczne i nadzwyczaj pomocne stwierdzenie - podsumował ojciec Arnaud. - Weźmiesz udział w Radzie Północy? Jesteś jednym z ważnych właścicieli ziemskich.

Ta uwaga skłoniła mistrza Smitha do uśmiechu.

- Na waszego Boga, ojcze, to było dowcipne. - Rozejrzał się. - Nie, nie będę uczestniczyć w radzie. Jesteśmy, jak usiłowałem powiedzieć, zbyt blisko punktu krytycznego, w którym nasz adwersarz może wykryć mój udział. Nie wolno do tego dopuścić. Jeśli przyłapie mnie na bezpośrednim udzielaniu pomocy, zostanę zdemaskowany. A wtedy... wtedy przegramy. - Wzruszył ramionami. - Nawet to jest wykrętem. Mogę podjąć pewne działania, lecz muszę unikać tych, które mogą zbyt wiele ujawnić.

- Ponieważ ten adwersarz jest silniejszy od ciebie? - zapytał ser Gabriel.

Mistrz Smith ściągnął brwi.

- Tak.

- A niech to! - mruknął ser Gabriel.

- Czy jest Bóg? - zapytała Pyskata.

- Nie lubisz owijać w bawełnę, prawda? - zapytał mistrz Smith. - Dziecię człowieka, mam nie większe pojęcie niż ty. - Pyknął z fajki. - Powiem, że tak jak moja rasa jest wyższa względem waszej, tak nie byłoby dla mnie niespodzianką, gdybym się dowiedział, że istnieje rząd istot będących tym dla nas, czym my jesteśmy dla was, i tak dalej. I może nad nami wszystkimi jest ten jeden. I może jest troskliwy i wszechmogący, a nie nieczuły, intrygancki i drapieżny. - Wzruszył ramionami. - Mogę się z wami podzielić brutalną prawdą?

- Czy robisz coś innego? - burknął kapitan.

- Wszyscy, którzy posługują się magią, w każdej rasie, osiągają

punkt, w którym pytają: „Co jest prawdziwe?”. - Powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy.

Mag wzruszyła ramionami, jakby pytanie było nieważne, natomiast Gabriel się wzdrygnął.

- Tak - powiedział.

- Skoro możesz manipulować eterealem za pomocą samej woli i kształtować go wedle własnych wyobrażeń - rzekł łagodnie mistrz Smith - to wypada, żebyśmy wszyscy zapytali, na czym naprawdę polega akt wiary. Mam rację?

Pyskata przyjęła tę uwagę jak nieudolny cios przeciwnika.

- Ale przecież sam nie wiesz - powiedziała. - W taki czy inny sposób.

Na twarzy Gabriela odmalowało się takie samo pełne oszołomienia zrozumienie, jakie okazała Pyskata, kiedy pojęła, że rodzina Murienów obecnie kontroluje mur na całej jego długości.

- To znaczy, że... całe moje życie... - Gabriel odetchnął z trudem, jakby to sprawiało mu ból - ...nie jest skutkiem woli Boga ani jego klątwy, lecz wynikiem ingerencji twojego plemienia?

- Ach! W istocie, dokładnie to miałem na myśli. - Mistrz Smith umilkł na chwilę. - Ale nie tylko mojego plemienia, ludzkie dzieci. Wszystkich ras. Wasza rzeczywistość jest skutkiem wzoru zakłóceń nieskończonego labiryntu woli. Czym innym mogłaby być? - Uśmiechnął się jak kot chwilę przed zjedzeniem myszy. - Wasza rasa też skręca nici przeznaczenia. Ty sam, panie rycerzu. Mag. Tom Lachlan. Pyskata. Alkajos. Wy wszyscy.

Gabriel wlał do gardła resztę piwa.

- W takim razie pieprzyć was wszystkich - mruknął.

Mag na niego spojrzała.

- Ja też mam pytanie - oznajmiła cicho.

Mistrz Smith przesunął na nią spojrzenie. Napotkała je bez trwogi. I uśmiechnęła się. Ma piękne oczy, pomyślała.

- Patriarcha... - zaczęła.

- Godny człowiek - powiedział mistrz Smith.

- Dał do zrozumienia, że życie na rubieżach, na granicy z Dziczą, ma pewien wpływ na nasze moce. - Kiedy zaczęła mówić, wyglądało

na to, że właściwie nie wie, o co spytać.

Mistrz Smith ściągnął usta.

- Wnikliwa uwaga, do której dodam własną. Kiedy dwie kultury stoją w obliczu wojny, czy wiesz, jaki jest jej najpowszechniejszy rezultat?

Mag przełknęła ślinę.

- Jedna zostaje zniszczona? - zapytała chrapliwym głosem.

Mistrz Smith pokręcił głową z taką miną, jakby miał do czynienia z tępą uczennicą.

- Nie, wcale nie. To rzadko się zdarza. Obie kultury upodobniają się do siebie. Wojna to sprawia.

- Mówisz... - Mag się zająknęła. - Mówisz, że staniemy się podobni do Dżicy?

- Mag, Dżicz jest sztucznym określeniem używanym przez ludzi na opisanie nas wszystkich, którzy nie jesteśmy ludźmi. - Pan Smith uśmiechnął się szelmowsko. - Kobiety mogą do nas dołączyć, ale zamknę ten temat. - Wyglądało na to, że uważał się za wielce dowcipnego, i przez chwilę śmiał się bezgłośnie. Kiedy nikt do niego nie dołączył, westchnął. - Dżicz nie jest konspiracją. To styl życia. Ale im dłużej jesteście w kontakcie z nami, tym bardziej stajecie się do nas podobni. W rzeczywistości... - Wzruszył ramionami. - W rzeczywistości ci dalekowzroczni powiedzieliby, że ludzie przystosowują się łatwiej niż wszyscy inni intruzi i aż nazbyt dobrze poznają zwyczaje Dżicy. - Rozpostarł palce na stole i popatrzył na nie z zaciekawieniem. - Wiecie, że wszystkie inne rasy się was boją. I że jesteście... czy jest ładny sposób, żeby to wyrazić? Jesteście ulubionymi narzędziami wszystkich Potęg. Pomysłowi, bezgranicznie brutalni, niezbyt bystrzy. - Uśmiechnął się, żeby złagodzić ostre słowa.

- Narzędziami? - zapytał Gabriel, unosząc głowę. - Bronią? - Rozmyślał przez chwilę. - Obrońcami?

- Na litość boską, panie rycerzu, chyba sobie nie wyobrażasz, że jesteś stąd, prawda? - zapytał smok.

- Wystarczy! - krzyknął Zły Tom. Wstał. - Koniec. Mam dość. Głowa mi pęka. Nie muszę znać tajemnic wszechświata. Nie jestem

pewien, czy nie mówisz o swojej dymiącej cherlawej dupie.

Ojciec Arnaud też się podniósł. Nigdy wcześniej nie zgadzał się z Tomem, ale ta chwila wydawała się dobra, żeby zacząć.

- Nie jestem pewien, czy zniosą coś więcej, mistrzu Smith. Rzeczywistość, którą kształtują ludzie, jest bardziej krucha, niż sobie zdają sprawę.

- Jesteś mądry - rzekł smok. - Chciałbyś odzyskać swoją moc uzdrawiania?

Ojciec Arnaud zareagował tak, jakby został uderzony.

Ser Gabriel wstał i stanął obok niego.

- To było okrutne - powiedział.

Mistrz Smith miał zdziwioną minę.

- Szczerze mówiąc, nie chciałem być okrutny. Dobry ojciec, który jest, jak miemam, godnym człowiekiem, utracił swoje moce wskutek czarów rzuconych przez maleńkie stworzenie... ha, wyjaśnienie tej sprawy jest prawie niemożliwe. Ale wierzy, że w tajemniczy, może nawet mistyczny sposób jest ona powiązana z jego grzechem. - Wzruszył ramionami. - Rozumiem, co to grzech. Wierzę w dążenie do doskonałości, choć sam wielokrotnie ponosiłem w tym porażkę. Zbyt często. - Uśmiechnął się jak człowiek, który cierpi. - Może dlatego tak bardzo lubię ludzi. Proszę. - Poklepał ojca Arnauda po plecach i odwrócił się w chwili, gdy weszła młoda barczysta kobieta z dwoma dzbanami pianistego piwa.

Dygnęła, nie roniąc ani kropli.

- Lubisz łowić pstrągi? - zapytał mistrz Smith.

Dziewczyna pojaśniała jak świeżo zapalona latarnia.

- Uwielbiam te małe w górskich potokach, panie.

- Tak. Są piękne, kiedy są młode. - Położył tacę na stole i odwrócił się ku izbie pełnej rycerzy. - Dobrej nocy, sprzymierzeńcy. A może przyjaciele... chciałbym mieć kilku przyjaciół. Nadchodzi najgorsze, ale, jak już mówiłem, gra jest warta świeczki. To cała nagroda, jaką dostaniemy. - Uniósł kubek.

Wszyscy obecni podnieśli swoje.

- Za zwycięstwo - dodał.

- Za zwycięstwo - powtórzyli. Mistrz Smith się uklonił. Ujął

młoda kobietę za rękę. - I za uniknięcie negatywnych skutków.

- Panie? - odezwała się służąca.

- Idziemy na ryby.

Drzwi się zamknęły za nimi.

Mag wzruszyła ramionami.

- Dziewczyna nie protestowała - zauważyła.

- O Boże... - mruknął ojciec Arnaud.

Gabriel wypuścił powietrze w długim wydechu, jakby od dawna trzymał je w płucach.

- W rzeczy samej.

\*\*\*

Nastał ranek - dla jednych wcześniej, dla innych później; niektórzy, szczęśliwcy, albo straszliwi pechowcy, zależnie od punktu widzenia, nie zaznali ani chwili snu, a teraz zaczęła się praca.

Nell miała sześć godzin na przygotowania. W stajni stał wspaniały, wysoki na osiemnaście dłoni Ataelus, nowy nabytek kapitana zakupiony od hrabiego Zaka, skory do kąsania czarny demon o zmiennym usposobieniu. Ale w ten rzeński wczesny marcowy poranek Ataelus zachowywał się przyzwoicie. Jedyne oznaki zaniepokojenia były skutkiem obecności klaczy - ogier co kilka minut unosił wielką głowę i ściągał wargi, obnażając zęby. Był za dobrze wychowany, by wyrazić swoje myśli.

Nell go lubiła. Włożyła wiele wysiłku, żeby go wyszczotkować, nadając blask czarnej sierści. Miał cztery białe skarpetki, co Albanowie uważali za pechową, a stepowi nomadzi za szczęśliwą odmianę. Nell zmieniała zgrzebła, od ostrych po delikatne, starannie wodząc nimi po końskiej skórze, uważając na miejsca, w których układ sierści zmieniał kierunek. Nuciała podczas pracy.

Miała powody, by się czuć szczęśliwą. Wczoraj kapitan pochwalił ją za pracę, wymieniając imiennie. Rana na jej twarzy dobrze się goiła, z niewielką pomocą Mag, i wiedziała, że nie zostanie blizna. Najlepsze ze wszystkiego: nowy muskularny łucznik wieczorem dał wyraz swoim zamiarom, przeciągając językiem po jej policzku.

W końcu musiała dźgnąć go kciukiem w bok, żeby trochę pohamować te entuzjastyczne zapędy. To, co chodziło mu po głowie,

prowadziło do dzieci, a ona miała inne plany. Jednak jego umizgi uważała za rozkoszne.

Nuciła piosenkę Pyskatej. Nie dla niej malutkie kukułki.

Oporządziła trzy konie i poszła zbudzić kawalera. Kiedy jasno mu wyłożyła swoje podglądy na temat spółkowania, stał się doskonałym towarzyszem i źródłem ciepła. I zabawy.

Nell doszła do wniosku, że chłopcy są jak konie. Trzymaj wodze pewną ręką i nigdy nie okazują strachu, a będą truchtać jak należy.

- Hej! Śpiochu! - powiedziała i wymierzyła mu sójkę w bok.

Coś wymamrotał i poderwał rękę, a ona w nagrodę wpakowała mu garść słomy do ust.

- Lada chwila zahuczą bębny, chłoptasiu. Ruszaj z siana swoje muskularne dupsko. Ser Bescanon nie lubi spóźnialskich. Hej!

Przewrócił się na brzuch, żeby dała mu spokój, a ona dźgnęła go w boki kciukami.

Poderwał się jak stworzenie Dżicy.

Nell śmiała się do rozpuku.

Chciał ją pocałować, a ona sięgnęła do sakiewki u pasa i podała mu długi na pięć cali korzeń lukrecji.

- Cuchniesz jak sracz - powiedziała. - Mamy tu pewne wymagania, chłoptasiu. Wziąłeś srebro kapitana... ruszaj dupę.

Usiadł ze słomą w jasnobrązowych włosach.

- Co mam z tym zrobić? - zapytał.

- Wieśniacy... - mruknęła, przewracając oczami. Sama rok temu była dziewczką z wioski. - Kapitan mówi, że czystość utrzymuje cię przy życiu i że brudni żołnierze umierają - oświadczyła z przekonaniem neofity. Cholernie dobrze wiedziała, że kompania była bardziej czysta niż wrogowie, z jakimi kiedykolwiek się spotkali, z wyjątkiem moreańskich strażników.

- Muszę się myć? - zapytał takim tonem, jakby mu groziła przemiana w węża przez czarnoksiężnika.

-W środy i niedziele, gdy nie walczysz - odparła. - Mycie, strzyżenie i golenie. Kiedy spędzisz z nami rok, będziesz mógł zapuścić brodę, ale tylko za zgodą primusa pilusa.

- Na Świętego Maurycego! - zabluźnił chłopak. - Zasady na

każdym kroku.

- Żebyś wiedział! A teraz ruszaj dupę. Ja pracuję od godziny.

Gospodarz pozwolił, żeby na wewnętrznym dziedzińcu, wielkim jak plac ćwiczeń w niejednym zamku, przez całą noc płonęły cztery ogniska. Setka mężczyzn i kobiet skupiła się wokół nich i teraz wszyscy pracowali - przynosili drewno, ustawiali kociołki albo w nich mieszała.

Nell złapała chłopaka za rękę i zaprowadziła go przez podwórzec do kwatery ser Michaela. Wielkiego rycerza nigdzie nie było widać - nikt się nie spodziewał, że rycerze będą warzyć strawę albo czyścić odzież, chyba że wpadną w gówno. Ale nowy giermek, Robin, siedział w watowanym kaftanie, trzymając na kolanach złoty pas rycerski z ciężkich płytek. Wraz z dziobatą moreańską dziewczyną polerował płytki szmatami unurzanyymi w popiele.

Robin, przyzwoity chłopak lubiany w kompanii, był panem z urodzenia. Nell też go lubiła, ponieważ dbał o porządek, był uprzejmy dla dziewczyn i przez cały czas pracował. Nell oceniała ludzi głównie po wykonywanej pracy.

Ugięła kolano.

- Panie?

- Dzień dobry, Nell - powiedział Robin, nie przerywając polerowania. - Kto to taki?

- Wziął srebrnego pensa zeszłej nocy. Zwał go Dicconem Twigiem.

Robin skinął do nowego głową.

- Witaj w kompanii, młody Dicconie.

Robin był może ze trzy lata starszy, ale nikt nie skomentował jego powitania. Robin dobrze się sprawił w wielkiej bitwie pod Loniką - już nie był „młodym Robinem”. Niedługo zostanie „ser Robinem”. Wszyscy o tym wiedzieli.

- Mój tata... - Diccon wbił wzrok w ziemię. - Mój tata woła mnie „Dryg”.

Robin się uśmiechnął.

- Nie. Wybacz, Dicconie. To zacne miano, lecz nosił je starszy łucznik i zabrał ze sobą do grobu. Masz inne imię?



- Matka zwie mnie przeklętym głupcem - odparł z uśmiechem Diccon.

- Dobrze, nadasz się. Nie przejmuj się brakiem przewiska, Dicconie. Zyskasz je, kiedy nadejdzie pora, nie wcześniej. - Robin popatrzył na Nell.

- Zdaje się, że będzie twoim łucznikiem - powiedziała.

Robin uniósł brew.

- Ha, pomoc z pewnością się przyda. Dicconie, przynieś cztery naręcze drewna i zapytaj tamtą kobietę w niebieskiej sukni i żołnierskiej pelerynie o dalsze rozkazy.

- Kim ona jest? - zapytał Diccon.

Twarz Robina stała się mniej życzliwa.

- Dicconie, w normalnych okolicznościach nie odzywasz się do mnie i nigdy o nic nie pytasz. Kiedyś... - Uśmiechnął się do Nell. - Kiedyś będziesz mógł mówić, co ci ślina na język przyniesie, i zadawać dowolne pytania, ale teraz wydałem ci rozkaz i masz go wykonać z korzyścią dla wszystkich w naszym kociołku. Nie próbuj mnie wkurzać. Do roboty.

Nell stała z rękami splecionymi na piersi i nie rzekła słowa w obronie chłopaka. Młokos poczerwieniał ze złości, ale schował dumę do kieszeni i poszedł po drwa. Nell wyszła za nim.

- To służka pani Kaitlin. Jest swego rodzaju ochmistrzynią wszystkich cywilów w naszym kociołku. Ona i Robin wydają rozkazy.

- Czym jest, u licha, kociołek? - zapytał.

Spojrzała na niego tak, jakby ją bawiła jego konsternacja, bo to jej przypominało, jak daleko zaszła.

- Wiesz, co to kopia?

Diccon szybko zapomniał o swoim złym humorze. Zebrał porąbane klonowe drwa i ruszył ku ogniskom. Chcąc mu okazać odrobinę serca, Nell też wzięła naręcze.

- Włócznia długa na jakieś dziesięć stóp? - powiedział.

- Kopia to rycerz, giermek, jeden albo dwóch łuczników i paż - wyjaśniła. - Dwie kopie tworzą kociołek, z cywilami i...

- Kim są cywile?

- Kochanki. Dziwki. Towarzysze. Żony. Mężowie. Cokolwiek

chcesz. -Nell się roześmiała. - Ty możesz mieć kogoś takiego na stałe tylko za zgodą kapitana.

- Chryste, mnich ma lepiej! - krzyknął Diccon.

Rzucił polana na stos i pochylił się, żeby je poukładać. Dopiero potem wrócił po następne naręczce. Sześć par oczu z aprobatą odnotowało, co zrobił.

Nell wzruszyła ramionami.

- Utrzymanie cywila kosztuje, trzeba mieć pieniądze na jedzenie, spanie i wszystko inne. W drodze nie zostawiamy naszych. Weterani mają utrzymanki, wskutek czego liczba osób w kociołku wynosi od dziesięciu do dwunastu. Wszyscy w grupie jedzą razem, śpią razem i pracują razem. Większość z nas walczy razem. - Stęknęła, podnosząc dużą dębową kłodę.

Wziął ją od niej i wyciągnął ręce, a ona nakładała na nie bierwiona.

- Jesteś w mojej grupie? - zapytał.

- Nie, skarbie. Gdybym była, nie dostałbyś ode mnie całusa ani nie pozwoliłabym ci na żadne poufałości. To kolejna zasada. - Uśmiechnęła się. - Jestem paziem kapitana. Należę do kopii dowodzenia.

- To takie wyjątkowe? - Oczy Diccona były pełne pytań.

- Będzie bardziej niż wyjątkowe, jeśli nie przygotuję koni do przeglądu. Ruszamy za dwie godziny. - Rzuciła drwa na stos. - Ułożysz moje? -zapytała. - Zobaczymy się później. Jeśli cokolwiek spieprzysz, powiedz, że ci przykro. Nie wchodź w drogę kapitanowi ani primusowi pilusowi. To najlepsza rada, jakiej ci mogę udzielić.

Wróciła do Robina. Siedział teraz z kubkiem grzanego wina z korzeniami i patrzył na trzewiki ser Michaela, które wyglądały, jakby zardzewiały przez noc.

- Już po mnie - mruknął.

Nell pomyślała, że zapewne tak wygląda prawda, ale nie czuła litości. Pokręciła głową. Giermkowie najpierw kazali uginać kolano, a potem się okazywało, że wcale nie są tacy wyjątkowi.

- Zdaje się, że ten nowy chłopak nic nie ma - powiedziała. - Nawet koca, a co dopiero konia czy broni.

Lord Robin westchnął.

- Coś wykombinuję. Nell, możesz poprosić Toby'ego, żeby mi pomógł?

- Jeśli dopilnujesz, żeby nowy dostał ekwipunek - odparła. Uśmiechnęła się na znak, że nie mówi zupełnie poważnie.

Robin zrobił zbolałą minę.

- Lubisz go.

Wzruszyła ramionami.

- Tak, panie.

Pokiwał głową.

- Znajdź Toby'ego, proszę.

\*\*\*

Toby usługiwał kapitanowi i Nell nawet nie próbowała go szukać, dopóki nie przygotowała wszystkich koni. Słońce stało wysoko na niebie, gdy znalazła ich obu za stodołą.

- Toby, Toby - mówił kapitan. - Jeszcze raz.

Toby był rozebrany do rajtuzów i wamsu i obaj byli złani potem, ćwicząc jednoręcznymi mieczami o prostych krzyżowych jelcach. Na słowa kapitana Toby złożył się do mocnego ciosu w głowę.

Kapitan cofnął nogę, stawiając stopy blisko siebie, ta wysunięta do przodu znalazła się tuż poza zasięgiem miecza przeciwnika. Wyprostował się i osłonił głowę w *Garda di testa*, Nell już znała wszystkie postawy.

Nagle zaatakował błyskawicznie jak zmija i Toby poderwał miecz. Popęnił błąd, bo nie zdążył odskoczyć. Mimo wszystko dobrze się osłonił i sparował tym samym ruchem.

Kapitan cofnął wysuniętą do przodu stopę i przeszedł do parady.

Toby uniósł miecz, nie ustępując pola.

Miecz kapitana śmignął tak szybko jak skrzydła kolibra. Głownia zatrzymała się o włos od wysuniętego biodra giermka.

Ser Gabriel zmarszczył czoło.

- Jesteś zmęczony. Na dzisiaj koniec, Toby. Ale musisz się nauczyć pracować nogami.

Toby miał złą, sfrustrowaną minę.

Kapitan spostrzegł Nell.

- Dzień dobry, młoda damo. Jak się ma mój piękny nowy koń?

- Je, panie - odparła. - To wszystko, co robi. Potrzeba mu zaprawy.  
Kapitan się uśmiechnął.

- Jeśli go nie dosiędę, ty się nim zajmiesz wieczorem, dobrze?

- Oczywiście, panie.

Spojrzał na nią i uniół brew.

- Potrzebujesz czegoś, Nell?

- Nie, panie. Ale przydałby się Toby, jeśli ma wolne. - Miała nadzieję, że Robin doceni, jak dobrze się wywiązała z umowy, ponieważ w tej chwili nadstawiała karku. Kapitan potrafił być nieobliczalny, zwłaszcza wczesnym rankiem po nocnym pijaństwie.

Toby sprawdził, czy głownia nie jest wyszczerbiona, i schował miecz do pochwy.

- W porządku, Nell.

Kapitan dał znak, że mogą rozmawiać. Oglądał swój jednoręczny miecz, nowy, z czerwoną rękojeścią, pasujący do tego dwuręcznego na wojnę - złożony jelec, okrągła głowica i dwa nowomodne pierścienie chroniące palce na jelcu.

- Czego chcesz? - zapytał zdyszany Toby.

- Robin cię potrzebuje. Brakuje mu czasu i wody, by wyszykować zbroję ser Michaela.

- Słodki Jezu i wszyscy święci! - Toby pokręcił głową. - Jeśli człowiek spędza całą noc w ramionach... - Spojrzał na Nell. - Pójdę.

- Nie krępuj się i daj mu do wiwatu - powiedziała. - Ale obiecałam, że cię sprowadzę.

Toby był kiepskim szermierzem - za późno zaczął szkolenie i powoli się uczył - ale najlepiej w całej kompanii umiał polerować stal.

Kapitan nie schował miecza.

- Nell, wnoszę, że masz wolną chwilę?

Zamarło jej serce.

- E... tak.

Kapitan skinął głową.

- Nie sędzę, dziewczyno, żebyś się przykładała do szkolenia. Ćwiczyłaś?

- Tak, panie. Mieczem i toporem z ser Bescanonem i ser Alison. Do tego *gymnastika* z ser Alkajosem i pływanie z... - Zarumieniła się. -

Z kobietami.

Kapitan pokiwał głową.

- Kamień spadł mi z serca, Nell. Ale wiem, że zostałam ranna w Morei, i mam zamiar poświęcić więcej uwagi twojemu żołnierskiemu życiu. Dobywaj.

Nell miała u boku jednoręczny miecz. Ostrożnie wyjęła go z pochwy.

Przez większość czasu bała się kapitana. Podziwiała go, ale był starszy, większy i łatwo wpadał w złość. I jego oczy płonęły na czerwono, kiedy go rozgniewała albo nie spełniła jego wymogów.

Stojąc na trawie naprzeciwko niej, był wysoki jak Ataelus i jego miecz wydawał się ogromny. Najgorsze, że jego oczy nie były czerwone. Były gadzie.

- Przypuszczę kilka prostych ataków - powiedział. - Staraj się nie umrzeć. - Uśmiechnął się. - Zajmie mi lata znalezienie tak dobrego giermka jak ty.

To ją rozweseliło.

Uderzył.

Przyjęła cios na jelec - ser Alison powiedziała, żeby zawsze robiła to, co umie, i Nell wiedziała, że lubi mieć miecz przed sobą. Nauczyła się, że w świecie, gdzie wszystko jest większe, silniejsze i ma dłuższe kończyny niż ona, podstawowe postawy są stworzone dla niej.

Machnęła głownią we *frontale*, uderzając w ostrze kapitana. Jego nadgarstek wydawał się wykuty z żelaza, ale nie była zupełnie zielona, mierzyła się bowiem z Rozmyślnym Mordem, Długą Łapą i nawet Ranaldem Lachlanem na placach ćwiczeń w Morei.

Odbił i ciął. Pamiętała, żeby zrobić wykrok, i oczywiście ciął ją w nogę.

Zasalutował mieczem.

- Przyjemnie jest stwierdzić, że ktoś zwraca uwagę. - Wyprowadził cios w jej głowę, z lewej i prawej w dwutakcie.

Ośloniła się, ale za drugim razem było jak i za późno.

Powtórzył ciosy, szybciej. Tym razem była przygotowana i przyjęła oba na głownię.

Pchnął.

Zatrzymał ostry jak igła sztych miecza przy sznurowaniu jej kaftana.

- Do tego momentu sprawiałaś się wybornie, z wyjątkiem byle jakiej obrony.

Jak może być taki szybki? To było wszystko, o czym mogła myśleć.

Od tej chwili do wezwania na śniadanie kazał jej dobywać miecza i chować go bez patrzenia na pochwę. Wsunęła miecz po lewym kciuku i zakłęła, bo stał przecięta skórę. Kazał jej powtarzać ćwiczenie, a ona go nienawidziła.

Przyszedł ojciec Arnaud. Miał czarny pikowany kaftan, piękny strój jak na księdza, który ślubował ubóstwo - czarny wełniany aksamit haftowany w roślinne wzory, podkreślający jego sylwetkę, idealną nawet wedle kompanijnych standardów.

- Jesteś tego ranka moim trzecim klientem - zażartował kapitan, machając mieczem w stronę swojego spowiednika. - Nell, nie gniewaj się. Ładnie sobie radziłaś. Ale jeśli będziesz ospale dobywać miecza, nie zdołasz wypróbować swoich umiejętności, bo zginiesz, zanim będziesz miała okazję. I jeśli nie nauczysz się chować miecza bez spuszczenia wzroku z przeciwnika... - Wzruszył ramionami. - Może się skończyć tym samym.

Nell ugięła przed nim kolano.

- Dziękuję, panie, za lekcję.

Ser Gabriel skinął głową.

- Od tej pory co rano, jak sędzę, ty i Toby.

W jednej chwili zapomniała o gniewie i znalazła się w siódmym niebie. Pochwała? Za to, jak walczyła? Szkolenie pod kierunkiem samego ser Gabriela?

Nell chciała zostać rycerzem, chciała tak bardzo, że czuła na języku smak swojego pragnienia. I wiedziała, że właśnie weszła na pierwszy szczebel drabiny wiodącej do wymarzonego celu.

- Ukłuta się w rękę - powiedział ser Gabriel do ojca Arnauda.

Kapłan się uśmiechnął. Był to szczęśliwy, radosny uśmiech.

- Mogę zobaczyć? - zapytał.

Wyciągnęła rękę.

Skrzywił się.

- *In nomine patris* - powiedział i skaleczenie się zagoiło.
- Tak po prostu. Nawet nie bolało.
- Boże! - krzyknęła zszokowana Nell.
  - Właśnie - powiedział ojciec Arnaud, cały rozpromieniony.

\*\*\*

Po raz drugi wezwano na śniadanie, ale jedna z korzyści płynących z kapitanowania bogatej kompanii najemników polega na tym, że wiesz, iż ktoś będzie podgrzewać twoją strawę.

- Mistrz Smith nie podkopał twojej wiary? - zapytał kapitan, robiąc krok w prawo, starając się udaremnić próby przeciwnika, który chciał mu narzucić swoje tempo.

Ojciec Arnaud się uśmiechnął.

- Ani trochę - odparł. - Gdyby wiara była łatwa, każdy chciałby wierzyć.

Miecz kapitana skoczył jak wąż. Mężczyźni mieli stalowe rękawice z uwagi na niebezpieczeństwo fechtowania się ostrymi mieczami. Ojciec Arnaud sparował, pociągając miecz kapitana w górę i na prawo od siebie, ale zaraz potem jego kontratak spełził na niczym, bo kapitan był już za daleko.

- Piekielnie się go boję - wyznał Gabriel.

Ciął w dół z wysokiej gardy - *sopra di braccio* - ale była to finta. Ojciec Arnaud cofnął rękę i nie napotkał głowni kapitana, już opadającej w rozmytym półkołu. Poruszył ręką w nadgarstku, żeby ją przechwycić, ale kolejny cios też był markowany.

- Koniec pieśni - oznajmił ze sztychem kapitana przy piersi. - Teraz wiem, że jesteś pomiotem szatana. Żaden śmiertelnik nie może zrobić mieczem manewru kleszczowego.

Kapitan śmiał się tak mocno, że musiał przyklęknąć.

- Powinieneś zmierzyć się z moim bratem - powiedział, sapiąc jak kowalskie miechy. - Z pewnością przetrząsnęli cały zakon w poszukiwaniu człowieka równie wprawnego we władaniu tak bronią, jak pochlebstwami - wychrypiął. - Ha! - Znowu się roześmiał. - To było niezłe. Bałem się... sam nie wiem.

- Jesteś dziwnym człowiekiem - stwierdził ojciec Arnaud. - Bałeś się, że twój przyjaciel smok mnie skrzywdzi. Zamiast tego uleczył

mnie, i to nie tylko pod względem moich mocy.

Gabriel przysiadł na piętach.

- Cieszę się. Chodźmy coś zjeść.

W zgodnym milczeniu poszli do gospody. Stały tam stoły na kozłach, długie ławy i skrzynie. Odziani w szarość poganiacze siedzieli wśród rycerzy i łuczników kompanii. Było ciepło i nie brakowało stawy. Podawano wieprzowinę w dużych, głębokich, wyciętych z sęków misach, a do tego chleb smażony na tłuszczu z jajkami i dzbany pożywnego syropu klonowego, śmietany, grzanego wina i herbaty z sasafrasu. Służący zwijali się jak w ukropie, przynosząc z kuchni duże drewniane półmiski, żeby zastąpić te opróżnione przez gości, i podawali gorące wino i miód.

Zapadła cisza, kiedy kapitan wszedł do sali. Po chwili wszyscy wrócili do jedzenia. Kapitan usiadł przy stole z ojcem Arnaudem, Pyskatą i ser Alkajosem. Zły Tom przystanął, żeby porozmawiać z poganiaczem, po czym usadowił się obok Pyskatej. Ława zaskrzypiała pod jego ciężarem.

- I jak? - zapytał.

Gabriel pokręcił głową.

- Musimy bardzo uważać, o czym mówimy - powiedział.

- Ufasz mu? - zapytała Pyskata, sugerując ruchem głowy, że chodzi jej o nieobecnego smoka.

Gabriel zmarszczył nos, jakby poczuł paskudny zapach, i szybko pokręcił głową. Wyjął z pochwy pugiinału nóż i szpikulec i zabrał się do jedzenia.

Tom pokiwał głową.

- Muszę ruszyć w drogę, póki pogoda dopisuje - oznajmił. - Moi chłopcy będą rozżaleni, że nie spędzą tu kolejnej nocy, ale trzeba... - Wzruszył ramionami. - Trzy tysiące albo więcej sztuk do Harndonu. Zeszłego roku całe stado poszło do Lissen Carak. I armia.

Gabriel niezupełnie uniósł wzrok, ale ich oczy się spotkały.

- Idziesz do Lissen Carak, a potem do Harndonu? Tak?

Tom zmarszczył czoło.

- Jeśli znajdę kupca w Południowym Brodzie, chętnie sprzedam część stada do Lissen Carak, na jarmark.



- Jesteś mi potrzebny na radzie u ser Johna - zaznaczył kapitan.  
Tom wykazał się zdrowym rozsądkiem.

- Nie chciałbym pominąć rady, ale odbywa się w Albinkirku i nie chcę ryzykować straty bydła, gnając je ligę na zachód od brodów. - Pochylił się. - Gospodarz mówi, że w lasach są demony i że Huranowie ruszyli.

Ser Gabriel zaprezentował nikły uśmiech.

- W takim razie powinienesz przestać gadać i mitrzyć czas. Kaprale i starsi stopniem, na dziedziniec. Niedługo wymarsz.

Jego autorytet był tak oczywisty, że ser Gawin o mało mu nie zasalutował.

\*\*\*

Pyskata, w zbroi i gotowa do jazdy, stała przy koniu w starej przesywanicy, tej, której nie nosiła od prawie roku. Tego ranka była zmuszona ją włożyć, ponieważ ta nowa, z pięknie obrobionymi oczkami i równie dobrym watowaniem, była podarta - dwa oczka pękły rozerwane przez prawy naręczak. Stara cuchnęła, była za ciasna, skóra zeszywniała od potu, a brudne płótno zrobiło się szorstkie jak wołok.

Zastanawiała się nad tym, co czuje. Dumając, gryzła jabłko wciąż jędrne po zimowaniu w piwnicach gospody. Kiedyś była przyzwyczajona do takich brudnych ubrań; kiedyś była twardzielką, a teraz się denerwowała, bo szorstkie płótno ocierało jej ramiona.

- Mięknę - mruknęła.

Mag już siedziała na koźle swojego wozu, wysoko nad Pyskatą.

- Nie wierz w to, skarbie - powiedziała. - Starzejesz się, nie mięknie.

Pyskata się skrzywiła.

Mag uszyła jej piękną przesywanicę i Pyskata, która była dosłownie ślepa na *ops* i *potentia*, mimo wszystko czuła siłę pracy starszej kobiety tak, jak więzień z zawiązanym oczami może poczuć pocałunek słońca.

Wokół nich rycerze i zbrojni jeden po drugim wychodzili z gospody i regulowali należność przy długim stole ustawionym na podworcu specjalnie w tym celu, po czym zawiązywali ostatnie

troczy i sprawdzali sprzączki.

Ser Dagon La Forêt przystanął przy koniu Pyskatej. Poruszał się niespokojnie w nowym napierśniku z sześciu elementów. Wsparł ciężar ciała na jednej nodze i skrzywił się. Obdarzył Pyskatą żalonym uśmiechem.

- Musimy przez cały dzień jechać w zbroi? Nie możemy zaczekać, aż siniaki znikną?

Pyskata była zadowolona, że nie ona jedna narzeka.

Ser Dagon westchnął.

- Gdyby tak w całej Nova Terra było miejsce bezpieczniejsze niż okolice Gospody Dormling - powiedział tęsknie.

Mag się zaśmiała i pokiwała głową na znak, że się z nim zgadza.

- Tylko głupiec wchodzi w Krąg Smoka.

Smok Erchu, czasami zwany mistrzem Smithem, władał terytorium o średnicy wielu lig, z ośrodkiem na białej od śniegu Mons Draconis. Gospoda stała na jego terenie, poganiacze go przemierzali i dobrze im się wiodło. Podróżni rzadko byli niepokojeni, chociaż kilku bojaźliwych twierdziło, że widziało latające stworzenie wielkie jak statek, i nie chciało powtórnie skorzystać z tej drogi. Kupcy natomiast zawsze podróżowali przez włości Smoka.

Pyskata podała ogryzek swojemu wierzchowcowi.

- Z tego, co mówią, Zamurzenie przyszli wzdłuż strumienia i uderzyli na poganiaczy wewnątrz kręgu - powiedziała.

Ser Dagon się skrzywił.

- Kompania nigdy nie wpadła w zasadzkę - powiedział łucznik, mistrz krawiecki, Hans Gropf. Trzymał konia za uzdę.

U jego stóp dwóch małych chłopców woskowało skórzany ekwipunek.

Ser Dagon pokiwał głową.

- Kompania ma tylko cztery lata - zakrakał Rozmyślny Mord. Stał pośrodku podwórza, wodząc po wszystkich obłąkańczym wzrokiem. Trzymał konie całej kopii. Było to zadanie Nell, ale lubił smarkulę i pozwolił jej, żeby poleciała wskazać swojemu chłopakowi kuca albo coś tam innego. - Mamy mnóstwo czasu, żeby dać się pobić i zmasakrować. Kiedy zmiękniemy. Wspomnicie moje słowa.

Ser Dagon pokręcił głową.

- W takim razie będę cierpiał w milczeniu.

- Jeśli zaraz nie ruszymy, równie dobrze możemy poczekać do jutra -mruknął Rozmyślny Mord dość głośno, żeby zbudzić nieboszczyka.

Pyskata zobaczyła kapitana stojącego w drzwiach gospody. Zły Tom wyszedł i wziął w objęcia najstarszą córkę gospodarza, Sarę, żonę jego zmarłego brata. Był to namiętny uścisk. Jedni paziowie spojrzeli w inną stronę, drudzy zagwizdali.

Mag odwróciła głowę i Pyskata zobaczyła, że patrzy na tabor - na pozór bezładne skupisko koni i wozów, osłów i wiklinowych koszy. Szukała wzrokiem swojej córki Sukey, która przez ponad rok była kochanką Toma, obecnie publicznie zastąpioną przez inną kobietę.

Kapitan - Gabriel, jak go teraz zwano - wyrósł obok niej jak spod ziemi, jak drań miał w zwyczaju, z ser Michaelem i ser Bescanem za plecami. Samo spojrzenie na niego wystarczyło, żeby się uśmiechnęła.

- Gdzie jest szanowny hrabia? - zapytał ser Gabriel.

- Mieliśmy drobne nieporozumienie - odparła Pyskata z udawanym wielkopańskim akcentem. - Poszedł pielęgnować swoją próżność.

Ser Gabriel się skrzywił, ale na tym poprzestał.

- Pyskata, zabierzesz swoich ludzi i będziesz osłaniać tabor?

Skinęła głową.

Podszedł ser Gawin. Jabłka tego dnia wyraźnie cieszyły się powodzeniem. Rzucił jedno bratu.

- Możemy ruszać? - zapytał niecierpliwie.

Zjawił się Tom. Jeśli się przejmował, że właśnie publicznie upokorzył córkę najpotężniejszej czarodziejki w promieniu stu lig, to tego nie okazał.

- Wzywałś?

Kapitan skinął głową.

- Nie jesteś moim *primus pilus*. Jesteś Poganiaczem. Nie mogę ci rozkazać, żebyś dołączył do mojej kolumny.

Tom się roześmiał.

- Święte słowa. Pociągnę za tobą. Pieprzone owce są tak wolne,

że chętnie bym je powyrzynał.

Kapitan skinął głową i przeszedł do działania.

- No to w drogę.

Rozejrzał się, szukając hrabiego Zaka, znalazł go i przywołał ruchem ręki. Kiedy niski wojownik podjechał, kapitan się uklonił, gdyż, formalnie rzecz biorąc, byli sobie równi. Zak odwzajemnił ukłon. Zerknął na Pyskątą.

Mag przymrużyła oczy, patrząc na Toma.

Ser Dagon niewinnie się uśmiechnął do ser Gawina. Ser Gawin, któremu było wyjątkowo śpieszno zobaczyć się ze swoją ukochaną w Lissen Carak, niespokojnie przestępował z nogi na nogę, jakby w ten sposób mógł zmusić kolumnę do ruchu.

Kapitan mówił trochę tak, jakby nie był zupełnie sobą.

- Przyjaciele, zacząłem podejrzewać, że jeśli wam nie zaoferuję stałej diety złożonej z niebezpieczeństwa i dramatu, odejdziecie i sami ją sobie znajdziecie. - Rozejrzał się. - Dobrze, hrabio Zaku, prowadź, jeśli łaska. Ser Michael ze mną, potem Gawin, potem ser Dagon, a za nim ser Bescanon. Tabor na końcu osłaniany przez ser Alison. Poganiacze zamkną tyły. Wzbiją mnóstwo pyłu, a nie chcemy, żeby coś nas hamowało.

- Podejmujesz środki ostrożności, jakbyś szedł na wojnę - zauważył hrabia Zak, ni to protestując, ni dopytując.

- Mistrz Smith jasno przedstawił swoją opinię. Na północ u podnóża Adnarni zbiera się wielka siła. Opuszczamy cesarstwo i wjeżdżamy do Alby. Słońce grzeje od tak długiego czasu, że każdy Zamurzanin na świecie zdążył się prześliznąć na południe obok Ticondagi. Mam rację? Jesteśmy na wojnie. Kiedy ktoś taki jak mistrz Smith udziela ostrzeżenia, trzeba być głupcem, żeby go nie posłuchać.

Jednomyślnie pokiwali głowami.

- Dobrze. Jazda - powiedział kapitan swoim kapitańskim głosem.

Ten głos sprawił, że Pyskاتا odetchnęła z ulgą. Im bardziej był Gabrielem, tym mniej go znała. Woląta dawnego kapitana z jego bezustanną arogancją i nieugiętą pewnością siebie. Gabriel był uwikłany w przymierza, których nie miał kapitan - matka, rodzina, wiele obcych zobowiązań.

Pyskata przerzuciła zakutą w stal nogę nad siodłem i pomachała do swojego giermka, który prowadził jej oba rumaki bojowe.

- Trzymaj się blisko - poleciła. Skoro kapitan powiedział, że trwa wojna, trzeba brać poważnie jego słowa.

Nowy trębacz zagrał długi sygnał, ostatnie wezwanie. Ser Alison pojechała stępem wzdłuż niespokojnych szeregów do swoich dziesięciu kopii, które czekały w szyku za bramą gospody. Ustawiła się na czele i zaszalutowała kapitanowi, gdy przejeżdżał z ser Michaeliem i sztandarem - trzy *lacs d'amour* w złocie na czarnym polu. Dzisiaj ojciec Arnaud trzymał sztandar. Pyskata wiedziała, że kompania została podzielona na trzy części i w każdej kopii są nowi rekruci, więc dyscyplina musiała być surowsza niż zwykle i takie drobiazgi jak salutowanie nagle nabrały znaczenia. Gonfalonier kompanii, ser Bescanon, służył obecnie jako *primus pilus* i niewielu starszych było zadowolonych, że przejął rolę Złego Toma. Nie mianowano nowego chorążego, a umiłowana przez kompanię chorągiew Świętej Katarzyny została w Liwiapolis z ser Milusem i białą bandą.

Za rozbudowaną kopią kapitana, złożoną z chorążego, trębacza, giermka Toby'ego Pardieu, pazia Nell i łuczniaka Osiełka, jechały kopie „domowników”. Ojciec Arnaud miał własną kopię z dwoma giermkami i dwoma paziami - cieszył się popularnością, chociaż Pyskata uważała, że trudno się z nim rozmawia. Za nim jechał ser Francis Atcourt z giermkim, paziem i dwoma doświadczonymi łucznikami. Następnie Angelo di Laternum, jeden z giermków ser Jehana, obecnie dowodzący własną kopią. Dwaj ostatni rycerze prezentowali się wspaniale w nowych zbrojach, które połyskiwały w słońcu: Chris Foliak, zawsze elegancki, i ser Phillipe de Beause, uczestnik turniejów na tyle znany, że otrzymał zaproszenie na królewski turniej. Za nimi ciągnęli najnowsi rekruci - dwóch panów z Oksytanii, ser Danved Lanval i ser Bertran Stofal z giermkami, paziami i łucznikami. Ser Danved szerokością niemal dorównywał wysokości ser Bertrana, ale obaj byli doświadczonymi rycerzami z południa i uchodzili za dobrych w walce na kopie. Ser Danved miał donośny głos i często go używał - w przeciwieństwie do swojego

milkliwego towarzysza broni.

Członkowie kopii dowodzenia mieli szkarłatno-złote kaftany, nawet paziowie. Paziowie nosili wschodnie turbany z pękami piór na hełmach, szable, etruskie stalowe napierśniki i rogowe łuki. Jechali na pięknych wschodnich kłaczach, niewielkich koniach o eleganckich głowach i niewyczerpanej energii.

Kopie dowodzenia ociekały bogactwem i siłą. Pyskata wiedziała, że to reklama, ale na wojnie rozgłos popłaca równie dobrze jak w nierządzie. Roześmiała się na myśl o podobieństwach pomiędzy jej pierwszą i drugą profesją.

Kopie dowodzenia wyjechały stępą za bramę, skrzyły na pole i kolumny rozwinęły się w szereg równoległy do drogi. Kapitan pochwycił jej spojrzenie i się uśmiechnął. Znowu zasalutowała mieczem.

W jej polu widzenia przegalopował hrabia Zak, pięknie przejmując swój oddział wardariotów, dwa tuziny nomadów, którzy znaleźli się co najmniej dwa tysiące lig od domu i dwieście od koszar w Liwiapolis. Pyskata nie miała pojęcia, jaki układ kapitan zawarł z cesarzem, ale musiał obejmować wypożyczenie jej kochanka, i podziękowała mu w duchu, chociaż dziś rano hrabia Zak był cierniem w dupie.

Zak na nią spojrział, idealnie panując nad koniem, gdy kłusował jak na paradzie przed kapitanem. Trzymał w garści złotą buławę, oznakę swojej godności, i zasalutował nią kapitanowi, a potem się odwrócił i błysnął do niej jednym ze swoich szerokich uśmiechów.

Odprężyła się. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zdenerwowała ją ich sprzeczka, ale gdy tylko odetchnęła z ulgą, zwymyślała się w duchu za pozwalanie, żeby mężczyzna - obojętne jaki - cokolwiek jej dyktował.

Hrabia Zak i jego ludzie nosili szkarłatne i złote barwy cesarskie. Pyskata po raz pierwszy zauważyła, że odkąd kapitan dodał złoto do swojego stroju, jego kopie dowodzenia pasowały do barw cesarskich.

Zmarszczyła brwi.

Pojawiły się kopie ser Michaela, który podczas tej wyprawy dowodził ośmioma. Miał pod sobą gromadę nowych rekrutów i

niektórzy, nawet zbrojni i rycerze, jeszcze nie mieli szkarłatu. Skończył się im szkarłatny materiał, a mogli go dostać tylko na jarmarku w Lissen Carak albo w sklepach Harndonu. Ale i tak wyglądali dzielnie - dwudziestu zbrojnych, tylu samo łuczników i paziów - chociaż Pyskata wypatrzyła kilku niezdarnych młodzieńców i szokująco chudą kobietę bez siodła, przesywanicy czy nawet miecza. Miała łuk na ramieniu i jechała boso.

- Co to za dziewczucha? - zapytała, nie odwracając głowy.

Ser Christos - moreański weteran z wystarczającym doświadczeniem, żeby dowodzić armią, przydzielony do jej oddziału, człowiek, który ranił Złego Toma w walce jeden na jednego - chrząknął.

- Powinnaś zobaczyć, jak strzela - powiedział. - Nie pamiętam jej imienia. - Trochę się zacinał, mówiąc po albańsku. Jego ton wyrażał pewność siebie, ale też szacunek. Nie sprawiał jej kłopotów i co więcej, pomimo dziwnego akcentu i dziwnych poglądów na religię, był starym weteranem, a nie nowym rekrutem, więc obróciła się w siodle i posłała mu swój szczerbaty uśmiech.

- Ktoś powinien jej dać jakiś rynsztunek.

Mag zjechała na skraj drogi, powożąc wozem o stromych burtach. Za nią toczyło się dwadzieścia podobnych wozów. Pochyliła się w jej stronę.

- Wszystkiego nam brakuje - powiedziała. - Poważnie, wszystkiego.

Pyskata zlustrowała wzrokiem dobrze uporządkowane kopie ser Gawina. Ser Gawin miał pod sobą głównie Albanów i w gospodzie skompletował cztery nowe kopie z młodych ludzi, którzy porzucili rodzinne pielesze, żeby ruszyć na poszukiwaniu „przygody”. Jego oddział też był zbieraniną niedobrych koni i różnorodnych zbroi.

Ser Dagon dowodził weteranami, jego ludzie wyglądali na zmęczonych i sprawnych, przynajmniej dla doświadczonego oka. Wszystkie sprzączki były zapięte, większość brązu i mosiądzu wypolerowano po nocy ciężkiego pijaństwa. Zdaniem Pyskatej pozornie leniwy ser Dagon był lepszym kandydatem na primusa pilusa i wciąż się zastanawiała, dlaczego kapitan dał funkcję Złego

Toma byłemu kapitanowi cesarskich najemników, oksytańskiemu rycerzowi, który nie cieszył się zbyt dobrą reputacją w służbie cesarza i którego kompanię Zły Tom rozniósł podczas jednej szarży. Ale gdy drogą nadciągnęły jego kopie, musiała przyznać, że dobrze się prezentują, a poza tym ser Dagon znał wszystkie archaiczne podręczniki o wojnie, które kapitan czytał tak, jak inni czytali... no tak, Biblię. Ludzie Oksytańczyka jechali na dobranych gniadoszach, każdy jeden, rycerz, paź czy łucznik. Prawie wszyscy mieli szkarłatne przeszywanice albo przynajmniej tymczasowe tabardy i porządnie wypolerowane metalowe elementy rynsztunku.

Ser Alison spojrzała na swoich ludzi. Dowodziła zbieraniną. Moreańczycy ją lubili - nazywali ją Minerwą, nikt nie próbował podrywać jej autorytetu i umiała się z nimi dogadać, bo moreański archaiczny był jej ojczystym językiem. Tak więc miała ponad dwudziestu zbrojnych z gorszym rynsztunkiem, ale doskonale wyszkolonych. Wiedziała, że będzie musiała wystarać się o sporo złota, żeby zapłacić za piekielnie dużą liczbę nowych zbroi.

Ale byli dobrzy i byli jej ludźmi. Po ostatniej walce awansowała na współniczkę - wynajęła dwie własne kopie i wzięła większy udział, zamiast tylko pracować dla kapitana jako młodszy oficer. Była bliska posiadania własnej kompanii.

Wyszczrzyła zęby. Świeciło słońce, a ona była rycerzem. Wciąż trzymała miecz po zaszalutowaniu kapitanowi i sztandarowi. Zawróciła konia i machnęła orężem jak rycerz z romansu.

- Do mnie! - krzyknęła.

Jej rycerze i ich kopie utworzyli dwa długie szeregi po obu stronach wozów Mag. Gdy tylko zostawili za sobą drogi biegnące pomiędzy kamiennymi murami niezliczonych zagród dla owiec i bydła, uniosła dłoń w rękawicy nad głowę i zatoczyła nią krąg. Paziowie oderwali się od kolumny, żeby ruszyć przez pola równoległe do kolumny, na wschodzie i zachodzie.

To zawsze ją bawiło - jeden ruch ręką, a trzydziestu ludzi przystępuje do działania.

Pyskata jechała stępem obok wozu Mag. Siedziała na wierzchowcu, ale jej głowa znajdowała się niżej.



- Zrobione - powiedziała Mag, przecinając ostrymi zębami nitkę.  
-Nie mam więcej szkarłatnej nici.

Pyskata się uśmiechnęła.

- Dzięki, Mag. Wygląda pięknie. Twoja praca zawsze jest piękna.

Podążyła przesywanicę Robinowi, który zawrócił konia i pojechał wzdłuż kolumny, żeby umieścić cenny przyodziewek w jukach.

Mag się uśmiechnęła, nagle zmęczona i stara.

- Dzięki, moja droga. - Wzruszyła ramionami. - Robiłam coś i teraz...

Pyskata wiedziała, że szwaczka straciła swojego mężczyznę, ser Johna le Bailli, jednego z najlepszych ludzi. Był przeciętnym wojownikiem, ale cierpliwym człowiekiem, dobrym prawie we wszystkim. Lubiła Johna, który nigdy nie wciskał jej kitu. W przeciwieństwie do wielu mężczyzn.

- Zawieruszyłaś? - zapytała.

Mag pokręciła głową.

- Straciłam zainteresowanie. Szyłam przesywanicę dla Johna. Ładną jak twoja.

- Och - mruknęła Pyskata. Czuła się głupio. Mag była opancerzona jak kapitan, na swój sposób. Nigdy nie zdradzała swoich uczuć, co Pyskatej raczej się podobało.

Spróbowała zmienić temat.

- Zauważyłaś, że kapitan wystroił swoich domowników w barwy cesarskie? - zapytała.

Mag się roześmiała.

- Czy zauważyłam? Sama kroiałam materiał, Pyskata. - Uśmiechnęła się. - Złotogłów. Czasami stwierdzam, że trochę trudno w to wszystko uwierzyć.

- Mnie też - wyznała Pyskata.

Koła poskrzypywały, końskie kopyta klekotały przez pól ligi. Późno wyruszyli w drogę, ale dzień był piękny. Za nimi Zielone Wzgórza rozciągały się na północy, a na północnym wschodzie widniał wulkaniczny stożek Mons Draconis, rozmyty w dali, nieproporcjonalnie duży wśród otaczających go dolin.

Przed nimi niczym mur w poprzek drogi wznosił się las. Nie

oznaczał granicy smoczego kręgu, sięgającego znacznie dalej, ale wytyczał początek Dżicy. Morea była stara i zasiedlona, mocno trzymana przez rękę człowieka, ale na zachód od dolin Zielonych Wzgórz rosły wysokie, sędziwe drzewa i choć las był przecięty przez trakty królewskie, wiewiórka mogłaby przeskakiwać z jednego konaru na drugi aż po północny skraj Adnarni lub na zachód za Mur po południowy kraniec morza wewnętrznego.

- Trudno uwierzyć, że kiedyś to wszystko było nasze - powiedziała Pyskata.

Mag wracała do domu w swoim kraju, ale pokiwała głową.

- Z pewnością - rzekła. - Kiedy byłam mała, bawiliśmy się w rycerzy i potwory w starych szałasach pasterskich za naszym domem. Wędrowny zakonnik mi powiedział, że koliby kiedyś należały do miasta, naprawdę dużego miasta. Kiedyś wszędzie były zagrody. Ludzie tu żyli.

Drzewa przed nimi były wysokie jak kościelne wieże.

- To było dawno temu - powiedziała Pyskata.

- Tak. Ponad dwieście lat przed bitwą pod Chevinem.

- A teraz za Murem jest tyle samo Dżicy, co na zewnątrz.

Mag pokiwała głową.

- Słyszałam, że w Dżicy mieszka tyle samo ludzi, co w cywilizowanych krajach. Smok, to znaczy mistrz Smith, powiedział coś na ten temat. - Uśmiechnęła się do Pyskatej. - Czym więc jest Dżicz? Jeśli żyją tam ludzie? I co jest cywilizowane?

Pyskata, która w przeszłości kupczyła własnym ciałem, nie musiała tego komentować.

Była wczesna wiosna, więc na wielu drzewach jeszcze nie wyrosły liście, chociaż zielona mgiełka zasnuwająca dalekie lasy sugerowała pączkowanie. Co ważniejsze, nie było kurzu. Królewski trakt pod kopytami i kołami był kamienny. Czasami deszcze go rozmywały i wymagał naprawy. Miejscami kamienie się skruszyły, ale generalnie podróżni mogli liczyć na sto lig płaskiej, prostej drogi szerokiej na dwa wozy.

Za kompanią ciągnęli domownicy Poganiacza, tuzin konnych klanowych naczelników z ciężkimi toporami na ramionach. Dzięki

Tomowi jechali wierzchem, nie musieli iść. Mieli pełne kolczugi tudzież lśniące hełmy, niektóre dziwaczne z wysokimi szpicami i długimi dziobami, z zakrętami i spiralami. Górale dbali o prezencję. Złoto lśniło na ich pasach i zbrojach.

Zły Tom nie kwapił się podjechać do Pyskatej i Mag.

- Pomówisz z Tomem o Sukey? - zapytała Pyskata.

- Nie - odparła Mag tonem, który sugerował, że ten temat nie wymaga dalszego omawiania.

Pyskata się zastanawiała, czy nie pojechać sprawdzić awangardy.

Spróbowała innego podejścia.

- Zastanawiałaś się kiedyś, o co tak naprawdę chodzi kapitanowi?

Mag się uśmiechnęła. Jak na razie był to jej najcieplejszy uśmiech tego dnia.

- Tak - odrzekła cicho. - Robię to cały czas.

Pyskata pokręciła ze smutkiem głową.

- Ja tylko chcę, żeby to trwało i trwało. Przygoda za przygodą.

Ale on do czegoś zmierza, prawda?

Mag pokiwała głową.

- Tak, moja droga.

Pyskata spojrzała na starszą kobietę.

- Nie traktuj mnie jak głupka - syknęła.

Mag przewróciła oczami.

- Wybacz, skarbie. Nikt z was wiele o tym nie myśli. Tylko wymachujecie mieczami i jedzicie dalej, mam rację? - Spojrzała ku północy. - Obwołał się diukiem Tracji.

- Ale to nie naprawdę. - Pyskata wciąż na nią patrzyła. - Chyba nie zamierza osiąść w Lonice, żeby sprawować sądy i być wielkim panem? - Uświadomiła sobie, że przecież przez pięć dni po bitwie przy rozstajach patrzyła, jak to robi. Jakby się do tego urodził.

I oczywiście tak było.

- Psiamać - zaklęła.

- Myślę, że naprawdę - powiedziała Mag. - Myślę, że zbił dwie fortuny w ciągu dwóch lat, a potem dodał wielkie księstwo, które przynajmniej przez kilka lat będzie mu płacić podatki, zapewniając

stały dochód tak wielki, że naprawdę nie mogę sobie wyobrazić, ile będzie miał pieniędzy. I zatopił szpony w handlu futrami. Dostaje dziesięcinę od cesarskiego podatku na futra. Co więcej, obecnie on i jego ojciec dosłownie są panami całej granicy z Dziczą.

- Przecież nienawidzi swojego ojca - zauważyła Pyskata.

Mag okazała zainteresowanie. Wszyscy w kompanii wiedzieli, że Pyskata jest za pan brat z kapitanem, ale niewielu miało odwagę ją wypytywać.

- Nienawiść jest zbyt silna - przyznała Pyskata. - Ale jego ojciec i matka coś zrobili... coś strasznego. I uciekł. - Spojrzała na Mag. - Nie będzie z nimi dzielić Muru, nigdy.

Mag patrzyła przed siebie ku linii drzew.

- Nigdy to długi czas - rzekła powoli. - I władza jest jeszcze gęstsza niż krew. Ser Gawin kontaktuje się z matką Gabriela. Wiem. - Uśmiechnęła się skromnie. - Matka Gabriela jest potężna, jeszcze nie spotkałam równie silnej osoby tego rodzaju. - Zmarszczyła czoło. - Z wyjątkiem byłego Richarda Plangere'a. Jest równie wielka jak Harmodiusz, ale cała zielona.

Pyskata ściągnęła brwi.

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko, te błędne wyprawy, ratowanie księżniczek i zdobywanie kontraktów... że to wszystko jest po prostu kolejną walką w o władzę? - Splunęła. - Kurwa. Nie wierzę.

Mag się zaśmiała.

- Zważywszy na życie, jakie wiodłaś, dziecko, możesz być naiwna. O cóż innego chodzi im podobnym?

- On nie jest jednym z nich! - krzyknęła Pyskata.

Mag westchnęła.

- Przypuszczam, że lubię go równie mocno jak ty, skarbie - powiedziała takim tonem, jakby się zwracała do dziewczynki, która ma pierwszą miesiączkę. - Ale właśnie to robią. Nie są jak ty czy ja. Są jak zwierzęta w Dzicy. Walczą o władzę.

\*\*\*

Pod wieczór zwiększyli tempo. Pyskata od forpoczty wiedziała, że jadą przez miejsce, gdzie w ubiegłym roku Zamurzenie zmasakrowali poganiaczy.

Nikt nie chciał obozować wśród kości i duchów. Kolumna zaczęła się rozciągać, mgła wznosiła się z głębokiej doliny strumienia.

Pyskata odbiła od kolumny, żeby sprawdzić jeźdźców, których pchnęła przodem. Wielu Moreańczyków nigdy dotąd nie widziało takiego lasu - sędziwych buków i dębów wysokich na siedemdziesiąt stóp, z rosnącymi gdzieś tam brzoźkami o pniach tak potężnych, że dwóch ludzi nie dałoby rady ich objąć, z prawie nieistniejącym podszytem, zwłaszcza pod dębami, chociaż na ziemi leżały połamane przez wiatr gałęzie, a nawet całe wyrwane z korzeniami drzewa. Klony jak zielone katedry wznosiły się nad bukami. Wyglądało to pięknie, jeśli człowiek mógł sobie pozwolić na podziwianie widoków.

Pomijając lasy, Pyskata była ponuro zadowolona z tego, co widziała. Moreańscy stradioci znali się na rzeczy, a ich paziowie, choć głównie będący dzierżawcami i tymi, kogo Albanowie zwali sierżantami, braki w doświadczeniu nadrabiali ostrożnością. Pyskata jechała wzdłuż ich szeregu, zadowolona, że każdy mężczyzna - bez kobiet - ma towarzysza w zasięgu wzroku. Wieczorny las był hałaśliwy i poruszające się duże zwierzęta nie pozwalały czujkom zmrużyć oka.

Żałowała, że nie ma z nimi Gelfreda. Noszący zielone stroje łowcy byli daleko stąd. Na innej misji. Takiej, o jakiej nie dyskutowano.

Kapitan walczył o władzę. W końcu to zrozumiała i była mocno wkurzona jego postępowaniem. Wiedział, że nikt tego nie pochwali i że dlatego podzielił kompanię. Randal, Gelfred i nienawistny Kronmir udali się w jakieś inne miejsce. Podejrzewała, że wysłał ich na południe do Harndonu.

Były to płytkie myśli, ponieważ czujność jej ludzi okazała się zaraźliwa. Co więcej, znała Dżicz na tyle, żeby wiedzieć, że coś jest nie w porządku.

Galopowała za Spirem i Stavrosem, którzy patrzyli na las za polaną na południu. Obaj mieli łuki w rękach.

Ściągnęła wodze.

- Stavros, wracaj do wozów. Powiedz Mag, że coś się dzieje. Nie podnoś alarmu, ale daj do zrozumienia, że pora zachować ostrożność. Znajdź kapitana i ściągnij tu jego dupę. Z pozdrowieniami ode mnie.

Mężczyzna elegancko zasalutował, zawrócił konia i pogalopował. Spiro zmarszczył czoło.

- To mógł być jelen - mruknął.

Pyskata pokiwała głową. Jechała na lekkim wierzchowcu, nie na rumaku, i już tego żałowała.

- Żaden szanujący się jelen nie byłby tak blisko posuwającej się kolumny.

Czuła się głupio, wyprawiwszy się na zwiady bez ciężkiej kopii i bojowego hełmu. Poluzowała miecz w pochwie.

Coś się poruszało na polanie.

Mgła gęstniała. Słońce zaraz się zetknie z linią horyzontu - robiło się późno.

Została mniej więcej godzina światła.

- Tu jesteśmy zbyt odsłonięci - powiedziała spokojnie. - Zawracamy.

Spiro posłuchał z nieskrywanym zadowoleniem. Cofali się między drzewami od kępy do kępy, najpierw jedno, potem drugie, osłaniając się wzajemnie.

Pyskata miała coraz lepsze zdanie o swoim towarzyszu. Ledwie go znała, ale okazał się solidny i godny zaufania, i miał oczy dokoła głowy. Robił w portki ze strachu, ale się trzymał.

Zobaczyła ruch na zachodzie i mignięcie krzepiącego szkarłatu. Jednocześnie dostrzegła dwóch następnych zwiadowców. Razem ze Spirem popędziła na północny zachód przez splątany gąszcz i wyjechali na innej polanie. Był tam hrabia Zak z czterema ludźmi.

Ucieszyła się na jego widok tak bardzo, że zakręciło się jej w głowie, i zdała sobie sprawę, jak bardzo się bała...

- Uwaga! - krzyknęła.

Uczucie narastało stopniowo, ale dobrze je znała z czasów walki pod Lissen Carak. Niektóre stworzenia Dzikich wysyłały falę grozy.

Spiro spojrział przez ramię, uniósł łuk...

Pyskata dobyła miecza i cięła...

Stwór skoczył. Pyskata poczuła swąd spalonego mydła i zobaczyła jasnoczerwony grzebień. Jej cios spadł na brązowy trzonek ciężkiej kamiennej siekiery - wspaniała broń z polerowanego lapis-lazuli

skoczyła ku niej jak koszmar.

Demon się zamachnął. Sparowała i ostrze spłynęło po głównej jej miecza jak deszcz po spadzistym dachu. Wierzchowiec spanikował i rzucił się do ucieczki.

Demon - dwanaście stóp muskularnego pancerza, pożyczony krwawoczerwony grzebień i korale - trzasnął toporem w Spira. Połamane żebra wbiły się w serce i mężczyzna zginął na miejscu. Demon obrócił się w biodrach, wskazał eleganckim brązowym trzonkiem i promień skupionego światła zdmuchnął hrabiego Zaka z siodła. Wojownik upadł jak worek pszenicy.

Pyskata szarpnęła wodze. Jej wierzchowiec stanął dęba. Zrobiła przewrót na końskim zadzie - w zbroi - i wylądowała na nogach. Odwróciła się.

Adversarius stał czterdzieści stóp dalej, dwa razy wyższy od niej, emanując mocą tajemną.

Pyskata miała zbroję wzmoczoną potężnymi czarami ochronnymi przez Mag i samego Czerwonego Rycerza.

Błękitno-biały ogień uderzył ją prosto w pierś. Rozproszył się.

- Wal się - warknęła i przeszła do ataku.

Demon zawahał się wyraźnie zbity z tropu jej postawą i fiaskiem swojej magii. Pyskata widziała, że gromadzi moc. Kula białego ognia przemknęła przez cieniastą polanę jak piłka rzucona przez silną dorosłą osobę. Uderzyła demona nisko, w biodra, i jego szmaragdowy pas stanął w płomieniach. Stwór się zachwiał, tocząc błędnym wzrokiem. Kolejna kula trafiła go w tors w chwili, gdy miecz Pyskatej ciał wysuniętą, pokrytą łuskami nogę. Krew i ogień bluznęły we wszystkie strony, topór błysnął. Pyskata wysunęła stopę i się osłoniła, trzymając miecz oburącz. Topór spadł i głównia pękła, sztych wbił się w pancerną rękawicę i rozplątał jej dłoń. Poza tym nie odniosła obrażeń, a kiedy uderzyła trzecia kula ognia, demon zadrżał, rzekł jedno słowo i... zniknął.

\*\*\*

Hrabia Zak nie został poważnie ranny. Spiro zginął. Mowa, którą wieczorem kapitan wygłosił nad ciałem giermka, była wielce pochlebna dla Pyskatej. Zakończył ją słowami:

- Nie traćmy więcej ludzi. - Pokręcił głową i spojrzał na Mag.

- Uderzyłam przeklętnika trzy razy - powiedziała. - Miał warstwowane ochrony i parę poważnych umiejętności.

Kapitan trzymał w garści kubek rozcieńczonego wina i siedział na obozowym stołku otoczony przez większość swoich oficerów. Zak wciąż przebywał pod opieką ojca Arnauda.

- Co ten stwór tu robił? Sam? - zapytał kapitan. Miał ponurą minę. - Przecież nadal jesteśmy wewnątrz kręgu.

Tom, naburmuszony w dwójnasób, ponieważ minęła go walka i wszyscy chwalili Pyską, splunął.

- W Dziczy musi być tyle samo młodych głupców, co ludzi - zawyrokował.

- Kto jak kto, ale ty musisz to wiedzieć - mruknęła Pyskata.

Kapitan się zaśmiał.

- A już się bałem, że oboje jesteście chorzy. Przypuszczam, że jesteśmy obserwowani. Wyczuwam, że nasz demon pojawił się w taki sam sposób, w jaki odszedł. Magia wisi w powietrzu. Dzięki temu Pyskata zdołała się zorientować. - Popatrzył na Mag.

Szwaczka pokiwała głową.

- Pasuje do tego, co czułam, impulsy *potentia*. Jeśli stworzenie było potężne, przyszło... i odeszło.

- Zwiadowcy je zaskoczyli - powiedziała Pyskata. - Nie spodziewało się oporu tak daleko od kolumny.

Ser Gabriel przewrócił oczami.

- Po raz kolejny wszechmocny kapitan idealnie odgadł zamiary wroga.

Ser Danved zaśmiał się i uderzył pięścią w siodło.

- Wciąż się popisuje... - Rozejrzał się niespokojnie.

Ser Francis Atcourt poklepał go po plecach.

- Nie musisz się przejmować. Uwielbia, gdy ktoś mu mówi, kiedy to robi.

Zamiast się obruszyć na te docinki, ser Gabriel tylko się uśmiechnął.

- W rzeczywistości to mistrz Smith mnie ostrzegł. Nie przypisuję sobie zasługi i dlatego postaram się nie okazywać nieznośnego



zadowolenia, że jakiś potężny mag-wojownik nawet nie zobaczył naszej kolumny. - Umilkł na chwilę. - Rankiem pochowamy Spira, a potem, jak się obawiam, cała kompania przemaszeruje po jego grobie.

Ser Bescanon w młodości walczył z Dżiczą, ale był wstrząśnięty tymi słowami.

- To świętokradztwo!

Kapitan wzruszył ramionami.

- Mniejsze niż pozwolenie, żeby coś wykopało zwłoki i je pożarło - odparł. - Jesteśmy w Dżiczy. Postarajmy się o tym pamiętać.

- Już tęsknię za Moreą - powiedział ser Michael. - Czy wszyscy pamiętają, jak mówiliśmy, że walka w Morei jest nudna? Ależ byliśmy głupi.

\*\*\*

Ranek wstał wcześniej, niżby wszyscy sobie życzyli. Pyskata zaczęła rozumieć, że może jednak ser Bescanonowi nie brakuje talentów, jakimi wykazywał się Zły Tom. Zebrał całą kwartę i szedł przez obóz, budząc wszystkich. Trębacz kapitana trąbił każdą minutę z dziesięciu i sygnał niósł się po lasach. Panował przejmujący ziąb, powierzchnię wody w drewnianych kubelkach okalał krąg lodu i konie, zamiast w linii, stały w zbitych grupkach.

Nie był to ich pierwszy dzień marszu, ale dziś najwcześniej wyruszali w drogę ze wszystkimi rekrutami. Zwijano obóz. Ser Gawin, tymczasowo dowodzący sztabem, miał kłopot ze znalezieniem ludzi, którzy złożyliby duży namiot jego brata, a Mag musiała się drzeć jak przekupka, żeby załadowano jej wóz. Słońce już się pięło po niebie, gdy blady i wstrząśnięty hrabia Zak wyszedł z namiotu ojca Arnauda.

Pyskata zarzuciła mu ręce na szyję.

- Myślałam, psiamać, że nie żyjesz - zamruczała.

- Ja też - wyznał Zak. - Winien to jestem szamanowi. Całe krocie.

Ojciec Arnaud uśmiechnął się do obojga. Gdy poczuli, że już nie zwraca na nich uwagi, oboje się odwrócili.

Chmara duszków wyłoniła się z porannej mgły. Pomykały nad polaną, przenosząc się z miejsca na miejsce szybko jak koty, które obwąchują nowy dom.

W końcu skupiły się w obłoku kolorów, tworząc migającą, zmiennokształtną kulę. Kula płynęła nad polaną.

Nikt się nie poruszył.

Zły Tom stał, podczas gdy jego giermek, Danald Beartooth, sznurował mu kolczugę.

Duszki zawisły stopę przed Złym Tomem.

- *Byliśmy Hectorem* - powiedziały. - *Pamiętamy. Nie zapominamy.*

Tom się wzdrygnął.

- Hektorze? - zapytał.

Na krótką chwilę rój przybrał postać martwego Poganiacza, Hectora Lachlana.

- *Pamiętamy.*

Zły Tom je obserwował.

- Ja też pamiętam - powiedział.

- *Czekamy na ciebie. Pamiętamy Jesteś mieczem.*

Tom z dziką płynnością dobył miecza, ale choć był szybki, cała chmura duszków okazała się jeszcze szybsza.

Jego miecz błysnął czerwienią, zielenią i błękitem jak oczka pawiego ogona.

- Będę na was czekać - zapowiedział. - Chodźcie i się przekonajcie.

Duszki jakby westchnęły.

- *Nadchodzi dzień, człowieka. Jesteś mieczem. Pamiętamy.*

A potem odleciały, każdy w innym kierunku - zdawało się, że rój eksplodował w blasku nowego dnia.

Jeden duszek, śmielszy niż pozostałe, krążył w pobliżu. Ponieważ był sam, jego głos brzmiał tak cicho, że Tom go nie słyszał.

- *Będziemy na ciebie czekać* - powiedział i odleciał.

Mag spojrzała na Pyskątą.

- Kiedyś je kochałam, w dzieciństwie. Płakałam, kiedy zrozumiałam, czym są.

Pyskata wciąż stała w objęciach kochanka.

- Czym? - zapytała.

- Sępami żerującymi na duszach - odparła ponuro Mag.

\*\*\*

Kapitan musiał osobiście wyznaczyć zwiadowców spośród obozowych straży, bo było zbyt wielu nowych oficerów i zbyt wielu nowych ludzi. Jemu też brakowało Gelfreda.

Po lidze marszu dotarli do Dziury Gilsona, długiej na czterdzieści stóp wyrwy w drodze. Droga kiedyś biegła przez rozległe moczary po grobli, z której roztaczał się widok na wezbrane wody Albiny na wschodzie, obecnie niewidoczne, płynące w dole. Przed laty coś zniszczyło groblę i połączenie pecha z byle jakimi próbami naprawy spowodowało powstanie leja pełnego wody, która nie spływała, otoczona przez czterdzieści marnych ścieżek biegnących przez coraz bardziej cuchnące bagno. Osada wyrosła na wzniesieniu na południowym zachodzie, gdzie niski zrąb zapewniał dobre powietrze i dobre pastwiska, a wyższy bezpieczeństwo. Osadnicy wyspecjalizowali się w przenoszeniu ładunków przez dziurę. Mówiono o budowie mostu. Zbudowali mały fort na wyższym wzniesieniu.

W ubiegłym roku Sossagowie spalili osadę i zabili większość mieszkańców. Fort się utrzymał i kilka rodzin przeżyło, ale tylko jedna wróciła. Gospodyni wyszła zza małego ostrokołu i patrzyła, jak pierwsi zwiadowcy objeżdżają dziurę, i wysłała najstarszego chłopca, żeby ich przeprowadził. Kapitan pomówił z chłopcem i dał mu sześć złotych dukatów za przeprowadzenie całej kolumny. Przeprawa trwała prawie do wieczora.

Rozbili obóz na polanie, a ponieważ było jeszcze wcześniej, kapitan rozkazał Dębowej Ławce zebrać grupę roboczą i przynieść drewno ze zgliszcz. Setka ludzi uwinęła się błyskawicznie, piętrząc deski i ciężkie belki, z których następnie rozpalono ogniska.

Gospodyni dygnęła na znak podziękowania.

- Strach na to patrzeć - powiedziała. - Nam się udało, innym nie. Ale skoro zgliszcz zniknęły, może ktoś się tutaj osiedli.

- Macie męża, pani Gilson? - zapytał kapitan. Siedział na ganku, popijając wino. Przyniósł jej trochę ze swoich zapasów. Miała dwanaścioro dzieci, najstarsza córka dojrzała do zameścia, a najmłodszy syn ledwie wyrósł z pieluch.

- Poluje - odparła. Jej oczy zdradzały, że się martwi. - Wróci.

Zima była ciężka. - Spojrzała na sześć złotych dukatów, dwuletni dochód. - Przypuszczam, że nas ocaliłeś.

Kapitan zbył jej podziękowania i po wysłuchaniu wszystkiego, co wiedziała o ruchu na drodze i o stworzeniach w lasach, wrócił do swojego namiotu. Tworzyła się kwarta i płonęło sześć wielkich ognisk podsycanych resztkami dwudziestu domów ułożonymi na dwudziestu stosach.

Gawin wskazał na bagna.

- To miejsce jest nie do zdobycia od północy i wschodu - powiedział.

Na moczarach pomykały duszki i mniejsze nocne owady pulsowały kolorami. Bagno rozciągało się prawie na milę ku północy i na południe i dlatego nikt nie korzystał z nowej, ale długiej drogi dokoła niego.

Niebo na zachodzie było jeszcze różowe i na jego tle rysował się ostrokół małego fortu, gdzie obecnie znajdowały się tabor i część czuwającej kwarty.

Gabriel rozejrzał się w gasnącym świetle.

Ser Danved, który miał coś do powiedzenia w każdej sytuacji, parsknął śmiechem.

- Jest nieźle, jeśli nie masz nic przeciwko wysłaniu obu flank w powietrze.

Strumyk, który kapitan przestąpił w drodze do namiotu, spływał z wysoczyzny na bagno i stanowił jedyną osłonę północnej ściany wzniesienia w swojej szmerzącej drodze do odległej o milę Albiny.

- Jezusie Zbawicielu, to pewnie jedyne na świecie miejsce z bagnem w połowie góry.

Znudzony i zmęczony kapitan wzruszył ramionami.

- Jeśli kiedykolwiek będę walczył z Moreą, będę miał to na względzie. - Wszedł do namiotu i przyłapał Danveda i Gawina na wymianie rozbawionych spojrzeń.

Nie zwrócił na nich większej uwagi, zamierzając się położyć.

\*\*\*

Mieli dwa nocne alarmy, ale nie doszło do żadnych ataków i potyczek. W obu wypadkach kapitan był w pełnej zbroi i gotowy.

Rankiem znalazł na południe od koni szlak wydeptany przez rozcapierzone stopy, a obok ciężką strzałę bojową. Przyniósł ją Osiełkowi, który obejrzał znalezisko i pokiwał głową.

- Kum powiedział, że w coś trafił. Nawet zepsuty zegar dwa razy na dobę wskazuje właściwą godzinę, jak się zdaje. Jemu też się trafia jak ślepej kurze ziarno. - Kum był obozowym mądrą, łgarzem i zdecydowanie nie najlepszym łucznikiem, ale zakrwawione lotki mówiły same za siebie.

Kapitan rzucił strzałę w powietrze i pstryknął palcami. Strzała się zatrzymała i zawisała. Kapitan przeciągnął ręką nad drzewcem i grot błysnął zielenią.

Powoli, jak woda przybierająca w kadzi, coś zaczęło się formować w migotliwej zieleni i złocie, rosnąc od ziemi. Żołnierze gromadzili się w świetle brzasku i pomrukiwali. Kapitan rzadko publicznie używał swoich mocy hermetycznych.

Mag podeszła i patrzyła na jego zabiegi.

Był głęboko skoncentrowany, więc znalazła go w jego pałacu. *Ponieważ kiedyś byli związani, jakkolwiek krótko, mogła tam wchodzić, kiedy tylko chciała. Uśmiechnął się na jej widok.*

- Ładna robota - pochwaliła.

- Gelfreda - powiedział. - Swego rodzaju czar tropiący. Wszyscy łowcy znają jego odmiany.

*Patrzyła, jak manipuluje ops w czterech wymiarach i rzuca, oszczędnie i skutecznie używając mocy.*

*Twór wypełniał się światłem.*

- Co to jest? - zapytała.

- Nie mam pojęcia - odparł.

*Istota miała podłużną głowę i zbyt wiele zębów. Opływowa, opancerzona głowa przypominała rybi łeb. Szyja była smocza, długa i giętka, niepasująca do masywnego tułowia., który wyglądał na pokryty grubą skorupą.*

*Stworzenie przykucnęło gotowe do ataku, z dziwacznie wygiętym grzbietem i nienaturalnie wykręconymi łapami - przynajmniej w oczach człowieka.*

Oboje wyszli ze swoich pałaców, żeby przyjrzeć się jego dziełu.

- Co to jest? - zapytał ser Gawin. - Myślałem, że widziałem...

wszystko.

Ser Gabriel wzruszył ramionami.

- Podejrzewam, że Dzicz jest znacznie większa niż nasze pojęcie o wszystkim. Co to jest? To coś, co w nocy przyszło po nasze konie. Dobry strzał, Kumie. Następnym razem zabij.

Klasnął w ręce i skrzący się potwór zniknął, a strzała spadła w jego ręce. Podał ją Rozmyślnemu Mordowi.

- Nałóż grot - poleciał. - I trzymaj ją pod ręką.

- Aha, wiem dlaczego - powiedział Rozmyślny. Było widać, że jest zadowolony, iż został wybrany.

Kapitan dosiadł wierzchowca, zgaszono ostatnie ogniska i kolumna ruszyła w drogę. Rozmyślny został, żeby rozgrzać żywicę w ogniu, który gospodyni rozpałała do śniadania. Opuścił polanę dopiero wtedy, kiedy owce ruszyły w drogę, i pokiwał do Toma, zostawiając matkę z dwanaściorgiem dzieci samą w Dzicy.

Podał gotową strzałę kapitanowi. Ser Gabriel ją wziął, powiedział kilka słów po archaicku i oddał Rozmyślnemu, który wsunął drzewce za pas.

Sześć mil dalej Zachodni Trakt - w zasadzie tylko szlak, i to marny - się rozwidłał, prowadząc do maleńkiej osady w Wilmurcie i Wielkiego Skalnego Jeziora, a stamtąd dalej na północ w Wysokie Adnarnie i do Ticondagi. Na rozstajach zwiadowcy znaleźli człowieka, a raczej jego szczątki. Nieszczęśnik został obdarty ze skóry i stał przy szlaku wbity przez odbytnicę na pał, którego czubek wychodził mu z ust. Brakowało mu rąk i nóg.

Hrabia Zak ściągnął brwi.

- Każę ściągnąć biedaka i pochować.

Kapitan pokręcił głową.

- Nie, dopóki kolumna nie przejedzie. Chcę, żeby wszyscy go zobaczyli.

Ser Michael podchwycił jego spojrzenie.

- Myśliwy? - zapytał cicho.

Ser Gabriel westchnął.

- Do licha. Nawet o tym nie pomyślałem. Biedna kobieta.

Ser Michael pokiwał głową.

- Ja pojedę - zaproponował ojciec Arnaud.

Pstryknął palcami i lord Wimark, który dołączył do nich w Gospodzie Dormling, przynosząc wieści o radzie, podał mu wielki hełm.

Kapitan namyślał się przez chwilę.

- Tak. Weź Rozmyślnego. Zdejmijcie ciało i przyzwoicie owińcie całunem. Ojczy, proponuję, żebyś zabrał ze sobą rodzinę. Lepiej weź wóz. Bodaj to lichy. Stracę jeden dzień.

- To może ocalić twoją duszę - powiedział ojciec Arnaud.

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Muszę mieć na względzie większe dobro większej liczby ludzi - rzekł zimno kapitan.

- Poważnie? - zapytał ojciec Arnaud. - Zwracam się do Czerwonego Rycerza czy diuka Tracji?

Dwaj mężczyźni siedzieli na koniach, mierząc się wzrokiem.

- Michaelu, potrafisz wymyślić, w jaki sposób mogę przyznać rację dobremu ojcu i wciąż wyglądać na silnego? - Parsknął śmiechem.

- Dobrze, ojczy. Zostałem należycie skarcony. Koń bojowy i hełm. Ser Michaelu, przejmujesz dowodzenie. Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, pół ligi dalej jest polana wycięta dla wozów, tuż za potokiem z dobrą wodą. Daj mi pusty Zabiorę też Zaka i połowę jego chłopców.

- I mnie - powiedział ser Gawin.

Kapitan uśmiechnął się łobuzersko.

-Wyprawa błędnych rycerzy. Litości... Ojczy Arnaud, Gawin, nasze kopie i Zak. - Uniósł rękę. - Nikt więcej!

Inni rycerze zgłosili się na ochotnika i Pyskata pomyślała, że wyglądają jak banda głupków. Zły Tom do nich dołączył, gdy tylko się zjawił.

„Puste” wozy okazały się załadowane łupami z południowej Tracji. Kilku bardzo czerwonych łuczników i zbrojnych patrzyło na swój dobytek wyrzucany na mokrą kamienną drogę.

Kapitan wrzał z wściekłości.

- Byłoby idealnie, gdyby nas teraz zaatakowali - warknął. - Rozdarli na kawałki, ponieważ mamy za dużo łupów. Zabierać to, panowie. Albo wyrzucić do rowu. - Zasalutował ser Michaelowi.

- I jak, panowie? Czas ucieka. - Ser Michael mówił nie jak miły młodzieniec, którego wszyscy znali, ale jak syn wielkiego pana. - Zmówię modlitwę za powodzenie kapitana. Kiedy skończę, poproszę Mag, żeby podpaliła wszystko, co zostanie na trakcie. Zrozumiano?

Mag się uśmiechnęła.

Pyskata wybuchła śmiechem. Dziesięć minut później, znów jadąc, spojrzała na mądrą kobietę.

- Spaliłabyś to? - zapytała.

Mag się zaśmiała.

- Z przyjemnością - odparła.

Pyskata zaklęła.

- Mówi jak kapitan - zauważyła, wskazując ser Michaela.

Mag znowu się zaśmiała.

- Miał najlepszego nauczyciela.

\*\*\*

Kapitan zabrał swoje kopie dowodzenia, Atcourta, Foliaka, de Beause'a i Laternuma, a także nowych oksytańskich żołnierzy, Danvela Lauvala i Bertrana Stofala. Z kopią Arnauda, ser Gawina i swoją miał potężną siłę. Wiosenne słońce połyskiwało na ich czerwieni i złocie, gdy jechali drogą w kierunku Dziury. Hrabia Zak prowadził, ruda lisia kita jego osobistej chorągwi lśniła w słońcu. Pół tuzina stepowych jeźdźców jechało tyralierą w lesie po obu stronach drogi.

Kompanijni łucznicy otaczali wóz. Wszyscy byli weteranami i Osiełek, łucznik kapitana, był ich starszym. Jechał na pięknym stepowym koniu i strzelał wzrokiem we wszystkie strony. Łucznicy trzymali napięte łuki. Ricard Lanthorn, choć w siodle, miał strzałę założoną na cięciwę łuku bojowego.

Paziowie zamykali tyły. W sztabie kapitana nawet paziowie mieli łuki i lekkie zbroje, i też byli przygotowani na każdą ewentualność. Ostrożność kapitana okazała się zaraźliwa.

Wiosenny dzień był przyjemny. Słońce płonęło wysoko na niebie, a świat i lasy wydawały się spokojne. Drozdy śpiewały w koronach buków, które ocieniały Królewski Trakt. Dzięcioł kuł pień, szukając wczesnych robaków na wysokim martwym drzewie. Kilka owadów



brzęczało wzdłuż kolumny. Było na tyle chłodno, że przeszywanica wraz z kilkoma funtami kolczugi i zbroi wydawała się całkiem przyjemna. Wyjechali na polanę i ujrzeni piętrzące się na północy Adnatumie - niskie wzgórza na pierwszym planie, a za nimi ostrzejsze sylwetki urwistych szczytów okrytych czapami śniegu, pociętych ciemnymi liniami dalekich strumieni.

Kapitan jechał z wyostrzonymi zmysłami.

Brat spojrzał na niego.

- Śpisz? - zapytał z uśmiechem.

Gabriel wzruszył ramionami.

- Coś nie daje mi spokoju.

- Poza tym, że jedziemy w zasadzkę?

- Ten stwór... cokolwiek, u licha, to było... Szkoda, że nie miałem trupa. Ale nie pochodzi stąd. - Przez chwilę szukał słów. - I kiedy myślę o tym, co powiedział mistrz Smith... zastanawiam się, co to oznacza.

Gawin obrzucił go spojrzeniem, które sugerowało, że jego zdaniem wypatrywanie zasadzki jest o wiele bardziej pomocne.

- Muszę... mniejsza z tym. Przez kilka minut nie będę zbyt rozmowny - Gabriel wzruszył ramionami, na chwilę unosząc ciężar zbroi z bioder.

- Mamy zmienić konie? - zapytał Gawin.

Gabriel się rozejrzył.

- Jeszcze nie. Chcę, żeby mój rumak był świeży.

Otaczali go doskonali rycerze, którzy uśmiercili wiele potężnych stworów.

*Zwrócił się do wewnątrz i wszedł do swojego pałacu. Wszystko zastał w takim stanie jak podczas poprzedniej wizyty. Ukłonił się Prudencji, która odpowiedziała uśmiechem.*

- *Czuwaj za mnie, Pru - poprosił. - Muszę tam pójść.*

*Obróciła kościaną głowę i zerknęła na drzwi.*

- *Twoja sprawa - odrzekła. - Powinno być dość bezpiecznie.*

*Bardzo ostrożnie, jak człowiek podchodzący do śpiącego tygrysa, Gabriel zbliżył się do czerwonych drzwi. Z głębokim oddechem, który w eterealu w zasadzie nie miał żadnego znaczenia, położył rękę na klamce i otworzył*

drzwi.

Natychmiast zrozumiał, że jest w pałacu pamięci Harmodiusza. Nic jednak nie było tu świeże i czyste z wyjątkiem złotych drzwi za jego plecami i lustra, którego używał Harmodiusz. Był to wewnętrzny przedmiot, który pozwalał użytkownikowi „widzieć” każde dzieło magiczne rzucone na jego osobę. Harmodiusz zbyt dużo czasu spędził uwięziony w sztucznej rzeczywistości innej osoby, żeby pozwolić ponownie tak się podejść. Gabriel był lekko zaskoczony, że starzec nie zabrał zwierciadła ze sobą, ale zaraz potem uśmiechnął się na tę myśl - przecież to artefakt istniejący w pamięci starego maga.

Porzucony pałac rozciągał się od środka szachownicy i wolno stojącego lustra w zapyloną dal, przywodząc na myśl nieczęsto używany letni dom. Gabriel ostrożnie przemierzył parkiet, po czym z jeszcze większą ostrożnością zaczął przeglądać wspomnienia starego.

Panował mrok i wszystko widział niewyraźnie. Rzadko się bał w swoim pałacu pamięci; gdyby tak było, miałby poważny problem z rzucaniem czarów podczas walki, a dzięki nieistnieniu czasu w pałacu zawsze mógł się uspokoić i pracować dokładnie. Tutaj, w tym cienistym królestwie umysłu innego człowieka, jego strach niemal graniczył z paniką. Nie miał pojęcia, jakie zasady kierowały jego wędrówką przez umysł albo wspomnienia Harmodiusza. Wiedział tylko tyle, że skoro ten człowiek prawie przez rok zajmował jego głowę, czerwone drzwi muszą prowadzić właśnie tutaj. Harmodiusz dość często zaglądał do swojego pałacu pamięci, ale Gabriel był tu po raz trzeci czy czwarty i po raz pierwszy pałac był pusty.

I oczywiście mroczny, skoro odeszło światło przewodnie jego istoty.

- Wezwanie - powiedział głośno.

Zrobiło się jaśniej. Patrzył, jak kosmyki jakiegoś wspomnienia snują się po podłodze, jak rozmyty obraz z pomazanej miodem latarni czarnoksiężskiej. Wspomnienie było interesujące. Harmodiusz siedział z królową Dezyderatą w pokoju i rzucał czary. Ona dostarczyła ops.

Gabriel obserwował wezwanie. Ponieważ wymagało utworzenia formy; wspomnienie było bardzo wyraźne i mógł śledzić jego cienie w komnacie umysłu Harmodiusza.

Ale to doświadczenie zaczęło na niego oddziaływać. Nie mógłby tego nazwać i opisać, ale czuł, jakby... jakby stał się Harmodiuszem, jakby już nie

był Gabrielem. I było to niemal fizycznie bolesne, jakby śnił, że toczy go trąd, albo patrzył, jak ktoś dostał mocnego kopniaka w krocze.

Światła przybyło.

Ruszył w kierunku złotych drzwi. Wydawało się, że teraz są trochę dalej.

Światło coraz bardziej jaśniało.

Gabriel ruszył zdecydowanym krokiem. Przebiegł po płytkach obok zwierciadła. Ku jego ogromnej uldze drzwi nie uciekły przed nim i chwycił złotą klamkę. Otworzył je i zobaczył Prudencję stojącą po drugiej stronie z wyciągniętą do niego ręką. Rzucił się przez próg.

Stał w swoim pałacu i głęboko oddychał. Czuł słońce spływające z kopuły niczym złoty ogień, a na zewnątrz zielonych drzwi wielkie fale zielonej potentia toczyły się i wrzały jak morze w czasie sztormu.

- Coś nadchodzi - przestrzegła Prudencja.

Gabriel poklepał jej rękę z kości sioniowej.

- Było tam coś złego? - zapytała.

- Cokolwiek to było, tęskni za swoim panem - odparł. - Chyba więcej nie dam rady się z tym zmierzyć.

Wynurzył się w prawdziwym świecie i powiódł wzrokiem dokoła. Wciąż był jasny wiosenny dzień. Wiewiórki biegały po gałęziach zwisających nad drogą.

- Mieć się na baczności! - ryknął.

\*\*\*

Po krzyku kapitana wszyscy czujnie się rozejrzeli. Przez pięćdziesiąt kroków jedynymi dźwiękami było podzwanianie podków o kamienie, daleki werbel dzięcioła, grzechot zbroi i poskrzypywanie uprzęży.

Kapitan pchnął jak najdalej swój zmysł eterealny. Był zaskoczony, jak daleko sięga. Niczego nie wysyłał - zrobienie czegoś takiego byłoby równoznaczne z rozgłoszeniem obecności aż po wioski Huranów. Biernie nasłuchiwał. Wykrył silną osobowość spory kawałek na zachodzie. Druga, w tym samym kierunku, nieco bardziej na północ, prawie na pewno była jego matką.

Smok był niewyraźnym ciepłem nad eterealną linią horyzontu, która nie miała prawie nic wspólnego z tą rzeczywistością. Nigdy wcześniej nie przyszło mu na myśl, żeby spytać, dlaczego odległości i

horyzonty są inne w eterealu, ale w tej chwili przyszło mu na myśl, jak może ukryć swoją obecność - jeśli zdoła sporządzić mapę gradientów mocy.

Rozproszenie uwagi jest w hermetyzmie jedną z przyczyn najpoważniejszych porażek. Pracował nad mapą w pałacu pamięci, kiedy zrozumiał, że jego koń się zatrzymał.

Ser Gawin obrzucił go spojrzeniem, które pamiętał z dzieciństwa.

- Nic nam po tobie, mój przepotęźny bracie - powiedział. - Śpisz?

Gabriel rozejrzał się zdezorientowany. Wóz stał przed domem gospodyni. Starsza dziewczyna okręciła się na ganku i właśnie wbiegała do środka, nawołując matkę. Łucznicy łypali za nią pożądlawie, bo miała na sobie tylko koszulę.

Francis Atcourt też się gapił. Gabriel uniósł brew, elegancki rycerz zrobił to samo i wyszczerzył zęby.

- Nie spodziewałem się zobaczyć czegoś takiego w lesie... ładna dziewczyna - powiedział.

Chris Foliak, zwykle wspólnik w jego niecznych sprawkach, chrząknął.

- I jedzie z nami - dodał.

- Mamy ją chronić przed potworami - rzekł powoli ser Gabriel, akcentując ostatnie słowo. - Nie stawajcie się nimi, panowie.

- Przecież bym jej nie skrzywdził! - zaoponował Foliak, szczerząc zęby w uśmiechu. Kiedy napotkał wzrok kapitana, jego uśmiech zgasł. - Tylko żartujemy, panie.

Gabriel znów sięgnął. Coś tam było...

Ojciec Arnaud wyszedł z gospodynią.

- Skąd możecie być pewni, że to mój mąż? - zapytała z ganku.

- Nie możemy. Ale po zobaczeniu znaków kapitan uważa, że będzie wam lepiej w murach Albinkirku. - Ojciec Arnaud spojrzał na ser Gabriela.

- Czy mam ci go opisać? Starszy wiekiem, niezbyt wysoki...

Ojciec Arnaud pokiwał głową.

- Ale jeśli to jakaś pomyłka, a ja się spakuję i odjadę? - zapytała. - A on wróci, szukając dzieci i kolacji?

- Mamo - odezwała się starsza dziewczyna. Miała niski głos i

była odziana tylko w koszulę. - Mamo, ci panowie uważają, że tutaj jest coś sprzecznego z naturą. Chcą odjechać. Nie zostaną. Jeśli chcemy być z nimi, musimy się pośpieszyć.

Gospodyni się rozejrzała.

- To mój dom - rzekła cicho.

- I mam nadzieję, że za miesiąc będziecie mogli tu wrócić - powiedział Gabriel. - Ale w tej chwili, pani, proszę, żebyś wraz z najstarszymi dziećmi zapakowała na wóz wszystko, co możesz.

Gospodyni załamywała ręce przez czas, w jakim dziecko liczy do dziesięciu.

- Tak - mruknęła. - Ale jeśli to nie mój stary?

- Zostawimy list - zaproponował ser Gabriel.

- Nie umie czytać. Zabierzcie dzieci, a ja zostanę.

- Wolałbym, żebyś też pojechała, pani.

Weszła do domu z najstarszym synem i córką. Kiedy dziewczyna wyszła z pierwszym naręczem rzeczy, była już ubrana w suknię i w pelerynę z porządnej wełny, co świadczyło, że ma trochę rozsądku albo dobry słuch.

Chłopcy załadowali na wóz drewniane skrzynie i kufry i zanim słońce się opuściło o szerokość palca, dzieci - cała dwunastka - siedziały na bagażach.

- Na Świętego Eustachiusza - mruknęła kobieta. - Szczęście, że prawieśmy się nie rozpakowali. Szkoda by mi było zostawiać mój dobry kołowrotek. Jest tutaj. I koszyki. Grzeczny chłopak.

- W takim razie jedziesz? - zapytał kapitan.

Spuściła wzrok.

- Dzieci mnie potrzebują. Ksiądz powiada... powiada... - Zwiesiła głowę.

Ojciec Arnaud wyglądał na zranionego.

- Konie bojowe! - krzyknął kapitan. - Trzy ligi drogi i trzy godziny dobrego światła. Ruszajmy.

Kum pokręcił głową. Wyjął z kołczana ciężką strzałę zdolną powalić konia i zatknął ją za pas. Wymienił długie spojrzenie z kłapouchym Osiełkiem, swoim najlepszym kompanem.

- Psiamać - mruknął.

\*\*\*

Kapitan jechał z pochyloną głową, skoncentrowany. Był prawie pewien, że wychwycił, jak ktoś albo coś wychodzi z kryjówki - moc hermetyczna próbująca się ukryć.

Wojownicy hrabiego Zaka jeździli w tę i z powrotem na skraju lasu, mijając jedni drugich jak grupa kosiarzy po łące. Mieli strzały na łukach i raz, kiedy jeleni wyskoczył z kryjówki, wszyscy strzelili, zanim zidentyfikowali zagrożenie, a raczej jego brak. Jeleń został oprawiony na miejscu, po czym powieszony między dwoma końmi.

- To przyciągnie wszystko, czego już nie przyciągnęliśmy - mruknął Gawin. Podrapał się po naramienniku i wsunął pod niego rękę.

Kapitan spojrział na gałęzie i zobaczył skraj skrzydła - błysk szpona.

- Wiwern! - krzyknął.

W okamgnieniu dobyto broni. Wszyscy wyteżali wzrok, patrząc w niebo.

Czerwony Rycerz cofnął konia o kilka kroków.

- Chyba chciał, żebyśmy go zauważyli. Wciąż jesteśmy w kręgu Smoka. Ktoś jest albo bezczelny, albo obłąkany.

Gawin ściągnął brwi.

- Albo próbuje sprowokować naszego przyjaciela do odkrycia kart. - Głos miał stłumiony przez psi pysk basinetu.

~ Ruszać! - rozkazał kapitan. - Miejcie oczy na las. Tylko ci na drodze niech obserwują niebo. Jazda. Nie zostawajmy tu do zmroku!

- Czy Alkajos nie wpadł tutaj w pułapkę? - zapytał Gawin.

- Dalej na wschód, cztery godziny jazdy od Albinkirku - odparł ser Gabriel. - Bodaj to...

- Bodaj?

- Coś migocze. Tam coś jest, stara się ukryć, ale używa mocy. Niewiele. To musi być jakaś osłona. - Ściągnął brwi.

Ser Gawin stanął w strzemionach, żeby się rozejrzeć.

Ser Gabriel pchnął rumaka do przodu.

- Szybciej!

Konie zaprzęgowe ruszyły galopem i teraz wóz podskakiwał na

starożytnej kamiennej drodze. Konie przyśpieszały.

- Ptaki umilkły! - krzyknął ser Gabriel. - Uwaga!

Po prawej stronie jeden z ludzi hrabiego Zaka przyciągnął cięciwę do policzka, wygiął się w lekkim siodle, stanął w strzemionach i strzelił. Strzelił w dół, jakby w ziemię, i jego koń odskoczył.

Coś szybkiego jak królik, ale dziesięć razy większego uderzyło w wierzchowca łuczника.

Wypuścił drugą strzałę, z bliska, w grzbiet stworzenia.

Klacz się potknęła i uderzyła w nią cztery kolejne stworzenia, wydzierając kawałki mięsa z zadu. Zakwiczała, poszarpane mięśnie nie pozwoliły jej ani wierzgnąć, ani choćby utrzymać się na nogach. Jeździec zdążył wybić się z siodła, wyciągając szablę, i zmarł gwałtowną śmiercią, rozdarty na strzępy przez całą falę stworzeń - dziesięć albo więcej, szybkich jak charty i dziesięć razy bardziej zażartych.

Inni łucznicy Zaka już szyli w nie strzałami.

- Trzymać się! - krzyknął kapitan. - Do mnie! - zawołał do rycerzy. - Giermkowie... szarża!

Tom poprowadził giermków do ataku na resztę stada. Konie bojowe różniły się od wierzchowców i zabijały stworzenia, czymkolwiek one były, wielkimi podkutymi stałą kopytami. Kości pękały i ich odłamki latały w powietrzu.

Przeraźliwe upiorne wrzaski poniosły się nad drogą i odbiły echem od dalekich drzew.

Kum i wszyscy łucznicy zgromadzili się wokół wozu. Młody paź Francisa Atcourta, Bobby, trzymał konie wszystkich łuczników i miał taką minę, jakby zbierało mu się na płacz.

Wierzchowce się spłoszyły i wyrwały wodze z jego rąk.

- Wiwern! - wrzasnął Kum.

Co gorsza, były dwa wiwerny, a może nawet trzy. Jeden chwycił w szpony konia - umiłowanego zapasowego kuca hrabiego Zaka - potężnie machnął skrzydłami o rozpiętości sześćdziesięciu stóp i zniknął.

Drugi runął na wóz. Dostał ciężką strzałę Kuma w kark, ale przednim szponem rozdarł małego chłopca na dwoje i jego krew

trysnęła na rodzeństwo. Ricard Lanthorn wbił ostry jak igła sztylet głęboko w lewe udo stwora, a strzała Osiełka, wypuszczona z odległości dwunastu stóp, weszła wysoko w kręty kark tuż poniżej czaszki.

Wóz przemienił się w organy wygrywające nieharmonijną melodię przerażenia. Konie zaprzęgowe popędziły drogą.

Wiwern się wzdrygnął i zwrócił ku łucznikom.

Ciężka kopia ojca Arnauda uderzyła pod masywne, opatrzone szponami lewe ramię i wbiła się niemal po osłonę ręki. Wielki stwór zadarł łeb trafiony jeszcze dwiema strzałami. Chris Foliak nadział go na kopię jak na rożen.

Ser Francis Atcourt zadał kopią *coup de grace*, uderzając w głowę, gdy już opadała. Ślepią się zamgliły, stwór runął na ziemię.

Łucznicy krzyknęli radośnie.

Atcourt uniósł zasłonę hełmu.

- Dobra - powiedział do ojca Arnauda. - Ja...

Kula błękitno-białego ognia uderzyła w księdza, zerwała go z siodła i rzuciła na ziemię.

Atcourt opuścił zasłonę.

Ser Gawin podjechał galopem.

- Chronić dzieci! - ryknął.

Pierwszy wiwern latał w pobliżu, muskając skrzydłem czuby drzew nad jadącym wozem.

Kapitan stanął w strzemionach i wskazał pięścią w rękawicy. Promień czerwonego światła lotem strzały pomknął w las i przez chwilę widać było czerwony zarys jakiejś sylwetki.

- Psiamać - mruknął kapitan.

Jego magiczny atak i kontratak były prawie jednocześnie. Tuż przed nim nastąpił wybuch światła. Koń się spłoszył - i uspokoił.

Kapitan go cofnął. Miał znacznie więcej sztuczek niż w czasie, kiedy ostatni raz prowadził taki pojedynek, i rzucał czary jeden po drugim.

Strzał łuku dalej sylwetka przeciwnika rysowała się na tle listowia. Był to demon, oświetlony od dołu przez rzucony na ziemię prosty czar światła chroniący go przed atakiem. Drzewo obok niego



ekspłodowało, dębowe drzazgi ostre jak włócznie poszybowały w powietrzu.

Adwersarz uderzył kulą białego ognia i zaraz potem następną. Kapitan przyjął obie na tarcze i w konsekwencji obydwie stracił.

- *Fiat lux* - powiedział głośno i wypuścił własną błyskawicę.

Adwersarz zniknął, przeskakując przez rzeczywistość.

\*\*\*

Drugi wiwern zniżał się nad drogę, zmniejszając wysokość i zwiększając prędkość, wyliczając jedno i drugie z łatwością zrodzoną przez długie doświadczenie drapieżnego życia. Przeleciał tuż nad ostatnimi zwisającymi konarami drzewa, przed długim na pół strzału z łuku nieosłoniętym pasem po obu stronach drogi biegnącej groblą przez bagna. Porwał z wozu kolejne dziecko, szponem odciął głowę jednej z córek i z bokiem rozoranym kosą przez najstarszą dziewczynę ostro skręcił, przemknął nisko nad trzcinami i żerem, po czym płynnie wzniósł się nad drzewa po północnej stronie drogi. Spłoszone konie ściągnęły wóz z grobli i natychmiast ugrzęzły w bagnie. Kwiczały ze strachu, gdy przepływała nad nimi fala grozy wysłana przez wiwerna.

Ser Gawin i młody Angelo di Lanternum podjechali cwałem. Ich rumaki były już zmęczone.

Wiwern pożarł swoją ofiarę - wyrzucił dziecko w powietrze, kłapnął zębami i z jego paszczy wytrysnął gejzer krwi widoczny na dwieście jardów. Strzała wystrzelona przez Kuma z końca grobli spadła daleko od celu.

- Pod wóz! - krzyknął Gawin do gospodyni i jej dzieci. - Do wody. Pod wóz!

Gospodyni go usłyszała, a może sama wpadła na ten pomysł. Chwytając najmłodsze dziecko, wskoczyła do lodowatej wody, która na szczęście sięgała tylko do ud.

- Z konia - warknął Gawin do młodego etruskiego zbrojnego.

Obaj zeskoczyli ciężko na ziemię i wyciągnęli topory z tulei przy siodłach. Angelo miał topór o pięknym ostrzu, osadzony na długim trzonku. Ser Gawin miał młot bojowy - zwodniczo mały jednolity kawałek stali.

Osiełek i Flarch popędzili po grobli jak biegacze w wyścigu. Flarch - jeden z najprzystojniejszych mężczyzn w kompanii - ani na chwilę nie odrywał oczu od skręcającego wiwerna.

Kum wypuścił kolejną lekką strzałę i trafił stwora, który leciał zbyt nisko i wolno, żeby manewrować.

- Strzeż się! - krzyknął. Wypatrzył kolejnego wiwerna nadlatującego od zachodzącego słońca wzdłuż drogi. Były ich teraz cztery.

\*\*\*

Szarża giermków przekroczyła ich najśmielsze oczekiwania.

Demony zbyt szybko wyskoczyły z zasadzki. Za pierwszymi stworzeniami nadciągnęło trzech wojowników, ale tak blisko, że gdy tylko giermkowie stratowali impy - tak Toby nazwał zębate stwory, które zaatakowały klacz - wpadli na pierwszego z adwersarzy. Dziobate stworzenia były równie zszokowane jak oni, ale Toby okazał się szybszy i zadał cios toporem w garb na czole, odcinając część nabiegłego krwią grzebienia. Krew, czerwona, niemal zbyt czerwona, bluznęła jakby pod wielkim ciśnieniem.

Czystym trafem tuż za Tobym jechał Adrian Złotnik i jego kopia trafiła ogłuszonego demona prosto w pysk, wydarła bruzdę w jeźorze i przecięła kręgosłup. Pękła pod siłą szarży.

Marcus, niegdyś paż ser Jehana, starszy mężczyzna nie najlepiej władający kopią, chybił i zginął, gdy topór o kamiennej głowicy opadł na jego hełm i zdarł go z siodła. Koń, zmuszony skrócić, uderzył podkutymi przednimi kopytami w zabójcę swojego pana. Ciosy nie były śmiertelne, ale cofnęły demona o jard. Wielki jaszczur stracił równowagę i przewrócił się na martwego krewniaka. Więcej nie wstał, gdyż Toby zawrócił swojego konia, który dokończył dzieła. Giermek jakoś przetrwał wybuch złości i strachu rumaka.

Trzeci demoniczny wojownik umknął, potężnie umięśnione nogi niosły go przez krzaki z szybkością konia bojowego. Uciekał, ratując życie.

Do sojuszników.

\*\*\*

Gabriel Murien zwinnie i szybko zsiadł z konia, wysuwając stopy

z dużych żelaznych strzemion, przerzucając lewą nogę nad wysokim siodłem bojowym i przyciskając napierśnik do wyściętanego siedziska, gdy zsuwał się na ziemię.

Nell, niezdolna racjonalnie myśleć z przerażenia, a jednak w gotowości, chwyciła wodze wielkiego rumaka. Właśnie widziała z bliska więcej mocy niż kiedykolwiek w życiu - sześć wymian błyskawic i ognia, wirujące tarcze czystej *ops* i miecz światła.

Bez słowa podała gizarmę swojemu panu i Gabriel ruszył w las. Nell pomyślała, że wygląda jak drapieżnik podkradający się do zwierzyny.

Gabriel poświęcił jedną myśl walkom toczącym się dalej na drodze. Obrócił całe opancerzone ciało, żeby spojrzeć za siebie, ale nie unióśł zasłony hemu. Potem grot ciężkiej włóczni i dziób przyłbicy zwróciły się na powrót ku głębokim lasom.

Nell poprowadziła rumaka w dół drogi w kierunku łuczników. Giermkowie walczyli w lasach na północy. Wszyscy łucznicy podążyli za wozem, a paziowie za hrabim Zakiem.

Nell była zupełnie sama. Coś się poruszało w lesie na południe od drogi.

Po chwili lęku przed obrazą majestatu wskoczyła na siodło bojowe Ataelusa. Rosły rumak ją znał i tolerował, nawet ustawił się tak, żeby ułatwić jej zadanie. Konie ją lubiły.

Przesunęła ciężar ciała, żeby ruszył kłusem.

Stwór - inaczej nie umiała tego nazwać - wypadł z krzaków na lewo od niej, ale miała chwilę ostrzeżenia i Ataelus też był gotowy. Przysiadł na zadzie i dwoma uderzeniami przednich kopyt wyrzucił go w powietrze. Martwe stworzenie upadło jak worek pełen surowego mięsa i zębów.

- Dobry konik. Grzeczny konik. - Nell uspokajała rumaka, starając się okazywać jak najmniej strachu.

Ataelus drżał i ona drżała razem z nim. Kilka jardów dalej lord Wimark siał nad leżącym księdzem, a jeszcze dalej dwóch rycerzy spięło konie i popędziło w ich kierunku.

Jasność wybuchła za jej plecami. Przez chwilę na drzewach na południe od drogi widziała cień swój i Ataelusa, czarny jak smoła.

Białe plamki zatańczyły jej przed oczami, chociaż oślepiająca biel ledwie musnęła skraje pola widzenia.

Wzdrygnęła się i mimo woli odwróciła głowę.

Pięćdziesiąt jardów dalej kapitan stał między dwoma wielkimi drzewami. Pięć kroków od niego piętrzył się demon, wyższy niż koń bojowy. Miał wyprężony czerwony czub, szarozieloną skórę jarzącą się od mocy, dziób pokryty wspaniałą mozaiką inkrustacji ze złota i srebra, brązu i kości. Okrywała go luźna peleryna, która skrzyła się ogniem - i wyglądała na podartą.

W jego ramieniu tkwiła duża drzazga, po której ściekała czerwona krew.

Miał topór z brązu i lapis-lazuli. Wskazał drzewcem Czerwonego Rycerza i w powietrzu przemknęła kropla surowej mocy, nieukształtowanej *ops*.

Czerwony Rycerz przyjmował postawę, jakby miał przed sobą bardziej prozaicznego przeciwnika. Trzymał włócznię w gardzie *dente di cinghiare*, skosem od prawego boku, z grotem skierowanym w dół. Uniósł ją i Nell miała wrażenie, że pochwycił bryzg mocy i odrzucił go w bok. Kapitan ruszył i znów zastygł w postawie.

Demon cisnął następną kulą mocy, podobną do poprzedniej, tylko tym razem zabarwioną na zielono.

Kapitan nie ustąpił pola. Wysoko przejął atak i pchnął kulę w dół, gdzie wybuchła w fontannie spalonych liści i zamarznętej ziemi.

Ogromny topór demona zatoczył krąg i osłoniła go duża zielona tarcza w kształcie serca, wyrysowana w powietrzu przez brązowy trzonek.

Kapitan zrobił kolejny krok i gdy trzy wysłane jedna za drugą sfery zielono-białego ognia oderwały się od trzonka topora, włócznia zakreśliła półkole i jarzący się wspaniałym błękitem grot musnął wszystkie trzy pociski w jednym zamachu i odrzucił je w las. Jedna wyrwała kawał drewna wielkości głowy z pnia sędziwego dębu, druga przeleciała przez cały zagajnik, przemknęła nad drogą kilka stóp od Nell i wybuchła w gąszczu, a trzecia zniknęła na niebie.

Nell patrzyła, jak kapitan robi ostatni krok, przechodząc do walki wręcz. Włócznia bez trudu przebiła rozżarzoną tarczę, która zniknęła

ze zgrzytem żelaznej bramy wyrwanej z zawiasów. Nie mając innego wyboru, wielki jaszczur sparował cios brązowym trzonkiem topora.

Gizarma przecięła trzonek jak zimny nóż wodę. Niewiarygodna ilość zgromadzonej *ops* wybuchła w nieeterealnej rzeczywistości.

Zdawało się, że demona pochłonęła burza mocy. Omyła kapitana tak, jak morze omywa dziób statku, i gdy demoniczny szaman osuwał się na ziemię, kapitan go subsumował. Wielkie stworzenie zaczęło znikać od głowy w dół, jego esencja się rozpuściła, a cielesna powłoka rozsypała, gdy żar jego własnej mocy zagotował i rozerwał skórę.

Nell zwymiotowała.

Pobliski dąb, już nadwątlony przez wybuch czarodziejskich mocy, jęknął jak gdyby z rozpaczą. Drzewo runęło.

\*\*\*

Toby patrzył, jak ostatni wojownik-demon ucieka. Widział dość potyczek, żeby poznać zdrowy strach - a jeśli *adversarius* ma tutaj gromadę kamratów? Ściągnął wodze.

- Trzymać się! - krzyknął.

Adrian wciąż próbował wyjąć miecz, który w zamęcie bitwy przesunął się za daleko do tyłu, prawie poza zasięg.

- Marcus nie żyje - zameldował. - Ojciec Arnaud wciąż leży na drodze. Lord Wimark nad nim stoi.

Toby zawrócił konia, sięgnął za plecy przyjaciela i wyciągnął miecz. Włożył mu go w rękę. Goldsmitha. Rzemieślnik trzął się niczym buk na wietrze.

- Udało się, Adrianie - powiedział Toby. - Zadałeś nadzwyczajny cios.

Adrian uśmiechnął się krzywo.

- Prawda? Chryste... wszyscy święci. Dzięki.

Błysnęło światło tak jasne, że obaj giermkowie na chwilę stracili wzrok.

- Kapitan coś robi - powiedział Toby, obracając konia w stronę pustego lasu.

Adrian spuścił wzrok.

- Demony, Toby.

- Wiem! - Starszy chłopak się rozejrzał. Nie miał pojęcia, co

powinien zrobić. Na wschodzie kapitan toczył jakiś czarodziejski pojedynek i moc pomykała tak szybko, że nie nadążał wzrokiem.

Na północy rozbłysła czerwień, zaraz potem zajaśniał drugi błysk.

- Więcej demonów? - jęknął Adrian. Głos miał wysoki i dziki, ale miecz trzymał dość pewnie.

- Wracamy na drogę - zdecydował loby.

- A co z Marcusem?

- On nie żyje, my żyjemy. Wrócimy po niego.

Cofał konia, aż znalazł się daleko od krzaków, i wtedy go obrócił. Adrian brał z niego przykład.

Doszło do eksplozji na północy, niedaleko. Była tak potężna, że huragan żwiru, gałązek i zbutwiałych liści runął na obu chłopaków i konie, które ruszyły z kopyta.

Obaj utrzymali się w siodłach. W kompanii przykładano dużą wagę do umiejętności jeździeckich i prawie przez rok trenowali pod kierunkiem wardariotów, stepowych nomadów.

Koń Toby'ego wpadł na drogę kilka końskich długości za Nell, która siedziała na Ataelusie i była biała jak papier. Ogier prawie stanął dęba, ale zaraz zarżał, gdy rozpoznał znajome konie. Oba zwolniły, widząc spokojnego przywódcę. Pomiedzy przednimi kopytami wielkiego rumaka widniała makabryczna masa krwi i połamanych zębów.

- Tam jest - powiedział Toby.

Lord Wimark stał dziesięć końskich długości dalej, z włócznią nad leżącym ojcem Arnaudem. Krew ściekała z żeleźca. Obserwował teren na południe od drogi. Francis Atcourt właśnie zsiadał. Phillipe de Beause wciąż siedział w siodle, omiatając wzrokiem niebo. Słońce zachodziło w szkarłatnym splendorze. W odległości dwustu kroków widać było grupę łuczników, którzy napinali łuki i zwalniali cięciwy tak szybko, jakby odpierali atak tysiąca moreańskich rycerzy. Osłaniał ich ser Danved z ser Bertranem. Obaj mieli zakrwawione miecze.

Coś przemknęło po niebie i zaciemniło słońce. Wydawało się, że cień nie ma końca. Toby z rozpaczą zadarł głowę...

\*\*\*

Wielki dąb runął. Grawitacja okazała się szybsza niż najszybsze

reakcje kapitana i silniejsza niż wszystkie demony Dziky. Czub korony rzucił go na ziemię. Pomyślał...

\*\*\*

Osiełek napiął cięciwę i puścił, stękając, gdy strzała skoczyła w powietrze. Nie poświęcając chwili na śledzenie jej lotu, wyjął następną, opuścił łuk i podniósł z już założoną strzałą.

Ostrą jak igła, do przeszywania kolczug.

Z szerokim grotem.

Obok niego Flarch poderwał łokieć, przyjmując przesadnie poprawną postawę łuczniczą - był chudy, a łuk miał ciężki i przy każdym pełnym naciągnięciu wyginał plecy jak tancerka.

Gdy zwolnił cięciwę, wyjął następną strzałę zza pasa.

- Dwie - syknął.

Chodziło mu o to, że zostały dwie strzały.

Oba wiwerny zawróciły w miejscu, nabierając wysokości i planując atak w taki sposób, żeby objął stanowisko desperackiej obrony rycerzy i łuczników. Chciały zniweczyć wysiłki tych drugich i podzielić uwagę rycerzy.

Drogo zapłaciły za swoją strategię. Wszyscy łucznicy trafili z tego zasięgu.

Gawin stał w postawie *coda longa* z młotem bojowym za prawym biodrem, przygotowany do zadania potężnego ciosu. Di Laternum trzymał przed sobą swój topór ze szpicem.

Wiwerny zakończyły zwrot i ich kręte szyje błysnęły jak jedna, gdy głowy zwróciły się w stronę potencjalnych ofiar. Oba jednocześnie wrzasnęły.

Wysłały połączone fale grozy. Di Lanternum upadł na kolano. Gawin poczuł lodowaty ból w ramieniu i jego umysł stał się pusty.

Flarchowi stał wymknęła się z palców.

Osiełek strzelił i chybił.

Mniejszy wiwern był wielkości małego statku, długi na czterdzieści stóp od głowy do końca ogona, z rozpiętością skrzydeł ponad sześćdziesięciu stóp. Podbrzusze miał dziwnie usiane lotkami tuzina ćwierćfuntowych strzał.

Jego towarzysz - jeśli tak można go nazwać - był większy. Skrzydła

stwora zasłaniały słońce i miał skórę białą jak stary marmur, nakrapianą zielenią i brązem. Jego fala grozy była znacznie subtelniejsza niż ta młodszego - obiecywała wolność przez poddanie się.

Dzieci pod wozem wrzasnęły.

Nagle szpon wielkości wozu chwycił większego z dwóch wiwernów i wyrwał skrzydło z żyjącego ciała.

Ciemność przysłoniła słońce. Zapadła noc.

Ogrom smoka wykraczał nad ludzkie pojęcie. Same szponiaste stopy były prawie wielkości wiwerna. Śmiertelnie ranny wiwern runął na ziemię z potężnym trzaskiem, skrzecząc z wściekłości i upokorzenia.

Młodszy potwór zawrócił wokół końca skrzydła. Był dość sprytny, żeby przelecieć pod kolosalnym adwersarzem, pędząc ku otwartemu niebu i wznosząc się na prądzie cieplnym. Smok poderwał się ku niebu tak blisko ziemi, że wiry spowodowane przez oddalone o tysiąc stóp końce skrzydeł poprzewracały ludzi.

Wiwern uciekał na północ. Prąd go niósł...

Ser Gawin z dziką satysfakcją patrzył na pościg. Smok, choć mogło się to wydawać niewiarygodne, był szybszy.

Wiwern podjął dwie próby i dzięki temu, że nabrał wysokości, obie były widoczne dla obserwatorów z dołu. Najpierw zanurkował, żeby zwiększyć prędkość, a potem poleciał nisko, skręcając pod ogromnego adwersarza.

Smok obrócił się w powietrzu. Znajdował się dość daleko, żeby widzieć całe ogromne cielsko od stóp do głów, długie na strzał z łuku albo więcej, z szyją szeroką jak droga, ze szlachetną głową z nozdrzami wielkimi niczym jaskinie, z zębami wysokimi jak człowiek na koniu.

Wielka paszcza się otworzyła i wszyscy ludzie krzyknęli.

Zapadła cisza.

A potem piekło rozpętało się w lasach na północ od drogi.

\*\*\*

Kiedy pułapka się zatrzasnęła, pierwszą myślą hrabiego Zaka było okrążenie jej północnego ramienia. Miał to we krwi, nie podejmował



świadomej decyzji. Zebrał wszystkich ludzi na kucach, wszystkich paziów i swoich niedobitków, po czym poprowadził ich w głąb lasu na północ od drogi, zataczając szeroki łuk wokół miejsca, gdzie według niego zasadził się wróg.

Wschodni wojownicy znali wielkich opiekunów. Szybkie jak błyskawica, podobne do psów stworzenia stanowiły dla Zaka koszmarną niespodziankę, ale teraz je widział.

Wardarioci, doświadczeni myśliwi, rozpostarli się w czasie jazdy, zarzucając jak najszerszą sieć. Paziowie mieli tendencję do zbijania się w grupy. Zak ich zignorował jako amatorów.

Jego chłopcy i dziewczęta kłusowali, a gdy płynnie skręcili na południe, uniósł rękę i wszyscy się zatrzymali.

Wyciągnęli szable i ułożyli klingi na prawych rękach w taki sposób, że łagodnie wygięty tylec spoczywał w zgięciu łokcia.

W swoim języku Zak zawołał:

- Gotujcie się, moje dzieci. Bądźcie jak wiatr!

Paziowie podążyli z wrzaskiem za nimi.

Zak był pewien, gdzie są i w jakim jadą szyku. Galopował z powrotem na południe, rozciągnięty szereg błyskał czerwienią za jego plecami.

Jak się spodziewał, wrogowie o nim zapomnieli. Przegrupowali się, żeby skupić atak na innym celu, i może nawet nie zauważyli jego manewru. Świadomość, że jest ich tak wielu, znacznie zmniejszyła jego satysfakcję. Dwudziestu demonów nie da się zmieścić w jednej szarzy.

Miał dwa spokojne uderzenia serca, żeby ogarnąć wzrokiem sytuację. Trzech wielkich opiekunów szamotało się w konarach powalonego drzewa. Kolejny wzniosł kamienny topór i uderzył... W co? W drzewo?

Hrabia Zak dostrzegł mignięcie czerwono-złotego tabardu. Może rzeczywiście miał dobrego ducha, który mu doradzał. Może wyostrzony instynkt wojenny pozwolił mu odgadnąć prawdę.

- Przez nich! - krzyknął. Wypuścił pierwszą strzałę, pochylił się nad końską grzywą i zaczął zabijać.

\*\*\*

Gabriel leżał uwięziony w ciężkiej zbroi, przyciśnięty do ziemi przez dębową gałąź, która spadła w poprzek tułowia, zmiażdżyła nagolennik i złamała nogę.

Próbował użyć *potentia*, żeby ruszyć drzewo. Ból nogi tak go dekoncentrował, że nawet nie udało mu się otworzyć przyłbicy, gdy nagle zjawił się demon. Jaszczur z ciężkim dostojeństwem przeskakiwał przez konary.

Gabriel patrzył, jak się zbliża. Wyciągnął prawą rękę po gizarmę. Leżała za daleko.

Próbował ją przyzwać. Nawet nie mógł wejść do swojego pałacu. Sięgnął do Prudencji i fala bólu rzuciła go z powrotem w krwawą rzeczywistość.

Kamienna siekiera uniosła się w powietrze. Widział rozdziawiony dziób demona, słyszał jego triumfalny wrzask.

Pomyślał o Amicji, o Irenie, o panu Smysie.

A potem, gdy podejmował ostatnią próbę, żeby złapać gizarmę, topór opadł.

Broń demona przemknęła obok jego głowy. Chybił.

Gabriel nie zrobił sobie przerwy na zastanawianie się nad przyczyną, chociaż był w pełni świadom, że powinien już nie żyć. Zacisnął prawą dłoń na rękojeści i wyciągnął puginał. Od razu poczuł się lepiej, ochłonał. Puginał zawierał moc...

Demon, blisko jak kochanka, pachnący spalonym mydłem, kwiatami i wiosennym sianem, zaklął. Nawet w obcym języku przekleństwo było oczywiste - wielki topór znowu się poderwał...

Gabriel *wskoczył do pałacu mocy. Przypadł do brązowej tarczy osadzonej w podłodze i pociągnął dźwignię. Ten prosty symbol zarządzał zestawem uprzednio przygotowanych czarów, każdy jeden wyzwalał kolejny.*

Złote, białe i zielone światło rozbłysło w szeregu sfer, jedna w drugiej, nad jego rozpostartym ciałem.

\*\*\*

Zak zobaczył fajerwerki i wyciągnął poprawny wniosek. Strzelił, gdy grot strzały niemal się stykał z demonem, obrócił się i strzelił jeszcze raz nad ramieniem, kiedy jego niezrównany kuc przeskoczył przez powalone drzewo, a potem zawrócił.

Opiekunowie uciekali. Jeden z nich leżał, jego stopy wybijały ostatni taniec. Zak stracił jednego ze swoich najlepszych wojowników, Lonoxa, który zapłacił życiem za zbytnią śmiałość, ale opiekunowie już mieli dość walki.

Kriax, kobieta o twarzy tak ogorzalej, że wydawała się skórzaną maską, ściągnęła wodze.

- Mamy ich! - krzyknęła i wrzasnęła z czystej radości.

Zak ściągnął usta.

- Gdybym to ja urządził tę zasadzkę... - powiedział i machnął ręką.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Oczy miała lekko szalone z niewyładowanej agresji.

- ...zadbałbym o osłonę - dokończył.

Wrócił na drogę, przerywając kontakt wzrokowy.

Zasalutowała szablą, lewą ręką wsuwając łuk do sahadaka na biodrze. Z jej ust popłynął dziwny modulowany wrzask.

Cała linia wardariotów skręciła jednocześnie niczym stado ptaków i odjechała, zostawiając uradowanych i przerażonych paziów, którzy po chwili pociągnęli za nimi. Zak ryknął do nich w swojej wersji moreańskiego.

Podjechał do drzewa. Nie miał wątpliwości, że pod kolorowymi tarczami spoczywa Megas Dukas. Leżał tam również kolejny strażnik, schludnie przecięty na pół przez czary, nie krwawiąc, gdyż ciało zostało przypalone. Trzeci był paskudnie ranny, przyciśnięty przez konary drzewa. Trochę piasku i złocony dziób sugerowały szczątki czwartego,

- Hej! Kapitanie! - krzyknął Zak. - Hej! Tu jesteśmy! - Podjechał bliżej drzewa.

W niesamowity sposób, jakby to było coś naprawdę złego ze stepów, głos wniknął prosto do jego głowy.

*Dla informacji, Zak. Kiedy opuszczę te osłony nic mi nie zostanie.*

Zakowi ani trochę nie podobał się głos w jego głowie.

- Możemy cię zostawić? Chcę się tylko upewnić. Nie mam, kurwa, pojęcia, co się stało na wschodzie.

*Pośpiesz się.*

\*\*\*

Ser Gawin w zasadzie nie brał udziału w walce, ale w jej następstwie został poddany ciężkiej próbie. Świadom - jak oni wszyscy - że kapitan jest wyłączony z walki, podobnie jak kapłan, musiał ogarnąć rozumem skalę bitwy, trzy różne miejsca na przestrzeni pół ligi, a potem odizolować i zabezpieczyć swoje trzy rozproszone oddziały.

Postanowił, że najpierw zadba o kapitana i księdza, nim zaczną się jakieś akty łaski czy ratunku. Polecił hrabiemu Zakowi zostać z powalonym kapitanem otoczonym przez eterealne tarcze. Ciało kapelana - martwego albo konającego - powierzył pieczy ser Francisa Atcourta i jego giermków, a wóz w bagnie i rodzinę młodemu di Laternumowi, który nagle został dowódcą. Słońce opadało, dzieci tonęły w błocie i nieznany wróg przemieszczał się w lasach na zachodzie. Kum podszedł do młodego zbrojnego i szepnął mu coś do ucha.

Ser Gawin żwawo jeździł drogą w gasnącym świetle. Gdy po raz drugi mijał giermków, przywołał Toby'ego i kazał mu zabrać wierzchowca, dosiąść rumaka i ruszyć po pomoc.

Toby zerknął za zachód, zachłysnął się i pokiwał głową.

Nie padło ani jedno pytanie. Wszyscy wiedzieli, że sytuacja jest bardzo poważna.

Ser Gawin wiedział, co zrobiłby jego brat. Bezpośrednie niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Nadszedł czas na kreślenie planów.

Gawin odliczał na palcach zamkniętej w rękawicy dłoni.

Najpierw zebrać wszystkich w jednym miejscu. Nic w sąsiedztwie drogi nie zapewniało szczególnej ochrony. Ale w jednym miejscu, z kilkoma ogniskami i jedną czy dwiema pułapkami, będą mieli szansę.

Konie. Trzeba przywiązać konie do palików. Nie mieli obroku, a wokół rozciągały się bagna.

Pojechał do di Laternuma, który pomógł wyjść gospodyni z wody i teraz sam brodził w błocie, dźwigając zwłoki dziecka. Drugie zniknęło. Kum kazał łucznikom założyć strzały na cięgiwy i zadbał o wyciągnięcie wozu na groble, co było niewiarygodnym wyczynem

inżynieryjnym, za który Bezgłowy otrzymał krótkie, pośpieszne podziękowania Gawina. Dwa konie z zaprzęgu stały się karmą dla kojotów, a druga para ledwie stała na nogach, ale żyła.

Gospodyni, mocna kobieta, która widziała wiele porażek, była nieutulona w żalu. Ser Gawin do niej podjechał, nie wiedząc, co począć. Klęczała na drodze przy zatrważająco małym tobołku, który kiedyś był jej drugą córką.

- Urodziłam ją - powiedziała. - Urodziłam je wszystkie, zlewałam się krwawym potem i je kochałam. Och, Najświętsza Panienko, dlaczego? - Spojrzała na rycerza. - Przyszedłeś nas ratować?

Ser Gawin widział dość rozpacz, żeby zdawać sobie sprawę, że jej częścią zawsze jest gniew.

- Do wozu - rozkazał szorstko. - Jutro będziemy odprawiać żałobę. Dzisiaj żyjemy.

- Nie chcę... - zaczęła kobieta, ale bez względu na to, czego nie chciała, najstarsza córka złapała ją za łokieć i pociągnęła do wozu. - Jenna! Nie możemy zostawić Jenny, żeby ją pożarły! - zaprotestowała z płaczem.

Najstarszy syn bez chwili wahania podniósł okryte zakrwawioną płócienną chustą doczesne szczątki swojej siostry i z czułością zaniósł je do wozu.

Osiełek trzymał za uzdy oba konie. Były słabe, nerwowe i przerażone.

Ser Gawin ściągnął wodze.

Osiełek machnął ręką.

- Poprowadzę je.

- My wracamy - powiedział ser Gawin. - Po kapitana.

- Święte słowa - zgodził się Bezgłowy.

Gawin chciał pogalopować w dół drogi. Zostało ledwie dziesięć minut dobrego światła i coś hałasowało na północ od moczarów.

Miał ochotę krzyknąć w duchu, że uczy się dowodzić ludźmi od brata - którego w młodości wyśmiewał, uważając za zniewieściałego. Zamiast zrobić jedno czy drugie, nieśpiesznie obrócił konia i poklepał di Laternuma po ramieniu, gdy wóz ruszył.

- Dobra robota.

Etruski chłopak - teraz wyglądał jak chłopak, z ciemnymi kręgami pod oczyma - wzruszył ramionami.

- Prawie nie kiwnąłem palcem, panie - powiedział. - Kum...

Ser Gawin zdobył się na uśmiech.

- Słuchaj Kuma, ale też myśl o sobie.

Zasalutował chłopakowi, elegancko i na poważnie, z ręką na zasłonie hełmu, i pogalopował na wschód, żeby znaleźć brata. Nadal nie wiedział, czy jego cudowny, okropny brat żyje.

I dopiero teraz mógł sobie pozwolić na zastanawianie się nad tym.

\*\*\*

Zak utworzył kordon wokół drzewa. Znalazł pierzasty płaszcz szamana i kawałki jego topora.

Czując się niemal głupio, powiedział:

- Nadchodzi noc. W tej chwili jesteśmy bezpieczni. Dokoła są moi ludzie. - Wzruszył ramionami, bo mówił jak do obrazu. - Twój brat objął dowodzenie.

*Dobrze. Kiedy odpuszczę, ból może mnie pozbawić przytomności. To trochę lepsze niż możliwość, że zaraz umrę. Popętniłem głupi błąd i wyzbyłem się ops.*

Hrabia Zak się przeżegnał i musnął palcami amulet.

Tęcza światła zamigotała i zgasła. Las nagle stał się ciemniejszy.

Kapitan wrzasnął.

\*\*\*

Kiedy Gawin zebrał łuczników, kiedy rycerze i giermkowie skupili się w jednym miejscu, a wóz stanął obok ojca Arnauda, który wciąż się nie ruszał, poprowadził wszystkich wolnych ludzi na ratunek swojemu bratu.

Który jeszcze żył, o czym świadczyły jego wrzaski.

Po godzinie pracy przy płonących pochodniach oczyścili toporami pień na tyle, by można go było dźwignąć. Bezustanne hałasy dużych zwierząt albo wrogów poruszających się w ciemności nie łagodziły zniecierpliwienia ser Gawina.

Ale udawał spokój i dwa razy powiedział łucznikom, żeby się nie śpieszyli.

Wojowniczką Kriax zgłosiła się pójść na ochotnika w ciemność i

czuwać. Zsunęła się z kuca i zniknęła w mgiełce na skraju światła pochodni.

- W domu poderżnęła wiele gardeł - mruknął Zak, wzruszając ramionami. - Dlatego tu jesteś.

Trzeba było dziesięciu mężczyzn i kobiet, żeby przesunąć drzewo. Gdy podważyli pień, który przyciskał nogi jego brata, gwiazdy świeciły na niebie.

Ser Gawin ciągle kalkulował. Załóżmy, że kompania stanęła obozem ligę od miejsca, gdzie ją zostawiliśmy. To cztery ligi stąd. Godzina dla Toby'ego, żeby ich znalazł, jeśli coś go nie pożre. Godzina z powrotem, i do tego pół godziny, żeby zebrać ludzi i zrobić to, jak trzeba.

Nie powinienem wysyłać chłopaka samego. Powinienem jechać sam albo wysłać z nim Nell i Kuma, żeby wiadomość dotarła do celu.

Ale wiwern mógłby pożreć całą trójkę.

Słyszałem, że w nocy wiwerny są ślepe. I że widzą w ciemności.

Nie cierpię tego. Czy on to robi codziennie? Co robi ojciec? Decyduje o życiu ludzi?

Ser Gawin siedział na koniu bojowym, wciąż w pełnej zbroi, z wyprężonymi ramionami, i udawał, że jest opoką siły i dowodzenia. Jak wszyscy dowódcy, wszędzie.

\*\*\*

Kiedy wstała gwiazda polarna, łucznicy cicho odśpiewali wieczorną modlitwę i wszyscy do nich dołączyli, nawet Osiełek, który słynął z bluźnierstw. Kiedy modlitwa się skończyła, Kriax weszła w krąg ognia i rzuciła zębatą głowę w płomienie. Uśmiechała się ponuro i Zak musiał jej obandażować obie ręce, które zostały pocięte. Nawet nie stęknęła. Giermkowie patrzyli na nią z czymś bardzo bliskim uwielbienia.

Adrian Złotnik poszedł na ochotnika w mrok.

Gawin pozwolił mu pójść.

Rozpalili drugie ognisko - przynętę. Zapłonęło w górze drogi, a potem zapalili trzecie w dole.

Nastąpiła trzecia warta. Ser Gawin rozpaczał, że będzie musiał dodać Toby'ego do listy poległych. Jego brat wciąż się nie ruszał,

podobnie jak ojciec Arnaud.

Ser Gawin zaczął się modlić.

\*\*\*

*Gabriel był nie tyle nieprzytomny; ile przebywał głęboko w swoim pałacu - co było o wiele przyjemniejsze niż wypluwanie sobie płuc we wrzasku bólu, którego źródłem była zmiażdżona, okaleczona prawa noga. Nawet tutaj od czasu do czasu potężna fala bólu wynosiła go z eteraalu w rzeczywistość. Tam był boleśnie świadom utraty krwi i zimna. I tego, jak mało mu zostało życia.*

*Próbował uporządkować wspomnienia szamana - te, które zdołał przejąć. Subsumowanie przeciwnika było zbyt szybkie i zbyt całkowite. Co gorsza, głupio roztrwonił moc. Jego tarcze -jego czary awaryjne - okazały się zbyt potężne. Zbyt późno dostrzegł w projekcie błąd, który pozwolił im wysssać z niego każdy strzęp mocy, jak poborca podatkowy zabierający ostatni grosz biedakowi.*

*Przypomniał sobie, jak drugi demon zamierzył się, by zadać mu cios w głowę. Nie miał szans się ostonić.*

*Powiniennem zginąć. Nie zginąłem.*

*A teraz - nawet teraz - najprawdopodobniej umrę.*

*Przyszło mu na myśl, żeby rozważyć, dlaczego jeszcze żyje. Skądś z zewnątrz zasilał go mały, stały strumyczek potentia. Czuł to.*

*Przyszło mu na myśl - czas był problemem w pałacach - że powinien znaleźć ojca Arnauda.*

*Przeszedł od myśli do czynów.*

*Wszedł do jego pałacu pamięci, który okazał się zaciemnioną kaplicą. Była piękna - najpierw zobaczył wspaniałą brązową kazalnicę w formie stojącej cicho brzemiennej Madonny z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Nad nim wznosiło się precudne różowe witrażowe okno, które tutaj, gdzie nie obowiązywały żadne zasady, było trójwymiarowym dachem, szklaną kopułą. Witraż przedstawiał sceny z życia Zbawiciela, ale było za ciemno, żeby dokładnie określić, jakie.*

*W istocie było tam bardzo ciemno. I bardzo zimno, i Gabriel pomyślał, że światło za oknem gaśnie. Była to jego pierwsza myśl.*

*- Amaudzie?! - zawołał.*

*Pomyślenie równało się znalezieniu.*



Ojciec Arnaud leżał pośrodku swojego miejsca mocy z rozrzuconymi ramionami. Uśmiechnął się do niego.

- Witaj - powiedział, - Może byłoby lepiej, gdybyśmy się tu spotkali, kiedy żyłem.

- Kiedy żyłeś? - powtórzył Gabriel.

- Moje ciało odchodzi-odparł Arnaud z nutką humoru w głosie. - W materialnym świecie. Zostało mi może dwadzieścia uderzeń serca.

Gabriel sięgnął do swoich zapasów, sprawdzając jak każdy doświadczony magister, czy ma dość ops, żeby go uzdrowić.

Arnaud się uśmiechnął.

- Nie. Ja uzdrowię ciebie. To będzie mój ostatni dar. Zostawię ci go, gdy przekroczę mur i udam się do dalekiej krainy. Ocal ich, ocal ich wszystkich.

Czyniąc to, bracie, ocalisz samego siebie. - Znowu się uśmiechnął ze szczerym dobrym humorem i Gabriel zobaczył, jaki był z niego przystojny młody człowiek. - Proszę, przyjmij te dary.

Ciało Arnauda zadygotało. Rozbłyśło światło i przez chwilę - wieczną chwilę - kaplica była w nim skąpana. Postacie na różowym oknie ożyły: trędowaty został uleczony, ślepiec odzyskał wzrok, umarły powstał z martwych i sługa centuriona wyzdrowiał.

-Arnaud! - krzyknął Gawin.

Ale cud światła odchodził, zostawiając zimno i ciemność absolutnej próżni.

Gabriel wyrwał się z pałacu konającego i oprzytomniał.

Ból przeminął. Wokół ognia stało kilkanaście osób - mężczyźni i kobiety. Wszyscy na niego patrzyli z osłupiałymi minami.

Jego noga została uleczona.

Gabriel wybuchnął płaczem.

- Nie chcę tego! - wrzasnął.

Przekręcił się na bok i ujął w dłonie głowę kapelana. Ojciec Arnaud już nie żył. Dokądkolwiek poszedł, jego twarz wyrażała spokój, a usta układały się w uśmiech ostatecznego zwycięstwa.

\*\*\*

Kiedy błysk mocy rozświetlił eterealne światy, Głóg krążył rozdarty przez niezdecydowanie, balansując na ostrzu noża pomiędzy

agresją i ostrożnością. Śledził przebieg części bitwy; wyczuł rany i wyczerpanie Ciemnego Słońca, ale nie wyzbył się zdrowego strachu przed jego rezerwami mocy i talentem. Mógł się rzucić przez etereal, lecz ten akt sam w sobie był najeżony niebezpieczeństwami. Co więcej, naraziłby się jak armia zaskoczona zbyt daleko od taboru. Skoki w eterealu stanowiły dlań umiejętność zbyt nową, żeby miał do nich pełne zaufanie. Jego mroczny pan nie był dostępny, żeby udzielić mu rady albo słowa zachęty.

Coś przemknęło przez granicę pomiędzy życiem i śmiercią - coś potężnego.

- Umarł? - szepnął Głóg w ciemność. Nagle ośmielony rzucił się przez otchłań.

\*\*\*

Gawin klęczał przy Gabrielu. Nie widział płaczącego brata - przynajmniej nie jawnie - odkąd był chłopcem, i ten widok sprawił, że zrobiło mu się niedobrze na wspomnienie dawnych uczuć gniewu, słabości i brutalnej siły.

Ale łzy Gabriela wyschły bardzo szybko. Niemal jak mim czy jarmarczny wagabunda, uniósł głowę i choć jego oczy wciąż lśniły od łez w świetle ognia, głos miał pewny.

- Uciekać - powiedział. - Wszyscy. Natychmiast.

- Nadchodzą! - krzyknął Adrian Złotnik. Nie sprawiał wrażenia przerażonego, jego ton wyrażał ulgę. - To ser Michael!

Ser Gawin zamarł.

Coś zaczęło się formować na skraju blasku.

- Uciekać - powtórzył Gabriel.

Mówił z całą powagą i mocą. Może wlał *ops* w swoją komendę. Każdy człowiek zostawił ognisko i popędził w ciemność.

Gabriel spróbował wstać, ale nie miał siły. Nic mu nie zostało - poza strużką *ops*, która wciąż go zasilala na przekór wszelkim szansom.

Westchnął. Usłyszał tętent koni na drodze, usłyszał głosy.

Dźwignął się na łokciu.

Ciężki czarny cień stał się materialny.

Głóg wyłonił się z eterealu z sykiem wypuszczanego powietrza i

ukąszeniem niewiarygodnego zimna. Już nie wyglądał jak drzewo. Bardziej był cieniem albo słupem dymu, oświetlonym od tyłu przez czerwony ogień. Dwoje oczu płonęło wysoko nad kapitanem.

Koń zakwiczał ze strachu.

- Ach! - mruknął Głóg. Sylaba była pełna zaskoczenia i satysfakcji.

Gabriel, wciąż leżąc, przełknął zółć.

Nagle zjawiała się Mag. Była kobietą średniego wzrostu, w kapturze pątniczki na głowie. Nawet nie miała laski.

W eterealu trzymała nożyczki zrobione ze światła i sięgnęła, żeby przeciąć nimi więzi łączące Głoga z jego domem i źródłem mocy. Uderzyła szybciej niż letnia błyskawica i była taka zdeterminowana, że nawet nie pomyślała o własnej ochronie.

Gabriel zdążył zarejestrować wrzask rozczarowania i gniewu, po czym nieludzki magister zniknął.

Mag przez chwilę piętrzyła się nad ogniem niczym anioł zemsty, a potem znów była tylko starzejącą się kobietą w kapturze.

Pochyliła się nad kapitanem, który zdobył się na drżący uśmiech.

- Nie mam najlepszego dnia - powiedział.

Mag pocałowała go w policzek.

- Zostań z nami, mój drogi.

- To był... - Gabrielowi brakowało słów.

Mag się zaśmiała.

- Zastanawiałam się, kiedy spróbuje przypuścić bezpośredni atak. Pracowałam nad tym od miesiący. - Była pełna mocy i dumy. Dopóki nie zobaczyła Arnauda.

Pochyliła się nad nim, ale już dawno odszedł.

Gabriel chwycił ją za spódnicę.

- Czy... czy go uderzyłaś?

- Nie. Uciekł, gdy tylko się ruszyłam. - Uśmiechnęła się. - Wiedziałam, że tak będzie. - Jej uśmiech pociemniał. - To znaczy miałam na to nadzieję.

Nagle usiadła. Położyła rękę na dłoniach martwego księdza i zapłakała.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### Albinkirk

Kompania, która wjechała do Albinkirku, była poważna, czujna i porażona żalem. Chorągwie były zwinięte, na wozach wieziono zwłoki - tyle mógł zobaczyć każdy obserwator.

Ser John Crayford widział, jak przejeżdżają przez bramę, i natychmiast ruszył na czoło kolumny, zamiast dokonać przeglądu i salutować całej kompanii.

Młokos z ubiegłego roku był starszy. Znacznie starszy. Nosił szpiczastą bródkę i miał znużone oczy. Jego twarz była pozbawiona wyrazu maską zmęczenia i niewypowiedzianej rozpacz.

- Jak mogę pomóc? - zapytał ser John.

Ser Gabriel ujął zaoficerowaną dłoń.

- Dzisiaj koszary. Jutro... - Uciekł spojrzeniem w bok. - Jutro ksiądz, jak chcesz, i kościół. Mamy tuzin martwych. - Jego oczy wyrażały żal, prawdziwy żal.

Witaj w dorosłym świecie, chłopcze, pomyślał ser John. Był jednak uprzejmym człowiekiem i nie minęło pięćdziesiąt uderzeń serca, a jego giermek jechał do biskupa, podczas gdy służący poprowadził zwiadowców do koszar. Zamek wciąż był na wpół opustoszały. Mając garnizon wielkości jednej trzeciej pełnej siły, mogli przydzielić łóżko albo przynajmniej siennik każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie.

Ser John wysłuchał opowieści o zasadzce od Kita Foliaka, którego znał z dawnych czasów. Zmęczeni giermkowie i paziowie zaczęli sortować pakunki, skórzane worki, wozy i konie na dziedzińcu cytadeli brukowanym pięćsetletnimi kocimi łbami.

Kiedy ser John zadbał o podstawowe potrzeby kompanii, poszedł z ser Ricarem Fitzalanem - chudsza i zwinniejszą wersją królewskiego kapitana - do swojej sali i posłał chłopaka po Czerwonego Rycerza. Mężczyzna przyszedł ze swym sławnym bratem i usiadł na wysokim krześle zasłanym poduszkami. Służąca uniosła jego nogę i ułożyła na stołku. Chuchro było szybkie, sprawne i najwyraźniej ani trochę nie przejmowało się złośliwościami swojego pana.

- Przestań... kurwa, boli - syknął kapitan. - Psiamać, dziewczyno. Przestań tak nade mną skakać. Nie, nie chcę wody. Zabieraj ręce.

Nell konsekwentnie go ignorowała, wypełniając polecenia Mag.

Ser Gabriel już był bez zbroi, ubrany w piękną, ale brudną aksamitną przesywanicę. Chyba dochodził do siebie. Westchnął i popatrzył na ser Johna.

- Przepraszam - mruknął. - Nie jestem sobą.

Ser Gawin wzruszył ramionami i przyjął kubek wina.

- Dla mnie wyglądasz zupełnie jak ty. Nie jestem pewien, czy zostaliśmy przedstawieni. Ser Gawin Murien. To mój brat, ser Gabriel.

Ser John wstał i się uklonił.

- Ser John Crayford. Znam twojego brata z czasów obłączenia i późniejszych wydarzeń. - Popatrzył na skwaszonego kapitana. - I z tego, że zabrał moich dwóch najlepszych zbrojnych, kiedy przejeżdżał wtedy ostatnim razem.

Ser Ricar głośno się roześmiał.

- Cóż, nie znam żadnego z was, ale ja jestem ser Ricar Fitzalan. Bękart starego króla. I kapitan straży przybocznej.

Ser Gawin się uklonił.

- Widziałem cię po Lissen Carak. Co więcej, dzieliło nas kilka łóżek w składzie aptecznym u sióstr.

Ser Ricar uklonił się na siedząco.

- Oczywiście, wybacz.

- Ha! Jedno owinięte w płótno ciało wygląda dokładnie jak drugie - powiedział Gawin. - Ale wskazała cię siostra Amicja.

Ser John pochylił się w ich stronę.

- Kit Foliak mówi, że wpadliście w zasadzkę, wyrwaliście się i że pewien były czarnoksiężnik króla próbował ostatecznie zakończyć sprawę.

Gabriel bawił się nieprzystrzyżoną brodą.

- Pan Foliak szafuje informacjami. Ale tak.

Ser John pokręcił głową.

- Nie pragnę niczyjej krzywdy i, na Boga, panowie, przypuszczam, że jesteśmy z tej samej gliny. Gdyby istniała potrzeba opowiedzenia się po czyjejs stronie, czy wszyscy nie służymy królowi? Poza tym

jesteśmy wrogami Plangere'a i jemu podobnych.

Uśmiech Gabriela nie wyglądał przyjaźnie. Westchnął i spojrzał na brata, który uniósł brew.

- Ser Johnie, zachowuję się dzisiaj jak gbur. Nie jestem w najlepszym humorze. - Lekko się uklonił na krześle.

Ser John dokładnie powtórzył ukłon.

Ser Gabriel spojrzał w okno na wiosenny deszcz. Stracili dzień na przeprawę przez ostatni strumień przed Albinkirkiem, północny dopływ Zachodniej Kanathy. Wiosenne roztopy sprawiły, że woda wezbrała i płynęła z rykiem. Przeprowadzenie zmęczonych ludzi i wozów trwało zbyt długo.

Język kapitana był zbyt szybki i cięty.

Pożałował tego. Patrzył w okno. Nikt się nie odzywał.

- Straciłem wielu ludzi - rzekł w końcu. - I... przyjaciela.

Ach... - pomyślał ser John.

Obdarzony mniejszą intuicją albo może tylko bardziej bezpośredni ser Ricar uniósł kubek po dolewkę wina i zapytał:

- Co was napadło?

- Cztery wiwerny - odparł ser Gawin. Jego głos był napięty nie mniej niż głos brata. - Dwadzieścia demonów i szaman. Coś, czego nigdy wcześniej nie widzieliśmy. - Wskazał kciukiem nad ramieniem. - Przywieźliśmy dwa ścierwa do pokazania. Zwiemy je impami. - Odwrócił wzrok. - Zabiły trzech ludzi.

Ser John pokręcił głową.

- Przykro mi z powodu twoich strat, kapitanie. Staram się patrolować moje ziemie. Gdzie byliście?

- Przy Dziurze - odparł ser Gabriel. - To nie twoja wina.

Ser Ricar i ser John wymienili spojrzenia.

- Tak daleko na południowym wschodzie? - zdumiał się ser Ricar.

- Głóg nadchodzi - rzekł Gabriel i w jego ustach to imię zabrzmiało jak przekleństwo. - Wiecie, do tej pory nie traktowałem go poważnie. Jak ostatni głupiec. Przypuszczałem, że przez rok będzie dochodzić do siebie, a tu patrzcie. - Jego twarz wyrażała tę samą złość, co twarz gospodyni. -Wrócił.

- Bracie... - zaczął Gawin, ostrzegawczo unosząc rękę.

Gabriel zbagatelizował ostrzeżenie.

- Zwołałeś radę - powiedział do ser Johna. - Chciałbym w niej uczestniczyć z bratem. I z Tomem Lachlanem, który obecnie jest Poganiaczem.

Ser John skinął głową.

- Jesteśmy dumni, panie rycerzu, że jesteś z nami. Przeorysza tu będzie. I większość północnych wielmożów stawi się osobiście albo przyśle przedstawicieli.

- Ja mogę reprezentować cesarza - oznajmił Gabriel.

Ser John uniósł brwi, ale wszak słyszał pogłoski.

- I sądzę, że jako diuk Tracji zasługuję na miejsce przy stole - dodał Czerwony Rycerz.

- Albo na cały stół - mruknął ser Gawin.

Ser John zmarszczył brwi.

- W takim razie będziecie mieć przewagę w mojej radzie, panowie, łącznie ze swoją matką. Spodziewam się, że jutro przybędzie z Ticondagi.

Zapadła krępująca cisza.

Ser John się zastanawiał, co takiego powiedział.

Wreszcie ser Gabriel parsknął śmiechem, który bardzo przypominał szloch.

- Czy mogę założyć, że przeorysza sprowadzi siostrę Amicję?

Ser John się uśmiechnął.

- Oczywiście. Odgrywa ważną rolę w naszej obronie.

Gabriel pokiwał głową.

- Doskonale. - Podniósł kubek. - Chcę trochę więcej wina.

\*\*\*

Godzinę później ser Gawin dopilnował, żeby jego brat trafił do łóżka w czystej koszuli nocnej, tylko lekko pijany po wypiciu wina i mnóstwa wody.

-Bracie...

Gabriel uśmiechnął się ze smutkiem.

- Wszystko w porządku. W miarę. Jedź.

Gawin pokręcił głową.

- Zostanę.

Gabriel uniósł głowę.

- Nie jestem, psiamać, słabeuszem. Wierz mi, bracie, jakoś zniosę rozłąkę. I prawie rok czekałeś, żeby się z nią zobaczyć. Jedź. Musi przynajmniej wiedzieć, że zjawi się tu nasza rodzicielka i co to będzie oznaczać.

- Słodki Jezu, nie pomyślałem... - Gawin klepnął się w czoło. - Dobry Boże...

- Właśnie. Musisz jechać. Ja zostanę tutaj i odegram rolę. Wróć, ale nie rozpaczaj. Najgorsze za nami.

Gawin popatrzył na brata ze zbyt dużym zrozumieniem.

- Nie, wcale nie.

Gabriel ściągnął brwi.

- Nie miałem pojęcia, jak bardzo go lubiłem. Nie...

Gawin westchnął.

- Ja też. Od wesela Kaitlin. Stał się jednym z nas tak bardzo, jakby jeździł z nami przez lata. Chryste, posłuchaj. Przecież ja jeżdżę z tobą zaledwie od roku.

- Tak wpływam na ludzi - powiedział Gabriel, ale zdobył się na uśmiech. - Poważnie. Jedź i pocałuj lady Mary także ode mnie. Sprowadź ją, jeśli według ciebie przetrwa spotkanie z naszą panią matką. I nie sprowadzaj, jeśli będziesz odmiennego zdania. Za pięć dni ruszamy na południe.

- Wciąż masz zamiar jechać na turniej - powiedział Gawin.

Gabriel przytaknął.

- Gawinie, mam takie i owakie plany. Nell! - krzyknął i dziewczyna zaraz się zjawiła. - Nell, chciałbym formalnie przeprosić za moje zachowanie.

- Przeprosiny przyjęte - warknęła.

Gawin się roześmiał.

- Właśnie na to zasłużyłeś.

Gabriel pokręcił głową.

- Nell, potrzebna mi tuba ze zwojem. Wiesz, ta z kości słoniowej.

Nell bez słowa wyszła do drugiego pokoju, skąd wróciła z żądanym przedmiotem.

- Jeśli umrę, tu jest plan. - Gabriel wzruszył ramionami. - Mistrz



Smith mi powiedział, że jeśli nie będzie nas na turnieju, prawdopodobnie tego pożałujemy. Pod tym względem jest wielce pomocny. Cokolwiek to znaczy... Przyznam, że moja wiarygodność nieco ucierpiała, ale Plangere właśnie stracił potężnego maga, nad którym miał kontrolę, a bojowy oddział demonów poniósł ciężkie straty. Zamierzam rozgłosić, że Plangere przybył i uciekł. - W jego uśmiechu nie było zadowolenia, tylko drapieżne oczekiwanie. - Stracił też cztery wiwerny. To zaszkodzi jego reputacji.

- Więc? - zapytał Gawin, trzymając tubę.

-Więc nie chcę głośno mówić o moich planach. Z różnych powodów. - Ściągnął wargi. - Przeczytaj zwój, a później daj go Tomowi i Michaelowi. Potem przynieś tutaj, żebym mógł go spopielić.

Przyciągnięty jak ćma do ognia Gawin już czytał. Zagwizdał i uniósł głowę.

- Święta Mario, Matko Boża... - powiedział, nie kryjąc szoku. - Kto inny o tym wie?

- Gelfred. Ranald. Kronmir. - Gabriel wzruszył ramionami. - Szczerze mówiąc, żaden z was nie wie wszystkiego, co ja wiem.

- Jesteś taki ufny - skomentował Gawin.

- Jeśli umrę, to będzie na twojej głowie.

- O mało nie umarłeś, prawda?

- Już powinienem być martwy - odparł Gabriel.

\*\*\*

Zły Tom, tęskniąc za spokojną sprawnością kuzyna, podzielił stado na polach na południe od Albinkirku. Gromada posłańców znalazła mu etruskiego pośrednika i jednego ze skrybów ser Geralda Randoma. Razem wzięli finansową odpowiedzialność za trzecią część stada, na miejscu wynajęli dwudziestu zbrojnych pod wodzą Pyskatej i ser Gawina, po czym pojechali na zachód, na jarmark w Lissen Carak.

Zły Tom nie skrywał złości z powodu opóźnienia, ale nie miał wyboru, przeczytał zwój, który dał mu ser Michael, wyszczerzył zęby i oddał mu pismo. Wypił kubek mocnego wina i popatrzył na byłego giermka kapitana.

- Wysłałam Kaitlin do Lissen Carak - powiedział ser Michael.

Zły Tom nalał sobie drugi kubek.

- Mało nie zginął, a mnie tam nie było - rzekł nagle.

Ser Michael pokiwał głową.

- Mnie też.

Tom spojrzał mu w oczy. Nie wiadomo kiedy ser Michael tak urósł, że byli prawie tego samego wzrostu.

- Nie chcę być gdzie indziej, gdy nadejdzie jego koniec. Chcę być w kręgu tarcz. Chcę zadać ostatni cios nad jego trupem. Chcę, żeby dziewice-wojowniczkę zabrały mnie razem z nim, kiedy po niego przybędą.

- Niezupełnie jesteś chrześcijaninem, prawda, Tomie? - zapytał Michael.

Tom wypił wino.

- Czytałeś? - zapytał bardzo cicho.

Michael pokiwał głową.

- Na cycki Tar - mruknął Tom.

Michael rozmyślał przez długi czas. W końcu się uśmiechnął.

- Tak - powiedział i poszedł spędzić kilka ostatnich godzin ze swoją żoną.

Kaitlin była taka jak zawsze - pogodna, niewymagająca i skupiona na potrzebach innych. Chciała, żeby Michael zabrał ją do kapitana, ale on był temu przeciwny, a poza tym wiedział, że ser Gawin rankiem wyjeżdża.

- Daj mu się wyspać - powiedział. - Możesz zobaczyć się z nim rano, kiedy pochowamy księdza i dzieci. - Głos miał szorstki od wymuszonej nonszalancji.

Kaitlin, która lepiej niż większość kolegów swojego męża wiedziała, kim był kapelan dla kapitana, nie nalegała i spędziła noc skulona w jego ramionach. Rankiem, porządnie wypoczęta, zwlekła z łóżka coraz cięższe ciało.

- Już nie jestem najładniejszą panną w dolinie - mruknęła.

Ser Michael ukląkł i ucałował jej rękę.

- Był dobrym księdzem - powiedziała. - Dał nam ślub.

Michael się uśmiechnął.

- Kum mówi, że zmarł, uzdrawiając kapitana. To...

Kaitlin ściągnęła brwi.

- Co?

- Kum... to Kum, skarbie, nie jakiś nawiedzony panikarz. Otóż Kum mówi, że przyszedł człowiek w poszarpanej szacie, ukląkł przy kapitanie i kapitan się zbudził.

Kaitlin się przeżegnała.

- Święty?

Ser Michael zmarszczył czoło.

- Ciarki mnie przechodzą na samą myśl. Za bardzo lubię sobie z niego żartować.

\*\*\*

Całe miasto wyległo na wiosenny deszcz, który padał falami i sprawiał, że porośnięta trawą ziemia, w głębi wciąż zamarznięta, sprężynowała i była grząska jak wielki stos mokrej wełny.

Wszyscy zbrojni przyszedli w zbrojach i giermkowie już klęli na czekającą ich pracę.

Biskup Albinkirku stał w deszczu. Trumny były skromne, zbite z desek. Jedna była pusta, dla dziecka porwanego przez wiwerna, a w tej biednego Robina leżały tylko czerwone strzępy - impy go napadły, pokonały i pożarły, gdy stracił panowanie nad końmi. Gospodyni stała przy trumnach martwych dzieci. Towarzyszyła jej najstarsza córka, ale nosiła szkarłatny tabard kompanii i nawet w strugach deszczu było widać, że ich bliskość jest pozorna, że się od siebie oddaliły.

Na trumnie księdza leżał sztandar Zakonu Świętego Tomasza, a oprócz niego były tylko krucyfiks, hełm i rękawice.

Jak wszyscy inni, biskup był przemoczony do suchej nitki i zmarznięty.

Uniósł ramiona.

- Jak mam wypowiedzieć słowa, które oddadzą sprawiedliwość czynom tych ludzi? - zapytał. - Jak mogę wyrazić rozpacz matki? Albo bezsilność rycerza w obliczu śmierci?

Odpowiedział mu szum deszczu. Gabriel się wzdygnął.

- Na początku było słowo - podjął biskup. - Słowo - powtórzył. - Jedyne prawdziwe słowo, *logos*, mówi za wszystkie inne. Jak *logos* na

początku, tak On będzie na końcu, alfa i omega. I możemy tylko mieć nadzieję, cierpliwie czekać, żeby pójść do Niego. - Stał z szeroko rozpostartymi rękami, przemoczony od góry do dołu, z twarzą uniesioną ku niebu.

Może spodziewali się błyskawicy albo jakiejś innej odpowiedzi niebios, ale był tylko zimny wiatr.

Sześciu rycerzy - ser Gabriel, ser Thomas, ser Gawin, ser Michael, lord Wimark i ser Alison - opuściło ojca Arnauda do przygotowanej dla niego błotnistej jamy. Toby okrył nasączonym olejem płótnem kopce wykopanej ziemi, dla każdego martwego łuczника, pazia, giermka i dziecka. Przemoczeni rycerze kolejno opuszczali martwych w objęcia błota, a potem sypali na nich świeżą ziemię.

Gospodyni stała i płakała. Kiedy minęła ją ostatnia trumna, wyciągnęła rękę, żeby jej dotknąć, a potem się odwróciła.

Ser Gabriel stanął przy biskupie.

- Jesteś człowiekiem mocy - powiedział.

Biskup wzruszył ramionami.

- Dzisiaj jestem człowiekiem bezsilnym i nijak nie mogę sprawić, żeby matka poczuła miłość Boga. I nie jestem zainteresowany pobożnymi frazesami.

Ser Gabriel pokiwał głową. Zimna woda spływała mu po kręgosłupie. Przeszywanica przemokła.

- Był wielkim człowiekiem. - Ser Gabriela zaskoczyły własne słowa.

- Kochałeś go? - zapytał biskup.

Ser Gabriel się odwrócił. Bardzo powoli wzruszył ramionami.

- Był doskonałym zbrojnym i moi ludzie go kochali.

- A ty? - dociekał biskup.

- Dlaczego musisz pytać? - Gabriel osłonił się swoimi tarczami i wykrzywił usta w uśmiechu. - Mam parę pobożnych frazesów do powiedzenia, panie biskupie.

Odszedł do kompanii. Wciąż stali jak na paradzie - szereg rycerzy i zbrojnych, szereg giermków, szereg łuczników i na końcu paziów. Gotowi przyjąć atak wiwerna albo szarżę jazdy. Albo złe wieści.

Kapitan stał w deszczu. Uniósł głowę i na nich popatrzył.

- Kiedy popełniamy błędy, ludzie umierają - zaczął. - Kiedy dobrze wykonujemy naszą robotę, umierają inni. Śmierć jest częścią naszego rzemiosła, zawsze. I jak żołąd, nie jest sprawiedliwa. Dlaczego dziecko? Dlaczego nie ktoś starszy, jak Osiełek?

Kilku śmielszych zachichotało.

Kapitan się rozejrzył.

- Nie wiem. Nie wiem, dlaczego Arnaud umarł zamiast mnie. Ale w głębi duszy dobrze wiem, dlaczego on umarł i dlaczego umarł Robin. I dlaczego stoimy tu w deszczu. Jesteśmy tutaj, ponieważ postanowiliśmy... postanowiliśmy walczyć. Jedni z was dołączyli do kompanii, żeby walczyć o coś, co lubią. Drudzy walczą jeden o drugiego. Inni dla złota, a nieliczni dlatego, że być może zrobimy coś dobrego, czymkolwiek jest dobro. - Powiódł po nich wzrokiem. - Dziecko nie wybrało walki. Ani matka.

Wzruszył ramionami.

- Chodzi mi o to, że wiem, kto ich zabił. Jesteśmy na wojnie. Biskup wam przypomina o miłosierdziu bożym. Ja powiem tylko to: nie zapomnę, dlaczego umarli. I kiedy nadejdzie chwila... - Odetchnął głęboko i ludzie w pierwszym rzędzie dostrzegli czerwony błysk w jego oczach. - Poświęcę się tej chwili, mój miecz nie będzie spać.

Kompania westchnęła jak jedna osoba.

Biskup Albinkirku odwrócił się w gniewie.

Kapitan wyprężył ramiona.

- Kompania! - krzyknął gromko, jakby jego głos wcześniej nie drżał ze wzruszenia.

Stanęli na baczność.

- Zróbcie to, jak trzeba. Zachować odległość!

Kaprale wysunęli się z pierwszej linii i zrobili trzy kroki.

Trzy czerwone szeregi się obróciły i odmaszerowały - trzy kroki od drugiego szeregu, sześć od trzeciego, dziewięć od czwartego.

Ser Gabriel dał znak ser Bescanowski, który wyszedł z szeregu oficerów i wyjął miecz z pochwy. Zasalutował nim kapitanowi. Czerwony Rycerz odwzajemnił pozdrowienie i odszedł w deszcz.

Woda ściekała po wysoko zarysowanych kościach policzkowych i długim oksytańskim nosie ser Bescanona.

- Zadbajcie o zbroje! - ryknął. - Kompania... rozejść się!

Pobiegli pod osłonę. Giermkowie i paziowie kłęli.

Biskup stanął obok kapitana pod okapem stajni.

- Zemsta? - zapytał. - Czy tak ich motywujesz? - Jego głos był płaski z gniewu.

Nieco gadzie oczy kapitana jakby się zaskrzyły.

- Panie biskupie, dzisiaj, a w zasadzie od długiego czasu, jak pozwolę sobie dodać, zemsta jest tym, co mnie motywuje. Wezmą ze mnie przykład.

- Odrącasz wszystkie wartości, za którymi stał ten łagodny człowiek - zaznaczył biskup.

Kapitan przez chwilę niecierpliwie postukiwał rękawicami o opancerzone udo. Wydawało się, że zaraz coś powie, ale zamiast tego zachował spokój i jego twarz stała się gładką maską.

Nagle maska go zawiodła. Pochylił się z lekko zaczerwienionymi oczami i biskup musiał dołożyć starań, żeby nie ustąpić pola.

- Wiesz - zaczął cicho - ten łagodny człowiek został zabity przez szamana, stworzenie, które zostało związane czyjąś mocą. Magistrowie zwą to przekabacaniem. Wiedziałeś? Inna istota złamała jego wolę i przejęła nad nim kontrolę. Zabiłem szamana, mój panie biskupie, ale on był bezradny i niewinny jak twój Jezus w niemowlęctwie. Był narzędziem. Mam tego dość. Mam dość bycia narzędziem i wykorzystywania innych jako narzędzi, mam dość całej tej krwawej gry.

Jego słowa tak daleko odbiegały od tego, co biskup spodziewał się usłyszeć, że przygotował zupełnie inny argument. Musiał zmienić wypowiedź i odetchnął głęboko.

- W takim razie nie graj - powiedział.

Oczy kapitana znów były spokojnie zielone i groźba emocjonalnego wybuchu chyba przeminęła. Wzruszył ramionami.

- Czy znasz pytania zadawane pasowanemu rycerzowi, panie?

Biskup pokiwał głową.

- Wierzę w wagę tych pytań - oznajmił kapitan. - Kto będzie chronić słabych? Kto będzie przeciwstawiać się wrogowi? Kto będzie bronić wdowy i sieroty, króla i królowej? A nawet, gdyby do tego

doszło, Świętego Kościoła?

Biskup zamrugał.

- Jezus powiedział, że powinniśmy nadstawiać drugi policzek. Jezus nie mówił o triumfie przemocy.

- No tak. - Kapitan się uśmiechnął. - Myślę, że Jezus miałby ciężkie chwile ze Złym Tomem. - Jego rękawice do jazdy konnej uderzyły z trzaskiem w stal nabiodrka. - Jak na razie odpowiedź na te pytania brzmi: ja. Ja będę walczyć z wrogiem. Skończyłem z poświęcaniem moich pionków po jednym na raz. - Wzdrygnął się.

Biskup się uśmiechnął.

- Nawet nie mówisz do mnie, prawda?

Kapitan wzruszył ramionami.

- Zamierzam przysłać ci nowego kapelana - powiedział biskup.

Kapitan trzasnął rękawiczkami.

- Dopilnuj, żeby był dobry w walce na kopie.

\*\*\*

Ser Alkajosa ciągnęło na mury. W swoim życiu zaznał wiele słodyczy i wiele przerażenia, ale żadne doświadczenie nie miało równej siły, jak minuty po zrobieniu wyłomu w murach podczas oblężenia Albinkirku. Poszedł do północnego odcinka, którego wówczas bronił, i z osłupieniem zobaczył tam młodego kusznika. Pamiętał go z tamtych czasów.

- Na Świętego Jerzego - mruknął i go uściskał. - Stefan?

- Mark, jeśli łaska, panie - odparł młodzieniec.

- Myślałem, że nie żyjesz.

Mark wzruszył ramionami.

- Też tak myślałem. Spadłem z muru. Ocknąłem się głodny i z połamanymi nogami. - Znowu wzruszył ramionami. - Wygląda na to, że nic mnie nie znalazło i nie pożarło. - Zaśmiał się z zakłopotaniem. - Teraz strzegę tego samego fragmentu muru.

Razem popatrzyli na północ i zachód.

Na północy Dzicz ciągnęła się jak ciemny dywan, zielone drzewa znikwały na zboczach wysokich gór i pod białymi szczytami Adnarni. Jedna droga, szerokości wozu, wiła się po zalesionych wzgórzach na skraju pola widzenia wzdłuż brzegów zimnej, czarnej rzeki Canaty,

która płynęła w dolinie wśród porzuconych zagród i tych świeżo zasiedlonych, i nielicznych pól zaoranych przez rodziny, które przeżyły oblężenie i zostały na roli.

Drogą ciągnęła kolumna migocząca grotami włóczy. Dobra liga dzieliła ją od murów, lecz mimo to zdawało się, że płonie kolorami.

Na południowym zachodzie Trakt Królewski biegł od przeprawy w Południowym Brodzie do południowej bramy Albinkirku, a później na zachód przez zachodnią bramę po północnym brzegu Cohoctonu. Północna droga - często w postaci samych kolein - łączyła się z Traktem Królewskim prawie pół ligi od murów Albinkirku, gdzie wezbrane wody Canaty spływały z gór pod trzema kamiennymi przesłami starożytnego mostu, który prozaiczni mieszkańcy sióła złożonego z dziewięciu domów i ufortyfikowanej wieży nazywali Troją.

Na trakcie za Troją trzy osoby na koniach, a może osłach, jechały w czystym wiosennym powietrzu. Ulewa przemyła niebo i wiatr przegnał chmury na południe. Strumienie wezbrały, ale deszcz spłukał ostatnie łąty śniegu z ocienionych zakątków pól.

- Pewnie są przemoczeni - powiedział Alkajos. Popatrzył na młodego Marka, który wzruszył ramionami.

- Czasami myślę, żeby się zabić - oznajmił nagle Mark. Jego głos brzmiał bezdźwięcznie.

Alkajos przyjrzał mu się uważnie. Miał wiele rzeczy do zrobienia, wiele spisków do uknucia, ale ten człowiek razem z nim stawiał czoło fali potworów.

Dlatego oparł się od niechcienia o zimne kamienne blanki na murze kurtynowym i zdobył się na nonszalancką minę.

- Dlaczego? - zapytał cicho.

Młody człowiek patrzył na pola.

- To wszystko, o czym myślę. - Wzruszył ramionami. - Że wcześniej nie było czasu. Atak. Jest tylko... mrok.

Alkajos pokiwał głową.

- Myślisz, że służba tutaj nie jest dla ciebie najlepsza? Na tym samym odcinku muru?

- Wszyscy zginęli. Każdy, kogo znałem. Wszyscy oprócz mnie. -



Odwrócił się i spojrzał na pola. - Chyba zresztą ja też umarłem. Czasami tak to rozumiem. Jestem martwy i dlatego... - W jego głosie zabrzmiały piskliwe tony.

Alkajos widział wcześniej takie znaki.

- To, że powinieneś być martwy, ale nie jesteś, wcale...

Młody Mark się zbliżył i sięgnął po pugińał u pasa, ale Alkajos, który od dzieciństwa widywał ludzi złamanych przez wojnę i strach, wyrwał mu broń i jak najdelikatniej powalił go na ganek.

- Straż! - krzyknął kilka razy.

\*\*\*

Dwie drogi spotykały się przy gospodzie w Troi. Gospoda Pod Królewskim Herbem była mała, w niczym niepodobna do ufortyfikowanego przybytku w Dormlingu, ale przyjemna, z sześcioma oknami świeżo wymienionymi przez właściciela, wysokiego chudzielca o orlim nosie i czarnych włosach świadczących o etruskim pochodzeniu. Czystym trafem gospoda ocalała podczas nawały Dżyczy, a karczmarz pomagał trzymać mury Albinkirku i nie szczędził starań, żeby walczyć z pożarami. Zainwestował majątek w odnowienie gospody, licząc na lepsze czasy, i z coraz większym niepokojem słuchał kolejnych doniesień o najazdach na granicy, o potworach i o śmierci.

Poranna ulewa była tak gwałtowna, że woda spłynęła po zamarzniętej ziemi do piwnicy. Był tam na dole z czterema pomywaczkami i oboma stajennymi, kiedy przeraźliwy głos żony wezwał go na górę. Pobiegnął po schodach ze stajennymi za plecami i zdjął długą etruską halabardę z kołków za wielkim paleniskiem, po czym skręcił do dużej niskiej sali, która była ośrodkiem jego gospody - i całej wioski.

Na podwórzu nie było irków ani boglinów. W drzwiach stał rycerz w najbogatszej zbroi, jaką Giancarlo Grimaldo kiedykolwiek widział. Ukłonił się.

Młody rycerz odwzajemnił ukłon.

- Jesteś gospodarzem? - zapytał młody człowiek.

- Panie, mam ten zaszczyt - odparł Giancarlo, stawiając halabardę w kącie między kominkiem i ścianą.

- Jestem ser Eneasze Murien, a moja matka, Zielona Pani Północy, życzy sobie spożyć południowy posiłek w twojej gospodzie. - Lekko skłonił głowę. - Przemokliśmy, a moja matka przemarzała.

- Rozpalę ogień i obsłużę was jak najlepiej.

Podwórze zapełniło się zbrojnymi i sługami, a wszystkich trzeba było nakarmić. Dwumiesięczne zarobki przybyły w jednej karawanie i wiedział, że jakoś musi sobie poradzić.

Zwrócił się do Noba, lepszego stajennego.

- Biegnij do mistrza Jeana i poproś, żeby pozwolił przyjść tu swoim córkom. Piorunem.

Żona pochyliła się w jego stronę i szepnęła:

- I poślij syna Jeana do pani Helewizy we dworze, niech zapyta, czy jej córka i Jenny mogą przyjść usłużyć księżnej. I niech sprowadzi samą panią Helewizę, jeśli można.

Nob wypadł z kuchni i popędził co sił w nogach, rozbryzgując błoto.

Ale wielka księżna Zachodniego Muru nie weszła. Siedziała na wspaniałym gorącokrwistym wschodnim wierzchowcu na brukowanej ulicy - bruk sięgał tylko do granicy wioski - i gawędziła z zakonnica na osle.

\*\*\*

- Przepuścić ją! - warknęła Gause do swoich zbrojnych. Jej rozkazujący ton ustąpił słodkim akcentem uwodzenia, gdy się pochyliła i dodała: - Moja plotkarska, świątobliwa Amicjo. Udziel błogosławieństwa starej kobiecie, skarbie.

Amicja miała kilka minut, żeby rozpoznać sztandar i zbrojnych. Znała najmłodszego syna Gause i jej kapitana. Kobieta wciąż robiła na niej tak ogromne wrażenie, że odbierało jej mowę.

Gause Murien, matka Czerwonego Rycerza i ser Gawina, żona hrabiego Zachodniego Muru, nie była wysoka, choć niewielu ludzi pamiętało ją jako małą. Miała zaledwie pięć stóp w kapeluszu, lecz wcale nie wydawała się niska, kiedy siedziała w butach z ostrogami na roslym wierzchowcu. Ząb czasu nie tknął jej miodowych włosów, podobnie jak twarzy, skóry szyi czy piersi, i nosiła się zgodnie z najnowszą etruską modą. Miała wysoki szpiczasty kapelusz z wielką

egretą strusich piór spiętych heraldyczną broszą i idealnie suchą pelerynę w swoich barwach, zielonych i czarnych, podbitą tak głęboką czernią, że wyglądała na hermetyczną, i lamowaną królewskimi gronostajami, do których miała prawo jako siostra króla. Nosiła ciemnozielone rękawiczki, szmaragdowe kolczyki oprawione w złoto i dopasowany do nich naszyjnik, spoczywający na jej ramionach i piersiach pod peleryną. Ostrogi miała złote, jak rycerz, i nosiła miecz bojowy w zielonej pochwie ze złotymi okuciami, będący nawet w Albie niepospolitym akcesorium u kobiety.

Tuż za nią na berle z pętami, dzwonkami i kapturem siedział wielki ptak, za duży na jastrzębia i nawet na orła. Był ogromny, wielkości dużego psa. Jego obłąkańczy skrzek płoszył konie.

Księżna zerknęła na niego i się odwróciła. Nosiła na sobie równowartość całej wioski. Ludzie stawali w drzwiach albo wychodzili na ulicę, żeby ją zobaczyć, a ona uprzejmie kiwała ręką i słała im uśmiechy.

Amicja głęboko odetchnęła, zsiadła z osła i dygnęła.

Księżna się uśmiechnęła.

- Jesteś naprawdę śliczna. Nie sądzisz, że te piersi i nogi marnują się dla Boga? On o to nie dba. Niech sobie weźmie brzydkie stare panny. Te nogi są tworzone do rozrywki, skarbie.

Zbrojni byli przyzwyczajeni do odzywek swojej pani. Żaden się głupio nie uśmiechnął. Żaden nie skomentował.

Amicja się wyprostowała.

- Nikt nie może być głuchy na pochlebstwa Waszej Miłości ani nie zrozumieć ich znaczenia - powiedziała.

- Lubię cię, mała wiedźmo - rzekła wciąż uśmiechnięta Ghause. - Chodź zasiąść do posiłku ze starą kobietą. Wiesz, że wedle wszystkich doniesień mój syn przebywa w pobliskiej fortecy?

Amicja się uśmiechnęła.

- Tak słyszałam.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważyła Ghause. - Za dużo się modlisz?

Amicję kusilo powiedzieć, że wyczerpała ją *ops* przez dwa dni i dwie noce, ale postanowiła tego nie zdradzać. Zmusiła się do

uśmiechu.

- Zbyt wielu młodych kochanków - rzuciła.

Piękne oczy Ghausa o mało nie wyszły z orbit. Przez długi czas panowała cisza. W końcu księżna parsknęła tak głośno, że jej koń się spłoszył

i musiała mocno ściągnąć wodze. Potem się śmiała i śmiała.

\*\*\*

Amicja nie była przyzwyczajona do usług, jakich wymagała księżna. Ghausa przebrała się w jeszcze wspanialszą suknię z zielonego aksamitu, który nie pozostawiał żadnemu obecnemu mężczyźnie wątpliwości co do jej figury i karnacji. Wyszczotkowane włosy lśniły jak czerwone złoto jej klejnotów.

Amicji przyszło na myśl, że wielka księżna jest zdenerwowana.

Gospodarz i jego ludzie byli tak uprzejmi, jak im pozwalał sznur dwudziestu zbrojnych i czterdziestu służących w małej wiejskiej gospodzie. Amicja poprosiła o mocne czerwone wino dla ukojenia nerwów, ale najlepszym balsamem dla jej duszy był widok Helewizy - pani Helewizy dla starszych miejscowych. Była dziedziczką dworu leżącego niedaleko na południe od karczmy i weszła po cichu, ubrana w porządną wełnianą suknię i fartuch, z córką Filipą i drugą dziewczyną w tym samym wieku, Jenny. Obie były ładnymi blondynkami i umiały się zachować jak kobiety wysokiego rodu, kiedy wymagały tego okoliczności. Po szeptanej rozmowie z karczmarzem Helewiza wyszła na podwórze i pomówiła z kapitanem zbrojnych księżnej, po czym osobiście zaniósła wino ser Eneaszowi.

Ser Eneasz ukłonił się nisko.

- Nie jesteś karczemną sługą - powiedział.

Uśmiechnęła się do niego.

- Nie, panie rycerzu, ale w wiosce wszyscy sobie pomagamy. Szczególnie w złych czasach.

Zbrojni, wszyscy szlchetnego rodu, zsiadli z koni i stali w grupkach na dziedzińcu. Gospoda była za mała, żeby pomieścić wszystkich naraz.

Helewiza widziała przez okna, jak żona karczmarza się krząta, żeby przygotować dwa długie stoły dla panów.

- Dwa stoły za chwilę będą gotowe - powiedziała. - Jeśli panowie będziecie uprzejmi wchodzić kolejno i zajmować miejsca, to zapewni księżnej trochę prywatności. I pozwoli nam sprawnie was nakarmić.

Ser Eneasza się uklonił.

Filippa i Jeny wyszły na podwórze z jej własnymi srebrnymi tacami, pełnymi kieliszków z Weniki napełnionych najlepszym oksytańskim winem, które dobrze zniosło długą podróż. Obsługiwały wszystkich jak damy, a panowie dziękowali im toastami i srebrem.

Helewiza wzięła kieliszek ser Eneasza. Kapitan się uklonił.

- Jestem ser Henri - przedstawił się z akcentem równie wenikańskim jak szkło.

Helewiza dygnęła z usztywnionymi plecami, nie przechylając tacy.

- Wyświadczasz nam zaszczyt, panie.

Ser Henri się roześmiał.

- Na Boga, na podwórzu tej gospody spotkałem się z większą uprzejmością niż przez rok w Ticondadaze.

Helewiza pokiwała głową.

- Przekonasz się, panie, że karczmarz jest twoim rodakiem, jeśli dobrze rozpoznałam twój akcent.

- Na krzyż Chrystusa! - zawołał ser Henri. - Może w takim razie ma trochę naszego wina. Gospodyni? Pani?

Helewiza pokiwała głową.

- Tutejsi zwą mnie panią, panie rycerzu, ale mój mąż, choć dobry zbrojny, nie był rycerzem.

Weszła z tacą do karczmy, ale najpierw przywołała wzrokiem swoją córkę i Jenny, które zbyt długo się pławiły w podziwie dwudziestu młodych mężczyzn.

\*\*\*

- Co cię sprowadza do Albinkirku? - zapytała księżna.

Miała zdrowy apetyt - pochłonęła pół królika, całego kapłona i zabrała się do zieleniny wyraźnie nieświadoma, że karczmarz dokonał cudu, podając zieleninę pod koniec marca.

Amicja jadła bardziej powściągliwie, wierna ślubom Wielkiego Postu, ale musiała przyznać, że strawa jest smaczna, a wino jeszcze lepsze. Siedziała z księżną oddzielona zasłoną od zbrojnych, którzy

hałaśliwie okupowali dwa długie stoły bliżej drzwi.

- Przeorysza uważa, że w obecnym czasie podróż nie wchodzi w rachubę - powiedziała. - Ja będę reprezentować zakon na radzie ser Johna.

Księżna spojrzała jej w oczy.

- Jesteś pełna niespodzianek, moja droga. Chcesz zasiąść na krześle Sophii i zostać przeoryszą? Na Boga, to mogłoby wystarczyć, żeby odwieść moje myśli od twojego zameścia. Poza tym, po co komu mężczyźni? - Roześmiała się, przełknęła kawałek trufli i napiła się wina. - Wyjąwszy jedno, w czym są dobrzy.

- Wojaczkę? - zapytała Amicja.

- Wyborna uwaga. Są dobrzy w wojaczce i seksie. - Ghause się uśmiechnęła. - Jestem tylko sprośną staruszką.

- Skoro tak mówisz.

Ghause uniosła rękę, na co podeszła jedna z jej dworek.

- Sprowadź karczmarza - poleciła jej księżna. - Więc... uważasz, że możesz odtrącić zaloty mojego syna, żeby zostać najpotężniejszą kobietą na północy?

Amicja czuła, że jest coraz lepsza w rozmowie z Ghause.

- Nie, wcale tak nie uważam.

Gospodarz wszedł do alkowy i nisko się uklonił.

- Karczmarzu, wyborna strawa. Jestem zachwycona. - Księżna wyciągnęła rękę, wyświadczając mu niesłychany zaszczyt, zważywszy na dzielącą ich różnicę stanów. Karczmarz się uklonił i ucałował zaoferowaną dłoń. - A te kluski... co to takiego?

Gospodarz się uklonił.

- W Etrurii zowią je *gnocchi*.

- Z trufli - rzekła księżna.

- Zdradziłem wszystkie moje sekrety - powiedział z galanterią karczmarz. - Ale przekażę twoje słowa żonie. Ona je robiła.

Ghause pokiwała głową. Jej zielone oczy się śmiały.

- Czuję, że te kluski mogłyby zaszkodzić kształtowi moich ud, ale, na ukrzyżowanego Chrystusa, chętnie jadłabym je przez cały dzień. - Błysnęła olśniewającym uśmiechem.

Uklonił się wyraźnie przytłoczony jej mową.

Odprawiła go ruchem ręki.

- Powiem każdemu panu, że cię odwiedziłam - obiecała. - Proszę, masz prawo wywiesić mój herb w oknie.

Karczmarz ukłonił się i wyszedł ze znacznie lepszymi widokami na wiosenne interesy. Amicja dostrzegła panią Helewizę, swoją serdeczną przyjaciółkę. Wymieniły spojrzenia i zasłona opadła.

- Zatem nie zmienisz zdania - warknęła Ghause w chwili, gdy karczmarz zniknął, jakby go wcale nie było.

Amicja z zaskoczeniem stwierdziła, że ma ochotę zwierzyć się tej strasznej kobiecie, ale zachowała spokój.

- Nie, Wasza Wysokość.

- W takim razie bodaj cię diabli. Dałabyś mi piękne, sprytne, długonogie wnuki obdarzone mocami. - Pochyliła się ku niej. - Jeśli nie chcesz go zostawić dla siebie, czy w takim razie pomożesz mi znaleźć dlań żonę?

Amicja krzyknęła cicho.

Ghause zaśmiała się ponuro.

- Tak właśnie myślałam.

- Oczywiście, że pomogę - zapewniła Amicja.

Znowu sprawiła sobie niespodziankę - zaskoczyła ją prędkość i siła własnej reakcji. Miała rok, żeby się dostosować. Była panią swojego przeznaczenia.

Ghause się uśmiechnęła.

- Jesteś bardzo dzielna. To dobrze. Jedź ze mną, a będziemy się wspierać, co muszą robić kobiety w dzisiejszym świecie.

\*\*\*

Dwie godziny później wszyscy ludzie księżnej, dwudziestu zbrojnych, ich giermkowie i paziowie, sokolnicy i dwóch łowczych z dwoma martwymi turami na wozie, podjedli i napili się wina, a sto koni dostało obrok i wodę. Wszyscy mieszkańcy wioski przyłożyli do tego rękę w taki czy inny sposób, od dostarczenia zrobionych jesienią kiełbas po wypożyczenie stajennych i służek.

Ser Henri rzucił gospodarzowi sakiewkę, gdy duży zakapturzony ptak odjechał z podwórza na zielono-złotym wozie.

- Nigdy nie zapomnę tej karczmy - powiedział. - Dziękuję w

imieniu moim i każdego mojego rycerza.

Pokłusował na wielkim koniu bojowym - wszyscy rycerze dosiedli rumaków na wjazd do Albinkirku - za swoim konwojem.

Karczmarz wszedł ciężkim krokiem do gospody, gdzie połowie wioski podawano piwo. Podliczył półroczny zysk na szynkwasię przed swoją żoną, która go uściskała.

- Jasne czy ciemne? - zapytała Helewizę.

Pani się uśmiechnęła.

- Za mała przysługa, żeby wymagała zapłaty.

Wypiła pół kwarty piwa, zabrała swoje dziewczęta i poszła z nimi do domu przez błotniste pola okolone wciąż zamarzniętymi miedzami.

\*\*\*

Wjazd księżnej Zachodniego Muru do Albinkirku daleki był od spontanicznego. Jej zbrojni łsnili, wszelkie zabrudzenia po podróży zostały usunięte w gospodzie i cała kolumna wtargnęła do miasta niczym mściwa armia. Zbrojni nosili zielono-złote barwy, wozy były zielono-złote i nawet ogromny ptak, swego rodzaju oswojony potwór, miał złotozielone odznaki, jak sama księżna w szmaragdach. Większość mieszkańców Albinkirku wyległa na ulice i kapitan Henri rozdawał jałmużnę biedakom.

Księżna jechała pośrodku orszaku. W bramie w oślepiającym słońcu powitał ją ser John i osobiście eskortował wąskimi, krętymi ulicami do cytadeli, gdzie się rozgościła ze swym licznym dworem.

Stała w wielkiej sali pod wysoką powałą i uśmiechnęła się do ser Johna, który czuł jej moc jak ogier wietrzący klacz, i do biskupa. Biskup patrzył na nią jak na zakazaną księgę i oszczędzał swoje ciepło dla siostry Amicji, którą powitał niewinnym uciskiem.

- Gdzie moi synowie? - zapytała księżna.

Ser John się uklonił.

- Ser Gabriel i ser Gawin ćwiczą na placu - odparł.

- Przyślij ich do mnie, kiedy będą się przyzwoicie prezentować - poprosiła Ghause. Podała rękę kapitanowi Albinkirku. Przez ramię powiedziała do ser Henriego: - Możesz zabrać ser Eneasza do jego braci.



Ujęła Amicję pod rękę.

- Chodź.

Amicja wiedziała, że jest do czegoś wykorzystywana, ale też miała niewielki wybór, więc poszła z nią chętnie.

Czterej myśliwi zabrali ptaka.

\*\*\*

Jeśli ranek był mokry i pełen żałoby, południe okazało się suchsze, ale pod względem fizycznym równie wyczerpujące jak ciężkie dla serca pierwsze chwile dnia. Wyglądało na to, że kapitan postanowił wysadzić z siodła każdego członka swojej kompanii. Jeździł na wielkim rumaku Ataelusie w tę i z powrotem wzdłuż szranków, ścierając się z kolejnymi rycerzami. Na pierwszy ogień wziął ser Johna, który musiał powitać jego szatańską matkę, i przerzucił go przez koński zad. Kapitan Albinkirku wiedział, że przez wiele dni będzie go łupać w krzyżu, ale kiedy tylko księżna weszła królewskim krokiem do swoich pokoi, zaprowadził jej rycerzy z powrotem na dziedziniec, wsiadł na konia i pojechał z nimi na plac pod murami od południowej strony.

Gdy przybył, ser Alkajos spektakularnie zrzucił z konia młodego Oksytańczyka, na pozór wcale nie poruszając się w siodle. Przemknął wzdłuż szranków z wysoko uniesioną nieskruszoną kopią.

Starciom przyglądało się może ze dwadzieścia kobiet i setka mężczyzn. Bili brawo.

Ser Michael wjechał przy wschodnim krańcu szranków, a Zły Tom z zachodniej strony. Mieli proste zbroje, bez tabardów czy ozdób, i obaj nosili wielkie turniejowe hełmy zamiast basinetów.

Zasalutowali i konie ruszyły.

Ser Henri pokiwał z aprobatą głową.

- Są bardzo dobrzy - skomentował.

Spotkali się i konie się rozbiegły. Obie kopie pękły w wybuchu jesionowych drzazg. Obaj mężczyźni jechali wyprostowani jak konne posągi.

Ser John uśmiechnął się ponuro.

- W istocie, bardzo dobrzy - powiedział. - Jeśli chcesz się zmierzyć, zajmij miejsce w kolejce.

Poniżej nich czekał szereg ludzi na rumakach. Konie się wierciły, puszczały bąki, groziły jeden drugiemu skopaniem albo pokąsaniem.

Ser John pojechał wzdłuż nich, podobnie jak ser Eneas. Dołączyło do nich kilku zbrojnych. Inni zsiadli z koni, przekazali je stajennym i zaczęli się potykać na miecze albo drewniane wastery. Niektórzy stanęli przy barierkach i tylko patrzyli.

Ser Gawin skruszył kopię w starciu z ser Bescanonem, który uderzył go w hełm, ale nie zerwał grzebienia.

Ser Phillipe trafił młodego rycerza z Jarsayu w ramię, niszcząc naramiennik i zadając mu ranę. Kilku mężczyzn natychmiast zabrało rannego, a ser Phillipe, wyraźnie wstrząśnięty, kazał zdjąć swoją tarczę i wycofał się z udziału w potyczkach.

Po dwóch nieciekawych starciach ser Henri zajął miejsce. Wziął kopię od Toby'ego, który służył wszystkim zbrojnym po tej stronie szranków.

Ser Gabriel pchnął konia do przodu, minął ser Francisa Atcourta, który uniósł zasłonę i powiedział coś drwiąco.

Ser Henri zasalutował i ruszył z kopyta. Parę sekund później leżał nieprzytomny na piasku. Czerwony Rycerz niemal go stratował, wracając. Ser Gawin ostro przemówił do brata.

Ser Eneas, jeden z najmłodszych tutaj uczestników, przygotował się do spotkania z ser Gawinem, swoim bratem. Nie dał za wygraną; galopując tuż przy barierze, trzasnął kopią w hełm starszego brata.

Obie kopie się skruszyły - i obaj mężczyźni stracili hełmy, rozbite przez ciosy, i rozjechali się w przeciwnie strony z gołymi głowami. Nagrodziły ich dzikie owacje.

\*\*\*

Ser Henri szybko doszedł do siebie i powtarzał, że wcale nie stracił przytomności.

Ser Gawin miał dziwną minę, kiedy podszedł do niego ser John.

- To wyglądało... brutalnie - powiedział ser John.

Ser Gawin odwrócił wzrok.

- Uczył nas, jak walczyć. Od dzieciństwa.

Ser John się roześmiał.

- Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada?

Ser Gawin spojrział mu w oczy.

- Nie pozwól, żeby mój brat znowu się z nim potykał.

Ser John pokiwał głową.

- Wcześniej zarządzałem szrankami. Będę miał to na względzie. Twoja pani matka chce się zobaczyć z wami obydwoma.

Ser Gawin pokiwał głową.

- Domyśliłem się, że przybyła, widząc stada paziów. Ale nasza matka chce najpierw zobaczyć się z Gabrielem, więc nie muszę się śpieszyć.

Ser John podrapał się pod kołnierzem kolczym.

- W takim razie może zbierzemy wszystkich kapitanów na odprawę... Nieformalne spotkanie przed radą.

Ser Gawin popatrzył na ser Henriego, który zdjął hełm i pił wodę podaną przez giermków.

- Być może to dobry pomysł.

Po trzech kolejnych starciach stół czekał na dziedzińcu i podawano wino. Ser Gabriel usiadł z ser Gawinem, ser Michaeliem i ser Thomasem, ser Henri zajął miejsce obok ser Eneasza, a ser John przy ser Ricarze Fitzalanie. Ser Alkajos dołączył do nich po ostatnim starciu z hrabią Zakiem, który być może był najbardziej nonszalanckim uczestnikiem turnieju, jakiego kiedykolwiek widziano.

Ser John przeszedł do rzeczy.

- Panowie, dziękuję. Celem rady jest omawianie kwestii politycznych. Ale przyszło mi na myśl, że skoro mamy tu tak wielu możnych panów, możemy natychmiast wysłać w pole małą armię i usadzić Dicz na zadzie.

Ser Gabriel wypił wino.

- Nie owijasz w bawełnę. Chciałbyś za darmo wykorzystać moje kopie, moich doświadczonych rycerzy i łuczników.

Ser John pokiwał głową.

- Owszem.

Ser Thomas Poganiacz uniósł brew.

- I wszystkich moich kuzynów? Kto będzie nimi dowodzić? Górale od nikogo nie przyjmują rozkazów.

Gabriel się roześmiał.

- Z mojego doświadczenia wynika, że od nikogo.

Zły Tom wyszczerzył zęby.

Ser John popatrzył na ser Ricara.

- Kapitan gwardii królewskiej ruszy do boju.

Ser Ricar wstał.

- Jeśli się zgadzacie, panowie, zwołam przegląd. Wyplączę królewski żołd za dziesięć dni. Przeczeszemy północny brzeg Cohoctonu i będziemy ochraniać jarmark. Z setką kopii i wsparciem sióstr zakonu mało prawdopodobne, żebyśmy spotkali coś, z czym sobie nie poradzimy.

- Dziesięć dni! - Ser Thomas pokręcił głową. - Pasza przy Południowym Brodzie nie wykarmi mojego bydła przez tyle czasu.

- Jeśli nie ochronimy jarmarku... - Ser John wzruszył ramionami. - Konwoje nadciągają z południa. Staram się oczyszczać drogi, ale...

Ser Gabriel, najemnik, zaskoczył ich wszystkich. Wstał i zabrał głos.

- Jestem za. Tomie, dajmy im tydzień i zobaczymy, jak to będzie. Ser Ricarze, zadowolisz się tygodniem, i może kilkoma dniami więcej, jeśli będzie trzeba?

Ser Henri uniósł brew.

- Decyzja należy do mojej pani - powiedział. - Ale zdaje się, że warto, i z pewnością Ticondaga będzie się miała lepiej ze świadomością, że południe jest bezpieczne.

Zak uniósł krzaczaste brwi, patrząc na ser Gabriela. Lekko skinął głową.

- Hrabia Zak jest oficerem cesarza. Służy mi jako Megasowi Dukasowi cesarstwa. Dołączy do ciebie na czas tych wiosennych łowów.

Ser Ricar podszedł z brzękiem zbroi do szykownego wojownika i uściśnął jego rękę. Ser Alkajos wyjął woskową tabliczkę i zaczął pisać przy łokciu kapitana.

- Mamy czterdzieści kopii i dwudziestu stradiotów - oznajmił. - Ser Henri?

Etrusk potarł czoło.

- Jeśli księżna się zgodzi - zaznaczył powtórnie. - Mam

dwadzieścia kopii. I czterech myśliwych, którzy doskonale znają wroga.

Ser Ricar skinął głową.

- Ja też mam czterdzieści kopii i osiem z nich jest teraz na patrolu.

- Więc z cesarskimi żołnierzami hrabiego możemy wystawić sześciuset ludzi - powiedział z ulgą ser Ricar. - Na Boga, panowie.

Zły Tom westchnął.

- Mogę dodać kolejną setkę takich, jacy stawiają czoło wszystkiemu w Dzikim.

- Uważam to za pomyślny znak, panowie - zauważył ser John. - Rada jeszcze się nie zaczęła, a mamy wojsko w polu. - Zwrócił się do ser Ricara: - Kiedy wymaszerujecie?

- O świcie - odparł ser Ricar. - Otworzę bał, omiatając obie strony zachodniej drogi. Wiem, nasi ojcowie nas uczyli, żeby nie dzielić siły, ale wyślę połowę na północ od Cohoctonu i połowę na południe. Oczyszczymy całą trasę dla konwojów na obu brzegach.

Ser Gabriel wstał.

- W takim razie, jeśli panowie ustalicie szczegóły tego, co właśnie zaplanowaliśmy, oddam moich żołnierzy pod komendę ser Bescanona. Muszę odwiedzić matkę.

Uklonił się wszystkim, nawet ser Henriemu, i poszedł po sprężystej murawie do czekającego giermka.

- Dlaczego on mnie doprowadza do zgrzytania zębami? - zapytał ser Ricar.

- Nie był taki jako chłopak - powiedział ser Henri. - Był zniewieściały, głównie przez...

Ser Gawin pojawił się pomiędzy nimi i nie było dalszych wspomnień.

\*\*\*

Ser Gabriel pozbył się zbroi i poszedł do swojego pokoju, żeby się wykąpać. Zostawszy z Tobym, Nell i dwoma trackimi służącymi, wypił dwa kubki małmazji. Ubrał się w strój z czerwonej wełny pasujący do broni i przypiął złote ostrogi z sześcioramiennymi gwiazdkami, które mogły zostać mylnie wzięte za symbol hermetyczny. Założył złoty pas rycerski. Nie zabrał miecza, ale nie

wzgardził puginałem o rękojeści z kości słoniowej.

Nell i Toby mieli pewne pojęcie, co zamierza zrobić. Oboje zdobyli się na uśmiechy.

Ser Gabriel miał czas pożałować, że nie ma przy nim Toma albo Alison. Albo Arnauda.

Wyszedł na mały balkon, wysoko nad doliną. Odetchnął, dopił wino i trochę za głośno odstawił kubek.

- Nie - powiedział, kiedy Toby odziany w swoje najlepsze rzeczy stawiał się jako eskorta. Skinął na syna ser Christosa, Giorgosa, wysokiego Traka z nosem jak dziób. Wcale nie Albanina. - Pójdź ze mną, proszę - powiedział w górnym archaickim. Uśmiechnął się do Toby'ego na znak, że nie chciał go obrazić. Po prostu nie miał zamiaru pozwolić, żeby powtarzano słowa jego matki.

Wyszedł do sali. Giorgos znał drogę - było to jego obowiązkiem - i zaprowadził go do południowej wieży. Weszli po dwóch tuzinach stopni w wąskiej klatce schodowej i stanęli na podeście z dwójgiem drzwi. Giorgos zapukał i czekali.

Drzwi otworzyła poważna młoda kobieta o rudych włosach i brązowych oczach. Dygnęła i zaprowadziła ich do komnaty niemal takiej samej jak ta, którą ser Gabriel zajmował w północnej wieży.

- Czy to mój syn pierworodny?! - zawołała Ghause. - Mam dla ciebie prezent, kochanie. Wejdz.

Brązowooki rudzielec otworzył drzwi wewnętrznej komnaty i Gabriel, po głębokim oddechu, ignorując drżenie rąk, przestąpił próg.

\*\*\*

Amicja siedziała w słońcu zajęta haftowaniem. Przez zimę nauczyła się paru sztuczek, między innymi stębnowania liter, wycinania ich i naszywania na obrus ołtarzowy przed haftem nakładanym jedwabną nicią. Powoli pracowała nad obrusem paschalnym do swojej kaplicy w Południowym Brodzie, wszędzie nosząc ze sobą płótno i jedwab zapakowany w nasączone olejem tkaniny. Helewiza ją nauczyła tego zajęcia dam, niekoniecznie zakonnice. Wyszyte przez nią gotyckie litery IHS były eleganckie i prawie równe.

Pracowała nad ostatnim *i w domini*, kiedy dołączyła do niej Ghause

i zaczęła się zajmować dużym ptakiem na berle.

Amicja zrozumiała, że rzuca czary.

Ghause zakończyła kilkoma niskimi gardłowymi dźwiękami, które przyprawiły ją o rumieniec.

Księżna się roześmiała.

- Ach, moja miła, zwykle pracuję sama. I naga.

Amicja się roześmiała.

- Jak ja, kiedyś.

- Wiele się nie różnimy - skomentowała Ghause.

Amicja pochyliła głowę i wróciła do haftowania.

- Co to? - zapytała.

- Prezent dla Gabriela. Nie, nie wstawaj. To na pewno on. - Przyłożyła rękę do drzwi i zawołała: - Czy to mój syn pierworodny?! Mam dla ciebie prezent, kochanie. Wejdz.

Szeroko otworzyła drzwi. Gdy to zrobiła, odsłoniła ptaka.

Był większy, niż Amicja sobie wyobrażała, ale obecność Gabriela Muriena przeważała nad jej szokiem.

Nie chodziło o to, że się zmienił.

Chodziło o to, że był.

\*\*\*

Gabriel stracił panowanie nad twarzą i sercem, jak niewyszkolona armia w zasadzce. Był zaślepiiony widokiem Amicji, nieuprzedzony, nieprzygotowany - z szerokim uśmiechem podszedł, ujął jej dłoń i ucałował.

A ona się zarumieniła.

Jego matka wybuchła śmiechem.

Młody gryf na berle, prawdziwy potwór z Dżicy, został zalany przez falę miłości. Wlepił wzrok w Gabriela, uniósł wielkie skrzydła i wylał swoją miłość. Potężnie krzyknął, jakby trafiony w serce.

Ghause zaśmiała się głośniej.

- Cudownie! - krzyknęła. Podeszła jak zwycięzca zadający *coup de grâce* i pocałowała syna w policzek. - Zatem dwa prezenty.

Amicja, poruszona do granic wytrzymałości, wstała zbyt szybko i nastąpiła na obrus. Zapanowała nad wyrazem twarzy, minęła Gabriela i z wysoko uniesioną głową wyszła z pokoju.

- Wróci - powiedziała Ghause. - Pragnie cię bardziej niż swoich anemicznych ślubów.

Gabriel drżał.

- Przyniosłam ci potężny dar - mówiła Ghause. - I gdzie podziękowania? Witaj, synu.

- Użyłaś jej jako przynęty na gryfa? - zapytał.

- Oczywiście! Czy jest lepsza miłosa przynęta niż twoja bogdanka? Dobra jak wszystko w romansie. I spójrz, udało się! Masz własnego gryfa, który mnie też kosztował sporo zachodu. - Ghause nie była kobietą skłoną do tego, żeby pleść trzy po trzy, ale przestraszył ją widok gniewu na twarzy syna. - Mój drogi, gryfa należy witać z miłością. Po to żyją. Nie można odrzucać ich uczucia. Są zbyt głupie. I zbyt sprytne. Teraz na zawsze będzie twój. - Uśmiechnęła się. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Niewiele się zmieniłaś - powiedział.

Uśmiechnął się do gryfa. Podszedł do berła i zamruczał do stworzenia.

- Ile ma lat? - zapytał.

Ghause uśmiechnęła się w duchu, wiedząc, że rzeczywiście zrobiła na nim wrażenie.

- Ma jakieś dwa miesiące i je jak dziesięć wilków. Za pół roku będzie cztery razy większy. Jego matka była dość duża, żeby mógł na niej latać dorosły mężczyzna.

- Zabiłaś ją.

Ghause prychnęła z oburzenia.

- Była dzika! I niebezpieczna!

- To samo można powiedzieć o tobie, mamó. - Gabriel patrzył w ślepie potwora, który odpowiadał spojrzeniem niemądrego kota.

- Zmieniłeś się, mój synu. Spójrz na siebie. Masz moc.

- Zły dzień, żeby to mówić, matko. - Gabriel podszedł do okna i wyrżał. Niezdolny się powstrzymać wrócił do ptaka.

- Ale teraz jesteś Mocą - wymruczała. - Ja cię takim uczyniłam i spójrz na siebie. Oni cię wielbią. Wszyscy cię wielbią.

- Przestań!

- Kiedy obejmiesz królestwo, będą...



Patrzył w duże, szalone, zachwycone oczy gryfa.

- Oczywiście potrzebuje ciągłej uwagi - wyjaśniła. - Nie uwierzyłbyś, dziecko, ile wysiłku w to włożyłam. Ja...

- Matko, przestań, proszę.

Odwrócił się i stanęli oko w oko.

- Zawsze miałeś sztywny kark - parsknęła.

- Zabiłaś moją nauczycielkę i mojego fechtmistrza.

Zmarszczyła brwi.

- Wcale nie. Henri zabił twojego tak zwanego fechtmistrza i Prudencję... - Wzruszyła ramionami. - Naprawdę nie wiem, co się stało.

- Rozkazałaś ich zabić - oświadczył.

- Jesteś męczący. Przestań żonglować słowami. Zabiłaś, rozkazałaś. Na co się to zda? Byli niczym. Sprowadzali cię na manowce i, spójrzmy prawdzie w oczy, musiałeś się stać trochę twardszy. Nie mam racji? - Położyła rękę na jego piersi, z rozcapierzonymi palcami.

Nie próbował się odsunąć. Ghause patrzyła mu w twarz. Kiedy widziała go ostatnim razem, był odrobinę wyższy niż ona, a teraz nad nią górował. Nagle jej źrenice się rozszerzyły.

- Gdzie jest ser Henri? - zapytała.

Gabriel się roześmiał.

- Nie jestem tobą, matko. Nie zabiłem go. Ucierpiała tylko jego zbroja.

Ghause tupnęła nogą.

- Nie traćmy naszego wspólnego czasu, skarbie. Muszę się z tobą podzielić wieloma rzeczami, czarami, planami. - Uśmiechnęła się. - Jesteś teraz księciem Tracji!

Od wzajemnił uśmiech i postarał się naśladować jej pełen zadowolenia ton. Była jego matką.

- W istocie.

Parsknęła gardłowym śmiechem.

- Moje drogie serce! Każdy cal ziemi wzdłuż Muru należy do nas. Hrabia, ja i ty... jakie królestwo stworzymy!

Gabriel delikatnie pogładził pióra wielkiego gryfa.

- Nie.

Ściągnęła brwi.

- Co to znaczy nie?

Wzruszył ramionami.

- Chodzi o to, że nie mam zamiaru brać od ciebie lekcji dyplomacji. Cokolwiek zamierzasz, nie wezmę w tym udziału. I skoro jesteśmy przy tym nieprzyjemnym temacie, możesz dorzucić sztuki hermetyczne. Przypuszczam, że nie masz mnie czego nauczyć, a poza tym nie zaufałbym ci, gdybyś weszła do mojej głowy.

- Nie mam cię czego nauczyć? - zachnęła się zraniona do żywego Ghause. - Jesteś moim dzieckiem. Stworzyłam cię.

Gabriel ukłonił się lekko z łatwością, która sprawiła, że poczuł się z siebie dumny. Matka budziła w nim przerażenie, ale, na Boga, udawało mu się tego nie okazać. Zacisnął dłonie, żeby ukryć ich drżenie.

- Przez rok miałem w głowie Harmodiusza - powiedział, a każda sylaba padała niczym pocisk wystrzelony z maszyny obłączniczej.

- Pracowałeś ze złotem? - zapytała.

W eterealu, swoim innym wzrokiem, *patrzyła, jak wysnuł promień światła ze złota i jej własnego oddechu z zieleni i splótł je oba w amulet.* Podał jej herkulesowy węzeł łodyżek róży.

Przyjęła go.

Amulet wybuchł - mała eksplozja różanych płatków i kadzidła.

- Mam własne plany. Nie obejmują ciebie. - Gabriel się ukłonił. - Przyznam, że chcę zatrzymać gryfa.

Ghause schyliła głowę. Cofnęła się o krok pokonana.

- Jak sobie życzysz, mój potężny synu - rzekła i z łatwością płynącą z lat praktyki nie zawarła w głosie ani jednej nutki triumfu.

Mój synu! Razem zawładniemy wszystkim. Zaraz po tym, jak cię odzyskam.

\*\*\*

Godzinę później Gawin znalazł brata samego w jego komnacie. Nell uprzedziła o jego wizycie.

Gabriel dawał kurczaka z piórami i całą resztą gryfowi, który wyglądał, jakby rósł na jego oczach. W powietrzu wisiał zapach stworzenia, erotyczny jak piżmo z nutą krwi.

- Żyjesz? - zapytał Gawin. - Do licha, co to?

Gabriel westchnął.

- Bardzo żyję. To znaczy zraniony, niespokojny i w ponurym nastroju. Jakbym znowu miał, kurwa, piętnaście lat. - Uśmiechnął się posępnie. - Ale dała mi gryfa. Jest piękny, prawda?

Gawin zaśmiał się nalał sobie wina.

- Też chciałbym dostać gryfa. Widzę, że nie zasłużyłem. - Pokręcił głową. - Czy moje nagłe pragnienie gżenia się z pierwszą służebną dziewczką, jaką znajdę chętną...

Gabriel się skrzywił.

- Może to tylko przeze mnie. Nie, to gryf. Nie może temu zaradzić. Wszystkie emanują miłością i piją miłość. I... podsuwają miłosne myśli.

Gawin się zaśmiał.

- Najświętsza Panno, jakbym znowu miał piętnaście lat. Niech przestanie!

- Chodzi ci o nagłą żądzę czy o to, jak wpływa na nas matka? W istocie przy niej człowiek czuje się jak piętnastolatek.

Gabriel rzucił w powietrze głowę kurczaka: wielki szpon ją pochwycił, a orli dziób zmiażdżył. Odsunął się od gryfa. Gawin, jakby brał udział w zapasach, przeniósł ciężar ciała i zamknął brata w objęciach.

- Nie - powiedział. - Nie jesteśmy dziećmi i nie będziemy wybierać strony. Kiedy byliśmy mali, skłóciła nas i zaczęła nami rządzić.

Gabriel uściskał go i odstąpił.

- Użyła Amicji przeciwko mnie.

Gawin zaśmiał się gorzko.

- Żałuj, że nie słyszałeś jej rad dotyczących lady Mary! - Zarumienił się na samą myśl. - Chyba nie mogę jechać do Lissen Carak i zostawić cię tu samego. - Wzruszył ramionami. - Wiesz, że ma ze sobą Eneasza.

- Wiem - powiedział Gabriel. Położył rękę na jego ramieniu. - Wiesz, czasami naprawdę jesteś najlepszym bratem. Jedź do swojej ukochanej. Ja zostanę z naszą matką. - Westchnął. - I z Eneaszem.

- I swoją ukochaną, zakonnicą.

Gabriel usiadł i schował twarz w dłoniach.

- Właśnie.

- Nikt nie może powiedzieć, że nie jesteśmy zabawną rodziną. -  
Gawin usiadł naprzeciwko brata. - Dlaczego zakonnica, bracie? Jest ładna, przyznaję. Chciałbym ją mieć dla siebie. - Wzruszył ramionami.  
- Ale...

Gabriel się wyprostował.

- Sam często się zastanawiałem, bracie. Myślę, że jestem jak myśliwy, który wpadł w zastawione przez siebie sidła.

- Rzuciłeś coś na nią? - zapytał Gawin.

- Mniej więcej - odparł Gabriel. Uśmiechnął się drwiąco. - Ilekroć myślisz, że jesteś bardzo sprytny, wychodzisz na straszego głupca.

- Znasz to z doświadczenia? Powinienem przestać pić, jeśli myślisz poważnie o tym, żeby pozwolić mi wyjechać.

- Im mniej świadków, tym lepiej.

- A jak ci się podoba jej pomysł, żeby uczynić z ojca króla Północy?  
- zapytał Gawin z ręką na klamce.

Gabriel uniósł wzrok z ponurym uśmiechem.

- Marzenie ściętej głowy, drogi bracie. Myśli, że zostałem diukiem Tracji, żeby zabezpieczyć jej granice.

Ser Gawin się odwrócił.

- Zrobiłeś to? - zapytał.

Cisza się przedłużała.

Ser Gabriel podszedł i położył ręce na ramionach brata.

- Gawinie, kiedyś miałem plany. Obecnie się zmieniły. - Odwrócił wzrok. - Więc odpowiedź nie jest prosta.

Gawin pokiwał głową. Pohamował irytację i znowu objął brata.

- Jesteś królem niejasności - powiedział.

- Przekaż lady Mary moje pozdrowienia - poprosił ser Gabriel.

\*\*\*

Rada Północy zaczęła się z mniejszymi fanfarami i ceremoniałem, niż można się było spodziewać. Następnego ranka wszyscy wielmoże zgromadzili się w wielkiej sali cytadeli. Nie zagrzmiały trąby, nawet księżna wydawała się przygaszona.

Ser John Crayford siedział u szczytu stołu. Miał porządną

pikowany zielony kaftan i dopasowane spodnie. I emanował powagą jak wszyscy inni z wyjątkiem księżnej. Patrzyła na niego z drugiej strony stołu, siedząc na wysokim drewnianym krześle przyniesionym przez jej ludzi, otoczona przez panny. Miała dopasowaną aksamitną suknię haftowaną złotą nicią w gryfy.

Po prawej stronie stołu siedziała Amicja, reprezentująca opactwo w Lissen Carak, i lord Gregario Wayland - nosił mało znane nazwisko, ale był przywódcą drobnych panów północnego Brogatu, Wzgórz i ziem na południe od Albinkirku. Sam był słynnym szermierzem i nosił się zgodnie z najnowszą harndońską modą. Towarzyszył mu jego sprzymierzeniec i przyjaciel, Wielki Koniuszy. Szykowny, przystojny pięćdziesięcioletni mężczyzna w misternie haftowanym zielonym kaftanie był kolejnym ze słynnych szermierzy północnego kraju i jednym z najbogatszych feudałów.

Bliżej księżnej siedział syn Gospodarza Dormlingu, Allan, postawny młodzieniec o twardych rysach twarzy. Na ziemiach Gospodarza zwano go panem Dormlingu.

Naprzeciwko nich siedzieli ser Gabriel jako diuk Tracji, ser Thomas jako Poganiacz i ser Alkajos reprezentujący cesarza tak, jak ser John reprezentował króla. Z uprzejmości - na północy były inne rady - zostawiono wolne miejsce dla smoka. Oczywiście nie było Żadnego Orleya, żeby zasiąść przy lordzie Waylandzie. Lord Matteo Corner zajął miejsce obok Petera Falconera - pierwszy był przedstawicielem etruskich kupców na północy, a drugi pracownikiem ser Geralda Randoma. Obaj wiedzieli, że mogą się wypowiadać w sprawach handlu. Radę równoważyły interesy Kościoła w osobie biskupa Albinkirku. W tym dostojnym zgromadzeniu uczestniczyły również damy księżnej i żona ser Gregaria, Natalia, w najmodniejszej sukni. Poza Tobym i Jamie'em, giermkim ser Johna, w sali nie było sług. Nie było też ani jednej ćmy.

Nikt się nie spóźnił. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, ser John wstał.

- Księżno, diuku Tracji, biskupie, mistrzu, panowie i panie - zagaił.  
- Jestem zwyczajnym żołnierzem. Ale zwołałem tę radę w imieniu króla i w jego imieniu jestem wdzięczny, że jego rodzona siostra wraz ze wszystkimi pozostałymi znalazła czas i środki, żeby się tu zjawić.

Mój zamiar jest prosty. Chcę opracować jednolity plan ochrony północy tego lata... tak, i przez wiele przyszłych letnich sezonów. Dzięki waszym wysiłkom już mamy w polu małą armię bez ponoszenia kosztów przez mieszkańców tego okręgu i, jeśli Bóg pochwała nasze starania, to będzie pięknym początkiem dzisiejszej dyskusji.

Powiódł wzrokiem po twarzach.

- Moi zwiadowcy, zwiadowcy cesarza i diuka dostarczyli meldunki, które skryby biskupa skopiowały dla wszystkich. Krótka mówiąc, Plangere nadciąga. Ma armię stworów Dżicy i drugą złożoną z Zamurzan, a do tego nowych sojuszników, Galów, którzy dostają powódź posiłków z ojczyzny.

Ghause miała znudzoną minę.

- I co z tego? - zapytała.

- To, pani, że dysponuje siłą zdolną do zajęcia Albinkirku. Albo Ticondagi. Albo Middleburga. Albo Lissen Carak. Albo nawet Loniki. Ale nie dokona tego, jeśli razem ruszymy w pole...

Mówiłby dalej, gdyby mu nie przerwała.

- Trele-morele. Bzdury. Mogę go przejrzeć na wylot i jest bezsilny jak... - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Mniejsza z tym. Nie udało mu się pokonać ser Gabriela i rok temu nie zdołał zająć Lissen Carak.

Ser Gabriel ściągnął usta.

- Nie zgadzam się.

Ghause spojrzała na niego tak, jakby był mitycznym stworzeniem.

- Wybacz mi, dziecko. Czyżbym się przesłyszała?

Gabriel lekko pokręcił głową.

- Miałem okazję uczyć się od jednego z jego oficerów.

Ghause uniosła idealną brew.

- Poddałeś go torturom?

- Subsumowałem go wraz z jego wspomnieniami.

Wokół stołu zapadła cisza.

- Ach - mruknęła Ghause z uśmiechem, który można by opisać tylko jako matczyne. - Proszę, mów dalej.

- Z początku miałem wrażenie, że próba ataku na mnie jest klejona gliną i śliną, że nie może być poważna. Mimo to... - odwrócił wzrok -

prawie się powiodła.

- Możliwe - mruknęła Ghouse.

- Odniosłem również wrażenie, że Plangere jest dobrze przygotowany. Że zakres przygotowań świadczy o jego niechęci do podejmowania jakiegokolwiek ryzyka. - Gabriel wzruszył ramionami.

- Zresztą dlaczego miałby ryzykować?

- Nie wierzę, że na świecie jest dość ludzi i mocy, żeby zająć Ticonda-gę - oznajmiła Ghouse.

- Żadna forteca nie jest silniejsza niż ludzie na jej murach - powiedział ser John. - I żadna forteca nie przetrwa rocznego oblężenia. Głód może wziąć każdą warownię.

Ghouse westchnęła.

- Zbyt wielkie dramatyzowanie. Dobrze, czego chcecie?

- Chcę mianowania kapitana północy. I chcę, żeby zebrał armię.

- Ty miałbyś być tym kapitanem?

Ser John wzruszył ramionami.

- Myślałem o twoim synu, Gabrielu.

Gabriel nie krył zaskoczenia.

- Jadę na turniej w Harndonie.

Ser John pokiwał głową.

- Stąd do Harndonu jest pięć dni jazdy, jeśli człowiek i jego eskorta są zdeterminowani. Krócej, gdy zmienia się konie. - Rozejrzał się wokół stołu. - Gdziekolwiek uderzy, będziemy w stanie połączyć siły. Chociaż bardziej niż księżna obawiam się o nasze starożytne fortece, powiem, że żadna z nich szybko nie padnie. Jeśli dobrze się przygotujemy, zyskamy miesiąc albo więcej na zebranie wojska.

- Mój mąż już jest gotów poprowadzić armię prosto na czarnoksiężnika, jeśli ci na tym zależy - oznajmiła Ghouse. Wyciągnęła szyję jak dziki jastrząb zaniepokojony podczas odpoczynku. - Dlaczego czekać? Dlaczego nie zaatakować?

Ser Gabriel zmarszczył brwi.

- Drogą wodną, Wasza Wysokość? - zapytał.

Ghouse się uśmiechnęła.

- Tak, moje dziecko.

- Jesteś potężnym magiem, matko. Przypuściłabyś wodą atak na

Ticondage? - Jego ton był cichy i pełen szacunku.

Ghause się roześmiała.

- Przyznam, że woda jest cudownym żywiołem do manipulowania.

- Poza tym każdy krok, jaki czarnoksiężnik robi na południe od wewnętrznego morza, nadweręża jego siły - wyraził swoją opinię ser John. -Dlaczego mielibyśmy tam iść i nadwładać nasze?

Lord Corner położył ręce na stole.

- Nie wszyscy z nas są ludźmi wojny - oznajmił. - Nie widzę powodu, by narażać armię w Dziczy.

Ghause się roześmiała, szczerze, nie pogardliwie.

- Jesteś w Dziczy, panie, choć może powinnam rzec, że nie ma czegoś takiego jak Dzicz. Irkowie i bogliny, ludzie i księża. Niewielka różnica pomiędzy nimi.

Lord Wayland był rozważnym człowiekiem. Odchylił się na krześle, przyłożył palec do podbródka.

- Zawsze łatwiej jest zebrać ludzi do obrony domów niż do napaści na domy innych.

Ghause parsknęła szyderczo.

Amicja spojrzała w obie strony stołu.

- Panowie, skąd będziemy wiedzieli, kiedy czarnoksiężnik podejmie prawdziwy wysiłek? Czy nie podejmuje próby, żeby nas zwieść?

Ser John uśmiechnął się do niej.

- Trafna uwaga. Żadna armia nie pomaszeruje i nie ogołoci żadnego okręgu. Musimy mieć przygotowane wezwanie do mobilizacji, żeby stanąć do obrony.

Ser Gabriel napotkał spojrzenie Amicji.

- Trafna uwaga, Amicjo. Ale sądzę, że możemy stworzyć mobilną armię szybszą niż siły Głoga.

Dreszcz mocy przebiegł w powietrzu.

Ghause zadarła głowę i wybuchła śmiechem.

- Błogosławię cię, moje dziecko. Rozbawiłaś mnie. Jemu dopiekleś!  
-Uśmiechnęła się. - Głogowi - dodała uwodzicielsko.

W sali na chwilę pociemniało.



Wszyscy szeroko otworzyli oczy.

- Poprzestańmy na tym - warknął ser Gabriel. - Jeśli po raz trzeci wypowiemy jego imię, kości zostaną rzucone. Na razie wezwanie zostanie zawieszona w powietrzu. - Uśmiechnął się. - Widzę wiele rzeczy, które mogą pójść źle, ser Johnie. Ale Alkajos i ja mamy złotą bullę od cesarza uprawniającą nas do zabrania armii, która będzie około pierwszego kwietnia w Middleburgu.

Ser John spojrział na niego z zaskoczeniem.

- Wybacz, panie diuku, ale po targu krąży plotka, że cesarz jest bankrutem i nie może wystawić armii.

Diuk Tracji błysnął bezlitosnym uśmiechem.

- Jak myślisz, co robiliśmy ubiegłego roku? Tańczyliśmy? Cesarz ma armię. Będzie w Middleburgu.

Ser Thomas trzasnął pięścią w duży stół.

- Podoba mi się, co słyszę. Podoba mi się myśl o walce w tym sezonie, nie w następnym, lecz muszę ruszać ze stadami i zabiorę ze sobą większość moich najlepszych ludzi. Mogę wysłać człowieka, żeby ogłosił pospolite ruszenie, ale dopóki spędy się nie skończy...

- Nie podoba mi się pomysł trzymania żołnierzy w polu przez całe lato - oznajmił lord Wayland. - Nie jesteśmy cesarzem, który ma armię przez cały rok. Pola czekają na zaoranie. Moi łucznicy są moimi dzierżawcami. Moi włóczęgi są moimi pasterzami. - Wzruszył ramionami.

Obok niego Wielki Koniuszy skrzywił się i pokiwał głową.

- Nie miałbym nic przeciwko sezonowej kampanii - rzucił. - W przeciwieństwie do moich ludzi. I mojej żony, skoro o tym mowa.

- Jedna kolczuga jest tyle warta, co roczne zbiory. - Biskup Albinkirku nieczęsto zabierał głos, ale dobrze mówił.

Ser John spojrział na ser Gabriela.

- Możesz dowodzić armią cesarza? - zapytał.

Ser Gabriel popatrzył na swoje ręce.

- Tak - odparł.

Ser Alkajos się uśmiechnął.

- W takim razie stwórzmy armię z trzonem w postaci twojej kompanii i ludzi ser Ricara. Jestem pewien, że możemy wypłacić wam

żołd. - Znacząco popatrzył na kupców, którzy się wzdrygnęli.

Ser Gabriel pokręcił głową.

- Ja zapłacę moim. Jestem diukiem Tracji. Miałem wprowadzić inne plany, ale odłożyłem je na lato. Możemy zachować pospolite ruszenie z północy i klany ze Wzgórz jako rezerwę.

- Co z armią królewską? - zapytała Ghouse zbyt słodko.

Ser John zrobił niezadowoloną minę.

- Nie sądzę, żebyśmy tego lata mogli polegać na wojskach królewskich - odparł sztywno. - Nie sądzę, żebyśmy je zobaczyli na północ od Harndonu. - Westchnął. - Jeśli tak, możemy tego pożałować. - Powiódł wzrokiem po twarzach uczestników narady. - Wolałbym przemilczeć moje myśli niż skłamać. Ale, o ile się nie mylę, armia królewska nie ocali nas tego roku.

- Z powodu napaści na południu? - zapytał etruski kupiec.

- Ponieważ Alba jest na krawędzi wojny domowej - rzekł cicho biskup.

Ser John odchylił się na krześle.

- Wszyscy tutaj jesteśmy ludźmi króla. My będziemy armią królewską.

Ser Alkajos miał taką minę, jakby się zakrztusił.

Ser Gabriel spochmurniał.

- Będziemy armią sprzymierzoną. Jeśli cesarz przyśle żołnierzy, nie będzie chciał być postrzegany jako wasal króla Alby.

Księżna Zachodniego Muru pokiwała głową.

- Dobrze powiedziane, mój synu. Jesteśmy sprzymierzeńcami, nie lennikami. Niech to będzie jasne. - Rozejrzała się zupełnie jak gryf. - Zważcie, panowie, jeśli armia królewska nie może nam pomóc i jeśli musimy zebrać własne wojska, żeby zatrzymać tego drobnego czarnoksiężnika, co zrobimy, kiedy pojawi się prawdziwe zagrożenie? Dlaczego mamy płacić podatek dalekiemu królowi, który nie może nas obronić? Dlaczego nie obwołać własnego króla?

Ser John się wyprostował i spojrzał na księżną.

- Wybacz, Wasza Wysokość, ale czy twierdzisz, że hrabia Zachodniego Muru nie jest wasalem króla? Czy sugerujesz...

Księżna się uśmiechnęła. Był to uśmiech, jaki mógłby przybrać

wyjątkowo subtelny lis przed zjedzeniem kurczęcia.

- Jestem biedną słabą kobietą bez tęgiej głowy do polityki, ser Johnie. Nie myślę o zdradzie, kiedy mówię, że mój brat nie może nas bronić. Niech sobie mówi albo pisze, co chce, lecz jego władza tutaj nie sięga. - Pozwoliła sobie na lekki uśmiech. - Mówię tylko, dzielni rycerze, że ani mój mąż, ani ja nie podpisujemy dokumentu ani umowy, w której będziemy figurować jako wasale króla albo która będzie od nas żądać służby rycerskiej. Jeśli natomiast zostaniemy nazwani sojusznikami, chętnie weźmiemy udział w tworzeniu armii, nie szczędząc wysiłków i kosztów.

Biskup Albinkirku przymrużył oczy.

- Uważasz Adnarnie za suwerenne państwo? - zapytał.

Uśmiech księżnej stał się odrobinę szerszy.

- Niczego takiego nie powiedziałam, chociaż przypuszczam, że gdybyśmy stali się suwerenni, to tylko pomogłoby nam w obronie.

- To zdrada - oświadczył biskup.

- Trzeba kuć żelazo póki gorące - warknęła.

- Winni jesteśmy posłuch królowi... - zaczął ser John.

- Dlaczego? - zapytała Ghause. - Jest tylko człowiekiem, do tego nieporadnym. Jak słyszałam, to mój syn i Sophie ocalili was wszystkich ubiegłej wiosny. Jak słyszałam, król o mało nie stracił armii w lasach i uratowały go ta dziwka królowa i rzeczna flota. A teraz wpuścił do kraju armię Galów, którzy panoszą się na południu. Jestem tutaj, żeby wam powiedzieć, że nie wpuścimy ich na północ. - Wyprostowała plecy.

Lord Wayland spojrział jej w oczy. Nic nie powiedział, ale skupiona mina zdradzała jego zainteresowanie.

Młody pan Dormlingu pokręcił głową jak człowiek, który chce się otrząsnąć ze snu.

- Mój tata dostał nasze ziemie od smoka. Nie służę królowi ani, za przeproszeniem, wam. - Popatrzył na nich. - Podoba mi się pomysł przymierza, ale nie mam nic do powiedzenia o jakimkolwiek nowym królestwie z wyjątkiem rady: tylko głupiec zmienia konie pośrodku rzeki.

Księżna poderwała głowę jak rozzłoszczona klacz.

Ser Alkajos pokiwał głową.

- Chyba mogę mówić - zaczął cicho - w imieniu wszystkich, którzy nie są Albanami, i powiem, że ta rozmowa o królestwie na północy przekracza dopuszczalne granice. Sądzę, że jeśli się nie zakończy, cesarz zażąda, żebym się wycofał. W jego imieniu muszę powiedzieć, że Tracja jest prowincją cesarstwa i że władza ser Gabriela nad nią zależy od dobrej woli cesarza. Cesarstwo nie funkcjonuje jako zlepek lenn ani też nasze ziemie nie są dziedziczone bez cesarskiej zgody, panowie. Cesarz posiada wszystko. Może w dowolnej chwili nadać albo odebrać każdy tytuł.

Ghause uśmiechnęła się jadownicie.

- Czy te zasady dotyczą cesarskiego tronu, panie rycerzu? Czy nie jest dziedziczony?

Ser Alkajos zrobił zaskoczoną minę.

- Cesarz jest wybrańcem bożym - odparł.

- Którym zostaje się zwykle po licznych otruciach i walkach na noże - wtrącił ser Gabriel. Pokręcił głową. - Wybacz, Wasza Wysokość, ale północ nie jest gotowa, żeby zostać suwerennym królestwem.

- W takim razie północ jest pełna głupców - syknęła Ghause. - Zapytaj swoich cesarskich lotnych oficerów, zapytaj każdego, kto żyje w sąsiedztwie muru! Na północ od niego jest tyle samo ludzi, co na południe. Na północ od muru są miasta. Wszystkie mogłyby być nasze!

Jej syn pokręcił głową.

- To znaczy twoje. Wybacz, Wasza Wysokość, ale naszym zamiarem jest ochrona naszych włości, nie podnoszenie nowego sztandaru w grze królów.

Ghause parsknęła.

- No tak. - Uśmiechnęła się. - W takim razie poczekamy, zobaczymy, prawda?

\*\*\*

Podczas gdy większość obecnych na naradzie średnio się kwapiła do zabrania głosu, wydawało się, że później w każdym bocznym pokoju w cytadeli jest dwóch albo trzech panów, którzy rozmawiają,

debatują i dość często krzyczą. Jeśli Ghouse Zamierzała skłócić radę północnych panów, udało się jej idealnie.

- Twoja pani matka chyba sobie nie wyobraża, że odrzucimy prawa króla do całej północy! - powiedział ser John do Czerwonego Rycerza.

Teraz, gdy wiedział, że młokos jest synem hrabiego Zachodniego Muru, jego piekielna arogancja była łatwiejsza do przełknięcia - tym bardziej dlatego, że od ubiegłego roku stał się jakby bardziej ludzki.

Nowy diuk Tracji siedział oparty plecami o dębową boazerię w prywatnym gabinecie ser Johna.

- Ani hrabia, ani księżna nigdy nie poświęcali wielu myśli królowi - rzekł powoli. - I to nie trapiło cię wcześniej. A może trapiło?

Ser John krążył po pokoju.

- Podzielę się z tobą tym, co myślę, panie. Zeszłego roku podczas oblężenia nie otrzymaliśmy żadnej pomocy poza twoją i w końcu odsieczą armii królewskiej. Twoi rodzice nam nie pomogli. Wyznam, że jestem mniej niż zadowolony... co więcej, przepętnia mnie gorycz. - Wskazał w stronę wielkiej sali. - Przynajmniej król przybył. Hrabia miał pięć dni drogi, a nie kiwnął palcem.

Ser Gabriel posmakował nieco dobrego etruskiego wina, przytrzymując je na języku, i spojrzał w okno. Fale deszczu napełniły strumienie, utrudniając zadanie armii i czyniąc je znacznie bardziej nieprzyjemnym.

- Ale proszę mnie, żebym objął dowodzenie - powiedział.

- Obecnie jesteś najślawniejszym dowódcą w Nova Terra.

- I dziedzicem Zachodniego Muru - dodał ser Gabriel z paskudną nutą w głosie.

Ser John zakręcił winem w srebrnym kubku i obrócił twarz w stronę młodszego rycerza.

- Tak. Dlaczego to ukrywać? Przecież, jeśli obejmiesz dowodzenie, z pewnością twoja matka podpisze dokument i ojciec się zobowiąże?

Ser Gabriel pokręcił głową.

- Poważnie w to wątpię. Przykro mi, ser Johnie. Co do mnie, wciąż jestem związany umową zawartą z cesarzem. W Albie nie mam żadnych feudalnych zobowiązań, więc jako człowiek cesarza mogę po

powrocie z turnieju objąć dowodzenie nad twoim wojskiem, ale nie to jest dla mnie najważniejsze. Mam wrażenie, że zanosi się na lato brutalnie ciężkiej pracy bez pieniędzy i za małe podziękowania.

Ser John zdobył się na uśmiech.

- Właśnie opisałeś moje kapitanowanie w Albinkirku.

Gabriel wstał.

- Ser Johnie, zgadzam się, że zebranie wojska do stawienia czoła Dzikim jest złem koniecznym. Przez lato będę nim dowodzić i wypłacę żołd z dziesięciny, która mi się należy jako diukowi Tracji. Uczynię tak bez względu na to, co postanowi hrabia Zachodniego Muru. Zostawię z tobą większość moich ludzi. Ale nie zrobię niczego, żeby przekonać hrabiego albo moją matkę do dołączenia do przymierza, i nie mogę dać w związku z tym żadnej rady.

Ser John też się podniósł.

- Jak myślisz, gdzie uderzy Głóg? - zapytał.

Ser Gabriel pokręcił głową.

- Middleburg byłby słaby, gdybym przegrał na wschodzie. Ale nie przegrałem i teraz jest bardzo silny. Albinkirk... bądźmy realistami. Albinkirk ma solidnego kapitana i małą armię, a nadto leży blisko Lissen Carak i cudownej gromady magistrów, którzy od zeszłej wiosny, od z trudem zażegnanego nieszczęścia, działają na własną rękę.

- Masz na myśli zakonnice?

- Tak. Naprawdę byłbym bardzo zaskoczony, gdyby Głóg ponownie spróbował uderzyć na Lissen Carak. Gdyby chciał zająć Albinkirk i klasztor, musiałby zrobić to jednocześnie, prawda?

Ser John nie wziął tego pod uwagę.

- No tak. Ponieważ, zostawiając jedno z tych miejsc w spokoju, musiałby się liczyć z groźbą odsieczy. Ha, nadajesz się na dowódcę.

- Przeczytałem kilka bardzo dobrych książek. Archaikowie wiele myśli poświęcali wojnie, ser Johnie. W każdym razie tak, musiałby walczyć na dwa fronty, niezależnie od wybranego celu, i konsekwencje podwójnej klęski prawdopodobnie wywarłyby katastrofalny wpływ na morale jego sił.

Ser John się uśmiechnął.

- Właśnie toczę wojnę. Rozumiem, o czym myślisz.

Ser Gabriel wzruszył ramionami.

- W ten sposób zostaje Ticondaga, najbardziej narażona. A może czarnoksiężnik uderzy na zachód, na krainę górnych jezior, i poświęci lato na gromadzenie sprzymierzeńców. Krąży plotka, że w zimę poróżnił się z Baśniowym Rycerzem. Nie wyobrażaj sobie, że Dzicz jest jednolitą siłą. I na szczęście dla nas, im potężniejszy się staje, tym większe prawdopodobieństwo, że inne potęgi w Dziczy będą próbowały go obalić.

- Obalić? - powtórzył ser John. - Sądzę, że czegoś mi nie mówisz.

Ser Gabriel przysunął się bliżej.

- Myślę, że być może ma... pomoc.

- Wszyscy święci! Święty Maurycy i Święty Jerzy, panie. Mówisz o Wrogu?

Ser Gabriel się uśmiechnął, słysząc dawne miano szatana.

- Możliwe. Czarnoksiężnik jest bardziej niebezpieczny niż suma jego części. - Odsunął się. - Nie jest to temat do głośnego omawiania.

Ser John pokiwał głową.

- Dziękuję ci za zaufanie.

- Pomoc, jaką być może posiada, nie powstrzyma innych potęg w Dziczy od rywalizacji.

- Więc myślisz, że możemy bezpiecznie przetrwać to lato?

Ser Gabriel lekko się uśmiechnął, ale bez śladu wesołości.

- Jeśli tak, to tylko dlatego, że postanowi stać się jeszcze potężniejszy na następną wiosnę. Jeśli tak, nie mam pojęcia, gdzie może uderzyć. - Gabriel znów się oparł o boazerię. Jeśli zamierzał odejść, to zmienił zdanie.

- Zatem myślisz, że celem będzie Ticondaga? - zapytał ser John.

- Uważam, że to nasza najbardziej narażona forteca. Jej pan i pani niezupełnie pragną z nami współpracować, jest strategicznym punktem na drodze od jezior i wewnętrznego morza, i pomimo powszechnego mniemania, że jest nie do zdobycia, wznosi się nad nią Góra Nadziei. - Ser Gabriel wzruszył ramionami. - I... naprawdę chcesz się mierzyć z armią Dziczy w głębokich lasach?

Ser John pokiwał głową.

- Jesteś bardzo przekonujący. A Galowie?

Ser Gabriel ściągnął brwi.

- Wyznam, że nie potrafię odgadnąć, do czego zmierzają. Ale z galijskim rycerzem na królewskim dworze i kolejnym dowodzącym armią na dalekiej północy... - Machnął ręką. - Jean de Vrailly jest...

- Obłąkany? - podsunął ser John.

Czerwony Rycerz uniósł brew.

- Twoje słowa, panie kapitanie.

Ser John kategorycznie pokiwał głową.

- Nie lubię tego człowieka, a ser Ricar go nienawidzi.

Ser Gabriel zmarszczył czoło.

- Rozumiesz, że jeśli Albie rzeczywiście grozi wojna domowa, Głóg... -zdawało się, że delectuje się tym mianem - może się okazać naszym zbawieniem.

Teraz ser John uniósł brwi.

- Dlaczego?

- Ponieważ, jeśli uderzy w czasie wojny domowej, wszyscy baronowie zjednoczą się przeciwko niemu pod królem i to położy kres wojnie. - Ser Gabriel mówił z arogancką satysfakcją, która często sprawiała, że budził głęboką niechęć. W jego ustach brzmiało to tak, jakby sam wszystko zaplanował.

Ser John odstawił kubek z winem.

- Śmiało, ser Johnie - zachęcił go ser Gabriel. - Odrzućmy nasze sfalszowane kości i zagrajmy jak na uczciwych mężczyzn przystało. Boisz się wojny domowej, nie czarnoksiężnika na północy. I chcesz znać moje stanowisko, stanowisko Zachodniego Muru i baronów Brogatu.

Ser John przymrużył oczy.

- Jeśli król wyśle de Vrailly'ego na północ, żeby zebrał podatki jak w Jarsayu ubiegłego lata, wybuchnie wojna. - Ściągnął brwi. - Tak powiedziała twoja pani matka.

Ser Gabriel pokiwał głową.

- Odgadłem, że właśnie tego się obawiasz. Z pewnością tego obawia się księżna... jest bardziej zainteresowana wysuwaniem roszczeń do suwerenności niż mierzeniem się z czarnoksiężnikiem.



- Jakie jest twoje stanowisko? - zapytał ser John.

Ser Gabriel spojrział mu w oczy.

- Jako diuka Tracji czy jako najemnika? - Uśmiechnął się. - Nie... odpowiem szczerze. Gardzę de Vraillym, choć nie mam ku temu szczególnego powodu. Spotkałem się z nim i go znam. - Czerwony Rycerz napił się wina. - Więc naprawdę zbierasz północną armię, żeby się zmierzyć z de Vraillym?

- Boże uchroni! - syknął ser John. - Nigdy nie walczyłem przeciwko królowi, bez względu na jego błędy. Ale jeśli zdołam stworzyć armię na północy, powiem królowi, że armia weźmie jego podatki w naturze, więc de Vrailly nie będzie miał powodu tu przybywać.

Czerwony Rycerz wziął kielich i uniósł go w toaście.

- Dobrze pomyślane. Uszło to mojej uwagi... piękne zagranie. - Usiadł, delektując się winem i pomysłem. - Skoro to zrozumiałem, może zmienię kurs i porozmawiam z matką. - Uśmiechnął się wyraźnie zadowolony. - Dla korzyści wszystkich.

- Z czasem nauczyłem się patrzeć przez ścianę - burknął ser John, ale był zadowolony. - A teraz... kiedy pójdziesz na południe, weźmiesz moje pismo i postarasz się o mianowanie przez króla? I czy rozumiesz, dlaczego muszę mieć zgodę twojej matki jako wasala, a nie sojusznika?

Ser Gabriel zamknął oczy i ściągnął brwi.

- Cholera - mruknął. - Zrobię, co w mojej mocy.

\*\*\*

Następnego ranka, godzinę po wschodzie wiosennego słońca, które miało ciepły, złoty kolor pamiętany przez ludzi z pełni zimy, błotniste kałuże skrzyły się w zakątkach pól, gdzie ledwie kilka dni wcześniej leżał śnieg. Posłańcy ser Ricara przynieśli wiadomość - przez cały dzień trwały walki, ale nie ze zorganizowanym wrogiem, i drogi na północ i na południe od brodów zostały oczyszczone.

Przez cały dzień księżna sugerowała, że suwerenność jest jej ceną za przystąpienie do sojuszu, i większość panów nie chciała dyskutować o tym, co dla jednych było zdradą, a dla innych sprawą bez znaczenia.

Dla Czerwonego Rycerza dzień, który zaczął dobrze od rozmowy z ser Johnem, później okazał się uciążliwy. Matka odmówiła rozmowy o wasalstwie i wykorzystywała radę, żeby przeforsować swoje roszczenia do królestwa, a jej pretensje budziły lęk w sercach baronów. Przy kolacji jawnie flirtowała z lordem Waylandem, którego ostrożna polityka była zagrożona przez walną siłę głęboko wydekoltowanej sukni i dwojga skrzących się oczu.

Po kolacji ser Gabriel wysłał liścik przez Nell, a potem udał się do komnat matki. Brązowooka kobieta otworzyła drzwi i go zaprosiła; chłodny, spokojny głos kłócił się z jej ciałem i oczami.

- Twoja pani matka prosi, żebyś zaczekał, panie rycerzu.

Ser Gabriel uklonił się oziębło i usiadł na krześle w komnacie. Przez chwilę wertował iluminowany brewiarz, później podniósł pięknie inkrustowaną lutnię i zaczął grać starą pieśń trubadurów, ale instrument okazał się dziwnie rozstrojony.

Postanowił go nastroić.

Czas mijał.

Struna pękła i ser Gabriel zaklął.

Brązowe oczy zalśniły uśmiechem.

Zza drzwi sąsiedniej komnaty płynęły hałasy, ale nikt go nie zaprosił. W końcu, znalazłszy zapasowe struny w pudle instrumentu, zdjął tę przeszkadzającą, która od początku miała niewłaściwą grubość, wymienił ją, a także zastąpił pękniętą. Nastroił lutnię i zagrał *Prendes i Garde*.

- Cudownie! - krzyknęła z entuzjazmem brązowooka, zaciskając dłonie.

Ser Gabriel wstał.

- Proszę, powiedz mojej matce, że z przyjemnością skorzystałem z okazji, żeby nastroić jej instrument, i że może mnie wezwać o dowolnym czasie.

Podał lutnię służącej, która opadła w pięknym dygu.

-Jeśli mogę coś zrobić, żeby umilić ci czekanie... - szepnęła.

Przystanął i westchnął.

- Przyjemnego wieczoru - powiedział i ruszył do drzwi.

Zastanawiał się, czy nie zejść do wielkiej sali, żeby dołączyć do

mężczyzn.

Zastanawiał się, czy nie wyładować gniewu i rozdrażnienia na obcych.

Nawet przystanął przed kaplicą, gdzie zobaczył, że zakonnica w szacie zakonu klęczy z wyprostowanymi plecami przed ołtarzem. Stał i na nią patrzył.

Nie odwróciła głowy.

W końcu zabrał irytację do swoich pokoi. Toby i Nell trzymali się poza jego zasięgiem. Wypił dwa kubki wina, co mu pomogło pójść do łóżka.

Do sufitu powiedział:

- Wolę walczyć.

Leżał i czuł pulsowanie w złamanej nodze. Trapiiony bólem, myślał o życiu i śmierci i o ojcu Arnaudzie. O Głogu i o jego panu, i jak to wszystko musi się skończyć. Zaczynał dostrzegać koniec. Leżał i go sobie wyobrażał.

Wreszcie zaczął rozmyślać o swoim cudownym ocaleniu w niedawnej zasadzce. To dało mu okazję do delektowania się każdym błędem, jaki popełnił w trakcie bitwy - zbyt wczesne wysłanie rycerzy, złe przygotowanie tarcz awaryjnych, które pozbawiły go mocy. Pozwolenie, żeby runął na niego dąb.

Pokręcił głową w ciemności.

W pewnej chwili zaczął się zastanawiać nad stałym strumieniem *ops*, który się w niego wsączał, gdy leżał i czekał na śmierć.

Usłyszał, że Toby rzuca się na sienniku u jego stóp.

Ser Gabriel rozważył wiele możliwości i w końcu, gdy każda nowa myśl tylko zwiększała jego irytację, *wszedł do pałacu pamięci*.

*Prudencja oziębło skinęła głową.*

- *Przypominasz mi niesforne go chłopca, którego kiedyś znałam - powiedziała.*

- *Jesteś po prostu zaczarowana, żeby mówić takie rzeczy, czy może on wyposażył cię w pewną szczególną zdolność dostępu do moich myśli i rzucania dowcipnych uwag?*

*Puste kościane oczy Prudencji zwróciły się w jego stronę.*

- *Sądzę, że mój odtwórca odkrył, iż wiele moich nawyków myślowych było*

*nałożonych na twoje wspomnienia, i je odzyskał.*

*- No tak - mruknął Czerwony Rycerz. - No tak. - Podeszedł do drzwi pałacu Harmodiusza. - Muszę spojrzeć na coś pod innym kątem. - Otworzył drzwi i przestąpił próg.*

*Było tam więcej kurzu niż wcześniej. Teraz, gdy o tym pomyślał, zrozumiał, co zrobił starzec. Gdzieś w swoich wspomnieniach musiał zachować pałac Prudencji, co sugerowało, że jeśli spędzi zbyt dużo czasu tutaj, we wspomnieniach Harmodiusza, może - tylko może - mu grozić niebezpieczeństwo dwojakiego rodzaju: zostanie starym magiem albo zasili jakieś jego podobizny.*

*- Nie po to tu przyszedłem - powiedział.*

*Stanął przed lustrem.*

*W odbiciu nosił ognisty pierścień i miał złotą opaskę na kostce. Opaska była połączona z łańcuchem.*

*- Kurwa mać - warknął.*

\*\*\*

W końcu zasnął. Kiedy się zbudził, oczy wydawały mu się zrobione z pergaminu, miał sucho w ustach i bolała go głowa. Leżał, słuchając, jak Toby wyklada rzeczy na skrzynię w nogach łóżka. Skala jego nieszczęścia nałożyła się na pulsowanie w prawej nodze i gdy wstał w chłodnym powietrzu, już był w parszywym nastroju.

Szybko się ubrał, widząc, że Toby odwraca głowę. Strach chłopca jeszcze bardziej go rozwścieczył. Był świadom swojego niepowodzenia w zapanowaniu nad gniewem.

Z drugiej strony wcale się tym nie przejmował.

*- Gdzie Nell? - zapytał.*

*- W stajni. Wasza Wysokość. - Toby zwykle nie był taki formalny. - Mam po nią posłać?*

*- Nie - burknął kapitan.*

Siedział i wrzał ze złości. Widział, co ma na kostce w eterealu. Wiedział, że to bardzo potężne czary, i podejrzewał, że wie, skąd pochodzą.

Weszła Nell.

*- Wiadomość, Wasza Wysokość - zameldowała.*

Podawała mu list, który przeczytał przy stole. Lekko się zarumienił,

jego twarz straciła wyraz.

- Wina - poleciał.

Był wczesny ranek i Toby zrobił niezadowoloną minę.

- Przepraszam, Toby, jakiś problem? - zapytał ser Gabriel swoim najbardziej jadowitym tonem.

Toby zerknął na Nell, która była zajęta układaniem wypranych rzeczy w bielizniarce. Toby się wyprostował.

- Mam grzańca z miodem i korzeniami - powiedział i podszedł do kominka.

- Prosiłem o wino - zaznaczył kapitan. - Z grzańca wyparowuje cały alkohol.

- Czy mogę zauważyć... - zaczął Tony z całą godnością, na jaką może się zdobyć siedemnastolatek.

Ser Gabriel uniósł brew.

- Nie. Twoja opinia nie jest wymagana.

Toby sięgnął po butelkę wina, ale Nell wytrąciła mu ją z ręki.

Butelka upadła na podłogę i się rozbiła.

Zanim kawałki szkła znieruchomiały, kapitan zerwał się z krzesła i złapał Nell za gardło.

- Prosiłem o wino - wycedził. - Nie o krytykę nieopierzonego podlotka.

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczyma.

Puścił ją powoli.

Nell się otrząsnęła i spojrzała na Toby'ego, który trzymał rękę na sztylcie.

Kapitan westchnął - przeciągle, jakby powietrze uciekało z sykiem z płuc trupa. Bez słowa przeprosin wyszedł z komnaty.

Nie trzasnął drzwiami.

I nie dostał wina.

\*\*\*

Gabriel prawie nie widział świata wokół siebie, gdy szedł przez salę w wieży i w dół krętych schodów, tak na siebie zły, że ledwie mógł oddychać. Przemknął przez wielką salę, nikogo nie witając, i bez słowa minął swoją matkę.

Uśmiechnęła się.

Nie poświęcił jej chwili uwagi. Wyszedł na błotnisty dziedziniec, kazał dwóm przerażonym stajennym osiodłać wierzchowca i skoczył na siodło. Koń natychmiast wyczuł jego złość i zaczął się kręcić.

- Może gdybyś bardzo mocno mu przylał... - Ciche słowa napłynęły z mroku stajni.

Na dźwięk jej głosu jego gniew odpłynął, zostawiając tylko znużenie.

Obrócił konia. Dziedziniec był prawie pusty, a po stajni kręcił się Giorgos, paź Moreańczyka.

- Dostałem list - powiedział.

- I poprawił ci humor? - zapytała Amicja, wychodząc z cieni, trzymając wodze lekkiego wierzchowca. - Chcesz ucieszyć swoją panią matkę naszą wspólną przejażdżką w wiosennym słońcu?

- Tylko pod tym warunkiem, że wrócimy z ubłoconymi ubraniami - odparł. Oddech miał przyśpieszony jak podczas walki. - Przykro mi, że cię wykorzystano do oswojenia gryfa. - Nie to zamierzał powiedzieć.

Amicja wsiadła, przerzucając nogę nad siodłem jak mężczyzna. Taki styl nie był odpowiedni dla damy ani elegancki, chociaż pozwolił dostrzec piękny kształt nogi. To przypomniało ser Gabrielowi, że siostra Amicja nie pochodzi z wysokiego rodu i jest w znacznej mierze samoukiem. We wszystkim. Łącznie z rzucaniem skomplikowanych czarów.

- Ludzie będą gadać - powiedział, starając się zachować lekki ton. - Jeśli pojedziemy bez eskorty.

- *Honi soit qui mały pense* - zacytowała znośnie po galijsku.

\*\*\*

Pojechali w rześki dzień, z sugestią starej zimy w każdym cieniu i pocałunkami wiosny w jasnym słońcu. Amicja miała kaptur na głowie, dopóki nie wyjechali za bramę miasta, i wtedy go ściągnęła, a silny północny wiatr uwolnił jej bujne brązowe włosy spod barbetu. Chwyciła barbet, łopoczący jak flaga w burzy, i wsunęła w zanadrze.

Uśmiechnęła się.

- Wiesz, jak długo trzeba szyć coś takiego? - zapytała. - Nie mogę go zgubić.

Ser Gabriel nie mógł nie odpowiedzieć na jej uśmiech.

- Widziałem, że uczysz się haftować. *La Belle Soeur de Forêt Sauvage*.

Czy to cię nie nudzi?

- Nie! - odparła z radością. - Nie, lubię haftować. To jak uczestniczenie we mszy. Takie... uspokajające. Daje czas do myślenia. Tej zimy dużo myślałam... odkąd poznałam twoją matkę.

Gabriel westchnął.

- Tak? - Zauważył, że trzęsą mu się ręce.

Spojrzała na niego.

- A ty?

Ściągnął usta.

- Też wiele myślałem.

Roześmiała się.

- Łatwo knuć i obmyślać cudze życie, prawda? To znacznie łatwiejsze, niż pracowanie nad własnym. - Skreśliła w boczną drogę niedaleko mostu. - Chodź, Gabrielu. Porozmawiamy o reszcie naszego życia.

Gabriel ściągnął wodze.

- Amicjo... - zaczął podniesionym głosem.

Odwróciła się.

- Gabrielu. Miejmy to z głowy.

Siedział na nieruchomym koniu. Milczał tak długo, że zaczęła się zastanawiać, czy na pewno z nim wszystko w porządku.

- Myślę, że powinnaś po prostu to powiedzieć - odezwał się w końcu z napięciem w głosie. - Nie muszę jechać do gaju, żeby cię wysłuchać.

- Mamy rozmawiać na drodze? - zapytała.

- Amicjo... - Oderwał od niej spojrzenie.

Zawróciła wierzchowca.

- Nie chcę, żeby coś mi przeszkodziło.

Powoli, jakby wbrew woli, jego koń ruszył za jej wierzchowcem.

Przejechali kolejną ligę i dotarli do kapliczki. Była podniszczona, ale niezupełnie w ruinie - kamienie pozieleniały od mchu, kryty łupkiem dach wciąż się wspierał na sędziwych belkach, choć środek się zapadł. Kamienny ołtarz wyglądał solidnie i rosły na nim kępy

przebiśnięgów. Wewnątrz było dość przyjemnie - chłodno, ale nie wietrznie, i aromat kadzidła mieszał się z zapachem mchu.

Gabriel przywiązał konie i wszedł za zakonnica do kaplicy. Przystanął w drzwiach.

- Sądzę, że nie sprowadziłaś mnie tutaj, żeby ulec moim przyziemnym umizgom - powiedział.

- Teraz mówisz bardziej jak człowiek, którego znałam podczas oblężenia. - Podeszła do ołtarza, zapaliła dwie świeczki i postawiła je na ołtarzu. Ich blask sprawił, że wewnątrz natychmiast wydało się suchsze i przytulniejsze.

Wyciągnęła stołek z za ołtarza i usiadła.

- Często tu przychodzę - wyjaśniła. - Światło jest dobre.

- I pełne mocy.

- I bożego światła.

Ich oczy się spotkały. Jej były brązowe, jego zielone, i patrzyły zbyt długo. Milczenie stało się krępujące, a potem dręcząco niepokojące.

*W eterealu stali na jej mostku, z płynącymi pod nim czystymi wodami Dziczy i ze złotym światłem słońca wpadającym przez lukę pomiędzy drzewami. Drzewa w jej pałacu miały w pełni rozwinięte, nieco zakurzone zielone liście późnego lata.*

- Nie musieliśmy wyjeżdżać z fortecy, żeby się tu znaleźć - zauważył.

*Amicja nie miała habitu, tylko obcisłą zieloną suknię.*

- Chciałam dać ci czas - powiedziała. - W tym tygodniu wszyscy urządzali na ciebie zasadzki. Nie chciałam do nich dołączyć.

Gabriel miał czerwony strój. Oparł się o balustradę mostka.

- Myślę, że sprowadziłaś mnie tutaj, żeby ze mną zerwać. I myślę, że twoja zasadzka istnieje od pewnego czasu.

Uśmiechnęła się.

- Kochanie... skarbie, jak mogę zerwać więź dwojga obdarzonych mocą śmiertelników, którzy wzajemnie mogą wchodzić do swoich umysłów?

Gabriel się uśmiechnął, jakby powiedziała coś zupełnie innego.

- Tak powiązanych, że ich ops może przepływać w tę i z powrotem bez ich woli? - Nie patrzył na nią. - Dlaczego nie pojechałaś ze mną, Amicjo?

- Miałam inne obowiązki. Podjęłam inną decyzję. - Niejasność jej słów wydawała się tutaj podwojona.



- Amicjo. - Odwrócił się i napotkał jej spojrzenie w eterealu. - Jestem pewien, że zgodziłaś się jechać ze mną i zostać moją żoną.

Wzruszyła ramionami.

- Tak. Myliłam się i wyrzuciłam ci krzywdę. Ale składając śluby, byłam wierna sobie. I nie żałuję, że ślubowałam. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Nigdy nie zostanę twoją żoną. Ani twoją kochanką.

- Czy musiałem tu przychodzić, żeby to usłyszeć? A może jesteś jedną z tych, które po prostu trzeba przekonać?

Ruszył ku niej z głodem w oczach, a ona go zatrzymała. Jego wyciągnięte ręce niczego nie objęły.

- W realnym świecie - zaczęła - możesz pokonać moje ciało i wolę. Tutaj jestem ci równa.

Stanął jak wryty, jego oczy błysnęły czerwienią i rysy wykrzywiły się z gniewu.

Potem cofnął się i tylko syknął.

- Skarbie - podjęła. - Potrzebujesz mojego ciała? Chodzi o miłość czy o władzę? Czy mój Jezus hamuje twoją potężną wolę? Dlaczego nie możesz zadowolić się tym, co masz? Ilu ludzi obdarzonych mocą staje w głowie drugiej osoby i prowadzi rozmowę? To bardziej intymne niż uprawianie miłości.

Gabriel oparł się o poręcz mostu.

- Zastanawiałem się, czy pozwolisz mi wejść do swojego pałacu.

- Dlaczego miałabym nie pozwolić?

- Z powodu tego, co ukrywasz przede mną - odparł. - Tutaj to oczywiste, prawda? - Mówiąc, wskazał pod nogi.

Cienkie pasemko, jak kosmyk włosów, ciągnęło się od jego prawego obcasa i spadało do wartkiej wody.

Amicja uniosła rękę do szyi.

Gabriel pokiwał głową.

- Przynajmniej dwa razy, kiedy powinienem umrzeć, kiedy powinienem być absolutnie, nieodwołanie martwy, nie umarłem. Ostatnie zdarzenie było tak oczywiste, że musiałem poznać przyczynę. - Uśmiechnął się. - Wiedziałem, że zostaliśmy połączeni przez pierścień. Ale pierścień tylko coś maskuje, prawda?

Amicja stwierdziła, że trudno uniknąć jego spojrzenia. Co więcej, bez

względu na to, w którą stronę się obróciła, stał przed nią z rękami splecionymi na piersi.

- Dlaczego rzuciłaś na mnie czary? - zapytał.

Amicja uniosła głowę.

- Nie mogę o tym mówić. Co się stało, to się nie odstanie.

- Oto mówi język miłości. - Parsknął.

Poczerwieniła. Odszedł, wracając do świata realnego.

- Sprowadziłam cię tutaj - rzekła lodowatym tonem - żeby ci powiedzieć pewne rzeczy.

Uśmiechnął się do niej. Nawet teraz samo patrzenie na nią rozgrzewało mu serce. Ale uniosł rękę.

- Nie sądzę, żebym chciał je usłyszeć. Amicjo, z jakiegoś powodu jesteśmy połączeni i znasz mnie lepiej, niż zna mnie wielu innych. Albo przynajmniej wyobrażam sobie, że znasz mnie dobrze. I muszę ci powiedzieć, że właśnie osiągnąłem kres wytrzymałości. Nie muszę wiedzieć nic więcej. Muszę porozumieć się z matką i jechać do Harndonu. Za tydzień, miesiąc albo rok, jeśli oboje dożyjemy, poproszę o kontynuowanie tej rozmowy. I żebyś mnie uwolniła spod swojego czaru. Ale nie, mam nadzieję, od swojej miłości. - Uśmiechnął się. - Nie potrzebujesz uroku, żeby mnie zatrzymać.

- Zatrzymać? Bodaj licha ciebie i twoją arogancję. Złożyłam śluby.

- Moja droga, dziewczyny codziennie odchodzą z klasztorów. Jaki Bóg żądałby twojej czystości, niczym zazdrosny kochanek? Jeśli chcesz pozostać wierna swojemu Bogu, proszę bardzo, ale nie chowaj się za ślubami. - Uśmiechnął się. - Tak, ja też sporo myślałem. I też mam coś do powiedzenia. - Wyjął rękawiczki zza pasa. - Kocham cię, Amicjo. Ale... - Urwał i przygryzł wargę.

Amicja wzruszyła ramionami.

- Moja odpowiedź będzie taka sama. Powinieneś poślubić tę moreańską księżniczkę.

Milczał.

- Ireń. Wszyscy się spodziewali, że weźmiesz ją za żonę. Nawet twoi ludzie. Miała brodawki czy coś? Słyszałam, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie. - Uśmiechnęła się. - Naprawdę chcę, żebyś był szczęśliwy.

- Dlatego rzuciłaś na mnie potężne czary?

Wzruszyła ramionami.

- Możesz je usunąć? - zapytał. - Zeszłej nocy próbowałem, niestety bez skutku.

- Pozwól, że ja się tym zajmę - powiedziała jak nauczycielka do nierozgarniętego ucznia. - Masz do mnie pretensje za rzucenie pewnej *praxis*, która cię chroni przed śmiercią. I chciałbyś się jej pozbyć. - Jej wyniosły ton brzmiał niemal pogardliwie.

Wybuchnął gniewem.

- Nikt nie może mi czegoś takiego zrobić - wycedził. - Bodaj cię... Ale tak. Zabierz to.

- Twoja matka może. Spędziłam z nią dzień i wiesz co? Polubiłam ją. Stwierdziłam, że się zgadzamy w pewnych zaskakujących kwestiach. Na przykład, że trzeba cię chronić. - Amicja odetchnęła głęboko. - I za to mnie przeklinasz?

Gabriel milczał.

- Wciąż odzywa się w tobie mały chłopiec, który krzyczy: „Ja sam mogę to zrobić!”. I w wielu wypadkach możesz. Ale...

Pokręcił głową.

- Przykro mi, Amicjo, nie masz pojęcia, o czym mówisz. Moja matka nie jest... niczym przyjacielem. Nawet własnym. Jest mocą.

Amicja pokiwała głową, ściągnęła usta i jej oczy zwęziły się w szparki.

- Gabrieli Murienie, ja jestem mocą. - Wstała. - Akurat wtedy, kiedy z powodzeniem zacząłeś mnie uwodzić, sam twój widok, brzmienie twojego głosu, Bóg mi świadkiem... ale twoja apodyktyczność... - Urwała. - Nie wyświadczasz tym sobie przysługi. Nie jestem naiwną dziewczyną. Nie jestem bezmyślna. Co więcej, umiem uzdrawiać chorych i ściągać ognisty deszcz z nieba.

Odwrócił wzrok.

- Nie jestem tutaj jedynym aroganckim głupcem - powiedział i ruszył do drzwi. - Myślałem, że wybieramy się na przejażdżkę. Że może się pocałujemy. I że może mi powiesz, dlaczego rzuciłaś na mnie czary. I że ci wybaczę. - Pokręcił głową. - Zamiast tego muszę dopuścić możliwość, że obie z matką pracujecie nad jakimś durnym

planem, który obmyśliła, widząc mnie w przyszłości jako mesjasza Dzikiego. Przyznam, że trudno mi dać temu wiary, ale jeśli taka jest prawda...

- Chciałeś mi wybaczyć? - zapytała. Na przekór starań łzy popłynęły jej z oczu. - Chciałeś mi wybaczyć, że ocaliłam ci życie? - Patrzyła na niego, kręcąc głową. - I myślisz, że spiskuję z Dziką!

- Tak.

- Idiota.

Odetchnął z drżeniem i ruszył ku niej.

Wyciągnęła rękę, żeby go zatrzymać.

- Odejdź - burknęła.

Usłyszała, że wsiada na konia. Usłyszała, jak dość głośno i wyraźnie mówi „Pierdołę”, a potem odjeżdża, i wybuchła płaczem, dając upust frustracji.

\*\*\*

Ser Gabriel zjawił się w wielkiej sali tuż przed południem. Był trochę ubłocony i bardziej nieprzystępny niż zwykle. Ser John bez wysiłku pokonał go w szachy i odgadł, że partner jest roztargniony.

- Nie jestem sobą - powiedział Czerwony Rycerz, chociaż sama zgryźliwość jego tonu świadczyła, że jest inaczej. - Zamierzam zabrać mój orszak i rano wyruszyć w drogę.

Ser John drgnął.

- Na Boga, ser Gabrielu. Liczyłem, że zostaniesz do końca rady.

Ser Gabriel pokręcił głową.

- Muszę jechać do Harndonu. Turniej zaczyna się za ile? Dziewiętnaście dni? Chciałbym mieć czas na wypoczynek i politykowanie, zanim z kimś skrzyżuję kopię. Możesz zorganizować zaopatrzenie mobilnej armii równie dobrze jak ja, a nawet lepiej, bo znasz dostawców. Ja wolę być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Ser John uniósł brwi.

- Przykro mi. Czyżbyś się zawiódł na mojej gościnności?

Ser Gabriel zdobył się na szczery uśmiech.

- Nic w tym rodzaju. Jesteś doskonałym gospodarzem. Przyniosłem ze sobą mój czarny nastrój. - Zmarszczył czoło. - Muszę jeszcze porozmawiać z księżną o ugodzie.

Wysłał młodego Giorgosa, który poszedł i wrócił.

W nieskazitelnym górnym archaicznym powiedział:

- Despoina zamknęła się z zaciętą siostrą. Księżna bez wątpienia się spowiada.

- Bez wątpienia - mruknął Czerwony Rycerz.

Wstał, uklonił się i wyszedł na dziedziniec.

Zły Tom ćwiczył przy słupie.

Ser Gabriel posłał Giorgosa po swój miecz bojowy i podszedł do następnego słupa. Kilku zbrojnym wystarczył jeden rzut oka, żeby podjąć decyzję o przeniesieniu się z ćwiczeniami gdzie indziej. Kapitan wściekle siekł słup, a potem wziął topór, co było bardziej pragmatyczne, nadcinał kawałki i je odrąbywał.

Tom na chwilę zdwoił wysiłki, pragnąc rywalizować w niszczeniu słupa.

Ale odszczepianie drewna okazało się nieszcześnie satysfakcjonujące. Zły Tom wyszczerzył zęby.

- Masz ochotę na bijatykę? - zapytał.

Czerwony Rycerz rzucił broń Giorgosowi. Bez słowa ściągnął wams, rozwiązując sznurowanie tak szybko, jak tylko nadażały palce.

Ser Michael wyszedł zza stajni.

- Kapitan będzie walczyć ze Złym Tomem - powiedział Kum. - Gospodarstwo jutro wyrusza. - Uniósł brew. - Wciąż boli go noga?

Ser Michael pokiwał głową.

- Nie tylko to, jak wieść niesie. Nie możemy jutro wyjechać.

Tom i Gabriel, rozebrani do pasa, krążyli po piasku.

Zeszli się. Kapitan chwycił Toma za rękę, a Tom zamknął go w mocnym uścisku i czule przytulił.

- Lepiej ci? - zapytał. Nawet nie zadał sobie trudu rzużenia mniejszego przeciwnika na ziemię.

Ser Gabriel odskoczył. I zaatakował.

Uderzył pięścią i Zły Tom się zgiął. Łagodna uprzejmość na jego twarzy ustąpiła radosnej dzikości.

- Ho, ho - mruknął ser Michael do Toby'ego.

Toby, który pakował zbroję, tylko westchnął.

Tom rzucił kapitana twarzą na ziemię. Ser Gabriel się przetoczył,

ale Tom skoczył na niego, złapał go za rękę i przycisnął do ziemi.

- Poddaj się - powiedział.

Pośpieszył się o sekundę. Ser Gabriel obrócił się w jego ramionach i wysliznął, unikając wywichnięcia barku.

Tom zacisnął w rękach jego głowę i delikatnie nim kołysał. Cofnął się o krok.

- Poddaj się - powtórzył.

Ser Gabriel machnął nogą w taki sposób, że jego przyjaciele się skrzywili, pełni strachu o całość jego karku. Znalazł oparcie i spróbował się uwolnić.

Tom go puścił.

Szybki jak żmija kapitan wsunął rękę pod jego lewe ramię, wcisnął głowę i przeszedł do rzutu.

Zły Tom ryknął w prawdziwej złości, zahaczył o jego stopę, wcale niedelikatnie trzasnął go kolaniem w jaja i pchnął na ziemię. W konsekwencji jego noga znalazła się za kolaniem kapitana.

-Ty głupi kutasie! - ryknął, pryskając potem i śliną. - Mogłem cię okaleczyć na całe życie. Miałem, kurwa, w kleszczach twoją głowę. Mogłem ci, kurwa, skrócić kark. A ty nie chciałaś się poddać. Co to za rozrywka?

Ser Gabriel leżał na piasku, z rękami zaciśniętymi między nogami, i sapał. Prawa noga była wygięta pod nienaturalnym kątem.

- Bodaj mnie... Nie chciałem ci zrobić krzywdy, głupku. - Tom chwycił rękę kapitana.

Ser Gabriel pozwolił, żeby góral go podniósł na nogi, wrzasnął i upadł.

\*\*\*

Oprzytomniał prawie od razu.

Obdarzył Toma drżącym uśmiechem.

- Tak. Niech kara pasuje do zbrodni.

Ser Michael przyniósł mu zimnej wody. Kapitan się napił.

Spojrzał w oczy ser Michaela.

- Zasłużyłeś sobie na to - powiedział ser Michael.

- O co chodzi? - zapytał Zły Tom. - O małą zakonnice? Właśnie idzie.

Zanim skończył mówić, siostra Amicja wpadła na dziedziniec, jej barbet łopotał jak skrzydła morskiego ptaka. Miała ze sobą dwie siostry.

Spojrzała z dezaprobatą. Zły Tom się skulił. Ser Michael ani drgnął.

- Ser Gabriel powtórnie złamał nogę - powiedział.

Amicja uklękła przy leżącym na wznak Czerwonym Rycerzu. Przesunęła ręce nad złamaną nogą i się pochyliła.

- Muszę mieć twoje słowo, że nie narazisz wyników mojego leczenia ani nie odrzucisz boskiego daru - przykazała. - Przez tydzień.

Różne uczucia przemykały przez twarz Gabriela, ale nie odezwał się słowem.

Ser Michael się pochylił.

- On się zgadza - powiedział.

Amicja złapała zakonnicę za ręce i we trójkę zaśpiewały polifoniczny hymn. Głos Amicji wznosił się nad cichsze, niższe głosy towarzyszek.

Kiedy skończyła, wszyscy na dziedzińcu klęczeli. Uśmiechnęła się.

- Nie pozwólcie, żeby znów ją złamał.

Wstała. Gabriel obserwował ją w milczeniu.

*W jego pałacu pamięci Amicja stała przy Prudencji.*

*- Uleczyłam cię. Ale nie możesz znowu być taki głupi.*

*W milczeniu skinął głową.*

*- Przykro mi, Gabrielu. Ja...*

*Uniósł rękę.*

*- Mnie też jest przykro. Ale nie jestem gotów do dalszej rozmowy.*

Poderwała głowę, lecz wciąż się do niego uśmiechała. Po chwili odeszła z siostrami.

Podtrzymywany przez Złego Toma i ser Michaela Gabriel podniósł się i pokuśtykał do ławki.

- Ma siłę - powiedział Zły Tom, sadzając podopiecznego.

- I wcale nie jest taka mała - dodał Gabriel. Czuł się lepiej, nie bez powodu.

Tom się roześmiał.

- W każdym razie nie tam, gdzie ma to znaczenie. Gdybyś

posłuchał mojej rady podczas obłączenia...

- Rady, żebym ją zgwałcił? - zapytał kapitan.

Ser Michael wstrzymał oddech.

- Gwałt to dziwne słowo - powiedział Zły Tom. Podrapał się po brodzie. - Niektóre damy lubią trochę perswazji. Jak konie.

Ser Gabriel wypił pełną chochlę wody i splunął krwią.

- Nie sądzę, że to działa.

Zły Tom popatrzył ponad rozległe północne lasy.

- Tak. Nie zawsze działa. - Wyszczrzył zęby. - Ale może oszczędzić mnóstwo czasu.

Ser Gabriel popatrzył na swojego przyjaciela.

- Tom, co byś zrobił, gdyby dama rzuciła cię na ziemię i wetknęła ci język w usta?

Ser Michael parsknął.

Tom też.

- Czy to jakieś filozofowanie? Ponieważ, na naszą panią, daję ci słowo, że na tym świecie to nigdy się nie zdarzy. - Spoważniał i westchnął. - Ale rozumiem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Michael złapał Toby'ego za łokieć i zaciągnął go na boczny dziedziniec, gdzie stały słupy.

- Odmówiła - powiedział Tom, zerkając na wracającego Michaela.

- Współpracuje z moją matką - oznajmił Gabriel.

Tom wzruszył ramionami.

- A kogo to obchodzi? Kochasz ją?

Gabriel skinął głową.

- W takim razie czekaj na właściwy moment.

Gabriel się zaśmiał.

- Przyjmuję rady dotyczące miłości od górala.

Tom uniósł brew.

- Cóż, chłopcze, mogę wykazać, że mam długą listę kochanek, a ty, o ile wiem, tracisz więcej, niż zyskujesz. Możesz zrobić coś więcej, niż słuchać moich rad. - Spojrzał na mniejszego mężczyznę. - Przypuszczam, że spośród ostatnich stu nocy może ze dwadzieścia nie miałem kobiety do ogrzania łóżka. Większość z nich chętnie to powtórzy. Spisałeś się równie dobrze?



Gabriel pokręcił głową.

- Nie jestem pewien, czy wysoki wynik zawsze świadczy o zwycięstwie, ale dobrze. Jaka jest twoja rada?

- W tym zamku jest pełno dziewczyn, które na skinienie palcem wskoczą ci do łóżka. Za piosenkę. Za spojrzenie i uśmiech. Ta brązowooka lisica, która usługuje twojej matce...

- Twoja rada jest taka, że mogę zyskać miłość zakonnicy, spółkując ze służącą mojej matki? - zapytał Gabriel.

Tom uśmiechnął się leniwie.

- Tak. Ładnie to podsumowałeś.

Gabriel pokręcił głową.

- Muszę porozmawiać z matką. Wykręcami się od tego obowiązku. Dzięki za walkę. Przepraszam za oszukiwanie. Jestem zły.

- No tak. Sam nigdy bym na to nie wpadł. - Tom objął go ramieniem. - Lepiej się tego pozbądź.

- Czego?

- Śmierci ojca Arnauda - odparł Tom. - On nie żyje. Miał dobrą śmierć. I wiesz, co jest z tobą nie w porządku? Chcesz być bogiem. Chciałeś go ocalić. Nie ocaliłeś. Umarł.

Gabriel westchnął.

- Daj mu odejść. I przestań próbować być Bogiem. - Tom się uśmiechnął. - Wyznam, że robisz to lepiej niż wielu innych, ale Arnaud poszedł własną drogą. Odszedł. - Bardzo cicho zapytał: - Chcesz, żebym ci znalazł chętną pannę?

Gabriel się roześmiał. Ze świstem wciągnął powietrze i w końcu się podniósł.

- Czy to twoje lekarstwo na wszystko? - zapytał.

Tom skinął głową.

- Często. Czasami... - Pokręcił głową. - Czasami pomaga piwo. Ale nie tak dobrze jak dziewczyna, która cię pragnie.

Gabriel odsunął się o krok i odwrócił. Tom wstał.

- Czytałem twój plan - dodał.

- I?

- Wchodzę. Tak czy owak, nie sądzę, żebym chciał być poganiaczem. Ranałd powinien nim być. - Skinął głową. - Sprzedam

stado w Harndonie. A potem chcę odzyskać robotę. Czy muszę w tym celu zabić Bescanona?

Gabriel się uśmiechnął.

- Nie - odparł. - Nie, ale, Tom, czasami postrzeganie świata twoimi oczami jest niezwykle odświeżające.

- Owszem. - Tom wyszczerzył zęby. - Lubię, gdy wszystko jest proste.

\*\*\*

Znalazł matkę w jej komnacie. Znowu kazała mu czekać, ale tym razem była sama.

- Zakonnica cię nie chce - oznajmiła na wstępie. - I zepsułeś moją lutnię. Była specjalnie nastrojona, a teraz brzmi banalnie.

Gabriel się uśmiechnął i pocałował ją w policzek.

- Też ci życzę miłego dnia, mamó.

Brązowooka panna weszła z winem i dygnęła. Gabriel patrzył na nią z uznaniem wyostrzonym przez komentarze Toma. Wyglądała nadzwyczajnie. Podejrzewał, że została przygotowana specjalnie dla niego.

Zarumieniła się, kiedy jej spuszczonego wzroku przypadkiem napotkał jego spojrzenie.

- Nie wyrzeknie się ślubów. Zależy jej na tytule Sophii. - Ghause się roześmiała.

- Co, chce zostać kochanicą króla? - zapytał Gabriel. - Jestem zaskoczony. Nigdy o tym nie wspominała.

Ghause spojrzała na syna ze złością, z lekkim obłędem w oczach, jak gryf.

- Zamierza zostać przeoryszą.

- Tak ci powiedziała? - Gabriel był zafascynowany, głównie dlatego, że została obalona jego teoria, że Amicja współpracuje z jego matką. Obalona przez jego matkę. Potrafiła być doskonałą aktorką, ale nie sądził, żeby teraz udawała.

- W niezbyt wielu słowach - odrzekła matka, odymając usta.

Gabriel usiadł.

- Chodzi ci o to, mamó, że gdybyś była na miejscu Amicji, trzymałabyś się z daleka od mojego łóżka choćby po to, by zyskać

większą władzę?

Ghause warknęła, i to warknięcie przerodziło się w śmiech.

- Zgadza się, mój synu. Wracając do ciebie... nie przyszedłeś tu z własnej woli.

Gabriel pokiwał głową.

- Chcę, żebyś się zgodziła na sojusz jako wasal króla.

Ghause zaklęła i wstała.

- Na krwawą koronę cierniową, chłopcze. Za żadne skarby nie będę wasalem mojego brata.

- Nawet jeśli, godząc się, zapobiegiesz wojnie domowej?

- Coraz lepiej. Bodajby zdechł. Niech zgnije.

Gabriel usiadł i założył nogę na nogę.

- Powiedziałem mu.

Ghause przez długi czas patrzyła na syna, w końcu powoli zapytała:

- Co? Co mu powiedziałeś?

- Że jestem twoim synem. I jego. - Splótł ręce za głową i spojrzał w sufit. Ghause powoli wstała.

- Co?

Gabriel westchnął.

- Powiedziałem mu. Czułem, że musi wiedzieć.

Ghause poruszyła ustami, ale słowa nie padły.

Gabriel ją obserwował.

- Mogę jechać na dwór i przedstawić się jako bastard króla zrodzony przez jego siostrę. Przypuszczam, że to zrobi wrażenie. Może nawet zapobiegnę wojnie domowej. Może wyznaczy mnie na swojego dziedzica!

- Nie ośmielisz się! Nie chcę niczego od tego łajdaka! Chcę jego upadku!

- Wiesz, matko, może tobie na tym zależy, ale nie mnie. Jeśli chcesz zniszczyć króla, musisz to zrobić na własną rękę. Nie będę twoim narzędziem. A tymczasem, gdybyś chciała mi zrobić przyjemność, podpisz traktat jako wasal króla. W zamian obiecuję ci i twojemu mężowi moje poparcie jako diuk Tracji.

Ghause zacisnęła usta.

- Nie. Gównu mnie obchodzi, że chcesz leżeć nagi u jego stóp. Idź lizać go po dupie, mam to w nosie. - Położyła rękę na pięknie wypisanym dokumencie. - Chociaż nie, podpiszę. Będę wazeliniarzem i podpiszę jako wasal. Mogę się wycofać w dowolnej chwili. Chcę usłyszeć od ciebie tylko jedną obietnicę.

Gabriel się spał.

- Czy chodzi o morderstwo?

- Nie, małżeństwo. - Usiadła. - Ożenisz się z dziewczyną, którą ja wybiorę. Obiecuję, że będzie ładna, posażna i obdarzona mocą. Daj słowo, że ją poślubisz na moje życzenie, a podpiszę ten papier.

Gabriel zassał powietrze.

Ghause pochyliła się ku niemu.

- Zapomnij o swojej małej zakonnicy. Albo obracaj ją, ile dusza zapagnie, kiedy zapłodnisz żonę. Przyznaję, lubię ją, pomimo jej niskiego urodzenia. Chyba sama mam na nią chętkę. - Oblizwała usta. - Co było nie w porządku z księżniczką Ireną?

- Jesteś dziś drugą osobą, która mnie o to pyta.

- Więc?

- Próbowwała zabić swojego ojca. Truje ludzi?

Ghause wzruszyła ramionami.

Gabriel parsknął śmiechem.

- Wyznam, polubiłabyś ją i obie miałybyście wiele tematów do rozmowy podczas haftowania.

Ghause spojrzała mu w oczy.

- Myślisz, że jestem prostacka i okrutna. Ale twoja księżniczka jest, jaka jest. Taka, jaką ją stworzył dwór, i gdybyś był dobrym rycerzem i dobrym mężem, nie miałyby potrzeby cię truć, prawda?

Gabriel schował twarz w dłoniach.

- Czy to miara małżeńskiego szczęścia? - zapytał.

- W dużym stopniu - odparła Ghause. - Przeżyłam z hrabią Zachodniego Muru ponad dwadzieścia lat. I nie pozabijaliśmy się wzajemnie. - Pstryknęła palcami. Służąca wróciła i naląła wina. - Czy księżniczka wysunęła propozycję małżeństwa?

Gabriel rozmyślał przez chwilę.

- Nie. Chociaż przypuszczam, że zrobi to jej ojciec. Niebawem.

Ghause się uśmiechnęła.

- A ty odmówisz?

Gabriel znowu jął się namyślać.

- Tak.

Ghause pokiwała głową.

- Mógłbyś zostać cesarzem.

Gabriel powtórzył jej gest.

- Tak. Ale nie. Cesarstwo nie przekazuje władzy przez krew. Przyszło ci na myśl, że nie podzielam twoich ambicji?

Zignorowała go.

- Podpiszę twój papier, a ty poślubisz tę, którą ci wskażę. I bez wykrętów, znam cię.

Gabriel wstał.

- Kusi mnie, by skłamać i się z tobą zgodzić. Myślę, że przez ten układ mógłbym ocalić setki istnień. Ale wiesz, mam, dzisiaj osiągnąłem kres pozwalania na to, żeby mnie wykorzystywały siły tego świata. Dlatego... nie. - Podniósł pergamin. - Nie chcesz podpisać, ponieważ i tak jesteś wasalem króla?

Ściągnęła brwi.

- Zupełnie cię nie obchodzi, że mnie zniewolił, słabą dziewczynę, rodzoną siostrę?

Gabriel pokiwał głową.

- Obchodzi, matko. Mimo że wiele nas dzieli, przyznaję ci rację. Nienawidzę go. Uważam, że jest nikczemnikiem i że wszystkie jego dokonania są zatrute przez to, co zrobił tobie. - Wzruszył ramionami. - Ale... jeśli wszyscy zaskorupimy się w naszej nienawiści, nigdy nie posuniemy się do przodu. Jeśli ten głupiec de Vrailly tego lata ruszy na północ...

- Hrabia go zniszczy - powiedziała z satysfakcją Ghause.

Gabriel spojrział na nią uważnie. Wzruszył ramionami.

- Dobrze, mam. Sądzę, że wybrałaś swoją drogę. A ja wybrałem moją.

Zmarszczyła czoło.

- Więc nie poślubisz dla mnie dziewczyny?

- Ani nie wezmę udziału w żadnych twoich spiskach czy planach.

Co więcej, zamierzam powiedzieć ser Johnowi, że nie obejmę dowodzenia nad północną armią. Biorąc pod uwagę twoje stanowisko, i hrabiego, król nigdy się na to nie zgodzi.

- Doskonale. Nie pomożesz mi? Rodzonej matce? W takim razie idź do diabła, mój synu. - Posłała mu pocałunek.

Wyszedł z komnaty z przekleństwami matki dzwoniącymi mu w uszach.

Udał się prosto do ser Johna i rzucił pergamin na biurko.

- Przepraszam, ser Johnie. Zawaliłem sprawę.

Kapitan Albinkirku westchnął.

- Nie podpisze?

- Posłała mnie do diabła. - Gabriel rozłożył ręce.

- Psiamać. Twoja rodzona matka. - Ser John pokręcił głową.

Ser Gabriel rozłożył ręce.

- Niestety nie mogę zostać dowódcą, ser Johnie. Sam zgadnij dlaczego.

- Chryste na krzyżu, twoja matka chce wojny z królem? - Ser John był wstrząśnięty.

Ser Gabriel nic na to nie powiedział.

- Gdy tylko turniej się skończy, wrócę do Morei - oznajmił po chwili. - Obiecuję, że jeśli dasz znać, cesarz przyśle wojsko. Prawdopodobnie nie będę mu towarzyszyć.

- Psiamać. Psia jebana mać. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego księżna nienawidzi króla?

- Nie, ser Johnie. Nie mnie o tym mówić. - Pokręcił głową. - Ale nie zmieni zdania.

\*\*\*

Podczas kolacji w wielkiej sali panowała atmosfera przygnębienia. Siostra Amicja siedziała w milczeniu i ani razu nie spojrzała na ser Gabriela. Księżna Zachodniego Muru na przemian zachowywała się grubiańsko i wyniośle i ani jedno, ani drugie nie trafiało w cel, jej syna, który siedział w odosobnieniu jak ksiądz przy ołtarzu, sam ze swoimi myślami. Ser John bez powodzenia próbował nawiązać rozmowę. Jego wysiłki zakończyły się przy pasztecie z sarniny i reszta kolacji minęła w milczeniu, tylko od czasu do czasu przerywanym

przez księżną, która *pro forma* flirtowała z teraz chętnym lordem Waylandem i rozmyślnie ignorowała syna Gospodarza.

Przybyło dwóch posłańców od ser Ricara. Ser John poszedł ich wysłuchać i kolacja dobiegła końca.

Gabriel wypatrywał jakiegoś znaku od Amicji, że może z nią porozmawiać. Gawędziła z Poganiaczem, jakby nie potrzebowała innego towarzystwa, a później usiadła do partii szachów ze swoim przyjacielem biskupem.

Matka obserwowała go w skupieniu równym temu, które cechowało szachistów.

Wreszcie Gabriel poszedł do swojego pokoju.

Bolała go noga i wszystkich nienawidził.

Gdy się rozbierał, położył rękę na ramieniu Toby'ego i młodzieniec o mało się nie wzdrygnął.

- Przepraszam, Toby.

Toby poczerwieniał. Nic nie powiedział.

\*\*\*

Wstał zimny, wilgotny dzień, który nie tyle zapowiadał wiosnę, ile tylko mgliście ją sugerował. Deszcz wydawał się zimniejszy od śniegu, wilgoć wisiała w powietrzu i wiatr kasał przez wełniane peleryny.

Diuk Tracji wstał wcześniej. Zjawił się w wielkiej sali ubrany w wartą fortunę pelerynę do jazdy wierzchem, uszytą z białej wełny z wyhaftowanym herbem, podbitą trzystoma wiewiórczymi skórkami. Nosił ją na zbroi.

Powitał go giermek ser Johna, młody Jamie, chłopak z Hoeku.

- Wasza Wysokość - powiedział z ukłonem. - Kapitan Albinkirku prosi, żebyś do niego przyszedł. Są wiadomości.

Złość Czerwonego Rycerza zniknęła po nocy porządnego snu i został mu tylko pulsujący ból wraz z dokuczliwym poczuciem straty. Odwzajemnił ukłon.

- Prowadź - polecił. Zwrócił się do ser Michaela: - Moje pożegnanie nie będzie szybkie. Możesz iść na kielbasę do kuchni.

Michael pokiwał głową, zabrał syna Poganiacza z insygniami na zbroi i znalazł stół zastawiony naczyńiami ze strawą.

Ser Gabriel poszedł z Jamie'em do wieży koszar, gdzie kapitan Albinkirku miał swoje biuro.

Ser John siedział w starej czarnej szacie, z okularami na nosie. Na biurku leżał worek, a naprzeciwko biurka siedział bardzo młody mężczyzna ze złotym pasem rycerskim.

Czerwony Rycerz się uśmiechnął.

- Ser Galahad! - zawołał na jego widok. Galahad D'Acon był jednym z bohaterów walki pod Lissen Carak.

- Miło, że mnie pamiętasz, Wasza Wysokość - powiedział młodszy mężczyzna, wstając tak gwałtownie, że splątały się mu ostrogi.

- Młody Galahad przybywa jako królewski wysłannik - wyjaśnił ser John. - Przywiózł nam kilka pism. - Podrapał się po brodzie i poprawił okulary na nosie.

- I by ocalić swe życie - dodał Galahad. Pokręcił głową. - Rycerze królowej... - Spojrzał na ser Johna. - To ona mnie wysłała. Galowie zabijają naszych ludzi i król nic nie robi, żeby temu zapobiec. - Zaciśnął pięści. - Mówi się o aresztowaniu lady Almspend.

Ser John pokiwał głową.

- Masz za sobą męczącą podróż - powiedział do młodego rycerza. - Idź się pokrzepić.

Gdy tylko Galahad wyszedł i Jamie Le Hoek zamknął drzwi, ser John się odwrócił, postukując zwojem o zęby.

- Był w drodze dziewięć dni. Paskudna pogoda, błoto, wiele konwojów do wyminięcia.

Ser Gabriel usadowił się na jeszcze ciepłym krześle, które przed chwilą zajmował posłaniec.

- De Vrailly zamierza formalnie oskarżyć królową o cudzołóstwo - oznajmił ser John. - Oskarży ją jako obrońca króla.

Ser Gabriel przemyślał te informacje.

- Rozumiem.

- Wątpię. Wybuchnie wojna.

- Królowa jest taka popularna? - zapytał retorycznie ser Gabriel.

- Król musiał stracić zmysły. Ten drugi zwój to żądanie zapłacenia podatku przez hrabiego Zachodniego Muru.

Ser Gabriel się uśmiechnął.



- Rozumiem.

- Jest więcej. Arcybiskup Loriki powołał radę do zbadania... - Spojrzał na pismo. - Listy oskarżeń o herezję - zacytował. - Przeciwno Zakonowi Świętego Tomasza. - Spojrzał w oczy Czerwonego Rycerza. - Muszę ci powiedzieć, Wasza Wysokość, że na liście są kazania zakonnicy.

- Siostry Amicji?

- Dla tutejszych jest chodzącą świętą. W Albinkirku nie ma zbrojnego, który nie odczułby dobroczynnych skutków jej mocy uzdrawiania. Albo jej mądrości.

Ser Gabriel się zarumienił.

Ser John zmarszczył brwi.

- Wygląda to tak, jakby królowi zależało na zniszczeniu królestwa. - Pokręcił głową. - Bez wątpienia de Vrailly wystąpi z oskarżeniem na turnieju.

- I będzie oskarżycielem.

- Poradzisz z nim sobie? - zapytał ser John.

Ser Gabriel wetchnął.

- Może. Waham się stawiać na to przyszłość Alby.

Ser John wzruszył ramionami.

- Mówią, że jest najlepszym rycerzem na świecie.

Czerwony Rycerz się uśmiechnął.

- No tak. O mnie mówią, że jestem pomiotem szatana. - Parsknął śmiechem. - Turniej zaczyna się za osiemnaście dni.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu.

Gabriel wstał.

- Muszę się pożegnać z moją panią matką.

Ser John pokiwał głową.

- Nie zmienisz zdania? - zapytał.

- Być może, ser Johnie. W pewien sposób, dziwny sposób, król właśnie zagrał prosto w ręce księżnej.

Ser John pokręcił głową.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że posłuchał takiej głupiej rady.

Ser Gabriel pokiwał głową.

- Ser Johnie, powiem ci, że Galom na dworze nie leżą na sercu

najlepsze interesy króla.

Ser John pokiwał głową.

Gabriel wyszedł z chrzestem zbroi na korytarz.

\*\*\*

Gabriel zapukał do drzwi komnat matki i gdy minął jakiś czas, opracował *praxis* i sam je sobie otworzył.

- Ani się waż! - wrzasnęła Ghause.

Gabriel otworzył drugie drzwi. Brązowooka dziewczyna wysmyknęła się z łóżka, zaczerwieniona od nosa po pępek, i zniknęła za zasłoną garderoby.

- Muszę z tobą pomówić, matko - powiedział Gabriel. Głos miał wesoły. W pełni nad sobą panował. - Widzę, że naprawdę dzielimy pewne gusta.

Matka usiadła ubrana w skąpą koszulę.

- Zawsze byłeś impertynenckim chamem - warknęła.

- Król przysłał ci nakaz zapłacenia zaległych podatków z dwudziestu lat. I grozi wojną, jeśli nie zapłacisz. - Gabriel oparł się o ścianę, wpasowując prawy naramiennik we wgłębienie w kamieniu.

- Głupiec - syknęła Ghause.

- Pod niejednym względem, matko. Zmieniłem zdanie. Przyjmę pannę młodą w zamian za twoją pieczęć pod sojuszem. - Podał jej zwój. - Jak udaje ci się zachować młodość? - zapytał.

- Krew zamordowanej dziewicy - odparła, patrząc na dokument. - Sproszkowany róg jednorożca. - Uniosła wzrok. - Bzdury. Wystarczą ćwiczenia, mój drogi, dobre pochodzenie i odrobina czarów. - Bez ceregieli wstała z łóżka i zapaliła świeczkę za pomocą *ops*. Wzięła воск do pieczętowania i przyłożyła osobistą pieczęć. - Nie pożałujesz tego.

- Podejrzewam, że pożałuję, mamó. Ale przyszło mi na myśl, że tysiąc istnień nie jest uczciwą ceną za moje szczęście małżeńskie. Wykluczam tylko twoją służącą. Jej nie poślubię. - Uśmiechnął się. - Chociaż może będę chciał ją mieć po tym, jak zapłodnię żonę.

Matka się uśmiechnęła i przygryzła wargę.

- Coś ukrywasz - powiedziała. - Znam cię.

- Owszem - przytaknął. - Ale jeśli obojgu nam dopisze szczęście,

nigdy się tego nie dowiesz. Wyruszam do Harndonu. - Pochylił się i formalnie ucałował jej dłoń.

Zaśmiała się.

- Jesteś głupcem, mój chłopcze. Ale się cieszę, że wróciłeś do mojego boku.

Pokiwał głową. W nowo nabytej mądrości postanowił nie odpowiadać.

\*\*\*

Za bramami miasta uformował się konwój, który ruszył na południe. Czerwony Rycerz zostawiał wielu swoich najlepszych ludzi i zabierał tylko świtę. Ser Michael jechał na czele, niosąc nowy sztandar - sztandar Tracji ze złotym orłem na ciemnoczerwonym polu. Ser Phillipe de Beause, ser Francis Atcourt, młody Etrusk, Angelo di Laternum i Chris Foliak prezentowali się wspaniale nawet w deszczu. Za nimi ustawili się ich giermkowie i paziowie, a dalej ciągnęły dwa wozy z bagażami i zbrojami pod wodzą Sadie Lanthorn; najwyraźniej małżeństwo siostry z arystokratą nie wpłynęło na jej karierę w kompanii. Sukey przez kilka dnia miała zająć się innymi obowiązkami.

W straży tylnej diuk Tracji miał sześć moreańskich kopii pod ser Christosem, który po raz pierwszy dowodził w kompanii, chociaż kiedyś był strategiem byłego diuka. Towarzyszyło mu pięciu magnatów z Tracji i jeśli mieli coś przeciwko jeździe w wątpliwych rozkoszach albańskiej wiosny, zachowali swoje zdanie dla siebie. Powszechnie spodziewano się, że ser Alkajos zostanie ze swoją bandą, ale dołączył do orszaku.

Na równinie górale spędzali stada, żeby je przeprowadzić przez rzekę w Południowym Brodzie. Miało to zabrać dwa dni.

Czerwony Rycerz rozglądał się, szukając twarzy, której mu brakowało. W końcu się poddał. Wyciągnął miecz i zasalutował strażnikowi przy bramie, który odpowiedział bardziej formalnym pozdrowieniem. Ser John podjechał na ładnym gniadoszu i wymienił z nim uścisk dłoni.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecał ser Gabriel.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że się zgodziła. O co poprosiła w

zamian? - zapytał ser John.

Ser Gabriel się uśmiechnął.

- O życie w cnocie - odparł.

Zostawił starszego rycerza, któremu odjęto mowę, i poprowadził swoich ludzi z taborem na południe, do brodu.

\*\*\*

U brodu zobaczył kobietę, której mu brakowało. Siostra Amicja siedziała na niewysokim koniu. Towarzyszyły jej dwie siostry, Maria i Katarzyna.

- Możemy jechać z wami? - zapytała.

Czerwony Rycerz ścisnął kolanami końskie boki, żeby podjechać bliżej. Uśmiechała się dzielnie. Miał nadzieję, że jego uśmiech jest równie dobry.

- Czy to znaczy, że chcesz z nami spędzić dziesięć dni w drodze do Harndonu? - zapytał.

- Zostałam oskarżona o herezję - odparła, siedząc w siodle prosto i z wysoko uniesioną głową. - Zamierzam się z tym zmierzyć osobiście, a nie chować się tutaj. Wnoszę, że masz podobne plany.

Różne dowcipne uwagi przeleciały mu przez głowę, ale przecież to odwagę zawsze kochał w niej najbardziej. Ukłonił się.

- Będę zachwycony, siostrze, ciesząc się twoim towarzystwem.

Prom kolejno przewoził konie i wozy. Za każdym razem ciężar ładunku powiększały owce i bydło, wielkie krowy z groźnymi rogami. Muczenie, bekanie i pierdzenie, dźwięki przeżuwania i głucho stukanie kopyt trwały bez końca.

Zły Tom spotkał się z Czerwonym Rycerzem na południowym brzegu. Droga od promu na wysoki brzeg była błotnista i wierzchowiec młodszego mężczyzny o mało nie zrzucił jeźdźca.

- Zabierasz ją - powiedział Tom z aprobatą.

~ To nie to, o czym myślisz - burknął ser Gabriel.

Zły Tom się roześmiał.

- Czasami myślę, że jesteś najbystrzejszym wariatem, jakiego znam. Kiedy indziej, że największym głupcem.

Amicja podjechała i usłyszała ostatnie zdanie. Parsknęła śmiechem.

Ser Gabriel jej zawtórował.

- Dziesięć dni drogi z wami? W takim razie ruszajmy do Harndonu -rzucił z uśmiechem.

\*\*\*

Dwieście lig na północ Głóg stał w swoim miejscu mocy z laską w lewej ręce, ale tym razem nie pracował z mocą. Przybrał nową postać z kamienia i drewna, wysoką i niezwykłą. Na prawej ręce trzymał koszmarnie rezultaty roku starannej hodowli.

Z daleka mogło się zdawać, że prawą rękę ma pokrytą futrem. Bliższe spojrzenie ujawniłoby tuzin wielkich fioletowo-czarnych ciem, dużych jak ptak drapieżny.

Sięgał przez etereal, aż nawiązał kontakt z aurą mocy, która była Ciemnym Słońcem. Pokazał aurę swoim ómom i poderwał rękę jak sokolnik wypuszczający ptaka po zdobycz.

Ómy pofrunęły.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### Hamdon - królowa

Wiosna jest porą stworzoną do radości, ale Dezyderata miała niewiele powodów, żeby się cieszyć. Siedziała w swojej komnacie. Diota szczołkowała jej włosy.

- Nie zamartwiaj się, dziewczyno - mówiła. - Niedługo wróci do swoich obowiązków.

- Obowiązków? - zapytała Dezyderata.

- Nie łap mnie za słowa, kokietko - zganiła ją piastunka. - Wszak wiesz, o co mi chodzi.

- O to, że kiedy urodzę dziecko, moje ciało znów będzie atrakcyjne I mój kochanek wróci? - zapytała królowa. - To znaczy, że taka jest rola kobiety i że powinnam się na nią godzić?

- Jeśli trzeba. Tacy są mężczyźni.

- On jest królem.

- Jest nierozsądny - tłumaczyła cierpliwie Diota. - Rohan niemal wepchnął w jego ramiona tę rudą lisicę. Smarkula nie miała szans.

- Zgadzam się, jest za mała, żeby ją obwinić. - Dezyderata cieszyła się pocałunkiem słońca na nagich ramionach i włosach i słuchała odgłosów swojego dziecka, coraz bardziej natarczywych, ale kochanych.

Rozmyślała o nienarodzonym maleństwie, kiedy zadźwięczał dzwonek i drzwi się otworzyły.

- To ta wiedźma - syknęła Diota i opiekuńczo stanęła tuż przy swej pani. Na zewnątrz młoda kobieta z jarsayskim akcentem zapytała:

- A gdzie jest dzisiaj królowa?

Lady Genevieve była najbrzydszą - i najstarszą - z dam królowej, dobre dziesięć lat starszą od swojej pani. Nosiła krzyż dość wielki, żeby zawiesić go na ścianie, i suknie skromne do punktu bezguścia, zwykle ciemne. Czasami nawet zakładała kwef, choć dzisiaj włosy miała uczesane w albańskim stylu - warkocze skręcone w wieżyczki, wskutek czego jej głowa wyglądała jak brama fortecy, co królowa uznała za nadzwyczaj trafne.

- Witaj, lady Genevieve - powiedziała.

- Całe to szcietkowanie włosów jest oznaką próżności - zauważyła lady Genevieve. Usiadła bez pytania o pozwolenie. - Przyniosłam ci pewne religijne nauki. - Spojrzała na Diotę. - Możesz odejść.

Królowa ściągnęła brwi.

- Pani, do mnie należy przyjmowanie albo odprawianie sług, do których sama się zaliczasz. Nigdy nie przywiązywałam zbyt wielkiej wagi do etykiety, ale masz stać, dopóki nie powiem, że wolno ci usiąść.

- Nie zadzieraj nosa - burknęła lady Genevieve. - Jesteś żoną, która dopuściła się cudzołóstwa, nosisz bękarta innego mężczyzny i wszyscy widzą dowód twojej hańby. - Nie wstała. - Pan de Vrailly mnie przysłał, żebym ci służyła, i będę. Ale mnie nie zwiedziesz.

Dezyderata powoli pokiwała głową.

- Więc nie wykonasz mojego polecenia.

Lady Genevieve była wdową po wielmoży z południa. Umiała skłaniać ludzi do posłuchu.

- Wypełnię każde rozsądne polecenie - powiedziała słodko. - Pozwól, że poczytam ci z Żywota Świętej Katarzyny.

- A jeśli nie chcę, żebyś czytała? - zapytała królowa, już zmęczona.

- Jesteś mało kobieca w swoich usiłowaniach. Rolą kobiety jest bierna akceptacja, jak przy wielu okazjach mówiłam mojemu mężowi. Co więcej, byłam uosobieniem biernej akceptacji. - Pstryknęła palcami. - Jeśli twoja służąca ma zostać, równie dobrze może się do czegoś przydać. Przynieś mi kubek słodkiego cydru, Dioto. - Zwróciła się do królowej: - Na czym skończyłam? Aha, tak, mówiłam o biernej akceptacji.

Diota wyszła i w antykamerze zastała Blanche, jedną z praczek królowej.

Piastunka nalała cydru z dzbana do kubka, po czym mrugnęła do Blanche, sięgnęła pod spódnicę, potarła się i ręką przemieszała cydr.

Blanche zdusiła chichot i podała jej kawałek pergaminu, który był przypięty do koszuli.

Do pokoju weszła następna z „nowych dam”, bez pukania, ale w tym czasie Blanche już składała koszule i chowała je do bieliźniarki.

Lady Agnes Wilkes, dwudziestodwujętnia panna o twarzy zdolnej skwasić mleko, spojrzała ponuro na słuźkę.

- Co tu robisz, dziewczko? - zapytała.

Blanche nie przerwała pracy.

- Składam, pani.

Lady Agnes skrzywiła się.

- Rób takie rzeczy w nocy. Nie muszę za dnia widywać tobie podobnych w tych komnatach, królowa też nie. A gdyby przyszedł król?

Diota wymknęła się z kubkiem cydru i z lekkim dygnięciem podała go lady Genevieve, która nawet na nią nie spojzała. Wzięła kubek i się napiła.

- Cierpki i słodki - zauważyła.

Diota uśmiechnęła się.

- Przyjemnie ci służyć, pani.

- Tak - mruknęła lady Genevieve. - Zatem nastąpiła zmiana na lepsze. Widzę, że przyszła lady Agnes. Zamienię z nią słówko. - Starsza kobieta wstała i hałaśliwie odstawiła kubek.

Wyszła i słyzały, jak coś mówi w zewnętrznej komnacie.

Diota podała królowej skrawek pergaminu. Królowa przeczytała, a potem włożyła go do ust i zaczęła przeżuwać.

Diota zebrała kubki i koszule, po czym zajęła się porządkowaniem prywatnej komnaty królowej.

Weszły dwie damy.

- Lady Rebecca cię porzuciła - oznajmiła lady Agnes z niekłamana satysfakcją. - Pan de Rohan posłał po nią dziś rano, lecz okazało się, że uciekła. Brakuje wielu rzeczy... była nie tylko heretyczką, ale też złodziejką. Przyszłam zrobić inwentaryzację.

- Lady Rebecca nie musiała kraść - powiedziała królowa. - Przez pół roku była kanclerzem.

Lady Agnes się skrzywiła, a lady Genevieve prychnęła.

- Może król udawał, że była kanclerzem. Żadna kobieta nie mogłaby pełnić takiego urzędu. - Powiedziała to tak, jakby ją cieszył niski status kobiet. - Co za głupota. Kobiety nie mają zdolności do takich rzeczy. Kiedy byłam z moim mężem, pielęgnowałam bierną



postawę. Nigdy nie wysuwałam się przed niego.

- A co się stało później? - zapytała królowa.

- Później, moja droga?

- Po śmierci twojego męża?

Diota o mało się nie zakrztusiła. Lady Genevieve zrobiła gniewną minę.

- Nie mam pojęcia, pani, o czym mówisz.

Królowa wstała.

- Musisz się ubrać - przykazała jej lady Agnes.

Królowa miała na sobie tylko koszulę i jej brzuch był imponujący -i bardzo widoczny.

- W tym mi wygodniej - powiedziała.

- Jesteś nieprzyzwoita. - Lady Agnes zaczęła wyjmować ubrania z szafy.

- Mam się pilnować w mojej prywatnej komnacie? Nie sędzę.

- Nie życzę sobie patrzeć na twoje ciało - oświadczyła stanowczo lady Agnes. Na przekór słowom popatrzyła na brzuch królowej.

- Jesteś bezwstydnicą - wycedziła lady Genevieve. - Ubierzemy cię. Pora, żebyś zaczęła nosić ubrania odpowiednie dla matrony i wyzbyła się swojej próżności.

Królowa się uśmiechnęła. Uśmiech rodził się powoli i w końcu zaskoczył Diotę.

- Wiecie, moje panie, że być może macie rację, może dziecko miesza mi w głowie. W istocie zacznę pielęgnować bierność.

\*\*\*

Blanche wzięła koszyk z praniem i szybkim krokiem ruszyła korytarzami pod wieżą królowej. Nikt za bardzo nie chciał widywać sług w formalnych częściach pałacu ani nie ufał osobom takim jak Blanche, która nosiła wykrochmaloną czerwono-niebieską liberię wyraźnie mówiącą o jej przynależności do niskiego stanu.

Oczywiście wielu mężczyzn było równie grubiańskich w swoich zachciankach jak nowe „damy” królowej.

Damy, pomyślała Blanche. Czujnie spojrzała w obie strony i weszła na korytarz prowadzący do wieży króla. Galowie, którzy roili się w pałacu jak kraby na plaży w czasie odpływu, często stali tu w

grupach z braćmi i kuzynami, wypatrując urzędów i synekur.

Nie znała bardziej zdeterminowanych łotrów niż oni. Żaden nie dopuścił się jawnego gwałtu - jeszcze nie - ale od kilku miesięcy była obrażana, a obmacujące ręce, spocone dłonie i drapiące wąsy nastawały na jej panięską czystość.

Będąc atrakcyjną młodą kobietą, czuła do nich bezgraniczną pogardę. Nienawidziła ich za oczywiste lekceważenie kobiet, uważała za słabych z powodu bezustannych starań, przeklinała w najgorszych słowach, ponieważ wyglądali na zdesperowanych. Żaden z nich nie miał pojęcia, jak zabiegać o względy kobiety - tak mówiły wszystkie służące. Byli agresywni i bezmyślni jak głodne wilki.

Blanche z uczuciem ulgi minęła królewski korytarz, bliska zakończenia misji, i zeszła po dwóch ciągach krętych schodów dla służby i dlatego prawie zupełnie bezpiecznych. Minęła służącego z górnego pałacu, Robina le Granta, który ukłonił się jej z uśmiechem.

Słudzy stworzyli system porozumiewania się niezbędny w obecnej sytuacji. Ten uśmiech oznaczał, że schody są puste.

Blanche zwolniła kroku i jęła oddychać z większą łatwością. Jej pogarda do Galów nie była wolna od strachu.

Weszła na korytarz kuchenny i skinęła głową do trzech znajomych dziewczyn.

- Praczka o ciebie pytała - powiedziała ta stojąca najbliżej. Błysnęła uśmiechem.

Blanche podejrzewała, że migają się od obowiązków. Kręcenie się po korytarzach nie było pochwalane przez władającego żelazną ręką ochmistrza, który był jednocześnie panem z urodzenia i starszym sługą. Odwzajemniła ich uśmiechy.

- Na schodach czysto - powiedziała i znowu skrzyła, żeby zejść po znajomych schodkach.

Korytarz po prawej stronie prowadził do bramy rzecznej należącej do dawnych fortyfikacji. Z lewej strony mieściła się pralnia, królestwo zaludnione wyłącznie przez kobiety. Były tam praczki, które rzeczywiście prały, i praczki, które tylko prasowały, i praczki, które były doskonałymi szwaczkami od naprawiania po znakowanie - każda sztuka odzieży w pałacu była opatrzona inicjałami właściciela

wykonanymi pięknym, schludnym haftem krzyżykowym. Razem wzięwszy, od dwunastoletniej Celi, wyznaczonej do prania najbrudniejszych rzeczy, do dziewięćdziesięcioletniej Matki Henk, która ledwie widziała na oczy, ale wciąż haftowała najpiękniej w Harndonie, pralnia zatrudniała czterdzieści pięć kobiet, codziennie i jak dzień długi. Przełożona - gospodyni Ross - nosiła liberię górnego pałacu, ale nigdy nie opuszczała swojego królestwa.

Stała przy drzwiach swej alkowy i Blanche dygnęła, podchodząc - pralnia była dość formalnym miejscem.

- Martwiłam się o ciebie, dziewczyno - powiedziała pani Ross. Zajrzała do koszyka.

Blanche pokręciła głową.

- Nie ma rzeczy do naprawy od królowej.

- Jakies kłopoty?

- Nie ma Galów w korytarzach. Nowe damy królowej sprawiły niespodziankę.

Zaden pałacowy sługa nigdy nie wypowiadał się niepochlebnie o żadnym członku wyższego stanu, nie bezpośrednio. Wszystko odbywało się za pomocą tonu i kontaktu wzrokowego, niczego, co można by powtórzyć albo za co ukarać.

Gospodyni Ross zmrużyła oczy.

- Powinam o czymś wiedzieć?

- Lady Agnes jasno dała do zrozumienia, że nie mam czego szukać w komnatach królowej. Ja, w mojej liberii! - Blanche wypluła słowa z większą pasją, niż zamierzała.

Przełożona praczek ściągnęła usta.

- Rozumiem.

Blanche opadła w krótkim dygu, składając ukłon należny pracującej kobiecie.

- Będę w pobliżu, pani.

Gospodyni Ross odprawiła ją ruchem ręki. Orientowała się, nie znając żadnych szczegółów, że Blanche „robi coś” dla królowej. To jej wystarczało.

Blanche zabrała koszyk do zaparowanej głównej pralni. W chwili gdy wysypała zawartość na stół do sortowania, jej misja posłańca

królowej ustąpiła zwyczajnemu życiu.

- Blanche! Jesteś! Bądź tak dobra i przynieś nam wody! - poprosiła sędziwa Matka Henk.

- Blanche, obiecałaś, że nauczysz mnie sznureczka! - przypomniała młoda Alice.

- Blanche, góra szycia czeka w twoim koszyku, a ja robię, co mogę, żeby utrzymać króla w gaciach - burknęła Ellen.

Ellen była drugą praczką wyższych sfer, nosiła liberię i wolno jej było zbierać pranie w publicznych pokojach pałacu. Jak Blanche, była młoda, ładna i pracowała w pałacu od dzieciństwa.

Blanche z zadowalaniem padła na krzesło z oparciem, którego używały szwaczki. Z kieszeni w fałdach spódnicy wyjęła swój cenny dobytek - przybornik do szycia zawierający stalowe nożyczki roboty samego mistrza Pye'a, dwa srebrne napastrki i sześć pięknych rogowych szpulek pełnych nici: biała bawełniana, biała jedwabna, czarna bawełniana, czarna jedwabna i o tej porze roku czerwona i niebieska do liberii.

Ellen nawijała nić na szpulki. Nić pochodziła od farbiarzy przędzy i szwaczki i krawcy musieli ją nawijać na swoje szpulki. Blanche miała dwie piękne nawijarki - małą z kości słoniowej, która należała do jej matki, i drugą z macicy perłowej z dalekiej Ifriqu'ya. Obie trzymała w domu.

- Jeśli król będzie nosić jeszcze ciaśniejsze rajtuzy... - powiedziała Ellen i pokręciła głową.

Na jej kolanach leżały piękne nowomodne rajtuzy, z jedną nogawką w naprzemienne czerwone i niebieskie skośne pasy, a drugą szkarłatną z łątką wspaniałego złotego haftu. W przeciwieństwie do staromodnych nogawic stanowiły jednolitą całość i miały rozdarcie w kroku.

- Jest za stary na takie obcisłe rzeczy - dodała Ellen.

Rok temu nikt nie ośmieliłby się jawnie krytykować gustu króla. Blanche czuła się nielojalna, choć tylko słuchała.

Ellen ściągnęła brwi świadoma wykroczenia.

- Chodziło mi tylko o to... - Spojrzała na szpulkę ze szkarłatną nicią. Skończyła nawijać i załadowała niebieską.

Nie dokończyła myśli, lecz nie musiała. Blanche wiedziała, że Ellen nie krytykuje króla, ale jego nową kochankę, rudą siedemnastolatkę. Lady Jane SabLe. Jej nazwiska nigdy nie wymawiano w pomieszczeniach służby na dole. Zdawało się, że inspiruje króla do udawania, że jest młody, i ten pościg za młodością - jej, jego - prowadził go do utraty królewskiej godności, i wszyscy służący uważali, że to się odbija na nich.

Sama lady Jane nie była taka zła. Dość dobrze wychowana nie obnosiła się z romanssem, dbała o reputację króla i uprzejmie odnosiła się do służby. Ale miała swoją damę, Sarę, i jej rzeczy nigdy nie trafiały do pralni. Sara jadała w pokojach swojej pani i nie schodziła do dużej sali pod schodami, gdzie posilali się służący i gdzie wielu z nich spało. Ojciec lady Jane już był przywódcą progalijskiej frakcji Albanów.

Blanche zaczęła naprawiać koszule królowej. Pracując w domu z matką, cierpliwie uszyła sześć nowych, które pasowały do jej zmienionej sylwetki, ale nawet w tych nowych koszulach staranne szwy galijskie miejscami popękały na bokach.

Blanche wyjęła z koszyka specjalny nożyk - ostry jak brzytwa, z zakrzywionym czubkiem, długi na parę cali, kolejny produkt doskonałego oka i ręki mistrza Pye'a - i zaczęła rozpruwać boczny szewek.

- Blanche! - zawołała gospodyni Ross.

Blanche wstała, wrzuciła szycie do koszyka przy krześle i pobiegła do przełożonej, której komend się nie ignorowało. Miała w ręce nożyk, bo był cenny, wart pięciodniowych zarobków. Nie schowała go do kieszeni, bo mógłby w okamgnieniu ją przeciąć. W końcu wsunęła go za ucho.

- Blanche, zaniesiesz wiadomość do pana Corda w Cheapside. Zapytaj, gdzie jest nasze wiosenne zamówienie na płótno. Od rana jestem poirytowana i wszystko mi z głowy wylatuje.

Pałac pochłaniał piękne białe płótno, jak osesek mleko, i spóźniona dostawa mistrza Corda wprowadzała zamieszanie w pralni.

Blanche dygnęła.

- Każę Ellen dokończyć koszule - powiedziała pani Ross.

Blanche pokręciła głową - lekko, nieznacznie. W rozmowie z osobą należącą do starszego personelu tylko tak mogła okazać, że jest innego zdania.

- Zabiorę je do domu, jeśli łaska, pani.

Gospodyni Ross skinęła głową.

- Dobrze. Ellen ma pełne ręce roboty. Zabierz swój koszyk i zmykaj.

Blanche weszła do pokoju szwaczek i zapakowała koszyk.

Ellen westchnęła.

- Miły wiosenny dzień? Chciałabym być dziewczyną na posyłki.

Blanche ściągnęła brwi.

- Gospodyni się o ciebie martwi, Ellen.

- Dam sobie radę - odparła dzielnie młoda kobieta, ale w porównaniu z wysoką, barczystą Blanche była filigranowa jak lalka i smukła jak trzcina.

Siła ramion i rąk Blanche była owiana legendą wśród paziów i giermków, których nauczyła kilku dobrych manier jeszcze przed przybyciem Galów.

- Żadna z nas nie poradzi sobie z Galami - przestrzegła ją Blanche.

-Uważasz, którądy chodzisz? Nigdy dwa razy tą samą drogą?

- Tak, mam - powiedziała ze śmiechem Ellen. - Mogę prosić o jeszcze jeden kubek mleka? - Dziewczęta się roześmiały. - Ale, Blanche, czy ty nie jesteś Galijką?

Blanche pokiwała głową.

- Mój ojciec był Galem. - Kiedyś Blanche de Roeun, z miasta w Galii, obecnie nazywała się Gold.

Ellen wzruszyła ramionami.

- Więc jest też paru dobrych Galów.

Blanche zrobiła niezadowoloną minę.

- Paru? Zatrzesienie. Galowie są miłym ludem, Ellen. Pomyśl o hrabim d'Eu!

Ellen się uśmiechnęła. Obie go uwielbiały.

- Jeśli ty nie będziesz mi mówić, jak mam chodzić i dzieci rodzić, ja nie będę żartować z twoich Galów.

Blanche błysnęła zębami w uśmiechu.

- Zawsze uważaj, skarbie.

Opuściła szwalnię pod pełnymi żaglami, jak lubiła mówić Ellen, córka szkutnika. Z reguły Blanche nie przychodziła do pałacu ani nie opuszczała go w biały dzień. Zjawiała się tak wcześnie rano, że giermkowie jeszcze spali, i wychodziła, kiedy byli kompletnie pijani. Ale zraniła jednego z Galów i wiedziała, że mają ją na oku.

Minęła korytarz bramy wodnej.

Na górze w głównym korytarzu tłoczyli się panowie. Już z dołu schodów, widząc tylko buty, głównie ciżmy o długich noskach, zrozumiała, że ma przed sobą zgraję Rohana, kilkunastu galijskich rycerzy i giermków. Najgorszych.

Zamarła ze stopą na trzecim schodku.

- Tam jest ładna dziewczka - powiedział któryś z nich.

- Założę się, że ma uda białe jak śnieg - dodał inny.

Znała ich wszystkich, jeśli nawet oni nie znali jej. Rohan był najgorszy - koncentrat truizmy, można by rzec. Napotkał jej spojrzenie.

Spuściła wzrok i zeszła na niższy stopień.

- Król! - krzyknął ktoś i dworacy zeszywnieli.

To oznaczało, że król przechodzi ze swoich apartamentów do głównej sali. Dworzanie ustawili się wzdłuż korytarza; każdy miał nadzieję, że król go rozpozna i zagadnie.

- Jeffries! Malquil! - rzucił Rohan cichym, spokojnym głosem. - Widzicie tę sukę na schodach? To sługuska królowej. Może jej dziwka. Zabierzcie ją i pokażcie, co to znaczy mieć mężczyznę.

Obaj wymienieni odwrócili się i ruszyli na dół po schodach. Nie byli Galami. Byli albańskimi giermkami ubranymi po galijsku w obcisłe rajtuzy i bardzo krótkie wamsy. Wyższy zbiegł po dwa stopnie na raz i odciął jej drogę w prawo.

Blanche nie panikowała, chociaż dwóch silnych mężczyzn budziło w niej lęk. Skręciła w lewo. Miała nadzieję, że napotka kogoś ze służby, ale korytarz okazał się pusty.

Przyśpieszyła.

Byli tuż za nią. Wrzasnęła - głośno i przeciągle - podkasała spódnice i pobięła.

Wszyscy na północ od Cheapside wiedzieli, jak szybka jest Blanche Gold. Miała bardzo długie nogi i umiała ich używać, a w prostym korytarzu nie było przeszkód. Panował tam prawie zupełny mrok, ale znała go jak własną kieszeń, przynajmniej przez dwadzieścia pierwszych jardów.

Ominęła podstawę starej fontanny. Jeden z giermków tego nie zrobił. Miała nad nimi pięć kroków przewagi. Ich buty o długich noskach i ciasne wełniane rajtuzy przywiązane do wamsów nie były odpowiednie do biegania, a ona miała pałacowe trzewiki i gołe nogi.

Po dzieciństwie bawienia się w tych korytarzach Blanche znała odnogi.

Skręciła w lewo, ku bramie wodnej. Biegła pod zewnętrznym murem i snopy światła przecinały korytarz. Z pełną prędkością weszła w zakręt i pozwoliła, żeby jej ramię lekko uderzyło w mur.

Słyszała klapanie cizem.

Nie upuściła koszyka i gdy zwalniała przed bramą, użyła go, żeby złagodzić zderzenie. Dotarła do stromych schodów wytartych przez dwa tysiące lat używania i spowił ją silny, błotnisty zapach rzeki.

Jak najszybciej zbiegała po śliskich stopniach, modląc się, żeby na dole byli strażnicy i żeby brama była otwarta.

Najświętsza Paniienka wysłuchiwała jej modłów. Na wąskim nabrzeżu stało dwóch strażników, obu krzepkich, znanych z błędzących rąk i ruchliwych oczu. Nie lubiła ich, ale nigdy nie była tak szczęśliwa na ich widok.

- O, Blanche! - powiedział ten bliższy.

Uśmiechnęła się.

- Ned!

Pierwszy giermek wpadł na nabrzeże.

Blanche zerknęła na niego. Już się wahał. Jego kamrat wyłonił się z bramy, pocierając udo.

Ned nie był powolny. Stęknął i przeniósł ciężar ciała, robiąc tylko pół kroku, ale jego oczywistym zamiarem było zablokowanie wstępu na nabrzeże.

- Tylko tym w liberii wolno tu wchodzić, chyba że masz pismo od króla - powiedział.



Jego kolega chrząknął. Obaj mieli topory, które połyskiwały bogatym rdzawym brązem w wiosennym słońcu, i nowe mundury - w przeciwieństwie do giermków.

Bliższy giermek się wyprostował.

- Chciałem zamienić słówko z tą dziewczką - powiedział. - Myślę, że... coś mi ukradła.

Podszedł bliżej i Ned przyłożył szpic topora do jego nosa.

- Lepiej załatw to w pralni. Pani Ross, przedostatni korytarz.

- Wiesz, kim jestem? - zapytał giermek.

- Nie mogę tego powiedzieć - odparł Ned, uśmiechając się kątem ust do towarzysza. - Ale wiem, że ja jestem gwardzistą, a ty nie.

Blanche spojrzała ze złością na giermka.

- Pani Ross wysłała mnie do Cheapside - powiedziała. Splunęła do brudnej wody. - Nie kradnę. - Zwarła się wzrokiem z mężczyzną. - Jestem praczką królowej, panie.

Zaskoczył wszystkich, wyciągając ku niej rękę.

Ned zepchnął go do wody.

Blanche nie została, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Wskoczyła do zbliżającej się łodzi, gdy dwóch fircyków pojawiło się na nabrzeżu.

- Brać ją! - ryknął drugi giermek, ten, który tarł udo.

Ten wrzucony do wody wyłonił się na powierzchnię.

- Już nie żyjesz! - wrzasnął.

Blanche usiadła na rufie łodzi. Twarz przewoźnika niczego nie zdradzała.

- Dokąd, pani? - zapytał.

Nie było jej stać na opłacenie całej drogi do Cheapside, musiałaby wysupłać całodzienny zarobek.

Oddalili się od murów pałacu. Zobaczyła cztery kogi kotwiczące po drugiej stronie rzeki.

- Wenikanie - powiedział przewoźnik. - Z Iffriqu'ya, jeśli dasz wiarę. - Westchnął. - To się nazywa żeglowanie.

Po drugiej stronie panował tłok - małe łodzie otaczały wenikańskie statki, a na brzegu i urządzonym na poczekaniu targowisku tłoczyli się ludzie.

- Płynie za nami łódź, pani - dodał przewoźnik. - Oni mają wiosła,

a ja nie. Chcą nas dopędzić.

Blanche spojrzała na rozmigotaną rzekę. Dostrzegła łódź i wiosła wściekle bijące wodę. W łodzi było dwóch ludzi, może trzech.

- Możesz wysadzić mnie przy dokach? - zapytała.

- To nie miejsce dla przyzwoitej panny. Masz kłopoty?

Blanche przytaknęła.

Przewoźnik się obejrzał.

- Spróbuję im uciec - Uśmiechnął się. - Za całusa.

Blanche spojrzała na niego i też się uśmiechnęła.

Przewoźnik energicznie wymachiwał tyczką i dwie łodzie płynęły w dół rzeki. Blanche nie umiałaby powiedzieć, która z nich jest szybsza.

Przewoźnik przepłynął pod wysoką rufą wenikańskiego okrętu flagowego, piętrzącą się nad nimi jak kościół, z oknami dużymi jak domy Wenikańczyk w pełnej zbroi ostrzegawczo pokiwał palcem, ale Blanche pomachała ręką i on zrobił to samo.

Przewoźnik dobił do brzegu i Blanche musiała tylko zrobić śmiały skok, żeby się znaleźć na schodach, gdzie biedni przychodzili robić pranie.

Mężczyzna zwinnie wszedł na środkową ławkę.

- Całus! - powiedział.

Podążyła mu srebrne ćwierć pensa, a potem, jak na uczciwą dziewczynę przystało, pochyliła się i lekko pocałowała go w usta. Uśmiechnął się.

- Szczera moneta, piękna panno.

Na szczycie schodów z rozmysłem skłębiła w najgęstszy tłum. Wenika miała wyjątkowe przywileje i kupcom wolno było handlować tam, gdzie tylko chcieli. Na prowizorycznych stołach z desek na beczkach leżały towary warte fortunę - warte dziesięć fortun. Dostrzegła błysk kości - całe ciosy słoniowe i trupio blade kły ummarothów. Dostrzegła jedwab, srebro, inkrustowane drewno.

Przeszła na tyły zbitego tłumu szlachciców i kupców, którzy oblegali stoły. Nosila barwy królewskie, była ładna i miała doświadczenie w przepychaniu się przez ciżbę.

Nagle zdała sobie sprawę, że na portowym targu jest mnóstwo

Galów. Gdy zobaczyła odwracające się głowy, ogarnął ją prawdziwy strach. Dopóki ją gonili, to była tylko gra. Jeśli ją złapią, to będzie tragedia. Zniszczone życie, potępienie, ból, upokorzenie i wściekłość.

I zawsze to wina dziewczyny.

Nigdy nie pozwalała sobie o tym myśleć, ale teraz, gdy w biały dzień w stolicy królestwa znalazła się wśród drapieżców, ogarnął ją gniew.

Jej możliwości się kurczyły. Przeklęła własną odwagę, która kazała jej uciekać nie w kierunku pralni, ale ku bramie wodnej. Teraz była przy Waterside, skupisku magazynów, burdeli i tawern tuż na północ od Cheapside. W miejscu, do którego w normalnych okolicznościach nigdy by nie poszła, we dnie czy w nocy.

Obejrzała się jeszcze raz, wypatrując znajomego munduru, przyjaznej twarzy - jednego z rycerzy czy giermków królowej. Zostało ich niewielu, ale teraz nawet gwardzista króla mógłby pomóc.

Nikogo. Nawet skryby w barwach Randoma. Randomowie byli znani z lojalności i dyskrecji...

Jej pałacowa liberia rzuciła się w oczy. Widziała obracające się głowy, czuła na sobie siłę spojrzeń. Galijskie glosy wołały jeden do drugiego.

Blanche skręciła w uliczkę. Minęła martwego kota i miała nadzieję, że nie jest to zły znak. Śmieci, głównie zgniłe warzywa, leżały w stertach i jej porządne pałacowe trzewiki mlaskały w brei przy każdym kroku.

Narastała w niej złość.

- *Voisi! Voisi!*- Usłyszała krzyki płynące z wylotu uliczki.

Pobiegła.

Dziesięć jardów przed nią uliczka się rozwidlała po obu stronach wznoszącego się niczym dziób statku zamtuza, który nosił zniewalająco oryginalną nazwę „Pod Pałkami”. Gdyby komuś umknęło znaczenie, na szyldzie widniały dwa skrzyżowane penisy.

Blanche wiedziała, gdzie jest. Skręciła w lewo i biegła. Każdy mijany rajfur próbował podłożyć jej nogę tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie, dlatego uważała i trzymała się środka ulicy.

Ścigały ją pohukiwania i gwizdy.

Skręciła w Uliczkę Żaglowników. Zmierzała w kierunku sklepu ojca Ellen i jednocześnie zastanawiała się, na co poważą się ścigający ją mężczyźni. Nie mogła liczyć na to, że ojciec Ellen pośpieszy jej z pomocą.

Ale zastanawianie się wymagało czasu i usłyszała tupot stóp.

Skręciła w uliczkę biegnącą równoległe do strychów, na których suszono i naprawiano żagle dużych statków.

Wyciągnięta ręka zagroziła jej drogę. Blanche uderzyła w nią i upadła, koszyk wyleciał w powietrze.

Była bliska paniki.

- Dokąd się śpieszysz, moja piękna? - zapytał jakiś prostak. Nosił stary pstrokaty strój z południa i miał pałkę za pasem. Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek.

Przetoczyła się, nurzając swój cały najlepszy strój w wodnistym szlamie ludzkich i zwierzęcych odchodów. Wsunęła rękę do kosza...

Palce zacisnęły się na jej ramieniu jak żelazne imadło.

Wrzasnęła, choć wiedziała, że prawdopodobnie źle robi, bo krzyk zwabi więcej drapieżników. Ale traciła odwagę i zdawała sobie sprawę, co ją czeka.

- Popatrz, co mam - powiedział ktoś po albańsku.

Gdy odwróciła głowę i uniosła prawą rękę, zobaczyła albańskiego młokosa małpującego Galów w ich obcistych rajtuzach, z tyłkiem wystawionym na wiatr. Coś ukłuło ją w prawe ramię, gdy próbowała z nim walczyć...

Od tyłu chwycił ją w talii i przycisnął usta do jej karku.

Stała na palcach, trzymając go za ręce, uwolniła się zgodnie z naukami mistrza walki i trzasnęła go koszykiem. Wyciągnęła z włosów nożyk do przecinania szwów.

Z całej siły wbiła go w wyciągniętą dłoń i szarpnęła, tnąc ostrym jak brzytwa ostrzem. Trysnęła krew i mężczyzna odskoczył.

Nie mógł oderwać oczu od rany.

- Załatwię cię, suko! - krzyknął.

Ten z południa chciał ją złapać. Z wdziękiem zrodzonym z desperacji obróciła się i uderzyła go kolanem w jądra - tak mocno, że zakwilił jak kocię, chociaż jego cios na odlew niemal ją przewrócił.

Drasnęła go nożykiem w twarz i cofnęła się w głąb uliczki.

Zrobiła trzy kroki. Uliczka wyglądała na ślepa - modliła się i modliła, jej myśli płynęły za szybko. Obejrzała się i zobaczyła nogi trupa. Pomyślała, że zaraz do niego dołączy. Co dziwne, buty martwego miały zadarte czubki, jak buty Maura.

Rozważała, czy nie pociągnąć nożem po swoim nadgarstku. Byłby to grzech śmiertelny. Wieczność w piekle.

Żałowała, że nie ma więcej szczęścia. Trafiła w ślepy zaułek.

Zabawiała się nią teraz grupka mężczyzn. Wiedzieli, że nie ma dokąd uciec, i się naśmiewali. Ten zakrwawiony mówił, że ma jako pierwszy prawo do jej ciała.

Rozejrzała się w poszukiwaniu broni.

- Patrzcie! Kąsa. - Jeden z Albanów zaśmiał się. Trzymał w garści duży sztylet i jakby od niechcienia dźgnął nim w południowca. Odsunął się na bok, gdy popłynęła krew. Mężczyzna wyglądał na zdumionego swoją śmiercią. Giermek się roześmiał.

Spojrzał na Blanche.

- Chodź, mała dziwko, a dostaniesz, na co zasłużyłaś. Jeśli będę się musiał pobrudzić, żeby cię wywlec, oderżnę ci nos, kiedy skończę cię posuwać. - Z uśmiechem uniósł rękę i skinął.

Skuliła się.

- Ostatnia szansa - zagroził.

Zaułek kończył się tam, gdzie się schodziły cztery podupadłe budynki, dwa z nich ze wspólną starożytną kalenicą. Blanche dostrzegła szeroką szczelinę. Była za wysoko, na wysokości głowy. Smród uryny, najbardziej wyraźny po deszczu, świadczył, że z tego zakątka korzystali i ludzie, i zwierzęta.

Załkała.

- Głupia dziwka - warknął mężczyzna.

- Czterech mężczyzn na jedną biedną dziewczynę! - krzyknęła. - Tchórze!

Wzruszył ramionami, ale czuł przed nią respekt na tyle, że wysunął przed siebie nóż.

Postanowiła go zabić i zaatakowała.

Bez wysiłku przesunął sztylet pod jej ręką i w mgnieniu oka

złamał jej nadgarstek. Piękny nożyk do szewków upadł w szczyny.

Uderzył ją kolanem w brzuch tak mocno, że upadła na kolana.

- Teraz chyba zasłużyłem na prawo pierwszeństwa - powiedział.

W zasadzie nie wiedziała, co się stało, bo miała pochyloną głowę, ale nagle w zaułku pojawiła się zjawa z piekła rodem - czarny jak noc wielki mężczyzna w cudzoziemskim stroju.

Wyskoczył z wyłomu. Buty martwego... wcale nie był martwy. Była zdezorientowana, ale co do tego nie mogła się mylić.

- Kim ty, kurwa, jesteś? - zapytał giermek. Cofnął się o krok i sięgnął po miecz.

Czarnoskóry stał w swobodnej pozie na lekko rozsuniętych nogach. Miał zakrzywiony miecz w pochwie.

Blanche wypluła z ust mokre od wymiotów włosy i próbowała myśleć.

Giermek dobył miecza i gdy jego ręka się poruszyła, czarny mężczyzna ciął niesłychanie pięknym ruchem, leciutko obracając się w biodrach. Miecz giermka wraz z ręką upadł na ziemię.

Giermek wrzasnął. Był to krzyk człowieka, któremu wydarto duszę z ciała, i jak Blanche upadł na kolana. Bluznęła krew.

Jakby nie rozumiał, co się stało. Pochylił się, lewą ręką wymacał odciętą prawicę i próbował ją do siebie przyciągnąć.

Czarny mężczyzna zatoczył mieczem krótki łuk, sztych przemknął przed oczami rannego i spadł na garb nosa, zabijając go na miejscu kosztem minimalnego wysiłku. Giermek padł na twarz, wciąż klęcząc.

Murzyn podszedł. Blanche ścisnęła w ręku nożyk, brudny jak ubranie i skóra. Czują, że ma złamany albo zwichnięty prawy nadgarstek. Zagoi się. Oparła się plecami o brudną ścianę i podniosła.

Zawartość nie wysypała się z koszyka. Wrzuciła do niego nóż i uniosła lewą ręką. Nie myślała jasno. Wszak potrzebowała noża.

Czarny mężczyzna nie był demonem. Był niewiernym - widziała kilku takich. Joe Green był królewskim dostawcą warzyw, a czarny jak smoła Miles Greathorn służył w gwardii królewskiej. Ale czern tego mężczyzny była niemal granatowa, a sam był wyższy i chudszy niż ci, których znała.

I był bardzo spokojny. Stał teraz u wylotu zaułka, choć mogło się

zdawać, że wcale się nie poruszył. Miecz w jego rękach wydawał się niemal mały, gdy trzymał go za sobą. Widziała, że Galowie się wahają.

Poganin się nie wahał. Kiedy inni przystanęli, pochylił się, ostrze zakreśliło krótki łuk i znowu trysnęła krew.

- Wezwać strażę! - krzyknął ranny.

Niewierny uniósł miecz w nowej gardzie, trzymając go nad biodrami, z zakrzywionym piórem zwróconym w stronę Galów. Największy z nich dobył miecza i przypuścił atak.

Czarny mężczyzna się obrócił.

Gal runął niczym ścięte drzewo, a ostrze poganina błysnęło, żeby dobić rannego.

W zaułku stygło pięć trupów, wliczając południowca.

Galowie i ich kamraci się cofali.

- Nie można tak robić - wymamrotał jeden.

Drugi zaczął nawoływać strażę.

Blanche odzyskała zdolność myślenia. Mężczyzna, choć czarny i ubrany jak poganin, uratował nie tylko jej życie. Wiedziała, że strażnicy staną po stronie ludzi wyższego stanu, nie słuchając brudnej kobiety i cudzoziemca. Chyba że dopisze im szczęście i zjawi się ktoś, kogo znała, jak Edmund.

Podchodziła do niego ostrożnie, ponieważ był niewiarygodnie groźny, a jego spokój budził równe przerażenie jak kolor skóry. Mówiła do niego jak do konia, pewna, że nie zna języka.

- Chodź ze mną... po prostu chodź. Nie zrobię ci krzywdy... Przesuwam się za ciebie, dobry panie. Chodź ze mną. - Minęła go poza zabójczym zasięgiem zakrzywionej broni. Kolana miała jak z waty, ręce jej się trzęsły, ból pulsował w nadgarstku, ale nie chciała okazać słabości.

Wiedziała, że niewierny słucha, bo jak płochliwy koń lekko przechylił głowę.

Minęła go, przestąpiła nad trupem i stanęła w wylocie zaułka. Usłyszała nadciągających ludzi.

- Chodź! - ponagliła.

Z dali napływał ryk:

- Straż! Straż!

- Chodź! - krzyknęła.

Nie poruszył się.

Odwróciła się. Przecież próbowała. W dole było Cheapside i bezpieczeństwo.

- Chodź! - ponagliła. Wyciągnęła rękę, zranioną, czerwoną od krwi. Już puchła.

Rzucił na nią okiem i w końcu się ruszył. Pochylił się nad jedną ze swoich ofiar, podniósł czapkę, wyczyścił nią miecz, odrzucił ją i schował broń do pochwy.

Blanche pobiegła.

Ruszył za nią.

Nadgarstek pulsował przy każdym długim kroku. Ścisnęła go lewą ręką i ból stał się nie do zniesienia. Krzyknęła. Nie chciała tego, ale krzyknęła z bólu i upadła na ulicę. Teraz zraniła też kolano.

Pojawił się drugi uzbrojony mężczyzna.

Miał w ręce nagi miecz, był wysoki jak drzewo i szeroki jak dom.

Zadygotała z ulgi, ponieważ wszyscy w jej części Harndonu znali ser Ricara Orcsbane'a, rycerza zakonnego.

Ćmiło jej się w oczach, ale wiedziała, że nie może zemdleć.

Uniosła głowę.

- Ser Ricarze! O Chryste... on mnie ocalił, panie rycerzu.

Ser Ricara obowiązywały śluby milczenia. Popatrzył na poganina, kierując sztych miecza w jego stronę.

- On mnie ocalił, słyszysz, panie? Galowie na mnie napadli... Zdrowaś Mario, Matko Boża... - bełkotała i słyszała swoje mamrotanie jakby z wielkiej dali, gdy ból narastał jak przyptyw.

Jęknęła i spróbowała usiąść.

Byli tego samego wzrostu - jeden blady i rudowłosy, z piegami na wielkim nosie, a drugi czarny jak smoła z dodatkiem indygo. Przybysz z Iffriqu'ya miał mniejszy, drobniejszy nos, ale poza tym mogli się równać pod względem szerokości barków i smukłości talii. Miecze też mieli równe.

Obaj spojrzeli na klęczącą dziewczynę. Obaj trzymali miecze gotowe do użycia z lekkością, jaka wynika z długiego doświadczenia.



Żaden się nie odzywał.

Gdzieś niedaleko wciąż wzywano strażę.

Ser Ricar leciutko się uklonił. Z giętkością rozwijającej się sprężyny schował miecz i się pochylił. Podniósł kobietę, jakby była lekka niczym piórko.

Odepchnęła go zdrową ręką.

- Nie dotykaj mnie! - syknęła. - Umiem chodzić!

Niewierny pozwolił sobie na uśmiech. Skłonił głowę, jego miecz zniknął w pochwie.

Rycerz zakonny puścił Blanche i odsunął się z uniesionymi dłońmi.

Blanche wstała.

- Dam sobie radę - powiedziała ponuro.

Rycerz się uklonił - z szacunkiem, napomnieniem, na znak zgody - był to ukłon pełen wyrazu. Odwrócił się i pobiegł w dół wzgórza w kierunku Cheapside, Blanche za nim, potykając się, ale panując nad nogami jak matka nad niesfornym dzieckiem, a za nimi biegł niewierny.

\*\*\*

Albanowie, jak wiele ludów, nie lubili tego, czego nie znali. Dlatego nowego arcybiskupa Loriki niemal zawsze zwano „nowym biskupem”, jakby sama nowość była czymś haniebnym.

Nowy biskup, Bohemund de Foi, był Galem. To też prowadziło do nielogicznych uprzedzeń. Większość mieszkańców Harndonu - kupców, czeladników i szlachty - nosiła nazwiska wskazujące na galijskie pochodzenie.

Nazwisko Semples pochodziło od Saint Pols, a Dentermints od D'Entre Deux Monts. Sześćset lat handlu pomiędzy harndonczykami i ich galijskimi kuzynami powinno zaowocować zaufaniem i miłością, ale tak się nie stało, i pomimo galijskiej mody, galijskich mieczy, Biblii z galijskimi okładkami w każdym domu, Galowie często byli przedmiotem ciętych uwag albo nawet przyczyniali się do wybuchu zamieszek. Pochodzenie nowego biskupa świadczyłoby przeciwko niemu nawet gdyby był święty i pokorny.

Wskutek opinii ludzi młody arcybiskup Loriki był ciągle

wzbudzony. Na ulicy go wygwizdywano i obrzucano grudami ziemi jego lektykę. Kiedy jeden z księży został oskarżony o grzeszny flirt z katedralnym chórzystą, został poważnie pobity przez terminatorów.

Tak więc najpotężniejszy duchowny w Albie nie był ani pokorny, ani skruszony, kiedy się spotkał ze swoim sprzymierzeńcem politycznym i kuzynem, Jeanem de Vrillym, i jego świtą. Przy stole de Vrilly'ego zasiadał jego drugi kuzyn, hrabia d'Eu, a także sieur de Rohan, którego władza na dworze zaczynała przyćmiewać wpływy de Vrilly'ego, i ser Eustace l'Isle d'Adam, wschodząca gwiazda wśród galijskich rycerzy.

De Rohan przybył ostatni i pierwszy zabrał głos.

- Mam tutaj zanego giermka Maurice'a d'Evereux - powiedziała, wskazując stojącego w drzwiach młodego człowieka. - Jest gotów zeznawać w sprawie ostatniego aktu przemocy, którego dopuścili się ludzie królowej. Z przykrością mówię, że zginęło czterech naszych ludzi.

Arcybiskup uniósł rękę do gardła, a pozostali chwycili rękojeści mieczy.

- Co ich zabiło? - wysyczał de Vrilly.

- Kobieta, jedna ze służących królowej, wezwała demona w miejscu publicznym. Demon zabił czterech naszych szlachetnych giermków. Kiedy nasi ludzie próbowali go ścigać, rycerz tak zwanego Zakonu Świętego Tomasza stanął z mieczem w ręku w obronie potwora.

Hrabia d'Eu wyprostował się z enigmatycznym uśmiechem na twarzy.

- Skoro zabił czterech naszych giermków, panowie, dlaczego miałby potrzebować obrony?

De Rohan obrzucił go pełnym pogardy spojrzeniem.

- Panie, dlaczego o to pytasz? Ja tylko relacjonuję przebieg wydarzeń.

D'Eu zaśmiał się cicho.

- Znasz Blanche Gold? - zapytał. - Nie sądzę, żeby pomyśli, iż wyczarowała demona, wypadł szczególnie dobrze. - Popatrzył na nich. - Zwłaszcza że to wierutne kłamstwo.

De Rohan zerwał się jak oparzony.

- Zarczucasz mi kłamstwo, panie?

D'Eu nawet nie drgnął.

- Tak. Mówię, że kłamiesz. - Skinął głową do kuzyna. - Rozmyślnie kłamie, żeby wicherzyć.

Na twarzy de Rohana odbiło się tępe zdumienie.

De Vrailly ściągnął z niezadowoleniem brwi.

- Wolałbym, żebyś publicznie nie wypowiadał się w ten sposób o zacnym de Rohanie. On tylko pragnie służyć.

- Naprawdę, kuzynie? - D'Eu wstał. - Wyzywam cię na pojedynek, de Rohanie, w tej chwili. Na mocy prawa wojennego.

D'Eu był w zbroi. De Rohan miał ciżmy i krótką szatę dworzanina.

Jean de Vrailly pokiwał głową, wysuwając żuchwę.

- Zgadza się z tobą, kuzynie. Monsieur de Rohan, racz wrócić do zwyczaju codziennego noszenia zbroi, wyjąwszy formalne spotkania. Musimy przez cały czas przypominać dworowi, że reprezentujemy męskie cnoty zapomniane przez tych niewieściuchów.

D'Eu pokręcił głową.

- Nie, kuzynie, mówię poważnie. Ta plotkarska żmija ma w głowie tylko zniszczenie królowej i zaszkodzenie jej reputacji. Mówię, że kłamie. Dowiodę tego moim mieczem. - D'Eu zadarł brodę. - *Par Dieu*, nawet pozwolę mu przywdziać zbroję... jeśli zdoła ją znaleźć.

Zapadła cisza.

De Rohan był biały jak pergamin.

- Ty... ty zdrajco!

D'Eu ściągnął brwi.

- Wybacz, panie, ale gardzenie tobą nie jest zdradą.

- To ty osłaniasz i ostrzegasz królową!

Jean de Vrailly się podniósł.

- Jako pan tego domu muszę żądać, kuzynie, żebyś wycofał wyzwanie.

- Na jakiej podstawie? - zapytał Gaston d'Eu.

Jean de Vrailly niemal go błagał wzrokiem, żeby się wycofał.

- Mojej woli.

- Chcesz powiedzieć, że było inaczej wtedy, kiedy zabiłeś kuzyna

Towbraya, a ja prosiłem, żebyś tego nie robił?

- Znieważył mój honor - wyjaśnił cierpliwie ser Jean.

- De Rohan przed chwilą nazwał mnie zdrajcą - zripostował d'Eu.

- Odszczeka swoje słowa - zapewnił go de Vrailly.

D'Eu pokiwał głową, ściągnął usta i usiadł.

- Zastanowię się - mruknął.

De Rohan się skrzywił. Szepnął kilka słów do giermka, d'Alace'a, i spojrzał na l'Isle d'Adama.

- Skoro zarzuca mi się kłamstwo, może nie powinienem kontynuować - powiedział.

- Ja będę kontynuować - oznajmił arcybiskup Loriki. - I może żaden cham nie zarzuci mi kłamstwa. Ci ludzie nas nienawidzą. Są jedną wielką bandą heretyków i buntowników. A ten tak zwany Zakon Świętego Tomasza to nic więcej niż heretycka sekta. Udzielają pomocy wiedzmom i czcicielom szatana i nigdy nie zostali uznani przez scholastykę.

Cierpliwie, jakby mając do czynienia z półgłówkiem, d'Eu powiedział:

- Kuzynie, z pewnością jesteś tutaj na tyle długo, żeby wiedzieć, że Albanowie uznają patriarchę w Liwiapolis, a nie patriarchę Rhumu. Nie obchodzi ich nasza scholastyka, teologia biskupa czy uniwersytetu w Lukrecji.

- Heretycy - powtórzył z naciskiem Bohemund de Foi. - Patriarcha Rhumu nigdy ich nie zaaprobował. I on, nie nuworyszowski niewierny w Liwiapolis, jest pierwszy na świecie.

D'Eu skinął ręką. Ruch sugerował, że podtarł sobie tyłek jego argumentem.

Biskup poczerwieniał.

- Jak śmiesz?!

D'Eu zacisnął zęby i warknął:

- Widzę, panowie, grupkę moich rodaków zdecydowanych zrobić wszystko, żeby doprowadzić do wybuchu wojny domowej. Będę miły i uznam, że ignorancja, a nie chęć nadużywania władzy, skłania cię, panie arcybiskupie, do mówienia takich rzeczy.

De Vrailly postukał kciukiem w zęby.

- Panowie, członkowie Zakonu Świętego Tomasza byli doskonałymi rycerzami i dobrymi zbrojnymi podczas walki z Dziczą.

- Dzicz! - Arcybiskup niemal wypluł to słowo. - Przez cały dzień słucham tych bredni. Słabe umysły zwiedzione przez szatańskie mamidła! Dzicz jest niczym więcej niż sidłami tego świata, jak kobiece sztuczki i obżarstwo.

De Vrailly przeczesał palcami rozdwojoną bródkę.

- Z tym, panie arcybiskupie, nie mogę się zgodzić. Dzicz jest... namacalna. Mój anioł mówi...

Arcybiskup uniósł rękę.

- Proszę, monsieur de Vrailly...

Przez chwilę panowała cisza, gdy dwaj mężczyźni piorunowali się wzrokiem.

- Proponuję ruszyć zbrojnie przeciwko temu zakonowi i wytępić ich wszystkich - podjął biskup. - Mam na piśmie dość przykładów korzystania przez nich z szatańskich mocy, żeby spalić każdego jednego. Chełpią się swoimi mocami. - Zwrócił się do kuzyna: - A ty narażasz swoją nieśmiertelną duszę za każdym razem, kiedy się z nimi zadajesz. Albo z królową i jej wiedźmami.

De Vrailly nie był człowiekiem, który lubi, gdy go opluwają, zwłaszcza przy własnym stole i na oczach giermków.

- Jak dla mnie, mówisz zbyt dobitnie, panie arcybiskupie.

- Mówię dla dobra twojej duszy - odparł de Foi. - Królowa jest czarownicą i musi umrzeć. Zakonnicy są jej pachołkami. Każdy tutaj wie, że mówię prawdę. Jeśli mamy ocalić dusze Albanów, musimy zacząć od wyrugowania tych dwóch sił zła.

Gaston d'Eu parsknął pogardliwie.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Proponuję, żeby arcybiskup zabrał tuzin swoich księży, kilkoro zwierząt i pojechał na zachód w góry. Jestem przekonany, że to, czego tam doświadczy, może zmienić jego zdanie. Oczywiście jeśli w ogóle przeżyje. - Postukał sztyletem po stole.

Jego porucznik, D'Herblay, roześmiał się razem z nim. Nawet de Vrailly pokiwał z aprobatą głową.

- Jak często bywa, mój kuzyn hrabia dobrze mówi.

De Rohan pokręcił głową.

- Przeczysz, że królowa dopuściła się cudzołóstwa? Dość często pokazywaliśmy ci dowód. I nagle stajesz po jej stronie?

- Smuci mnie, że te sprawy nas dzielą - odparł de Vrailly. - Nie, w głębi serca wierzę, że jest złą kobietą. Mój anioł mi to powiedział.

Na słowo „anioł” biskup plasnął się ręką w czoło, jakby w nagłym bólu.

- Chciałbym przynajmniej rozkazać, w imieniu króla, żeby aresztowano tę dziewczkę, Blanche Gold. - De Rohan wziął zwój i podał go de Vrailly'emu. - Przez długi czas była jednym z pośredników pomiędzy królową i jej kochankami. Mamy świadków.

Gaston d'Eu patrzył, jak jego kuzyn bierze zwój. Wstał.

- Nie mogę w tym uczestniczyć - oświadczył.

De Rohan wzruszył ramionami.

- W takim razie zabierz dzielące nas zarzuty wraz ze swoim zatrutym jadem gadaniem i odejdz, panie.

D'Eu wzruszył ramionami.

- Już cię wyzwałem. Nie mogę zrobić tego znowu. To, że ignorujesz moje wyzwanie, mówi samo za siebie.

De Rohan nie spojrzał mu w oczy.

- Tchórz - rzucił d'Eu.

De Rohan poczerwieniał.

- Nikczemnik. Nędzny tchórz. Fałszywy rycerz. - D'Eu wzruszył ramionami. - Widzę, że moje słowa cię nie wzruszają. Żal mi ciebie. - Odwrócił się. - Najdroższy panie, odchodzę.

- Czekaj! - krzyknął de Vrailly. - Drogi kuzynie, proszę, zaczekaj.

D'Eu się uklonił i wyszedł z D'Herblayem.

- Zniszczy wszystko, co pragniemy tu zbudować - powiedział de Rohan, patrząc błagalnie na de Vrailly'ego.

Obrońca króla spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Jak mogłeś nie odpowiedzieć na jego wyzwanie? - zapytał.

De Rohan się wyprostował.

- Służę wyższej sprawie. Mogę zignorować prywatną sprzeczkę bez względu na to, jak jest dla mnie krzywdząca.

De Vrailly ściągnął usta.

- Sądzę, że powinieneś z nim walczyć - oznajmił. - Jesteś wielkim rycerzem. Sam cię szkolilem. Możesz sprostać każdemu oprócz mnie.  
- Uniósł brew. - Gdy nie podejmiesz wyzwania, zacznę się zastanawiać, czy nie miał racji. I, panie arcybiskupie, nie mogę poprzeć aresztowania członków Zakonu Świętego Tomasza. Wybuchną zamieszki. Co więcej, bracia zakonni pomagają nam trzymać granice.

Arcybiskup popatrzył błagalnie na de Rohana. De Rohan westchnął.

- Jeśli straciłeś do mnie zaufanie, może powinienem wrócić na dwór króla w Lukrecji. - Ukłonił się arcybiskupowi. - Zgadzam się, zakon jest wylegarnią heretyków. Kobieta odprawiająca mszę? To potworność.

Biskup wznosił oczy do nieba.

De Vrilly przez długi czas patrzył na nich obu, jego wyraziste, duże niebieskie oczy przesuwają się z jednego na drugiego.

- Arcybiskupie, mam szacunek dla twojej szaty, ale też kłopot z rozdzieleniem twojej godności od młodości. De Rohanie, jeśli uważasz, że nie możesz odpowiedzieć na wyzwanie mojego kuzyna, udzielam ci zezwolenia na wyjazd do twoich włości w Galii. - Wstał. Jego zbroja lekko zaskrzypiała, gdy prostował nogi.

Kiedy wyszedł ze swoimi zbrojnymi, arcybiskup położył rękę na ramieniu de Rohana.

- Ja się tym zajmę - szepnął. - Mam odpowiedniego człowieka.

De Rohan pokręcił głową. Drżała mu ręka oparta na stole.

- Jak on śmiał?! - syknął.

Arcybiskup nakrył dłonią jego rękę.

- Za tydzień, a nawet wcześniej, jeśli wiatr dopisze, będziemy mieli trzysta nowych kopii z Galii. Zawładniemy tym miastem i zyskamy siłę, żeby je w razie potrzeby utrzymać.

- Wypędził mnie! - krzyknął de Rohan.

Arcybiskup wzruszył ramionami.

- Poczekamy, zobaczymy - powiedział z uśmiechem.

\*\*\*

Kiedy zwołana na poczekaniu narada się zakończyła, de Rohan

wrócił ze swoimi ludźmi na dwór, gdzie król miał przyjąć nowego ambasadora hrabiego Hoeku. Jean de Vrailly przez chwilę słuchał giermka i poszedł z nim do swojego prywatnego gabinetu, gdzie czekał d'Eu.

- Kuzynie - powiedział.

- Wracam do Galii - oznajmił d'Eu. - Wybacz, kuzynie. Ci ludzie są odrażający. Nie chcę być z nimi kojarzony. I podobno... - Westchnął. - Podobno Dżicz atakuje Arelat. Nawet Galię.

De Vrailly pokiwał głową.

- Też to słyszałem. Bohemund i jego ludzie ciągle o tym mówią, przekonani, że nie ma czegoś takiego jak Dżicz, że są tylko siły szatana. - Wzruszył ramionami. - Może mają rację.

- Mam ziemie w Arelacie. Tutaj ci się nie przydam, a w domu czekają na mnie rycerskie zobowiązania. Proszę, pozwól mi odejść.

De Vrailly krążył po gabinecie.

- Jesteśmy blisko celu, jak sądzę. Kiedy postawię królową przed sądem...

- Niewinną kobietę - powiedział d'Eu.

- I kiedy przybędzie reszta moich rycerzy...

- Zagraniczna armia, żeby zastraszyć harndończyków.

- Kuzynie, mój anioł powiedział mi wprost, że muszę zostać królem, żeby ocalić to królestwo. - Jean de Vrailly splótł ręce na piersi.

D'Eu podszedł i go uściskał.

- Wiesz, że cię kocham, ale dłużej nie będę brać w tym udziału. Umywam ręce. Myślę, że się mylicie, ty i twój anioł. Powiem też, że w zaślepieniu wybrałeś mało sympatycznych sprzymierzeńców i ignorujesz własne przekonania.

De Vrailly rozdał nozdrza.

- Wymień! - warknął.

- Głosisz prawo wojenne, ale zakazałeś mi zabić tę jadowitą żmiję, de Rohana. - D'Eu splunął. - Wszak po to jest prawo wojenne. Kiedy w sercu czuję, że człowiek jest fałszywy jak Judasz, to go zabijam. Ty jednak mi tego zakazałeś.

De Vrailly pogładził brodę i odwrócił się we frustracji.

- Byłem zaskoczony. Ale... mój anioł mi powiedział.



- Twój anioł może być diabłem! - krzyknął d'Eu.

De Vrailly położył rękę na mieczu. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Jedź - zarządził de Vrailly.

D'Eu uklonił się głęboko.

- Popłynę pierwszym statkiem, panie kuzynie.

\*\*\*

Godzinę później Jean de Vrailly klęczał przed swoim wspaniałym tryptykiem z wizerunkami Świętego Michała, Świętego Jerzego i Świętego Maurycego. Był w pełnej zbroi, krawędzie nakolanków wbijały mu się w kolana, choć miał watowane rajtuzy - boleśnie się wbijały.

Zapanował nad bólem i klęczał.

I się modlił.

Zraniły go ostre słowa kuzyna. Co więcej, w zaciszu prywatnej komnaty opadły go wątpliwości, poważne wątpliwości.

Dlatego klęczał, karząc się za zwątpienie, i błagał anioła, żeby się objawił.

Minęła godzina, potem następna. Przywykł do różnego rodzaju dolegliwości związanych z noszeniem zbroi, ale miały się one nijak do bólu, którego teraz doświadczał. Sam przed sobą musiał się przyznać do strachu o kolana - jak długo ciało może wytrzymać tortury zadawane przez stal?

Do tego dochodziły biodra - kirys z kolczugą naciskał na nie tak mocno, że czuł się jak miażdżony w prasie. Gdyby stał albo jechał konno, szelki na ramionach złagodziłyby ciężar.

Teolog mógłby mu powiedzieć, że popełnia grzech. Przyzwalając na takie cierpienie, narażał się aniołowi i tym samym Bogu.

De Vrailly nie dopuszczał do siebie takich myśli.

I w końcu anioł przyszedł.

- Ach, mój wierny rycerzu - powiedział, a jego głos brzmiał jak dzwony na mszę i trąby królewskiego dworu.

De Vrailly spuścił głowę. Anioł był taki jasny.

- Moje dziecko, z pewnością czegoś chcesz - rzekł.

De Vrailly trwał z pochyloną głową.

- Masz wątpliwości - powiedział anioł z rozbawieniem. - Nawet ty.  
- Panie - szepnął rycerz.  
- Królowa jest czarownicą. Używa mocy ciemności, żeby usidlać mężczyzn. - Głos anioła był esencją rozsądku.  
- Panie...  
- Ty, de Vrailly, musisz tu być królem. Tylko ty. - Anioł przemawiał cicho, ale z wielką siłą.  
De Vrailly westchnął.  
- Lubię króla. - Pokręcił głową. - I nie jestem pewien, czy królowa...  
Anioł się uśmiechnął.  
- Sumienie świadczy na twoją korzyść, zacny rycerzu. I nie ulega wątpliwości, że de Rohan może konkurować z Judaszem jako intrygancki zdrajca.  
De Vrailly poderwał głowę.  
- Tak! Pomyśleć, że praca, która była jednym z moich...  
- Król królów musi używać takich narzędzi, jakie ma pod ręką.  
Nawet de Rohana.  
De Vrailly westchnął.  
- Jak zawsze, wielki panie, koisz moje myśli. - Po chwili dodał: -  
Ale nienawidzę de Rohana.  
Anioł pokiwał głową.  
- Podobnie jak Bóg. Wyobraź sobie, co Jezus czuł do Judasza.  
Anioł położył niematerialną rękę na głowie rycerza i spłynęła z niej moc. De Vrailly'ego na moment przepełniło bogate złote światło.  
- Doznasz wielkiego smutku w nadchodzące dni - zapowiedział anioł. - Wyznaczam ci niełatwe zadanie. Strzeż się sideł. Kiedy król odejdzie...  
- Dokąd? - zapytał de Vrailly.  
- Kiedy król odejdzie w ramiona śmierci, wtedy będziesz wiedział, co zrobić - dokończył anioł.

\*\*\*

Pojawienie się Ifriqu'yańczyka było tym dziwniejsze, że przybył w towarzystwie ser Ricara i pięknej Blanche, wysokiej i barczystej, będącej obiektem westchnień wielu czeladników mistrza Pye'a. O jej względy walczyło, dość brutalnie, więcej chłopców niż o każdą inną

dziewczynę na placu.

Edmund, który ostatnio był odpowiedzialny za podwórze, bez jednej myśli kazał otworzyć bramę, żeby wpuścić przybyszów. Ser Ricar prawie każdego z nich bronił przed coraz bardziej brutalnymi atakami wrogów króla. Jego siostra Mary została napadnięta, przewrócona i skopana - i ocalona przez ser Ricara. Nancy wyrzekła się marzenia swojej młodości i odmówiła służby w pałacu, ponieważ ich matka się nie zgodziła, żeby chodziła sama po coraz bardziej niebezpiecznych ulicach.

Krążyły plotki, że wrócił Jack Drake.

Wiosna przyniosła więcej kłopotów niż zadowolenia i cieszyli się z niej chyba tylko młodzi ludzie, którzy z powodu zdrętwiałych palców mieli wiele wypadków przez zimę.

Ponieważ turniej zbliżał się wielkimi krokami, na podwórzu było pracy co niemiara.

Blanche zabrano do domu mistrza Pye'a, gdzie jego żona zaprowadziła ją do małego pokoju z kominkiem i usługiwała jej niczym samej królowej.

W kuchni ser Ricar popijał korzenne piwo, żeby się rozgrzać po zimnym deszczu.

Czarna mężczyzna pił tylko wodę.

Edmund stwierdził, że jest przystojny w niepokojący, obcy sposób. Miał regularne rysy i duże, szeroko rozstawione inteligentne oczy.

I chyba go nie obowiązywały śluby milczenia. Przy stole, kiedy przełamał chleb, skłonił głowę i przemówił - wyrzekł kilka niezrozumiałych słów, które zabrzmiały jak modlitwa.

Wszedł mistrz Pye z okularami wiszącymi na szyi. Spojrzał na czarnego człowieka, jakby to był normalny widok w kuchni jego żony, i nalał sobie kubek grzanego wina.

- Etiopczyk? - zapytał gościa.

Mężczyzna wstał i się uklonił, składając ręce jak do modlitwy.

- Dar as Salaam - odparł.

Mistrz Pye pokiwał głową.

- *Allah akbar*.

Niewierny skłonił głowę.

- Mówisz pogańskim językiem? - zapytał Edmund swojego mistrza.

- Pogańskim? Nie tak szybko, młody Edmundzie. Może heretyckim. - Wzruszył ramionami. - Dar as Salaam, największe miasto na świecie. - Uśmiechnął się. - Piękne miecze. - Wzruszył ramionami. - Niezupełnie najlepsi płatnerze.

- Byłeś tam? - zapytał Edmund.

Mistrz Pye zmarszczył czoło.

- Byłem na statku uwięzionym przez osiem dni w porcie z powodu ciszy. Zeszliśmy na brzeg i nie daliśmy się wziąć w niewolę. - Wzruszył ramionami. - W czasach, kiedy byłem młody i głupi.

Czarny mężczyzna miał nawyk siedzenia w idealnym bezruchu.

- Ten człowiek jest kimś ważnym. Co się stało? - Mistrz Pye nie krył, że trochę się śpieszy.

Edmund pokręcił głową.

- Ser Ricar tam był.

Zakonny rycerz napisał coś na woskowej tabliczce i pokazał ją mistrzowi Pye'owi.

- Random zatrudnia skrybę, który mówi po Iffriqu'yańsku. A może w narzeczu wahale albo bemba, zapomniałem. - Mistrz Pye sięgnął po swoją tabliczkę, skreślił list i przypieczętował go sygnemem. - Zanieś to do ser Geralda.

Edmund wziął tabliczkę.

Mistrz ponaglił go ruchem dłoni.

- Myślę, że powinienes popędzić co sił w nogach.

\*\*\*

Ser Gerald Random przyszedł osobiście, kuśtykając ze skrybą, który zajmował się jego zagranicznymi dostawami.

Skryba miał złoty pierścień i czarną pelerynę niczym moźny człowiek. Ukłonił się, składając ręce.

Czarny mężczyzna dwornie odwzajemnił powitanie.

Skryba do niego zagadał.

Czarny odpowiedział.

Po następnym pytaniu mówił przez dłuższy czas.

Uśmiechnął się po słowach skryby. Uśmiech odmienił jego twarz.

- Jest posłańcem - wyjaśnił tłumacz. - Szuka magistra Harmodiusza.

- Trochę się spóźnił - skomentował ser Gerald.

- Mówi, że przyплыł wenikańskim statkiem, że Pod Złotym Lampartem nie chcieli mu udzielić gościny i że zamierza o brzasku wyjechać z Harndonu. - Z uśmiechem rozłożył ręce. - Przeprasza za zabicie czterech ludzi, ale mówi, że zaatakowali kobietę, a on nie mógł pozwolić na coś takiego.

Minęły dwie godziny, odkąd na podwórzu weszło dwóch wielkoludów: jeden hebanowy, drugi o barwie kości słoniowej. W tym czasie napłynęło wiele doniesień o rzezi w Palmowym Zaułku i wszyscy już wiedzieli, kto napadł na Blanche i kto zginął.

- Nie wydaje się przejęty - zauważył ser Gerald.

Skryba pokręcił głową.

- Panie, spędziłem tam rok. Poznałem takich ludzi. Mawiają: „Ten, który jest, jest”. I Inszallah, co znaczy: „Niech się dzieje wola boska”.

- *Deus Veult!* - powiedział ser Gerald. Pokiwał głową.

Ser Ricar zrobił to samo.

- Nic dziwnego, że się dogadują - skomentował Edmund, choć niezbyt głośno.

- Mam warsztat na głowie - powiedział mistrz Pye. - Sto zamówień do skończenia za piętnaście dni. I czuję, że się zanosi na prawdziwą burzę. - Popatrzył na ser Ricara. - Możesz go ukryć?

Ser Ricar przytaknął. Skryba powiedział coś do niewiernego, który gwałtownie pokręcił głową.

- Mówi, że ma misję i musi odejść. Mówi, że jeśli go ukryjemy na jedną noc, odejdzie o brzasku. - Uśmiechnął się. - Mówi, że jeśli odzyskamy jego konia, będzie wdzięczny do końca życia.

Ser Gerald przewrócił oczami.

- Wdzięczny na tyle, żeby pozwolić obejrzeć swój miecz? - zapytał mistrz Pye.

\*\*\*

Godzinę później, gdy ser Gerald grał w kości ze znużonym wenikańskim faktorem o ogiera cierpiącego na chorobę morską, wszyscy uczniowie i czeladnicy zebrali się w warsztacie wokół stołu.

Na ten stół trafiały tylko wykończony metal i pergamin. Dzisiaj żona mistrza Pye'a zasłała go obrusem i niewierny rycerz - wszyscy uczniowie się zgadzali, że jest rycerzem - położył na nim swój miecz.

Zdawało się, że ostrze faluje i porusza się w świetle wpadającym przez otwory do wypuszczania dymu.

Wszyscy westchnęli.

Miecz był o dłoń dłuższy od najdłuższego, jaki wykuto w warsztacie - wdzięcznie zakrzywiony od długiej dwuręcznej rękojeści po sztych z fałszywym ostrzem. Rękojeść była obłożona białą kością z kłów mamutów z dalekiego południa, a jelec wykuty z prostej stali. Wzdłuż główki - mistrzostwo dziwerowania - biegły runy.

- Runy są srebrne, mistrzu? - zapytał Edmund. Kolory run prawie się nie różniły od reszty główki.

Mistrz Pye pokręcił głową.

- Litości, Edmundzie. Nie, są stalowe. Stal wkuta w stal.

- Spójrz na wykończenie - mruknął Książę. Stał się specjalistą od wykańczania i obecnie pracował dla niego tuzin chłopaków.

Sam Vintner, najmłodszy uczeń, starał się nie oddychać, ale westchnął.

- Piękny! - szepnął.

Tom się pochylił.

- Zaczarowany - powiedział.

Niewierny stał na palcach, uważnie ich obserwując. Był bardzo spięty.

Skryba pomrukiwał uspokajająco.

- Mówi... mówi, że w jego kraju nikomu poza jego panem, sułtanem, nie pozwoliliby dotknąć miecza. Mówi, że jego pan przepętnił go mocą.

Mistrz Pye pokiwał głową.

- Tak, chłopcy, jest pełen mocy. - Podeszedł do szafy w ścianie za klęcznikiem i otworzył ją słowem.

Wszyscy czeladnicy wiedzieli, co to jest - tajemna skrytka z hermetycznym zamkiem. Tylko starsi chłopcy wiedzieli, jak ją otwierać, i to tam były przechowywane cenne metale.

Mistrz Pye wyjął okulary, które miały soczewki ze szlifowanych

szlachętnych kamieni. Pochylił się nad mieczem i przysunął je do oczu.

- Słodka Mario, Królowo Niebios i Matko Boska...

Zdjął szkła i podał Edmundowi, który nigdy dotąd ich nie używał. Co więcej, będąc obecnie starszym czeladnikiem w warsztacie dość dużym, żeby go zwać manufakturą, niemal codziennie miał okazję się przekonywać, że mistrz Pye ma więcej tajemnic niż nekromanta.

Założył okulary. Szafka jaśniała magicznym światłem.

Miecz oświecał pomieszczenie.

- Co widzisz, chłopcze? - zapytał go mistrz Pye.

- Miecz!

- Tak. Ten miecz istnieje również w eterealu. - Wskazał szafkę, maleńkie źródło mocy w magicznym świetle. - Magiczne przedmioty są jak cienie, a hermetyczna *praxis* jaśnieje w eterealu niczym płomień.

- Ale to miecz - powiedział Edmund.

Zdjął okulary i podał je Tomowi, który aż podskakiwał z niecierpliwości.

Niewierny wciąż był nerwowy. Przemówił.

Skryba po długiej pauzie przetłumaczył.

- Pyta, czy ktoś z nas zna Harmodiusza.

Tom położył rękę na ramieniu mistrza.

- Ma magiczny pierścień - powiedział, patrząc przez oszlifowane klejnoty na poganina.

- Tak. Same kłopoty, bez dwóch zdań. Co sądzicie, chłopcy, kiedy widzicie miecz istniejący w świecie realnym i eterealnym? - Mistrz Pye był pedantyczny i zawsze nauczał.

Popatrzyli jeden na drugiego.

- Ze będzie się sprawiał jak miecz - odparł powoli Edmund. - Także w eterealu.

Mistrz Pye spojrział na niego z aprobatą, którą wszyscy cenili. Nie szafował pochwałami, ale to było bardziej niż sprawiedliwe.

- W istocie, chłopcy. To tak zwany Okrutny Miecz, z tym wyjątkiem, że będzie ciął w obu światach. - Pochylił się nad nim i wpasował w oczodół wielce praktyczną zwyczajną lupkę. - Kto go wykonał?

Skryba powtórzył pytanie. Niewierny rycerz mówił przez jakiś czas i zanim skończył, skryba zaczął pisać.

- Mówi, że odtworzył go jego pan. Ale mówi też, że powstał ponad tysiąc lat temu.

Edmund prawie się zachłysnął.

Mistrz Pye pokiwał głową.

- Ach! - mruknął z głębokim zadowoleniem. - To jeden z sześciu!

Podniósł miecz ze stołu i z tym gestem z wysokiego, niezdarnego mężczyzny z wytrzeszczonymi oczami i nieprzyjemnym oddechem przemienił się w legendarnego bohatera, którego cień padł na stół jak zwiastun zagrożenia.

- Kto jest twoim panem, panie? - zapytał.

Skryba powtórzył jego słowa.

- Abu I-Walid Muhammad bin Ahmad bin Rušd - odrzekł niewierny. Ukłonił się, nie odrywając wzroku od miecza.

Mistrz Pye się uśmiechnął.

- Wyznam, że opadło mnie chłopięce pragnienie, żeby spróbować coś przeciąć. - Ostrożnie położył miecz na stole i znowu stał się podstarzałym mężczyzną o przygarbionych ramionach, z przerzedzonymi włosami i wytrzeszczonymi oczyma. - Jego panem jest Al Raszyd.

Czeladnicy jednocześnie zassali powietrze.

- Mag! - krzyknął Edmund.

Mistrz Pye wskazał maleńki znak oka wyłaniający się ze słońca.

- Zgadza się. - Wyciągnął prawą rękę do niewiernego.

Czarny mężczyzna ją ujął.

Mistrz Pye zrobił coś z dłonią, jakoś zmienił chwyt.

Niewierny rycerz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Rafiki! - powiedział.

- Mówi, przyjacielu - powiedział tłumacz.

Mistrz Pye pokiwał głową. Odwrócił się.

- Chłopcy, to jeden z sześciu mieczy, tu, na stole w naszym warsztacie. Oczekuję, że za ćwierć godziny będę miał większość dających się zmierzyć wymiarów.

Złapał skrybę za ramię i wyprowadził go z warsztatu wraz z



niewiernym, wielce niechętnym zostawić swoją broń.

- Jeden z sześciu? - zapytał Księżę.

Tom zagwizdał.

- Nic nie wiesz?

Księżę obrzucił go spojrzeniem, które obiecywało posiniaczone kłykcie. Księżę został czeladnikiem wyłącznie dzięki talentowi i brakowało mu znajomości ksiązek, jaką mogli się pochwalić inni czeladnicy.

- Magister Hieronimus był największym magiem Archaików - zaczął Edmund. - Powinieneś przeczytać jego traktat o właściwościach metali. To podstawy wiedzy. - Wzruszył ramionami. - W każdym razie był największym z magów. W ich świecie jest uważany za proroka. - Wskazał drzwi, za którymi zniknął czarny mężczyzna. - Kiedy zaatakowały umrothy, wykuł sto mieczy dla gwardii cesarskiej, żeby użyć ich przeciwko nieumarłym.

Tom mierzył, a Sam zapisywał wszystkie dane na wosku.

- Pod koniec ostatniej wojny z umrothami zostało tylko sześć. Zabijają tutaj i w eterealu. Ale wiążą się z nimi dziwne wydarzenia, pogoda, potwory, Dzicz, zabójcy. - Edmund wzruszył ramionami. - Myślałem, że są mitem.

Księżę wyciągnął rękę - zawsze z nich najsilniejszy - i podniósł wielki zakrzywiony miecz.

- Święta Matko Boska...

On też zyskał na postawie i godności.

- Och... - szepnął. Ostrożnie odłożył miecz. - Mój Boże...

Edmund wiedział, że na Księciu byle co nie robi wrażenia, więc nie mógł się powstrzymać. Sięgnął po miecz.

Raz w dzieciństwie poszedł z matką i siostrami do katedry i stał w nawie, kiedy słońce wyszło zza chmur i zaświeciło prosto przez duże centralne okno rozetowe. Wszędzie wokół niego wybuchło światło i w tamtej chwili poczuł dotyk Boga, bezpośrednią nieuchronną obecność wszechświata i wszechmądrości i wszystko: śmiech jego siostry, szept matki, ręce kapłana, zapach kadzidła w wonnym powietrzu, perfekcja łuku i błysk srebrnej muszki, każda drobina pyłu i każda sugestia ostatniego tonu ostatniego hymnu, szept zakonnic i błysk guzików na

rękawie zamożnej kobiety -wszystko nabrało sensu.

Edmund nigdy nie zapomniał tej chwili. Stała się ona sercem jego rzemiosła.

I teraz przeżył ją ponownie w ciągu połowy uderzenia serca. Był mieczem. Miecz był w nim i ponad nim. I wszystko, absolutnie wszystko miało sens.

Odzyskał panowanie nad sobą, świadom przemożnego pragnienia użycia na czymś miecza - na czymkolwiek - żeby poczuć jego perfekcję. Niemal to samo czuł wtedy, gdy leżał obok Anny, całował ją i chciał więcej. Chciał skończyć.

Chciał spełnienia.

Powoli odłożył miecz na stół.

- Uważaj - przestrzegł Sama. - Ale spróbuj.

- Wyobrażasz sobie noszenie go codziennie? - zapytał Księcia.

Księżę westchnął.

- Tak, mogę sobie wyobrazić. - Uśmiechnął się blado. - Chciałem cię przeciąć na pół, po prostu, żeby zobaczyć, czy zdołam.

Zaden z nich się nie roześmiał.

\*\*\*

Godzinę później przyszedł chłopak z listem do ser Ricara od przeora Wisharta. W tym czasie miecz wrócił do właściciela, który od razu stał się spokojniejszy, mając go u pasa. Siedział przy stole na podwórzu i pisał pod dyktando skryby ser Geralda, stawiając skomplikowane znaki.

Skryba zrobił niejasny gest.

- Dość dobrze mówi po etrusku - powiedział. - Próbuję nauczyć go kilku słów po albańsku.

- Po etrusku? - powtórzył mistrz Pye. Pokręcił głową.

Podszedł do niego ser Ricar i podał mu list.

Mistrz Pye przeczytał.

- Chryste na krzyżu... - warknął. - Chłopcy! Do mnie!

Na długo przed zjawieniem się królewskich gwardzistów po Blanche nie zostało ani śladu, jej łóżko było zasłane, a służące prały na podwórzu. Czarny mężczyzna zniknął, jakby go nigdy nie było, a ser Ricar ulotnił się razem z nim.

Gwardziści przeprowadzili pobieżną rewizję. Blanche miała przyjaciół w pałacu. Nie zależało im, żeby ją znaleźć, ale mieli nakaz aresztowania.

Kiedy odeszli, pani Pye objęła małżonka.

- Bradleyu Pye - powiedziała - sądzę, że nadszedł czas, by wyjechać z miasta.

Patrzył, jak dwóch ostatnich gwardzistów wychodzi przez bramę.

- Jest gorzej, niż myślisz - mruknął. - Zamierzają zlikwidować zakon.

Jego żona się przeżegnała.

- Błogosławiony Święty Tomasz...

Mistrz Pye miał łzy w oczach.

- Pracowałem tu całe życie. Ale teraz zabraknie naszych potajemnych opiekunów. Przeor wzywa do siebie swoich rycerzy, zanim król się z nimi rozprawi.

- I? - zapytała jego żona.

- Więc jesteśmy bez ochrony - odparł mistrz Pye. - I za parę dni przybędzie tu armia Galów. Gerry mówi, że Wenika wie o ich przybyciu.

- Gerald Random nas nie opuści. - Deidre Pye pokręciła głową.

- Będę szczęśliwy, jeśli wyjedziesz. Ze wszystkimi dziewczynami.

- Bradleyu Pye, kiedy się nauczysz, że nie jesteśmy zakładniczkami? Jesteśmy chętne do pomocy. - Jego żona skrzyżowała ręce.

Pye ściągnął usta.

- Zobaczymy - powiedział.

\*\*\*

Galowie nie przybyli ani jutro, ani nazajutrz.

Pod południowymi murami miasta wznoszono trybuny na turniej i stawiano szranki. Były szranki do walki pieszej z dębowymi belkami grubymi na cztery palce na dębowych słupkach, solidne, żeby nie złamał ich rycerz w pełnej zbroi rzucony przez rywala. Ogrodzenie mające cztery stopy wysokości, o boku osiemnastu stóp, stanowiło arenę dla uzbrojonych wojowników.

Szranki konne były bardziej skomplikowane: obita dębowymi

deskami centralna bariera wysokości końskiego zadu, długa na sto pięćdziesiąt stóp, biegła przez całą długość placu pomiędzy dębowymi ogrodzeniami ustawionymi w odległości czterdziestu stóp.

Oba place były prawie przygotowane. Tuzin sztukatorów i malarzy rozwieszał malowane płótna i skórzane dekoracje, które wyglądały jak solidne złote i srebrne cokoly ze wspaniale zdobionymi tarczami.

Mistrz sztukator już miał listę wszystkich rycerzy i giermków zaproszonych do udziału w turnieju. Na dziewięciu czy dziesięciu stronach dodano tarcze Galów, którzy jeszcze nie przybyli, i Oksytańczyków, którzy, jak wieść niosła, byli w drodze.

Królewskie herby zdobiły królewski namiot i trybuny. Król był znanym uczestnikiem turniejów i miał zamiar brać udział w obecnym.

Na liście mistrza sztukatora widniały herby przekreślone wąskimi czerwonymi liniami. Hrabia Towbray został wykreślony. Hrabia Pogranicza miał rozkaz poprowadzić oddział królewskich łowczych leśników na zachód, gdzie dochodziło do napaści z Dziczy. Edward Daispansay - pan Bainu - zabrał swoich ludzi z dworu miesiąc wcześniej. Został tylko jego syn Thomas i na szczęście łatwo było skorygować różnice na jego herbie wyobrażającym ośmioramienną gwiazdę.

Hrabia d'Eu, kuzyn de Vrilly'ego i sławna kopia, wycofał się tego ranka.

Ale największą zmianą było usunięcie herbu królowej. Herb Dezyderaty - królewski herb Oksytanii z Galią i Albą, trzymany przez jednorożca i Zielonego Człowieka, był dobrze znany w królestwie i jej rycerze zawsze tworzyli najliczniejszą grupę zaraz po królewskiej. Używanie jej znaków zostało surowo zakazane, co wywołało wiele spekulacji wśród robotników, i ani jeden z jej rycerzy nie miał prawa skruszyć kopii ani skrzyżować miecza w szrankach.

Ser Gerald Random, „kupiecki rycerz” króla, stał na drewnianej nodze, wsparty na grubej hebanowej lasce z gałką z litego złota, i patrzył na robotników. Towarzyszyła mu większość urzędników pomagających w organizacji turnieju, a także nowy burmistrz Harndonu, Aiwin Darkwood, i były, ser Richard Smithe.

Kilkunastu żeglarzy rozpięło płócienną markizę nad trybunami.

- Widziałem, jak to robili w Liwiapolis - powiedział ser Gerald. -  
Mieli magistra, który całość uszczelnił.

Burmistrz śpiesznie machnął ręką.

- Boże, uchwaj. Dopóki się nie pozbędziemy nowego biskupa,  
nawet nie mów o takich rzeczach.

Random splunął z irytacją.

- Panowie - zaczął - razem możemy kontrolować większość  
przepływu kapitału w tym mieście. - Rozejrzał się. - Zamierzamy się  
pod tym podpisać? - Elegancką laską wskazał dwóch uczniów  
sztukatora, którzy ostrożnie zdejmowali herb królowej ze środkowej  
trybuny przed szrankami do walk konnych.

- Jaki mamy wybór? - zapytał ser Richard. - Ja nie mam wojska. I  
nie ścieram się w szrankach.

Ser Gerald znowu się rozejrzał.

- Jackowie napływają do miasta. I nadciągają Galowie. I nie  
brakuje głupców, którzy małpują Galów.

- I Oksytańczycy - dodał cicho Darkwood. - Brat królowej nie  
będzie stać z założonymi rękami i przyglądać się jej aresztowaniu.

Ser Gerald wodził wzorkiem dokoła.

- Pomówmy szczerze, panowie, jak na kupców przystało.  
Zostawmy kłamanie panom. Obrońca króla i jego kamraci prowadzą  
nas do wojny domowej, to równie pewne jak wschód słońca.

Jego towarzysze poruszyli się niespokojnie.

- I jeśli będą walczyć tutaj, na naszych ulicach... - Ser Gerald  
zmrugał oczy. - Wyobraźcie sobie nasze domy w płomieniach.  
Żołnierzy i grabieże.

- Słodki Jezu, wszyscy pójdziemy z torbami. - Ser Richard pokręcił  
głową. - Nie wolno do tego dopuścić.

Ser Gerald wciąż się rozglądał.

- Od czasu mojej ubiegłorocznej przygody w Morei zyskałem  
przyjaciół wśród Etrusków - powiedział z pewnym autorytetem.

- Zauważyłem, ku mojemu niezadowoleniu - rzekł Darkwood. -  
Byli wenikańscy i fiorańscy kupcy, którzy dostali futra przede mną!

Ser Gerald uniósł brew.

- Było dość futer dla każdego. I jeden z moich najważniejszych popleczników prosił, żebym dopilnował, żeby Etruskowie mieli udział w handlu. W każdym razie wenikański kapitan, ser Giancarlo, który zawiązał tu w czwartkowy wieczór, przywiózł mi wieści. - Rozejrzył się. - Mówi, że wszystko dzieje się na rozkaz króla Galii. To spisek, de Vrailly dla niego pracuje. Chce zająć królestwo dla swojego pana.

Ailwin Darkwood szarpnął się za brodę.

- Zawsze tak myślałem. Od ataku na nasze monety.

Ser Gerald nie krył zaskoczenia.

- Ale...

Darkwood wzruszył ramionami.

- Podjąłem pewne środki ostrożności. Co mielibyśmy według ciebie zrobić?

Ser Gerald uniósł brew.

- Nic przeciwko królowi - odparł.

Ser Richard zrobił podejrzliwą minę.

- To zdrada.

Ser Gerald stanowczo pokręcił głową.

- Nic przeciwko królowi, powiedziałem.

Mistrz Ailwin i ser Gerald gniewnie spojrzeli na ser Richarda.

- Co zaplanowałeś? - zapytał ser Richard, ale jego język ciała wyraźnie mówił, że się od nich odcina.

\*\*\*

Godzinę później pił wino z arcybiskupem Loriki, który nie wydawał się zbyt przejęty.

- Nie masz się czego obawiać, ser Richardzie. Niektórzy z twoich rodaków są zdrajcami, ale król jest bezpieczny. Co więcej, chyba ci mogę powiedzieć, że za kilka godzin wyjdzie na jaw spisek, który uśmierzy twoje obawy.

Ser Richard wstał.

- Random, Darkwood i Pye kontrolują większość milicji, Wyszkolone Bractwo. Wykorzystają ją.

Arcybiskup parsknął śmiechem.

- Wieśniacy z widłami? Przeciwko pasowanym rycerzom? - Śmiał

się z całego serca. - Mam nadzieję, że spróbują. W Galii sami ich do tego zachęcamy, bo to pozwala przetrzebić stado.

Ser Richard niewiele wiedział o wojnie, ale ze wzburzeniem szarpnął się za brodę.

- Myślę, panie, że twoi rycerze mogą stwierdzić, iż ci ludzie są straszni. Tak czy inaczej, muszę wyjechać. Nie mogę przyłożyć do tego ręki. Gdy te nieprzyjemności się skończą, będę musiał robić interesy z tymi ludźmi.

Arcybiskup osobiście odprowadził go do drzwi komnaty i wrócił do biurka. Do swojego sekretarza, maitre Grisa, księdza i doktora teologii, powiedział:

- Ten człowiek wyobraża sobie, że kiedy skończymy, będzie mógł wrócić do interesów. - Pokręcił głową. - Lichwa, zbytek i obżarstwo.

Sekretarz pokiwał głową z błyskiem w oczach.

- Będziemy najbogatszym kościołem w całym biskupstwie Rhumu  
- dodał arcybiskup.

- A ty będziesz patriarchą.

Wymienili spojrzenia. Arcybiskup otrząsnął się z marzeń i pochylił w stronę sekretarza.

- Sprowadź archaickiego skrybę - polecił.

Sekretarz zmarszczył brwi, ale wyszedł spełnić polecenie, jego czarna szata wydymała się jak burzowa chmura.

Arcybiskup skupił się na listownym wyjaśnianiu, w wyważonym tonie, że żaden ksiądz nie może podlegać prawu cywilnemu ani królewskiemu i że sąd manorialny nie ma ani władzy, ani prawa rozpatrywać sprawy przeciwko jakiemukolwiek wielebnemu ojcu w Chrystusie.

Sekretarz wrócił.

- Maitre Villon - powiedział cicho, z dezaprobatą.

Chudy mężczyzna w wyświechtanej szkarłatnej szacie doktora niższego rzędu uklonił się głęboko.

Arcybiskup czuł od niego zapach wina.

- Maitre - powiedział ostro.

Mężczyzna dość pewnie trzymał się na nogach.

- Wasza Eminencjo.

Arcybiskup szybko skinął ręką na swojego sekretarza.

- Ja się tym zajmę.

Sekretarz skinął głową.

Arcybiskup usiadł.

- Maitre Villon, rozumiesz, jak sędzę, dlaczego sprowadziłem cię do Alby.

Doktor prawa skierował na niego zaczerwienione oczy, a potem wbił wzrok w podłogę.

- Jestem na rozkazy Waszej Eminencji - rzekł cicho.

- To dobrze. Muszę wchodzić w szczegóły?

Maitre Villon nie uniósł spojrzenia.

- Nie, Eminencjo.

- Dobrze. Życzę sobie, żeby doszło do pewnego ciągu zdarzeń.

Możesz się tym zająć?

Mężczyzna w czerwieni pokiwał głową.

- Tak, Eminencjo.

- Chcę, żeby umarł pewien człowiek. - Arcybiskup skrzywił się.

- Przy użyciu jakich środków? - zapytał doktor prawa.

- Twoich, maitre Villon - odparł arcybiskup ostro, podniesionym głosem, jak matka mówiąca do wyjątkowo nierozgarniętego dziecka.

- Sztuk hermetycznych - rzekł cicho doktor prawa.

Arcybiskup wstał.

- Nie muszę tego mówić! I będziesz trzymać język za zębami, bo jak nie, to się z nim pożegnasz.

Odziany na czerwono mężczyzna patrzył w podłogę.

- Możesz tego dokonać? - zapytał arcybiskup.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie. Wszystko jest możliwe.

- Dzisiaj. - Arcybiskup pochylił się w jego stronę.

Mężczyzna w czerwieni westchnął.

- Dobrze. Czy ktoś może mi przynieść coś, co nosi? Coś, co nosi często?

Arcybiskup chyba chciał zaproponować, ale zmienił zdanie.

- Tak.

Mężczyzna pokiwał głową.



- Może ktoś mógłby ukraść jego rękawiczki? Zakładam, że jest wysokiego rodu.

Arcybiskup spojrział w inną stronę i prychnął.

Doktor prawa go zignorował.

- Później moglibyśmy zwrócić rękawiczki, jakby zostały znalezione na ulicy.

- Zdołasz się wyrobić w tak krótkim czasie?

Mężczyzna w czerwieni się uklonił.

- Do usług Waszej Eminencji.

- Nie wódź mnie na pokuszenie. Mam w ręku ciebie i wszystko, co jest ci drogie. - Arcybiskup potarł palcami amulet, który nosił razem z krzyżem.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz, Eminencjo. - Jego głos wyrażał zmęczenie, a może bezradność. A może jedno i drugie.

Gdy wychodził, sekretarz popatrzył na niego z nieskrywaną nienawiścią.

- Jak możesz pozwalać żyć komuś takiemu? - zapytał.

- Nie twoje miejsce pytać, Gillesie - syknął z niezadowoleniem arcybiskup. - Nie pytałeś samego siebie, czy Judasz był zły, czy może było mu pisane posłać naszego Pana na krzyż? I że tym samym był tylko narzędziem Boga?

Sekretarz wzruszył ramionami.

- Scholastyka mówi, że to była kwestia Boga wykorzystania złego Judasza do Jego własnych celów.

Arcybiskup usiadł.

- Jeśli Bogu wolno wykorzystywać zło do Jego własnych celów, to mnie też. - Popatrzył na złączone dłonie. - Co z tą Almspend?

Sekretarz pokręcił głową.

- Pojechała do domu, który ma na wsi. Posłałem ludzi. Nie wrócili. -Wzruszył ramionami. - Wynajęcie sprzedajnych mieczy staje się trudne, Eminencjo. Gwardia królewska wynajęła każdego uzbrojonego opryszka w mieście.

- De Vrailly przygotowuje się do walki z motłochem - wyjaśnił arcybiskup. - Musimy mieć własne miecze. Miecze, które nie będą

nosić naszych barw.

Sekretarz pokiwał głową.

- Polecono mi pewnego człowieka, Eminencjo. Cudzoziemca z dalekiej północy.

- Tak? - Biskup nie słynał z cierpliwości.

- Zobaczą, czy uda mi się z nim skontaktować. Jest bardzo... ostrożny. - Sekretarz wzruszył ramionami.

Arcybiskup się uśmiechnął.

- Wygląda na Etruska. Etruskowie są jedynymi profesjonalistami w tych sprawach. Chciałbym sprowadzić grupę z Rhumu. Jeśli wyda się odpowiedni, wynajmij go.

Sekretarz się uklonił.

\*\*\*

Hrabia d'Eu żwawo krążył po Harndonie, spłacając długi. Osobiście odwiedził krawców, dostawców, kaletników i wszystkich innych, z których usług korzystali jego domownicy, i zapłacił im srebrem.

Wielu harndonczyków, którzy codziennie przeklinali Galów, miało powody go błogosławić. Gerald Random zamknął go w ramionach.

- Zmieni się na lepsze - powiedział. - Powinieneś zostać.

Hrabia spojrzał mu w oczy.

- Nie. Nie zmieni się. Strzeż królowej. Chcą ją skrzywdzić. I króla, w swoim czasie, jak miemam.

- A ty po prostu odjedziesz? - spytał Random. Wyciągnął rękę. - Wiem...

Gal pokręcił głową.

- Nie, monsieur. Wiem, że jesteś dobrym *homme d'armes* i uczciwym kupcem. Powiem więc tylko tyle: z mojej ojczyzny dochodzą pogłoski, że Dzicz się zbliża do moich włości. Chcę jechać do domu i wykonać pracę, do której Bóg mnie wybrał.

Ser Random się uklonił.

- Uczciwiej nie można tego powiedzieć.

Przy drzwiach hrabia d'Eu poklepał swój wspaniały pas ze złotych płytek i zwrócił się do Roberta, swojego giermka:

- Młody człowieku, gdzie się podziały moje rękawiczki?

Robert rozejrzył się niemal dzikim wzrokiem.

-Ty je miałeś, panie. Nosiłeś je, kiedy byliśmy u krawca. Z ludźmi biskupa.

Hrabia zmarszczył czoło.

- *Eh bien* - mruknął.

\*\*\*

Słońce zachodziło nad dalekimi górami, kiedy do zatoki wpłynęły galijskie statki. Po mieście rozeszła się wieść - prawie każdy człowiek, od ulicznych żebraków przy prawie pustym przytułku Zakonu Świętego Jana po gwardzistów królewskich na murach, wiedział, co jest na pokładach. Mężczyźni i kobiety szli na wieczorną mszę, kierując wzrok ku zatoce.

Dobili do doków dopiero o brzasku - ludzie stłoczeni na pokładzie musieli ścierpieć jeszcze jedną wilgotną, zimną noc. Ale w jasnym słońcu wiosennego poranka, pierwszego dnia Wielkiego Tygodnia, ludzie zeszli na to samo nabrzeże, na którym wenikańskie kogi wyładowały i sprzedawały swoje towary. Podczas gdy Wenikanie przywozili jedwab, atłas, lamę i korzenie, Galowie przywieźli ponad trzysta kopii galijskiej jazdy - barczystych, wysokich, silnych ludzi. Każda galijska kopia składała się z rycerza i giermka, również w zbroi, a także gromady sług i paziów w liczbie zależnej od statutu rycerza.

Sieur Du Corse, sławny najemnik, sprowadził Galów po trapie, a potem stał z buławą w ręce, gdy ze statków wyładowywano zbroje, broń i konie. Konie nie były w dobrej kondycji i niektóre nie mogły utrzymać się na nogach.

Obrońca króla, Jean de Vrailly, zsiadł z konia w nowej zbroi z błękitnej stali, którą miał nosić na turnieju. Na niektórych ulicach witały go radosne okrzyki.

Objął Du Corse'a i obaj urządzili wielki pokaz przyjaźni, poklepując się po plecach. Przedstawienie wypadło całkiem przekonująco.

- Prosiłem o kompanię Genuńczyków. O łuczników albo Iffriqu'yańczyków, jacy służą królowi Sycylii. - De Vrailly ściągnął

usta. - Ale twoje kopie prezentują się pięknie, Blaise. Wspaniale.

Blaise Du Corse był wzrostu de Vrailly'ego i miał włosy tak czarne, jak de Vrailly biało-złote. Pochodził z południowych gór Galii, gdzie ziemie Arelatu, Galii i państw etruskich schodziły się w regionie ubóstwa, wojny i mało cywilizowanego społeczeństwa. W regionie słynącym z żołnierzy.

- Panie, naprawdę zamierzałem sprowadzić ci więcej ludzi, ale król zakazał. Ściślej mówiąc, zakazał tego twój przyjaciel seneszał de Abblemont. - Du Corse wzruszył ramionami. - Mało brakowało, a wcale bym nie przybył. I, Jeanie... - Położył rękę na ramieniu de Vrailly'ego. - Musimy wracać. Gdy tylko skończymy tu pracę dla króla.

- Wracać?

- Armia Dzikich wtargnęła do Arelatu - wyjaśnił Du Corse. - Nie, daruj sobie, drogi przyjacielu. Widziałem kilka łbów. Żaden siewca strachu nie mógłby czegoś takiego spreparować. Mówią, że Nordykanie toczą wojnę na swoich granicach. Mówią, że królestwo Dalmatis już padło.

- Na błogosławiony sakrament! - De Vrailly głęboko odetchnął. - A król? I seneszał?

- Ogłaszają ban, pospolite ruszenie. Każdy rycerz w Galii ruszy przed latem na wschód. - Du Corse uniósł brwi. - Dlatego mówię ci, prywatnie, trzeba się pośpieszyć.

Patrzyli, jak kilku marynarzy i dokerów wyładowuje ciężkiego konia bojowego z ładowni największej kogi.

- Abblemont chce, żeby ci przypomnieć - kontynuował Du Corse - że masz prawie tysiąc kopii naszego królestwa. Dziesiątą część naszej całkowitej siły i w wielu przypadkach... - wyszczerzył zęby - najlepszych ludzi. -

Skierował spojrzenie na młodą kobietę, która machała ręką na balkonie. - Śliczna dziewczyna. Czy Alba jest pełna ładnych kobiet?

De Vrailly zrobił niezadowoloną minę.

- Może. W połowie lata? Ba. Cóż, zobaczymy.

Du Corse ściągnął brwi, ale jego twarz wyglądała raczej komicznie niż groźnie.

- Nie widzę tutaj niczego, co mogłoby się wyróżnić na tle tysiąca naszych - powiedział. Mrugnął do kogoś nad ramieniem de Vrailly'ego.

Strzał z łuku dalej arcybiskup wrócił z balkonu do komnaty w swoim pałacu. Uśmiechnął się do sekretarza.

- Mamy więc dość żelaza, by utrzymać ulice. Proszę, powiedz maitre Villonowi, żeby zajął się tym, co trzeba zrobić.

- Zajął się tym, co trzeba zrobić? - powtórzył sekretarz.

Arcybiskup się uśmiechnął.

- Lepiej, żebyś nie wiedział, mój synu.

Usiadł za biurkiem i przejrzał przygotowane dokumenty. Każdy z nich opatrzony był śmiałym podpisem i pieczęcią hrabiego d'Eu.

Westchnął i umieścił je jeden po drugim w małym skórzanym kufereku, jakich prawnicy używają do przechowywania zwojów i testamentów.

Zamknął kuferek i wrzucił klucz do kominka. Wstał.

- Będę u króla - powiedział szambelanowi, który się ukłonił.

\*\*\*

Dezyderata spędziła całe trzy dni na modlitwach, w większości na kolanach. Była silną, zdrową kobietą i dzięki sztukom magicznym miała większą wiedzę o noszonym dziecku niż większość akuszerki, więc jej modlitwy, gdyby się modliła, dotyczyłyby co najwyżej bardziej miękkich poduszek na klęczniku przed cudownym obrazem Marii Panny w ogrodzie różanym.

Przez cały dzień doskonaliła umiejętność głośnego czytania z *Żywotów świętych niewiast* i *Legend o dobrych kobietach*, jednocześnie krążąc po swoim wewnętrznym pałacu. Ćwiczenie okazało się trudniejsze, niż przypuszczała - głośne czytanie absorbowало znaczną część jej świadomego umysłu.

W południe drugiego dnia, mimo że kolana bolały ją tak, jakby stały w ogniu, a plecy wydawały się bliskie oderwania od obojczyków, osiągnęła cel. Potrzebowała tego pokazu pobożności, żeby uspić czujność swoich „dam”, z których wszystkie były szpiegami i z których każda miała mózg nowo narodzonego kociaka.

Królowa wiedziała, że ma kłopoty. Wcześniejsze zawołowane

wrogie działania przerodziły się w otwartą wojnę; wszyscy jej ludzie ją opuścili, z wyjątkiem Dioty, i wiedziała, że wrogowie przygotowują oskarżenie jej o zdradę.

Zniżyli się nawet do tego, żeby zaatakować jej praczkę. Zarzut o czary był niedorzeczny, lecz miał ją skutecznie odizolować. Wiedziała, że bez rycerzy, giermków czy dam, którym mogła ufać, nie otrzyma wiadomości ze świata.

Być może arcybiskup byłby zszokowany, gdyby wiedział, że królowa prawie się tym nie przejmuje. Martwiła się, że coś złego może spotkać Diotę albo że Blanche zostanie pojmana, lecz poza tym ani mocy, ani myśli nie trwonila na roztrząsanie swojego położenia.

Koncentrowała się przede wszystkim na mrocznej istocie, która mieszkała w fundamentach pałacu. A może tylko je odwiedzała.

Nie wiadomo dlaczego istota była jej wrogiem. Dowiedziała się o tym w chwili, kiedy jej dotknęła głęboko w zimnych korytarzach, dokąd zabrała ją Becca Almspend. Wrogość była tak znajoma jak dotyk kochanka. Zastanawiała się, czy zbudziła ten byt swoim dotknięciem, czy może Becca uczyniła to swymi badaniami hermetycznymi. Albo czy był tam zawsze. W niektóre dni wydawał się nieobecny.

Przygryzła wargę. Jej zewnętrzne ja prawie straciło wątek fragmentu, który głośno czytała. Zwalczyła falę drobnych bólów w piersiach, biodrach, plecach, kolanach.

Każda myśl o mężu raniła ją do żywego.

Niemal mogłaby się pogodzić z zarzutem o cudzołóstwo, ponieważ w ciągu jednego krótkiego roku przeszła od kochania do czegoś bardzo bliskiego nienawiści. Zimnej, przerażającej nienawiści. Nienawiści, która czyhała na skrajach jej umysłu, zagrażała jej mocom, jej wierze w siebie i samoświadomości.

Tak pewnie, jak stary Harmodiusz przepędził demona, przepędziła myśli o mężu i je zamknęła.

I podążyła za nicią czerni, która biegła z jej komnat w głąbie pałacu.

Nikt nigdy nie uczył królowej wychodzenia z ciała, ale ta sztuka od dawna wydawała się idealnie logiczna. Skoro istota z krwi i kości

może wejść do pałacu w niematerialnej postaci, równie dobrze może z niego wyjść w tej samej formie do świata materialnego. Jak często miała w zwyczaju, przeszła od myśli do czynów i spróbowała.

Teraz robiła to prawie na zawołanie. Tak narodził się pomysł z niewinnym oszustwem - damy obserwowały ją ze zdumieniem, gdy całe dni spędzała na modlitwie. Starannie się przygotowała, bo przywołanie do rzeczywistości w czasie, gdy się przebywa poza ciałem, może być bolesne.

Po ostatniej wewnętrznej kontroli i mentalnym westchnieniu opuściła ciało i popłynęła.

Lady Agnes klęczała, ale siedząc na stołeczku ukrytym pod spódnicą. To nie rozbawiło ani nie przeszkodziło królowej - po prostu to zauważyła. Zauważyła wcześniej, że kolory i uczucia wyższe, składające się na jej życie w świecie materialnym, ulegały stonowaniu, kiedy pozwalała duchowi wędrować z wiatrem.

Zapadła się w dół przez podłogę.

Z doświadczenia wiedziała, że wiele części pałacu jest strzeżonych - właściwie prawie każdy dom, nawet chałupa najbiedniejszego wieśniaka, miał pieczęcie do ochrony mieszkańców przed duchami, nieumarłymi i chodzącymi na wietrze.

Co dziwne, wiele takich ochron umieszczano na drzwiach, ale nie na ścianach; na oknach, ale nie podłogach. Wiedziała, nie bez goryczy, że nie może uciec z pałacu. Była to strzeżona forteca i to, co znajdowało się w środku, miało tam pozostać - podobnie jak to z zewnątrz nie mogło przeniknąć do wnętrza.

Ale w obrębie pałacu mogła wędrować do woli, jeśli odpowiednio się skoncentrowała. Poczowała zimno kamienia, który nigdy nie widział słońca, a potem się rozgrzała. Piętro niżej królewski szambelan doglądał komnaty króla, rozkładając świeżą pościel na łóżku.

Nie została, żeby zobaczyć, czy pojawią się jakieś kobiety. Nie potrzebowała dalszego dowodu, kim jest król. Albo co zrobił.

Ten strzępek myśli o mało nie zakłócił jej koncentracji, ale jej wola była czysta, twarda jak wschodnia stal. Schodziła coraz niżej, widząc naprzemienne pasy światła i ciemności w drodze do starych sal pod pałacem, gdy tropiła czarną nić, którą znalazła w swoim kominku.

Kiedy dotarła do głębokiego korytarza - starej ścieżki albo drogi pokazanej im przez lady Almspend - przypominało to powrót z podróży do domu, który podczas nieobecności mieszkańców zaczął pleśnieć i próchnieć. Korytarz był tak pełen czarnych lin wynaturzonych czarów, że prawie w nich ugrzęzła.

Nie zachowała należytej ciszy.

Czerń była wszędzie, a ona krążyła nad nią, niechętna jej dotknąć nawet w swojej bezcielesnej postaci. Ale widziała ją prawdziwym wzrokiem: pętle i zwoje nici wystarczającej na utkanie stu dywanów wypełniały najgłębszy korytarz, a tam, gdzie zatrzymała się z lady Almspend i lady Mary, stał mur czerni.

Dezyderata przyszła tu dwa razy wcześniej i odsyłała mury tam, skąd się wzięły, do kamienia osadzonego w najstarszym murze zamku.

Teraz istota ją znała.

Nici runęły na nią, wszystkie naraz - bezmiar czarnego jedwabiu płynącego w czarnym powietrzu jak ciemna sieć.

Dezyderata opuściła swoją eterealną postać na podłogę i pozwoliła, żeby jedwabne nici przeniknęły przez jej niematerialne ciało.

Cokolwiek zastawiło tę pułapkę, spodziewało się bardziej solidnego oporu.

Poczuła nienawiść.

Zaczerpnęła tchu i gdy wypuszczała powietrze, uczyniła je duchem wiosny przepelnionym słońcem i światłem, miłością i śmiechem, zielonymi liśćmi i nowymi kwiatami, zapachem twarzy w słońcu i bzu w ciemności.

Jej czary rozerwały nici z taką łatwością, z jaką dobry miecz tnie śnieg - co więcej, nici się rozpuściły w kontakcie z jej siłą, cieniejąc, cofając się i znikając, gdy szła.

Rozpostarła bezcielesne ręce.

Pomiędzy nimi zaczęła się tworzyć duża kula rozżarzonego złota.

- *Daj nam dziecko!* - szepnęły wstążki czerni.

Dała im kulę. Kula płynęła jak słońce, prawdziwe słońce, płonące i jaśniejące blaskiem, jakiego nie mogłoby znieść żadne śmiertelne oko.



Minęła ścianę czerni - i ją oświetliła.

W Dezyderatę uderzył potężny impuls mocy, jakby dziecko pacnęło muchę, i poniósł ją do tyłu, gdy jej czary wgrzyzały się niczym czerw w zwoje adwersarza.

Byt uderzył jeszcze raz w postaci wściekłego psa o wielu głowach i zębach - śliniący się koszmar wypłynął ze strzępów czarnej eterealnej zasłony, żeby zaatakować... ducha.

Poczuła, że byt zareagował - i zrozumiał.

Smagnął ją czystą *ops*.

Cios wydmuchnął ją z korytarza i prawie ze świata żywych.

Dopiero wtedy Dezyderata zaczęła poznawać prawdziwy strach.

Ale strach zwykle czynił ją silniejszą. Panowała nad lotem swojej bezcielesnej formy i go ustabilizowała - zastawiła pułapkę w eterealu na wypadek bezpośredniego pościgu i z dziką satysfakcją zobaczyła, że jej domysł okazał się trafny.

A istota wciąż nie mogła ugasić jej pierwszych czarów.

Dezyderata uciekła do świata materialnego, mając nadzieję, że jej praca się skończyła.

\*\*\*

Jej bolące ciało wciąż trwało na klęczkach, a usta się poruszały. Święta Urszula. Aż nazbyt dobrze znała tę opowieść. Wróciła do ciała w porę, żeby uchronić się przed upadkiem.

Ale jej głowa opadła na książkę, temu nie mogła zapobiec.

Daleko pod sobą czuła ruch swojej wielkiej *praxis*, jak żywą istotę w sercu ciemności adwersarza.

- Jeśli Wasza Wysokość skończyła się modlić - odezwała się lady Agnes, jęcząc oskarżycielsko - z pewnością mamy inne zajęcia!

Cokolwiek chciała dodać, przeszkodziło jej gwałtowne otworzenie drzwi komnaty.

W progu stał arcybiskup Loriki z nowym kanclerzem króla, sieur de Rohanem, a za nimi, niemal w cieniu, król.

Zaczęła się podnosić. Kolana i plecy przeszył taki ból, że o mało nie upadła. Ona, mająca najwięcej wdzięku ze wszystkich kobiet, straciła go przez ciążę. Zwalczyła skowyt, zgrzytnęła zębami i zmusiła się, żeby wstać. Każdy miesiąc arcybiskupa zdradzał jego

podniecenie. Dezyderata nigdy wcześniej nie widziała, żeby ktoś dosłownie trząsł się z podniecenia. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna miał atak gorączki.

De Rohan, były chorąży de Vrailly'ego i najbardziej niebezpieczny sługa, wydawał się znudzony. Po prostu wypełniał funkcję, jaką mu powierzono.

A król - jego twarz była prawie zwiotczała. Migotały mu oczy.

Och, kochanie. Kiedy stałeś się taki słaby? A może zawsze taki byłeś?

- Wasza Wysokość! - powiedział arcybiskup. Jego głos, zawsze wysoki, brzmiał piskliwie. Uspokoił się. - Wasza Wysokość, przychodzę z dokumentem podpisanym przez króla.

- Tak? - Wiedziała, co to takiego, ale w głębi serca miała nadzieję, że król odmówi złożenia podpisu.

Arcybiskup wyjął pismo. Zobaczyła pieczęć króla.

- Aresztuję cię za morderstwo popełnione za pomocą czarów - oznajmił przesywającym głosem.

Nie kryła zaskoczenia.

- Morderstwo? Za pomocą czarów? - zapytała, czując się jak rażona gromem.

- Szatańskimi sztukami sprowadziłaś śmierć na swojego kochanka, hrabiego d'Eu, kiedy wyrzekł się ciebie jako kochanki, zagroził opuszczeniem dworu i wyjawieniem twojego grzechu! - oświadczył arcybiskup.

Jej tak zwane damy śpiesznie umknęły z pokoju, zostawiając ją samą.

- Przeszukać komnatę - mruknął de Rohan.

Miał ze sobą dwunastu królewskich oficerów, wszystkich niedawno mianowanych, nienależących do gwardii.

- To hańbiące - powiedziała królowa. - Nieprawdziwe, głupie i podstępne. - Milczała przez chwilę. - Hrabia d'Eu nie żyje? - Pamiętała, jak prowadził ją pod rękę podczas bożonarodzeniowej zabawy na lodzie.

Król wysunął się zza swoich urzędników.

- Pani - rzekł ponuro - wyświadczę ci zaszczyt i będę udawać, że o

tym nie wiesz.

Dezyderata ani drgnęła.

- W takim razie mi powiedz - poprosiła.

- Mamy wszystkie jego listy do ciebie - odparł król teraz z niemal jawnie groźną irytacją.

Królewski szeryf podał arcybiskupowi skórzany kuferek. Hierarcha próbował go otworzyć, stwierdził, że jest zamknięty na klucz, i przekazał go szeryfowi.

- To nie moje - powiedziała królowa. - Nie moje i nie...

- Milcz, kobieto! - krzyknął król.

- Wasza Wysokość, wszak wiesz, gdzie trzymam listy!

Król odwrócił wzrok.

- Wcale cię nie znam - rzekł ze smutkiem.

Skórzany kuferek otworzył się z trzaskiem i tuzin pergaminów wypadł na podłogę. Szeryf schował puginał do pochwy.

Królowa zobaczyła, że na każdym liście widnieje pieczęć hrabiego d'Eu.

- Myślisz, że pieczętowałyby listy miłosne? - mruknęła.

- Kto wie, co myślą zdrajcy i heretycy? - syknął arcybiskup. - Przyznaj się, Wasza Wysokość, a unikniesz stosu.

- Do czego mam się przyznać? - zapytała Dezyderata. - Jestem niewinna. Noszę syna króla. Nigdy nie zaprzestałam starań na rzecz dobra tego królestwa, a hrabia d'Eu nawet nie był moim przyjacielem, a co dopiero kochankiem. To wszystko jest niedorzeczne.

Król czytał jeden z listów, jego twarz płonęła czerwienią.

- Jak śmiałaś?! - krzyknął i rzucił jej pergamin w twarz.

- Przyznaj się do zamordowania d'Eu, a król w swojej łaskawości daruje ci życie. - Sieur de Rohan stał w swobodnej pozie, mówiąc znudzonym głosem. - Spójrz na Jego Wysokość. Jest zdruzgotany.

Król czytał następny list.

Dezyderata była bliższa paniki niż wtedy, gdy ruszył na nią koszmarny byt pod pałacem, ale się nie ugięła.

- Wasza Królewska Mość, te listy są podrobione. Wasza Królewska Mość, przecież znasz mój charakter pisma!

Król odwrócił się w jej stronę i uniósł pięść. Opuścił ją, usta drżały

mu z gniewu, a podbródki - od kiedy ma podbródki? - sprawiały, że wyglądał bardziej na smutnego niż rozzłoszczonego.

- Myślałem, że cię znam - powiedział. - Ale de Vrailly miał rację. Zabrać ją sprzed moich oczu.

- Dokąd, Wasza Królewska Mość? - zapytał de Rohan.

- Do najgłębszej otchłani piekła, tyle mnie obchodzi - odparł król. Zdawało się, że na ich oczach postarzał się o dziesięć lat.

Królowa się wyprostowała, nie tylko w świecie realnym, ale też w eterealu.

Arcybiskup zacisnął w ręce talizman, który nosił na piersi.

- Rób, co chcesz, kurwo szatana! - krzyknął. - Jestem chroniony przed wszystkimi twojego pokroju.

Dezyderata uśmiechnęła się z pogardą.

- Różnica pomiędzy nami jest taka, że ja nie zniżyłabym się do zniszczenia ciebie, nawet gdybym w ten sposób miała ocalić moją duszę. Ja tworzę i uzdrawiam. Sprowadzam światło w ciemność. Kiedy to robię, wszyscy twojego pokroju pierzchają do ciasnych nor, gdzie światło nie dochodzi.

Zrobiła krok do przodu i arcybiskup mimo woli się cofnął.

Poderwała głowę.

- Dokąd mnie zabieracie?

Gdy drzwi się za nią zamknęły, usłyszała oleisty głos de Rohana.

- Teraz, Wasza Królewska Mość, musimy pomyśleć o jej bracie.

Królowa się odwróciła.

- Wasza Królewska Mość! - krzyknęła.

Szeryf, onieśmielony przez jej pozycję i stan, puścił jej łokieć.

Drzwi się otworzyły. Stał w nich król.

Królowa uniosła podbródek.

- Żądam procesu - oznajmiła.

Jej mąż milczał. Ich oczy się spotkały.

- Jestem najzupełniej niewinna, panie. Żaden mężczyzna z wyjątkiem ciebie nie zna tego ciała. - Królowa nie prosiła. Nie kryła gniewu, co dla większości mężczyzn świadczyłoby o jej niewinności. Nikt nie umiałby tak udawać.

- Zabrać ją - szepnął de Rohan.

- To jest Alba, nie Galia - powiedziała królowa. - Żądam sądenia mnie publicznie, przez równe mi osoby.

\*\*\*

Nat Tyler wśliznął się do Harndonu, korzystając z zamieszania spowodowanego przez przybycie Galów. Ubranie miał w strzępach, twarz zniszczoną przez trudy surowej zimy i pociętą bruzdami ciągłego napięcia. Strażnik przy bramie mógłby go zatrzymać choćby z powodu wielkiego łuku na plecach, ale obecność tysiąca zbrojnych Galów na ulicach sprawiła, że przy bramach zostawiono nielicznych wartowników, których na dodatek interesowało tylko to, co się działo w ich mieście.

Zgodnie z zapowiedzią jego nowego sojusznika.

Pierwszy Most przebył z powodzią porannych klientów i rolników zmierzających na targ i pomógł rozładować wóz w East Cheaping, zanim poszedł na wzgórze do lupanarów za dokami. Widział więcej biedy niż podczas poprzedniej wizyty i więcej żebraków.

Wymienił znak z mistrzem żebraczym.

Mężczyzna wskazał na jego łuk.

- To nie przysporzy ci przyjaciół wśród sędziów - powiedział. - Tylko obywatel Harndonu...

- Znam prawo - burknął Tyler.

- Wygląda na to, bracie, że ubiegłe miesiące dały ci w kość - zauważył mistrz żebraczy. W rzeczywistości bał się Tylera, który pachniał jak Dzicz.

Tyler wzruszył ramionami.

Mistrz żebraczy zabrał go do kapituły, czyli na zgromadzenie żebraków sankcjonowane przez książąt i królów od czasów Archaików, obecnie odbywające się na agorze przy Wieży Wiatrów. Król Żebraków siedział na stopniach świątyni Ios. Trzy stele tworzyły naturalny tron z niewiarygodnie starego białego marmuru.

Król Żebraków nosił skórzaną koronę. W przeciwieństwie do większości królów siedział sam. Nie miał dworu. Nie był ani szczególnie duży, ani nie wyglądał groźnie. Prawdę mówiąc, niczym się nie wyróżniał w brudnym ubraniu ze skóry i starej wełny, z prostymi, brązowymi, przetykanymi siwizną włosami i długą brodą.

Równie dobrze mógłby być rolnikiem albo najmitą.

- Nat Tyler - powiedział. - Ostatnio, kiedy cię widziałem, ruszałeś odnieść wielkie zwycięstwo nad królem.

Tyler wzruszył ramionami.

- Przegraliśmy.

Król Żebraków pokiwał głową.

- Cóż. A teraz wróciłeś.

- Nie na długo. Czy moje miejsce jeszcze się trzyma?

Król Żebraków się rozejrzył. Starsi żebracy i mistrzowie szczyrzyli zęby.

- Tak, Nat. Twoje miejsce jeszcze się trzyma. - Król się roześmiał.

Tyler zdjął z pleców łuk i się na nim oparł.

- Przychodzę z N'gary. Będę naprawdę wdzięczny za kubek piwa i miskę stawy.

- Z N'gary - powtórzył król. Zapadła cisza. - Zaraz nam powiesz, że poznałeś Baśniowego Rycerza.

- Coś w tym stylu - odparł Tyler.

Gruba kobieta włożyła mu kubek w rękę.

Uniósł go na znak podziękowania i pił przez dłuższą chwilę.

- Towarzysze, to pierwsze piwo, jakie mam w ustach od miesięcy.

- Byłeś daleko w Dzicy - powiedział Król Żebraków. - A teraz wróciłeś... ciężka droga. Nigdy nie byłeś prawdziwym żebrakiem, Nat. Co cię sprowadza tym razem?

Tyler wzruszył ramionami.

- Przyczaję się na parę miesięcy. Zwerbuję kilku chłopców do walki. I odejdę przed latem.

- Jak zawsze.

- Tak.

- I nie jesteś tu tylko z powodu turnieju i dlatego, że wszędzie będzie mnóstwo pieniędzy?

- Turnieju? - zapytał Nat.

- Chryste i jego święci, człowieku... rzeczywiście byłeś w zaczarowanej krainie. Odbędzie się wielki turniej, z milionem głupków do oskubania i tysiącami szylingów do zgarnięcia. -

Uśmiechnął się szeroko. - Jeśli wcześniej nie wybiją nas galijscy łupieżcy.

- Łupieżcy?

- Zabijanie zawsze przyciągało twoją uwagę, Nat. obrońca króla, de Vrailly...

- Bodaj zgnił w piekle - wtrącił Tyler.

- Ach... czasami nawet się zgadzamy. Bodaj zgnił w piekle... posłał do Galii po nową armię. Dostał ludzi, ale jak się zdaje u siebie też mają kłopoty, bo do kilku rycerzy dodali bandę szumowin wypuszczonych z więzień. Wszystkich regularnych żołnierzy zostawili do walki z boglinami. - Zaśmiał się.

Tyler pokiwał głową,

- Nie mów mi o boglinach. Miałem ich powyżej uszu.

Młodsza z mistrzyń żebraczych zarechotała.

- Więc zostaniesz?

Tyler pokręcił głową.

- Nie, Lise, nie zostanę, jak mówiłem. Odejdę przed pełnią lata.

- Pomożesz nam zabić paru Galów? - zapytał Król Żebraków.

Tyler przytaknął.

- Znasz mnie, Królu.

- Znamy cię. Szczęście, że przyszedłeś - dodał Król. - Mamy za mało ludzi na tych galijskich łajdaków.

Tyler skinął głową.

- Umierają mniej więcej tak łatwo jak wszyscy inni - powiedział, pocierając kciukami natarte pszczelim woskiem drewno swojego łuku.

Podeszła Lise, rosła, niegdyś przystojna, obecnie zniszczona kobieta z czerwonym nosem i prostymi czarnymi włosami.

- Jedna z moich dziewczyn została obrabowana, poderżnięto jej gardło. W Zaułku Wagowym. - Złożyła ramiona. - Trzech Galów, wszyscy dopiero co tu przyплыnęli. Crack mówi, że ich znajdzie.

Król Żebraków zatarł ręce i popatrzył na Nata.

Nat westchnął.

- Każesz mi spłacić należności, Królu? - zapytał.

- Nie - odparł powoli mężczyzna. - Nie. Możesz odejść. Zarobiłeś sto razy. Ale, gdybyś chciał pomóc, potrzebujemy pomocy.

Tyler ze ściągniętymi brwiami przez jakiś czas dumiał nad zadaniem.

Ale pewne więzi są gęstsze niż krew czy woda. Nie poruszając głową, przesunął spojrzenie na Lise.

- Powiedz mi, gdzie ich znaleźć. Barwy, kwatery. Jak zwykle.

Podeszła i go pocałowała.

- Niektórzy z nas za tobą tęsknili, Nacie.

- Założę się, że mówisz to wszystkim zabójcom do wynajęcia - mruknął Tyler ze swoją dawną iskrą.

Jednak muśnięcie ust niczego nie obiecywało i iskierka zgasła.

Dostał miejsca na podłodze w piwnicy tawerny. Jadł i czuł, że się rozgrzewa - były to dwie największe pozostałe mu przyjemności.

\*\*\*

Aresztowanie królowej wywołało zdumienie - spodziewano się tego, ale mimo wszystko zdarzenie okazało się szokujące. Kolejnym szokiem dla każdego harndonczyka była sama liczba Galów na ulicach, a skala przestępstw popełnianych przez ich pachołków i włóczęgów przekraczała najgorsze wyobrażenia.

Trzydziestu mężczyzn i dwanaście kobiet zginęło pierwszej nocy. Dwudziestu galijskich łuczników spaliło gospodę, kiedy zostali stamtąd wyrzuceni za kradzież. Zabili każdego mężczyznę, który wydostał się z płonącego wnętrza.

Najwyższy szeryf poszedł do pałacu po żołnierzy, z którymi mógłby dokonywać aresztowań, i więcej go nie widziano.

W biały dzień grupa najemników-łupieżców napadła na stragan złotnika na targu przy Cheapside. Zabili właściciela i jego córkę, po czym zabrali całe złoto, srebro i miedź łącznie z kilkoma wyrobami z emalii. Później szli butnie wśród śpiesznie zamykanych kramów, kradnąc cenne rzeczy ze stołów. Kupiec, który zaprotestował, został ugodzony sztyletem i zostawiony na klęczkach w błocie z wnętrzościami wylewającymi się przez palce.

Tam ich znalazło Wyszkolone Bractwo.

W jego skład wchodził najlepiej wyszkoleni i uzbrojeni obywatele Harndonu. Wszyscy mężczyźni i kobiety formalnie przyjęci do którejś z siedemdziesięciu trzech uznawanych gildii czy cechów



automatycznie stawali się obywatelami wolnego miasta z prawem do noszenia broni i podróżowania. Wielu innych też miało te same przywileje: większość właścicieli domów i większość służących dwóch dużych opactw, służba pary królewskiej i setki innych - na przykład fechtmistrze i nauczyciele. Do tego dochodzili ludzie, którym nadano status obywateli, łącznie z kilkoma rycerzami i arystokratami.

Mobilizacja oznaczała powołanie pod broń wszystkich mężczyzn czy silnych kobiet posiadających broń i zdolnych do jej noszenia.

Wyszkolone Bractwo stanowiło elitę złożoną z członków cechów wyrabiających i używających broni. Należeli doń wytwórcy łuków i grotów, rzeźnicy, płatnerze i miecznicy.

Wyszkolone Bractwo miało obowiązek służyć jako pancerna pięść miasta, ale zasadniczo podlegało szeryfowi i burmistrzowi, którzy kładli nacisk na ścisłe przestrzeganie prawa.

Michael de Burgh, niegdyś żołnierz, był fechtmistrem i właścicielem prosperującej gospody; krążyła plotka, że podlegał mu szereg burdeli. Był też jednym z ośmiu kapitanów Bractwa i człowiekiem znającym swój obowiązek.

Najemnicy-łupieżcy zebrali się w grupach na brzegu rzeki, z bronią w ręce, gdy Wyszkolone Bractwo wmaszerowało na ulicę Cheaping.

De Burgh wyszedł z szeregów swoich włóczników.

- Rzucić broń! - krzyknął głosem, który mógłby zbudzić nieboszczyka i narzucić mu dyscyplinę. - Rzućcie i zostawcie na ziemi! Wszyscy jesteście...

Z zaskoczeniem spojrzął na wystrzelony z kuszy ciężki bełt, który przebił jego grubą brygantynę i kolczugę pod spodem. Nie był szczupłym mężczyzną, a bełt wszedł po lotki.

Kapitan krzyknął zszokowany.

Ale znał swój obowiązek.

- Aresztowani... - dokończył i padł na ulicę.

Bractwo też znało swój obowiązek.

\*\*\*

Bitwy zasadniczo są skutkiem tego, że ktoś popełnił poważny błąd. Bitwa o ulicę Cheaping była rezultatem dwóch błędów. Najemnicy nigdy nie napotkali oporu ze strony mieszczan czy wieśniaków. Doświadczenie wyniesione z Galii mówiło, że jedynymi ludźmi, którzy mogą się z nimi mierzyć, są rycerze. Każdy inny opór topniał w obliczu ich zaciekłości, lepszego ekwipunku i umiejętności.

Ludzie z Wyszkolonego Bractwa byli przyzwyczajeni do ścierania się z lepiej wyszkolonymi przeciwnikami albo potworami. Różnicę niwelowali doskonałym ekwipunkiem i dyscypliną. Nigdy jednak nie spodziewali się ciężkiej walki we własnym mieście. W Dżicy tak. Na ulicach wokół targowiska - nie.

Najemnicy zaatakowali z rykiem furii, który wytrzasnął okna wokół placu.

Lewy kraniec linii Bractwa nie wystrzelił ani jednego bełta, gdyż byli nieprzygotowani do natychmiastowej walki. Nie widzieli, że kapitan de Burgh został trafiony, i nie mieli pojęcia, co się dzieje. Wielu ludzi po lewej stronie jeszcze wciągało kolczugi i zapinało kirysy. Wielu trzymało kiełbasę w zębach.

Najemnicy uderzyli na nich jak wilki na stado owiec i wielu, zwłaszcza w tylnych szeregach, rzuciło się do ucieczki i zostało wybitych. Większość najemników miała włócznie albo topory i używała broni z całym okrucieństwem, zabijając rannych na ziemi i powalając milicjantów, gdy się odwracali do ucieczki. Pokolenie uczniów zmarło w ciągu kilku sekund. Cech rzeźników stracił mistrza, czterech czeladników i dwunastu uczniów, gdy szeregi poszły w rozsypkę.

Na drugim końcu linii sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Płatnerze stali wprost za kapitanem. Zostali wezwani jako pierwsi i wszyscy mieli zbroje.

Kapitan kuszników - stanowisko było odskocznią do dowodzenia całym Bractwem - rozkazał ludziom wypuścić bełty.

Sześćdziesiąt bełtów uderzyło we frontowy szereg szarżujących najemników. Kusznicy strzelili jednocześnie i bełty trafiły w cele z odgłosem, jaki towarzyszy uderzeniu drewnianym młotkiem w mięso.

Płatnerze na komendę opuścili ciężkie włócznie i ruszyli.

Kapral Edmund w pierwszym szeregu po prawej stronie był na tyle spokojny, że zdążył zwrócić uwagę na sprawność oddziału, zanim wbił ciężką włóczę pod brodę wrzeszczącego Gala, niemal odrywając mu głowę. Skrócił chwyt na drzewcu, wyrwał grot z trupa i parł dalej, żeby nie hamować swoich towarzyszy za plecami.

Trzydziestu najemników poległo w kilka sekund. Ostrzał z kusz ostudził ich zaciekłość, a kiedy tylko się zawahali, młodzi, silni i wyjątkowo dobrze uzbrojeni uczniowie i czeladnicy z cechu płatnerzy wycieli ich jak dojrzałą pszenicę.

Szale bitwy się przechyliły, a nie minęła jeszcze nawet minuta.

Jak w większości takich potyczek, wynik zależał od hartu ducha. Najemników nic poza łupami i dumą nie motywowało do kontynuowania walki. Członkowie Bractwa bronili swoich domów i środków do życia. Wytrwali.

Najemnicy pękli. Pobiegli na rynek, przewracając stoły i zabijając każdego, kto dał się zaskoczyć w zasięgu ostrza.

Bractwo - ta część, która się trzymała razem - ruszyło w pościg.

Targ stał się sceną z piekła.

Gdy dyszący zemstą rzeźnicy, którzy wcześniej złamali szeregi, przegrupowali się i runęli na swoich niedawnych pogromców, masakra objęła oba końce Cheaping Street.

- To sprawa królowej - powiedział de Vrailly do króla.

Król pokiwał głową.

- Jej stronnicy przyszykowali się do tej rebelii. - De Vrailly pokręcił głową. - Straciłem dobrych ludzi, lojalnych ludzi, zabitych przez motłoch tego przekłętego miasta. - Był tak wściekły, że ledwo mógł mówić. - Chciałbym uderzyć na tych buntowników.

De Rohan podał mu kilka zwojów.

- Wasza Wysokość, to rozkazy aresztowania przywódców bandy - powiedział. - Są wyczerpani, nasyceni swoim wynaturzeniem. Możemy uderzyć teraz, z naszymi ludźmi i gwardią królewską.

Król miał zdeorientowaną minę. Postanowił przeczytać dokumenty. Na zwoju, który rozwinął, figurowało nazwisko Geralda Randoma.

- Ser Gerald jest jednym z moich najwierniejszych rycerzy - oznajmił. De Rohan gwałtownie pokręcił głową.

- Nie, panie, wcale nie. Jest renegatem, zdrajcą w służbie królowej.

Król się skrzywił.

- Rohan, masz dziwne pojęcie. Random jest mistrzem ceremonii na turnieju. Urzędnikiem królewskim...

- Przez całą noc był w zbroi na ulicach, prowadząc motłoch przeciwko moim ludziom - wtrącił de Vrailly.

- To jakaś pomyłka - rzekł król. Splótł ręce na piersi. - Nie podpiszę nakazu aresztowania ser Geralda Randoma.

De Rohan popatrzył na de Vrailly'ego.

Król wychylił się nad murem.

- Ilu masz ludzi? - zapytał.

-Wszystkich Du Corse'a i wszystkich moich - odparł de Vrailly. - I gwardię królewską - dodał szybko.

Król spojrzał na niego tak, jakby go widział po raz pierwszy.

- Prawie trzy tysiące ludzi.

De Vrailly odpowiedział ponurym uśmiechem.

- Tak, Wasza Królewska Mość.

- I planujesz ich użyć przeciwko Wyszkolonemu Bractwu Harndonu. - Król pokręcił głową. - Złożonego z najlepszych ludzi w tym mieście, z mistrzów i czeladników.

- Zniszczymy ich - rzucił de Vrailly z zadowoleniem.

- Zniszczysz moje miasto! - krzyknął król. - Zamordujesz handel. Zostawisz mi wypaloną skorupę.

De Vrailly poderwał głowę jak uderzony.

- Wyruguję zradę!

Król pokręcił głową.

- Nie, de Vrailly. Ty tworzysz zradę. I nie masz dość ludzi, nawet z Du Corsem, żeby zająć Harndon wbrew woli wszystkich mieszkańców.

De Rohan, źle go rozumiejąc, wykrzywił twarz.

- Wynajęliśmy każdy miecz w mieście i okolicach. Mamy wszystkich żołnierzy.

Król spojrział na swoje miasto. Odwrócił się w stronę de Vrailly'ego.

- Nie. Nie zgadzam się. - Otworzył usta, żeby coś dodać, wyrazić swoją wolę.

De Rohan śmiało wysunął się przed de Vrailly'ego. De Vrailly spojrział na niego wyraźnie zbulwersowany. Król patrzył na de Rohana.

- Troska o poddanych świadczy na twoją korzyść, Wasza Wysokość - powiedział. - Ale marnujesz swoje szlachetne uczucia na ludzi, którzy pomogli królowej zrobić z ciebie pośmiewisko.

Król milczał. Na jego policzki wystąpił nagły rumieniec.

- Wytropiliśmy kobietę, która nosiła wiadomości królowej - podjął de Rohan. - Od królowej poszła prosto do domu twojego płatnerza, mistrza Pye'a. Mistrz Pye wezwał ser Geralda Randoma. - Mówił bez zająknięcia. Na tym polegała jego rola: wiedzieć, a gdy nie wiedział, zmyślać. - Ludzie, dobrzy ludzie zginęli, żeby dostarczyć nam te informacje.

Król stał, balansując na jakiejś krawędzi. Czegoś szukał, jego usta się poruszały.

- Jeśli królowa - zaczął z wahaniem. - Jeśli królowa nie...

De Rohan wszedł mu w słowo, co było niesłychaną obrazą majestatu.

- Przecież królowa jest cudzołożnicą.

Król się na niego zamachnął.

- To nie zostało dowiedzione.

De Vrailly nie był zachwycony. Twarz mu poczerwieniała. Odsunął się od de Rohana jak od trędowatego. A jednak powiedział:

- Dowiodę tego na ciele każdego mężczyzny. Urządzimy publiczny proces. Sąd boży.

Król spojrział na nich obu. W tej chwili jakby się skurczył. Odwrócił się do nich plecami.

- Nie wolno aresztować ser Geralda - zaznaczył.

De Rohan, zadowolony z pomysłu sądu bożego z de Vraillym jako oskarżycielem, przysunął się do króla.

- Możemy go zaprosić do pałacu. Z innymi przywódcami bandy.

De Vraily uśmiechnął się bezlitośnie.

- Usłyszysz o jego zdradzie z jego własnych ust - dodał de Rohan.

Król patrzył na nich z pełną zmęczenia odrazą.

- Wszystko było lepsze, zanim przybyliście - wykrztusił. Potem spuścił wzrok na ziemię.

- Kiedy skończymy, zostawimy twoje królestwo silniejsze i twoją władzę na pewniejszym gruncie - powiedział de Vraily. - Żaden król nie powinien mieć długu wdzięczności wobec motłochu przekupek i wyrobników.

De Rohan się skrzywił.

Król westchnął.

- Zostawcie mnie - polecił.

- Nie powinniśmy tam iść - powiedział mistrz Pye. - Znam ser Jeana i znam króla.

Darkwood spojrział na niego.

- To graniczy ze zdradą.

Mistrz Pye wyglądał na znudzonego.

- Uważam króla za przyjaciela. Znam go od czasu, gdy kułem dla niego pierścienie, gdy chodził na dziki. Sam nie wiem ile. Trzydzieści lat? Jest pięknym rycerzem. Najlepszym, powiadają, na zachodzie. - Pochylił się, w pełnej zbroi i przysiadł na oparciu niskiego krzesła. - Nie jest dobry w przyjmowaniu rad i nie mam na myśli zdrady, kiedy mówię, że zawsze miał skłonności do robienia tego, co mu podpowiedział ostatni donośny głos.

- Co w miarę nam odpowiadało, gdy królowa była głosem na jego poduszce - zauważył Ailwin Darkwood, muskając palcami ciężki łańcuch urzędu noszony na dopasowanej brygantynie.

- A teraz rządzi nim banda cudzoziemców - mruknął Jasop Gross, rajca, zastępca szeryfa i mistrz cechu rzeźników. Na przekór nazwisku był chudy i przystojny jak na swoje pięćdziesiąt lat. - Słodki Jezu, przyjaciele, mamy kłopot.

- Jackowie działają na ulicach - powiedział ser Gelfred. - I gdzie jest Tom Willoughby?

- Szeryf? - zapytał mistrz Gross. - Podobno aresztował królową i

teraz siedzi wraz z nią pod kluczem.

- Zawsze mówiłem, że Tom Willoughby to głupiec - przypomniał im Ailwin Darkwood. - A wy, panowie, nie chcieliście mnie słuchać.

- Ja słuchałam - odezwała się jedyna obecna tam kobieta.

Anna Bates była jedyną w Albie mistrzynią gildii. Kierowała cechem złotników w Harndonie i zasiadała w radzie miejskiej. Miała czterdzieści pięć lat, szare jak żelazo włosy, długi nos i szpiczasty podbródek. Artretyzm powykręcał stawy jej palców. Nosiła idealnie biały płócienny czepiec będący czymś więcej niż ustępstwem na rzecz kobiecości. Uniosła podbródek,

- Słuchałam cię za każdym razem. Jest głupcem. A teraz, zamiast stanąć w obronie tradycji, aresztował królową. Wiecie, gdzie jest ta dziewczyna, ta Gold? - Popatrzyła na mężczyzn. - Galom bardzo zależy, żeby ją odnaleźć.

Nikt nie chciał jej spojrzeć w oczy.

Parsknęła.

- Dochowujecie sekretu. Banda głupców. Razem zawiśniemy, przyjaciele, albo każde z nas zawiśnie osobno. Jestem za stara, żeby wykręcić się od stryczka tłumaczeniem, że jestem brzemienna. Ser Geraldzie, co sądzisz?

Ser Gerald pokiwał głową.

- Pójdę z Ailwinem i mistrzem Pye'em.

Pye pokręcił głową.

- Uważam, że de Vrailly, albo jeśli de Vrailly nie ma odwagi, to ten śliski szczur de Rohan nadzieje nasze głowy na piki zanim zobaczymy się z królem.

Ser Gerald pokręcił głową.

- Nie wyobrażam sobie, żeby król...

- Do licha ciężkiego, przecież pozwolił aresztować za cudzołóstwo swoją żonę! - krzyknął mistrz Pye z naciskiem wzmocnionym przez przekleństwo. Żaden z obecnych nie słyszał, żeby płatnerz kiedykolwiek bluźnił. - Jesteśmy niczym. Pomyśl o tym, Geraldzie! Dezyderata jest w łańcuchach. Taką władzę dzierży de Vrailly z Rohanem.

Anna Bates się skrzywiła.

- Ja mówię, że włada nowy biskup.

Pye wzruszył ramionami.

- Ubiegłej jesieni, kiedy zaczęły się ataki na mój warsztat, przyszedł do mnie hoecki kupiec. Groził mi. Zakon kazał go śledzić. Poszedł prosto do de Rohana. - Powiódł wzrokiem po twarzach rozmówców.

Random nagle usiadł, jakby zbroja mu zaciężała.

- Co mamy zrobić? - zapytał. - Zwrócić się do Jacków? Iść na dno wraz z królem?

Mistrz Pye pokręcił głową.

- Nie wiem, co robić.

Anna Bates popatrzyła na ser Geralda.

- Pójdę z tobą, ser Geraldzie. Rycerz i dama. Będziemy mieli pecha, jeśli Galowie nie dbają o honor na tyle, żeby wbić nasze głowy na piki po uprzednim zagwarantowaniu nam bezpieczeństwa.

Ser Gerald popatrzył na pozostałych.

- Mówisz, że król zawsze słucha ostatniego głosu. Niech zatem będą to nasze głosy. Potrafię całkiem głośno krzyczeć. Lepiej niż Galowie, jak mniemam.

- Tracisz zimną krew, Geraldzie - zaznaczył mistrz Pye. - Jeśli tam do tego dopuścisz, będzie po tobie. Jedno słowo, a zamkną nas za zdradę, pamiętaj o tym. W ich oczach królowa jest zdrajcą. Przeinaczą wszystko, cokolwiek o niej powiesz.

Random wzruszył ramionami.

\*\*\*

Godzinę później, ucałowawszy żonę, wjechał z dwunastoma gwardzistami króla w gardziel Złotego Placu, na którym zgromadzili się najbogatsi mężczyźni i kobiety w mieście.

Ser Gerald nawet na nich nie spojrzał. Patrzył na swoją eskortę. Żaden nie nosił złotych lampartów na ramionach - trzech miało szkarłatne tabardy tak źle dopasowane, że łopotały na wietrze. Dowódca wyglądał znajomo.

Uśmiechnął się do ser Geralda.

Ser Gerald odpowiedział nerwowym uśmiechem. Zamiast zbroi miał piękną czarną szatę z łańcuchem, pasem rycerskim i mieczem,



odpowiedni strój dla człowieka w jego wieku, i jechał na porządnym karym wierzchowcu.

- Od kiedy służysz w gwardii? - zapytał mężczyznę.

Dowódca był całkiem młody. Wzruszył ramionami.

- Od dwóch dni - odparł.

- Jesteś z Harndonu?

- Nie, panie rycerzu. Pochodzę z Hawkshead, na zachód od Albinkirku.

Ser Gerald milczał zaskoczony tym zbiegiem okoliczności.

- Walczyłem tam ubiegłego roku, pod Lissen Carak.

Trzej gwardziści pokiwali głowami.

- Wiemy - powiedział cicho jeden z nich.

- Nie jestem buntownikiem - oznajmił ser Gerald.

Dowódca rozłożył ręce. Naprawdę wyglądał znajomo, ale ser Gerald nie mógł go umiejscowić.

- Wiemy, ser Geraldzie - powiedział. - Mam w sakwie twój list żelazny. Zabierzemy cię do króla i odprowadzimy z powrotem. - Spojrzał na tłum rajców i starszych mistrzów na Złotym Placu. - Masz moje słowo.

Jego spokój i królewskie barwy sprawiły, że dum się rozstał. Ser Gerald udawał się na wzgórze z mieczem u boku, co znaczyło, że nie jest więźniem. Na szczycie Cheapside spotkał się z Anną Bates w takiej ilości futer i złota, że wyglądała na księżną. Ukłonił się, a ona ujęła jego rękę. Jej eskorta była równie liczna. Zdawało się, że wszyscy gwardziści się znają.

Random wciąż próbował sobie przypomnieć, skąd zna oficera, który wydawał się za młody na zajmowane stanowisko.

Nic nie przyszło mu na myśl, gdy jechali cichymi ulicami. W powietrzu wciąż wisiał swąd dymu. Trupy zniknęły, ale też budynki, jak spróchniałe zęby w ustach żebraka, i wielu ludzi.

Teść Randoma, były mistrz kamieniarski, zginął z głową odrąbaną toporem. Podobny los spotkał wielu innych, mężczyzn i kobiety, którzy mieli coś do powiedzenia na placach miasta.

Za strawionymi przez ogień budynkami i wyszorowanymi kocimi łbami ulicami widział ludzi na sąsiedniej ulicy. Liczny patrol

Wyszkolonego Bractwa jechał równolegle do gwardii królewskiej.

Nie przypuszczają, że Edmund i jego koledzy zaatakują gwardzistów, ale ich opancerzona obecność trochę go uspokoiła.

Przejechali przez pierwszą bramę i zostawili ludzi Edmonda za sobą.

Krata opadła.

Nawet gwardziści wyglądali na przestraszonych.

Anna Bates, daleka od flirtowania, mocno ścisnęła jego rękę.

Ser Gerald uniósł podbródek i razem ruszyli dalej.

\*\*\*

- Kim jest ta stara pozująca na damę? - zapytał de Rohan jednego ze swoich ludzi.

- Nie mam pojęcia, panie.

- Dowiedz się - syknął de Rohan.

Nikt nie wrócił z odpowiedzią i dwoje przybyszów zniknęło w pałacowych korytarzach.

De Rohan ich wyprzedził i dopilnował, żeby drzwi komnaty królewskiej zostały zamknięte.

Zwrócił się do de Vrailly'ego:

- Motłoch przysłał ser Geralda Randoma.

De Vrailly obrzucił go obojętnym spojrzeniem.

- I co z tego?

De Rohan zmusił się, żeby mówić powoli.

- Nie sądzę, że można mu pozwolić na rozmowę królem.

- Ponieważ rzeczywiście nie jest winny zdrady? - warknął de Vrailly. - Ponieważ się go boisz?

Ostatnie słowo było niebezpieczne dla każdego Gala. De Rohan poczerwieniał.

- Będzie lepiej, jeśli nie dotrze do króla - powiedział de Rohan.

De Vrailly wzruszył ramionami.

- Może lepiej dla ciebie.

Skinął na żołnierzy przy drzwiach. Komnata została otwarta. Zaanonsowano ser Geralda Randoma i panią Annę Bates. Przeszli - nieustraszenie, przynajmniej tak się zdawało - po długim jedwabnym dywanie do tronu, przed którym się ukłonili.

Król siedział sam.

Tron królowej usunięto.

- Ser Geraldzie - odezwał się król. Wyglądał na zmęczonego i smutnego. - Słyszałem, że dzisiaj podniosłeś broń przeciwko mnie?

Ser Gerald pokręcił głową.

- Nie mam prawa przeczyć twoim słowom, ale nigdy nie podniosłbym broni przeciwko mojemu panu.

- Tak powiedziałem de Rohanowi. On jednak twierdzi...

De Rohan wystąpił z szeregów dworzan. Większość z nich była arystokratami z południa Albiny, mieszkającymi w Harndonie, lecz prawie jedna trzecia obecnych nosiła obciślejsze, jaskrawsze stroje, które świadczyły, że są Galami.

- Twierdzi, że jesteś zdrajcą - dokończył de Rohan.

Random zrobił gniewną minę.

- Trudno mi cię zrozumieć. Masz fatalny akcent.

Kilku śmielszych zachichotało. W rzeczywistości de Rohan mówił prawie z niedostrzegalnym obcym akcentem, wyjąwszy chwile, kiedy był wzburzony.

- Milcz! - syknął.

Ser Gerald się uklonił.

- Nie mogę milczeć, panie, gdy mnie zniesławiasz. I jestem tutaj, jak sądzę, żeby mówić, nie milczeć.

De Rohan wskazał oskarżycielskim gestem Randoma.

- Wyszkolił pośredniczkę, dziewczynę, która nosiła listy do kochanków królowej. - Przepraszająco spojrział na króla. - Wolałbym nie mówić nic więcej publicznie. To zbyt... haniebne.

Random pokręcił głową.

- Idiotyczne oskarżenie. Panie, wszak nawet nie mieszkam w pałacu. Pani Anna dygnęła.

- Wasza Wysokość, błagam o zgodę na zabranie głosu.

Król skinął ręką.

- Mów.

- Wasza Wysokość, wierzę, że zostaliśmy tu zaproszeni, żeby mówić do Waszej Wysokości, nie do tego cudzoziemskiego pana. - Zdobyła się na półuśmiech. - Wasza Wysokość, jestem kobietą

interesów, nie dworzaninem. Jeśli to spotkanie w interesach, powiedziała bym, że ten człowiek próbuje nam uniemożliwić powiedzenie tego, co mamy do powiedzenia.

Król popatrzył na de Rohana, później na panią Annę.

- Mów i możesz liczyć na moją cierpliwość.

Dygnęła.

- Panie, mieszkańcy tego miasta zostali bez prowokacji zaatakowani przez zbrojnych, których sprowadzili ci Galowie. Zginęło wielu zacnych mężów i niewiast...

- Zacnych mężów? - zapytał de Rohan drwiąco. - Kilku żebraków?

- Mój teść - powiedział ser Gerald.

- Mój siostrzeniec - dodała pani Anna.

Cisza była równie wymowna jak drwiący ton de Rohana.

- Łupili, kradli i gwałcili, a kiedy wezwaliśmy strażę, strażnicy zostali pobici. - Pani Anna milczała przez chwilę. - Kiedy wezwaliśmy Wyszkolone Bractwo, zabili kapitana.

- Łże - warknął de Rohan.

De Vrailly wyruszył ramionami.

- W Galii... - zaczął.

- Nie jesteśmy w Galii! - krzyknęła pani Anna.

- Nikt nie walczył przeciwko królowi - oznajmił z rozwągą ser Gerald. - Broniliśmy naszych domów. Przed złodziejami i mordercami.

- Piękny stek kłamstw - rzucił de Rohan. - Ty i twoi buntownicy zmasakrowaliście moich ludzi. Zabiłeś nasze sługi... nieuzbrojonych chłopców i dziewczęta.

Król popatrzył na ser Geralda.

Random spuścił wzrok i zaraz potem spojrzął na króla.

- Rozbiliśmy ich po tym, jak zabili członków z Wyszkolonego Bractwa. Ścigaliśmy ich i, Bóg moim sędzią, byliśmy równie źli jak oni.

Król się skrzywił.

- Bodaj to... - mruknął. - Chcesz wojny domowej, Randomie? Zabijanie Galów na naszych ulicach... Czy takie jest prawo?

Urażony ser Gerald cofnął się o krok.

- Chryste na krzyżu, Wasza Królewska Mość! Przecież oni zabili ponad stu twoich poddanych. I w oczach wielu ludzi, panie, Galowie zaczynają cię reprezentować.

- Ach - mruknął de Rohan. Wskazał na ser Geralda. - Ach... teraz rozumiemy.

- Jak mnie reprezentować? - zapytał król ostrożnie.

- Panie, ty ich tu sprowadziłeś. Powinieneś ich odesłać. - Ser Gerald przesunął nogę i wsparł się na lasce. Brak stopy bardzo mu doskwierał.

- A co z królową? - zapytał de Rohan z wielką rozwagą.

Ser Gerald nabrał powietrza. Popatrzył na panią Annę.

Pani Anna dygnęła.

- Wasza Wysokość, przyszliśmy rozmawiać z tobą. Nie z tą miernotą.

Król stracił cierpliwość.

- Bóg mi świadkiem, kobieto! Ten człowiek nie jest miernotą. To galijski pan i jeden z moich ministrów, więc traktuj go z szacunkiem.

Pani Anna cofnęła się o krok.

De Rohan pozwolił sobie na słaby uśmiech.

- Co z królową, mistrzu Randomie?

Random popatrzył na pytającego.

- Wasza Wysokość, czy mógłbyś dopilnować, żeby ten galijski pan używał należnego mi tytułu?

De Rohan wzruszył ramionami.

- To tylko przeoczenie, panie.

Random spojrzał mu w oczy.

- Ser Geraldzie.

De Rohan wzruszył ramionami.

- Skoro tak mówisz.

- Do rzeczy! - syknął król.

- Co z królową? - zapytał po raz trzeci de Rohan. - Jak pospółstwo postrzega aresztowanie królowej?

Ser Gerald wymienił spojrzenie z panią Anną.

- W mieście nie ma ani jednego mężczyzny i ani jednej kobiety, którzy by wierzyli, że królowa jest winna czegokolwiek poza miłością

do Waszej Królewskiej Mości - oznajmił.

De Vrailly milczał do tej chwili. Nie miał na sobie zbroi, co było u niego rzadkością, ale nosił watowany i pikowany kaftan; lewa strona była z fioletowego i białego brokatu, a prawa z żółtego jedwabiu. Miał miecz, miecz obrońcy króla, i poza królem i ser Geraldem był tutaj jedynym uzbrojonym człowiekiem.

- Jest cudzołożnicą, czarownicą i morderczynią - oznajmił de Vrailly. - Dowiodę tego.

- Ty tego dowiedziesz? - zapytał ser Random nieco zaskoczony powagą oskarżeń.

- Odbędzie się sąd boży. Tak zwana królowa zamordowała mojego kuzyna d'Eu, a ja zabiję jej obrońcę i dowiodę jej winy. - De Vrailly gniewnie spojrzał na ser Geralda. - Czy wystąpisz jako obrońca jej sprawy, ser Geraldzie?

De Rohan się uśmiechnął.

Gerald Random nie wzniósłby się na obecny poziom, gdyby nie wiedział, kiedy w rozmowie otwiera się pułapka. Policzył do pięciu, co dobrze mu służyło w innych negocjacjach. Zignorował panikę, która narastała mu w gardle z powodu ujawnionej pułapki.

Jeśli odmówi, wyjdzie na to, że zgadza się z winą królowej, a wówczas de Rohan zasypie go pytaniami o zamieszki i poparcie dla królowej na ulicach, a sprawy szybko przybiorą niewłaściwy obrót.

Jeśli się zgodzi, zginie.

- Kiedy, panie, planujesz te sądy? - zapytał.

- W szrankach, pierwszego dnia turnieju - odparł król.

Random się ukłonił.

- Jeśli Wasza Wysokość zwolni mnie z obowiązków mistrza ceremonii i jeśli Wasza Wysokość uważa, że chromy pięćdziesięcioletni kupiec bez formalnego wykszolenia jest odpowiednim człowiekiem, żeby bronić jego żony w szrankach... - Ser Gerald wysunął drewnianą stopę, żeby wszyscy obecni mogli ją zobaczyć, i pochylił się nad nią, co wiele razy ćwiczył przed żoną z nadzieją na powtórzenie ukłonu jako mistrz turnieju. - Jeśli taka jest prawda - podjął bez szyderczej nuty, którą mógł dodać - wtedy będę zaszczycony, ryzykując życie dla Jej Królewskiej Mości, którą widzę

jako osobę niczemu niewinną.

Nawet de Vrailly dostrzegł implikacje. Jego walka z ser Geraldem zrobi pośmiewisko z tej poważnej sprawy. I dla króla będzie równoznaczna z opowiedzeniem się po stronie oskarżyciela.

Było to skalkulowane ryzyko. Twarz króla spochmurniała, gdy zawrzał w nim gniew. Ser Geraldowi zadrżały kolana, miał kłopoty z utrzymaniem się na nogach i zachowaniem obojętnego wyrazu twarzy. Starał się to robić bo uznał, że brak reakcji będzie dotkliwą obelgą dla Galów.

Gerald Random bał się wiele razy. Powtarzał sobie, że jeśli umrze w szrankach, broniąc królowej, będzie to niczym w porównaniu z koszmarem Lissen Carak i pożeraniem go żywcem przez stwory.

Przeżegnał się.

De Rohan wzruszył ramionami.

- Oczywiście, jeśli się boisz - powiedział, ale słowa wypadły bezdźwięcznie.

Nawet de Vrailly spojrzał na niego jak na robaka.

Pani Anna pokiwała głową.

- A masz zezwolenie Kościoła? - zapytał niskim głosem.

Twarz króla zrobiła się jasnoczerwona.

- Jakiego zezwolenia potrzebuję? - Jego głos sugerował, że ma ją za głupią.

Pani Anna dygnęła.

- Za przeproszeniem Waszej Królewskiej Mości, mój mąż jest klerykiem.

Król przeniósł wzrok na arcybiskupa Loriki.

Ten zerknął na swojego sekretarza. Mężczyzna wiercił się przez chwilę. Szepnął coś do ucha swojego pana.

- Rada dobiegła końca - oznajmił arcybiskup.

Silne ręce chwyciły Randoma za ramiona. Nie walczył - wiedział, że będzie po nim, jeśli nawet nie wyślą go do walki w obronie królowej.

- Wasza Wysokość! - krzyknął. - Ci ludzie próbują obalić twoje królestwo!

- Cisza! - ryknął de Rohan. - Audiencja skończona.

- Kłamią, Wasza Królewska Mość! - krzyknął Random. W istocie miał gromki głos. - Stek kłamstw. Odprawili z dworu wszystkich dobrych ludzi i teraz jeżdżą na tobie jak na łysej kobyle!

Przy nim jeden z ludzi de Rohana powiedział do strażników:

- Zabrać ich gdzieś, gdzie będą mogli się cieszyć gościna Jego Królewskiej Mości.

- Panie, mamy listy żelazne! - ryknął Random.

Ale król już wyszedł z komnaty i przy tronie stał de Rohan.

- Bawcie się dobrze przez kilka następnych godzin - powiedział ze swobodnym uśmiechem. - To mój prezent dla ciebie.

Twarde ręce wywlekły Randoma i panią Annę z komnaty, później pociągnęły w dół po pierwszych schodach, obok pralni, w kierunku lochów.

\*\*\*

Sekretarz arcybiskupa zawsze miał napięty rozkład dnia, więc późno wyszedł z pałacu, ubrany w skromny brązowy habit jak żebrzący mnich. Ruszył ku miastu z dwoma strażnikami swojego pana.

Za bramą czekał wielki tłum harndończyków.

- Panie - szepnął jeden ze strażników - nie możemy wyjść. Rozerwą nas na strzępy.

Uczony doktor przenosił spojrzenie z jednej twarzy na drugą. Ponieważ wiedział, do jakich okrucieństw są zdolni ci ludzie, zawsze był zaskoczony ogromem ich tchórzostwa.

Maitre Gris miał własne sposoby. Wydał policzki.

- Dobrze. Możecie dzielnie pilnować pałacu. Ja idę na kubek wina. - Pchnął w pierś jednego z nich.

Mężczyzna cofnął się zaskoczony.

- Co jest, do diabła!

- Uderz mnie - polecił mu maitre Gris. - A potem wracajcie do środka.

Mężczyzna obdarzył go szczerbatym uśmiechem, w którym brakowało wesołości, i uderzył całkiem mocno.

Maitre Gris leżał na bruku, dopóki ból nie zelżał, po czym się pozbierał. Stara kobieta, istna wiedźma, użyła laski, żeby pomóc mu



się podnieść, a on ją odruchowo pobłogosławił.

- Bodaj Bóg przeklął tych Galów - powiedziała.

Maitre Gris wtopił się w tłum. Kręcił się przez jakiś czas, słuchając komentarzy, które mógłby wykorzystać jego pan, a potem poszedł do miasta.

Gospoda Pod Aniołem stała za Uliczką Żaglowników w Waterside, ledwie kilka dużych budynków od domu Pod Pałkami. Była miniaturową fortecą z czterema połączonymi budynkami wokół podwórza, z werandami i ścianami wyłożonymi boazerią. W środku lata gromady aktorów, minstreli, wagabundów, trubadurów, mimów i akrobatów występowały na dziedzińcu i gospoda, choć zlokalizowana w podejrzanej okolicy, słynęła z jadła i napitków. Często zaglądali tam marynarze i ich oficerowie, podobnie jak żołnierze.

Maitre Gris był tam jedynym mnichem, lecz nie miał gdzie się przebrać, a poza tym wędrowni mnisi często zaglądali do takich przybytków. Przez jakiś czas siedział przy długim stole, słuchając rozmów.

W sąsiedztwie spłonęły budynki. Miejscowi byli wściekli. Maitre Gris w pół godziny dowiedział się, że straciłby życie, gdyby wiedzieli, że jest Galem. Zaczął żałować, że tu przyszedł; ich nienawiść była tak zapiekła, że robiło mu się niedobrze, i musiał wysłuchiwać niekończącej się litanii nienawiści.

Był wnikliwym człowiekiem. Zastanawiał się nad nienawiścią, którą prowokował jego pan. Wino było okropne, piwo wyśmienite.

- Nie szukasz przypadkiem skryby do wynajęcia? - zapytał jakiś mężczyzna.

Był wysoki, miał siwo-brązowe włosy, porządny wełniany kaftan i brązowo-zieloną pelerynę. Nosił elegancki czarny kaptur lamowany gronostajami i odrzucił go, gdy usiadł.

Wyglądał zupełnie inaczej, niż maitre Gris się spodziewał. Nie miał brakujących zębów, blizn, zeza.

- Jesteś...? - zaczął.

Mężczyzna miał też piękny puginał z czarną rękojescią, dość długi, żeby służył za miecz.

- Wolny - dokończył uprzejmie.

Z powodu bliskiego sąsiedztwa domu Pod Pałkami w gospodzie nie było dziwek ani flejtuchowatych służących. Młodzieniec, który ich obsługiwał, był niski, puciołowaty i mógłby być wesoły, gdyby nie stracił starszego brata, zabitego przez Galów.

- Jesteś cudzoziemcem - syknął oskarżycielsko, patrząc na dobrze ubranego przybysza.

- Z cesarstwa - odparł mężczyzna. Ukłonił się.

- Nie jesteś, kurwa, Galem?

Przybysz nie próbował ukrywać wymowy ani akcentu.

- Nie - odparł uprzejmie. - Jestem z cesarstwa.

Chłopak wysunął żuchwę.

- Powiedz coś po archaicku.

Mężczyzna rozłożył ręce.

- *Kyrie Elejson. Christos Aneste.*

Chłopak się skrzywił.

- Chyba dość dobrze. Co mogę ci przynieść, panie?

- Ciemne piwo - odparł cudzoziemiec. Popatrzył na drugą stronę stołu. Kiedy chłopak odszedł, powiedział: - Jesteś bardzo odważny albo bardzo głupi. Albo po prostu zdesperowany.

Maitre Gris ściągnął brwi.

- Rozumiem, że jesteś do dyspozycji.

Mężczyzna w czarnym kapturze skłonił głowę na znak potwierdzenia.

- Mój pan... - zaczął maitre Gris.

- Arcybiskup Loriki - dopowiedział drugi mężczyzna.

Mnich wstał.

- Nie sądzę...

Mężczyzna ruchem ręki kazał mu usiąść.

- Chcesz wynająć szpiega - powiedział. - Proszę, chciałem tylko ci zaoferować moje *bona fides*. Czy byłbym dobry w moim fachu, gdybym nie wiedział, kim jesteś?

Maitre Gris przyjrzał mu się uważnie.

- Jako cudzoziemiec będziesz tutaj wiedział nie więcej niż ja. - Pochylił się w jego stronę. - Jak się nazywasz?

Przybysz z cesarstwa pokręcił głową.

- Nazwiska nikomu tu nie pomogą. Za kilka dni, może tydzień, mając trochę pieniędzy, mogę stworzyć sieć informatorów, którzy mogą dostarczyć prawie wszystko. - Wzruszył ramionami. - To rzemiosło jak każde inne. Niektórzy pracują w złocie. Moim materiałem są ludzie.

Chłopak przyniósł piwo. Mężczyzna pociągnął długi łyk i się uśmiechnął.

- Wyborne piwo.

- Chyba się nie spodziewasz, że dam ci pieniądze i zaufam, że wykonasz swoją pracę - powiedział maitre Gris.

Mężczyzna obdarzył go krzywym uśmiechem.

- A jednak, jeśli to zrobisz, wszystko pójdzie znacznie lepiej. Nieufność jest niepraktyczna.

Maitre Gris pokręcił głową.

- Chcę dostać informacje o pani Rebecce Almspend. Zniknęła.

Mężczyzna naprzeciwko niego ściągnął usta.

- Słyszałem to nazwisko. Udała się na dobrowolne wygnanie, czyż nie?

Maitre Gris pokiwał głową.

- Dobrze, cieszę się, że o niej wiesz. Znajdź ją, a pogadamy o pieniądzach i sieci informatorów.

Wstał. Mężczyzna napił się piwa i pokręcił głową.

-Nie.

- Co nie? - zapytał mnich.

- Przykro mi, nie pracuję za darmo. Nigdy. Jestem dość znany, na mój sposób. Nie pracuję dla pracodawców, którzy mi nie ufają, i nie pracuję za darmo. - Wzruszył ramionami. - Nie będę się błąkać po mieście, szukając zaginionych arystokratek. Obecnie byłoby to zbyt niebezpieczne. Wykorzystuję innych, a to kosztuje.

Maitre Gris był zszokowany.

- A skąd mam wiedzieć, że postąpisz, jak trzeba?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- A skąd ty wiesz, że sługa codziennie rano rozpali ci ogień? Albo przyniesie kielich, kiedy chcesz odprawić mszę? Widzisz,

zakładam, że jesteś jakiegoś rodzaju duchownym. Co mógłbym zyskać, zabierając twoje pieniądze i uciekając? - Wzruszył ramionami. - Suma nie jest dość duża, żeby opłacało się ją kraść - dodał.

- Ile? - zapytał maitre Gris, siadając.

Mężczyzna pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

- Dziesięć dukatów na tydzień dla każdego informatora, jakiego zwerbuję i opłacę. Sto dukatów tygodniowo dla mnie. Jeśli wymagane będą inne usługi, mam... przyjaciół, których można wynająć. - Rozpostarł ręce. - Są kompetentni, wiarygodni i zawsze po sobie sprzątaję. Drodzy, a jednak wielu klientów twierdzi, że znacznie tańsi niż amatorzy.

Maitre Gris pokręcił głową.

- Nie mogę się na to zgodzić.

Mężczyzna dopił piwo i wstał.

- Tak przypuszczałem. Spotkamy się jeszcze raz i na tym koniec. Nie odbywam wielu spotkań. To niezdrowe. Jeśli chcesz się ze mną zobaczyć, zostaw skrawek pergaminu bez żadnych znaków przypięty pineską do bramy wodnej pałacu. Zrób to rano, a się z tobą spotkam, przy tym stole, wieczorem. - Wzruszył ramionami. - Albo będzie tu ktoś, kto mnie reprezentuje. - Zmarszczył czoło. - Jesteś głupcem, wychodząc na ulice, i naprawdę nie zależy mi na tym, żeby zawisnąć obok ciebie.

Maitre Gris się podniósł.

- Ale... - zaczął.

Mężczyzna po prostu go zostawił. Podszedł do karczmarza za szynkwasem i powiedział kilka słów - karczmarz coś odburknął, tyle było widać.

Cudzoziemiec rozłożył ręce, jakby chciał pokazać, że jest nieszkodliwy. I coś zaśpiewał.

Sytuacja nie mogłaby być bardziej niedorzeczna. Zaśpiewał krótką archaicką piosenkę - miał piękny głos. Niektórzy ludzie w tawernie umilkli.

Potem wyszedł.

Anioł był, jaki był, więc tak dobrze ubrany gość - i cudzoziemiec - siłą rzeczy sprawił, że dwóch mężczyzn podążyło za nim w ciemną

uliczkę.

Szedł bardzo szybko. Musieli biec, żeby dotrzymać mu kroku, i kiedy skręcił w Zaułek Żaglowników, obaj ciężko dyszeli.

A on zniknął.

Obaj zaklęli i wrócili do gospody.

Jules Kronmir lekko zeskoczył na ziemię i pokręcił głową, po czym ruszył w dół wzgórza, w kierunku warsztatu mistrza Pye'a. Szedł okrężną trasą i droga zabrała mu większą część wieczoru.

\*\*\*

Wielki Piątek wstał w ulewnym deszczu i zimnie, jakby wiosna nie chciała nadejść. Turniej miał się rozpocząć za pięć dni i po ulicach Harndonu krążyła plotka, że księżę Oksytanii jest o dzień jazdy od miasta, że się zatrzymał w Bergonie w północnym Jarsayu, żeby spędzić dzień na klęczkach.

Ta sama plotka mówiła, że ma ze sobą setkę kopii. I że miałyby więcej, gdyby jego wojska nie walczyły z Dziczą w górach. Bez niego.

- Przybywa po siostrę - powiadali ludzie.

Gwardia króla, a raczej pospolici najemnicy i zbiry, którzy ją tworzyli, wylegli na targowiska. Gdy większość obywateli przebywała w kościele, zajęli place targowe i miejsca spotkań i nikt nich nie powstrzymał. Rodziny wychodzące z kościoła, zmęczone i smutne pod koniec dnia Męki Pańskiej, napotykały gwardzistów i Galów na każdym rogu. Doszło do kilku incydentów, ale nawet Galowie wydawali się cisi z szacunku dla Wielkiego Piątku, mając w pamięci walki sprzed dwóch dni.

Tuż przed zmierzchem obrońca króla jechał ulicami z setką galijskich kopii. Byli wśród nich Albanowie - miejscowi rycerze, którzy widzieli, co w trawie piszczy, i oddani ludzie monarchy. Zmieniali strażników na każdym placu i wszędzie rozwieszali obwieszczenia.

Informowały, że sąd boży królowej odbędzie się w przyszły wtorek.

Ogłaszały zdrajcami ser Geralda Randoma, panią Annę Bates, niejaką Blanche Gold, lady Rebeccę Almspend i ser Garetha Montroya, hrabiego pogranicza, a także ser Johna Wisharta, przeora

Zakonu Świętego Tomasza.

Bezwarunkowo zakazywały zgromadzeń liczniejszych niż cztery osoby płci obojga oraz noszenia broni w miejscach publicznych.

Mistrz Pye siedział w prywatnym warsztacie ze swoimi najstarszymi czeladnikami. Książę zerwał obwieszczenie z krzyża na placu targowym, gdzie stał słup, wokół którego zwykle świętowano nadejście wiosny.

- Pewnie zdzieranie jest przestępstwem - zauważył Sam Vintner.

Mistrz Pye spojrzał nań gniewnie.

- Nie czas na głupoty.

Czeladnik zaczął się wiercić.

- Co zrobimy, mistrzu? - zapytał Edmund.

Mistrz Pye wydał policzki, zdjął okulary, przetarł szkła koszulą i z powrotem założył je na nos. Patrzył w mrok piątkowego wieczoru.

- Jak tego dokonali tak szybko? - zapytał nadchodzącą noc.

Książę uniósł głowę.

- Uważacie... - zaczął i urwał.

Wszyscy na niego patrzyli. Był jedynym chłopakiem z ulicy. Inni pochodzili z domów należących do cechu. Książę pewne rzeczy widział inaczej.

Książę wzruszył ramionami.

Mistrz Pye chrząknął.

- Podziel się swoimi myślami, chłopcze - zachęcił go uprzejmym tonem.

Książę powtórzył gest.

- Uważacie to wszystko za rzecz oczywistą. - Mówił tak, jakby był zły albo jakby miał się rozpłakać. - To dobrze, ale zapominacie, że sytuacja nie jest normalna. Spodziewacie się, że wszyscy będą przestrzegać prawa. Oczekiwać, że prawo spełni swoją rolę. - Odetchnął głęboko. - Ale wystarczy, że zaczniecie kłamać. Jeśli wielu ludzi będzie robić to samo, przez cały czas, zostanie za mało prawdy, żeby prawo działało. Tak to widzę. - Wbił wzrok w stopy. - Jeśli znajdzie się dość ludzi chciwych i chętnych kłamać, żeby dostać to, czego chce? - Uniósł głowę i powiódł wzrokiem po zgromadzonych. - Wtedy pójdzie łatwo. Ich sposób jest prosty. A wy będziecie tu

siedzieć i debatować, podczas gdy jedyne rozwiązanie polega na tym, żeby chwycić broń, wyjść na ulice i zabijać, kurwą, gwardzistów i Galów na każdym rogu, dopóki nie zajmiemy miasta.

Edmund zassał z przerażeniem powietrze. Miał zły tydzień, prześladowało go wspomnienie człowieka, którego zabił. To było takie... takie łatwe. Jak ćwiczenie na podwórzu. Ale prawdziwy człowiek padł niczym zwierzę zarżnięte przez rzeźnika. Nawet gorzej... więcej krwi...

- Widzicie? - zapytał Księżę. - Nadal uważacie, że jeśli nic nie zrobicie, może rozejdzie się po kościach.

- Przecież walczyliśmy! - Sam Vintner się zaperzył.

Księżę wysunął żuchwę.

- Wiesz, nie jestem grzecznym chłopcem takim jak ty. Z mojego doświadczenia wynika, że wy zawsze musicie walczyć. Walka jest czymś normalnym.

Mistrz Pye przygryzł wargę.

- Księżę, jest sens w tym, co mówisz. I może potrzebujemy trochę więcej ognia pod tyłkami... na wszystkich świętych, przez ostatnie miesiące panował spokój. Dostatek, dobre jedzenie i poczucie bezpieczeństwa sprawiają, że ludzie stają się podobni do bydła. - Spojrzał na starszych czeladników. - Ale, Księżę, jeśli zaczniemy zabijać Galów i ludzi króla, zostaniemy uznani za buntowników.

- To tylko słowo.

- Nie wtedy, kiedy galijscy rycerze przejadą przez nasze place, zabijając ludzi - zaznaczył mistrz Pye.

- Potrzebujemy rycerzy zakonu - powiedział Edmund.

Wszyscy wiedzieli, że rycerze zakonu gdzieś są. Ser Ricar już nie nosił czerni i krzyża o ostrych krańcach; widziano go dwa razy, najpierw po wyprowadzeniu z miasta czarnego człowieka, a później podczas rozmowy z wysokim mężczyzną w pięknym czarnym kapturze.

Mistrz Pye ich zaskoczył, kręcąc głową.

- Nie możemy liczyć, że zakon będzie walczyć za nas - oznajmił. - Księżę ma rację i jednocześnie się myli. - Przez chwilę przygryzał wargę. - Chcę wysłać was wszystkich na północ, do Albinkirku. Za

późno na jarmark, ale jest tam pusta kuźnia i ser John Crayford nam ją zaoferował. Możecie zostać tutaj. Będziecie walczyć i umrzecie. - Pokręcił głową. - Będzie strasznie.

Książę spojrział z gniewem w oczach.

- Mielibyśmy po prostu uciec? - zapytał. - A co ze wszystkimi zamówieniami na turniej?

Mistrz Pye pokiwał głową.

- Znajdę się na następnej liście oskarżonych o zdradę. Ponadto zabraknie nam mieczy, nawet gdybyśmy ogłosili w mieście pospolite ruszenie. Trzy tysiące Galów? Chryste, chłopcy, pomyślcie o samych tych najemnych łupieżcach!

- Możemy walczyć - oświadczył stanowczo Edmund.

Popatrzył na Księcia, który pokiwał głową.

- Czy Ann może walczyć? A jej siostry? Co? A Blanche? Chcecie, żeby walczyła? - Mistrz Pye pokręcił głową. - Chłopcy, albo jesteście, albo nie jesteście moimi ludźmi. Nosicie moje barwy, jecie moją strawę. Teraz wydaję wam rozkaz. Zapakujcie na wozy mennicę i całą zbrojownię. A jutro, kiedy dam znać, wyjedziecie do miasta i przez Pierwszy Most. - Spojrział na Księcia. - Więcej niż połowa rzeczy, nad których ukończeniem tak ciężko pracowaliśmy, została zamówiona przez ludzi obecnie uznanych za zdrajców. - Wzruszył ramionami. - Nie mam też zamiaru kończyć zbroi dla króla.

Edmundowi zbierało się na płacz.

- Ale... jak? To znaczy, czy nas nie zatrzymają?

Mistrz Pye pokręcił głową.

- Ty martw się o jazdę czterema wozami po błotnistych drogach. Ja się zajmę wydostaniem was z miasta. - Machnął ręką na znak, że mogą odejść.

\*\*\*

Królowa siedziała w niemal idealnej ciemności, jaka panowała w lochach. Miała umieszczone wysoko na ścianie okienko, przez które za dnia wpadała odrobina światła. Miała łóżko, gobeliny na ścianach, czystą pościel i wysmienite jedzenie.

I baczných strażników. Nie znała żadnego z nich, chociaż nosili czerwone kaftany. Ale byli czujni i uprzejmi.



Cela mogłaby być przytulna, gdyby nie de Rohan, który codziennie do niej zaglądał. Sprowadzał mnichów i inne kreatury, które wypełniały jej celę, gdy bezwstydnie wypytywał ją o miesięczne krwawienia, o nazwiska kochanków, o datę utraty dziewictwa i o tysiące innych poniżających rzeczy.

Ignorowała go i w końcu odchodził.

Ignorowanie go było względnie łatwe, ponieważ podlegała ciągłemu atakowi. Jego głos nie był nawet drobną przykrością w porównaniu z natarciem jej prawdziwego wroga, czarnego węża - tak zaczęła nazywać w myślach Popioła, swojego nieprzyjaciela, który ani na chwilę nie przestawał napierać na ściany jej pałacu pamięci. Nie przypuszczał jawnych napaści.

Stosował bezustanny, morderczy nacisk na umysł.

Był też podstępny. Dwa razy, broniąc świętości swojego pałacu pamięci, Dezyderata wykryła fałszywe wspomnienia próbujące przeniknąć przez mury. Wspomnienia pokładania się z Gastonem d'Eu były śmiechu warte - jej nowy wróg wyraźnie nie miał pojęcia, co kobieta czuje podczas aktu miłosnego. Ale wspomnienie, że daje Blanche zapieczętowany list, było niemal namacalne i przerażająco podobne do prawdziwego wspomnienia.

Poza tym się chełpił. Dzięki temu poznała jego imię. Popiół.

Zaczęła się bać. Niełatwo ulegała strachowi, ale tutaj, w ciemności, bez słońca i przyjaciół, bez Dioty, strażnika, któremu mogłaby zaufać, nawet bez psa czy kota, była ciemżona przez moc znacznie przewyższającą jej własną.

Po dniu bliskiej klęski, kiedy jak obłąkana zaczęła wątpić we własne myśli, zwróciła się ku modlitwie. Nie zwyczajnej, ale śpiewanej.

Śpiewała. I w trakcie śpiewu, po uprzednich ćwiczeniach, jęła tkąć pewne czary ochronne, ostrożnie wykorzystując część zgromadzonej *ops*. Była wstrząśnięta, gdy zobaczyła, jak niewiele jej posiada.

Mimo to pracowała. Przeklęczała prawie cały Wielki Piątek, pławiąc twarz w bladym świetle prześwitującego zza deszczowych chmur wiosennego słońca, gromadząc tyle mocy, ile tylko mogła, przemieniając *ops* w *potentia*, a potem w *praxis*.

Śpiewała hymn pochwalny do Dziewicy Maryi, przez cały czas nie dopuszczając nocy do fortecy swojego umysłu.

Słońce zaszło.

*Dlaczego mi to robisz?* - zapytała czerń na zewnątrz swojego pałacu pamięci.

Czerń nie odpowiedziała. Nie była nawet zielonkawa, tylko czarna. Pracowała powoli. Siła woli zwiększyła jej nadzieję. Dla Dezyderaty śmierć nadziei równałaby się stracie wszystkiego.

Ale miała wątpliwości i były one jak działający ukradkiem górnicy, którzy podkopywali fundamenty jej fortecy.

*Dlaczego król mnie porzucił?*

*Dlaczego im wierzy?*

*Dlaczego zgwałcił swoją siostrę?*

*Kim jest człowiek, którego jestem żoną?*

*Czy kiedykolwiek w ogóle go znałam?*

*Dlaczego mój pałac jest zbudowany nad tą złą istotą?*

Zdawało się, że ostatnie pytanie skrywa wiele znaczeń.

Strażnicy zmienili się za jej drzwiami. Usłyszała tupot stóp, szmer sandałów i wiedziała, że Rohan wrócił ze swoimi pacholkami. Klęczała z pochyloną głową i długie, proste włosy okalały jej twarz. Nie przerwała śpiewu -sześćset siedemdziesiątej *Ave Maria*. Gdy skończyła, przeszła do ulubionego *Benedictus*.

I w głowie położyła kolejną, starannie wykutą cegłę mocy służącą do budowy cytadeli.

Świat rzeczywisty widziała jak przez mgłę. Mogła skupić na de Rohanie niewielką część świadomego umysłu, ale zauważyła, że tym razem jest tylko z dwoma strażnikami.

Zaczął coś mówić.

Nie zwracała na niego uwagi.

Mówił i mówił, napastliwie, próbując ją zastraszyć.

Zrobiła następną cegłę, jarzącą się miękkim złotem. Kochała ją i pielęgnowała, podobnie jak wykonywaną pracę, która przypominała piękny haft w *potentia*.

Poczuła jego rękę na karku.

- Trzymaj się z dala od królowej, powiedział - powiedział strażnik.

Była wstrząśnięta do tego stopnia, że mało brakowało, by w ciągu jednego uderzenia serca cały starannie budowany gmach legł w gruzach. Wskutek naporu zła straciła zewnętrzny pokój pamięci, zapomniała o Oksytanii i o dzieciństwie.

Ale nie straciła słuchu.

- Możecie odejść - powiedział de Rohan. - Jestem z nią w miarę bezpieczny. Mam ochronę przed jej czarami.

Strażnik się nie poruszył.

- Rozkazy. Odsuń się od królowej, panie.

- Ja rozkazuję wam wyjść. Proszę, nic łatwiejszego.

Jego ręka na jej karku zacisnęła się lekko. Druga ręka na głowie była zaborcza - i straszna.

Dezyderata wbiła łokieć w jego udo i upadła na podłogę, jednocześnie używając całej mocy, żeby zwalczyć narastającą falę ataku w głowie.

De Rohan nie był przygotowany na fizyczny opór i się zachwiał. Strażnik chwycił go za łokieć i poprowadził w drugi koniec celi, wykorzystując chwilową utratę równowagi.

- Trzymaj się z daleka od osoby królowej - powiedział prawie bez intonacji, jak człowiek robiący po prostu to, co do niego należy.

- Rozkazuję ci mnie puścić i zostawić mi tę sprawę. Rozumiesz? - warknął de Rohan. - Wiesz, kim jestem?

Strażnik zagrzechotał włócznią o kraty w drzwiach.

- Kapralu, ten pan rozkazuje mi opuścić celę - zameldował.

De Rohan ściągnął brwi.

Kapral miał długą kolczugę na czystym kaftanie i dobrze dopasowany szkarłatny tabard.

- On nie może wyjść, panie. - Mówił z północnym akcentem.

De Rohan przekrzywił z uśmiechem głowę.

- Więc dobrze. Odejdę i powiadomię króla, że przeszkadzaliście mi w śledztwie. - Wyprostował się. Był roslym mężczyzną, wysokim jak jego daleki kuzyn de Vrailly.

Kapral pokiwał głową.

- Zrobisz, co uznasz za najlepsze.

- On chciał ją skrzywdzić - powiedział strażnik. - Trzymał rękę

na jej gardle.

Kapral zmarszczył brwi.

- Jesteś głupcem - warknął de Rohan. Wyszedł z celi, wbiegł po schodach, minął wartownię i wszedł do pałacu.

- Nie tak wielkim głupcem jak niektórzy - mruknął kapral.

- Co mamy zrobić, jeśli przyjdą ją zabić? - zapytał strażnik.

- Wychodować skrzydła i odfrunąć - odparł z rozdrażnieniem kapral. Dezyderata słyszała całą wymianę zdań. Była zanurzona w ochronne warstwy umysłu tak głęboko, że nie miała pewności, czy się nie przesłyszała. Przepędziła wiszące w powietrzu cienie.

- Ocaliłeś mi życie - szepnęła.

Strażnik właśnie wychodził z celi. Uśmiechnął się do niej.

- Jesteśmy tu dla ciebie, Wasza Królewska Mość.

Słowa były niemal równie szokujące jak dotyk de Rohana.

- Kto was przysłał? - zapytała.

Kapral uczynił znak. Strażnik uśmiechnął się krzywo. Wskazał na ściany, a potem na swoje ucho.

- Lepiej wróć do modlitwy, pani - poradził.

\*\*\*

De Rohan wychodził z siebie ze złości. Zwrócił się do swojego starszego oficera, ser Eustace'a De l'Isle d'Adama.

- Gdzie oni są? - zapytał.

L'Isle d'Adam pokręcił głową.

- Nikt nie wie - odparł.

- Sprowadź kapitana gwardii - warknął de Rohan.

L'Isle d'Adam znowu pokręcił głową.

- Fitzroy jest na północy i walczy z Dżiczą.

- Kto jest porucznikiem gwardii?

- Syn Montjoya, ser Guiscard - odrzekł powoli l'Isle d'Adam. -

Oczywiście po aresztowaniu ojca...

- *Bon Dieu!* Chcesz powiedzieć, że oficerem dowodzącym gwardią króla jest syn Garetha Montjoya? - De Rohan nigdy nie miał kłopotu z opanowaniem zawiłości dworu.

- Niestety - potwierdził l'Isle d'Adam.

- Ventr Saint Gris! Żartujesz sobie ze mnie, l'Isle d'Adam! Kiedy

więc rozkazałem wtrącić do lochów tego wieśniaka Randoma i tę jego zdziwę...?

- Nigdy tam nie trafili - odparł l'Isle d'Adam z rozbawieniem. - Uspokój się, panie.

- Chcesz mi powiedzieć, że on zwerbował wszystkich nowych strażników? - De Rohan pogładził ręką podbródek. - A niech mnie! Tych dwóch na służbie w lochu... Więc w pałacu może być pełno zdrajców.

l'Isle d'Adam uniósł brew.

- Wybacz, panie, ale chyba za bardzo dramatyzujesz. Zatrudnił najemników, których mu posłaliśmy. Może są wśród nich ludzie królowej... kilku. - Wzruszył ramionami. - Co z tego? Dwa dni po Wielkiej Nocy skończymy z nimi wszystkimi.

- Kto obecnie dowodzi gwardią? Są inni oficerowie?

l'Isle d'Adam, pod żadnym względem niebędący człowiekiem z nizin społecznych, przewrócił oczami.

- Skąd mam wiedzieć? Czy ja wyglądam na albańskiego krowojada? -Wzruszył ramionami. - Powiedz królowi, żeby mianował nowego kapitana.

- Fitzroy jest jego przyrodnim bratem. - Teraz de Rohan wzruszył ramionami.

- Kazałeś mu aresztować żonę - przypomniał l'Isle d'Adam z pewną szorstkością w głosie.

- Jest czarownicą i morderczynią - oznajmił sztywno de Rohan.

l'Isle d'Adam parsknął drwiąco.

- Zachowaj te teksty dla motłochu. Taka urodziwa damula... Chryste, odwiedziłeś ją sam? - Łypnął okiem. - Rzuciła na ciebie urok swoimi sztuczkami? - Zaśmiał się chrapliwie. Pokręcił głową tak mocno, że z ust prysnęła mu ślina.

- Zostaw mnie.

\*\*\*

Arcybiskup miał złą noc. Tłum dwa razy zaatakował jego pałac, a rankiem sześciuset zbrojnych musiało przemaszerować ulicami, żeby go ratować. Udał się do wielkiej katedry i zastał zamknięte drzwi; rozkazał je otworzyć i zobaczył, że wszystkie ołtarze zostały

ogołoczone i umyte i nigdzie nie było relikwii ani kielicha.

Wrząc z wściekłości, pojechał do pałacu królewskiego. Po burzliwej rozmowie z królem celebrował prywatną mszę w kaplicy królewskiej - ubodzony słowami króla, że w Albie nie odprawia się mszy w Wielką Sobotę do północy. Po mszy, w której uczestniczyło wielu członków dworu, przeprowadził się do nowych apartamentów, twierdząc, że nie czuje się bezpiecznie na ulicach.

Zaraz po tym, jak dzwon wybił drugą, strażnicy krzyknęli „Gore!” i ludzie pobiegli na mury, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Wielki pałac arcybiskupi stał w płomieniach.

W niesłychanie krótkim czasie galijscy rycerze dowiedli swojego szkolenia i dyscypliny. Większość z nich miała pełne zbroje, ich konie bojowe były osiodłane i gotowe. Potężnie uzbrojona kolumna ruszyła do miasta. Parła niepowstrzymanie nawet wąskimi ulicami Waterside, i nikt nie próbował stanąć na jej drodze.

Pałac biskupi stał pomiędzy czterema szerokimi ulicami. Wznosił się samotnie nad Cheapside i teraz płonął, nie zagrażając innym budynkom. Rycerze rozpędzili tłum, zabijając kilku szabrowników i każdego, kogo przyłapali na kręceniu się w pobliżu ognia; ta ich przemoc zniechęciła tych, którzy mogliby pomóc walczyć z pożarem.

Tak więc, jak żołnierze na całym świecie, siedzieli na koniach i patrzyli, jak płomienie trawią budowlę, i żartowali o posłaniu po kiełbasy.

Cała sytuacja mogłaby być komiczna, gdyby tuż przed zmrokiem trzech giermków na końcu długiego szeregu zbrojnych nie dostrzegło ślicznej dziewczyny, która z kokieterijną miną wyglądała zza rogu. Pojechali za nią na koniach. Rycerze patrzyli za nimi ze śmiechem.

Minęło dziesięć minut, zanim ich znaleźli - wszyscy trzej leżeli na wznak, z ciężkimi strzałami w twarzach albo szyjach. I wszyscy mieli poderżnięte gardła.

Nie tylko gardła były pocięte.

Galowie wybuchli gniewem.

Hardnońcy zaczęli umierać.

Godzinę później arcybiskup posłał maitre Grisa, żeby przypiął skrawek pergaminu do bramy wodnej.

\*\*\*

Czeladnik Edmund wyprowadził z miasta sześć ciężko obładowanych wozów. Minęli bramę przy Pierwszym Moście, gdzie dwóch znudzonych najemników w królewskich barwach przepuściło ich bez mrugnięcia okiem. Wozy, dwadzieścia koni i kuców przewoziło cały dobytek mistrza Pye'a, jego najlepsze kowadła i jego skarb, a także połowę ładnych dziewczyn z Southendu, siostry Edmunda i jego Annę, i jej rodziców. Nie byli sami. Na moście tłoczyli się ludzie ubrani jak na pielgrzymkę, niosący najcenniejsze rzeczy, butelki z wodą i żywność.

Po długiej i bardzo głośnej kłótni z żoną mistrz Pye zrezygnował ze śmierci męczennika i pojechał z nimi.

Brakowało tylko Blanche. Ann powiedziała, że poszła do królowej. Edmund uważał ją za bardzo dzielną, ale miał co innego na głowie. Podobnie jak strażnicy przy bramach.

Zdawało się, że gwardziści nie dostrzegają uciekinierów. Przepuścili przez bramę tysiące ludzi, a godzinę później przybył oficer z końmi i odjechał wraz z nimi, zostawiając niestrzeżone bramy.

\*\*\*

Nastała Wielkanoc. Głowa burmistrza Ailwina Darkwooda zdobiła wielką bramę pałacu. Obok niej wisiał tuzin innych o mniejszym znaczeniu, należących do zwolenników miasta i królowej - wśród nich głowa Dioty, stanowiąca ostrzeżenie dla ludzi wiernych Dezyderacie.

Co dziwne, chociaż nazwisko ser Geralda Randoma figurowało jako pierwsze na liście egzekucji, jego głowy nigdzie nie było widać.

Arcybiskup, architekt egzekucji, odprawił mszę w katedrze. Jego ludzie musieli dostarczyć każde naczynie i każdą szatę. Złodzieje opróżnili katedrę w Wielką Sobotę i w chaosie spowodowanym przez pożar pałacu biskupiego zniknęły wszystkie bogactwa Zakonu Świętego Tomasza. Całe sąsiedztwo spłonęło. Jedni winili Jacków, drudzy Galów.

Kiedy arcybiskup wyszedł po pierwszej mszy Wielkiej Nocy, słońce jasno płonęło na niebie. Świeciło na krew na ulicach i na zbroje oksytańskich zbrojnych, którzy rozbijali obóz za Południową Bramą.

Oksytańcy i Galowie w najlepszych okolicznościach mieli sobie niewiele do powiedzenia. W południe gruchnęła plotka, że za bramą doszło do starcia.

Nagle na ulicach zaroił się Galowie i gwardziści królewscy. Jak w Wielki Piątek, zajęli każdy plac i obsadzili każdą wieżę.

To samo słońce płonęło jak pochodnia w wysokim okienku celi królowej. Było to pierwsze bezpośrednie światło słoneczne, czyste i złote, jakie od czterech dni dotknęło jej skóry. Było jak pocałunek kochanka - jak chwila wybawienia.

Włosy Dezyderaty zwisały niczym grzywa dzikiego konia. Nie przebierała się od trzech dni z obawy, że może zostać napadnięta przez zło podczas zmiany ubrania - bała się, że jakiegokolwiek skomplikowane fizyczne działanie oderwie jej uwagę od walki toczonyj w głowie.

Nie jadła od dwóch dni i dziecko w jej brzuchu protestowało kopaniem. Bolały ją boki, plecy płonęły jakby stały w ogniu. Nowe mleko w jej pełnych piersiach przesiąkło przez koszule i pachniało. Piersi też ją bolały, brzuch ciążył jak łańcuchy grzesznikowi w piekle.

Ale słońce - dotyk słońca - było czyste. Strażnicy podtrzymywali ją na duchu, jeśli nawet nie rozumiała dlaczego. W sobotnią noc, w zupełnej ciemności, przyszła Blanche, dziewczyna, na którą rzadko kiedy zwracała uwagę. Uczesała jej włosy i razem z nią się modliła.

Gwardziści ją wpuścili, a potem wypuścili.

W wielkanocny ranek najstarszy strażnik postawił na podłodze tacę z chlebem i serem, po czym ostentacyjnie zjadł po kawałku jednego i drugiego.

- Nie ma potrzeby się głodzić, Wasza Królewska Mość - powiedział. - Twój brat jest w drodze. Nie pozwolimy, żeby spotkało cię coś złego.

Wydawał się zawiedziony, kiedy nie zareagowała, ale nie mogła, bo z nadejściem dnia atak wcale nie osłabł. Jeśli Wielkanoc niosła jakąś magię, to była ona tylko w jej sercu. Nie śmiała przerwać skupienia, żeby się najeść.

Mogła tylko pić złote światło, jak noworodek ssący pierś. Strawa, jej brat, głupota męża...



To wszystko należało do innego świata.

W ciemności ostatniej nocy odgadła, czego chce tajemnicza mroczna istota.

Chciała jej dziecka.

Czuła ją teraz, gdy szukała sposobu, żeby się w nią wedrzeć i przez nią w jej syna.

Dezyderata piła złote światło. Jej świat w ciągu czterech dni sprowadził się do stawiania oporu.

Pracując szybko, wyhaftowała nowe promienie *ops* na czystej *potentia* i powstałą materię wbudowała w swój mur.

Jej ciało było daleko. Kochała je, ale niewiele mogła dla niego zrobić.

Zbierało się jej na płacz, ponieważ głód i brak dbałości o siebie szkodziły dziecku.

Czuła zapach sera. Potrzebowała chwili, żeby się najeść i napić czystej, chłodnej wody.

Nic nie robiła. Piła czyste złote światło i czekała.

I modliła się.

\*\*\*

W wigilię Wielkanocy ksiązę Raymond Oksytański przysłał herolda do króla Alby.

Król przyjął go w wielkiej komnacie obwieszanej girlandami, które weteran albańskiego dworu uznałby za żałosne. Królowa przebywała w więzieniu, jej damy zostały wypędzone, a pałacowe służące, co do jednej, nie stawiały się do pracy. Szerzyły się pogłoski o gwałtach i napaściach Galów na służące; żadna dziewczyna nie chciała przyznać, że została zniewolona, ale matki, złe albo w żałobie po aktach przemocy w mieście, zatrzymały córki w domu. Podobne decyzje dotyczyły wielu synów.

Król błądził wzrokiem po nielicznych kwiatach i wstążkach - co najmniej jedna z nich była brudna.

Jean de Vrailly stał przy tronie. On też zobaczył wystrzępioną, brudną wstążkę.

- Wasza Wysokość, jeśli można, nigdy nie pozwoliłbym, żeby ludzie z gminu postawili mnie w takiej żenującej sytuacji. - Przeszedł

przez prawie pustą salę i ściągnął uwłaczającą wstążkę.

Król uniósł podbródek. Nie był dobrze ubrany, a co więcej, nosił czerń na przekór radosnemu duchowi dnia.

- Co?

- W Galii panuje większy porządek - wyjaśnił de Vrailly. - Ludzie niskiego stanu nigdy nie poważiliby się na taki bezczelny protest.

Król rozprostował nogi.

- Chcesz powiedzieć, że w dzień święta trzeba zostać w domu.

De Vrailly na niego popatrzył.

- Masz dzisiaj zły humor, Wasza Wysokość?

W drugim końcu sali gwardia królewska w jasnym szkarłacie eskortowała wysokiego młodego człowieka, który miał włosy o barwie miodu i eleganckie rysy upodabniające go do irka. W istocie wielu trubadurów utrzymywało, że krew irków płynie w żyłach ludu Oksytanii. Oksytańczycy posługiwali się odrębną formą języka galijskiego i śpiewali pieśni nie tylko albańskie i galijskie, ale również te z Iberii i Iffriqu'ya. W nadmorskich miastach stały nawet meczety tolerowane przez tamtejszych książąt. Oksytania była ojczyzną pieśni i pomarańczy.

I bardzo utalentowanych rycerzy.

Herold nosił pełen strój swojego urzędu - tabard ze złotego jedwabiu w lazurową kratkę z cesarskim orłem rozpościerającym potężne skrzydła na piersi, wyhaftowanym jedwabną nicią tak wiernie, że wyglądał jak prawdziwy drapieжник gotów do skoku - w przeciwieństwie do sztywnych heraldycznych bestii i głów Alby i Galii.

Herold szedł z gracją tancerza. Był wysoki jak de Rohan albo de Vrailly. Ukłonił się głęboko przed królem, wspierając prawe kolano na podłodze. Miał jedwabne rajtuzy - najlepsze w komnacie.

De Rohan wyszedł z apartamentów króla spóźniony, zarumieniony, szybkim krokiem. Za nim szło dwunastu ludzi ubranych w jedwabie, wełnę i futra, powiększając splendor dworu królewskiego. Połowa z nich była Albanami. Wypadki Wielkiego Tygodnia różnicowały opinie w Brogacie, Jarsayu i Albinie, i w obliczu przemocy wielu ludzi przełknęło swoją niechęć do Galów.

Każde działanie podjęte na wsi przez odrodzonych Jacków powodowało napływ drobnych właścicieli ziemskich i rycerzy na dwór królewski - i do de Rohana.

Minęła chwila, zanim spóźnialscy de Rohana zajęli miejsca. Zaraz potem dołączyli do nich księża i mnisi z arcybiskupem Loriki, również spóźnieni.

Herold cierpliwie czekał z twarzą pozbawioną wyrazu. Ani na moment nie oderwał wzroku od oczu króla.

Król skinął do niego głową.

Herold uniósł laskę.

- Wasza Królewska Wysokość, panowie i panie Alby, księżę Oksytanii przesyła pozdrowienia - oznajmił. - Mój pan przybywa wyjaśnić sprawę oskarżeń dzielących króla Alby i jego małżonkę, siostrę mojego pana, panią Oksytanii.

De Rohan nawet nie czekał na odpowiedź króla.

- To sprawa dotycząca wyłącznie królestwa Alby i z żalem...

Herold go zignorował. Miał dźwięczny głos i niemal wyśpiewywał słowa.

- Po przybyciu na te ziemie mój pan nie został ani powitany, ani ugoszczony przez swojego kuzyna króla Alby. Co więcej, otrzymał pogróżki...

De Rohan otworzył usta i nagle król Alby machnął ręką. Nawet de Rohan musiał zachować milczenie na jego bezpośredni rozkaz.

- ...a następnie się dowiedział, że królowa Alby, jego siostra, została oskarżona o czary, o morderstwo, o zdradę i o cudzołóstwo - mówił mężczyzna o pięknym głosie. - Które to oskarżenia mój pan uważa za haniebne, tym bardziej że mają zostać rozsądzone przez walkę, barbarzyński zwyczaj sprzeczny z naukami Kościoła Świętego...

Arcybiskup krzyknął. Głos miał wysoki - był młody.

- Absurd! Kim jest ten chełpliwy bufon, żeby mi mówić, co Kościół Święty...

Maitre Gris pochylił się, żeby szepnąć mu coś do ucha.

- Milcz! - przykazał sekretarzowi zbyt głośno i zbyt piskliwie.

- ...będący tylko wygodnym wymysłem do zamaskowania

zbrodni - dokończył herold. Nie uśmiechnął się ani nie zrobił gniewnej miny.

- Jak śmiesz? - zapytał de Rohan.

- Mój pan żąda natychmiastowego uwolnienia królowej i przekazania jej pod jego opiekę. Nie jest zainteresowany słodkimi jak miód słowami i graniem na zwłokę. Wasza Wysokość, wydaj mu królową, jego siostrę dzisiejszego wieczoru.

- Nie są to słowa zachęcające do negocjacji - rzekł król ze znużeniem Herold wyjął rękawicę z za pasa.

- Jeśli wielce uzasadnione żądanie mojego pana nie zostanie spełnione ta rękawica będzie kierować jego następnym krokiem.

- Grozisz wojną? - zapytał de Vrailly. - Chyba nie mówisz poważnie.

- Nie uwolnimy królowej, która jest zbrodniarką i wiedźmą - oznajmił de Rohan. - „Czarownicy żyć nie dopuścisz”.

Król spojrział na de Rohana i wstał.

- Mistrzu heroldzie, potrzebuję chwili, żeby się naradzić z moimi dostojnikami. Racz, proszę, poczekać.

Odwrócił się z cichym szcękaniem zbroi i z wyciągniętym mieczem stanął przed tronem.

\*\*\*

W wewnętrznej komnacie rady król siedział u szczytu stołu. Obok nie go zasiedli arcybiskup, kanclerz i Rohan, tworzący pierwszą Tajną Królewską, a dalej członkowie drugiej Tajnej Rady: Du Corse, obecnie marszałek Alby, i naprzeciwko niego l'Isle d'Adam.

De Rohan zaczął mówić, zanim król usiadł. Był podekscytowany.

- Wasza Królewska Mość, panowie, mamy tu złotą okazję, jeśli tylko zdołamy ją wykorzystać. - Uśmiechnął się do króla. - Oksytańcy są sąsiadami... i cudzoziemcami. Możemy zjednoczyć ludzi, którzy mają dla nas znaczenie, rycerzy i arystokratów, żeby z nimi walczyć. Oksytania ma bogate wybrzeża. Kampania dobrze się opłaci.

Du Corse był ostrożny.

- Mamy bardzo mało czasu. I jeśli o mnie chodzi, słyszałem, że Oksytańcy umieją władać kopią, a nadto nigdy nie ufałem

kanapowym generałom, którzy mi mówią, że wojna się skończy w połowie lata.

Król uniósł głowę.

- Dlaczego mamy bardzo mało czasu? - zapytał.

Du Corse zamarł. Po chwili wzruszył ramionami.

- Z pewnością Wasza Królewska Mość wie, że królestwo Galii również jest zagrożone przez Dżicz - odparł.

Król przeniósł spojrzenie na arcybiskupa.

- Twierdzisz, jak mniemam, że Dżicz jest wymysłem. Wnykami zastawionymi przez wroga.

Du Corse odwrócił wzrok.

De Rohan miał niezadowoloną minę.

- Musimy się zastanowić, jaką odpowiedź podać temu bufonowi. - Skinął głową do arcybiskupa. - Podoba mi się to słowo.

Król się wyprostował i podrapał po brodzie.

- Nie. Chcę wysłuchać poglądów arcybiskupa na temat Dżiczy. W świetle ataku na Galieję.

- Uciekający mówi, że goni go dziesięciu, podczas gdy jest tylko jeden - powiedział arcybiskup. - To wszystko przesada i bajki.

Du Corse zrobił gniewną minę.

Król rozejrzał się, jakby szukał wina. Wzruszył ramionami.

- Ale monsieur Du Corse zabierze swoje kopie do domu, żeby walczyć z Dżiczą - rzekł powoli. - Kiedy zamierzasz wyjechać, Du Corse?

Du Corse, wcale tego nie kryjąc, spojrzał pytająco na de Rohana.

Galowie przywykli, że kiedy król miał takie chwile, de Vrilly ze swoją absolutną pewnością siebie łagodził sytuację. Arcybiskup żałował, że go zostawił - ale tylko dopóki nie zobaczył, że de Rohan nalewa wina przy kredensie. Wtedy zrozumiał, że podjął właściwą decyzję.

- Data jest mało ważna wobec obecności cudzoziemskiej armii u naszych bram - powiedział gładko de Rohan, stawiając złoty kielich przy łokciu króla. Takimi drobnymi usługami zyskał królewski szacunek, kiedy był tylko chorążym de Vrilly'ego.

Król pomimo burzliwego przebiegu rozmowy nagroził go

życzliwym uśmiechem.

Król lubił lubić ludzi. Ale pokręcił głową.

- To nie jest armia. Jeden z moich gwardzistów mówi, że mniej niż trzystu rycerzy, bez łuczników i włóczników. Przybyli na turniej, panowie.

De Rohan wyszczerzył zęby. Nie mógł się powstrzymać.

- Coraz lepiej - skomentował.

Król powiódł wzrokiem wokół stołu, pociągnął długi łyk wina i wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem, do czego chcesz doprowadzić, de Rohanie.

Pierwszy doradca się uśmiechnął.

- Tylko trzystu rycerzy? To może być najkrótsza wojna w historii.

Na te słowa król poderwał głowę.

Ale de Rohan dopiero się rozgrzewał do tego pomysłu.

- Walne zwycięstwo popsuje szyki popiecznikom królowej, odbierze pewność siebie gminowi, pokaże naszą potęgę i zjednoczy arystokratów przeciwko cudzoziemcowi. - Uniósł brwi, patrząc na Du Corse'a. - I zapłaci najemnikom w łupach.

Du Corse zrobił niezadowoloną minę.

Ale jeśli coś chciał powiedzieć, król mu to udaremnił, zrywając się z miejsca.

- Na tym koniec - oznajmił. Uderzył dłonią w stół tak głośno, że biskup podskoczył. - Muszę mieć czas, żeby przemyśleć wiele rzeczy, panowie. Co mi przypomina... Zacząłem myśleć... że wy... nie...

Nagle zwiotczał. Kolana się pod nim ugięły i opadł na krzesło. Tylko natychmiastowa reakcja de Rohana i dwóch rosnących służących uchroniła go przed upadkiem na podłogę.

- Nadmiar wina - powiedział de Rohan z łagodnym uśmiechem.

- Słyszeliście go, panowie. Na tym koniec. Zgodził się.

Du Corse przymrużył oczy.

- Więc jak będzie? - zapytał.

De Rohan ściągnął usta i starannie wytarł ręce w serwetkę króla.

- We wtorek de Vrailly zabije obrońcę królowej. Spalimy ją jako czarownicę, a wtedy reszta dość łatwo się nam podporządkuje.

L'Isle d'Adam pokręcił głową.

- On nigdy się z tym nie pogodzi. - Popatrzył na de Rohana. - *Grande Dieu*, de Rohan, ja sam tego nie ścierpię.

- Uważasz, że nie jest winna? - zapytał de Rohan.

L'Isle d'Adam pokręcił głową.

- Nie sędzę, żeby któryś z obecnych tu mężczyzn mógł biernie patrzeć na egzekucję królowej.

- Jest heretyczką, kusicielką, uwodzicielką i morderczynią - syknął arcybiskup.

- Jak mówiłem, nie sędzę, że jest tu mężczyzna, który mógłby to tolerować - powiedział z naciskiem l'Isle d'Adam. - Czy mogę zasugerować, monsieur de Rohan, żeby królową spotkał wypadek po sądzie bożym?

- Może podczas próby ucieczki? - podsunął Du Corse. - Na miłość boską, de Rohan, w przeciwieństwie do ciebie nie mamy lodowatej wody w żyłach. A gmin...

De Rohan pstryknął palcami.

- Tyle mnie obchodzą.

Du Corse leciutko skinął głową.

- Będziesz miał piękne chwile, władając tym pięknym krajem, gdy zabiorę moje kopie z powrotem do króla.

De Rohan zwrócił się do dwóch rosnących służących.

- Zabrać go do łóżka - polecił.

Uklonili się.

- Masz jakieś wiadomości o naszej armii na północy? - zapytał.

Du Corse westchnął.

- Armia to zbyt wielkie słowo. Ser Hartmut ma porządny konwój z machinami oblężniczymi i około stu kopii... i grupę marynarzy.

- Są za daleko, żeby był z nich jakiś pożytek - stwierdził de Rohan.

Du Corse spojrzął na l'Isle d'Adama i wzruszył ramionami.

- Monsieur d'Abblemont miał plan zjednoczenia naszych sił. Zamierzał tej wiosny wzmocnić siły tak zwanego Czarnego Rycerza dwiema setkami kopii. - Popatrzył na de Rohana z twarzą skrzywioną z tłumionego niezadowolenia. - Ale podejrzewam, że żołnierze nie zostali wysłani. Król i rada w Lutecji są nieugięci co do letniej

kampanii. Doniesienia z Arelatu są bardzo niepokojące.

- Mamy wrócić i powiadomić herolda o decyzji króla? - De Rohan nie wydawał się zainteresowany wydarzeniami w Arelacie.

- A co uważasz za decyzję króla? - zapytał Du Corse.

- Wojna oczywiście! - odparł de Rohan. - Rankiem, o świcie, król poprosi, żebyś zaatakował ich obóz.

Du Corse nieznacznie skinął głową.

- Jesteśmy nadzwyczaj rycerscy, prawda?

\*\*\*

Gdy w poniedziałek wielkanocny pierwsze wozy wtoczyły się na targowiska w Cheapside, chłopcy roznoszący wiadomości już wiedzieli, że została stoczona bitwa.

Większość gwardii królewskiej i wszystkie kopie, które hrabia Du Corse sprowadził z Galii, opuściły miasto o brzasku. Bez przeszkód przejechały przez Południową Bramę.

Ustawiły się w poczwórnym szeregu przed oksytańskim obozem strzeżonym przez sennych wartowników.

Jeden z nich zadał w róg.

„Albańska” armia przypuściła szarżę na obóz.

To powinna być masakra. Galowie mieli pełne zbroje, podobnie jak gwardziści. Większość oksytańskich rycerzy wychodzących z ozdobnych namiotów powinna być nieuzbrojona i nieprzygotowana.

Było inaczej. Wszyscy byli opancerzeni od stóp do głów.

Okazało się, że jest ich zaskakująco niewiele - może setka pod wodzą rycerza w błękitno-złoty barwach rodziny królewskiej. Nie było tam giermków ani paziów.

Oksytańczycy uformowali zwarty klin i runęli na „albańską armię”, która miała przewagę liczebną dziesięć do jednego.

Walka była brutalna i umiejętnie prowadzona. Galowie ponosili straty, ponieważ ich konie jeszcze nie wydobrzały po morskiej przeprawie. Oksytańskie rumaki były nadzwyczajne.

Ale żaden rycerz nie zatriumfuje, mając szanse jeden do dziesięciu.

W końcu Du Corse stracił z konia błękitno-złotego rycerza po starciu na kopie i miecze, a w końcu na sztylety. Zahaczył ręką o jego szyję, z głowicą sztyletu na karku, i zrzucił go na ziemię.



Nawet wtedy błękitno-złoty rycerz nie złożył broni. Znalazł na ziemi miecz i walczył, mimo że miał przeciwko sobie tuzin galijskich i albańskich rycerzy. Zabił konia, wysadzając z siodła rycerza ze spodkowej Alby, niejakiego ser Gillesa. Przeciął wodze hrabiego Du Corse'a.

Walczył jak szaleniec, a inni Oksytańczycy wcale nie byli gorsi. Wydawało się, że każdego z nich trzeba oblegać jak fortecę. Słońce wstało, a oni wciąż walczyli. Około dwudziestu niedobitków utworzyło krąg pośrodku obozu wśród tyczek, linek i powalonych namiotów. Galowie i Albanowie musieli zsiąść z koni, żeby się z nimi mierzyć. Błękitno-złoty rycerz wciąż stał, choć krew sączyła się ze szczelin jego zbroi.

Du Corse, broczący z drobnej rany wewnątrz lewego łokcia, wysłał do nich herolda.

Herold wrócił.

- Nazywają nas tchórzami i nikczemnikami. Mówią, że nie będą pertraktować ze złem.

- Chryste, co za głupcy - mruknął Du Corse. - W takim razie sprowadź kuszników, niech ich wystrzelają.

Czterdzieści stóp dalej de Vrailly prowadził czwartą szarżę na zwarty krąg oksytańskich rycerzy. Jak podczas pierwszych trzech natarć, powalił przeciwnika potężnym ciosem topora - niemal nieludzka prędkość, ogrom i długi zasięg czyniły go zabójczym. Jego topór, niemal nie napotykając oporu, trzasnął w hełm rycerza, wginając zasłonę i miażdżąc twarz.

Ale krąg się zamknął i Oksytańczycy byli zbyt dobrze wyszkoleni, żeby stracić kolejnego człowieka. De Vrailly otrzymał jeden cios, potem drugi i musiał odstąpić, rezygnując ze swojego celu, oksytańskiego standardu.

De Vrailly dostrzegł czerwone i niebieskie barwy kuszników na skraju pola widzenia ograniczonego przez zasłonę hełmu. Zgrzytnął zębami i ze szczękiem zbroi podszedł do Du Corse'a siedzącego na świeżym koniu.

- Nie możesz tego zrobić - powiedział.

Du Corse splunął.

- Mogę, panie, i robię. Nie muszę tracić więcej rycerzy.  
- Jesteśmy lepszymi ludźmi. - De Vrailly był wściekły - Na Boga, panowie rycerze, czy w to wątpicie?

Du Corse pokręcił głową.

- Ani trochę, mój dobry de Vrailly. Ale w tym wypadu... ci ludzie są jak szaleńcy. Napili się wina albo brali opium. Zamierzają walczyć do ostatniej kropli krwi. Nie widzę powodu, żeby poświęcać moich rycerzy.

De Vrailly spojrzał na nowego marszałka.

- Byłem przeciwko temu atakowi z zaskoczenia. I posłuchaj, marszałku. To wcale nie było zaskoczenie. Oksytański książę został ostrzeżony i uciekł, porzucając na pewną śmierć garść bardzo dzielnych ludzi.

- Głupia decyzja. - Du Corse nie krył pogardy. Mógłby dodać, że amatorska.

De Vrailly splunął.

- Bóg mi świadkiem, panie, popełniłeś poważny błąd. Książę Oksytanii postanowił poświęcić tych ludzi, żeby w ten sposób ściągnąć na nas hańbę. Hańbę! Zostawił kilku dobrych rycerzy, chcąc dowieść, że jesteśmy niegodni. I *par Dieu, monsieur*, właśnie dlatego musimy wykazać, że jest inaczej.

- Sprawa oksytańskiego księcia przegrała na polu bitwy - powiedział Du Corse. - To wszystko.

- Pozwól mi zabrać moich giermków - poprosił de Vrailly. - Pozwól mi z nimi walczyć. Człowiek na człowieka. Jeden na jednego. Dopóki ich nie zabijemy albo weźmiemy w niewolę. Dokonamy tego... *Deus Veult*. Wiem.

Du Corse skinął na kapitana kuszników.

- Monsieur de Vrailly, jutro czeka cię zupełnie inna walka. - Skinął głową. - Nie możemy pozwolić, żebyś był zmęczony przed sądem królowej. - Wskazał na jego stopę. - Jesteś ranny. Nalegam, żebyś odstąpił.

Kusznicy byli tylko trzydzieści jardów od zwartego kręgu oksytańskich rycerzy, którzy nie mogli uwierzyć własnym oczom.

Gdy kusznicy, w większości Albanowie, napięli ciężkie kusze,

Oksytańczycy obrzucili ich obelgami.

Jedna z drwin, niosąc się w chłodnym wiosennym powietrzu, dotarła do uszu Du Corse'a.

- To są ci galijscy rycerze, o których opowiadali nam ojcowie?

Jeden z Oksytańczyków miał skądś kubek wina. Uniósł go wysoko, z otwartą przyłbicą, zaśmiał się i napił.

Później zaczęli śpiewać. Byli roslymi mężczyznami, wyćwiczonymi tak w śpiewie, jak w walce, i ciche głosy wzniosły się w chórze.

Twarz de Vrailly'ego pociemniała i pokryły ją plamy gniewu. Oksytański i galijski różniły się pod względem wymowy, ale słowa były zrozumiałe.

Kusznicy wsparli broń na wysokich pawężach, żeby ją ustabilizować.

- Nie! - ryknął de Vrailly.

- Jeśli nalegasz, możesz wysłać giermków, żeby walczyli z niedobitkami - przyzwolił Du Corse. Obrócił się w siodle. - Strzelać!

\*\*\*

Dezyderata była bardzo daleko, kiedy przyszła kobieta.

Obecnie rzadko rozróżniała granicę pomiędzy światem realnym i eterealnym. Z początku pomyślała, że Blanche wróciła, by jej pomóc. Rzeczywistość i etereal prawie się stopiły przed jej oczami i zaczęła nakładać eterealną wersję świata na realną. Cienie pogłębiły się w miejscach, gdzie byt zwany Popiołem tworzył kałuże czerni, i jasnozielone zwoje jakiejś innej ohydnej mocy kładły się wokół niej i tego, co rozkwitało w jej wnętrzu.

Ale mimo że wątpiła w swoje zdrowe zmysły - i pomimo prób odpychania wrogów, którzy mogli być wytworami jej wyobraźni - była świadoma, że nastąpiła Wielkanoc, największe święto w chrześcijańskim roku. Chwila odrodzenia pojmowana na wszystkie dawne sposoby. Chwila, kiedy młoda wiosna unicestwia starą zimę.

Pomiędzy modlitwami do Maryi Dziewicy rozmyślała o swoich wiosnach. O wyjazdach z pięćdziesięcioma rycerzami na powitanie maja. O żyznej ziemi, o tańcach. O zieleni trawy.

Z tymi dwiema myślami w głowie - o zielonych liściach wiosny i o

Maryi Dziewicy - po raz pierwszy ujrzała kobietę, która weszła przez drzwi jej celi.

Przez zamknięte drzwi.

Nie świeciła. W eterealu wyglądała materialnie, a w realu niematerialnie. Nie miała zewnętrznych oznak mocy - na pozór zwyczajna, wysoka, poważna kobieta ubrana w prostą suknię w bogatym brązowym kolorze.

Ale gdy Dezyderata spojrzała na ten brąz, pomyślała, że może to jakaś zamorska tkanina, jakiś cudowny jedwab z Morei albo jeszcze dalszych krajów. Pokrywały ją tysiące maleńkich deseni - kwiaty, feeria barw na łąkach, ptaki tak przemyślnie utkane, że wyglądały, jakby się ruszały i śpiewały, i dama jadąca wierzchem z jastrzębiem na rękawicy...

Pani miała pełną godności twarz. Oblicze dojrzałej mądrości i mocy dawania życia. Macierzyństwo i dziewictwo, a może coś starszego i lepszego niż samo dziewictwo - spokój siły.

Dezyderata klęczała i jej usta już odmawiały Zdrowaś Mario.

Uniosła ręce ku kobiecie.

Która się uśmiechnęła.

- Moje dziecko... - rzekła ze smutkiem w głosie. - Chciałabym ci powiedzieć, że nie wiedzą, co czynią.

Głos miała niski i czysty, wibrujący energią. Samo słuchanie go sprawiło, że Dezyderata wyprostowała plecy.

Kobieta się pochylała, położyła rękę na jej głowie i drugą na plecach.

Dreńcący ją ból przeminał, zostawiając tylko bolesną świadomość, że zbliża się czas porodu.

Kałuże czerni stały się namacalne.

- Tar, ty hipokrytko! - zabrzmiał mroczny głos.

- Popiele, nawet nie próbuj. - Kobieta poruszyła ręką.

- Wtrącasz się równie swobodnie jak ja.

Kobieta ustawiła się pomiędzy Dezyderatą i kałużą ciemności.

- Nie - oznajmiła. - Ja słucham starożytnych praw, a ty je łamiesz.

Popiół się roześmiał, ale jego śmiech zgoła nie przypominał śmiechu.

- Prawo jest dla słabych, a ja jestem silny.

Kobieta uniosła ramiona.

- Ja też jestem silna. Ale słucham prawa. Jeśli ty je zlekceważyłeś, prawo cię ukarze. Silniejsi nieśmiertelni niż ty...

- Oszczędź mi swoich kazań - powiedział Popiół. - Dostanę dziecko. Ingerowałaś bezpośrednio, zrywając porozumienie. Naruszyłaś prawo tak samo jak ja.

- Oszczędź mi swoich niedojrzałych uwag. Nie ja zadałam pierwszy cios. Ani dziesiąty. I wiesz, musisz wiedzieć, jak splątany zrobił się ten motek. - Złączyła ręce.

- Tak splątany, że tylko ja mogę nadażyć za nią. Śmiało, wplącz się, a ciebie też zniszczę. - Głos Popioła nabierał siły.

- Zdołasz? - zapytała Tar.

- Wystarczy, że wiem, że ta tutaj umrze z twojej ręki. - Śmiech brzmiał jak krzyk udręczonych dusz. - I dziecko nigdy się nie narodzi albo od urodzenia będzie moje, dzięki poczynaniom twoich ludzi.

Mówiąc, rósł, a gdy rósł, atak na umysł Dezyderaty nabierał siły, aż stał się podobny do bombardowania z trebuszów.

Gdyby się nie przygotowała...

Ale była przygotowana. Jej złota ściana mocy przyjmowała cios za ciosem.

Kobieta znów przemówiła, mimo że teraz spowijała ją ciemność.

- Jeśli będziesz marnować siły na śmiertelników, z czasem ich nauczysz, jak mają z tobą walczyć. Spójrz, moja córka zbudowała mur, przez który nie możesz się przebić. A jeśli nauczy tego innych? - Westchnęła. - Jesteś pewien, że przetrwasz to, co nastąpi?

- Czy przetrwam? - parsknął Popiół. - Zatriumfuję.

Czerń wypełniła celę.

Jego moc w świecie realnym była czymś, przeciwko czemu Dezyderata nie miała żadnej ochrony. Traciła wolę oddychania.

Kobiety już nie było widać. Dezyderata miała czas się zastanawiać nad tym, co słyszała, czy ta rzekoma rozmowa pomiędzy szatanem i Dziewicą nastąpiła w rzeczywistości, czy w eterealu. Czy jeszcze gdzie indziej.

Czy tylko w jej głowie.

Jedna ze złotych cegieł w murze jej samotni się przesunęła. Zmiana była mała, ale przerażająca.

Popiół zachichotał, jak krew spływająca po kamieniu.

- Byłaś głupia, kobieto, przychodząc do mojego miejsca mocy. -  
Głos Szatana był silny i równy.

- Naprawdę? - zapytała kobieta. - Moja moc kwitnie tak w świetle, jak w ciemności. - Westchnęła. - A twoja?

Czas zewnętrzny w celi płynął w tempie schodzącego lodowca. Morza wzniosły się i opadły. Łądy się przemieściły, wyrosły góry, później skały popękały i uległy erozji. Erozja zmieniła kształt światów wiszących w nieskończonym wszechświecie hermetycznych sfer.

Przynajmniej tak się wydawało Dezyderacie.

A potem w samej celi coś się zmieniło.

Powietrze zapachniało rozkładem. I pleśnią.

Ale też nowym życiem.

- Wiele rzeczy rośnie w ciemności - powiedziała Dziewica. - I nie możesz ich powstrzymać.

Dławiąca czerń zrzędała i ustąpiła szerszej gamie zapachów. Ziemia. Stare lochy. Piwnica na wino. Dojrzały ser.

- Ty! - krzyknął Popiół.

- Oczywiście - przytaknął drugi głos. - Wiele pięknych rzeczy rośnie w ciemności. Mnie ciemność nie ogranicza, a ty popełniłeś błąd.

Nagle światło zalało celę.

Podłoga zniknęła - zimne kamienie, dziura w kącie, wnęka, gdzie stawiano talerze.

Wszystko zniknęło.

Miejsce podłogi zajęła głęboka na dłoń warstwa żyznej gliny. Błyskawicznie, pomiędzy szybkimi uderzeniami serca Dezyderaty, z gleby wykiełkowało coś zielonego - nie w kolorze jadowitej zieleni Dzikiej, ale o naturalnej barwie dzikich terenów. Zaczęło rosnać. Zielone łodygi wydłużały się w kałużach ciemności, przesywając je w sposób, w jaki światło nie mogło tego dokonać. Wyrosły na nich kolce.

Dziewica opadła na ławkę, która pojawiła się znikąd.

Zaczął śpiewać chór...

Rozległ się wrzask...

Jedno i drugie zostało zagłuszone przez głosy stu tysięcy aniołów - a może duszków. Pędy dzikiej róży sięgnęły pod sufit, który był teraz świecącym złotem. Róże zakwitły, obfitość kwiatów była tak bogata jak myśli żebraka, i płatki się rozchyliły - czerwone, białe i różowe. Zapach róż omył celę niczym oczyszczający balsam i przepędził ciemność niczym mściwa armia.

Każdy kwiat jął się poruszać - płatki opadały, a legiony baśniowych aniołów chwyciły każdy z nich i niosły go do kobiety siedzącej pośrodku różanego ogrodu.

Dezyderata westchnęła. Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, czarny atak na jej mur się skończył.

- Och, Najświętsza Dziewico! Ocaliłaś mnie - powiedziała Dezyderata.

Kobieta lekko się odwróciła i uniosła róg kornetu, który przysłaniał jej twarz.

- To nie zwycięstwo, moje dziecko. To nawet nie jest punkt zwrotny. Ja tylko przywróciłam równowagę.

- Kłamiesz! - krzyknął Popiół. - Hipokrytka!

Ale był już daleko.

\*\*\*

Pierwszy dzień turnieju - dzień sądu bożego - wstał szary i mglisty.

Strażnicy zastali królową śpiącą w celi - w celi, która, jak powiedzieli, w nocy przemieniła się w ogród różany. Wielu ludzi, twardych ludzi, padło na kolana, gdy królowa opuściła celę. Była ubrana w skromną brązową suknię i miała tak wielki brzuch, że powinna wyglądać niezgrabnie, ale nie wyglądała. Była spokojna i piękna.

Pomogli jej wejść na wóz. Zrobili to z niebywałą delikatnością.

Wieźli ją ulicami miasta i miała okazję zobaczyć, jak niewiele zostało w nim ludzi. Nie miała pojęcia, co się wydarzyło, ale sporo mogła odgadnąć na podstawie spalonych domów i ciszy.

Wszyscy, których mijał wóz, uginali kolana. Liczni mężczyźni i kobiety zapinali kaptury w nietypowym zimnie i wilgoci, po czym

szli za wozem na plac turniejowy.

Bramy miasta były otwarte, a pod murami stały szranki, trybuny i namioty przygotowane na wielki turniej.

Prawie puste. Tysiące ludzi opuściły miasto.

Zdjęli ją z wozu i posadzili na krzesła - nie na trybunach zapewniających widok z góry na szranki, ale na poziomie ludzi, którzy mieli w nich walczyć.

Dopiero wtedy, pod koniec przygotowań, Dezyderata zrozumiała. Zrozumiała, gdy zobaczyła żelazny słup z już spiętrzoną wokół niego wielkim stosem drewna.

Nie odwróciła wzroku. Patrzyła. Zwróciła się do jednego z pilnujących jej mężczyzn.

- Czy to dla mnie? - Jej głos był cichszy, niż się spodziewała.

- Wasza Królewska Mość... - Strażnik przełknął ślinę.

- Jeśli mój obrońca zawiedzie - dodała.

Skinął głową.

- Czy jest tu mój brat? - zapytała.

Nie chciał spojrzeć jej w oczy.

- Nie.

Widziała, jak w dali wyłania się z porannej mgły duża kolumna bogato odzianych panów i pań. Na czele jechał król, jak zwykle w czerwieni. Wyglądał apatycznie, miał podpuchnięte oczy i wydawał się nieobecny.

Towarzyszył mu Jean de Vrilly, opancerzony od stóp do głów. Otaczało ich pięćdziesięciu Galów, wszystkich w pełnych zbrojach, łącznie z de Rohanem. Nie brakowało też albańskich arystokratów, mężczyzn i kobiet. Liczni albańscy rycerze też przybyli w zbrojach.

Sierżant wskazał królowi przeznaczony dla niego namiot. Król wyminął gestykulującego mężczyznę. Kopyta jego konia dźwięczały niczym dzwon ogłaszający dzień sądu Dezyderaty, gdy się do niej zbliżał.

Jego twarz się wykrzywiła jak buzia niemowlęcia, gdy chwyci je kolka i otwiera usta do płaczu.

Jeden z Galów - de Rohan - próbował chwycić wodze.

- Nie wolno ci z nią mówić - powiedział. - Jest zbrodniarką i



heretyczką.

Król wyrwał wodze z jego ręki, na krótką chwilę przypominając Dezyderacie, kim naprawdę jest, albo był. Najlepszym rycerzem.

Królowa wstała i dygnęła.

- Łaski, Wasza Królewska Mość! - krzyknęła. Jej głos znów był czysty jak idealny wiosenny dzień.

Skinął głową. Zamknął oczy, jakby musiał się skupić, żeby ją słyszeć.

Przyszło jej na myśl, że jest odurzony. Albo obłąkany.

- Oszczędź naszego syna - poprosiła.

Arcybiskup zaśmiał się szyderczo.

- Oszczędzić twojego bękarta? - Pokręcił głową. - Ty...

Król uniósł rękę, nakazując ciszę.

Arcybiskup przechylił się w siodle.

- Każ jej się zamknąć - powiedział. - Twój bękart pójdzie w ogień razem z tobą.

- To jest miłosierdzie twojego Boga, panie? - zapytała Dezyderata łagodnym tonem. - Zabijać dziecko wraz z matką? Niewinne dziecko? Dziedzica Alby?

- Bóg rozpozna swoich - syknął arcybiskup.

Król miał kłopoty z utrzymaniem się w siodle. Dwóch strażników podeszło, żeby go podtrzymać. Chciał coś powiedzieć, ale de Rohan machnął ręką i zbrojni poprowadzili go w kierunku namiotu.

De Rohan został.

- Licz pozostałe ci oddechy - powiedział z uśmiechem.

Dezyderata czuła się wyzwolona. Rzadko odczuwała taki spokój, taką siłę.

- Bawi cię robienie piekła na ziemi, prawda?

Uśmiech de Rohana stał się jeszcze szerszy.

- To wszystko gówno warte. Nie miej do mnie pretensji. - Chuchnął na zarękawie i wypolerował je białym kaftanem.

Odpowiedziała uśmiechem.

- To musi być straszne - rzekła z pewnością bliskiej śmierci. - Być jednocześnie egoistą i impotentem. Jakże mi ciebie żal. - Wyciągnęła rękę nie w gniewnym, lecz we współczującym geście.

Wzdrygnął się.

- Nie dotykaj mnie, wiedźmo!

Westchnęła.

- Mogę cię uzdrowić, jeśli dasz mi czas.

- Nie ma czego uzdrawiać! - krzyknął. - Potrafię przejrzeć twoje kłamstwa i zobaczyć prawdę. To wszystko gównno warte.

- A jednak z twojego gówna wyrosły róże. Spal mnie, a zobaczysz, co wtedy wyrośnie.

Cofnął wierzchowca.

- Nikt cię nie ocali - warknął.

Uśmiechnęła się. Jej uśmiech był niewzruszony i pełen siły. I zupełnie przeczył zmęczeniu wyrytemu na twarzy.

- Już jestem ocalona - odrzekła.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### Dzicz

Nita Qwan oraz jego towarzysze, Gas-a-ho, uczeń szamana, i Ta-se-ho, stary myśliwy, mieli za sobą jedną z najprzyjemniejszych zim w życiu - nawet w życiu tak długim jak to Ta-se-ho - spędzoną w salach N'Gary. Nie brakowało tam żywności i ciepła, podobnie jak towarzystwa. W ciągu jednej zimy Gas-a-ho z niezdarnego chłopaka, który marzył o tym, żeby zostać szamanem, przeobraził się w poważnego młodego mężczyznę obdarzonego godnością i zaskakującym sposobem myślenia. Tamsin, pani N'Gary, spędziła z nim wiele czasu i odniósł z tego korzyści.

Ta-se-ho też skorzystał. Wyglądał na młodszego i silniejszego, i kiedy soki ruszyły w drzewach, a przygotowania do wojny nabrały poważnego charakteru, zasiadł w wielkiej sali i jako pierwszy zaproponował, że należy przystąpić do dzieła.

- Słyszałem, że matrony i szamani się zgadzają, że wczesna wiosna jest najniebezpieczniejszą porą do podróży - zaznaczył Nita Qwan. W rzeczywistości zależało mu tylko na tym, żeby usłyszeć słowa pokrzepienia. Jego żona nosiła ich pierworodnego syna i chciał jak najszybciej być w domu.

Chciał również znaleźć się daleko od niezliczonych pokus sali - błyskających oczu, chętnych towarzyszy i nowego dlań powabu sławy. Nita Qwan wojownik. Nita Qwan, przyjaciel Baśniowego Rycerza.

Nita Qwan, sprzymierzeniec księżnej Mogon.

Ta-se-ho pokiwał głową jak zawsze, kiedy ktoś młodszy wygłaszał trafną uwagę.

- To prawda. Miękki śnieg wiosny jest wielce niebezpiecznym śniegiem. Ci chodzący po Dzicy umierają, kiedy ulewa spadnie na śnieg. Mimo to... - Stary myśliwy wyprostował plecy. - Naszło mnie we śnie, że ludzie czarnoksiężnika będą mieli jeszcze ciężiej. Rukowie? Umrą szybciej niż my, gdy lody pękną i wody się ruszą. Jego ludzie? Jego sojusznicy? Bez rakiet śnieżnych są martwi. Nawet z rakietami...

o tej porze roku tylko Ludzie mogą podróżować. Nie bezpiecznie, ale bezpieczniej niż nasi wrogowie. Znamy ziemię i śniegi, i strumyki pod topniejącym śniegiem.

Tapio, Baśniowy Rycerz, przybył bez zapowiedzi i usiadł. Szybko wyzdrowiał po pojedynku z Głogiem, ale zostały mu pamiątki - szczuplejsza twarz i jedno ramię wyższe od drugiego.

- Twój ludzie, człowieku, będą musieli poruszać się szybko. Bezgłośnie. - Błysnął zębami w uśmiechu. - Zanim Głóg ich pochwyci. - Skinął głową do Ta-se-ho. - Stary myśliwy dobrze myśli.

- Miałem sen - oznajmił Ta-se-ho, lekko skłaniając głowę. - Przodkowie mi przypomnieli, że wykorzystywaliśmy wiosenne śniegi, żeby uciekać przed tobą.

Tapio bezlitośnie pokazał kły.

- Możliwe. Czasy się zmieniają. Wrogowie się zmieniają.

- Zabiłeś wielu Ludzi, Tapio - powiedział Ta-se-ho.

Tapio uniósł rękę i poruszył nią jak wahadłem.

- A teraz wielu ocale. - Rozejrzał się.

Księżna Mogon, uosobienie wdzięku pomimo gadziego ciała, weszła i przycupnęła na zadzie. Towarzyszyła jej pani Tamsin.

Niedbale machnęła ręką i spłynęła na nich zasłona jarzącego się fioletowego ognia.

Mogon zagruchała.

- Czas - powiedziała, jakby odpowiadając na pytanie, którego nikt jej nie zadał.

- Miałem sen - powtórzył Ta-se-ho.

Mogon skinęła głową.

- Mój słuch nie ogranicza się do małego wycinka dźwięków, jakie słyszą ludzie. Ani nie jestem taka stara. Chcesz ruszyć przez wiosenne śniegi.

Nita Qwan pomyślał o brzemiennej żonie.

- Proponuję, żeby ruszył lud Sossagów.

Mogon pokręciła głową.

- Mój lud o tej porze jest prawie bezużyteczny. Dopóki słońce nie rozgrzeje zboczy, tylko nasi ludzcy sprzymierzeńcy bronią naszych pól. - Pokazała wszystkie zęby. - Co nie znaczy, że jesteśmy bezsilni.

Po prostu nie zapuszczamy się daleko.

Tapio popatrzył na Nitę Qwana.

- Możesz to zrobić? - zapytał.

Nita Qwan wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Ta-se-ho mówi, że możemy - odparł. - W zasadzie nie jestem wielkim wojownikiem i prawie nic nie wiem o wędrowaniu o tej porze roku, może tylko tyle, że będzie piekielnie ciężko, bardzo zimno i mokro.

Ta-se-ho się roześmiał.

- A kiedy Dzicz nie była zimna i wilgotna dla naszego plemienia?

Tapio skinął głową.

- Przygotuję wam kilka zabawek, które być może ułatwią podróżowanie.

Nita Qwan się uklonił.

- Lud Sossagów ci dziękuje.

Mogon prychnęła.

- Za parę tygodni, kiedy lód na jeziorze zacznie pękać, wyruszę do domu - oznajmiła. - Sprowadźcie Ludzi do mnie. Będziemy silnymi przyjaciółmi.

- Ale nie twoimi wojownikami - zaznaczył Tapio.

Nita Qwan i Ta-se-ho pokiwali głowami.

- Wiemy, co robić.

\*\*\*

Wędrówka wokół wewnętrznego morza w istocie okazała się ciężka. Tak ciężka, że później Nita Qwan pomyślał, że w porównaniu z nią jego całe życie w niewoli było jedynie przygotowaniem do tej podróży.

Wyruszyli we trójkę i mieli trzy tobogany. Tapio i Tamsin dali im kilka cudownych przedmiotów: gliniany garnek, który zawsze był ciepły, w dzień i w nocy, rozgrzewający się albo stygnący w zależności od tego, gdzie stał - na saniach ciepło pozwalało ogrzać ręce, ale w jaskini buchało jak żar z ogniska. Wszyscy dostali rękawice z jednym palcem, zawsze suche i ciepłe, uszyte z lekkiego jedwabistego materiału przez panią Tamsin i jej panny. Gas-a-ho miał małą laskę, którą mógł rozpalać ogień.

- Sporządziłem ją z pomocą Tapia - wyjaśnił skromnie. - On i pani wiele mnie nauczyli.

Nawet z tymi rzeczami i kilkoma innymi, nawet w najlepszych i najcieplejszych ubraniach uszytych przez Zamurzanki w Ngarze, nawet z kocami dostarczonymi przez Jacków i z dobrymi życzeniami każdego mężczyzny, kobiety i stworzenia w fortecy - nawet wtedy podróż była straszna.

Codziennie szli przez miękkie śniegi. Nogi zapadały się po kostki, a czasami po kolana, więc po półgodzinie marsz stawał się koszmarem, a po ośmiu godzinach czuli się tak, jakby brnęli w grząskim błocie. Każda przeprawa przez uwolniony spod lodu strumień była zdradliwa i wymagała ostrożnego, cierpliwego zdejmowania rąk, przedzierania się przez śnieg głęboki po krocze i przechodzenia z kamienia na kamień. Oczywiście musieli przenosić sanie, a woda w strumieniach podnosiła się z dnia na dzień. Sadzawki i jeziora wciąż mogli przebywać po lodzie, byle szybko, ale lód miał niebawem spękać.

Szli tak szybko, jak tylko pozwalały im mięśnie.

Rozbijali obozy w miejscach, jakich latem zdrowy na umyśle człowiek nie wybrałby na obozowisko - na odsłoniętych skałach, pod dwoma obalonymi świerkami, które zimą tworzyły śnieżną grootę, pod nawisami skalnym i pośrodku kępy brzóz. Ogniska zapadały się w śnieg i znikwały, jeśli nie podłożyło się pod nie kratownicy z przesiąkniętych wodą kłód. Spali na toboganach. Nikt się nie kąpał ani nie zmieniał ubrania.

Ta-se-ho bez przerwy kurzył fajkę. Nie chciał dopuścić do tego, żeby ich pokonało zmęczenie, więc kiedy skręcili na skraju rozległych bagien i miękkiego śniegu półwyspu N'gara, poprowadził ich na brzeg morza wewnętrznego. Tam przez dwa dni niemal biegli po lodzie.

Dopóki lód nie pękł i Ota Qwan nie wpadł do wody.

Pod koniec dnia marszu w poprzek dużej zatoki, przerażająco blisko krańca pokrywy lodowej i otwartej wody, zbliżali się do brzegu, gdy Nita Qwan odbił o kilka kroków od szlaku wytyczonego przez tobogany, żeby się odlać na dziewiczy śnieg...

Poczuł, że lód ustępuje, zobaczył, że śnieg ciemnieje, a potem - szybciej, niż uważał to za możliwe - znalazł się w czarnej wodzie zamykającej się nad jego głową.

Nigdy nie było mu tak zimno. Lodowata woda nadała nowe znaczenie temu ostatniemu słowu. Nie mógł oddychać. Nic nie widział. W jednej chwili spanikował.

A potem znowu był na powierzchni.

Gas-a-ho wciągnął go jednym potężnym szarpnięciem za unoszący się na wodzie zrolowany koc, który miał wysoko na ramionach. Najwyraźniej przybiegł do niego, rzucił się na brzuch i złapał plecak. Ta-se-ho trzymał młodzieńca za nogi.

Lód, na którym leżeli, zamruczał głucho jak rozgniewane żywe stworzenie. Ta-se-ho pociągał ich obu coraz dalej, aż w końcu wszyscy popędzili po szybko pękającym lodzie nad płycizną, która nie groziła natychmiastową śmiercią.

Gdy Nita Qwan znalazł się na smaganym przez wiatr brzegu, tonięcie wydało mu się przyjemniejsze. Ta-se-ho zachowywał się jak szaleniec: popędzał ich, zmuszał na przemian do biegu i marszu wzdłuż nagiego brzegu. Po lewej stronie morze wewnętrzne ciągnęło się na pozór w nieskończoność, pokryte nieprzerwanym polem śnieżnym. Na prawo, na urwiskach, które zniżały się nad nimi, rosły ośnieżone drzewa, a dalej bezkres czarnych świerków wyglądał, jakby porastał całą ziemię.

Kiedy Nita Qwan myślał, że jest bliski śmierci, stary myśliwy zatrzymał ich w kotlinie, która zapewniała osłonę przed wiatrem. Ściągnął okrycie ze swoich sań. Wyjął garnek, zaniósł go do głazu u stóp wysokiego piaskowcowego urwiska i ostrożnie postawił.

Prawie od razu zrobiło się cieplej. Nita Qwan padł na kolana.

- Rozbierz go - burknął Ta-se-ho.

- Mam ciepłe ręce! - zdumiał się Gas-a-ho.

- Największy dar, jaki mogła dać pani - dodał Ta-se-ho. - Odszedł daleko. Przeszedł całą drogę.

Nita Qwan słyszał ich jakby z daleka.

Sam tylko klęczał i czcił ciepło.

Zerwał się wiatr i zaczął padać lodowaty deszcz. Rozebrali go i

dopiero wtedy zaczęli zbierać materiały na szałas.

Nie do wiary, gdy tylko ściągnęli z niego ubranie, zrobiło mu się cieplej, znacznie cieplej. Zaczął się budzić.

Ta-se-ho przywiązywał jelito do palika. Odwrócił głowę.

-Widziałeś świat duchów? - zapytał.

Nita Qwan miał kłopoty z mówieniem, ale przytaknął.

Ta-se-ho pokręcił głową.

-Wyśniłem to wszystko. Nie umrzesz.

Nita Qwan popatrzył na starego.

- Naprawdę? - zapytał.

Myśliwy odwrócił wzrok.

O zachodzie słońca wszyscy trzej byli w miarę rozgrzani i mieli raczej suche odzienie. Ryczący ogień oświetlał skraj brzegu i urwiska za nimi. Sporządzili komin ze skór i przepływający przez niego dym suszył ubranie i mokasyny Nity Qwana.

Nazajutrz zabili jelenia. Ta-se-ho go wytropił, a Nita Qwan trafił ze sporej odległości strzałą, za co zyskał pochwały pozostałych. Stary myśliwy pokiwał głową.

- W tym śniegu nie zdołałbym powalić nawet jeleniego dziecka - powiedział.

Chodził z włócznią w ręce, ale używał jej tylko jako laski. Była to piękna włócznia, wykuta gdzieś daleko przez wprawnego kowala, jego zdobycz wojenna z czasów młodości.

Jeleń był chudy jak włócznia, ale mięso smakowało wybornie i jedli bez końca.

- Jak daleko do Ludzi? - zapytał Gas-a-ho.

Ta-se-ho ściągnął brwi.

- Wszystko zależy od pogody - odparł. - Dzisiejsza noc jest zimna, więc znowu zaryzykujemy i zapuścimy się na wewnętrzne morze. Musimy. Nie tylko dla nas, bracia. Pomyślcie o wszystkich ludziach ciągnących w tę stronę. Liczy się każdy dzień.

Wstali, gdy było jeszcze zupełnie ciemno. Padał śnieg i kojoty ujadły do dalekiego księżyca. Tapio zaopatrzył ich w trzy piękne kryształowe światła, dzięki czemu mogli się porządnie i szybko spakować, ale mieli zdrętwiałe palce i niezdarnie wiązali węzły.



Każdy ranek okazywał się trochę gorszy od poprzedniego - każdego ranka wilgoć i zimno coraz głębiej wsączały się w filtra i koce. Nite Qwana łupało w stawach i był głodny zaraz po wstaniu.

Spojrzał na Ta-se-ho, który się schylił, dotknął palców stóp i zaklął.

- Jestem na to za stary - powiedział z gorzkim uśmiechem.

Przeniósł spojrzenie na twardą powierzchnię lodu morza wewnętrznego. - Módl się do Tar, żeby lód wytrzymał - dodał.

Nita Qwan spoglądał na lód, gdy jadł paski suszonej jeleniny, popijając je gorącą wodą z cukrem klonowym.

- Ruszamy - mruknął Gas-a-ho.

Ta-se-ho wstał, paląc małą kamienną fajkę. Pykał powoli i z rozważą, obserwując jezioro i niebo, zostawiając młodszym mężczyznom zbieranie ostatnich obozowych rzeczy, pakowanie ich na tobogany i przywiązywanie skórzanych okryć.

- Gotowi - zameldował Gas-a-ho, już sprawiając wrażenie zmęczonego.

Ta-se-ho pokiwał głową. Rzucił tytoń w cztery strony świata i pozostali dwaj zaśpiewali bez słów. Nita Qwan ostrożnie wszedł na lód.

Lód trzymał przez cały dzień. Chmury tworzyły wysoką kopułę jednolitej szarości. Śnieg padał prawie do południa, a pod wieczór zerwał się porywisty wiatr. Zatrzymali się na noc w kępie świerków na brzegu i był to zimny, żałosny obóz, w którym przetrwali tylko dzięki garnkowi Tapia. Mieli za mało drewna, żeby rozpalić ognisko wystarczająco duże do rozgrzania człowieka, ale garnek ich rozgrzał, podobnie jak woda i mięso, i zasnęli.

Zbudzili się w gęstej, ponurej, bardzo zimnej mgle. Mimo to Ta-se-ho poprowadził ich na lód i znów szli z pochylonymi głowami, z wygiętymi plecami, holując za sobą tobogany, posuwając się naprzód tak szybko, jak tylko na to pozwalały śnieg i lód pod ich nogami. Mgła była gęsta i nie wiadomo dlaczego wydawała się złowieszczą.

Tego dnia dwa razy lód głośno zatrzeszczał i Nita Qwan drżał za każdym razem, ale Ta-se-ho nie wydawał się przejęty i prowadził ich dalej. Zmierzał ku dalekiemu urwisku, które piętrzyło się nad jeziorem, widoczne tylko wtedy, kiedy wiatr przepędzał mgłę. Mgła

napływała z powrotem, zasnuwając widok i słońce.

Dwaj młodszy mężczyźni nie kryli zaniepokojenia, gdy starzec wybrał najkrótszą trasę prowadzącą przez wielką północną zatokę morza wewnętrznego.

Przemierzyli prawie trzydzieści mil i jak dotąd był to najtrudniejszy dzień wędrówki. Z powodu mgły i płaskiej powierzchni jeziora dzień zyskał mityczny wymiar, jakby podróżowali przez zamrożone piekło, którego obawiała się większość Zamurzan. Obecność jeziora pod ich nogami, pojękiwanie lodu, dziwne odgłosy we mgle...

Od czasu do czasu stary myśliwy przystawał i obracał się. Raz zapalił fajkę.

Dla Nity Qwana dzień nie miał końca i wciąż narastał w nim strach -strach przed utonięciem, strach przed zabłądzeniem. Kiedy mgła gęstniała, tracili brzeg z oczu, a jednak stary szedł ledwie widoczny kilka jardów przed nimi.

Ta-se-ho przystanął po raz piąty czy szósty.

- Przerwa? - zapytał Gas-a-ho. Zaczął zdejmować plecak.

- Cisza - polecił Ta-se-ho.

Zastygli w idealnym bezruchu i milczeniu.

Lód jęknął: długi, niski trzask płynął zewsząd i znikąd w zamrożonym, zamglonym piekle, do którego dobrnęli.

- Coś na nas poluje - rzekł nagle Ta-se-ho.

Gas-a-ho gwałtownie skinął głową. Jego twarz straciła wyraz jak u osoby chodzącej we śnie.

Nita Qwan wyjął łuk z pokrowca z jeleniej skóry, sięgnął po swoją najlepszą cięciwę. Suszyła się od dwóch dni i była ciepła.

Ostrożnie, starając się nie zdradzać paniki i drżenia rąk, nałożył cięciwę. Pocierał łuk przez chwilę, zanim go zgiął, i słuchał, gdy naciskał.

Nie usłyszał trzasku. Albo łuk za bardzo nie zmarzł, albo dobrze go przygotował.

Wsunął pętelkę cięciwy w nacięcie na rogowym gryfie i był uzbrojony.

Dopiero wtedy wyraził swoje obawy.

- Co to jest? - zapytał, rozglądając się we mgle.

Ta-se -ho pokręcił głową.

- Tylko przecucie - odparł.

Gas-a-ho wyłonił się z głębin swojego umysłu.

- Uciekać! - szczechnął.

Poderwał prawą rękę i wyskoczyła z niej błyskawica. Miała wściekły pomarańczowo-biały kolor i oślepiła Nitę Qwana.

Jedno uderzenie przestraszonego serca później nastąpił wybuch i wszyscy się wzdrygnęli.

Tuż nad głową Nity Qwana coś zaskrzeczało.

Starzec rzucił włócznią - włócznia poszybowała tak szybko, że nie nadszła za nią oko, a potem wszystko nastąpiło jednocześnie - Gas-a-ho leżał na śniegu, wokół niego rozkwitała krew, w powietrzu wirowały czarne pióra, Nita Qwan zakładał na łuk strzałę o szerokim grocie z irkowej stali. Był świadom, że już napiął i strzelił dwa razy.

- W drogę! - krzyknął Ta-se-ho.

Nita Qwan wrzucił Gas-a-ho na swój tobogan. Młodszy mężczyzna krwawił ze strasznej rany na plecach, gdzie pazur przeciął szelki plecaka i ciało. Ale gdy tylko położył go na toboganie, potok krwi zwolnił i zaraz potem przestał płynąć.

Nita Qwan starał się nie patrzeć w górę. Położył zniszczony plecak na brzuchu Gas-a-ho i przywiązał końce schludnie przeciętych szelek do rzemieni, które ciągnęły się przez długość sań.

Ta-se-ho założył uprząż teraz ciężko doładowanego toboganu.

- Ja pociągnę - powiedział. - Ty obserwuj niebo.

Nita Qwan podniósł łuk.

Starzec pochylił się w uprzęży i zaczął biec.

Ponad nimi coś dało upust ptasiej złości w przeciągłym, powolnym wrzasku, który mroził krew w żyłach.

- Drzewa! - Ta-se-ho wskazał kierunek. - Musimy dotrzeć do drzew.

- Jak daleko? - zapytał Nita Qwan.

Stary biegł ze spuszczoną głową.

\*\*\*

Bieg po śniegu i lodzie z łukiem w ręce i w raketach śnieżnych na

nogach jest bardzo trudny. Staje się jeszcze trudniejszy, gdy trzeba obserwować niebo.

Znów zerwał się wiatr - najpierw podmuch, potem nagła ściana wichru tak twarda, że zdawało się, że niesie ich po powierzchni morza wewnętrznego. Nacieriała z tyłu, ułatwiając im zadanie.

Po stu uderzeniach serca mgła się rozstąpiła, po raz trzeci tego dnia. Słońce już zachodziło, niebo miało czerwony odcień.

Linia drzew na brzegu była tylko pół mili dalej.

Nad jeziorem górował wielki zrąb, kamienna wieża wysokości kilkunastu ludzi. Nicie Qwanowi ze strachu ćmiło się w oczach, lecz mimo to zobaczył, że skalna wieżyca jest pokryta rzeźbami albo tłoczeniami. Dzieło było fantastycznie skomplikowane, ogromna wizja geometrii fraktalnej nawet z tej odległości budziła lęk i podziw.

Ale bliżej dostrzegł dwie czarne ptasie sylwetki w powietrzu za nimi. Były pół mili dalej.

Obaj mężczyźni biegli.

Dwa drapieźniki skręciły i ruszyły za nimi.

Nita Qwan odwrócił głowę, odgadł ich zamiary i wbił trzy strzały w śnieg obok siebie.

Wypuścił pierwszą strzałę, kiedy cel był za daleko. Druga strzała zniknęła i nie mógł osądzić, czy trafił. Trzecia ugrzęzła w cielsku wielkiego czarnego potwora. Czwarta...

Zobaczył, że bliższe stworzenie ma wielki kłopot z utrzymaniem się w powietrzu. Włócznia Ta-se-ho głęboko tkwiła w jego rozlegle oparzonego boku.

Drugie stworzenie miało dziób pełen zębów - nienaturalny widok mroził krew w żyłach. Wysyłało falę strachu tak potężną, że Nicie Qwanowi zaparło dech w piersi. Ale miał czwartą strzałę na cięciwie, uniósł łuk...

Strzelił. Odniósł wrażenie, że tobogan ciągnięty przez starego eksplodował i Ta-se-ho podskoczył jak łosoś.

Strzała zniknęła, czern na tle czerni, w masie piór na piersi potwora.

Pełgała po nim pomarańczowa błyskawica.

Ta-se-ho chwycił drzewce swojej włóczni. Był wleczony - leciał

przez sto kroków.

Haczykowały grot wyrwał się w chwili, gdy wielki czarny ptak obrocił zębaty dziób ku staremu.

Ta-se-ho spadł.

Krew rzygnęła na śnieg - jasnopomarańczowa ptasia krew padała jak deszcz.

Wielki czarny stwór runął na lód.

Lód trzasnął i pękł.

Nita Qwan nie mógł dłużej śledzić losów starego. Towarzysz powalonego stworzenia zawracał do następnego ataku.

Nita Qwan rozwiązał pasek, zrzucił z ramion ciężki wełniany płaszcz z kapturem. Wyjął z kołczana na plecach cztery kolejne strzały i wbił je w śnieg.

- Nie mogę utrzymać wiatru - powiedział Gas-a-ho tak wyraźnie, jakby prowadzili rozmowę.

Nita Qwan zarejestrował słowa bez zrozumienia.

Jego adwersarz wyrównał lot, końcówki skrzydeł falowały w podmuchach.

Nita Qwan szybko wypuścił cztery strzały ku zbliżającemu się potworowi.

Druga trafiła w skrzydło i wielki ptak stracił kontrolę nad lotem. Wrzasnął, gdy trzecia uderzyła w pierś. Zatrzymał się w powietrzu i czwarta strzała chybiła.

Poleciał na północ, nisko, nad lądem.

Lód trzeszczał.

- Ratuj go - powiedział Gas-a-ho. - Ja będę trzymać lód.

Nita Qwan ostatni raz zerknął w niebo, rzucił łuk na przyjaciela i wziął konopną linę z toboganu. Pobiegł po jęczącym lodzie w kierunku czarnej wody i pomarańczowej krwi rozbryzniętej na śniegu jak ikra. Zachodzące słońce rzucało czerwony całun na lodowe pole.

Ta-se-ho żył. Nie pływał ani się nie unosił na wodzie.

Szedł.

Byli w głębi zatoki, ale tutaj czarna woda była głęboka tylko na rozpiętość dłoni. Stary myśliwy brnął w niej i przeklinał.

\*\*\*

Znowu rozpalili największe ognisko, jakie tylko mogli. Czystym trafem, a może wołą duchów i bogów, Nita Qwan znalazł w pobliżu powaloną brzozę prawie bez śniegu. Gdy ranny Gas-a-ho i stary kulili się przy garnku Tapia, on łamał brzozowe gałęzie tak szybko, jak pozwalały mu zmarznięte palce i zmęczone po walce mięśnie. Udeptał śnieg, ułożył na nim stare spróchniałe kłody i spiętrzył drwa na ognisko.

Ta-se-ho pokiwał głową.

- Ten ogień powie każdej żywej istocie na wewnętrznym morzu, że tu jesteśmy.

Nita Qwan znieruchomiał z krzesiwem w ręce.

Ta-se-ho wzruszył ramionami.

- Jestem przemoczony, a on stracił mnóstwo krwi. Możemy tu umrzeć za kilka godzin albo zaryzykować i rozpalić ogień.

Choć byli zmarznięci i przerażeni, nie zabrakło im przemyślności. Nita Qwan pośpiesznie wybrał dobre miejsce na obozowisko u podstawy wieży skalnej, w niszy wyciętej w litej skale, zamkniętej z trzech stron. Pakuły zapaliły się przy czwartej próbie, ale odpalił od nich woskową świeczkę, a od niej kawałek brzozowej kory.

Pochylił się nad Gas-a-ho. Młodszy mężczyzna zdobył się na nikły uśmiech.

- Łatam się - powiedział.

Ta-se-ho pokiwał głową.

- Zostaw go, Nito Qwanie. Jest pogrążony w swojej sztuce. Teraz, gdy się rozgrzał, będzie miał więcej ducha.

- Czy ogień zwabi kolejnych wrogów? - zapytał Nita Qwan.

Ta-se-ho się skrzywił.

- Jesteśmy u stóp Tu-ro-seh. Dzisiaj będziemy mieli dziwne sny.

Nita Qwan się przesunął - siedział oparty plecami o rzeźbiony monolit. Ryty były śmiałe i drobne, asymetryczne spirale uciekały w górę, ale im dłużej się przyglądał, tym więcej widział. Jego oczy zaczęły śledzić...

- Nie przyglądaj się zbyt pilnie - poradził Ta-se-ho.

- Czyje to dzieło? - zapytał Nita Qwan.

- Odynów - odparł myśliwy.

Nita Qwan pokręcił głową.

- Jestem nowy wśród Ludzi. Kim są Odynowie?

- Lepiej zapytać, kim byli. - Ta-se-ho wyjął fajkę i rozpoczął długi proces nabijania i zapalania.

Ciszę przerywał wesoły trzask płonącej brzeziny. Zapach był rozkoszny, zapach ciepła i wygody.

Kształty na monolicie wyglądały, jakby się poruszały w świetle. Złudzenie było większe, niż powinno. Można było odnieść wrażenie, że po powierzchni kamieni pełźnie milion węży, na każdym wężu są gąsienice, na każdej gąsienicy stonogi, na każdej stonodze jakieś małe stworzenia i tak dalej.

- Nie patrz za długo - przykazał Ta-se-ho.

Pochylił się, sięgnął po płonącą gałąź i stwierdził, jak tysiące ludzi przed nim, że duże ognisko jest najgorszym miejscem do zapalania fajki.

W końcu znalazł płonącą gałązkę.

- Wiesz, skąd się wzięli Ludzie? - zapytał.

Nita Qwan znał legendy swojego ludu.

- Mój lud w Iffiriqu'ya mówi, że czarne morza się rozstały i nasi ludzie przeszli po suchym dnie do naszego nowego domu.

Ta-se-ho pokiwał głową.

- Historia zbyt krótka, żeby była dobra. Ale to dobry pomysł na opowieść. - Zajął się pykaniem z fajki. - Najwcześniejsze legendy ludu Sossagów mówią o Odynach. Bogini Tar sprowadziła nas tutaj, żebyśmy ich pokonali. I tak się stało. Zniszczyliśmy ich wszystkich, każdą mackę i każdego robaka. - Pokiwał głową. - Na północy jest pełno ich posągów i tuneli. - Zadarł głowę i wydmuchnął dym. - Ten jest najwyższy. Stare kobiety mówią, że pod naszymi nogami leży miasto. Wielu, którzy szukają mądrości, przychodzi tutaj, żeby śnić o dawnych. - Znowu pokiwał głową. - Ja to zrobiłem.

- O czym śniłeś?

Starzec ćmił w milczeniu fajkę.

- Straszne rzeczy - rzekł w końcu. - Nic, od czego można przyjąć imię albo czego ścieżką można podążać. - Wzruszył ramionami i się położył. - Ale większość stworzeń Dzikiej boi się tych miejsc. Tylko

ludzie są zbyt głupi albo zbyt niewrażliwi, żeby zatrzymać się w pobliżu nich. Może więc Odynowie nie są martwi, tylko śpią. - Wyszczrzył zęby.

Nita Qwan odetchnął głęboko.

- Żartujesz sobie ze mnie.

Ta-se-ho wzruszył ramionami.

- Wszystko na tym świecie budzi strach - powiedział starzec. - Jeśli chcesz widzieć to w ten sposób. Powinniśmy umrzeć na lodzie. Nie umarliśmy. Niech to zwycięstwo cię uspokoi. Za bardzo się przejmujesz.

- Powinniśmy umrzeć - zgodził się z nim Nita Qwan. - Kto nas ocalił?

Stary przygasił fajkę i jego oczy zalśniły po drugiej stronie ognia.

- Przede wszystkim Gas-a-ho. Nawet kiedy miał rozdarte barki, rzucał czary. Sprowadził wiatr i usunął mgłę.

Nita Qwan tyle sam się domyślił.

- I ślepy traf. A może wola duchów, jeśli wierzysz w takie rzeczy. - Stary głęboko zaciągnął się dymem.

- A ty wierzysz w takie rzeczy? - zapytał Nita Qwan.

- Sądzę, że jesteśmy kowalami naszego losu - odparł myśliwy. - Pracując. Ćwicząc. Dbając. Szansą na życie dla wykształconego człowieka jest po prostu śmierć niewykształconego, prawda? Dziś dobrze strzelałeś.

Nita Qwan prawie się zarumienił. Stary raczej nigdy nikogo nie chwalił.

- Mogłeś zginąć. Skoczyłeś po włócznię... skok łososia. - Słowa same spływały mu z języka. - To było niesamowite!

Stary myśliwy pozwolił sobie na leniwy uśmiech.

- To było głupie. Powinienem zginąć. - Zaśmiał się. - A zamiast tego frunałem jak ptak! - Jego przenikliwy śmiech poniosł się w noc. - Mało się nie zesrałem, gdy moje nogi oderwały się od ziemi.

- Dlaczego to zrobiłeś? - dociekał Nita Qwan.

- Dla włóczni. Kocham tę włócznię. - Starzec pokręcił głową. - Kiedyś pewna stara kobieta wygłosiła związane z nią proroctwo i popatrz, miała rację. Powiedziała, że pewnego dnia włócznia



poszybuje beze mnie i będę ją musiał złapać. Myślałem, że mówi o czymś głębokim i symbolicznym. -Pokręcił głową. - Chcesz zakurzyć?

\*\*\*

Tej nocy sny Nity Qwana były bardziej przerażające niż wszystko, czego kiedykolwiek doświadczył. Później doszedł do wniosku, że musiał śnić, iż jest trawiony w brzuchu wieloryba albo węża - jego skóra łuszczyła się powoli w jakimś szlamie.

Po przebudzeniu stwierdził z oszołomieniem, że jest cały i zdrowy.

Musiał sam zwinąć obóz, ale mieli jeszcze zapas drewna, więc rozpałił ogień w ciemności głębokiej nocy i zrobił śniadanie. Gas-a-ho żył i oddychał, rana na jego ramionach zasklepiła się i była sucha. Ta-se-ho pochrapywał i zdawało się, że od czasu do czasu z czymś walczy.

Pomimo dni zmęczenia Nity Qwana wcale nie kusilo, żeby się jeszcze położyć. Gdy niebo poszarzało, zapakował sanie.

Później zbudził przyjaciół. Gas-a-ho go zaskoczył, podnosząc się o własnych siłach.

Ta-se-ho jęknął.

- Jutro będzie gorzej - mruknął. - Och, znowu być młodym...

Gdy pierwsze pomarańczowe promienie nowego słońca oświetliły krajobraz, ruszyli w głąb ładu przez coś, co wydawało się bezkresną gęstą olszyną. W ciągu godziny marszu pokonali zaledwie milę. Wieżyca piętrzyła się za nimi.

- Kiedy Ludzie zniszczyli Odynów? - zapytał Nita Qwan, gdy wyszli z pasa olch w otwarte lasy brzoź i świerków.

Gas-a-ho obrócił głowę.

- Dziesięć tysięcy lat temu - odparł. Słowa popłynęły i poniosły się echem wśród drzew.

Nita Qwan prawie się zatrzymał zszokowany.

- To bardzo duża liczba.

Gas-a-ho wzruszył ramionami.

- Są rzeczy, które wiedzą szamani. Pokonaliśmy Odynów na życzenie pani Tar. A teraz trzymamy ich pod kamieniami.

- Miałeś złe sny? - zapytał Nita Qwan.

Młodzieniec o zadartym nosie posłał mu szelmowski uśmiech.

- Nie. Dla urodzonego szamana miejsca Odynów są miejscami odpoczynku i mocy. Dlatego zabierają nas do nich w dzieciństwie.

Nita Qwan pokręcił głową.

- Dlaczego Ludzie zabili Odynów?

Gas-a-ho popatrzył na Ta-se-ho.

- Nie wiem. A ty?

Stary wietrzył jak kojot. Odwrócił się.

- Dlaczego jedne stworzenia w Dziczy zabijają inne? Kojarzenie się w pary, walka o pożywienie, o terytorium. - Wzruszył ramionami. - Tak świat jest urządony. Przynajmniej ten świat.

Nita Qwan się roześmiał.

- Właśnie zredukowałeś wszystkie wspaniałe opowieści każdego ludu tego świata do zwyczajnej chciwości. I podboju. Jak zwierzęta.

Ta-se-ho chrząknął.

- Zapytaj ponownie, kiedy będzie mnie mniej łupać w stawach, a opowiem ci lepszą historię - powiedział. - Ruszamy.

Czterdzieści dni później dobrnęli do swojej wioski. Była otoczona wysokim ostrokołem, dużymi pniami wbitymi głęboko w ziemię, oplecionymi pędami dzikiej róży i jeżyn, żeby tworzyły barierę nie do pokonania przez ludzi i większość zwierząt. Palisada była dość wysoka, żeby się piętrzyć nad śniegiem.

Nita Qwan bał się, że zobaczą wyludnioną wioskę - że wszędzie na śniegu będą leżały zamarznęte trupy otoczone przez krew wciąż świeżą w zimnie. Śnił o tym od czasu opuszczenia wysokiej wieży Odynów. Na przekór jego obawom zostali powitani przez mężczyzn i kobiety z krwi i kości.

Żona wzięła go w objęcia z brzuchem tak okrągłym, że miał kłopot, żeby ją pocałować. Wśród Ludzi rzadko widywano publiczne pocałunki i ona, kiedyś niekoniecznie wierna jednemu mężczyźnie, była wyraźnie zbulwersowana.

Ale Nita Qwan wciąż był posłem. Zostawił ją, żeby pójść do Niebieskiego Noża, najważniejszej matrony, i jej kręgu. Razem udali się do długiego domu, który pachniał jałowcem, brzozą i pięćdziesięcioma osobami, które nieczęsto się myją. Dobre zimowe

zapachy dla Sossaga.

- Mów - zażądała bez wstępów Niebieski Nóż.

- Zawarliśmy przymierze z Mogon - oznajmił Nita Qwan.

Wszystkie sześć kobiet uśmiechnęło się z ogromną ulgą.

Nita Qwan uniósł rękę, prosząc o ciszę. Ta-se-ho wszedł do długiego domu z Gas-a-ho deptającym mu po piętach.

- Nie poszliśmy do jaskiń Mogon. Udaliśmy się do N'gary. - Nita Qwan starał się zachować niewzruszoną minę.

Niebieski Nóż pokiwała głową.

- Wyjaśnij - poprosiła.

Nita Qwan skinął głową.

- Ta-se-ho znalazł dowody, że Mogon jest przed nami, że wielka księżna we własnej osobie jest w drodze do N'gary. Podążyliśmy tam za nią.

Niebieski Nóż wymieniła spojrzenia z Amij ha i Małymi Rękami.

- Tapio Haltija jest odwiecznym wrogiem ludu Sossagów - zaznaczyła.

- A jednak wspomniałaś o nim, kiedy mnie wysłałaś - przypomniał jej Nita Qwan.

- W istocie - przyznała Niebieski Nóż.

- Zimowaliśmy w jego warowni. Tam znaleźliśmy uzdrowienie i sojuszników.

Nita Qwan sięgnął do noszonej od miesięcy torby z naszytej kolcami jeżozwierz całej skóry borsuka. Wyjął z niej fajkę, która została wysłana do Mogon, księżnej Zachodnich Bagien.

- Zaniósłem tę fajkę Mogon, a ona ją przyjęła. Zaniósłem tę fajkę do Tapia, naszego wroga, i on też ją przyjął.

Jeszcze raz sięgnął do torby i wyjął pas. Wampum był szeroki jak męska głowa i długi jak rozpiętość męskich ramion. Trzydzieści trzy rzędy paciorków wielkości groszku połyskiwały jak perła i macica perłowa w miękkim świetle długiego domu.

Wszystkie matrony cicho westchnęły.

- Tapio, Mogon, Jack Jacków i bogliński czarownik z zachodu, wszyscy j razem zrobiliśmy ten pas - powiedział. - Wraz z ludem Niedźwiedzi ze wschodnich Adnaterni.

Na każdy z wymienionych ludów przypadał brylant osadzony w purpurze, która wydawała się czarna w długim domu.

- Jeśli weźmiesz ten pas, sześć narodów wolnych ludzi wystąpi przeciwko Głogowi - dodał. - Tapio kazał mi wypowiedzieć imię.

Niebieski Nóż pokiwała głową.

- Do tej pory nie wymówiłeś imienia?

Pokręcił głową.

- Więc teraz Tapio będzie wiedział, że pas do nas dotarł. Co więcej, my również wypowiedziałyśmy jego imię trzy razy. - Spojrzała na Nitę Qwana. - Mój synu, dobrze się spisałeś. Bez względu na to, jak ułoży się przyszłość, wypełniłeś obowiązek. Wezmę od ciebie fajkę. - Zrobiła to.

Uklonił się.

- Ta-se-ho, co sądzisz? - zapytała.

Stary myśliwy chrząknął i usiadł ze skrzyżowanymi nogami.

- Myślę, że tam jest zimno i mokro i że je jestem na to za stary - odparł. - I myślę, że Nita Qwan dobrze się sprawił. Wszyscy trzej się sprawialiśmy, żeby dotrzeć tu żywi. Widziałem ślady Ruków na śniegu.

- Lud Crannogów już na nas ruszył - powiedziała Niebieski Nóż. - Ale ledwie cztery noce temu wojownicy Rogatego i Czarnej Czapli poprowadzili dwóch z nich na śmierć w śniegach.

Ta-se-ho pokiwał głową.

- Mogon powiedziała, że powinniśmy podróżować teraz, ponieważ żaden z potworów czarnoksiężnika nie kocha wczesnej wiosny.

Niebieski Nóż zbladła.

- Sossagowie też nie kochają wczesnej wiosny. Uczę moje dzieci, żeby siedziały pod dachem, czekając na słońce i suchą ziemię.

Ta-se-ho pokiwał głową.

- Jest wiele mądrości. Ale jeśli ruszymy dzisiaj wieczorem...

Wszystkie kobiety uniosły głowy.

- ...możemy co najmniej dwa dni podróżować po lodzie. A kiedy lód pęknie... - Wzruszył ramionami. - Rukowie nigdy nas nie znajdą, nie mówiąc o złapaniu. Niech czarnoksiężnik nas ściga, jeśli taka jego

wola. Jeśli żywi do Sossagów tak wielką nienawiść... - Machnął ręką. Ten gest sugerował, że jeśli tak, już są skazani na zgubę.

- Dzisiaj? - zapytała Niebieski Nóż.

Ta-se-ho nie brakowało autorytetu.

- Dzisiaj albo nigdy - oznajmił. - Moje lewe kolano mi mówi, że czekają nas trzy zimne noce, a potem odwilż. Czy ktoś temu zaprzeczy?

Niebieski Nóż pokręciła głową. Popatrzyła na pozostałe matrony.

- Pora. Weźcie tylko to, co można zabrać. - Zwróciła się z powrotem do myśliwego: - Dzieci i starzy ludzie umrą.

Pokiwał głową.

- Wiem. Ale w przeciwnym razie umrą Ludzie.

Kiedy matrony odeszły, Niebieski Nóż pochyliła się w stronę Nity Qwana.

- Jest coś, o czym mi nie mówisz.

Nita Qwan przytaknął. Spojrzał w powietrze, wypatrując ciem.

Niebieski Nóż zrozumiała.

Posłała młodą rudowłosą dziewczynę - jeńca albo zbiegłą niewolnicę - po Rogatego.

- Mamy ruszać wieczorem? Po lodzie? - zapytał szaman.

- Przewidziałeś to - przypomniała mu Niebieski Nóż.

- To nie znaczy, że nie jestem wściekły - powiedział. Wyszczерzył zęby do Nity Qwana i jego twarz upodobniła się do maski. - Moja żona mówi, że dobrze sobie poradziliście. Mój uczeń wydaje się silniejszy ode mnie. Może powinienem pójść i spędzić lato na trykaniu wszystkich dulwarskich dziewczyn w N'garze.

Niebieski Nóż się uśmiechnęła.

- Jestem pewna, że twoja żona się zgodzi, jeśli tak to ujmiesz. Nita Qwan waha się, czy mi coś powiedzieć. Wypatruje ciem.

Szaman pokiwał głową. Wyjął bębenek i zaczął rytmicznie w niego uderzać. Po chwili niemelodyjnie zaśpiewał.

Nita Qwan się pochylił i jak kochanek zaszeptał do ucha Niebieskiego Noża. Szeptał trzy razy. Za każdym zadawała mu pytanie. W końcu się odsunęła.

- Nasz najbardziej starożytny wróg prosi o wiele. - Zapatrzyła się

w ogień.

- Ale pod wieloma względami na rację - zauważył Nita Qwan. - A teraz mi powiedz, co z moim bratem, Otą Qwanem?

Spojrzała mu w oczy.

- Nie żyje.

Nita Qwan zamrugał.

- Czarnoksiężnik go zabił?

Pokręciła głową.

- Teraz zwie się Kevinem Orleyem. Zdobył wiele miast na południowym wschodzie. Przysłał nam rozkaz, żebyśmy dali mu ludzi i jedzenie.

Nita Qwan westchnął. Westchnął nad Nitą Qwanem, nad tak wieloma ludźmi w jednym ciele. Miano Kevin Orley nic dla niego nie znaczyło, ale pomyślał, że rozumie. Ota Qwan został stracony na rzecz czarnoksiężnika - zgodnie z przewidywaniami matron.

- No tak - mruknął. - Musimy dać wojowników. Ilu?

- Kevin Orley zażądał stu z ośmiu miast Ludzi - odrzekła Niebieski Nóż. - Zażądał ciebie.

Twarz Nity Qwana stężała.

- Jest tak, jak powiedział Tapio.

Pokiwała głową.

- Więc... pošlemy naszych najlepszych ludzi do czarnoksiężnika, a sami uciekniemy, bezbronni, na zachód. Może Tapio tak właśnie to zaplanował, żeby się na nas zemścić.

Nita Qwan wzruszył ramionami.

- Brak mi siły przekonywania, jako że jestem młody i nowy wśród ludu Sossagów, ale uważam, że Tapio nie ma potrzeby się mścić. Jak rozumiem, pokonał nas i wypędził z naszych domów. Od tamtej pory minął długi czas. Co więcej, pani Mogon gwarantuje nam bezpieczeństwo.

-Tak - mruknęła Niebieski Nóż. - Tak. Zgadza się, to możliwe. A jednak... a jednak, młodszy bracie, wiele bym dała, żeby moją najtrudniejszą decyzją tego lata było wyznaczenie dnia rozpoczęcia zbiorów kukurydzy. - Westchnęła. - Idź się spakować. Zachowaj ostrożność. Twoja żona urodzi w śniegach, jeśli będzie miała pecha.

- Obawiam się, że w ubiegłym tygodniu wykorzystałem zbyt wiele szczęścia. Poślesz mnie z wojownikami do czarnoksiężnika?

- Kiedy dotrzemy do miejsca, gdzie Wielka Rzeka wpada do wewnętrznego morza, wtedy cię odeślę. Poprowadzisz wojowników, którzy pójdą z tobą. Powiesz Kevinowi Orleyowi o naszej strasznej zimie i że Rukowie zniszczyli całe wioski. - Uśmiechnęła się ponuro. - Przykro mi, Nito Qwanie. Będziemy dokładać starań, żeby twój syn przeżył.

Syn - matrony uważały, że będzie miał syna!

I będą dokładać starań, żeby przeżył...

...ponieważ nie będzie miał ojca.

Wstał.

- Rozumiem - powiedział.

- Przykro mi - powtórzyła Niebieski Nóż. - Moim celem jest ochrona Ludzi.

Kilka godzin później, gdy słońce zachodziło w mgiełce czerwonego ognia, ruszyli ku niemu mieszkańcy sześciu ocalałych wiosek, prawie dwa tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci. Mieli sanie i tobogany, a kilku duże włóki, i szli w chaotyczny sposób, który przeczył jakiegokolwiek dyscyplinie, każda rodzina kilka minut drogi od następnej, każda nieco inną trasą do wewnętrznego morza - niektóre rodziny cały dzień szły w głąb lądu, a inne prosto w dół strumienia do lodu.

Ludzie uciekali. A gdy uciekali, formowali nie kolumnę, lecz falę frontów. Obierali różne szlaki jak migrujące zwierzęta, co oznaczało, że jeśli spadnie jakieś nieszczęście - atak Ruków, nagła odwilż, koniec lodu - część z nich przeżyje.

Posuwali się najszybciej, jak mogli. Na każdym szlaku ostatni wojownik przystawał i rozbijał lód, po którym przeszedł.

Ta-se-ho stała z Nitą Qwanem i Gas-a-ho na czymś, co było głównym placem miasta. Odchodzili jako ostatni - Małe Ręce i jej rodzina już ciągnęli na zachód.

- Teraz masz władzę - powiedział Ta-se-ho.

- Nie na długo - odparł Nita Qwan.

Gas-a-ho parsknął.

Ta-se-ho wzruszył ramionami.

- Masz. Ludzie ci ją dali i sprawuj ją z godnością. - Odwrócił głowę. - Małe dzieci i starzy umrą.

Nita Qwan pokiwał głową.

- Wiem.

Ta-se-ho chrząknął i zapalił fajkę. Przekazywali ją jeden drugiemu przez długi czas.

- Nigdy nie zapomnij - powiedział Ta-se-ho. - I nie zostań Kevinem Orleyem. - Schował fajkę. - Jestem na to za stary.

Trzej mężczyźni ruszyli na zachód.

### **Ticondaga - Ghause Murien**

Ghause wciągnęła koszulę. Plecy jej zmarzły, bo pracowała naga w komnacie czarów, do której wpadało zimne górskie powietrze. Na zewnątrz zasy py śniegu piętrzyły się na ponad sześć stóp pod niezdobytymi murami fortecy i zapełniły fosy.

Mąż ją obserwował. Był ubrany, siedział wygodnie na niskim składanym fotelu. Większość mebli w zamku miała obozowy charakter. Murenowie byli wojskową rodziną.

- Codziennie dziękuję Bogu na kolanach - powiedział hrabia Zachodniego Muru - że moja żona miała dość rozumu, by sprzedać duszę diabłu za urodę. Chryste ukrzyżowany, kobieto... Co robisz, że się tak trzymasz?

- Pochlebstwem daleko zajdziesz - skomentowała. Nie zamruczała ani nie zakołysała biodrami. Było za zimno. - Wiesz, że kiedy pojechałam na południe do Albinkirku, widziałam kwiaty na łąkach?

Hrabia wzruszył ramionami.

- To była piekielna zima i świadomie używam tego określenia. Lodowata jak cycki czarownicy

Ruszył tak szybko i cicho, że pomimo bliskości była zaskoczona, gdy poczuła jego ciepłe ręce na piersiach.

Ale niespodzianka była przyjemna. Odwróciła się i uniosła głowę. Wsunęła rękę w jego gacie z wprawą, jaka wynika z długiego doświadczenia i znajomości ciała drugiej osoby.

Co nie znaczy że ciało hrabiego stawiało szczególny opór...

\*\*\*



Najpierw on sprawił jej przyjemność, a potem ona odwzajemniła przysługę - po godzinie była przyjemnie zmęczona i przepelniona niewykorzystaną *potentia*. Popijała grzane wino i patrzyła na pierwsze błękitne niebo, które widziała od wielu tygodni.

- Powiedz, o czym tak rozmyślasz? - wymruczał jej mąż, gładząc ją po brzuchu.

- Przestań - przykazała. - Bądź łagodny albo zdecydowany.

Nie cierpiał, kiedy mu mówiła, jak ma jej dotykać - nie cierpiał tego od trzydziestu lat. Spuścił bose stopy z łóżka i przeklął zimną podłogę.

- Myślę o królu - odparła w zadumie.

- Swoim bracie.

Wzruszyła ramionami.

- Masz jakieś wiadomości? - zapytała.

- Żadnych poza tym, że zwariował, wpuszczając pierdolonych Galów na dwór i atakując własnych arystokratów. - Hrabia pokręcił głową. - Galowie są na południu, a czarnoksiężnika mamy za sąsiada. Jak źle będzie tego lata, żono?

Przeciągnęła się.

- Źle.

- Ten czarnoksiężnik... - zaczął.

Leciutko pokręciła głową.

- Myślisz, że na nas uderzy - powiedział hrabia. Wciągnął gacie.

- Tak. I Gabriel.

- To mięczak. Niezależnie od tego, czego według ciebie dokonał, chowa się za plecami Gawina. Umiałby dowodzić armią nie lepiej niż walczyć toporem.

Uśmiechnęła się.

- Rzadko bywasz głupcem, mężu, ale widziałam, jak walczy toporem.

- Ha! - mruknął. - W takim razie późno do tego dorósł.

Wzruszyła ramionami.

- Tak czy owak, co jemu wiadomo o lecie? - zapytał.

Ghause opadła na piernaty.

- Mówiłam ci. Wszyscy chcą, żeby został kapitanem północy.

Hrabia pokręcił głową w gniewnym zdumieniu.

- To moja rola. Moja przeklęta rola.

- Skarbie, powinieneś się cieszyć, że twój pierworodny zostanie najwyższym dowódcą. - Przekręciła się twarzą w jego stronę. Wiele pięćdziesięcioletnich kobiet mogłoby się wahać przed rozmawianiem o polityce na golasa. Gause się do nich nie zaliczała. - Nie bądź dzieckiem.

Zaśmiał się.

- Ja? Chcesz, żeby został kapitanem, ponieważ zrobi wszystko, co mu każesz. Ale kiedy Dycz przekroczy granicę, nie będę wykonywać rozkazów twojego zniewieściałego syna.

Uśmiechnęła się.

- Mojego. Nie twojego.

Pokręcił głową.

- Może moje nasienie, ale nie moja krew, przysięgam. Zamiast mojej krwi ma jakieś upiorne mikstury i pajęczyny.

- Partenogeneza - rzuciła cicho.

- Co to? - zapytał.

- Archaiczne słowo oznaczające, że dziewczica sama robi sobie dziecko - wyjaśniła Gause. - Jak sądzisz, co mój brat uczyni z królową?

- Bóg jeden wie. - Hrabia wciągnął koszulę i rajtuzy i sięgnął po podwiązki. Nie miał dostępu do sztuk czarnoksięskich i był od niej pięć lat starszy, ale nosił się jak król, miał porządnie umięśniony tors i kiedy zapiął podwiązki pod kolanami, jego łydki wyglądały równie dobrze jak u młodego galanta. - Przybył do mnie ptasi kurier od przyjaciela w Harndonie. Pisze, że zamierza ją sądzić za cudzołóstwo.

Pomimo wszystkich swoich planów, wszystkich przysięg i pragnienia zemsty Gause przez chwilę współczuła królowej w Harndonie. Czuła coś w rodzaju pokrewieństwa.

Co nie znaczy, że to uczucie ją powstrzyma od zabicia królowej i jej nienarodzonego dziecka. Po prostu wiedziała, jaki jest król, i że teraz w bardziej finezyjny sposób robi młodej królowej to, co kiedyś zrobił siostrze.

- Słaby głupiec - mruknęła. - Słaby, głupi, okrutny i

niezdecydowany.

Hrabia pokiwał głową.

- Ale cholernie dobry na kopie - powiedział. - Nienawidzisz go. Zawsze go nienawidziłaś. - Przez chwilę mrużył oczy. - Moglibyśmy go zabić.

Ghause zaskoczyła z łóżka i go pocałowała.

- Czasami naprawdę cię kocham. Ale nie. Na wszystkie ciemne moce, mężu. Wiesz, co się stanie, jeśli on teraz umrze?

Hrabia wzruszył ramionami.

- Wybuchnie wojna? Chaos? To nam nie zaszkodzi. Co więcej, byłyby to lepsze warunki do stworzenia naszego królestwa. Jeśli można zaufać Gabrielowi. - Jego ton sugerował, że to mało prawdopodobne, by ufał mu w czymkolwiek.

Ściągnęła brwi.

- Może takie rozwiązanie nie pasuje do twoich szatańskich intryg, ale to wcale nie musi oznaczać, że nie możemy z niego skorzystać - kontynuował. - Posłuchaj, moja pani. Przez całe wspólne życie szliśmy ręka w rękę i dochowywaliśmy naszych sekretów. Jestem z tego rad. W tym przypadku król jest głupcem i grozi mi wojną. Jeśli umrze...

- Galowie zajmą jego miejsce. Użyją królowej jak swojego pionka i nagle się tu zaroją. - Narzuciła na nagie ciało grubą szatę z wełnianego aksamitu i zadzwoniła po więcej wina.

- Galowie, jak mówią mi szpiedzy, mają własne kłopoty. Po prostu go zabijmy.

Ghause się zirytowała.

- Nie.

- Ponieważ już nadałaś bieg jakiemuś swojemu planowi - powiedział jej mąż.

- Tak! - syknęła.

Roześmiał się.

- I wszystkim, co mi zostaje, jest walka z pierdolonym czarnoksiężnikiem.

Wzruszyła ramionami.

- Obawiam się, że nawet nie to. Jego czary są zbyt silne dla twojej armii. I teraz ma własną armię. Czeka. Utrzymaj zamek, a będzie miał

inne problemy. Zyskał dwóch wielkich wrogów i jego czas szybko się skończy.

Hrabia westchnął.

- Kobieto, jestem twoim narzędziem nie bardziej niż ty moim. Słowo „czekaj” nie brzmi zachęcająco. Nadchodzi wiosna...

- Podobnie jak czarnoksiężnik - Ghause weszła mu w słowo. - Nadchodzi i będziemy potrzebować całej naszej siły, żeby się tu utrzymać, dopóki nie przybędzie nasz syn.

Hrabia ściągnął usta i grzbietem dłoni potarł podbródek.

- Aha. Więc to tak? Tutaj będziemy walczyć?

Uśmiechnęła się leciutko.

- Chryste, kobieto. Jestem twoim mężem i współnikiem w setce zbrodni. Chyba możesz mi powiedzieć, co zaplanowałaś!

Pochyliła się, patrząc mu w oczy. Pochylała się coraz bardziej, aż jej język, szpiczasty jak u kota, liznął jego wargi.

- Mogę - szepnęła. - Ale to zepsułoby niespodziankę.

\*\*\*

Później, gdy czterdziestu rycerzy okładało słupy na dziedzińcu, a piesi żołnierze ćwiczyli walkę na włócznie, Ghause obserwowała królową w kuli z górskiego kryształu. Z tego, co wiedziała, kula miała ponad trzy tysiące lat - a może nawet piętnaście tysięcy. Niektóre rzeczy wykraczały poza granice jej pojmowania czy wiary. Podejrzewała, że została wykonana przez coś naprawdę obcego, ponieważ kiedy przestawała się skupiać, słyszała niepokojące, arytmiczne pieśni jej twórców. I widziała, jak niczym upiory ze szlamu przemykają przez głębokie jaskinie.

Ale wiele razy była panią tego kamienia i teraz kierowała go na południowy wschód, dopóki nie zobaczyła królowej w lochu głęboko pod ziemią.

Brakowało jej najmłodszego syna, Eneasza. Bez niego nie miała nikogo, żeby omówić swoje knowania. Wciąż przebywał w pobliżu Albinkirku, służąc w armii polowej. Rycerz na błędnej wyprawie. Widziała go w kamieniu - walczącego, flirtującego z jakąś dziewczyną. Dziewczyna i jej matka wyglądały znajomo. Była ładna...

Ghause położyła rękę na kuli, poruszyła nią i swoją wolą.

Przyjrzała się królowej, która miała nieuczesane włosy i bez przerwy poruszała ustami. Obserwowała ją przez długi czas, próbując zdecydować, czy straciła rozum, czy udaje. Trudno było rozstrzygnąć.

Ghause rozumiała, że jeśli jej brat zabije swoją żonę, nie będzie musiała używać potężnych czarów, nad którymi pracowała od ośmiu miesięcy. Młoda królowa miała imponujące podwójne osłony hermetyczne - najwyraźniej została wyszkolona przez Harmodiusza. Ghause wiedziała, że chcąc zabić jej nienarodzone dziecko, będzie musiała zadać potężny, celny cios. Drugiej szansy nie będzie.

Ale byłoby cudownie, gdyby to on sam ją zabił. Zwiedziony przez złe plotki uwierzył, że żona nie była mu wierna. Co za głupiec.

Uśmiechnęła się zadowolona z czystości swojej zemsty. I tego, jak współgrała z jej innymi planami.

Przecież co mówiło proroctwo?

„Syn króla będzie władać wszystkimi sferami”. Jej serce przyśpieszyło z oczekiwania. Obróci poczynania brata przeciwko niemu, odbierze mu prawowitego syna i sprawi, że jej ofiara będzie warta... wszystkiego.

Ale wciąż coś czuła do królowej. Dawniej, kiedy była niedoświadczona i piękna, nie czuła niczego poza zazdrością i chęcią wyrządzenia jej krzywdy. Teraz, gdy patrzyła, jak mamrocze ze zwieszoną głową, gdy widziała jej brudną suknię i jak ciężar upokorzenia i zdrady przygniata jej młode ramiona...

- Przykro mi z powodu twojego dziecka - powiedziała głośno. - Ale ciebie też pomszczę.

Myśl o dziecku przypomniawszy jej o własnych dzieciach i przesunęła widok w kamieniu - przesuwając go nad polami, dodając pierwszy czar prowadzący, potem następny.

Zobaczyła rzeczy, które ją zaskoczyły. Zobaczyła brata królowej jadącego przez pola Albiny. Uznała za dziwne, że jest na północ od Harndonu.

Podążała za czarem naprowadzającym na północ, coraz dalej, i znalazła swój cel. Spojrzała na synów - Gawin był przystojnym diabłem, a Gabriel wyglądał jak archanioł po nocy pijaństwa. Uśmiechnęła się.

Przeniosła spojrzenie na zakonnice. Siostrę Amicję.

Od pierwszego dnia spotkania Ghausa zaszczebiała jej pewne sugestie. Zaaprobowała tę kobietę - polubiła jej zdrowy rozsądek, szerokie biodra i poczucie humoru. Gabriel jednak potrzebował arystokratycznej żony, żeby dała mu syna - i z czasem została królową.

Mała zakonnica nie była odpowiednią kobietą.

Ale będzie odpowiednią sojuszniczką i odpowiednią kochanką. I odpowiednim narzędziem, łatwym do kontrolowania.

Co więcej, posiadała moc - głęboką, silną, dobrze wyszkoloną moc, która rosła i ewoluowała prawie na jej oczach.

- Przypominasz mi mnie - powiedziała.

Wiedząc o łączącej je więzi, sporządziła bardzo subtelny czar takiego rodzaju, jaki mogłaby rzucić na siebie. Zrobiła to raz kiedyś, żeby to, co odstręczające, stało się do przyjęcia.

Teraz ostrożnie przesłała swoje dzieło przez kamień. Patrzyła w ślad za nim jak łucznik, który śledzi wzrokiem wypuszczoną wysoko i daleko strzałę, dopóki nie trafi w cel.

Uśmiechnęła się.

\*\*\*

Sto lig na północny zachód od Ticondagi Głóg stał w swoim miejscu mocy i obserwował Ghausa w przestrzeni pomiędzy uniesionymi rękami. Miał formę nie ludzką, ale tę nową, kamienną - pieczołowicie wykształcaną postać z tarcz, wirów i kamiennych spiral połączonych chrząstkami i mięśniami z wielu źródeł. Głóg miał obecnie do dyspozycji całe bestiariusz ziemi. Wykorzystywał zasoby z błyskotliwością, wyobraźnią i pewną mroczną elegancją.

Nowy poziom rozumienia zmian postaci, zawarty w jego koncepcji rzeczywistości, obejmował wiedzę, którą mógł wbudować w swoją moc podporządkowania sobie ogromnie złożonego układu, który bezustannie obserwował i zmieniał jego formę zależnie od okoliczności, nawet wtedy, gdy się poruszał, przemieszczał i miał inne wymagania. W ten sposób mógł stworzyć swoją kamienną postać i zmuszać kamienie do ruchu. Wiązało się to ze stałym zużyciem *ops*, ale też czyniło go prawie niezniszczalnym.

Miał inną formę - już pracował nad nowymi generacjami - w której był prawie samą energią i dymem. Jak dotąd korzystanie z niej było bezpieczne tylko w wyjątkowych sytuacjach.

Nie myślał o tym w tej chwili. Bez wysiłku stał z uniesionymi rękami i patrzył, jak Ghouse praktykuje swoją sztukę. Patrzył, jak z rosnącą frustracją obserwuje królową. Widział, jak przez sto dni i nocy przygotowywała swoje czary.

Przygotował własne dzieło magiczne. Właściwie wszystkie jego plany zależały od jej planów - ironia, która go zachwycała i ogromnie irytowała jego pana.

To też było dobre. Głóg zaczynał mieć dość tego, że jest narzędziem Popioła. Dokładnie zbadał czarną przestrzeń w swojej głowie. Poświęcił dużo czasu na odbudowywanie tego, czego, jak czuł, brakowało w jego myślach i postrzeganiu. Przeprowadził kilka eksperymentów polegających na ukrywaniu różnych rzeczy przed czarną przestrzenią.

Na powrót odkrył, jak bardzo nienawidzi ciem. I miał wątpliwości.

Jak na ironię nie było to coś, czym czarnoksiężnik mógłby się podzielić ze swoimi narzędziami czy sojusznikami. Panował kłopotliwy impas.

Jego sprzymierzeniec zebrał armię złożoną z niechętnych niewolników, zawodowych żołnierzy i posiłków przysłanych z Galii, po czym przeniósł ją nad Ticondagę. Słudzy Głoga - w tym Kevin Orley - dołączyli do armii Czarnego Rycerza.

Zakończywszy przygotowania, Głóg wyruszył do nich. W okamgnieniu przemierzył siedemdziesiąt lig dziewiczej głuszy. Nauczył się sposobu Smoka - robił otwór w swojej rzeczywistości i przez niego podróżował.

Nauczył się tylu rzeczy, że czasami opadał go strach, że w chwili prawdy nie będzie w stanie znaleźć i wykorzystać wszystkich swoich mocy.

Mimo to pojawił się w galijskim obozie w zaplanowanym dniu.

Jeśli ser Hartmut się przestraszył, gdy ogromny kamienny golem ze splecionych spiral pojawił się przed jego dużym namiotem z czarnego jedwabiu, to nawet nie mrugnął okiem. Skinął głową do

giermka.

- Wina - polecił. - I długą łyżkę.

Kiedyś Głóg mógłby się roześmiać, ale wypaliło się w nim prawie całe człowieczeństwo, zostawiając niewiele więcej poza ambicją i pragnieniem zdobywania wiedzy.

- Jestem - powiedział. Głos miał głęboki, złowieszczy i obcy, a akcent dziwnie przypominał północny hurański.

Ser Hartmut skinął głową.

- W takim razie możemy pomaszerować na Ticondagę. To tylko kwestia czasu, zanim patrole hrabiego nas znajdą.

Głóg nie poruszył kamykiem.

- Nie znajdzie cię.

Ser Hartmut się rozejrzał. Skinął na de Marche'a, żeby do nich dołączył. Wziął wino od giermka i odprawił go ruchem ręki.

- Znajdź ser Kevina - polecił.

Kiedyś Głóg mógłby zachichotać.

- Ser Kevina!

Ser Hartmut się uśmiechnął.

- Pozwoliłem sobie pasować go na rycerza - wyjaśnił. - I zaopatrzyć w pewne elementy zbroi, których ty nie dostarczyłeś.

Głóg rozważył różne reakcje i pragnienie ser Hartmuta do manipulowania Orleyem wydawało się oczywiste. Ale coraz częściej stwierdzał, że nie przejmuje się tym na tyle, żeby udzielać odpowiedzi.

Ser Hartmut nie udawał, że ma sztab lepszy niż sam Głóg. Wezwawszy dowódców, wzruszył ramionami.

- Kiedy wymarsz? - zapytał.

- Kiedy powiem - odparł Głóg.

- Dwa razy przeprowadziłem rozpoznanie w Ticondadze - oznajmił ser Hartmut. - Nawet z trebuszami i całą potęgą twojej *ops* zdobycie tej twierdzy będzie twardym orzechem do zgryzienia. Oblężenie potrwa całe lato, chyba że się mylę. - Wysunięta szczeka sugerowała zaniepokojenie, które ser Hartmut rzadko okazywał.

Wystraszyły go doniesienia z Galii, pomyślał Głóg. Nic dziwnego. Ale jego siła, żołnierze i talent pozostaną tutaj, służąc mnie. Ironia



nakładała się na ironię. Głóg zyskiwał głęboki wgląd w skomplikowane plany Popioła, a także wykrywał złośliwość - i czarny humor - jego ogromnego umysłu.

Wpadło mu do głowy, że złośliwość i poczucie humoru mogą być również słabością jego pana. Starał się nie pozwalać, żeby takie myśli krążyły w zewnętrznej warstwie jego złożonego umysłu, a kiedy nie mógł przestać ich snuć, wysyłał je w labirynt zwodniczych analiz.

- Nie - powiedział, zagłuszając wielogłosowy spór swojej podzielonej jaźni. - Nie. Oblężenie nie potrwa tak długo.

Ser Hartmut uprzejmie uklonił się Kevinowi Orleyowi, który w odpowiedzi ugiął po galijsku kolano. Głóg skrzywił się w duchu, gdy zobaczył, że jego stworzenie służy zwyczajnemu człowiekowi.

Ser Hartmut nieznacznie pokręcił głową. Był w pełnej zbroi, bogata czerń zadbanych płyt lśniła od oleju. Kevin Orley, w skromnym pancerzu z niedopasowanych, ale starannie naoliwionych stalowych elementów stanowił jego dopełnienie.

Głóg uważnie obserwował Orleya i spostrzegł, że zmieniła się jego postawa. Czas płynął inaczej dla hermetycznego mistrza i dla zwykłego śmiertelnika, pomyślał jednak, że być może Kevin Orley przeżył znacznie więcej niż on.

- Nauczyłeś się czegoś nowego - powiedział.

Orley spojrzał mu w oczy

- Zaczynam się uczyć dyscypliny.

Ser Hartmut pozwolił sobie na uśmiech.

- Jako kapitan? - dociekał Głóg.

- Mogę dyscyplinować innych dopiero wtedy, gdy narzucę dyscyplinę sobie - odparł Orley.

- Jesteś teraz rycerzem.

- Mam ten zaszczyt - oznajmił Kevin Orley spokojnym głosem.

- To nie było pytanie.

Ser Hartmut ściągnął brwi.

- Kiedy rozpoczyna się wielkie przedsięwzięcie, tradycją jest pasowanie na rycerza. - Nie poruszył się, nie dotknął twarzy, nawet nie mrugnął okiem jak ludzie mniejszego formatu. Głóg uznał, że jest fascynujący - człowiek, który dobrowolnie wyzbył się tyłu ludzkich

cech, a jednak nie miał dostępu do mocy. Enigma. Z magicznym mieczem o niewiarygodnej sile.

Głóg się obrócił, kamienie protestowały, gdy jego kierowane przez podświadomość hermetyczne dzieła zasilają kamień, zmieniając kształt po kształcie, powodując gładką przemianę w wielu wymiarach.

- A ty, de Marche? - zapytał. - Też jesteś rycerzem?

De Marche zaczął życie jako żeglarz i z czasem został dowódcą. Był kupcem, właścicielem floty i zaufanym sługą swojego króla. Nie rycerzem.

Kupiec-awanturник odwrócił wzrok.

- De Marche odmówił zaszczytu wyniesienia do stanu rycerskiego z mojej ręki. Uważa, że jest niegodny - wyjaśnił ser Hartmut. Na sekundę zdradził swoje uczucia i Głóg zobaczył, że jest wściekły.

Nawet w apogeum mocy i bardzo bliski celu poczuł coś zbliżonego do ulgi, gdy poznał, że ser Hartmut jest jeszcze na tyle człowiekiem, żeby wpadać w złość. I że odmowa de Marche'a go zraniła.

Głóg mógłby się spodziewać, że za tę odmowę de Marche zapłaci wszystkim - życiem, reputacją, honorem, rodziną. Ser Hartmut nie wyglądał na człowieka, którego zadowala mała zemsta. Ale tego rodzaju drobne zatargi były poniżej poziomu zainteresowań Głoga. Z dnia na dzień coraz lepiej rozumiał wielkie Potęgi. Gdy ewoluowały i się rozwijały, brakowało im czasu - albo *potentia* - żeby się zagłębiać w błahe sprawy. Wielka moc wymaga wielkiego skupienia. Zostawia niewiele czasu na zemstę.

Przynajmniej na drobną zemstę.

- Kiedy ruszamy? - zapytał ser Hartmut.

- Za dwa dni będziemy mieli całą naszą siłę - odrzekł Głóg. - Może Sossagowie przyślą setki swoich wojowników, a może nie przyślą. Tak czy owak, za dwa, może trzy dni zobaczymy naszych ostatnich ludzkich żołnierzy. Mam jednak innych sprzymierzeńców i innych niewolników, tak, i inne możliwości ataku.

- I innych wrogów - zaznaczył ser Hartmut.

Głóg się obrócił, żeby stanąć przodem do Czarnego Rycerza.

- Innych wrogów?

- Niedźwiedzie - odparł ser Hartmut. - Od ser Kevina słyszałem, że niedźwiedzie staną przeciwko tobie.

Głóg chciałby wzruszyć ramionami.

- My będziemy mieli dwadzieścia tysięcy boglinów- oznajmił. - I dziesięć tysięcy ludzi. I setki innych stworzeń. - Omiótł ich spojrzeniem czarnych kamiennych oczu. - Wybijemy niedźwiedzie, jeśli okażą się dość głupie, żeby wpaść w nasze szpony. Jeśli nie, zignorujemy je i podporządkujemy sobie później.

- Unikasz odpowiedzi na pytanie - zauważył ser Hartmut.

W końcu będę musiał się ciebie pozbyć, pomyślał Głóg. Ciebie, Orleya i całej reszty. Wszyscy są tacy chciwi. Może powinienem uczynić de Marche'a moim sprzymierzeńcem.

- Ruszamy za dwa dni. Po drodze zabierzemy naszych sojuszników z północy, dopędzą nas. - Głóg pokiwał głową. - Będę nas osłaniać chmurą niewiadomego i podejdziemy tak blisko Ticondagi, jak tylko pozwolą moje moce.

- A kiedy uderzymy? - zapytał ser Hartmut. - Pojutrze Wielkanoc.

De Marche odezwał się po raz pierwszy.

- Lód jeszcze nie stopniał na jeziorach, i w lasach wciąż zalega pełno śniegu. - W zasadzie nie patrzył na Głoga. - Żaden z naszych ludzi nie będzie chciał maszerować w takich warunkach. - Jego głos brzmiał prawie błagalnie. - Pozwól im w spokoju świętować Wielkanoc.

Ser Hartmut się roześmiał.

- Nie nauczyłem się wygrywać wojen poprzez robienie tego, co łatwe.

- Ludzie będą umierać w tych lasach - podkreślił de Marche.

Ser Hartmut wzruszył ramionami.

- Żaden z nich nie ma najmniejszego znaczenia ani dla ciebie, ani dla mnie, ani dla mistrza Głoga.

- Mamy za mało rakiet śnieżnych, żeby wystarczyło dla wszystkich marynarzy i zbrojnych - przekonywał de Marche.

Ser Hartmut skinął głową.

- Tylko zwiadowcy będą ich potrzebować.

De Marche przez ułamek uderzenia serca patrzył na Głoga.

- Nasz czarodziej wytopi nam drogę?

Ser Hartmut zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Nasi huraańscy jeńcy, ci, którzy się nie podporządkowali, będą szli przed nami. - Machnął zakutą w żelazo ręką. - Udepczą śnieg. Wytną drzewa i zbudują drogę aż po zachodni brzeg jeziora.

De Marche głośno zaczerpnął tchu.

- A gdzie będą obozować? Z naszymi ludźmi?

Ser Hartmut pokręcił głową.

- Obozować? Będą pracować do śmierci. Gdy to nastąpi, wyślemy do przodu kolejnych. - Lekceważąco machnął ręką. - Nie są chrześcijanami. Nie są poddanymi mojego króla. W zasadzie nawet nie są ludźmi. Niech zdychają.

De Marche westchnął.

- Wyślesz trzy tysiące kobiet i dzieci na śmierć, żeby wydeptały drogę dla twojej armii?

Ser Hartmut pokiwał głową.

- Sprzeciwili się mojej woli. Teraz za to zapłacą. To całkowicie zgodne z prawem wojennym.

De Marche przenosił spojrzenie z ser Hartmuta na Głoga.

- Wątpię, czy umiałbym powiedzieć, który z was dwóch jest gorszy. Pójdę deptać śnieg z biednymi dzikusami, których posyłacie na śmierć. Nie mógłbym z czystym sumieniem patrzeć na to, co im robicie.

Ser Hartmut pokręcił głową.

- Nie bądź, proszę, sentymentalnym głupcem.

- Jestem człowiekiem - oznajmił de Marche. Jego ton mówił to, czego nie wyraziły słowa.

Nawet Głóg poczuł iskierkę gniewu.

- Działamy na scenie tak wielkiej, że nie możesz ogarnąć jej rozumem - powiedział. - Moje siły już są na południe od Albinkirku, uniemożliwiając marsz naszym wrogom. Kilku Zamurzan więcej czy mniej...

De Marche pokiwał głową.

- Dziękuję Bogu, że nie ogarniam tego, co ty. - Odwrócił się i

odszedł.

Ser Hartmut popatrzył na giermka.

- Weź się za niego. Zbij go do nieprzytomności i każ związać. Nie pozwól, żeby zobaczyli to jego marynarze. - Gdy giermek odszedł po śniegu, ser Hartmut zwrócił się do Głoga: - Stał się głupcem. Ale jeśli pozwolę temu idiocie na śmierć męczeńską, stracimy jego marynarzy. Nie będą dobrze walczyć, a podczas oblężenia to moi najlepsi żołnierze.

Głóg był zmęczony całą tą sprawą i wszystkimi drobnymi problemami, które się wiązały z kontaktami z ludźmi.

- Dwa dni - powiedział.

Ser Hartmut skinął głową.

- Dwa dni.

\*\*\*

Ser John Crayford zbudził się w dziwnym miejscu. Dopiero po długiej chwili zorientował się, gdzie jest. Sufit był biały, pokryty pajęczą siecią szczelin wokół wspaniałej starej belki wyrzeźbionej w spirale podobne stu splecionym smoczym ogonom. Śledził wzrokiem wiry i pęknięcia.

Były tam dwa wąskie okna z grubymi dębowymi okiennicami strzelniczymi. Niewiele światła wpadało przez wycięcia w kształcie krzyża, przez które kusznik albo łucznik mógłby strzelać do napastników.

Gdy patrzył na te okna, zrozumiał, gdzie jest. Obok niego leżała lady Helewiza, naga. Nie spała.

- Chrapałem? - zapytał.

Zaśmiała się.

- Tylko gdy spałeś - odparła.

- Chciałaś mnie odesłać, kiedy skończyliśmy. - Ser John się uśmiechnął.

Odwzajemniła uśmiech.

- Jestem starą kobietą - powiedziała. - A jednak nie mam pewności, czy jestem skończona.

Pochyliła się, zarzuciła nogę na jego nogę i się pocałowali, i był to ciepły, ni brzydki, ni ładnie pachnący, poranny pocałunek po

wspólnie spędzonej nocy.

Ser John, natychmiast podniecony, zaśmiał się gardłowo.

- I w nocy zgasiłaś świeczkę.

~ Nie każdego mężczyznę podniecają obwisłe piersi i grube uda - szepnęła.

- Dlaczego kobiety są dla siebie takie okrutne?

- Przecież uczymy się wszystkiego od naszych kochanków - odparła, ale czerpała siłę z jego podniecenia i komplementu.

Znowu się kochali, jak w nocy, choć tym razem ser John zwracał większą uwagę na poskrzypywanie ramy łóżka do tego stopnia, że zaczął tracić animusz i poruszał się łagodniej. Ale dogodził jej tak dobrze, że z jej ust popłynął dźwięk pośredni między mručeniem kota i warknięciem lamparta - zaskakujący, nieprzystojny damie dźwięk.

Potem się roześmiała.

- Wyobraź sobie. Niewolnica rozkoszy w moim wieku!

- Wypowiadasz się małej zakonnicy?

- Czy to cię zawstydza, dzielny rycerzu? - zapytała. Położyła rękę na jego piersi i pchnęła. - Sądzisz, że jakaś kobieta w tym domu nie wie, gdzie spędziłeś noc? Nie ukryjesz niczego w domu dwudziestu kobiet.

Ser John zrobił zakłopotaną minę.

- Myślałem...

Helewiza wstała. Otworzyła okiennice.

- Poślubisz mnie, ser Johnie?

Ser John, patrząc na nią w snopie światła, pomyślał, że nigdy nie widział nikogo równie pięknego.

- Z największą przyjemnością, dziewczyno.

- A wszystkie twoje inne kochanki? - zapytała. Pod żartem doszukał się poważniejszej nuty.

- Nie, nie mam innych kochanek. Minęło może dziesięć lat, gdy w niektóre noce kobieca głowa spoczywała na mojej poduszce.

- Dziesięć lat? - powtórzyła. Włożyła szlafrok. - Nic dziwnego, że jestem dla ciebie piękna.

Wyszła zza parawanu.

- Poważnie, Johnie. Nie jestem światłem miłości i mam córkę, która przed nieszporem będzie wiedziała, co jej matka robiła w nocy. Złóż obietnicę małżeńską albo nie przychodź więcej do mojego łóżka. - Potrząsnęła włosami i obrzuciła go dziwnym spojrzeniem. - Moja córka flirtuje z najmłodszym bratem Czerwonego Rycerza, wiedziałeś? Jeśli będę robić z siebie idiotkę...

Ser John usiadł. Pokręcił głową.

- Mogę powiedzieć, że nie wepchnąłem cię tutaj, pani.

- Nie. Jestem lubieżną śmiertelniczką i Bóg mnie stworzył. - Helewiza się przeciągnęła. - Ale nie zrobię dziwki z mojej córki wedle niezgodnego z prawdą powiedzenia: jaka matka, taka córka.

Ser John wstał, nagi i bardziej siwy niż brązowy na torsie, i ją pocałował.

- Sza, pani. Nie potrzebuję grózb ani napomnień. - Ukląkł u jej stóp. - Proszę, wyjdź za mnie i bądź moją miłością.

Uśmiechnęła się.

- Och, Johnie... - Pochyliła się, żeby go pocałować. Szata Helewizy się rozchyliła i spowił go jej ziemisty zapach.

- Łaski - jęknął. - Jestem starcem. Mogę umrzeć.

- Stary pług orze najgłębsze bruzdy - szepnęła.

- Wymyśliłaś to - warknął.

\*\*\*

Później, ubrany i uzbrojony, spotkał się na dziedzińcu ze swoją eskortą, rycerzami i giermkami z dalekiego Jarsayu. Młodsze kobiety z dworu zajmowały się praniem, oczywiście na dziedzińcu. Ser John uśmiechnął się dobrodusznie jak każdy, kto jest pogodzony ze światem, i z rozbawieniem zauważył, że wielu młodszych mężczyzn w zbrojach unika jego spojrzenia.

Jego giermek, Jamie de Hoek, miał osiodłanego konia i wszystko przygotowane tak, jak lubił. Z niezdarnego nastolatka, który niewiele wiedział o broni i nie znał się na koniach, wyrósł na wysokiego mężczyznę łagodnego obejścia, wszędzie witanego z otwartymi ramionami - i był najlepszym giermkim, jakiego mógłby sobie życzyć rycerz. Był cichy, ciężko pracował i opanował wszelkie umiejętności związane z zarządzaniem, czyszczeniem, reperowaniem i

konserwowaniem, jakie musi znać giermek. Umiał szyć, a nawet trochę haftować. Umiał wyklepać wgięty hełm.

Umiał zabić boglina, osłaniając bok swojego pana.

Uklonił się.

- Panie kapitanie, rozumiemy, że pora na gratulacje.

Ser John się odkłonił.

- Panowie, macie ku temu prawo. Pani Helewiza i ja weźmiemy ślub w połowie lata.

Teraz wszyscy młodzi ludzie patrzyli mu w oczy. Ręce mu się zatrzęsyły i pomyślał: miła z was gromada chłopaków. Za moich czasów byliśmy bardziej obcesowi. Wiedział, że będzie potrzebować kilku dni, żeby polubić ser Eneasza, chłodnego młodzieńca, ale jego zadurzenie w Filippie, córce Helewizy, było urocze.

Najmłodszy Murien przyjął strzemiennego od swojej bogdanki.

- Uważam, że to okropne - powiedziała. - Moja matka... w jej wieku!

Eneasza Murien miał inną matkę.

- Myślę, że to cudowne - oznajmił.

Filippa na niego spojrzała.

- Naprawdę? - zapytała.

Patrzyli na siebie tak długo, że rycerze zachichotali, a ser John poczuł się zmuszony chrząknąć.

Na długo, nim słońce osiągnęło zenit podczas wędrówki po niebie, ser John poprowadził kompanię za odbudowaną bramę dworu i obok kamiennej stodoły, którą właśnie kończyli mistrzowie murarscy. Było dość ciepło, żeby kopać fundamenty, i nowe kamienne stodoły wyrastały na całym terenie na zachód i południe od Albinkirku, zastępując te drewniane spalone przed rokiem.

W drodze na północ przebyli dwa strumienie pełne ryczącej wody, przodem wysyłając zwiadowców i nie bojąc się przemoczenia. Dwunastu doświadczonych myśliwych jechało daleko z przodu. Przystawali, żeby przyjrzeć się każdemu tropowi na drodze, a raczej w pasie błota, który o tej porze roku uchodził za drogę.

Wczesnym popołudniem ptaki śpiewały i kwitły wiosenne kwiaty. Ser John, który prawie nie spał w nocy, zaczął się kiwać w siodle.



Odwrócił się, żeby coś powiedzieć o drzemce do giermka, kiedy zobaczył myśliwego wracającego skrajem drogi, gdzie grunt był twardszy. Mężczyzna kłusował, a gdzie tylko mógł, przyspieszał do galopu.

Ser John mierzył się z Dziczą podczas zbyt wielu patroli.

- Rękawice i hełmy! - krzyknął. - Zasznurować!

Większość zbrojnych z południa nauczyła się jeździć w stalowych rękawicach, ale nieliczni lubili jeździć w hełmach.

Paziowie i giermkowie podali kopie, długie na piętnaście stóp włącznie, zwieńczone twardą stalą.

- Naprzód! - rozkazał ser John, zapominając o zmęczeniu.

Poprowadził kolumnę skrajem drogi, rzędem, co stanowiło zaproszenie do zasadzki, tyle że widział swoich zwiadowców w sadzie jabłoniowym po drugiej stronie muru.

Spotkał myśliwego przy narożniku starego muru.

- Bogliny - wydyszał myśliwy.

- Gdzie? - zapytał ser John. - W biały dzień?

Myśliwy wzruszył ramionami.

- Sam widziałem. Za Folwarkami.

Ser John ocienił oczy ręką.

- Duża banda... pięćdziesiąt albo więcej. Gnają co sił... wiecie, mają uniesione pokrywy skrzydłowe.

- Do mnie! - ryknął ser John. Obrócił się w siodle i pochwycił spojrzenie lorda Wimarka. - Zabierz giermków i przeczesz zbrocze - rozkazał. - Całą drogę w dół strumienia obok Folwarków. Znasz teren?

Lord Wimark skinął głową. Od śmierci swojego rycerza zamknął się w sobie, miał zapadnięte oczy, a pod nimi ciemne kręgi, ale był dość czujny.

- Tak jest, kapitanie.

- Jeśli je dopadniesz, śpiesz ludzi i je zatrzymaj. Nie pozwól, żeby dobrały się do koni. - Ser John skinął na giermków. - Jamie, zostajesz ze mną. Pozostali za lordem Wimarkiem.

Gdy zawrócił konia na podmokłym gruncie, zapach młodej trawy i błota przywiódł mu na myśl Helewizę, nad nim, jej piersi...

Zarumienił się i skupił na rzeczywistości ciepłego dnia i na

zmęczonym koniu.

Po lewej stronie zobaczył, że lord Wimark staje w strzemionach. Jego kopia się poruszała.

Coś było na zboczu.

Wybuch, jak uderzanie pioruna, kulistego pioruna...

Rozległ się trzask dalekiego bicza i jeden z giermków wraz z koniem przemienił się w koszmar rzeźnika.

- Błogosławiony Święty Jerzy... - mruknął rycerz za jego plecami.

Ser John balansował na ostrzu miecza niezdecydowania. Nie miał pojęcia, w co się pakuje, ale wiedział, że za zatrzymanie się dla zastanowienia nad odpowiedzią zapłaci stratą ludzi i koni. Było to dla niego równie oczywiste jak fakt, że jest grzesznym człowiekiem.

Pomyślał o swojej ukochanej i głośno się roześmiał, gdy ta myśl usztywniła mu kręgosłup, jakby miał piętnaście lat i po raz pierwszy zobaczył nagi biust.

- Naprzód! - ryknął.

Jego dziesięć kopii bez giermków pojechało gęsiego wokół narożnika wysokiego kamiennego muru. Ich oczom ukazało się całe zbocze - szachownica zielonych i brązowych pól ciągnących się na ponad milę i skraj gęstego lasu, który sterczał na szczycie następnego pasma jak szczecina na czubku łysej czaszki.

Gdy tylko zlustrował teren, wiedział, że wróg ma dużą przewagę liczebną.

Prawie u jego stóp, ledwie o strzał z łuku, ujrzał stado impów. Ser John nigdy ich nie widział, ale jeden z giermków Czerwonego Rycerza - Adrian Złotnik - miał talent do rysowania i w żywych szczegółach oddał niewielkie stworzenia podobne do piekielnych chartów. Wszyscy ludzie z kompanii mówili, że nic w Dzikim nie dorównuje im pod względem prędkości i że rzucają się na konie.

Straszne stworzenia zawróciły niczym stado ptaków i ruszyły w ich stronę przez niedawno zaorane pole. Ser John miał za plecami dziesięciu rycerzy, dziesięciu łuczników i dziesięciu paziów.

Pole było błotniste, ziemia ciężka od stopionego śniegu i wiosennych deszczów, czarna i lśniąca.

Wzdłuż drogi ciągnął się wąski rów, a za nim wysoki kamienny

mur czyjegoś sadu jabłoniowego. Był za wysoki, żeby przesadzić go na koniu.

Ser John wydał rozkaz, zanim w pełni zrozumiał, co zamierza zrobić.

- Z koni! - krzyknął, zatrzymując się. - Rory, konie na tyły, do ostatniej farmy! - zawołał do najstarszego pazia, który był biały jak płótno.

Zsunął się z siodła, gdy impy zbliżały się z prędkością strzały z ciężkiego łuku.

Gdy tylko jego stopy dotknęły ziemi, zerwał młot bojowy z łęku i zaczął się zastanawiać, czy podjął właściwą decyzję. Jeśli wpadną między konie, zanim...

- Do mnie! - rozkazał. - Do mnie! Łucznicy w drugim szeregu!

Wszystko rozgrywało się w żółtym tempie.

Ale Bóg okazał się litościwy. Błoto spowalniało nawet impy, przerażająco szybkie impy.

Wyglądały, jakby płynęły nad polem. I kolejne wylewały się z dalekiego żywopłotu.

- Wystrzelimy przed nie trzy strzały - powiedział łucznik za jego plecami.

Rory chwycił wodze Iskandera, żeby go poprowadzić na tyły. Koń bojowy toczył wzrokiem i szukał czegoś do zabicia. Ser John klepnął go po zadzie na pożegnanie i odsunął się.

- Trzy strzały! - krzyknął mistrz łucznik, jeden z ludzi kompanii.

Impy były sto jardów dalej. Pokrywały ziemię jak bladozielony dywan zębów i ścięgien. Musiało ich być z pięć setek.

- Puść! - krzyknął łucznik.

- Puść! - powtórzył.

- Puść!

Trzy strzały w tyle samo oddechów. Impy były jeszcze za daleko.

- Strzelajcie - powiedział ser John. - Rory, jedź na farmę i sprowadź pomoc.

Rory, już na Iskanderze, zasalutował.

Przyślij kogoś, żeby pochował nasze szczątki, pomyślał ser John.

Za falą impów, przez żywopłot i pod nim, przełaziła grupa

boglinów. Jego taktyka pięknie się sprawdzała - odcięli wroga.

Miał ochotę udusić myśliwego. To nie była grupa najeźdźców, ale mała armia. Iskra magii na dalekim zboczach świadczyła, że wróg ma także czarnoksiężnika.

Łucznicy strzelali tak szybko, że oko nie nadążało za ruchami ich rąk, gdy stękali miarowo i prawie obscenicznie, jak poskrzypywanie starego łóżka.

- Puść! - stęknął stary szubrawiec przed ser Johnem.

- Puść! - powtórzył.

- Zmienić szeregi! - ryknął ser John.

Łucznicy skoczyli do tyłu, za mur ciał i stali odgradzający ich od impów.

- Za mur! - krzyknął stary.

Większość łuczników nie miała pancerzy poza nałokciami, nakolankami i basinetami. Impy żywcem obedną ich ze skóry.

Łucznicy powalili niewiarygodną liczbę impów. Niektóre, przyszpilone do ziemi, wrywały ciężkie drzewce i wlekły się w stronę ludzi.

Ser John odruchowo przyjął postawę, trzymając młot bojowy w poprzek ud.

Impy musiały przeskoczyć rów, żeby ich dopaść.

Zabił dwa lub trzy, zanim jeden powalił go siłą czystego pędu. Były małe i hełm z kołnierzem kolczym zapewnił mu bezpieczeństwo w pełnych paniki sekundach, gdy leżał płasko na plecach. Jednego przebił sztyletem - skąd on się wziął? - podniósł się na kolana i następnego trzasnął stalową pięścią. Coś dobrało się do jego kostki, ale kostka była zakuta w stal.

Wyciągnął miecz, dźgnął stwora przy stopie i zatoczył krąg, żeby oczyścić przestrzeń wokół siebie.

Strzała zagrzechotała o jego hełm, który przesunął się w następstwie upadku, ograniczając mu pole widzenia. Machnął mieczem, przesunął stopy i podniósł rękę, żeby poprawić hełm. Dwa stwory przyskoczyły do jego nóg i jeden sięgał do jąder, których nie chroniła zbroja. Ser John skrócił chwyt, jedną ręką trzymając rękojeść, drugą głównię w połowie, i dźgał, jednocześnie się cofając, aż pozbył

się stworzeń z nóg i zatłukł je ciosami w kręgosłupy.

Łucznicy siedzieli na murze, wystrzeliwując lekkie strzały w stronę stworzeń. Dziesiątkowali impy, ale podobne do psów gady przełaziły przez zabitych pobratymców i niepowstrzymanie parły do przodu.

Ser John wiedział, że traci ludzi. Poznał to po tym, że miał zbyt wiele miejsca do wymachiwania mieczem.

Ciął - w lewo, w prawo, w kontrolowanych wymachach, żeby oczyścić ziemię wokół siebie, ale potwory nie przypominały ludzkich przeciwników, którzy ustępują pola. Po prostu napływały. Trzy przemknęły pod zataczającą łuki głównią, jeden zawisł na prawym nadgarstku. Ser John rzucił miecz, pięścią przetrącił mu grzbiet, a potem kopał pozostałe, dziękując Bogu za stalowe trzewiki.

Jego plecy zazgrzytały o kamienną ścianę. Nie mógł dalej się cofać. Nagle miecz zabrzączał na jego prawym nadgarstku i imp padł martwy. Zobaczył znajomą zieleń i złoto Murienów.

Chwycił sztylet wiszący na łańcuszku na nadgarstku i wbił w impa, który próbował go ukąsić.

Strzały spadały przed nim jak ochronna kutyna. Na polach po drugiej stronie doliny nagle rozbłysnął pokaz fajerwerków - złote, zielone, fioletowe i czarne światła.

Zagrzmiał róg. Nie był to zwyczajny dźwięk. Róg ryczał jak myśliwski, ale jego ton był głęboki, dudniący i brzmiał jak podzwonne.

Ser John wrócił do zabijania. Odepchnął się od muru - w nagrodę kilka strzał zadzwoniło o jego hełm - i jął dźgać długim sztyletem jak dwuręcznym kolcem. Uderzał celnie, coraz bardziej oszczędnymi ruchami, gdy odkrył właściwy sposób walki: używał opancerzonych łydek i stóp jako przynęty, żeby zwabić impy w zasięg ukąszeń sztyletu, staranie chroniąc kroczę.

Jeden z moreańskich rycerzy - ser Giannis - miał włócznię z długim grotem i stał nietknięty w oku cyklonu śmierci, jego broń poruszała się do przodu i do tyłu, dźgając i tnąc. Dalej jeden z kompanijnych rycerzy, ser Dagon le Foret, z równym artyzmem używał topora. Ser Eneas walczył z bronią w obu rękach, obracając

się jak mistrz tańca, i oczyszczał więcej przestrzeni, niż inni. Jeden z jarsayskich rycerzy zginął straszną śmiercią, a do innego impy przyczepiły się jak rzepy, ponieważ nie miał właściwej kolczugi.

Ser John podszedł i obrał go z nich jak ojciec, który uwalnia dziecko od pijawek. Szeregi impów rzędyły.

Za nimi ciągnęły bogliny. Nacierają na ośmiu rycerzy i dwunastu łuczników. Ser John był przepełniony duchem bojowym, strachem i radością, że żyje, do tego stopnia, że nie rozumiał, co się dzieje. Skorzystał z chwili po zabiciu ostatniego impa - ser Dagon nastąpił mu na łeb - żeby podnieść młot bojowy.

Sześćdziesiąt boglinów nie mogło się równać z ośmioma rycerzami, a jednak nacierały.

- Wystrzelać je! - wysapał ser John.

- Nie mamy strzał, kapitanie - powiedział ktoś nad jego głową. - Wybacz.

Cały teren walki z impami przypominał rżysko, tyle że rżyskiem były ciężkie strzały bojowe sterczące prawie pionowo w kępach tam, gdzie bój był najsroższy. Tuzin ludzi w trzy minuty wypuścił ponad czterysta strzał. Cały zapas - prawie czterdzieści na głowę.

Bogliny gramoliły się przez błoto. Za nimi przez żywopłot przedarło się coś większego. Po błysku zielonego ognia nastąpiła eksplozja błota i w ziemi powstał lej długości konia. Bogliny się przedarły, podobnie jak demony.

Ser John pokręcił głową i poczuł smak kwaśnego powietrza wewnątrz basinetu.

- Kurwa - mruknął.

Błoto tak bardzo hamowało bogliny, że łucznicy mogliby je wszystkie wystrzelać - gdyby mieli strzały.

- Pierdolić to - wymamrotał starszy mężczyzna i zeskoczył z muru.

Zaczął zbierać strzały z ziemi i po chwili dołączyli do niego pozostali łucznicy.

- Nigdy więcej nie wleziemy, kurwa, na ten mur, wspomnicie moje słowa - burknął starszy łucznik.

Niższy moreański rycerz, nie do wiary, miał butelkę wina. Podał ją ser Johnowi, który pociągnął łyk i przekazał starszemu łucznikowi.

- Ładnie z twojej strony, ser Johnie. - Napił się i podał butelkę dalej.

Miał tuzin ubłoconych strzał za pasem.

Bogliny były ledwie dwadzieścia jardów dalej i wyglądały na wyczerpane. Miały na wpół uniesione pokrywy skrzydłowe i ich szczątkowe skrzydła zwisały bezwładnie.

Łucznicy zaczęli z powrotem wdrapywać się na mur. Tylko jeden człowiek zdołał tego dokonać, bo pozostali mieli zbyt zmęczone ręce, i musiał przywiązać dla nich linę.

Starszy łucznik wypuszczał strzały w bogliny, które brnęły przez błoto. To samo robili pozostali łucznicy, czekając na swoją kolej, żeby się wspiąć na mur.

Bogliny z pierwszej fali padły pokotem. Za nimi tłum stworzeń nie przypuścił ataku. Bogliny i demony ruszyły na zachód, sunąc wzdłuż żywopłotu. Przy wypalanej dziurze pojawiło się coś wielkiego jak troll jaskiniowy, tylko ciemniejsze. Skupiało uwagę na podnóżu albo drugiej stronie doliny.

Dopiero wtedy ser John zrozumiał.

- Za nimi jest ktoś inny i je nęka! - krzyknął. - Na Świętego Jerzego i Albę! Na Chrystusa i wszystkich świętych, chłopcy! Ser Ricar musi być za nimi!

W istocie, usłyszał podobny do ryku wodospadu zgiełk bitewny. Uznał, że za całym odległym żywopłotem toczy się bitwa. Spojrzał w prawo i lewo.

Pod nimi wrogie siły na błotnistym polu sunęły na zachód, wiele stworzeń nisko przy ziemi. Zostawiały za sobą szlak skradzionych przedmiotów - kołdry, koce, buty, lalki i koszyk z jabłkami. Najwidoczniej gdzieś uderzyły na ludzką osadę i nie zostawiły po sobie niczego prócz śmierci, a teraz...

Bezkształtne czarne coś w luce w żywopłocie zawirowało i rzuciło czary. Ser John to widział - a potem znów leżał płasko na plecach.

Nie odniósł poważniejszych obrażeń. Dźwignął się z trudem, w głowie mu huczało i miał wrażenie, że jego kark już nigdy nie będzie taki sam. Amulet, który nosił na piersi - dar Wisharta, przeora zakonu - płonął jak rozgrzany w piecu. Ale on żył.

Pomyślał, że pozbawieni impów napastnicy zaczynają wpadać w panikę, lecz podobna do młota szarża jego rycerzy miała zwolnić w tym samym błocie, które hamowało impy.

Uniósł głowę.

- Jak cię zwa, mistrzu łuczniku?! - zawołał.

- Rozmyślny Mord, panie. - Mężczyzna wzruszył ramionami, jakby przyznając, że nie jest to typowe nazwisko.

- Możesz stąd ich trafić?

Rozmyślny Mord chrząkał. Na przekór zdrowemu rozsądkowi znowu zeskoczył z muru.

- Daleki strzał - powiedział.

Przyciągnął cięciwę do ucha, jego prawa noga zapadła się jak pod wielkim ciężarem, ciało się zakotłosało, gdy napiął potężne mięśnie pleców. Strzelał wysoko i wygiął się w łuk.

Strzała niczym piorun spadła w tłum na polu.

Głowy się obróciły.

- Jeśli ktoś da radę tam dosięgnąć, to śmiało! - zawołał Rozmyślny.

-W przeciwnym razie niech siedzi, kurwa, na murze.

Trzech ludzi zeskoczyło. Wyglądali na przerażonych. Czwarty przez kilka uderzeń serca spoglądał na pole, wzruszył ramionami i poszedł w ich ślady. Zaczął się skradać, zbierając strzały.

- Potrzebuję lżejszej - powiedział, przepychając się obok ser Johna.

Kilka strzał nie przyniosło widocznego efektu. Łucznicy wkładali zbyt wiele wysiłku w to, żeby szybko strzelać - każdy strzał wymagał długich sekund napinania i celowania i ręce im drżały z wysiłku.

Ciężkie drzewca spadały co kilka uderzeń serca w masę boglinów w dole pola.

Ser Giannis podszedł i otworzył przyłbicę.

- Nigdy nie miałem do czynienia z tym... tym... - Jego twarz dziwnie się wykrzywiła.

- Z Dzięzą - odpowiedział ser John z taką uprzejmością, na jaką było go stać.

- Tak - mruknął ser Giannis. - Tak. Ale myślę...

Ser John próbował odgadnąć, co się dzieje za następnym żywopłotem.



- Myślę, że te niewybite przez łuczników ruszą prosto na nas. Tak?  
- Ser Giannis piękną, oblepioną juchą włócznią wskazał w dół pola.

Ser Eneas z zaśmiał się bezlitośnie.

- Wiele rzeczy, które mówił mi mój fechtmistrz, teraz nabrało sensu.

W dali jedna ze strzał Rozmyślnego Morda, spadając prawie pionowo, uderzyła demona w głowę. Weszła w czaszkę i wielkie stworzenie upadło jak długie w błoto, jakby zostało powalone przez cios anioła.

Warczenie, ryczenie i trzaskanie rozbrzmiewało coraz bliżej.

Wieki róg znowu przemówił - wydał trzy długie tony.

- Do diabła, co to? - zapytał ser Dagon.

Błysk metalu w luce w żywopłocie. Błysk, błysk.

Trzy długie głębokie tony wielkiego rogu.

Następna eksplozja fioletowo-czerwonego światła, tym razem w zakątku pola. Ogień liznął żywopłot.

Trzy zielone kule ognia zmaterializowały się w powietrzu w odstępach równych połowie uderzenia serca.

Nastąpiły trzy kolejne eksplozje. Jak huk pioruna, który uderza w pełne soku wiosenne drzewo, każdy ostry trzask ogłuszał ludzi na szczycie wzgórza, wyrzucając przy tym fontanny krwi i kości w letnie niebo.

Ser John stwierdził, że osunął się na kolano. W uszach mu dzwoniło pomimo zamkniętego hełmu i grubej wełnianej wyściółki. Plamki latały mu przed oczami.

Na polu leżało mnóstwo martwych boglinów. Na ziemię spadło oddarte od ciała ramię demona.

Czarny stwór poruszał się teraz tak, jakby miał nie dwie, ale cztery nogi. Zniknął w luce w żywopłocie.

Ser John dostrzegł kolejny błysk stali i był pewien, że rozpoznaje smukłą, wyprostowaną sylwetkę lorda Wimarka w nadzwyczajnej zbroi.

Nie po raz ostatni patrzył, zachodząc w głowę, co, u licha, się dzieje.

- Chyba już po bitwie - mruknął ser Dagon.

Ser John wstał. Krzyż palił go ze zmęczenia, cały był mokry od potu i dygotał z zimna.

- Mistrzu łuczniku! - krzyknął.

- Tu jestem, jaśniepanie - mruknął Rozmyślny Mord. - I nie jestem głuchy.

- Poślij łucznika po paziów i konie! - polecił ser John, nie zdając sobie sprawy, że krzyczy.

Jamie Hoek zakasłał.

- Ja pojedę, ser Johnie - zaproponował. - Mój koń jest tuż za murem... jeśli Rory zostawił go tam, gdzie powiedział, że zostawi.

- I jeśli impy go nie dorwały - warknął któryś z rycerzy.

Ser Blaise poległ i został częściowo pożarty. Młody jarsayski rycerz, ser Guy, miał sześć ran, wszystkie w kroczu i pachach. Szybko gasł.

Biedny chłopak płakał z bólu. Jego ręce ledwie trzymały się tułowia. Nogi... cała dolna część tułowia była poharatana. Szok nie wystarczał, żeby chronić go przed wiedzą, co się z nim stało.

Ser John ukląkł i położył rękę na jego policzku.

Młodzieniec krzyknął. Coś się w nim zmieniło, a może pojął, co go czeka, i szloch ustąpił gorzkim wrzaskom.

Trzysta jardów błota dalej lord Wimark pomachał ręką. Brnął nie w ich kierunku, ale wzdłuż żywopłotu. Najwyraźniej tropił pokonaną bandę wrogich najeźdźców.

- Zwariował - mruknął ser Dagon, dokładając starań, żeby nie zwracać uwagi na młodego rycerza konającego w mękach u jego stóp.

Zaczęli pojawiać się inni giermkowie - Tomas Craik i jego brat Alan, i cała reszta z trudem posuwająca się w porządnym zbrojach.

- Nawet Achilles z Hektorem nie zdołaliby przegnać ich wszystkich z tej ziemi - powiedział ser Dagon.

Chłopak wrzeszczał.

- Myślę, że naszym giermkom należy się największy honor w tej bitwie - zgodził się z nim ser John. Żałował, że nie może wstać. Żałował, że chłopak umiera. Żałował, że nie może nic zrobić.

Pomodlił się, co było trudne przy oskarżycielskich krzykach chłopaka tak blisko jego głowy.

Rozległ się ryk - znowu zagrzemiał róg, popłynął jeden długi ton i nagle *ops* wypełniła powietrze. Rzucano czary, kule ognia w różnych kolorach pomykały w jedną i drugą stronę.

- Chryste i zastępy anielskie... - mruknął ser Giannis.

- Haaarrh! - zawył kłęb bólu i strachu kiedyś będący rycerzem z Jarsayu.

Ser John podniósł młodzieńca, chcąc go zmiażdżyć w uścisku. Rozmyślny Mord okazał się szybszy. Schylił się jakby dla zawiązania buta i od niechcienia wbił sztylet w gardło młodzieńca.

- Odejdź szybko, chłopcze - powiedział.

Ser John pozwolił, żeby krew chłopaka spływała po jego napierśniku. Spojrzał w oczy łucznika, który wzruszył ramionami.

- Ktoś musiał to zrobić.

Zaraz potem Rory wrócił z rumakami.

Ser John patrzył na rycerzy, zastanawiając się, czy wygląda na równie zmęczonego i wymizierowanego jak ser Giannis czy ser Dagon.

- Mam zamiar się dowiedzieć, co zaszło, i może zrobić coś więcej przed zachodem słońca - oznajmił. - Ale każdy tutaj zasłużył sobie na prawo do powiedzenia, że już dość dokonał.

Siedmiu rycerzy spojrzało na niego - na okrytego krwią towarzysza - i pokiwało głowami.

- Chodźmy zabijać - rzekł ser Dagon.

\*\*\*

Droga przez pół mili biegła równolegle do pola bitwy. Gdy wiosenne słońce zaczęło zachodzić, w dole dostrzegli sylwetki poruszające się po otwartym terenie. Niektóre okolone żywoplotami pola były małe, a ser John nie znał okolicy na tyle dobrze, by wiedzieć, która dróżka zapewni mu widok na bitwę.

Gdy promienie słońca ze złotych przemieniły się w czerwone, przygalopował jeden z myśliwych i kuszą wskazał na południe.

- Za bramą farmy - powiedział.

Ruszyli. Po godzinie jazdy, podczas której często przystawali, żeby obserwować i nasłuchiwać, dopędzili ich łucznicy na mniejszych wierzchowcach. Paziowie zamykali tyły.

Ser John pierwszy przejechał przez bramę. Farma była piękna, z

porządny kamienny domem jak dwór Helewizy, tylko mniejszym i oszczędzonym podczas ostatniego najazdu Dzikich. Należała do Drapera albo Skinnera - ser John znał tutejszych mieszkańców.

Stary Skinner wyszedł z drzwi, trzymając w ręce ciężką napiętą kuszę.

- Bogliny są w dolnym sadzie - powiedział. - Miałem je na oku przez godzinę. Nie śpieszyliście się... Chryste na krzyżu, wygląda na to, że było ciężko. Ser John! - krzyknął w nagłym zdumieniu. - Plotę, co mi ślina na język przyniesie. Bez obrazy. Woda dla koni... naleję wody do koryta.

Konie rzeczywiście potrzebowały wody i odpoczynku. Gospodyni Skinner, rosta ciężka niewiasta o pięknych oczach i rzeczowym wyrazie twarzy, przyniosła słodkie bułki i cierpki cydr. Ludzie pili bez zdejmowania śliskich od krwi rękawic. Ser John rozejrzał się i zobaczył, że wszyscy są niebiesko-czerwono-czarni od juchy, krwi i błota.

Róg - ten róg, którego dźwięk miał nawiedzać jego sny - zagrzemiał bardzo blisko.

- Wejdźcie do domu i zabarykadujcie drzwi - polecił, popychając gospodynię do wejścia od kuchni.

- I nie żałujcie, że nie mogliśmy do was dołączyć - mruknął Rozmyślny Mord.

- Na koń! - rozkazał ser John.

Jego wielki koń bojowy, najlepszy, jakiego kiedykolwiek miał, jęknął niemal jak człowiek, kiedy go dosiadł. Ser John pokłusował przez podwórze i przy narożniku stodoły zobaczył gospodarza z ciężką bronią gotową do strzału. Skinner pobiegł do następnej bramy, przystanął, bacznie się rozejrzał i dopiero wtedy ją otworzył. Przeszedł na drugą stronę.

Ser John przejechał tuż za nim. Nie był pewien, dlaczego to zrobił, może czuł, że to on powinien ochraniać farmera, a nie na odwrót.

Zaniepokojenie rumaka powiadomiło go o obecności wrogów zanim jeszcze ich dostrzegł. Byli na następnym polu, blisko dna doliny. Zmierzali na północny zachód, najwyraźniej do leżącego kilkanaście mil dalej Lissen Carak. Na północy ciągnął się las i ku

niemu zmierzali najeźdźcy.

Ser John minął farmera i pokłusował po błotnistym polu. Widział wroga za następną bramą.

Otoczone murem pole, po którym jechał, nie było zaorane, inaczej koń zapadałby się po pęciny. Były tam tylko dwie bramy - ta, przez którą przejechał, i druga przed nim.

Podjechał. W tej samej chwili kula czarnego ognia uderzyła w bramę i wyrwała ją z zawiasów.

Długi na cztery stopy stwór sadził susami po niezaoranym polu. Ser John nie myślał. Po prostu zatrzasnął przyłbicę i spał ostrogami Iskandra, który zareagował z całym szlachetnym sercem, o jakie rycerz może prosić konia, i ruszył z kopyta pomimo miękkiej, zdradliwej ziemi.

Duże czarne stworzenie, które poruszało się tak szybko, że było prawie amorficzne, stanęło na zadnich łapach.

Był to troll.

Rzucił mocą.

Ser John miał wrażenie, że amulet na jego piersi się topi i spływa po skórze. Wrzasnął, ale przejechał przez chmurę czarno-niebieskiego ognia, i opuścił grot kopii o szerokość dłoni...

Grot trafił w środek głowy. Nawet wysoki na dziesięć stóp kamienny posąg zostałby zniszczony przez uderzenie kopią napędzaną przez prędkość połączoną z ciężarem konia i jeźdźca. Grot trafił w poziomy garb nad oczodołami - zgiął się - i pękł.

Ale czarny troll runął na ziemię.

Ser John nie musiał kierować rumakiem, który skreślił, gdy tylko poczuł przeniesienie ciężaru. Był odsłonięty, plecami do wroga - w przelocie dostrzegł tuzin pędzących na niego unurzanych we krwi i błocie demonów, za nimi bogliny, a jeszcze dalej na skraju pola...

Błysk jasnego złota w ostatnich promieniach słońca.

Pokręcił głową i dobył miecza gotów drogo sprzedać życie.

Wielki czarny troll siedział z rozrzuconymi nogami jak wysokie na dziesięć stóp dziecko, które się zraniło.

Potrząsnął głową, po chwili znowu...

Ser John uśmiechnął się ponuro. Iskander posuwał się ledwie

ciężkim kłusem, ale uderzył przednim kopytem w trolła i podkowa zadzwoniła o kamień, a potem ser John z całej siły trzasnął młotem bojowym w pęknięty łeb.

Zamiast umrzeć, troll niemal od niechcenia wyciągnął łapę i strącił go z siodła, łamiąc mu lewą rękę. Ser John zdążył zobaczyć, że ma zmiażdżone lewe zarękawie.

Leżał w błocie i chciał umrzeć. Nie mógł unieść głowy.

Ponad nim przemykały czary. Coś uderzyło opodal i zasypało go gradem błota, potem przepłynęła fala niewiarygodnego gorąca i starał się nie oddychać.

Zaczęły spadać ciężkie strzały. Widział dwie, jak nadlatują, ale nie mógł poruszyć głową - jakieś mięśnie w plecach musiały zostać naderwane, a może był wypatroszony i umierał. Trudno powiedzieć. Nie czuł bólu, nawet złamanej ręki, więc nie wiedział, w jakim jest stanie.

Później zapadła cisza. W hełmie niewiele słyszał, ale czuł drzenie ziemi, jakby coś wielkiego kroczyło przez pole. Sięgnął zdrową ręką po sztylet.

Kierowało się ku niemu.

Skowyt narodził się w głębi jego gardła i wiedział, że jeśli wypuści go z ust, to będzie oznaczać jego śmierć. Dlatego spróbował wyobrazić sobie Helewizę - jej cudowne nagie ciało, pogodę ducha, krągłości...

Lepiej umierać z myślą o piersiach Helewizy niż zawracać głowę Chrystusowi, niezależnie od tego, co mówili księża.

Coś nadciągało.

Ziemia się trzęsła.

Nie mógł się powstrzymać. Otworzył oczy.

Piętrzyło się nad nim wielkie, porośnięte futrem, ubłocone stworzenie. Przypominało gigantycznego szczura, ale poznał, że to bardzo brudny złoty niedźwiedź.

Wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze.

Niedźwiedź pochylił się nad nim.

-Ty... znowu? - zapytał niskim, chrapliwym, majestatycznym głosem.

Ser John pomyślał, że mógłby się śmiać do końca świata.

- Musimy położyć kres takim spotkaniom - wyszeptał.

\*\*\*

Niebo jeszcze nie pociemniało, ale dla ser Johna dzień się skończył. Paziowie i łucznicy musieli odeprzeć atak dwóch bargestów, które przybyły od strony zachodzącego słońca, choć za późno, żeby zapobiec pogromowi. Dopadły paziów na koniach i dwóch zabiły, ale dzięki ich zainteresowaniu końskim mięsem łucznicy mieli czas je wystrzelać.

Ser John leżał pomiędzy korzeniami wielkiego drzewa oparty plecami o stary pień. Byli na samym skraju lasu.

Stary niedźwiedź był wysoki jak troll i równie masywny. Nosił dużą torbę ciężką od naszytych czerwonych i czarnych igieł jeżozwierza. Miał topór, solidny żołnierski topór z dalekiej Etrurii.

Siedział jak człowiek z plecami zgarbionymi ze zmęczenia, z rozsuniętymi łapami. Jamie Hoek z wielką ostrożnością podał mu kubek wody.

- Zwą mnie Krzemień - przedstawił się stary niedźwiedź.

Wokół nich wśród wiekowych klonów na skraju nocy krążyły dwa tuziny innych niedźwiedzi. Ich sierść, choć powalana błotem, łajnem i krwią, od czasu do czasu połyskiwała jak złoto.

Ser John wyciągnął zdrową rękę.

- Jestem ser John Crayford. Kapitan Albinkirku.

- Pan śmierdzących domów - powiedział niedźwiedź.

Ser John zgrzytnął zębami z bólu.

- Chyba tak. A ty?

- Ja przewodzę klanowi Krzywego Drzewa - odparł Krzemień. - Od pięćdziesięciu lat.

- Ocaliłeś nas.

- Bardziej, niż ci się wydaje! - Krzemień pokiwał głową. - Ale w zimę ty i Światło, które Świeci, przyszliscie w głębokie lasy i ocaliliście mnie. I wielu moich ludzi. - Bardzo po ludzku odwrócił głowę, ale ser John zdążył odczytać wyraz jego pyska. - Ta armia zamierzała napaść na wasze śmierdzące domy.

Ser John przygryzł wargę. Kiedy zapanował nad bólem, mruknął:

- Tak.

- Czarnoksiężnik z pełną siłą maszeruje na Ticondagę - podjął stary niedźwiedź. - Odmówiliśmy, gdy zażądał, żebyśmy się mu podporządkowali. Tylko że większość moich pobratymców nienawidzi ludzi, wszystkich ludzi, bardziej niż czarnoksiężnika. A przynajmniej tak samo.

Podszedł drugi niedźwiedź, gibki, niemal chudy po zimie, i kucnął przy starym. Ser John osądził, że ten drugi jest znacznie młodszy.

- Zbudziliśmy się i znaleźliśmy jego szpiegów w naszych gawrach. Czarnoksiężnik zmasakrował jeden z klanów, po prostu, żeby pokazać, że może. - Zdawało się, że Krzemień mówi sam do siebie.

- Jak mogę pomóc? - zapytał ser John.

Stary niedźwiedź na niego spojrzał, kiwając pyskiem na boki.

- Daj nam wolną drogę na zachód - odrzekł. - Mamy przyjaciół na zachodzie.

- Przeoryszę? - zapytał ranny rycerz.

- Czy Światło, które Świeci, nie jest jednym z jej samców? - zapytał stary niedźwiedź.

Ser John jęknął, miał bowiem ochotę wybuchnąć śmiechem, przeciwko czemu protestowało pęknięte żebro. A może kilka żeber.

- Przeorysza jest zakonnica. Zakonnice są kobietami, które nie mają partnerów. - Ser John ostrożnie odetchnął.

- Tak, niektóre niedźwiedzice są takie same, kochają się tylko między sobą, niedźwiedzica z niedźwiedzicą - powiedział Krzemień.

Ser John pokiwał głową.

- Tak... ale nie. Zakonnice nie łączą się w pary.

- Słyszałem o tym, ale założyłem, że to jedna z tych przesyconych nienawiścią plotek, które wymyślają młodzi. Chcesz powiedzieć, że niektórzy ludzie wcale się nie parzą? Co robią na wiosnę? Hibernują?

Ser John po raz kolejny zrobił ostrożny wdech.

- Bardzo dobrze jak na niedźwiedzia mówisz językiem zachodu.

-Niedktórzy z nas spotykają się z ludźmi - przyznał niedźwiedź. - W N'Ganie albo nawet Ticondadze. - Warknął. - Nie używamy ognia, ale stalowa siekiera rzeczywiście jest strasznym narzędziem.

- W takim razie, skoro istnieje handel, musicie coś o nas wiedzieć.



Niedźwiedź znów warknął.

- Więcej, niżbym chciał. Dasz nam wolną drogę na zachód? Bez zagrożenia ze strony twoich ludzi?

Ser John opadł na pień.

- Dokąd zmierzacie? - zapytał. - Powiesz mi, co ci wiadomo o czarnoksiężniku?

Niedźwiedź stanął na czterech łapach.

- Mam wiele do powiedzenia. Jesteś poważnie ranny? Twoja zewnętrzna skorupa wydaje się nienaruszona.

- Jestem ranny - wyznał ser John.

Jamie de Hoek wyszedł z ciemności.

- Przyszło mi na myśl, że może ci zasmakuje - powiedział, podając niedźwiedziowi garnek.

Niedźwiedź usiadł jak pluszowy miś, rozsuwając nogi. Postawił garnek między nimi i ściągnął pokrywkę.

- Dziki miód? - wymruczał tonem, w którym brzmiały nuty czystego łakomstwa.

Jamie, giermek doskonały, uśmiechnął się i jego zęby zalśniły w półmroku.

- Pomyślałem, że ci zasmakuje - powtórzył.

Nieco później niedźwiedź wysunął lepki pysk z pustego garnka i warknął.

Ser John zasypiał na siedząco, ale próbował być uprzejmy.

- Lord Wimark może cię eskortować - powiedział. - Mamy armię na drodze do Lissen Carak. Lord Wimark dopilnuje, żebyście mieli wolną drogę. Ale może wolałbyś pójść przez lasy...

Niedźwiedź oblizał zęby i skinał głową do Jamiego Hoeka.

- Może zmienię opinię o ludziach - oznajmił.

## **Liwiapolis - Morgan Mortimir**

Morgan Mortimir wspinał się na szczyt i zaszedł na tyle wysoko, że powierzono mu samodzielne badania.

Niestety, jedną grupę irytujących magistrów zastąpiła druga.

A jednak życie było lepsze. Pogładził swoją modną krótką bródkę, myśląc o Tancredzie Komnenie, która wciąż czasami nazywała go

„Dżumą”.

I która już nie planowała zostać zakonnica. Doszli do porozumienia, chociaż ona pojmowała je głównie jako bezwarunkowe przyzwolenie jej na to, żeby mu dokuczać.

Nagle z rozdrażnieniem zdał sobie sprawę, że pociera swoją krótką szpiczastą bródkę palcami powalanymi atramentem.

- Psia jego mać - zaklął. Miał ochotę czymś rzucić, ale lewa ręka spoczywała na tysiącletnim manuskrypcie niedawno odkrytym gdzieś na wschód od Rhumu, a prawa trzymała naładowane magią pióro, którego też nie mógł poświęcić.

Ograniczył się do miotania przekleństw. Był w tym coraz lepszy. Dopóki nie bluźnił, mistrz gramatyk przymykał oko.

Znów popatrzył na manuskrypt. Był bardzo stary, prawdopodobnie starszy, niż się wydawało. Na pozór było to kolejne wydanie Arystotelesa, tyle że w nowej szacie. Pewien bystry etruski kolekcjoner zwrócił uwagę na starannie iluminowane wielkie litery, starsze od innych, i przyjrzał się im przez szkło powiększające.

Pergamin został wyskrobany do czysta gdzieś na wschodzie, tysiąc lat temu. Na długo przed tym, zanim hordy Dzikich zalały Ziemię Świętą i zniszczyły wszelkie ślady po człowieku - kiedy Demetriopolis i Aleksandria Frygia były kwitnącymi miastami, a nie przerażającymi nekropoliami, gdzie oprócz nieumarłych ośmielały się zapuszczać tylko najodważniejsi albo najbardziej zdesperowani poszukiwacze przygód i starożytnych pism.

Morgan postanowił, że pewnego dnia, kiedy będzie miał w pełni wykształcone moce, sam uda się do Demetriopolis i Ptolemaiki. Tamtejsza biblioteka kiedyś uchodziła za największą na świecie. Suda, katalog biblioteczny, informował, że zawierała manuskrypty z innych sfer. Z innych sfer! Jego myśli wpadły w wir przypuszczeń, tworzenia i destrukcji, zamknięty jak intelektualny uroboros.

Ale manuskrypt pod łokciem przywołał go do rzeczywistości. Pod pracą starożytnego Arystotelesa skrywało się coś znacznie cudowniejszego. Była to archaicka rozprawa dotycząca rolnictwa z zagnieżdżonymi w niej sześcioma dziełami magicznymi, z których żadne nie zostało rozszyfrowane przez gramatyka. Mistrz przekazał

mu zdumiewające znalezisko, mówiąc:

- Jesteś geniuszem, zobacz, czy dasz radę coś z tym zrobić.

Morgan każdą godzinę z ostatnich czterdziestu poświęcił ustępowi długiemu na trzy akapity.

Rozszyfrował każde archaiczne słowo.

Miał wszystkie tradycyjne gramatyczne części dzieła: początek, który czasami był inwokacją, a czasami służył wzmocnieniu pamięci; orologicum, jak obecnie nazywano proces, dzięki któremu każde dzieło zyskiwało moc dostępną z *ops* i *potentia*; klucz, który zwykle miał różne eleganckie nazwy w dolnym archaicznym i zwykle jedno słowo w górnym archaicznym. Znalazł klucz.

Znał również cel dzieła. Dolny archaiczny Flawiusza Silwy nie dorównywał ostatnio odkrytym starożytnym tekstom, ale czytanie go okazało się względnie łatwe. Morgan posunął się krok dalej, prosząc Tancredę o przetłumaczenie całego fragmentu, gdyż była znacznie lepszą lingwistką niż oh.

„O remedium na złą wodę dla bydła. Rolnik częstokroć brać musi wodę taką, jaka jest, czy zimną, płynącą i czystą, czy też, podczas długiego, suchego lata, zieloną i pełną brudu”.

Morgan dość dobrze to rozumiał.

Kluczowe słowo brzmiało *Purgo*.

Tak, jedno słowo, zwykle bardzo potężne. Kryjące się za nim dzieło magiczne było bardzo skomplikowane. Skomplikowane, z prostym kluczem, bardzo potężnym.

Wczoraj, będąc w znacznie lepszej kondycji, Morgan wypróbował je na szklance wstrętnej brudnej wody, zielonej od kwitnących alg. Towarzyszyli mu Tancreda i jej brat, moreański arystokrata, który z jakiegoś powodu nie spędzał całego czasu z kolegami studentami.

Opanował dzieło, zasilił je, poczuł wnikającą w nie *ops* i dającą mu życie.

A potem... nic. Woda w szklance pozostała ohydnie zielona, jak symbol wrogości Dzikiej wobec dzieł ludzi.

Rzucił trzy razy, mierząc energię dzieła przed i po wlaniu *ops*. Po raz trzeci zrobił to z bratem Tancredy, uczniem pierwszego roku ledwie umiejącym wezwać płomień do zapalenia świecy.

Stefanos wzruszył ramionami.

- Rzucasz wielką ilość *ops* - powiedział.

Morgan tylko pokręcił głową.

Teraz, drugiego dnia, tak zmęczony, że leciwie mógł pisać notatki, wpadł na pewien pomysł. Pomysł był głupi, ale wszak Tancreda przez cały czas mu powtarzała, że jest głupcem.

Stała tuż za nim, nalegając, żeby w końcu przestał i coś zjadł.

Pokręcił głową.

- Zaraz - mruknął. Podniósł szklanke ohydnej wody... i wypił.

Tancreda nie zdążyła wytrącić mu jej z ręki.

- Na zmartwychwstałego Chrystusa, przemienisz się w coś przeklętego, a przynajmniej nigdy więcej nie pocałujesz mnie w usta. Mój Boże, Stafa-nosie, sprowadź lekarza... nie, gramatyka.

Jakby na zawołanie mistrz gramatyk pojawił się w drzwiach.

- Co się stało? - zapytał.

Mortimir wzruszył ramionami. Czyżby burczało mu w brzuchu? Może tylko to sobie wyobraził.

- Wypił wodę - zameldował Stefanos. - Panie - dodał odrobinę późno.

- Wodę? - zapytał gramatyk, ale nie na darmo był mistrzem magistrem. Podniósł szklanke i ją obejrzał. - Algi, forma roślinna... wiedziałeś?

- Pomyślałem, że to może być *animiculus* - odparł Mortimir.

- Dlaczego to wypileś? - dociekał gramatyk.

- Opanowałem dzieło. Miało oczyścić wodę. Moc zniknęła, całkiem sporo mocy. Ale woda się nie zmieniła. - Mortimir wzruszył ramionami.

- Można oczyścić wodę przez gotowanie - zauważył gramatyk.

Morgan przestał patrzeć na ręce i zaczął myśleć. Spojrzał na mistrza.

- W takim wypadku woda zostanie oczyszczona, ale błoto, pył, osady pozostaną.

Gramatyk pokiwał głową.

- Tak.

- Podobnie jest z tym dziełem, tyle że bez udziału ciepła. Wypiłem

wodę, żeby stwierdzić, czy woda rzeczywiście została oczyszczona. - Pokręcił głową. - Zdecydowanie smakuje jak surowa żółć.

Gramatyk pokiwał głową.

- Sensowne podejście, jakkolwiek w obłądny, zbytnio męczący sposób. Wezwij jeśli się rozchorujesz. - Wyszedł.

Tancreda pokręciła głową.

- Będziesz rzygać jak kot.

Mortimir zadrżał, ale czuł, że przebiega w nim proces. Zignorował piękną despoinę Komnenę, żeby podnieść szkło powiększające, którego używał podczas pracy nad manuskryptem. Spojrzał przez nie na algi w szklance. W powiększeniu były jeszcze okropniejsze.

Jego pomysł nie przynosił owoców. Patrzył i patrzył, ale nie doszukał się żadnych złośliwych kształtów żyjących w zielsku - ani ich zwłok, co mogłyby tłumaczyć takie duże zużycie *ops*.

Po dwóch godzinach pracy nad dziełem powiększającym, próbując stworzyć soczewki z powietrza, uświadomił sobie, że przecież nic nie wie o soczewkach.

Tancreda przewróciła oczami.

- Pojdę do biblioteki - powiedziała. - Dlaczego nie zapytasz szlifierza szkła?

Morgan klepnął się w kolano.

- Genialne! - krzyknął i wyskoczył za drzwi bez sakiewki i peleryny.

Pod jego nieobecność Tancreda zwróciła się do brata:

- Teraz rozumiesz, dlaczego go kocham.

Wzruszył ramionami.

- Nie. To wariat. - Wyjrzał na ulicę, gdzie Morgan biegł co sił w długich nogach jak podczas wyścigu na hipodromie.

Tancreda narzuciła pelerynę, znalazła talizman do biblioteki, naciągnęła kaptur i założyła maseczkę.

- Nie. Nie zawsze łatwo się z nim rozmawia, ale nie jest wariatem.

- Skąd to nagłe zainteresowanie soczewkami? Czytaliśmy stary archaicki, a potem... trach! - Stefanos się zaśmiał. - Zupełnie jak małe dziecko.

- Może trudno za nim nadażyć - przyznała Tancreda. - Ale jeśli

dobrze go rozumiałam, zdecydował, że dzieło spełnia swoją rolę i zabija, usuwa albo może przyzywa coś naprawdę bardzo małego. Teraz potrzebuje narzędzi do obserwowania, żeby udowodnić swoją teorię. Stąd soczewki.

Stefanos patrzył na nią przez chwilę.

- Zrozumiałaś coś z jego mamrotania?

Tancreda wzruszyła ramionami.

- Daj mi dwadzieścia dukatów. Tak, a także z tego, jak przesuwał rękę po tym fragmencie, i jak podnosił szklanę. Tak.

- Jesteś równie obłąkana jak on - stwierdził jej brat. - I nie myśl, że nie wiem, że go całowałaś, wszeteczniczo.

Ostatnie słowo powiedział z mniejszym jadem, niż można przypuszczać.

- A ja wiem, gdzie trzymasz swoją małą Iffriqu'yanę - oznajmiła spokojnie Tancreda. - Przyganiał kocioł garnkowi.

- Nie możesz za niego wyjść - powiedział jej brat. Było to bardziej pytanie niż stwierdzenie. Co więcej, marudził.

- Mogę i wyjdę - oświadczyła stanowczo Tancreda. - Zobaczysz.

Stefanos od urodzenia wiedział, że jego siostra zawsze umie postawić na swoim. Nie wątpił w jej słowa.

- Rodzinne kolacje... - jęknął.

Trzasnęły drzwi. Tancreda wyszła, zostawiając młodego człowieka samego z bajecznie starożytnym manuskrypcem, kotem i szklanką alg.

Pogłaskał kota.

\*\*\*

Dwieście lig dalej na zachód starzec obozował samotnie w miejscu, gdzie potężny Cohocton spotykał się z Dodockiem spływającym ze wzgórz na południu. Poruszał się sztywno, rozjuczając muła i wykładając rzeczy, a potem karmiąc jucznego i pięknego wierzchowca. Gdy zwierzęta najadły się i uspokoiły, zapadła noc. Ognisko z brzozy i suchego klonu stało się jedynym źródłem światła i ciepła w promieniu wielu mil.

Mężczyzna przez chwilę rozgrzewał ręce, później usmażył trochę boczku na małej żelaznej patelni ze składaną rączką.

Konie zaczęły się niepokoić.

Starzec dojadł boczek. Uniósł głowę i patrzył w ciemność, jakby mógł ją przeszyć wzrokiem.

Po chwili poszedł do juków, które cierpliwy muł dźwigał przez cały dzień, otworzył torbę i wyjął butelkę czerwonego wina. Była to luksusowa rzecz w takim prymitywnym obozowisku - starzec nie miał namiotu, posłania, kubków.

Po chwili wyczarował dwa rogowe kubki.

Wrócił do ogniska i je podsycił. Wyjął przemyślnie wykuty składany mosiężny świecznik, umieścił w nim woskową świecę i zapalił ją pstryknięciem palcami.

Podmuch wiatru zgasił płomynek.

Zapalił ją na nowo. Kiedy odwrócił się plecami, znów zgasła.

Warknął. Ostrożnie ruszył w ciemność do powalonej brzozy - z tego powodu tutaj wybrał miejsce na obóz - i zdarł długi pas kory.

Wrócił do świecznika i zrobił z kory osłonę przed wiatrem, po czym pstryknął palcami, żeby zapalić świeczkę.

Usiadł na zrolowanej pelerynie i jadł boczek.

Kiedy skończył, uważnie się rozejrzał. Zabrał małą żelazną patelnię nad strumyk i wyszorował ją piaskiem i kamykami. Koń parsknął.

Starzec wrócił do ognia, dorzucił dwa brzozowe kawałki i usiadł wygodnie w korzeniach drzewa, żeby odpocząć. Patrzył na gwiazdy i księżyc wysoko na niebie.

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

Wyjął fajeczkę z sakwy i tytoń z torby myśliwskiej.

- Nowa słabostka - powiedział i były to jego pierwsze słowa od wielu dni. - No, no.

Był przystojnym mężczyzną i w sumie nie takim starym. Miał ciężkie ciemne brwi i szpakowate włosy, które wiązał na karku rzemykiem z jeleniej skóry. Nosił piękny kaftan z czerwonej wełny z jedwabną podszewką, a pod nim porządną płócienną koszulę, do tego gacie w albańskim stylu, nogawice i skórzane buty z cholewami, które sięgałyby do połowy uda, gdyby ich nie zwinął do kolan.

Długi miecz stał oparty o pień przy jego głowie.

Starannie nabił fajkę i zapalił ją od węgielka z ogniska. Wciągnął

dym do płuc i zakaszał.

Wydmuchnął na próbę kółko dymu.

- Chodź i nalej sobie kubek wina! - zawołał nagle.

A może po prostu wariuję, pomyślał.

Coś zaszeleściło przy strumieniu. Bełkot strumyka zagłuszał wiele dźwięków, jednakże nie wszystkie.

W przeciwieństwie do dawnego ciała to nowe miało nadzwyczajny słuch. I było wyjątkowo dobre pod tym względem, że budził się bez sztywności.

- Ciekawe, czy wino jest dobre - powiedział ktoś poza zasięgiem światła.

- Dobre - odparł starzec. Wskazał kubki. - Nalejesz sobie?

Wsunął między wargi ustnik długiej fajki i znowu się zaciągnął, po czym powoli wypuścił dym. Dym wpłynął w blask ognia i rozlał się jak woda.

Kiedy wiatr go uniósł, przy ognisku stał mężczyzna, a raczej osobnik o ludzkich kształtach. Był ubrany na czerwono: czerwone rajtuzy, czerwona przeszywanica sznurowana czerwonym sznurem i lamowana złotem.

Nad strumieniem krążył tuzin duszków jarzących się ze zdumienia.

Starzec - nie taki znowu stary - pyknął z fajki.

- Dobry wieczór - powiedział.

- Miłe spotkanie, a ty jesteś wielce uprzejmym intruzem - rzekł na to przybysz. - I wino jest dobre.

- Przepraszam za najście - powiedział mężczyzna z fajką. Pomachał nią. - Spowodowałem niewiele zniszczeń poza tym, że spaliłem trochę drewna z powalonego drzewa. Nie polowałem.

Przybysz lekko podzwaniał, gdy się ruszał - do ubrania były przyszyte małe złote dzwoneczki i kiedy dźwięczały, duszki wtórowały im śmiechem.

- W lepszych czasach mógłbyś być uważany za mile widzianego gościa. - Światło ognia ujawniło nieludzką doskonałość twarzy przybysza świadczącą, że jest irkiem.

- Czy mam zaszczyt zwracać się do Baśniowego Rycerza? - zapytał



człowiek.

- Owszem. Zapach wina przyciągnął mnie tak pewnie jak zaklęcie i wyrzeczenie mojego prawdziwego imienia! - Irk się roześmiał.

- Nie znam twojego prawdziwego imienia, a gdybym znał, nie wypowiedziałbym go głośno. Ale kiedyś słyszałem, że lubisz dobre wino. Przypuszczam, że tutaj brakuje etruskiego czerwonego winna.

Irk się roześmiał - i napił.

- Jest bardzo dobre. Może daruję ci życie, a nawet pozwolę polować. Karibu ruszą za kilka tygodni. Mogę poświęcić jakieś pół miliona.

Starzec przewrócił oczami.

- Karibu - powiedział.

Baśniowy Rycerz pokiwał głową.

- Wędruje ich tak wiele, że ani człowiek, ani nikt z Dzikich nie może przeciąć ich szlaku. Miliony za milionami zmierzają na południe. - Wzruszył ramionami. - Mógłbym przypisać ci imię. Kto ci powiedział, że lubię wino?

- Król Alby.

- Ach, szkoda mi go. Słaby człek, a jednak taki silny. - Irk wzruszył ramionami. - Bardziej lubiłem jego ojca, ale oni tak szybko przychodzą i odchodzą.

Starzec wyssał cuchnący dym z dna główki fajki. Wystukał żar o podeszwę buta.

- Nie obawiaj się mnie - powiedział irk.

- A powinienem?

- Chcesz czegoś? Wino jest bardzo dobre. - Wyciągnął rogowy kubek. - Mogę prosić o więcej?

- Weź butelkę, jeśli chcesz - powiedział mężczyzna. - Chociaż, prawdę mówiąc, sam z przyjemnością wychylę kubeczek. Pójdiesz na wojnę z Głogiem?

Irk nie okazał zaskoczenia, nawet się nie poruszył.

- Nie rozmawiam o takich sprawach z przypadkowo spotkanymi nieznajomymi. - Nagle otoczył go bąbel ognia.

- Naprawdę nie mam złych zamiarów, przyszedłem złożyć hołd lenny. - Starzec pokiwał głową. - Na jakiś czas.

Odziany na czerwono irk opuścił tarczę i nalał wina do kubków.

- Poprzednim razem, kiedy siedziałem z człowiekiem w tych lasach, zaatakował mnie Głóg. - Ściągnął brwi. - Nie skończyło się to dla mnie zbyt dobrze.

Mężczyzna wziął kubek z wyciągniętej ręki irka.

- Musimy dopilnować, żeby to się nie powtórzyło - powiedział. - Ale Głóg nie jest prawdziwym wrogiem. Głóg jest tylko kolejną ofiarą.

- Wypowiedziałeś jego imię dostatecznie wiele razy, żeby go zaprosić do swojego ogniska - zauważył Baśniowy Rycerz.

Starzec pokiwał głową.

- Nie przyjdzie. Nawet nie spróbuje przeszkodzić mi w dalszej drodze. Co więcej, ani mnie nie widzi, ani nie słyszy, nawet kiedy wymawiam jego imię.

Irk pokiwał głową i wypił wino.

- W takim razie wiem, kim jesteś. Gratuluję ci, że żyjesz.

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Życie jest rozkoszne.

Baśniowy Rycerz się roześmiał i wszystkie duszki zaśmiały się przy strumyku.

- Może właśnie tak wybierzemy strony do tej walki. Nie dobro przeciwko złu, ale po prostu ci, którzy uważają ten świat za przyjemny, przeciwko tym, którzy go mają za brzemię. Głóg sądzi, że świat jest mroczny i ponury.

- Bóg wie, że nie szczędzi starań, by go takim uczynić. Bardzo to ludzkie - skomentował mężczyzna.

- W lasach się mówi, że wkroczyłeś na mroczną ścieżkę - powiedział Baśniowy Rycerz.

Człowiek wzruszył ramionami.

- Droga do piekła jest brukowana dobrymi chęciami. Możliwe, że na nią wstąpiłem, ale mam cel i wroga. Będę walczyć, dopóki wojna się nie skończy albo nie polegę.

- Tak - mruknął irk. Nalał sobie wina. - Znasz prawdę.

- Znam prawdę - przyznał mężczyzna, który kiedyś był Harmodiuszem.

Trącili się kubkami.

- Nie poproszę o hołd kogoś tak potężnego jak ty - oznajmił irk. -  
Będziemy sprzymierzeńcami.

Harmodiusz dotknął kubkiem zrębu kubka Baśniowego Rycerza.

- Miłe spotkanie przy ognisku, panie. Będziemy...  
sprzymierzeńcami.

\*\*\*

Bill Redmede szykował się na wojnę. On i jego Jackowie - rzecz jasna tylko ci, którzy przeżyli długi marsz - musieli sporządzić dla siebie wiele rzeczy, które nie zawsze mogli kupić albo ukraść. Przede wszystkim strzały, ale również ubrania i kołczany. Sakwy z twardej skóry zostały zastąpione bardziej miękkimi zamurzańskimi torbami, a wełniane rajtuzy skórzanymi pończochami ze starannie wyprawionej jeleniej skóry.

Większość wciąż miała białe kaftany, choć podniszczone i pokryte plamami w setkach odcieni ziemi.

Bill przyglądał się, jak pracują - obserwował, jak układają drzewce po drzewcu w przygotowanych dla nich kołczanach, po czym zabierał ich na bieg po lasach, wskazując cele po lewej i prawej stronie. Przez zimę nabrali tłuszczu, ale dzięki temu stali się wytrzymalsi. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety znaleźli sobie partnerów wśród Zamurzan, niemal jakby ktoś posiał wśród nich sugestię, że mają zapuścić korzenie. Zawarto śluby, bez księży. Wiele brzuchów się zaokrągliło od czasu Yule, Bożego Narodzenia.

Ale odkąd śnieg zaczął się cofać w głąb lasu, a potem zupełnie topnieć - od czasu, gdy Nita Qwan ruszył na wschód i gdy dziesięć dni później gwałtownie pękły lody - Dulwarowie i wszyscy inni Zamurzanie, którzy mieszkali wokół N'gary, zaczęli szkolić wojowników. Ludzie Billa Redmede'a dołączyli do nich z własnej woli i nauczyli się, jak rzucać toporkami, które nosili wszyscy Dulwarowie, mężczyźni i kobiety, i jak robić lżejsze strzały z trzciny, która rosła wokół morza wewnętrznego i o tej porze roku była sucha i gotowa do zbiorów.

Ale Bill zgodził się na sojusz. Wiedział, co nadchodzi i czego się spodziewać.

Większość jego ludzi szła na wojnę, w tym niemało kobiet. Bess

mimo zaawansowanej ciąży była ponuro zdeterminowana by uczestniczyć w wyprawie, dopóki wszyscy Jackowie nie przegłosowali, że żadna brzemienna nie pójdzie na wojnę.

- Jeśli zginiemy - powiedział Jamie Cartwright - dzięki wam, dziewczyny, wspomnienie o nas pozostanie żywe.

Bess klęła i nie odzywała się do nikogo przez cały dzień.

Tapio - Baśniowy Rycerz - usiadł przy niej. Zawsze cieszyła się na jego widok, jakby był aniołem lub bogiem.

Ujął jej rękę.

- Bess - powiedział. - Jeśli zatriumfujemy, nie będzie ci brakować niczego oprócz przemocy. - Wzruszył ramionami. - Ale jeśli zawiedziemy daję ci słowo, nasz wróg tu przybędzie i obie z Tamsin będziecie mieć walki powyżej uszu.

Nawet jemu zaprezentowała niezadowoloną minę.

- Nie dołączyłam do Jacków, żeby zostawać z tyłu tylko dlatego, że mój brzuch jest pełen męskiego nasienia.

- Gwarantuję, nie zabraknie kolejnych wojen, to pewne jak jutrzejszy wschód słońca - powiedział z krzywym uśmiechem. - Wszystkie stworzenia tego świata prowadzą wojnę. Tyle mamy wspólnego. - Wstał jak umięśniony wąż, z elegancją nieosiągalną dla ludzkiego ciała.

Tak więc Bess uporządkowała drzewce i przygotowała sosnową żywicę, której używali do mocowania grotów. Podczas gdy Zamurzanie wykonywali tańce wojenne, strażnicy Mogon przybywali z północy i lud Exrecha rojnie napływał z dalekiego zachodu z opowieściami o wojnie i powodzi, Jackowie zakończyli przygotowania, załadowali torby jedzeniem i przyglądali się swoim sprzymierzeńcom.

Fitzalan miał nową brodę i nowy, bardziej dojrzały sposób zachowania. Już nie atakował wszystkiego, co widział. Przygadał sobie Liri, Zamurzanekę o oczach w kształcie migdałów pochodzącą z dalekiego zachodu, gdzie podobno płynie rzeka szeroka jak jezioro. Jej lud zwał się Renderami, a ich skóra, oczy i włosy miały złociście brązowy kolor.

A może to ona przygadała sobie jego. Z nich dwojga wydawała się

bardziej władcza.

Dwie noce przed wymarszem całej armii na wschód Baśniowy Rycerz zwołał wielką radę w swojej sali. Harfiarze śpiewali o wojnach przeszłości. Żadna pieśń nie opiewała chwały, większość mówiła o klęsce i bólu, o cierpieniu straty, o rozpaczycie ciężko rannych. Muzyka brzmiała niepokojąco i pięknie.

Bill Redmede siedział i rozmyślał o przebywającym daleko bracie. I o królestwie Alby.

Jak mało teraz dla niego znaczyło. Uśmiechnął się ponuro, gdy uświadomił sobie to, co Nat Tyler zrozumiał już w połowie zimy.

Dla Redmede'a ta sala, N'gara i jej różnoracy mieszkańcy stali się domem.

Skrzywił usta i zerknął na Fitzalana, który pykał z długiej kamiennej fajki na przemian z Aun'shenem, jednym z poruczników Mogon. Niektórzy z wielkich strażników palili. Niektórzy również jedli surowe mięso.

Zycie w N'garze w przeważającej mierze sprowadzało się do tego, żeby tolerować obce zachowanie innych.

- Towarzysze nabraliby ducha, słuchając weselszych pieśni - zauważył Redmede.

Fitzalan wzruszył ramionami.

- Te pieśni są prawdziwe.

Pani Tamsin wyrosła jak spod ziemi.

- Irkowie wysyłają wojowników z przypomnieniem, dokąd idą i co zostawiają - powiedziała. - Może wy, którzy żyjecie tak krótko, macie mniej do stracenia. A jednak wydaje mi się to dziwne... pomyślałabym, że skoro wasze życie jest takie krótkie, to wy, ludzie, będziecie o nie bardziej dbać.

Redmede stwierdził, że trudno jest patrzeć na Tamsin przez długi czas, więc oderwał od niej spojrzenie i skierował je na harfiarzy grających na podium. Za nimi na gobelinie-ktoś-żył ludzie w dziwnych zbrojach wybijali wojowników z włóczniami. Redmede widział gdzieś taką zbroję - na starych posągach pod Harndonem. Archaiczne pancerze, grzebieniaste hełmy, duże prostokątne tarcze. Legiony.

Właśnie kiedy zaczynasz myśleć, że rozumiesz irków albo że są po prostu kolejnym ludem, przypominają ci, że ich starsi żyją od ponad tysiąca lat i pamiętają rzeczy, o których zapomniała większość ludzi. Nawet w książkach.

I że jedni i drudzy pamiętają wydarzenia w taki sam sposób.

Redmede nie spuszczał oczu z muzyków.

- Nieliczni z nas dbają o życie, pani.

- Śmiertelniku, najmniej, co możesz zrobić dla swojej słodkiej Bess i wszystkich jej pocałunków, to wrócić do domu. - Tamsin uśmiechnęła się czarująco jak wszystkie dziewczęta we wszystkie namiętne wiosny świata, przemieniając się w kobietę ze szpiczastymi zębami. - Zapomnij o chwale. Idź późno, walcz krótko, odejdź wcześniej i wróć do domu żywy.

Redmede się roześmiał.

- Pani, zachęcasz mnie do dezercji.

Tamsin rozłożyła ręce.

- Wojna jest potworem, który pożera rozumne rasy. Każdemu przyjacielowi radziłabym jej unikać.

Bill Redmede pokiwał głową.

- Ale kto powstrzyma potęgę czarnoksiężnika? Kto ocali niedźwiedzie albo chłopów pańszczyźnianych na polach?

Skinęła głową w stronę gobelinu-który-żył.

- Może powinni sami się ratować. - Uniosła rękę. - Pokój, przyjacielu. Nie znajdziesz argumentu, który wynagrodzi Tamsin stratę jej pana na wojnie.

Na radzie Baśniowy Rycerz stał samotnie w miękkim świetle na podium, w czerwonym ubraniu ze skóry i pajęczego jedwabiu. Rozłożył ręce w geście tak sugestywnym, że wszyscy zgromadzeni umilkli, bogliny, bagienne trolle i złote niedźwiedzie, opiekunowie, irkowie i ludzie.

- Jutro pomaszerujemy na wojnę - oznajmił.

W sali panowała cisza. Ani mucha nie brzęczała, ani ćma nie latała na bezgłośnych skrzydłach.

- Nie maszerujemy podbijać. Będziemy walczyć tylko w obronie naszych przyjaciół. Prędkość będzie naszą zbroją, a cisza naszą tarczą.

Szerzej rozpostarł ramiona i pojawiła się jarząca wizja widzianych jakby z wysoka wzgórz u stóp zachodnich Adnaterni.

- Na zachód od Lissen Carak jest mur - podjął. - Biegnie podnóżem z północy na południe. - Wskazał wieże na murze. - Tu będziemy musieli go przebyć. Stacjonuje tam królewski garnizon, który zniszczymy. - Uśmiechnął się, pokazując kły. - Wszak nigdy nie uważaliśmy, że te ziemie należą do tak zwanego króla Alby.

Niektórzy Jackowie ryknęli z aprobatą. Inni mieli zakłopotane miny.

- Kiedy przejdziemy za mur, będziemy musieli posuwać się szybko. W naszą stronę zmierza kilka klanów niedźwiedzi, musimy je osłaniać i chronić.

- Gdzie jest Głóg?! - ryknęła opiekunka, siostrzenica Mogon, Tremog. Jej błękitno-biały grzebień sterczał prawie pionowo.

Tapio pokiwał głową.

- Tutaj można bezpiecznie wypowiadać jego imię - powiedział i wymienił spojrzenie z wysokim, chudym, ciemnowłosym mężczyzną, który siedział na krześle na podwyższeniu. - Chociaż, kiedy ruszymy, poproszę, żeby żaden członek naszego przymierza tego nie robił. Chcemy minąć zewnętrzny pas ochronny Alby bez wykrycia, a jego szpiedzy są wszędzie. - Spojrzał na ciemnowłosego mężczyznę, a ten wstał.

Rozłożył ręce i przemówił cichym głosem, który mimo to niósł się po całej sali.

- Głóg maszeruje do Ticondagi, żeby rozpocząć oblężenie - oznajmił. - Dzisiaj stoczył bitwę na drodze, którą zrobili jego niewolnicy. Hrabia Zachodniego Muru urządził na niego zasadzkę. Niestety czarnoksiężnik ma dobrych doradców wojskowych i hrabia odniósł niewielki sukces. Najpóźniej jutro Głóg stanie pod fortecą.

- Będziemy z nim walczyć? - zapytała Tremog.

Ciemnowłosey mężczyzna spojrział na Tapia, który wzruszył ramionami.

- Trudno przewidywać przyszłość, kiedy angażuje się zbyt wiele Mocy - odparł z brutalną szczerością. - Brak nam ludzi, śmiałości i czarów, żeby stoczyć otwartą bitwę z jego główną armią, ale jeśli

postanowi z nami walczyć, będziemy go nękać jak kojoty.

Grzebień Tremog opadł, a ona jakby zadrżała. Redmede wiedział, że u strażnika jest to oznaką niepewności, nie gniewu.

- Skoro brak nam sił, żeby spotkać się z nim twarzą w twarz, dlaczego wysyłamy armię? - zapytała.

Tapio pokiwał głową.

- Wojna to jedzenie, picie, choroba, cierpliwość, gniew, nienawiść, zimno, skradanie się i groza tak samo jak słodkie srebro, gorzkie żelazo i lśnienie broni w słońcu albo pod księżycem. Zbierzemy tylu ludzi, ilu zdołamy, tylu, ilu zdołamy wykarmić, tylu ilu możemy zebrać szybko. Głóg ma o wiele więcej wojowników. Czy może ich wykarmić? Czy może ich kontrolować? Czy inne siły włączą się do gry?

Mężczyzna pokiwał głową.

- Przynajmniej uratujemy niedźwiedzie. Potem może się wycofamy. Może znajdziemy sprzymierzeńców wśród innych nieprzyjaciół Głoga.

Tremog rozwarła zębate szczęki i ryknęła - u opiekunów uchodziło to za śmiech.

- Chcesz powiedzieć, że nie podzielisz się z nami swoim sprytnym planem. Powiedz, a zostanie wykonany. Kimże my jesteśmy, dziećmi ludzi, żeby się wzajemnie okłamywać? Ty jesteś naszym najwyższym panem. Jeśli nie wyjawisz swoich zamiarów, niech tak będzie. Najgorsze, co możemy zrobić, to odejść.

Wiele stworzeń się roześmiało.

A Tapio im zawtórował.

- Chyba rzeczywiście uczestniczyłem w zbyt wielu naradach ludzi - przyznał. - Prawda, że nie chcę się dzielić wszystkimi myślami. Ale tyle mogę powiedzieć: przekroczyliśmy mur, zbierzemy niedźwiedzie i zobaczymy, co będzie do zobaczenia. Nasz odwrót będzie zabezpieczony i mamy dostateczną siłę, żeby dać Głogowi do myślenia.

- Ty i ten człowiek mówicie tak, jakbyście mogli zobaczyć siły Głoga, a on nie mógł zobaczyć naszych - zauważyła niedźwiedzica. Zdjęła wielką porośniętą futrem stopę z kamiennego stołu i usiadła



prosto. - Głóg jest bardzo potężny. Jak to możliwe, że nas nie widzi?

Ciemnowłosa mężczyzna się uśmiechnął.

- Dość powiedzieć, że mało prawdopodobne, żeby szukał pana Tapio gdziekolwiek indziej niż tutaj.

- Ale kiedy postanowi to zrobić, szybko nas zobaczy - zaznaczył Tapio.

- Stąd czary - wtrącił Redmede. - Kim jest ten pan?

- Byłem martwy - odparł ciemnowłosa mężczyzna. - I ponieważ nie pragnę powtórzyć tego doświadczenia, nie ujawnię się w tej chwili. Ale z czasem to zrobię i obiecuję, że was nie zdradzę, żadnego z was.

Tremog pokiwała głową.

- Słowa ludzi są często bez pokrycia - zaznaczyła. - Ale ludzie uczą się mądrości w Dżicy.

- A co z zachodem?

Wiele głów się obróciło, gdy Liri, piękna kobieta Renarda, podniosła się z miejsca.

- Nie przemawiam w niczyim imieniu poza własnym, ale mój lud przysłał mnie tutaj z ostrzeżeniem. - Uśmiechnęła się do Fitzalana. - Zima minęła przyjemnie...

Baśniowy Rycerz skłonił głowę.

- Pani Renard - zaśpiewał swoim nieziemskim głosem - nie mam łatwej odpowiedzi, żeby cię uspokoić. Cały zachód jest w ruchu. Za wielką rzeką w stu boglińskich ulach wykluwają się wojownicy...

Człek, Exrech, który kuczał przy stole, rozłożył się jak składany nóż na całą wysokość. Jego biały chitynowy pancerz i wydłużona, owadzia głowa wyglądały najbardziej obco w sali pełnej obcych i sprawiały, że wielkie jaszczury Mogon wydawały się znajome i przyjazne.

Kiedy Exrech przemówił, zrobił to częściowo jak człowiek, wydychając powietrze, ale też poruszając stawami i pokrywami skrzydłowymi. Nie był świadom zaniepokojenia, jakie wzbudzał samą swoją obecnością.

- Mogę mówić o zachodzie - powiedział płaskim, nieludzkim głosem. - Nasz wróg, nasz prawdziwy wróg oddziałuje swoją wolą na

Ule Delta, a nasze zostawia w spokoju. Za często nas wzywał na wojnę. Nasza umowa wygasła. Nie wiem nic więcej poza tym, że na zachodzie panuje wielkie poruszenie. Wojna, na którą idziemy, stanowi ledwie dziesiątą część tego, co nastąpi.

Baśniowy Rycerz się uklonił.

- Jest możliwe, że z nas wszystkich ten człek i jego bogliny są najdzielniejsi. Pomaszerowali na wschód, żeby nas wesprzeć, chociaż ich domy są zagrożone.

- Nasza umowa z czarnoksiężnikiem wygasła. Używał fałszywego zapachu i musi zostać ukarany. - Zdawało się, że Exrech zadrzał i jego ciało zaszeleściło jak liście.

- Co nas tutaj ochroni? - zapytała Tamsin.

- Zasłona dymna i wprowadzanie w błąd - odparł śpiewnie Tapio.  
- I dwadzieścia milionów karibu.

Exrech uniósł zuwaczki, co, jak Redmede już wiedział, oznaczało zgodę.

- Rzeka kopyt! - wykrzyknął. - Żadne stworzenie Dzikich, nawet tysiąc ludzkich rycerzy, nie wytnie ścieżki przez rzekę kopyt.

- Więc przez sześć tygodni ten półwysep będzie bezpieczny - oznajmił Baśniowy Rycerz.

\*\*\*

Tej nocy Głóg patrzył w niebo, gdy Tapio Hatija osłonił swoją warownię. Było to głębokie, potężne dzieło - niemal jakby całą fortecę przeniósł do innej sfery.

Na pozór była to dziwna decyzja - deklaracja siły, która nie pozostawiała wątpliwości, że Baśniowy Król mu nie ufa i spodziewa się ataku. Ale im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej takie zachowanie przemawiało do jego poczucia własnej mocy. Tapio tylko potwierdzał to, co Głóg już wiedział: to on z nich dwóch jest potężniejszy, jeśli nawet brakowało mu mocy, żeby zniszczyć starego irka. Dlatego Tapio schował się w swojej skorupie jak żółw, unikając konfrontacji.

- Głupiec - powiedział. - Po zajęciu Ticondagi będę jak bóg.

Rozkoszował się chwilą, kiedy subsumuje Gause, i zadrzał, gdy nadmiar energii przeniknął jego kończyny. Myśl o absolutnym

podporządkowaniu sobie Ghause - o jej unicestwieniu i o dostępie do jej mocy - sprawiła mu taką rozkosz, do jakiej odczuwania był zdolny.

Skrzywił się.

- Kiedy stałem się taki nieskomplikowany? - zapytał otaczające go powietrze.

- Ciesz się - rzekł Popiół.

Objawił się w ludzkiej postaci, jako mężczyzna, bardzo stary, zniszczony człowiek. Skórę miał czarną jak smoła - nie czarną jak Ifriqu'yańczyk czy mieszkaniec Dar as Salaam, ale o barwie sadzy. Nosił proste odzienie wieśniaka w kolorze brudnej szarości. W ręce trzymał kosę i klepsydrę.

Głóg wpatrywał się w noc.

- Masz nowe przebranie - powiedział z niesmakiem.

Popiół parsknął.

- Bardzo stare przebranie.

- Jesteś jak bogata panna z Harndonu, z inną suknią dla każdego zalotnika? - zapytał Głóg.

Popiół namyślał się przez chwilę. Jego twarz się nie poruszała. Milczenie się przedłużało i Głóg zaczął dochodzić do wniosku, że nie usłyszy odpowiedzi. To często się zdarzało - między innymi dlatego zrozumiał, że jest narzędziem, a nie sojusznikiem.

Popiół syknął.

- Może tak to wyglądać - przyznał.

Stary nauczyciel - w mgle czasu, kiedy Głóg był chłopcem, człowiekiem i uczniem - nauczyciel mu powiedział, żeby nigdy nie zadawał pytania, na które nie chce znać odpowiedzi.

Skąd to wspomnienie? - zapytał siebie Głóg.

- Czy sposób, w jaki cię postrzegamy, jest kształtowany przez... nas? - dodał na głos.

Popiół się roześmiał. Choć raz nie był to śmiech szydery i pogardliwy. Był bogaty, przesycony humorem i zadowoleniem.

- Jesteś zdolnym uczniem, czarnoksiężniku. Prawdę mówiąc, sam dla siebie zawsze jestem taki sam. To wy, rozumni, próbujecie dopasować mnie do form w waszych umysłach.

Głóg nie bał się nocy ani otchłani. Spojrzał Popiółowi w oczy.

- Wśród ludzi i zwierząt... jeśli dość często będziesz wyzywać swojego psa od kundli, nauczy się kąsać.

Popiół skłonił głowę. Wydawało się, że to chwila szczerości.

- Wieczność usiłowań, a mam jednego neofitę.

Głóg spojrzał w gwiazdy. Wskazał je.

- A te? Czy są, jak utrzymują astrolodzy, punkcikami światła z innych sfer, nieskończoności sfer?

Popiół westchnął.

- Głogu, gdybym ci powiedział wszystko, co wiem, wysmagałbyś mnie rzemieniami ognia.

Głóg pokiwał głową.

- Cytujesz Pismo.

Popiół się roześmiał i tym razem śmiech brzmiał pogardliwie.

- Wszyscy cytują Pismo, Głogu. Albo piszą je tak, żeby im odpowiadało.

- Weźmiemy Ticondagę?

Popiół ściągnął brwi.

- Tak. Twój plan, jakkolwiek zbyt skomplikowany, zbyt pokrętny i zbyt nastawiony na twoje pojęcie o zemście, jest wspaniały i na pewno się powiedzie. W całej tej sferze nie ma umysłu, z wyjątkiem mojego, który zrozumiałby, co planujesz.

- Pochlebiasz mi - powiedział Głóg.

- Oczywiście. Jeśli będziesz z uporem traktować mnie jako mentora, w końcu zacznę zachowywać się jak mentor.

- A co dalej?

Być może Popiół wzruszył ramionami. Ramiona starca drgnęły. Być może się roześmiał.

- Podbijemy ten świat, zerwę moje pęta, a wtedy ruszymy przez portale do innych światów, podbijemy je i w końcu zyskasz dość mocy, żeby mnie zdradzić, i staniemy do walki. Unicestwię cię po tym, jak spustoszymy kosmos.

Głóg pokiwał głową, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

- I jesteś pewien, że mnie unicestwisz? - zapytał.

Popiół się roześmiał.

- Nie ma pewności w całym wieloświecie - oznajmił.

Głóg pokręcił dużą kamienną głową.

- Panie, odkładając na bok przekomarzania... Ghause zabije królową. Ja zabiję Ghause. Król...

- Zająłem się królem. - Popiół pokiwał głową. - Po dziesięćkroć.

-Ticondaga padnie... Wtedy z pewnością wszyscy zjednoczą się przeciwko mnie.

Głóg był lepszym strategiem niż kiedyś. Wyraźnie widział konsekwencje. Wojna, strategia i rywalizacja umysłów, jednego z drugim - już tego nie lekceważył w przeświadczeniu, że zajmowanie się tym jest poniżej jego godności. Ponadto, gdy poświęcił trochę czasu na rozmyślanie, doszedł do przekonania, że wszystkim rządzą prawa podobne do hermetycznych.

Popiół pokiwał głową.

- Tak, dobrze jest widzieć wszystkie przyszłości. - Głos miał lekki, melodyjny, jak matka mówiąca do dziecka. - Ale akurat ta nie jest realistyczna. Przez pięćdziesiąt lat siałem niezgodę w przygotowaniu na tę chwilę. Czy jagnię położy się z lwem? Czy Galowie sprzymierzą się z Albanami, których właśnie próbują zniszczyć? Po Ticondadze upadnie Middleburg, Lissen Carak, Albinkirk, Liwiapolis, Harndon i Arles w Oksytanii. To samo będzie w starym świecie, jeśli utrzymamy wszystkie portale i miejsca mocy.

Głóg stał jak sparaliżowany, gdyż właśnie usłyszał fałszywą nutę. Błogosławił swoje kamienne oblicze i magiczne wzmocnienia na ciele. Nie drżał i nie zdradził się w żaden inny sposób.

W tej chwili odkrył, co Popiół planuje zrobić po Ticondadze.

I jego nie było w tym planie.

Popiół zachichotał.

- Dlaczego miałbym cię zdradzić? Jesteś moim wybranym przedstawicielem w tej sferze. Bez ciebie nie zdołam tu wygrać. Poświęciłem ci wiele wysiłku. Można powiedzieć - dodał ze śmiechem - że postawiłem wszystko na jedną kartę.

Głóg usiłował zrozumieć, o co mu chodzi. Albo czego może chcieć.

- Jesteś ślepy na pewne rzeczy - rzucił oskarżycielsko.

Popiół się odwrócił i przeszył go wzrokiem. Głoga przebiegł

dreszcz strachu.

- Podziwiam twoje czarne ćmy - powiedział Popiół. - Bardzo pomysłowe.

Głóg westchnął jak zimowy wiatr, który porusza martwe liście.

- Jedna z nich oczyściła całą wioskę i nie zostawiła dowodów swojej obecności.

- A druga została zabita kijem przez squaw - zauważył Popiół.

Głóg pokiwał głową.

- Po północy moi zabójcy wyjdą z ciemności. Pokolenie, które wysłę, żeby zabiło Ciemne Słońce, powinno być prawie odporne na zabiegi zwyczajnych ludzi. Istnieje bardziej z eterealu niż w tak zwanej rzeczywistości.

Popiół przyglądał się gwiazdom.

- Będiesz marnować swoje pupilki na tego śmiertelnika, ponieważ czujesz, że rzuca ci wyzwanie. Ja ci mówię, że jest nikim. Nawet go nie uwzględniam w moich rachubach.

- Naprawdę? - zapytał Głóg.

Popiół pokręcił czarną głową.

- Jest niczym, to tylko chłopiec nadęty z próżności i dumy pochodzenia. Złości cię, ponieważ ma wszystko to, czego tobie brakuje, zdrowie, władzę, przystojną powierzchowność. Jeśli mam być twoim mentorem, muszę sprawić, żebyś to zrozumiał. Jest taki mało znaczący, że właściwie nawet nie mogę śledzić go w eterealu.

Głóg spojrzał z niezadowoleniem.

- To nie ma sensu. Płonie w eterealu jak słońce.

Popiół poruszył kosą.

- Przesadzasz.

Głóg milczał. Próbował zrozumieć, o co chodzi jego rozmówcy - albo co właśnie mu zdradził.

- Po Ticondazie nikt nie stanie przeciwko tobie - powiedział Popiół.

Mów tak dalej, pomyślał Głóg.

**Liwiapolis - Morgan Mortimir**

Na uniwersytecie w Liwiapolis Morgan zbudził się i stwierdził, że Tancreda mimo wszystko z nim została. Jej brat chrapał w fotelu.

Przyniosła mu potrzebny manuskrypt i zaczął czytać...

Ścisłej mówiąc, Tancreda spała z głową na jego piersi, a on leżał na ławie, trzymając w prawej ręce wykonane w Wenice dwie soczewki, a w lewej mało znany traktat zatytułowany „Optika”, napisany przez jednego z magistrów przeszłości. Ostrożnie odłożył książkę i soczewki na podłogę.

Tancreda otworzyła orzechowe oczy.

- Jesteś bardzo piękna - powiedział.

- Czy nie mogłabym choć raz być bardzo mądra, elegancka, może uparta albo sprytna? - zapytała sennym głosem. - Muszę być piękna? Zawsze? - Zmrużyła oczy. - Kto znalazł manuskrypt dotyczący soczewek, co? Piękno?

Mortimir zerknął na jej brata, a potem z wielką śmiałością pochylił się i ją pocałował. Mrugnął w wyobraźni do nieobecnego cienia Harmodiusza.

Jej usta pozostawały zamknięte, dopóki leciutko nie liznął ich koniuszkiem języka, i wtedy się rozchyliły, rozkosznie, aż zakręciło mu się w głowie.

Głęboko w jej gardle narodził się jęk, jak u głodnej kotki. Ale nie była zła i przytulała się do niego, dopóki nie zmienił pozycji, zakładając rękę za głowę. Jego palce powędrowały po jej szyi i znalazły jeszcze bardziej rozkoszną miękkość. Poruszyła się, jej usta przesunęły się po jego wargach, a język...

Nagle usiadła.

- Nie jesteś trupem! - krzyknęła. - Do roboty!

Po raz pierwszy od dojścia do mocy Mortimir przeklął cały hermetyzm.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### Albina

Pierwsze dni drogi Amicja spędziła na zapewnieniu siebie i sióstr, że nie wiedzie ich na pokuszenie albo, co gorsza, na poniżenie i śmierć. Jazda z Czerwonym Rycerzem i jego orszakiem - tworzyli go nie rycerze na błędnej wyprawie, ale najemnicy - przerażała jej dwie towarzyszki.

Siostra Maria była wysoką, cichą dziewczyną o błyskotliwym umyśle, prostych plecach i pięknym głose, tak w eterealu, jak w świecie realnym. Miała ledwie siedemnaście lat i jej codzienne walki z pokusami świata były oczywiste - czasami zabawne, a czasami straszne. Był ładna i chciała, żeby tak ją widziano, co się kłóciło z jej cichą i bardzo szczerą pobożnością. Urodziła się w wieśniaczej chacie i kiepsko jeździła konno, ale z młodzieńczą przekorą odmawiała pomocy, przez co tylko cierpiała. Ludzie kapitana podziwiali jej proste jasne włosy i niebieskie jak lód oczy.

Siostra Katarzyna była niższa, z rudymi kędziorami i złośliwym poczuciem humoru. Była z nich najstarsza, po trzydziestce, i jako młoda kobieta urodziła i straciła dziecko. Pochodziła z arystokratycznego rodu, ale straciła dumę z urodzenia na kamiennych podłogach, podczas prania i setek form pokuty.

Chociaż nie do końca.

Obie siostry zostały przydzielone do siostry Amicji, żeby służyć jej wsparciem, lecz również jako zadanie. Siostra Katarzyna słynęła z arogancji, a siostra Maria ze swawolności.

Jest tak, myślała siostra Amicja, jakby siostra Miram rzucała jej wyzwanie.

Mimo to od początku dobrze się pomiędzy nimi układało. Uzdrawianie rycerzy, likwidowanie boglinów i słuchanie spowiedzi były dla nich przygodami i wszystkie trzy przeżyły razem dość przygód, żeby połączyła je więź, na jaką nigdy nie pozwoliłyby plotki i napięcia życia w zamku czy klasztorze. Kiedy siostra Maria przystawała przed taflą szkła, żeby spojrzeć na swoje odbicie, Amicja



nie mówiła słowa, podobnie jak nie komentowała należącego do siostry Katarzyny różańca z koralami i złotem.

Pierwszy dzień w drodze okazał się dość ciężki. Siostra Maria szła albo jechała na osie, ale kolumna zmierzająca na turniej posuwała się zbyt szybko, więc posadzono ją na zapasowym wierzchowcu. Jazda wierzchem dała się jej we znaki. Będąc wyszkoloną uzdrowicielką i heretyczką, miała arsenał leków, ale jako młoda kobieta zagryzała wargę, cierpiała i mamrotała ponuro, dopóki siostra Amicja nie położyła ręki na jej ramieniu, żeby ją uspokoić, i nie wlała *ops* w jej uda.

- Tak bardzo widać? - zapytała siostra Maria.

Amicja się zaśmiała.

- Tak.

Natomiast siostra Katarzyna była w swoim żywiole - miała piękną wschodnią klacz i jechała na niej lepiej niż niektórzy żołnierze.

- Dzisiaj, jeśli pozwolisz, rozetnę habit i pojedę okrakiem - powiedziała. - Twój i Marii też mogę rozciąć.

Siostra Amicja westchnęła. Katarzyna zawsze zbliżała się do granic tego, co dozwolone, szukając drogi na zewnątrz.

- Nie jestem pewna, czy świat jest gotów na widok zakonnic jeżdżących po męsku - powiedziała.

- Na Boga, siostrze, odprawiasz mszę i grozi ci oskarżenie o herezję, a przejmujesz się jeżdżeniem po męsku? - Siostra Katarzyna odęła usta.

Czerwony Rycerz, w zbroi i szkarłatnym jedwabnym tabardzie naszywanym złotą nicią, kłusował wzdłuż kolumny z Tobym, swoim giermkim, i paziem Nell przy złotych ostrogach. Jechali nieśpiesznie - dokonywał przeglądu. Trzy zakonnice miały czas na rozmowę.

Od czasu do czasu padało.

- Kiedy spódnice przemokną, ból ud będzie większy - zaznaczyła Katarzyna. - I jazda okrakiem będzie dla Marii łatwiejsza. W ten sposób nie da się jechać. - Podniosła głos, żeby ją słyszały. Wjeżdżali w wielki wąwóz rzeki Albiny.

Tuż za zakonnicami jechała eskorta trackich rycerzy pod wodzą ser Christosa, który uśmiechał się szeroko, kiedy Amicja się obejrzała.

Woda ściekała z jego szpakowatej brody. Ukłonił się i krzyknął coś po archaicku. Jego rycerze i stradioci się wyprostowali. Sługa przekazywał lnianą szmatę i wszyscy wzajemnie wycierali zbroje.

Wodniste słońce wyszło zza chmur, gdy skręcili na wschód, wspięli się na niewysokie wzgórze i nagle świat jak gdyby opadł przed nimi. Wokół nich toczyły się wzgórza Brogatu, na zachodzie wznoszące się ku górom obecnie zasłoniętym przez deszcz. Zbocza zieleniały z początkiem kwietnia, jakby przecząc ostatnim dniom Wielkiego Postu.

Na wschodzie wielka rzeka płynęła w głębokim wąwozie przed rozlaniem się po równinach Alby. Wąwozy wyglądały malowniczo, wycięte we wzgórzach środkowego Brogatu przez tysiące lat wiosennych powodzi równie dużych albo większych niż tegoroczna. Daleko pod nimi po lewej stronie rzeka, błotnista i zielono-brązowa od stopionego śniegu, starych liści i zmytej gliny, pędziła z prędkością szarżującej jazdy. Była głośna i echo odbijało się od ścian wąwozu, uniemożliwiając rozmowy.

Wyglądała oszałamiająco, pędząc szaleńczo ponad dwieście stóp niżej wśród mokrych szarych skał, białych brzoź i zieleni liści. Amicja patrzyła z zapartym tchem i musiała sobie przypomnieć, że powinna oddychać. Kiedy oderwała spojrzenie od przepaści, zobaczyła kapitana.

Uśmiechał się uszczęśliwiony. Odetchnął głęboko, patrząc na kanion i rzekę, a potem spojrzał jej w oczy. Jego uśmiech się nie zmienił. Zanim mogła go powstrzymać, ujął jej rękę, pocałował i pojechał dalej.

Ścieżka wzdłuż wąwozu była za wąska, żeby Amicja mogła zawrócić konia, a poza tym tylko spowodowałyby chaos w kolumnie. Jechała dalej, oglądając się za siebie. Gabriel pokazał Nell coś na siodle Marii. Dziewczyna zsiadła z konia i złapała uzdę wierzchowca zakonniczy.

Znowu pochwycił jej spojrzenie. Jego uśmiech powrócił. Po prostu wskazał i poruszył ręką - znała ten kompanijny sygnał z czasów oblężenia. Naprzód.

Nie widziała powodu, żeby nie posłuchać, więc usiadła prosto, ku

ogromnej uldze swojego wierzchowca. Miała przed sobą najbardziej spektakularny widok, jaki dotąd widziała.

W dole mokre od deszczu brązowo-złote brzozy i buki kontrastowały z zielonymi liśćmi rosnących wyżej drzew. Gdy uniosła głowę po południowych modlitwach, oślepiające słońce pocałowało ją ciepłem i jechała lekko, z całej duszy dziękując Bogu za ten piękny dzień i cudowność widoku.

Jechali wzdłuż wąwozu przez trzy wspaniałe mile, a potem szlak wzniósł się na wzgórza i odbił na zachód, zostawiając ryk wody daleko na wschodzie, dzięki czemu mogli normalnie rozmawiać.

Była tam stara polana wycięta dla karawan, często używana, z niedawno oczyszczonymi dwudziestoma dużymi kręgami pod ogniska u stóp wzniesienia, gdzie piękny strumień rwał na spotkanie z wielką rzeką. Zastali tam dwóch stradiotów z giermkami i sługami. Wozy już stały. Namiot kapitana również.

Było dopiero wczesne popołudnie. Amicja potarła się po krzyżu zadowolona z popasu. Wypatrzyła wydającego rozkazy giermka kapitana i podjechała do niego.

- Siostro? - zapytał. - Kapitan zaprasza siostry na kubek wina, dopóki nie rozbijemy namiotów. - Machnął ręką w stronę pawilonu, gdzie Nell nalewała wino grupie mężczyzn. Rozstawiono dwa długie stoły z miejscem dla dwudziestu ludzi.

Amicja się zastanawiała, czy nie odmówić, ale jedno spojrzenie na siostrę Marię przekreśliło jej wszystkie myśli o buncie. Postanowiła z nim podróżować, a skoro tak, to będzie go widywać codziennie.

Kolumna rozciągnęła się w wąwozie. Minęła godzina, zanim zjawiła się ariergarda - stradioci ser Christosa.

Siostra Maria już spała na składanym krześle. Siostra Katarzyna dopilnowała, żeby miały osobny namiot.

Amicja sęczyła wino. Po chwili usiadł przy niej ser Thomas Lachlan.

- Gdzie stada? - zapytała.

Ser Thomas się roześmiał.

- Na zachodnim gościńcu - odparł. - Jedyne Czerwony Rycerz prowadziłby swoją grupę przez ten pieprzony wąwóz. - Uśmiechnął

się. - Doskonała droga biegnie tylko jedną dolinę na zachód stąd.

- Zatem dlaczego wąwóz?

Ser Thomas się roześmiał.

- Przez ciebie, jak sądzę. Zwariował na twoim punkcie, wszak wiesz, co?

Amicja zarumieniała się wściekle na przekór samej sobie.

Wyszczrzył do niej zęby.

- Myślę sobie, że wcale nie jesteś taka mu przeciwna, jak pokazujesz.

Amicja wypita więcej wina, niż zamierzała, i zakasłała.

- No tak. - Ser Thomas pokiwał głową. - Jestem wścibski. - Rozsiadł się wygodnie, rozluźniając długie na sześć stóp i cztery cale ciało. - Podobał ci się wąwóz?

Amicja pokiwała głową.

- Bardzo. Pęd wody, wysokość ścian... Wspaniałe.

Ser Thomas zrobił miejsce dla ser Gawina i ser Michaela. Ukłonili się jej i jęli rozmawiać szeptem z uwagi na śpiącą siostrę Marię - wszyscy z wyjątkiem ser Thomasa Lachlana, który chyba nie umiał szeptać.

Na zewnątrz namiotu ktoś zapytał z sarkazmem i dystygowanym głosem:

- Co robi nasz pan i władca? Szuka minstreli, żeby zagrali dla jego bogdanki?

Usłyszała, że Toby powiedział coś cicho.

- O mój Boże... - jęknął ten o kulturalnym głosie.

Chris Foliak, wciąż w zbroi, był czerwony jak burak i kiedy zobaczył zarumienioną Amicję, zrobił się jeszcze czerwiejszy.

Amicja wstała.

- Chyba... - zaczęła niepewnie.

Ser Thomas się podniósł.

- Nie odchodź, dziewczyno. Foliak po prostu już taki jest, nie panuje nad językiem. Co, Kit?

- Zaczna sestro, przepraszam za moje... - Nawet Chris Foliak nie był pewien, co powiedzieć.

Na szczęście dla wszystkich siostra Maria wybrała tę chwilę, żeby

jęknąć i się przebudzić.

- O, Amicjo... - mruknęła.

Amicja wzięła ją za rękę i zaprowadziła do ich namiotu. Oddział składał się ledwie ze stu ludzi i piętnastu wozów, więc nietrudno było znaleźć namiot. Nieopodal siostra Katarzyna prowadziła modlitwy z kilkunastoma młodymi mężczyznami i kobietami. Błysnęła uśmiechem do siostry Amicji.

Siostra Maria była tak zmęczona po jeździe wierzchem, że było ją stać tylko na rozebranie się do koszuli. Amicja ją położyła, okryła i patrzyła, jak zasypia bez żadnych hermetycznych zabiegów.

Katarzyna podniosła się z klęczek z koralowym różańcem w ręce i otrzepała habit.

- Święta Panno, Maria jutro rano znienawidzi konie - powiedziała.  
- Od śmierci ojca Arnauda w kompanii nie ma kapelana.

Amicja pokiwała głową.

- Ty, siostrze, masz zezwolenie na odprawianie mszy. Ja nie mam. - Siostra Katarzyna szeroko się uśmiechnęła. - Ojciec Arnaud odprawiał mszę co rano, jak się zdaje. Nie wszyscy oni są bezbożnikami, w przeciwieństwie do ich kapitana.

Amicja pokiwała głową niepewna, czy powinna bronić Czerwonego Rycerza, czy dołączyć do ataku.

- Wiesz, że wyruszyłam w tę podróż, ponieważ moja licencja została uznana za heretycką - powiedziała.

Siostra Katarzyna skinęła głową w kierunku dużego czerwonego namiotu.

- Tam jest wino. - Uśmiechnęła się. - Słuchaj, jestem spokrewniona z połową tych mężczyzn. Nie zbłądzą i nie padną na plecy dla nikogo, ale chciałabym przez tydzień jechać konno i rozmawiać o czymś innym niż pranie.

Amicja mogłaby ją zbesztać, lecz tylko się roześmiała.

- Możemy wzajem nad sobą czuwać.

W namiocie zapadła cisza, gdy weszły dwie zakonnice.

- *Par Dieu*, panowie - powiedział ser Pierre. - Będziemy musieli baczyć na przekleństwa i maniery.

- Dobre ćwiczenie na turniej przed królem i królową - powiedział

ser Michael.

Wszedł kapitan. Amicja zauważyła, że pachnie potem - męskim i końskim, a także czymś metalicznym. Nell wyrosła jak spod ziemi i podała mu kubek wina. Inni mężczyźni wstali, nie wszyscy razem. Nikt się nie uklonił, jednak ich postawa wyrażała szacunek. Kiedy usiadł, zajęli miejsca.

Uśmiechnął się do Amicji.

- Nie ma potrzeby traktować mnie z taką uprzejmością - powiedział.

Odwzajemniła jego uśmiech.

- Nadmiar uprzejmości jeszcze nikomu nie zaszkodził.

Inni wrócili do przerwanych rozmów i teraz Gabriel skupiał na niej całą uwagę.

- Chciałbyś, żebym odprawiała mszę dla twoich ludzi, gdy będziemy w drodze? - zapytała.

Rozejrzał się.

- Tak. Chyba tak. Jeśli zostaniesz uznana za heretyczkę, czy wszyscy pójdziemy prosto do piekła?

Pokręciła głową.

- Nie. Przypuszczam, że cały grzech spadnie na moje barki.

Skinął głową.

- Cudownie. Za każdym razem, gdybyś chciała przyjąć więcej grzechów... - Urwał. - Nie, to głupia uwaga.

- Zgadza się - przyznała szczerze. - Coś ci proponuję. Ty zrezygnujesz ze wszelkich dwuznaczników, a ja będę się powstrzymywać od łatwych religijnych komentarzy na temat twojego życia pełnego przemocy.

Skinął głową.

- Umowa stoi. Poza tym i tak nie jestem dobry w dwuznacznikach.

Omiótł wzrokiem wnętrze namiotu.

- Panowie - powiedział i wszyscy ucichli.

To wrodzone narzucanie swojej woli budziło w niej niepokój. Zbyt łatwo mu to przychodziło. Nie czekał, jak siostra Miram, aż dokończą to, co mieli do powiedzenia, i nie czekał na swoją kolej. Odezwał się i wszyscy go posłuchali.

Skinął na Toby'ego. Wszyscy paziowie i giermkowie wyszli z namiotu.

- Gdy wszedłem, ser Michael wspomniał, że musimy jak najlepiej zachowywać się na dworze. - Powiódł wzrokiem po ich twarzach. - To, co powiem, jest przeznaczone tylko dla waszych uszu. Nie dla paziów i giermków ani dla wieśniaków, którzy sprzedają nam jedzenie.

Słuchali go pilnie.

- Król kazał aresztować królową pod zarzutem czarów. Jest oskarżona o zamordowanie hrabiego d'Eu. - Głos miał obojętny, równie dobrze mógłby mówić o pogodzie.

Ser Michael pobladł.

- Chryste na krzyżu... Czy mu rozum odjęło?

Czerwony Rycerz pokręcił głową.

- Przyjaciele, działałem zbyt powolnie. Powinienem rozpoznać... nieważne. Ale już nie wiem, ku czemu jedziemy ani co nas czeka, wojna czy pokój, turniej czy rzeź. - Rozejrzał się. - Sądzę, że większość z was ma pewne pojęcie, gdzie jest ser Gelfred. Rozumiecie, skąd mam te wiadomości.

Ser Alkajos uśmiechnął się porozumiewawczo. Zły Tom wzruszył ramionami.

Czerwony Rycerz opadł na oparcie krzesła i napił się wina.

- W miarę zbliżania się do Harndonu będziemy otrzymywać coraz lepsze i dokładniejsze meldunki. Jeśli ten dzisiejszy jest zgodny z prawdą, podobnie jak to, co dwa dni temu powiedział mi ser John Crayford, księżę Oksytanii jedzie przez południową Albę.

- I dochodzi do napaści na granicach - dodał Zły Tom.

- Mistrz Smithe powiedział: jedźcie na turniej. - Czerwony Rycerz wzruszył ramionami. - Czuję w kościach, że powinniśmy wrócić do Albinkirku i zebrać armię, ale może... może, jeśli nam szczęście dopisze, zdołamy coś ocalić. - Wzruszył ramionami. - Tak czy siak, zachowamy najwyższą ostrożność i będziemy jechać tak, jakby w kraju panowała wojna.

Wszyscy obecni jęknęli.

Ser Michael pokręcił głową.

- To mi się nie podoba. Czy król jest... opętany?

Sugerowanie czegoś takiego uchodziło za zdradę. Odpowiedziała mu cisza.

Ser Gabriel się wyprostował i zajął do kubka z winem.

- Myślałem, że wiem, co się dzieje. Aresztowanie królowej... -  
Wzruszył ramionami.

Amicja zauważyła, że znów napił się wina. Widziała, że pije coraz więcej, ale się pilnował.

Ser Michael popatrzył na ser Thomasa.

- Warto posłać po kompanię - zaproponował naprawdę władczym tonem.

Ser Thomas skrzywił nos.

Ser Gabriel zdobył się na oszczędny uśmiech.

- To mnie kusiło. Ale jeśli wprowadzimy wojsko do Alby, wyjdziemy na wichrzycieli i w oczach wszystkich ludzi, wszystkich kupców, drobnych właścicieli ziemskich i rolników będzie wyglądać na to, że sprowokowaliśmy króla. Prawowitego króla. - Popatrzył na ser Christosa i ser Alkajosa. - Mamy porządną siłę, dość rycerzy, żeby poradzić sobie z niezbyt przygotowanym atakiem. I mamy przyjaciół.

- A gdzie dokładnie jest mistrz Kronmir? - zapytał ser Michael.

- Dokładnie tam, gdzie potrzeba, oczywiście - odparł ser Gabriel z nutką dawnej arogancji.

\*\*\*

Dwa dni przelotnych opadów przemieniły drogi w breję błota i liści. Od wąwozu droga biegła szczytem pasma, gdzie pod błotem leżała twarda skała, i wozy jechały bez większych kłopotów. Amicja dwa razy jechała ścieżką tak wąską, że gdy tylko spojrzała w dół, natychmiast tego pożałowała. Raz z siostrą Marią, która czuła się trochę pewniej w siodle, musiały zsiąść z koni i podeprzeć wóz, żeby woźnica i dwa muły nie spadły w przepaść. Za drugim razem były całe ubłocone i paziowie przynieśli im suche ubrania.

Siostra Katarzyna się śmiała.

- Mogłabym codziennie nosić wams i rajtuzy - powiedziała. -  
Gdyby tylko sikanie nie było tak piekielnie trudne.

Nell się uśmiechnęła.



- Przywykniesz.

Siostra Maria spojrzała na Amicję, która miała męski kaptur na głowie, i Katarzynę z rudymi kędziorami uwięzionymi pod pikowanym czepcem.

- Wszystkie spłonimy na stosie jako heretyczki - zakrakała.

\*\*\*

Pobudka w orszaku kapitana różniła się od budzenia w zakonie Lissen Carak tak bardzo, jak tylko można sobie wyobrazić. Zaczynało się od zwierząt - cała kompania jechała wierzchem i setka mężczyzn i kobiet miała trzysta zwierząt: muły, konie, dwie pary wołów, krowę na mleko, sforę psów z dwoma mastyfami, które należały do Złego Toma, chociaż nigdy nie były z nim widywane, kilka kotów mieszkających na wozach, sokoły kapitana i ser Michaela, kilka przerażonych kurczaków. Ranek wstawał nagle i niemal gwałtownie, gdy słońce budziło zwierzęta, które rżały, szczekały, żuły, kąsały, pierdziały i muczały.

Siostra Katarzyna bez trudu przesypiała cały ten zgiełk. Siostra Maria się skarżyła, że wcale nie spała.

- Wszyscy mężczyźni na mnie patrzą. Przez cały czas. - Zadrzała.

Siostra Amicja powstrzymała się od komentarza i usiadła. W klasztorze nie szczędziły starań, żeby zachowywać idealną czystość. Ubierały się starannie, żeby pokazywać jak najmniej ciała. Zakon miał długie doświadczenie dotyczące różnych namiętności i bardzo realistyczne poglądy na to, co może się dzieć we wspólnotach młodych mężczyzn - albo kobiet - pracujących razem.

Życie w obozie wojskowym uniemożliwiło większość tych praktyk. Mężczyźni i kobiety musieli się ubierać na zewnątrz namiotów, chyba że woleli, by trwało to tak długo, że ochmistrz kapitana rozkazywał złożyć namiot, co o mało nie spotkało Mary w pierwszy poranek na drodze. Nikomedes był Moreańczykiem, wysokim i bardzo chudym uczonym, tudzież hermetrykiem o małym talencie, jak szybko odkryła Amicja. Ale był majordomem kapitana i pilnował stawiania i składania namiotów, rozpalania i gaszenia ognisk, przyrządzania strawy na czas. On i panna Sukey, córka Mag, kierowali prawie każdym aspektem obozowego życia i jeśli się kłócili,

to ona tego nie widziała.

W mokry, groźący deszczem poranek Amicja zmusiła się, by odrzucić ciepłe koce. Zwinęła je, żeby bardziej nie zwilgotniały, i wsunęła w rękaw nawoskowanego płótna do umieszczenia za siodłem, po czym wyszła z namiotu w koszuli nocnej, jednej z dwóch koszul, które miała.

Przydało się jej klasztorne szkolenie. Niezależnie od tego, ilu paziów i giermków się jej przyglądało, wkładała pod gieźło męską koszulę i rajtuzy bez pokazywania kolan, a co dopiero czegoś więcej. Noszenie chłopięcych ubrań nie sprawiało jej przyjemności - wełniane rajtki drapały nogi, podczas gdy luźne szaty zakonne zapewniły pewną swobodę - ale były wygodniejsze podczas jazdy wierzchem. Obie z Katarzyną przebierały się w okamgnieniu, po czym zajmowały się składaniem, szczotkowaniem, wiązaniem wszystkiego co trzeba w małym obozie. Katarzyna, będąca o wiele lepszą amazonką, szła zajmować się końmi.

Nell przyszła wcześniej ze swoim chłopakiem. Był przystojny, miał duże oczy i twarde mięśnie i cechowała go dzika zajadłość typowa dla wszystkich młodych mężczyzn, ale Amicja lubiła go za łagodność i troskę o Nell. Przyniósł trzy drewniane miski z kielbasą, jajami i dwudniowym chlebem pieczonym i maczanym w maśle.

Amicja weszła do namiotu, gdzie ubierała się Maria.

- Nie zapomnij o jedzeniu - powiedziała.

Wieczorem, czwartego dnia drogi, obozowali w kręgu wozów na skraju wiejskiego urwiska z widokiem na południe nad wspaniałą zielono-złotą szachownicą wyżyn Albiny. Kilka kroków od kręgu wozów Amicja znalazła altankę i zaprowadziła tam wiernych, wciąż żując kielbasę, i gdy weszło słońce - czerwone i złote, zapowiadające więcej deszczu ze wschodu - odprawiła mszę z Marią jako jedyną sługą z drewnianymi naczyniami i srebrnym kubkiem kapitana. Był tam ser Michael, ser Christos i tuzin poganiaczy, którzy przyjechali ze swojego obozu na zachodzie, gdzie wielkie stada bydła muczały jak zagubione dusze, a owce pobekiwały bez końca, wtórując jej Benedictus i ją rozśmieszając - wszyscy się śmieli, gdy owce meczały jak chór.

Była zaskoczona, gdy zobaczyła ser Christosa, ponieważ w Kościele moreańskim obowiązywały surowsze zasady dotyczące mszy niż w albańskim, jeśli chodziło o kobiety Ale zgromadzenie było miłe i sprawiało jej wielką przyjemność.

Marcus, giermek etruskiego rycerza, i Toby, giermek kapitana, przyszedli i lekko się ukłonili. Łucznicy pomachali rękami. Kum, ich przywódca, i Osiełek, jego brat łata, i Flarch, niebezpieczny człowiek i rozpustnik -wszyscy przystanęli, żeby złożyć uszanowanie.

- Co taka piękna kobieta robi w takim miejscu, siostrze? - zapytał Flarch, łypiąc na nią.

- Czynień dzieło Boże - odparła. - Szkoda, że tego samego nie można powiedzieć o wszystkich.

- Ty tak mówisz - syknął Osiełek, gdy trzech łuczników poszło do koni.

Trębacz kapitana polerował szmatą trąbkę. Wszyscy wiedzieli, że to ostatnia czynność, jaką robi przed daniem sygnału. Nicholas Ganfroy już nie był nowicjuszem ani wcale nie grał kiepsko na trąbce. Kompania miała nowych rekrutów, żeby się z nich naśmiewać.

Amicja wyszła z altany i zobaczyła, że Katarzyna trzyma uzdę jej osiodłanego wierzchowca. Sama miała w ręku ostatni kawałek konsekrowanej hostii, którą podała jej z błogosławieństwem.

Katarzyna się ukłoniła, przełknęła i zaśpiewała modlitwę.

Nicholas Ganfroy, który znał swoje obowiązki, rozejrzył się i podniósł trąbkę do ust. Zagrał pierwszy ton, a wówczas każdy paż i stajenny zaprowadzili swoich podopiecznych, czyli wszystkie konie w kopii, na miejsce przeglądu. Rycerze, zbrojni, walczący paziowie i garstka łuczników ustawili się na swoich miejscach przed linią koni.

Gdy kompania się formowała, czuwał nad nią tuzin zwiadowców. Mikal, kuzyn Stavrosa, obecnie swego rodzaju podoficer, poprowadził dwa rzędy trackiej lekkiej jazdy wzdłuż równoległych pasm, łącząc się z góralami i zwiadowcami ser Thomasa na zachodzie.

Amicja, która lubiła, gdy wszystko odbywa się, jak trzeba, patrzyła na to z przyjemnością.

Kapitan wyjechał przez pole, gdy Nikomedes z tuzinem sług złożyli jego namiot - pierwszy wznoszony i ostatni składany. Szedł

przez teren parady i zatrzymał się przy kopii ser Michaela, żeby rzucić okiem na swojego łucznika. Przyjaciela Nell.

Chłopak poczerwieniał. Coś wydukał.

Kapitan się zaśmiał i położył rękę na jego ramieniu, a ser Michael zrobił notatkę na woskowej tabliczce.

Potem poszedł prosto do żołnierzy, gdzie wszystkie kobiety i mężczyźni niebiorący udziału w walce czekali ze swoimi końmi. Nie było to niezwykle. Córka Mag, Sukey, obecnie dowodziła kontyngentem. Jechała sama cały dzień, zanim bez żadnego wyjaśnienia dołączyła do kolumny. Parę lat temu Amicja założyłaby, że wszystkie obozowe kobiety są dziwkami - i tak je traktowała. Ale już po czterech dniach w drodze okazało się, że stanowią wykwalifikowaną rezerwę - szyły. Zdawało się, że szyją od rana do nocy, kiedy nie prały, nie opiekowały się rannymi albo nie pomagały paziom przy koniach. Większość miała własne namioty.

Amicja była kobietą. Życie kobiet interesowało ją znacznie bardziej niż życie mężczyzn.

Kompania miała wiele kobiet, w szeregach i poza nimi.

Amicja założyła, że kapitan przyszedł pomówić z Sukey o dyscyplinie marszu, ale zamiast tego tylko się jej ukłonił i podszedł do zakonnicy. Uśmiechnął się.

Odpowiedziała uśmiechem.

- Chyba masz mój kubek, siostrze - powiedział.

Wiedziała, że się zarumieniła, ale uśmiech nie zgasł na jej twarzy.

- Jest najlepszy w obozie - powiedziała.

- Naprawdę nie mam nic przeciwko wypożyczeniu go Bogu, jednak musisz go oddać.

Gwałtowny wdech siostry Marii nałożył się na chichot siostry Katarzyny.

Amicja podała mu kubek. Uniósł go jakby w toaście.

- Jutro daj go Toby'emu - powiedział. Po chwili zapytał: - Mogę ci pokazać coś pięknego? Jedź ze mną.

Gdyby była przygotowana, odmowa byłaby łatwiejsza. Nie zamierzała przebywać z nim sam na sam, nie teraz, nigdy.

Ale się uśmiechał...

Stwierdziła, że wzięła wodze swojego wierzchowca od siostry Katarzyny, która obdarzyła ją krzywym uśmiechem. Podeszła do kapitana, Toby'ego i trębacza.

Gamfrey po raz drugi przyłożył trąbkę do ust i zagrał wsiadanego.

Kapitan skoczył na siodło, a ludzie krzyknęli.

Toby spojrzał jej w oczy i wzruszył ramionami.

- Strasznie się popisuje - powiedziała dość głośno, żeby ją usłyszano.

Ser Gabriel się roześmiał.

- W istocie - przyznał.

Czterdzieści kroków dalej Nikomedes wspiał się na wóz obok Sukey, która świsnęła batem.

Ser Gabriel machnął ręką do ser Michaela, który podprowadził konia.

- Zaczyna siostra i ja wybieramy się na przejażdżkę - powiedział.

Ser Michael skinął głową do Amicji.

- Masz długą łyżkę, siostrze? - zapytał.

Roześmiała się i była zaskoczona brzmieniem swojego śmiechu - był trochę dziki. Uciszyła się.

Ser Michael wziął od ser Gabriela buławę dowódcy i uniół ją wysoko. Pomachał na Moreańczyków - ich szeregi już były w ruchu, wyprzedzając sygnał.

Po raz kolejny zabrzmiała trąbka i cała kompania ruszyła.

- Przypomina klasztor bardziej, niż sobie wyobrażałam - zauważyła Amicja.

Wszystkie oddziały zajęły swoje miejsca w kolumnie z wyjątkiem ostatniego - ser Michaela. Robin dobrze jeździł konno, ale jego nowy łucznik się guzdrał i ruszył ostatni. Koń wykorzystał chwilę jego nieuwagi i skoczył - Sukey w pierwszym dużym wozie musiała ściągnąć wodze zaprzęgu,

- Ty bezużyteczny worku świńskiego gówna. Ktoś w nocy zawiązał ci jaja na supeł i teraz nie możesz ich znaleźć? - Ton Sukey brzmiał łagodnie; dla każdego było za wcześnie, żeby się zdobyć na prawdziwe obelgi.

Chłopak poczerwieniał ze złości, ale schował dumę do kieszeni i

zajął miejsce w kolumnie. Był kiepskim jeźdźcem.

- Dokładnie jak klasztor - powiedział ser Gabriel.

- Żartujesz? - Amicja się roześmiała. - Miram radzi sobie ze wszystkim lekkim uniesieniem brwi.

- Może mógłbym jej podesłać wszystkich dowódców oddziałów. - Wcale nie zwracał na nią uwagi. Był skupiony na kolumnie.

Podczas oblężenia to ją fascynowało. Jako dziewczyna miała wielu fatygantów i w zasadzie wszyscy lubili się popisywać. Gabriel miał na to własne sposoby, ale rzadko odrywał się od pracy, żeby to robić, i jako kobieta przedkładała jego koncentrację nad szczeniackie zachowanie młodszych mężczyzn.

Jechali ramię w ramię. Poranna wilgoć ustępowała pięknemu białobłękitnemu niebu kwietnia.

- Są jakieś szanse na ryby na piątek? - zapytała.

Popatrzył na nią.

Wzruszyła ramionami.

- Mojemu sumieniu nie przeszkadza kawałek suszonej kiełbasy, kiedy kończy się nocny post. Ale ten piątek jest Wielkim Piątkiem i wielu ludzi nie będzie chciało jeść mięsa.

Skinął głową.

- Pewnie stwierdzisz, że Nikomedes już ma rybę na talerzu. Trudno o ryby, chociaż w Albinie ich nie brakuje. Jest ich tam mnóstwo, ale chyba nikt ich nie łowi z wyjątkiem wiejskich chłopaków migających się od pracy.

Jechali na wschód w kierunku rzeki, podczas gdy kolumna posuwała się na zachód.

- Możliwe, że w piątek wszyscy będziemy pościć - powiedział.

- Nawet ty? - zapytała.

Rzeka huczała coraz głośniejsze, gdy wjeżdżali na kamienny grzbiet.

- Zaczynam akceptować pewne poglądy na temat Boga. Pojawiły się nowe dowody.

- Zamierzasz się z Nim pojednać? - zapytała i nawet ona była zaskoczona swoim jadowitym tonem.

- Możliwe.

Później ściana dźwięku uniemożliwiła rozmowę.

Szlak skręcił w prawo i w dół, wijąc się bez końca.

Amicja bardzo szybko sobie przypomniała, jak ważny jest słuch dla zachowania równowagi i postrzegania. Hałas wody, niewidocznej, ale zagłuszającej wszystkie inne dźwięki, sprawił, że prawie oślepla.

Po jakimś czasie Gabriel zsiadł z konia i pomógł jej zsunąć się z siodła. Sprowadził wierzchowce ze szlaku, który tutaj był węższy i bardziej miękki. Mgła wisiała nad drzewami.

Zdawało się, że weszli do własnego świata. Nie próbowali rozmawiać, wyjąwszy to, że Gabriel raz wszedł do jej pałacu pamięci, żeby powiedzieć:

- Tu jest bardzo miękko, uważaj.

Uśmiechnęła się i mu podziękowała.

A potem wyszli spomiędzy drzew na szeroką, płaską murawę. Na trawie leżały całe drzewa, wymyte na brzeg i oznaczające maksymalny zasięg wiosennej powodzi. Nie był to idealny trawnik - legiony kaczek i gęsi starannie go użyźniły.

Hałas wciąż był niewiarygodny.

Gabriel zszedł na skraj wody. Niewielkie jezioro było połączone z wartko płynącą rzeką o zielonych brzegach, wodzie zimnej jak lód i głębokiej jak ocean. Na środku rzeki wyskoczył pstrąg, czerwony, złoty i srebrny, wielkości rosłego kota, zwinnie złapał muchę i zniknął w zimnej czarnej wodzie.

Ale nie staw przyciągnął jej spojrzenie. Wodospady były istnym cudem. Woda spadała z wysokości trzystu stóp z urwiska wysoko nad miejscem, gdzie obozowali, w jednej szerokiej płachcie rozdzielonej wysoko nad nimi przez ostrogę sterczącą pionowo jak wieża małej katedry.

Śledziła wzrokiem bez końca spadającą wodę - jeziorko ją pochłaniało i odsyłało do rzeki.

Amicja upadła na kolana i zaczęła się modlić. Modliła się za siebie i za niego, i za to miejsce, i dziękowała Bogu za dzieło stworzenia.

Kiedy się podniosła z przemoczonymi kolanami, Gabriel spętał konie. Skinął na nią, a ona poszła za nim dość chętnie. Czuła się uspokojona. Pewna siebie. Szczęśliwa.

Zaprowadził ją do skraju urwiska, gdzie woda pędziła o dłoń od jej twarzy.

Potem wszedł w wodę.

Amicja widywała wcześniej wodospady, choć nie takie potężne. Też weszła w wodospad. W rzeczywistości została tylko ochlapana, zanim się wyłoniła w jaskini ukrytej za płachtą wody.

Jaskinia nie była cicha, ale na pewno panował tu mniejszy hałas.

Uśmiechał się do niej szeroko.

- Ufasz mi.

Wzruszyła ramionami.

- Mogłabym powiedzieć, że pokładam ufność w Bogu, a ciebie prowokuję. Ale szczerze mówiąc, tak, mój drogi, ufam ci.

- Dziękuję ci za zaufanie. Chciałem, żebyś tu przyszła. - Wzruszył ramionami. - Znalazłem tę grotę przed laty. Zawsze sobie wyobrażałem, że przyprowadzę tu panią mojego serca.

Roześmiała się.

- Smutne, może dla nas obojga, że jestem zakonnica, a nie panią twojego serca.

Skinął głową. Przyniósł stołek - było ich tam kilka.

- Mogę rozpalić ogień, żebyś się wysuszyła - zaproponował.

Wzruszyła ramionami.

- Przy wychodzeniu znowu się zmoczę. Poza tym rozbieranie się przy tobie nie wyszłoby mi na dobre.

- To miejsce jest wyjątkowe - powiedział. Zignorował jej ostatnie słowa. - Czujesz to, potężna siostrze?

Sięgnęła w etereal.

Przyłożyła rękę do ust.

- Jest zamknięte. Z jednej strony ziemia, z drugiej płynąca woda. - Pokiwał głową. - Zgaduję, że mogło je stworzyć coś bardzo potężnego. Ta jaskinia jest dosłownie zapieczętowana w eterealu. - Usiadł na stołku i odchylił się do tyłu. - Tu możemy porozmawiać. O wszystkim. Nikt nie słucha... ani Harmodiusz, ani Głóg, ani nawet Popiół.

Imię rozbrzmiało echem.

- Popiół? - zapytała.



- Po Lissen Carak zyskałem sojusznika, przynajmniej tak myślę, w postaci ogromnej, starożytnej mocy, którą ludzie zwą Smokiem Erchu. - Spojrzał na nią, a ona pokiwała głową. - Podczas rozmowy z nim wiele się dowiedziałem. Głównie tego, że sprzeciwia się innej potędze, zwanej Popiołem, który... - Uśmiechnął się jak chłopiec. - Wiem, że wyjdę na głupka, ale zdaje mi się, że Popiół porusza pionkami na szachownicy, w Lissen Carak i w Harndonie. I może wszędzie indziej.

Nie na taką rozmowę przygotowywała się od godziny, gdy szli, jechali i się wspinali. Odetchnęła głęboko.

- Czego strzeżecie pod piwnicami i lochami Lissen Carak? - zapytał.

- To nie moja tajemnica - odparła.

Skinął głową.

- Ale przyznajesz, że kryje się tam jakaś tajemnica. Co zrobiłaś, że nie można mnie zabić? Nawet dla ciebie to potężne czary.

Usiadła na stołeczku. Oparła głowę o skałę za plecami, patrząc w górę na białą rozmytą wodę, która tworzyła frontową ścianę grotty.

- Nie sądzisz, że bylibyśmy lepsi w jawnym uwodzeniu? - zapytała.

Roześmiał się. Śmiech, jego szczerość skłoniły ją do uśmiechu.

- Amicjo, czy twoja miłość do Boga jest tak wielka, uczucie tak cudowne, że nie ma w nim miejsca na doczesną miłość? - zapytał.

Skrzywiła się.

- Co miałabym powiedzieć? Ale tak. - Pokręciła głową - Myślę, że był taki czas, niezbyt dawno temu, kiedy wpadłabym w twoje ramiona. - Zrozumiała się. - Coś się we mnie zmieniło. Myślę, że jest taki moment w modlitwie, w zbliżaniu się do Boga, kiedy trzeba starannie wystrzegać się grzechu. A potem, przykro mi, moment, kiedy grzech wydaje się drobnym głupstwem. Kiedy już nie ma pokus. Kiedy doczesna miłość jest tylko bladym towarzyszem.

- Och - mruknął. Uśmiechnął się dzielnie, ale wiedziała, że głęboko go zraniła.

- Mój drogi... ja tylko chcę, żeby wszyscy byli szczęśliwi.

Skinął głową.

- Co byś powiedziała, gdybym wyznał, co do ciebie czuję?  
Znowu się skrzywiła.

- Powiedziałałabym, że masz dwadzieścia trzy czy cztery lata i że za rok czy dwa będziesz czuć coś innego. - Uniosła rękę. - Powiedziałałabym, że twoje zabsorbowanie wojną sprawia, że nie możesz zbyt głęboko kochać ani mnie, ani Boga.

Przytaknęła.

- To samo powiedziałabym giermkowi, który ma nową dziewczynę. - Założył nogę na nogę. - Więc... do diabła z miłością. Co zrobiłaś?

Spojrzała na niego. Był tak blisko. Tak bardzo był sobą. Tylu rzeczy w nim nienawidziła. I kochała. Nie zawsze łatwo jest zapomnieć, jak sama twierdziła, nawet teraz, kiedy czuła prostą rzeczywistość dzieła bożego tak pewnie, jak skałę pod plecami.

- Użyłam... - Urwała. Miała wiele do stracenia, a poza tym starannie unikała rozmyślenia o pewnych rzeczach, do których nie chciała się przyznać, nawet sama przed sobą. - Przeorysza nie żyła. Forteca prawie padła. Miałam całą moc uwolnioną przez Głoga. Zaczęłam zawodzić... Gabrielu, nie dawałam rady. *Potentia* okazała się dla mnie zbyt wielka. Król i królowa wymagali uzdrowienia.

Zamknęła oczy.

- Wtedy Bóg położył na mnie rękę i mnie uspokoił. I *potentia* gładko przemieniła się w *ops*. Rzuciałam czar za czarem. - Patrzyła na wodospad, ale miała przed oczami setki uzdrowionych mężczyzn i kobiet, którzy odnieśli rany w bitwie. - Uzdrowiałam wszystko, czego dotknęłam - dodała. Wciąż była zdumiona na samą myśl o tym.

Gabriel pokiwał głową.

Obróciła się w jego stronę.

- Ktokolwiek to był... uspokoił mnie. Przemówił do mnie. - Wzięła głęboki oddech. - Wtedy i później, ale nie od tamtej pory, co trapi Miram. I mnie. - Na chwilę ściągnęła usta i brwi. - Potem, w noc, kiedy zamierzałam... mogłam mieć... Nie chcę tego robić. Przykro mi, Gabrielu. Nie chcę wyjaśniać. Powzięłam decyzję. Tak jak ty. Decyzję, jakie ty podejmujesz w bitwie, nieodwołalną i wiążącą. Klamka zapadła. Nigdy nie ukrywałam, co do ciebie czuję. - Spojrzała mu w oczy. - Ale nie będę brać tego pod uwagę. - Skinęła głową. - Nigdy.

- Ale...

Wstała.

- Nie pytaj. Kochasz mnie? Nie pytaj. Gdybyś miał posłać Michaela na pewną śmierć, żeby ocalić swoją kompanię, zrobiłbyś to?

Zacisnął usta. Wiedział, że przez chwilę jego mina odzwierciadlała jej wyraz twarzy.

- Nie jesteś łatwym przyjacielem. Tak, potrafię sobie wyobrazić, że to robię.

Skinęła głową.

- Powiedzmy, że się udało. Michael zginął, kompania ocalona. Jak często analizowałbyś tę decyzję?

On też się podniósł.

- Chyba... chyba rozumiem. - Pokręcił głową. - Ach, Amicjo... Impulsywnie położyła rękę na jego karku i go pocałowała, szybko, w usta, jak mogłaby pocałować Katherine albo ojca Arnauda.

- Będę uczyć twoje dzieci - powiedziała. - Tylko nie będę ich nosić.

Przez chwilę stał jak ogłuszony. Potem ukląkł przed nią i ucałował jej rękę. Uśmiechnął się, wciąż na kolanach.

- Naprawdę nie można mnie zabić? - zapytał.

Pokazała zęby w uśmiechu. Wypuściła powietrze, jej ramiona się odprężyły.

- Nie igraj z losem - poradziła.

Później rozmawiali prawie przez godzinę. Opowiedział jej, czego się dowiedział w Liwiapolis i od Smoka. Amicja niechętnie mówiła o tajemnicach Lissen Carak, ale potwierdziła kilka jego teorii.

- Co ojciec Arnaud myślał o twoim Smoku? - zapytała, kiedy stało się jasne, że powinni odejść.

- Smok przywrócił mu moce uzdrawiania - odparł.

Zamiast skomentować, wsunęła ręce w wodospad. Napiała się. Woda prawie natychmiast zmroziła jej dłonie.

- Zanim wrócimy do świata, powiedz mi, dlaczego jednasz się z Bogiem?

- To spowiedź? Pobłogosław mnie, matko, minęło bowiem mniej więcej dziesięć lat od mojej ostatniej spowiedzi. Mam zacząć od morderstw czy zberezeństw?

- Błuznierstwo łatwo ci przychodzi - zauważyła.  
- Moja matka zawsze widziała siebie jako równą Bogu. - Wzruszył ramionami.  
- Lubię twoją matkę. Sądzę, że musisz przestać się przed nią ukrywać. I za nią. Wszyscy mamy matki. - Ujęła jego rękę. - Za równą Bogu?  
Skinął głową.  
- Myślę, że pozwoliłem sobie wpaść w tę samą pułapkę, w którą wpada każdy nerwowy chłopak czy dziewczyna od czasu upadku Adama i Ewy. Uznałem, że zostałem przeklęty przez Boga.  
- Beznadziejna teologia.  
- Hm. - Jego niezobowiązujące chrząknięcie niemal zagięło w szumie wody. - Nie jestem tego całkowicie pewien. Później wcale nie nastąpiło cudowne nawrócenie. Moja droga siostrzo, stwierdzisz, że jestem po prostu nudnym agnostykiem zadającym wszystkie zwykłe pytania. Dlaczego jest tyle cierpienia? Dlaczego światem rządzi garstka złych nadistot obdarzonych wyjątkowymi mocami? Gdzie są dowody miłości Boga? - Spojrzał na jej dłonie. - Wyznam, że kiedy trzymasz mnie za rękę, przebiega mnie dreszcz wiary w boską miłość.  
- Czy jest lepsza gadka we wszystkich sferach? - zapytała, szeroko otwierając oczy. - Kochaj mnie, a ja odnajdę Boga.  
Oboje się roześmiali. Był to dobry śmiech.  
- Znajdziesz sobie inną - powiedziała.  
- Nigdy.  
- Ależ tak, skarbie. Teraz będzie łatwo. - Dotknęła go i poczuła drżenie mocy, ledwie echo mocy. Ale znała jej smak i się uśmiechnęła. Ghause rzuciła na nią czar miłosny i to ją rozśmieszyło. - Podobieństwa się przyciągają - wymruczała.  
- Słucham?  
- Dzięki. To było piękne.  
Uklonił się.  
- Powinniśmy wracać.

\*\*\*

Dwie godziny później dołączyli do kolumny na południe od urwisk i przejechali przez Szósty Most. Może padły sprośne

komentarze, ale postawa Amicji sprawiła, że trafiły jak kulą w płot. Jechała z kapitanem i siostrami i gdy przystanęli na południowy popas, ich beztroska rozprzestrzeniła się na całą kolumnę.

Po obiedzie dołączył do nich Zły Tom, zostawiwszy stado prawie cały dzień drogi za nimi. Jechał z ser Gabrielem, zakonnicami, Chrisem Foliakiem i Francisem Atcourtem; obaj z ser Danvedem prześcigali się w opowieściach o swoich bohaterskich czynach, bez powodzenia próbując sprowokować ser Bertrana. Przez godzinę polowali z jastrzębiami i wrócili z kilkoma przepiórkami na kolację, po drodze spotykając ser Gawina, który dość daleko wysforował się ze strażą przednią.

Podczas gdy dwaj bracia rozmawiali, pojawił się nad nimi ptak i wszyscy adepci hermetyzmu w kolumnie jednocześnie unieśli głowy.

Ser Alkajos, który był na tyłach z Moreańczykami, przyśpieszył i dołączył do kapitana, gdy ten przyjmował ogromnego ptaka, cesarskiego kuriera. Wziął ptaka, pogładził go i uspokoił, po czym zręcznie zsunął dwie kościane tubki.

- Zaszifrowane - oznajmił. Podał je kapitanowi.

- Jak daleko do obozu? - zapytał brata ser Gabriel.

Ser Gawin - jak nowo narodzony od czasu, gdy zobaczył się ze swoją narzeczoną w Lissen Carak - wskazał przed siebie.

- Dwie ligi. Tuż za następnym wzniesieniem.

Kapitan wsunął tubki pod podbródek i spojrzał na ser Alkajosa.

- Jeśli tu przystanę, żeby przeczytać - powiedział - ominie nas kolacja.

Alkajos wydał wargi.

- Jest Wielki Post - przypomniał. - Kolacja będzie tak nudna, że nie da się tego wyrazić.

Chris Foliak się pochylił.

- Mój stół prawie nigdy nie jest postny - oznajmił, ale kiedy napotkał spojrzenie Amicji, miał dość przyzwoitości, żeby odwrócić wyrok.

Cesarski posłaniec zakończył majówkę, jak Amicja zwała w myśli ten dzień. Jechali szybciej i prosto do celu - tak szybko, że została w tyle z siostrami, bojąc się, że Marię spotka jakiś niefortunny wypadek.

Nie widziała przybycia kapitana do obozu, ale kiedy tam wjechała, większość namiotów już stała i za nią ciągnęli tylko Moreańczycy. Znalazła Nell rozkładającą ich postanie.

- Wielkie dzięki, Nell! - krzyknęła. Piękny dzień wysuszył koce, nawet na końskim zadzie, i marzyła o spaniu, o suchym spaniu.

- Kapitan mówi, że masz przyjść w dogodnej chwili - powiadomiła ją Nell. - Co znaczy, siostrze, że masz to zrobić w te pędy.

Weszła do czerwonego namiotu, gdzie powitała ją cisza. Byli tam ser Gawin, ser Michael, ser Thomas i ser Christos. Ser Alkajos stał przy kapitanie i pisał na woskowej tabliczce. Kum siedział ze skrzyżowanymi nogami, popijając wino.

Wszyscy mieli poważne miny. I wszyscy spojrzeli na nią - serce jej zamarło. Patrzyli tak, jakby ktoś umarł.

- Co się stało? - zapytała.

Gabriel - dziś nie myślała o nim jak o kapitanie - wstał i do niej podszedł.

- Król - rzekł łagodnie. - Król zlikwidował twój zakon za zgodą arcybiskupa. Rozwiązał Zakon Świętego Tomasza.

Westchnęła.

- Żaden król, nawet patriarcha, nie może odczynić tego, co uczynił Bóg - powiedziała.

Ser Michael wstał.

- W imieniu całej kompanii, siostrze, powiem, że ty i przeor, i ojciec Arnaud, wszyscy codziennie jesteście dla nas przykładem.

Ser Gabriel pokiwał głową.

- Zgadza się. Co zrobisz?

- Napiję się wina - odparła Amicja, siadając. Nie mogła się zmusić do śmiechu. - Muszę pomyśleć.

- Jesteś mile widziana w naszej radzie, siostrze - powiedział ser Michael, przypominając jej, że w rzeczywistości jest intruzem. Dwie mapy na stole i woskowe tabliczki w rękach świadczyły, że odbywa się narada wojenna.

- To nie są jedyne złe wieści - zauważyła.

Ser Alkajos zrobił taką minę, jakby chciał zaprotestować, ale ser Gabriel się do niej uśmiechnął, a ona przez chwilę pławiła się w ciepłe

jego uśmiechu. Była to niewinna przyjemność.

- Nie. Proces królowej przewidziano na wtorek w przyszłym tygodniu, na turnieju. Jest długa lista, która obejmuje utratę praw, konfiskaty i zdrady.

- Mój ojciec zostanie stracony - oznajmił ser Michael z mrozącym krew w żyłach spokojem.

- Połowa wielmożów zostanie aresztowana i stracona - powiedział Gabriel. - Najwyraźniej przez drugą połowę i garstkę Galów.

- Ładna mi garstka - mruknął ser Thomas. - Trzy setki kopii z tym potworem Du Corse'em.

Ser Michael się roześmiał.

- Nieczęsto człowiek nosi takie trafne miano. W Harndonie doszło do jawnego rozłamu i toczy się wojna - kontynuował Gabriel. - Pospólstwo przeciwko arystokracji, przynajmniej tak się wydaje. Królowi udało się zatrzymać ser Geralda Randoma.

- Najbogatszego i najwierniejszego człowieka w królestwie - wtrącił ser Gawin.

- Ludzie uciekają z miast, król rozważał wprowadzenie prawa wojennego i wygląda na to, że inicjatorem tego wszystkiego jest arcybiskup Loriki. - Gabriel rzucił na stół mały, prawie przejrzysty kawałek pergaminu.

Ser Michael ściągnął brwi.

- Jakby chciał doprowadzić do wybuchu wojny domowej.

Gabriel pokiwał głową.

- Komuś zależy na wojnie domowej. Komuś bardzo sprytnemu.

Michael pokręcił głową.

- Poślij po kompanię.

Gabriel powtórzył jego gest.

- Dlaczego? Nie jesteśmy atakowani. Słuchajcie, przyjaciele, mamy zgodę na zbrojny wjazd na turniej. Jedziemy na turniej i działamy w granicach prawa.

Nagle Amicja zrozumiała.

- Zamierzasz walczyć o życie królowej! - zawołała.

Ser Michael gwałtownie obrócił głowę, podobnie jak ser Gawin.

Gabriel zrobił nieznośnie zadowoloną minę, jak zawsze, kiedy

wszystko szło zgodnie z jego planem. Ściągnął usta, wydał policzki i, razem wzięwszy, wyglądał jak kot, który właśnie złapał mysz.

- W istocie, także - powiedział.

- Obyśmy wszyscy tego dożyli - mruknął ser Michael. - Ty draniu. Ja chcę walczyć za królową!

Gabriel pokręcił głową.

- Ty będziesz ratować swojego ojca. I parę innych osób.

Zły Tom potarł zarośniętą szczękę.

- Wytniemy sobie drogę tam i z powrotem? - zapytał z wyraźną przyjemnością.

Czerwony Rycerz westchnął.

- Nie, Tomie. Postaramy się być rozsądnymi, odpowiedzialnymi rycerzami, którzy nie chcą publicznie używać przemocy wobec ludzi już będących na krawędzi wojny domowej.

Zły Tom wyszczerzył zęby.

- Wszak właśnie o tym mówisz. - Uśmiechnął się. - Będziesz musiał codziennie stawać w szranki.

Ser Gabriel pokiwał głową.

- Tak, lecz nie chcę zostać ranny.

Jego brat zaśmiał się bez śladu wesołości.

- Jesteś prawdziwym złodziejem chwały. Jeśli zostaniesz ranny, z pewnością jeden z nas znajdzie trochę czasu, żeby zająć twoje miejsce.

Zabrzmiał wymuszony śmiech. Zły Tom szczerzył się od ucha do ucha.

- Chodzi o potykanie się z tym popaprańcem, de Vraillym? - zapytał.

Ser Gabriel wzruszył ramionami.

- Na pewno nie z królem we własnej osobie. De Vrailly jest jego obrońcą.

Ser Gawin popatrzył na brata.

- Jest mój - oznajmił. - Bóg mi świadkiem, chcę się z nim zetrzeć.

Rycerze spojrzeli jeden na drugiego.

Ser Gawin pochylił się nad stołem.

- Ja jestem najlepszy w turniejowych potyczkach.

Ser Gabriel pokiwał głową.



- Tak - rzekł powoli, po czym uśmiechnął się do brata. - Czasami. - Wyprostował ramiona. - Królowa mnie poprosiła, ubiegłej jesieni. Nie sądzę, żeby wtedy wiedziała, co przyjdzie rzucić na stos...

Tom Lachlan poklepał się po udzie.

- Na stos! - powtórzył ze śmiechem. - A niech mnie, to dobre.

\*\*\*

Następne dwa dni w drodze różniły się od tych z pierwszego tygodnia. W północnej Albinie jechali szybciej, po lepszych drogach, pokonując wielkie mosty przerzucone przez meandrującą rzekę i na każdym z nich płacąc myto lokalnym panom. Urzędnicy króla dbali o drogi i mosty, a miejscowi zbierali myto i przekazywali je do Harndonu. Handel na Trakcie Królewskim był jednym z głównych źródeł dochodów na północy.

- Dlaczego Trakt Królewski nie biegnie do Albinkirku? - zapytała pewnego wieczoru siostra Katarzyna.

Ser Gawin, który przed chwilą śpiewał nieszpory z zakonnicami, skrzywił się.

- Głównie z powodu mojego taty - odparł. - W mrocznych czasach przed Chevinem stworzenia Dzikicy zniszczyły wszystkie drogi, jakie tylko mogły. Próbowaly odciąć Albinkirk od Harndonu. - Pokręcił głową. - Wielcy panowie północy przywykli do tego, żeby dbać tylko o północe drogi. Mój tata nie widzi potrzeby, żeby mieć łączność z Harndonem albo płacić tam podatki.

- Więc... - Amicja widziała to jak na mapie w głowie, czyli w pewien sposób w pałacu pamięci. - Więc na północ od Szóstego Mostu...

- Na północ od Szóstego Mostu jest sieć małych błotnistych szlaków zamiast jednej solidnej, zadbanej drogi. Nawet za starego króla wąwóz i wzgórze utrudniały utrzymanie porządnego traktu. - Ser Gawin zapatrzył się w zmierzch. - Gdybyśmy mieli dobrego władcę, i czas, i pokój, ukończylibyśmy drogę, a to ożywiłoby handel i zapewniło ściślejszą więź północy z południem.

- Ser Gerald pokazał, że można płynąć łodzią. Do samej Loriki. - Siostra Amicja nie mogła się powstrzymać i patrzyła, jak ser Thomas i ser

Gabriel wyjeżdżają razem na równinę. Ich zbroje połyskiwały w zmięczeniu, a końskie kopyta wstrząsały ziemią.

Ser Gawin pokiwał głową.

- Zaraz do nich dołączę... Łodzie Radoma dopłynęły i w tym roku będzie tak samo. Ale obejście wodospadów zajmuje cztery dni, a w mokrą wiosnę z wezbraną rzeką wiosłowanie nad wodospadem jest trudne. - Spojrzał na żyzne pola. - Jeśli królestwo ma się zjednoczyć, rzeka musi być żeglowna, a droga przejezdna od początku do końca.

Na południe od Piątego Mostu zaczął się ruch na drodze. Minęli późną karawanę zmierzającą na północ - ludzie wiedzieli mniej niż oni o wydarzeniach w Harndonie. Trzy dni dzieliły ich od Loriki.

- Będziemy w Lorice w Wielki Piątek - powiedziała Amicja do siostry Mary. - Pójdziemy na nabożeństwo do bazyliki!

Gawędziła z zakonnicami i próbowała ignorować otaczające ją znaki, ale żołnierze wyglądali coraz bardziej ponuro, im dalej się posuwali na południe. Na drogach widywali uchodźców, z początku głównie zamożnych ludzi z wozami. Dzień jazdy od Loriki napotykali setki ludzi, całe rodziny uchodźców. Niektórzy już zostali obrabowani, a większość wyglądała jak druciarze - brudni, niosący worki z dobytkiem i zapasowymi ubraniami, dźwigający najdziwniejsze rzeczy.

Ani zakonnice, ani żołnierze nie mogli pozostać obojętni. Wielu z nich błagało o żywność i wielu opowiadało straszne historie.

Ser Gabriel znalazł ją po południu dziesiątego dnia drogi.

- Nie jadę do Loriki - oznajmił.

- Widziałam, że wysłałeś Michaela na wschód - powiedziała.

- Masz dobre oczy. Wąskie drogi ciągną się po obu stronach rzeki. Skręcimy na wschód ku wyżynom i spróbujemy ominąć uchodźców.

- Nie mówisz mi wszystkiego.

Po raz pierwszy gniew przemykał po jego twarzy. Ser Gabriel nie krył zniecierpliwienia.

- Nie kłamie. Mogę ci powiedzieć, czego się domyślam, ale to, co wiem, składa się na cieniutki tomik. Wolałbym, żeby cię tutaj nie było. Czy to zbyt szczerze? Oni chcą cię dopaść. To... nie spodziewałem się

takich poważnych decyzji. Czuję się jak głupiec, ćwicząc na turniej, podczas gdy całe królestwo rozpada się na kawałki niczym lalka pod kołami wozu.

Odwrócił wzrok, jakby zirytowany na samego siebie.

- Nie podoba ci się, że nie panujesz nad sytuacją - zauważyła.

- To płytkie. Nikt nie panuje nad wojną, ale teraz mamy istny obłąd. Król rozbijający własny kraj i własne małżeństwo?

Amicja pokiwała głową.

- Minie mnie Wielkanoc w bazylice Loriki - powiedziała. - Ale nie jestem na tyle głupia, żeby jechać tam na własną rękę.

Skinął głową.

- Dobrze.

To wystarczyło, bez filtrowania, bez dyskusji.

- Myślę, że nasza trójka dołączy do kompanii - powiedziała do Katarzyny, która zaśmiała się bez cienia wesołości.

- Jeden z paziów zaproponował mi małżeństwo, jeśli jego rycerz się zgodzi - oznajmiła. - Myślę, że jestem dość stara, żeby być jego matką.

Siostra Maria pokraśniała.

Jechali na wschód, oddalając się od zachodzącego słońca.

Była to długa noc.

Kapitan nie wspomniał, że się nie zatrzymają, żeby rozbić obóz. Skręciwszy na wschód, zwiększyli tempo z doświadczonymi giermkami prowadzącymi ich na przemian stępem i kłusem. Nawet Katarzyna zaczęła się skarżyć, a o wschodzie księżyca Amicja przygryzała dolną wargę ze zmęczenia i bólu. Siostra Maria jęczała.

Kolumna stanęła. Księżyc nie skąpił blasku, będąc prawie w pełni, wąska droga była jasna i całkiem wyraźna pomiędzy ciemnymi polami.

- Z koni. - Rozkaz napłynął z czoła kolumny.

Ser Christos zeskoczył z wierzchowca i rycersko pomógł zsiąść siostrze Marii.

Siostra Katarzyna zsunęła się z siodła zmęczona, ale nie poobijana.

- Nie mówcie mi, że to nic w porównaniu z Męką Pańską - mruknęła. - Wiem, że taka jest prawda, ale to wystarczająca pokuta za

wszystko, co kiedykolwiek myślałam o Miram.

Paziowie szli wzdłuż kolumny, cienie poruszające się w zimnej, rozświetlonej przez księżyc ciemności. Mieli przygotowane worki z obrokiem i pomogli zakonnicom założyć je na końskie głowy.

Nell podeszła do Amicji.

- Kapitan mówi, że macie jakieś pół godziny, i pyta, czy wszystko w porządku.

Amicja machnęła ręką.

- Jeszcze nikt nie umarł od otarć od siodła. Mam nadzieję.

Zbyt szybko znowu ruszyli w drogę, końskie rzędy, kolczugi, stalowe płyty i skóra cicho pobrzękiwały i poskrzypywały. Przejechali przez małą wioskę - czekały psy, ale nikt nie wyszedł.

Za siołem skręcili na południe i Amicja zrozumiała, że jadą granią wysokiego, łagodnie nachylonego wzniesienia. Widziała mrugające światła tuzina dalekich wiosek - dziwne, że mieszkańcy nie spali tak późno.

Południe. Znała się na gwiazdach na tyle, żeby wiedzieć, że skręcili na południe, w kierunku Harndonu, i że dym na horyzoncie musi płynąć ze śniadaniowych ogni Loriki, drugiego miasta królestwa.

Nie zatrzymali się ani nie rozbili obozu.

W południe Amicja spała w siodle. Drzemała godzinę, może więcej, i zbudziwszy się, stwierdziła, że kolumna zatrzymała się w głębokim lesie. Za nią ser Christos pomagał zsiąść, a raczej spaść z konia siostrze Marii.

Przyszli paziowie po konie. Wierzchowiec Amicji ledwie się trzymał na nogach, miał spienione boki i dzikie oczy.

Nie znała pazia, który go zabrał, ale chłopak się do niej uśmiechnął.

- Nie martw się, siostrze, wieczorem twoja kobyłka będzie jak nowo narodzona.

- To znaczy, że teraz będziemy spać? - zapytała. Była zbyt zmęczona, żeby się złościć czy skarżyć.

Przecież było jak w klasztorze.

Paź wzruszył ramionami.

- Nikt mi nie powiedział. Ale skoro mamy oporządzić i nakarmić konie, to chyba jasne, że przez jakiś czas nie ruszymy w drogę. - Mrugnął.

Siostra Amicja zabrała zakonnice i zaprowadziła je w cień wielkiego dębu. Położyły się - Maria padła - i zasnęły.

Amicja się ocknęła, czując korzeń wiercący jej dziurę w boku, i zrozumiała, że przespała Mękę Pańską. Natychmiast się podniosła i uklękła. Kiedy większa część kompanii się zbudziła, poprowadziła modlitwy skruchy.

Służący przyniósł jej miskę owsianki.

- Owsianka? - zapytała.

- Nikomedes mówi, że jest Wielki Piątek - wyjaśnił Gilbert, najmłodszy służący. - Nie ma mięsa, nie ma ryb.

Ser Gabriel się zbudził i Amicja odczuła mgliste zadowolenie, gdy zobaczyła, że ma pognieciony czerwony tabard i że coś wycisnęło bruzdę na jego czole. Uśmiechnął się do niej.

- Tak sobie wyobrażasz obchodzenie Wielkiego Piątku? - zapytała.

- W pocie i mozole? - Pokiwał głową. - Mniej więcej... aha, jest Tom.

Ser Thomas przybył z tuzinem ciężko uzbrojonych górali wysokich jak on, wszystkich konno.

- Kenneth Dhu będzie poganiać stado, dopóki nie skończymy. Macie niezłe tempo - zauważył.

- Dopiero w przyszłym tygodniu zobaczysz, co to znaczy niezłe tempo - powiedział ser Gabriel.

Niedługo po wyruszeniu w dalszą drogę las się skończył. Okazało się, że wbrew temu, co myślała Amicja, obozowali nie w głębi lasu, ale w zadbanej dąbrowie na terenach bogatego dworu. Rozejrzała się. Widziała pola, a na wschodzie wysokie, ośnieżone szczyty gór jaśniejące w promieniach zachodzącego słońca.

- Wilcza Głowa, Królicze Uszy, Biała Twarz i Trudna Rada - nazywała je Nell, pokazując ręką. - Moja rodzina pochodzi z tych stron. Morea leży sto lig w tamtym kierunku.

Ser Christos się do niej uśmiechnął.

- Nie moja część Morei, młoda damo. Tu jest miękkie południe,

gdzie hoduje się oliwki, nie wojowników.

Nell się skrzywiła ze jego plecami.

- Kto chciałby hodować wojowników? - burknęła.

Jechali, dopóki niebo nie pociemniało i gwiazdy nie zamrugały nad głową. Zsiedli i wypili po kubku wina, wszyscy z wózkami w rękach. Większość ludzi zmieniła konie. Zakonnice zostały posadzone na nowych wierzchowcach. Kilka następnych mil szybko im minęło, gdy uczyły się kierować większymi, bardziej niebezpiecznymi zwierzętami. Żadna nie spadła. Kolejny przystanek zrobili na rozstajach. Cztery duże wozy blokowały drogi po obu stronach.

Ser Christos chrząknął.

- Co to? - zapytała go Amicja.

- Prowiant - odparł. - A już się zastanawiałem. Kupił żywność. - Skinął głową.

Sam kapitan wyłonił się z ciemności jak nieczysty duch.

- Teraz to łatwe - powiedział. - Zaczekajcie, aż popędzimy na północ. Wtedy zrobi się ekscytująco. - Jednak się uśmiechał i uśmiech sugerował, że zaczął się oswajać z sytuacją.

Ranek zastał ich w kolejnym gaju, większym, na wschodnim zboczu kolejnego dużego wzniesienia. Amicja widziała Albinę płynącą do odległego o dwadzieścia mil morza. To znaczyło, że są na wschód od Harndonu.

Była Wielka Sobota.

Obóz był niewielki. Kobiety zajęły się gotowaniem, co stanowiło rzadkie wydarzenie w kompanii, i uwarzyły zupę na wołowinie z kluskami i młodą zieleniną. Amicja dotąd nie jadła czegoś takiego, ale zakonnice posilały się bez słowa skargi.

Ser Gawin i inni rycerze przyszli na poranne modlitwy. Gdy śpiewali, siostra Amicja dostrzegła jednego z dużych cesarskich posłańców, który zatoczył krąg i usiadł na nadgarstku kapitana. Nagle ubyło wiernych na jej nabożeństwie, ale kapitan musiał ich odprawić, bo większość rycerzy wróciła.

Skręcili na zachód. Z jakiegoś powodu Amicji przyśpieszyło serce. Po ponad godzinnym kłusowaniu odbili na południe ku rzece, wjechali w obręb zewnętrznych murów niewielkiego zamku, zsiedli z

koni i padli spać.

Kiedy Amicja się zbudziła, było prawie ciemno i mężczyźni już siadali na koń.

Ser Gabriel chwycił ją za łokieć.

- Zatrzymamy się w klasztorze Bothey - powiedział. - O ile się nie pomyliłem w rachubach, będziesz mogła wysłuchać rezurekcji i powitać zmartwychwstałego Zbawiciela.

- A ty? - zapytała.

- Oszczędzę ci szczegółów - odparł. Nie uśmiechnął się. Wyglądał okropnie ze słomą na ubraniu i ciemnymi kręgami pod oczyma.

- Nie bądź głupim męczennikiem - upomniała go. - Potrzebujesz odpoczynku, żeby walczyć. I wielkanocna msza może ci pomóc pod wieloma względami.

Wtedy się uśmiechnął.

- Może.

Jechali do późnego wieczora. Powietrze było ciepłe, pachnące późną wiosną bardziej niż dziesięć dni temu w Albinkirku, gdzie wciąż leżał śnieg pod drzewami. Tutaj lada dzień miało nastać lato i w ostatnim świetle dnia kwiaty mieniły się bogactwem kolorów wzdłuż drogi, a wszystkie żywopłoty były gęstymi murami zieleni, strzegąc pól, na których uprawy już miały wysokość pięści.

Zapadła noc. Sowa zahukała przed kolumną, a potem druga po prawej stronie. Na północy, pomyślała Amicja.

Cała kolumna przeszła z kłusa w stęp. Siostra Maria nawet nie jęknęła. Z dnia na dzień jeździła coraz lepiej i wcale się nie skarżyła. Nie narzekała od czasu, gdy spały pod drzewem, natomiast siostra Katarzyna nie mówiła więcej o radości jazdy wierzchem.

W zasadzie nikt się nie odzywał. Siodła poskrzypywały, zbroje pobrzękiwały, gdy kompania niczym cienie mknęła po Bardońskim Gościńcu.

Księżyc pojawił się na niebie.

Amicja zapadła w drzemkę i zbudziła się, słysząc sowy pohukujące z przodu i po prawej stronie. Kolumna powoli się zatrzymała.

Amicja jechała dalej. Powtarzała sobie, że chce być na mszy, ale w

głębi serca wiedziała, że gna ją ciekawość. Czuła zapach dymu - w głębi gardła, na koniuszku języka. Widziała Moreańczyków, którzy trzymali na dystans zawodzących ludzi, uciekinierów, nie dopuszczając ich do kolumny.

Na czele kolumny tuzin ludzi stał na drodze wokół dwóch punktów magicznego światła.

Amicja spostrzegła, że ktoś nowy dołączył do grupy dowódców. Natychmiast go rozpoznała z czasów oblężenia i złapała za rękę.

- Ser Gelfred!

Ukląkł na drodze, a ona go pobłogosławiła, i po chwili wraz z siostrami miała pełne ręce roboty. Gelfred i jego kapral, Daniel Favor, odnieśli rany, długie cięcia, z których lała się krew i które łatwo mogły ulec zakażeniu. Trzy zakonnice śpiewały i uzdrawiały.

- Ser Ranald jest w pałacu z tuzinem chłopaków - zameldował Gelfred. - Więcej nie mogę powiedzieć. Kazałeś nam prowadzić odrębną operację.

Ser Gabriel uśmiechnął się bez krzty humoru.

- Nie rób wszystkiego, co ci każę - powiedział. - Nie masz zatem żadnego pojęcia, do czego zmierza Ranald?

- Nie tak żadnego. - Gelfred się uśmiechnął. - Siostro, po raz pierwszy od czterech dni nic mnie nie boli. Bóg cię kocha.

Uśmiechnęła się.

Ser Gelfred wrócił do rozmowy z ser Gabrielem.

- Nie tak żadnego pojęcia, kapitanie. Tydzień temu wywieźliśmy lady Almspend, a wczoraj Ranald przekazał nam ser Geralda i jednego rajcę. -Wzruszył ramionami. - I Paynima... nie, kłamię, on przyjechał od rycerzy.

- Jakich rycerzy? - zapytał Zły Tom.

- Arcybiskup rozwiązał zakon i ogłosił przepadek klasztornych ziem i pieniędzy. Próbował ich wszystkich wyłapać. - Gelfred wzruszył ramionami. - Mnisi mają zbyt wielu przyjaciół. Na wszystkich świętych, wszak nawet Galowie kochają ten zakon. Prawdopodobnie zostali ostrzeżeni, zanim król podpisał nakaz. Przeor Wishart zabrał wszystkich swoich ludzi i odjechał. - Zmarszczył nos. - Nie daleko. Czekają na ciebie, jak sądzę. -Wskazał



kciukiem przez ramię.

- Rozwiązał zakon... - jęknęła siostra Maria.

- Przecież ci mówiłam, siostró - szepnęła Amicja.

- Tutaj to wygląda inaczej. - Maria nie kryła przerażenia. -

Rozwiązał? Co z naszymi ślubami?

- Nasze śluby się nie zmieniły, podobnie jak zakon - odparła Amicja ze znacznie większą pewnością siebie, niż czuła.

- A ten dym? - zapytał ser Gawin.

- Znaczna część południowych krańców Harndonu stała wczoraj w ogniu - wyjaśnił Gelfred. - Pospólstwo spaliło pałac arcybiskupa. - Uśmiechnął się. - Ktoś zabrał wszystkie relikwie... i wszystkie skarby z katedry.

Ser Gabriel miał kamienny wyraz twarzy.

- Harndon płonie.

Gelfred przytaknął.

- Ktoś się śmieje - rzucił gorzko.

- To nie wszystko. Księżę Oksytanii jest kawałek na południe od miasta. Stanął obozem, nieufortyfikowanym, otwartym jak na turniej.

- Gelfred zakasłał w garść. - Ha... pozwoliłem sobie go powiadomić, że mamy powody wierzyć, iż król go zaatakuje. - Uniósł brwi. - Chyba mi nie uwierzył - dodał.

- Ilu ma ludzi? - zapytał Zły Tom.

- Mniej więcej tylu, co wy. Setka kopii, może więcej. - Gelfred pokręcił głową. - Galowie mają trzysta zawodowych kopii i całą gwardię królewską. I każdego najemnika na południu. - Nie zaśmiał się, ale znów pozwolił, żeby uśmiech satysfakcji wykrzywił mu usta. - Łącznie z niemałą liczbą moich chłopców i tych Ranalda.

- Przeor jest w klasztorze? - zapytał ser Gabriel. Uniósł brew.

Gelfred przytaknął.

Gabriel pokiwał głową.

- W takim razie wielkanocne czuwanie dla wszystkich - powiedział. - Na koń.

\*\*\*

Godzinę później kompania jechała pod dwiema wysokimi wieżami Bothey, sławnego opactwa południa. Bothey, ulubione

opactwo królów Alby i hrabiego Towbraya, nosiło wszelkie oznaki bogactwa i królewskiej łaski - nie brakowało tam złotych i srebrnych naczyń, wspaniałych starych fresków, rzeźbionych stalli. Prezbiterium było oddzielone od nawy przez posągi wyobrażające dwóch rycerzy w starożytnych zbrojach walczących ze smokiem.

Pomimo swojego bogactwa mieszkańcy klasztoru nie byli zdemoralizowani. Bracia zakonni orali ziemię, a siostry z „domu kobiet” siały zboże i tkwały najlepsze płótno w Nova Terra.

Zakapturzeni mnisi w czarno-brązowych habitach wprowadzili cichą kompanię do kaplicy. Nawet kapitan był milczący i pełen szacunku. Mnisi przy bramie mieli habity na pełnych zbrojach. Dwie zakonnice o surowych twarzach przyjęły Amicję i jej siostry. Mroczna kaplica była wielkości wiejskiego kościoła, z krokwiami na wysokości sześćdziesięciu stóp nad marmurową posadzką z wzorem przeplatających się heksagonów. W kaplicy panował mrok. Zakonnice poprowadziły ją w prawo, gdzie stały siostry i nowicjuszek z dwóch zakonów.

Dzwony milczały.

Były to ostatnie chwile Wielkiego Postu.

Z ciemności dobiegł szelest. W głębi kościoła mnich zapalił świeczkę i ksiądz Zakonu Świętego Tomasza rozpoczął modlitwę.

Jedna świeczka oświetliła cudowną kaplicę opactwa Bothey. Pięćdziesiąt lat temu jeden z najbardziej utalentowanych sztukatorów w Harndonie w ciągu jednego lata zmienił wystrój na etruską modłę, malując na ścianach sceny z życia i męki Chrystusa. Same złocenia wyglądały oszałamiająco, lśniąc metalicznie nawet w blasku jednej świecy, i malowidło było wręcz oszałamiające: kazń Świętego Jakuba, Jezus uzdrawiający ślepcę, ozdrowieniec ganiący za niewiarę gubernatora w brązowo-złotej zbroi na tle wypolerowanego cytrynowego złota.

A potem mnisi i mniszki zaczęli śpiewać, podobnie jak członkowie Zakonu Świętego Tomasza - dwudziestu rycerzy zakonnych stojących przy stallach i tuzin sióstr z dwóch zgromadzeń w południowym Harndonie. Dla Amicji i jej sióstr było to jak powrót do domu - radość mieszała się ze smutkiem. Amicja wiedziała, że nigdy nie zapomni tej

mszy, tak dobrze śpiewanej w kaplicy pełnej splendoru i znaczenia, gdy stała otoczona przez członków swojego zakonu, a także przez mężczyzn i kobiety z kompanii, z którą podróżowała. Gdy minęła pierwsza godzina i wierni zaśpiewali pieśń o świętych męczennikach, zapanowało pełne napięcia oczekiwanie. W końcu dzwony oznajmiły środek nocy i narodziny nowego dnia. Amicja zapaliła świeczkę od pochodni trzymanej przez rycerza zakonnego i w kaplicy rozbłysło światło. Wiele zakonnic i mnichów wyjęło ręczne dzwonki i potrząsało nimi radośnie. Zdawało się, że ich przenikliwy dźwięk przepędził ciemność i zastąpił ją gardłowym rykiem złota.

Gdy konsekrowano hostię, każdy członek kompanii klęczał na twardej kamiennej podłodze - nawet kapitan.

Po mszy, gdy oddali cześć zmartwychwstałemu Bogu, podano wino na brukowanym dziedzińcu klasztoru i zapanowała odświętna atmosfera, której wielu nie skojarzyłoby z mnichami i zakonnicami wiodącymi cnotliwe życie. Mnisi w brązowych habitach leżeli pod gwiazdami na gładkiej trawie wirydarza, rozmawiając o teologii, a zakonnice siedziały wśród kolumn krużganka, śmiejąc się i sącząc czerwone wino. Większość rycerzy Świętego Tomasza była bez zbroi i broni, pozostali mieli miecze, które dziwie kontrastowały z ich czarnymi habitami i akademickimi boretami. Siostry z ich zakonu, bardziej światowe i bardziej oddane praktykowaniu medycyny niż i mistycznym kontemplacjom, śmiały się głośnie i piły więcej. Na ponad godzinę groźba wojny domowej popadła w zapomnienie, zaćmiona przez chwałę zmartwychwstania.

Amicja prowadziła ożywioną rozmowę o teologicznych błędach patriarchy Rhumu i arcybiskupa Loriki. Minoryci, do których należało opactwo, mieli kilku magów - praktycznych mężczyzn i jedną kobietę - umiających rozpalać ogień, zapalać świece i tak dalej. Byli oburzeni i głęboko zaniepokojeni nagłą zmianą kierunku. Uważali się za błogosławionych, a teraz kazano im uważać się za przeklętych. Wielu rycerzy miało pewien talent, a ponieważ na ich klasztor rzucono anatemę, nie byli w nastroju do dyskusowania o intelektualnych możliwościach i wadach scholastyków w Lukrecji.

Jako zakonnica z opactwa Lissen Carak Amicja była tam mile

widziana, a jednocześnie uważana za swego rodzaju osobliwość, ponieważ północne siostry rzadko opuszczały swoją fortecę. Po kilku minutach rozmowy odkryła, że otacza ją sława potężnego maga i kobiety mającej zezwolenie na głoszenie kazań.

Ser Tristan, starszy oksytański rycerz zakonny, ściągnął brwi i wyznał, że nie pochwała odprawiania mszy przez kobiety.

- Ale jesteś jedną z nas - dodał. - I do diabła z arcybiskupem.

Siostra Amicja nie była pewna, czy ma się czuć zadowolona, czy obrażona. Była mgliście świadoma, że w Kościele istnieją frakcje, ale w konfrontacji z rzeczywistością czuła się naiwna. Nawet podczas świętowania jedni uważali ją za bohaterkę, inni zaś wyraźnie trzymali się na dystans.

Bez końca przypominano jej o obowiązku i o miejscu - była to lekcja pokory, którą przyjmowała z wdziękiem.

Po dwóch kulkach dobrego wina i godzinie rozmów, pochwał i krytyki stwierdziła, że jest wyczerpana - niemal za bardzo zmęczona, by zasnąć. Gdy rycerze, których znała z czasów oblężenia, prowadzili ją od grupy do grupy jak zdobycz, przedstawiając mnichom i zakonnicom obu zakonów, Katarzyna i Maria poszły z innymi siostrami od Świętego Tomasza do domu kobiet. Już miała zapytać ser Michaela, jak tam trafić, bo oczy się jej zamykały, kiedy podeszła mała dziewczynka, dygnęła i powiedziała, że wzywa ją przeor Wishart. Amicja znalazła go na zewnętrznym dziedzińcu z dwoma świeckimi rycerzami, których nie znała. Wsunęła dłonie w rękawy i stała skromnie, czekając. Bała się, że zaśnie na stojąco.

Przeor na nią spojrzał i się uśmiechnął, wyraźnie dając do zrozumienia, że ma na niego czekać.

Spuściła wzrok i po kilku uderzeniach serca owładnął ją nieznanym dotąd strach.

Coś złego.

Zatrzepotała powiekami i powiodła wzrokiem dokoła, ale niski pomrok głosów i dźwięki świętowania tak z miasta na dole, jak z wirydarza, mówiły tylko o święcie Wielkanocy.

Przeor podszedł i ujął ją za rękę.

- Nie zatrzymam cię długo - powiedział. Wyglądał na równie

zmęczonego jak ona. - Chcę, żebyś powiedziała mi wszystko, co wiesz.

- O ser Gabrielu? - zapytała, rozumiejąc aż nazbyt dobrze.

- Siostró Amicjo, balansujemy na krawędzi wojny domowej, a może już ją przekroczyliśmy.

Przeor Wishart ujął ją pod rękę i zaprowadził w obręb murów opactwa, a tam po kamiennych schodach na blanki. W dali na ciemnym horyzoncie jaśniała łuna. Kadzidło już nie maskowało zapachu dymu.

- Na czym polega mój obowiązek? - zapytał.

Uznała, że nie ją pyta.

- Mogę mu ufać?

Podniosła rękę do ust. Niemal zachichotała, co było reakcją na zmęczenie.

- Tak - odparła.

Przeor Wishart spojrział na nią w ciemności.

- Łączy was... hm... związek.

- Nie spałam z nim - powiedziała trochę za szybko.

- Siostró, przez długi czas byłem żołnierzem i księdzem. - Spojrzął w noc. - Gdybym myślał, że spałaś, nie przekląłbym cię, ale też nie szukałbym u ciebie rady. Niektórzy... w dzisiejszych czasach jest ich coraz więcej... - Urwał i po chwili podjął: - Zastanawiają się, czy człowiek zwany Czerwonym Rycerzem... - Wzruszył ramionami. - Czy Czerwony Rycerz jest bękartem. Słyszałem to wiele razy. I doszły mnie słuchy, że jego matka, księżna, sugeruje, że północ powinna mieć swojego króla.

Amicja całym ciężarem ciała oparła się o blank.

- Czy nasz zakon nie powinien być ponad takie rzeczy? - zapytała.

- Nigdy. Żadna organizacja, żaden zakon, żadna grupa nie jest ponad machinacje innych. Jeśli jesteśmy silni, możemy się przyczynić do kształtowania wyników, natomiast jeśli jesteśmy słabi, możemy zostać narzędziem kogoś potężnego, narzędziem, które nie może samodzielnie podejmować decyzji. - Przeor pokiwał głową. - Jedną z możliwości polega na zabranii wszystkich za morze albo do Morei. Inna to wyprawa na północ, do Lissen Carak, i czekanie na rozwój

wydarzeń.

Amicja była na to wszystko zbyt zmęczona.

- Wiem tylko, że on i jego ludzie myślą o ratowaniu królowej - powiedziała.

- Ach... - mruknął przeor. Pochylił się i pocałował ją w czoło. - Dokładnie to chciałem usłyszeć. - Położył rękę na jej głowie. - Będzie walczyć dla królowej?

Amicja czuła, że udzielając odpowiedzi, zdradziłaby zaufanie, i w duchu wzruszyła ramionami.

- Jestem przekonana, że ser Gabriel widzi się jako obrońca królowej. Nawet go o to zapytałam, ale było to jeszcze przed jej oskarżeniem.

- Wystąpi przeciwko królowi? - zapytał szybko przeor.

Amicja ściągnęła usta.

- Nigdy nie słyszałam, żeby mówił coś przeciw królowi czy królowej - odparła opryskliwie. - Nie kocha Galów. Uczestniczyłam w wielu zebraniach oficerów. Jawnie szydzą ze słabości króla. Ale... - Spojrzała twardo na przeora. - Ale ja też.

- Ha - mruknął przeor. - Myślenie, że król jest obłąkany albo zaczarowany, w tym momencie nie jest zdradą. Idź spać. Jutrzejszy dzień, jak przypuszczam, będzie bardzo ciężki.

Dygnęła.

- Wyczuwam coś... złego.

Przeor Wishart spojrzał na nią uważnie.

- Jesteś znacznie silniejsza niż ja - powiedział. - Jednak ja też wyczuwam pewną... *malmaissance*. Ale skąd? Czy z płonącego Harndonu?

Odetchnęła głęboko, uspokoiła się i spojrzała eterealnym wzrokiem.

- Z nieba - rzekła cicho.

Wishart zadarł głowę. Patrzył tak długo, że powieki zaczęły jej opadać.

- Wesółych świąt, siostró - powiedział. - Mam nadzieję, że to wytwór zmęczonego umysłu albo zdenerwowania. Nie chce mi się wierzyć, żeby tej nocy zagrażał nam bezpośredni atak. Idź spać.

Skinęła głową i zeszła z muru.

Była druga, może trzecia godzina po północy - większość opactwa spała i poza wartą na murach prawie nikt nie rozmawiał. Zgaszono pochodnie i w ciemności źle skręciła u stóp schodów i znalazła się na wirydarzu. Poza mnichami leżącymi na trawie wszyscy odeszli i jedynymi czuwającymi byli słudzy dopijający wino. Znalazła niski, bogato rzeźbiony tunel prowadzący na zewnętrzny dziedziniec i, przyciągana przez głosy, po omacku wymacywała drogę.

W połowie drogi, w niemal zupełnej ciemności, znowu wstrząsnął ją strach. Przez chwilę myślała, że to może skutek zmęczenia, jak powiedział przeor, ale zamknęła oczy i *weszła do swojego pałacu i zrobiła bardzo małe dzieło - utkaną z ops sieć do łapania dzieł innych. Było to coś, czego nauczyła się od Gabriela.*

*Uwolniła dzieło i usadowiła się jak pająk w pajęczynie, żeby „widzieć” to, co mogła zobaczyć w eterealu.*

Wyszła i wymacała drogę z częścią świadomości tkwiącą w pałacu.

Niedaleko wylotu tunelu w cieniu altany porośniętej winoroślą siedziało czterech mężczyzn.

Jednym z nich był Gabriel - wszędzie rozpoznałaby jego głos. Towarzyszył mu wielkolud, najwyraźniej ser Thomas - o pół głowy wyższy od innych znanych jej mężczyzn.

- Gabrielu - rzuciła ostro.

Wstał.

- Jest coś... - zaczęła i wyciągnęła rękę.

Sięgnął w świecie realnym.

Dwaj pozostali mężczyźni byli prawie tak wielcy jak ser Thomas - rosły rudowłosy rycerz z jej zakonu, znany jej z reputacji i wielkości nosa. Ser Ricar Orcsbane.

Czwarty był czarny, wielkości małego domu, przynajmniej tak się wydawało. Wszyscy wstali, gdy podeszła, i się ukłonili - czarna mężczyzna bardzo elegancko, składając ręce i gnąc się w pasie.

- Siostra Amicja z Zakonu Świętego Tomasza - przedstawił ją Gabriel i powtórzył to samo całkiem znośnie po etrusku. Jego uśmiech był zmęczony, ale mimo wszystko ją ogrzał.

Muszę go skłonić do zwrócenia uwagi, pomyślała.

- Ten szlachetny pan to ser Pavallo I-Walid Muhammad Payam. - Ser Gabriel staranie wymówił nazwisko, gdyż tego akurat języka nie znał.

Ciemnoskóry mężczyzna ukłonił się z uśmiechem, słysząc swoje miano.

- Byłeś na mszy - powiedziała Amicja. - Widziałam. - Zmusiła się do uśmiechu. Złapała Gabriela za rękę i chciała siłą go wciągnąć do swojego pałacu pamięci.

- Mówi, że pragnie twojego błogosławieństwa. - Gabriel wzruszył ramionami. - Bywałem wcześniej na mszy i nie zabił mnie piorun ani moje piekielne legiony nie zawsze sprawiały kłopoty.

- Przyjął komunię - wtrącił Tom Lachlan. - Kaplica się nie zawaliła, wbrew moim oczekiwaniom.

Pomiędzy jednym zdaniem i drugim *był z nią*.

- *Coś tam jest. Z tamtej strony.*

*Wskazała na obraz swojej sieci w eterealu, rozdartej na strzępy gdzieś ponad nią i na północy. Tutaj kierunki i odległości nie były takie same jak w rzeczywistości.*

*Gabriel spojrział na ekran siły eterycznej, którą wysłała.*

Amicja położyła rękę na dłoni ciemnoskórego mężczyzny i zmówiła krótką modlitwę za jego duszę.

- Próbowałem namówić niewiernego, żeby poszedł na mszę - powiedział Tom. Wyszczrzył zęby. - Skoro kapitan był, to czy jedna więcej przeklęta dusza uczyniłaby jakąś różnicę?

Amicja nagle poczuła, że ma dość.

- Nie drwij z tego, czego nie rozumiesz - warknęła.

Mało kto się stawiał Tomowi, ale, jak większość niebezpiecznych ludzi, góral nie był głupi. Skłonił głowę.

- Siostrze? - zapytał cicho.

- Coś jest nie w porządku - wyjaśnił ser Gabriel. Znowu był w realnym świecie. Popatrzył na północ. - Tobie... moja włócznia.

Tobie oderwał się od ściany i pobiegł do stajni.

- Amicjo, trzymaj się za nami - polecił Gabriel. Wciąż trzymał ją za rękę i coś w jego natychmiastowej chęci, żeby jej uwierzyć, posłuchać i zareagować...



Odwróciła się, żeby popatrzeć.

Znowu się odwróciła, by z nim porozmawiać. Otworzyła usta, chcąc powiedzieć coś, czego żadne z nich nigdy nie zdoła zapomnieć, i zmieniła zdanie - zmęczenie, religia, miłość, niebezpieczeństwo złożyły się na uderzającą do głowy mieszanicę, która przeważała nad codziennością i zdrowym rozsądkiem, jej zwykłe drogowskazy zostały obalone. Wrażenie, że zanosi się na coś złego, przepętniało powietrze wokół niej. Cokolwiek to było, mierzyło w niego, nie w nią. Rzuciła czary ochronne, lustro, żeby zdezorientować zło, czymkolwiek było, a nadto dołożyła aurę Gabriela, którą od niego pożyczyła.

Ruchem dłoni z pierścieniem na palcu podniosła tarczę rozjarzonego złota.

Coś wypadło z ciemności, przebijając się przez tarczę, i zatrzepotało tuż przed jej twarzą.

Wrzasnęła, czując dotyk.

\*\*\*

Czerwony Rycerz zobaczył zmianę jej postawy. Rzucił pierwsze dzieło magiczne ze swojego arsenału.

*Fiat lux.*

Złote światło rozbłysło pięćdziesiąt stóp nad nimi.

Ujawniło piękny koszmar - sześć wspaniałych, migoczących czarnych ciem, każdą wielkości dużego orła, ze skrzydłami z idealnie czarnego atlasu z niebiesko-czarnymi żyłkami, które pulsowały *ops*. Ćmy miały grube aksamitne czarne odwłoki pokryte filigranowymi wzorami, koronkowe czułki i obscenicznie duże ssawki, długie jak puginał, twarde i obrzmiałe, przyprawiające o ciarki, zakończone adamantem połyskującym jak błękitna stal.

Jedna muskała skrzydłami twarz Amicji, nawet gdy rozbłysło światło.

Ssawka zapulsowała mocą i ją ukłuła. Amicja wrzasnęła.

Długi zakrzywiony miecz Iffriqu'yańczyka wysunął się z pochwy, przemknął w powietrzu niczym płynny metal, lśniąc w srebrno-złotym amalgamacie poświaty księżyca i magicznego światła. Mężczyzna stał krok za Amicją i jednym ciosem odciął duże, szybko

bijące skrzydło i ssawkę -miecz przeszedł przez cel, zawrócił i ciął ponownie, niemal w tej samej linii, odcinając pukiel jej włosów, gdy trucizna pozbawiła ją sił i kolana się pod nią ugięły. Rycerz rozplątał aksamitne ciało, które bluznęło deszczem *ops, potentia* i czarnej żrącej krwi.

Amicja upadła bezwładnie jak nieżywa.

Miecz Czerwonego Rycerza wyskoczył z pochwy i ciął drugie monstrum - to, które rzuciło się na niego z rozpostartymi skrzydłami, już ociekając trucizną. Miecz uderzył - i odskoczył.

Po iskrach poznał, że stwory są eterealne. Miękkie jak skóra skrzydło uderzyło go w udo i coś obrzydliwie aksamitnego musnęło jego rękę - miecz spadł, zadając spanikowany cios. Złożył się do pchnięcia sztychem - dźgnął w materialny odwłok, ale odskoczył. Czubek, choć ostry jak jedna z igieł Mag, nie przebił owada, ale siła pchnięcia odrzuciła go w ciemność. Ćma koziółkowała w powietrzu przez piętnaście stóp ciemności i zderzyła się z drugą.

Ser Gabriel zrozumiał, że wszystkie mają na celu jego, ale skupiał uwagę na Amicji.

- Są zaczarowane! - krzyknął. - Śmiertelna broń się ich nie ima!

Wturlał się pod stół, wokół którego nadal siedzieli ludzie. Jedna ćma przemknęła obok ser Pavala i niezdarnie wylądowała na blacie - kubki wyleciały w powietrze i stół się przewrócił.

Zobaczył, że Zły Tom, uzbrojony w miecz smoka, przeciął inną prawie na pół. Przez jedno uderzenie serca przerażonego człowieka skrzydła były niezależnie od siebie, rozdzierając do końca odwłok broczący czarną posoką. Ser Pavalo przetoczył się pod cuchnącą ciecżą i ciął od dołu następną ćmę, po czym okręcił się na pięcie, jakby miał oczy z tyłu głowy.

Gawin nie miał magicznego miecza. Wskoczył na stół. Ćma leciała nisko i powoli i wydawało się, że z tyłu nie ma żadnej broni. Gawin wsunął ręce pod skrzydła, jakby chwycił człowieka, szarpnął oburącz i skrzydła pękły.

Ćmy atakowały w idealnej ciszy.

Gabriel zobaczył dwa czarne aksamitne straszydła - jedno próbowało się wzbąć nad zamieszanie, drugie siadało na rozpostartym

na ziemi kona-jącym człowieku.

- Amicja! - wrzasnął.

Rzucił się w jej stronę.

W eterealu zalał światłem jej most - i, improwizując uderzenie serca po uderzeniu serca, próbował wlać ops w więź, najpierw przez pierścień, potem przez dziwne dzieło magiczne na swojej kostce.

Nie chciał przyjąć do wiadomości, że na moście leżą jej blade zwłoki.

Wlał swoją moc w łączącą ich więź...

Jedna z ciem go dopadła. Leżał na brzuchu, osłaniając jej ciało, i ćma spadła mu na plecy, ciężka jak pies... poczuł...

W chwili gdy ssawka wbiła się w jego plecy, wlał przez nią całą swoją nienawiść i przerażenie.

Ćma eksplodowała.

Trucizna była zabójcza, ale działała wolniej niż hermetyczne osłony - oczyścił ranę ogniem, gdy sięgał po Amicję...

...i ją znalazł.

- Wszystko! - krzyknął do wszechświata. - Oddam wszystko!

Gdy rozpacz wzięła górę nad opanowaniem, zepchnął z mostu jej eterealną postać w płynący pod nim nurt zielonej potentia.

Moc - surowa moc, którą Amicja tak często czerpała, zmyła z jej twarzy zaschnięte, spieczone łuski i zostawiła nową świeżą skórę. Jej zielona szata zniknęła i Amicja była naga.

Gdy tylko uznał, że dostatecznie długo przebywała w otumanieniu, wciągnął ją na most i położył.

Trzymał ją w ramionach, z rękami pod jej piersiami, kiedy otworzyła oczy. Zaczepnęła tchu.

I znowu.

W realnym świecie była ubrana. Miała otwarte oczy.

- Myślałam, że nie żyję - powiedziała.

Ostatnia ćma, atakowana przez dwa Okrutne Miecze, jeszcze raz spróbowała dopaść swoją ofiarę i nadziała się na włócznie trzymaną przez Toby'ego, który odrzucił truchło daleko od kapitana i zakonnicy.

- Żyjesz - powiedział Gabriel dziwnym głosem.

Cofnął się, wciąż ją obejmując, jakby nie chciał się z nią rozstać, i

odciągnął ją od martwych ciał. Z klasztoru przybiegł przeor Wishart z połową mnichów, lasem mściwych mieczy. Od strony wirydarza napłynął przeciągły krzyk.

Gabriel nie chciał jej puścić. Był świadom, że właśnie zawarł pakt o jej życiu - z czymś. Czuł to.

Usłyszał wrzaski. Posadził ją na krześle i puścił, jedną ręką muskając jej włosy.

To było głupie, ale nie dotykał jej od tak dawna...

Przywołał się do porządku i wpadł do swojego pałacu.

- Jest ich więcej - powiadomiła go Prudencja.

Skinął głową. Widząc z bliska unicestwienie jednej z nich, znał ich budowę i wiedział, jak je uśmiercać. Co więcej, jego gniew był tak...

- Odetchnij - poradziła Prudencja. - Paskudnie się zraniłeś.

Zamiast posłuchać, sięgnął w ciemność i je zlokalizował - tylko trzy, już bez tej wielkiej determinacji, przez którą o mało nie zginął.

Jedna była w mieście; zabiła dwie kobiety, dziecko i kota.

Druga polowała na mnichów w klasztorze.

Trzecia krążyła wysoko w powietrzu, obserwując, a może raczej kontrolując.

- Składając taką obietnicę, otworzyłeś czemuś tylną furtkę do swojej duszy - powiedziała Prudencja.

Gabriel sięgnął w noc tym samym dziełem magicznym, którego użył w Gospodzie Dormling. Nałożył na nie prosty czar rozpoznawczy, stworzony dzięki bliskiemu kontaktowi z ćmą, która na nim usiadła.

Niski kamienny dom w mieście eksplodował w błysku złotego ognia.

Po lewej stronie, w wirydarzu, ćma rozbłysła wściekłą czerwienią i spadła jak popiół na różany ogród.

Wysoko na niebie największa ze wszystkich ciał poleciała do domu.

Gabriel, który czasami był niecierpliwym myśliwym, podążył za nią myślą, pozwalając, żeby jego ranne ciało upadło na bruk.

Nigdy nie wypróbował tej szczególnej formy ruchu w eterealu i wrażenie okazało się przerażające, jakby nago pojawił się na dworze. Stracił znaczną część swoich mocy - był tylko wiatrem i fantazją.

Ale niósł go gniew. Gniew wymazał racjonalne myśli i kazał mu kontynuować misję. W blasku księżyca tropił ćmę, która umykała na północ

do swojego pana.

*Przeleciała nie więcej niż trzy mile. Gabriel pochwycił ją w powietrzu i subsumował, po czym jak sztukmistrz pochwycił jedno pasmo eterealu, którym była związana ze swoim panem, i... trzymał.*

*Później musiał znaleźć drogę powrotną do swojego ciała.*

Kiedy wrócił, stwierdził, że jest posiniaczone, z oparzeniem wielkości dłoni wysoko na plecach. Z popielato-czarnego środka sączyło się coś cuchnącego.

Dotknął rosnącej mokrej plamy na plecach i zaćmiło mu się w oczach.

\*\*\*

Leżał w łóżku w infirmerii opactwa. Otworzył oczy i zobaczył przeora.

- Dorwałem wszystkie - rzekł ponuro. - Co z Amicją?

Przeor Wishart pozwolił sobie na zmęczony uśmiech.

- Żyje. Ale oficerowie osądzili, że ty dzisiaj nigdzie nie idziesz. Doszło do nowych wypadków, napłynęły nowe meldunki. Świat kręcił się bez ciebie. - Usiadł na brzegu łóżka. - Nie jestem okrutnym człowiekiem, Amicja żyje i ma się dobrze. O wschodzie słońca jej moc oczyściła twoje plecy z przekłętego jadu. Sądzę, że teraz śpi.

Gabriel chciał wstać i sięgnąć po ubrania. Przeor przycisnął go do łóżka.

- Poświęć mi chwilę, książe Gabrielu - poprosił.

Podał mu kubek grzanego wina.

- Z wyciągiem z maku? - zapytał ser Gabriel.

- Tylko z miodem - odparł przeor. - Dziś musisz mieć w pełni sprawny umysł.

\*\*\*

Godzinę później wszyscy zebrali się przy długim stole w refektarzu. Ser Gabriel siedział z przeorem, ser Michaelem i ser Alkajosem - z dwoma cesarskimi ptakami na pulpitach do mszałów - naprzeciwko Amicji, która miała opuchniętą twarz, i ser Thomasa z ser Gawinem, ser Ricarem, ser Christosem i ser Payamem, niewiernym. Było też dwóch rycerzy zakonnych i dwóch świeckich. Zakon miał wielu świeckich członków - rycerzy, którzy poświęcali

czas na ochronę karawan i pielgrzymów.

Obok ser Godfryda u szczytu stołu siedział młody mężczyzna w kraciastym niebiesko-żółtym stroju. Miał kędzierzawą brodę i przystojną, szczerą twarz skrzywioną w wyrazie młodzieńczego gniewu.

Opanował się, wstał i ukłonił wszystkim obecnym.

Ser Gelfred się podniósł.

- Panowie i panie, księżę Tancredo Oksytański.

- Brat królowej - szepnęła Amicja do siostry Katarzyny, która siedziała za nią.

Księżę uśmiechnął się do niej i jego uśmiech przywodził na myśl wschód słońca. Amicja jako kobieta uznała, że pomimo zarumienionych policzków i mściwych oczu opalona skóra, rudawe włosy i ostry nos czynią go jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziała. W porównaniu z jasną karnacją i ciemnymi włosami ser Gabriela...

Byli podobni pod względem wzrostu i budowy.

Księżę wciąż się do niej uśmiechał.

- Jesteś, *sans doute*, najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem - oznajmił z ukłonem.

Ser Gabriel się skrzywił.

Ale też się jej ukłonił.

- Dobrze widzieć cię żywą - powiedział.

Poczuła, że się rumieni.

Inni rycerze - ser Payam, ser Thomas i ser Ricar, wszyscy okropnie poparzeni przez juchę ciem - wstali i oddali jej cześć, a ona spojrzała w okno.

- To Bóg, przyjaciele, nie ja - powiedziała, choć pochwała mężczyzn była taka słodka.

Ser Pavallo znowu się ukłonił. Przemówił w języku, który brzmiał jak archaicki.

- Mówi, że oddaje hołd twojej wielkiej mocy. Mówi, że to dar od Boga. - Gabriel pokiwał głową. - Chyba dziękuje ci za uzdrowienie, ale wyznam, że mój etruski nie jest tak dobry jak jego i nie mam pewności. Może też mówi, że jesteś najpiękniejszą zakonnica, jaką

kiedykolwiek widział.

Spiorunowała go wzrokiem, a on się uśmiechnął, naśladowując jej gniewny wyraz twarzy.

Przeor Wishart chrząknął.

Gabriel miał dość przyzwoitości, żeby zrobić zawstydzoną minę.

- Wasza Wysokość, radzi jesteśmy, żeś do nas dołączył.

Przeor Wishart płynnie przetłumaczył jego słowa na oksytański, który dla Albanów brzmiał jak mieszanina galijskiego z etruskim.

Księżę skinął głową i zmarszczył brwi. Wygłosił długą przemowę i skrzyżował ręce na piersi.

- Księżę mówi, że dziś rano zginął jego kuzyn Rohorim, osłaniając jego ucieczkę... że czuje się jak nędzny tchórz i że przybył tutaj z tym człowiekiem, Gelfredem, spodziewając się, że uratuje swoją siostrę i honor. I mówi... - przeor Wishart zmarszczył czoło - o innych rzeczach, których przetłumaczenia odmawiam. - Powiedział coś ostro do oksytańskiego księcia.

Księżę Tancredo gwałtownie uniósł głowę. Spiorunował wzrokiem przeora, zerknął na Amicję i poczerwieniał.

- Przepraszam - bąknął, wzruszając ramionami. - Zgadzam się. Nie jestem sobą.

Ser Gabriel pokiwał głową.

- Ona tak działa na nas wszystkich - mruknął.

- Nie, tylko na ciebie - sprostował ser Michael. - No tak, i na księcia.

Amicja patrzyła na nich spokojnie, nauczywszy się od dawnej przeoryszy trzymać wysoko uniesioną głowę i mówić ze staranną dykcją.

- Jeśli panowie skończyli, pozwolę sobie zauważyć, że wszyscy jesteśmy zainteresowani ratowaniem królowej.

\*\*\*

Gelfred wziął od Czerwonego Rycerza wyrysowaną na pergaminie mapę Alby i rozwinął ją na stole. Wszyscy rycerze wyjęli sztylety, pugiwały i baselardy i położyli je w narożnikach, żeby sztywna skóra się nie zwinęła.

Wskazał Harndon.

- Król i de Vraily trzymają stolicę. Mają pięćset czy sześćset kopii i silną piechotę.

- Co z cechami? - zapytał przeor. - Mam wiadomości sprzed trzech dni. Ser Alkajos wstał.

- Cechy są rozproszone. Proskrypcje wypędziły wielu ważnych ludzi na wieś. Ser Gelfred spotkał się z ser Geraldem...

- Za godzinę będzie w Lorice - wtrącił Gelfred.

- Ale większość płatnerzy, kowali i handlarzy uciekła ze stolicy. - Ser Alkajos spoglądał na notatki na woskowej tabliczce.

- A więc de Vraily trzyma miasto - skonkludował przeor.

Ser Gabriel pokiwał głową.

- Tak. Niezależnie, co z tego wyniknie, ser Ricar i mistrz Pye wezwali rzemieślników do ucieczki, zanim dojdzie do masakry.

Ser Ricar pokiwał głową.

- Dziś rano - podjął ser Alkajos - ser Vraily poprowadził armię królewską do ataku na obóz księcia Oksytanii.

Gelfred przytaknął.

- Ostrzegłem go.

- I jest tutaj - dodał ser Gabriel.

- De Vraily i Du Corse, najlepszy z ich żołnierzy, pokonali Oksytańczyków po kilku godzinach walki - powiedział mało dyplomatycznie ser Alkajos. Księżę się wiercił. Najwyraźniej rozumiał po albańsku tyle, żeby się poczuć obrażonym. - Z dobrego źródła wiem, że niektóre cechy dołączyły do armii królewskiej i że kusznicy miejscy wystrzelali ostatnich rycerzy księcia.

Księżę trzasnął pięścią w stół.

Czerwony Rycerz położył rękę na ramieniu ser Alkajosa.

- Dość! Księżu nie trzeba przypominać o poniesionych stratach. Ile kopii ocalił?

Księżę skinął głową.

- Sześćdziesiąt - odparł. - Rycerze i giermkowie, po sześćdziesięciu.

-Zwrócił się do przeora i coś powiedział.

Przeor Wishart skinął głową.

- Włócznicy.

- *Mais oui. Bien sur.* Nie zabraliśmy paziów ani łuczników, ani, jak



mówisz, włóczników, gdyż myśleliśmy, że jedziemy na turniej, bohurt. Nie na wojnę.

Ser Michael pochylił się w jego stronę. Spojrzał na kapitana, który wzrokiem zachęcił go do mówienia.

- Ale to jeszcze nie wojna - powiedział.

Zły Tom zachichotał.

- Stuknięty król aresztował swoją żonę i twojego ojca, a ty mówisz, że nie ma wojny?

Ser Michael zdobył się na smętny uśmiech.

- Nie, na Boga, Tom. Mój ojciec nie płacił podatków i jego lojalność wobec korony była... - Wzruszył ramionami, stalowe naramienniki zamrugały w słońcu. - Nie taka, jaka mogła być. Aresztowanie hrabiego nie musi wywołać wojny. Ani, jak sądzę, aresztowanie królowej.

Mężczyźni wokół stołu pokiwali głowami.

Przeor pogładził brodę.

Książę odwrócił wzrok, z rozdrażnieniem ściągając wargi.

- Natomiast zabicie królowej - rzekł cicho ser Gabriel - prawdopodobnie położy kres naszej lojalności, jaką czujemy do króla. Czy nie?

Rozejrzał się.

- Panowie i panie, jestem najemnikiem. Walczę za pieniądze i wojna jest moim rzemiosłem. W tym wypadku uważam za ironię to, że muszę wam przypominać, jakim nieszczęściem będzie dla tego królestwa wojna domowa.

- To nie będzie wojna domowa, ser Gabrielu! - wybuchnął jeden ze świeckich rycerzy zakonu. - To będzie wojna lojalnych Albanów przeciwko Galom!

Przeor Wishart pokręcił głową, podobnie jak Gelfred. Gelfred powiódł wzrokiem po twarzach zebranych.

- Z Okstytańczykami walczyło więcej albańskich rycerzy i włóczników niż Galów - powiedział. - De Vrilly i de Rohan mają wielu zwolenników. Niektórymi kieruje chciwość, to pewne, ale wielu jest po prostu wiernymi Albanami walczącymi dla króla.

Ser Gabriel pokiwał głową.

- Panowie, musimy ocalić królową. Z pewnością wszyscy tutaj są świadomi, że jestem czarnoksiężnikiem. Sądzę, że wielu wie, jak potężna jest siostra Amicja. - Rozejrzał się. Pędząca chmura na chwilę przysłoniła słońce, które zaraz potem zaświeciło ze złotą siłą jak w pełni lata. Poniedziałek Wielkanocny był piękny. - Przypuszczam, że król został zaczarowany.

Amicja mu przytaknęła.

~ Tym królem zawsze kierowała najbliższa opinia, ostatnie słowo - podjął wzruszając ramionami. - Przynajmniej tak zawsze utrzymywała moja pani matka, jego siostra. Uważam, że takiego człowieka łatwo jest kontrolować za pomocą czarów. Czy jest zaczarowany, czy czymś otumaniony, naszym pierwszym obowiązkiem jest ratowanie królowej. Najlepiej zrobić to w granicach prawa. Niech jeden z nas... ja, chyba że mnie przegłosujecie... jutro walczy w jej obronie.

Książę Oksytanii miał wystraszoną minę. Powiedział dwa czy trzy zdania do przeora Wisharta i wyprostował ramiona.

- Książę Tancredo pyta, czy naprawdę wierzysz, że jutro Galowie pozwolą ci walczyć na turnieju? Czy w ogóle wierzysz, że turniej się odbędzie? Wszak aresztowali albo zatrzymali większość uczestników.

Czerwony Rycerz odchylił się na krześle. Zdaniem Amicji miał tę nieznośnie zadowoloną minę, jak zawsze, kiedy uważał, że jest sprytniejszy od innych.

- Mnie nie zatrzymają - oznajmił. - Ani Michaela, Gawina czy Toma. Co więcej, poza członkami zakonu i księciem, którym król wypowiedział wojnę, nikt przy tym stole nie ma prawa zostać zatrzymany. Wszyscy mają prawo jechać na turniej i walczyć. - Spojrzał na księcia. - Książę Tancredo, nawet w tyranii obowiązują zasady. De Vrilly musi sprawiać pozory, że przestrzega prawa. Nie może tak po prostu zabić królowej.

Tom parsknął.

- Jasne, że może. Chłopcze, kocham cię jak brata, ale mogą związać nas wszystkich i zabić każdego. I powiedziecę pospólstwu, cokolwiek będą chcieli.

Czerwony Rycerz pokiwał głową.

- Nie jestem aż takim wielkim głupcem, Tomie. Nie zgadzam się z tobą, ale powiem, że mamy kilka atutów.

Tom czyścił paznokcie sztyletem długim jak niejeden miecz.

- Taa? To je wymień, głupku. - Wyszczrzył zęby i pomachał nożem. - To znaczy pojedę bez względu na to, jaki bzdurny plan obmyśliłeś, ale chciałbym posłuchać, co mamy po naszej stronie.

Czerwony Rycerz ściągnął brwi.

- Nie lubię wyklądać moich planów.

Odpowiedziało mu zbiorowe westchnienie.

Amicja pochyliła się nad stołem.

- Uważam, Gabrielu, że tym razem musisz się nimi z nami podzielić. Wszyscy ryzykujemy życie. To nie jest jeden z twoich militarnych figlów.

Irytacja, a nawet złość, przemknęła po twarzy Czerwonego Rycerza. Zaraz potem spojrzał z uśmiechem w jej oczy.

- Tak. Dobrze. - Powiódł wzrokiem po innych. - Przypuszczam, że jeśli jest wśród nas zdrajca, to mamy przepierdolone.

Mężczyźni i kobiety zakonu się wzdrygnęli, słysząc mocne słowo. Amicja pomyślała, że czasami Gabriel zachowuje się jak mały chłopiec.

- Po pierwsze, wszędzie są Galowie - podjął powoli. - Z tego powodu, i z uwagi na ich sieci kurierów, zebraliśmy członków zakonu, karawanę mistrza Pye'a i wszystkich Oksytańczyków, którzy uciekli z obozu. To da nam dwieście kopii i solidną piechotę. Przyznaję, za mało, żeby stawić czoło armii królewskiej w polu, gdyby doszło co do czego. Ale siła jest dość duża, żeby stanowić zagrożenie, i wszyscy oni jutro zejną się w Lorice, żeby osłaniać nasz odwrót. - Uśmiechnął się do przeora. - Oczywiście, jeśli się zgodzisz, panie, i ty, księżę Tancredo.

- Dość, ale nie wystarczy, żeby mieć przewagę na placu turniejowym. - Tom pstryknął skrawkiem czarnej skóry z przedramienia poparzonej kwasem podczas walki z ćmami. Nożem, którego używał podczas jedzenia, jął zdrapywać strupki z już zagojonego ciała.

- Nie, ale twój kuzyn Randal da radę - powiedział ser Gabriel.

Ludzie siedzący wokół stołu komentowali i pochrząkiwali.

- Ranałd zna pałac i gwardię królewską jak własną kieszeń, i miał cztery tygodnie, żeby stworzyć... i ma ze sobą połowę czerwonej bandy.

Tom wyszczerzył zęby.

- To mi się podoba. Tak. Podoba.

Ser Gabriel uklonił się jak sztubak, którego w szkole spotyka nagroda.

- Dziękuję, ser Thomasie. - Rozejrzał się. - Zaplanowałem również kilka dywersji.

Wciąż nam czegoś nie mówi, pomyślała Amicja. Pochyliła się i śmiało zażądała:

- Masz plan. Przedstaw go nam.

Ser Gabriel pokiwał głową.

- Mam plan. Nasz największy sprzymierzeniec będzie niespodzianką. Pojedziemy z moimi rycerzami. Pokażę znak królowej i zaproponuję, że stanę do walki z de Vraillym. Zmusimy ich do walki... sądzę, że zakwestionowanie odwagi de Vrailly'ego skłoni go do tak szybkiej reakcji, że jego doradcy nie zdążą go powstrzymać. Pokonam go... i wygramy. - Uśmiechnął się. - Przypuszczam, że Galowie będą skończeni, gdy tylko de Vrailly klapnie dupą na ziemię. Gdy zostanie dowiedziona niewinność królowej...

Przeor Wishart pokręcił głową.

- Obawiam się, synu, że zbyt upraszczasz. Arcybiskup... znam go i ludzi jego pokroju. Nie powstrzyma się przed niczym, żeby doprowadzić do twojej przegranej. Będzie oszukiwać.

Czerwony Rycerz błysnął swoim pełnym zadowolenia uśmiechem.

- Możliwe, ale De Vrailly nie będzie oszukiwać. Nie sądzę, żeby był do tego zdolny.

- Chcę podjąć próbę walki o króla - oznajmiła Amicja.

Zapadła cisza.

- Uważam, że jestem najzdolniejszą uzdrowicielką w tym zgromadzeniu - podjęła. - Jeśli król jest chory...

- Albo obrzucony klątwą, albo czarami - wtrącił ser Gabriel. Skinął do niej głową jak jeden spiskowiec do drugiego.

- Siostra Amicja w każdej chwili może zostać aresztowana - przypomniał im przeor Wishart. - I spalona na stosie.

Amicja zadrżała, ale wyprężyła ramiona.

- Ubiorę się jak służąca. Jeśli włożę suknię i wepnę kwiaty we włosy, wątpię, żeby ktoś wziął mnie za zakonnicę. - Wwierciła się wzrokiem w Gabriela. - Panowie, bez fałszywej galanterii, proszę.

- Zastanawiam się, jak blisko zdołasz podejść do króla - powiedział ser Gabriel.

Znowu zapadła cisza. Przeor Wishart pokręcił głową.

- Straż jej nie dopuści - zawyrokował. Spojrzał na Czerwonego Rycerza. Nagle spostrzegł, że siostra Amicja już nie siedzi na krześle.

Co więcej, stała tuż przy nim.

- Nauczyła się tego ode mnie! - syknął ser Gabriel.

- Owszem - przyznała.

Większość obecnych się roześmiała.

Czerwony Rycerz wyłożył swój plan. Ani rycerze zakonni, ani Oksytańczycy nie byli zadowoleni, że mają tworzyć straż tylną.

Ser Gabriel był nieugięty.

- Jeśli jawnie wjedziecie z nami na plac turniejowy, wszyscy złamiemy prawo - oznajmił.

Zły Tom wyszczerzył zęby.

- Chłopcze, wszyscy łamiemy prawo. Nie jesteśmy niewinnymi jagniętami. A jeśli od razu się na nas rzucą? Wystarczy setka kusz i będzie po nas, nasza stal nie zda się na wiele.

Gabriel zrobił niezadowoloną minę i skrzywił usta, jak zawsze, kiedy się czuł napastowany.

- Coś wymyślimy - zapewnił. - Zgadzam się z przeorem i siostrą Amicją, że Galowie mają więcej mocy hermetycznej, niż pokazują, ale czy dość, żeby się mierzyć ze mną i Amicją? - Uśmiechnął się do niej.

Zmarszczyła brwi.

- I jeśli spróbują cię aresztować, wtedy na pewno wybuchnie wojna domowa - powiedziała.

- Przebijemy się i uciekniemy. I zabierzemy ze sobą królową.

Skinęła głową.

- Ale słyszałam, że właśnie na tym zależy Galom, na wojnie

domowej. Dlaczego więc nie mieliby cię pojmać w chwili, gdy tylko się pokażesz?

Tom się roześmiał.

- Złapała cię za jaja!

Ser Gabriel przymrużył oczy.

- De Vrailly na to nie pozwoli.

- A jeśli jest tylko marionetką? - zapytał przeor.

- Jeśli tak, to nikt mu tego nie uświadomił - odparł ser Gabriel. - Twierdzę, że jeśli zadziałamy szybko, zdołamy ich zmusić do podjęcia rękawicy.

Pokiwali głowami.

Zły Tom wyprężył plecy, ze szczękiem schował sztylet i wyprostował nogę. Złączył czubki palców.

- Dasz sobie radę z de Vraillym? - zapytał wprost.

Ser Gabriel wzruszył ramionami.

-Tak - odparł.

- Ale nie jesteś pewien.

Gabriel spojrzał mu w oczy.

- Wynik żadnej walki nie jest pewny.

- W takim razie jesteś głupi. Wejdziemy do jaskini lwa i będziemy patrzeć, czy wygrasz, czy przegrasz, i jeśli wygrasz, zabierzemy królową, zanim król zmieni zdanie, i pojedziemy do Loriki. Zauważ, jeśli przegrasz albo postanowią cię aresztować, wszyscy umrzemy straszną śmiercią, połamani na kole albo rozerwani przez konie. Na pewno przemyślałeś swój plan? -Wysunął zuchwę w obraźliwym góralskim geście. - Nie jest najlepszy.

- Masz lepszy? - warknął Gabriel. Nie lubił, gdy ktoś podawał w wątpliwość jego słowa. - Może ty nas wprowadzisz i wyprowadzisz?

- Gdzie mam sprzedać moje bydło? - zapytał Tom.

- W Lorice - odparł Gabriel.

- Będiesz mnie osłaniał przez trzy dni, gdy będę handlować?

- Jeśli będzie trzeba.

Zły Tom zwarł się z nim wzrokiem.

- Nawet według mnie jesteś zbyt bezczelny.

Ser Gabriel spojrzał na pozostałych.

- Zgadzam się. Ten plan jest do luftu. To wszystko, co mam, klecone ze słomy i gliny. Ponieważ powinniśmy wrócić do Albinkirku, pozwolić Galom zabić królową i zebrać własną armię. Powinniśmy, ale w ten sposób dalibyśmy przewagę Galom i mojej umiłowanej matce. Jeśli jednak dopniemy swego, możemy uchronić naród przed wojną. A to, panowie, jest naszym rycerskim obowiązkiem.

- Jesteś żalowaną namiastką najemnika - burknął Zły Tom. - Poślę do Donalda Dhu, żeby zaczął sprzedawać bydło. Zyskamy dzień, może dwa.

- Wchodzisz?

- Jasne. Pójdę za tobą wszędzie... choćby tylko po to, żeby się dowiedzieć, dokąd zmierzasz.

Rycerze odsunęli krzesła. Brat Czerwonego Rycerza położył rękę na stole.

- Jestem najlepszy we władaniu kopią - oznajmił.

Rozmowy ucichły.

- Byłem lepszy, gdy mierzyliśmy się w dzieciństwie, i pokonałem cię w Boże Narodzenie - dodał.

Ser Gabriel odwrócił się i uśmiechnął do brata.

- Prawda, bracie.

- Nadto przysięgłem go zabić.

Ser Gabriel pokiwał głową.

- Królowa mnie poprosiła.

Twarz Gawina poczerwieniała i zaraz potem zbieleła.

- Więc odmawiasz? - syknął.

Ser Gabriel pokręcił głową.

- Gawinie, będziemy mieli szczęście, jeśli w ogóle dojdzie do walki z de Vraillym. Wszystko, co zwiększa szanse, jest nam na rękę. Mam list królowej i jej znak. Będą musieli zezwolić mi na pojedynek. Mnie, nie tobie.

- Pięknie, w takim razie przywdziej swoje barwy i zamknij przyłbicę. Jesteś zachłanny, bracie. Zawsze musisz być ty. Ja mówię, żebyś dał mi to zrobić. I dodam: żadna moc pod słońcem nie powstrzyma mnie od powalenia de Vrailly'ego na ziemię.

- Nie przejmuję się żadnymi mocami - oświadczył Gabriel. - Ja muszę to zrobić.

Gawin trzasnął pięścią w stół, wziął srebrny kubek Gabriela, zgniół go w garści i cisnął przez pokój. Wyszedł z chrzęstem trzewików na kamiennej podłodze.

Zły Tom odprowadził go wzrokiem, po czym położył wielką dłoń na opancerzonym ramieniu Czerwonego Rycerza.

- Jest lepszy niż ty - powiedział.

Rysy ser Gabriela stwardniały.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### Kompania

Amicja, zbudzona w ciemności przez siostrę Katarzynę, przy pomocy innych sióstr szybko się ubrała w prostą żółtą suknię z pasem z zielonych liści. Siostra Maria splotła wianek z kwiatów z klasztorного ogrodu i założyły go jej na głowę, a potem wszystkie się nad nią pomodliły. Czuła wokół siebie niezłomność ich modłów, silną ochronę.

Dosiadła wierzchowca z większą łatwością, niż mogła to zrobić przed dziesięcioma dniami.

W świetle pochodni czuła, że dzień jest wilgotny i mglisty. Pochodnie przy bramach opactwa wyglądały jak miękkie żarzące się cętki, jak świetliki w letni wieczór. Rycerze, wszyscy w pełnych zbrojach, już przeklinali wilgoć i jej wpływ na zbroje. Nie było widać gwiazd.

Czerwony Rycerz siedział sam w lśniącej zbroi. Wyglądał trochę niedorzecznie, gdyż dosiadał wierzchowca ze zwyczajnym siodłem, żeby oszczędzać konia bojowego na turniej, i jego stopy zwisały dość blisko ziemi. Patrzył w mgłę. Ser Michael i ser Thomas zajmowali się zbieraniem kolumny złożonej wyłącznie z rycerzy i giermków, kilku doświadczonych paziów w pancerzach, zapasowych koni i kopii.

Przez kilka następnych minut dziedziniec opactwa usłyszał więcej przekleństw i bluźnierstw niż w ciągu pięćdziesięciu lat. Amicja słyszała brawurę i strach, podwyższoną czujność. Mężczyźni się bali. Byli dumni, ale zalęknieni.

Ser Michael podszedł z ukłonem.

- Gotowa na czas i śliczna jak z obrazka - powiedział z twardym uśmiechem.

Skinęła głową.

- Mogę z nim pomówić? - zapytała.

- Lepiej nie - odparł.

Przyszedł brat Czerwonego Rycerza, spóźniony, i narzekał na prawe kolano, dopóki Toby nie zapiął jakiejś sprzączki, podczas gdy

Nell przyświecała mu pochodnią. Ser Gawin - teraz zwali go Zielonym Rycerzem - wszedł sztywno na siodło i obrócił konia. Coś powiedział do Nell - może słowa podziękowania - i podjechał do brata. Amicja była z tego zadowolona, gdyż nie cierpiała przebywać w towarzystwie skłóconych ludzi.

Zielony Rycerz podał Czerwonemu Rycerzowi buławę, a ten nią machnął. Bez słowa wskazał bramę i mnisi ją otworzyli.

Na dziedzińcu stali przeor Wishart w pełnej zbroi i książe Oksytanii. Bracia pochylili się w siodłach, przywołali ser Michaela i w piątkę odbyli krótką naradę. Zanim koń Amicji zaczął się niecierpliwić, kapitan skinął buławą i kolumna wyjechała dwójkami za bramę, rycerze z giermkami.

Przeor Wishart podszedł do głowy jej konia i chwycił uzdę.

- Jesteś dzielną młodą kobietą - powiedział z uśmiechem. - Ale wszyscy to wiemy, jak sędzę. Jako jedyny członek zakonu jedziesz na tę chwalebny wyprawę.

- Nie zawiodę - obiecała.

Pokiwał głową.

- Najlepiej się nadajesz do tej misji. Jeśli ocalisz królową, to bardzo dobrze. Ale jeśli zdołasz ocalić króla... - Odwrócił się i cicho podjął: - Nie obawiaj się zabrać go ze sobą, Amicjo, jeśli to będzie możliwe. Ser Ricar przez cały czas będzie blisko ciebie.

- Czy Gabriel wie? - zapytała.

Przeor Wishart wzruszył ramionami.

- Nie, dziewczyno. To nasza rozgrywka. Książe Oksytanii i Murienowie niewiele dbają o naszego króla. Nie mogę powierzyć jego losu wyłącznie ser Gabrielowi.

Uśmiechnęła się.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Skinął głową i udzielił jej błogosławieństwa.

- Gdzie jest niewierny rycerz? - zapytała.

- Odjechał w nocy - odparł przeor. Wzruszył ramionami. - Nie jest zdrajcą, niezależnie od swojego wyznania. Przypuszczam, że twój ser Gabriel wysłał go z wiadomością.

Amicja pokiwała głową, mrużąc oczy.

- Do Harmodiusza. To jego szuka czarny człowiek, Harmodiusza. Nie wiem dlaczego, ale jego i ser Gabriela łączy... jakaś więź.

Przeor Wishart pogładził brodę w wilgotnej ciemności.

- Ach - mruknął. - Prawie zapomniałem o Harmodiuszu. Żyje?

Nadeszła jej kolej wyjazdu za bramę. Stwierdziła, że jest w parze z Nell, która popatrywała na nią niecierpliwie.

- To skomplikowane - odparła. Machnęła ręką i razem ruszyły w mglistą, czarną jak smoła ciemność za bramą. Jej serce biło coraz szybciej.

Żałowała, że nie może porozmawiać z Gabrielem. Zmówiła za niego modlitwę i żeby wyzbył się strachu, który z pewnością odczuwał.

Mgła była nieruchoma i chłodna, gdy jechali.

\*\*\*

Jechali trzy godziny. Co godzinę kolumna zatrzymywała się na kilkuminutowy popas - paziowie zakładali koniom worki z obrokiem i podawali im wodę. Pod koniec trzeciej godziny dotarli do zajazdu. Brama była otwarta i pochodnie płonęły we mgle, prowadząc ich do wody, kromek ciepłego chleba i kubków grzanego miodu w wilgotnym mroku. Spędzili na podwórzu może dwadzieścia minut, po czym ruszyli w dalszą drogę -czterdzieści koni, dwudziestu mężczyzn i dwie kobiety. Amicja nie wiedziała, gdzie są, ale przypuszczała, że bardzo blisko Harndonu. Piały koguty, wieś wokół nich się budziła. Szum wskazywał, że Albina płynie gdzieś po lewej stronie, a dźwięk dzwonów prawdopodobnie dobiegał z Harndonu, zza rzeki.

Mgła się podniosła, ale nie zrzędała. Gdzieś nad jej głową wschodziło słońce, lecz ani jeden promień nie przebił gęstej szarej chmury, która spowijała ich niczym wilgotny dym.

Nagle ku jej konsternacji znaleźli się wśród drzew, dużych, sędziwych dębów, klonów i innych, wysokich i imponujących, których nie znała z Adnarni, z pniami szerokimi jak chłopska chata i tak wysokimi, że znikały w szarości.

- Jesteśmy w Parku Królewskim w Haye - szepnęła do niej Nell. Amicja odniosła wrażenie, że smarkula wie znacznie więcej o

porannych planach niż ona. - Ser Gelfred oczyścił wszystko godzinę temu. Nasi ludzie są przy wszystkich bramach. Tu będziemy czekać.

- Czekać? - powtórzyła Amicja.

Nell spojrzała na nią tak, jak prawdopodobnie patrzyła na nowych paziów i łuczników. Nic nie wiesz?

- Kapitan mówi, że musimy wjechać na turniej w odpowiedniej chwili. - Nell mówiła o kapitanie tak, jak zakonnica może mówić o Bogu. Jej zaufanie było absolutne.

Większość ludzi zsiadła z koni. Z mgły wyjechał młody mężczyzna, Daniel Favor, którego Amicja pamiętała jako chłopca w Hawkshead. Podeszedł do kapitana, zamienił z nim parę słów, potem skierował się do ser Gawina. Po krótkiej rozmowie Favor znowu dosiadł konia. Zatrzymał się przy Amicji i ukłonił w siodle.

- Dzień dobry, siostrze! Dziwne, że tu się spotyka para góralczyków, prawda?

Amicja się roześmiała i był to jej pierwszy niewymuszony śmiech tego ranka.

- Wydajesz się w dobrym humorze, Danielu.

Favor wyszczerzył zęby.

- Och, siostrze, zrobimy Galom psikusa, prawda? Przypuszczam, że będą o nas śpiewać pieśni. - Zasalutował jej pejczem. Miał lekkie siodło, jakich używano na wschodzie, i siedział na wysokim koniu mocnej budowy. Jego napierśnik lśnił i zauważyła, że dzień znacznie pojaśniał.

Ser Michael podeszedł i przykucnął przy niej w zbroi.

- Przewożą królową ulicami Harndonu - powiedział i ściągnął brwi. - Galowie już stracili kilku wybitnych obywateli, między innymi Ailwina Darkwooda.

- A twój ojciec? - zapytała, modląc się o jego duszę.

- Jest na liście egzekucji - odparł. Uśmiechnął się. - Ale dołączy do nas w Lorice, przynajmniej tak mówi kapitan.

Amicja z drugiej ręki dowiadywała się o albańskiej polityce, niezadowolona z tej obowiązującej w zakonie.

- Michaelu - zaczęła, rozmyślnie używając jego imienia - czy twoja kompania zamyśla wszcząć wojnę domową?

- Mój tata by to zrobił - przyznał. - Lubię myśleć, że kapitan jest mądrzejszy.

- Ale, tak czy owak, go nie odstępisz?

Obrzucił ją dziwnym spojrzeniem.

Dzień jeszcze bardziej wyjaśniał i odcień mgły nad głową sugerował, że wyżej jest błękitne niebo.

- Kapitan się martwi, że mgła ustąpi zbyt szybko - powiedział Michael.

- To cud zesłany przez Boga - stwierdziła. - Idealnie dopasowany do naszych potrzeb.

- Hm - mruknął Gabriel za jej plecami. - Niezupełnie przez Boga, gdyż sam go sprawiłem. Jedna ze sztuczek twojej przeoryszy, o ile dobrze pamiętam.

Odwróciła się i zobaczyła... ser Gawina. Miał zamkniętą przyłbicę, więc głos był stłumiony, ale nosił zielony tabard i złotą pięcioramienną gwiazdę ser Gawina.

Usiadł obok niej na kłodzie i podniósł zasłonę w kształcie sokolego dziobu. W hełmie Gawina była twarz Gabriela.

Wzruszył ramionami.

- Wszyscy są przeciwko mnie - rzekł uprzejmie. - Gawin jest lepszy w szrankach, a ja muszę wydawać rozkazy. - Machnął ręką. - Ja podniosłem mgłę. - Skrzywił się. - Przyznam, że wyszło całkiem nieźle.

Skinęła głową zadowolona, że choć tyle jej wyznał.

- Sądzę, że przypisujesz Bogu zbyt małe zasługi - powiedziała. - Cieszę się, że ser Gawin będzie dzierżyć kopię.

- Powinienem poczuć się urażony tym, że masz tak niskie mniemanie o mojej biegłości. Pomyśleć, że noszę twój upominek!

- Głuptas z ciebie. A kiedy ta przygoda się skończy, Gabrielu, odzyskam moją chusteczkę. Już nie jestem panną do wzięcia.

- Tak, tak - rzucił rubasznie.

Widziała dość zabrudzony kwadrat zwykłego płótna wetknięty pod naramiennik.

- Tak, *Bonne Soeur*. Rozstaniemy się. - Parsknął śmiechem.

- Nie wierzysz mi? - zapytała urażona.

Zamiast odpowiedzieć, uklonił się i zatrzasnął przyłbicę. Ludzie siadali na koń. Coś się zmieniło podczas ich rozmowy.

Wskoczył na siodło swojego rumaka. Ser Gawin podszedł i ukląkł obok Amicji.

- Pobłogosław mnie, proszę, *Bonne Soeur*.

Amicję kusilo, żeby powiedzieć ser Gawinowi, że ser Gabriel nigdy nie pragnął niczyjego błogosławieństwa, ale to nie była jej sprawa. Jej sprawa dotyczyła relacji ludzi z Bogiem, więc tylko położyła rękę na jego hełmie i go pobłogosławiła.

Wstał i wsiadł na konia. Po mowie jego ciała poznała, że jest ogromnie zdenerwowany, dlatego, choć Nell się niecierpliwiła, poszła za fałszywym Czerwonym Rycerzem i złapała za uzdę.

- Nie masz się czego obawiać - powiedziała. - Jedź z Bogiem.

Przez chwilę pod zasłoną hełmu było widać uśmiech ser Gawina.

- Jesteś dobrą kobietą. Czy mój strach aż tak bardzo rzuca się w oczy?

Pokręciła głową.

- Nie, panie rycerzu - zapewniła swoim najłagodniejszym głosem. - Ale byłbyś szaleńcem, gdybyś się nie bał, decydując o losie dwóch królestw.

Uniosła rękę i obłożyła go lekkim zaklęciem uzdrawiającym, a on odetchnął z większą łatwością.

- Jedź z Bogiem - powtórzyła.

Zasalutował.

- Przez ciebie się spóźnimy! - syknęła Nell.

Amicja powoli wsiadła na konia, starając się odgadnąć, który rycerz jest ser Ricarem. Dla większego efektu rozpostarła spódnicę, jadąc truchtem przez bramę, żeby dołączyć do kolumny. Mgła się rozpraszała.

Turniej czekał.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### Kompania

Słońce stało wysoko i przygrzewało, ale strzępy mgły snuły się nad płaskimi zielonymi polami na południe od Pierwszego Mostu, wskutek czego dzień wydawał się dziwny i lepki. Najłżejszy podmuch nie poruszał sztandarami i pospólstwo - ci, którzy podjęli ryzyko i przyszli na turniej - stało ponuro w parnym gorącu nietypowym o tej porze roku.

W tłumie krążył ponury żart, że Galom trudno będzie znaleźć suche drewno, żeby spalić królową.

Trybuny i długie drewniane bariery wzdłuż szranków nie były puste. Na trybunach tłoczyli się dworzanie i przybysze z południowej Albiny - kilka setek mężczyzn i kobiet w najlepszych strojach. Przepętniał ich niepokój, większość bowiem opuściła domy na długo przed tym, nim rozeszła się wieść o aresztowaniu królowej.

Przybyło również wielu ludzi z gminu. Stali wzdłuż barier w potrójnych, poczwórnych szeregach. Wielu harndończyków, którzy uciekli z płonącego miasta, zawędrowało nie dalej niż do krewnych na północ od Pierwszego Mostu albo przy drodze do Loriki, gdzie przedmieścia rozciągały się na trzy ligi. Nieogolone szczęki i dzieci w powijkach świadczyły, że ze wsi ściągnęły rodziny, które koczowały pod gołym niebem, żeby zobaczyć króla - albo zobaczyć królową na stosie.

Nastroje były dość ponure. Jakiś giermek okazał się na tyle głupi, żeby przystanąć i ostentacyjnie nasikać na powaloną tarczę z herbem królowej.

Był Albaninem z południa i zrobił to ku uciechu swoich kolegów. Został paskudnie pobity przez kilkunastu oraczy, którzy widzieli świat inaczej niż on.

Coraz większa liczba wieśniaków skupiała się wokół królowej, dopóki król albo któryś z jego ludzi nie wysłał silnego oddziału gwardzistów, żeby ją otoczyli. Gwardziści pilnowali, żeby nie obrazić ludzi, i nie zrobili nic, żeby odsunąć gęstniejący tłum.

Ciżba była tak zbita, że Blanche miała spore kłopoty, żeby się przez nią przebić. Nie mogłaby powiedzieć, kiedy z praczki stała się ostatnią panną służącą królowej, ale kiedy zrozumiała, co planuje Edward z czeladnikami, postanowiła wymknąć się z domu mistrza Pye'a. Obserwowała starsze kobiety dość często, by umieć je naśladować, choć to raniło jej dumę. Obwiązała klatkę piersiową pasami płótna, żeby spłaszczyć piersi, włożyła najskromniejszą suknię, schowała jasne włosy pod starym czepcem, zgarbiła się i powłóczyła nogami, z obiektu męskich westchnień przeobrażona w starowinkę, na którą nikt nie zwracał uwagi. Martwiło ją tylko to, że może zostać zignorowana.

Spędziła noc w szopie obok pałacu. Większość straży została odkomenderowana do walki z Oksytańczykami, dzięki czemu bez przeszkód dostała się do pralni. Od pani Ross dowiedziała się, że część gwardii wydaje się... inna.

Już dwa razy odwiedziła królową. Zdawało się, że biedna kobieta popada w obłęd - dopóki nie spojrzało się jej w oczy.

I tak oto we wtorkowy ranek Blanche przeciskała się przez tłum z koszykiem na głowie. Tłum był tak gęsty, że być może nie przedostałaby się do królowej, gdyby nie zauważył jej jeden z gwardzistów.

- Przepuścić ją! - zawołał z góralskim akcentem. - Ta kobieta przyszła służyć królowej. Przepuścić ją, na Boga.

Tłum rozstał się jak Ciemne Morze i Blanche przemknęła do bariery, prześliznęła się pod nią i podbiegła do królowej.

Nisko dygnęła.

- Wasza Królewska Mość?

Królowa obróciła głowę. Jej wzrok nabrał ostrości.

Uśmiechnęła się.

- Blanche - powiedziała.

Blanche do tej pory nie była pewna, czy królowa zna jej imię. Znowu dygnęła.

- Wasza Królewska Mość, przyniosłam ci mydło, wodę i trochę jedzenia

- Nie jadła od czterech dni - mruknął jeden z ludzi króla.



Królowa uniosła rękę do szyi.

- Mogę spróbować... jeść - powiedziała chrapliwym głosem. - Słońce... było takie przyjemne...

Gwardziści poszeptywali między sobą.

Wygląda na obłąkaną, pomyślała Blanche.

Wyglądała jeszcze gorzej, kiedy zaczęła jeść, oddzierając kawałki z połowy bochenka chleba. Blanche przyniosła osiem grubych plastrów boczku z ogniska gwardzistów i kawałek bardzo podejrzanego pasztetu, który kosztował ją miedziaka i pocałunek. Pocałunek też był tłusty.

Królowa jadła z wilczym apetytem, od czasu do czasu strzelając wzrokiem dokoła - jak pies, pomyślała Blanche. Albo jak coś, co się boi drapieżnika.

Blanche miała na rzemieniu żołnierską manierkę, ciężki pojemnik z wypalanej gliny. Ukradła ją, popełniając pierwsze złodziejstwo w życiu. Podała ją królowej, która wypila wodę bez jednej przerwy na oddech.

Spojrzała na Blanche i odrobinę zmrużyła oczy.

- Powinnaś uciekać - powiedziała. - Widziano cię.

Blanche dygnęła.

- Wasza Królewska Mość, jestem tu dla ciebie. Powinnaś to wiedzieć...

- Uciekaj. Nie chcę mieć twojej krwi na sumieniu. Natychmiast.

Blanche przemknęła pod barierką, zostawiając koszyk i manierkę. Przemówiła do niej sama siła w głosie królowej.

Tłum wciąż był gęsty. Zabrzmiały krzyki, ludzie się przesunęli - nagle minęła uliczkę i pomknęła jak błyskawica...

Pochwycili ją. Było ich czterech, rośli mężczyźni w fioletowych barwach arcybiskupa. Powalili ją na ziemię.

Jeden coś powiedział i pozostali się roześmiali, rozdziawiając usta pełne poczerńiałych pniaków.

Spodziewała się pomocy tłumu i wrzasnęła, ale wieśniaków zastraszyły broje i włócznie. Czarnozęby uderzył ją głową w czoło, aż świat jej zawirował przed oczami. Zaśmiał się i znowu ją popchnął.

Czepiec spadł, piękne złote włosy zafalowały na wietrze.

Było ich pięćdziesięciu, fioletowych włóczników. Zabili jakiegoś człowieka i tłum się rozpierzchnął, zostawiając ich samych, podobnych kamiennej wyspie wśród podnoszących się fal przyptywu. Jakaś kobieta krzyczała, a mężczyzna trzymał się rękami za brzuch, żeby nie wypłynęły jelita.

Głowa bolała ją tak bardzo, że zebrało jej się na wymioty.

- To ta mała dziwka królowej! - krzyknął jakiś Gal. - Zawsze i wszędzie poznałbym te włosy.

- Słyszałem, że była w każdym łóżku w koszarach gwardii - dodał inny.

Twarde ręce zacisnęły się na jej ramionach.

Wrzasnęła.

- Otoczyć osobę tak zwaną królową - rozkazał ktoś nowy. - Kim jest ta zdzira?

- Sługa królowej...

- Sługa tak zwaną królową. Dama? - zapytał mężczyzna.

Blanche otworzyła oczy. Był to de Rohan, którego znała z korytarzy.

- Nie sądzę. - Skinął głową. - Zabrać ją.

- Dlaczego? - zapytał arcybiskup.

Blanche jego też znała. Nigdy nie słyszała jego głosu, ale oto był, młody i spasiony jak wieprz, z krótkimi włosami prawie tego samego koloru co jej włosy.

- Czego chcemy od tego flejtucha?

De Rohan westchnął, jakby otaczali go sami głupcy.

- Wasza Ekscelencjo, za mniej więcej godzinę, kiedy zaprowadzimy tak zwaną królową na stos... - Zamilkł na chwilę. - Możemy mieć pewne kłopoty tak z jej strony, jak i motłochu. Chciałbym mieć argument, który mógłbym wykorzystać przeciwko tak zwaną królową.

Żołnierze pchnęli Blanche do de Rohana, po drodze ją obmacując i zostawiając siniaki na piersi, którą któryś ścisnął jak imadłem. Rechotali.

De Rohan się roześmiał.

Stał przy wejściu do zagrody królowej, strzeżonym przez dwóch

raczej żałosnych gwardzistów. Blanche pomyślała, że nie są to ci, których widziała kilka minut temu. Obaj mieli rozdziawione gęby i wybałuszone oczy - pewnie pijani.

Królowa natomiast teraz wyglądała znacznie lepiej.

- Pani - powiedział de Rohan - czy jesteś przygotowana na spotkanie ze swoim przeznaczeniem?

- Czy nie jest to raczej los, który mi zgotowałeś, panie? - zapytała. - Jeszcze nie minęło południe, godzina wyznaczona dla mojego obrońcy.

- W każdej chwili od pierwszej godziny po jutrzni do południa, pani.

Nagle poderwał rękę i chwycił Blanche za ucho. Ból był niewiarygodny. Wrzasnęła.

- Znasz tę śliczną bestyjkę, Dezyderato? - zapytał.

- Tak - odrzekła ze smutkiem królowa.

- Dobrze. Jeśli chcesz, żeby przeżyła i żebym nie dał jej moim sługom, którzy przez dwa tygodnie będę ją traktować jak zabawkę, dopóki nie przestanie być taka harda, to będziesz mi posłuszna. - Wzruszył ramionami.

Oczy królowej były łagodnymi kałużami brązu, gdy patrzyła na Blanche.

- Coś takiego jest poniżej nawet twojej godności, de Rohan. I podejrzewam, że bez względu na to, co obiecuję, wyżyjesz się po dziecinnemu na biednej Blanche, która nie jest winna żadnego przestępstwa poza lojalnością wobec mnie. - Do Blanche powiedziała: - Powinnaś uciec, moje dziecko.

Blanche płakała. Chciała być silna, tak silna jak przez cały tydzień, ale czuła się bezradna i porzucona, a nadto wiedziała, co ją czeka. Wiedziała i obawiała się tego jak każda kobieta, dlatego nie mogła zapanować nad łzami i rozpaczą.

- Jakże cię nienawidzę - wymamrotała do de Rohana.

Nawet nie odwrócił głowy.

- Spodziewam się... - Jego ciepła ręka znalazła jej twarz i kciuk nagle wsunął się pod brodę i głęboko wbił w bok szyi.

Ból sprawił, że stanęła na palcach i krzyknęła.

- Spodziewam się, że później będziesz jeszcze bardziej mnie nienawidzić - dokończył, puszczając ją. - Z tym samym skutkiem, naprawdę. - Popatrzył na Dezyderatę. - Kobiety są za słabe, nie nadają się do niczego poza rodzeniem dzieci - dodał.

- Nawet kiedy to robimy, wy nas zabijacie - rzekła królowa. - Może cię to zainteresuje, panie. Twój koniec jest bliski.

\*\*\*

W ciągu pół godziny mgła przemieniła się w oślepiającą mgiełkę. Zbliżały się nony, gdy w dali błysnęły metal i szkarłat.

De Rohan patrzył przez chwilę, po czym skinął na arcybiskupa.

- Tak zwana królowa jest w miarę bezpieczna - oznajmił.

- Ta kanalia będzie chciała ją ocalić, choćby tylko na złość mnie - powiedział arcybiskup.

Jego lektykarze stęknęli.

- Rozproszyliśmy ich. I złapaliśmy pośredniczkę, którą królowa wykorzystywała do kontaktowania się ze swoim kochankiem. Chodźmy powiadomić króla.

De Rohan przywołał swoją świtę w czarno-żółtych barwach, po czym z niestosownym pośpiechem ruszył do króla.

- Śpiesz się, de Rohanie! - zawołała za nim Dezyderata głosem nie z tego świata. - Śpiesz się ku swojej zgubie!

Dwudziestu fioletowych strażników zostało. Szpicami włóczy przepędzali każdego, kto podszedł do bariery bliżej niż na długość drzewca. Ludzie ich przeklinali, ale nikt nie miał odwagi otwarcie się przeciwstawić.

\*\*\*

Amicja opuściła kolumnę, gdy pokonali ostatni zakręt drogi. Szranki były wyraźnie widoczne nawet w dziwnie przymglonym świetle. Panował duszny skwar, wilgoć przytłaczała, więc miała wrażenie, że wędnie pod dwiema warstwami płótna.

Miała ze sobą Gelfreda. Pojechał z nią do zagrody pełnej koni. Byli tam dwaj gwardziści, którzy niewiele uwagi poświęcili pięknej kobiecie.

- Nie zostaniesz sama - powiedział Gelfred z uśmiechem. - Bóg będzie z tobą, pani.

Podawała mu wodze, skinęła głową i ruszyła na tyły królewskiej łoży nad trybunami. Stał tam tuzin gwardzistów i tłumek służących o wszelkich możliwych znakach herbowych z tacami, butelkami i płóciennymi ręcznikami w ramionach, i dwudziestu czterech żołnierzy popatrujących na siebie ze złością.

*Amicja weszła do swojego pałacu i zaczęła pracować. Pracowała nad względnie prostym czarem zwodniczym - niewielu mężczyzn chce przeszkodzić pięknej kobiecie w dotarciu do celu, a tych, którzy chcą, jeszcze łatwiej jest odwieść od tego zamiaru - ich żądza staje się bronią, którą można wykorzystać, żeby ich omamić. Jej czary były subtelne i silne. Patrzyła, jak jej ciało sunie nad trawą, i zobaczyła, że ją dostrzegli i uśmiechali się jeden do drugiego...*

Minęła strażę. Za nimi były dwa ciągi drewnianych schodów, które prowadziły do łoży królewskiej. Pod łożą znajdowało się małe pomieszczenie - przypuszczała, że przygotowano je dla króla, gdyby trzeba było zabrać go z widoku.

Weszła tam, jakby miała do tego pełne prawo.

- Błogosławię cię, Gelfredzie - szepnęła.

Stała jak najbliżej miejsca, nad którym siedział król.

Westchnęła. Drewno było zbyt zbite i zupełnie blokowało jej eterealny wzrok. Albo może było go zbyt wiele dla tak delikatnego zadania.

Wyszła zza zasłony i minęła strażników. Mężczyźni patrzyli i widzieli albo nie widzieli, gdy szła wśród nich z nieugiętą wolą i promienną twarzą.

Jeden z nich westchnął, a drugi jęknął. Żaden się nie poruszył, żeby ją zatrzymać.

Pięćdziesiąt kroków dzieliło ją od końca wysokich trybun. Szła dotkliwie świadoma, że tuzin mężczyzn wpatruje się w jej smukłe plecy. Żaden nie krzyknął na alarm.

Minęła koniec trybun. Tutaj, z dala od namiotów i zagrody dla zapasowych koni, panował znacznie większy hałas. Ponad nią na trybunach siedziały setki dam i panów, jedząc przekąski i popijając wino.

Skręciła i weszła po schodach, aż znalazła się na wysokości łoży

królewskiej. Dostrzegła mężczyznę w czerwieni, prawdopodobnie króla, ale rozdzielały ich długie rzędy ludzi. Jego głowa kiwała się bezwładnie.

Siedzący widzowie tarasowali jej drogę do króla.

Odetchnęła głęboko i ustabilizowała swoje czary. Do pierwszej kobiety w rzędzie powiedziała:

- Przepraszam, muszę przejść do mojego ojca.

Kobieta wstała, żeby ją przepuścić, robiąc niezadowoloną minę.

- Ktoś nadciąga - powiedział jej mąż. Był niski i otyły, obwieszony złotem. - Na Boga... cała grupa w czerwieni. To ludzie króla?

Amicja nie mogła się powstrzymać. Odwróciła się i spojrzała.

W dole przy wejściu na trybuny, pięćdziesiąt stóp niżej, stało dziesięciu rycerzy i dziesięciu giermków, wszyscy w lśniących stalowych zbrojach - płyty na kolczugach, często wykończone brązem albo mosiądzem.

Dostrzegła Czerwonego Rycerza i Zielonego Rycerza. I ser Toma.

Był tam trębacz ubrany w kompanijny szkarłat z *lacs d'amour* na tabardzie, pełniący rolę herolda.

Wszyscy na trybunach wstali. Czy za sprawą szczęścia, fortuny czy Boga, Amicja zyskała okazję i ruszyła wzdłuż rzędu, już nie próbując się skradać, kierowana instynktem kieszonkowca, który korzysta z chwili nieuwagi. Przepychała się prawie grubiańsko.

Marszałek szedł wzdłuż szranków. Tłum ucichł. Amicja szła dalej.

Herold Czerwonego Rycerza uniósł trąbkę, którą miał przy biodrze, i rozwinął się z niej proporzec z gołębicą w splendorze słońca królowej.

Tłum ryknął.

Dźwięk był tak głośny, że zaskoczył Amicję i niemal przestała panować nad swoim dziełem magicznym. Serce jej łomotało...

*Zastanawiała się w spokojnej twierdzy swojego pałacu, jak to jest, gdy ma się głowę zamkniętą w hełmie, gdy jest tylko strach i ten dźwięk, i nadzieje tysięcy ludzi na obciążonych przez pancierz barkach.*

*Sięgnęła wzrokiem w etereal.*

*Najpierw zobaczyła królową. Królowa płonęła jak małe słońce - szczere złoto jaśniejące pełnym blaskiem. Siedziała w czymś w rodzaju zagrody przed*

*trybunami, a w drewnie otaczających ją barier były czary - dziwne i nieszczerólnie stabilne.*

*Bliżej ujrzała grupę szybko posuwających się ludzi - młody grubas bez żadnego talentu, a u jego boku siwy mężczyzna, który migotał mocą.*

*Ach, tak, pomyślała.*

*Zerknęła na króla, który był strzeżony przez czary - dziesięć czarów. Przypominał więźnia zakutego w łańcuchy. Pokrywały go warstwy amuletów i symboli, run i więzów. Nigdy nie widziała czegoś podobnego i nagle, po raz pierwszy w życiu, poczuła się przytłoczona. Z jakiegoś powodu spodziewała się jednego, potężnego czaru - wewnętrznego lustra albo sekretnego dzieła, które więzi człowieka równie pewnie jak lochy. Harmodiusz i przeorysza w jej głowie pamiętali takie dzieła i znali remedia.*

*Ale ta płatanina taumaturgii przemieszana z przesądami, ślepym przypadkiem i nauką...*

*Spojrzała jeszcze raz. Było to jak patrzenie na splątane włókna kłębka wełny którymi bawił się kotek.*

*Nie była pewna, czy wszystko to w jakiś sposób wpływa na wolę króla.*

*Był po prostu... strzeżony*

\*\*\*

Nicholas Ganfroy od roku ćwiczył, przygotowując się na tę chwilę, jego trąbka grzmiała głośno i czysto, przebijając się przez zgiełk tłumy.

Gdy na chwilę zapadła cisza, wyryczał wyzwanie Czerwonego Rycerza.

- On, który zwie się Czerwonym Rycerzem, rzuca wyzwanie każdemu człekowi na tyle nikczemnemu, by twierdzić, że łaskawa królowa Alby, Jej Wysokość Dezyderata, nie jest lojalną, wierną i uczciwą żoną króla. Ofiaruje się dowieść fałszu niniejszego twierdzenia na ciele każdego, kto ze śmiałością w krwi albo słabością na umyśle będzie podtrzymywać kłamstwo o jej zdradzie. Nadto Czerwony Rycerz oznajmia, iż będzie walczyć nie z dumy ze swojej bieglności, lecz tylko po to, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Jeśli żaden rycerz nie podejmie wyzwania, podtrzymując oskarżenia przeciwko królowej, Czerwony Rycerz zażąda jej natychmiastowego uwolnienia, powołując się na prawo turniejowe, prawo Alby i prawo

wojenne Galii.

Zdawało się, że Ganfroy ma płuca mosiężne jak trąbka i że ćwiczył, krzycząc w piwnicach na wino. Jego słowa niosły się daleko i szeroko.

Na królewskich trybunach zapanowała oczywista konsternacja.

\*\*\*

Amicja była nie dalej niż na wyciągnięcie ręki od arcybiskupa Loriki, niezauważona w ścisku. Arcybiskup i sieur de Rohan właśnie wrócili, śpieszenie wbiegłszy po schodach do łoża królewskiej - z zainteresowaniem zauważyła, że arcybiskup już się poci. Spostrzegła też, że chudzielec o pospolitych rysach, ubrany w źle ufarbowaną szkarłatną togę uczonego jest hermetrykiem - miał na sobie dwa czary chroniące i pieczęć.

Amicja była spostrzegawcza i zauważyła, że miał trzeci talizman na szyi, skomplikowaną sieć cienkich, brudnych lnianych włókien. Nie miały mocy, ale król nosił podobny amulet.

- Posłać po straż i go pojmać! - krzyknął arcybiskup.

Jego słowom odpowiedziały pohukiwania i gwizdy siedzących w pobliżu wielmożów.

De Vrailly szczyrzył zęby w radosnym uśmiechu, jakby właśnie zdobył nagrodę.

- To ten najemnik, miecz do wynajęcia. Z pewnością królowa kupiła jego usługi. - Pokręcił głową. - Jak rozumiem, jest dobry we władaniu bronią i jego zbroja wygląda na porządną. - Wykrzywił przystojną twarz wciąż szeroko uśmiechnięty. - Ach, Bóg jest łaskawy! Odpowiedział na moje modlitwy. To On go przysłał, żebyśmy mieli sprawiedliwy sąd.

De Rohan próbował przedrzeć się przez ścisk do króla.

- Wasza Królewska Mość... panie! - krzyczał.

Amicja była sześć stóp od króla, poniżej niego, uwięziona w tłumie Galów i Albanów, którzy ciągnęli do dworu niczym muchy do miodu.

Ktoś ją obmacywał.

Zignorowała napastnika i weszła *na swój mostek*. Tam z zainteresowaniem stwierdziła, że w eterealu nosi tę samą suknię, co w świecie realnym.



*Znalazła króla w eterealu. Ujrzała splątana gęstwę ochron, osłon i klątw. Z frustracji zagryzła eterealną wargę.*

*Pomodliła się. Co dziwne, gdy się modliła, pomyślała o przeorowsy, o tej wyniosłej postaci pełnej humoru i zdrowego rozsądku, mocy i charakteru - o kochance starego króla będącej potężnym magiem.*

*Co ona by zrobiła?*

*Amicja skupiła się na czymś innym, przeszukując wzrokiem tłum wokół króla. Wypatrywała więzi - zielonej albo złotej nici, która mogła wiązać kogoś z królem.*

*Nie dostrzegła niczego takiego.*

*Oczywiście było możliwe, że król działa na własną rękę, chociaż przeor w to nie wierzył, podobnie zresztą jak Gabriel.*

*Westchnęła, kończąc modlitwę, i spróbowała innej taktyki. Spojrzała na króla nie jako magister hermetyzmu, ale jako hermetyczna uzdrowicielka. Zgodnie z naukami zakonu.*

*Podziękowała Bogu i błyskawicznie przystąpiła do działania, szybka jak myśl.*

\*\*\*

De Rohan ścisnął rękę króla.

- Rozkazałem aresztować herolda i jego rycerza - powiedział.

Krół ociężale pokiwał głową.

- Taaak - rzekł przeciągle, z podbródkiem wspartym na piersi.

- Panie! - De Vraily brutalnie odepchnął de Rohana. - Panie, nie słuchaj go!

Krół się nie poruszył.

- Daj spokój, de Vraily. Nikt nie wątpi w twój honor. W tej sprawie król nie potrzebuje obrońcy. - De Rohan obdarzył go swoim najbardziej uspokajającym uśmiechem.

Arcybiskup położył rękę na opancerzonym łokciu de Vraily'ego.

- Nie przypuszczasz... - zaczął.

Krół poderwał głowę, jak użądłony przez szerszenia. Przez chwilę z jego oczu wyzierał czysty obłęd. Później skupił wzrok.

De Vraily już nie patrzył na króla.

- De Rohan, na wszystko, co dla mnie święte... powalę cię ciosem prawicy, jeśli będziesz przeszkadzać. Herold, choć przemawiał

bezczelnie, pod każdym względem ma rację. Musimy walczyć albo zostaniemy uznani za kłamców. Jestem gotowy i uzbrojony. Jaki możliwy wyjątek możesz zastosować do prawa wojennego, de Rohan?

Król wstał. Cisza rozchodziła się od jego osoby jak kręgi na wodzie po wrzuceniu kamyka.

- Czy, jak rozumiem, królowa ma obrońcę? - zapytał powoli. Miał niski, chrapliwy głos, jakby dawno go nie używał.

Zrobił krok, niepewny krok. De Rohan chwycił go za łokieć.

- Przynieś królowi kielich wina - polecił służącemu. - Wasza Wysokość...

Ale de Vrailly poczerwieniał z gniewu i brutalnie odepchnął de Rohana. Obaj byli roslymi mężczyznami - wszak de Rohan był chorąży de Vrailly'ego i niektórzy uważali go za najlepszego rycerza po de Vraillym.

De Vrailly wrzał jednak gniewem na niebotyczną skalę i przestawił de Rohana jak figurkę wyciętą z papieru.

- Wasza Królewska Mość, królowa opłaciła Czerwonego Rycerza, najemnika, żeby stanął w jej obronie. Jestem rad, a nawet szczęśliwy - na jego twarzy odmalował się zachwyt - mając możliwość zmierzyć się z tym łotrem.

Król wodził wzrokiem w tę i z powrotem.

- Czerwony Rycerz? - zapytał żałosnym głosem. - Słodki Jezu...

\*\*\*

*Amicja wewnątrz aury króla poczuła, że przebiegła go fala bólu.*

\*\*\*

W szrankach Czerwony Rycerz zmienił konia. Nie zrobił tego ostentacyjnie - zwyczajnie zeskoczył z wierzchowca i wsiadł na wielkiego bojowego deresza z nozdrzami tak czerwonymi, że zdawały się zionąć ogniem. Wziął kopię od giermka i uniósł ją wysoko.

Herold dmuchnął w trąbkę.

- Po raz drugi Czerwony Rycerz wyzywa każde dziecko zrodzone z kobiety na spotkanie stałą w stał w szrankach. Podtrzymuje twierdzenie o prawości królowej, o cnocie jej ciała, o czystości serca.

Niechaj strzeże się każdy, kto jest odmiennego zdania! Mój rycerz proponuje starcie orężne i walkę, dopóki jeden się nie podda albo nie polegnie.

Tłum wyraził rykiem aprobatę.

Czerwony Rycerz z kopią w dłoni ruszył ku krańcowi szranków. Widziano, że król przygryzł wargę. Jego twarz była tak ruchliwa, jakby pod skórą mieszkały węże.

De Rohan gniewnie spojrział na de Vrailly'ego.

- Wasza Królewska Mość, to tylko głupia poza. Pozwól mi wyegzekwować nakaz aresztowania.

De Vrailly z głęboką pogardą popatrzył na swojego byłego chorążego.

- Jesteś nie tylko tchórzem, ale też głupcem - powiedział. - Na Boga i świętego Denisa, d'Eu miał co do ciebie rację. Jeśli nie pozwolisz mi walczyć, ci ludzie do grobowej deski będą wierzyć w niewinność królowej.

De Rohan i de Vrailly zwarli się wzrokiem - Amicja widziała, że jeden drugiego uważa za głupca.

Zauważyła także, z niemałym szokiem, że de Vrailly niczym drugie słońce płonie w jej alternatywnym eterealnym wzroku.

Tuzin gwardzistów stał ponuro na placu turniejowym pod lożą królewską. Człowiek w barwach de Rohana wskazywał ręką Czerwonego Rycerza.

De Vrailly zwrócił się do króla:

- Musisz pozwolić mi walczyć w obronie twojego honoru!

Król wodził wzrokiem jak zwierzę w pułapce.

\*\*\*

U podnóża trybun królowa siedziała na stołku w skromnej szarej sukni, z potarganymi złocistobrazowymi włosami. Miała spokojną twarz. Spojrzała na swojego obrońcę, potem na lożę królewską.

- Nawet teraz mu współczuję - powiedziała.

Blanche otrząsnęła się z przerażenia i zakłęła.

- Komu, Wasza Królewska Mość? - zapytała. Przybycie Czerwonego Rycerza, przyjaciela mistrza Pye'a i ser Geralda, więc tym samym według niej dobrego rycerza, przydało jej nadziei.

Właśnie tego potrzebowała.

Królowa się uśmiechnęła.

- Oczywiście królowi, moja droga.

- Chryste na krzyżu, pani! Dlaczego litujesz się nad królem? On nie będzie miał dla nas łaski. - Blanche spojrzała wzdłuż szranków i klasnęła w ręce. Bliźniak Czerwonego Rycerza, Zielony Rycerz, galopował ku uciesze tłumów, zasypywany gradem obelg przez Galów.

Królowa zachowała spokój.

- Ten, kto poznał ból, powinien mieć litość dla innych - rzekła. - Tam siedzi mój mąż, którego przysięgam bronić, póki śmierć nas nie rozłączy. - Ściągnęła brwi. - Znajduję, że trudno mi zrobić dla niego miejsce w moim sercu, ale nie życzę nikomu jego losu.

Blanche westchnęła.

- Niezależne od moich upodobań i uprzedzeń, jak mniemam, Wasza Królewska Mość - powiedziała z oczywistym brakiem zrozumienia.

Królowa uniosła brew.

- Mój rycerski obrońca jest synem króla - oznajmiła.

Blanche uniosła białą rękę do gardła.

- Jezu Chryste! - krzyknęła szczerze, wcale nie bluźniąc. - Czerwony Rycerz jest wylegającym króla?

Królowa ściągnęła brwi.

Blanche spuściła wzrok.

- Wybacz, pani. Jestem praczką, nie niesforną... nadworną panną.

Królowa błysnęła uśmiechem.

- Nie jesteś niesforna - zapewniła. - I udało ci się mnie rozbawić.

\*\*\*

Czerwony Rycerz ucisnął dłoń Zielonego Rycerza, po czym razem pojechali wzdłuż szranków ku królowej. Na trybunach wszyscy stali, tak pospólstwo, jak wielmoże.

Amicja patrzyła, jak sługa niesie kielich. Nie potrzebowała czarów, żeby odgadnąć, że naczynie zawiera truciznę, wyciąg z maku albo jakiś inny środek nasenny.

W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc, i nie znała

żadnego sposobu, żeby bez zdradzania swoich poczynań cokolwiek zmienić w eterealu. Przepchnęła się obok dwóch odzianych w fioletry gwardzistów. Przejście zatarasował jej arcybiskup, który nagle odwrócił się w stronę prawnika w czerwonej todze.

- Dopilnuj - syknął.

Patrzył niemal wprost na nią, ale otworzył jej drogę i przeszła tak blisko, że trąciła biodrem służącego. Nie upadł, ale wino z kielicha wylało się na Du Corse'a.

Odsunęła się z szaleńczo bijącym sercem. Głowy się odwróciły, ale wszyscy patrzyli na sługę.

Był czerwony i mamrotał, że nie jest niczemu winny.

De Rohan spoliczkował go grzbietem ręki i dwa pierścienie zostawiły dwie bruzdy na jego twarzy. Amicja się wzdrygnęła.

Król gwałtownie pokręcił głową.

De Vrailly nie rezygnował ze swojego planu.

- Jestem twoim obrońcą! - krzyknął. - Jeśli nie stanę do walki, wtedy będziesz musiał przyznać, że twoje oskarżenia są fałszywe. - Jego silnie akcentowany albański niósł się po trybunach.

- Uwolnić królową! - zawołał jakiś śmiały widz.

Inni podchwycili okrzyk.

Arcybiskup się pochylił i coś szepnął do królewskiego ucha.

Król się odwrócił. Był blady, ale panował nad wyrazem twarzy.

Wyprostował ramiona.

- De Vrailly posłuchaj. Jeśli ma to jeszcze jakieś znaczenie, wierzę, że moja żona jest niewinna. Czy nadal chcesz walczyć?

De Vrailly splunął.

- Ba! - krzyknął. - Na ciele tego Czerwonego Rycerza dowiodę jej niewierności i morderstwa mojego przyjaciela d'Eu.

Arcybiskup dał znak.

Król pokręcił głową.

- Dobrze - powiedział z prawdziwym żalem.

De Vrailly zbiegł po schodach do szranków.

Arcybiskup pośpieszył za nim. Gdy król również to uczynił, Amicja postanowiła zrobić to samo i szła o wyciągnięcie ręki za królem.

Mężczyzna w czerwieni spojrzał prosto na nią.

Opracowywał dzieło magiczne. Rzucił czary na srebrny kielich, kielich pełen wody.

Wrócił do pracy, ruchy jego palców i symbole zostawiały ślady w eterealu. Brakowało jej szkolenia, żeby poznać, co robi - czyżby sporządzał kolejną truciznę?

Nagle znów skierował na nią spojrzenie i szeroko otworzył oczy, gdy zrozumiał.

Nie miała pojęcia, co ją zdradziło.

Czerwony Rycerz podjechał do stóp schodów tak śmiało, jakby nie miał się czego obawiać ze strony Galów ani żołnierzy w fioletowych barwach. Marszałek szranków skinął na niego i teraz stał z mieczem w jednej ręce i ewangelią w drugiej. Wszyscy na niego patrzyli.

Amicja przysunęła się o parę cali do króla i arcybiskupa, przygotowując swoje tarcze.

Arcybiskup wziął kielich, uniósł go wysoko i zaczął się głośno modlić.

Większość ludzi umilkła - wielu padło na kolana i Amicja do nich dołączyła, ponieważ dzięki temu mogła zniknąć z widoku mężczyźnie w szkarłatnym kapturze. Patrzyła, jak galijski giermek prowadzi wspaniałego rumaka do de Vrailly'ego. Rycerz sprawdził popręg i strzemiona, zanim się odwrócił i ukląkł przed arcybiskupem.

Czerwony Rycerz zsiadł z konia i też przyklęknął, o dobrą długość miecza od Gala.

Modlitwa dobiegła końca.

Marszałek podszedł do Czerwonego Rycerza.

- Czy przysięgasz na honor, swój herb i wiarę walczyć tylko w sprawie, która jest sprawiedliwa, i w szrankach postępować wedle prawa turniejowego?

Czerwony Rycerz nie otworzył przyłbicy, ale jego głos brzmiał wyraźnie, gdy odrzekł:

- Tak.

Marszałek podszedł do de Vrailly'ego.

- Czy przysięgasz na honor, swój herb i wiarę walczyć tylko w sprawie, która jest sprawiedliwa, i w szrankach postępować wedle

prawa równości broni?

- Tak - odparł de Vrailly.

Obaj mężczyźni wstali.

- Stać! - ryknął arcybiskup. Wziął kielich. - Czerwony Rycerz cieszy się złą sławą jako czarnoksiężnik. Czy masz na sobie jakąś magiczną ochronę? Oskarżam cię! Bóg mi pokazał! - krzyknął i bryznął wodą święconą z kielicha na Czerwonego Rycerza.

Woda zaskrzyła się w powietrzu - wszyscy widzieli migotanie czerwieni, zieleni i błękitu.

Amicja wstała z klęczek, gdy stłumione okrzyki poniosły się nad tłumem.

Marszałek ściągnął brwi.

- Wnoszenie w szranki czegokolwiek związanego ze sztukami magicznymi jest sprzeczne z prawem turniejowym! - ryknął.

Czerwony Rycerz się cofnął.

Marszałek lekko uderzył go swą urzędową buławą.

- Masz zakaz wstępu w szranki - oznajmił.

Amicja usłyszała, że Czerwony Rycerz stęknął, jakby z bólu, ale już była w ruchu. Wyjęła kielich z rąk arcybiskupa tak płynnie, jakby z nim tańczyła, i wylała resztę wody na klęczącego galijskiego rycerza, kładąc własne dzieło, prawdziwe dzieło dla sprawdzenia, czy woda wykaże coś hermetycznego. Mężczyzna w czerwonym kapturze posłużył się tylko iluzją.

De Vrailly zajaśniał na oczach pięciu tysięcy ludzi. Jeśli Czerwony Rycerz skrzył się magicznym światłem, to de Vrailly płonął niczym pochodnia hermetyzmu.

\*\*\*

Płomień wody święconej na de Vraillym był tak jasny, że oślepił oddalonego o sto kroków Nata Tylera. Mężczyzna odwrócił głowę i zaklął, bo stracił cel z oczu.

\*\*\*

Galom odjęło mowę. Amicja się cofnęła, ale człowiek w czerwieni ją spostrzegł.

- Ona... - zaczął. Zacisnął usta, spojrzał na arcybiskupa i nie dodał słowa.

Tłum podniósł wrzawę.

Marszałek nie był przekupiony - uderzył buławą de Vrailly'ego.

- Ty też masz zakaz wstępu w szranki.

De Vrailly miał uniesioną zasłonę i krzywił się jak dziecko. Wciąż klęczał, jakby niezdolny się ruszyć.

Du Corse przejął dowodzenie. Tłum - arystokraci i pospólstwo - był niespokojny. Ludzie napierali na kordon straży na skraju szranków, a dwudziestu strażników arcybiskupa wokół królowej już nie wyglądało ani na tak licznych, ani na dość niebezpiecznych. Du Corse posłał pazia po swoich ludzi i dał znak swojemu chorążemu.

Arcybiskup wciąż był oszołomiony widokiem de Vrailly'ego, obrońcy króla, otoczonego aurą zielonego ognia, która mogła oznaczać tylko głęboką ochronę hermetyczną rzuconą, kto by pomyślał, przez Dzicz. Wnyki szatana.

Szereg rycerzy pojawił się za Czerwonym Rycerzem. Zielony Rycerz położył rękę na jego ramieniu. Za nim stał wielkolud w prostej stalowej zbroi i wełnianym kaftanie, a dalej drugi olbrzym, jasnowłosy, z herbem wielce podobnym do znaku hrabiego Towbraya.

Zielony Rycerz wystąpił.

- Opowiadam się za królową! - oznajmił. Jego głos niósł się po placu.

Za jego plecami Tom Lachlan otworzył przyłbicę.

- I ja.

Ser Michael nic zsiadł z konia, ale zerwał z głowy wielki hełm i pozwolił, żeby zwiśł na pasku.

- I ja, Wasza Królewska Mość. Mój ojciec został skazany na śmierć, ale ja nie. Jest tu dziś wielu rycerzy chętnych walczyć w obronie czci twojej żony, panie. Jesteś władcą Alby. Żądam sprawiedliwości.

Zielony Rycerz nie podniósł zasłony, tylko zasalutował marszałkowi.

- Wypróbuj na mnie swoją świętą wodę - poprosił.

Marszałek wziął pusty kielich i podał go arcybiskupowi.

Mężczyzna w czerwonym kapturze odprawiał swoje czary, czemu sekretarz arcybiskupa przyglądał się z tak wyraźną odrazą, że Amicja



zwróciła na to uwagę.

Nic nie zrobiła, żeby zapobiec czarom. Ręce arcybiskupa poruszyły się niezdarnie.

Mężczyzna w czerwonym kapturze wydał zduszony odgłos. Woda chlusnęła i nie stało się nic poza tym, że Zielony Rycerz miał zmoczony tabard.

- Wybierz swojego obrońcę! - krzyknął szyderczo.

Amicja byłaby się uśmiechnęła, gdyby strach nie ścisnął jej serca.

Ponieważ Gabriel był ucieleśnieniem magii. I skoro tak, sam odwrócił czary. Przewyższał talentem tego w czerwonym kapturze tak, jak orzeł góruje nad wiewiórką.

Arcybiskup odwrócił się ku swoim dwóm sekretarzom.

Du Corse ściągnął brwi i popatrzył na de Rohana, gdy tłum wiwatował na cześć Zielonego Rycerza.

- Ktoś musi z nim walczyć - powiedział.

De Rohan przewrócił oczami.

- Zgarnij tę bandę - syknął. - Mamy ludzi. Otocz ich i zgarnij.

Du Corse pokręcił głową.

- Nie, kuzynie. Ktoś musi walczyć. - Popatrzył na pospólstwo napierające na straże. - W przeciwnym razie wszyscy będziemy martwi przed zapadnięciem nocy.

- Dobrze - powiedział de Rohan. - Ty.

Du Corse zaprezentował mu twardy uśmiech.

- Nie.

- Wobec tego l'Isle d Adam.

Du Corse pokiwał głową.

- Ale... - zaczął. - Nie. Proponuję, de Rohanie, żebyś ty stoczył tę walkę.

De Rohan przymrużył oczy.

Za nim król się poruszył. Głowy znowu się obróciły.

- Tak - rzekł król. - Byłeś najgłośniejszym i najpierwszym oskarżycielem, de Rohan. Weź miecz swojego kuzyna.

Przyniesiono mu krzesło. Siadł tuż przy szrankach, bardziej przytomny niż dotychczas.

Amicja zaczęła się odsuwać od łoża królewskiej.

Wskazywał na nią jeden z żółto-czarnych zbrojnych de Rohana. Zobaczyła go i *ustabilizowała swoje dzieło magiczne, które rzuciła, gdy się poruszyła w świecie realnym.*

*Spojrzenie mężczyzny ześliznęło się z niej, gdy usiadła pomiędzy albańskimi rodzinami na najniższej ławie trybun. Panował tam ścisk, ale mężczyźni po obu stronach odruchowo zrobili dla niej miejsce.*

*Czarno-żółty zbrojny popatrzył w jej stronę, po czym, jak wszyscy inni, skierował uwagę na szranki.*

\*\*\*

Gabriel Murien w hełmie Zielonego Rycerza próbował się uwolnić od oszałamiającej mieszanki podniecenia i czystego strachu, która dławiała go w gardle.

Jego serce trzepotało niczym skrzydła kolibra, czuł ucisk w klatce piersiowej i słabość w ramionach.

Łatwiej jest stawić czoło Głogowi w desperackiej walce niż ścierać się na oczach pięciu tysięcy ludzi, pomyślał.

Zgłosiłem się na ochotnika, pomyślał.

Nie znam tego rycerza, pomyślał.

Wcześniej wszystkie myśli skupił na de Vraillym. Kiedy w końcu przyznał, że Gawin jest lepszy we władaniu kopią, wyzbył się niepokoju i zadowolił drobnymi niedogodnościami dowodzenia.

A teraz i tak wszystko spoczywało na jego barkach. Umysł mnożył jego lęki.

Zastanawiał się, jak i dlaczego de Vrailly został pozbawiony prawa do wystąpienia w turnieju.

Powinienem czuć ulgę, pomyślał.

Zamiast tego kopia ciążyła mu niczym ołów, ramiona go bolały, jakby ścierał się w szrankach przez cały dzień, i dusił się w wielkim hełmie.

Ale Toby już sprawdzał jego strzemiona i Gawin, kto by pomyślał, podawał mu tarczę.

- Ty łajdaku - warknął Gawin. Niezupełnie się uśmiechał. Był wściekły jak wszyscy diabli. - Zawsze postawisz na swoim.

- To nie moja wina - odparł Gabriel.

Gawin zaciągnął paski tarczy turniejowej na jego zarękawiu z siłą

większą, niż było to konieczne.

- Nie, oczywiście, że nie - mruknął. Nie zdradził, czy uwierzył bratu.

- Gawinie, nie scedowałbym na ciebie prawa wystąpienia w szrankach, a potem ci go odebrał.

- Naprawdę? W takim razie jedź z Bogiem i wygraj. Nawet jeśli to zrobiłeś, bracie, mam nadzieję, że zwyciężysz. - Gawin poklepał go po ramieniu. Popatrzył na Toby'ego. - Kto wystąpi w obronie racji króla?

- Marszałek nazwał go de Rohanem. - Toby wzruszył ramionami.

- Nie znam żadnego z tych Galów - powiedział Gawin.

- Tak czy inaczej... - głos Gabriela brzmiał zrzędlawie, płynąc z wnętrza wielkiego hełmu - nie walczę z de Vrillym.

Gawin pokiwał głową.

- Tylko dlatego nie ściągnę cię z konia i nie obiję ci dupy swoją własną kopią. Rzeczywiście jesteś taki zdenerwowany, jak się wydaje?

Gabriel z pewną trudnością przełknął ślinę.

~ Daj mu wody - polecił Gawin. - Twój przeciwnik już siedzi w siodle. Masz lepszego konia. On jest wyższy. Ma bardzo długą kopię. Pamiętasz sztuczkę, którą ćwiczyliśmy w Morei?

Gabriel napił się wody. Niezupełnie się poczuł jak nowy, ale trochę lepiej.

- Myślisz?

- Jego kopia jest o pięć rozpiętości dłoni dłuższa niż twoja, a on sam ma dłuższe ręce. To nie igrce, to wojna. Tu nie będzie żartów. Na twoim miejscu lekko zapiąłbym hełm, żeby mógł go strącić bez łamania ci karku.

Gabriel zaśmiał się w głębi hełmu.

- Rozbawiłeś mnie, Gawinie. Choćby za to jestem ci wdzięczny.

- Marszałek każe się gotować.

- Powiedz mu, że jestem gotów od godziny.

Gabriel spiął konia, żeby stanął dęba, co tłum nagrodził okrzykami.

- Załatw go - powiedział Gawin.

Zły Tom się przysunął.

- Po prostu zabij sukinsyna. Bądź draniem czystej wody i wpakuj

w niego swoje pieprzone żelastwo najgłębiej, jak się da. Nie popisuj się, nie opierdalaj ani nie strój fochów jak zawsze. - Wyszczrzył zęby.

Gabriel spojrzął na marszałka, który trzymał buławę nad głową i patrzył na króla.

- W chwili, gdy się z nim rozprawię - powiedział - ruszajcie po królową.

- Zrobimy to, chłopcze, nawet jeśli on rozprawi się z tobą - powiedział Zły Tom. - Widzę Ranalda.

Zielony Rycerz skinął kopią do wszystkich swoich przyjaciół.

Dokładnie w chwili, kiedy buława opadła, przednie kopyta jego konia stanęły na ziemi. Ataelus wystartował.

Gabriel miał wrażenie, że czas, zamiast stanąć w miejscu, dziwnie się ślizga. Gdy jego przeciwnik przyśpieszył, Gabriel opuścił kopię, umieścił drzewce na haku i pozwolił, żeby grot opadł poniżej poziomu jego pasa, jakby był kompletnym nowicjuszem.

Uderzenie w konia przeciwnika oznaczało eliminację.

Wszystko rozgrywało się błyskawicznie, jednak w tętnie kopyt przed skrzyżowaniem kopii Gabriel czuł spójność. Świat wokół niego stał się koronką połączonych kryształków lodu - wszystko było powiązane, człowiek z człowiekiem, myśl z myślą, z ziemią, koniem, kopią, miejscem, konsekwencją.

Był w tym.

Kopia de Rohana była mocna i solidna, stalowy grot prawie niewidzialny, kiedy się zbliżali.

W praktyce Gabrielowi udawało się zwyciężyć raz na trzy razy.

W ciągu połowy uderzenia serca, kiedy groty kopii się mijały, Gabriel użył wyciętego narożnika tarczy jako punktu podparcia, żeby podnieść szpic. Wznoszący się grot minął dłuższe drzewce i uderzył - mocno.

Manewr okazał się odrobinę spóźniony. Galijska kopia trafiła w dolną lewą część hełmu. Rozluźnił się, na ile mu pozwoliło wewnętrzne napięcie, próbował być tak dobry, jak zawsze tego pragnął jego nieżyjący nauczyciel, wyśmiewany przez ser Henriego, i w drugiej połowie uderzenia serca trafił adwersarza w tarczę, tuż nad osłoniętą ręką...

Mocna jesionowa kopia wybuchła mu w ręce, był już za przeciwnikiem, łoża królewska mignęła po lewej stronie, gdy Ataelus galopował wzdłuż szranków. Ataelus był jego najlepszym rumakiem i zwolnił bez pociągania za wodze.

Nie było bariery pośrodku, ponieważ był to sąd boży.

Przeciwnik już na niego nacierał.

Nie skruszył kopii. Postanowił kontynuować walkę, zamiast pozwolić przeciwnikowi, żeby się uzbroił.

Gabriel rzucił ułomek kopii, gdy Ataelus stanął dęba i obrócił się na zadnich nogach, wymachując przednimi. Z końskim okrzykiem bojowym, potężnym rżeniem, z miejsca ruszył galopem.

Gabriel wyciągnął długi miecz bojowy. Wciąż miał tarczę. Adwersarz nie wyszedł ze starcia bez szwanku, ale wciąż miał kopię na haku, z tylną częścią na skos końskiego zadu w sposób typowy do walki w szrankach...

Pięć kroków od kontaktu Gabriel leciutko nacisnął kolaniem i ostrogą. Rumak skręcił, a raczej zrobił posuwisty krok w bok...

-potem drugi.

Szpic kopii musiał śledzić umykający cel...

Gabriel przyjął kopię na zastawę długiego miecza i odrzucił ją w bok, mając ogromną przewagę pod względem siły nacisku. Ataelus zrobił kolejny krok, ukośnie względem galopującego białego rumaka. Rycerze mijali się nie po swojej lewej stronie, co było zamysłem de Rohana, ale po prawej.

De Rohan próbował unieść tylną część kopii.

Głowica miecza Zielonego Rycerza trzasnęła go w zasłonę hełmu, krzesząc spektakularny snop iskier. Nie wyrządziła szkody, ale zsunęła się i zahaczyła o kark, gdy Ataelus obracał się na przednich nogach. Rycerze się zderzyli.

Zielony Rycerz szarpnął za głowę de Rohana i zmiotł go z siodła, przeciągając nad wysokim tylnym łękiem. Koń stracił równowagę, chwiejnie przekłusował kilka kroków i też upadł na ziemię.

Ataelus dokończył obrót.

Zielony Rycerz pozwolił mu się zatrzymać. Dwadzieścia stóp dalej de Rohan zerwał z głowy hełm turniejowy i wyciągnął miecz. Było

jasne, że ma ranną lewą rękę. Krew ściekała mu po rękawicy.

Potrząsnął mieczem. Splunął.

- Pieprzyć to - mruknął.

Tom Lachlan, ser Michael i dziesięciu rycerzy ruszyło wzdłuż północnej strony szranków. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Tylko ser Gawin został w namiocie brata. Obserwował go w skupieniu, jak kot przyuczajony przy mysiej norce.

- Zrób to - szepnął.

Król wstał w swojej łoży, górując nad dworzanami. Wsparł dłonie na poręczy i pochylił się tak, jakby chciał przez nią przeskoczyć.

\*\*\*

Gabriel zobaczył, że jego rycerze zmierzają ku królowej, i powziął decyzję. Cofnął Ataelusa o tuzin kroków.

Pięćdziesiąt kroków dalej Gawin powiedział:

- Nie. Nie, Gabrielu.

Zielony Rycerz rozpiął pasek wielkiego hełmu i rzucił go na piasek. Zsiadł z konia.

- Nie! Po prostu go zabij! - krzyknął Gawin.

Zielony Rycerz, teraz tylko w stalowym hełmie sekretnym na kapturze kolczym, szedł ostrożnie po piasku w kierunku swojego przeciwnika, który trzymał wielki miecz nad głową.

\*\*\*

Sto kroków od króla Nat Tyler napiął długi łuk. Uniósł grot strzały o cztery palce nad głowę celu. Tuzin ludzi go widział.

Nikt mu nie przeszkodził.

Strzelił.

\*\*\*

Zielony Rycerz szedł z wyprostowanymi ramionami, stawiając stopy jedną przed drugą jak tancerz.

Zmierzał prosto do celu, nie przystając na zwyczajowe krążenie.

Znowu, gdy tylko wszedł w zasięg broni de Rohana, poczuł powiązanie.

Niemal się wzdrygnął. Jak wcześniej, odrobinę się spóźnił, przyjmując potężny cios - ostrze powinno spłynąć po głównej unoszonej w gardzie *Posta di Finestra* zupełnie nieszkodliwie, jak

deszcz z porządnego dachu stodoły, ale zamiast tego miecze skrzyżowały się przy rękojeściach, a on był słabszy.

De Rohan pchnął.

Zielony Rycerzy oburącz uderzył głowicą w kolczugę na karku, gdy galijski rycerz wyprowadził cios w jego tors, rozcinając piękny jedwabny zielony tabard i nabijając mu siniaka.

De Rohan się zachwiał.

\*\*\*

Tom Lachlan jechał końską długość przed pozostałymi. W przeciwieństwie do Gawina wierzył, że jego kapitan zabije galijskiego rycerza i będzie kontynuować plan dnia.

Zły Tom nie widział powodu, żeby czekać, aż Galowie i ich sługusy otrząsną się z oszołomienia. Nie miał też żadnych zahamowań przed zabijaniem Albanów. Górale zabijali Albanów od pięćdziesięciu pokoleń.

Spiął konia ostrogami niemal o długość kopii od pierwszego strażnika arcybiskupa. Jego czarny rumak zerwał się bardziej do skoku niż do galopu i kopia uśmierciła strażnika, przebijając napierśnik, po czym złamała biodro następnemu, zanim koń wpadł pomiędzy pozostałych, z kopytami dudniącymi niczym cztery bębny wojenne.

Gdyby za Tomem Lachlanem wyrykującym swój okrzyk - „Lachlan za Aa!” - nie było dziesięciu innych rycerzy, może dwudziestu strażników stanęłoby do walki. A może nie.

Zły Tom rozprawił się z pięcioma, zanim Michael zdążył wznieść buzdygan i strzaskać komuś hełm.

Michael naprowadził rumaka na barierę otaczającą królową i szlachetne zwierzę skoczyło. Gdy wylądowali, buzdygan świsnął i uśmiercił sierżanta, który z lojalnością większą, niż można się było spodziewać, przyskoczył do królowej, żeby przebić ją włócznią. Blanche chwyciła za koniec drzewca. Zbryzgała ją krew sierżanta.

Koń Chrisa Foliaka też przesadził barierę i elegancki rycerz wyciągnął rękę.

- Ratunek, pani! - krzyknął. Nie czekał na odpowiedź, tylko wciągnął królową na siodło.

Ser Alkajos, pod każdym względem człowiek bardziej prozaiczny, mieczem podniósł drąg w bramie do zagrody.

- Zabierzcie Blanche! - krzyknęła królowa.

Rycerze zawracali konie. Blanche już przemknęła pod barierką - wydostawanie się z opałów było jej specjalnością. Krew tuzina martwych strażników miała później prześladować ją we wspomnieniach, ale teraz o tym nie myślała. Była wolna i biegła w stronę końca szranków. Coś się tam działo - przestała śledzić przebieg potyczki, gdy rycerze przybyli ratować królową.

\*\*\*

Głóg stał w głębokim lesie, o strzał z trebusza od murów Ticondagi, obserwując fortecę i rozgrywające się tam wydarzenia przez soczewki świadomości pięćdziesięciu owadów, które podporządkował swojej woli.

Zrezygnował z ciem. Ghouse była zbyt zajęta pracą nad tym, jak go pokonać, żeby zwrócić uwagę na małych intruzów.

Jednakże nawet gdy polepszała hermetyczną obronę zamku i unicestwiała jego czary, skupiała uwagę na czymś innym. Głóg podążał za nią tak gorliwie jak ćmy za świecą, czekając, aż skończy swoje wielkie dzieło. Był przygotowany od wielu dni, a poza tym ser Hartmut i Orley codziennie mu się naprzykrzali, przypominając o obietnicy przełamania obrony zamku. Wiedział, że posłańcy wyruszyli tajnymi przejściami.

Głóg nie przejmował się odsieczą. Ghouse, jego cel, koncentrowała uwagę na królowej w dalekim Harndonie. Chciałby wiedzieć, dlaczego, gdyż dzięki temu byłoby mu łatwiej przewidzieć jej poczynania. Od sześciu miesięcy tworzyła tak potężne i skomplikowane dzieło magiczne, że musiał przyznać, że jej nie doceniał.

Była potężna.

Ale popełniła błąd i go powiększyła. I teraz, gdy obserwowała ratowanie królowej, on obserwował ją.

Ser Hartmut i Kevin Orley daleko na południe od zamku szturmowali Górę Nadziei, pragnąc zająć jedyne wzniesienie górujące nad Ticondagą.



Głóg poczuł bliskość Popioła, zanim to się stało.

Zjawił się w postaci dwóch ludzi, pary trefnisiów odzianych w splewiałe, złachmanione błazeńskie stroje.

Obaj żonglowali strzałami.

I śmiali się straszonym, pogardliwym śmiechem, z jakim zabijaki dręczą swoje ofiary w ciemnych uliczkach tego świata.

\*\*\*

Strzała Tylera uderzyła w króla.

Król upadł.

\*\*\*

Popiół zaczął podskakiwać - oba błazny podskakiwały.

- Spróbuj to przebić! - krzyczał. - Nie sądzisz, że jedwabny pas, który wiąże szatę Alby, właśnie został rozdarty? - Ich śmiech był kakofonią i polifonią śmiechu. - Myślała, że chodzi o kobietę! - Popiół ryczał z zadowolenia i klepał się po udach. - Łgałem, a ona mi uwierzyła!

Głóg zadrżał z odrazy, zastanawiając się, z czym się związał.

- Tyler jest bardziej moim stworzeniem niż twoim - powiedział.

Obie głowy się odwróciły.

- To nie są stworzenia. Zdumiewające, że sami to robią. - Śmiech płynął, wysoki i obłąkańczy. - Powinniśmy mieć dobrą zabawę. Słuchaj, Głogu. Na przekór ich staraniom właśnie unicestwiliśmy Albę, jakby jej nigdy nie było, i to jedną strzałą.

Jeden z błaznów fiknął koziołka, a drugi zaczął żonglować mieczami.

- Ale królowa... - zaczął Głóg i zaraz potem on też to zrozumiał.

- Królowej zostało tylko kilka godzin życia. - Popiół zachichotał. - Zostanie zabita przez własnych ludzi!

\*\*\*

De Vrailly nie mógł znieść swojego upokorzenia ani widoku ludzi. Odszedł - minął lożę królewską i zagrodę dla koni na tyłach, skręcił na zachód do swojego pięknego białego namiotu.

Nie było tam nikogo, kto pomógłby mu zdjąć zbroję - nie było wina ani wody.

Ukląkł na klęczniku.

Wzniósł ramiona, po czym prawie bez własnej woli krzyknął: -  
DLACZEGO?!

\*\*\*

Amicja wstała i zobaczyła, że de Rohan został zrzucony z konia. Nikt nie zwracał na nią uwagi, z wyjątkiem tych, którym zasłaniała widok, gdy lekkim krokiem sunęła wzdłuż ławki.

Dziesięć osób dzieliło ją od celu, gdy strzała uderzyła króla. Natychmiast sięgnęła w etereal.

*Uzdrowiła go wcześniej, a dzisiaj oczyściła jego ciało z trucizny, więc bez wahania rzuciła się za nim w ciemność jego wewnętrznego sanktuarium. Nie miał talentu i jego sanktuarium nie posiadało formy...*

*Strzała utkwiała tuż pod sercem. Amicja sięgnęła do rany i próbowała ją zamknąć, ale król odchodził.*

*Wiedziała, co spoczywa na szali - pokój w Albie, życie niewinnych. Zrobiła to, czego nie uczyniłaby w innych okolicznościach, czego nigdy nie nauczono jej robić.*

*Popatrzyła w ślad za umykającym cieniem, który opuszczał sanktuarium, i próbowała zatrzymać go eterealną ręką, jednocześnie drugą zawiązując przerwana żyłę, z której krew zalewała trzewia.*

*Przez długi oddech wszystko jakby trwało w równowadze. Po chwili zrozumiała, że cała równowaga jest kłamstwem, i podążyła za nim w ciemność.*

*Popętniła straszliwy błąd.*

\*\*\*

Wokół zagrody królowej wybuchło coś zbliżonego do zamieszek i ludzie biegali wokół łoża króla.

Gabriel nie mógł ocenić, co się dzieje dwadzieścia kroków dalej, ponieważ musiał skupiać uwagę na de Rohanie.

- Król nie żyje! - krzyknął jakiś mężczyzna.

Jakaś kobieta wrzasnęła.

Gabriel poczuł, że pierścień płonie na jego palcu, i stracił dużą część *ops*, która została z niego wydarta.

Amicja.

De Rohan właściwie zinterpretował mowę jego ciała i zaatakował, zasypując go gradem błyskawicznych ciosów. Gabriel odgadł, że

napędza go desperacja, lecz to nie ujęło mu siły.

De Rohan ciął znad ramienia wielkim dwuręcznym mieczem - z prawej, z lewej, z prawej, jak silny chłopak ćwiczący przy słupie, ale mógłby się równać z każdym rycerzem. Jego ciosy były mocne i szybkie, z równą prędkością śmigała igła, gdy Mag zszywała delikatne płótno.

Gabriel cofnął się o krok, potem drugi, przechodząc do defensywy. Kolejny szybki cios był Fintą.

Głownia musnęła hełm sekretny, aż go zamroczyło. Był wyszkolony, żeby walczyć w takim stanie, i jego ciało kontynuowało pojedynek. Lewą ręką chwycił głownię i uniósł miecz, blokując dalsze ciosy.

Teraz on był zdesperowany.

Czuł, że Amicja się wymyka. Gdzieś...

Rozpaczliwie pchnął mieczem i w coś trafił, jednocześnie otrzymując cios w bok tuż pod ramieniem. Popłynęła krew, sztych de Rohana przebił kolczugę.

Z przerażającą jasnością zrozumiał, że cokolwiek się dzieje, Amicja rozrywa swoją więź z nim i z czarami chroniącymi go przed śmiercią.

De Rohan wyprowadził popisowe cięcie z biodra, po czym poderwał miecz niemal do pionu.

Gabriel sparował.

Skrzyżowali miecze przy rękojeściach i de Rohan mocno napierał, próbując odzyskać kontrolę nad swoim orężem. Gabriel zyskał inicjatywę, gdy nagle odstąpił i wolną lewą ręką trzasnął w twarz de Rohana.

Popłynęła krew...

Miecz de Rohana śmignął, wgniatając hełm Gabriela i kalecząc czoło. Strumień krwi zalał mu oczy i prawie go oślepił.

Uspokoiło go doświadczenie wyniesione z Morei, kiedy był bliski śmierci z rąk skrytobójcy. Rany na czole nie były śmiertelne. Oczy nie zostały uszkodzone.

De Rohan był bardzo silny pomimo rannej ręki. I zadawał silne ciosy.

*- Dałem mu za dużo czasu - powiedział Gabriel w spokoju swojego*

pałacu.

*Poświęcił chwilę - w realnym świecie walki ani chwili - żeby przestać Amicji całą łatwą do znalezienia ops.*

*Opuścił miecz w postawie Coda Longa.*

\*\*\*

*Amicja stała na moście, a jednak tonęła, pozbawiona spokoju i koncentracji Jej świat był zupełnie czarny. Musiała opuścić króla, który odszedł w ramiona śmierci, i teraz się bała, że też jest już martwa, że jej uwolniona od ciała dusza daremnie się szamocze. Nie miała żadnego kontaktu ze światem realnym.*

*Ale coś wiązało ją z mostkiem. Czula pod stopami eterealne deski.*

*Otaczała ją nieprzenikniona ciemność, lecz gdy z nią walczyła, dostrzegła błysk bladego światła - światło słońca z pierścienia na palcu.*

*Znalazła siłę, żeby się modlić.*

*Most pod jej nogami zaczął się zarywać.*

*Umierała. Zapuściła się za daleko, o wiele za daleko.*

*Z jakiegoś powodu spojrzała w górę.*

*Ponad nią płonęło światło, które nigdy nie wnikało w głębiny, w których przebywała. Ponad nią płonęło boże światło, a ona była pogrążona w mroku śmierci. Ciemność wydawała się ciężka i potężna, i przypuszczała, że minęła punkt, z którego mogłaby wrócić do powietrza i światła, tylko że... tylko że...*

\*\*\*

*Miecz Gabriela śmignął z dołu, wznosząc się do cięcia znad głowy, i w ostatniej chwili skręcił o szerokość dłoni.*

*De Rohan się odłonił i zadał mocny cios płazem.*

*Miecz odskoczył daleko w bok.*

*Gabriel go obrócił: sztych wyrysował podstawę stożka z jelcem jako wierzchołkiem i miecz znalazł się po drugiej stronie ostrza przeciwnika w czasie, w jakim duszek raz macha skrzydełkami.*

*Gabriel lewą ręką chwycił sztych swojego miecza i głownię de Rohana w połowie długości. Nie miał litości dla ręki, używając jej jako przewodnika. Ostrze cięło rękawicę i dłoń, gdy idealnie naprowadzany sztych wślizgiwał się przez lewe oko de Rohana do mózgu.*

*De Rohan był martwy, zanim jego kolana uderzyły w ziemię.*

Zanim głowa podążyła w ślad za kolanami, Gabriel był w swoim pałacu i jego ręce formowały słup ognia...

\*\*\*

Amicja sięgnęła ku niebu i chwyciła sptywający zeń sznur zielonego ognia. Dopiero gdy zacisnęła ręce, zrozumiała, co trzyma - swoje dzieło magiczne, które chroniło Gabriela przed śmiercią, pilnie przez nią strzeżone. Teraz je traciła.

Chciała puścić sznur, ale wysoko w świetle eterealu Gabriel gwałtownie pociągnął i wzniósł się z cieni śmierci.

Znalazła swój most - była pod nim, pływając w mocy nurzając się w potentia - nigdy dotąd nie czuła czegoś takiego...

Gabriel stał na moście. Chwycił ją za ręce i wciągnął na deski. Etereal był bardziej stanem sennym niż rzeczywistością fizyczną - ani na chwilę nie opuściła mostu i teraz zajmowała go pełniej niż kiedykolwiek.

Patrzył na nią.

- Twój most jest wyjątkowo skomplikowaną metaforą - powiedział. - Nie sądzę, że mógłbym spaść z mojego pałacu, a gdyby tak się stało, nie wiem, jak mógłbym do niego powrócić.

Roześmiała się przepętniona czystą radością życia. Sięgnęła do świata rzeczywistego. Pragnęła go, chciała oddychać i miała nadzieję...

Król leżał martwy o długość dwóch rąk dalej i arcybiskup się chylił nad ciałem. W piaszczystych szrankach Zielony Rycerz stał nad martwym wrogiem.

Przez chwilę panowała równowaga.

Arcybiskup uniósł głowę.

- Zabili króla! - krzyknął po albańsku. Oskarżycielsko wyciągnął rękę. Wskazał Zielonego Rycerza stojącego nad zwłokami przeciwnika.

Du Corse przyłożył do ust mały róg i zadał.

Mężczyzna w czerwonym kapturze podniósł niewielką tarczę. Był to pierwszy tego dnia jawny pokaz talentu hermetycznego i ludzie wrzasnęli ze strachu. Na trybunach zapanował popłoch. Mężczyźni i kobiety w najwyższych rzędach zaczęli się przepychać, szukając drogi ucieczki, i trybuny zadrżały, najpierw zadudniły jak bęben, potem się zakołysały...

Amicja zeskoczyła z dolnych ław, podkasła spódnicę i pobiegła. Ser Gelfred jej powiedział, że ma się kierować do zachodniego krańca szranków, do czerwonego namiotu. Trudno go było przeoczyć i nie bała się wyciągać nóg. Wraz z nią biegły setki ludzi, połowa wielmożów z okolicznych hrabstw.

Zanim zrobiła dziesięć kroków, trybuny się zarwały. Okrzyki strachu przemieniły się w zwierzęce wrzaski bólu.

Amicja się zatrzymała. Obejrzała się i ujrzała chmurę pyłu. Arcybiskup stał daleko od rumowiska łoża królewskiej i wydawał rozkazy. W jego głosie dźwięczała histeria, ale wszyscy go słuchali. Du Corse włócznie ustawiał ludzi w szeregu, tworząc prostokąt piechurów wokół hierarchy.

Ciężka strzała spadła z nieba i powaliła galijskiego żołnierza na ziemię. Uderzyła w czubek głowy, rozbijając hełm i czaszkę.

Żołnierze nie byli jedynymi celami. Ktoś szył z łuku w ludzi wrzeszczących w rumowisku trybun.

Amicja poczuła zapach dymu.

\*\*\*

Ser Gabriel stał sam pośrodku szranków. Minął długi czas, zanim oprzytomniał, a wtedy poczuł się wyczerpany - nagły odpływ *ops*, ból w plecach po ukąszeniu ćmy...

Za późno zrozumiał, że trybuny się zarwały i płoną i że ktoś krzyczy. Więcej niż jedna osoba.

- Kurwa - zaklął.

Jego plan rozpadał się na kawałki. W tumanach pyłu, a teraz dymu, stracił z oczu Amicję. Przypuszczał, że Zły Tom i Michael robią dokładnie to, co zaplanowali - pędzą jak furie do Loriki.

Nic uwzględnił tego, że zostanie bez konia w samym środku katastrofy.

Z nawyku wyczyścił ostrze. Tylko sam sztych posmakował krwi i wytarł go w tabard de Rohana.

Schował miecz do pochwy. Wykonywał te proste czynności, jednocześnie próbując ogarnąć wzrokiem otaczający go chaos i cokolwiek zrozumieć.

Czuł, że Amicja pracuje. Byli związani tak ściśle, że czuł jej pracę

niemal bezpośrednio.

Uzdrowiała.

- Kurwa mać - mruknął.

Ale już wiedział, gdzie jej szukać.

\*\*\*

Amicja była kobietą pełną silnej wiary i pozwalała, żeby wiara kierowała jej poczynaniami.

Wiedziała, co może ją spotkać, gdy tu pozostanie, lecz była uzdrowicielką, a tutaj były setki, może tysiące rannych. Zmusiła się, żeby wrócić do trybun. W drodze natknęła się na starszą kobietę ze złamaną ręką i ją uleczyła, i pomogła innej znaleźć córkę; dziecko miało skręcony kark, ale jeszcze żyło.

Oto dlaczego Bóg mnie stworzył, pomyślała. Zaczęła się modlić i pracować.

\*\*\*

Nat Tyler wciąż strzelał. Nikt go nie powstrzymał. Co więcej, ludzie uciekali od niego, jakby ich atakował, albo po prostu odwracali wzrok.

Kiedy wypuścił ostatnią strzałę, obejrzał się i zobaczył dwunastu mężczyzn i dwie młode kobiety patrzących tak, jakby obserwowali coś zabawnego.

- Pora uderzyć - powiedział.

- Na Galów? - zapytała jedna z kobiet.

- Na nich wszystkich, skarbie.

Tyler żałował, że nie ma więcej strzał. W gruncie rzeczy nie wierzył, że zastrzeli króla, pierdolonego króla. Zawsze sobie wyobrażał, że setki rozwścieczonych zbrojnych ścigają go niczym psy rannego zająca. Nie to, nie coś takiego - nie na wpół pusty plac i żadnych wrogów. Sto jardów dalej panował chaos spowodowany przez zarwanie się trybun, i on się do tego przyczynił.

Odwrócił się, żeby odejść. Grupa nowych rekrutów wciąż wypuszczała strzały - widział, jak jedna wlatuje w powietrze wystrzelona przez Luke'a. Obejrzał się.

- Jestem Jackiem - powiedział. - Zamierzamy obalić wszystkich panów i rządzić bez nich. Jeśli ktoś chce pójść ze mną, uprzedzam,

czeka was ciężkie, niewdzięczne życie. I kiedy panowie otrząsną się po dzisiejszych wydarzeniach, będą na nas polować jak na wilki. - Wyszczerył zęby. - Tyle że będziemy się odgryzać.

Któryś z mężczyzn mruknął, że przed chwilą zabijał niewinnych mężczyzn i kobiety.

- Nikt nie jest niewinny - syknął Tyler. - Zabierają nasze ziemie, nasze srebro i lata naszego życia. Zabij ich wszystkich, towarzyszu. Również niemowlęta i matki.

Ładniejsza z dziewczyn, ta o migdałowych oczach, jasnorudych włosach i w sukni z pięknej wełny, zaczęła podkasywać spódnice.

- Idę z tobą - oznajmiła. - Umiem strzelać z łuku. - Nie uśmiechnęła się, była ponura jak śmierć. - Zwą mnie Lessa - dodała.

- Jesteś zbyt delikatna na Jacka - powiedział.

- Przekonajmy się - odparła. Nie potrząsnęła włosami, nie flirtowała.

Gdy kurz opadł, Tyler zobaczył na piasku ludzi arcybiskupa. Żałował, że nie ma tuzina więcej strzał.

- Mieszkam z żebrakami i poruszam się szybko. Jeśli mnie spowolnisz, zostawię cię - uprzedził.

Wzruszyła ramionami.

Dwaj mężczyźni skinęli głowami. Byli więcej niż zwyczajnymi rekrutami - przysadziści, krzepcy oracze w grubej wełnie, na jard cuchnący niemytymi ciałami. Mieli ciężkie laski i duże skórzane sakwy.

- Weź nas - powiedział jeden.

Byli na tyle podobni, że mogli być braćmi.

- Sam - przedstawił się jeden.

- Tom - rzucił drugi.

Tylerowi podobali się obaj.

- To twarde życie - powtórzył.

- Spróbuj pchać pług dziedzica - powiedział Sam. - Zabijmy ich wszystkich.

Tomowi wyraźnie podobała się dziewczyna.

Tyler zadał w róg. Kilku biskupich żołnierzy spojrzało w jego stronę, ale musiał dać sygnał, bo inaczej umarłoby kilku nowych



ciołków.

Potem bez jednego słowa pobiegł na północ, w czyste powietrze. Za czarną kuźnią, jakieś dwieście kroków dalej, zaczynał się las, gdzie był jego punkt zborny.

Obejrzał się i z lekkim zaskoczeniem zobaczył, że podąża za nim pięć osób.

\*\*\*

Trybuny płonęły. Na północnym krańcu zebrał się tłum i ci odważniejsi wyciągali ludzi z dymu i spomiędzy połamanych belek.

- Gdzie jest królowa? - zapytał arcybiskup. - Sprowadźcie ją i zabijcie.

Du Corse, który wahał się zrobić to przed godziną, teraz nie miał skrupułów. Trzy razy zadał w róg, ściągając coraz więcej ludzi. Pojawili się chorąży i giermek. Niebawem miał tuzin kopii. Siadł na koń. Dym niepokoił rumaka.

- Za mną - rozkazał.

Wystarczyło, że przejechał sto kroków, a zobaczył, że się spóźnili. Królowa zniknęła, jej straż została zmasakrowana.

Jego zbrojni - Etruskowie, Galowie i kilku Iberyjczyków - zegnali się i mruclili.

U jego boku l'Isle d'Adam stanął w strzemionach.

- Skąd się wzięły te strzały? Strzały, które zabiły króla?

Pragnienie ochrony arcybiskupa, kanclerza królestwa, powstrzymało Du Corse'a od natychmiastowego działania. Po chwili zdał sobie sprawę, że nikt nie szuka zabójcy króla.

- Z północy - powiedział. - Mam wrażenie, że strzały nadleciały z północy. - Chwycił uzdę konia l'Isle d'Adama. - Nie. na to czas będzie później. Mają królową.

- Kto ma królową? - zapytał l'Isle d'Adam.

Du Corse skrzywił nos.

- Ten Czerwony Rycerz, jak sądzę.

l'Isle d'Adam szarpnął brodę.

- A gdzie jest de Vrilly?

Du Corse pokręcił głową.

- Nie widziałem go od chwili, gdy marszałek go odprawił.

\*\*\*

Jean de Vrailly klęczał w namiocie przed tryptykiem z Najświętszą Marią Panną pomiędzy Świętym Jerzym i Świętym Eustachiuszem.

- Skłamałeś! - krzyknął. - Nie jesteś aniołem Boga!

Zwiesił głowę i zapłakał.

\*\*\*

Blanche się nie zgubiła, ale zaskoczył ją huk zarywających się trybun i była tak blisko, że drzazga wbiła się jej w udo. Upadła z krzykiem i dopiero po chwili zrozumiała, że nie jest z nią tak źle, jak sądziła; przeżyła szok, gdy zobaczyła podobny do sztyletu kawałek drewna tkwiący w nodze, lecz ból wcale nie był wielki. Ostrożnie wyciągnęła zadziór.

Krew natychmiast przesiąkała przez jej szarą suknię.

Widok krwi sprawił, że mroczki zatańczyły jej przed oczami, a w ustach poczuła smak soli i żółci.

Nie zwymiotuję, powiedziała sobie.

Szorstkie ręce chwyciły ją pod ramiona i usłyszała męski głos.

- Wszystko w porządku, pani. Zaraz będzie dobrze.

Zaczęła krzyczeć.

Następna para rąk chwyciła ją za nogi.

- Spokojnie, pani - powiedział drugi mężczyzna. Był księdzem, mało prawdopodobnym napastnikiem.

Protestowała, ale nie bacząc na jej krzyki, ponieśli ją za wschodni kraniec płonącego rumowiska, gdzie dym był rzadszy.

Była tam kobieta, bardzo ładna kobieta w poplamionej żółtej sukni. Miała kwiaty we włosach. Otaczało ją kilkanaście osób.

Dwaj mężczyźni delikatnie położyli ją na ziemi.

Ksiądz się uklonił.

- Kolejna ofiara, pani.

Kobieta w żółtej sukni uklękła przy niej i zmówiła modlitwę. Podciągnęła jej spódnicę i koszulę do uda, przyłożyła rękę do krwawiącej rany i ją zamknęła.

Blanche jęknęła, nie z bólu, ale dlatego, że się go spodziewała. Nic nie poczuła.

Kobieta uśmiechnęła się do niej.

- Uzdrowiłaś mnie! - zawołała Blanche. Oczywiście słyszała o takich wypadkach. Rzeczywistość okazała się piękna pomimo wrzasków, dymu drapiącego w gardle i tupotu stóp.

- Dwoje dzieci, pani, pod belką! - zawołał błagalnie czarny od dymu mężczyzna.

Pani wstała, nakreśliła znak krzyża i poszła za nim w ogień.

\*\*\*

Pył wzbity przez zapadające się trybuny zaczynał osiadać, ale teraz wszędzie unosił się dym i łagodny wiatr spychał czarne kłęby w ich koniec szranków. Pomimo dymu i niepokoju Gabriel zmusił się do biegu. Spalał rezerwy, biegnąc do najbardziej prawdopodobnego miejsca, w którym mógł znaleźć swojego konia. I może brata.

Na przekór wszelkim szansom znalazł Gawina i Ataelusa.

- Jesteś popierdolonym idiotą - warknął Gawin, a potem przez dwadzieścia uderzeń serca miażdżył go w objęciach. - Co byś zrobił, gdybym odjechał? Wyhodował skrzydła i odleciał?

Gabriel był bliski płaczu, nigdy w życiu tak się nie cieszył na widok Gawina.

- Tom dawno odjechał. Pięć albo więcej minut temu. Musimy stąd zniknąć, zanim arcybiskup pozbiera myśli i każe nas pojmać. Ich konstabl zebrał dwudziestu zbrojnych i bez wątpienia będzie miał więcej. - Gawin poprawiał popręg swojego konia.

- Gawinie, beznadziejnie to rozegrałem. - Nagle Gabriel stwierdził, że gapi się na Nell, która podawała mu wodze.

- Powiesz mi kiedy indziej. W imię Boga, siadaj na koń. - Gawin przemienił słowa w czyn i przerzucił opancerzoną nogę przez siodło. - Czy wspomniałem, jaki z ciebie idiota?

Nell wyszczerzyła zęby i wskoczyła na lekkiego wierzchowca.

- Tobo pojechał z rycerzami - powiedziała.

Ośłaniał ich zamknięty z trzech stron namiot, przynajmniej przez chwilę.

- Jazda! - krzyknął Gawin.

- Amicja jest...

Gawin spiął konia i wyjechał z namiotu, kierując się w dymie na wschód.

- Jadę po siostrę Amicję - powiedział Gabriel do swojego pazia.

Nell skinęła głową - i wyciągnęła miecz.

Gabriel się uśmiechnął.

- Niech cię Bóg błogosławi - powiedział bez jednej myśli.

Nell pojechała za nim, gdy skręcił na południe ku trybunom.

Arcybiskup pośrodku grupy opancerzonych ludzi szybko zmierzał na północ, żeby wydostać się z dymu. Wokół biegały tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, ale same szranki z powodu barier były zasadniczo puste i Gabriel jechał wzdłuż nich, mijając zapomniane zwłoki powalonego wroga, w kierunku, z którego płynęło pulsowanie mocy pracującej Amicji.

Usłyszał krzyki za plecami. Zbrojni na koniach go zauważyli.

Nell wyciągnęła rękę.

- Czarno-żółte tabardy! - krzyknęła.

Gabriel wolałby nie mieć zbroi i konia bojowego. Ale Ataelus był najlepszym rumakiem, jakiego znał, i fantastycznie cwałował jak na ciężkiego konia. Objechali kraniec rumowiska. Był tam tłum, gęsty tłum może tysiąc ludzi. Ciała leżały na ziemi, mężczyźni, kobiety i dzieci siedzieli w zakrwawionych bandażach, długa kolejka wiodła do małego kręgu...

- Weszła w ogień! - krzyknęła starsza kobieta. - To żywa święta zesłana przez samego Boga!

Setka ludzi klęczała. Inni zbierali rannych i zabitych.

Ludzie zginęli nie tylko wskutek zawalenia się drewnianych trybun. Na ziemi leżeli chłopczyk przeszyty ciężką strzałą i dziewczynka stratowana pr/er spanikowanych ludzi. Matka wzięła ją w ramiona i uniosła w stronę Gabriela.

- Nastąpiłam na nią... Jezu, ratuj, nastąpiłam na nią i nie żyje. - W jej głosie brzmiała żalność.

- Nadchodzą żołnierze! - zawołał jakiś mężczyzna.

Jakaś kobieta wrzasnęła.

- Trzymaj konie - warknął Gabriel i zsiadł, przeklinając klucie głęboko pod lewym ramieniem, ból w ręce i głowie.

Wszedł do swojego pałacu i stwierdził, że ma w zasadzie tylko rezerwy ops i że jego rany są drobnostką - i że Amicja rzeczywiście jest głęboko w

płonącym rumowisku.

Stanął mocno na nogach i wyczarował

wiatr

wodę

i rój pszczół.

Wplótł złoto i zieleń w sieć i rzucił wszystkie trzy czary naraz.

Potem wszedł za Amicją w dym.

\*\*\*

Amicja już widziała te dzieci, przesuwała się obok nich, gdy po raz pierwszy weszła na trybuny - kilka dni temu, jak się wydawało. Belka, główna belka podpierająca konstrukcję, przycisnęła ich nogi, powodując liczne złamania.

Płonące rumowisko było piekłem na ziem.

Kiedy Amicja była mała, w jej wiosce rozpalano ognisko na Wszystkich Świętych. Pamiętała układanie drew, oczekiwanie i grozę, gdy zobaczyła potęgę ognia nie tylko w świecie rzeczywistym, ale też w eterealnym. Ogień. Szybki, bezlitosny, bez inteligencji.

Ogień trawił łożę królewską - kotary malowane farbami olejnymi, gobeliny i drewniane przepierzenia, meble, belki i płócienne daszki. Miał też składnik eterealny. Ktoś - coś pchało ogień.

Uderzenia serca dzieliły dzieci od śmierci z powodu dymu i ognia. Dziewczynka bez przerwy krzyczała. Jej brat już stracił przytomność.

Po uzdrawianiu rannych i niemądrej walce ze śmiercią Amicji brakowało *potentia*, żeby podnieść belkę i zatrzymać ogień, ale tak absolutnie ufała Bogu, że zebrała siły i panowała nad płomieniami, podczas gdy czterech dzielnych ludzi - ojciec i trzech jego służących - daremnie wyęczało siły, próbując dźwignąć belkę. Ojciec płakał z bezsilności.

- Dlaczego?! - krzyknął.

Amicja pchnęła płomienie.

Coś po drugiej stronie pchnęło je z powrotem i się roześmiało.

- Mam cię - powiedział Gabriel przy jej ramieniu. Chwytał belkę i wreszcie się poruszyła.

Nagły podmuch, jak dłoń boga burzy, odsunął ogień od Amicji.

Padła na kolana w jednej chwili przemoczona do suchej nitki.

Buchnęły kłęby pary i zatrzymały się na jej tarczy.

Większy sługa wyciągnął dziewczynkę.

Gabriel stęknął.

Ojciec, w pięknym ubraniu zniszczonym przez ogień, chwycił syna za ramiona i pociągnął. Chłopiec wrzasnął, pozbawiony dobrodziejstwa braku świadomości, gdy połamane nogi wysuwały się spod ciężkiej belki.

Wydostali się z rumowiska i Amicja uklękała.

- Daj mi... - zażądała.

Gabriel położył rękę na jej ramieniu.

- Nic mi nie zostało. Siadaj na mojego konia.

- Ocaliłeś nas wszystkich - powiedział mężczyzna. - Jestem... mój Boże...

- Wsiadaj na konia... Nell!

Tłum rzedł - po obu stronach było widać zbrojnych.

Nell przebiła się przez tłum. Mężczyźni uklękli, a kobiety krzyczały rozpychane przez konie.

- Mogę ich ocalić - powiedziała Amicja.

- Siadaj na koń - powtórzył Gabriel. - Nie bądź głupia. Dzisiaj nic więcej nie wskórasz. Niech inni się zajmą bandażowaniem. Lada chwila możemy wpaść w ręce wroga. Mogą nas pojmać, Amicjo!

Wsiadł na Ataelusa i wyciągnął rękę - zdrową prawą rękę.

Za nimi pszczoły atakowały żołnierzy i tłum, bez różnicy.

- Ty jesteś Zielonym Rycerzem? - zapytała urodziwa blondynka. Była tak piękna, że zwrócił na nią uwagę, choć jego życie spoczywało na szali, a Amicja wciąż była w rozterce.

- Czasami - odparł.

Ośmieliła się i chwyciła go za strzemień.

- Jedziesz do królowej? - zapytała. - Jestem jej służącą, praczką.

Nie dostrzegł w niej zła.

- Nell! - krzyknął.

Nell bez cienia wahania złapała Amicję za rękę i wciągnęła ją na siodło.

Gabriel mógłby się roześmiać, gdyby nie był taki zmęczony i zły. Obrócił konia i sięgnął po blondynkę, trochę bardziej brutalnie niż

zamierzał wsunąć zdrową rękę pod jej pachę i wbił ostrogi w boki biednego Ataelusa, który niczym nie zasłużył na takie traktowanie.

Grupa piechurów i konnych żołnierzy wypadła z dymu i tłumy ścigana przez pszczoły.

Gabriel się obejrzał. Jechali przez obóz, który ser Gerald Random kazał zbudować dla rycerzy przybyłych na turniej. Połowa namiotów była pusta, a niektóre zajęli dzicy lokatorzy. Były tam ulice, wzdłuż których stały namioty klinowe i okrągłe, i duże pawilony dla bogatszych panów. Całość przypominała czysty, schludny, odświętny obóz wojskowy o długości trzeciej części mili. Linki odciągowe często wychodziły na ulice, więc jazda byłaby koszmarna nawet wtedy, gdyby ich nie ścigało dwudziestu zbrojnych.

Gabriel lewą ręką objął siedzącą przed nim kobietę.

- Jeśli będę musiał walczyć - krzyknął - po prostu skacz! Nie zostawaj.

Nie odpowiedziała.

Ataelus był świetnym rumakiem - naprawdę najlepszym - ale nie szybkim. Konie pościgu nie jeździły w szrankach ani nie były na nogach od ciemnej nocy przed świtem.

Zbrojni szybko zmniejszali dystans.

Nell na niedużym wierzchowcu nie miała takich kłopotów. Była mała, a Amicja chuda, więc zwiększały przewagę nad Ataelusem i pościgiem.

Złapią mnie, pomyślał ze złością Gabriel.

Wpadł na pomysł - *zajrzał do swojego pałacu, gdzie ze smutkiem zobaczył, że złota nić zniknęła z jego kostki.*

*Może niezupełnie zniknęła, ale została tylko pajęczka sieć włókna.*

*I tyle, jeśli chodzi o niezniszczalność.*

Przysunął usta do ucha kobiety.

- Musisz zsiąść - powiedział.

- Jestem gotowa - odparła.

Ściągnął wodze, skręcając w prawo. Ataelus natychmiast zrozumiał i kiedy wytracił trochę prędkości, obrócił się na zadnich nogach. Gdy niemal się zatrzymał, kobieta zwinnie zsunęła się na ziemię, chwyciła spódnicę i zrobiła przewrót.

Ładne nogi...

Gabriel miał miecz w prawej ręce i wodze w lewej. Nacierają na niego co najmniej dwunastu mężczyzn, ale rozciągniętych na przestrzeni ponad dwustu jardów, i ci na przedzie nie byli rycerzami.

Znawali się na głównej ulicy obozu rycerzy z północy, gdzie w innych okolicznościach byłby Czerwony Rycerz ze swą kompanią. Gabriel widział czerwony namiot, który był jego punktem zbornym - za daleko, żeby to coś dało.

Nie miał innego wyboru. Runął na sześciu pierwszych ludzi i przejechał bez odniesienia poważnych obrażeń, osłaniając się i parując. Siódmy człowiek był zupełnie sam. Gabriel sięgnął ranną lewą ręką, chwycił uzdę i szarpnął, tnąc mieczem z wysokiej lewej gardy, żeby sparować cios włócznią.

Gdy szarpnął końską głowę, poczuł silny ból - koń się przewrócił, przygniatając jeźdźca.

- To było głupie - powiedział głośno świadom, że okaleczył własną rękę.

W tym momencie czerwony piorun uderzył na tyły nacierających na niego ludzi. Gawin z jego herbem, ubrany w czerwony tabard, z pióropuszem i na wspaniałym koniu okrytym czerwonym jedwabiem, wyglądał jak starożytny bóg wojny, atakując pościg młotem bojowym, zabijając jeźdźców i wysadzając ich z siodła przy każdym zamachu.

Gabriel siedział i patrzył, jak jego brat rozbija małą armię. Był to wspaniały czyn zbrojny, a jego było stać tylko na rozpaczliwe posapywanie.

Cofnął Araelusa, chcąc zobaczyć, czy któryś z ludzi zrzuconych na ziemię nie zachodzi go od tyłu. Obrócił rumaka. Zobaczył, że blondynka siedzi okrakiem na opancerzonym paziu, trzymając sztylet przy jego gardle.

Chłopak nie wziął na poważnie jej groźby i uderzył ją w bok opancerzoną pięścią.

Zabiła go. Jedno pchnięcie szczupłych rąk i był martwy.

Odwróciła głowę i wstała.

- Punkt zborny jest tam - powiedział Gawin z braterskim sarkazmem. - Chyba że znajdziesz więcej dziewczyn do ratowania.



Chryste!

Zasalutował koszmarnie zakrwawionym młotem bojowym.

- Do usług, piękna panno.

Blondynka uniosła rękę do ust.

Gabriel położył rękę na jej dłoni.

- Zobaczymy, czy wsiadanie pójdzie nam lepiej za drugim razem.

- Za pierwszym o mało nie wyrwałeś mi ręki ze stawu - powiedziała z wyrzutem.

- Obiecuję sprawić się lepiej.

- Kim on jest? - zapytała, wskazując zbryzganego krwią rycerza.

Jeźdźcy zaprzestali pościgu, mając przeciwko sobie Toby'ego, Michaela i ser Bertrana.

Popełnili błąd, atakując, gdy posadził blondynkę na rumaka. Ser Danved wyłonił się z labiryntu linek namiotowych i powalił rycerza wraz z koniem na ziemię. Ser Danved był wielkim mężczyzną i przeorał kolumnę pościgu, a ludzie, którzy minęli jego jednoosobową zasadzkę, wpadli na ser Michaela, ser Bertrana i młodego Toby'ego i szybko zostali wysadzeni z siodeł. Gawin dołączył do potyczki. Spłoszone konie potykały się o linki i wpadały na stojące namioty, ludzie spadali na ziemię i, razem wzięwszy, panował kompletny rozgardiasz.

- Jestem Blanche - powiedziała kobieta. - Na obrazach dziewczyna zawsze siedzi za rycerzem.

Gabriel po prostu musiał się roześmiać.

\*\*\*

Oczyszczenie obozu wymagało kolejnej zacieklej potyczki; cała *casa*, łącznie z paziami i łucznikami, okazała się godna zdeorganizowanych Galów i wycięła sobie drogę na wolność.

- Mogliśmy po prostu przypuścić szarżę i dopaść de Vrailly'ego - powiedział Gawin. Był w bojowym nastroju.

- I co, zostawić królową tam, gdzie ją znaleźliśmy? - Gabriel uniósł brew.

Królowa siedziała na dobrym wierzchowcu. Była biała jak mleko.

Zabrali wszystkie konie ludzi, których wysadzili z siodeł, więc teraz przypominali poganiaczy tabunu, jak żartował ser Danved. Nell

i inni paziowie gnali rumaki, wszystkie wciąż osiodłane.

- Za parę dni ktoś zbierze armię - powiedział Gabriel. - Gelfred mówi, że Du Corse ma trzysta kopii, a de Vrailly miał tyle samo ubiegłego roku.

- Więcej - sprostował Gabriel.

Ser Michael zaklął.

- I Albanów, którzy powinni być mądrzejsi. Widziałem ludzi, którzy byli rycerzami mojego ojca. Niespełna piętnaście minut temu posadziłem na dupie Kita Crowbearda.... zdrajca.

- Kita Crowbearda? - zapytał Gabriel.

- Rycerz ze świty mojego ojca. Jego elitarnych rycerzy. - Michael ściągnął brwi. - Czy ludzie Ranalda ocalili mojego tatę?

- Zapytaj mnie, kiedy się z nim spotkam - odparł Gabriel. - Kazałem mu trzymać ludzi z dala od placu turniejowego, dopóki... cóż, dopóki nie będzie innej możliwości. - Gabriel spojrział na południe. - Mam nadzieję, że posłuchał, bo jak nie, to wszyscy zostali pojmani.

Zły Tom pokiwał głową.

- Tak, nie zostałem, żeby się przyglądać, ale wiem, że rozbili gwardię, gdy tylko mieli możliwość.

Gabriel dał znak, że mają się zatrzymać.

- Wszyscy zmienić konie - rozkazał.

Zsiadł i wyciągnął zdrową rękę, żeby pomóc Blanche, która nie skorzystała z pomocy i zwinnie zsunęła się na ziemię.

- Muszę pójść do mojej pani - powiedziała i pobiegła drogą.

Gabriel wygiął plecy i spojrział na daleki obóz.

- Gdzie jest Gelfred? - zapytał Toma.

Tom Lachlan pokręcił głową.

- Nie stawiał się w miejscu spotkania - odparł. - Zauważ, że musieliśmy szukać ciebie!

Gabriel się skrzywił.

- To nie moja najlepsza godzina.

- Znalazłeś sobie niezłą sztukę. Powinieneś się jej trzymać - powiedział Tom życzliwie.

- Albo - wtrącił Chris Foliak - jeśli jej nie chcesz...

- Panowie - warknął kapitan - jeśli się nie uciszycie...

- Znów jest po prostu sobą - powiedział głośno ser Danved do ser Bertrana.

- Potrzebne są wierzchowce dla pań, chyba że Nell zamierza wieźć zacną siostrę przez całą drogę do Loriki. - Posłał uśmiech Amicji. - Co się stało?

- Chodzi ci o króla? Och, Gabrielu...

Blanche wróciła biegiem po pylistej drodze. Dygnęła z pięknie wyprostowanymi plecami.

- Posłuchaj, kapitanie... panie.

Gabriel zdobył się na ukłon, co sprawiło, że plecy zabolowały go tak, jakby stały w ogniu.

- Moja pani... królowa, nie może dalej jechać - wydyszała Blanche. - Jest zbyt dumna, żeby to powiedzieć, ale lada chwila może zacząć rodzić. - Powiodła po nich wzrokiem. - Jesteście piękną grupą... czy są wśród was ojcowie? Powiadają, że krew i walka sprowadzają narodziny.

Gabriel wciąż patrzył na obóz.

Ktoś się tam poruszał. Ugaszono ogień i dostrzegł błysk zbroi.

- Zostało osiem godzin światła - powiedział.

Nell przyprowadziła mu Abrahama, najstarszego i najspokojniejszego wierzchowca. Wskoczył na siodło.

- Nell, jesteś cudowna.

Nell się zarumieniła.

Pojechał wzdłuż kolumny do królowej, która siedziała oparta plecami o drzewo. Wyglądała spokojnie i była śmiertelnie blada.

Gabriel zsiadł dzięki samej sile woli i zdobył się na trzeszczący ukłon.

- Wasza Królewska Mość, nie mogę zatrzymać się tu dłużej, bo inaczej zostaniemy pojmani albo zabici.

Zwróciła na niego cudowne brązowo-złote oczy.

- Wiem - rzekła. - Blanche mnie kocha, próbuje mi matkować. - Królowa wyciągnęła rękę i Gabriel pomógł jej wstać. - Mogę zatrzymać go w sobie przez kilka godzin albo dni, jeśli będę musiała. Jestem kobietą mocy.

- Oczywiście. Uzdrowiłem cię zeszłego roku, kiedy trafiła cię strzała. Stąd wiem. Zastanawiam się, czy mogłabyś podzielić się z nami odrobiną swojej *ops*... ze mną i siostrą Amicją.

Królowa skinęła głową.

- Oczywiście... wszystko, cokolwiek mogę zrobić.

Gabriel dotknął *Dezyderaty* i wszedł do jej pałacu - istnej fortecy. Nigdy nie widział tak dobrze strzeżonego pałacu. W środku wznosiły się mury z lśniącego złota, ze złotych cegieł tak dobrze dopasowanych, że ledwie mógł zobaczyć spojenia pomiędzy nimi. Wpuściła go, smukła i piękna, przez bramę z podwójną broną.

- Czy to prawda, że mój ukochany nie żyje? - zapytała.

Gabriel przytaknął.

- Zabity przez strzałę.

Głęboko odetchnęła, nawet w eterealu, i ściągnęła usta.

- Później będzie czas na żałobę.

W środku cytadeli - cytadeli jak z bajki, z treliażami, owocami i ptakami na drzewach - znajdowała się studnia. Królowa chochlą zaczerpnęła wodę - czystą *ops* - i mu podała.

- W romansach to nigdy nie jest dobrym pomysłem - zauważył.

- Chciałabym się roześmiać. Chciałabym biegać wśród kwiatów i znowu czuć miłość.

Gabriel skończył pić. Wyciągnął rękę, znalazł Amicję i skinął na nią, a ona przyszła, przenikając przez ściany tak, jakby ich nie było - ponieważ została zaproszona. Królowa podała jej pełną chochlę.

Amicja wypita *potentia* i zabrała się do pracy. Zagoiła rany w jego boku i pasze, potarła kciukiem grzbiet jego lewej ręki i ściągnęła brwi.

- Może jutro - powiedziała.

Później siostra Amicja szła wzdłuż kolumny, lecząc drobne obrażenia ludzi i koni.

Tom pokręcił głową.

- Ona jest... - Rozejrzał się i zwiesił głowę.

Gabriel westchnął.

- Tak - przyznał. - A teraz wynośmy się stąd, zanim się stanie coś złego.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### Kompania

Przy Drugim Moście znowu skręcili na wschód, mniej więcej na tę samą trasę, którą jechali rano. Musieli liczyć się z tym, że ktoś może bardzo szybko wysłać oddział zachodnią drogą po drugiej stronie Pierwszego Mostu i ich odciąć, a Gabriel, choć został uleczony, nie miał ochoty na kolejną bitwę.

Gdy się wspięli na niskie wzgórza na południe od Albiny, żeby spojrzeć wzdłuż głównych pasm na Harndon, Gabriel był pewien, że jedna kolumna ciągnie głównym traktem, a druga posuwa się na drugim brzegu - widział tumany kurzu.

- Powinniśmy ich wybić, gdy mieliśmy okazję - powiedział ser Michel. - Chciałbym wiedzieć, gdzie jest tata.

- Nawet nie mam pewności, czy się nie mylisz - mruknął Gabriel.

Gawin pośpieszył mu z odsieczą.

- Nie. Zrobiliśmy to, co mieliśmy zrobić. Taki był plan, innego nie mogliśmy opracować. Gdybyśmy mieli dwie setki zbrojnych...

- Tak czy inaczej - wtrącił Tom - to już przeszłość, co nie? W gruncie rzeczy to nie była zła walka. Nie straciliśmy ani jednego mężczyzny.

- Ani kobiety - wtrąciła Blanche, która jechała obok królowej. Umiała jeździć konno.

Na skrzyżowaniu we Freefordzie, gdzie Harndoński Trakt i Wschodnia Droga przecinały strumień Maylan, Gabriel dał im godzinę na popas. Toby zabrał giermków na poszukiwanie jedzenia i wrócił z obładowanym mułem i pętami kiełbasy niedbale zarzuconymi na ramię. Wystarczyło dla wszystkich, choć królowa jadła jak wilk. Blanche znowu zagadnęła kapitana.

- Ona musi jeść. Nie jest jednym z twoich najemników. - Wsparała ręce na biodrach. - I nie możesz jej nakazać całonocnej jazdy.

Większość *casa* odwróciła głowy, patrząc w różne strony. Ser Michael uklonił się i oznajmił:

- Kapitan robi, co w jego...

- Pomagam mu podjąć właściwą decyzję - zaznaczyła Blanche.

Tom patrzył spod ręki osłaniającej oczy.

- Na drodze chyba są ludzie.

Zapadał wieczór, niebawem będzie zupełnie ciemno.

- Przeprowadzamy się przez bród - rozkazał Gabriel. - Natychmiast.

Ser Michael posadził Blanche za siodłem i przebył z nią bród. *Casa* w jednej chwili siadła na koń. Ser Francis i Chris Foliak przeprowadzili wierzchowca z królową, która wciąż jadła.

Gabriel i jego brat żuli kiełbasę.

- Miejscowi - powiedział Gawin po jakimś czasie.

Nadciągało pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu ludzi, w tym kilku konno.

Dwóch wciąż miało turniejowe stroje. Gawin rzucił do rzeki flak z supełkiem i nie miał okazji zobaczyć, jak porwał go szczupak. Razem z Gabrielem ruszyli do przodu, ramię w ramię, z uniesionymi prawicami.

Jeden z konnych wyjechał im na spotkanie. Zdjął prawą rękawicę.

- Ser Stefan Griswald - przedstawił się. Miał ponad pięćdziesiąt lat, nabierał tłuszczu i płyty zbroi zrobiły się jakby za małe, ale miecz u jego boku mówił, że był używany.

- Ser Gabriel Murien.

- To oni! - krzyknął włócznie.

Przybyły trzy czy cztery tuziny włócznie w przeszywanicach, w porządnym hełmach z kolczymi kołnierzami.

Ser Stefan ciężko pokiwał głową.

- To twoi ludzie? - zapytał, wskazując rycerzy za strumieniem.

- Tak - odparł Gabriel. Jego ludzie już szykowali kopie. - Jesteś szeryfem?

- Tak, panie. I mam obowiązek cię zaarrestować, w imieniu króla. - Szeryf potrząsnął buławą jak maczugą.

Gabriel cofnął konia.

- Król nie żyje - oznajmił. - Zginął przed południem.

Szeryf był zbity z tropu.

- Przecież mój nakaz pochodzi od króla.

- Nie jest prawdziwy, to fałszerstwo arcybiskupa - wyjaśnił

Gabriel. -Czy rozkazał rozpuścić milicję?

Szeryf przytaknął.

- W każdym hrabstwie. Na wszystkich świętych, panie... król nie żyje? Czy to żart?

- Dostał strzałę w pierś. - Gabriel pokiwał głową. - Ale widzisz tę kobietę siedzącą pod drzewem? To królowa. Galowie chcą ją pojmać, panie szeryfie. A ja jej nie oddam. Więc ty i twoi dzielni chłopcy będziecie musieli z nami walczyć.

Tom Lachlan wrócił na tę stronę strumienia, prowadząc za sobą wszystkich zbrojnych. W zachodzącym słońcu on i ser Michael wyglądali jak prawa i lewa ręka Boga.

- Myślę, że musiałbyś mieć legion aniołów, żeby ich aresztować - odezwał się starszy mężczyzna w zbroi. - Daj sobie spokój, Stefanie.

Przybysz podjechał bliżej. Pod drzewami, które rosły wzdłuż drogi, już niemal panowała noc. Starzec o prostych plecach w dobrze dopasowanej zbroi ukłonił się.

- Lord Corcy - powitał go Gawin.

- Ach... Twarde Ręce we własnej osobie. I młody Michael, niewiele wart starszy syn Towbraya. - Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - Czy racycie, panowie, przekazać królowej moje pozdrowienia? I czy dasz nam słowo, że nas nie zaatakujesz? Masz więcej ludzi i są znacznie lepiej uzbrojeni, ale my jesteśmy... - nie zachichotał, ale sprawiał wrażenie rozbawionego - ramieniem prawa.

Corcy był starcem, jednym z baronów starego króla.

Gabriel ujął jego dłoń.

- Daję ci słowo. Po prostu nas przepuście i na tym się skończy. Chyba że chcecie zapewnić nam kryjówkę.

Lord Corcy namyślał się przez chwilę i jego rysy twarzy stwardniały.

- Nie.

Zły Tom podjechał do niego od lewej strony.

- Jeśli ich zabijemy, nikomu nie wyjawia, w którą stronę pojechaliśmy - powiedział.

Prawica lorda Corcy'ego spoczęła na rękojeści miecza.

- Psiamać, Tom! - syknął Gabriel. - Lordzie Corcy, nie dojdzie do

aktów przemocy, o ile nas nie zaatakujesz.

Corcy cofnął konia.

- Moi synowie są na dworze.

Ser Gawin pokiwał głową.

- Rozumiemy.

W ciemności, pod zasłoną lekkiego basinetu nie było widać oczu Corcy'ego, ale pokręcił głową.

- Będę otrzymywać stamtąd wiadomości, jak długo się da. Kto zabił króla? - zapytał nagle.

- Szczerze? Nie mam pojęcia - odparł Gabriel. - Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że zabili go Jackowie. Albo Galowie. - Pokręcił głową. Był zmęczony, piekielnie zmęczony. Nie rozumiał tego spisku. Stracił wątki.

Lord Corcy przemówił z mroku hełmu.

- Będzie wojna. Wojna domowa. Z wilkami na każdej granicy.

Gabriel położył dłoń na rękojeści miecza.

- Nie, jeśli będę mógł temu zaradzić - oznajmił.

Corcy się pochylił i na chwilę załśniły jego oczy.

- Myślisz, że królowa nosi dziecko króla? - zapytał.

Gabriel był zbyt wyczerpany na takie dysputy, ale przyszło mu na myśl, że ma w swoich rękach królową.

Możliwości rozwijały się jak dywany. Nie, plany snuły się niczym nić pająka tkającego pajęczynę. Element po elemencie, szybciej niż można powiedzieć te słowa. To uczucie pod każdym względem było przeciwstawne do wcześniej doświadczanej spójności.

*Wojna domowa zaczyna się tutaj, pomyślał. Jestem stroną. Corcy mógłby zwyciężyć.*

*Czy w jej łonie rośnie dziecko króla?*

*Czy to ważne? Gdy spiski, plany i kontrplany eksplodowały we wszystkich kierunkach w jego głowie, zdał sobie sprawę, że przecież nie ma znaczenia, czy dziecko królowej jest z prawego łóża.*

Tak zdecydował.

*To dzieło matki. Ale poczucie władzy było upajające - jak wtedy, kiedy po raz pierwszy naprawdę pracował w eterealnym i stworzył ogień.*



*Jeśli jej dziecko jest bękartem.*

*Jeśli urodzi się martwe.*

*Trup.*

*Wtedy ja zostanę królem. A przynajmniej będę mógł się ubiegać o koronę.*

*Jeśli dziecko jest potomkiem króla...*

*...a ja mam królową...*

Pozwolił sobie na przelotny uśmiech. Wszystkie rzeczywistości i przyszłości grzechotały po hermetycznym wieloświecie przez czas, jakiego urodziwa dziewczyna potrzebuje na strzelenie oczami.

- Panie, wierzę, że dziecko królowej jest prawowitym władcą tego królestwa - oświadczył kapitan.

Usłyszał, jak Gawin ze świstem wciąga powietrze. Tom jeszcze nie wiedział, co oznacza to oświadczenie. Michael już zrozumiał.

Podobnie jak Amicja.

*Czasami to, co słuszne, jest naprawdę słuszne. I piękne.*

*Ach, matko. Będziesz okrutnie rozczarowana.*

*Tak sądzę.*

Michael natychmiast się zorientował.

- Lordzie Corcy, dziś ser Gabriel w szrankach wystąpił w obronie cnoty królowej i zabił swojego adwersarza, reprezentanta króla.

- Chryste, chłopcze, zabiłeś de Vrailly'ego? - zapytał Corcy.

- Tylko sieur de Rohana, niestety - odparł Gabriel.

Szeryf, do tej pory milczący, postanowił włączyć się do rozmowy.

- Sąd boży jest barbarzyństwem nieuznawanym przez prawo.

Gabriel się roześmiał.

- Zgadza się. - Trochę za mocno klepnął się po udzie i jęknął z bólu, gdy lewa ręka mu przypomniała, że nie została uleczona.

Ale przyciągnął uwagę Corcy'ego.

- Ugnę kolano przed królową - powiedział Corcy. - I choć nie mam chęci proponować ci gościny, mam stodołę, spichlerz. Tam wszyscy się ukryjecie. - Pozwolił koniowi zrobić krok do przodu, więc znalazł się ramię w ramię z kapitanem i w zasięgu broni. - Przechowam was przez jedną noc. Niech Bóg mi dopomoże.

Uśmiech Gabriela był szczery. Wyciągnął rękę i uściśnił jego dłoń.

- Zaraz zabiorę cię do królowej. Jak daleko stąd do twojej stodoły?

- Niespełna liga. - Corcy popatrzył na szeryfa.

Szeryf wyciągnął rękę.

- Jestem po stronie królowej - oznajmił impulsywnie.

Gabriel cofnął konia w mrok.

- Co wy na to, panowie?! - zawołał do włóczników. - Kto spośród was ukloni się królowej jak na lojalnych Albanów przystało?

Zwrócił się do Corcy'ego:

- W którą stronę?

- Po tej stronie rzeki w górę moreańskiej drogi. - Corcy pokiwał głową. - Pojadę z wami i będę przewodnikiem... i zakładnikiem.

Michael znał tę grę. Jego ojciec uprawiał ją przez całe życie.

- Mam sprowadzić królową na tę stronę? - zapytał. - Gabrielu? Czy teraz... - Pokręcił głową.

Gabriel ściągnął wodze i przeniósł spojrzenie ze Złego Toma na Michaela i Gawina.

- Na dobre czy na złe, zostaniemy ludźmi królowej.

\*\*\*

Królowa klusem przebyła strumień, kopyta jej drobnego wierzchowca wyrzucały wysokie fontanny wody, które czerwieniały w gasnących promieniach słońca. Otoczyli ją wszyscy rycerze, a Amicja i Blanche jechały u jej boku. Pomimo dziewiątego miesiąca ciąży i dziesięciu dni piekła, jej twarz nie straciła piękna i godności. Siedziała wyprostowana w siodle i jak zawsze doskonale jechała konno.

Wszyscy rycerze na drodze zsiadli z koni.

Dołączył do nich Gelfred.

Włócznicy się przepychali, żeby lepiej widzieć.

Chris Foliak chwycił uzdę i królowa zsiadła z wierzchowca.

To samo zrobili wszyscy rycerze kompanii, ich giermkowie i paziowie. Zbiegiem okoliczności Dezyderata stanęła przed dwoma krzakami dzikiej róży, z gałązkami ugiętymi pod ciężarem kwiatów. Nell wzięła wodze jej konia i uklękła za nią.

- Ach - szepnęła przeciągle głosem wyrażającym nieskrywany zachwyt.

- Wasza Królewska Mość ~ przemówił głośno Gabriel. - Wasza

Królewska Mość, ci lojalni panowie pragną ugiąć przed tobą kolano i zaoferować ci wierną służbę... tobie i twojemu rodowi.

Szła wśród nich, kładąc prawą rękę na głowach - szeryfa, lorda Corcy'ego, oracza Boba Twilla. Jej uśmiech jaśniał jak ostatnie promienie słońca.

- Każdego z was nagrodzę za odwagę i lojalność - obiecała. - Przysięgam na mój honor, na Najświętszą Marię Pannę, na moją nieśmiertelną duszę i duszę dziecka w mym łonie... pragnącego się wydostać!... że jest ono synem mojego męża i prawowitym dziedzicem Alby. - Zawróciła do swojego wierzchowca.

- Lord Corcy zaproponował nam gościnę na dzisiejszą noc - szepnął Gabriel.

Oślepiła go uśmiechem.

- Przyjmuję - powiedziała.

Zaraz potem zgięła się w pół i krzyknęła.

- Bóle porodowe - zawyrokowała Blanche. Przyskoczyła do królowej i wzięła ją w ramiona, chroniąc przed upadkiem.

Ale królowa się opanowała i wyprostowała. Spojrzała na ser Gabriela.

- Wybacz, panie - powiedziała. - Zaczęło się.

\*\*\*

Ghause przez większą część dnia wpatrywała się w swój starożytny kryształ, szukając wiadomości z południa. Sprawowanie kontroli nad kulą, obojętne jak długo, zawsze było trudne - wysiłek pozbawiał ją nie *ops*, ale siły, żeby nią manipulować.

Ale musiała wiedzieć, dlatego wracała do niej jak dziecko, które na przekór upomnieniom drapie swędzący strupek. Robiła to nawet wtedy, kiedy piekielne legiony wroga uderzyły na wartownię bastionu Świętego Jerzego, kiedy musiała wzmocnić bariery ochronne i rzucić na nie ogień, dając dzielnemu mężowi czas na zebranie rycerzy i odparcie nieprzyjaciela.

Ser Henri zginął w obronie bastionu Świętego Jerzego, podobnie jak dwunastu najlepszych rycerzy jej męża. Sam hrabia, który wyszedł bez szwanku z dwudziestu bitew, stracił lewe oko. Ale odparli od murów galijskich rycerzy i ich zamurzańskich sojuszników.

Później Ghause musiała leczyć tych, którzy przeżyli. Kiedy indziej opłakałaby ser Henriego, najlepszego rycerskiego kochanka, o jakim może marzyć kobieta, dzielnego, bystrego, przystojnego, twardego i umiejącego trzymać język za zębami.

Hrabia zbudził się w trakcie uzdrawiania, gdy pracowała z innymi kobietami, zwanymi przez ludzi czterema wiedźmami. Otworzył zdrowe oko.

- Jeden z tych skurwysynów nosił herb Orleyów - syknął. - Prawie go miałem... - Zamknął oko. - Och, skarbie. Straciłem Henriego.

Nagle i ze zbyt wielu powodów Ghause poczuła łyzy w oczach. Płakała nie tylko nad Henrim. Płakała nad nimi wszystkimi. Ruchem ręki odprawiła wiedźmy.

- Możemy trzymać zamek bez końca - powiedziała.

Mąż chwycił ją za rękę.

- Pozwól mi wstać i walczyć. Ten ich Czarny Rycerz to nie byle kto. - Pokręcił głową. - Nie mogłem go pokonać.

- Jest trzydzieści lat młodszy od ciebie, stary zbereźniku. - Ghause skrywała prawdziwe uczucia za swoją zwykłą szorstkością.

- Zabiłem mnóstwo ludzi młodszych ode mnie - powiedział z iskrą gniewu w zdrowym oku. - Chryste, sprawiasz mi ból.

Próbowała pracować nad okiem, ale jego budowa była zbyt skomplikowana i musiała poprzestać na zahamowaniu infekcji i dalszych zniszczeń.

- Nie mogę uratować twojego oka - wyznała.

Westchnął.

- Wciąż widzę, jak wyglądasz, kiedy jesteś naga. Może tylko będę wolniejszy, żeby cię złapać.

Uśmiechnęła się.

- Nie jestem szybsza od ciebie, stary capie. To służące odetchną z ulgą.

Ścisnęła jego rękę i poszła szukać Eneasza. Nie był nawet draśnięty, chociaż walczył prawie bez przerwy przez dwa dni. Przybył z tuzinem kopii z Albinkirku tuż przed rozpoczęciem oblężenia i stał się filarem obrony -subtelnej, magicznej i zabójczej.

- Musisz przygotować wypad. Twój ojciec będzie leżał parę dni. -

Ghause mówiła głosem nieznoszącym sprzeciwu. Nie potrzebowała ludzi próbujących przejąć dowodzenie. Nawet gdy mówiła, Głóg, albo jego mroczny pan, sondowali jej systemy obronne.

I co się wydarzyło w Harndonie?

Eneasz, zawsze posłuszny syn, zasalutował ze zmęczeniem.

- Matko...

- Tak, skarbie?

- Czy ktoś przybędzie nam na ratunek? Gdzie są Gawin i Gabriel?

-Spojrzał jej w oczy. - Mamo, możemy mieć najlepszą obronę hermetyczną w znanym świecie i najwyższe mury, ale już zaczyna brakować nam ludzi.

- Nie szerzysz tego defetystycznego jadu, skarbie? - zapytała lekkim tonem.

Eneasz obdarzył ją krzywym uśmiechem, charakterystycznym również dla jego braci.

- Jestem uosobieniem radosnej pewności siebie - odparł. - Czy ktoś nadciąga?

Skinęła głową.

- Ser John Crayford prowadzi północną armię.

Eneasz milczał przez chwilę. Sięgnął po rękawice.

- Kłamiesz, mamo - rzekł cicho.

Nigdy wcześniej się jej nie sprzeciwił.

Wzruszyła ramionami.

- Utrzymamy się - zapewniła.

Eneasz ściągnął usta i pokiwał głową.

- Pomyślałaś o ucieczce? - zapytał. - Człowiek, który twierdzi, że jest Kevinem Orleyem, obiecał nam wyjątkowe tortury i upokorzenie.

- Orleyowie nigdy nie byli warci funta kłaków - mruknęła, pstrykając palcami. - I jeśli opuszczę tę skałę, zamek padnie. Wiesz o tym.

Zmarszczył brwi.

- Mamy kryjówkę - przypomniał jej.

- Nie dam się pojmać. I nigdzie się stąd nie ruszę. Utrzymaj mury, mój ostatni synu. Ja zatrzymam czarnoksiężnika.

Kiedy Eneasz wrócił do swoich ludzi, Ghause niemal pofrunęła po

schodach do swojej komnaty. Spojrzała w kulę...

Machnęła ręką, przesuając scenę w jedną i drugą stronę, skoncentrowana na kryształowym przedmiocie.

- Mario Magdaleno... - zabluzniła. - On nie żyje!

Nie miała czasu, ale długo obserwowała katastrofę rozgrywającą się na południu. Nie miała pojęcia, jaki był przebieg turnieju, ale król, jej brat, był martwy, jego ciało leżało owinięte całunem. Była z nim związana w szczególny sposób i łatwo go znalazła, nawet po śmierci. Patrzyła na zwłoki, wokół których Galowie i Albanowie gromadzili się jak muchy.

Nowy arcybiskup wygłaszał przemowę nad trupem jej brata.

Przygryzła wargę.

- Henri i ty, jednego dnia? - zapytała kryształ. - Żegnaj, bracie.

Poruszyła ręką i przesunęła scenę na północ. Po dręczącej minucie przeglądania scen znalazła się oko w oko ze swoimi lękami. Pośpiesznie rozsznurowała suknię i ściągnęła ją wraz z koszulą przez głowę.

Naga wezwała moc i rzuciła.

\*\*\*

Głóg opracowywał skomplikowane wezwanie, żeby wesprzeć oblężenie - analizę dwóch energii dla wzmocnienia trebusza. Ser Hartmut przesuwał maszyny pod osłoną paskudnej deszczowej nocy.

Nagle zabrzmiał alarm i Głóg porzucił całą wezwaną moc tak nagle, że ramię trebusza śmignęło do tyłu, zabijając dwóch marynarzy.

Głóg wcale się tym nie przejął i zniknął w mgnieniu owadziego oka o licznych fasetach.

\*\*\*

Ghause widziała Gabriela w kryształach. Wezwanie spełniło swoją rolę. Wywoływanie go było niebezpieczne, zważywszy bliskość Głoga, ale musiała wiedzieć.

Zył. Był ranny i zmęczony.

Towarzyszyła mu ta mała zakonnica. Taki beznadziejny kochanek z tego chłopaka - wciąż nie okraczył małej gałązki, chociaż usychał z pragnienia, a ona, Ghause, próbowała rzucić na nią klątwę.

Zakonnica i wysoka blondynka podtrzymywały...

Tak zwaną królową.

Ghause splunęła.

- Nie chciałam tego robić - powiedziała do Boga i wszystkich innych, którzy słuchali. - Ale... oko za oko.

*W twierdzy swojego pałacu spojrziała na wielkie dzieło, które zaprojektowała i tworzyła od miesięcy.*

*Dezyderata była jedną z najlepiej chronionych istot, przeciwko którym kiedykolwiek pracowała. Obserwowała, jak królowa toczy bezpośrednią walkę z mrocznym panem Głoga. Teraz poznała jej wielkość.*

*Opadła ją chwilowa litość. Gdyby wiedziała, jak zabić dziecko bez zabijania matki, tak właśnie by zrobiła. Podziwiała kobiety silne jak Dezyderata. Co więcej, wiedziała, że Dezyderata jest prawdziwą córką Tar.*

*Jak ona sama.*

*Przez czas potrzebny na kilka uderzeń serca Ghause rozważała wyrzeczenie się zemsty. Jej brat nie żył.*

*Ale kiedy zabije dziecko, jej syn splotzony przez jej brata zostanie królem. Nie zastanawiała się nad przeszkodami, ponieważ sama nigdy nie pozwalała, żeby powstrzymywały ją takie przeszkody jak kazirodztwo czy pochodzenie z nieprawego łoża.*

*I poza tym mała, niegodziwa część jej duszy po prostu chciała zobaczyć, czy opracowane przez nią wielkie dzieło się sprawdzi. Czy zdoła przetętać to, czego nie dał rady przetętać sam mroczny pan.*

*Spojrziała w kryształ, sięgnęła...*

\*\*\*

Księżyc nie wzniósł się nawet o szerokość palca, kiedy wjechali na podwórze przed wielką kamienną stodołą, która piętrzyła się niczym katedra rolnictwa - drewno i kamień wysokości sześćdziesięciu stóp i długości setki.

Lord Corcy zsiadł z konia. Ze stodoły wybiegło dwóch młodych ludzi z włóczniami - i stanęli jak wryci, gdy cała *casa* dobyła broni.

- To moi ludzie - powiedział Corcy. - Haver, odłóż włócznię i powiedz bratu, żeby zrobił to samo, zanim ci panowie stracą zaufanie do nas wszystkich. - Zwrócił się do Gabriela: - Stodoła jest strzeżona. Pozwól, że cię oprowadzę.

Blanche podjechała na swoim wierzchowcu - na wierzchowcu Gabriela, ściślej mówiąc.

- Potrzebuję płócien i wody - powiedziała. Proszę.

Lord Corcy pokiwał głową.

- Tam jest oficyna z łóżkiem. I kominkiem. - Wskazał. Do dwóch młodych mężczyzn powiedział: - Pochodnie i światła. Tych ludzi trzeba rozlokować w środku. - Zwrócił się do Gabriela: - Czasami ćwicz tu milicja, mam posłania dla pięćdziesięciu ludzi.

- Żadnych więcej sług - zarządził Gabriel. - Wybacz, panie, ale nie pozwolę ci posłać nikogo do zamku.

- Tu nie znajdzie się wielu płócien.

Gabriel pstryknął palcami i pojawił się Toby.

- Czyste płótna. Zbierz w *casa* wszystkie czyste koszule, jeśli będzie trzeba.

Toby się ukłonił i zniknął jak kamfora.

- Masz dobrą służbę, panie - zauważył Corcy.

- Sporo razem przeżyliśmy. - Gabriel się ukłonił i odjechał z Blanche.

Wsunął rękę pod ramię królowej i razem z silną blondynką przeprowadził ją przez klepisko w stodole do dużych drzwi po prawej stronie. Za nimi znajdowało się obite deskami małe pomieszczenie.

Lord Corcy zastąpił Blanche i pomógł nieść królową, której nogi nagle odmówiły posłuszeństwa.

- Łóżko - powiedział.

Wskazał je podbródkiem. Stało przy kojcach, w których dwa bardzo zaciekawione osły cieszyły się ciepłem jedyne ogrzanego miejsca w stodole.

Blanche chwyciła nogi królowej. Amicja trzymała ją za rękę i śpiewała modlitwę.

Blanche przez chwilę patrzyła Gabrielowi w oczy.

- Stajenka? - zapytała.

- Nie było wolnej izby w gospodzie - warknął.

Amicja spojrzała na niego z głębokim niezadowoleniem, ale Blanche się roześmiała.



- Oryginał z ciebie - skomentowała. - Panie.

\*\*\*

Ghause czuła bóle porodowe tak, jakby sama miała zacząć rodzić.

Jeśli dziecko przyjdzie na świat, jej czary pójdą na marne. W eterealu matka i dziecko do chwili rozwiązania tworzyli jedność. Etereal nie dbał o naturę i więź matki z urodzonym dzieckiem. Rozdzielone to rozdzielone. Przed rozdzieleniem - jedność.

Na zewnątrz zadudnił grzmot. Zamigotała błyskawica. Niebiosa protestowały przeciwko jej decyzji, lecz ona niczego nie żałowała.

- Bracie! -- krzyknęła. - Sprawię, jakby cię nigdy nie było.

\*\*\*

Głóg zmaterializował się obok ser Hartmuta. Stali tak blisko murów Ticondagi, że deszczówka spływająca z dachów zamku setki stóp wyżej lała im się na głowy.

Hartmut kierował grupą dokonującą podkopu. Nigdy nie wydawał się zmęczony ani zrezygnowany.

Drgnął - a był to jedyny znak zaskoczenia, jaki Głóg u niego widział - i dobył do połowy hermetyczny artefakt, który nazywał mieczem. Głóg dzięki swojej sztuce już wiedział, że to coś więcej niż miecz. Bardziej brama.

- Wolałbym, żebyś nie robił mi takich niespodzianek - warknął ser Hartmut.

Kevin Orley otworzył przyłbicę.

Głóg nie zwrócił na niego uwagi.

- Już. Przygotować się do napaści.

Hartmut łypnął gniewnie.

- Teraz? Po ciemku, w deszczu? - Nie bał się Głoga i wzruszył ramionami. - Osiem dni twoich pustych obietnic i naszej krwi...

- Deszcz nas nie powstrzyma - powiedział Głóg.

- Żołnierze lubią ciepło i pełne brzuchy. Znajomość tej prostej zasady pozwala wygrać wiele bitw, a zapominanie o niej oznacza przegraną.

Głóg po prostu się odwrócił.

- Teraz - powtórzył.

Ser Hartmut warknął. Też się odwrócił i w ciężkiej zbroi pobiegł z

posterunku w stronę obozu, gdzie pomimo deszczu migotały ogniska.

\*\*\*

Gabriel patrzył, jak Amicja pociesza królową. Dezyderata straciła pełną powagi godność, gdy zaczęły się bóle porodowe. Twarz miała skrzywioną z cierpienia.

- Ser Christopher mówi - zaczęła, dygając przed wszystkimi - że przypadkiem miał tę szatę i poduszki...

- Tylko Foliak rusza na kampanię z suknią do ubrania swoich zdobyczy - skomentował Gawin z drzwi.

Blanche wsparła się pod boki.

- Mężczyźni, wyjść.

Ser Michael wszedł z płótnami.

- Wybacz, panienko. To nie kuma twojej mamy rodzi dziecko. Mamy tu prawowitą królową Alby. Gdybym mógł, zaprosiłbym wszystkich parów królestwa na świadków tego wydarzenia.

Gabriel skinął do niego głową.

- Zapomniałem o tym - powiedział.

- Kaitlin też niedługo będzie rodzić. Może po prostu więcej o tym myślę.

- Chryste i wszyscy święci - zabluzniła Blanche. - Biedna królowa!

Amicja spojrzała z większym jadem, niż Gabriel kiedykolwiek widział.

Postarzała się. Miała na twarzy bruzdy, których tam nigdy nie było, i wyglądała niekorzystnie nawet w świetle pochodni. Gabriel, któremu zraniona dwukrotnie głowa pękała z bólu, niekoniecznie z powodu ran, i który miał potwornie obolałą lewą rękę, założył, że wygląda równie źle.

Zwrócił się do Toby'ego.

- Zdejmij ze mnie zbroję. Nie sądzę, żebyśmy zostali zaatakowani podczas porodu. Zaraz padnę z nóg.

Jakby na zawołanie, w drugich drzwiach, przy osłach, zjawił się Tom. Miał w ręce długi miecz.

- Zajęliśmy stodołę - oznajmił. Skinął do Corcy'ego.

Nell zastąpiła lorda przy kociołku z wodą, a on teraz stał, pocierając ręką plecy, bo łamało go w krzyżu.

- Czy godzinę temu nie zamierzaliście zabić nas wszystkich?

Tom Lachlan się roześmiał.

- Nic osobistego - powiedział. - Tak jest lepiej.

Corcy pokiwał głową.

W dużym pomieszczeniu, zajmującym trzecią część stodoły, giermkowie i paziowie oblegali rycerzy, zdejmując z nich zbroje. Metal grzechotał, spadając na kamienną podłogę.

- Cisza! - zażądała Amicja. - Czy wy tak zwani panowie nie możecie dać biednej kobiecie odrobiny spokoju?

Giermkowie zaczęli bardziej się pilnować. Co dziwne, zgrzyt metalu na podłodze wydał się głośniejszy.

Królowa krzyknęła.

\*\*\*

*Ghause stała w swojej cytadeli wśród ciemnych drzew i jasnej kaskady kwiatów.*

*Jej wielkie dzieło było jedną wspaniałą rośliną z głębokimi korzeniami starannie pielęgnowanym kwiatem, żółtą różą, największą i najokazalszą ze wszystkich, jakie widział świat rzeczywisty. Była może tym bardziej doskonała dlatego, że nigdy nie poznała prawdziwej pogody ani prawdziwych pszczoł.*

*Ghause się nie modliła ani nie sądziła, że wypada się modlić, kiedy zamierza zabić. Ale sięgnęła do swojej pani.*

*- Obiecałaś mi zemstę - przypomniała swojej patronce.*

*I pomyślała: Mam nadzieję, że Głóg patrzy. Może umknie do domu.*

*Wyciągnęła smukłą rękę i zerwała różę. Świat wrzasnął.*

\*\*\*

Głóg nie mógł się triumfalnie uśmiechnąć, ale święcił triumfy.

- Wiedziałem, że będzie musiała to zrobić - powiedział do deszczu i ciemności.

\*\*\*

Ale Popiół był gdzie indziej.

Głóg podniósł swoją pajęczą sieć oszustw i fałszywych wskazówek, kamuflażu i złudy, przygotowywaną równie długo jak jej dzieło. Rzucił swoje dokonanie do jej prześwieczonej czarnej katedry klątwy, gdzie zagnieździło się jak myszy, nietoperze i ćmy w zamku.

- Żegnaj, Ghause - powiedział.

\*\*\*

Gdy królowa krzyknęła, Amicja wstała.

Gabriel natychmiast zrozumiał, że krzyk nie jest skutkiem bólów porodowych.

Blanche chwyciła rękę królowej.

Gabriel wszedł prosto do swojego pałacu. Prudencja ze zmarszczonymi brwiami stała na cokole.

- To twoja matka - powiedziała. - Och, Gabrielu...

Gabriel otworzył drzwi do eterealu. Uwolnił dzieła, które trzymał tam w pogotowiu, starannie przygotowaną zapórę - najpierw swoją tarczę, czego się nauczył z gorzkiego doświadczenia, a potem mieniący się gobelin czarów.

Syczał nazwy do posągów i znaków, gdy pokój wirował wokół niego.

W świecie realnym jego serce uderzyło jeden raz.

Zrobiwszy to, co mógł, podszedł do drzwi.

Prudencja się poruszyła, żeby go zatrzymać.

- Panie! - krzyknęła. - To śmierć wysłana do królowej przez twoją matkę.

Skinął głową.

- Sam podejmuję decyzje.

- Nie jestem wielbicieleką twojej matki, chłopcze. Zabiła mnie. Ale to... poświęcisz życie, żeby udaremnić jej plan?

Gabriel zacisnął zęby w sposób, który budził lęk u tych, którzy go znali.

- Tak.

Prudencja zeszła z drogi.

- Żegnaj.

- Wróć, Pru - obiecał.

Wyszedł z pałacu.

\*\*\*

W realnym świecie Toby zobaczył, że kapitan przystaje, a potem jego twarz zrobiła... to coś.

Toby miał włócznię w ręce, właśnie stawiał ją przy ogniu, po natarciu drzewca oliwą. Bez jednej myśli rzucił ją Nell, a ona ją wcisnęła w nieruchome ręce kapitana.

W eterealu klątwa wyglądała jak czarna kurtyna z grubego filcu, o ile cała ćwiartka nieba może być zrobiona z czarnego filcu, który rozciąga się w

nieskończoną dal.

Gabriel znalazł się na bezkresnej równinie prawdziwego eterealu. Nie był sam. Stał ramię w ramię z Amicją, a Dezyderata stała krok za nimi.

Klątwa była tak niezwykła, że Gabrielowi z podziwu zaparło dech w piersi.

- Nie poddam się - oświadczyła stanowczo Dezyderata.

Gabriel patrzył, jak klątwa na nich pędzi.

Coś w niej było - coś mknęło na jej skrzydłach. Głównie dzięki Harmodiuszowi zyskał zmysły, które pozwalały mu widzieć drobne szczegóły w eterealu.

Miał czas przekląć swojego pecha. I swoją matkę.

I rozkoszną ironię, że gdyby powiedział matce, iż jest gotów poświęcić życie w obronie celu jej ataku, wyrzekłaby się swojego dziecka. Ironia na ironii. To wszystko było absurdalne.

Nie miał nic do stracenia, a etereal zapewniał iluzję czasu.

- Co obiecałaś Bogu w zamian za moje życie? - zapytał Amicję.

Amicja na niego nie spojrzała.

- Wszystko, oczywiście - odparła.

- A ja rzuciłem tylko mały czar miłosny.

Odwróciła głowę. Dezyderata głośno się roześmiała, mimo że jej życie wisiało na włosku.

- Ona nie jest zaczarowana - powiedziała. - Słowo, na moje moce.

Gabriel miał ochotę się uśmiechnąć jak chłopak po pierwszym pocałunku.

- Weź ode mnie moc, Amicjo. Tyle, ile zdołasz. Rzucaj, nie oszczędzaj.

Wszyscy troje złapali się za ręce.

- Nie - sprzeciwiła się Dezyderata. - Pozwólcie mnie to zrobić.

Amicja oderwali spojrzenie od Gawina i zaczęła modły:

- In nomine patri...

Ruszyła w czerń, a oni za nią, z uniesionymi rękami.

I nagle, w sposób typowy dla eterealu, Gabriel trzymał włócznię.

Zbyt wiele czasu, i żadnego czasu.

Pomyślał, że koncepcja filcu sama w sobie jest interesująca. Zwykle manifestacja dzieła miała coś wspólnego ze swoim twórcą i była powiązana z kontekstem.

Jak pokonać górę filcu? - pomyślał Gabriel.

*A potem czerń zasnęła eterealny horyzont jak chmury nagłej letniej burzy.*

*Gabriel ciął włócznie.*

*Ale w chwili spotkania klątwa wszystko pokonała.*

\*\*\*

*Dzieło Głoga było jak lot motyla, który przedziera się przez sieć pająka.*

*Ghause była starym, potężnym pająkiem, ale w tym momencie wyszła na jaw jej głupota. Zobaczyła dzieło swojego adwersarza.*

*Głóg został wykryty, lecz już wdarł się głęboko w jej czary obronne. Teraz nie miał innego wyboru, jak uderzyć. Spowił jej moc, chcąc ją subsumować, wchłonąć jej esencję do ostatniej odrobiny Jej duszę. Jej moc.*

*Ghause się roześmiała.*

*- Richardzie Plangere, czy to wszystko, czego ode mnie chcesz? - zapytała głosem ociekającym uwodzicielską pogardą doświadczonej kobiety.*

*Nie podniosła żadnej tarczy w chwili działania. Cięła go obrazem - ezoteryczną wizją wzmocnioną przez bujną wyobraźnię i wszystkie jej fantazmy przesyconą zapachami i smakami seksu.*

*Głóg ryknął. Dźwięk wstrząsnął murami - żołnierze zadrżeli i osłonili głowy.*

*Szczeliny pocięły kamień jego skóry i wyciekła z nich wilgoć.*

*Poturbowany smagnął nienawiścią.*

*Jej śmiech ucichł. Zabił ją jednym potężnym ciosem *ops*, dziełem potężnym jak kamienna pięść, starannie przygotowanym na chwilę...*

*Ale nie na tę chwilę. Bezmiernie sfrustrowany Głóg stał w twierdzy swojego mrocznego pałacu. Zebrał zmagazynowaną moc, którą oszczędzał na bitwę z Ghause, i rzucił nią w wielkie bramy Ticondagi. Brama wybuchła w gradzie kamieni, zaprawy i zabójczych drzazg. Nie bacząc na piechotę zwerbowaną w Dżiczy ani na Galów i Zamurzan, którzy uważali go za sojusznika, zaczął ściągać gwiazdy z nieba i ciskać nimi w fortecę. Jego celność znacznie się poprawiła od czasu ataku na Albinkirk.*

*Pierwsza skała niczym pięść Boga uderzyła w wysoką wieżę, w której Ghause rzucała czary i gdzie teraz stygł jej trup, i rozbiła ją na atomy, zostawiając tylko blask niewiarygodnego żaru i szklisty żużel.*

\*\*\*

*Eneasza miał dość talentu, żeby wiedzieć, kiedy zmarła jego matka -*

i wiedzieć, co to oznacza.

Stał na wewnętrznym dziedzińcu przy drzwiach wielkiej Sali, mając ze sobą dwunastu doświadczonych zbrojnych.

- Za mną - rozkazał.

Zbrojni Murienów nie zadawali pytań.

\*\*\*

Hrabia Zachodniego Muru miał kłopoty z okiem - nie tyle nie widział, ile widział podwójnie. Mimo to się uzbroił, gdy tylko ludzie go powiadomili o skali ataku, i czekał na dziedzińcu, kiedy czary rozwały bramę.

Został zбитy z nóg. Gdy usiłował podnieść się na kolana, zrozumiał że Gause nie żyje. Nic poza jej śmiercią nie pozwoliłoby ustąpić czarom które chroniły bramę.

Zapłakałby, ale nie miał na to czasu. Kamienne trolle nadciągały po pochylni gruzu, która kiedyś była wartownią.

- Ty stara suko - powiedział z ogromną czułością.

I ruszył na trolle, i ku swojej śmierci, z lekkim sercem.

\*\*\*

*Gabriel jeszcze nigdy nie brał udziału w tego rodzaju czarnoksiężskim pojedynku. Podejrzewał, że Harmodiusz też nie, więc nie mógł liczyć na pomoc z jego strony.*

*Włócznia cięła kłutwę tak, jak ciężki, ostry nóż tnie gobelin - z ogromnym trudem. Kłutwa została nie tyle rozcięta, ile rozdarta. Filcowa analogia wystrzępiła się w twardsze włókna, które próbowały uwięzić włócznię. Co więcej, kosmyki kłutwy sięgnęły do niego - oplątały mu eterealne nogi.*

*Ciął po raz drugi, zdumiony, że uczucie pracy talią i barkami jest dokładnie takie jak wtedy, gdy używał broni w świecie realnym. Później wszelkie takie myśli zaginęły w rozdzierającej serce daremności trzeciego, najstarszego cięcia.*

*Kłutwa wyraźnie wygrywała.*

*Zdawało się, że nie wyrządza mu żadnej szkody.*

*Przestał walczyć, wycelowwał włócznią w jądro kłutwy i wyrzekł jedno słowo w górnym archaickim:*

*- Fume.*

*Skoro Amicja wolała moc boską od jego mocy, sam jej użył.*

Klątwa stanęła w płomieniach. Najszybciej splotęła tam, gdzie ciął ją włócznią.

Pasmo klątwy zastoniło mu oczy, a drugie usta, gdy wlewał moc w ogień. Próbował poruszyć włócznią, lecz tkwiła w miejscu, unieruchomiona przez tysiąc czarnych wstążek krzyżujących się na drzewcu.

Podniósł do twarzy swoją tarczę i jej energia odepchnęła pasma. Nabrał tchu i wyobraził sobie pałac pamięci, żeby zaleźć fragment nadzwyczajnej lodowego mostu Mag i rzucić nim w klątwę.

Woda, ogień i lód.

Był to jedyny sposób na zniszczenie filcu.

\*\*\*

Amicja czuła, że Gabriel ją zostawił, i nagle znalazła się z Dezyderatą w zamku ze złotych cegieł, które tworzyły mury wysokie na dziesięciu mężczyzn i jeszcze wyższe wieże.

- Dlaczego nie przyszedł z nami? - zapytała Dezyderata. - Przydałyby się jego silne ramiona na blankach.

- Zawsze musi wszystko robić sam - odparła Amicja.

Fala czarnej wody uderzyła w mury kamiennego pałacu. Woda była sprytna - przelatała się nad blankami i wieżami, wypełniając dziedzińce i inne przestrzenie.

Ale nie zdołała się wdrzeć do cytadeli ani podmyć murów.

Amicja uniosła tarczę jasnego złota i drugą ze skrzęcej się zieleni - nie miały wyczyn w samym eterealu.

Wspaniały złoty zewnętrzny mur runął.

- Mój Boże... - jęknęła Dezyderata. - Błogosławiona Dziewico... to nie jest mroczny władca lochu.

Eterealny grunt, na którym stały złote mury, zaczął się kruszyć i rozpadać jak sen, którym wszak był.

To, co się działo, wykraczało poza hermetyczne i wszelkie inne doświadczenia Amicji. Mogła tylko schylić głowę i się modlić.

I zasilać tarcze całą mocą, jaką posiadała.

Mury cytadeli były się rozsypywać od dołu.

- Moje dziecko! - krzyknęła Dezyderata.

Położyła ręce na murach pałacu i trzymała je swoją wolą, nakazując im postuszeństwo. Zaczęła tworzyć powódź złota, żeby je scalić.



*Czarna woda sączyła się przez coraz szersze szczeliny i zbierała w kałużach na nowej złotej podłodze. Przybywało jej z chwili na chwilę.*

*Na zewnątrz ryknął huragan śmiechu.*

*Dezyderata uniosła głowę i spojrzała na Amicję. W jej oczach nie było strachu. Wyzierała z nich duma.*

*- Jest, przyszedł zobaczyć mój upadek - powiedziała.*

*\*\*\**

*Pomiędzy snem i jawą...*

*Gabriel z łatwością poruszał włócznią do tyłu i do przodu, i kawałki kłatwy spadały jak kłaki martwej koziej wełny.*

*Niepotrzebnie tracił wolę, ponieważ kłatwa już była martwa. Nie miała mocy. Była bezsilna.*

*Albo zakończona.*

*Gabriel wycofał się jak pokonana armia, lecz armia z nietkniętą ariergardą. Może była to jego analogia, a analogie mają znaczenie w eterealu. Postanowił się wycofać przez drzwi swojego pałacu, ponieważ nie widział niczego poza otaczającymi go złachmanionymi resztkami kłatwy - ani Amicji, ani królowej.*

*Drzwi były zamknięte. Przez chwilę panikował, zanim zrozumiał, że ma klucz. Otworzył je i zobaczył Pru.*

*Zatrzasnął drzwi i oparł się o nie z włócznią w ręce.*

*- Mówiłem ci, że wrócę - oznajmił.*

*Prudencja, która przywykła do jego arogancji, zachowała milczenie. Dopiero kiedy parę razy odetchnął, powiedziała:*

*- Powinieneś wiedzieć. Twoja matka nie żyje.*

*Oczywiście.*

*Dlatego kłatwa straciła moc.*

*Chmara myśli kłębiła mu się w głowie.*

*Uderzyła go grzbietem dłoni.*

*- Jesteś idiotą?! - wrzasnęła.*

*Zamknęła go w ciepłym uścisku.*

*Kłęczał nad ciałem Prudencji.*

*Stał z ręką na klamce jej komnaty, jej głowa spoczywała na poduszce obok głowy ser Henriego.*

*Jego pierwsze czary w jej komnacie - subsumowana mucha,*

wchłonięcie jej maleńkiego ducha.

Jej głos w jego uchu dnia... dnia...

*Opanował się. Oto co zrobił.*

- *A Amicja i królowa?* - zapytał Prudencję.

- *Ticondaga pada* - powiedziała Prudencja. - *Nie czujesz?*

*Czuł. Tak, teraz, gdy sobie na to pozwolił, czuł. Miał w duszy kamienie starożytnego zamku, które teraz były atakowane ogniem, skałami i nienawiścią. Walka z klątwą zamaskowała grozę.*

*Po raz pierwszy w życiu Gabriel uciekł z eterealu, ponieważ był straszliwszy niż świat realny.*

\*\*\*

Nell wcisnęła włócznię w ręce kapitana, a on natychmiast jej użył. Zdążyła odskoczyć, lecz i tak miała do końca życia nosić bliznę na prawej kostce.

Jedno czy dwa uderzenia serca później królowa krzyknęła, po czym całkiem wyraźnie rzekła:

- *Moje dziecko!*

Tom odepchnął Toby'ego z drogi i wyciągnął miecz.

- *Na Tar!* - ryknął. - *Daj mi z tym walczyć, cokolwiek to jest!*

Nie mając dostępu do eterealu, był tylko widzem jednostronnej walki kapitana. Włócznia migiała jak błyskawica, błękitno-czerwony ogień trząsał w pokoju.

Wszystkie świece zgasły, a potem ogień.

- *Jezu Chryste!* - ktoś krzyknął.

Nell znalazła się przy lordzie Corcym, który na okrągło odmawiał *Pater Noster*.

Zapadła absolutna ciemność, a potem również cisza. Zostało tylko bicie serca, podłoga pod nogami i półka nad kominkiem, której się trzymała. Strach był jak ciężki, wilgotny płat filcu i groził, że ją udusi - nie mogła oddychać, nic nie widziała ani nie słyszała...

A potem zakwiliło dziecko.

\*\*\*

Blanche ani na chwilę nie przerwała swojego zadania pomimo przerażenia i ślepoty. Trzymała ręce pomiędzy udami królowej i kiedy poczuła główkę, zrobiła to, co matka jej powtarzała z

pięćdziesiąt razy - delikatnie szarpnęła.

Wyciągnęła kwilącą istotkę i dała jej klapsa.

W tej chwili z klątwy zostały strzępy.

Światło nie wróciło, świece, pochodnie i ogień pozostały zgaszone, ale charakter ciemności się zmienił i powróciły dźwięki.

Nell grzebała w sakiewce u pasa, żeby znaleźć krzesiwo i krzemień. Blanche trzymała dziecko, wycierając je w jedną z najlepszych koszul Złego Toma. Nie miała odwagi chodzić po zaciemnionym pomieszczeniu więc siedziała, tuląc do siebie noworodka.

Usłyszała, jak druga kobieta - żyjąca święta - mówi:

- *Fiat lux.*

Świeczka się zapaliła. Światło wydawało się jasne jak środek dnia.

- Chwała Bogu - powiedział szeryf, klęcząc na podłodze.

Z determinacją na twarzy podniósł się i podszedł do łóżka.

- Wasza Królewska Mość, podobno w połogu kobieta nie może skłamać. Czyje to dziecko?

Dezyderata jęknęła, ale jej oczy się otworzyły w śliskiej od potu twarzy.

- Króla, mojego męża, nikogo innego - odrzekła.

Szeryf znów ukląkł i gdy Nell zapaliła więcej świeczek, inni mężczyźni ugięli kolana.

Ser Gabriel płakał.

Nikt z obecnych nie mógłby powiedzieć, że widział go płaczącego, a Pyskata, która może miałaby coś do powiedzenia, przebywała dwieście lig dalej.

Podniósł włócznię.

Wymierzył prosto w dziecko.

Zanim Blanche przyszło na myśl, żeby zareagować, włócznia się poruszyła i przecięła pępwinę.

- Boże, chroń króla - powiedział ser Gabriel i ukląkł.

Przez chwilę wyglądali jak żywy obraz: królowa leżała na łóżku, Blanche klęczała z jej dzieckiem w ramionach, Amicja stała przy królowej, jej twarz emanowała światłem, a wszyscy rycerze i paziowie trwali na klęczkach z pochylonymi głowami, w stodole, pod koniec

wiosny.

Był tam Zły Tom, który nie wyobrażał sobie klękania przed nikim, i Nell z oczami pełnymi łez, i ser Michael uśmiechnięty od ucha do ucha, i ser Gawin, który wyglądał jak kopnięty przez muła, i dwaj chłopcy strzegący stodoły, i ser Bertran milczący jak zwykle, i ser Danved, milczący chociaż raz, i Kum, i Ricard Lanthorn, i Kot Evil - wszyscy na klęczkach, i Francis Atcourt, i Chris Foliak, i lord Corcy, i szeryf, Toby, Jean i tuzin innych w rozjaśnionej przez świece ciemności, wszyscy klęczący na brudnych kamiennych płytach.

- Boże, chroń króla - powiedzieli.

Amicja zaczęła śpiewać. Podniosła głos w *Te Deum* swojego zakonu, z początku cicho. Ricar Orcsbane znał słowa, i lord Corcy, i Gabriel - i zaśpiewali, inne głosy podchwyciły hymn, aż stodoła wypełniła się jego dźwiękiem.

Gawin podszedł do brata.

- Co? - zapytał, nim zabrzmiało amen. - Co się stało?

Gabriel wziął się na tyle w garść, żeby wyjść w noc z bratem za plecami. Znalazł dojarnię, odwrócił się i chwycił Gawina z ramiona.

- Co? - powtórzył Gawin. - Wyglądasz tak, jakbyś stracił najlepszego przyjaciela. - Urwał. - Wygraliśmy, prawda? Ocaliliśmy dziecko. - Patrzył na łzy, które nieczęsto spływały z oczu brata. - Chryste, przerażasz mnie. Skąd to uczucie?

Gabriel osunął się na ziemię jak marionetka z przeciętymi sznurkami i zadrżał na całym ciele.

- Neeeeee... - jęknął i zaszlochał.

Dla Gawina było to bardziej przerażające niż walka z hastenochem czy wiwernem. Miał ochotę odejść w pocieszającą ciemność i powtarzał sobie, że Gabriel wolałby być sam.

Ale też powiedział w duchu, że ma wiele do odpokutowania za to, iż był okrutnym bratem, dlatego w końcu zbliżył się do niego z takim wysiłkiem, jakiego wymagałaby walka na śmierć i życie. To było... krępujące.

Gabriel wziął go w ramiona.

- Wszyscy nie żyją - powiedział wyraźnie. A potem zrezygnował z jakiegokolwiek próby zachowania panowania nad sobą.

Wreszcie, zakłopotany i bardziej niż trochę zły, uwolnił się z ramion brata.

- Nienawidzę tego - warknął. - Kurwa, kurwa mać...

- Czego? Tego, że jesteś człowiekiem? - Gawin pokiwał głową. - Kto nie żyje?

- Matka. Ojciec. Ticondaga. Wszyscy nie żyją. - Znow się zatracił jęcząc. Płakał.

Gawin patrzył na niego, nie pojmując.

- Wybacz, że pytam... ale jesteś pewien?

- Dość... pewien. - Urwał. - O Boże, Boże... - Miał kłopoty z mówieniem, jego usta otwierały się i zamykały, otwierały i zamykały.

Gawin był niespokojny. Nie mógł brać jego słów na poważnie. Przecież matka była dosłownie siłą natury - nie czymś, co może się stać martwe.

- Ja ich zabiłem - dodał Gabriel. - Kurwa. Kurwa. Ja... przeze mnie poszło tak źle.

Gawin zaczął się obawiać, że jego brat nie kłamie. Ale przepędził ten koszmar - ojciec, matka, bracia - wszyscy nie żyją? Po prostu odepchnął to od siebie.

- Na Boga, jak możesz mówić, że ty ich zabiłeś?

Pełne łez oczy Gabriela lśniły w ciemności jak coś złego. Miały czerwony połysk.

- Dałem się zwieść. Głóg jest silniejszy... ach. Silniejszy, niż myślała matka, i silniejszy, niż ja myślałem. - Urwał, wstrzymał oddech i znowu zaszlochał.

Gawin chrząknął.

- A na czym polega twoja wina? Czy to nie trochę samolubne, bracie, nawet jak na ciebie?

Gabriel uniósł głowę. Nie zachichotał ani się nie uśmiechnął, ale coś w jego oczach mówiło, że strzał był celny.

- Skąd możesz wiedzieć, że zginęli? - zapytał rozsądnie Gawin.

Gabriel zakaszłał, chrząknął i wytarł nos w wełniany rękaw przeszywanicy. Jeszcze raz chrząknął.

- Czy ci się podoba, czy nie, zawsze mogłem powiedzieć, gdzie jest matka... do pewnego stopnia. Chyba że się ukrywała.

Poświęcił chwilę na jakieś wspomnienia, po czym nagle usiadł na ławce. Na ławce do dojenia.

- O kurwa, spierdoliłem - wymamrotał i schował twarz w dłoniach.

Do Gawina zaczynała docierać prawda o śmierci matki i ojca. Zależało mu na bracie i chciał go wspierać - Gabriela, który rzadko, o ile w ogóle, potrzebował wsparcia. Ale prawda przedzierała się do jego świadomości...

- Ojciec też? - zapytał.

Gabriel uniósł głowę. Miał podpuchnięte oczy i Gawin sobie przypomniał, kiedy tak wyglądał ostatnim razem - kiedy razem z Eneaszem i Agrainem urządzili na niego zasadzkę i zbili go na kwaśne jabłko. Dawno temu.

Wtedy Gabriel przez łzy rzucił wyzwanie.

Teraz pokręcił głową.

- Nie wiem. - Spojrzał mu w oczy. - Bodaj to, Gawinie, nie masz wglądu w etereal. Nie masz pojęcia. To jak sen. Nic nie jest jasne, dopóki tego nie wyjaśnisz, a jeśli wyteżysz wolę, żeby to wyjaśnić, możesz to zmienić.

Milczał przez chwilę.

- *Merde.*

Dochodził do siebie, Gawin niemal widział koła zębate obracające się w jego głowie. Zaczynał pojmować. Kochał ojca, twardego, przebiegłego człowieka, który...

Jak uderzony, osunął się na kolano.

Gabriel go objął.

- Kto pod kim dołki kopie... - szepnął w jego włosy. I znowu się rozpłakał. - Bodaj cię - mruknął, wyraźnie walcząc o zimną krew. Bez powodzenia.

Płakali razem.

\*\*\*

Ni z tego, ni z owego Nell stwierdziła, że jest kobietą, a nie wojskowym paziem. Nie, miała ku temu powód: dziecko.

Chłopiec miał potężne płuca i zdeterminowaną wolę życia, i chciał, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Wielcy, twardzi mężczyźni truchleli,

słyszając jego krzyki.

W przeciwieństwie do drobnych twardych kobiet. Nell dołączyła do Petite Mouline, pazia ser Bertrana, i grupki innych kobiet opiekujących się dzieckiem, podczas gdy kilku najlepszych, najciężej pracujących mężczyzn kompanii - na przykład Toby Robin - pochowało się po kątach, wymyśliwszy sobie wydumane preteksty, i wściekle polerowało zbroje. Zły Tom zajął się rozstawianiem wart.

Blanche kierowała opiekunkami. Najwyraźniej wiedziała o porodach więcej niż inne, a nie miały matron ani matek, żeby udzielały im wskazówek.

Blanche miała coś z daru kapitana. W miarę upływu godzin Nell zaczęła podejrzewać, że wie o dzieciach niewiele więcej niż ona, ale roztaczała aurę zdeterminowanej pewności siebie i rygorystycznie pilnowała zachowania czystości.

Kiedy dzwony wybiły dwunastą, dziecko zasnęło jak zdmuchnięta świeca.

W całej stodole mężczyźni pomruczeli, powzdychali i sami natychmiast zasnęli.

\*\*\*

Zaraz po tym, jak dzwon wybił pierwszą. Blanche skończyła sprzątanie izby porodowej i ze smutkiem zobaczyła, że jej suknia, od początku będąca szarym workowatym strojem żebraczki, jest w opłakanym stanie. Ona, która zawsze szczyciła się dbałością o powierzchowność, wyglądała niechlujnie.

Nell, która sprawiała wrażenie rozsądnej, bystrej dziewczyny, mimo że ubierała się jak mężczyzna, zasypiała na stojąco.

- Idź spać - powiedziała Blanche rozkazującym tonem, jakiego używała w pralni. - Zachowałeś się jak bohater.

Nell wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Nawet sobie nie wyobrażasz. Dzisiaj trochę walczyłam.

Blanche nie zauważyła, żeby dziewczyna odniosła jakąś ranę. Miała tylko paskudne draśnięcie na lewym przedramieniu i drugie skaleczenie, już zamknięte, ale czarne jak smoła, na kostce.

- Rękojeść tego drugiego sukinsyna - wyjaśniła Nell.

Blanche westchnęła i oddała najczystszy pas płótna z koszuli - z

koszuli noszonej pod suknią żebraczki. Było jej szkoda porządnego odzienia, ale Nell stała się niemal przyjaciółką w tym istnym domu wariatów, do którego trafiła. I Nell - kompetentna, ciężko pracująca dziewczyna - zagotowała kocioł wody, podsycając ogień gałązkami przyniesionymi przez pełnych skruchy mężczyzn, łącznie z tym wysokim, który uśmiechał się do niej nawet w nocnym zamięcie.

Blanche nabrała trochę wrzącej wody, szybko zrobiła kataplazm, jak nauczyła ją matka, i zaczęła oczyszczać ranę.

- Skarbie, jest otwarta. Zaogni się i zaropieje. - Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. - Powinnam ją zszyć.

Nell na nią spojrzała.

- Umiesz? - zapytała.

Blanche ściągnęła brwi.

- Widziałam, jak to się robi - odparła. - Co więcej, wyuczyłam się na szwaczkę, nie znajdziesz lepszej ode mnie.

- Wygotuj nić i wyparz igłę w ogniu. Widziałam to w Morei.

Trzy minuty później było po wszystkim. Nell niemal z szacunkiem spojrzała na schludne, równe szwy.

Blanche też wyglądała na zadowoloną.

- Nigdy wcześniej nie zszywałam ciała. Tak. Co za dzień! Ten chłopak to twój mąż?

Nell się roześmiała.

- Kochanek - odparła. - Chcę zostać rycerzem jak Pyskata, nie dzieciaróbką.

Blanche zakasłała, nie kryjąc szoku. Nell wzruszyła ramionami.

- W kompanii robisz, co chcesz, dopóki nie rozrabiasz. Nigdzie nie byłam traktowana tak jak tutaj. Prawie jak mężczyzna.

Blanche pokazała zęby w uśmiechu.

- Nie chcę być traktowana jak mężczyzna - powiedziała i zachichotała pomimo zmęczenia.

Nell też się zdobyła na śmiech.

- Nie o to chodzi, głuptasie - mruknęła i wzruszyła ramionami, z pewnością myśląc o Dębowej Ławce. - Chyba że to ci pasuje. Kapitana obchodzi tylko praca i walka. Tak naprawdę nie ma innych zasadów.

- Innych zasad - poprawiła ją Blanche. Uśmiechnęła się



przepraszająco. - Wybacz, moja mama zwraca wielką uwagę na słowa. Nie macie w kompanii innych kobiet?

Nell wzruszyła ramionami.

- Jest kilka. Poznałaś Sukey?

Blanche pokiwała głową.

- Ciemne włosy... przyniosła prześcieradła.

- Nie mogła zostać, bo zajmuje się kwaterunkiem. Jak oficer. Jej matka jest przełożoną kobiet w całej kompanii. Oczywiście jest czarodziejką. I szwaczką. - Nell wyprostowała plecy. - Mag robi prawie wszystko. Zna też wszystkie pieśni. - Spojrzała na rękę, którą Blanche okładała gorącym wilgotnym gałgankiem.

Blanche wzięła pas czystego suchego płótna, przyjrzała mu się krytycznym okiem i odłożyła, żeby umyć ręce.

- Masz chłopaka? - zapytała Nell.

- Nie.

- Nie masz chłopaka? - Nell nie kryła zdumienia. Dla niej było to straszne.

Blanche się uśmiechnęła.

- Co się odwlecze, to nie uciecze, jak mówiła moja matka, kręcąc nosem. Miałam kilku chłopaków. Ale w pałacu napytasz sobie biedy, jak będziesz robić coś więcej niż tylko flirtować, a na ulicach... - Ściągnęła usta. - Czereda terminatorów miała na mnie chrapkę, ale nie jestem gotowa, żeby się dać usidlić. - Roześmiała się.

Szybko owinęła rękę Nell, trochę za ciasno.

- Gdzie będziesz spać? - zapytała Nell.

- Tutaj, na podłodze - odparła Blanche.

Zaczęła wkładać zabrudzone płótna do gotującej się wody, jakby była najmłodszą praczką w pałacu.

Nell pokręciła głową.

- Mamy sienniki i koce, wszystko, co potrzeba...

Blanche zaśmiała się na myśl, że siennik i koc są wszystkim, co potrzeba.

- Możesz spać z moją kopią. Dopilnuję, żebyś miała gdzie się podziać. Rano Sukey gdzieś cię przydzielą.

Blanche pokręciła głową.

- Jestem praczką królowej - powiedziała. - Nie potrzebuje przydziału.

Nell miała taką minę, jakby chciała coś dodać, ale akurat w tej chwili Diccon wetknął głowę przez drzwi, nawet nie zapukawszy.

Blanche była zbulwersowana, jak ci ludzie traktują królową. Ale spostrzegła, jak się rozjaśniła twarz jej nowej przyjaciółki.

- Zmykaj pogawędzić ze swoim chłopakiem - powiedziała swoim najbardziej dorosłym głosem. - Wygotuję i rozwieszę te rzeczy. Wrócisz i pokażesz, gdzie mam spać, skarbie?

Nell przytaknęła i chwyciła jej rękę jak mężczyzna.

- Wrócę - obiecała. - Dicconowi nigdy nie zabiera to dużo czasu - dodała z szelmowskim uśmiechem.

Głowa Diccona zniknęła.

- Wiesz, jak się robi dzieci? - zapytała Blanche.

- Jasne. Nawet ćwiczę od czasu do czasu. A ty? - odpaliła Nell.

Obie się roześmiały, a potem Nell zniknęła w mroku kamiennej stodoły. Blanche gotowała płótna, chociaż oczy się jej zamykały.

Pracowała byle jak wedle swoich standardów. Potrzebowała więcej czystej wody, a była zbyt zmęczona, żeby ją przynieść, a poza tym nie wiedziała skąd.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi. Odwróciła głowę z nadzieją, że przyszała Nell.

Był to ciemnowłosy pan. Czerwony Rycerz, tyle że przez cały dzień nosił się na zielono.

Zdołała się podnieść, choć była potwornie zmęczona.

Machnął ręką i spojrzał na królową z dzieckiem śpiącym na piersi. Miała otwarte oczy - Blanche przez chwilę była niespokojna na myśl, co słyszała, ale Dezyderata się uśmiechnęła.

- Żyję - powiedziała swoim normalnym głosem. - Czy to ty, Blanche?

Blanche dygnęła.

- Co tutaj robisz? - zapytała królowa. - Nieważne, moja droga. Mogę dostać kubek wody?

- Wasza Królewska Mość, zużyłam całą wodę - odparła Blanche. Obie szeptały. Dziecko spało.

- Przyniosę - zaoferował Czerwony Rycerz. Wyglądał dziwnie, jakby płakał.

Blanche pomyślała, że jest przystojny, ale oczy miał czerwone i podpuchnięte jak chłopiec po przyłapaniu na kradzieży ciastka.

- Pokaż mi, gdzie jest woda - powiedziała.

- Ja przyniosę - powtórzył. Wziął duży ceber stojący przy kominku. W migotliwym świetle źle ocenił odległość i mocno się z nią zderzył. - Tysiącuroć przepraszam, pani.

Wyszedł.

Blanche się zastanawiała, czy nie pójść za nim, ale przecież królowa zostałaby sama - nie licząc siostry Amicji, która jakby niezupełnie była człowiekiem. Nie należała do nich. Blanche brakowało słów, żeby ją opisać, świecąca delikatnym złotym blaskiem w ciemności.

- Przykro mi, Blanche, że jestem taka bezradna, ale tak zgłodniałam... - powiedziała królowa.

Blanche nie miała pojęcia, skąd wziąć jedzenie, a nie chciała przeszkadzać Nell.

Czerwony Rycerz wrócił i postawił pełne wiadro przy ogniu, nie roniąc ani kropli.

- Panie, czy możesz przynieść trochę jedzenia? - Blanche się zawahała. Zwracanie się z żądaniami do wielmoży zawsze było niebezpieczne. - Wybacz, panie, to dla królowej.

- Zajmę się tym - odparł. - Wasza Królewska Mość - powiedział, kłaniając się królowej - co mogę dla ciebie zrobić? O tej porze nie zbudziłbym najgorszego wroga, żeby komukolwiek służył.

Królowa ujęła jego rękę.

- Ocaliłeś nas - rzekła.

Ser Gabriel ukląkł.

- Gause... - Głos królowej się wyciszył.

Gabriel chrząknął. Blanche pomyślała, że być może zaszlochał.

- Chciała zabić ciebie i dziecko - powiedział.

- A teraz?

- Obawiam się, że nie żyje... choć nie wskutek naszych zabiegów. - Uśmiech Gabriela był drżący w świetle ognia.

Blanche się odwróciła, nie chcąc na niego patrzeć.

- Mam nadzieję, że to nie jest zdrada, jeśli nie chcę mieć matki na sumieniu.

- Twoja matka nie żyje? - zapytała królowa. - Panie rycerzu, tak mi przykro.

- Skoro jest ci przykro niedługo po tym, jak próbowała zabić ciebie i twoje dziecko, to znaczy, że jesteś święta - rzucił z dzikością w głosie.

Dezyderata się uśmiechnęła.

- Głodną świętą - powiedziała, zerkając na siostrę Amicję. - Czuwa w eterealu.

Ser Gabriel z wielką tkliwością położył rękę na jej czole.

- W Dzikich... Kiedy Moc osiąga pewien poziom...

Dezyderata przytaknęła.

- Wiem. Apoteoza.

Gabriel spojrzał na Amicję.

- Myślę, że jest temu bliska. - Wzruszył ramionami, próbując zbagatelizować swoje słowa. - Co się dzieje z chrześcijanami? Ze świętością?

Dezyderata się uśmiechnęła.

- Jeszcze nas nie opuści, panie rycerzu - powiedziała ze spokojną pewnością siebie, jakby...

...jakby przemawiał przez nią ktoś inny. Blanche zadrżała. Dobrze znała królową - i królowa była jakaś inna.

Ser Gabriel tylko się ukłonił.

- Mogę cię poczęstować jędrnym zimowym jabłkiem, kiełbasą i smacznym twardym serem? - zapytał.

Blanche zakrzętnęła się przy wodzie. Podała królowej dwa kubki i trzeci postawiła na podorędziu. Resztę wody przelała do dużego, często drutowanego miedzianego kotła, który, jak się zdawało, miał więcej nitów niż jeżozwierz kolców. Ale nie przepuszczał wody.

Przemieszała pierwsze pranie i zebrała z wierzchu najgorsze szumowiny.

Ser Gabriel wrócił z jedzeniem. Czując zapach kiełbasy, Blanche zrozumiała, że ona też kona z głodu.

Ukląkł przy królowej i ją nakarmił.

Gdy żuła, zapytał:

- Możesz jutro jechać konno, pani?

Blanche uniosła rękę do gardła, ale królowa się roześmiała.

- Przypuszczam, że będę musiała, prawda? De Vrailly nie da mi dnia na odpoczynek.

Ser Gabriel ciał kiełbasę nożem, którego używał do jedzenia.

- Przypuszczam, że za wszystkim stoi arcybiskup, a nie biedny de Vrailly.

- Biedny de Vrailly? - powtórzyła Dezyderata z jawną złośliwością, którą Blanche dobrze знаła. Ludzką. Pełną złości.

Ser Gabriel skinął głową. Włożył jej do ust ostatni kawałek sera, jakby była dzieckiem.

- Mogę ci dać jakieś osiem godzin. Chyba że napłyną złe wieści.

- Gorsze niż śmierć twojej matki? - zapytała Dezyderata. - Wybacz to było obcesowe.

Ser Gabriel zdobył się na uśmiech.

- Tak, wiele rzeczy może być gorszych. Rzadko widywałem się z matką.

- Ocaliłeś mnie - powtórzyła Dezyderata. - Nigdy o tym nie zapomnę.

Ser Gabriel się roześmiał. By to ponury dźwięk, bez cienia wesołości.

- Mogę ci coś powiedzieć? - zapytał. Ciał jabłko na kawałki.

Blanche podejrzewała, że zapomnieli o jej obecności, ale jako królewska sługa do tego przywykła. Przerazało ją zachowanie Czerwonego Rycerza.

Nóż znieruchomiał.

- Tak, jeśli chcesz - odparła Dezyderata.

- Moja matka chciała, żebym został królem - oznajmił.

Dezyderata głośno zassała powietrze.

Niewielki nóż spoczął na skórcie jabłka. Ser Gabriel kciukiem nacisnął ostrze.

- To ironia - podjął - że w noc jej śmierci mam w rękach ciebie i twoje dziecko.

Ostrze noża przesunęło się o ułamek cala od ust królowej i prawie musnęło jej policzek, gdy Czerwony Rycerz wsuwał cząstkę jabłka pomiędzy jej wargi.

Królowa wpatrywała się w jego oczy.

Słodki Jezu, wydawał się taki miły...

Blanche szła do niej, ale była daleko.

- Nigdy nie chciałeś zostać królem - powiedziała Dezyderata. Jeśli nóż ją niepokoił, to tego nie okazała.

Blanche skoczyła, ale potknęła się o ceber.

Oboje obrócili głowy. Czerwony Rycerz wstał z dwoma kawałkami jabłka w ręce, dał królowej jeden i sam zjadł drugi. Pokręcił głową.

- Świat jest dziwnym miejscem, Wasza Królewska Mość - powiedział. - Nic nie jest takie, jak się wydaje, i niewiele rzeczy wartych posiadania można łatwo zdobyć. Przypuszczam, że jest człowiek, który, znajdując potęgę Alby pod kopytami swojego konia, porzuciłby wszystkie swoje dotychczasowe dokonania, żeby uczynić się królem. - Ukłonił się i jego spojrzenie objęło również Blanche. Podał jej rękę i pomógł wstać. - Królowej nic nie grozi z mojej strony, lady Blanche. Nie jestem moją matką.

Dezyderata się uśmiechnęła i był to jej dawny uśmiech, pełen prowokacyjnej kobiecej wiedzy.

- Ale chciałeś, żebym wiedziała.

Czerwony Rycerz wzruszył ramionami.

- Chyba tak. Nie ma nikogo innego, żeby dzielić żart, z wyjątkiem Blanche. Lady Blanche, przyniosę ci coś do jedzenia.

- Nie jestem damą - syknęła do jego pleców. Jej serce biło bardzo szybko.

Naprawdę była przekonana, że zamierza zabić królową.

Kiedy wyszedł, twarz królowej zwiotczała.

- Błogosławiona Panno, daj mi siłę - szepnęła. Popatrzyła na Blanche ze zmęczonym uśmiechem. - Mnie też przestraszył, Blanche. - Rozejrzała się. - Potrzebny nam sztandar królewski.

Blanche się roześmiała.

- Wasza Królewska Mość, dobrze sobie radzę z igłą, ale nawet ja

dzisiaj nie wyszyłabym złotego smoka.

Przyłożyła kubek z wodą do ust swojej pani i otarła je czystym kawałkiem sukni.

- Śpij, Wasza Królewska Mość. Nie sędzę, żeby on naprawdę chciał... ale zostanę przy tobie.

- Bzdura, moja droga. Idź spać. Nie jest taki groźny jak mu...

Wszedł ser Gabriel. Tym razem miał tacę - puklerz łuczника ze skóry i stali pełen chleba, sera i jabłek.

Skinął na Blanche.

Spojrzał na królową, ale ta już miała zamknięte oczy. Dziecko leżało na jej piersi ze szczelnie zaciśniętymi powiekami i lekko rozchyloną buzią.

Blanche zerknęła na Czerwonego Rycerza, który ją przywołał. Zamknęła za sobą drzwi do komory królowej. Za nimi była mała zagroda, pewnie dla ulubionego wierzchowca właściciela. Czerwony Rycerz miał obozowy stół, a tacę położył na beczce.

- Mogę do ciebie dołączyć, pani? - zapytał.

- Nie jestem ze szlachty - powiedziała. - Nie musisz marnować na mnie swoich nienaganych manier.

- Niestety, gdy raz się zacznie, trudno zerwać z przyzwyczajeniem.

- Dość nagle usiadł na skórzanym siedzisku, jakby kolana się pod nim ugięły.

- Czy twoja rycerskość rozciąga się na straszenie mojej pani? - spytała.

Popatrzył na nią. Jego oczy dziwnie wyglądały w ciemności, niemal jak kocie. Wyjął nóż - ten sam nóż - i zaciął ciąc jabłko na części. Podał jej jedną, a ona wzięła bez jednej myśli i zjadła. Jabłko, które zimowało w chłodnej piwnicy, było cierpkie i twarde i nie mogła się powstrzymać: łapczywie wzięła następne dwa kawałki, które jej podał.

Jego usta dziwnie się ułożyły ni to w uśmiech, ni w grymas.

- Czasami pewne rzeczy po prostu muszą zostać wyjaśnione, czy między ludźmi mocy, czy kochankami albo rodzicami. Rzeczy, które świadczą o zamiarach albo szczerości, albo po prostu wytyczają granicę, dla spokoju ducha wszystkich zainteresowanych. -

Wyprostował się, jego twarzy nie było widać, w mroku błyskały tylko dziwne oczy.

Blanche przyszło na myśl, że udziela jej szczerzej odpowiedzi. Czuli się jak wtedy, kiedy jej matka po raz pierwszy odezwała się do niej jak do kobiety. Oszałamiające. Była z nim sama. Podejrzewała, że wie, do czego zmierza. Ale był interesujący.

- Musiałeś jej powiedzieć, że mógłbyś zabić ją i króla? - zapytała, pojadając ser.

Jak on.

- Jak myślisz, wolałaby zasnąć, zastanawiając się, co mi chodzi po głowie, czy wiedząc? - zapytał.

- Zależy - mruknęła, żując ser.

- To prawda - powiedział. - Chleb jest czerstwy.

- Jadałam czerstwy chleb - mruknęła i wzięła kawałek. Był smaczny, choć sprzed dwóch dni. - Mieszkaliśmy w Cheapside.

Nalał wina do trochę pogiętego srebrnego kubka.

- Będziemy się dzielić. Szukałem kubka Rozmyślnego albo Michaela, ale nie znalazłem po ciemku.

Wymruczała modlitwę i wypila. Ciemnoczerwone wino miało wyborny smak, niemal cynamonowy z odrobiną słodyczy.

- Czy twoja kompania zawsze tak dobrze je i pije? - zapytała.

Błysnęły jego zęby.

- Dobra strawa i dobre wino przyciągają więcej ludzi niż srebro i złoto. Kiedy założyłem tę kompanię z Jehanem i Pyską, zgodziliśmy się, że zawsze będziemy mieć dobre jedzenie. Mój ojciec zawsze dbał o brzuchy ludzi...

Urwał i skrzywił twarz. Na chwilę schował ją w dłoniach. Blanche się zastanawiała, czy się śmieje, ale pomyślała, że raczej nie.

Podniosła się na kolana i podała mu kubek wina. Ujął go ostrożnie, tak ostrożnie, że nie dotknął jej palców. Przywykła do bardziej bezceremonialnego zachowania chłopaków i odpędziła od siebie wcześniejszą myśl o jego zamiarach.

Zastanawiała się, czy chciałaby zostać jego kochanką. Czy jest bogaty? Prawdopodobnie był kapitanem królowej od jakiegoś czasu. Miał wytworne maniere - lepsze, niż znani jej dworscy galanci.



Niemal głośno zachichotała rozśmieszona tą absurdalną fantazją. Blanche, szwaczka z pralni, kochanką wielkiego pana.

- Wypiłaś całe wino! - zgał ją z udawaną złością.

Potem zapłakał. Dziwny człowiek. A teraz, jak wszyscy mężczyźni, udawał, że nic się nie stało.

- Nie chciałam - powiedziała.

- Mówisz to wszystkim swoim chłopakom.

Zarumieniła się, ale było ciemno.

- Wybacz, panie. Powinam wrócić do królowej. Wino było bardzo dobre.

- Do usług, lady Blanche.

Wstał. Przez chwilę myślała, że może...

Minął ją i otworzył drzwi.

- Skoro wylałaś całą wodę - powiedział cierpko - przyniosę drugie wiadro, zanim pójdę spać.

Wrócił z wodą, a za nim przyszła Nell z siennikiem w ramionach i swoim chłopakiem za plecami. Oboje ułożyli jej pościel obok łóżka królowej. Nell wyglądała na wielce zadowoloną - Blanche w przelocie wyskubała siano z jej włosów. Diccon przezornie schodził kapitanowi z oczu.

Czerwony Rycerz skinął głową i wyszedł.

Blanche padła na siennik i zasnęła, nim zdążyła cokolwiek pomyśleć.

\*\*\*

Gabriel padł na słomę obok brata. Gawin coś wymamrotał. Był dość uprzejmy, żeby zostawić mu miejsce i dwa koce. Gabriel nie chciał myśleć o Ticondazie ani o popełnionych przez siebie błędach. Wiedział, że jeśli nie zaśnie i będzie rozpaczać, ranek okaże się jeszcze gorszy.

Zamknął oczy. Uśmiechnął się, zamiast płakać, i *wszedł do pałacu mocy. Tam - w zimnym, czystym świecie eterealu - mógł sprowadzić sen.*

- *Potrzebujesz snu - powiedziała Prudencja.*

- *Po to tu jestem.*

*Rzucił proste czary używając tylko symboli i jednego posągu. Ręce Pru się poruszyły i zasnęły.*

\*\*\*

- Gabrielu, jesteś potrzebny. Gabrielu, wstawaj!

Gabriel budził się powoli. Czary, jakie na siebie rzucił, były dość silne, żeby więzić go we śnie, dopóki nie wyteżył woli. Wysięk przerwał czary, ale też spowodował powódź obrazów.

- Och... - jęknął. - Neeee...

Matka nie żyje. Ticondaga zniszczona. Głóg triumfuje. Królowa, Amicja.

- Kurwa mać.

- Wybacz. - Gawin nim potrząsał. - Dan Favor przybył od Gelfreda. Mówi, że musi się z tobą zobaczyć.

- Kurwa... - powtórzył. Łzy zasnuły mu oczy i spróbował je przepędzić.

Wstał z posłania w koszuli i rajtuzach. Przeszedł nad śpiącymi członkami swojej kopii i *casa*. Nell go skłęta. Gawin podał mu zapalony ogarek.

- Idę spać - oznajmił.

Gabriel żałował, że nie ma mocy. Zszedł ze stryszku po drabinie do głównej części stodoły, gdzie mężczyźni i kobiety leżeli w długich rzędach na kopcach słomy albo siennikach. Słyszał kakofonię chrapania i ciężkich oddechów.

Powietrze na dworze było ostre i zimne. Zobaczył ser Danveda w pełnej zbroi, stojącego na warcie przy drodze ze swoją kopią. Kum zapinał pas z mieczem, rozmawiając z młodym Favorem, od stóp do głów ubranym w ciemną zieleń, która wyglądała jak czerń w kapryśnym świede pochodni.

Kum zasalutował od niechcienia.

- Wybacz, kapitanie - mruknął - ale musisz sam tego wysłuchać.

Favor przyklęknął.

- Panie, ser Gelfred rozkazał mi cię znaleźć, wysłał nas dziesięciu. Główna kolumna, jak rozkazałeś, stacjonuje na południe od Loriki. - Spojrzał na Kuma. - Ale na drogach są już wojska, Galowie i Albanowie, i większość z tego, co zostało z gwardii królewskiej. Ponad tysiąc kopii, panie.

Kum rozwinął mapę kapitana. Nie była zbytnio dokładna,

sporządzona dla podróżnych, pokazująca odległości pomiędzy różnymi miastami i Harndonem.

- Zeszłej nocy de Vrilly był przy Drugim Moście - dodał Favor.

- Przejdź do złej części - powiedział Kum.

Favor chrząknął.

- Z de Vrillym są chorągwie Towbraya.

Gabriel nie szczędził starań, żeby oprzytomnieć.

- Towbraya? Przecież siedzi w lochach...

- Wczoraj ser Gelfred pochwyił kilku królewskich łuczników - wyjaśnił Favor, patrząc na Kuma. - Powiedzieli, że szukają nowego pana, jako że Towbray przysięgł wierność de Vrilly'emu.

Gabriel skinął głową.

- To możliwe. Zbudź ser Michaela - polecił. Zmarszczył czoło.

Lord Corcy wyłonił się z ciemności.

- Towbray... ta żmija - mruknął.

Gabriel w tej chwili wolałby, żeby słyszał ich ktokolwiek, byle nie ten stary albański pan, który może był sprzymierzeńcem, ale jeszcze tego nie dowiedział. Ale nie było co płakać nad rozlanym mlekiem.

- Towbray lubi zmieniać strony, przyznaję - powiedział.

- Jego obecność scementuje lojalność wielu południowych baronów - osądził Corcy.

Gabriel spojrział w noc, a potem na mapę. Zmierzył odległość od Drugiego Mostu do Loriki.

- Ile potrzebujesz czasu, żeby dotrzeć do Gelfreda? - zapytał.

Favor się ukłonił.

- Będę tam przed świtem. Przysięgam,

Ser Michael wyszedł ze stodoły. Wyglądał tak, jak Gabriel się czuł.

- Twój ojciec jest z de Vrillym - powiedział bez owijania w bawełnę.

Michael zamarł.

Gabriel przyglądał mu się uważnie.

- Idiota - warknął Michael.

Gabriel stwierdził, że przez dłuższą chwilę wstrzymywał oddech, i znowu zaczął oddychać. Objął Michaela.

- Przykro mi - powiedział. - Przez kilka godzin się wałkoniłem, a

jest tak, jakby ziemia zadrżała w posadach.

Michael splunął.

- Przybyłem tutaj, żeby go ratować.

- Dwa dni temu odmówił dołączenia do ser Ranalda - dodał Favor.

-Przykro mi, ser Michaelu, ale byliśmy... niezupełnie zadowoleni. Był jedynym królewskim więźniem, który nas odtrącił.

- Idiota - powtórzył ser Michael. Spojrzał na kapitana i wzruszył ramionami. - I co dalej?

- Zbiórka oficerów - zarządził kapitan.

\*\*\*

Blanche otworzyła oczy i zobaczyła pochyloną nad sobą Nell.

- Wstawaj, dziewczyno! - mówiła Nell. - Zbudź królową!

Dziecko się ocknęło i stwierdziwszy, że świat się zmienił, rzuciło mu wrzaskliwe wyzwanie.

Na zewnątrz mosiężna trąbka zagrała długi sygnał.

W stodole zawrzało jak w ulu. Kiedyś w dzieciństwie Blanche widziała, jak jej matka w skrzyni na poddaszu znalazła gniazdo myszy. Gdy tylko go dotknęła, myszy rozpierzchły się we wszystkie strony, a ona krzyknęła.

Mniej więcej tak to wyglądało, tyle że myszami byli rozczochrani mężczyźni i kobiety.

Jakiś łucznik zaczepił ją przy drzwiach.

- Atakują nas? - zapytał.

- Jeszcze nie - odparła, przepchnęła się obok niego i poszła do koni.

Po ciemku nic nie zostało porządnie zapakowane. Zza drzwi płynęły wymyślne, bardzo obrazowe przekleństwa. Blanche mogłaby je podziwiać, ale nie miała na to czasu. Chłopak Nell wrzucił jej kosz przez drzwi i musiała pozbierać mokre pranie.

Noworodek był głośniejszy od trąbki.

Siostra Amicja się zbudziła - o ile w ogóle spała. Zabrała dziecko, gdy tylko matka skończyła je karmić, i kołysała w ramionach. Pokazała zęby we wcale nie anielskim uśmiechu.

Blanche umyła królową gąbką i letnią wodą, po czym ubrała ją w koszulę, która wisiała na niej jak worek. Na wierzch włożyła tę samą suknię, którą królowa nosiła wczoraj - białą szatę panny młodej albo

pokutnicy.

- Nie guzdrać się - powiedziała Dezyderata, biorąc dziecko od Amicji. - Skoro ruszamy teraz, jest ku temu powód. Pośpiesz się, Blanche. Zostaw wszystko, czego nie zdołamy unieść.

Blanche ściągnęła brwi, myśląc, że nie ona będzie się przejmować, jeśli zabraknie czystych ubrań i czystych powijaków dla dziecka.

Pojawiła się Nell, żeby ją ocalić. Przyprowadziła wierzchowca i osła. Kum, mistrz łucznic, stał w małej zagrodzie.

- Daj mi kosze - powiedział usłużnie. - Zapakuję je na zwierzę.

Blanche podziękowała mu uśmiechem. Wiedziała, że z pewnością wygląda koszmarnie, ale nic na to nie mogła poradzić - nie miała czasu na kąpiel, nie miała ubrania na zmianę, nie miała niczego. Siodło na wierzchowcu było więcej warte niż jej cała garderoba. Zastanawiała się, do kogo należało.

Kum zacisnął pas, zapiął sprzączkę i na próbę szarpnął kosz. Nie poruszył się.

- Gdybyś miała jakieś kłopoty z tym zwierzakiem, daj mi znać, pani - powiedział.

- Nie jestem panią.

Kum bez słowa wyszczerzył zęby i wyszedł przez duże dwuskrzydłowe wierzeje stodoły.

- Łucznicy, do mnie! Równaj w lewo z końmi pod ręką. - Zdjął z łąku siodła basinet, piękny hełm, jakiego nie powstydziliby się niejeden rycerz, i zarzucił kaptur kolczy na głowę.

Jakiś łucznic minął Blanche, obmacując ją w przelocie. Łypnął na nią lubieżnie.

Blanche trzasnęła go pięścią tuż nad brwią i pchnęła na futrynę.

Inny łucznic się roześmiał.

- Szybka jest, Kocie! - Wyszczerył do niej zęby, a ona spiorunowała go wzrokiem.

Znowu zagrała trąbka i postacie w zbrojach zaroily się na podwórzu. Paziowie przemykali z końmi - rumakami i wierzchowcami, niektórzy z trzema naraz. Zbrojni wsiadali.

Jakaś kobieta przyprowadziła lekkiego wierzchowca. Była paziem, uprzejma, ciemnowłosa, dość stara, żeby być matką Nell.

- Zważ mnie Petite Mouline - powiedziała do Blanche po albańsku z oksytońskim akcentem. - Kapitan mówi, że ten koń jest dla królowej.

Petite Mouline miała piękny napierśnik i lśniąca od oleju kolczugę na jasnoczerwonej przesywanicy.

- Och, *petit bebe!*

Królowa wyszła z siostrą zakonną u boku, wsunęła drobną stopę w strzemię i skoczyła na siodło z werwą, która przeczyła niedawnym wielogodzinnym trudom.

Amicja wsiadła na konia z większą ostrożnością.

Na brukowanym podwórzku głos Złego Toma, donośny jak trąba archanioła Gabriela, ustawiał kompanię, a raczej jej część, w ordynku.

Czerwony Rycerz miał pełną zbroję. Księżyc był mały i jasny - dość jasny, żeby cienie się kładły na ziemi, a naramienniki odbijały poświatę.

Uklonił się królowej.

- Wasza Wysokość, błagam o wybaczenie. De Vrailly ruszył szybciej, niż się spodziewałem.

- Musimy uciekać... rozumiem.

Uśmiechnął się.

- Wasza Królewska Mość, co do tego... - Odwrócił się, gdy podszedł lord Corcy.

- Jestem z tobą, panie - powiedział. - Pojadę do domu po zbroję i ludzi, którym mogę ufać. Mam nadzieję, że zgodzisz się na odjazd szeryfa i jego podwładnych.

- Niestety, muszę prosić was wszystkich, żebyście towarzyszyli nam przez kilka lig - odparł kapitan.

Corcy skinął głową.

- Bałem się, że to usłyszysz. Proszę, rozważ ponownie swoją decyzję. Ci ludzie cię nie zdradzą, przysięgnę na wszystko, co zechcesz.

Królowa ujęła jego rękę.

- Przyjmuję twoje słowo, panie. Jedź i wracaj.

- Zatrzymamy twojego syna jako naszego gościa - oznajmił kapitan. Obaj wymienili długie spojrzenie i Blanche pomyślała, że być może poleje się krew, ale Corcy się uklonił.

- Dobrze, panie. Adamie, zostań z tymi panami. Gdzie was znajdę?

Czerwony Rycerz - w odpowiednich barwach, widocznych nawet w blasku księżyca - skinął głową.

- Na północ od Loriki, podczas szybkiego marszu. De Vrailly będzie nam deptać po piętach.

- Postaram się przybyć jak najprędzej - zadeklarował lord Corcy. Szeryf nie krył złości.

- Chryste na krzyżu, panowie! Przecież złożyłem przysięgę! Dajcie mi spokój!

Jego włócznicy zamruczeli gniewnie.

Zły Tom przyszedł z podworca.

- Nie mamy dla nich koni - oznajmił. - Będą nas spowalniać.

Blanche uniosła rękę do szyi przekonana, że zaraz będzie świadkiem rzezi tych biedaków.

Otoczył ich ciasny krąg paziów i nagle wszyscy mieli miecze w rękach. Kapitan wsparł dłoń na biodrach. Jego złoty pas jaśniał w blasku księżyca.

Mrugnął. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale była pewna, że puścił oko.

- Dawno będziemy w Lorice - powiedział. - Pozwólcie im odejść.

Łucznicy i paziowie schowali miecze.

Szeryf i jego ludzie odzyskali nawet swoją broń. Doznali uszczerbku tylko na honorze obrzucani szyderstwami.

Większość z nich uciekła.

Blanche z zainteresowaniem patrzyła na dwóch rosnących, silnych wieśniaków. Odbyli krótką rozmowę z Kumem i wsiedli na wozy.

Królowa uśmiechnęła się do niej.

- Och, życie jest piękne! Wstaje słońce. Jest tuż za krawędzią świata. Lis w żywopłocie szuka śniadania i rodzina myszy buszuje w fundamentach... Na Najświętszą Pannę, to świat. - Spojrzała na zasnęłą siostrę. - Nie spodziewałam się doczekać poranka.

Amicja skinęła głową.

- Lis zje myszy - powiedziała.

Zadźwięczał czysty, pełen zachwytu śmiech królowej.

- Tylko kilka, Amicjo. Tak świat jest urządzony.

Kolumna ruszyła w drogę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### Kompania

Posuwali się bardzo szybko z powrotem po tym samym terenie, który przebyli wczoraj. Blanche widziała, że dwóch ubranych na zielono ludzi spotkało się z kapitanem. Słońce wstało godzinę po tym, jak wyruszyli w drogę.

Następnych dwóch mężczyzn czekało na nich i poprowadziło wokół wioski, gdzie piał koguty, a z domów płynął zapach dymu i miodowy aromat szykowanej strawy. Pomyślała, że to Freeford.

- Cisza! - syknęła za nią Nell i cała kolumna ominęła miasteczko jak duchy.

Pasterz wychodzący ze stadkiem kóz został zatrzymany mieczem przy gardle i meczące zwierzęta zostały za nimi.

Wyjechali na bardziej otwarty teren u stóp dużego wzniesienia. Ruszyli klusem i niedługo później galopem. Blanche straciła wiarę w swoje umiejętności jeździeckie i mogła tylko trzymać się siodła.

- Rozluźnij się - poradziła królowa. - Pozwól, żeby biodra poruszały się razem z wierzchowcem. To piękne. Przestań zmuszać konia, żeby robił wszystko za ciebie.

- Wybacz, Wasza Wysokość!

- Ach, moja droga, do tej przygody nie zdawałam sobie sprawy, jakim jesteś skarbem. On zwie cię „lady Blanche” i ma słuszność! Jesteś skarbem. Ale musisz się nauczyć lepiej jeździć konno. - Królowa się roześmiała.

Jej śmiech podniósł na duchu całą kolumnę.

Przejechali ligę i gdy minęli bramę jakiejś zagrody, zwolnili do stępa.

- Stać! - ryknął zły Tom. - Zmiana koni!

Nell włożyła w rękę Blanche wodze nowego wierzchowca.

- To oznacza, że mamy pięć minut odpoczynku - powiedziała.

Blanche zsiadła i nogi się pod nią ugięły. Zamiast pomagać królowej, królowa pomagała jej.



Amicja potarła biodra jak znaczne starsza kobieta.

Zjawił się Czerwony Rycerz i puścił w obieg srebrny kubek pełen wina.

- Panie, proszę o wybaczenie - rzekł. - Prowadzimy wyścig z czasem.

- Nie jedziemy na północ - zauważyła królowa.

- Nie, Wasza Wysokość.

- Nikomu nie powtórzę. Mów śmiało. Czyjej zdrady się obawiasz? Siostry Amicji? Lady Blanche?

Uśmiechnął się.

- Jeśli kilku moich ludzi dotrze w pewne miejsce... Jeśli my też tam dotrzemy... - Wzruszył ramionami. - Może dojdzie do walki. - Ukłonił się. - Część moich rycerzy zabierze cię na północ do Loriki, gdzie będziesz bezpieczna. Wysyłam Sukey z całym taborem.

- Bzdura. - Podała dziecko Amicji. - Jeśli dojdzie do bitwy, chcę być tego świadkiem.

Blanche znowu pomyślała, że mówi jak jej dawne królowa.

- Wasza Królewska Mość... - zaczął ser Gabriel.

- Oszczędź mi wysłuchiwanie mowy o biednej słabej kobiecie - warknęła Dezyderata.

Czerwony Rycerz spochmurniał.

- Jeśli wpadniesz w ręce wroga, Wasza Królewska Mość, zginiesz. Wraz z tobą umrze twoja sprawa. I twój syn.

- Sądzę, panie rycerzu, że dość dobrze znam swoje położenie. - Uśmiech Dezyderaty był chłodny.

Jej synek wrzasnął.

Przytuliła go do siebie.

- Znam ryzyko. Ale jeśli przegrasz...

- Pani, to nie będzie turniejowa potyczka. Mam nadzieję zaskoczyć de Vrailly'ego drzemiącego przy drodze albo składającego obóz. Jeśli zawiodę, popędzi za nami jak pies za królikiem i będzie miał przewagę liczebną dwadzieścia do jednego. Czy raczysz pojechać na północ do Loriki, pani?

Dezyderata uśmiechnęła się i położyła dłoń na jego zakutym w stal ramieniu.

- Panie rycerzu, chcę być z moją armią. Jeśli przegrasz... będzie, co ma być. Ale jeśli zwyciężysz, chciałbym, żeby ludzie mówili, że mój syn był w bitwie dzień po narodzinach i że jego matka nie okazała się tchórzem. Zbyt mało ludzi widziało sąd boży. Mój mąż nie żyje. Chciałabym, żeby ludzie mnie zobaczyli i rozpoznali.

Ser Gabriel siedział na swoim rosnącym koniu bojowym. Niebo jaśniało za jego plecami. Wyglądał jak ucieleśnienie wojny, wzór stanu rycerskiego.

Odetchnął głęboko i wzruszył ramionami.

- Dobrze, pani. Jesteś królową. - Skinął głową. - Amicjo? Może przynajmniej ty pojedziesz do Loriki?

Zakonnica pokręciła głową.

- Nie. Będziesz mnie potrzebować.

Czerwony Rycerz się uśmiechnął.

- Blanche? Nie przypuszczam, że chciałabyś odbyć miłą przejażdżkę z dwoma rycerzami...?

Blanche się roześmiała.

- Nie zostawię mojej pani. - Z wielką śmiałością dodała: - Otrzymywałam już od rycerzy propozycje porannych przejażdżek. Moja mama mówiła, żebym nigdy się nie zgadzała.

Królowa zadarła głowę i wybuchła śmiechem. Uściskała rękę Blanche.

Czerwony Rycerz ukłonił się paniom w siodle i zawrócił rumaka. Kiedy znalazł się poza zasięgiem słuchu, z dzikością powiedział do Michaela:

- Może jeszcze będę królem Alby. Chociaż nie z mojej winy.

Michael zrobił wielkie oczy.

- Jeśli coś jej się stanie... - Ser Gabriel pokręcił głową.

Podjechał do ser Francisa Atcourta i Chrisa Foliaka.

Położył rękę na ramieniu Atcourta.

- Jeśli dopilnujecie, żeby królowa przeżyła - powiedział - dam wam wszystko, czego pragniecie. Francisie, chciałbyś dostać ładne lenno w Tracji? A Chrisa pasuję na miejscu albo dopilnuję, żeby został pasowany. Jeśli ona zginie... - Wzruszył ramionami. - Miejcie na tyle przyzwoitości, żeby umrzeć razem z nią.

Ser Francis Atcourt nie był młodzieniaszkiem.

- Nigdy o nic nie prosiłem - zaznaczył.

Ser Michael się roześmiał.

- Posiadanie ziemi jest lepsze niż walka.

Atcourt uśmiechnął się błogo.

- Jakoś nie widzę cię w domu na roli, panie.

Zawsze go zaskakiwało, jak poważnie profesjonaliści podchodzą do stanu rycerskiego.

Chris Foliak potrząsnął wspaniałą jedwabną peleryną.

- Chciałbym być rycerzem - oznajmił. - I zawsze chętnie walczę w obronie damy.

- Zwłaszcza pięknej i bogatej - wtrącił Atcourt. - Ale tak, kapitanie. Więc królowa zostaje z nami?

Kapitan przytaknął.

- Za nasze grzechy. A może z ich powodu. Dość gadania, panowie.

Zdjął z siodła młot bojowy i skinął nim na Złego Toma, który wskoczył na konia i ryknął.

Zanim zakonnica zdążyłaby zmówić Ave Maria, wszyscy siedzieli na koniach i brzęk końskich rzędów mieszał się ze szczękiem zbroi płytowych. Słońce chyliło się ku zachodowi.

\*\*\*

Gawin jechał obok brata. Znał większość ludzi, którzy byli ich przewodnikami - członków zielonej bandy Gelfreda, leśników i zwiadowców na lekkich wierzchowcach. Zobaczył, że Kołek Amy galopuje wzdłuż gęstwy z napiętą kuszą, skręca i znika.

Jego brat machnął ręką do Złego Toma i gdy kłusowali, zawołał:

- Od tej pory żadnych krzyków, rogów i trąbek.

Śmiech Toma zaskakująco długo niósł się w czystym porannym powietrzu.

Wjechali na niewysokie wzniesienie i ujrzeli dolinę wielkiej rzeki. Po harndońskiej stronie Drugiego Mostu wznosiły się dalekie urwiska.

Gelfred jechał ścieżką, jakby spotkanie zostało zaplanowane kilka tygodni wcześniej. Nie uśmiechał się.

- De Vrailly jest prawie gotów do wymarszu - zameldował. - Spóźniłeś się. - Zobaczył królową, natychmiast zeskoczył z konia i ukląkł na drodze.

Ucałował zaoferowaną dłoń. Sięgnął w zanadrze zielonego kaftana i wyjął czerwony proporzec. Był to proporzec kapitana i widniał na nim wspaniała złoty smok.

- Przywiozłem go dla króla - powiedział. - Ranald go przysyła. Nie mógł znieść, że ci łajdacy mają proporzec gwardii królewskiej.

Kapitan przewrócił oczami.

- Prawem należy do niego - dodał Gelfred.

Ostrożnie wyciągnął rękę, jakby z obawy, że się sparzy, i dotknął dziecka. Noworodek chwycił go za palec.

- Wyhodowałem piękne stado rojalistów - powiedział kapitan. - Chris, powieś go na kopii. - Spojrzał w dolinę. - Będziemy widoczni na tym grzbiecie, jeśli się stąd nie ruszymy - warknął.

Uśmiechnął się do Długiej Łapy, obecnie ser Roberta Caffela. Długa Łapa nie był ubrany jak rycerz i miał ciężki łuk na rzemieniu, czarną od oleju kolczugę i zielony kaptur długi niemal do pasa.

Wziął konia od Krótkiego Zęba, człowieka z zielonej bandy.

- Wszyscy są tam, gdzie kazałeś, kapitanie.

Kapitan machnął młotem bojowym.

- Gdyby tylko de Vrailly chciał postąpić zgodnie z naszym planem.

Pojechali w długie poranne cienie doliny.

\*\*\*

Godzinę później czekanie ich dobijało.

Komary, pierwsze tego roku, opadły ich jak biblijna plaga. Kum popatrzył z wyrzutem na Długą Łapę, sześć drzew dalej. Długa Łapa tylko wzruszył ramionami.

Gawin czuł, jak łuski na jego ramieniu poruszają się i kłują.

Obserwował swojego brata, który w skupieniu patrzył na drogę. O tej porze piał koguty i zaczynała się praca, wieśniacy wychodzili na pola i zaprzęgali woły albo konie do orki. Po kilku dniach deszczu nastąpiła piękna pogoda, więc powinni się tłoczyć na drodze i polach.

Mila dzieliła ich od Drugiego Mostu, gdzie trakt skręcał na

wschód. Po wewnętrznej stronie zakrętu wznosiło się kopulaste wzgórze. Na szczycie, niemal ukryta za wysokim żywopłotem stanowiącym naturalną linię obrony, leżała wioska Picton z dymiącymi kominami.

Na okolicznych polach nie było żywego ducha.

Po zachodniej stronie drogi teren był płaski przez kilkaset jardów, po czym stromo opadał ku rzece. Był gęsto porośnięty sędziwymi dębami i klonami, a pośrodku stare świerki wznosiły się jak maszty statków.

Jeśli uznać drogę okrążającą Wzgórze Picton za łuk, to Kum, Gawin, Długa Łapa i kapitan stali tam, gdzie na łuku znajduje się majdan, w ciemnej kępie świerków. Gawin widział drogę na strzał z łuku w obu kierunkach, niemal do Drugiego Mostu. Widział też wąską drogę do Pictonu, wznoszącą się pomiędzy żywopłotami na wzgórze jak strzała nałożona na łuk.

Nienawidził czekania w zasadzce. Po twarzy brata poznał, że też tego nie cierpi, i słyszał jego prychnięcia pełne frustracji.

Komary doprowadzały ich do szału. Trębacz Ganfroy toczył bitwę z panowaniem nad sobą. Był tak pokąsany, że spuchł mu policzek.

Kapitan znowu parsknął.

- Poddaję się - mruknął. - Nicholas, kiedy uniosę rękę, zagraj...

W żywopłocie na wzgórzu błysnęło lusterko - jeden, dwa, trzy razy.

- Psiamać - zaklął kapitan.

Pierwsi jeźdźcy ukazali się kilkaset uderzeń serca później. Byli to Albanowie, młodzi ludzie w lekkich zbrojach na rącznych wierzchowcach. Nosili barwy Towbraya i pędzili co koń wyskoczy.

Minęli kępę świerków tak blisko, że ukryci w niej ludzie słyszeli ich rozmowę.

- ...głupiec bawiący się w żołnierza - mówił ktoś w poczuciu własnej ważności. - Nie znajdziesz żołnierza w promieniu pięćdziesięciu lig.

- Na pewno nie koło mnie - szczeptał ktoś starszy. - A teraz się zamknij.

Lekka jazda przejechała.

Lusterko znów błysnęło, tylko raz.

Kapitan pokręcił głową.

- Gotuj się! - zawołał cicho.

Gawin nie znał sztandarów, które ukazały się na zakręcie o strzał z łuku dalej, nadciągając z południa. Straż przednia jechała w zwartym szyku, bardzo profesjonalnie - trzysta kopii w pełnych zbrojach. Za nimi maszerowała zwarta kolumna piechoty.

Lusterko znowu błysnęło. Sygnał był dłuższy.

- Lepiej, niż zasłużyłem - powiedział kapitan. Jego zachowanie się zmieniło. Niepokój zniknął. Uśmiechał się.

Awangarda nieprzyjaciela jechała w tempie szybko maszerującego człowieka. Galijska paplanina niosła się w porannym powietrzu.

Gawin miał czas pomyśleć, że sama straż przednia ma ogromną przewagę liczebną. Zaklął w duchu, gdyż nigdzie nie widział chorągwi de Vrailly'ego.

Ganfroy trząśł się z podniecenia. Kapitan położył rękę na jego ramieniu.

- Nic nie robimy - powiedział. - Gelfred rozpocznie taniec.

Straż przednia ich mijiała. Byli tak bisko, że Gawin widział twarze - jedne ponure, inne prostackie, wiele roześmianych. Większość wyglądała na porządnych ludzi, dobrych towarzyszy na wieczorną hulankę czy turniej.

Kapitan nigdy dotąd nie walczył w ten sposób. Nie podobało mu się, że jego wrogowie są radosnymi mężczyznami o szczerych twarzach.

Z południa napłynęły krzyki. Wiwaty. Wrzask.

- Wstać! - rozkazał kapitan.

Ludzie wstali w całym lesie. Szeregi nie były równe, a niektórzy tarli oczy, bo zasnęli pomimo kłusujących ich owadów.

Kapitan stanął tyłem do wrogów, jakby nieświadom ich obecności, obserwując las po obu stronach. Podniósł róg.

Ludzie na drodze zaczęli reagować.

Jeszcze nie byli pewni, co widzą.

Gawin poluzował miecz w pochwie i chwycił włócznię. Najbardziej pragnął podrapać się w kroczu.

I może się ukryć.

Jego brat przyłożył róg do ust.

- Teraz i w godzinę śmierci naszej - powiedział ktoś.

Róg zagrzmiał. Gdy tylko ucichł, odezwało się sto innych rogów i ryk niósł się po lesie, jakby wszyscy myśliwi w Albie ruszyli na polowanie.

Łucznicy jęli wypuszczać strzały.

Rogi grzmiały bez końca.

Gawin wciąż miał otwartą zasłonę hełmu. Zobaczył, że Kum strzela prawie płasko, a potem posuwa się o kilka kroków do przodu. Poszedł za nim. Gabriel ruszył z nimi z włócznią w rękach, Długa Łapa zaczął strzelać z bardzo bliskiego zasięgu. Mieli drogę tuż przed sobą.

Coś uderzyło w basinet Gawina, obracając go na jego głowie. Sięgnął prawą ręką, zatrzaskał zasłonę i jego kciuk zapiął ją jakby z własnej woli.

Na drodze przed nimi była galijska najemna piechota. Żołnierze mieli porządne pancerze, większość ciężką broń drzewcową i duże ciężkie tarcze.

Ale tarcze nieśli na plecach, gdy uderzyły pierwsze strzały, więc wielu martwych i rannych upadło na drogę.

Kum zrobił trzy kroki przed siebie. Obaj z Długą Łapą napięli łuki, przyciągając cięciwy do ust jak automaty. Strzały uderzyły w ciała ze strasznym młaśnięciem, jakby rzeźnik rąbał kość i mięso.

Piechota popadła w rozsypkę, żołnierze pobiegli na pola za drogą. Wielu wpadło w głęboki rów przy drodze i niektórzy już więcej się nie podnieśli.

Przed nimi trzysta kopii Du Corse'a - sześciuset opancerzonych jeźdźców - straciło kilka koni i ludzi i przypuściło szarżę jak na zawodowców przystało.

W tym czasie większa część kompanii była na samej drodze albo na jej skraju.

- Czyj to sztandar? - zapytał kapitan. - Czy to Du Corse?

Dalej na południe ryczały mosiężne trąbki.

Gawin stanął w strzemionach, żeby spojrzeć.

- Gelfred wybił wszystkie zwierzęta w taborze i teraz wozy blokują drogę - powiedział Gabriel. - Problem polega na tym, że nie mamy kopii, żeby wykończyć Du Corse'a.

Galijscy najemni łupieżcy odkryli, że w żywopłocie wokół miasteczka są łucznicy. Zaskoczeni na otwartym polu, wiosną, bez żadnej osłony, zostali zdziesiątkowani. Łuczników była niespełna setka, ale strzały padały z zabójczą celnością.

- Trąb na odwrót - rozkazał Gabriel.

- Du Corse jest w lasach - powiedział Gawin.

Jego brat pokręcił głową.

- Idziemy. De Vraily straci dzień, żeby dojść z tym wszystkim do ładu.

Ganfroy zatrąbił. Łucznicy na zachód od drogi natychmiast się ukryli.

Wielu z nich miało konie pod ręką. Inni biegli przez drogę i rów na wzgórze.

Wielu przerażonych najemników obiegło kraniec ich linii i popędziło na południe. Większość z nich zginęła powalona przez konnych łuczników.

Na lewo od Gawina na drodze pojawiło się dwunastu Galów. Nagle dołączyło do nich pięćdziesiąt, może więcej kopii.

- No cóż - mruknął kapitan i zamknął hełm.

Nell podała mu wodze i szponton.

Zarzucił nogę na siodło Ataelusa. Gawin dosiadł Bohemunda. Otoczyło ich dwunastu rycerzy, którzy nadjechali z południa.

- Na wzgórze - rozkazał Gabriel.

Galijscy zbrojni szykowali się do ataku. Spadały na nich roje strzał, ale nie stanowiły bezpośredniego zagrożenia. Tu i ówdzie trafiały konia albo zabijały człowieka, który nie miał pach osłoniętych kolczugą.

Rycerze kompanii wjechali na wioskową drogę i zawrócili, ustawiając się przodem do pościgu.

Galowie się zatrzymali.

- Dalej - mruknął Czerwony Rycerz.

- Ruszają na pole za żywopłotem! - krzyknął ser Danved.



- Zawracać! - rozkazał Czerwony Rycerz.

Ganfloy zagrał sygnał. W tym czasie mieli dwadzieścia kopii, wszystkich doborowych rycerzy w kompanii, ludzi, którzy mieli walczyć na turnieju.

Z wyjątkiem Michaela i Złego Toma.

Pokonali prawie połowę drogi wzdłuż żywopłotu.

Wreszcie Galowie ruszyli na nich. Nikt nie strzelał. Rogi od strony Drugiego Mostu brzmiały głośniej.

- Skruszmy kopie - powiedział kapitan. - Dla królowej.

- Dla królowej! - ryknęli rycerze.

Gabriel uniósł zasłonę hełmu i uśmiechnął się do brata.

- Taka powinna być wojna, prawda? Mają ogromną przewagę liczebną, a my ich atakujemy. Dwójkami. Dołączysz do mnie?

Gawin parsknął śmiechem.

- Wariat! Jasne.

- Widzisz ten mały zakręt? Widzisz ścieżkę na pole?

Nie skończył mówić, gdy pierwsi Galowie minęli to miejsce.

Gawin był doświadczony w pojedynkach, jeśli nie w tego rodzaju wojnie

- Do zobaczenia na polach - powiedział i zamknął przyłbicę.

Spiął konia, zanim Gabriel opuścił zasłonę, i zostawił go samego, pędząc wąską, chłodną alejką. Podkowy konia bojowego krzeszały iskry na białym żwirze.

Ludzie z przodu galijskiej kolumny byli gotowi, ale znacznie bardziej obawiali się strzał, które od czasu do czasu przelatowały nad żywopłotem i zabiły cennego rumaka.

Gawin w odpowiedniej chwili wsparł kopię na haku i trafił pierwszego przeciwnika. Grot złamał mu kark i jeździec ze strasznie kiwającą się głową spadł z konia.

Kopia się nie skruszyła, więc Gawin jechał dalej, wysadzając z siodła drugiego mężczyznę po prawej stronie, a potem Bohemund zderzył się z jakimś koniem i zapanował zamęt jak podczas walki psów. Galowie dorównywali wzrostem Gawinowi i mieli równie dobre pancerze. Bohemund przeniósł go obok trzeciego i czwartego człowieka...

Po dźwięku poznał, że jego brat uderzył za nim. Coś trąciło go w hełm tak mocno, że zadzwoniło mu w uszach - stracił miecz, wyjął sztylet i wbił go pod pachę przeciwnika. Bohemund sam z siebie przedarł się przez lukę w żywopłocie na świeżo obsiane pole. Młoda kukurydza była dość wysoka, żeby zasłaniać ziemię, ale oczywiście nie zapewniała żadnej osłony.

Strzała uderzyła go w naplecznik i zaklął. Skierował konia pod górę i pochylił się w siodle, mając nadzieję, że łucznicy zobaczą jego herb na tabardzie.

\*\*\*

Gabriel przebijał się przez Galów jak nitka za igłą. Wysadzał ludzi z sodeł po obu stronach, jakby na turnieju trafiał w pierścienie - i nie dosięgnął go ani jeden cios. Widział, jak Gawin znika w dziurze w żywopłocie, musnął ostrogami boki Ataelusa i przejechali - w ostatniej chwili poderwał szpic kopii i nie wysadził sam siebie z siodła, co byłoby powodem do wstydu. Przejeżdżając na drugą stronę, zdążył zobaczyć, że ser Danved i Angelo di Laternum przebijają się przez Galów.

Otwarte pole wyglądało jak inny świat. Wyjechali po południowej stronie żywopłotu, więc nie było tam zbrojnych Du Corse'a, ale nowe sztandary wlewały się na pole od południa. Ten na czele należał do hrabiego Towbraya.

Ser Bertran, La Shakle i di Laternum przejechali przez lukę. Zaraz za nimi zjawił się ser Danved z ciężkim buzdyganem w ręce, wykrzykując swój okrzyk wojenny.

Nie było gdzie się zebrać na szachownicy obsianych pól, ani też Gabriel nie chciał kolejnego starcia. Wskazał kopią w górę wzgórza.

- Naprzód! - krzyknął. - Za Gawinem!

Na polach pod nimi rycerze hrabiego Towbraya krzyknęli, przejeżdżając przez pierwszy rów. Gabriel ich obserwował. Widział, że ktoś celuje w niego z kuszy, i przez chwilę naprawdę się bał. Na szczęście bełt upadł na ziemię w sporej odległości.

Jeździec wyskoczył z żywopłotu. Zasalutował.

- Jestem ostatni, panie! - zawołał Jean, giermek ser Bertrana.

Rycerze hrabiego Towbraya - ponad pięćdziesiąt kopii - przebyli

rów i ruszyli w górę zbocza. Za nimi jechali inni, Albanowie i Galowie, w większości gorzej opancerzeni niż tamci.

Czerwony Rycerz skręcił i pojechał pod górę. Kopyta zapadały się w zoranej ziemi i jazda była trudna. Gabriel chciał jak najszybciej wjechać na szczyt, lecz dla Ataelusa był to kolejny ciężki dzień i jeździec nie chciał go zabić.

Ludzie Towbraya też mieli nielekką.

Przed największą stromizną Gabriel obrócił się w siodle. Zobaczył kopie Du Corse'a po drugiej stronie drogi, na północy. Zrozumiał, że jeśli nie przyśpieszy, odetną mu odwrót.

Ataelus parsknął ze złości i wysiłku, pokonując najbardziej stromy kawałek błotnistego pola.

- Dalej, mały - zachęcił go kapitan. - Śmiało, Ataelusie. Nie umieraj, nigdy nie miałem takiego rumaka.

Ataelus zastrzygł uszami, wyteżył siły - i byli na górze.

Miał stamtąd widok na całe pole bitwy. Ludzie Gelfreda ustawiali się wzdłuż żywoptów. Jego paziowie i łucznicy się przemieszali, a rycerze radośnie poklepywali się po ramionach.

Gabriel wziął kubek od Nell i wypił wodę. Była tam królowa i Amicja, już uzdrawiająca rannego, najwyraźniej galijskiego jeńca.

- Dzielnie się sprawiłeś, panie rycerzu! - zawołała królowa.

- Nie dość dzielnie - powiedział. - Du Corse jest bardzo dobrym kapitanem. Wyśliznął się z mojej zasadzki i teraz jego ludzie wjeżdżają na pole.

Gelfred podjechał na lekkim wierzchowcu.

- Znaleźli drugą drogę, panie - zameldował. - Przykro mi, nie dostrzegłem jej w ciemności.

Gabriel widział, że ludzie Towbraya, a także inni Albanowie i Galowie, którzy służyli pod jego sztandarem, zalewają południowe pola u stóp wzgórza jak woda z przerwanej tamy. Objeżdżali tarasujący drogę tabor. Nadciągali inną drogą, która niemal oskrzydlała wzgórze.

Gabriel patrzył z wysoka, jak jego przebiegły plan rozsypuje się w pył.

Mieli za mało ludzi.

Jednakże pomimo popełnionych błędów, poniósł znikome straty, a rycerze Towbraya nie współpracowali z Du Corse'em po drugiej stronie żywoplotu.

Królowa się uśmiechnęła.

- Czy to mój stary przyjaciel, hrabia Towbray? - zapytała. Wzięła od Blanche nowo narodzonego syna. - To Albanowie. Właśnie po to tu przyjechałam, ser Gabrielu.

Czerwony Rycerz skinął głową.

- Mamy dość łuczników. Warto spróbować, Wasza Królewska Mość. -Zwrócił się do Daniela Favora: - Jedź do ser Michaela i ser Thomasa. Powiedz im, że moja zasadzka się nie udała i są mi potrzebni na szczycie wzgórza.

Wyprawił ich na północ w lasy, żeby rozgromili wszystkich, którzy zaatakują...

- Stój! - krzyknął. - Nie, młody Danielu. Jedź do nich i powiedz, żeby spróbowali oskrzydlić Du Corse'a, kiedy ruszy do wioski.

Gawin pokręcił głową.

- Rozciągną się bardziej niż gęsi tłuszcz na wieśniaczym chlebie.

Gabriel się uśmiechnął, ale bez cienia wesołości.

- Czy kiedykolwiek przegrałem bitwę? - zapytał.

W pobliżu nie było nikogo, kto chciałby mu przypomnieć, że tak.

\*\*\*

Królowa jechała w dół wzgórza. Jak na kobietę, której wczoraj groziła śmierć w płomieniach na stosie, która miała za sobą znojną jazdę na przełaj i urodziła dziecko w stodole, bardziej przypominała boginię niż śmiertelniczkę. Jej skóra połyskiwała w słońcu, a bujne złotobrazowe włosy żyły niemal własnym życiem, gdy jechała jak centaur w skromnym płóciennym welonie.

Biała lniana suknia pokutnicy, w którą kazał ją ubrać de Rohan, teraz krzyczała o jej niewinności. Dziecko u piersi oznajmiało, kim jest jego matka - i kim jest ono samo.

Gabriel Murien wziął z ręki Chrisa Foliaka włócznię z królewskim proporcem.

- Zostań tutaj - polecił i pojechał za królową z dzieckiem.

Foliak parsknął.

- Odjeżdża moje pasowanie na rycerza!
- Daj mu spokój - mruknął ser Francis.

\*\*\*

Blisko stóp wzgórza hrabia siedział na rumaku w towarzystwie ser Christophera Crowbearda, Kita dla dobrych kompanów.

- Nie podobają mi się te żywopłoty i zaorane pola - mówił Crowbeard. - Niech de Vrilly rzuci swoich najemników.

Towbray spojrział na młodą kukurydzę pod kopytami konia. Przed nim rycerze i giermkowie pięćdziesięciu porządnym kopii zsiadli, żeby dać odpocząć koniom. Z prawej strony z lasu wychodziła liczna grupa harndońskiej milicji w czerwono-niebieskich strojach - kusznicy i włócznicy z wysokimi pawężami. Nie miał piechoty, gdyż de Vrilly ją zdziesiątkował ubiegłego lata i niedobitki zostały w dalekim Jarsayu. Nie miał łuczników, żeby ostrzelać wzgórze i poznać zamiary wroga. Jeśli żywopłot był słabo broniony...

Ale nie był.

O długi strzał z łuku dalej z luki w żywopłocie wyskoczył jeździec.

- Błogosławiona Święta Mario Magdaleno... - szepnął Crowbeard. - To królowa.

Towbray patrzył, jak królowa jedzie w dół najbardziej stromej zbocza.

Drugi jeździec wyłonił się z luki. Miał kopię, a na kopii...

Towbray z zadumą splunął na ziemię.

- Sztandar królewski.

- Ma dziecko przy piersi. - Crowbeard po chwili dodał: - Słodki Jezu panie. Ożrebiła się.

Towbray pokiwał głową.

- Siedź i patrz, Kit.

Królowa podjechała na odległość łatwego strzału z łuku, po czym ruszyła równolegle do czoła ludzi Towbraya w towarzystwie jednego rycerza. Wyjechała z uliczki przy harndońskiej milicji.

W tym czasie Galowie ze straży tylnej wreszcie przedarli się przez wozy i spanikowanych najemników tarasujących główną drogę. Wjeżdżali na pole za Towbrayem. Pół mili dalej pojawił się sztandar de Vrilly'ego.

Niektórzy z jego zbrojnych klękali.

Towbray zachichotał. Patrzył, jak królowa zawraca do miasteczka na szczycie wzgórza.

Jeździec w barwach Du Corse'a ściągnął wodze.

- Panie hrabio? Monsieur Du Corse prosi o wsparcie ataku na wioskę. Piik - ton - powiedział, wskazując wzgórze. - Rozkazuje ci kryć tę stronę drogi, a on uderzy po swojej stronie.

Hrabia ściągnął brwi na słowo „rozkazuje”, ale po chwili namysłu pokiwał głową.

- Zgadzą się.

Kurier się uklonił i odjechał, wybierając najlepsze miejsca na zaoranej roli.

- Jakie rozkazy, panie? - zapytał Crowbeard.

Towbray poruszył brwiami, czego prawie nie było widać w hełmie, ale Crowbeard znał go całe życie.

- Monsieur Du Corse mi rozkazuje... tak to brzmiało? Kryć tę stronę drogi? - Skinął głową. - Albański jest takim trudnym językiem. Nie sądzisz, że chodzi o naszą stronę drogi od tego wzniesienia?

- Chcesz zostawić Du Corse'a samemu sobie i niech się dzieje, co chce? - zapytał Crowbeard.

Towbray klasnął językiem.

- Kit, po pierwsze, nowo narodzony król Alby przejechał wzdłuż naszych szeregów i wątpię, że znajdzie się tam z pięciu chłopców z sercem do walki. Po drugie, ten galijski kutas ma czelność wydawać mi rozkazy.

- Może to jakaś ładna dziewczucha ze swoim bękartem? ~ powiedział Crowbeard, jakkolwiek bez większego przekonania.

Towbray wzruszył ramionami.

- Ruszajmy osłaniać wzgórze - powiedział.

Wysłał posłańca z rozkazem, żeby harndońska milicja ruszyła pierwsza.

Harndończycy byli tak bardzo opieszali, że w porównaniu z nimi jego ludzie wyglądali na naprawdę rwących się do walki.

\*\*\*

Gabriel oddał proporzec Foliakowi i poklepał go po

opancerzonych plecach.

- Nigdy bym w to nie uwierzył - powiedział. Popatrzył na ser Francisa, który przez lukę w żywołocie obserwował harndońską milicję.

- Niektórzy nawet krzyknęli na wiwat - dodała królowa.

Kapitan zsiadł z konia.

- Wszyscy do żywołotu! - krzyknął. - Przejechać na drugą stronę drogi. Żwawo!

Łucznicy, między innymi Trzynogi, narzekali, że muszą powyciągać strzały już wbite w ziemię, ale posłuchali rozkazu. Paziowie zmienili im konie. Dan Favor wrócił i skinął ręką na znak, że przekazał wiadomość.

Kapitan popatrzył na Francisa Atcourta.

- Zostawiam cię z twoimi kopiami i królową po tej stronie.

Atcourt się ukłonił.

- W porządku - mruknął kapitan.

Pobiegł drogą w grzechoczących, poskrzypujących trzewikach. Nie zobaczył galijskiego szwadronu straceńców gotowych zrujnować jego opracowany na poczekaniu plan.

Zostawił jednego pazia, nowego człowieka, Billa jakiegoś tam, zwербowanego rankiem w stodole, i kazał mu obserwować drogę.

- Krzyknij, gdy kogoś zobaczysz, konnych albo pieszych. Rozumiesz mnie, Bill?

Bill miał przerażoną minę; Gabriel nie wiedział, czy z powodu zbliżającej się bitwy, czy dlatego, że odezwał się do niego wielki pan.

- Masz broń?

- Nie, panie - odparł Bill powściągliwie. - Miałem włócznię, ale została z wozami, gdziekolwiek są. - Po chwili dodał: - Jestem Bob, nie Bill. Bob Twill, to ja.

Gabriel wypuścił powietrze z płuc w długim, uspokajającym wydechu. Odpiął miecz i rzucił go Bobowi.

- Nie zgub go, Bob - przykazał.

Były oracz kurczowo ścisnął broń.

Gabriel zawrócił i pobiegł na drugą stronę żywołotu.

Przeszedł przez jedną z licznych luk i zobaczył, że Du Corse

dobrze rozstawił swoich ludzi - szereg konnych w sporych odległościach jeden od drugiego, żeby stanowili gorsze cele, a za nimi dwustu pieszych zbrojnych w grupie.

Gabriel nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Podjechał jego brat i uścisnęli dłonie w pancernych rękawicach.

- Co cię tak bawi? - zapytał.

Gabriel miał ochotę go uściskać.

- Jeśli w tej chwili Towbray nie zaatakuję albo jeśli Du Corse postanowi działać pochopnie, zamiast profesjonalnie, będziemy mieli ich w garści.

- Nagle się zrobiłeś bardzo pewny siebie - zauważył Gawin.

- To przez królową. Mniejsza z tym. Chodzi o wszystkich. Najważniejsze, że nam się uda. Słuchajcie! - krzyknął Gabriel. - Du Corse jedzie na wzgórze i tam go pokonamy. W chwili, kiedy pójdą w rozsypkę, a możecie mi wierzyć, chłopcy i dziewczęta, że tak będzie, siądziemy na koń i popędzimy za nimi. Widzicie, gdzie droga na północy wchodzi w las? To punkt zborny. Nie guzdrać się. Dziesięć minut ciężkiej walki, a się wyrwiemy, obiecuję. Czy wszyscy mnie słyszą?

Krzyknęli.

- Widzicie króla? - zapytał.

Wskazał królową siedzącą na wierzchowcu pod łopoczącym sztandarem królewskim.

Ryknęli.

Gawin się roześmiał.

- Nie masz wstydu, bracie.

Gabriel się uśmiechnął.

- Wiesz co? Odeprzemy de Vrilly'ego, pojedziemy na północ i zbierzemy resztę naszych sił. - Urwał, przypatrując się Du Corse'owi, który wygłaszał mowę. - Później skorzystam z moich mocy, żeby coś pokazać mistrzowi Głogowi.

Z ust Galów popłynął gardłowy ryk.

Jeźdźcy ruszyli kłusem i po chwili przeszli w galop. Przypuścili szarżę, ale też nie byli wypoczęci i toczyli drugą czy trzecią potyczkę w ciągu kilku dni. Wiele ich koni jeszcze nie odzyskało sił po podróży



morskiej. Te nie przyśpieszyły do galopu.

Kiedy minęli prawie niewidoczną linię łuczników Kuma, posypały się na nich strzały.

Ludzie Towbraya pokonali trzecią część zbocza. Milicja się ociągała.

Gabriel wziął wierzchowca od Nell i pojechał wzdłuż żywopłotu do królowej.

- Pora ruszać, Wasza Wysokość. - Uśmiechnął się do Amicji.

Zmarszczyła brwi.

- Kochasz wojnę - stwierdziła, kręcąc głową. - To dziwny obiekt miłości.

Królowa się skrzywiła.

- Jestem gotowa jechać, dokąd tylko poprowadzisz - rzekła do swojego kapitana.

Skinął na ser Francisa.

- Kiedy zaatakujemy, ruszaj za nami. Przebijemy się i pojedziemy do Loriki.

Ser Francis pokiwał głową.

- Jakie mam szanse na lenno w Tracji? - zapytał.

- W sumie niezłe - odparł Gabriel.

Pokłusował do żywopłotu. Wszyscy łucznicy ciężko pracowali, napinając wielkie łuki, ich mięśnie pleców i ramion w kilka minut wykonywały dzienną pracę.

Kum przyciągnął cięciwę do ucha i wypuścił strzałę.

Flarach i Richard Lanthorn zawołali prawie jednocześnie:

- Dwadzieścia.

Większość łuczników miała tylko kilka strzał wbitych w ziemię i może trzy więcej za pasem.

Jeszcze nie minęło nawet południe.

Gabriel zabrał Gawina, zsiadł z konia i rzucił wodze Nell, która oddała mu włócznię.

Na polach na dole wszystko się zmieniło.

Jazda Du Corse'a była martwa albo śpieszona. Wielu wciąż atakowało, ponieważ byli szaleńczo odważni. Mężczyzna w pięknie segmentowanym napierśniku został trafiony przez sześć czy siedem

strzał, a mimo to wciąż parł do przodu. Był tylko kilka jardów dalej.

Osiełek z bliska wpakował mu w krocze czterouncjową strzałę i mężczyzna upadł, żeby skończyć w męczarniach. Ale byli inni.

Krótki strzał z łuku za nimi piechurzy nie ponieśli szwanku. Du Corse osobiście nimi dowodził. Krzyczeli, gdy szli ciężkim krokiem po wilgotnych zaoranych polach.

Pierwsi napastnicy wpadli w żywopłot - rycerz na umierającym koniu przybył pierwszy i Gawin powalił go jednym ciosem topora. Po nim przybiegło trzech pieszych i wszyscy wybrali tę samą lukę.

Była to luka Gabriela. Bitwa przestała być intelektualnym ćwiczeniem czy rozrywką. Groza i ból sprawiły, że tych trzech wrzało z wściekłości.

Czerwony Rycerz ciął ciężką włócznią i głowa pierwszego rycerza oderwała się od ciała. Tym razem wiedział, czego się spodziewać po swoim orężu, i jego broń przemknęła w niskiej gardzie po lewej stronie, szpicem w dół, i wzniosła się szybko - przecięła miecz i napierśnik drugiego człowieka, i kołnierz kolczy z setek skuwanych ogniwi, a potem szczękę i hełm, jakby człowiek wraz ze zbroją był zrobiony z masła.

Przełożył włócznię w rękach, prawą nad lewą, i dźgnął. Przeciwnik sparował, lecz nic mu to nie dało i zmarł przecięty na dwoje.

Ludzie wokół Gabriela zaczęli wiwatować.

Jemu ta walka nie sprawiła żadnej przyjemności. Przypominała oszukiwanie na egzaminie.

W dole Galowie przyspieszyli kroku, pomimo stromizny i niedalekiego błota.

Na prawo od linii wroga spomiędzy drzew wyłonił się sztandar i konni wjechali na pole.

Gabrielowi zamarło serce. Nie był to ani Zły Tom, ani Michael.

Na sztandarze widniały trzy rogate głowy w czerni na złotej krokwi i białym polu.

- Corcy! - ryknął ktoś głosem dudniącym jak grzmot.

Gabriel wsparł się na ciężkiej włóczni. Westchnął.

- Lord Corcy nas nie zdradzi - powiedziała Dezyderata. - Masz

zbyt mało wiary w ludzi, ser Gabrielu.

Wskazała ręką.

- Patrz!

Z lasu wyjechał ser Michael ze Złym Tomem, nieco na północny wschód od Corcy'ego. Mieli ze sobą wszystkich trackich rycerzy i zbrojnych. Tom Lachlan prowadził ich w swojej ulubionej formacji klina, z ciężką kopią wzniesioną nad głowę.

- Na koń! - krzyknął Gabriel. - Ganfroy, graj wsiadanego!

Znowu chciało mu się płakać, tym razem z czystej ulgi. Tylko przez chwilę.

Corcy i jego ludzie uderzyli na kraniec linii Du Corse'a. Piechurzy zostali zaskoczeni od flanki i wielu po prostu zostało obalonych, gdy natarli na nich miejscowi rycerze.

Klin Złego Toma wbił się ukosem w linię zbrojnych piechurów. Uderzył jak hebel tnący drewno i skrawał szeregi.

Na południe od linii Galów ludzie już formowali kręgi. Paziowie podprowadzali rumaki. To nie był pogrom...

W każdym razie niezupełny, ponieważ pośrodku linii kołysał się sztandar Du Corse'a.

Kapitan wskazał go młotem bojowym.

- Za mną! - ryknął i ruszył z kopyta.

Przez żywopłot przedzierali się jego rycerze, turniejowi championi, którzy towarzyszyli mu przez cały dzień. Za nimi pojawili się paziowie i łucznicy - i królowa z Blanche, i wszyscy inni, którzy mieli konie, nawet oracz Bob Twill na zapasowym wierzchowcu Blanche.

Sztandar Du Corse'a upadł. Wielki topór Toma Lachlana wznosił się i opadał, a potem góral machnął swoim straszliwym mieczem i ludzie krzyknęli. Kopia ser Michaela przypominała mocny słup ogrodzenia i każdy człowiek, którego dotknął grotem, spadał na ziemię, ranny albo martwy.

Wszystkie potyczki zlały się w jeden wir, linia pękła i wiła się niczym cienki wąż próbujący połknąć zbyt duży posiłek. Ludzie kompanii trzymali się razem i wykonywali rozkazy. Wyrwali w szeregach Du Corse'a dziurę szerokości dwudziestu kopii, zdobyli

jego sztandar i pojechali dalej.

Tom Lachlan, wyrąbawszy lukę, zsiadł z konia przy Du Corsie.

Lord Corcy przejechał obok niego i smukłym stalowym toporem uderzył w hełm rannego Gala. Ściągnął wodze i otworzył przyłbicę.

- Potrzebuję go do wymiany na moich synów - powiedział.

Ludzie Du Corse'a nie popadli w rozsypkę. Niektórzy zginęli, ale większość została tylko zrzucona na ziemię. Zebrali się przy drodze gotowi drogo sprzedać swoje życie. Dopiero wtedy zobaczyli, jak nieliczni są ich przeciwnicy, ale w tym czasie tracący stradioci zmiotli ich paziów i na trakt do Loriki spędzili fortunę w galijskich rumakach, choć byli wygłodzone i schorowane po podróży.

Sześciu łuczników, którzy tkwili uwięzieni w lasach na zachód od drogi od czasu pierwszej szarży Galów, wysmyknęło się spomiędzy drzew, dołączyło do kompanii i wsiadło na konie za plecami towarzyszy. Will Starling szczyrzył zęby, a Daud Czerwony i Comasz poklepywali gołe tyłki, pokazując je dalekim Galom.

A potem otoczyli królową - i kilku wysokiej rangi jeńców, którzy mieli zapłacić równie wysoki okup - siedli na świeże konie i pojechali na północ ku Lorice.

\*\*\*

De Vrailly podjechał do hrabiego Towbraya pod mięściną na szczycie wzgórza.

Towbray wzruszył ramionami.

- Milicja nie podciągnęła, a Du Corse rozkazał mi kryć wzgórze - powiedział. - Co mogłem zrobić?

De Vrailly popatrzył na niego z nieskrywaną pogardą.

Zebrał weteranów Du Corse'a i rozbił obóz na polu pod miasteczkiem, które kazał najemnikom oczyścić, złupić i spalić do gołej ziemi. Ale pożar szalejący w Pictonie nie podniósł morale jego armii ani nie oddał mu trzystu straconych koni.

Arcybiskup rozkazał powiesić synów Corcy'ego. De Vrailly odwołał rozkaz. Arcybiskup siedział i dyktował pismo, utrzymując, że odnieśli zwycięstwo w bitwie, i gromiąc królową jako rozpustną dziwkę, która szerzy fałszywą pogłoskę, iż urodziła następcę tronu.

De Vrailly się zdystansował. Najemni grabieżcy byli dość

zadowoleni ze spalenia Pictonu, ale galijscy rycerze gromadnie odstępowali od arcybiskupa.

Kiedy arcybiskup zasnął, de Vrailly wezwał herolda i wysłał go do Czerwonego Rycerza w Lorice.

Poszedł do swojego namiotu, gdzie giermkowie już rozstawili skromne łóżko i jego klęcznik z tryptykiem Najświętszej Marii Panny, Świętego Gabriela i Świętego Michaela. Nalał wody z przepięknie zdobionej kryształowej butelki do kubka, przeżegnał się i postawił kubek za boczną ścianką klęcznika obok prawego kolana.

Klęczał przez długi czas w zbroi, nawet bez jednej świeczki. Kolana go bolały, ale nie baczył na ból. Ignorował coraz bardziej nieprzyjemne uczucie, gdy krawędzie nagolenic stopniowo wbijały się w kolana.

Ból jest pokutą.

Chodź, piękny aniele. Mam wiele pytań i wiele rzeczy do powiedzenia.

Ból trwał, podobnie jak ciemność. Od czasu do czasu coś przerywało jego medytacje - słyszał płynący z zewnątrz głos giermka Jehana, który próbował wyjaśnić chłopcom Corcy'ego, że ocalił im życie i że powinni być wdzięczni, że żyją.

Humory arcybiskupa są infantylne.

De Vrailly pomyślał o królowej, którą widział w dali, gdy jechała po zboczu z powiewającym za nią sztandarem. Ten widok irracjonalnie nim poruszył.

Jakże łatwo uwierzyć, że jest czarownicą.

Pomyślał o królu, swoim przyjaciolem. Pod wieloma względami najbliższym przyjaciolem. Żaden człowiek w Galii nie był mu równie bliski.

Nie zdołałem go ochronić.

Nawet nie widziałem strzały, ponieważ dąsałem się w moim namiocie, ponieważ zostałem zaczarowany.

Narósł w nim gniew.

Ręce mu zadrżały i dziwny ciężar przygniótł piersi.

A potem objawił się anioł.

Unosił się nad głową de Vrailly'ego, jego jasna postać świeciła

niemal idealnym złotem, jego szaty miały nieco bledszy odcień złota, a zbroja jeszcze jaśniejszy. W prawicy trzymał ciężką włócznię, a lewej rękę okrągłą tarczę z czarnym krzyżem.

*Wezwąłeś mnie, mój rycerzu.*

De Vrailly patrzył na anioła, zmagając się ze swoim gniewem i wiarą.

*Zostaliśmy przechytrzeni przez niegodziwych czarnoksiężników, którzy pokrzyżowali nam plany. Ale wszystko jest na dobrej drodze, mój rycerzu. Wszystko idzie zgodnie z planem. Dzisiaj pokonasz wojsko królowej i jej sprawa legnie w gruzach. Zabijesz jej obrońcę...*

De Vrailly zdołał się opanować. Uniósł głowę i spojrzał w oczy anioła.

- Słyszałem, że król Galii został pokonany w wielkiej bitwie pod Arelatem - powiedział.

*To obecnie nie ma znaczenia - rzekł anioł. - Ty będziesz królem, tutaj.*

De Vrailly podniósł się z klęczek. Prawą ręką sięgnął po mały srebrny kubek i ruchem nadgarstka wylał wodę święconą na anioła.

Spowił go czarny ogień. Z wrzaskiem otrząsnął się - i znowu był cały, złoty i piękny, bez wyrazu na spokojnej, rozkazującej twarzy.

*To było dziecinne.*

De Vrailly stał z dłonią na rękojeści miecza.

- Arcybiskup mi mówi, że jestem dzieckiem.

*Daj spokój, mój rycerzu. Wyznam, że zawiodłem na turnieju. Dałem się zaskoczyć rozwojowi wypadków. Czarna wiedźma, która mnie gnębi, zyskała przewagę pod wieloma względami. Błagam o wybaczenie, śmiertelniku, mnie też można wprowadzić w błąd, a nawet zranić.*

De Vrailly rozmyślał o tym, co właśnie widział.

- Czy przez czarną wiedźmę rozumiesz królową? - zapytał ostrożnie.

*Nie sądzę, żeby ta linia wypytywania przyniosła ci pociechę, mój rycerzu.*

*Ale tak, mam na myśli królową i pełną złej woli istotę, która ją chroni i która ją podżega, sukuba z piekła rodem.*

De Vrailly bardzo chciał wierzyć w słowa anioła. Balansował na nieskazitelnym, zadającym męki ostrzu noża.

- Sądzę, że ty zabiłeś króla. Sądzę, że manipulujesz przebiegiem

wydarzeń. Sądę, że byłem twoim pionkiem. - Rzucał słowa jak ciosy w walce na śmierć i życie.

Jego głowę zalewały wątpliwości; teraz mógł dowodzić swoimi wątpliwościami jak wojskiem, podczas gdy wtedy, kiedy anioł mu się objawił po raz pierwszy, nie mógł nawet oddychać. Woda święcona coś zmieniła.

A jednak archanioł wyglądał jak uosobienie jego pragnień. Jak wszystko, czego pragnął od tego świata i od Boga.

*Myślę, moje dziecko, że byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś przepędził te wątpliwości i robił to, do czego zostałeś stworzony Szkada, że nie widzisz, że cały świat jest cieniem, że istnieje wiele prawd i wiele rzeczywistości. Ale dla ciebie musi być tylko jedna rzeczywistość. Jeden świat, jeden duch. Królowa jest czarownicą, która dopilnowała, żebyś stracił swoje prawowite miejsce jako obrońca króla, i manipulowała wypadkami, żeby król zginął. Niezmordowanie pracowałem, żeby cię bronić...*

- Nałożyłeś magiczne osłony na mnie i na moją zbroję? - zapytał de Vrailly.

Anioł milczał. Pauza była tak krótka, że prawie nieistniejąca, a jednak dla de Vrailly'ego, który przywykł, że anioł czyta mu w myślach, wydawała się długa.

*Nigdy nie zrobiłbym niczego, żeby uniemożliwić ci okrycie się chwałą, na którą zasługujesz. Przestań, mój rycerzu. Ruszaj naprzód i podbijaj swoich wrogów. Jutro królowa przyśle kogoś z wyzwaniem na pojedynek. Pokonaj go, zabij, a będziesz tutaj panem. Te wątpliwości tylko cię dezorientują. Nadszedł czas zemsty.*

De Vrailly osunął się na kolana.

W środku nocy harndońska milicja oderwała się od armii i odmaszerowała.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### Kompania

Zły Tom i ser Michael, Długa Łapa i Gelfred narzucili mordercze tempo, popędzając ludzi jak demony z piekła. Kapitan był wszędzie, na tyłach i na czele kolumny od chwili, gdy wyjechali z tunelu utworzonego przez drzewa i ruszyli na północ, drogą do Loriki.

Zwołał oficerów i odbyli krótką naradę w siodłach. Był zwięzły, dzieląc ich małą siłę na awangardę pod komendą lorda Corcy'ego z jego rycerzami, miejscowymi, znającymi drogę i okoliczne tereny, na trzon pod wodzą Gawina i straż tylną dowodzoną przez Toma Lachlana.

Dwa razy Michael i Tom z łucznikami i tuzinem rycerzy skręcili z drogi, żeby urządzić zasadzkę w lesie, ale pościg im nie groził. O trzeciej po południu Gelfred zawrócił na zwiady ze swoimi pięcioma najlepszymi ludźmi - Willem Szkarłatnym, Danem Favorem, Kołkiem Amy, Krótkim Zębem i Daudem.

Popołudnie mijало w mgle pyłu, blasku słońca i zapachu końskiego potu.

- Stać! Zmienić konie! - ryknął Zły Tom i mieli pięć minut.

Bob Twill nauczył się jeść, jednocześnie trzymając wierzchowca. Nauczył się sikać, jednocześnie trzymając wierzchowca.

Najgorsze ze wszystkiego: nauczył się jeździć konno.

Zdawało się, że królowa rośnie z każdą przebytą milą - robiła się głośniejsza, większa, szczęśliwsza. Jechała pylistą drogą z dzieckiem w ramionach, po oksytańsku i galijsku śpiewając pieśni o rycerzach i miłości. Jej śpiew działał jak balsam i kiedy podjeżdżała do znanych sobie ludzi, śpiewali *Prendes* i *Garde* albo *C'est la fin quoi que nus die*, aż lasy rozbrzmiewały śpiewem.

Lady Blanche, zwana tak przez wszystkich w uniesieniu, które panowało po zwycięstwie, jechała obok Boba Twilla. Na jej ślicznej twarzy malowało się zdenerwowanie na królową, która co rusz ją pouczała, jak ma poprawnie siedzieć w siodle i jak trzymać wodze.



Mimo złości myła dziecko i je przewijała, a w pewnym momencie podczas trzeciego popasu, w chwili rozdrażnienia zwinęła brudne ręczniki i cisnęła je w krzaki.

- Wstydz się! Płócienne ręczniki są takie drogie! - Kapitan stał tuż za nią na skraju lasu.

Poczerwieniała.

- Przepraszam, panie.

- Nie musisz. To najbardziej ludzka rzecz, jaką u ciebie widziałem przez cały dzień. - Rzucił jej jabłko. - Toby! - krzyknął.

Toby zjawił się ze sztandarem kapitana. Jechał konno, chociaż pozostali zsiedli.

- Czysta koszula - powiedział kapitan. - I mój ręcznik. Daj je lady Blanche.

Toby nie zadawał pytań. Sięgnął za bojowe siodło do małego skózanego kuferka. Wyjął płócienną koszulę, która pachniała lawendą, i lekko zabrudzony wilgotny ręcznik.

- Używałem go dziś rano po goleniu - wyznał kapitan.

Blanche zwróciła uwagę na piękno koszuli - pikotki na mankietach, wyhaftowany herb, drobne, staranne szwy, równie dobre jak spod jej ręki albo jeszcze lepsze.

- Do czego to, panie? - zapytała.

- Podrzyj koszulę na pieluchy - odparł. - Ręcznikiem możesz wytrzeć ręce do czysta, nim zaczniesz jeść jabłko. - Uśmiechnął się.

Tak zrobiła, a potem rzuciła mu ręcznik, jakby byli równi sobie. Złapał go i cisnął Toby'emu, który się wzdrygnął.

- Boisz się odrobiny niemowlęcej kupki? - zapytał kapitan.

Toby poczerwieniał jak burak. Ciasno zwinął ręcznik i utknął za siodłem, jakby się bał choroby.

Kapitan uśmiechnął się do Blanche i pojechał wzdłuż kolumny.

\*\*\*

O zmroku Michael i Tom zaczęli przeklinać, ale kapitan był spokojny i radosny. Bob Twill zasnął i został tam, gdzie stanęli na popas. Zły Tom zawrócił i nastraszył go tak, że o mało się nie zsiął w gacie, po czym kazał mu sięść na zdżożonego konia.

Kot Evil, nigdy niebędący najlepszym jeźdźcem, poskarżył się na

tempo i stracił dzienny żołąd.

- Miau, miau, miau! - ryknął Zły Tom. - Dziecko się śmieje, nie płacze, a wy, starzy wyjadacze, kwilicie jak ośeski. Jedna mała potyczka i kilka godzin w siodle... - Roześmiał się. - Wytrząśniemy z was tłuszcz.

Kot Evil, który był chudy jak dziewczyna, a nadto miał długie włosy i wredne usposobienie, położył rękę na nożu.

Tom znowu się roześmiał.

- Skoro masz jaja, żeby mi się stawiać, w takim razie jeszcze nie jesteście zmęczony. Zamknij dziób i jazda.

Większość starszych się spodziewała, że przystaną o zmierzchu. Nawet Kum, który jako oficer i zaufany starał się nie okazywać irytacji na tempo jazdy, pomrukiwał, że wobec braku pościgu i niebezpieczeństwa to niepotrzebne okrucieństwo.

Ser Michael ściągnął wodze.

- Nie sądzisz, Kum, że być może kapitan wie coś, o czym ty nie masz pojęcia?

Kum miał urażoną minę, jak dobry pies myśliwski niesłusznie oskarżony o kradzież jedzenia. Ale trzymał język za zębami i nie dołączył do jawnego buntu Osiełka, kiedy jechali w księżycowej poświacie.

- Jedziemy do samej Loriki? - zapytał Michael.

Ser Gabriel jeździł wzdłuż kolumny. Podczas gdy Tom i Michael kpili i używali przymusu, żeby zmusić ludzi do jazdy, on był przyjacielem wszystkich.

Na razie. Uśmiechnął się do Michaela, jego białe zęby zalśniły w poświacie.

- Patrz przed siebie - powiedział.

W dali katedra Loriki wznosiła się nad murami miasta, które połyskiwały jak biały etruski marmur. Tuż przed nimi płonęły ogniska.

Pomachał ręką i zawrócił konia - czwarty raz tego dnia kłusując na tyły kolumny.

- Mniej niż godzina, przyjaciele! - zawołał.

\*\*\*

Zwiadowcy przywitani ich spory kawałek drogi przed murami milczącego miasta. Ser Ranald objął swojego kuzyna, zsiadł z konia i ugiął kolano przed królową i jej synem.

Królowa podała mu rękę.

- To byłeś ty... w ciemności.

- Nie tylko ja, Wasza Królewska Mość. Ale tak, byłem tam.

Uśmiechnęła się w blasku księżyca i po raz pierwszy, odkąd Gawin ją znał, wydała się starsza, z bruzdami wokół ust i zmarszczkami pod oczyma. Nie stara - po prostu przestała być ucieleśnieniem młodości, którym była tego popołudnia, gdy jechała w cętkowanym świetle słońca.

- Będiesz dowodzić gwardzistami mojego syna? - zapytała.

Ranald wyszczerzył zęby.

- Mam ich tutaj więcej niż połowę. - Machnął ręką w stronę obozu.

Ser Gabriel zakazał jakichkolwiek ceremonii.

- Chyba że Wasza Królewska Mość osobiście odwoła moje rozkazy - powiedział. - Wszyscy mają iść spać.

Nagle lady Almspend - dla królowej Becca - zjawiała się u boku Ranalda i nastąpiły kolejne powitania. Królowa niemal wpadła w ramiona przyjaciółki.

A kapitan niemal wjechał pomiędzy nie.

- Wybacz, pani, mam tu dwustu ludzi, którzy dzisiaj dla ciebie walczyli, i teraz chcą spać.

Królowa się wyprostowała.

- Oczywiście, wybacz mi bezmyślność. Naprzód!

Ale pomimo napomnienia mężczyźni i kobiety byli ożywieni, gdy kolumna wjechała do obozu. Blanche była zaskoczona, gdy zobaczyła, jak uporządkowany jest pozorny chaos. Przy bramie z dwoma paziami, którzy trzymali pochodnie, stała Sukey, którą wcześniej miała za piękną markietankę albo może kochankę Czerwonego Rycerza. Kobieta wyczytywała, kto jest przydzielony do którego namiotu. Kiedy podjechał Tom Lachlan, Blanche była niedaleko za nim. Zbyt blisko. Sukey zaszczyciła go uprzejmym uśmiechem.

- Nie mój namiot, ser Tomie - powiedziała.

Skrzywił się.

- Znajdziesz Donalda Dhu i wszystkie jeszcze niesprzedane krowy o długi strzał łuku na zachód stąd, przy rzece - dodała.

- A jeśli nie chcę jechać dalej, kobieto? - zapytał.

Potrząsnęła włosami.

- Jest miejsce w rowie za płotem. Następny!

Ulokowała królową w namiocie kapitana, na łóżku jego ojca, i czekała, aż jej służąca, wysoka blondynka, wyjdzie z naręczem mocno pachnących płócien.

- Mam dla ciebie pryczę, jeśli chcesz się przespać. Daj to wszystko jednej z moich dziewczek. Chodź. - Sukey odeszła w kierunku ognisk.

Ci sami mężczyźni - i kilka kobiet - którzy psioczyli na walkę i całodzienną jazdę, teraz siedzieli przy ogniskach, popijając wino i gawędząc. Dwunastu rycerzy zakonnych słuchało relacji ser Michaela o zasadzce. Dwie zakonnice szczotkowały włosy siostrze Amicji.

Przeor Wishart, znany jej z dwóch dni w obozie, prowadził poważną rozmowę z kapitanem, który dał jej znak „nie teraz”. Sukey poszła dalej, z Blanche depczącą jej po piętach, i poprowadziła ją wokół ognia, który stał się ośrodkiem rozmów, a tym samym nie pracy, do głównej linii ognisk. Tam, pomimo późnej pory, dwadzieścia kobiet i kilku mężczyzn podgrzewało wodę, gotowało, prało...

- Anne Banks! Oderwij nos od jego interesu i chodź tutaj! - wrzasnęła Sukey.

Młoda kobieta, która całowała się z młodym mężczyzną, podeszła nadaśana i udręczona.

- Anne jest pomywaczką i będzie robić, co każesz, przez większość czasu - powiedziała Sukey. - Annie, to Blanche, przyjaciółka królowej. Ma mnóstwo płócien do prania.

Annie wyglądała na krnąbrną. Blanche dość dobrze znała osoby jej pokroju. Uśmiechnęła się i pocałowała młodszą kobietę w policzek.

- Dla dziecka, panno Anne. Nie spodziewam się, że będziesz prała moje rzeczy. - Roześmiała się. - Poza tym nie mam żadnych rzeczy.

Annie pokiwała głową.

- Dla dziecka? - Bez sprzeciwu wzięła całe naręcze. - Dla... króla?

- Jego gównem śmierdzi tak samo jak każdego innego dziecka - zauważyła Sukey. - Anne Banks, jeśli położysz się z tym chłopakiem i będziesz miała z nim dziecko, skończysz jako pospolita dziwka.

- Co wydaje się cholernie lepsze niż pralnia. I pracuje się na leżąco - odpaliła Anne tonem, jaki miał na celu rozwścieczyć jej przełożoną.

Sukey uderzyła ją otwartą ręką.

- Nie bądź głupia - warknęła. - Chcesz posłuchać, co to znaczy być dziwką? Pogadaj z Pyskatą. Przepraszam, lady Blanche.

- Nie jestem damą - powiedziała Blanche. - Tak mnie tylko nazywają. Sukey już tuliła Anne do piersi.

- Przepraszam, ale nie masz mamy, żeby cię uczyła. Masz tylko mnie.

- Uderzyłaś mnie! - zawodziła Anne.

Sukey mrugnęła do Blanche nad głową Anne.

- Obie mamy podobne figury - powiedziała. - Chcesz trochę ubrań? Blanche po namyśle postanowiła się zgodzić. Odmawianie wydawało się głupie.

- Tak. Nie mogę zapłacić.

Sukey się uśmiechnęła. Był to dziwny uśmiech, jakby wiedziała coś, o czym Blanche nie miała pojęcia. Prawdopodobnie tak było.

Ktoś zawołał od bramy:

- Sukey! - Głos zabrzmiał niczym ryk wielkiego rogu.

- Przeklęty człowiek - mruknęła Sukey. - Anne, przepierz te rzeczy i zanieś je do... - Spojrzała na Blanche. - Chyba to jej *casa*, dwadzieścia cztery R dwa.

- Co to znaczy? - zapytała Blanche.

Anne bez kręcenia nosem zabrała płótna i dygnęła, jakby Blanche rzeczywiście była damą. Blanche odpowiedziała lekkim ukłonem. Było tu trochę jak w pałacowej pralni.

- Dwadzieścia cztery R dwa to dwudziesty czwarty namiot drugiego kaprała czerwonej bandy - wyjaśniła Sukey, już w drodze. - Pokażę ci.

- Sukey! - zawołał ktoś niskim głosem.
  - Zabiję go. Wiesz, w Gospodzie Dormling pokładał się z inną, a teraz myśli, że może tu robić, co tylko...
  - Suuu-key!
- Blanche, zawsze powierniczka prawie wszystkich innych, zachichotała.
- To Zły Tom?
  - Tak - odparła Sukey. - To Zły Tom.
  - Jest bardzo przystojny. - Blanche nie pomyślała o tym wcześniej, ale sam ogrom Toma robił wrażenie.
  - Zgadza się, i o tym wie, diabelskie nasienie. - Sukey szybko szła przez zaciemniony obóz. - Widzisz namiot kapitana? Nie, tam. Widzisz. Czerwone flagi.
  - Widzę.
  - Wszystkie kopie jego świty są rozlokowane w jednej linii, rycerze z przodu, potem zbrojni, paziowie i ciury. Rozumiesz? R dwa to ser Francis, najmilszy pan, jakiego w życiu spotkasz. Dwudziestka czwórka to zapasowy namiot na tyłach obozu. Przejdę dokoła, żebyś mogła zobaczyć, jak i dlaczego. Widzisz? I widzisz ogniska?
- Blanche z trudem przełknęła ślinę.
- Tak. Tyle namiotów!
- Sukey się roześmiała.
- Skarbie, zaczekaj, aż zobaczysz całą kompanię, wtedy będzie ich prawie pięćset. Armia! Chryste i wszyscy święci, można się zgubić, gdy wyjdiesz poszukać miejsca, żeby się wysikać.
  - Suuuk-keey!
  - Robi z siebie głupca - skomentowała Sukey. Wyglądała na bardzo zadowoloną. - Chodź do mojego namiotu, dam ci suknię i parę koszul.
  - Nie chcesz położyć się spać?
- Sukey się zaśmiała i oblizała usta.
- Wątpię, czy Złemu Tomowi sen chodzi po głowie. Walczył. - Wyszczrzyła zęby. - Walka sprawia, że myśli tylko o jednym. Chodź, nie mam zamiaru kazać mu czekać.
- Szły skomplikowaną trasą pomiędzy niezliczonymi rzędami

białych namiotów, które w księżycowej poświacie białały jak zęby potwora, jak nagrobki na cmentarzu. Blanche się zgubiła, gdy tylko straciła z oczu dwa czerwone proporce kapitana.

Wyszły na ulicę szeroką na pół strzału z łuku.

- Rząd oficerów - wyjaśniła Sukey. - Widzisz, znowu widać namiot kapitana. Orientujesz się?

Blanche pokręciła głową.

- Dobrze, nieważne. Tu jest mój mały domek.

Domem Sukey był wóz z namiotem na skrzyni. Zapaliła magią świeczkę z taką łatwością, jakby pocałowała swój kciuk.

- Nie mam talentu mojej matki, ale znam kilka sztuczek - wyjaśniła.

W blasku świeczki Blanche mogła lepiej się jej przyjrzeć. Była piękna, z bujnymi czarnymi włosami, zadartym nosem, piegami i jasnymi oczami, które wyglądały nieprawdopodobnie w jej twarzy - duże i pełne humoru, kłócące się z nosem i ustami. Nosiła ładną suknię ze spódnicami podkasanymi na tyle wysoko, żeby pokazywać kostki, i z dopasowanym stanikiem, który podkreślał jej figurę. Była zgrabna jak ona.

Dwie kobiety przypatrywały się sobie wzajemnie.

- Myślę, że będzie na ciebie pasować - osądziła Sukey. Otworzyła kufer na wozie. - Czerwona?

- Nie ośmielę się - powiedziała Blanche.

- Kapitan się tym nie będzie przejmować. To jego ulubiony kolor.

- Służę królowej. Czerwień jest barwą króla.

- No tak - mruknęła Sukey, jakby nie była zainteresowana tematem. - Ładny ciemny brąz?

Podniosła suknię z bocznym sznurowaniem i głębokim dekoltem.

Blanche zagwizdała.

- Piękna tkanina.

- Mama uszyła ją dla mnie w Morei - wyjaśniła Sukey. Objęła Blanche w talii. - Jesteś równie smukła jak ja. Weź brązową, nigdy jej nie noszę. Kiepsko w niej wyglądam. Ty masz odpowiedni kolor włosów.

Wyjęła z kosza dwie koszule.

- Mogę ci je dać. Nie mam pończoch, sama będę miała gołe nogi, dopóki nie dotrzemy do Albinkirku.

Blanche ją uściskała i pocałowała.

- Jesteś prawdziwą przyjaciółką.

- Siostró, kobiety w wielu sprawach muszą być przyjaciółkami. - Sukey się roześmiała. - Poza tym niedługo poproszę cię o przysługę.

- Su-key! - Usłyszały ryk prawie przy wozie.

- Idź do burdelu! - burknął ktoś ze złością.

Blanche wzięła swoją cenną garderobę i zeskoczyła z wozu na ziemię.

- Dzięki! - krzyknęła.

- Tu jestem, wielki wole - burknęła Sukey.

- Mam coś dla ciebie - powiedział Zły Tom.

- Dwie ladacznice, żeby odwały za mnie brudną robotę? - palnęła.

- Nie bądź taka, kobieto.

Blanche zakryła uszy i zachichotała.

- Jaka? Złośliwa, wściekła jak kot w przeręblu? - zapytała Sukey.

Tom się roześmiał.

- Tylko udajesz.

- Przekonaj się, Tomie - warknęła.

- Wyzywasz mnie? - zapytał Tom i ryknął śmiechem.

Blanche wydłużyła krok.

Biegła, uciekając przed wymianą zdań.

Przystanęła dla złapania oddechu i stwierdziła, że pobiegła w złą stronę - a może nie. Obracała się i po chwili rozeznała w okolicy - sztandary kapitana, jego namiot, pobliskie ogniska.

Konała z głodu. Podeszła do ognia, gdzie kwadrans wcześniej siedziało tyle osób. Teraz zostało tylko kilku mężczyzn. Siostra Amicja i jej zakonnice zniknęły.

Toby rozmawiał z kapitanem.

- Będę potrzebować pomocy, żeby znaleźć im miejsca - mówił.

Ser Gabriel pokręcił głową.

- Nie mogę zarządzić pobudki.

Blanche podeszła do nich śmiało.



- Paziowie nie śpią przy ogniskach - powiedziała.

Toby wzruszył ramionami.

- To półgłówki i gamonie...

Ser Gabriel położył rękę na jego ramieniu.

- Jestem ci potrzebny? - zapytał.

Toby odsunął się w pośpiechu.

- Nie, nie, panie. Idź spać.

Ser Gabriel skinął do niej głową.

- Mogę pomóc? - zapytała.

- Zabraliśmy konie z turnieju i jeszcze więcej pod koniec dzisiejszej walki. Jeszcze do nikogo nie należą, więc wszystkie po prostu się kręcą na końcu konowiazu. Toby jest zbyt solidny, żeby zostawić je samym sobie, i zbyt zmęczony, żeby jakoś temu zaradzić. - Popatrzył na nią. - Co tam masz? - zapytał. Podał jej kubek pełen słodkiego wina.

Wypiła bez jednej myśli.

- Psiamać, znowu to zrobiłaś!

- Wybacz, panie. Sukey się mną zajęła, dała mi suknię i koszulę. - Urwała. - Kobięce pogaduszki.

- Lubię kobiety. Zwłaszcza takie jak Sukey, która umie zrobić wszystko, co trzeba, mając do pomocy mniej ludzi niż ktokolwiek inny. Ma listę na każdą okoliczność. - Uśmiechnął się. - Tom ją znalazł?

- Kiedy tego chciała - odparła Blanche i się skrzywiła.

Ser Gabriel parsknął śmiechem. Znalazł butelkę i napełnił kubek.

- Zamierzam być nieuprzejmy i trochę wypiję, zanim cię poczęstuję.

Blanche uśmiechnęła się do niego.

- Powinieneś iść spać, panie.

Wyciągnął nogę i usiadł oparty plecami o siodło bojowe. Podał jej kubek. Wskazał swoją pelerynę, dużą czerwoną pelerynę, którą widziała przytroczoną za siodłem.

- To moje łóżko - powiedział nieco ostrym tonem. - Sukey oddała mój namiot królowej i jej dziecku, a teraz zabawia się z Tomem.

- Ja mam namiot - zaproponowała Blanche i niemal przygryzła

wargę ze zdenerwowania.

Cisza trwała zbyt długo - jakieś dziesięć uderzeń serca.

- Nie jestem pewien, jak chcę na to odpowiedzieć - powiedział i pocałował ją bez chwili wahania.

Nie potrafiłaby wyjaśnić, jak i kiedy przy nim uknęła.

Blanche niejedną raz się całowała, ale nigdy nie posunęła się dalej. Wstydziła się tego, co przemknęło jej przez głowę, zanim pozwoliła się porwać czarowi pocałunku. Niektóre z tych myśli były bardzo praktyczne.

Chwyciła go za rękę i całowała. Miała ochotę się roześmiać.

Kłoda strzeliła w ogień i Toby chrząknął, bardzo cicho.

- Gelfred, panie - szepnął.

Jednym ruchem poderwał czerwoną pelerynę i zarzucił ją na Blanche, gdy ser Gabriel płynnie się podniósł.

Blanche leżała okryta czerwoną wełną, jej serce biło szybko jak kopyta galopującego konia.

- Droga jest czysta do Drugiego Mostu - zameldował ser Gelfred. - Pochwyciliśmy herolda, który twierdzi, że wysłał go do ciebie de Vrailly. Założyłem mu opaskę na oczy.

- Dobra robota. Rankiem wyślij go do lorda Corcy'ego, Gelfredzie. De Vrailly będzie chciał wymienić jego synów na Du Corse'a. - Zaśmiał się. - Myślisz, że są spokrewnieni? Du Corce i Corcy?

- Nigdy nie poświęciłem temu jednej myśli - odparł Gelfred. - Widziałem Alkajosa przy bramie. Jemu też będziesz potrzebny.

Blanche skrzywiła się w duchu. Miała mętlik w głowie. Ile? Ile wypił? Być może tak naprawdę wcale jej nie chciał. Pragnął królowej - tak to się działo. Równy z równym. Arystokrata z arystokratą.

Ale pocałunek był wyjątkowy.

\*\*\*

Gabriel był dojmująco świadom obecności młodej kobiety, która leżała pod peleryną dziesięć stóp dalej w migotliwym świetle ognia. Rzucił spojrzenie Toby'emu.

Toby odszedł.

Co ja sobie myślałem? Wszak ona raczej nie jest światłem miłości.

Czy tego chcę? A może chodzi tylko o to, czego Tom chciał dla mnie?

Usłyszał tętent kopyt. Gelfred położył dłoń na rękojeści długiego miecza.

Gabriel rozpoznał przybysza po dosiadzie - miał krótsze strzemiona w moreańskim stylu.

- Alkajosie! - zawołał. - Nie widziałem cię od dwóch dni i czułem się jak ślepiec.

Moreański rycerz, ubrany w prosty kaftan i buty z cholewami jak każdy posłaniec, przerzucił nogę nad lekkim siodłem i zeskoczył na ziemię. Jego drobna klacz zwiesiła głowę i zabrała się do jedzenia. Była prawie zajeżdżona.

Pojawił się Toby z Nell, która sprawiała wrażenie wściekłej jak żmija. Zdawało się, że prowadzą ducha - nieśli pomiędzy sobą stertę prześcieradeł.

- Zmusza mnie, kurwa, do roboty w środku nocy.... - syczała. Zobaczyła kapitana i stanęła.

- Właściwie nie pracowałaś - dociął jej Toby.

Alkajos chwycił zaproponowany mu kubek i wypił wino.

- Jedni wolą kompanię piechoty, drudzy flotę statków, a jeszcze inni jazdę - powiedział po archaicku. - Ja nad to wszystko przedkładam dobry wywiad.

- Niezupenie to miała na myśli Safona - skomentował Gabriel ze śmiechem.

- Jesteś gotowy? - zapytał Alkajos. - Wszystko diabli wzięli.

Toby i Nell rozstawili składaną drewnianą ramę i zaczęli ją obwieszać prześcieradłami.

Alkajos popatrzył na nich z zainteresowaniem.

- Naprawdę robicie pranie w środku nocy? - zapytał. - I jak się ma słodka pani praczka? Co za piękność.

- Co za gadka - mruknął Gabriel z nadzieją, że zejdzie z tematu. Alkajos się roześmiał.

- Ma olej w głowie. Podoba mi się. Ha... w każdym razie, ptaki przylatują jeden za drugim, wiadomość napływa za wiadomością. Pierwsza od naszego drogiego przyjaciela w Harndonie.

Wyciągnął złożony kawałek pergaminu. Gabriel go rozłożył i przechylił ku płomieniom, żeby lepiej widzieć. Rozpoznał pismo Kronmira.

*Miasto będzie nasze, kiedy tylko zechcemy. Arcybiskup zatrudnia potężnego czarnoksiężnika, mistrza Gillesa. Powiedz słowo, a się go pozbędę. Jestem teraz szefem wywiadu arcybiskupa. Krążą wieści, że Galowie srogo ucierpieli, walcząc z Dziczą w Arelacie. Etruscycy i hoeccy kupcy panikują.*

*Jestem przekonany, że Jego Eminencja utrzymuje kontakty z naszym drugim wrogiem.*

*Tutejszy faktor mi powiedział, że cesarz planuje osobiście ruszyć w pole. Czekam na rozkazy. Bardzo trudny, ale fascynujący problem, czyż nie?*

Gabriel napił się wina.

- Czytałeś - powiedział.
- Dziesięć razy - potwierdził Alkajos. - Ufasz mu?
- Tak - odparł Gabriel.

Alkajos poruszył ustami, co sugerowało, że kapitan jest naiwny i że może nie powinien przebywać sam po zmroku.

Zjawił się Toby.

- Robi się zimno - powiedział i zarzucił kapitanowi czerwoną pelerynę na ramiona.

Gabriel zrozumiał wiadomość. Chłopcze, jesteś najlepszym giermkim wszech czasów, pomyślał.

Wciągnął powietrze, mając nadzieję, że poczuje jej zapach, który powinien zostać na pelerynie, ale poczuł tylko koński pot i dym.

Chcę jej.

Matka byłaby taka dumna. Pal ją diabli.

Wciąż na długie minuty zapominał, że matka nie żyje, i teraz poczucie straty uderzyło go niczym pięść w brzuch.

- Stało się coś złego? - zapytał Alkajos.

Gabriel wzruszył ramionami.

- Ufam mu, ponieważ dzięki mnie ma okazję brać udział w większej grze. W największej.

Alkajos pokiwał głową.

- Dobrze się znasz na ludziach.
- A cesarz? - zapytał Gabriel. Był bardzo zmęczony.

- Cesarz zostawił córkę Irenę w Liwiapolis ze szcztątkową strażą, a sam z ser Milusem mija Middleburg. - Alkajos wziął kubek od Gabriela i się napił.

Niedawno Blanche piła z tego kubka...

Och, Amicjo, czy jestem taki niestały?

Ale powiedziałaś nie. Mówiłaś to zbyt często.

Wiem, że nie mówiłaś na poważnie.

A może tak.

- Więc możemy wziąć Harndon za plecami de Vrailly'ego.

- Nie sądzę, żeby to on dowodził - zaznaczył Alkajos.

Toby rozłożył za nim składany stołek i moreański rycerz usiadł. Nell postawiła drugi stołek za Gelfredem.

- Myślę, że teraz dowodzi arcybiskup. De Vrailly jest... nie jest sobą. - Alkajos wzruszył ramionami. - W każdym razie arcybiskup wezwał pospolite ruszenie z całego Jarsayu, Albiny i Brogatu. Stanął przy Drugim Moście i umacnia obóz.

Gelfred pokiwał głową.

- Te informacje pasują do tego, co wiem od moich ludzi. Złapaliśmy dezertera, który powiedział, że arcybiskup rozkazał powiesić synów Corcy'ego, ale de Vrailly odwołał rozkaz.

Gabrielowi przyspieszył puls.

- Czy de Vrailly przeszedłby na drugą stronę?

Alkajos pokręcił głową.

- Może, gdyby Kronmir mógł osobiście nad tym popracować. Wymagałoby to ogromnej delikatności i wielkiej... jak wy to mówicie? Osłody. Ten człowiek jest potworem. Ale nie. Nie tu i nie teraz. - Uniósł rękę. - Musimy patrzeć na północ.

Obaj z Gelfredem chwycili narożniki prymitywnej mapy.

- Wybacz mi, że przekażę złe wieści. - Alkajos ostrożnie położył rękę na ramieniu kapitana.

Gabriel skinął głową, zachęcając go do mówienia.

- Czarnoksiężnik zajął Ticondagę. Jego siły rosną z dnia na dzień, ściga do niego północna Dzicz. - Wzruszył ramionami. - Ser John Crayford i ser Ricar są z północną armią w Broadalbinie na północ od Albinkirku. Przyjęli tych, którzy ocaleli z Ticondagi, łącznie z twoim

bratem Eneaszem. Księżna i hrabia zginęli podczas oblężenia. Przykro mi - dodał po chwili.

- Już o tym wiem, ale rano trzeba będzie powiadomić Gawina. Mówiłem mu, co czułem w eterealu. Będzie rad, że choć Eneasze przeżył. - Gabriel spróbował się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło. - Ja też będę rad, kiedy znajdę w sobie trochę radości.

- Przybył cesarski kurier od ser Johna. Ser John ma czterysta kopii i wzywa chorągwie z hrabstw, ale nie będzie próbował urządzić bastionu na odludziu. Chce, żebyśmy wiedzieli, że walczy codziennie.

Gabriel spróbował to wszystko ogarnąć rozumem. Jeśli Głóg był w Ticondazie i miał ze sobą wszystkie stworzenia Dżicy...

- Gdzie jest ser John? - zapytał.

- W Broadalbinie, na północ od Albinkirku. Jego ptasi posłaniec przyniósł wiadomość, że obawia się o Dormling. - Alkajos milczał przez chwilę. - Myślałem, że Dormling jest bezpieczne dzięki naszemu... przyjacielowi.

Gabriel pogładził się po brodzie.

- Alkajosie, w ciągu ostatnich tygodni popełniłem wiele błędów. Największym z nich było przyjęcie założenia, że Głóg jest mniej utalentowany ode mnie. Jest inaczej. I jest chętny do podejmowania ryzyka. Nagle zrobił się śmiały. Może zaryzykować atak na Dormling. Może nawet już się szykuje.

- Jest coś więcej - powiedział Alkajos. - Harcourt na zachodnim murze wczoraj wpadł w ręce Baśniowego Rycerza. Nie czytałem wiadomości, ptak zabrał ją do Albinkirku i słyszałem to tylko od ser Johna. Tydzień temu druga armia przekroczyła wielką rzekę tu na wschód od N'pano, ciągnąc z północy.

- Słodki Chryste... - jęknął Gelfred, człowiek, który nigdy nie bluźnił.

Alkajos pokiwał głową.

- Trzeba założyć, że Baśniowy Rycerz i czarnoksiężnik osiągną jakieś porozumienie. Baśniowy Rycerz ma wojsko, w przeciwnym razie nie wzięłby Harcourtu. - Alkajos się zawahał. - Z przykrością dodam, że podobno Harmodiusz jest z Baśniowym Rycerzem.

Gabriel głęboko odetchnął, żeby się uspokoić.

- Aha - mruknął.

Gelfred splunął.

- Najpierw Towbray, teraz Harmodiusz - powiedział. - Wiem, że mag miał czarne serce, ale żeby...

- Nie sądź pochopnie. - Czerwony Rycerz pociągnął kolejny łyk wina. - Toby, jesteś tu?

Toby do niego przyskoczył.

- Wszyscy oficerowie o brzasku. - Skinął głową. - Następny zajęty dzień.

- Czy mogę na osobności przedstawić moją sprawę? - zapytał Alkajos.

- Oczywiście - odparł Gabriel.

Moreańczyk z poważną miną położył rękę na jego ramieniu.

- Jeśli uważasz, że możemy ufać Kronmirowi, wtedy powiem, weź Harndon. Natychmiast. Zniszcz tego nuworysza arcybiskupa, zmiażdż go o mury miasta, zakończ rebelię. - Alkajos machnął rękami.

- Chciałbym, ale teraz arcybiskup myśli, że to my jesteśmy buntownikami. - Gabriel wysilił się na krzywy uśmiech.

- A potem broń Harndonu. - Alkajos wzruszył ramionami.

- Przed Dżiczą? - zapytał Gabriel.

Alkajos przytaknął.

- Mamy takie powiedzenie: kiedy zbliża się przypyw, wejdz na wysoką skałę. Harndon jest największą skałą. Z lektury dzieł starożytnych wynika, że wszystko to działo się wcześniej. Wielkie najazdy, napaści Dżiczy. Miasta takie jak Liwiapolis i Harndon zostały zbudowane specjalnie po to, żeby zatrzymać takie nawały. - Milczał przez chwilę. - Ja też mam wiadomość. Mam nadzieję, że wciąż jestem cesarskim oficerem.

Podał skrawek niemal przejrzystego papieru, jaki przносиły duże cesarskie ptaki.

*Ambasador Weniki w mieście donosi, że armie Galii i Arelatu zostały starte w wielkiej bitwie na południe od Nunburga w Arelacie.*

*Wenika oficjalnie prosi cesarza o pomoc.*

Gabriel rozpostarł mapę, wbił w jednym narożniku sztylet o zielonej rękojeści, a w przeciwnym nóż, którego używał podczas

jedzenia.

- To na kiedy indziej - mruknął. Och, panie Smith, wiele bym oddał za godzinę twojego czasu, pomyślał. Chyba przegrywamy. - Jesteśmy pięć dni od Albinkirku i nie oszczędzamy koni. - Pokiwał głową. - Dormling leży mniej więcej w takiej samej odległości od Albinkirku. Bliżej, lotem strzały, ale droga jest straszna.

Gelfred i Alkajos przyznali mu rację.

Gabriel rozmyślał przez chwilę.

- Jeśli stracimy Dormling, nie będziemy się mogli skontaktować z cesarzem.

- I mielibyśmy zostawić Baśniowego Rycerza grasującego na zachodzie, a arcybiskupa mogącego bez przeszkód rozpocząć oblężenie Loriki? - Alkajos pokręcił głową.

Gabriel podrapał się pod brodą - ukąsiły go trzy komary, co chyba zaprzętało taką samą część jego umysłu, jak myśli o Blanche i Baśniowym Rycerzu razem wziętych.

- Jakakolwiek siła nadciągająca z zachodu musi minąć Lissen Carak - powiedział. - Twardy orzech.

- Jest tam tylko mały garnizon - zaznaczył Alkajos.

- Nie, jeśli myśli się w eterealu. - Nie widział rozwiązania. Jeśli w ogóle jakieś istniało, to będzie obejmować cud maszerowania, a od wczoraj liczyła się każda godzina.

Ale świtał mu plan. Pod żadnym względem nie był to ten poprzedni. Dręczyło go, że tamten kompletnie zawiódł.

Tyle subtelności przeminęło wraz ze strzałą, która zabiła króla.

- W porządku - mruknął. - Zakładam, że ser Random jest w Lorice?

- Nie, on i większość ludzi, którzy z nim odeszli, obozują pomiędzy nami i stadami. Górale. - Alkajos machnął ręką w tamtym kierunku.

- Potrzebuję ser Geralda, Sukey, Toma, Ranalda i... - Rozejrzał się. - To na początek.

- O brzasku? - zapytał z nadzieją Toby.

- Teraz - oznajmił Gabriel.

Postanowił, że nigdy więcej nie pocałuje Blanche. Starał się nie



pozwolić, żeby to wpłynęło na jego decyzję, ale uznał, że jeśli zakończy to spotkanie i ją znajdzie...

Za późno na wszystko. Do jutra chwila przeminie.

Wzruszył ramionami, odsuwając od siebie te myśli. Niech miłość się powiesi, pomyślał z goryczą.

- Ser Thomas jest... e... z Sukey - szepnął Toby do jego ucha.

- Dobrze, możesz sprowadzić ich oboje za jednym zamachem - powiedział Gabriel.

Niech miłość się powiesi.

- Sprowadź też siostrę Amicję.

\*\*\*

Mapa wciąż była przyszpilona do ziemi sztyletami i nożami.

Kapitan samym zachowaniem dawał do zrozumienia, że sprawa jest poważna. Nie było narzekania. Toby i Nell rozpalili ognisko, żeby podać pieczoną wieprzowinę i kluski pozostałe z kolacji, której większość z nich nie miała okazji zjeść.

- Postarałeś się, żeby zepsuć piękną noc - burknął Tom.

Kapitan pokręcił głową.

- Wszędzie wokół nas rozsypuje się świat. Dla wszystkich, przyjaciele. Wypijcie trochę wina, wyćwiczcie umysły i dołączcie do mnie.

Alkajos i Gelfred przeglądali raporty wywiadowcze, podczas gdy pozostali jedli wieprzowinę, wypluwali chrząstki i pochłaniali kluski.

Kiedy Gelfred skończył wyjaśniać, gdzie jest arcybiskup i jaki jest skład jego armii, kapitan ostro skinął głową.

- Tom, sprzedasz mi swoje krowy? - zapytał.

Tom wzruszył ramionami.

- Po cenie rynkowej?

- Płatne od ręki - dodał kapitan.

Tom pokiwał głową i splunął na dłoń.

Kapitan zwrócił się do ser Geralda:

- Pożyczysz mi na krowy?

- W zamian za co? - zapytał przezornie Gerald.

- Za to, że obecnie jestem diukiem Tracji, hrabią Zachodniego Muru, albo jest nim Gawin. Należy do mnie cały handel na północy

od jednego krańca muru do drugiego i jeśli wygramy tę wojnę, będziemy zarabiać pieniądze tak, jakbyśmy przemieniali wodę w złoto. - Popatrzył na brata. -Wybacz, bracie. - Nie jestem taki bezduszny, jak może się wydawać, ale...

Gawin chrząknął.

- Rozumiem. Oni nie żyją, a my potrzebujemy pieniędzy.

Random zmierzył wzrokiem Toma Lachlana.

- Zgoda - powiedział.

Kapitan splunął w dłoń i dobił targu z Tomem.

- Dokąd mam je zagnać? - zapytał Tom.

- Z powrotem na północ, zostawiając po pięćdziesiąt sztuk w miejscu każdego przystanku w ciągu sześciu dni marszu. Reszta za tydzień niech się pasie na polach na południowy zachód od Albinkirku.

- Na cycki Tar - zakrakał Tom. - Kawał drogi, żeby przegnać stado.

- Wszak jesteś Poganiaczem - przypomniał mu Gabriel. - Ruszaj na północ, zabierz swoich górali ze Wzgórz i dołącz do ser Johna w Dormlingu. Weź tyle zwierząt, ile trzeba, żeby nakarmić cesarza i cztery tysiące ludzi.

- I utrzymać Dormling?

Kapitan pokręcił głową. Czekali w zupełnym milczeniu.

- Nie. Przykro mi, Tom, ale jeśli Smok nie zechce walczyć o Gospodę Dormling, musimy ją poświęcić.

- W takim razie po co mam tam iść? - zapytał Lachlan.

- Ponieważ górale zbiorą się tylko dla ciebie, Ranalda albo Donalda Dhu. I ponieważ mogę ufać, że wykonasz rozkazy... nawiasem mówiąc, Tom, nikt inny tego o tobie nigdy nie powiedział.

Uśmiechnął się do niego nad ogniem, a Tom wyszczerzył zęby.

- Tylko jeśli mi się podobają, stary.

- Zbierz górali i trzymaj Gospodę, dopóki nie przybędzie cesarz. Wtedy wracaj do Albinkirku, niszcząc za sobą drogi. - Gabriel się pochylił.

Tom skrzyżował ręce na piersi.

- Z moimi góralami i cesarzem mogę pokonać zasranego Głoga.

- Nie, Tom, nie możesz. Nie beze mnie i Amicji, i wszystkich aniołów w niebie. - Gabriel gwałtownie pokręcił głową. - Chyba że Smok postanowi osobiście was wesprzeć. Nawet nie powinienem tego głośno mówić. Ale tak, gdyby się zjawił, wtedy stań do walki.

Zły Tom podrapał się pod nosem.

- Wycofywanie się nie leży w mojej naturze.

- Tom, jeśli się wycofasz i sprowadzisz cesarza i ser Johna Crayforda żywych do Albinkirku, obiecuje ci największą bitwę świata. - Gabriel skinął głową. - Jeden rzut kości, jedna walka, to wszystko.

Tom uniósł rękę wielkości męskiej głowy.

- Sześć dni ze stadem do Albinkirku. Dwa dni forsownej jazdy do Gospody, jeśli nikt nas nie zatrzyma. - Ściągnął brwi. - Co najmniej osiem dni. Gdzie ty wtedy będziesz?

Gabriel podrapał swędzące ukąszenia.

- Sukey, jutro ruszysz na północ z taborem. Zostaw tyle namiotów, żeby wystarczyło dla gwardii królewskiej, resztę ciasno spakuj i załaduj na wozy. Odpocznij po drodze. Dopędzimy cię przy Szóstym Moście.

Sukey skinęła głową.

- Dam radę - zapewniła. - Kiedy mam zacząć pakowanie?

- Daj ludziom jeszcze godzinę - odparł kapitan.

Gdy Sukey pisała na woskowych tabliczkach, z powrotem zwrócił się do Toma:

- Za osiem dni muszę być dwa dni drogi na południe od Albinkirku. Ruszamy na arcybiskupa, dzisiaj. Zwycięstwo albo śmierć, bez litości. - Rozejrzał się. - To znaczy, bez litości dla arcybiskupa. Inni mogą się poddać, jak będą chcieli.

- Idziesz na południe? - Random o mało nie krzyknął.

- Wszystko albo nic - odparł Gabriel. - Jeśli wygramy, ty i twoi przyjaciele udacie się prosto do Harndonu.

Ser Gerald pokręcił głową.

- Rozum ci odjęło, Gabrielu?

Byli tam ludzie, którzy nigdy nie słyszeli, żeby ktoś tak bezceremonialnie zwracał się do kapitana.

- Przecież za dziesięć dni możemy zająć Harndon bez jednego

wystrzelonego bełtu albo zabitego człowieka - dowodził Random z uporem.

Ser Gabriel pokiwał głową.

- Za dziesięć dni Głóg może spowodować na północy zniszczenia, których się nie usunie przez sto lat. Za piętnaście dni świat może się skończyć.

Alkajos gwałtownie kręcił głową.

- Ser Gerald ma rację - powiedział. - Sprawa arcybiskupa już jest przegrana.

Gabriel zaprzeczył. Spojrzał na ziewającego, acz w pełni przytomnego ser Michaela.

- To twój ojciec - powiedział. - Arcybiskup koronuje go na króla, prawda?

Michael ociężale skinął głową.

- Mamy prawo do tronu, dalekie, ale tak. - Wetchnął. - Oczywiście tym go kupili. Tego zawsze pragnął. - Popatrzył na Czerwonego Rycerza. - Oczywiście twoje roszczenia przez matkę też nie są złe.

Gabriel zignorował ostatnią uwagę.

- Gawinie... wybacz mi, bracie... Gawinie, o brzasku pojedziesz na zachód. Gdzieś na południe od Cohoctonu walczy Mountjoy. Albo siedzi, mając baczenie na granicę. Tak czy inaczej, ma ze sobą wszystkich królewskich łowczych i większość zachodnich panów z Brogatu.

- Nie został skazany? - zapytał ser Michael.

- Tylko głupi arcybiskup skazałby człowieka z armią już będącą w polu - odparł Gawin. - Znam Mountjoya. Zamierzam poślubić jego córkę. Nie opuści posterunku. - Skinął głową. - Sprowadzić go?

- Do Albinkirku - odparł Gabriel.

- Nadal uważam, że powinieneś ruszyć na północ - powtórzył Gawin. Potarł łuski na ramieniu. - To czarnoksiężnik i jego sprzymierzeńcy stanowią prawdziwe zagrożenie.

- Za dziesięć dni arcybiskup może zostać sam z dwustoma galijskimi kopiami - powiedział Gabriel. - Ale też może się obwołać kanclerzem Alby, mając tysiąc kopii i poparcie wielu Albanów,

jakkolwiek niechętnych. Słuchajcie, przyjaciele, to wszystko wykracza poza moje doświadczenie. Słucham waszych argumentów, lecz w głębi duszy czuję, że jeśli pomaszerujemy na północ, nigdy nie odzyskamy Harndonu, a jeśli pomaszerujemy na południe, na zawsze stracimy Albinkirk albo Lissen Carak.

Siostra Amicja westchnęła dotąd niezauważona za światłem ognia. Przemówiła cicho, ale wszyscy ją usłyszeli.

- Jak Gabriel dobrze wie, strata Lissen Carak będzie bardzo poważna. - Pokręciła głową. - Nie wolno mi mówić wszystkiego, co wiem.

- Możliwe, że jeśli stracimy Lissen Carak, stracimy wszystko - zgodził się z nią Gabriel. - Amicjo, muszę cię prosić, żebyś pojechała z Tomem i udała się do Lissen Carak z rycerzami zakonu. Tylko oni mogą wzmocnić garnizon, ale z ludźmi wynajętymi ubiegłego roku powinno wystarczyć.

Amicja pokręciła głową.

- Będę ci jutro potrzebna.

Gabriel zaprzeczył.

- Siostro, każdy cię potrzebuje. Twoje moce uzdrawiania wykraczają poza umiejętności każdego innego, ale to ty, ty sama, jesteś najpotężniejszym wsparciem, jakie mogę wysłać do twojego klasztoru.

- Przecież możesz umrzeć - rzekła bardzo cicho.

*Gabriel spotkał się z nią na moście.*

- Jeśli umrę, Michael, Tom i Pyskata dadzą sobie radę - powiedział. - Jeśli Lissen Carak padnie, wtedy on otworzy bramy; prawda, Amicjo?

*Przygryzła wargę - nie mały wyczyn w etereal.*

- Przypuszczam, że o to chodzi - odparła. - Przeorysza mi nie powiedziała.

- Byłem w tych tunelach. Wtedy odgadłem.

*Spojrzała mu w oczy.*

- Są inne takie miejsca. Lissen Carak nie jest jedynym.

*Gabriel wzruszył ramionami.*

- Jest tym, którego mogę bronić. Myślę, że Baśniowy Rycerz występuje przeciwko Głogowi. Nie sądzę, żeby Harmodiusz zdradził. Ale Alkajos

uważa, że jestem naiwny.

Amicja westchnęła.

- Chcę wierzyć w Harmodiusza - wyznała. - Pojadę do Lissen Carak.
- Możemy wygrać.

Pokiwała głową.

- Chcę ci wierzyć. Ale czy podstawowa zasada prowadzenia wojny nie mówi, że nie należy dzielić sił? Czy ty właśnie tego nie robisz, rozsyłając ludzi we wszystkich kierunkach?

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- Och, droga Amicjo, robię. Tak, ale muszę was teraz podzielić, żeby później mieć szansę na zjednoczenie wszystkich.

Pokręciła głową, a on ją zostawił, nie bacząc na błagania duszy, żeby tego nie robił...

Gabriel się rozejrzał.

- Więc jutro. Za godzinę wschód słońca. Trzy bitwy. Ser Michael z kompanią w straży przedniej. Ser Ranald z gwardią królewską w trzonie sił z królową, małym królem i wszystkimi ludźmi z Loriki, którzy do nas dołączają. Ser Gerald ze strażą tylną dowodzący tyłoma harndończykami, ilu się uda zwerbować.

Ser Gerald zmrużył oczy.

- Jeśli Gelfred ma rację, a jestem tego pewien, będzie miał dwa dni na sypanie szańców, żeby zapewnić sobie osłonę. Jak zamierzasz wydać bitwę, którą zdołamy wygrać?

Czerwony Rycerz wybuchnął śmiechem.

- De Vrilly przysłał do nas herolda. Zamierzam go wyzwąć na pojedynek.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Proporce łopotały, chorągwie powiewały na wietrze. Była piękna późna wiosna w Brogacie.

- Nadal uważam, że powinniśmy zostać w bastionach za ostrokołami - powiedział arcybiskup.

- Rzucił nam wyzwanie - rzekł Jean de Vrailly.

Jego postać w lśniącej stali górowała nad arcybiskupem, który postanowił przywdziać szaty swojej godności, fiolet i gronostaje.

- Niech się wyczerpie pod naszymi murami - dowodził arcybiskup trochę jękliwie.

- Rzucił nam wyzwanie - powtórzył Jean de Vrailly.

- Nie sądzę, że...

De Vrailly obrócił głowę. Miał otwarty hełm i jego anielska twarz niemal jaśniała od środka.

- Eminencjo, żałuję, że cię tu zaprosiłem, byś pomagał władać tym królestwem. Jestem rycerzem. Zakon rycerski jest jedynym, do jakiego kiedykolwiek aspirowałem. Czerwony Rycerz rzucił nam wyzwanie do bitwy.

- A ja mówię...

- Milcz - rzucił ostro de Vrailly i arcybiskup się wzdrygnął.

Nikt nigdy nie kazał mu zamilknąć.

- Myślisz, że jestem głupcem, który wierzy w przestarzały kodeks. Myślisz, że powinniśmy ukryć się za szanćami, budować terbusze, dokonywać masowych mordów w Harndonie, żeby uciszyć miasto i sprowokować wrogów do rzucenia się na nasze bastiony i umocnienia. Mówię ci, eminencjo, ty jesteś głupcem, i że jeśli to zrobimy, będziemy głodować otoczeni morzem wrogów, przy czym żaden z nich nie zasługuje na pogardę. Brakuje nam ludzi, żeby zastraszyć Harndon, nawet gdybyśmy nie mieli nieprzyjaciela w polu. Harndończycy widzieli królową i dziecko. Wyzwanie jest uzasadnione, Czerwony Rycerz zna prawo wojny. Ale nawet gdyby było bezzasadne, bylibyśmy głupcami, robiąc to, co proponujesz. Ozy mnie rozumiesz?

Arcybiskup miał czerwoną twarz. Na próżno szukał słów. W końcu zawrócił konia, wziął swoją straż i odjechał.

Ser Eustace d'Aubrichcourt odwrócił głowę.

- Dobrze powiedziane, ser Jeanie.

Inni rycerze pomrukiwali, gdy herold wyłonił się z lasu. Jechał przez pole lekkim galopem, trzymając tradycyjną zieloną flagę, którą heroldzi nosili w czasach wojny. Towarzyszył mu jeździec.

Pokonali niskie wzniesienie, nie wyższe niż wzrost człowieka, odległe o strzał z łuku od linii de Vrailly'ego. Za nimi z lasu wyjechali inni.

De Vrailly z pustką w sercu patrzył na herolda. Od następnego dnia po turnieju nie dopuszczał do siebie anioła i czuł się tak, jakby już był martwy.

Został wykorzystany. Zdradzony.

Pragnę tylko dobrej śmierci, pomyślał.

Z nikim się nie podzielił tą myślą.

Herold zmierzał w kierunku jego chorągwi. Stało się jasne, że człowiekiem jadącym za nim jest Du Corse na dobrym wierzchowcu, w przeszywanicy, rajtuzach i butach z cholewami.

L'Isle d'Adam i d'Aubrichcourt dołączyli do de Vrailly'ego.

Du Corse miał ponurą minę.

- Witaj - powiedział de Vrailly. - Czy nadzieja, że uciekłeś, nie jest zbyt wielka?

Du Corse pokręcił głową.

- Złożyłem przysięgę, wypuścili mnie na parol. W zamian za synów Corcy'ego.

De Vrailly uśmiechnął się ponuro.

- Mam ich pod ręką. - Zwrócił się do giermka: - Sprowadź ich natychmiast. Nie dam się prześcignąć w uprzejmości temu najemnikowi.

- Trudno go zwać najemnikiem - zauważył Du Corse. - Jest głównodowodzącym sił królowej i diukiem Tracji. Rozmawiałem z nim dziś rano. - Wskazał przez pole na zbliżającą się armię niewiele mniejszą niż wojsko de Vrailly'ego.

Herold otworzył usta, ale Du Corse uciszył go spojrzeniem.



- Ser Gabriel chce, żebyśmy wiedzieli, że nasz król poniósł poważną klęskę w Arelacie. Proponuje trzy możliwości. Jeśli natychmiast wsiądziemy na statek, pozwoli nam odejść. Jeśli nie, spotka się z tobą w walce jeden na jednego, natychmiast. Jeśli nie wybierzesz jednego albo drugiego, przybędzie do ciebie z ogniem i mieczem. Mówi, że w tym ostatnim przypadku zatriumfuje tylko prawdziwy wróg.

Nieprzyjacielskie siły się nie zatrzymały, żeby stanąć w szyku. Na lewej flance jechali ludzie w stali i czerwieni, a w środku wszyscy w szkarłacie, z powiewającym sztandarem królewskim. Na prawo, w trochę większej odległości, ciągnęła zwarta grupa w czerwieni i błękicie Harndonu i w niebiesko-złoty barwach Oksytanii.

De Vrailly patrzył na nich przez czas, jaki jego serce potrzebowało do dziesięciu uderzeń.

- Zatem ten Czerwony Rycerz jest szlachetnie urodzony? - zapytał.

L'Isle d'Adam ściągnął brwi.

- Krąży plotka, że jest wylegającym starego króla, lecz pewnie to małostkowe wymysły jakiegoś nienawistnika. Jest synem hrabiego Zachodniego Muru.

- Hrabia Zachodniego Muru nie żyje - powiedział Du Corse. - Dzicz zalała cały północny zachód. Sam mi to powiedział, a ja mu wierzę.

De Vrailly pokręcił głową.

- Arcybiskup chciałby, żebyśmy wycięli sobie drogę do ser Hartmuta i że w tym wypadku Dzicz będzie naszym sojusznikiem. Uważa, że to nasz obowiązek.

Wrogowie się nie zatrzymali. Nadciągali bardzo szybko.

Herold zuchwale zabrał głos.

- Kazano mi przekazać, że masz podjąć decyzję, dopóki się nie znajdą w odległości strzału z łuku.

D'Aubrichecourt splunął.

- Arcybiskup chciałby, żebyśmy wierzyli, że Dzicz i jej siły są wymysłem, jednocześnie wykorzystując je jako sprzymierzeńców. Nawet gdy pokonały króla w Arelacie. - Z odrazą pokręcił głową.

De Vrailly zobaczył, że jego giermek sprowadził synów Corcy'ego, dwóch jasnowłosych giermków, Albanów w każdym calu.

- Młodzi panowie, wasz ojciec was wykupił - oznajmił.

Starszy, Robert, ugiął kolano.

Młodszy, Hamish, wetknął ręce za pas.

- Po pierwsze, nie miałeś prawa nas zatrzymywać - powiedział.

- Cicho, braciszku. - Robert uniósł rękę, ale młodszy brat, dwunastolatek, odsunął się od niego.

- To niegodne - dodał.

Na polu Długa Łapa wyryczał rozkaz i cała linia się zatrzymała. Paziowie wysunęli się do przodu i zaczęli zabierać konie.

Jean de Vrailly zsunął się z siodła.

- Nie wie, co mówi - powiedział l'Isle d'Adam.

De Vrailly podszedł do chłopca, który nawet nie drgnął.

Rycerz ukląkł. Głos miał niepewny.

- Czasami ludzie popełniają błędy, dziecko. Straszne, okropne błędy. Mogą je odpokutować najlepiej, jak mogą, to wszystko. Przepraszam cię jako rycerz i jako mężczyzna.

Hamish Corcy zgiął się w niskim ukłonie.

- Przeprosiny przyjęte, panie rycerzu! Wyświadczasz mi wielki zaszczyt.

De Vrailly skinął głową i wsiadł na konia.

- Powiedz Czerwonemu Rycerzowi, że spotkam się z nim jeden na jednego, konno.

Herold zawrócił wierzchowca i pojechał w stronę nieprzyjaciela.

De Vrailly obrócił rumaka ku swoim ludziom. Jego giermek posadził obu chłopców na koniu.

- Panowie - zaczął i wszystkie rozmowy ustały. - Bez względu na to, czy wygram, czy przegram, radzę opuścić Albę i ruszyć ku własnym zwyczajom i kłopotom do Galii, żeby ratować króla. I proponuję, żebyście uznali Du Corse'a za swojego dowódcę.

Du Corse uklonił się w siodle. Arcybiskup zaczął protestować, ale on uciszył go spojrzeniem.

De Vrailly skinął na giermka i uzbroił się w swoją ulubioną bardzo ciężką kopię. Kiedy giermek chciał sięść na koń z dwoma zapasowymi

rumakami, pokręcił głową.

- Nie, nie. Jedno starcie, a potem... - Wzruszył ramionami. - Ktoś umrze. Proszę, zostań z tymi zacnymi panami. Co więcej, młody Jehanie, uklęknij. - Do Vrailly po raz kolejny zsiadł z konia. - Tym uderzeniem czynię cię rycerzem. Nie przyjmuj innego ciosu, chyba że od króla. Szanuj prawo wojny. Kochaj przyjaciół i bądź srogi dla wrogów. - Pochylił się i pocałował młodzieńca w oba policzki.

Jehan - ser Jehan - był oszołomiony. Rozpłakał się.

De Vrailly skoczył na konia.

Tysiące Galów ryknęło na wiwat.

\*\*\*

Ser Gabriel siedział w milczeniu, obserwując Galów. Mieli kilka albańskich chorągwi, głównie Towbraya, i sam Towbray stał daleko po lewej stronie - Galowie wyraźnie mu nie ufali. Być może to uczucie było wzajemne.

Rzucił okiem na swoich oksytańskich sprzymierzeńców. To wcale nie znaczyło, że im nie ufał - obawiał się ich gniewu i popędliwości księcia.

Ser Michael splunął za jego plecami.

- Nie dałbym wiary, że mój rodzony ojciec do tego doprowadzi.

- Mógłbyś zostać królem - powiedział Gabriel.

- To nawet nie jest zabawne - skomentował Michael.

- Wiesz, co jest najgorsze w wojnie domowej? - zapytał Gabriel.

Widział, że Galowie rozmawiają i ktoś wśród nich klęczy.

Kompania już zsiadała z koni.

- Chcę zobaczyć, jak walczą - gderał głośno Osiełek. - Lepiej oni niż ja. Ja, psiamać, nie muszę być królem.

Gabriel ze śmiechem pokiwał głową.

- Właśnie to. Podczas wojny domowej każdy dochodzi do wniosku, że może zostać królem. A potem jesteśmy tylko zwierzętami walczącymi o zapasy zboża.

W ich stronę jechał herold z łopoczącym proporcem.

- Aha - mruknął Gabriel. - No to zaczynamy. - Serce łomotało mu w piersi.

Ser Michael się odwrócił.

- Możemy sobie z nimi poradzić, Gabrielu - powiedział.  
Gabriel skinął głową.

- Możemy, ale niektórzy z nas umrą, i umrą niektórzy z nich, a mój adwersarz będzie wygrywać z każdym kolejnym trupem. Załatwmy to jak najmniejszym kosztem.

- A jeśli przegrasz? - zapytał Michael wprost.

- Wtedy w końcu odpocznę i przestanę spiskować. Wszystko będzie zależało od ciebie, mojego brata, Toma i Pyskatej. I pana Smith, Harmodiusza i królowej. I Amicji, i wszystkich pozostałych. Największym odkryciem ostatnich tygodni było to, że wcale nie chodzi o mnie, Michaelu. Jakoś sobie poradzicie - dokończył ze śmiechem.

- Co mam zrobić z Galami? - zapytał Michael, ignorując resztę wypowiedzi.

- Zaproponuj im powrót do domu. Jeśli odmówią, rozgrom ich tutaj, nie bacząc na ponoszone straty, i nie oferuj litości. Towbray porzuci ich w chwili, kiedy się dowie, że to ty dowodzisz. - Czerwony Rycerz wzruszył ramionami. - Obwołaj się królem, wszystko mi jedno. Będę martwy.

- Wątpię. Słuchaj, pozwól mi po raz ostatni służyć ci jako giermek. Psiamać, źle się wyraziłem.

Gabriel się roześmiał.

Herold podjechał w czasie, gdy Michael sprawdzał jego broń.

- Ser Jean de Vrilly spotka się z tobą jeden na jednego w jednym starciu - oznajmił.

Czerwony Rycerz wziął kopię od Toby'ego. Pomyślał, żeby zostawić pożegnalną wiadomość dla Amicji albo nawet dla Blanche.

Tak zrobiłaby matka.

- Jeśli wygram - powiedział - macie być gotowi do natychmiastowego wymarszu.

Chciał się uśmiechnąć, ale serce mu waliło i mięśnie policzków odmawiały współpracy.

Obrócił konia i ruszył lekko przez łąkę w kierunku dalekiej lśniącej postaci Jeana de Vrilly'ego.

\*\*\*

De Vrailly krzywił anielską twarz pod zasłoną hełmu, gdy jechał przez zalane słońcem pole.

Zwykle stawał do walki bez jednej myśli - może poza modlitwą.

Teraz się nie modlił.

Opadł go nieproszony rój obrazów, uprzykrzonych jak muszki i komary. Jednocześnie się zastanawiał, jak Czerwony Rycerz zdołał pokonać de Rohana, który pomimo wszystkich swoich wad był świetnie wyszkolonym rycerzem. Dumął nad skrzącą się strugą święconej wody, która go wyeliminowała z udziału w turnieju - nad potokiem wody święconej, która oznajmiła światu, że jego osoba albo jego zbroja zostały zaczarowane. Rozmyślał o czarnym ogniu pełzającym po zbroi anioła w jego namiocie, a nade wszystko, jak jego anioł...

*Myślę, że twój anioł jest demonem,* powiedział duch d'Eu w jego uchu.

De Rohan oskarżył królową o czary i niewierność. I umarł.

Dlaczego mój anioł nigdy nie wspomniał o Czerwonym Rycerzu?

Dlaczego przestał mówić o Bogu?

Dlaczego nie udzielił mi żadnych odpowiedzi?

Ale najważniejszą myślą w głowie de Vrailly'ego była ta o mieszaninie wstydu i lęku, a rzadko doświadczał jednego czy drugiego. Wstydził się i bał, ponieważ tego dnia chętnie przywdział zbroję skażoną czarami. Miał inne możliwości.

Jego kopia opadła na hak z łatwością, jaka jest wynikiem tysiąca ćwiczeń.

Zobaczył herb swojego przeciwnika, sześcioramienne gwiazdy na jaskrawym szkarłatnym polu.

Mam inne możliwości. Nienawidzę. Wątpię.

We wszystko.

Nachylił kopię.

\*\*\*

Gabriel pocił się za zamkniętą zasłoną. Skupiał uwagę przede wszystkim na de Vraillym. Próbował skoncentrować się na jego ruchach, na jego koniu.

De Vrailly miał nadzwyczajnego rumaka.

Ale za prostotą przygotowań do walki czaił się strach - głównie strach przed śmiercią, a pod nim kryły się inne lęki, każdy spleciony z drobnymi błędami i rozterkami, nakładające się jak warstwy skuwanego bez końca ostrza, żeby ukryć niedoskonałości żelaza i stali.

Strach o królową, strach o Michaela stojącego twarzą w twarz z ojcem, strach o losy świata, który kochał, i strach, że powziął złą decyzję, że spotka go zła śmierć, że zawiedzie.

Gabriel Muriel zwykle wkraczał do walki, bojąc się jej bardziej niż czegokolwiek innego w życiu, jednakże strach był przytłumiony przez upajającą funkcję dowódcy. Nie mając czasu na przeanalizowanie tego, co go czeka, tuż przed bojem przypominał czarne lustro - puste, a jednak pełne. Jego wyobraźnia rzadko miała czas nadmuchać pęcherz tchórzostwa.

Ale dzisiaj miał do przebycia odległość długiego strzału z łuku na koniu, którego nie mógł za wcześnie zmęczyć, została mu więc prawie wieczność na myślenie. Na wyobrażanie sobie, co będzie. Na zastanawianie się.

Gawin jest lepszy w utarczkach jeden na jednego, pomyślał. Ale de Vrailly jest dowódcą armii i nie przyjąłby wyzwania człowieka niższego urodzenia czy rangi. I Gawin już pojechał na zachód. Za parę dni znajdzie Montjoya. Mam nadzieję.

W żywej, barwnej fantazji zobaczył siebie wysadzanego z siodła, zobaczył, jak kopia de Vrailly'ego przeszywa jego napierśnik, żeby rozedrzeć wnętrzności i wyjść plecami - zobaczył, jak jego hełm pęka pod ciosem, jak Ataelus się potyka i pada na trawę obalony przez śmiercionośną kopię de Vrailly'ego, zobaczył nieznaczny ruch rąk, gdy de Vrailly opuszcza kopię i bez wysiłku, niemal z wdziękiem strąca go z rumaka, zobaczył, jak miażdżący cios buzdyganem kończy jego życie, jak de Vrailly rycersko zsiada z konia, żeby przybić go mieczem do ziemi...

Zobaczył każdego człowieka, który kiedykolwiek wysadził go z siodła. Ponownie przeżył każdy bolesny upadek, każdego siniaka, każde upokorzenie, gdy uderzał go manekin do ćwiczenia jazdy turniejowej, gdy kopia chybiła celu, gdy zahaczył stopą o strzemień w

czasie upadku - długiego, głupiego upadku - jego bracia się śmiali, jego nauczyciel się śmiał, a nawet Pru, zasłaniając twarz fartuchem.

No tak, pomyślał. Nie było wątpliwości, tylko obmierza rzeczywistość stu porażek - niektórych prawdziwych, innych wyobrażonych. Jako magister wiedział, że linia pomiędzy nimi rzeczywiście jest bardzo cienka.

Matka nie żyje. Dziwne - czuł przeszywający smutek, którego nigdy się nie spodziewał, i ogromny przypływ karygodnej ulgi. Cokolwiek się stanie w ciągu następnych dziesięciu uderzeń serca, ani hrabia Zachodniego Muru, ani księżna o tym nie usłyszą, bo nie żyją.

Bez udziału woli opuścił kopię i wsparł ją na haku pod prawym ramieniem.

Nie chciał wchodzić do swojego pałacu. W dziwnym labiryncie, który był jego pojęciem o rycerskości, sztuczne uspokajanie się w eterealu przed tą walką byłoby oszustwem.

I ponieważ pomimo wszystkich wad smoczy oddech powiększa siłę ostrza, kiedy wykuwa je mistrz. Pomimo wszystkich wad.

Zrobię to uczciwie. Taki jestem.

Oko.

Szpic kopii.

Cel.

\*\*\*

Michael siedział na koniu o strzał z łuku dalej. Nie mógł oddychać. Żaden z przeciwników nie zasalutował. Nie było popisów. Jechali jeden na drugiego skupieni wyłącznie na celu.

Doświadczonemu uczestnikowi turniejów otwarte pole, brak barier i lekka nierówność gruntu oferowały ogromny wachlarz wątpliwości.

Oba konie szły prosto przed siebie, idealnie opanowane, idealnie zrównoważone, z wysokimi, silnymi jeźdźcami tkwiącymi w siodłach niczym posągi.

Gdy się spotkali, Michael miał wrażenie, że oba rumaki lekko skręciły. Serce podeszło mu do gardła, czuł suchość w ustach, ścisnął rękami łęk...

Dźwięk po zderzeniu był widzialny.

Obie kopie się skruszyły i obaj mężczyźni odchyliłi się w siodłach. Mogło się zdawać, że de Vrailly'emu pękł kark, a tułów Gabriela paskudnie się wykręcił, kawałki kopii spadały jak czerwony i niebieski grad. Oba konie zrobiły to, do czego zostały wyszkolone: ukośny krok w chwili starcia, a ponieważ nie było bariery, dwa wielkie rumaki zderzyły się pierś w pierś.

Młóciły przednimi kopytami, stając dęba, jakby żaden nie miał ważącego ponad dwieście funtów zakutego w stal człowieka na grzbiecie. Podniosły się jak walczące koguty, podkute żelazem kopyta śmigwały szybko niczym strzały na polu walki, zadając tyle ciosów, że oko obserwatora nie nadążało za ich wymianą.

Rumak de Vrailly'ego opadł pierwszy i w jedno uderzenie serca Ataelus zadał dwa potężne ciosy, lewym i prawym kopytem.

Odgłos poniósł się nad polem. Jedno kopyto trafiło w napierśnik rumaka de Vrailly'ego, a drugie w odsłonięte ciało, z odgłosem, z jakim rzeźniczy topór spada na surowe mięso. Ale koń de Vrailly'ego, nieco większy, wbił zęby w szyję Ataelusa poniżej nakarczka - zwierzęta jęły się miotać jak walczące wiwerny...

Obaj jeźdźcy spadli. Zaden nie odzyskał równowagi po skruszeniu kopii i żaden nie zdołał utrzymać się w siodle na stojącym dęba koniu.

Dwie armie praktycznie milczały. Wielu ludzi wstrzymywało oddech.

Słońce grzało ziemię od trzech dni. Nawet na łące był pył i teraz wznosząca się Chmura Marsa przysłoniła walczących.

Zbroje załśniły w tumanie i obie armie ryknęły.

\*\*\*

Miecz skoczył do ręki de Vrailly'ego jak sokół na rękawicę swojego pana. Rycerz dźwignął się na kolano. Otaczał go kurz.

Coś było nie w porządku. Obluzowała się jakaś część wielkiego hełmu i w lewym udzie pulsował tępy ból, który niebawem przejdzie w ostry. Nie znalazł rany i właściwie nie bardzo wiedział, co się działo po chwili zderzenia. Pył drapał go w gardle, dławił. Jego rumak Tristan i koń Czerwonego Rycerza walczyły z zaciekłością lwów, wzbijając tumany pyłu.

Dostrzegł błysk zbroi. Ruszył w tamtą stronę, i znów poczuł ból w



lewym udzie. Uniósł lewą rękę do hełmu, hełm się poruszył...

\*\*\*

Gabriel mocno uderzył o ziemię, spadł na lewy bok z tarczą uwięzioną pod ciałem. Stoczył się z niej i zaczął podnosić, gdy przemknęły nad nim walczące konie. Cios w naplecznik pomógł mu wstać, ale ból był silny.

Coś było nie w porządku z lewą ręką.

Zobaczył de Vrailly'ego, psi syn stał niemal odprężony, z lewą ręką na zasłonie wielkiego hemu.

Gabriel złamał rękę, najprawdopodobniej w nadgarstku.

Nogi miał całe. Ruszył, gdy de Vrailly się zbliżał. Wyciągnął miecz prosto do zasłony, gdy spadł potężny cios. Osłonił się mieczem trzymany w jednej ręce, część ciosu przyjął na tarczę na lewym ramieniu, i ból...

\*\*\*

De Vrailly natychmiast zobaczył, że przeciwnik chroni lewą stronę ciała - zadał drugi cios i trzeci, świadom, że w każdej chwili może stracić równowagę z powodu tego, co się stało w jego lewym udzie. Mimo to nacierał. Jego adwersarz parował.

Trzeci cios trafił.

\*\*\*

Gabriel przyjmował ciosy na coraz słabsze lewe ramię i tarczę, którą trzymał coraz niżej. Głownia opadła z wysokiej gardy i uderzyła tam, gdzie lewy naramiennik spotyka się z kolczugą pod kołnierzem kolczym. Pech chciał, że trafiła w sprzączkę.

Cios rzucił go na kolano i ogłuszył na koszmarnie długą chwilę.

Drugi cios spadł na hełm.

Potem walczące konie runęły na rycerzy. Były tak zatracone w swojej wściekłości, że każdy ranił swojego pana. Gabriel padł na płask, obalony przez Ataelusa, i zgubił miecz, a de Vrailly dostał kopytem Tristana w tył nagolenicy i osunął się na kolana. Byli tak blisko, że gdy galijski rycerz próbował się podnieść na lewej nodze, Gabriel widział lukę pomiędzy zasłoną i wgiętym wielkim hełmem. Jak wielu rycerzy, de Vrailly nosił wielki hełm na wewnętrznym, zwanym sekretnym.

Mało brakowało. Gabriel wiedział, że szerokość palca dzieliła grot jego kopii od zakończenia walki przy pierwszym starciu.

Uśmiechnął się wewnątrz basinetu. Nieźle, pomyślał. Sprawilem się dość dobrze.

Z tą myślą odrzucił strzaskaną tarczę, przetoczył się na prawo i wstał z pustą prawicą, zamierzając zbić de Vrailly'ego z nóg.

De Vrailly podnosił się wolniej.

Gabriel miał chwilę, żeby dopaść rycerza, zanim wstanie. Chwila minęła. Nie mógłby powiedzieć, czy był rycerski, czy po prostu zmęczony i ranny, ale chwila minęła bezpowrotnie.

Mając tylko sztylet, stawi czoło najlepszemu rycerzowi świata uzbrojonemu w miecz długości czterech stóp.

Zaczął podskakiwać na palcach.

\*\*\*

De Vrailly przeżył chwilę prawdziwego strachu, kiedy uderzyły konie, a potem leżał w dławiającym pyłu. Spróbował się podnieść, ale lewa noga odmówiła mu posłuszeństwa. Udało się za drugim razem.

Czerwony Rycerz już stał. Trzymał długi puginał z rękojeścią w prawicy, a czubkiem w lewej ręce, i podskakiwał na palcach jak pięściarz.

De Vrailly wyprowadził cios i Czerwony Rycerz sparował ostrzem ciężkiego sztyletu.

De Vrailly podszedł i zadał dwa ciosy - jeden w górę z gardy dzika, mierząc w prawą rękę adwersarza, i drugi w dół. Czerwony Rycerz zdążył odskoczyć.

Lewa noga sprawiła mu zawód jak tępy uczeń. Nie upadł, ale nagle Czerwony Rycerz przyskoczył, żeby walczyć z bliska. De Vrailly uniósł rękę...

\*\*\*

Gabriel grał na zwłokę, decydując o tym, jaka ma być odległość pomiędzy nimi, i się osłaniał. Galijski rycerz zaatakował, zachwiał się i jego miecz ciął powietrze.

Gabriel natarł na roślejszego mężczyznę z krzykiem, który świadczył o wysiłku jego woli.

Miał cały czas świata, żeby uderzyć sztyletem w kark przeciwnika

w miejscu, gdzie kołnierz kolczy spotyka się z ramieniem.

Tyle że sztylet odskoczył, ześlizgując się po kolczudze jak po zbroi płytowej.

Szybki jak kot dźgał raz za razem i nawet siła de Vrailly'ego nie mogła pohamować desperacji ramienia Gabriela. Czubek trzy razy trafił w cel i ani razu nie ukąsił. Nie złamał ogniwa. Nie zabił.

Czary chroniły zbroję.

Gabriel przegrywał walkę z bólem i siłą de Vrailly'ego. Odstąpił i szybko się obrócił, wskutek czego miecz przeciwnika tylko ściał szpic jego basinetu.

Pomimo hermetycznych czarów, które chroniły kolczugę, strumyczek krwi ściekał z ramienia de Vrailly'ego na tabard. Ostry jak igła czubek puginału nie musiał rozerwać ogniwa, żeby wejść w ciało na głębokość palca.

\*\*\*

De Vrailly czuł, że padają kończące walkę ciosy.

I wiedział.

Zaszlochał w hełmie.

Ale szkolenie przydawało siły jego ramionom. Miał trzy płytkie rany w lewym barku i doskwierał mu silny ból, ale mięśnie pozostały pewne.

Cofnął się, machnął wielkim mieczem w zwodniczym ruchu - ciał w dół z wysokiej lewej gardy, cios spadł na skrzyżowane ręce Czerwonego Rycerza, pchając je w dół, puginał przesunął się za niego niczym smoczy ogon, a potem precyzyjnie obrócił ręce.

\*\*\*

Gabriel przejrzał fintę, osłonił się przed ciosem w górę - i przewidział sekwencję z taką samą łatwością, z jaką mógł sobie wyobrazić tysiąc śmierci w pyle. Odczytał ustawienie rąk przeciwnika.

Markuj cios z dołu, powiedział jakiś zakamarek jego umysłu do prawej ręki bez nawiązywania łączności z jakąkolwiek częścią mózgu, która zajmowała się myśleniem. Podczas ostatniej zasłony wysunął prawą nogę do przodu, trzymając sztylet z tyłu po lewej stronie, czubkiem w dół.

Wszystko. Albo nic.

Obrócił się w biodrach, wykonując prawdziwe *volte stabile*, chwycił czubek sztyletu w palce lewej ręki. Nie myślał o tym, palce same robiły, co trzeba.

Żaden z mężczyzn nie myślał. Była to walka wyszkolenia i woli, mięśni i stali. Obaj się w niej zatracili. Stali się ucieleśnieniem walki.

Pchnięcie wypadło prawie idealnie, ale Czerwonemu Rycerzowi pomogło to, że de Vrailly miał kłopot z lewą nogą.

De Vrailly dźgnął mieczem nie w odsłoniętą pachę, jak zamierzał, ale w środek napierśnika z moreańskiej stali. Potem - o bolesne uderzenia serca za późno - sztylet Czerwonego Rycerza przechwycił głównię i ją odepchnął, sztych rył bruzdę w napierśniku aż po górny skraj, tam jakby się zawahał i końcu przeszył puste powietrze.

Gabriel odepchnął głównię puginałem kierowanym przez lekki nacisk zranionej lewej ręki. Miał cel przed oczami i wysoką zasłonę przemienił w pchnięcie. Naprowadził je lewą dłonią i kiedy desperacko uniesione ręce de Vrailly'ego uderzyły go w lewe ramię, doznał elektryzującego wstrząsu jak podczas ataku hermetycznego. Jego sztylet gładko przeciął giemzową rękawiczkę we wnętrzu lewej dłoni, z wierzchu chronionej przez stalową rękawicę, przebił dłoń i szpic wyszedł pomiędzy palcami...

Trafił we wgięty skraj zniszczonego hełmu de Vrailly'ego. Zewnętrzny hełm nie był wykuty z utwardzonej stali, a może został osłabiony przez powtarzające się ciosy, i szpic puginału nie ucierpiał.

Napędzany desperacją Czerwony Rycerz trzasnął prawą stopą w lewą stopę przeciwnika.

Lewa noga de Vrailly'ego się ugięła. Żaden z nich nie zdołał zachować równowagi i obaj upadli.

\*\*\*

Michael dawno temu ruszył naprzód. Dwa konie się rozdzieliły - rumak de Vrailly'ego był ranny, ale wciąż parskał z furii. Ataelus Gabriela znowu stanął dęba i koń de Vrailly'ego się spłoszył.

Tumany pyłu wokół koni i ludzi były tak gęste, że Michael już nawet nie widział błysku mieczy czy zbroi. Otworzył hełm, uniósł rękę na znak pokojowych zamiarów i jechał. Du Corse, drugi rycerz i

herold poszli w jego ślady.

- Utrzymać pozycję albo... Na Boga! - ryknął, odwracając głowę.  
Odpowiedziały mu pomruki.

Galijskie szeregi ruszyły naprzód. Środek linii się wybrzuszył, jakby rodząc bitwę.

Łucznicy w kompanii zaczęli nakładać strzały.

Du Corse uniósł rękę. Miał tylko przeszywanicę i był bez broni, więc nikt nie podniósł na niego ręki.

Michael wyjął miecz z pochwy i rzucił go na ziemię.

Herold zaczął wymachiwać zielonym proporcem.

Michael był już dość blisko, żeby przebić wzrokiem tumany kurzu.

Obaj mężczyźni leżeli.

Gdy galopował, z Du Corse'em podjeżdżającym z drugiej strony, nie dostrzegł żadnego ruchu. Obaj mężczyźni spoczywali jakby w uścisku.

\*\*\*

Gabriel nie stracił przytomności.

Miał czas spanikować i zrozumiał, że leży na de Vraillym i że de Vrailly się nie rusza. Bolała go szyja, pasek hełmu pękł i przekreślony basinet ograniczał pole widzenia. Dzwoniło mu w głowie.

Zdał sobie sprawę, że jest pokryty krwią. Było to dziwne, powoli rodzące się zrozumienie - lepkość prawej ręki, śliskość prawego boku, z którego promieniował ból, smak krwi w ustach i nosie składały się na wszechświat krwi.

Nie mógł poruszyć lewą ręką zaklinowaną pomiędzy nimi.

Spróbował wyciągnąć sztylet, żeby zadać kolejny cios. Wyrwał go z bolesną powolnością i młaśnięciem, które mu powiedziało, gdzie tkwił.

Podparł się na sztylcie i dźwignął na kolana. Potrząsnął głową, żeby przejaśniało mu w oczach, próbując zapomnieć o bólu, i poprawił hełm, żeby lepiej widzieć.

Kolejny cios nie był potrzebny. W pewnym momencie, gdy upadał, czubek sztyletu ześliznął się z hełmu i znalazł swoją ofiarę. Wybrał drogę najmniejszego oporu, prawdopodobnie napędzany przez impet ich upadku, wślizgując się w lewe oko de Vrailly'ego.

Wielki rycerz był martwy.

Gabriel Murien przysiadł na piętach, wspierając się o napierśnik de Vrailly'ego. Słyszał tętent kopyt. Rzucił sztylet, wytrząsając go z lepkich palców, i manipulował sprzączką paska pod brodą. Ściągnął hełm z głowy, a potem pił powietrze. Pił, ślepy i głuchy na gromadzących się wokół niego ludzi.

W końcu uniósł głowę. Zobaczył herolda i Du Corse'a. I Michaela. Pomyślał o Gawinie, który powinien tu walczyć. Wiele myśli wpadało mu do głowy, jakby był pustym naczyniem i teraz się znowu napełniał.

Zapłakał.

Ser Michael chwycił go pod ramię i podniósł.

- Chodź, mój kapitanie - powiedział. - Ci szlachetni panowie chcą zabrać ciało swojego przyjaciela i odejść.

Słowa wpadły do uszu Gabriela i stamtąd wypadły, nie pozostawiając śladu. Inni wykrzykiwali rozkazy, inni kreślili plany, i w ciągu godziny przygnębieni Galowie ruszyli na południe z Jeanem de Vrailly na noszach pomiędzy czterema końmi.

Ser Gerald Random pociągnął za nimi w dyskretnej odległości z dziesiątą częścią harndońskiej milicji.

Reszta małej armii Czerwonego Rycerza zawróciła i pomaszzerowała na północ. Do wieczora było jeszcze daleko. Tego dnia ludzie nie stoczyli bitwy, ale narzekali. Michael zatrzymał kolumnę i wygłosił kazanie głosem wielce przypominającym głos kapitana, a na koniec obiecał podwójny żołd w przyszłym miesiącu.

Wszyscy ryknęli z radości i nawet czeladnicy mistrza Pye'a trzy razy krzyknęli „hura”.

Dwie ligi dalej, na trzecim popasie, królowa przejechała wzdłuż kolumny z Czerwonym Rycerzem u boku, odzianym w przeszywanicę, z gołą głową, z lewą ręką na temblaku, ale z mieczem u pasa. W miarę jak jechali, wojsko wiwatowało, więc okrzyki wezbrały na czele i niosły się ku tyłom, i później milicja maszerowała szybciej, a pozostali z większą chęcią zmienili konie.

Czerwony Rycerz wrócił na czoło kolumny i ściągnął wodze.

- Wyznam, bałam się, że nie żyjesz - rzekła królowa.

- Ja też - powiedział Gabriel. Była to pierwsza oznaka powrotu dobrego humoru. Jak później wyznał bratu, do tego czasu przebywał w jakimś innym miejscu.

- Dowiodłeś, że jesteś lepszym rycerzem - dodała królowa.

Gabriel spojrzał na nią, ogarniając wzrokiem jej całe ziemskie piękno. Ściągnął brwi.

- Naprawdę? - Pokręcił głową.

Powróciło milczenie. Królowa stwierdziła, że nie może mówić, ponieważ, jak później powiedziała Blanche, w jego twarzy było coś nadludzkiego i wyraźnie przebywał w jakimś innym miejscu.

Przerwał czar.

- Teraz, gdy zdławiliśmy... bunt? Czy oni byli buntownikami?

Spojrzał na pola Brogatu, brązowe i zielone, jak ciągnąca się po horyzont lniana narzuta z deseniem kwadratów, prostokątów i gdzieś tam rombów. Bliżej, na skraju pylistej drogi, płonęły wiosenne kwiaty, białe i jaskrawoczerwone maki.

- Już się nie zbiorą. Du Corse jest zawodowcem. Chce wrócić do Galii i my chcemy, żeby wrócił do Galii. Sądzę, Wasza Królewska Mość, że powinnaś na kilka dni zatrzymać się w Lorice, żeby odpocząć, a potem ruszyć na południe do stolicy. Ser Gerald się wszystkim zajmie.

- Tak. Ser Gerald chciałby zostać moim kanclerzem - powiedziała królowa. Ściągnęła brwi. - Wiesz, jeszcze nie mamy rządu. Nie mogę sprawować władzy samodzielnie. Należy powołać radę regencyjną. - Obejrzała się. Hrabia Tobwray, który po raz kolejny postanowił zmienić stronę, w milczeniu jechał obok syna. - Powinna się składać ze wszystkich magnatów mojego królestwa.

- Tak - rzucił od niechcienia Gabriel, nie będąc zainteresowany tematem tak bardzo, jak mógłby być.

- Jesteś hrabią Zachodniego Muru. Byłeś pierwszym i do niedawna jedynym dzieckiem mojego męża. Spytałem wprost, ser Gabrieli. Zostaniesz regentem? - Uśmiechnęła się.

- Och, Dezyderato - mruknął, a ona znowu się uśmiechnęła, słysząc swoje imię. - Wprost nie mogę się doczekać, żeby zostać hrabią Zachodniego Muru... Myślę, że zostanie nim Gawin.

- Jesteś dziwnym człowiekiem. Dlaczego?

Czerwony Rycerz się skrzywił.

- Długa historia. Ale skoro wiesz, że król był moim ojcem, z pewnością wiesz wszystko, co potrzeba. Nie będę rościć sobie pretensji do tytułu hrabiego Zachodniego Muru. Gawin będzie lepszym hrabią niż ja... kocha ludzi, miejsce i wszystkie tamtejsze potwory. Ja będę szczęśliwszy w Tra-cji. - Uśmiechnął się blade. - Uważam... że myślenie o tym wszystkim jest trochę przedwcześnie, gdyż bitwy, które niedawno stoczyliśmy, stanowią tylko preludium. Muzycy dopiero stroją instrumenty, a tancerze rozprostowują nogi.

Dezyderata zakłosała głową z boku na bok.

- Możliwe. Ale sądzę, że na tym polega sprawowanie władzy, zawsze wynika straszny kryzys takiego czy innego rodzaju. Żli władcy wykorzystują takie sytuacje jako pretekst, żeby nie popaść w rutynę, i tak się zaczyna upadek. Pod moimi rządami nie będzie żadnego upadku. Stworzę ogród różany, który ludzie będą pamiętać, dopóki słońce nie zgaśnie i księżyc nie spadnie.

- Pani, czasami się obawiam, że mówisz jak moja matka - skomentował. Skrzywił się, ponieważ przełożył wodze i zaboląła go ręka. Zaraz potem się uśmiechnął. - Ale, prawdę powiedziawszy, byłabyś wielką królową, i będziesz. Myślę, Wasza Królewska Maść, że powinnaś zostać swoją własną regentką.

Prawda może była zbyt brutalna dla królowej Alby i Dezyderata gniewnie przymrużała oczy, dopóki nie zobaczyła krwi ściekającej z jego bandaży i nie przypomniała sobie, że Gabriel właśnie oddał w jej ręce królestwo.

Czerwony Rycerz miał dwa złamane palce i głęboką ranę na ręce, która zrobi z niego kalekę do końca życia, chyba że Amicja dokona cudu.

Pokonałem de Vraily'ego.

Moja matka nie żyje.

Gabriel jechał w zachodzącym słońcu, w kierunku Loriki.

\*\*\*

Rozbili obóz po przejechaniu pięćdziesięciu mil dwa dni po stoczeniu bitwy i przygotowaniu się do drugiej. Na wieść, że Galowie



się rozproszyli i że Gerald Random maszeruje na Harndon, Lorika z pełnym zażenowania ceremoniałem szeroko otworzyła bramy na powitanie królowej.

Blanche kazała wysprzątać jej nowe mieszkanie - komnaty gościnne we wspaniałym opactwie świętej Katarzyny z Tartarii. Dostała kołyskę dla dziecka i małe kapy od lorikańskich pań i mieszczek, które nagle chętnie chciały gościć królową i jej syna, króla.

Blanche wypełniała obowiązki z należnym szacunkiem i pewnym roztargnieniem, jakby myślami była gdzie indziej, i tak było. Wiadomości o zwycięstwie Czerwonego Rycerza napłynęły późnym wieczorem, tuż przed zachodem słońca; miała tylko dwie godziny na przeniesie rzeczy królowej z namiotu kapitana do miasta i niewiele czasu na cokolwiek innego.

Żył i zwyciężył.

Prawdopodobnie nawet o niej nie pamiętał. Pocałunek w poświęcie księżycy - bez wątpienia tak robił codziennie. Bodaj go szlag.

A jednak...

Mogłam być... kimś. Chyba łatwo byłoby go kochać. Mogłabym pracować z Sukey i pomagać Nell.

W przeprowadzce pomagała jej sprawna niemal do bólu lady Almspend. Blanche nigdy nie lubiła tej chłodnej uczonej kobiety; lady Almspend potrafiła wyszczekiwać rozkazy, nie dbając o chaos, jaki powodowały pod schodami. Ale w samym środku szybko rozgrywających się wydarzeń była opoką siły i Blanche z szokiem stwierdziła, że traktuje ją jak równą sobie, jak partnerkę, z którą się rozmawia i u której się szuka porady, a nie jak służącą.

Lady Almspend, wiedząc, że jej ukochany jest bezpieczny, okazała się bardzo miłą, łagodną osobą, która ma wzgląd na innych. I miała nadzwyczajną pamięć, jeśli chodzi o rzeczy - zawsze wiedziała, gdzie co znaleźć, od szcotek do włosów po materiał na pieluchy. Co więcej, zdawało się, że zna wszystkich z czasów, kiedy była kanclerzem, i teraz, gdy królowa święciła triumfy, nagle się okazało, że ma bardzo wielu przyjaciół w Lorice.

Wystarała się o mamkę, ładną, pogodną, dorodną dziewczynę świeżo po ślubie, z dzieckiem urodzonym niedługo po zapowiedziach

i mnóstwem mleka. Młody król natychmiast i z ulgą przyssał się do jej lewej piersi. Miała na imię Rowana, a jej syna nazwano Dicconem.

- A jak będziemy nazywać małego króla? - zapytała Rowana, siadając w fotelu z dziećmi u piersi.

Lady Almspend odwróciła się w stronę Blanche i teatralnie wzruszyła ramionami.

- My go nie nazwiemy ani nie ochrzczimy - oznajmiła.

- W tym wieku padają jak muchy - powiedziała Rowana. - Och, panie, błagam o wybaczenie. Niestety, taka jest prawda. Ale mam dobre mleko i utrzymam go przy życiu, na krzyż i wszystkich świętych.

Blanche zwykle nie myślała o polityce. Teraz na chwilę zamarła i zaczęła się zastanawiać, co będzie, jeśli mały król umrze. Wszak dzieci umierają.

Padła na kolana, przeżegnała się i zmówiła modlitwę.

Po raz pierwszy w życiu, i nie ostatni, żałowała, że tyle wie. Wiedziała, co spoczywa na szali, co mogą zrobić ludzie i co zrobią.

Królowa zjawiała się u bram. Blanche przyglądała się powitaniu z balkonu wieży, z lady Almspend.

- Pojedziemy na północ, pani? - zapytała Blanche.

- Mów mi Becca - zaproponowała lady Almspend.

Blanche zaparło dech w piersi.

- Jestem praczką, pani.

Rebecca Almspend zawsze ubierała się skromnie - ku rozbawieniu służących i praczek. Nosila ciemne, bezkształtne wełniane pończochy pod źle dopasowanymi sukniami i obszerne, praktyczne, ciepłe szaty.

Cały pałac wiedział, kiedy się zakochała w Ranaldzie z gwardii królewskiej, ponieważ jej ciżemki stały się bardziej szpiczaste, pończochy bardziej dopasowane i nawet jedwabne, a suknie jakby się skurczyły, żeby pasować do jej smukłej figury. Ale nawet dzisiaj, w dzień triumfu, miała prostą ciemnoniebieską suknię wierzchnią niewiele się różniącą od spodniej, ze skromnymi, nielicznymi guzikami, podczas gdy Blanche nosiła wspaniałą szatę z brązowej wełny, leżącą na niej tak dobrze, że mężczyźni się za nią oglądali. Suknia nie była niestosowna, ale eksponowała biust i biodra, a długie

linie guzików ze złoczonego srebra na rękawach były warte więcej niż jej roczne zarobki za pranie.

Becca zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów, od brązowych pantofli po ufryzowane włosy, i parsknęła śmiechem.

- Ha, gdyby ktoś tu wszedł i spróbował zgadnąć, która z nas jest wielką panią, a która praczką, założę się, że uznałby mnie za praczkę. Nie wstydz się, dziewczyno, ocaliłaś życie królowej, byłaś jej towarzyszką, odebrałaś poród. Możesz być, kim tylko zechcesz. Dezyderata jest najhojniejszą istotą na świecie i bez wahania nada ci tytuł szlachecki. Lady? Diuszesa? Skarbie, jeśli przeżyjemy ten rok, nastanie nowy świat. Jestem przekonana, że kobiety narodzą się na nowo w tym nowym świecie. Więc ja ci mówię, bądź damą.

- A kto będzie robić pranie? - zapytała Blanche. - Królowa jest taka wyjątkowa.

Obie się roześmiały.

- Becco? - odezwała się cicho Blanche, jakby w strachu, że zostanie skarcona.

- Tak, moja droga Blanche? - zapytała z nieco zbyt dużym ożywieniem lady Almspend.

- Znasz Czerwonego Rycerza?

- Niezupełnie. - Usłyszały tętent kopyt na brukowanym dziedzińcu. Zapadała noc i dziecko błogo spało. - Ale Ranald go kocha. Ser Gabriel pasował go na rycerza i przysłał do mnie. Nie muszę wiedzieć nic więcej. - Mówiąc, krzątała się po komnacie królowej, układając nieliczne rzeczy w odpowiednich miejscach. Ranald uratował, co mógł, z jej pokoi w pałacu.

Blanche zdała sobie sprawę, że się rumieni.

Lady Almspend była za dobrze wychowana, żeby to zauważyć.

\*\*\*

A potem weszła królowa, wyczerpana, a jednak w dobrym nastroju po kolejnym zwycięstwie.

- Ten Czerwony Rycerz jest niedoścignionym wzorem rycerskości - powiedziała. - To... dziwne, gdy się nad tym zastanowić. Wiedziałam, że może pokonać de Vrailly'ego. Bóg tego chciał. - Umilkła. Miała tu swoją starą szczotkę do włosów i miała Rebecę Almspend, gotową

zająć się szczotkowaniem.

Spojrzała na przyjaciółkę i łzy same popłynęły jej z oczu. Usiadła.

- Becco...

Rebecca rzuciła okiem na Blanche, podeszła i przytuliła do piersi głowę przyjaciółki.

- Pani...

- Zabili Diotę! - krzyknęła nagle królowa. - Zabili ją. Zabili wszystkich moich przyjaciół poza tobą i Mary... wszystkich rycerzy. Och, Mario, Matko Boska... - Załkała, niemal się zakrztusiła łzami i wybuchła płaczem.

Były to jej pierwsze łzy od wielu dni.

Becca przytulała ją i kołysała.

Spojrzała na Blanche. Blanche stała jak słup, ale Becca mrugnęła i wtedy zrozumiała. Podeszła i z wielkim wahaniem ujęła i ucisnęła rękę królowej.

- Jesteśmy tutaj, Wasza Królewska Mość - zapewniła.

- Nienawidzę ciemności! - Dezyderata przywarła do Blanche, jakby dziewczyna była pływającą deską, a ona tonącą.

- Sza, pani, już po wszystkim - powiedziała Almspend jak do dziecka.

Królowa uniosła brzydko skrzywioną twarz, płacząc, mięśnie policzków się poruszały, jakby pod skórą gnieździły się dżdżownice. Krzyknęła, dając upust cierpieniu.

- Kochałam go, nawet jeśli... Nawet kiedy... Słodki Jezu, wszyscy nie żyją. Wszyscy moi przyjaciele i mój ukochany. Nie żyją, nie żyją... Odcięli jej głowę i nadziali na pikę... widziałam.

Blanche miała wrażenie, że strach ścina jej krew w żyłach.

Lady Almspend obejmowała swoją przyjaciółkę. Blanche wymknęła się i poszła po księcia, jej brata, który bez słowa rzucił hełm w rękę giermka.

Skinął głową do Blanche.

- Jesteś garderobianą królowej? Masz włosy jak wschodni jedwab, a oczy jak niebo o wczesnym wieczorze. - Uśmiechnął się. Był to piękny uśmiech. - Czekałem dwa dni, żeby to powiedzieć. - Wciąż miał na sobie przeszywnicę przesiąkniętą potem, silnie pachnącą

mężczyzną i koniem.

Blanche, która nie pierwszy raz miała do czynienia z Oksytańczykiem, szybko szła korytarzem.

- Wiem, że mam beznadziejny strój, piękna panno, ale daj mi spojrzeć na twoje włosy, a ja...

- Twoja siostra królowa jest w złym stanie, Wasza Wysokość - powiedziała sztywno.

Uklonił się jej, nie gubiąc kroku. Był pełen wdzięku jak irk i niektórzy powiadali, że w żyłach mieszkańców południa płynie irkowa krew.

- Cuchnę, wiem. Ale dam ci słowo, jestem księciem, zdolnym...

Blanche się zarumieniła.

- Wasza Wysokość - warknęła. Wepchnęła go do komnaty.

Obejrzał się.

- Jestem głupcem, oczywiście. Nie chcesz nagrody za swoją miłość, tylko....

Zobaczył siostrę. Jego twarz uległa natychmiastowej przemianie i z komicznego zalotnika przeobraził się w kochającego brata.

- Słodka Matko Boska...

Dezyderata padła mu w ramiona i Rebecca się cofnęła.

Spostrzegła zakłopotaną minę Blanche i domyślnie pokiwała głową.

- Breviarz Jej Wysokości, niestety, został w namiocie kapitana - powiedziała. - Blanche, raczysz go przynieść?

Blanche dygnęła, mimo że królowa zaprotestowała.

- Daj jej odpocząć, Becco. Przeszła przez to, co ja, z wyjątkiem porodu. - Jej szloch się wyciszył i twarz odmieniła. Zmarszczki się wygładziły, ścięgnię rozluźniły i oddech spowolnił.

Trzymała brata za rękę.

- Nie widziałem cię płaczącej od czasu, gdy w dzieciństwie złamałaś rękę - powiedział po oksytańsku.

Odetchnęła głęboko.

- Sama nie wiem, skąd się to wzięło - odparła cichszym, spokojniejszym głosem.

Blanche westchnęła, skinieniem podziękowała lady Almspend za

uśmiech i uciekła, zanim książe zdążył na nią spojrzeć.

Była poirytowana, a zmęczenie pogłębiało ten stan. Ból był jak drzazga w palcu - im bardziej ją skubała, tym bardziej był dokuczliwy.

Książę miał na nią ochotę i zaproponował jej nagrodę. Było to dość proste - tak postępowali mężczyźni jego stanu, żeby wynagrodzić ciężę i wstyd. Proponowali pieniądze kobietom niskiego stanu.

Ale wczorajszej nocy wyobrażała sobie, że nagradza sama siebie, i było to drzazgą w jej duszy. Co w nią wstąpiło?

Słodki Jezu, co myśli Sukey? Przystanęła w ciemności w połowie drogi pomiędzy otaczającym miasto gładkim polem trawy szerokim na strzał z łuku. Tutaj obozowała kompania, jeśli kilka ognisk bez namiotów można nazwać obozem. Stał tam tylko namiot kapitana, poplamiony po podróży i z przechylonym słupkiem.

Sukey oczywiście zniknęła.

Nagle Blanche straciła ochotę, żeby pójść do tego namiotu. Widziała światło zapalanej świecy - on tam był, z Tobym, swoim giermkim, i Nell. Usłyszała głos swojej matki: Co oni sobie pomyślą?

Mężczyźni mieli na nią chrapkę odkąd urosły jej piersi. Zawsze to ją bawiło i nigdy nie pozwoliła, żeby nią rządziło, w przeciwieństwie do wielu innych dziewczyn, którym uderzała do głowy nie miłość, ale władza. Z irytacją przygryzła wargę, odwracając się na pięcie.

Była blisko namiotu i w ciemności zahaczyła stopą o linkę. Przewróciła się i pisnęła.

W jednej chwili twarda ręka chwyciła ją za gardło.

Wysoki, chudy mężczyzną piorunował ją wzrokiem. Miał szczurzą twarz i nieprzyjazne oczy. Pamiętała go z nocy porodu.

- Co tam masz, stary? - zapytał ktoś w pobliżu.

Chudzielec pomógł jej wstać.

- Nic takiego, Kumie - powiedział. - To tylko flama kapitana.

Blanche poczerwieniała. Bolała ją kostka i zraniona duma. Prychnęła.

Kot - tak go wołali, wcale nie chciał być niemiły.

- Nie ma potrzeby się skradać, panienko. Wszyscy cię dobrze znamy.

Niespodziewanie w języku dzieciństwa wysyczała:

- Wal się, tyczko! Nie jestem kochanicą kapitana ani żadnego innego chłopca!

Kot się roześmiał. Kum wyszczerzył zęby.

- No tak. Nasz błąd - powiedział. Poważnie dodał: - On nie jest... sobą. Jest... - Potrząsnął głową i jego hełm zalśnił w ciemności.

Zrozumiała, że obaj pełnią tu rolę.

- Kto tam jest?! - zawołał z namiotu Toby.

Blanche się odwróciła.

- Dama królowej - powiedział Kum.

Kapitan, widoczny na płótnie jako sylwetka z profilu w świetle palącej się wewnątrz latarni, skoczył na równe nogi. Gdyby była w innym nastroju, jego skwapliwość sprawiłaby jej przyjemność.

Kum przeprowadził ją wokół linek, jakby była zbłąkanym dzieckiem, co dodatkowo ją rozwścieczyło.

- Lady Blanche - powiedział Czerwony Rycerz.

- Nie jestem damą, jak już ci mówiłam, panie. Moja pani, Jej Królewska Mość, przysłała mnie po brewiarz, który zostawiła w twoim namiocie. - Dygnęła ze sztywnymi plecami. - I będę wdzięczna, jeśli będę mogła zabrać drobiazgi, które być może też zostały, żebym więcej nie musiała tu wracać.

Widziała, że go zraniła. W innym nastroju może byłaby łagodniejsza.

- Toby, chciałbym pomówić z Blanche, jeśli można, a potem może...

- Nie, panie. Nie zostanę sama z żadnym mężczyzną, dziękuję - wycodziła.

Zobaczyła, że wyprostował plecy, i pomimo złości bardziej go za to polubiła.

Z chłodem, który podziwiała, popatrzył na nią z góry.

- Dobrze. Przyniesie rzeczy królowej, Toby. Idę sprawdzić posterunki.

- Chryste Jezu... - mruknął Toby. - Pani...

Dał znak Kotowi ukrytemu za skrzydłem namiotu i młodszy łucznik pobiegł w mrok, wyprzedzając kapitana.

Nell spojrzała na nią oskarżycielsko.

- Za co tak go traktujesz? - zapytała.

Toby nie spojrział jej w oczy, ale jego dezaprobata była oczywista. Miał modlitewnik królowej, a także uratowany przez ser Ranalda mały relikwiarz i pierścień. Włożył wszystko do worka z miękkiej tkaniny.

- Rozejrzyj się sama - powiedział niemal dokładnie tonem swojego pana. - Nie chcemy, żebyś tu więcej przychodziła.

Blanche parsknęła. Było to parsknięcie lekceważenia, pogardy, najstraszniejsza ze wszystkich broni, w jakie wyposażyła ją matka, i używała jej przy wielu okazjach, żeby pokazać czeladnikom i praczkom, gdzie jest ich miejsce. Wzięła worek i obesza namiot, uważnie przeglądając wszystkie zakamarki.

Znała duży namiot z dnia, który spędziła w nim z królową: wewnętrzne kotary, mała skrzynia pełna oprawionych ksiązek, ani śladu przedmiotów kultu religijnego. W głębi wisiał mały gobelin przedstawiający rycerza i jednorożca.

Uwielbiała ten gobelin.

Ale była za bardzo zła - i zraniona - żeby teraz cieszyć nim oczy. Z kolejnym prychnięciem odwróciła się do wyjścia.

- Odprowadzę cię do pałacu biskupa - zaproponowała Nell. - Nie chcę, żeby ktoś cię skrzywdził.

- Sama znajdę drogę - burknęła Blanche.

- Naprawdę? Obozy wojskowe nie są bezpieczne dla nieuzbrojonych kobiet. Nie chcesz, żeby Kot Evil przydybał cię samą. Ani ktokolwiek inny. Są obłaskawieni tylko dla niektórych pięści, jak sokoły.

Blanche, która przetrwała miesiące wśród Galów na dworze, parsknęła.

- A ty mnie ochronisz? - zapytała.

Nell była wysoka i grubokoścista, ale miała tylko piętnaście lat. Dwudziestoletnia Blanche podejrzewała, że mogłaby ją powalić jednym ciosem. Pranie wyrabia mięśnie.

Szły w ciemności.

- Co cię gryzie? - zapytała Nell. - Dlaczego naplułaś kapitanowi



w twarz? Wszak on cię lubi.

- Chce mnie - powiedziała ponuro Blanche. - To nie znaczy, że mnie lubi.

- I to ci przeszkadza? W tym problem? Toby mówi, że przecież już... -Nell zrobiła gest, który na szczęście był niewidoczny w ciemności.

- Toby gównu wie - warknęła Blanche.

- Teraz nie mówisz jak dama - zauważyła Nell tak rozsądnie, że Blanche się zatrzymała, przykucnęła i wybuchła płaczem.

Nagle stwierdziła, że wypłakuje się na ramieniu Nell. Jak królowa, wzięła się w garść.

- Powinnaś dać mi swój kaftan - powiedziała i zmusiła się do uśmiechu. - Śmierdzi.

Nell pokiwała głową.

- Z miłą chęcią... Myślałam, że się przyjaźnimy, ale później ty...

Blanche wyciągnęła rękę.

- Jestem zmęczona i... - Pokręciła głową. - Psiamać. - Zdawała sobie sprawę, że zmęczenie i zmartwienia przerosły jej siły. Brak snu też nie pomagał. - Nie jestem kurwą - oznajmiła.

Nell się roześmiała.

- Przecież nikt tego nie mówi!

- Kum tak myśli. I Kot. - Teraz szły szybciej.

- No tak, Kot nienawidzi kobiet, a Kum nie sądzi, żeby istniał jakiś inny rodzaj niż dziwki. - Nell wzruszyła ramionami. - Nigdy nie zbliżam się do Kota. - Spojrzała w ciemność. Brama była już niedaleko. - Ale kapitan cię lubi - podjęła. - I ludzie dostaną ochrzan, bo na niego naplułaś. Jest tam, sprawdza posterunki. Słyszysz? Przyłapał kogoś na spaniu. To oznacza utratę żołdu, a może chłostę.

- I dobrze - rzuciła sztywno Blanche. - Nie moja wina.

Twarz Nell, widoczna w świetle pochodni przy bramie miasta, wyrażała życiowy cynizm, który przeczył jej wiekowi.

- Nie? - zapytała. - Skoro tak mówisz.

- Sama go kochasz, więc się z nim połóż, jeśli to takie ważne dla wszystkich. - Blanche pożałowała tych słów, gdy tylko je wypowiedziała.

Nell ściągnęła brwi.

- Nie - odparła, jakby rzeczywiście rozważała propozycję. - Nie, to na nic. Złe dla dyscypliny, jak sędzę. - Pokręciła głową. - Musisz się wyspać - dodała, jakby to ona była starsza. Uściskała Blanche.

Blanche się nie opierała.

Uwolniła się z jej ramion i pobiegła, mijając miejskich strażników. Pomyślała, że jeśli spotka w korytarzach księcia Tancreda, to go zabije, ale wszyscy spali, poza kilkoma sługami. Położyła skarby królowej w zewnętrznym pokoju i zobaczyła, że lady Almspend pomyślała o rozłożeniu dla niej siennika z prześcieradłem i kocem przy swoim pokoju.

Chciała zasnąć. Zamiast tego przez długi czas leżała, myśląc, jaka jest głupia.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### Kompania

Świt ujrział rozdrażnioną kompanię, skwaszoną po zbyt dużej ilości wina i zbyt długim marszu. Konie były zdrożone i skąpe miarki owsa nie dodały im animuszu. Paziowie się potykali, gdy na wpół śpiący chodzili wzdłuż ich rzędów.

Lekki deszcz zaczął padać na ludzi śpiących bez namiotów pod kocami, co dołało oliwy do ognia.

Spaślak, jeden z łuczników, siedział przykuty do wozu kapitana, jedyne go wozu, który został w obozie. Przed wymarszem kapitan go osądził i wymierzył mu karę za spanie na służbie, łagodniejszą niż śmierć czy chłosta. Kiedy łucznicy utworzyli szpaler, Kum rozebrał go do gołej skóry i kazał mu biec pomiędzy nimi. Wszyscy smagali go łukami, strzałami, skórzanymi pasami i czym tylko chcieli. Ta kara była stara jak same armie. Nell, która dotąd nie widziała czegoś takiego, mogła się spodziewać, że łucznicy będą łagodni dla jednego ze swoich.

Mogła się spodziewać, ale na tym koniec. Nawet w najlepsze dni okrutne poczucie humoru przeciętnego łucznika przeważało nad jego uprzejmością - ludzie łagodnego serca zostawali w domach i uprawiali rolę. Nawet Dębowa Ławka nie była inna i jej ciężki, nabijany ćwiekami pas smagnał pośladki winowajcy z takim dźwiękiem, że kilku mężczyzn się skrzywiło i pominęło swoją kolej.

Spaślak wył z bólu i płakał, ale nie upadł i nie protestował, i okazał się szybki. Dotarł do końca szpaleru bardziej ze zranioną dumą niż ciałem. Kum czekał na niego z jego brudnymi rajtuzami, gaciami i butami, także chirurgiem, który nałożył maść na głębsze pręgi.

Kapitan przyglądał się temu wszystkiemu jak zły jastrząb, który obserwuje króliki.

- Na koń - rzucił do trębacza.

Po ukaraniu Spaślaka humory się poprawiły. Ludzie w zasadzie nie zwracali na niego uwagi, choć wciąż pochlipywał, co było

żenujące u dorosłego mężczyzny, i do tego zabójcy. Ograniczywszy się do kilku ponurych żartów na temat jego przezwiska i nawyków, siedli na koń i szybko stanęli w szyku świadomi nastroju kapitana. Oksytańczycy się guzdrali i kapitan posłał ser Michaela, żeby ich popędził.

Przejechał przed kompanią.

- Jedziemy do najgorszego miejsca, w jakim kiedykolwiek byliśmy -oznajmił. - Jeśli dopisze nam szczęście, będziemy musieli przemaszerować tylko dwieście lig, a potem staniemy do walki. Ale, przyjaciele, zabawa się skończyła. Byłem łagodny dla Spaślaka. Pewnego dnia człowiek śpiący na służbie może oznaczać śmierć nas wszystkich i przegraną sprawę. - Powiódł po nich wzrokiem. - Czarnoksiężnik zajął Ticondagę. Z tego, co wiemy, zmierza do Gospody Dormling, a później ruszy na Albinkirk. Postaramy się go zatrzymać, ale przez kilka dni będziemy bardzo szybko przemierzać kraj, który już może być wrogi. Następny, kto zaśnie na służbie, mężczyzna czy kobieta, zostanie wychłostany, nawet jeśli jest rycerzem.

Odpowiedziała mu cisza.

- Dobrze. Kompania, w prawo zwrot, kolumnę czwórkową twórz. -Potrójny szereg konnych sprawnie utworzył kolumnę zwróconą w prawo, w dół drogi. - Równaj! - krzyknął i wszystkie oddziały wykonały rozkaz.

Uniósł młot nad głowę i się skrzywił, bo był cały obolały. Pokręcił głową i opuścił oręż.

Pojechał na czoło kolumny, gdzie Toby i Nell czekali z resztą *casa*. Na wschodzie słońce wzniosło się nad górami Morei. Ser Michael podjechał galopem.

- Książę jeszcze śpi - zameldował.

Kapitan skinął głową.

- W takim razie go zostawimy.

Ser Michael powtórzył jego gest.

- I słusznie.

Kapitan zmarszczył brwi i ponownie uniósł młot,

- Marsz! - ryknął.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

De Marche zginął podczas szturm na Ticondagę. Nie poległ na blankach, podczas wycinania sobie drogi do twierdzy. Zmarł podczas grabieży, kiedy zabijano i zjadano dzieci, kiedy rozradowani marynarze rzucali na pożarcie potworom ludzi błagających o łaskę, kiedy w ciągu kilku uderzeń serc przerażonych ofiar dopuszczono się niezliczonych okrucieństw.

De Marche stał na dziedzińcu śliskim od świeżej krwi i próbował położyć kres rzezi, gdy kamienny troll rozbił mu głowę na miazgę. Bogliny nadgryzły zwłoki, a później coś obdarzone zbyt licznymi nogami oderwało rękę i powlekło ją w ciemność.

Głóg stał na dziedzińcu niczym wielkie kamienne drzewo i patrzył. Praktycznie się nie poruszał, nie chcąc marnować energii. Tylko obserwował. Szturm i późniejsze czary pozbawiły go dużej ilości mocy, przynajmniej na jakiś czas, i wbrew oczekiwaniom nie uzupełnił zapasu od Ghouse.

Wokół niego trwało plądrowanie.

Zobaczył, że de Marche protestuje - widział, jak staje pomiędzy drapieżnikiem i ofiarą, i widział jego śmierć. Później trenoch, stwór z bagien, posilił się kawałkiem trupa i zabrał coś dla swojego odrażającego młodego.

Głóg też ucztował, ale jego ucztą odbywała się w umyśle.

Ser Hartmut stanął przy jego wielkiej postaci. Bez słowa patrzył, jak ludzie zachowują się gorzej niż bestie i drapieżniki.

Garnizon Ticondagi zapewnił im wiele rozrywki.

W końcu, kiedy napastnicy się nasycili, kiedy nawet wojownicy Kevina Orleya przysiedli na piętach, przepętnieni odrazą, zaszokowani albo po prostu zmęczeni, przybył Popiół.

Zdawało się, że zapętnił cały dziedziniec. Głoga naszała niepokojąca myśl, że się tutaj pożywia. Znow się objawił w postaci dwóch wesołków w brudnych pstrokatych strojach mówiących jednym mosiężnym głosem.

- Spójrz na nich - powiedział. Kijem w kształcie węża wskazał

dwóch etruskich najemników albo Galów torturujących mężczyznę, który już prawie nie miał siły wrzeszczeć. - Spójrz na nich. Daj im pozwolenie, a pokażą, jacy są naprawdę.

Głóg nie obrócił głowy.

- Jacy są, mistrzu?

- Gorszi niż wszystko, co kiedykolwiek zrodziła Dzicz - odrzekł Popiół. - Ludzie są najokrutniejszymi i najbardziej nikczemnymi stworzeniami, jakie kiedykolwiek stąpały po ziemi. Są sługami tylko swojego zepsucia i niegodziwości.

Głóg nie zaprzeczył.

- Jeden z moich planów się nie powiódł - podjął Popiół. - Dlatego muszę cię prosić, żebyś wcześniej pomaszerował na Dormling.

Głóg wciąż pracował nad tym, czego się nauczył podczas i po śmierci Ghouse, przelewanie mocy, rozjarzona *ops...*

Wiele się nauczył. I wciąż wysnuwał poskręcane pasemka, jednocześnie inne wplatając w nowe osłony.

Ściślej mówiąc, był zajęty oplataniem węzłami czarnej dziury, która istniała gdzieś w jego umyśle. Trudno było zrekonstruować kaskadę myśli, dzięki którym doszedł do pewnych wniosków, ale wiedział, że przejął część wspomnień Ghouse w nieudanej próbie subsumowania. Jedno z nich spowodowało jakąś reakcję.

*Czarna dziura w jego umyśle miała tę samą wielkość i kształt co czarne jaja, które ze sobą nosił. Została tam umieszczona w tym samym czasie, przez tę samą rękę.*

*Z jakiegoś powodu.*

*Coś w nim rośło, szykowało się do wyklucia. Doskonale wiedział, co to takiego.*

*Zaczął podejmować kroki niezbędne do oszukania swojego pana. I może przeżycia.*

*I może czegoś więcej.*

- Jeden z twoich planów się nie powiódł? - zapytał.

- Nie mogę być wszędzie - syknął Popiół. - Ta dziwka królowa i jej słudzy zjawili się tam przede mną. - Błazny, zdeformowane dzieci o tłustych tułowiach i długich, chudych kończynach, zachichotały. I splunęły.

- Nie możesz? - zapytał Głóg, próbując zamaskować zainteresowanie. Tkał niematerialną sieć, w której umysł zbudował pałac, i starał się ją wykorzystać do stworzenia złudy, żeby Popiół mógł zobaczyć tylko to, co spodziewał się ujrzeć.

Ser Hartmut chrząknął.

- Do kogo mówisz, czarnoksiężniku? - zapytał.

Głóg wskazał kamiennym palcem.

- Nie widzisz tych brykających dzieci w pstrych strojach?

Ser Hartmut pokręcił głową.

- Widzę wiele strasznych rzeczy, ale nie wesołków.

Głógowi dało to do myślenia.

- Nie, nawet ja nie mogę być wszędzie - powtórzył Popiół. - I z pewnością już się musiałeś nauczyć, że wszystko staje się niejasne i mętne jak błotnista woda, kiedy porusza nią zbyt wiele palców.

Głóg rozważył to stwierdzenie. Jego wola budowała jak szalona, stawiając bobrowe tamy maskujące za gąszczami omamów między przestrzenią myśli i obszarem wokół czerni.

- To nie ma większego znaczenia - kontynuował Popiół. - I tak ją przechytryłem, skupiła się na niewłaściwej chwili i niewłaściwym wcieleniu. W tej sytuacji strata kilku pionków, nawet tych ulubionych, nie jest wielką stratą.

Głóg pomyślał, że gdyby szaleni bliźniacy byli ludźmi, to można by powiedzieć, iż Popiół właśnie daje wyraz wściekłości, upokorzeniu i żalowi.

- Tak czy inaczej - rzekła ciemność - pora na ujawnienie odrobiny naszych zamiarów i ograniczenie zniszczeń. Widziałeś coś takiego? - zapytał Popiół i otworzył zestaw dzieł schowanych jedno w drugim, jak pudełka w coraz mniejszych pudełkach.

Całość była tak skomplikowana, że Głógowi zakręciło się w głowie.

- Nie miałem pojęcia - wyznał. - Tamto życie było takie małe.

- Małe i dzikie, w dół do najmniejszego. - Popiół zachichotał. - I czasami manipulowanie najmniejszym jest najwspanialsze. Na Dormling, czeladniku!

Słuchając dziecięcego chichotu, Głóg pomyślał: Gdzieś przegrał

bitwę. I zamierza mnie zdradzić. Nie jest Bogiem ani nawet jeszcze nie szatanem.

Zdołam to zrobić. Bardzo dobrze.

- Musimy pomaszerować do Dormling - powiedział do ser Hartmuta. - Jak najszybciej.

Ser Hartmut zaśmiał się ponuro.

- Może wtedy, kiedy wszystkie kobiety będą martwe i ognie się dopalą, skłonisz to stado do ruszenia w drogę. Z mojego doświadczenia wynika, że większość stworzeń, nie tylko ludzie, bierze tyle, ile może, i wraca do domu. Dla większości stworzeń wojna nie jest drogą do celu. Jest po prostu celem.

Rzeczywiście, nazajutrz prawie tyle stworzeń Dzikich odłączyło od armii, ile do niej dołączyło. Codziennie przybywały nowe stwory i bandy ludzi - Zamurzanie, bandyci, trolle jaskiniowe, małe plemiona boglinów pod wodzą szamanów i wiele większych istot - całe stado wiwernów, jakich Głóg wcześniej nie widział, z dalekiej północy, a także nowa, silna grupa opiekunów, dużych, ciężko zbudowanych jaszczurów z północy Kraju Kabaczka będących odwiecznymi wrogami Mogon i jej ludu.

Odeszło wielu północnych Huranów, którzy przybyli jako ochotnicy; jedni odeszli z odrazy, a inni po prostu dlatego, że zdobyli łupy albo jeńców, których będą mogli przyjąć do plemienia albo poddać torturom i zabić.

Pomimo tych zmian Głóg miał pod komendą ogromną czeredę i złupienie Ticondagi nie zajęło dużo czasu. Napełnienie brzuchów poszło równie szybko. Ludzie Hartmuta wraz z marynarzami rozbili i umocnili obóz, gdzie pożywili się swoimi zapasami, odmawiając się dzielenia z kimkolwiek poza bandą Orleya.

Wojownicy Orleya, chlubiący się bliznami i tatuażami, byli teraz tak dobrze uzbrojeni i opancerzeni, że wyglądali jak regiment ciemnoskórych rycerzy. Wszyscy nosili jednolite tabardy z jeleniej skóry. Większość miała ciężkie piki albo topory, a niektórzy dodatkowo kusze. Kevin Orley wyrobił sobie nazwisko i ludzie zbiegali się pod jego sztandar. Ogłosił się hrabią

Zachodniego Muru i opancerzona pięść Orleyów powiewała nad



dymiącymi ruinami Ticondagi.

Ser Hartmut był dobrym nauczycielem, jeśli chodzi o wojnę, i Głóg pilnie go słuchał, kiedy kreślił plany. Rozkazał podzielić horde, żeby stworzenia omiotły większe połacie Andnaturni, siejąc grozę i powodując dalsze zniszczenia.

- Spotkamy się za pięć dni pod Łęgami Wilczej Głowy - powiedział głosem, który przypominał warczenie i ryk letniego pioruna. - Zajmiemy Dormling i znowu będziemy ucztować.

Ser Hartmut zebrał ludzi - Galów, marynarzy, Zamurzan, wojowników Orleya i wszystkich tych, którzy im towarzyszyli. Ostatniego dnia w Ticondadze dołączyły do nich doświadczone posiłki z Galii - kolejne sto kopii z silną kompanią najemników. Kapitan Guerlain Capot dowodził brygantami, ludźmi równie twardymi i brutalnymi jak ci Orleya, a ser Cristan de Badefol miał setkę etruskich kopii pod czarnym sztandarem. Na jego zbroi widniała inkrustowana złotem dewiza „Wróg Boga, Miłosierdzia i Sprawiedliwości”. Powiadano, że kiedyś należał do Zakonu Świętego Tomasza.

Natychmiast po przybyciu podszedł do ser Hartmuta. Uściskali się, po czym de Badefol obejrzał ruiny Ticondagi.

- Mówiłem d'Abblemontowi, że weźmiesz twierdzę - powiedział. - Sprowadziłem tylu, ilu mogłem. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie jest przesrane.

Ser Hartmut skrzywił nos zrażony ordynarnym językiem Etruska.

- Nie zgrywaj chłopca z chóru - dociął mu de Badefol. - Tuż przed wyjazdem usłyszeliśmy, że król Galii poniósł sromotną klęskę w południowym Arelacie. W Trzech Rzekach, odkąd przybyli tam dwaj etruscy kupcy, krąży pogłoska, że Etruskowie poprosili cesarza o pomoc, bo jest tak źle. - Obserwował wiwerna zrywającego się z wody do lotu. Końce wielkich, powolnych, pracujących mozolnie skrzydeł zostawiały szereg idealnych kręgów na wodzie. Po szesnastym uderzeniu stwór wzbił się w powietrze, niemal muskając daleką linię drzew, gdzie Chimney Point schodził z boku Zielonych Wzgórz. - Na Boga, ser Hartmucie, jestem rad, żeśmy się sprzymierzyli z siłami Szatana. Zawsze byłem jego wyznawcą.

- Mówisz wiele bzdur i mało mądrości, przyjacielu.
  - Czy d'Abblemont wie, że wspieramy tę samą stronę, która toczy wojnę z królem w Galii i Arelacie? - zapytał de Badefol.
  - Nic mnie to nie obchodzi - warknął ser Hartmut. - Mam rozkazy i będę im posłuszny, dopóki ich nie wypełnię.
- De Badefol pokiwał głową.
- Bardzo proste. Cóż, pewnie minie kilka dni, zanim moi dzielni chłopcy się... Na czarne anioły piekiel, co to?

Kilka jardów dalej z ziemi wylazły dwa bogliny. Przewierciły się od spodu, jak zawsze, kiedy ziemia była miękka, i pojawiły się w obrębie ludzkiego obozu. Błyskawicznie dopadły kozę i jęły pożerać ją żywcem.

Ser Hartmut dobył miecza, który stanął w płomieniach. Zabił oba bogliny, miecz bez wysiłku porąbał ich ciała i zostawił je w takim samym stanie, w jakim one zostawiły kozę.

Po paru sekundach spadły padlinożerne ptaki.

- Gdzie ja jestem, do kurwy nędzy? - zapytał de Badefol.
- W Dziczy - odparł ser Hartmut. - Lepiej przywyknij. Tutaj jest się albo drapieżnikiem, albo jedzeniem.

\*\*\*

Sześćdziesiąt mil na wschód od Dormlingu cesarz wsiadł na konia, wziął hełm od młodszego spathariosa, Derkensuna, i miecz od starszego, Guntara Grossbeaka, po czym pojechał do swoich oficerów czekających na przegląd jego wspaniałej armii. Derkensun wciąż nie był pewien swojej rangi, toteż ostrożnie podchodził do ceremoniału. Grossbeak, wielkolud o blednących miedzianych włosach i największym nosie, jaki Derkensun kiedykolwiek widział, był jarlem, panem. Niedawno przybył z ojczyzny i nie miał doświadczenia w gwardii, ale za to cieszył się wielką sławą jako zabójca.

Derkensun go lubił, chociaż był symbolem największego problemu armii cesarskiej - przybyło zbyt wielu nowych ludzi.

Armia zwinęła obóz i pomaszerowała o wilgotnym świcie. Meander płynął po prawej stronie, a na południu zaczynały się pocięte długimi dolinami Zielone Wzgórza. Na niektórych szczytach stały starożytne forty, a na innych kopce kamieni z tak zamierzchłych

czasów, że nikt nie pamiętał, kto je usypał.

Cesarz obserwował czoło armii otoczony przez swoich Nordykanów, uzbrojonych w wielkie topory albo długie dwuręczne miecze, w kolczugach do kolan i dłuższych - jednych stalowych, drugich z matowego żelaza, jeszcze innych z brązu. Wielu Nordykanów miało na kolczugach etruskie lub albańskie napierśniki, niektórzy nosili nowomodne basinety z kolczymi kołnierzami, na których wspierali drzewca toporów. Od czasu ubiegłorocznego krwawego zwycięstwa w Tracji prawie każdy miał bigwanty. Pomimo tych zmian wspaniałe płaszcze na ramionach pozostały takie same i wiele hełmów lśniło złotem we wschodzącym słońcu.

Dziś za osobą cesarza jechała schola, elitarna jazda Morei z rogowymi łukami w pokrowcach u boków, w brygantynach albo karacenach na lekkich kolczugach, w złotych brokatowych tabardach i szpiczastych hełmach z utwardzanej stali, świeżo wykutych w dalekiej Wenecji. Każdy oddział jechał na dobranych koniach; kare w pierwszym oddziale, gniade w drugim, siwe w trzecim. Odziani na szkarłatno wardarioci już byli daleko z przodu, sunąc po wzgórzach w prawie niewidocznej tyralierze, która osłaniała czoło i flanki kolumny.

Za scholą jechały dwa regimenty cesarskich stradiotów, na wpół feudalnej kawalerii złożonej z ludzi z południowej Morei i z miasta. Północna Morea i Tracja potrzebowały dwudziestu lat, żeby się otrząsnąć po zdradzie, stagnacji i bitwie, ale stradioci już od zeszłego roku wprowadzali zmiany. Większość jechała na roślejszych koniach i miała cięższe pancerze, dostarczane po korzystnych cenach przez etruskich pośredników.

Za stradiotami maszerowała grupa górali ze zboczy pomiędzy Albą i cesarstwem. Byli wysocy i silni, tak mężczyźni, jak kobiety, uzbrojeni w ciężkie oszczepy i jeszcze cięższe łuki. Nie mieli zbroi poza żelaznymi łebkami. Wielu niosło małe okrągłe tarcze, lecz nikt nie miał ostrza dłuższego niż przedramię. Górale mieli swoich oficerów, brodaczy na kucach, i maszerowali dość szybko, żeby dotrzymać im kroku.

Dalej szła gromada Zamurzan z południowego Huranu, z okolic

Osawy, najdalszych północnych placówek cesarstwa. Przybyli do Middleburga i wielu już śledziło hordy czarnoksiężnika. Nie zachowywali nawet pozorów porządku i czasami zupełnie odbijali od kolumny. Przewodził im Janos Turkos, jadący na czele i kurzący fajkę.

Na końcu w ariergardzie jechał ser Milus z wielkim kompanijnym sztandarem Świętej Katarzyny, Morganem Mortimirem i połową kompanii, powiększoną o prawie tylu samo ludzi, bo ser Milus nie marnował czasu i był zajęty werbowaniem.

Razem wzięwszy, cesarz miał pięć tysięcy zaprawionych weteranów do wojny na południu. Jeśli się martwił, to jego piękna, beznamiętna twarz niczego nie zdradzała.

Wojsko krzyknęło, skręciło niemal jak jeden mąż i ruszyło na zachód.

\*\*\*

Morgan Mortimir miał za sobą przyjemny semestr cyzelowania umiejętności - w zasadzie tylko kilka tygodni - gdy na schodach gospody wpadł na niego cesarski kurier z posłańcem od ser Milusa, wzywając go na wojnę. Pomimo krótkiego czasu spędzonego na uniwersytecie zdążył się nauczyć pewnych fascynujących rzeczy i po wyjeździe z Liwiapolis przez pierwsze dziesięć dni drogi wykorzystywał zdobytą wiedzę do tworzenia praktycznych projektów.

Jednym było proste heretyczne urządzenie wielkości puszek na krzesiwo i hubkę. Kiedy zwiadowca wciskał specjalny ćwiek, to powodowało wibrowanie struny na pudełku innego zwiadowcy, który mógł się znajdować w odległości ligi albo nawet dalej. Urządzenie wciąż pozostawiało wiele do życzenia i Morgan był pewien, że można je wykryć w eterealu, ale dzięki niemu zwiadowcy mogli informować cesarza o niebezpieczeństwie bez konieczności pokonywania dalekiej drogi. Pomny ostrzeżenia kapitana wymyślił tuzin innych przyrządów w większości mających na celu ochronę kolumny przed szpiegami. Niektóre nawet działały.

Jedyną zewnętrzną oznaką było to, że owady miały spore kłopoty ze zbliżeniem się do kolumny w obozie czy w marszu. Ten efekt uboczny zapewnił Morganowi wdzięczność żołnierzy i wielką

popularność.

Morgan dumiał nad prostym, łatwym do zmieniania szyfrem do swoich urządzeń łączności. Zrobił ich tylko sześć, przy czym każde wymagało więcej niż jednego dnia pracy i tyle samo jego *potentia*. Ser Milus i prokonsul Vlad, tymczasowy dowódca wardariotów, codziennie prosili o więcej.

Nagle z pudła rezonansowego urządzenia - ze starej lutni przerobionej hermetycznie w taki sposób, żeby struny reagowały bezpośrednio na impulsy z eterealu - popłynęły tony oznaczające alarm.

- Zbliża się atak - powiedział zwięźle, bo nic więcej nie wiedział. Język impulsów wciąż był zbyt ograniczony.

Ser Milus wydał rozkaz i wielki czerwony sztandar zakołysał się do przodu i do tyłu.

Kolumna natychmiast zaczęła się rozwijać. Morgan był daleko z tyłu, skąd widział górali biegnących na południe w poszukiwaniu osłony i Zamurzan biegnących brzegiem Meandru na północ w tym samym celu. Jedni i drudzy osłaniali flanki.

Z południa nadleciały wiwerny. Były ostrożne, leciały bardzo nisko. Zważywszy, jak mała odległość dzieliła ich od Kręgu Smoka, Morgan był zaskoczony, że ośmieliły się tu zapuścić.

Było ich dwanaście, smukłe sylwetki sunące wzdłuż skraju wzgórz na południowym zachodzie. Gdyby nie ostrzeżenie zwiadowców, zaskoczyłyby kolumnę w szyku marszowym, ale teraz każdy łucznik miał strzałę na cięciwie.

Przywódca wiwernów był stary, sprytny i miał duże doświadczenie w walce z ludźmi. Z godną podziwu precyzją wydawał komendy. Wzbił się ze swoim stadem, wykorzystując prądy powietrzne, okrążył ostatnie wzgórze i przeleciał nad dolinę Meandru. Morgan zobaczył, że łuczniczki wypuszczają strzały, niektórzy o wiele za wcześnie. Na szczęście większość była doświadczonymi weteranami nie tylko wojny, ale właśnie takiej wojny, i ci czekali stosownej chwili.

Z taboru blisko końca kolumny poszybowały bełty.

Wielkie skrzydlate stworzenia skręciły, lecąc wzdłuż osi kolumny i

manewrując w spokojnym powietrzu, żeby stanowić trudniejsze cele.

Kiedy Faja wykrzyczał, jaki jest zasięg, łucznicy na prawo i lewo od taboru prawie jednocześnie unieśli łuki i wypuścili strzały.

Dzielny, ale niedoświadczony wiwern zakołysał się w powietrzu trafiony czterdzieści razy. Runął jak kamień, podskoczył i orał bruzdę w piaszczystej glebie, aż uderzył w wóz zaprzężony w woły. Woły przewróciły oczami i ruszyły ciężkim galopem, przemykając wzdłuż linii łuczników na prawo od drogi. W końcu się przez nią przedarli.

Dwa kolejne wiwerny padły ofiarą swojej nienawiści i łakomstwa. Nie słuchając naczelnika, zaatakowały zdeorganizowanych łuczników. W ciągu kilku uderzeń serca zginęli Jack Kaves i jego kamrat Obibok, a kilkunastu innych odniosło rany i upadło.

Ser George Brewes rzucił z rykiem długą włócznią, ser Giovanni Gentile u jego boku zrobił to samo. Jeden z młodszych wiwernów dostał w nasadę szyi i dźwignął się w powietrze, lecz drugi został, żeby walczyć, i opancerzeni ludzie uderzyli na niego ze wszystkich stron. Tippit i Półdupek naszpikowali strzałami trzeciego potwora, a potem pozostałe zaczęły się wycofywać.

Ranna bestia miała kłopoty z nabraniem wysokości i wardarioci ją zabili, jadąc pod nią na złamanie karku i strzelając prosto w brzuch, dopóki nie padła.

Mężczyźni i kobiety ściągnęli z wozów martwe straszdyła i zauważyli, że ich szpony są usmarowane lepką czarną mazią. Wezwali mistrza Mortimira, który pobrał próbki. Oczywiście było to coś hermetycznego, ale nie miał pojęcia co - na pewno nie trucizna.

Morgan uznał, że ten incydent świadczył o głupiej próżności wroga, choć jeśli spojrzano się na to chłodnym okiem, cztery zabite wiwerny były marną rekompensatą za dwa wozy taboru i sześciu martwych łuczników.

Trudno było patrzeć na to ze spokojem. Pochowali mężczyzn i dwie kobiety, które z kuszami w rękach zginęły w taborze, a potem ruszyli dalej. Kolumna maszerowała do południa.

Nagle zaczęły umierać konie.

Nie było żadnego ostrzeżenia. Najpierw padły konie w taborze, prawie tuzin w ciągu pierwszej minuty. Czarna piana płynęła z ich

nozdrzy.

Ludzie upadali na ziemię razem z nimi. To było straszne, ciarki przechodziły na widok ich śmierci - ukochane wierzchowce niemal się roztopiały, skóra z nich spływała, a gdy już upadły, rozdymały się i rozkładały w przerażającym tempie, leżąc w kałużach cuchnących wnętrzności.

Morgan nie był jedynym magistrem w kolumnie, ale znajdował się najbliżej pierwszych koni, które padły. Miał dość przytomności umysłu, żeby nakazać ucieczkę swojemu wierzchowcowi, młodemu zwinnemu ogierowi o imieniu Averoes - tak naprawdę mocno walnął go pochwą po zadzie. Zaraz potem pobiegł do najbliższego gnijącego zwierzęcia, już *wchodząc do swojego pałacu - pałacu, który zbudował Harmodiusz.*

*Zostawił szachownicową podłogę i kilka innych rzeczy, ale figury szachowe zastąpił posągami - trzydziestoma dwoma posągami ulubionych postaci historycznych i współczesnych, filozofów, władców, mistyków i nawet muzyków.*

*Wywołał czarną maź, która była na szponach wiwernów. W eterealu wydawała się nie czarna, ale zielonkawa jak pleśń. Kolor pulsował życiem i hermetyczną energią.*

*Widział coś takiego po raz pierwszy, ale maź nie wydawała się niebezpieczna. Pochylił się, patrząc z bliska. Na uniwersytecie nauczył się wielu sztuczek i jedna z nich polegała na sporządzaniu soczewek z powietrza. Zrobił je i natychmiast padł ofiarą własnych czarów - widok stał się zbyt gruboziarnisty, żeby badać maź w eterealu.*

Wyłonił się w świecie realnym i dołożył starań, żeby nie wpaść w syczącą czarną breję, która kiedyś była drugim koniem Hetty. Podniósł próbkę w powietrze przed sobą, wyczarował soczewki z powietrza i je przesunął...

Czarno-zielonkawa maź żyła.

\*\*\*

Pięćdziesiąt jardów dalej ser Milus odgradzał umierające konie od reszty armii. Nie miał pojęcia, co je zabija, ale znał wojnę na tyle, żeby bać się zarazy i szybkiego rozprzestrzeniania się tego czegoś - jakiejś strasznej końskiej plagi albo klątwy, a może dzieła hermetycznego.

Konie na tyłach kolumny padały, ale plaga nie dotarła jeszcze na czoło.

Tyle że ludzie zawracali, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Rozkazał piechutom biec naprzód, a reszcie jechać, i dopiero wtedy pomyślał o skrzynce Morgana, lecz już było za późno. Jego piękny wschodni wierzchowiec wyrzygał czarną żółć i upadł, i Milus znalazł się na ziemi.

Pierwszy koń, który padł, nagle eksplodował. Drobne czarne zarodniki wypełniły powietrze.

\*\*\*

Zarodniki zrobiły na Morganie mniejsze wrażenie. Wiedział, jak sobie z nimi radzić. Zebrał *potentia*, przemienił w *ops* i rzucił prawie bez sięgania do eterealu czy swojego pałacu. Mógł stworzyć ogień bez świadomego korzystania z mocy.

Chmura spor błysnęła i znikła.

Eksplodował drugi koń, potem następny.

Mortimir rzucał.

Gdzieś pomiędzy szóstym i dziewiątym koniem znalazł bardziej eleganckie rozwiązanie. Wbił czubek sztyletu w lepłą czarną maź, użył prostego dzieła „podobieństwa się przyciągają” i zastąpił maź ogniem.

Nie przemyślał wszystkich następstw swojego dzieła i był zszokowany, gdy zobaczył, że kilka jeszcze niezarażonych koni spłonęło z wrzaskiem albo stanęło w płomieniach. Wybiegł myślą na tyle do przodu, żeby zachować próbkę ze szponów wiwerna.

Cała reszta spłonęła.

Godzinę później ser Milus spojrział na straż tylną - teraz tylko jeden człowiek na ponad dziesięciu miał wierzchowca.

Stracili konie, lecz ani jednego wołu. Stracili ponad połowę rumaków.

Zostali bez koni na falistych, żwirowych polach u stóp Zielonych Wzgórz.

Milus zrobił, co mógł, rozkazując załadować na wozy zbroje i broń, żeby odciążyć i przyspieszyć kolumnę. Niemal wymusił na cesarzu kontynuowanie marszu. Przecież musieli się trzymać planu



kapitana.

Nazajutrz rano przybył cesarski kurier i mogli wysłać wiadomości do innych kolumn. Było już za późno.

\*\*\*

Na północ od Albinkirku duży klucz bargestów uderzył na potężnie opancerzoną kolumnę ser Johna Crayforda w chwili, gdy obóz był przygotowany. Podobne do ptaków gady przyleciały z nad sędziwych drzew... i spotkał je wznoszący się deszcz strzał o stalowych grotach. Trzy zginęły natychmiast, sześć innych zostało ciężko rannych. Ich kapitan zawrócił, skrzecząc z wściekłości. Atak się nie powiódł, ludzie byli w stanie gotowości.

Pech chciał, że najmłodszy bargest runął na konie.

Mag zareagowała skuteczniej niż Morgan, ale późno zrozumiała problem, wezwana w ciemność dopiero po tym, jak stado koni zostało zarażone i zarodniki unosiły się w powietrzu. Ona też potraktowała je dziełem podobieństwa. Była znacznie lepsza od niego pod względem uzdrawiania i zdołała ocalić kilkanaście już zarażonych koni, ale musiała je leczyć kolejno, a one umierały zbyt szybko, żeby jej działania miały jakiegokolwiek znaczenie.

Ocalała prawie siedemdziesiąt pięć koni bojowych. Łącznie stracili prawie tysiąc zwierząt i kiedy wstało słońce, ser John wciąż był czterdzieści mil od Dormlingu i jego cała kolumna była spieszona.

\*\*\*

- Dlaczego po prostu nie rzucić tych drobin zarazy na ludzi? - zapytał Głóg, chociaż już znał odpowiedź.

- Ludzie są znacznie odporniejsi na takie czary niż zwierzęta - odparł Popiół. - I chcę mieć ich wszystkich razem. Ich czas nadejdzie i poznają moją moc. Ale nie zatrzasnę pułapki zbyt wcześnie.

*Pragnie wielkiej bitwy na własnych warunkach - wielkiej bitwy, w której wielu polegnie. I każda śmierć go wzbogaci, jego i te piekielne jaja, aż w końcu się wyklują. Nawet to w mojej głowie.*

Głóg dumiał nad tym przez chwilę.

*A potem się objawi, jak sądzę. Jakie jest źródło jego mocy? Czy to krew? Czy umykające dusze w eterze?*

*Dlaczego nie może zobaczyć Ciemnego Słońca?*

*Gdybym był dość blisko Ciemnego Słońca...*

Przerzuciwszy armię Dżicy na południe na porośnięte gęstymi lasami wzgórza i moczary południowych Adnurni, Głóg spędzał czas na przenoszeniu rzeczy i stworzeń na tak zwaną Smoczą Drogę. Przy czwartej próbie trzymał w ręce żółwie jajo, a kiedy zakończył czar przemieszczenia, ręka była pusta. Żółwie jajo leżało w kałuży żółtka pod jego nogami.

Przyfrunął kruk i zaczął dziobać jajko.

Drapieżnik spadł z nieba, przepędził kruka i zabrał się do jedzenia.

Bargest runął bezgłośnie na jastrzębia, zabił go i zaczął pożerać. Kiedy skończył, zjadł jajo na deser.

Głóg pokiwał głową.

Ryzyko z jednej strony było niewiarygodne, a z drugiej niemal banalne. Popiół z pewnością planował jego śmierć - co więcej, podejrzewał, że jest niczym więcej, jak tylko jadalną zewnętrzną częścią jaja.

\*\*\*

Niedaleko na zachód czarnobrody magister podjechał do bramy Lissen Carak i delikatnie zastukał laską. Za nim nadrzeczną równinę - spaloną do gołej ziemi podczas zeszłorocznej bitwy, obecnie porośniętą jeżynami i kępami olch - tratowały zastępy Baśniowego Rycerza. Pierwsi jechali irkowie, czterystu rycerzy we wspaniałych zbrojach z brązu i złota, jedni na jeleniach, inni na koniach. Za nimi szedł Bill Redmede z trzystoma Jackami, a dalej sunęła istna powódź boglinów. Tyły zamykały gromady Zamurzan we wspaniałych barwach wojennych i kolejni irkowie, wysocy i smukli niczym jesiony, niosący ciężkie topory na okrytych kolczugami ramionach.

Kiedy sierżanci powiadomili Miram, przeorysza osobiście podeszła do bramy. Wspięła się na blanki osłaniana przez dwóch kuszników w wieżach bramnych.

Nie rozpoznała człowieka przed broną. Miał szpakowate włosy, grube rysy i długi orli nos. Siedział na kościstym koniu.

- Jestem magister Harmodiusz! - zawołał.
- Zmieniłeś się.

- Tak - burknął jakby niecierpliwie. - Zmieniłem ciała.

- I strony, jak mniemam - powiedziała Miram.

Harmodiusz pokręcił głową.

- Mamy pięćdziesięciu jeńców, których chętni jesteśmy uwolnić.

Nie doznali krzywdy.

Garnizon zamku Zachodniego Muru przymaszerował pod bramę. Ludzie byli brudni i przerażeni. Spędzili kilka dni w armii złożonej z buntowników i potworów, obawiając się, niezupełnie niebezpiecznie, że zostaną pożarci.

- A potem ruszysz w swoją stronę? - zapytała Miram, skrywając swoje lęki.

Harmodiusz, o ile naprawdę to był on, pokręcił głową.

- Mamy własne cele.

- Nie jesteś tu mile widziany - powiedziała. - Trzymamy tę fortecę dla króla. Jeśli prowadzisz wojnę z królem, odejź.

Harmodiusz uniósł rękę.

- Posłuchaj mnie, Miram. Nie prowadzimy otwartego konfliktu z żadnym wrogiem. Baśniowy Rycerz przybył tutaj ratować swoich ludzi. Muszą być gdzieś w pobliżu. Pozwól nam ich znaleźć i udzielić im schronienia, a nasza wdzięczność będzie dozgonna.

Miriam pokręciła głową.

- Zdradziłeś swojego króla i Boga. Te straszliwe istoty nawet w tej chwili pożerają martwych w Ticondazze. Masz czelność sugerować, że mamy ci pozwolić obozować na naszej równinie? Nie mogę cię zatrzymać, ale, na Boga, którego wielbię, zdrajco, kiedy przybędziesz po tę fortecę, gorzko tego pożałujesz wraz ze swoim mrocznym panem.

- Zaczekaj! - krzyknął Harmodiusz błagalnym tonem.

Miram zniknęła z blanków. Ciemny kamień odbił jego słowo, które zaraz potem rozplynęło się w powietrzu.

- Bodaj to - mruknął.

\*\*\*

Tuż na południe od Albinkirku i Południowego Brodu trzy bargesty i dwa wiwerny krążyły niezmordowane jak muchy nad ocienionymi przez drzewa ścieżkami przy północnym krańcu Traktu

Królewskiego.

Amicja wykryła je po porannej modlitwie, krótko po pierwszej od wielu dni łączności duchowej z chórem siostr w Lissen Carak. Przed południem wyczuła obecność stworzeń jako nieszczególnie zgubną dla jej nowej świadomości, ale zdecydowanie wrogą. Powiadomiła ser Thomasa i eskortę rycerzy zakonnych.

Do przeora Wisharta powiedziała:

- Chciałabym, żebyś pozwolił mi wypróbować mój sposób, zanim zwrócisz się ku przemocy. - Sięgnęła przez liczne więzi do siostry Miram.

Przeor Wishart powstrzymał się od odpowiedzi. Widziała, że przygryzł język, i żałowała, że odezwała się tak obcesowo. Codziennie miała wrażenie, że mężczyźni i kobiety wokół niej zbyt chętnie posługują się mieczami i czarami - że ich skłonności do stosowania siły wyraźniej niż wszystkie inne grzechy świadczą o kondycji rodzaju ludzkiego.

Podczas modlitwy zaczęła się zastanawiać, czy to nie oni są potworami.

Przeor, którego kontakty z Dziczą polegały głównie na zabijaniu, zacisnął zęby i wzruszył ramionami.

- Siostro, twoje talenty wykraczają ponad większość naszych umiejętności. Bez twojego ostrzeżenia nie mielibyśmy czasu na tę rozmowę. Proszę, rób, co uważasz za stosowne.

Amicja się uśmiechnęła.

- Musicie się trzymać z dala ode mnie - przykazała. - Przypuszczam, że gdy tylko je uwolnię, czarnoksiężnik na mnie uderzy.

Przeor Wishart pokręcił głową.

- W takim razie zostań z nami, a będziemy walczyć albo polegniemy razem.

Tom Lachlan się roześmiał.

- Wiwern i dwa bargesty? Coś ci powiem, dziewczyno. Zostań tutaj. Ja się z nimi rozprawię. - Uśmiechnął się do niej. - Należy mi się mała bijatyka.

Amicja pokręciła głową.

- Nie. Proszę, zabijanie nie pomoże naszej sprawie. W tej chwili czarnoksiężnik rozgrywa wszystko po swojemu. Lepiej niż większość innych znam zamierzenia kapitana. Pozwól mi spróbować.

- Chcesz go zdekoncentrować? - zapytał przeor.

- Ponieważ to jest właściwe! - powiedziała Amicja zaskoczona swoją pasją. - Jesteśmy pobożnymi ludźmi, nie zabójcami jak...

Zły Tom rozciągnął usta w uśmiechu, błyskając zębami.

- Jak ja, panienko? Tak, jestem zabójcą. - Pochylił się ku niej. - Gwarantuję ci, że będziesz chciała mieć mnie przy sobie, zanim dzień się skończy.

Widziała, że jest zirytowany.

Zignorowała go wraz z jego rozdrażnieniem. Zsiadła z konia i sama poszła ścieżką. W jakimś zakamarku umysłu była świadoma, że wąwóz i wielkie wodospady są tylko kilka mil dalej na wschód. Ale to nie była jej sprawa, nie dzisiaj ani żadnego innego dnia - wspomnienia tamtej Amicji stawały się coraz trudniej dostępne. Odsunęła je od siebie, a może po prostu zapomniała. Coś się w niej działo, przepływała przez nią jakaś kaskada wiary i zrozumienia.

Przepędziła wątpliwości i te nowe odkrycia, sięgnęła do sióstr w Lissen Carak, a potem w niebo.

Dotknęła wiwerna. Wiedziała, że są upartymi, silnymi, podobnymi do żywiołów stworzeniami o trudnej do przełamania woli.

Wola tego została przełamana, a przynajmniej nagięta. Więż była mało subtelna i niezwykle potężna. Jej odpowiedź była subtelniejsza, lecz wynik nie pozostawiał wątpliwości - nóż przetnie linę niezależnie od tego, jaka jest gruba. Amicja przecięła więż.

Wiwern, sześćset stóp ponad nią, odwrócił się i odleciał z niskim, gardłowym krzykiem gniewu.

Drugiego uwolniła szybciej.

\*\*\*

Pięćdziesiąt lig na północ, w szerokim przełomie Aldaru, Głóg poczuł przeciwnika podczas przeprawy tak ciężkiej, że się obawiał, iż armia ugrzęźnie w błocie.

Popiół zjawił się obok niego w formie niematerialnej czarnej mgły,

która się zestaliła w postać dwugłowego dziecka.

- Pierdol ją i jej pobożność! - wrzasnął w harmonijnym chórze głosów. - Nienawidzę ludzi!

Głóg poczuł *ops* wydartą z niego i otaczającego ich świata. Drzewa umarły. Szaman irków mający pięćset zim został wyssany z mocy i duszy.

*Głogu, jeszcze nie należę do tego świata. Daj mi swoją moc, a nauczę to ludzkie dziecię bawić się z moimi niewolnikami.*

Głóg miał niewielki wybór, ale z wielką śmiałością spróbował ukryć *potentia* w nowym miejscu w swojej głowie.

Popiół rzucił. Było to jak zachód słońca - piękne, niepowstrzymane, budzące podziw i grozę. Głóg nigdy nie widział tak potężnego, tak zwarte go dzieła - w porównaniu z nim wezwanie gwiazdy z nieba było dziecinną igraszką. Gdy Popiół osiągnął punkt kulminacyjny, powiedział:

- Czy ona jest tą jedyną? Czy to wola, która przeważała nad moją wolą?

Głóg nie miał pojęcia, o co mu chodzi.

Popiół wyrzekł słowo.

Głóg je usłyszał i przez chwilę patrzył w otchłań, w mrok pomiędzy sferami, gdzie mieszka zło i dokąd nie ośmiela się polecieć żaden anioł.

\*\*\*

Po uwolnieniu trzeciego wiwerna Amicja wiedziała, że adwersarz przyjął jej wyzwanie. Czowała, że umacnia opór.

Czowała zimny, wilgotny podmuch jego czarów tworzonych na północy.

Ale była blisko swojego domu - dość blisko, żeby czuć więź Lissen Carak i znać pociechę chóru sióstr, które tam czekały. Śpiewały. Sięgnęła w potoczysty strumień ich mocy i uniosła ręce. *Na swoim moście stała w tej samej pozie, niemal na palcach, z rękami uniesionymi wysoko nad głową.*

*I gdy opadło na nią wielkie wezwanie, arcydzieło wezwania, zrobiła coś nowego - coś, czego nigdy dotąd nie próbowała ani nawet do tej chwili nie uważała za możliwe.*

*Zamiast odpowiadać mocą na moc, na podstawach jego dzieła ogłosiła akt unicestwienia. Nie osłoniła się - zaprzeczyła. Nie stawiała oporu - zaprzeczyła.*

\*\*\*

Tom Lachlan siedział na koniu, patrząc na tę drobną kobietę, która wyrzekła się doczesnych przyjemności na rzecz bezcielesnego życia w klasztorze. Teraz widział to, co dostrzegł w niej Gabriel. Kiedy się wyprężyła, żeby rzucić czary, niemal się oblizał.

Wybuch światła zaskoczył wszystkich. W jednej chwili zakonnica stała spokojnie może dwadzieścia jardów przed nimi, a w następnej zapłonęła jak najjaśniejsza wyobrazalna pochodnia. Pomiedzy jednym uderzeniem jego wielkiego serca a drugim przemieniła się w drugie słońce oświetlające świat i cały świat wokół nich odbijał jej światło, dzięki czemu mógł zobaczyć mądrość i śmiałość Wisharta, swoją brawurową odwagę, bezgraniczną szczodrość Kennetha Dhu tak, jakby wszyscy oni byli lustrami cnoty odbijającymi jej wielkość.

- Mój Boże... - szepnął Wishart.

Świat jakby wywrócił się na nice. Przez ułamek chwili czasu Tom Lachlan i wszyscy towarzyszący mu rycerze czuli się wyzbyci własnego ja - jakby stali na powierzchni sfery, patrząc do wewnątrz na dzieła maleńkich ludzi i potworów, i wrażenie było takie silne, że padli na kolana i mamrotali, iż stanowią jedność z Bogiem.

Nawet Tom Lachlan.

Amicja, przeszyta blaskiem i płonąca, powiedziała:

- Czarne jest białe.

\*\*\*

Popiół ryknął.

Głóg się nie skulił, ponieważ nie pozwoliła mu na to jego forma. Popiół zmienił zewnętrzny wygląd i powstał jako chmura furii nad jego powykręcana kamienną postacią.

- To nieuczciwe! - ryknął. - Głogu, musimy szybko ruszać.

Głóg stał obojętnie w wodzie sięgającej mu po kamienne kolana.

- W tym? - zapytał.

Głos cienistego smoka palił go jak kwas.

- Jedno z nich jest na samym skraju Zaistnienia, a ona... ona mi

Zaprzeczyła. - Oczy Popioła wyrażały nie gniew, lecz fascynację. - Muszę ją zniszczyć, zanim mój wróg zyska potężnego sprzymierzeńca. Zapomnij o Dormlingu. Dostaniemy słodsze mięso.

Głóg uznał, że rozmawia z obłąkańcem.

Popiół zapanował nad głosem. Miejsce ryku śmierci i żyły lodu zajął władczy intelekt.

- Nie - rzekł ponuro. - Muszę się zastanowić. Nie mogę mieć wroga na flance, a Smok, choć zasługuje na pogardę w swojej gnuśności mola książkowego, może być potężnym wrogiem. Muszę go zmusić do otworzenia pazurów. Ale ta kobieta... niechaj będą przekłęci wszyscy ludzie i ich niekończące się usiłowania! Zachwieje równowagą nas wszystkich. Nawet nie wie, o co się toczy gra.

Głóg pomyślał, że wie. I pomyślał, że być może wie, o kim mówi Popiół.

A Popiół nie wykrył jego zgromadzonej *potentia*.

Głóg pomyślał o wielu rzeczach i zachował te myśli dla siebie.

\*\*\*

Amicja stwierdziła, że klęczy.

Przez długi, bardzo długi czas, niemal wieczność, doświadczała czegoś, co można nazwać tylko radością tworzenia.

W jej umyśle śpiewał chór.

Jeden głos był nie kobiecy, lecz męski.

- Amicjo, wracaj. Jest za wcześnie.

\*\*\*

Miram sięgnęła mocą chóru, który śpiewał za jej plecami, i znalazła swoich sprzymierzeńców - dziwnych sprzymierzeńców. Baśniowy lud i magister utworzyli własny chór - ziemisty zielony chór, który w porównaniu z jej pięknie zgraną scholą śpiewał jak uczestnicy karczemnej biesiady, a w eterealu ich śpiew brzmiał cicho i niepewnie. Mimo wszystko spełniali swoje zadanie, wspomagając starania zakonnice.

Wspierając ją.

Sięgnęła - umysł do umysłu, obraz do obrazu, i śmiało weszła do pałacu Harmodiusza, gdzie z zadowoleniem zobaczyła, że wciąż jest przystojnym mężczyzną w aksamitach.



- *Zabieranie ciała innego człowieka jest grzechem - upomniała go. - Wstęp może wydawać się grubiański, ale taka już jestem.*

*Harmodiusz pokiwał głową.*

- *Cóż, pani przeoryszo, czy miałabyś o mnie lepsze zdanie, gdybym powiedział, że nie żył, kiedy je zająłem? Oczywiście musiałbym wtedy wyznać, że był martwy, ponieważ runąłem na niego od środka i zabiłem go w jego własnym pałacu.*

*Miram zadrżała, nawet w swoim miejscu mocy.*

- *To niemożliwe.*

*Ale nagle oboje znaleźli się w jej pałacu i Harmodiusz w swoich szkarłatnych aksamitach siedział na ławce z klęcznikiem.*

- *Nie, to całkiem łatwe, Miram-powiedział. -Naprawdę musisz uwierzyć, że nie chciałem was skrzywdzić, ponieważ gdybym chciał, mógłbym to zrobić.*

*Miram skinęła głową.*

- *Czy mogę cię prosić, żebyś uprzejmie raczył stąd wyjść? Może potem odbudujemy zaufanie na tyle, żeby ponownie się spotkać.*

*Harmodiusz się uśmiechnął.*

- *Chciałbym powiedzieć, że uratowaliśmy twoją dziewczynę. Ale cokolwiek się tam stało, nie było naszym dziełem. Ona jest na skraju Zaistnienia.*

*Miram uniosła rękę do metafizycznego gardła.*

- *Czego?*

*Harmodiusz wzruszył ramionami.*

- *Zobaczysz - odparł.*

\*\*\*

*W świecie materialnym Harmodiusz siedział z zapomnianą fajką na kolanach. Baśniowy Rycerz siedział na stołku z poroża - nie wymierzał sprawiedliwości ani nie sprawował sądów, tylko zszywał spodnie z jeleniej skóry.*

- *Przyjdzie po nią - powiedział. - Będzie dla niego zbyt wielką pokusą i zbyt wielkim potencjalnym zagrożeniem. - Z aprobatą pokiwał głową. - Jest bardzo niebezpieczna.*

*Harmodiusz potarł kciukiem lepłą czarną smołę, która zebrała się*

na fajce.

- Zmieni jego plany. Bez względu na to, jakie są. - Uśmiechnął się i przez chwilę był to mroźący krew w żyłach uśmiech Eskepilesa. - I bez względu na to, co z tego wyniknie, skupi jego uwagę na sobie.

Baśniowy Rycerz się skrzywił, gdy przez nieuwagę wbił igłę w swój prawie nieśmiertelny kciuk. Spojrzał w oczy magistra.

- Zamierzasz się z nim mierzyć?

Harmodiusz zmarszczył brwi.

- Zobaczymy.

- On cię zabije - powiedział Baśniowy Rycerz. - Już z nim walczyłem. Unika bezpośredniej konfrontacji. Zawsze wybiera okrężne podejście.

Harmodiusz wstał.

- Słyszę cię.

- Strata ciebie będzie wielkim ciosem, śmiertelniku. - Baśniowy Rycerz wyciągnął rękę w bardzo ludzkim geście.

Harmodiusz pokiwał głową.

- Jesteśmy gotowi na poniesienie strat.

\*\*\*

Godzinę później przeorysza wysłała im kopię cesarskiej wiadomości ostrzegającej przed końską plagą z nieba. Ostrzeżenie napłynęło w porę i zostało potraktowane z należytą powagą. Bargesty uderzyły i napotkały dach *ops* z rozgrzanego do białości powietrza, które spaliło ich pióra i je przeraziło, a chór z Lissen Carak zawrócił je, gdy się wzniosły.

- Teraz nas widzi - rzekł z goryczą Tapio.

- Nie, jeśli moja nowa przyjaciółka Miram dość szybko pozbędzie się jego szpiegów - powiedział Harmodiusz. - Ale nie możemy na to liczyć. Lepiej założyć, że zostaliśmy odkryci.

Tej nocy zwiadowcy Abenaków na północ od Lissen Carak znaleźli za Hawkshead klan Czarnego Górskiego Stawu i posuwające się powoli wielkie stado niedźwiedzich uchodźców. Za nimi ciągnęły inne stworzenia, stare i nowe.

- Będziemy musieli walczyć - oznajmił Tapio. Spojrzał na ludzkiego magistra. - Żeby ich osłonić.

Harmodiusz pokiwał głową.

- Za szybko i w złym miejscu - zawyrokował. - Idealnie.

\*\*\*

Setki lig na południe, w Harndonie, arcybiskup Loriki siedział na krześle u stóp królewskiego podium. Bohemund de Foi miał pełne insygnia swojego urzędu, pomimo niedawnej klęski i oczywistej dezercji galijskich rycerzy, którzy już negocjowali ze zdrajcami, żeby zapewnić sobie statki na powrót do Galii.

Arcybiskup jeszcze nie był gotów do oddania gry i wciąż miał środki, żeby ją kontynuować. Kazał słudze wezwać sekretarza, maitre Grisa, który zjawił się w mnisim habicie.

- Eminencjo - powiedział z ukłonem.

Arcybiskup pokiwał głową.

- Muszę porozmawiać z mistrzem Gillesem. Sądzę, że nadszedł czas na skorzystanie z usług twojego przyjaciela.

Maitre Gris ściągnął brwi.

- Nie mogę go wezwać jak sługę.

Arcybiskup spojrzał na niego spod oka.

- Przecież jest sługą. Sprowadź go. Chcę, żeby zabił tego Randoma.

Maitre Gris się ukłonił.

- Jak każesz, eminencjo, ale skontaktowanie się z tym człowiekiem niekiedy wymaga czasu.

- W takim razie przestań gadać - warknął arcybiskup. - Tracę cierpliwość.

Mistrz Gilles przybył obwieszony amuletami. Arcybiskup na niego spojrzał i uniósł brew.

- Wyglądasz śmiesznie - skomentował.

Mistrz Gilles był wyraźnie przerażony.

- Ale żyję - powiedział. - Mamy wielce potężnych wrogów.

- I sprzymierzeńców. Chcę, żebyś się pozbył kilku ludzi, poczynając od tego zdrazieckiego najemnika.

- Czerwonego Rycerza? - Mistrz Gilles pokręcił głową. - To przerasta moje możliwości.

- Nie, głupcze. Zostawię go jako dawnego sojusznika. Chodzi mi

o Du Corse'a. - Arcybiskup pstryknął palcami na sługę.

Służący pałacowi byli członkami dworu królewskiego i wszyscy dobrze wiedzieli, że urodził się nowy król, że królowa żyje, że de Vrailly zginął. Ich usługi stawały się coraz gorsze. W korytarzach planowano rebelię i arcybiskup wiedział, że tylko strach skłania ich do uległości.

Spojrzał na Amaury'ego, swojego kapitana.

- Zabierz go stąd i chłosczyz, dopóki maniery mu się nie polepszą.

Kapitan Amaury skinął głową, po czym opancerzoną pięścią powalił chłopaka na podłogę. Dwóch halabardników w fioletowo-żółtych strojach chwyciło go pod pachy i wywlekło z komnaty.

- Chcesz, żebym zabił seigneur Du Corse'a - rzekł cicho mistrz Gilles.

- Tak - potwierdził arcybiskup.

Mistrz Gilles się zachnął, a zaraz potem pokręcił głową i westchnął.

- Dobrze, eminencjo. Będę potrzebować czegoś, co do niego należy.

- Przewidziałem twoją prośbę. Mam czapkę, którą nosił ledwie dwa dni temu. - Arcybiskup podał magistrowi czapkę wciąż poplamioną potem.

- Mogę spytać, dlaczego? - zapytał starszy mężczyzna.

- Nigdy mnie nie słuchał. Stał na czele rewolty dobrych rycerzy przeciwko życzeniom Kościoła i mnie. Zawarł tchórzliwą umowę z buntownikami, kiedy nasza armia była większa i mogła wygrać w polu albo przynajmniej utrzymać mosty, podczas gdy my odbudowywalibyśmy nasze siły. A teraz... teraz nawet mi nie pomoże utrzymać pałacu. Jest przekonany, że zawarł pokój z buntownikami. Ja nie. Będę trzymać tę cytadelę do ostatniego tchu. Ponadto kiedy Du Corse umrze, inni rycerze z woli boskiej powrócą i będą mi posłuszni. Kiedy mój szpieg zabije Geralda Rando, w godzinę odzyskam miasto.

Kiwnął głową i przez chwilę rozważał, co trzeba zrobić, żeby wezwać potajemnego sojusznika. Uniósł wzrok i zobaczył, że Gilles jeszcze nie wyszedł.

- Ale przede wszystkim dlatego, Gillesie, że taki jest mój rozkaz, a ty masz go wykonać. - Uśmiechnął się. - Zmykaj i wypełnij moją wolę.

Było jasne, że magister chce zaprotestować. Ukłonił się.

- Ale... - zaczął.

Nie dokończył tego, co zamierzał powiedzieć, ponieważ sługa otworzył drzwi i do komnaty wszedł maitre Gris. Towarzyszył mu człowiek w zielono-czarnym stroju, nijaki mężczyzna średniego wzrostu z peleryną na lewym ramieniu, mający na głowie czapkę szpiczastą jak dziób sokoła. Szedł ramieniem w ramię z mnichem, co świadczyło o zaskakującej poufałości.

Maitre Gris się ukłonił. Ukłon był sztywny.

- A jednak nie tak trudno go znaleźć - rzekł ostro arcybiskup.

Nieznajomy się uśmiechnął. Uśmiech nie objął oczu.

- Akurat byłem w pałacu. Mam tu sprawę.

Przeszli na środek pokoju, gdzie wciąż stał mistrz Gilles. Przybysz złożył lekki ukłon i peleryna zsunęła się z jego ramienia. Obrócił się, unosząc prawą rękę. Mistrz Gilles zatoczył się do tyłu i upadł z rozpaczliwym krzykiem, trzymając się za brzuch.

Mężczyzna płynnym ruchem poderwał stopę, podciął nogi maitre Grisowi i rzucił go na twarz, wykręcając mu prawą rękę za plecami. Mnich jęknął z bólu. Zielono-czarny mężczyzna wymierzył mu precyzyjnego kopniaka.

Nieśpiesznie przestąpił nad wijącym się mnichem i lewą ręką wskazał na arcybiskupa. Coś metalowego zamrugało w jego dłoni.

- Nie sądz, eminencjo, że zostaliśmy należycie przedstawieni. Jestem Jules Kronmir i od kilku dni przekazywałem twoim ludziom fałszywe informacje, błędne oceny, wymysły i jawne kłamstwa. Było to dla mnie przednią zabawą i wyznam, że mam prawo przypisać sobie niemal całkowitą zasługę za upadek twoich sił. Przeze mnie zatrzymałeś się na Drugim Moście, kiedy szybki pościg mógł zniszczyć Czerwonego Rycerza, i przeze mnie później de Vrailly parł naprzód, kiedy akurat takie posunięcie było głupim ruchem, i przeze mnie miasto powstało. - Kronmir był już bardzo blisko arcybiskupa. - Aha, i przeze mnie twoi kapitanowie wynajęli moich ludzi i moich

przyjaciół jako gwardię królewską. - Roześmiał się.

Śmignął wzrokiem na dwóch strażników w fioletowo-niebieskich strojach, gdy ruszyli ze swoich miejsc. Mieli halabardy, ale wciąż znajdowali się za daleko, żeby zatrzymać albo zaatakować intruza.

Mrugnął do tego bliższego.

- Musicie zapytać, panowie, co, jeśli w ogóle, kiedykolwiek zrobił dla was ten bezużyteczny worek mięsa. Sugerowana przeze mnie odpowiedź brzmi: za mało. W tej chwili cechy zajmują korytarze pałacu. Proponuję złożyć broń i się poddać, a może zapewnię wam przyszłość.

Obaj ostrożnie położyli halabardy na podłodze.

- Tchórze! - syknął arcybiskup. - Gilles!

Kronmir się uśmiechnął.

- Mistrz Gilles ma w brzuchu kilka cali Zguby Wiedźmy. Przypuszczam, że z czasem wydobrzeje, ale nieprędko będzie rzucać czary. Co zaś się tyczy ciebie... - Głos Kronmira opadł do łagodnego pomruku, jakby matka śpiewała kołysankę. - Chciałem, żebyś wysłuchał, z jaką łatwością cię pokonałem. Zaraz umrzesz i podejrzewam, że na wieki będziesz płonąć w piekle.

Arcybiskup zaczął wzywać swojego sojusznika.

Zabrzęczała mała ballestrina. Sześciocalowa stalowa strzała przeszła czaszkę arcybiskupa, uśmiercając go na miejscu. Kronmir strzelił z odległości czterech cali, trucizna na ostrzu okazała się zbędna.

Ciało arcybiskupa się pochyliło, mitra spadła z jedwabistym szelestem na podłogę. Dwóch halabardników klęczało.

Kronmir się rozejrzał, podziwiając swoje dzieło. Podszedł do dużego zwieńczonego łukiem okna, wychylił się i skoczył do fosy, przyciskając do siebie cenną ballestrinę.

Zanim maitre Gris zdążył ponownie zaczerpnąć tchu, tuzin cechowych kuszników pod komendą kapitana z zakrwawionym mieczem wpadł przez główne drzwi i rozbiegł się po komnacie. Byli nerwowi, z bronią gotową do strzału, ale na tyle opanowani, że nie zastrzelili dwóch rozbrojonych halabardników.

- Na krucyfiks! - syknął kapitan, opasły mężczyzna z cechu

rzeźników. -Przeklęty arcybiskup nie żyje! - Dotknął magistra, który szlochał na podłodze. - Chryste! - mruknął. - Zguba Wiedzmy!

Ale pomimo krwi i niedoli w głosie kapitana zabrzmiała ulga. Dziesięć minut później ser Gerald Random opanował pałac. Spojrzał na szybko stygnące zwłoki arcybiskupa.

- *Sic transit gloria mundi* - powiedział. - Zabrać pozostałych i trzymać ich pod strażą.

Niespełna pięćdziesiąt kroków dalej Jules Kronmir w biały dzień wyszedł z fosy, co było najmniej elegancką częścią jego planu. Przeszedł przez niski mur oporowy i udał się tam, gdzie Lucca, jego najlepszy człowiek, czekał z suchymi ubraniami na zaprzężonym w osła wózku druciarza.

- Co teraz, szefie? - zapytał.

Kronmir, wciąż w brudnej koszuli i spodniach, oparł się o mur.

- Sądzę, że wsiądziemy na statek - odparł. - Do Weniki. Mogę tylko zgadywać, ale pracodawcy lubią, gdy się planuje z wyprzedzeniem.

Lucca miał taką minę, jakby właśnie zobaczył hordę boglinów.

- Do Weniki? Jest aż tak źle? Szukają nas?

Kronmir się roześmiał.

- Już nie musimy się tego obawiać. Nasza strona wygrywa. I cała brudna robota została wykonana. - Przyjął oferowaną flaszkę wina, napił się i uśmiechnął z aprobatą.

- Być może moja najlepsza robota - dodał.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sześćdziesiąt lig na południe od Południowego Brodu marsz tak zwanej armii królewskiej stał się sprawdzianem metafizycznej logistyki. Mieli za sobą dwa dni rześistego deszczu i wszyscy byli przemoczeni do suchej nitki, rozdrażnieni i pokąsani przez robaki.

Nigdy nie brakowało podniebnych wrogów, którzy, jak wynikało z otrzymanych wiadomości, roznosili zarazę śmiertelną dla wszystkich koni. Kapitan, jak większość obecnych potężnych magistrów, czuwał we dnie i w nocy, i stoczył trzy potyczki z chytrymi drapieżnikami, przepędzając je na bezpieczną odległość.

Potrzeba snu, będąca jego słabością, połączona z koniecznością pozbycia się wszechobecnego wroga, spowodowała opóźnienie. Kapitan rozkazał rozbić łatwy do obrony, otoczony wozami obóz na zachód od wąwozu, żeby czekać na orszak królowej ciągnący dzień za nimi.

Wielu z zadowoleniem powitało ten stracony dzień - mogli wysuszyć cięciwy i ubrania przy ogniskach, jakby sama natura też ogłosiła dzień odpoczynku. Poranna mgła się rozwiązała i popołudnie było jasne. Ludzie wychodzili do dziewiczego lasu albo spacerowali wzdłuż wąwozu, ukrywając przed podniebnymi obserwatorami fakt, że więcej ich wychodzi z obozu, niż do niego wraca. Cętki światła kładły się na polanach, słońce zapalało jasnozielone liście w lesie i na ostatnich polach uprawnych. Mężczyźni i kobiety, Albanowie, Oksytańczycy i Moreańczycy zasiedli do sutego posiłku pod silną ochroną. Dziewczyny Sukey zaniósł kociołki strawy konnym pikietom i łowcom Gelfreda, i starały się nie chichotać, gdy mijały rzędy głodnych ludzi w pośpiesznie wykopanych okopach. Warty zmieniły się godzinę przed zachodem słońca i liczne patrole wyruszyły z obu krańców obozu.

Niczego nie znaleźli, ale dali dobry pokaz obserwującym ich z daleka bargestom i kapitan poczuł się lepiej.

Tuż przed nocą nadszedł orszak królowej, a za nim przyleciało stado latających gadów, ciągnących jak muchy do miodu.



Gabriel był przygotowany - co więcej, miał kontakt z królową od chwili, gdy znalazła się w jego zasięgu. Oboje użyli słabych czarów i niedbale rzucali niecelne pociski, dopóki bargesty się nie ośmieliły. Spływając z bezpiecznej wysokości, rzuciły się na orszak królowej rozciągnięty wzdłuż niskiej ścieżki na krawędzi wąwozu. Skoczyły jak wilki na owce.

Owce rzadko mają setki strzegących je zaciężnych żołnierzy. Co więcej, zwierzęcy spryt bargestów nie mógł się równać z przebiegłością myśliwego. Gelfred przygotował zasadzkę, zostawiając zarżnięte owce na polanach i kuszników na drzewach za uplecionymi z gałęzi osłonami. Kusznicy mogli strzelać w dół do drapieżników, które ośmieliły się zapuścić do wąwozu i krążyły pod nimi uwięzione jak pstrągi pod bobrową tamą.

Wszyscy obecni magowie, bez względu na to, jak byli powolni, na pierwszy przenikliwy ton rogów jednocześnie rzucili czary i dwudziestu jeden wypowiedziało słowa *Fiat Lux*. Każdy latający napastnik został otoczony przez świetlistą aureolę doskonale widoczną na tle ciemniejącego nieba.

Zanim złote światło Dezyderaty zaczęło je unicestwiać, zanim kapitan opuścił cielesną powłokę, niebezpiecznie się odsłaniając, żeby ścigać ostatnie dwa, stado bargestów zostało przetrzebione przez żelazne belty i ciężkie groty ćwierćnutowych strzał. Sędziwy wiwern, ważny przywódca klanu, zginął na miejscu.

Niebo znów było puste.

W obozie panował odświętny nastrój, gdy wjechała tam królowa. Ser Ranald pomógł jej zsiąść z konia i musiał ją podtrzymać, gdy się zachwiała. Rowan, mamka z Loriki, karmiła dziecko, które przespało atak, strzelanie z łuków i rzucanie czarów, i teraz się rozglądało, patrząc z ciekawością w szeroko otwartych oczach na weselących się ludzi.

Czerwony Rycerz ugiął kolano i ucałował dłoń królowej.

- Kolejne zwycięstwo Waszej Królewskiej Mości - powiedział.
- Kolejne zwycięstwo mojego kapitana - poprawiła. - Chodź, ser Gabrielu. Chcę przeczytać wszystkie depesze.
- Ponura lektura, pani - uprzedził i skinął na Toby'ego, żeby

zapalił świece w jego namiocie.

Królowa zyskała dworzan i dołączyli do niej nowi ludzie, więc wiedział, że jego wyłączny wpływ na nią nie potrwa długo. Corcy był u jej boku i to wydawało się właściwe. Towarzyszyło jej również dwóch przystojnych młodszych mężczyzn, których nie znał. I Towbray. Hrabia wyglądał jak sokół, zmęczony i stary, ale wciąż niebezpieczny.

Była tam Blanche. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Zarumieniła się, odwróciła wzrok i ściągnęła brwi.

Bodaj to szlag.

Nikomedes włożył okulary, a Alkajos otworzył skórzaną sakiewkę i starannie ułożył wiadomości według dat. Becca Almspend delikatnie położyła rękę na ramieniu królowej, wyjęła okulary i zaczęła czytać.

- Widzisz? Nie wolno mi nawet czytać moich wiadomości - poskarżyła się królowa.

- Nie twoich, Wasza Królewska Mość, ale mojego pana, cesarza - poprawił ją ser Alkajos. - Zostały ci wypożyczone.

Wokół stołu zapadła lodowata cisza.

- Alkajosie? - rzucił kapitan szczególnym tonem.

Cisza.

- Wybacz, pani. Uznałem, że należy o tym wspomnieć, lecz źle dobrałem słowa. - Alkajos mówił jedwabistym głosem, szkolonym przez dwadzieścia lat, które spędził na różnych dworach, ale krople potu wystąpiły mu na czoło.

Lady Almspend uniosła głowę znad depeesz.

- W tych mrocznych dniach z pewnością wszyscy pamiętamy o długu wdzięczności wobec cesarza - powiedziała.

Michael chrząknął. Francis Atcourt wyrzwał z namiotu nagle zafascynowany ostatnimi chwilami zachodu słońca.

- Zgadza się - warknął Czerwony Rycerz. - Wszyscy wzajemnie się kochamy. I służby wywiadowcze tych drugich.

Ser Ranald parsknął śmiechem.

- Sądzę, że to wzbudzi twoje wyjątkowo gorące uczucia, panie - powiedział z naciskiem i podał ser Gabrielowi kawałek pergaminu.

Gabriel przeczytał i też się zaśmiał.

- Cóż, pójdę do piekła, ponieważ uważam, że to cudowna wiadomość. Ktoś poczęstował arcybiskupa sześcioma calami stali, bełtem z jakiejś małej kuszy. Ciekawe, jak do tego doszło.

- Nie żyje? - zapytał Michael. Patrzył na ojca.

- Bardzo satysfakcjonująca śmierć - dodał ser Gabriel z ulgą. - Jakże szczęśliwy... traf. - Uniósł wzrok i spojrzał w oczy Towbraya. - Nie sądzisz, panie, że to niezwykle rozwój wypadków? Ci, którzy najbardziej obrazili Jej Królewską Mość, stracili życie.

Towbray skoczył na równe nogi.

- Czy to groźba? - zapytał z ręką na sztylcie.

Czerwony Rycerz wyprostował ramiona. Obie ręce miał na widoku.

- Tak - odparł.

Wymienił spojrzenie z królową.

Towbray gniewnie popatrzył na syna.

- Jeśli tak mnie postrzegasz, zabiorę rycerzy i udam się do moich włości - oznajmił.

Ser Gabriel pokręcił głową.

- Człowiek może bardzo szybko umrzeć w swoich włościach. Myślę, że powinienesz jechać z nami i na nowo poznać swojego syna, i może jego wspaniałą żonę. Obiecuję ci bezpieczeństwo, panie, dopóki będziesz z nami służyć interesom Jej Królewskiej Mości. Cóż, nie mogę zagwarantować bezpieczeństwa przed boglinami i bargestami.

Królowa się uśmiechnęła.

- Mój dzielny Towbray nie potrzebuje dalszych gróźb - oznajmiła głosem czystym jak złoto jej magii. - Zatrzymam go przy sobie jako dobrego towarzysza i dobrego doradcę i więcej nie będziemy o tym mówić.

W tym czasie lady Almspend czytała, syn królowej pił mleko, Toby usługiwał swojemu panu, a Blanche swojej pani. Przybyli służący, podali jedzenie i wino.

Wszedł księżyc, warty się zmieniły i nagle dał się słyszeć głos Sukey:

- Ty wychowany w stodole, bezużyteczny kutasie!

Wszyscy wokół stołu się rozśmieli albo zachichotali.

Almspend oddała depesze ser Alkajosowi. Rozwinięto mapy, porysowane i pełne dziur od sztyletów.

Przyszedł ubrany na czarno Gelfred z Kennethem, synem Donalda Dhu, w stroju z jeleniej skóry i kolczudze. Obaj usiedli na stołkach, które rozłożył Toby, jakby ich przyjście została umówione i kończyło rozmowy wstępne.

- No tak - mruknął kapitan. - My straciliśmy dzień, a czerwona banda straciła wszystkie konie. Będzie gorzej. Wiemy, że tracimy kurierskie ptaki.

- Skąd? - zapytała królowa ze szczerym zainteresowaniem.

- Każda wiadomość jest numerowana i często wysyłamy duplikaty, także streszczenia ze spisem wiadomości, czasami przez konnego kuriera, kiedy indziej sposobami okultystycznymi. - Alkajos nie zdołał ukryć zadowolenia z cywilizacyjnej wyższości swojego narodu.

- Wasza Królewska Mość, Moreańczycy mają w tym ponadtyścioletnie doświadczenie, od czasów, kiedy przybyła tu Liwia we własnej osobie ze swoim osiemnastym legionem. - Czerwony Rycerz uśmiechnął się, dając zbędny popis wiedzy historycznej.

Alkajos wyszczerzył zęby zachwycony jego erudycją.

- Wszyscy wiemy, który legion przybył z cesarzową - mruknął Francis Atcourt.

- Mogę kontynuować? - zapytał ser Gabriel, jakby to nie on wtrącił dygresję. - Tracimy ptaki, co spowalnia łączność i ogranicza naszą wiedzę. Może być tylko gorzej. - Powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy. - Po drugie, nieszczęście, które spotkało czerwoną bandę, spowolni jej marsz. Strata nie jest katastrofalna, tyle że cesarz nie będzie miał przy sobie ser Milusa, na którym polega w krytycznych chwilach.

Ser Michael pokręcił głową.

- Podsumowując, jesteśmy niczym dziecko we mgle, a cesarz nie ma opiekuna.

Ser Gabriel pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że nie jest aż tak źle, wszak ma przy sobie kilka tęgich głów. Ale z całym szacunkiem dla ser Alkjosa, kiedy cesarz jest

w polu, Moreańczycy mogą się stać podatni na obce wpływy. Obawiam się o nich i chciałbym wysłać tam Toma.

- Słodki Jezu, panie, sugerujesz, żeby Tom Lachlan został głosem rozsądku? - Ser Michael zaśmiał się smętnie.

Przez chwilę panowała cisza.

- Naprawdę wolałbym, żebyś nie ujmował tego w ten sposób - powiedział ser Gabriel. Rozejrzał się. - Jeśli chodzi o dobre wiadomości, mamy zastrzelonego arcybiskupa i cały jego tabor. Czy ktoś inny ma coś dobrego do zakomunikowania?

Gelfred pokiwał głową.

- Na północy Dan Favor skontaktował się z południowym patrolem hrabiego Zaka. Jesteśmy tak blisko. Will Starling mówi, że ser Tom i Amicja są dwa dni od nas u czoła wąwozu.

Gabriel się skrzywił.

- Jada powoli. Musieli mieć kłopoty.

Michael pokręcił głową.

- To my byliśmy szybcy. Spytaj, kogo chcesz.

Potarł siedzenie spodni i Dezyderata się roześmiała.

Czerwony Rycerz wziął od Toby'ego miskę orzechów laskowych, wyjął garść i przekazał naczynie dalej.

- Więc my jesteśmy tutaj, przy południowym krańcu wąwozu, trzy dni od Albinkirku. Tu są stada, na zachodzie. Tak?

Kenneth Dhu się pochylił.

- Lepiej, panie. Jesteśmy już przy Gwoździu.

Gwóźdź był dużą skałą, na której w zamierzchłych czasach wryto wizerunki i symbole, które wielu ludziom kojarzyły się z jelitami. Z reguły omijano ją z daleka, ale górale zawsze składali tam wizytę i zostawiali podarki.

- Amicja jutro dotrze do Albinkirku. Może nawet pojedzie dalej do Lissen Carak. Tom spotka się z ser Johnem Crayfordem. Powinniśmy działać szybko, więc musimy co najmniej na jeden dzień uwolnić się od bargestów. - Powiódł wzrokiem dokoła. - Dałbym wszystko, żeby wiedzieć, gdzie są Gawin i Montjoy albo cesarz. Przypuszczam, że cesarz jest w Gospodzie Dormling. - Położył na mapie duży orzech.

Lady Almspend włączyła się do rozmowy.

- Mamy wiadomości z zachodu. Armia Dzicy jest na wyżynach na północ od Lissen Carak, a druga ciągnie w dół Cohoctonu...

- Proszę nie myśleć, że o nich zapomniałem. Po prostu nie mogę walczyć z nimi wszystkimi. - Czerwony Rycerz nie spał przez dwie noce i miał zaczerwienione, złe oczy, chociaż jego ton pozostał łagodny. - O ile mi wiadomo, obecnie wszystko zależy od tego, czy cesarz minie Dormling, zanim czarnoksiężnik przetnie mu drogę. Później musi ruszyć w naszą stronę żeby czarnoksiężnik mógł szarpać tylko jego straż tylną. Wszyscy pamiętacie tę drogę, wyboje, głębokie lasy.

- Wiwerny - wtrącił ser Michael.

- Otóż to. I te same brody, gdzie Sossagowie pokonali Hectora. Kenneth Dhu się nastroszył.

- Hector Lachlan nie został pokonany! - syknął.

Gabriel potarł ręką oczy i policzki.

- Niech będzie. Gdzie górale polegli chwalebłą śmiercią w ostatnim punkcie oporu.

- Drwisz sobie z nas! - obruszył się Kenneth Dhu.

Kapitan spiorunował go wzrokiem.

- Mogę kontynuować?

Młodszy mężczyzna się uciszył.

- Nie chcemy toczyć bitwy na tej drodze. Jeśli dojdzie do walki w Dormlingu, możemy mieć sojusznika innego rodzaju. Jeśli będziemy walczyć w Albinkirku... Cóż, od początku taki był plan, mój i ser Crayforda. Sprowokować czarnoksiężnika do bitwy na polach wokół miasta. Nie chcemy walczyć z nim w Dzicy. Ale jeśli cesarz da się zaskoczyć w Dormlingu, wtedy tam odbędzie się bitwa. Te ostatnie czterdzieści lig przez wzgórza będzie bardzo ciężkie. Im szybciej będziemy maszerować jutro i pojutrze, tym więcej możliwości zyskamy w poniedziałek. To wszystko, co mam do powiedzenia. Więc... idę spać. Chciałbym ruszyć o brzasku.

Wszyscy jęknęli, nawet królowa, ale zaraz potem wstała i obdarzyła ich promiennym uśmiechem.

- Słowa mojego kapitana są moim rozkazem - oznajmiła. - Do

łóżek.

Wstali i się ukłonili, kapitan ucałował jej dłoń. Namiot opustoszał - został tylko Gelfred, który czekał na rozmowę z kapitanem; Sukey, która chciała dostać rozkazy na rano; Blanche, która wróciła po odprowadzeniu swojej pani, żeby porozmawiać z Sukey i oddać jej suknię.

Gabriel dostrzegł jej bladą twarz i przywołał Toby'ego.

- Nie pozwól, żeby lady Blanche wyszła. Chcę z nią pomówić.

Toby się skrzywił.

Kapitan spędził pięć minut z Gelfredem, planując najlepszą trasę.

- Pogoda? - zapytał.

- Chwała Bogu, powinna dopisywać, przynajmniej tak mówią mi znaki. - Gelfred się uśmiechnął.

- Dobrze.... potrzeba nam trochę szczęścia.

- Szczęście nie jest Bogiem. To łaska boska sprawia, że słońce świeci - powiedział powoli i z przekonaniem Gelfred.

Kapitan ociężale pokiwał głową.

- Może dzięki bożej łasce zdołamy jechać trochę szybciej. Chciałbym, abyś ją poprosił, żeby objęła także burze nad południowymi Adnarnami. - Uśmiechnął się, próbując sprowokować Gelfreda do tego samego.

Gelfred tylko na niego patrzył z umiarkowaną przyganą.

- Jesteś zmęczony, panie.

- W istocie. Sprawieś się z tą zasadzką. Gelfredzie. Jesteś rzetelnym rzemieślnikiem. - Zmusił się do uśmiechu pomimo zmęczenia, roztaczając urok, który przywiązywał do niego ludzi w ciężkich czasach.

Gelfred się rozpromienił.

- W większości to tylko zwierzęta - powiedział. - Z wyjątkiem opiekunów.

Gabriel pokiwał głową. Gelfred lekko dotknął jego rękawa i odszedł w mrok, jego czarne ubranie stopiło się z nocą. Gabriel pomyślał, że łowca spał równie mało jak on, może mniej, i nigdy nie okazywał złego humoru.

Podeszła Sukey. Toby podał herbatę ziołową i Czerwony Rycerz

się napił.

- O brzasku - powiedział.

- Równie dobrze możesz obudzić ich teraz, kapitanie - burknęła.

- Są tacy zmęczeni, że wyjdzie na jedno.

- Tak. Niech twoje dziewczyny zabiorą się do gotowania i uszykują porządny posiłek. Potem pozwól im spać na wozach.

- Mamy tylko sześć, kapitanie. Reszta jest przed nami...

- Jutro je dopędzimy, Gelfred wie, gdzie są. Tak, Sukey, będzie ciężko, jakby piekło zstąpiło na ziemię. Po prostu róbmy swoje.

- Dziewczęta zawsze się budzą z ręką w nocniku, kapitanie. - Wzruszyła ramionami.

- Pięć srebrnych pensów dla każdej z nich, płatne przy następnej wypłacie. - Uniósł wzrok, powieki miał tak ciężkie, że w zasadzie na nią nie patrzył. - Najlepsze, co mogę zrobić.

- Uczciwa propozycja. Dziewczyny za mniejsze pieniądze zrezygnują ze snu - powiedziała Sukey - Ale ty się prześpij. Chcesz, żeby ktoś ogrzał ci łóżko?

Gabriel miał jeszcze dość energii, żeby się roześmiać.

- Nie - odparł. - Albo tak, ale nie. Muszę się wyspać.

Sukey zachichotała.

- Myślałam, że urobiłeś tę dziewczynę królowej. Zbyt pruderyjna?

Kapitan pokręcił głową.

- Zrobiłem coś złego - wyznał. Przeprowadziłem naradę dowódców nad jej ukrytym ciałem, pomyślał sennie.

Sukey podeszła bliżej.

- Tom mówi, że to pomaga mu zasnąć.

- Nie zamierzam dzielić się tobą z Tomem - powiedział i zaraz tego pożałował. Jego rysy stężały, a ona ze świstem wypuściła powietrze. - Przepraszam, Sukey, to było grubiańskie.

Wybrał nieodpowiednią chwilę. Kiedy indziej tylko by się roześmiała, może nawet w obecności Toma.

Był zbyt zmęczony.

- Nieważne - mruknęła. - Będziemy gotowe o brzasku.

Odeszła w ciemność.



- Lady Blanche odeszła kilka minut temu - zameldował półgębkiem Toby - Nell próbowała przemówić jej do rozumu...

- Nieważne - powtórzył kapitan. - Nie pasuję do towarzystwa ludzi. Myślę...

\*\*\*

- Zasnął, nie kończąc zdania - powiedział Toby do Nell.

Musieli sprowadzić Robina, Diccona i dwóch innych krzepkich mężczyzn, żeby podnieść kapitana i położyć go na obozowym łóżku, gdzie parę razy zamruczał i głośno powiedział:

- Amicjo...

Wszyscy popatrzyli po sobie.

Robin, po dwóch bitwach wciąż będący starszym giermkim, pragnący zostać rycerzem, pokręcił głową.

- Do łóżek - zarządził.

Minutę później w obozie panowała cisza, wyjąwszy westchnienia wiatru i hałasy wartowników.

### **Na północ od Dormling - ser Hartmut**

Ziemia mlaskała pod kopytami jego konia, a kiedy zsiadł, żeby dać mu odpocząć, trzewiki zapadły się w błoto.

Ser Hartmut nigdy nie był w miejscu, którego nienawidziłby równie mocno jak terenów na południe od Ticondagi. Złość narastała w nim z każdym dniem chaotycznego marszu, aż w końcu trzeciego dnia po upadku wielkiej fortecy zmusił swojego zmęczonego, przemoczonego konia do jazdy wzdłuż kolumny - bardziej frontu burzy - żeby poszukać powłóczącego nogami kamiennego potwora, który był jego sojusznikiem.

Nie silił się na subtelności.

- To naprawdę najkrótsza droga do Dormlingu? - zapytał cierpko.

Głóg na szczęście był sam, bez swojego mrocznego pana. Hartmut powiedziałby każdemu albo nawet walczył na śmierć i życie, żeby tego dowieść, że nie boi się żadnego człowieka ani żadnego stworzenia, lecz nie cierpiał przebywać w obecności szyderczego

czarnego ducha, który był nauczycielem Głoga. Nawyk przyjmowania postaci dzieci, jakby szydził z prowadzenia wojny. Z drugiej strony czuł się niemal gorzej, kiedy nie widział tej szatańskiej istoty. Teraz, gdy wiedział, zawsze mógł wyczuć...

Głóg przystanął i wsparł się na masywnej włócznie, która była jego nową laską.

- Ser Hartmucie, jestem przerażony twoim obecnym tempem. Nowe wydarzenia zmuszają nas do zmiany planów.

Hartmut starał się jak najostrożniej dobrać słowa. Brakowało mu de Marche'a; wprawdzie raziła go jego nadmierna pobożność, ale był doskonałym rozmówcą i dobrym kompanem. On pokierowałby tym lepiej. Rzadko wpadał w gniew.

Strata de Marche'a i jego obu giermków zredukowała towarzystwo równych mu osób - a nawet mniej równych - do obłąkanego Kevina Orleya, Cristana de Badefola, który był ordynarnym gburem i fanfaronem, i tuzina im podobnych. Z jego własnych rycerzy tylko ser Louis Soutain był kimś zbliżonym do dżentelmena.

Dobierał słowa, jak mógł najlepiej.

- Nie zostałem o tym powiadomiony. Myślę, że dzielenie się informacjami wyszłoby na dobre nam obu.

Głóg, którego nigdy nie cieszyło słuzenie nikomu, aż się zachnął.

- Mój pan - powiedział z nieskrywaną goryczą - chce, żebyśmy mieli możliwość dokonania wyboru.

Hartmut pokręcił głową.

- To zupełnie tak, jakby człowiek chciał być w rozterce, panie czarnoksiężniku. W takim razie przetnijmy drogę w Dormlingu, bo inaczej poniesiemy konsekwencje stawiania czoła zjednoczonym siłom wroga.

Nieprzenikniona kamienna twarz Głoga pozostała nieruchoma.

- Czy mogę zaproponować, żebyśmy skęcili na wschód i jak najszybciej pomaszerowali do Dormlingu? - zapytał Hartmut. - I gdzie, do wszystkich diabłów, jest twój pan?

Głóg nie mógł wzruszyć ramionami, ale jego kamienne kończyny zagrzechotały, gdy poruszyły się napędzające je tryby i ślimacznice.

- Ma inne troski poza nami.

Hartmut przymrużył oczy.

- Przekaż moją wiadomość, panie czarnoksiężniku. Wypełniam tutaj misję dla mojego księcia. Pomimo rzeszy stworzeń, które pełzają, skaczą i fruują, pozwolę sobie zaznaczyć, że to moi rycerze stanowią podstawę w prawdziwej walce, z czego wnoszę, że moje usługi pozostają niezwykle ważne. O ile ty i twój pan nie chcecie kontynuować wojny bez nas, nalegam na zwołanie rady, wytyczenie celu, marsz na wschód i pokonanie cesarza, zanim połączy się ze wszystkimi innymi siłami, które się tam gromadzą, jak wynika z twoich informacji wywiadowczych. - Głos Hartmuta wznosił się i opadał, ociekając ironią. - Czy wyraziłem się jasno?

Oczy Głoga nie były kamienne. Nie wyrażały gniewu - wyzierało z nich coś, co wyglądało na ogromną czujność.

- Przekażę twoją wiadomość, kiedy mój pan wróci - odparł. - Co do twoich usług... ta czereda jest największą, jaką Dzicz zgromadziła od wielu lat, a nawet stuleci, przynajmniej tak wynika z mojej wiedzy. Dlatego mój pan może uznać, że nie jesteś mu potrzebny. Może postanowi się ciebie pozbyć i nawet zrobić to osobiście.

Hartmut prychnął.

- Tak, wszystkie twoje pełzacze i latacze wytrzymają szarżę rycerzy. A jakie masz doświadczenie w planowaniu kampanii? - Znów prychnął.

Uklonił się zdawkowo i odszedł do obozu, gdzie dwóch paziów rozwiesiło hamak nad trzęsawiskiem pomiędzy uschniętymi drzewami.

Gilles, jeden ze starszych marynarzy, uklonił się i bez słowa podał mu wino.

Hartmut się napił.

- Myślę, że nasi dowódcy są głupcami - powiedział.

Na twarzy Gillesa odmalował się szok.

Hartmut parsknął gorzkim śmiechem.

- Muszę do kogoś się odzywać, Gillesie.

Popiół objawił się później w deszczowym mroku w nieokreślonej postaci. Zgodził się, żeby Hartmut i Głóg ruszyli na wschód do Dormlingu.

- Nie mogę znaleźć tej dziwki! - krzyknął w ciemność. - Kim ona jest?

Po chwili jakby oprzytomniał i stał się atrakcyjną młodą kobietą z dziwnym, straszonym zagłębieniem w plecach.

- Jeśli pójdziemy do Dormlingu, może zdołam zmusić mojego krnąbrnego pobratymca do wyłonienia się na światło dzienne. Jeśli stanie ze mną do walki, żeby chronić swoich, to go pożrę, a jeśli nie... - Popiół wydał dziwny dźwięk.

Zniknął, zostawiając tylko ruchliwy kłęb białych larw na znak, że był tam wielki smok. Głogowi przyszło na myśl, że być może jego pan rozmyślnie chce obniżyć ich morale, a może jest zupełnie obłąkany. Bez wysiłku przeszedł kilkaset kroków po grząskim bagnie i owady mu nie dokuczały, nawet dwie wiwerważki wielkości kolibrów.

Znalazł ser Hartmuta i go zbudził.

- Mówiłem z panem - powiedział, smakując słowo „pan” i go nienawidząc. - Zgadza się. Dormling.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### Na północ od Lissen Carak - Harmodiusz

Siły ścigające niedźwiedzie z klanu Czarnego Górskiego Stawu w zasadzie były nie tyle armią, ile czołem fali. Wojsko Baśniowego Rycerza śpieszyło, żeby wydać im bój, wywracając do góry nogami całą wiedzę Harmodiusza o prowadzeniu wojen. Wojna Dziky zupełnie nie przypominała wojny ludzi.

Baśniowy Rycerz nie zwołał narady dowódców ani nie wydał rozkazów. Powiadomił Mogon i innych kapitanów, gdzie można znaleźć wroga i co trzeba w związku z tym zrobić. Zanim słońce zajaśniało nad koronami drzew, równiny Lissen Carak opustoszały i armia, która wymaszerowała z N'gary, utworzyła długi na prawie dwie mile front ze stopniowo zwężającymi się skrzydłami. Pośrodku boglińscy wojownicy maszerowali z taką precyzją, jakby mieli trasę wyrysowaną na ziemi, a potem nagle opadali na sześć odnóży, żeby się roić wokół jakiejś przeszkody w sposób, który człowieka przyprawiał o mdłości. Po lewej stronie ludzie Redmede'a i ich zamurzańscy sojusznicy szli razem w długiej, wąskiej linii; Zamurzanie mieli w odwodzie sprawdzonych, jaskrawo pomalowanych wojowników, natomiast wszyscy Jackowie trzymali się razem, idąc w dwóch oddalonych o dwa jardy szeregach.

Harmodiusz postanowił jechać za Jackami. Bogliny były dlań zbyt obce i uznał, że nawet rozmowa z Exrechem jest trudna, niemal przykra. Irkowie, kiedy przybrali wojenne oblicza, przemienili się w koszmarne istoty o pasującym do wyglądu zachowaniu.

- Żałujesz, że tacy się staliśmy - odezwał się Tapio za jego plecami.

- Tak. Zrezygnowaliście z piękna, żeby zostać potworami - powiedział Harmodiusz.

- Wojna źle wpływa na wszystkie rozumne ludy. My po prostu się z tym nie kryjemy.

- Ty się nie zmieniłeś.

- Mój dar. Może moja klątwa. - Baśniowy Rycerz był ucieleśnieniem chwały w brązie, czerwieni, jelenich skórach i zieleni.

Od strony wroga nadjechał Fitzalan z młodym niedźwiadkiem w ramionach. Położył go na ziemi i nagle w lasach przed nimi zaroily się niedźwiedzie - wyprostowane jak ludzie albo na czterech łapach, niektóre z torbami, toporami, elementami zbroi. Były ubłocone, wychudzone i zmęczone, ale gdy przeszły przez lukę pomiędzy zachodnimi boglinami i Jackami, z ich gardeł popłynęło warczenie, które mogło być wyrazem radości. Stary niedźwiedź przytelepał się do Redmede'a i poklepał go ciężką łapą. Drugi, jeszcze starszy, z futrem tak siwym, że wyglądało na ośnieżone, zatrzymał się przed Harmodiuszem.

- Na Stwórcę - wymruczał. - Jest dobro nawet w ludzkich sercach.

Tapio zmusił jelenia, żeby stanął dęba. Pomachał ręką do Billa Redmede'a, który skinął głową i uniósł róg.

Dwanaścioro innych mężczyzn i kobiet zrobiło to samo, podobnie jak wodzowie Dulwarów po lewej stronie. Exrech był gdzieś po prawej, niewidoczny wśród pocętkowanych słońcem liści.

Baśniowy Rycerz zadał w zielony kościany róg olifanta i z dwustu rogów popłynęła straszliwa muzyka.

Szeregi ruszyły naprzód, inaczej, niż robiły to oddziały ludzi. Posuwały się z organiczną płynnością, która doprowadziłaby do rozpadu ludzkiej armii, lecz armia Dzikich przestrzegała innego kodeksu.

Kodeks obowiązywał również wtedy, kiedy ujrzeli nieprzyjaciela.

Ryknęły rogi. Potem nagle mogło się wydawać, że każde jedno stworzenie skoczyło na drugie.

Harmodiusz zdał sobie sprawę, że w wojnie Dzikich nie chodzi o wygraną, ale o to, żeby być jak najbardziej skutecznym drapieżnikiem.

Redmede nie wytrzymał pierwszego natarcia - stracił trzech Jacków, zabitych przez jakiegoś podobnego do psa stworza, zanim Harmodiusz oczyścił lasy ogniem i zapewnił im minuty potrzebne na znalezienie lepszego gruntu. Uciekali w lewo, aż podmokła bobrowa łąka

oddzieliła ich od pościgu.

Najeźdźcy z północy, niezmiernie uradowani pierwszym sukcesem, parli do przodu.

W centrum, gdzie bogliński legion zderzył się z boglińskim legionem i okrutne fale śmierci popłynęły razem, zachodnie bogliny straciły pięćdziesiąt jardów i zostawiły setkę trupów na pożarcie przez wrogów. Ale te z północy, choć większe, cięższe i lepiej odkarmione, szybciej się męczyły. Exrech był wszędzie i upiorny ogień lizał jego żuwaczki, gdy powstrzymał pierwszy atak. Uplasował swoją horde na południowym brzegu strumienia i przewaga wysokości wystarczyła, by zatrzymać przeciwników na dole w wodzie, która poczerniała od ich krwi i juchy.

Wróg zaczął się wlewać w lukę między pozycjami Redmede'a i Exrecha. Coraz więcej stworzeń, boglinów i duchów, Ruków i jakichś pełzaczy, jakich Harmodiusz nigdy dotąd nie widział, parło naprzód, mimo że ludzie Redmede'a siali wśród nich spustoszenie, strzelając z długich łuków przez bobrową łąkę. Rukowie cztery razy z uporem godnym lepszej sprawy próbowali się przedrzeć przez grząski otwarty teren, aż w końcu dwóch strażników o czerwonych grzebieniach poprowadziło ich wokół łąki - prosto w zasadzkę Dulwarów.

Nagle nie było ani frontu, ani tyłów.

Harmodiusz stwierdził, że został sam za linią Jacków, mając przed sobą nacierającą falę stworzeń. Nie oszczędzał się, wysyłając płachtę białego ognia na wysokości kostek i za nią pięć potężnych mikstur, które wybuchły w jarzącym się blasku i zostawiły tylko zapach gotowanego mięsa.

Dulwarowie na lewej flance stłoczyli się z Jackami w kępie sędziwych brzóz. Ich wódz był stary i miał worki pod oczami.

- Dwa łuki za każdym drzewem! - krzyknął Redmede i Jackowie zamknęli pierścień, osłaniając Dulwarów, po czym ustawili ich w kręgu.

Bogliny uderzyły jakiś czas później i zostały odparte, ale zdążyły porwać dulwarskiego wojownika. Trzech Jacków ruszyło za nimi i odbiło potworom ich ofiarę. Fitzalan był pierwszy i jego akt

brawurowej odwagi wlał otuchę w serca ich wszystkich, tym bardziej że ratował nie jednego ze swoich, ale sprzymierzeńca.

Redmede popatrzył na Harmodiusza.

- Nigdy nie widziałem kogoś takiego jak ty - powiedział. - Ale rozum mi mówi, że jeśli będziemy tu tkwić, nikomu w niczym nie pomożemy.

Harmodiusz uznał to za mądre słowa.

- Prawda. Bill, biegnij w prawo, znajdź Exrecha, jeśli wciąż walczy.

- A ty dokąd się wybierasz? - zapytał Redmede.

- Na polowanie - odparł Harmodiusz. - Teraz lepiej to wszystko rozumiem. Muszę zapolować na tych mojego pokroju. Tak na wojnie postępują drapieżniki.

Harmodiusz zsunął się z konia, usiadł ze skrzyżowanymi nogami i sięgnął w *etereal*. *Znalezienie wszystkiego, czego chciał, zajęło mu tylko chwilę - był tam Exrech, jego ops lała się jak woda z pękniętej beczki, i był tam Baśniowy Rycerz, chłodny i zamknięty w sobie, gdy wyraźnie na coś czekał. Na północnym wschodzie, niezbyt daleko, płonęły dwa bliźniacze słońca w zielonym kolorze optymizmu i potencjału.*

*To były jego naturalne ofiary. Znalazł innych użytkowników potentia i ops rozproszonych w lasach na przestrzeni sześciu mil, toczących walkę w eterale, ale żaden z nich nie dorastał do poziomu jego potęgi.*

Harmodiusz w świecie realnym podniósł się z ziemi i ostrożnie ruszył na północ. Przed sobą słyszał ruch dużych stworzeń i z małą pomocą czarów wszedł na drzewo. Zaklął, kiedy w eterale fale jego dzieła popłynęły w stronę wrogów.

*Zamarli - smukłe zielone postacie widoczne tylko dlatego, że używali nadnaturalnych sił. Domyślał się, że to dwóch szamanów związanych może przez jakąś mroczną ceremonię, a może tylko przez więzy krwi.*

*We dwóch mieli być bardzo potężni.*

*Czekał w milczeniu. Wreszcie ruszyli. Poczutł żar ich zielonej obecności, czuł, że go szukają -jego i Baśniowego Rycerza.*

*Róg zagrzmiał na zachodzie i desperacka obrona Exrecha została nagrodzona, kiedy Dulwarowie i Jackowie wypadli z lasu na flankę wrogów i zaczęli ich zabijać.*



*Strażnicy zamarli prawie u jego stóp, a potem ruszyli. Stanowili środek szerokiej linii swoich pobratymców, idących w dwus szeregu, w pełni uzbrojonych - zdolna do wygrania bitwy rezerwa wchodziła prosto w lukę.*

*Tylko że Harmodiusz już wiedział, że w Dżicy nie ma prawdziwych linii, nie ma słabych luk - jest tylko walka chwili, cięcie pazurów.*

*Znalazł więź pomiędzy nimi. Gdy go mijali, sięgnął w etereal i przeciął łączącą ich więź.*

*Dwa bliźniacze umysły, będące razem od urodzenia, rozstały się w cierpieniu i z poczuciem straty. Rzucił szybkie czary, które uwięziły jednego z nich w murach jego mrocznych wyobrażeń, i zwrócił się przeciwko drugiemu. Sugestia, wiązanie, osłona i pchnięcie - rzucił to wszystko w starannie dobranej kolejności, faszując przeciwnika fałszywą wiedzą o upokarzającej śmierci bliźniaka, wiążąc jego nogi w prostej, dezorientującej fizyce, która spowodowała, że większe stworzenie upadło, ale przypuściło kontratak - potężny, powolny i imponujący.*

*Harmodiusz wyszedł spod osłony cienia i rzucił włócznie światła w przeciwnika leżącego tak blisko, że mógłby użyć sztyletu, i jego dygocząca ofiara uwolniła kaskadę zmagazynowanych dzieł magicznych....*

*Harmodiusz odbił je lustrem i pozwolił, żeby uderzyły w przerażonych bliźniaków, ledwie końską długość dalej, a potem zdań swoje dzieło i swoją sugestię, żeby się mogli rozpoznać, i obaj zadrżeli ze zgrozy...*

*Harmodiusz dobił tego bliższego cieniem jak igła bełtem ops.*

*Pierwsza ofiara rzuciła potężne czary, które musiały pochodzić z jakiegoś magicznego przedmiotu - czary jak spadająca skala uderzyły w osłony Harmodiusza i się przez nie przebiły.*

*Upadł - ocalił go tylko czysty i daremny gniew adwersarza.*

*Stwórz wrzasnął i skoczył, żeby go dobić...*

*Za wolno. Harmodiusz wyzwolił kulę ognia wielkości ludzkiej głowy. Osłony stworzenia przechwyciły większość energii, ale część przeniknęła, a potem wzajemnie obrzucali się ops jak dzieci oblewające się wodą. Był to najbardziej zabójczy rodzaj walki hermetycznej - zbyt blisko, żeby skutecznie parować...*

*Harmodiusz był też świadom, że las wokół niego jest wrogi. Ale coś się działo w realu - mógł tylko rzucać, pić ops, tworzyć potentia i znów atakować, parować ataki mniejszymi tarczami i osłonami, jego czary*

zużywały zbyt wiele...

Nagle jego adwersarz zaprzestał walki. W jednej chwili był rosnącą wieżą potęgi, z tarczami sięgającymi czubków drzew, a w następnej przemienił się w płonącego trupa. Stał jeszcze przez chwilę jak gdyby zaskoczony.

Harmodiusz przyskoczył i subsumował jego esencję jak drapieżnik, którym się stał, wchłaniając duszę i wszystkie moce obcego stworzenia.

Zwęglone truchło upadło na ziemię.

Harmodiusz wrócił do świata materialnego i zobaczył, że strażnicy uciekli. Stamtąd, skąd przyszedł, nadciągali irkowi rycerze na jeleniach, a za nim ciągnęła linia Zamurzan, którzy zabijali strażników i brali trofea. Strażnicy - demony - znaleźli się w pułapce.

Zamurzanie zaczęli ich wystrzeliwać, nie szczędząc szyderczych okrzyków.

Harmodiusz zobaczył, że się zebrali do ostatniej szarży, gdy z krzaków wypadła Mogon z błękitnym grzebieniem na czele orszaku złożonego z dwudziestu demonów, i w lesie zatrzęsa się ziemia.

Zamurzanie cofnęli się przed wielką księżną. Popłynął od niej dziwny zapach, kiedy ich mijała. Harmodiusz ruszył za jej ogonem, czując się tam bezpieczny. Demony o czerwonych grzebieniach zbiły się w gromadę. Było ich może pięćdziesiąt i niewątpliwie stanowiły serce sił wroga.

Zachowywały się wyzywająco, dopóki Mogon do nich nie przemówiła. Harmodiusz nie miał pojęcia, co powiedziała, ale się wzdrygnęły i rzuciły broń. Młoda samica rzekła coś w odpowiedzi.

Mogon skinęła głową. Młoda samica wystąpiła z grupy pokonanych strażników - młody samiec złapał ją za szponiastą dłoń, ale w końcu pozwolił jej pójść. Podeszła z wyprężonym grzebieniem i uniosła małe, silne ramiona, gdy uklękła przed Mogon.

Niedbałym ruchem ostrego jak brzytwa brązowego topora Mogon ścięła jej głowę i inkrustowany dziób wbił się w ściótkę prawie pomiędzy nogami Harmodiusza. Mogon ją subsumowała, wydzierając z ciała jej esencję.

Wszystkie czerwone grzebienie drgnęły.

Mogon się odwróciła.

- Po wszystkim - oznajmiła.

Za nią czerwone grzebienie podnosiły broń i wymykały się na moczary.

Mogon dała znak.

- Oto nasienie, które zrodziło piękne owoce - powiedziała i pomachała do Zamurzan, którzy zastawili pułapkę na strażników. - Mój Sossagu.

Nita Qwan wystąpił i ugiął kolano przed wielką księżną, z której topora powoli ściekała jucha.

- Ogłaszam ciebie i twoich ludzi na zawsze uwolnionymi spod mojej władzy, niezobowiązany do niczego poza obowiązkiem paleniska, domu i gościny - zaintonowała Mogon. - Dokonałście wielkiego czynu.

- Przyjmijemy nagrodę w postaci żywności, księżno - powiedział śmiało Ta-se-ho. - Marzliśmy przez dziesięć dni, podążając za tą bandą przez każde jezioro i górę.

Mogon sięgnęła do pasa.

- Proszę, weźcie moją strawę.

Cisnęła mu cudnej roboty sakwę z jeleniej skóry naszytej igłami jeżozwierza i paciorkami złota. Odwróciła się i jeden z podwładnych zarzucił na jej ramiona obszerną pelerynę z piór czapli, sójek i orłów. Skinęła na Harmodiusza.

- Dzisiaj odnieśliśmy mało znaczące zwycięstwo. Zobaczymy, co będzie dalej.

Kiedy dołączyli do Baśniowego Rycerza, który trzymał zbryzganą juchą kryształową kopię, Harmodiusz zapytał:

- Gdzie jest wróg? Ruszamy w pościg?

Baśniowy Rycerz sięgnął brwi.

- Mogon darowała życie kilku swoim pobratymcom. Reszta została kolacją.

Harmodiusz się wzdrygnął, a Baśniowy Rycerz pokazał kły.

- To Dzicz - dodał. - Przegrani nie odchodzą. Stają się pożywieniem.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### Na północ od Dormling - ser Hartmut

Armia Dzikich wylewała się z lasów za Łęgami Wilka niczym ciemna woda, zbierając się w zagłębieniach terenu. Naprzeciwko na wyżynie nad Gospodą wojska cesarskie zajmowały się zwijaniem obozu.

Ser Hartmut zebrał tuzin swoich najlepszych kopii i pojechał z ser Kevinem na rekonesans. Kilka minut później wrócili w cienie lasu bez dwóch ludzi i sześciu koni, a wrzask cesarskich wardariotów ścigał ich niczym śmiech.

Ser Hartmut odbył krótką naradę z Głogiem, po czym wysłał w wysoką trawę bogliny i inne stworzenia. Wardarioci i ich psiloi z początku wycofywali się wolno, ale kiedy bogliny dopędziły i pożarły psiloi na krańcu linii, wszyscy przyspieszyli odwrót i dolne pola zostały oczyszczone.

Marynarze ser Hartmuta i bryganci Guarana Capotta zaczęli okopywać obóz na pierwszym odpowiednim wzniesieniu, tak blisko linii cesarza, jak tylko śmieli.

Przyszedł ser Louis, zarumieniony po wytężonym pościgu za wymykającymi się wardariotami. Nie stracił ludzi, ale też nikogo nie złapał.

- Twoja mina skwasiłaby mleko, kuzynie - powiedział, gdy giermek wziął jego wielki hełm.

- Cesarz przybył przed nami, mimo że nasi sojusznicy nam obiecali, że jego konie będą martwe, a ludzie zostaną zmuszeni do walki pieszo - warknął ser Hartmut.

Nie skończył mówić, gdy dwóch brygantów przywlekło Moreańczyka, smagłego, brodatego, twardego mężczyznę w średnim wieku. Miał związane ręce i krew spływała mu po nogach.

- Wyrwaliśmy go robalom, panie - zameldował brygant. - To znaczy zabiliśmy robale i go zabraliśmy, bo mówiłeś, że chcesz mieć jeńców.

Ser Hartmut pokiwał głową. Pstryknął palcami i przybiegł Cree-ah, jego najnowszy giermek, hurkański chłopak.

- Wypląć im po srebrnym soldiusie na głowę.

Cree-ah się uklonił, sięgnął do sakiewki swojego pana i dał zapłatę obu mężczyznom. Był północnym Huranem i wydawało się, że uważa służbę sławnemu rycerzowi za wielki zaszczyt.

Ser Hartmut spojrział na broczącego krwią Moreańczyka.

- Opowiedz mi o swojej armii - polecił.

Jeniec ściągnął brwi.

- Znajdź kogoś, kto mówi po archaicku, każ mu przepytac tego człowieka, a jeśli nie będzie chciał mówić, poddajcie go torturom. Zagroź, że rzucicie go boglinom. - Ser Hartmut ponuro się roześmiał. - To powinno stanowić wystarczającą zachętę do mówienia.

Zabrał kubek wody, usiadł na stołku i obserwował armię cesarską ze szczytu wzniesienia.

- Przybył pierwszy - powiedział do nikogo w szczególności. - Ale teraz czeka. Czy jest dość głupi, żeby walczyć?

Powietrze się przemieściło i stanął przy nim Głóg.

Ser Hartmut odął z niesmakiem wargi.

- Usłyszałeś mnie i przybyłeś?

Głóg chrząknął.

- Nie. Nie mogę cię słyszeć z odległości mili. Jeszcze nie. Przyszedłem z własnych powodów. Powiedz mi, co proponujesz.

Hartmut się rozejrzał.

- Gdzie twój pan?

Głóg znowu chrząknął.

- Blisko. Znajdujemy się na terenie, do którego rości sobie prawo jeden z jego pobratymców. Z tego względu jest bardzo nerwowy.

Ser Hartmut wskazał w górę wzgórza, gdzie ludzie pogłębiali rów przed szanćami już wysokimi na osiem stóp, wzniesionymi z ubitej ziemi i kłód.

- Nie będzie lepiej. Chyba że zaczekamy na tabor z machinami oblężniczymi, a w takim przypadku zajmie to całe lato. - Hartmut wzruszył ramionami.

- Ja jestem, jeśli trzeba, machiną oblężniczą - oznajmił Głóg.

Machnął laską i powoli wymówił stare, mroczne słowo.

Nic się nie stało.

Ser Hartmut uniósł brew.

- Będzie, jak ma być - powiedział. - Równie dobrze możemy zaatakować, nim dostaną posiłki. Obecnie mamy duże szanse, co najmniej cztery albo pięć do jednego.

- Moi podniebni obserwatorzy mówią, że drogą nadciąga kolejna siła, wszyscy piesi. Mój pan zabił ich konie. - Pochylił się lekko. - Moglibyśmy wysłać twoich ludzi dalej na wschód, szybko, żeby ich odcięli i wybili.

Ser Hartmut pokręcił głową.

- Nie. Wyślij kogoś innego. Naszymi przeciwnikami są żołnierze, panie czarnoksiężniku. Jeśli zostawisz ich samych, poradzą sobie w taki czy inny sposób. Są przebiegli i mają za sobą tysiące lat doświadczenia. Ja jestem twoim jedynym narzędziem przeciwko nim. Twoje bogliny zostałyby wybite w jednej chwili.

- Skoro nalegasz - powiedział Głóg.

- Tak. I tyle, jeśli chodzi o to, że jesteś machiną obłączniczą. - Ser Hartmut dopił wodę i wstał.

Wstrząs powalił go na ziemię i nagle świat zakołysał mu się przed oczami.

Ludzie we wrogim obozie roili się jak pszczoły w zniszczonej pasiece. Nad szańcami wzniósł się dym i pył tak gęsty, że niczego nie było widać.

Gdy pył zaczął opadać, stało się jasne, że formacja wrogiej jazdy stoi przed obozem, a piechota jest czymś zajęta. Było widać płomienie.

- Mały pokaz moich umiejętności - rzekł skromnie Głóg. - Skała o wadze pięciuset funtów ciśnięta dalej, niż człowiek może przejechać konno w pięćdziesiąt dni. - Wzruszył ramionami.

- Rzuciłeś wielką skałę na ich obóz? - zapytał ser Hartmut. - Cóż, spójrz na nich teraz. Wszyscy stanęli w szyku do ataku. Znają się na swojej robocie. Nigdy nie walczyłem z cesarskimi, ale słyszy się różne rzeczy.

Pokiwał głową. Dał znak swoim ludziom i zjawił się Capot w starej przeszywanicy pałacy hurzańską fajkę.

- Podwoić strażę. I przez cały czas ma czuwać podwójna warta z gotowymi do strzału kuszami. Czy moje rozkazy są jasne? - Ser Hartmut się rozgrzewał. To było trudne wyzwanie.

Spojrzał na wzgórze.

- Jutro chciałbym wypróbować ich umocnienia - powiedział.
- Wysyłając swoich żołnierzy? - zapytał Głóg.
- Twoje robale - powiedział ser Hartmut.

\*\*\*

Rankiem ser Hartmut najlepiej, jak mógł, ustawił północną armię w trzy grube linie, które pokryły pierwsze zbocze zielonej trawy. Pierwsza linia składała się z przeznaczonych na straty boglinów, duchów i małych, podobnych do szczurów, szybkich jak błyskawica stworzeń o wielkich zębach. W drugiej linii ustawił wszystkich ludzi z wyjątkiem swoich rycerzy - chętnych albo niechętnych Huranów, poskromionych Sossagów i innych Zamurzan, którzy przybyli po łupy, sławę albo ze strachu. Trzecią linię stanowiły banda wojenna Orleya i wielkie czarne kamienne trolle. Jego kopii nigdzie nie było widać.

Jednakże była to naprawdę groźna horda.

Głóg sięgnął w etereal i sprokurował nie jeden, ale dwa wielkie kamienie, które spadły na umocnienia obrońców, niszcząc dwudniową pracę i obalając całą frontową ścianę szańca, który chronił prawe skrzydło armii cesarskiej najbliższej drogi.

Ser Hartmut wypuścił pierwszą linię i bogliny pomknęły w górę wielkiego pasma, płynąc po nierównej ziemi jak brązowy olej, i światło pierwszego od tygodnia naprawdę słonecznego dnia odbijało się od ich sztywnych głów i pokryw skrzydłowych.

Blisko szczytu bogliny zostały zdziesiątkowane przez łuczników i zabójcze małe maszyny wojenne, balisty na wozach i mangorele wyrzucające kubły żwiru. Gdy posunęły się jeszcze dalej, cesarscy czarnoksiężnicy zaatakowali je swoimi mocami.

Gdy tylko nawiązali kontakt, Głóg zaczął ich zabijać. Pierwszą ofiarą była mało znacząca studentka drugiego roku z gruntowną znajomością ognia - jej ognisty wiatr strawił setki boglinów i niemało irków, zanim sięgnął do niej i ją subsumował bez zawracania sobie

głowy używaniem swoich mocy. Wrzasnęła, gdy jej dusza została unicestwiona, dając wyraz rozpacz, z jaką młodość żegna się z życiem.

Głóg uderzał raz za razem. W czasie, jaki zajęło zabicie tysiąca boglinów, uśmiercił pokolenie cesarskich magów, przejmując ich moce i wiedzę.

Pozostali osłonili się zbyt późno, nigdy bowiem nie mieli do czynienia z czymś takim jak Głóg. Zbyt późno spróbowali go znaleźć i odizolować.

Zesłał ognisty deszcz na frontowe umocnienia.

Ser Hartmut obserwował i przez chwilę myślał, że bogliny zdobędą szzańce. Nie zdołały - były przerażone i poniosły straszliwe straty.

Na znak Głoga, który okazał się lepszym sprzymierzeńcem, niż przypuszczał, ser Hartmut pchał w pole drugą linię. Szczyt wzgórza przemienił się w dymiącą ruinę - trawa zniknęła i nieziemski ogień pełgał po szajcach i ziemi przed nimi, wytyczając strefę zniszczeń tak wyraźnie, że niektórzy Zamurzenie wzdragali się przed wejściem na spaloną ziemię.

Ale marynarze i bryganci Hartmuta parli do przodu. Na szajce pomknęła płachta czarnego ognia; jedynym znakiem jej przejścia było lekkie drżenie ziemi. Wybuchły wrzaski. Kilka balist i mangoneli zdołało wystrzelić po kamieniu albo kubie żwiru, ale większość załóg zginęła, ludzie padali przecięci na pół przez ostatnie czary Głoga.

Wróg wysłał jazdę na niespodziewany wypad. Szajce były chytrze zbudowane, z ukrytymi przejściami, i od frontu wyszli pancerni, podczas gdy z obu stron wyskoczyła lekka jazda, brawurowo galopując przez wysoką trawę i wypuszczając strzały. Zamurzenie na dalekiej lewej flance przyjęli główny impet szarży wardariotów i polegli ścięci jak dojrzała pszenica.

Hartmut się uśmiechnął. Tam ustawili tych najmniej solidnych, darmożjadów, którzy posłużyli do złagodzenia ciosu najlepszej lekkiej jazdy cesarza. Minęło trochę czasu, zanim uciekli albo zostali wybici.

W lasach za nimi błysnął metal i zaraz potem kopie pod ser Badefolem utworzyły szyk i przypuściły szarżę. W trzeciej linii ludzie



Kevina Orleya popędzili jak Zamurzan, którymi wszak byli, nie bacząc, że łucznicy mają lepsze zbroje.

Wardarioci zawrócili bez chwili wahania, wycięli sobie drogę przez linię Zamurzan i uciekli, ale z desperackiej ucieczki ocalała tylko połowa. Pozostali zostali rozbici na krwawą miazgę przez pancerną bandę Orleya i rycerzy.

Ser Hartmut jeszcze nawet nie zaczął się pocić w zbroi.

Zobaczył, że dwunastu marynarzy i dwóch brygantów znika za szansem. Jeden z nich rozwinął swój osobisty proporzec, który załopotał na wietrze.

Odwrócił się w stronę Głoga.

- Teraz ruszamy na wzgórze - powiedział. - Potrzebuję twoich trolli, żeby się rozprawiły z nordykańską gwardią.

Głóg był czarny i ani nie rzucał cienia, ani żaden cień nie padał na niego.

- Na wzgórze - potwierdził.

Moreañczycy mieli inny pomysł.

Daleko na prawo od ser Hartmuta pojawiła się kolumna kawalerii w jasnym srebrze i szkarłacie. Mieli czas, żeby go oskrzydlić, i teraz pędzili w górę zbocza na nieosłoniętą długą flankę ludzi i potworów.

Hartmut wysłał giermka po Orleya i de Badefola, po czym pojechał w kierunku walki. Głóg rzucił masywne czary na pierwszą linię dzielnych jeźdźców, jednym machnięciem kamiennych szponów zabijając czterdziestu wrogów i wielu swoich Zamurzan, ale schola - bo to byli oni - nie przerwała natarcia. Prawa flanką, którą tworzyli solidni Zamurzanie, uzbrojeni w kusze południowi Huranowie w dobrych zbrojach, nagle ostro wygięła się do tyłu i groziła pójściem w rozsypkę.

Zgodnie z jego przewidywaniami na szczycie centralnej reduty pojawili się Nordykanie, o których tak często słyszał.

Towarzyszył im wysoki mężczyzna na wspaniałym koniu. Nawet z odległości długiego strzału z łuku ser Hartmut dobrze widział przepych jego stroju i zbroi, a także godną postawę.

Nordykanie runęli na jego brygantów i rozbili ich w puch. Próbowali stawiać opór - mieli równie dobre, a nawet lepsze, zbroje,

lecz jasnowłosi gwardziści szybko zyskali przewagę i ich topory śmigły niczym kosy żniwiarzy.

Poza tym mieli przewagę wysokości.

- Głogu! - ryknął ser Hartmut.

Śmiertelnie groźny mag skinął na szeregi czterdziestu kamiennych trolli stojących niczym posągi u stóp wzniesienia.

- Naprzód - rozkazał. - Zabijcie ich wszystkich.

Dowodzący troll otworzył szare bazaltowe usta i wyryczał wyzwanie, i ruszyli, biegnąc w tempie szarżującego konia. Ziemia protestowała, jęcząc pod ich ciężarem.

Z lasów za nimi wypadły dwa wielkie hastenochy i jeszcze rzadziej spotykane stworzenie - brązowe i wielkie jak cztery rumaki, z zakrzywionymi ciosami poplamionymi po stu latach polowania, wielkim ukośnym pyskiem z dwoma rzędami zębów wielkości sztyletów i czterema wielkimi słoniowymi nogami. Wśród nich luźna linia Ruków piętrzyła się na tle popołudniowego nieba. Rzucili się na scholę.

\*\*\*

Harald Derkensun obserwował katastrofę, która rozwijała się powoli, jak to zwykle bywa, otaczając armię cesarską niczym ramiona niosącego zgubę kochanka.

Jeden z problemów służenia w gwardii polegał na tym, że generalnie gwardzista wiedział to samo, co cesarz. Wszyscy noszący miecze, czyli członkowie straży przybocznej, wiedzieli, że cesarz nie powinien samotnie czekać na czarnoksiężnika w Dormlingu i że ptasi kurierzy przynosili błagalne wiadomości, żeby nie stawał do walki bez wsparcia.

Wiedzieli też, że armia jest słaba pod względem uzdrawiania i czarów, ponieważ cesarz odesłał wszystkich najsilniejszych magów, żeby wspomagali Nieśmiertelnych, jak z uporem ich nazywał, w walce o utrzymanie ostatnich otwartych przełęczy na Zielonych Wzgórzach.

Cesarz siedział w idealnym spokoju z pogodą na przystojnej twarzy, w szkarłatnym płaszczu i nieskazitelnych butach z długimi cholewami. Zlekceważył rady starszych oficerów i wysłał scholę do

ataku na flankę, żeby odciążyć środek. Była to godna podziwu taktyka, ale, jak podejrzewał Derkensun, nieodpowiednia na ten dzień, teren i stosunek sił.

Schola posłuchała.

Co więcej, wszyscy posłuchali. Cesarz rzucał w pole swoją armię regiment po regimencie.

Derkensun nie mógł nic zrobić. Stał w milczeniu i szykował się na śmierć. Przed południem stało się jasne, że utoną w morzu potworów.

Cesarz zachował spokój, od czasu do czasu popisując się wojskową erudycją - komentując, że Waro w podobny sposób ustawił szeregi w Cearei. I jak było pod Chaluns, szczególnie wtedy, kiedy wróg próbował przełamać środek jego linii.

Tymczasowy hrabia wardariotów pochodził ze wschodu. Nie znał języka na tyle dobrze, żeby wdać się w dyskusję, i był zbyt uparty, żeby odmówić wykonania rozkazu. Poprowadził swoich ludzi.

Derkensun zobaczył, że zostali rozgromieni. Wielki topór poruszył się na jego ramieniu i znieruchomiał.

Spojrzał nad zadem cesarskiego wierzchowca, wymieniając z Grossbeakiem spojrzenie trwające nie dłużej niż jedno uderzenie serca. Obaj wiedzieli, że nic nie można zrobić. Nic ich nie uratuje, chyba że przybędzie ser Milus, Czerwony Rycerz albo ktoś inny z wielkim autorytetem.

Scholiści przypuścili szarżę i przez chwilę od nich zależał los całej bitwy.

Z lasu wyszły potwory i rozbiły ich w puch.

Po prawej i lewej stronie czekały dwa regimenty złożone z dobrych, pewnych stradiotów pochodzących z terenów wokół Liwiapolis. Ludzie niespokojnie przestępowali z nogi na nogę. Szańce były oskrzydłone z obu stron. Po prawej Gospoda stała jak forteca, z wieżami pełnymi łuczników, zdeterminowanych krzepkich mężczyzn z długimi cisowymi łukami.

Po lewej trawiaste zbocze schodziło do dalekiego strumienia, za którym wznosiły się wzgórza pocięte zagrodami dla owiec i bydła, ciągnące się ku wschodowi. Wśród nich wiła się droga wiodąca na południe do Albinkirku.

Gdy schola skoła na polu przed nimi, ludzie na lewym krańcu linii - górale - jęli się wycofywać.

Nie bacząc na wrogów, cesarz wjechał w jedną z luk szańca i spojrzał na pole. Dwóch Nordykanów uniosło okrągłe tarcze aspidy, żeby go chronić przed strzałami.

- Wstyd, wstyd - powiedział cesarz i były to jego pierwsze słowa od pół godziny. Nie poruszyła go śmierć straży przybocznej złożonej z młodszych synów przyjaciół i bliskich popleczników w stolicy. Był jednak wyraźnie przejęty, kiedy górale zaczęli się cofać.

- Idźcie powiedzieć góralom, że mają utrzymać pozycje - polecił takim tonem, jakby mówił do mało rozgarniętego dziecka.

- A potem jedźcie dalej na południe - mruknął nordykański gwardzista.

Cesarz rozejrzał się z uprzejmym wyrazem twarzy.

- Przyjaciele, obawiam się, że tylko dzięki naszym staraniom możemy odnieść zwycięstwo. - Spojrzał na panujący w dole chaos. - Wystarczy zadać mocny cios, a uzyskamy przewagę.

Derkensun wymienił kolejne spojrzenie z Grossbeakiem.

Mimo wszystko ruszyli. Cesarz nawet nie zaszczyił ich wydaniem bezpośredniego rozkazu. Bez jednego słowa wyjechał zza szańców. Noszący miecze i Nordykanie nie mieli innego wyboru, jak ruszyć w ślad za nim.

- Chryste... - jęknął Grossbeak. - Wszyscy umrzemy. Najpierw zabijmy tyłu, ilu zdołamy. Amen.

- Amen - powtórzyli gwardziści.

Brakowało im wielu ludzi - tych, którzy polegli wczesną wiosną na północy, walcząc przeciwko Zdrajcy - ale wciąż mieli dwieście toporów i kiedy runęli na Galów, ci zachwiali się i ustąpili pola.

W ciągu kilku chwalebnych minut Nordykanie i hetajrowie cesarza wycięli krąg przed szańcami. Górale wrócili do walki. Linia się trzymała.

Kamienne trolle ruszyły w górę wzniesienia. Były szybkie, dość szybkie, żeby przyciągać oko, i wielkie, każdy jak dwóch ludzi.

- Co to, do nędzy? - zapytał Grossbeak.

Nikt mu nie odpowiedział. Wielkie czarne kamienne stwory biegly

pod górę i ziemia się trzęsła pod ich dudniącymi stopami.

Grossbeak, spathariota cesarza i, formalnie rzecz biorąc, jeden z jego starszych oficerów, chwycił za uzdę cesarskiego konia.

- Co to, do nędzy, panie? - zapytał.

Ziemia się trzęsła.

Cesarz lekko zwiesił ramiona.

- Musimy się z nimi zetrzeć i wytrwać.

- Nie martw się, panie! - krzyknął Grossbeak. - Jeśli są śmiertelne, to je wytluczemy. A teraz jazda stąd, natychmiast!

Cesarz dobył miecza.

- Nie... - zaczął.

Wystrzelony z procy, brzęczący jak szerszeń kamień trafił go w bok głowy. Cesarz krzyknął, jego nogi wysunęły się ze strzemion i spadł na ziemię.

Jęk napłynął od strony cesarskich szeregów. Grossbeak nawet się nie zatrzymał.

- Straż! - ryknął. - W tył zwrot!

Trolle uderzyły.

Żaden szereg ludzi, niezależnie jak utalentowanych, niezależnie jak silnych i uzbrojonych, nie mógłby zatrzymać takiego ataku.

Wielu Nordykanów zostało obalonych i niektórzy więcej się nie podnieśli. Inni zostali tylko odrzuceni na bok - Derkensun padł na wznak, gdy coś niczym gładz uderzyło w jego tarczę, zrywając guz, ale runy na hełmie wytrzymały. Oburącz zamachnął się toporem i broń odbiła się od litej skały, powodując ból ramion.

U jego boku Eric Lodder zrobił zamach i topór odłupał duży kawałek kamienia, który ugrzązł mu w piersi.

Derkensun obrócił topór w powietrzu i ciął nisko, w ciężkie nogi. Miał wrażenie, że rąbie skałę, bez widocznego skutku. Kamienne kolosy ryczały i ich kamienne pięści biły jak cepy, miażdżąc ludzi.

Gwardia umierała. Ani piękne peleryny, ani pancerze z wyrytymi runami nie mogły ich ocalić.

Potężny cios powalił Derkensuna i kiedy się podniósł, nie miał hełmu.

Był na wpół ogłuszony. Stojąc tuż przy nodze potwora, uniósł

topór i ciał ściągnął pod kolanem, gdy troll zrobił długi krok skupiony na zabiciu Grossbeaka.

Ku jego zaskoczeniu ostrze weszło i utknęło bardziej jak siekiera w drewnie niż w mięsie, ale bluznęła czarna krew. Stwór się obrócił, wrywając trzonek z jego rąk, noga odmówiła mu posłuszeństwa i upadł.

- Pod kolana! - wrzasnął Derkensun.

Inni wołali co innego: że twarze są słabe, że krocza są jak drewno.

Gwardia umierała.

Teraz umierały też kamienne trolle.

Cesarz umiał walczyć. Dobra krew i najlepsze szkolenie nie poszły na marne; dokonywał cudów włóczęgią, dopóki nie pękła, a wtedy dobył miecza i został strącony z konia.

Grossbeak chwycił go pod pachy i odciągnął od trolli, cofając się. Otoczyły ich niedobitki gwardii. Nordykanie utworzyli mur tarcz i cofali się krok po kroku, za każdy z nich płacąc życiem kolejnego weterana.

Urządzili punkt oporu w luce wypadowej. Dwóch dzielnych wozaków obsadziło balistę i udało im się trafić trolla. Wielki bełt go przełamał i oleista maź bryznęła na szaniec; drugi bełt odciął mu głowę. W tym czasie zostało niespełna stu gwardzistów.

Większość oficerów i przyjaciół cesarza poległa w krwawym przejściu albo na trawie przed szanćcem.

Grossbeak niósł cesarza na ramieniu. Zwrócił się do Derkensuna:

- Musimy się stąd wydostać.

- Żyje? - zapytał Derkensun.

- Tak. Idź po konie.

Nordykanie mieli zbyt ciężkie zbroje, żeby maszerować, więc zawsze jeździli wierzchem. Konie czekały tuż za pozycją cesarza, sto kroków dalej.

- Nie - sprzeciwił się Derkensun.

- Tak. Idź.

Derkensun odwrócił się i pobiegł po ubitej ziemi, przez linię okopów, które żołnierze wykopali wczoraj, kiedy przybyli i stwierdzili, że wygrali wyścig do Gospody Dormling. Biegł do koni.

Paziowie stali na baczność, jakby oni też byli gwardzistami.

- Za mną - rzekł Derkensun. - Cesarz jest ranny. Musimy go uratować.

Pobiegł, sapiąc w bigwantach i zbyt ciężkiej kolczudze, wlokąc nogi za sobą i dźwigając wyszczerbiony topór, który jakby go oskarżał, że nie walczy i nie umiera wraz ze swoimi braćmi.

Wrócił, zanim oddali przejście potworom. Spojrzał w lewo i zobaczył uciekających górali. Oficerowie na niego patrzyli.

- Odwrót! - ryknął. - Do koni!

Konie stały wzdłuż wewnętrznej strony szańca. Miejskie regimenty nie potrzebowały powtórnego zaproszenia.

Grossbeak szczyrzył do niego zęby, mimo że dwóch więcej ich braci skonało pod kamiennymi pięściami.

- Najlepszy dzień ze wszystkich! - krzyknął. Rzucił cesarza na konia Derkensuna. - Jedź, chłopcze. Jedź i żyj. To rozkaz. Kurwa, mój ostatni. - Chwycił topór i skoczył na trolla, który właśnie wpadł przez bramę.

Przez dziesięć uderzeń serca przerażonego człowieka jego topór był wszędzie.

Szary troll upadł.

Grossbeak stanął na jego piersi i wyryczał swój okrzyk wojenny, i trzech poszło za nim - ostatni gwardziści w bramie, sami przeciwko nim wszystkim. Wysoko uniósł topór.

- Chronić cesarza! - krzyknął.

Derkensun przerzucił nogę przez siodło, już pochylony, trzymając przed sobą cesarza. Obrócił końską głowę i ujrzał chaos pogromu - tysiąc dwustu ludzi z miejskich regimentów biegło do koni, wrywało kołki z luźnej ziemi albo po prostu przecinało wodze. Wszędzie wokół niego ludzie uciekali. Nagle bogliny i inne stworzenia wpadły między konie.

W pewnym momencie Derkensun zdecydował, że nie ma zamiaru tu umierać. Rzucił toporem w trolle, cofnął wierzchowca o trzy kroki i go obrócił.

- Za mną! - ryknął. I pogalopował ku drodze do Albinkirku.

\*\*\*

Gdy zapadła noc, ser Hartmut siedział na stołku w obozie i słuchał, jak jego armia pożera pokonanych. Nie było jeńców. Nawet tego pojmanego rankiem obgryziono do kości, kiedy wróg rzucił się do ucieczki i bitwa została wygrana.

Siedział i żałował, że nie ma wina. Po jakimś czasie zjawił się Głóg.

- Życzę ci radości ze swojego zwycięstwa - powiedział ser Hartmut. - Twojego zwycięstwa - poprawił go Głóg niskim nieharmonijnym głosem.

- Gdzie jest twój pan?

- Daleko - odparł Głóg.

Ser Hartmut chrząknął.

- Co dalej? Wróg został pokonany. Czy cesarz zginął?

Głóg rozpostarł kamienne pazury.

- Zważywszy na skłonności naszej armii, obawiam się, że trudno mieć pewność, kto zginął. Widziałem, że upadł, zanim zdążyłem rzucić na niego czary. I dobrze, bo z pewnością ma potężne ochrony.

Ser Hartmut pokręcił głową.

- Skoro upadł, możemy mieć wszystko - oznajmił. - Nikt nie trzyma wzgórze poza jakąś smarkulą i ich milicją. Wśród obrońców nie ma ani jednego rycerza.

- To twoje marzenie, nie moje - zaznaczył Głóg. - Twoje i ser Kevina. Wnoszę, że zdobył dzisiaj ostrogi?

- Większość ludzi dobrze walczy, kiedy wróg idzie w rozsypkę i podaje tyły.

- Chcesz powiedzieć, że wcale dobrze nie walczył? - zapytał Głóg.

Ser Hartmut wzruszył ramionami.

- Zabijał wrogów, gdy uciekali. Nie miał okazji się wykazać. - Odchylił się na stołku. - Powtarzam pytanie, co dalej?

Głóg pokręcił dużą rogatą głową.

- Zetrzemy Gospodę Dormling z powierzchni ziemi, co będzie wiadomością dla nich wszystkich. Potem ruszymy na Albinkirk.

- Albinkirk, a nie cesarstwo? - zapytał ser Hartmut. - Musimy? Cesarstwo stoi otworem i czeka, żeby je oskubać.

- Myślisz, że twój rodak, de Vrailly, stawia nam czoło? - Głóg



wzruszył ramionami. - To nie ma znaczenia. Jutro każda bestia i każde stworzenie, które słyszy zew mojej mocy na Wzgórzach... tak, na całej północy po same lody... wszyscy przybędą na zawołanie. Największe zwycięstwo Dzikich od stu lat. - Wyprostował się i poderwał w górę kamienne pięści. - Teraz będziemy panami we własnym domu.

Jakby wyczarowany, zjawił się Popiół. Tym razem miał postać czarnej chmury popiołu, nomen omen, i krążył wokół nich, zanim się objawił jako nagi mężczyzna.

W połowie był czarny i w połowie biały jak kość słoniowa.

- Smok dziś zatańczy tak, jak mu zagram - oznajmił. - Odnieśliście wspaniałe zwycięstwo w ludzkim pojęciu. Zupełnie bez znaczenia w wielkim obrocie sfer, ale czym jest? Czy cokolwiek jest warte takiego wysiłku i umierania? - Zaśmiał się. - Warte, gdy się wygrywa. Nie za bardzo, gdy jest się trawionym za życia. - Wciąż się śmiał. - Czekałem na ten punkt zwrotny niemal całą wieczność, a Smok nigdy nie stawiał mi czoła! Przypuśćcie szturm na Gospodę i wybijcie wszystkich ludzi.

- A potem Albinkirk? - zapytał z powagą Głóg.

- A potem Lissen Carak, chłopcze. A potem się zacznie prawdziwa zabawa. - Popiół zachichotał. - Później otworzę bramy i wpuszczę moich sojuszników, i będziemy ucztować do końca świata! - Poważnie dodał: -Dobrze się sprawiliście. Lubię wygrywać. To znacznie przyjemniejsze niż przegrywanie. Dziękuję wam obu.

Zniknął.

\*\*\*

Na południowym zachodzie noc zapadała nad rozgromionymi siłami. Zmęczeni ludzie poddawali się rozpaczce, zwalniali i byli pożerani.

Janos Turkos jeszcze nie został ofiarą. Jego hurrańscy wojownicy nie brali udziału w walce, tylko czujnie obserwowali przebieg katastrofy. Kiedy stradioci siedli na koń, Duża Sosna pokłusował na niewielkie wzniesienie gdzie cesarski lotny oficer siedział na małym koniu i kurzył fajkę.

- Ruszamy - powiedział. - Ty też, chyba że chcesz stać się pokarmem.

Cesarski sztandar zniknął i bogliny roiły się na wielkich szańcach.

Turkos westchnął, z trudem powstrzymując łzy. Wystukał z fajki niewypalony tytoń. Dotąd nawet nie wyciągnął miecza, ale znał swój obowiązek wobec cesarza i swojego narodu.

Hurańscy psiloi byli wśród zagród dla owiec na lewym krańcu cesarskiej linii. Pomimo wielogodzinnych wysiłków boglinów i kamiennych trolli, a teraz rogatych hastenchów, ani jedno stworzenie Dżicy ich nie oskrzydliło i nie wpadło w zasadzkę, którą urządził na każdego dość głupiego, żeby wierzyć, iż flanką nie jest chroniona.

Mając doświadczenie walczącego w lasach, Turkos zabezpieczył odwrót. Przyłożył do ust róg myśliwski i zadał.

Dwustu Hurańców podniosło się ze swoich miejsc - wielu przez cały dzień leżało bez ruchu - i pobiegło. Zrobili to bez żadnego zamieszania i dyskusji.

Zebrali się sześć mil dalej na południe. Zrobili to w wybranym przez siebie miejscu i ulokowali się za długim kamiennym murem pomiędzy moczarami i kępą drzew, macką odległych o kilka mil lasów Dżicy, porastających doliny i zielone wzgórza.

W mniej niż dwie godziny przebiegli sześć mil i teraz leżeli, pili wodę i żuli pemikan.

Turkos wspiął się na drzewo. Po zejściu zobaczył, że Duża Sosna czeka na niego z rękami splecionymi na piersi.

- Idziemy w złą stronę - zauważył.  
- Jeszcze nie skończyliśmy - powiedział Turkos. - Tam jest druga armia... armia, na którą miał czekać nasz pan, cesarz. Światło gasło, ale ludzie nadciągali przez zielone pola. Ludzie i inne istoty.

- Na co czekamy? - zapytał Duża Sosna.

- Zbieramy niedobitki.

Duża Sosna spojrzał w dal i splunął na ziemię.

- Urządzasz zasadzkę?

Turkos przytaknął.

Pierwsi dotarli tam kawalerzyści, w większości ze scholii, pełen oddział na wyczerpanych wierzchowcach.

Turkos spotkał się z nimi na polu i ich oficer o mało nie spadł z konia, taki był zaskoczony.

- Chrystusie zmartwychwstały! - krzyknął.

Z bliska Turkos zobaczył, że to możny pan w pięknej karacenie i brudnych jedwabnych płudrach. Pierś jego wierzchowca pokrywała skorupa czarnej krwi.

- Z koni! - wychrypiał i jego żołnierze, a było ich ponad dwudziestu, zsunęli się z siodeł.

Niektórzy klapnęli na ziemię i siedzieli, dopóki weterani nie kazali im iść z wierzchowcami nad strumień.

- Ser Giorgos Komnen - przedstawił się oficer. - Chwała Bogu, jesteście. Nie sądzę, że przetrwalibyśmy kolejną godzinę. - Mężczyzna prawie płakał.

Turkos go objął, choć byli sobie obcy.

- A cesarz? - zapytał.

Komnen wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Szarżowaliśmy trzy razy. Potem przysły potwory. Wyznam... uciekliśmy. - Spojrzał na wzgórza. - Mieliśmy szczęście, byliśmy w drugiej linii, odpoczywając, kiedy pękł środek.

Uprzejmie skinął głową do pomalowanego wojownika, który zjawił się u jego boku i podsunął mu flaszkę bardzo silnego trunku.

- Ty z pewnością jesteś Turkos - powiedział.

Lotny oficer się ukłonił.

- Wybacz, że się nie przedstawiłem. Jestem Janos Turkos i przyszło mi na myśl, że możemy urządzić tu punkt oporu i zobaczyć, ilu zdołaliby zebrać.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy jakiś Huranin krzyknął przeciągle jak czapla i wszyscy wojownicy przypadli w kryjówkach. Na szczęście ludzie, którzy się ukazali na zboczu, byli cesarskimi - najpierw kilku stradiotów z miejskiego regimentu, a potem kilku górali.

Mieli puste oczy tych, którzy widzieli klęskę.

Jeden błagał, żeby pozwolili mu wrócić.

- Moja żona została w obozie! - krzyknął.

Drugi, starszy wiekiem góral, z uporem powtarzał, że cesarz nie żyje.

Duża Sosna pokręcił głową.

- Ci ludzie są załamani. Powinniśmy uciekać.

\*\*\*

Wreszcie nastał ranek. Ser Hartmut spał źle i włożył zbroję w posepnym milczeniu, którego gierk nie śmiał przerwać. Wsiadł na zapasowego konia i pojechał przez ufortyfikowany obóz zbudowany przez jego ludzi, świadom, jak wielu ich brakuje.

Jak się spodziewał, znalazł ich na szczycie wzgórza, w rumowisku obozu cesarza. Tysiące zwycięskich Zamurzan i ich sojuszników przechwalało się jeńcami albo ich maltretowało - zdobyli trzy tysiące nowych niewolników, którzy wczoraj byli czyimiś żonami, mężami albo dziećmi, a teraz mieli służyć do ciężkiej pracy lub zaspokajania żądz.

Z odrazą patrzył, jak dwóch brygantów wyciąga zakrzywione miecze i walczy o kobietę zmaltretowaną do tego stopnia, że się zastanawiał, jak mogła wzbudzić bodaj chwilowe pożądanie, nie mówiąc o morderczym gniewie. Sięgnął w dół i zabił ją nieznacznym ruchem miecza.

Upadła na kolana, jej głowa poturlała się i znieruchomiła, wciąż tryskając krwią. Ciało powoli osunęło się na ziemię w ostateczne objęcia śmierci.

Dwóch żołnierzy zamarło i spojrzało na niego.

- Ocaliłem życie wam obu, głupcy - powiedział. - Wracać do obozu.

Godzinę później z setką kopii i wszystkimi ludźmi Orleya zaczął oczyszczać obóz nieprzyjaciela. Wraz z rycerzami systematycznie zabijał ciury i markietanów, jednocześnie zmuszając sojuszników do opuszczenia terenu. W pewnym momencie najemnicy i marynarze dołączyli do masakry. Nie trwała tak długo, jak się spodziewał.

Rozkazał spalić cały obóz i odwrócił się plecami.

W jego obozie wciąż pojawiały się nowe twarze - głównie młode znękanе kobiety, kilkunastu chłopaków. Setki, nawet tysiące Huranów z północy zdobyło łupy, które wedle zamurzańskich norm były ogromne. Ich niewolnicy, ocaleni przez mądrzejszych wojowników, ładowali zdobycze na konie albo wółki, albo na własne

grzbiety, i wszyscy razem tłumnie opuszczali armię, zmierzając na północ.

Hartmut podszedł do Głoga.

- Musisz położyć temu kres, bo inaczej stracisz Zamurzan - powiedział.

Głóg stał na zboczu, patrząc w dół na kolumnę Huranów i inne północne plemiona porzucające armię.

- Wiesz, że większość wziętych przez nich jeńców zostanie adoptowana i przyjęta do plemienia? - zapytał. - Postępują inaczej niż twoi ludzie, którzy gwałcą jeńców na śmierć.

Ser Hartmut wzruszył ramionami.

- Owszem, wojna ma w sobie niewiele piękna. Zdaje mi się, że jakiś poeta powiedział, że jest słodka tylko dla tych, którzy nigdy nie mieli smaku. Proponuję przed zmierzchem zaatakować czoło kolumny i zabić tyłu, żeby reszta zrozumiała.

Głóg obrócił dużą kamienną głowę, żeby spojrzeć na Czarnego Rycerza.

- Zmasakrujesz naszych sojuszników, żeby zmusić ich do posłuszeństwa? Czy jesteś kompletnym głupcem?

- Masakra spełni swoją rolę, biorąc pod uwagę czas i twardą rękę - powiedział z uporem ser Hartmut.

W głosie Głoga zabrzmiała nietypowa dla niego gorycz, gdy oznajmił:

- Na martwych nie podziela. Myślę, że wciąż nie doceniasz uporczywości Zamurzan. Ale najbardziej jestem zaskoczony tym, że ludzie mnie mają za złego. Uważają, że to Dżicz jest wrogiem. - Świdrował wzrokiem oczy ser Hartmuta. - Właśnie zmasakrowałeś trzy tysiące niewinnych, żeby zrealizować swój plan.

- Nie mój plan, tylko twój - warknął Hartmut. - Ja jedynie wykonuję najtrudniejsze zadanie. Nie bawi mnie zabijanie dzieci, ale czasami trzeba to robić. Jeśli skończyłeś swoje białe jak lilia moralizowanie, może zdołamy ruszyć armię... armię, która więcej strat poniosła wskutek zdrady niż bitwy.

- Zdobędziemy nowych zwolenników - rzekł ze zmęczeniem Głóg, jakby rozmowa go nudziła. - Już nadciągają.

- Mimo wszystko musimy maszerować. - Ser Hartmut był nieugięty.

Głóg machnął ręką.

- Zaczekajmy jeden dzień. Północni opiekunowie są blisko, niech przynajmniej oni do nas dołączą.

Po chwili dodał:

- I mój pan będzie chciał zająć Gospodę.

Gospoda stała nietknięta, wciąż obsadzona. Przyjęła wielu uciekających Moreańczyków i ich kobiety.

- Gospodę? Wezmę ją w godzinę. Niepotrzebny mi cały dzień - syknął Hartmut. - W polu są inne armie. Sam tak powiedziałeś.

Głóg drgnął.

- Mój pan niewiele mówi.

Ser Hartmut zapanował nad wzbierającą złością.

- Może pora samemu zbierać informacje?

Głóg patrzył na niego przez długi czas. W pobliżu wrzeszczał mężczyzna trzymany przez dwóch Galów i pożerany przez bogliny. Ludzie się zakładali.

Śmiali się.

- Tym właśnie naprawdę są ludzie - powiedział cicho ser Hartmut.

Głóg chrząknął.

- Tak mówi mój pan. Dobrze się dogadacie. - Patrzył na ten akt okrucieństwa i próbował sobie przypomnieć, kim kiedyś był. Westchnął. - Spróbuję zmusić wiewny do lotu. Poniosły straszne straty. Wszystkie latające stworzenia zostały zdziesiątkowane. - Pokręcił głową. - Kocham wiewny.

Hartmut splunął.

- Nie pora na drobne sympatie i antypatie. Powiem wprost, czarnoksiężniku. Twój pan jest albo obłąkany, albo ma plan, który się nie zgrywa z planami nakreślonymi przez mojego króla, a może w grę wchodzi coś jeszcze gorszego. Podejrzewam zdradę. Zdumiewa mnie jego brak zainteresowania naszą bitwą, naszym zwycięstwem, cesarzem... nie jestem głupcem, panie czarnoksiężniku. On ma jakiś inny cel niż tylko zwycięstwa militarne.

Głóg patrzył na niego przez długi czas. Poruszył wielkim ramieniem i włócznią wyrysował coś w ściółce.

- Uważaj z mówieniem takich rzeczy - przestrzegł Hartmuta. - Ja nie mam wątpliwości. - Rozejrzał się. - Zabierz swoje maszyny, by zdobyć Gospodę.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając Czarnego Rycerza, który zrobił kilka kroków i nagle coś mu wpadło do głowy. Przystanął, oglądając się przez ramię.

*Nigdy nie jestem sam.*

Tak brzmiał napis wydrapany w ziemi.

Hartmut przeczesał brodę dwoma palcami.

- Na krocze szatana... - szepnął. I się uśmiechnął.

### **Dziura Gilsona - ser John Crayford**

Dwa dni marszu na południe od ruin cesarskiego obozu ser John Crayford w głębokiej rozterce rozglądał się po polanie, gdzie kiedyś była wioska zwana Dziurą Gilsona.

Nikt tam nie mieszkał. Zostały trzy dobre chaty i ruiny sześciu innych, i plac, który kiedyś był porośnięty trawą, a obecnie malinami.

Ser Ricar i ser Alison - Pyskata - ściągnęli przy nim wodze.

- To mi się nie podoba - powiedział.

Był zmęczony i poobcierany od siodła. Stoczyli dwie potyczki w lesie i musiał wrócić na drogę, bo deszcz przemienił południowe Adnarnie w Adnabagna, jak mówili łucznicy przy każdym kroku.

Pyskata zsunęła wielki hełm na plecy.

- Słońce to miła odmiana. Gdzie jest cesarz, do nędzy?

John Crayford pokręcił głową. Rozpiął pasek, ściągnął z głowy lekki basinet i podał go giermkowi. Jego twarz wyrażała niezdecydowanie. Pochylił się w ciężkim siodle, jakby mógł przebić wzrokiem dwadzieścia mil gęstego lasu i zobaczyć, co ma przed sobą.

- Zamierzam... - zaczął. Podrapał się po brodzie. - Słuchaj - powiedział głównie do Pyskatej, której niekończące się celne słowa krytyki były dla niego źródłem prawdziwego bólu. - Jeśli cesarz stanie do walki i przegra, możemy ruszyć na czarnoksiężnika....

- W każdej, kurwa, chwili - syknęła Pyskata. - Powtarzasz to od dwóch dni, a wciąż jesteśmy rozciągnięci na leśnej drodze bez frontu i osłony.

Przechodzący łucznicy odwrócili wzrok.

Ser John zapanował nad gniewem.

- Ale jeśli się trzyma, będzie nas potrzebować.

- Kapitan powiedział, że mamy iść do Albinkirku. To nie jest Albinkirk. - Pyskata nie łagodziła tonu. - To, kurwa, stryczek, panie, a ty pakujesz w niego nasze głowy.

Ser Ricar westchnął.

- Pyskata - rzekł cicho.

Pyskata zdjęła rękawicę. Skaleczyła się, rąbiąc drewno - cięli drewno w deszczu - i kciuk był opuchnięty.

- Wybacz, Johnie. Ale co, do nędzy? Wiem, że decyzja należy do ciebie, nie ja tu dowodzę. Ale, bez obrazy, pieprzyć cesarza, w taki czy inny sposób. Ma trzecią część kompanii i to moja sprawa, lecz kapitan powiedział Albinkirk, a my jesteśmy tutaj, prawie w Gospodzie. Kapitan próbuje połączyć armie.

Usłyszeli wyraźny i szybki tętent kopyt. Hrabia Zak rozkazał swoim nadzwyczajnym ludziom osłaniać czoło i tyły kolumny, więc ser John nie brał pod uwagę niespodziewanego ataku.

Mimo to zeszywniał.

- Dwudziestu ludzi - osądził. - W porządku, Pyskata. Rozbijemy obóz i się okopimy.

- Nie tego chcę! - Pyskata prawie krzyknęła.

- Mogę pójść na taki kompromis. Niech Zak skontaktuje się z cesarzem. Może jeden z tych cennych czarno-białych ptaków zjawi się ze wszystkimi odpowiedziami, ale na razie zostajemy tutaj. Okopimy się z wielkim bagnem osłaniającym nas od frontu, mając już istniejący fort i tę wioskę na kłody.

Zwrócił się do Rozmyślnego Morda:

- Ogołoc wioskę. Chcę mieć reduty po obu stronach drogi i palisadę. - Skinął na ludzi za plecami Rozmyślnego Morda. - Zbierzcie wszystkie kobiety i wozaków. Wytnijcie każde drzewo w zasięgu strzału z długiego łuku i oczyśćcie je z gałęzi. Bliżej uplećcie zasieki,



nazbierajcie czarciego ziela. Mag, wystarasz się o trujący bluszcz?

- Na naszą panią, ser Johnie, okrutny z ciebie łajdak.

- Tak, pani. Zobaczymy. - Nie uśmiechnął się. - Pyskata, chcę się tu trzymać, dopóki nie będzie mi więcej wiadomo.

Pyskata elegancko zasalutowała.

- Zamknę się i będę żołnierzem - obiecała, ale mruknęła: - Kapitan powiedział, Albinkirk.

Jakby wypowiedziała zaklęcie, jeźdźcy wypadli z lasu. Natychmiast, podobnie jak ser John, rozpoznała Złego Toma.

Tom Lachlan podjechał do grupy dowodzenia na koniu tak zmęczonym, że płaty piany ściekały mu z pyska. Zsiadł, gdy tylko znalazł się wśród nich.

- Pyskata, twój widok jest balsamem dla duszy.

Wyszczerzył zęby, a ona pochyliła się w siodle i go pocałowała.

Odwrócił się.

- Jakież wieści? Aha, tak, kapitan się spodziewał, że będziecie bliżej Albinkirku.

- Tak mi mówiono - rzekł ser John.

- Dla mnie lepiej - stwierdził Tom. - Mam rozkazy ocalić cesarza przed jego własnym małym rozumkiem, że się tak wyrażę. I zebrać ludzi na Wzgórzach. - Popatrzył na nich.

- Cesarz dotarł do Gospody Dormling, to wszystko, co wiemy - powiedział ser John. - Miał maszerować na Albinkirk.

Tom błysnął szerokim uśmiechem.

- Tak, to samo można powiedzieć o innych, co nie, ser Johnie?

Ser Ricar wyraźnie dokładał starań, żeby się nie roześmiać.

Tom powiódł wzrokiem po polanie. Zewsząd dobiegał huk siekier i sześciu ludzi wytyczało kredowe linie po obu stronach drogi na niskim wzniesieniu nad Dziurą.

- Okopujesz się? - zapytał.

Ser John skinął głową.

Tom spojrział w niebo.

- Kiedy słyszałeś, że cesarz jest w Dormlingu?

- Dwa dni temu - odparł ser John. - Od tamtej pory nie było żadnych posłańców.

Tom wzruszył ramionami.

- Znam drogę do Dormlingu. Wysoka droga poganiaczy, z której korzystał Hector. Daj moim chłopcom konie na zmianę i pojedziemy.

Ser Ricar ściągnął brwi.

- Na rany Chrystusa, ser Thomasie! Przydałby się nam miecz tak silny jak twój.

Zły Tom się roześmiał.

- Jeśli dopisze mi szczęście, nie będę wam potrzebny... ale ja was potrzebuję. Gdzie Zak? - zapytał Pyskata.

- Na drodze do Dormlingu - odparła.

Zły Tom chrząknął.

- Dobra, chłopcy i dziewczęta. Jadę. Chciałem go wypożyczyć, ale nie mogę zaczekać.

Pyskata zmarszczyła brwi.

- Zostań na noc i posłuchaj wieści.

Tom pokręcił głową.

- Obawiam się najgorszego. W lasach panuje cisza, ani irka, ani boglina. He? Ani Zamurzan. He? Muszę wiedzieć teraz. Moi krewni są w Gospodzie i ponad nią, i nie chcę ich zostawić. I kapitan kazał mi zebrać ludzi... i powiedział, że Smok być może nie będzie mógł pomóc. - Zwrócił się do ser Johna: - Chcesz posłuchać mojej rady?

John popatrzył na wielkiego mężczyznę.

- Tak - odparł, niepewny, czego właściwie chce.

- Okop się, odczekaj dzień i ruszaj. Jeśli cesarz tu idzie, zjawi się najpóźniej jutro w południe. Jeśli nie, zostanie zjedzony. Kapitan czasami się myli, ale wciąż mówi o walce w Albinkirku.

- W takim razie jedziesz w złą stronę - zauważyła Pyskata.

- Górale znają Dicz równie dobrze jak Zamurzanie. Szukaj mnie i moich ludzic w Albinkirku.

Ser Ricar się pochylił.

- Przykro mi, że cię zatrzymuję, Tomie, ale... z wiadomości wynika, że król nie żyje. Królowa urodziła dziedzica. - Był pełen wahania.

Zapadła cisza. Wszyscy tutaj z wyjątkiem kompanii byli ludźmi

króla i zanim ser Ricar, porucznik króla na północy, skończył mówić, wokół nich zgromadził się tłum.

Lord Wishart przyprowadził Tomowi rosnącego ogiera.

Pyskata chwyciła Toma za rękę.

- Ci ludzie muszą wiedzieć, Tomie.

Skinął głową i zasznurował usta jak dziewczyna. Stał, przez chwilę zagubiony w myślach.

Skoczył na koń: eksplozja ruchu.

- Byłem tam! - ryknął swoim głosem znanym z „Lachlan za Aa!”

- Byłem tam, kiedy królowa powiła syna, i byłem tam, kiedy król zginął zastrzelony przez zabójcę. Jedno i drugie zdarzenie widziałem na własne oczy. Królowa mianowała ministrów. Są prawa i sądy. Galowie zostali pokonani... mam nadzieję, że królowa żyje i oddycha, że ma przy piersi królewskiego syna. Niech każdy, kto w to wątpi, wystąpi i zaśpiewa pod moim mieczem.

Zbiorowe westchnienie popłynęło z trzech tysięcy gardeł. A potem okrzyk na wiwat.

- Trzy okrzyki dla królowej! - ryknął ser Ricar. - I nowego króla!

- Nie wiedziałam, że umiesz wygłosić mowę - zakpiła Pyskata, gdy ucichły wiwaty.

Tom równie szyderczo jej zasalutował.

- Do zobaczenia w Albinkirku - rzucił na pożegnanie.

Za jego plecami Donald Dhu i pozostali ryknęli, dopili wino i pojechali na południe. Tam nie było nawet ścieżki.

- Na południe? - zapytał ser John ze zdumieniem.

Pyskata wzruszył ramionami.

- Okopmy się - powiedziała.

\*\*\*

Godzinę później zjawił się czerwonoooki hrabia Zak. Za nim jechało trzydziestu zdruzgotanych Nordykanów na niemal zajeżdżonych wierzchowcach.

Harald Derkensun padł na kolana, próbując ściągnąć cesarza z konia, i wszyscy gwardziści płakali.

Pyskata podbiegła razem z Mag, ale było za późno.

Cesarz nie przeżył.

- Nasza armia została rozgromiona i straciliśmy Gospodę Dormling -zameldował Derkensun. - I cały obóz. I ludzi. Wszystko przepadło. - Szloch wyrwał się z jego piersi. - Wolałbym nie żyć.

Twarz cesarza po śmierci była tak samo spokojna jak za życia.

- Jak...? - zaczął ser Ricar, ale ser John położył rękę na jego ramieniu.

Zamknął Nordykanina w krótkim uścisku.

- Jesteście bezpieczni - zapewnił. - Pokonamy ich. I wyrzemy zemstę.

Nordykanie za plecami Derkensuna pokiwali głowami.

\*\*\*

Przez całą noc ściągali ludzie. Niektórzy w karnych oddziałach, jak żołnierze, jadąc na zdrożonych koniach, ale z podniesionymi głowami - między innymi jazda miejska ze swoimi dowódcami i dwudziestu wardariotów pod wodzą kobiety zwanej Lyka. Większość stanowili pokonani ludzie bez broni i nadziei - mężczyźni, którzy uciekli, zostawiając swoje żony i dzieci na pastwę straszego losu, i teraz musieli z tym żyć. Byli ranni i tacy, którzy porzucili przyjaciół, wiedząc, że czeka ich pewna śmierć. Przynieśli strach, zgrozę i nienawiść do samych siebie.

Ser John był starym twardym żołnierzem i wraz z hrabią Zakiem oddzielił ich od swoich ludzi. Posłał im jedzenie, koce i węgle do rozpalenia ognisk.

Rankiem zignorował ich błagania i kazał im ścinać drzewa i kopać. Pchnął zwiadowców na północ tak daleko, że nawiązali kontakt z boglinami i jeszcze gorszymi stworzeniami, które szalały na wzgórzach.

Wysyłał kolejnych posłańców do Albinkirku.

Słońce wspinało się coraz wyżej na niebo, a Moreańczycy wciąż napływali - już było ich ponad dwa tysiące.

- Pora ruszać - powiedziała Pyskata.

Ser John pokręcił głową. Powziął decyzję. Wiedział, czego chce.

- Nie, Pyskata, dopóki nie będziemy w stanie zapewnić ochrony tym biedakom. Za dwa albo trzy dni będziemy mieć dość ludzi, żeby stworzyć armię. - Wskazał grupkę Moreanek, które ukradły konie i

miały za sobą dwa dni jazdy. - Te kobiety mówią, że ocalało je coś, co zwa „ariergarda”. To oznacza, że wciąż ktoś tam jest i walczy.

-Armia nędzników, którzy uciekli? - zapytała z pogardą. - I garść konających...

- Prędzej czy później każdy ucieka, nawet ty. - Ser John się skrzywił. -Wszystko stracili, wskutek czego są bardziej niebezpieczni. I dopóki czarnoksiężnik nie pojawi się na tej drodze, z każdym dniem będzie przybywać ich więcej. A potem... Gdzie jest ten twój ser Milus?

Pyskata przygryzła kosmyk włosów.

- To bardzo dobre pytanie. Ma dwa tysiące kopii i nie zostali rozbici. Gdzie oni są?

Drugiego dnia w Dziurze owady nie mogłyby być gorsze - chmary komarów i czarnych much wznosiły się z bagiennej wody niczym trujące wyziewy. Żadne wieści nie napłynęły z północy. Przybywali kolejni uciekinierzy i stały strumień zdesperowanych najemników szukał ratunku na przekór wszelkim szansom i znajdował go w postaci pikiet Pyskatej.

W południe z zachodu ciężkim galopem nadjechał samotny jeździec, prowadząc trzy konie.

- Galahad D'Acon, jak żyję i oddycham! - krzyknął ser John, podając młodzieńcowi kubek wina z kurczących się zapasów.

Młody człowiek przyjął poczęstunek, wypił duszkiem i usiadł dość nagle.

- Królowa jest dzień drogi od Albinkirku. Będzie tam wieczorem - powiedział. - Podniosła sztandar królewski na Szóstym Moście. Czerwony Rycerz ma pięćset kopii. Prosi o wszystkie informacje i wskazówki.

Pyskata pochyliła się w jego stronę.

- Nie powiedział: zabierać dupy do Albinkirku?

Galahad powstrzymał się od uśmiechu.

- Powiedział, że ser John, będąc doświadczonym kapitanem, niewątpliwie ma swoje powody i będzie uprzejmy się nimi podzielić. Królowa mianowała go hrabią Johnem z Albinkirku. - D'Acon sięgnął do sakiewki i wyjął łańcuch, który zręcznie założył na ramiona starszego mężczyzny.

Ser John oniemiał. Przez całe życie służył królowi i księżętom, których obojętność nie przygotowała go na takie wyróżnienie.

- Idź spać, synu - powiedział ser Ricar do młodego człowieka - a ja wyślę jeźdźca...

- Wybacz, panie, rzucono na mnie czary albo obłożono jakimś dziełem hermetycznym, które czyni mnie... niewidzialnym dla wroga. Nadto mam rozkaz odebrać twoje meldunki i wrócić. - D'Acon wzruszył ramionami. -Przyznam, że trochę się martwiłem, gdy tu jechałem.

Ser John pstryknął placami.

- Jeśli za nami jest armia...

Nawet Pyskata wyglądała inaczej. Szczęrzyła zęby w uśmiechu.

- To znaczy, że coś mamy.

Podniesiony na duchu hrabia John z Albinkirku wczesnym przedpołudniem pchnął na zwiady swoich najlepszych rycerzy, którzy czystym trafem uratowali cesarską ariergardę - dwustu Huranów z wodzem i oficerem, a także kolejną setkę cesarskich kawalerzystów. Było to małe zwycięstwo, ale kąsali pościg, szarżując na zbieraninę boglinów i wrogich Zamurzan po obu stronach drogi i zmuszając ich do ucieczki. Jednak w lasach za nimi było pełno potworów, a hrabia John nie miał odwodu.

Po piętnastu minutach walki straż tylna, wyczerpana, lecz nagle pełna energii płynącej z nadziei, oderwała się od wroga. W tym samym czasie hrabia John zrozumiał, że brakuje mu sił do walki w lasach bez maga albo licznych łuczników.

Kazał rycerzom i giermkom wziąć cesarskich Huranów na siodło i pokłusowali do obozu.

- Ktoś jest za wami? - zapytał ser Giorgosa.

- Żywych nie ma - odparł cesarski oficer.

\*\*\*

Zamurzanie nie umieli budować. Okazali brak zainteresowania i odeszli. Żaden z nich - z wyjątkiem tych należących do bandy Orleya - nie potrafił zbić drabiny, chyba że pod przymusem, ale nawet wtedy z ich wyrobów nie było żadnego pożytku.

- Zwierzęta - syknął ser Hartmut.

Marynarze mieli lepsze pojęcie o takiej pracy i szybko zbili dwanaście ciężkich drabin oblężniczych. Drewna mieli pod dodatkiem, zabrali belki z moreańskiego obozu i powalili drzewa - nie bez gniewu ze strony części stworzeń Dzikich. Ten dzień był długi, wyczerpujący.

Ludzie na murach Gospody z nich szydzili. Byli nadzwyczaj hałaśliwi, co wielce irytowało ser Hartmuta.

Pod koniec dnia, gdy stało się jasne, że wczesny ranek będzie oznaczać pierwszy atak, poszedł na poszukiwanie czarnoksiężnika.

- Moglibyśmy zaoszczędzać mnóstwo czasu, gdybyś rzucił skałę na tę gospodę - zaproponował.

Głóg poruszył wielkimi kończynami.

- W istocie - zgodził się. - Ale jest chroniona w taki sposób, że przebicie osłon przekracza moje możliwości. Mniej czasu zabierze ściągnięcie machin oblężniczych spod Ticondagi.

Ser Hartmut wybuchnął.

- To zajmie tygodnie. Nie mamy tygodni.

- Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo - przypominał mu Głóg.

- Większość wielkich zwycięstw nie jest warta potu jednego martwego człowieka - rzucił cierpko ser Hartmut - i to zwycięstwo jest jednym z nich. Chcesz powiedzieć, że całe twoje wysławiane czary są bezużyteczne przeciwko kamiennej gospodzie?

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - powiedział Głóg. - Uważaj. Nauczyłem się, że kiedy mówisz o prowadzeniu wojny, twoja mądrość jest głębsza i lepsza niż moja. Uwierz mi na słowo, kiedy mówię, że nie mam czarów, które zniszczyłyby Gospodę.

- Wezwij swojego pana - syknął ser Hartmut. - Jeśli uczeń nie zdaje egzaminu, niech mistrz się tym zajmie.

- Uważaj na to, czego sobie życzysz - przestrzegł Głóg. - Mój pan jest na zachodzie. I sytuacja nie wygląda dobrze. Szturmuj Gospodę z drabin, przecież ty nie dbasz o straty.

Ser Hartmut warknął.

- Mylisz zabijanie darmozjadów, którzy obniżają kondycję moich ludzi, ze stratą cennych żołnierzy, bez których nie ma zwycięstwa - rzekł chłodno.

Głóg pokiwał głową.

- Chyba tak. Dla mnie wyglądają tak samo.

Na ziemi napisał:

*Wszyscy wyglądamy tak samo w oczach mojego pana.*

\*\*\*

O brzasku zaczął się atak. Przeprowadzali go wyłącznie ludzie - z wyjątkiem kamiennych trolli żaden potwór nie mógłby nieść drabiny ani nawet nie byłby w stanie pojąć, do czego ona służy, a nadto żadna drabina nie wytrzymałaby ich ciężaru. Ser Hartmut przypuszczał, że gdyby miał czas, mógłby użyć niewolników do zbudowania rampy z ziemi...

Szedł, jego trzewiki zgrzytały na twardej starej drodze i podwórzu przed Gospodą.

Podczas takich ataków trzeba dowodzić na przedzie.

Bryganci szturmowali miasta przez całe swoje krwawe życie, byli szybcy i skuteczni. Sześć wielkich drabin podniosło się prawie bezgłośnie o pierwszym świetle dnia. Obrońcy nie wystrzelili ani jednej strzały.

Garnizon spał. Ser Hartmut miał nadzieję na trochę czarów ze strony sojuszników, gdy ruszył po drabinie na najniższy mur bramny od frontu wielkiej Gospody.

Nie powitały go ani olej, ani rozgrzany do czerwoności piasek, gdy niemal wbiegał po drabinie w pełnej zbroi, z płomienistym mieczem w ręce.

Na szczycie, będąc pierwszym człowiekiem na murze, wyryczał potężny nieartykułowany okrzyk wojenny i bryganci, marynarze i rycerze za jego plecami odpowiedzieli wrzaskiem tak bestialskim, że bogliny w dolinie zadygotały, a irkowie odwrócili głowy zde gustowani dzikością człowieka.

Obrońcy nie słyszeli okrzyku wojennego. Nie wyszli na mury, nie kulili się na dziedzińcu, nie czekali przy wielkich drzwiach czy w głównej izbie ani w pokojach na górze czy na dole.

Gospoda była pusta. Nie znaleźli ani ludzi, ani zwierząt - ani kubków, talerzy czy szkła w szafkach. Cały wielki kamienny kompleks świecił pustką, jakby został ogołoceny przez złodziei albo



zachłannego sprzedawcę próbującego oszukać kupców. Było to niesamowite i dziwnie złośliwe, a co gorsza, pozbawiło dwa tysiące ludzi przyjemności plądrowania, gwałtów i grabieży.

\*\*\*

Głóg obserwował rozwój sytuacji, stojąc u stóp wzgórza, gdy zjawił się Popiół, szybciej niż zwykle i pewniej, niemal materialny.

- Mój krewniak nie jest głupi - powiedział i splunął. Ślina wypaliła trawę. - Jak zwykle unika chytrze konfliktu i odmawia mi bezpośredniej walki. Zabrał ludzi w jakieś inne miejsce. Tchórz.

- Gdzie? - zapytał Głóg.

- Skąd mam wiedzieć? - zaskrzeczał Popiół.

Głóg starał się nie okazać niepokoju.

- Po obozie krąży plotka, że... - Zawahał się.

- Że ci głupcy, Treskainawie i Loloci zostali pokonani? W istocie. Zmasakrowani. - Popiół nie odrywał od Głoga okrągłych, czarnych, niesamowitych oczu. - Inni Zamurzenie ich zdradzili, za co drogo zapłacą. Ale wiesz, kto ich pokonał? Mój stary przyjaciel Tapio. - Popiół z powagą pokiwał głową.

- Powiniennem go zabić.

- Powinieneś, ale wtedy brakowało ci zdolności. Teraz jest inaczej. Głóg się zastanawiał, co oznacza zachowanie Baśniowego Rycerza.

- Jest na naszej flance.

Popiół westchnął.

- W Dzikich jest tylko tu i teraz. Flanka to ludzka koncepcja, tym samym bezwartościowa.

Głóg chrząknął.

- Ludzie celują w prowadzeniu wojny.

Popiół potrząsnął czarną grzywą.

- Nie. To kłamstwo. Podobnie jak twierdzenie, że bobry budują wielkie miasta.

Głóg zaczerpnął potężny haust powietrza i powoli je wypuścił.

- Czego sobie od nas życzysz?

Popiół pokiwał głową wyraźnie zadowolony.

- Zabierz ten motłoch do Albinkirku.

## Dwadzieścia mil na wschód od Dormlingu - Morgan Mortimir

Świecił księżyc, więc mogli maszerować w nocy i ser Milus jasno dał do zrozumienia, że biała banda zatrzyma się dopiero w Albinkirku odległym o pięć dni drogi. Co najmniej.

Pierwszego dnia zboczyli z traktu i poszli na południowy zachód, żeby ominąć nieprzyjaciela. Mało brakowało, a zabłądziliby wśród ciągnących się bez końca zielonych wzgórz i dolin, wszystkich jednakowych i biegnących we wszystkie strony.

Duża część zbrojnych zdjęła większość elementów pancerzy, zostawiając tylko kolczugi, napierśniki, hełmy i rękawice. Pozostali jechali na wozach taboru albo po prostu porzucili zbroje - warte fortunę bigwanty i siodła bojowe zostały na wrzosowiskach wschodniej części Zielonych Wzgórz, na gniazda dla węży i myszy.

- Zostawcie tylko najpotrzebniejsze części na wypadek nocnego starcia z paroma boglinami - mruknął ser George Brewes. Kłął i wszyscy inni robili to samo, bo musieli iść pieszo, tak łucznicy, jak zbrojni, straciwszy prawie wszystkie lekkie wierzchowce i konie bojowe. Każdy ocalały koń, łącznie z tuzinem wspaniałych rumaków, został zaprzężony do wozów, bez których w ogóle nie mogliby się przemieszczać.

Morgan Mortimir w marszu opracowywał dwa różne zaklęcia jednocześnie. Z wrzasków dusz swoich kolegów wiedział, że wczoraj wydarzyła się jakaś tragedia. To go prześladowało. Znał te eterealne głosy, które nagle ucichły.

Z poczuciem winy podziękował Bogu, że żaden nie należał do Tancredy Komneny. Rodzina nie wypuściła jej za mury miasta. Mądra decyzja.

W bezpiecznym wnętrzu swojego pałacu zobaczył Głoga jako aureolę zielonej mocy niemal prosto na zachodzie. Czuł ruch innych mocy i od kilku godzin był świadom, że w prądach i podmuchach Mocy nastąpiła potężna zmiana - coś się stało, rzucono jakieś potężne zaklęcie, zrodziły się masywne czary.

Idąc w świecie materialnym, budował pułapki i urządzał zasadzki

w eterealu na coś, co zabiło jego kolegów.

Na szczytach wzgórz, które ciągnęły się wzdłuż drogi, było życie, ale nie wykrył taumaturgii. Wiedział, że są tam tylko wędrujące stada owiec i kóz z kilkoma pasterzami, którzy starali się unikać maszerujących w rzędzie uzbrojonych ludzi.

Kiedy wszyscy pasterze zniknęli, Morgan odszukał ser Milusa.

- Panie, stada zniknęły. Były tam, nad nami, od strony Mons Dracons, i nagle zniknęły.

Ser Milus miał konia jako jeden z nielicznych poza wozakami i zwiadowcami. Wbił pięść w plecy, żeby złagodzić ból.

- Psiamać - mruknął. - Co, do diabła?

Mortimir pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, panie, ale sądzę, że ludzie są na wzgórzach. Może coś gorszego niż ludzie. Przypuszczam, że to jeźdźcy.

Milus poszarzał na twarzy w poświęcie księżyca, ale w końcu wezwał kilku zwiadowców - swojego łucznika Faję, Tippita i Bezgłowego.

- Powiem wprost, chłopcy. Pojedziecie na wzgórze i zobaczycie, co tam, u licha, się święci.

- Zasadzka? - zapytał Bezgłowy, nie kryjąc zainteresowania.

Mortimir wzruszył ramionami, co było bezsensowne w ciemności.

- Ludzie na koniach, jak przypuszczam.

- Idziesz z nami, mądralo? - zapytał Tippit.

Mortimir wyprężył kręgosłup.

- Z rozkoszą - odparł.

Tippit splunął.

- Do roboty.

\*\*\*

Czterech milczących ludzi, oddalonych od siebie o piętnaście kroków, powoli jechało pod górę. Trudno ich było zobaczyć nawet w blasku księżyca i Mortimir chwilami się gubił, ale zawsze jakoś mu się udawało wrócić na swoje miejsce w szeregu.

Stok był bardziej stromy i dłuższy, niż się wydawało z dołu.

Przepiórka wyskoczyła z krzaków, mącąc nocną ciszę.

Zaszczekał pies. Jakieś sylwetki poruszały się na szczycie

skalistego wzgórza, wyższego, niż Morgan sobie wyobrażał.

- Cisza! - syknął Bezgłowy.

Ktoś gdzieś krzyknął i zabrzmiał róg.

Owce zabeczały.

- Znam ten głos - powiedział Bezgłowy.

- Zamknij się, kurwa, bo zostaniemy czyimś śniadaniem - syknął Tippit.

- Pieprz się, sukinsynu. - Bezgłowy stanął w strzemionach. - Hej! - ryknął.

Krzyk odbił się echem od dwóch stromych zboczy. Tuzin Bezgłowych powitał się wzajemnie.

- Ty głupia gnido! - warknął Tippit. - Ty, kurwa, uważasz się za zwiadowcę? Jesteś, kurwa, tumanem. Oto co przychodzi z czytania książek! - Odsuwał się od kamrata.

Odezwał się drugi róg, bliżej, a potem co najmniej setka konnych ruszyła w dół zbocza.

- Kurwa! - zaklął Tippit. - Dzicz poluje!

Bezgłowy, który należał do kompanii od najwcześniejszych dni, siedział spokojnie na niewysokiej kobyłce i czekał, podczas gdy Tippit hałaśliwie jechał na dół.

- Założę się o dziesięć srebrnych monet, że to przyjaciele - powiedział

Tippit ściągnął wodze.

- Mówisz to tylko dlatego, że jak przegrasz, i tak wszyscy będziemy martwi.

- Gadasz głupoty. Miałbym stawiać dziesięć sztuk srebra przeciwko śmierci?

Faja był milczkiem. Uniósł rękę.

- Zamknąć ryje - powiedział łagodnie. - Zamknąć ryje i słuchać.

Mimo to położył rękę na mieczu.

Zagrzmiały trzy rogi, jeden tuż pod nimi.

- Heeej! - ryknął Bezgłowy.

Jeźdźcy znajdowali się dość blisko, żeby być czymś więcej niż ruchem i hałasem. Byli to rośli mężczyźni na kucach, ze stopami niedorzecznie zwisającymi tuż nad ziemią, ale ich przywódca miał

czarnego jak noc konia bojowego, wysokiego na siedemnaście dłoni.

- Zły Tom! - krzyknął Bezgłowy.

- Jesteście w niewłaściwej dolinie, półgłówki! - ryknął Zły Tom. -

Na cycki Tar, o małośmy was nie minęli!

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

### **Albinkirk - kompania**

Przybycie królowej i młodego króla powinno być cudownym wydarzeniem na ulicach Albinkirku, ale groźba rychłej wojny - wojny z Dżiczą - rozpraszała uwagę, podobnie jak rozdzierające duszę wrzaski płynące z cytadeli. Po trzech tygodniach obywatele mogliby do nich przywyknąć, ale nie przywykli. Dźwięki zawsze były dysharmonijne i nagłe, bez ładu i składu - niekończący się wrzask duszy dręczonej w ogniach piekielnych, przynajmniej tak wielu mówiło jeden do drugiego, gdy patrzyli na swoje przerażone dzieci i równie przerażone psy i koty ze stulonymi uszami, szczekające albo syczące.

Królowa przybyła do Albinkirku w drugą środę po Wielkiej Nocy. Jechała swobodnie z dzieckiem na łąku, z Czerwonym Rycerzem u boku. Towarzyszyło jej dwanaście dam, a za ich plecami jechało ponad dwustu rycerzy: świta Czerwonego Rycerza na czele, dalej gwardia królewska, jedni i drudzy w szkarłacie, a za nimi grupa chorążych z herbami panów północnego Brogatu - był tam lord Wayland z rycerzami i służbą, koniuszy Snellgundu ze swoimi ludźmi, i tuzin mniejszych panów. Za nimi maszerowali łucznicy kompanii, a następnie łucznicy z całego północnego wschodu królestwa - dwadzieścia małych kompanii, które Czerwony Rycerz zebrał po drodze albo którzy już obozowali na polach wokół kaplicy w Południowym Brodzie.

Tyły zamykało, jako straż honorowa, dwudziestu czterech rycerzy Zakonu Świętego Tomasza pod wodzą przeora. Pojechali na zachód do Lissen

Carak i wrócili nocą, ale tylko nieliczni wiedzieli, jakie informacje przekazali królowej i jej kapitanowi. Ludzie zauważyli, że byli ponurzy.

Blanche Gold należała do wtajemniczonych. Jechali blisko królowej z wodą i kubkiem na wypadek, gdyby chciała się napić,

gotowa w razie potrzeby wziąć od niej dziecko. Tego ranka Toby przyprowadził jej pięknego wierzchowca z nowym siodłem i nie musiała mu dawać ostrogi.

- Na wjazd - powiedział z szerokim uśmiechem.

Przyjęła wierzchowca. W środku wojny i niebezpieczeństw jej własne kłopoty rozplynęły się w nicość. Upór królowej, że ma być traktowana nie jako służa, ale jako dama dworu, nie spotkał się ze sprzeciwem. Wojna wiele zmieniła. Dwór królowej był dworem podróżnym i gdy przejechał pod łukiem starej bramy Albinkirku, Blanche była lady Blanche pod każdym względem, który miał znaczenie.

Podobało jej się to. Była szczęśliwa, na ile to możliwe w obliczu wojny z Dżiczą.

Według niej miasto wyglądało na brudne i zgwałcone. Trudno było ukryć fakt, że rok wcześniej zostało brutalnie zaatakowane przez Dżicz. Nieliczne budynki miały nowe frontony - kupcy etruscy ozdobili je freskami i odbudowali piękne portyki, które kiedyś wyróżniały ulicę. Na każdy remontowany dom przypadało pięć, które straszyły pustymi oknami i wyłamanymi drzwiami. Bruk był zaniedbany, ścieki spływały środkiem Ulicy Głównej.

Ale Blanche odbierała sygnały od królowej, która wręcz promieniała z zadowolenia, uśmiechała się do dzieci, jakkolwiek ukradkiem, i unosiła syna, którego witały wiwaty napotkanych ludzi.

Byli dość daleko na Ulicy Głównej, kiedy z cytadeli dobiegł pierwszy wrzask. Mężczyźni się wzdrygnęli. Kobiety złapały się za głowy.

Królowa rozejrzała się.

Czerwony Rycerz się skrzywił. Blanche stwierdziła, że patrzy na niego za długo, przekonana, że wszyscy to widzą. Skłęta się w duchu, ale już знаła repertuar jego min i ten wyraz twarzy jej powiedział, że Gabriel wie, co to za hałas. A nawet że jest za niego odpowiedzialny. Nic jednak nie powiedział i hałas się nie powtórzył.

Królowa przystanęła przed bramą cytadeli na wypalonym, popękanym i poznaczonym śladami zeszłorocznej bitwy głównym placu i tam spotkała się ze świętym mężem miasta, biskupem

Albinkirku. Poprowadził ją na mszę do ongiś wspaniałej katedry, z dachem zachowanym tylko nad częścią nawy. Rycerze zakonni dołączyli do śpiewów, podobnie jak dwunastu mnichów i zakonnice, które przyjechały z królową z Loriki.

Blanche z radością uczestniczyła we mszy, pierwszej właściwej mszy w prawdziwym kościele od czasu, gdy zaczęły się Kłopoty, jak prywatnie ochrzciła tamte wydarzenia. Dobrze odprawione nabożeństwo, z właściwymi odpowiedziami i pięknym śpiewem, sprawiło jej dużą przyjemność. Powiedziała sobie, że pójdzie do spowiedzi najprędzej, jak będzie mogła - i nagle msza się skończyła. Razem z orszakiem królowej poszła z katedry do fortecy, która nigdy, nawet w swoich najdumniejszych czasach, nie spodziewała się gościć królewskiego dworu.

W cytadeli były koszary z miejscami dla dwustu żołnierzy i może tylu samo służących, i może - po dwóch na jednym łóżku - dla czterdziestu rycerzy i arystokratów.

Służba była oszołomiona. Już sama nieobecność ich pana - ser Johna, sławnego kapitana Albinkirku - była dla nich istną katastrofą, a co gorsza, ser John nie miał majordoma, żony ani krewnego, który nadzorowałby przygotowania. Sam sobie był zarządcą.

W konsekwencji królowa stała niemal zapomniana w wielkiej sali prawie bez żadnych ozdób.

Blanche widziała, że narasta w niej złość, że noce spędzone w lochu i dzień czekania na spalenie na stosie odcisnęły na niej swoje piętno. Zniknęła część jej beztroski, może na zawsze. Doszukiwała się uchybień tam, gdzie były one niezamierzone, podczas gdy wcześniej była odporna i pogodna.

Blanche podała jej wino ze szklanej butelki w koszyku. Dla dam nie było wina.

Czekała tak długo, jak mogła. Uplętnęło niewiele czasu, może dwieście uderzeń serca, ale Czerwony Rycerz już siedział, czytając raport i w wielkim tempie wydając rozkazy. Zdawało się, że zapomniał o królowej, i Blanche wiedziała, że nadchodzą kłopoty.

Podjęła próbę współpracy ze służącymi, ale nie chcieli słuchać obcych, a gospodyni, kucharka albo praczka, stała w kącie sali i



mówiła mistrzowi Nikomedesowi, że po prostu nie mają pokoi dla królowej czy wielkich rycerzy. Blanche pochwyciła spojrzenie Nikomedesa i to dodało jej odwagi.

Podeszła za Czerwonego Rycerza, siedzącego na obozowym stołku w otoczeniu swoich ludzi. Ser Michael spiesznie pisał. Przeor Wishart miał piękną składaną tabliczkę z pięciu elementów - każdym był pokryty najlepszym woskiem pszczelim - i skwapliwie sporządzał notatki. Bardzo przystojny młody mężczyzna w jej wieku czekał otoczony przez gratulujących mu mężczyzn - jego twarz promieniała z radości, jaka płynie z heroicznego dokonania. Miał kolczugę, buty z cholewami do uda i sztylet, żadnej innej broni. Za nim stał drugi, niemal równie przystojny. Tego nie znała.

Ser Michael pierwszy go zobaczył i położył rękę na ramieniu kapitana.

- Galahad D'Acon - powiedział.

Czerwony Rycerz przestał dyktować rozkazy. Co więcej, w sali ucichły wszystkie rozmowy.

- Udało ci się - powiedział.

Wstał, a D'Acon padł na kolano.

Blanche zebrała się na odwagę i syknęła:

- Królowa.

Czerwony Rycerz obrócił głowę. Zobaczył ją i się uśmiechnął, za co była mu wdzięczna.

- Ser Michaelu, bądź uprzejmy sprowadzić królową, żeby wysłuchała posłańca.

Nagle spostrzegł, że królowa stoi, i szybko powiedział coś do Toby'ego. Toby chwycił Blanche za ramię i razem z Nell, lordem Robinem i tuzinem giermków szybko przynieśli stołki i krzesła. Wielkie krzesło zostało porwane sprzed nosa wystraszonych służących, którzy protestowali, że należy do ser Johna...

Królową płynnie przyprowadzono do stołu, usadowiono na krześle niemalże jej godnym i zdjęto pelerynę, po czym Tony na klęczkach podał jej wino.

- Musiałeś pędzić z wiatrem w zawody - powiedziała.

Młody Galahad klęczał w milczeniu.

Blanche patrzyła na ser Gabriela. Nie wiercił się z niecierpliwości, ale lekko drżały mu ręce.

Ktoś kręcił stopą pod stołem, jakby chciał wyciąć dziurę w kamiennej podłodze.

Gdzieś wysoko nad nimi przekłeta dusza dawała wyraz swej udręce.

- Psiamać - mruknął kapitan.

Królowa na niego spojrzała spod uniesionej brwi.

Chrząknął.

- Wszyscy pragniemy wysłuchać posłańca - rzekła.

Galahad D'Acon skinął głową.

- Wasza Królewska Mość, znalazłem ser Johna... to znaczy kapitana Albinkirku, w doskonałym nastroju, porządnie okopanego z prawie pięcioma setkami kopii w Dziurze Gilsona.

Blanche zobaczyła, że kapitan trzasnął pięścią w lewą dłoń i wymienił szeroki uśmiech z ser Michaeliem.

- Donosi... - Galahad ściszył głos - o stoczonych w poniedziałek pod Gospodą Dormling i zakończonej klęską bitwie armii cesarskiej. Cesarz nie żyje, a jego armia poniosła ciężkie straty. Kapitan Albinkirku zebrał ponad tysiąc niedobitków w Dziurze Gilsona i zamierza osłaniać ich odwrót.

Blanche widziała rozpacz na twarzach wszystkich mężczyzn i kobiet, których poznała w drodze. Wiedziała, że służyli cesarzowi. Wiedziała, że mieli przyjaciół w rozbitej armii.

Zobaczyła, że ser Christos, który zawsze był dworny, mówił z pięknym akcentem i miał zabawne maniery, nagle posiwiiał i postarzał się o rok. Zobaczyła, że ser Michael się skrzywił, ale przede wszystkim widziała Gabriela.

Jego twarz się nie zmieniła, tylko przełknął ślinę. Ponieważ obserwowała go od ponad tydzień, wiedziała, że cios trafił go celnie jak pięść uderzająca w szczękę.

- A ser Milus? - zapytał opanowanym tonem.

Galahad wiedział, że przekazuje złe wieści.

- Ani słowa, panie, z wyjątkiem tego, że twojej kompanii nie było z cesarzem.

Czerwony Rycerz pokiwał głową.

- Oczywiście, że nie. Stracili wszystkie konie. Gdzie jest ciało cesarza?

Ser Christos na niego popatrzył. Według Moreańczyka to było właściwe pytanie. Ona też to wiedziała.

- W Dziurze Gilsona, pod strażą nordykańskich niedobitków. Ser John chciał je tu wysłać, ale najpierw musi mieć pewność, że droga jest bezpieczna.

Ser Christos skoczył na równe nogi.

- Zgłaszam się na ochotnika - oznajmił niewyraźnym głosem.

Wszyscy Moreańczycy wstali.

Ser Gabriel spojrział Moreańczykowi w oczy. Zerknął na królową. Miała zaskoczoną minę.

- Jedź po cesarza - zdecydował. - Weź pięćdziesięciu rycerzy. Chryste, tylko tylu mogę ci dać. Wiesz, że wysłałbym więcej.

Ser Christos się uklonił. Płakał. Ugiął kolano przed barbarzyńską królową i ser Alkajos stanął za jego plecami.

- Wasza Królewska Mość, minęło prawie tysiąc lat, odkąd cesarz poległ w bitwie - powiedział.

- Proszę, panowie... - Dezyderata wstała. - Proszę udzielić tym panom wszelkiej pomocy. Strata męża była dla mnie wielkim ciosem, ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak strata cesarza wpływa na jego poddanych.

Ser Gabriel poszedł z ser Christosem i ser Alkajosem do drzwi wielkiej sali, rozmawiając cicho. Usłyszała tylko:

- Nie pozwól, żeby Nordykanie popełnili samobójstwo.

Potem Moreańczycy odeszli, a z nimi większość kompanijnych rycerzy, którzy tak dawno temu wyruszyli na turniej.

Z Lissen Carak przybył drugi posłaniec, zakonny ochotnik.

- Diccon Twig, Wasza Królewska Mość - przedstawił się z ukłonem. -Przynoszę wieści, że Baśniowy Rycerz jest w fortecy razem z armią Dzikich.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, królowa uniosła rękę - Blanche dotąd nie widziała u niej tak gwałtownego gestu.

- I pragnie zawrzeć z tobą przymierze - podjął posłaniec. - Jeśli

Wasza Królewska Mość pozwoli, przybędzie z kapitanami za poręką listu żelaznego, żeby pertraktować.

- Przekaż mu, że daję moje święte słowo - rzekła z powagą królowa. -Daj mu mój monarszy pierścień na znak, że nasza decyzja jest prawomocna.

Diccon się ukłonił.

- Moja druga wiadomość jest bardziej prywatna. - Rozejrzył się. - Czy jest tu ser Michael, syn hrabiego Towbraya?

Ser Michael wystąpił.

- Panie, twoja żona powiła córkę, Mary, ochrzczoneą o pierwszym świetle. Twoja pani małżonka i dziecko mają się dobrze. - Młody Twig się ukłonił.

Ser Michael uściskał młodzieńca i ku jego wyraźnemu zakłopotaniu ucałował go w oba policzki.

- Musisz przysłać ją do nas, żeby nasze dzieci mogły się razem bawić -powiedziała królowa.

Istota w wieży znowu wrzasnęła i królowa, stojąc - wszyscy stali - pokręciła głową.

- Co to? - zapytała pięknym, władczym głosem.

Czerwony Rycerz się zarumienił.

- Jeśli wolno, Wasza Królewska Mość, to najpewniej mój gryf. Potrzebuje towarzystwa i pokarmu. Czy ktoś się nim zajmie? Może też znajdziemy żywność i kwatery dla wszystkich dam i panów.

Blanche skinęła głową.

Szczyście - i lekkie zderzenie - spotkało ją w chwili, gdy skręciła na schody.

- Jest bardziej samotna niż kiedykolwiek. Potrzebuje cię. - Powiedziała te słowa, zanim ser Michael zrozumiał, kto na niego wpadł.

Gabriel skinął głową.

- Rozumiem - rzucił zwięźle, a ona poszła dalej po schodach z Michaelem za plecami.

W obu dużych wieżach były pokoje. Blanche zajrzała do kilku i stwierdziła, że są puste z wyjątkiem ciężkich skrzyń, w których prawdopodobnie przechowywano kotary. Było to coś na początek.

Przystanąła na podeście, przepuściła ser Michaela i zaczęła na Nikomedesa.

- Możemy mianować Sukey ochmistrzą zamku? - zapytała.

Nikomedes potrząsnął ciemną, skąpą bródką.

- Zarządza wielkim obozem - powiedział. Głos miał poważny i odgadła, że on też jest Moreańczykiem.

- A jeśli ja zaczęę przydzielać pokoje? - zapytała.

Skinął głową.

- Będziesz mogła liczyć na moje poparcie.

- Potrzebna mi tabliczka.

Przystanął przy nich przeor Wishart.

- Do czego, córko? - zapytał.

- Ojcie, muszę przydzielić ludziom pokoje, zabrać ich podróżne ubrania, dać im jedzenie i picie...

Wielki przeor podał jej swoje piękne tabliczki.

- Wszyscy moi rycerze mogą zająć jeden pokój - zadeklarował - albo spać z żołnierzami w koszarach.

Potraktowała poważnie jego słowa. Zanim dwór wszedł na górę, była już na dole, skorzystawszy z drugich schodów. Znalazła starszą służącą, przystojną kobietę w porządnej niebieskiej wełnianej sukni z dwoma tuzinami srebrnych guzików.

- Jestem lady Blanche Gold i pokieruję przygotowaniem komnat dla królowej - oznajmiła. Obdarzyła kobietę przelotnym, profesjonalnym uśmiechem.

Kobieta pokręciła głową.

- Nie damy rady, pani. Po prostu nie damy rady... Wszyscy mężczyźni odeszli z milicją i nie ma tu nikogo poza praczkami i kucharkami.

Blanche odetchnęła głęboko.

- Nie boimy się pracy. Trwa wojna. Zamierzam rozlokować ludzi w pokojach. Wystarczy, że kobiety wskażą, gdzie mają spać. Niech sami się sobą zajmują. Czy w mieście są puste domy? Na to mi wygląda. Jak się nazywasz?

- Elizabeth Gelling. A to Kucharka... wszyscy ją zwiemy Kucharką. -Kobieta w niebieskiej sukni skinęła głową w stronę swojej

towarzystki.

Kucharka lekko dygnęła.

- Tak, jaśnie pani.

Jestem jedną z was! - chciała krzyknąć Blanche.

Chciała, ale ta chwila szczerości oznaczałaby przegraną bitwę. Damy mogą wydawać rozkazy, których nie mogą wydawać dziewczyny z pralni.

- Możesz przysłać mi dwie pokojówki? - zapytała.

Wystąpiły dwie dziewczyny, które niedawno przestały się trzymać matczynego fartucha.

Blanche nawet się nie obejrzała.

- Za mną - poleciła, idąc szybkim krokiem do wielkiej sali.

Jak miała nadzieję, znalazła Toby'ego i Robina nakrywających do kolacji.

- Jesteście mi potrzebni - oznajmiła. Zachęciła ich spojrzeniami i uśmiechem, umiała to robić.

Nakreśliła plan kampanii i wyraziła go w czterech zdaniach.

- Kucharka musi wiedzieć, kogo karmi. Proponuję, żeby każdy poniżej rangi hrabiego zajął dom w mieście. - Popatrzyła na nich.

Toby pokręcił głową.

- Dobry pomysł, jednak nie do końca. Sporządzę listę. - Wziął tabliczkę i jął pisać, zaczynając od ser Ranalda. - On musi tu zostać. Dalej mój pan, Robin, przeor. Do tego wszyscy posłańcy. Mogą pójść do koszar, ale z drugiej strony... - Pisał jak szalony.

Blanche zwróciła się do Robina.

- Przypuszczam, że cały garnizon jest w polu. Proszę, policz łóżka w koszarach i dowiedz się, ilu można nakarmić.

Robin, lord Robin, był w jej rękach miękki jak wosk, jak uczeń w Harndonie. Spojrzała na Nell.

- Nell? Sprowadź mi dwóch paziów.

- Mamy setkę mokrych i głodnych koni, Blanche. Najwcześniej za godzinę.

Blanche i Nell z młodziutkimi pokojówkami przeszły przez pokoje górnej cytadeli niczym mściwa armia. Blanche przydzieliła pokoje osobom z listy Toby'ego w takim porządku, w jakim zanotował

nazwiska.

Przystanąła, oparła się o futrynę, wypisała nazwiska wszystkich dam i służek królowej najlepiej, jak umiała.

- Nell, sprowadź Beccę Almspend - poprosiła.

Nell pobiegła.

Usłyszała głosy i śmiech. Pięknym młodzieńcem, może najprzystojniejszym, jakiego kiedykolwiek widziała, był Gaahad D'Acon. Znała go ze starego dworu, służył jako jeden z giermków królowej. Każdą dziewczynę w pralni przyprawiał o palpitanie serca.

- Północna wieża, niebieski pokój, pierwsze piętro - powiedziała.

- Dzielisz go z Dicconem, Twigiem i wszystkimi innymi posłańcami. Powiedz służącym, co mają przynieść, bo są dezorientowane. Bądź miły, messer D'Acon.

W środku wypowiedzi zdała sobie sprawę, że może ją potraktować jak praczkę i wszystko trafi szlag, ale pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

- Tak, lady Blanche - powiedział z ukłonem. - Diccon! - ryknął w dół schodów. - Mamy pokój!

Gdy zeszli się pozostali wielmożni panowie, zabrała ich i przydzieliła im pokoje, wyjaśniając każdemu trudności.

Zanim doszła do przeora Wisharta, Kucharka wiedziała, ilu osobom może podać kolację, a lord Gregari Wayland na ochotnika udał się do domu w mieście, gdzie miał spać w wygodzie z tuzinem innych panów; nawet zaproponował przysłanie pościeli i piernatów do cytadeli. Blanche przyjęła wszystko. Wielki Koniuszy, nienagannie uprzejmy Shawn Le Fleur, natychmiast okazał zrozumienie, kiedy porozmawiała z nim na osobności, i zachował dyskrecję, kiedy królowa go zapytała, na czym polega problem. Paziowie już znaleźli dla niego pusty dom i szykowali go na jego przyjęcie. Blanche była w siódmym niebie. Ludzie ją popierali!

Wielki Koniuszy zaczął z nią flirtować. Tylko się uśmiechnęła i zajęła następnym zadaniem.

- Blanche - zagadnęła ją lady Almspend - wzywałaś mnie?

Blanche zdała sobie sprawę, że miała czelność wezwać najlepszą przyjaciółkę królowej, ale przecież lady Almspend była

ucieleśnieniem perfekcji praktycznie we wszystkim.

- Pani... - zaczęła.

- Becco - poprawiła ją dama. - Być może pożą nas bogliny. Możemy sobie mówić po imieniu.

- Becco, przydzielam pokoje i nie znam nowych dam. - Blanche wskazała listę.

Becca uniosła rękę do ust, ale nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Musiałam jakoś je ponazywać - wyjaśniła Blanche słabym głosem.

Becca wzięła listę i z powagą wygładziła wosk.

- Lady Modna to Natalia de Wayland, żona lorda Gregario. Umie szyc, nie jest bezużyteczną ślicznotką. „Gadatliwa” to lady Emma. „Tyczka Fasoli” to lady Briar, nie podziękowałyby ci za to określenie. „Biały Kwef” to z pewnością jej córka... ładna?

- Tak - odparła Blanche.

- Ella albo Helia, z dwóch jedno. Mogą wszystkie pójść do jednego pokoju. Natalia niewątpliwie z lordem Gragariem. I spodziewam się, że mamkę Rowan umieścimy z królową.

- A ty, pani? - zapytała z poważną miną Blanche. W drodze lady Becca każdą noc spędzała z Ranaldem, ale drogą rządziły inne zasady.

Becca się uśmiechnęła.

- Przydziel mi jakiś schowek. Będę udawać, że w nim śpię - odparła uprzejmie. - A ty?

Blanche milczała. Zupełnie zapomniała o sobie.

- Dobrze, będziemy razem - zdecydowała Becca. - Północna wieża, najwyższe piętro. Są tam tylko ser Gabriel i królowa, co idealnie odpowiada obojgu.

Blanche przeanalizowała jej ton, szukając insynuacji, i niczego nie znalazła.

- Będzie tylko gorzej, Blanche. Hrabia Pogranicza jest trzy dni marszu stąd. Przybędą z nim panowie z Jarsayu, niedawno zbuntowani, obecnie lojalni, i brat Gabriela, Gawin, który, jak wnoszę, jest nowym hrabią Zachodniego Muru. - Ściągnęła okulary z nosa. - Jutro pomogę. Dostyc ma dzień swojej biedy... czuję zapach kolacji.



Byłaś nadzwyczajna.

Blanche opadły ramiona.

- Nie, źle mnie zrozumiałaś - zapewniła ją Becca. - Przecież cię nie odprawiam. Kolacja z panami i paniami, inaczej służący obleżą cię jak pijawki. Chodź! - pociągnęła Blanche po schodach.

Blanche spodziewała się zupy z garkuchni dla setki osób. Zamiast tego zobaczyła zupę z żółtkiem, różaną wodą i kandyzowaną skórką pomarańczy - odpowiednią dla damy, apetyczną i pięknie podawaną przez dwudziestu giermków pod okiem lorda Robina.

- Gdzie jest Toby? - zapytała go szeptem.

- Pilnuje, żeby paziowie dostali jedzenie. - Robin się uśmiechnął.  
- Idź jeść.

Następnym daniem były pasztety wieprzowe i Blanche odgadła, że Kucharka wydaje uprzednio przygotowane potrawy, by opróżnić spiżarnię. Jadła z apetytem.

Indyk z malinami był wyśmienity. Królowa promieniała i spełniała toasty ze swoimi rycerzami. Wszyscy spędzili kilka dni w siodłach, więc jedli łapczywie i równie dużo pili.

- Kucharka pragnie zamienić z tobą słowo - szepnął ktoś do jej ucha i zniknął.

Uśmiechnęła się do sąsiada, Wielkiego Koniuszego, wstała i przemknęła wzdłuż stołu, przystając, żeby dygnąć przed królową.

Królowa położyła dłoń na rękę Czerwonego Rycerza.

Okruszek lodu spłynął jej po plecach i Blanche zakłęła.

Czerwony Rycerz odwrócił głowę. Ich oczy spotkały się nad stołem. Za nim stały świece i ich blask sprawiał, że otaczała go nedorzeczna aureola. Uśmiechnął się i wrócił do rozmowy z królową.

Bodaj go lichy.

Nikomedes zatrzymał ją przed schodami.

- Pójdziemy razem - zaproponował.

Uśmiechnęła się i zesziła po szerokich schodach dla służby. Są podobne do tych w pałacu w Harndonie, pomyślała. Skręcili do kuchni, dużej jak połowa wielkiej sali, z dwoma masywnymi piecami. Panowało tam gorąco, ale nie było przykre późną wiosną.

Podeszła Kucharka, wycierając ręce.

- Wydałam całe jedzenie - oznajmiła. - Co teraz zrobimy?
  - Kupimy więcej? - podpowiedział cierpliwie mistrz Nikomedes.
- Kucharka spojrzała na niego podejrzliwie.

- A kim ty właściwie jesteś?

Blanche skinęła głową.

- Jestem zarządcą królowej. I kapitana.

- Jakiego kapitana?

- Diuka Tracji - odparł mistrz Nikomedes.

- Och!

- O brzasku daj mnie albo któremuś z moich ludzi listę potrzebnych rzeczy, a do jutrzni będziesz je miała na stole - powiedział Nikomedes. - Mam zapasy.

- Cukier? Szafran? - zapytała kucharka. - Skończyły mi się.

Blanche postanowiła trzymać się roli i odsunęła od siebie wspomnienie dłoni królowej na ręce Czerwonego Rycerza.

- Skoro to uzgodnione, wróć do kolacji.

Nikomedes ukłonił się z galanterią.

- Jak sobie życzysz, pani.

Ale ucieczka okazała się niełatwa. Gospodyni Elizabeth czekała na nią przy schodach.

- Skończyły się pościel, sienniki, ręczniki i wszystko inne. - Miała wyzywającą minę, jakby niedostatek tych rzeczy usprawiedliwiał wyzwanie.

Blanche się obruszyła zdjęta gniewem zawodowej praczki. W pralni w pałacu w Harndonie nigdy, przenigdy niczego nie brakowało.

- Zdobądź więcej - poleciła z nieudawaną wyniosłością.

- Ale gdzie? - zapytała kobieta, która z pewnością była praczką.

Blanche pstryknęła palcami.

- Przecież muszą być tutaj panowie i panie, którzy poczują się zaszczytzeni, oddając królowej kilka prześcieradeł. Albo wezwij swoje kobiety i zapędź je do szycia.

- Nie mamy zapasów płótna. Pani, jesteśmy biedni. Nie mamy takich możliwości jak pałac.

Skłoniła głowę upokorzona i Blanche poczuła się okropnie.

- Przykro mi, pani. Posłuchaj, rozpytam wśród giermków. Wielu z ich panów wyrusza na wojnę całkiem dobrze wyposażonych.

Położyła rękę na ramieniu kobiety i z przerażeniem usłyszała szloch.

Zatrzymała Toby'ego i wysłała giermków na poszukiwanie prześcieradeł. Gdy przechodziła przez wielką salę, ktoś wcisnął jej w rękę kubek wina i kawałek jabłecznika. Wypiła jedno, zjadła drugie i zobaczyła dziewczęta Sukey trzymające wielką belę płótna, co najmniej czterdzieści jardów.

- Panna Sukey mówi, że najlepszym komplementem będzie udzielenie pomocy. - Młoda kobieta miała strój odpowiedni nie tyle do pałacu, ile do gospody, i nagle giermkowie okazali się niezdolni do pracy.

Blanche się uśmiechnęła, wzięła belę płótna i powiedziała:

- Proszę wrócić i przekazać, że jestem wdzięczna jak zawsze. To pójdzie na konto królowej. Umiesz szyc?

Młoda kobieta, w jej wieku, może młodsza, z uśmiechem pokręciła głową.

- Umiem uszyć suknię, jeśli ktoś skroi materiał.

Blanche się roześmiała.

- Powiedz Sukey, że przyjmę wszystkie szwaczki, jakie będzie mi mogła odstąpić.

Następnym razem Blanche przeszła przez wielką salę w odpowiedzi na wezwanie królowej.

Znalazła królową w jej komnatach. Zostały dostatnio wyposażone - kapa na łóżko, kotary, dwa porządne materace i piernat, pościel i dwa piękne koce.

Razem z lady Almspend i lady Briar rozebrały królową, zaprowadziły ją do kąpieli i przewinęły dziecko. Blanche, niewiele myśląc, zgarnęła bieliznę królowej w tobołek, owinęła go pasem *zone*, który królowa nosiła pod piersiami, i...

Becca Almspend wyrwała jej rzeczy z rąk.

- To zaoszczędzi dziewczynie mnóstwo pracy - powiedziała ze śmiechem.

Lady Briar, starsza, ale nowa na dworze, też się uśmiechnęła.

- Musisz mnie nauczyć to robić. To zaoszczędzi czas. -  
Uśmiechnęła się szeroko. Miała duże, ale przyjemne usta i jakby zbyt wiele zębów. - Tata uprzedził, że będziemy pracować jak służące, ale nie zdawałam sobie sprawy, jakim trzeba być w tym dobrym. Czuję się jak piąte koło u wozu.

Becca uśmiechnęła się do Blanche.

- Miałyśmy sporo praktyki i jesteśmy rade, Briar, że do nas dołączyłaś - powiedziała.

W ten sposób Blanche nie musiała znosić tobołka na dół. Zanim zeszła do wielkiej sali, a była to jej trzecia wizyta, minęła dwie idące na górę praczki. Dygnęły, a ona się poczuła jak oszustka.

Ogień ryczał w kominku. W sali zastała wszystkich dowódców i wszystkie swoje szwaczki - dwadzieścia kobiet i łucznika - szyjących jak szaleni.

Nie kryła zaskoczenia i zadowolenia, kiedy przysła lady Briar z córką. Gdy giermkowie przynieśli im stołki, obie otworzyły przyborniki do szycia. Była już tam lady Natalia, jej igła śmigąła jak w palcach zawodowej szwaczki.

- Za mało prześcieradeł? - zapytała córka. - W domu też się to zdarza.

Zaśmiała się. Była może rok młodsza od Blanche.

Blanche otworzyła swój przybornik zawierający fortunę w narzędziach i igłach, położyła go na kolanach, wzięła płachtę i zaczęła ją obrębiać.

- Słodka Panno, aleś ty szybka! - zawołała młoda Ella. - Nigdy nie widziałam, żeby dama umiała tak sprawnie obrębiać. Spójrz, mamó, na jej ścieg!

Briar opowiadała jakąś historyjkę z czasów swojej młodości - młodości, która nie tak dawno przeminęła. Umilkła, wzruszyła ramionami i podjęła przerwany wątek.

Lady Natalia pochyliła się w stronę Blanche.

- Szyjesz nadzwyczaj pięknie.

- Ty też, pani - odwzajemniła się Blanche.

W istocie nigdy nie widziała damy, prawdziwej arystokratki, która szyłaby równie dobrze jak lady Natalia.

Nowych prześcieradeł przybywało z chwili na chwilę.

Zbliżała się północ. W drugim końcu sali trwała wytężona praca - biskup Albinkirku i przeor Wishart siedzieli przy jednym stole i gorączkowo pisali.

Toby wszedł przez wielkie drzwi. Był bardzo dobrze ubrany jak na środek nocy, w piękny wams z kapturem.

- Nadchodzi - powiedział. - Teraz.

W sali zapadła cisza, jakby wydarzyło się coś świętego. Jak w chwili, pomyślała Blanche, kiedy na mszy podnoszona jest hostia.

Jakby na głos wypowiedziała myśli, Gabriel odwrócił się i ją zobaczył. Wstała jak sługa i podeszła do niego.

Podniósł się.

- Powinnaś sprowadzić królową - powiedział. - Zaraz przyjmujemy księcia.

- Jej brata? - zapytała Blanche, chociaż wiedziała, że Tancred jest w polu ze swoimi rycerzami i małym oddziałem piechoty, osłaniając północne podejście do miasta.

Pospieszyła co tchu, wiadomość była pilna. Wbiegła po trzech długich ciągach krętych schodów i zastała Beccę zajętą czesaniem wspaniałych włosów królowej. Lady Natalia przeglądała skrzynię z ubraniami.

- Pani, diuk Tracji przysłał mnie z wiadomością, że zaraz przyjmujemy cudzoziemskiego księcia, i prosi, żebyś przysłała, jeśli taka twoja wola.

- Suknie - ponagliła królowa. - Tak, brązowa. Zapinajcie, a ja podepnę włosy.

Dwie minuty później były w wielkiej sali. Królowa przysłała boso - coś takiego byłoby nie do pomyslenia w Harndonie, a tutaj było po prostu praktyczne. Lady Natalia i lady Almspend usiadły w lepszym świetle, żeby szyć.

W sali panowała cisza. W drugim końcu, w blasku ognia z kominka, kobiety szyły dziecięce ubranka. Bliżej Czerwony Rycerz stał za przeorem i biskupem. Inni magnaci już spali.

Toby wrócił i ukłonił się królowej, gdy lord Robin i lord Wimark posadzili ją na krześle, które miało pełnić rolę tronu, a naprzeciwko

ustawili drugie.

- Kogo przyjmujemy? - zapytała królowa.

Czerwony Rycerz podszedł i stanął obok niej.

- Baśniowego Rycerza - odparł. - I Harmodiusza.

Blanche patrzyła, jak Tapio wchodzi do sali z Harmodiuszem u boku. Za nimi podążało dwóch irków, wielki *adversarius* w pelerynie z piór, dwóch czarnoskórych mężczyzn, jeden z Iffriqu'ya, jej wybawca z Harndonu, i drugi pomalowany i przybrany piórami jak Zamurzanin. Za Zamurzaninem weszły dwa wielkie niedźwiedzie i - tu miała kłopoty z przełknięciem śliny-wielka biała tyczkowata postać, jak ogromna modliszka w białej zbroi.

Przewyciężyła strach, podeszła do Pawała i uściśniła jego dłoń, a on złożył ręce i się uklonił, lecz patrzył na Harmodiusza. Przegapiła tę wymianę spojrzeń. Zaraz potem Baśniowy Rycerz wystąpił w wirze elfickiego płaszcza i podzwaniania maleńkich złotych dzwoneczków. Ukląkł. Skłonił głowę, ucałował dłoń królowej i pokazał w uśmiechu zęby.

- Córkko człowieka, twoje piękno przewyższa wszystko, co o nim mówią.

Pokraśniała.

- Widziałam cię w Yule! - Pochyliła się, żeby go pocałować w policzki. - Ty też jesteś piękny, synu Dziczy.

- Jak Kuba Bogu... - mruknął Harmodiusz.

- Nigdy bym cię nie poznała, stary przyjacielu - powiedziała do niego.

Ukląkł u jej stóp i pocałował ją w rękę.

- Wziąłem inne ciało - wyjaśnił bez wstępów czy próby obrony.

Biskup Albinkirku się skrzywił.

- Na razie wystarczy, że żyjesz i do mnie wróciłeś. - Dezyderata wstała i objęła szczupłego magistra.

Starszy mężczyzna się zarumienił.

- Jakże mi ciebie brakowało - szepnęła.

- Wasza Królewska Mość... - szepnął Harmodiusz i mimo woli pogładził jej włosy. Szybko odsunął rękę.

- Wróciłeś, żeby zostać moim magistrem? - zapytała. - Czy tylko

składasz wizytę?

Harmodiusz zrobił zatroskaną minę.

- Działam na własną rękę... Jest tyle do powiedzenia i żadnych łatwych odpowiedzi. Zeszliśmy się tej nocy, żeby zawrzeć przymierze. Ale to przymierze musi być oparte na trudnych prawdach. A kiedy raz powie się prawdę, to już się jej nie odwoła.

Dezyderata uniosła rękę do gardła, czego nigdy nie robiła, i spuściła wzrok.

- Ja już się dowiedziałam kilku trudnych prawd - wyznała.

Baśniowy Rycerz i Czerwony Rycerz patrzyli na siebie niczym dwóch chłopców wyzywających się na pojedynek na brązowej trawie. Blanche ich obserwowała zafascynowana podobieństwami, które przeważały nad tym, co ich różniło - pomimo skośnych oczu, jasnych złotych włosów i długich zębów Tapia, pomimo czarnych włosów i bardziej zwyczajnych oczu kapitana, było w nich coś, co wręcz krzychało: krewniacy.

Ser Gabriel ukłonił się towarzystwu.

- Wasza Królewska Mość, panowie, proponuję usiąść i porozmawiać. Miejmy to za sobą. Wierzę, że razem zdołamy wygrać tę wojnę... i może położyć ją do łóżka na bardzo długi czas.

Harmodiusz westchnął.

- Nie, mój chłopcze. To się nie stanie. - Spojrzał w oczy Czerwonego Rycerza. - Ale to piękne marzenie i powinieneś się go trzymać.

Ser Gabriel się skrzywił.

- W takim razie... myślę, że mówię w imieniu wszystkich... przedstaw waszą sprawę. - Spojrzał na opiekuna, wielkiego jak koń bojowy. - Masywniejsza ława - polecił Toby'emu.

Królowa skinęła na lady Briar.

- Przynieś mojego syna, jeśli łaska - poprosiła.

- Najpierw przedstawię moich towarzyszy - zaczął Harmodiusz.  
- Baśniowy Rycerz, pan N'gary na zachodzie. Mogon, księżna Północy, jedna z wielkich Mocy Dziczy i nasz najbardziej niezłomny przymierzeniec. Nita Qwan, wódz ludu Sossagów. Krevak, Pan Wielu Wód, równy mi pod względem *ars magika*.

- Jesteś zbyt uprzejmy - powiedział wymieniony irk w bezbłędnym archaickim.

- Krzemień z klanu Długiej Tamy, przez plemiona Dziky uważany za starszego i najmądrzejszego z nas. A to... - Harmodiusz ściągnął brwi. - Exrech, pan Czwartego Uła Wielkiej Rzeki.

Rozległy się pomruki, gdy ludzie zrozumieli, że rycerz w białej zbroi jest wielkim boglinem, człkiem.

Królowa wstała.

- Oto mój kapitan, Czerwony Rycerz, Gabriel Murien.

Słyszając nazwisko, Mogon warknęła, a Krevak pokazał zęby w uśmiechu.

- Lord Gregario z Waylandu i przeor Wishart z Zakonu Świętego Tomasza.

Jeśli nazwisko Murien wywołało niezadowolenie, to wzmianka o Zakonie Świętego Tomasza sprawiła, że niedźwiedzie warknęły, a biały boglin się skrzywił.

- Wszyscy z łatwością możemy zostać wrogami. - Harmodiusz powiódł po nich wzrokiem. - Ale wtedy tylko nasi prawdziwi wrogowie będą świętować.

Mogon, wielka strażniczka, sapnęła.

- W takim razie kontynuuj - powiedziała.

Blanche pomyślała, że ma piękny głos.

Ale wystąpił jeden z ogromnych niedźwiedzi.

- Nie będziemy tu sądzić człowieka - wymruczał. - Ani też mówić o jego złych uczynkach. Niech Matrona powie, że zostanie wymierzona sprawiedliwość, kiedy walka się skończy, a wszyscy będziemy dobrej myśli.

Blanche podała wodę Dezyderacie - zrozumiała, że niedźwiedź przez Matronę rozumie królową. Mamka właśnie przyniosła jej dziecko.

Królowa spojrzała na starego, posiwiałego ze starości niedźwiedzia.

- Zasiądziesz razem ze mną i będziesz wymierzać sprawiedliwość? - zapytała.

- To byłoby uczciwe - odparł.



Nawet Mogon pokiwała głową.

Harmodiusz chrząknął.

- Ta współpraca, choć trochę spóźniona, wyjdzie nam wszystkim na dobre. Wszyscy wiemy, że musimy stanąć ramię w ramię.

- Mów dalej stary - zachęcił ser Gabriel czarnoksiężnika.

Powiedział to ze śmiechem, ale Blanche poznała, że coś ich dzieli.

Harmodiusz spuścił głowę.

- Najpierw musimy zrobić to, co zrobiliśmy w Lissen Carak, my wszyscy, którzy pracujemy z mocą.

Skrzyżowali spojrzenia.

- Stawiasz wysoko poprzeczkę, stary, jeśli chodzi o zaufanie - skomentował ser Gabriel. - Ale w każdej chwili możesz wejść do mojego domu.

Królowa się uśmiechnęła.

- Ja jestem chętna - oznajmiła.

Wszyscy umilkli i zapadła idealna cisza. Blanche patrzyła, jak ich twarze się zmieniają - nie obojętnieją, ale stają się skupione, jak u ludzi odmawiających modlitwę. Harmodiusz, Czerwony Rycerz, Baśniowy Rycerz, królowa, przeor, biskup Albinkirku, Mogon, młodszy niedźwiedź, lord Krevak - jeden po drugim pogrążyli się w kontemplacji.

Salę wypełniła złota poświata, niemal jak wznosząca się mgła. Pokryła podłogę, a potem powoli sięgnęła pod powałę - powoli, nie przyciągając uwagi, jak krople napełniające rondel. Blanche pławiła się w niej przez chwilę.

Ser Pavalo hałaśliwie napił się wody i usiadł.

Lord Gregario, sławny szermierz, uśmiechnął się do wysokiego wojownika z Iffriqu'ya.

- Przecudny miecz, panie rycerzu.

Ser Pavalo pokiwał głową.

- Chcesz obejrzeć?

W trakcie narady decydującej o losie narodów lord Gregario, giermek, i ser Pavalo zaczęli rozmawiać o mieczach.

Ach, ci mężczyźni, pomyślała Blanche.

Stary niedźwiedź obrzucił ją spojrzeniem, jakby dzielili dokładnie

tę samą myśl.

\*\*\*

Zgromadzili się w pałacu Harmodiusza.

- Tutaj powiem, co mam do powiedzenia. Nie twierdzę, że nasz wróg nie może nas podsłuchać. Jeśli może, pomimo podjętych przeze mnie środków ostrożności, nigdy nie będziemy mieli drugiej takiej okazji. - Harmodiusz wzruszył ramionami.

Gabriel siedział w wygodnym krześle obok starca.

Uśmiechnął się do Harmodiusza, który w eterealu wciąż wyglądał jak młody Harmodiusz, a nie Eskepiles. Inni zajęli miejsca - Mogon na wielkim tronie z kości słoniowej, niebędącym w stanie zaćmić skromnego krzesła ze złoconego drewna, na którym siedziała królowa.

Dezyderata potrząsnęła włosami.

- Weselmy się ze spotkania - powiedziała.

Tapio usiadł ze skrzyżowanymi nogami, co zaś się tyczy białego gwylcha, wyglądało na to, że wcale nie umie siedzieć.

Dezyderata podniosła głos w starej świątecznej pieśni.

- Weselmy się ze spotkania, radujmy się pospołu, trąćmy się kielichami, zasiądźmy do stołu.

Dołączyli do niej, nawet Mogon, nawet Exrech, i pomimo odmiennych języków wielogłosowy śpiew płynął w eterealu. Złoto-zielona jasność wypełniła wewnętrzny dwór Harmodiusza i pojawiła się wielka tarcza.

- Potężne dzieło - zauważyła Mogon.

Harmodiusz się uśmiechnął.

- To wróży lepiej, niż miałem nadzieję-powiedział. - Wasza Królewska Mość, daleko zaszłaś.

- Byłam poddana ciężkiej próbie - rzekła Dezyderata. Wzruszyła ramionami i jak kiedyś uniosła kącik ust w dawnym figlarnym uśmiechu. - Słuchajcie, nawet tutaj goni nas czas. Więc mów, stary mistrzu.

Harmodiusz wyprostował plecy.

- Dobrze. Niektórzy z was wiedzą, a inni znają część prawdy, albo widzieli ją tylko przez ciemne szkło, i nawet sam nie jestem pewien, czy to, co mówię, nie jest czystym wymysłem, usprawiedliwieniem, upiększeniem. Ponieważ wszyscy pracujemy z mocą, najpierw powiem, że każdy z nas wie, iż wiara, istnienie, zaistnienie i moc mogą być jednym i tym samym, co czyni

prawie niemożliwym proces zapamiętywania i historii.

Gabriel pokiwał głową.

- Dobrze. Wszyscy zamieszkujemy sferę... wielki bąbel... - Harmodiusz się zaśmiał. - Bąbel rzeczywistości, powiedzmy. Istnienia... tak. Jedni z Mądrych utrzymują, że jest jeden bąbel, inni zaś powiadają, że jest siedem afer, albo osiem, albo dziewięć, każda wewnątrz drugiej. Tak?

-A na zewnątrz niebo - powiedziała Dezyderata.

- Nie, Wasza Królewska Mość. Wybacz, na zewnątrz panuje chaos nicości. Bardzo podobny do naszego eterealu. To zagadnienie zostawmy na kiedy indziej. Dla nas ważne jest to, że za tym chaosem istnieją inne afery. Jak nasza.

Mogon pokiwała głową, a Dezyderata znowu przyłożyła rękę do szyi.

Gabriel pocierał w zadumie brodę.

- O tych sferach prawie nic nie wiemy -powiedział Harmodiusz. - A to, co wiemy, jest zwodnicze, irracjonalne i sprzeczne. - Pokręcił głową. - Odbiegam od tematu. Co czyni naszą sferę wyjątkową? Waham się nawet to powiedzieć... Otóż stanowi ona swego rodzaju centrum dla wszystkich innych, a przynajmniej niektórych. I w tym tkwią nasza historia i nasze przeznaczenie. Znaleźliśmy się na rozdrożu.

Harmodiusz popatrzył na Gabriela.

- Nie jesteś zaskoczony.

- Podczas twoich badań w Liwiapolis zajmowaliśmy tę samą głowę - przypomniał mu Gabriel.

Mogon przesunęła masywny tułów.

- Dla Qwetnehogów to żadna nowina. - Pokiwała głową, a jej grzebień, wyprężony, gdy była podenerwowana, oklapł jak modny beret. - Przybyliśmy tutaj z jakiegoś innego miejsca. Każde młode to wie.

Harmodiusz pokiwał głową.

- W mojej opowieści są dwa ważne elementy. Po pierwsze, jesteśmy na rozdrożu. Po drugie, jesteśmy pionkami w grze w szachy. - Machnął ręką. - Jedno i drugie wyjaśnia wszystko, co widzimy wokół siebie. Mamy sześćdziesiąt ras rywalizujących o zasoby. Wiemy o wyniszczonych ludach, po których zostały ruiny budowli, a w Liwiapolis nawet zapiski dotyczące ich dokonań naukowych.

Mogon pokiwała głową.

- Odynowie.

Harmodiusz westchnął.

- Odynowie są tylko jednym ludem i nie liczyłbym na to, że zostali całkowicie wyniszczeni. Ale są może najbardziej znani. Powiem szybko. Moce, wielkie Moce rywalizują między sobą i zajęły nasze rozdroża. Zmuszają plemiona, żeby dla nich walczyły. Utrzymywały pozycję, jak powiedziałby Gabriel.

- Dlaczego rywalizują? - zapytał Czerwony Rycerz. - To znaczy, po co? Żeby zdobyć więcej niewolników?

Mogon powoli usiadła.

- Tak - odparła. Nie była to odpowiedź na jego pytanie, tylko komentarz.

- Tak, to szokująco proste. Oczywiście.

Harmodiusz pokiwał głową.

- Człowiek z mojego zakonu, wielki człowiek z dalekiego Dar as Salaam, ma większy dostęp do najstarszych pism niż ja. - Rozejrzał się. - I jeszcze starszych kronik, które nie zostały spisane przez ludzi. Oto dokonanie jego życia - oznajmił i pokazał w eterealu kawałek pergaminu. - Pięć imion. Pięć z może siedemnastu istot, które mają moce jak bogowie. Mali, małostkowi, kłótlivi bogowie. - Pokazał listę.

Gabriel przeczytał błyskawicznie, jak to w eterealu.

Tar

Popiół

Los

Dąb

Zgniły

- To nie są prawdziwe imiona - zauważyła wyraźnie wstrząśnięta Dezyderata.

Harmodiusz pokręcił głową.

- Sądzę, że znam ich wszystkich.

Gabriel westchnął.

- Czy dzielą się na dobrych i złych? - zapytał sarkastycznym tonem. Baśniowy Rycerz ze śmiechem klepnął się po udach.

- Wszyscy stosują tę samą taktykę manipulacji i przymusu - powiedział Harmodiusz. - Sam wyciągnij wnioski.

Gabriel pomyślał o panu Smicie.

- Chciałbym tylko podkreślić, że moja strona ma mniej ludzi i skłonność do minimalizowania negatywnych wyników. Jeden z nich jest bardziej uczciwy niż inni.

Harmodiusz wzruszył ramionami.

- Mój zakon zdecydował: walczyć z nimi wszystkimi.

Gabriel przymrużył oczy.

-Jak ci się to podoba? - zapytał. - Wygląda na typowe niepraktyczne rozwiązanie, coś z sali lekcyjnej. Szlachetne i skazane na klęskę. Ręczę ci za ich moc. Jeśli są podzieleni, czy klasyczne rozwiązanie nie polega na wykorzystaniu jednych przeciwko drugim?

Baśniowy Rycerz rozprostował długie nogi i pokręcił głową.

- To albo genialny, albo szalony pomysł. Ser Gabrielu, dlaczego myślisz, że można manipulować tymi wielkimi mocami, które są dla nas niczym bogowie?

Harmodiusz pokiwał głową.

- Uważamy, że wszystkie są smokami.

Gabriel usiadł.

- Bez wątpienia to fascynujące i przetomowe odkrycie w filozofii hermetycznej, ale kiedy walczymy... - popatrzył na pozostałych - walczymy z Popiołem. Popiół postanowił objawić się bezpośrednio w naszej sferze i bezpośrednio kontrolować bramę, z których jedna, może najważniejsza, znajduje się pod Lissen Carak. - Zmarszczył brwi. - Popiół jest smokiem?

- Lissen Carak było domem i świętą ziemią mojego ludu - powiedziała Mogon.

-I przed wami Odynów, a wcześniej Kraalów, i tak dalej, i tak dalej. - Harmodiusz uniósł rękę. - Jeśli nic nie robimy, cykl trwa wiecznie.

- Fascynujące - stwierdził Gabriel. - Ale bez bezpośredniego wpływu na moje skłonności. - Skrzywił się. - Z tym wyjątkiem, że jest jasne, że chce walczyć w Albinkirku, on albo Głóg, albo ktokolwiek kontroluje tę hordę. I ponieważ chce walczyć tutaj, kusi mnie, żeby wydać walkę gdzie indziej. Czy twój przyjaciel z Iffriqu'ya zna więcej bram? Dałbym wiele, żeby rozumieć geografie tego eterealnego pola bitwy. Jeśli w ogóle cokolwiek rozumiem.

Harmodiusz pokiwał głową. Wyjął drugi arkusz pamięciowego pergaminu.

- Lissen Carak, jak wszyscy wiemy albo przynajmniej zgadujemy

*Cytadela Arles w Arelacie. - Skinął do królowej.*

*Gabriel drgnął jak ukaszony*

- *Oczywiście! Byłem tam. Król Galii próbował podstępem zająć Arelat. Byłem tam i wiem, że coś czułem, jakąś pustkę.*

- *Pustkę? - zapytała królowa. - Ja też znam miejsce, które wydaje się puste w mojej duszy.*

- *Sądzę, że jest zaginiona brama pod pałacem w Harndonie. - Harmodiusz wymienił długie spojrzenie z królową.*

*Królowa odetchnęła przeciągle.*

- *Coś tam jest. Pustka.*

*Harmodiusz pokiwał głową.*

- *Powiedzmy, że w Harndonie. Z pewnością jest jedna w Dar as Salaam. Sam ją czułem. Właśnie to prawie sto lat temu skłoniło Al Raszidiego do prowadzenia badań. I oczywiście, kiedy rozumie się grę i biorące w niej udział pionki, całe wojny umrothów nabierają sensu. Nieumarli są po prostu czyimiś narzędziami służącymi do zajęcia bramy.*

*Gabriel zaczął się kołysać jak małe dziecko.*

- *Arles w Arelacie, gdzie według Etrusków król Galii został pokonany przez potężną armię Dżiczy - Znieruchomiał.*

*Twarz przeora Wisharta zastygła, chociaż nawet w eterealu widać było malujący się na niej strach.*

*Królowa przenosiła spojrzenie z jednego na drugiego.*

- *Wojny umrothów, panowie?*

- *Prawie sto lat ataków nieumarłych pod wodzą tego, kogo zwiemy Nekromantą, na lud Dar as Salaam, Siedziby Pokoju - wyjaśnił Harmodiusz.*

- *Zanim zaczęły się ataki, były tam zielone pola. Teraz jest pustynia. - Popatrzył na Gabriela. - Raszidi mówi, że w tej sferze istnieje siedem bram, a ściślej mówiąc, co najmniej siedem. I muszę dodać, że na przestrzeni wieków zmieniło się ukształtowanie terenu i bramy mogą znajdować się pod lodowcami, wewnątrz wulkanów albo pod dnem morza.*

*Przeor Wishart odetchnął głęboko.*

- *Jak dawno temu powstały? - zapytał.*

*Harmodiusz nie od razu odpowiedział. Przenosił spojrzenie z jednej osoby na drugą. Nikt nawet nie drgnął, tylko Baśniowy Rycerz pokazał zęby w uśmiechu.*

- Równie dobrze ty możesz wyjść na szarlatana -powiedział. - Po prostu im powiedz!

- Co najmniej trzydzieści tysięcy lat - oznajmił Harmodiusz.  
Biskup westchnął.

- Moje Pismo mówi, że ziemia ma sześć, siedem tysięcy lat.  
Harmodiusz wzruszył ramionami.

- Może po prostu się myli.  
Biskup tylko skinął głową.

- Może Pismo nawiązuje do jakiegoś innego miejsca - zauważył Gabriel.  
- Pochodzimy stąd nie bardziej niż księżna Mogon.

- Trzydzieści tysięcy lat to długi czas - stwierdził biskup.  
Lord Krevak pokiwał głową.

- Nawet dla mojego ludu jest zbyt długi. - Wzruszył ramionami. - Zbyt długi, żeby brać to na poważnie.

Dezyderata spojrzała na swojego kapitana i pochyliła się w stronę Harmodiusza.

- Rozumiem, że to może na zawsze wszystko zmienić. Ale nie rozumiem, jak wpłynie na kilka następnych dni. Czy istnieje jakaś broń? Jakiś sposób, żeby zapobiec tej manifestacji?

- Nie... - odezwała się Mogon. - W moim pojęciu manifestacja jest siłą i słabością.

Harmodiusz pokiwał głową.

- Jeśli Popiół tu jest, to nie ma go nigdzie indziej. I kiedy w pełni znajdzie się w tej sferze... - Milczał przez chwilę. - W takim razie uważam, że można go zniszczyć. Tylko wtedy, gdy się dzielą, są nieśmiertelni. I mniej potężni.

Gabriel pokiwał głową.

- Przestałem ziewać z nudów. Chcę zabić boga.

- To będzie bardzo trudne - oznajmił Harmodiusz.

Gabriel się skrzywił.

- Będziemy musieli mocno się przyłożyć, żeby wygrać prostą bitwę w celu ochrony naszych zbiorów przed wrogiem, który ma znaczną przewagę liczebną i ops wyższego rzędu.

- Tę część zostawię tobie - powiedział Harmodiusz. - Nasza bitwa zostanie stoczona tutaj, w eterealu, i będzie polegać na wprowadzaniu w błąd.

- *Moja też. Czuję, że muszę wam wszystkim o czymś przypomnieć.*
- *Mów, człowieku - zachęcił go Baśniowy Rycerz.*

*Gabriel powiódł po nich wzrokiem.*

- *Moim rycerskim obowiązkiem jest ochrona słabych. Moim pierwszym obowiązkiem. Być może masz rację, stary, ale proszę, przyznaj, że może opacznie to rozumiesz. Mam obowiązek chronić wieśniaków na polach, kupców, kobiety i dzieci. Zgadzam się, że gra bogów powinna się skończyć. Nienawidzę jej. Ale wszyscy biorą w niej udział, ludzie, opiekunowie, smoki, wiwerny i niedźwiedzie. Nie jest to ani trochę takie proste jak zabijanie boga. Dlatego skupmy się, Wasza Królewska Mość, panie i panowie, na pokonaniu czarnoksiężnika.*

*Baśniowy Rycerz pokiwał głową na znak, że się z nim zgadza.*

- *Być może nawet nie stoimy po właściwej stronie. Może jesteśmy zbyt słabi, żeby w ogóle rozumieć strony.*

*Gabriel uśmiechnął się do niego.*

- *Umiem poznać, czy jakaś kompania jest dobra, gdy jadę przez obóz, wystarczy raz. Pokażcie mi jedną dziwkę, jednego sługę, a będę miał wyrobioną opinię o ich kapitanie. - Zmrużył oczy. - Nie będę z wami dyskutować o teologii, panowie. Ale poznałem Popioła po jego dziełach. Znam dwóch pozostałych... i cokolwiek zamierzają... - Wzruszył ramionami.*

- *Dowodzą lepszymi kompaniami? - zasugerował Baśniowy Rycerz.*

- *Właśnie - zgodził się Czerwony Rycerz i uśmiechnęli się do siebie. - Chodzi mi tylko o to, Harmodiuszu, że ty chcesz zniszczyć rasę bogów, żebyśmy mogli być wolni. Ja mówię: bodaj ich zaraza. Służę królowej, cesarzowi i własnym interesom. Każdy komuś służy. Niech nasi panowie będą sprawiedliwi i hojni, a wszyscy będziemy żyli spokojnie i dostatnio.*

*Harmodiusz warknął.*

- *Oto mówi arystokrata, który nigdy nie poznał smaku bicia.*

*Gabriel splunął.*

- *Kłamiesz.*

- *Kto jak kto, ale ty jesteś chętny wyrzec się wolności? - Harmodiusz pokręcił głową. - Sądzę, że to ty kłamiesz.*

- *Ja mówię, żeby staczać po jednej bitwie na raz i nie wykluczać żadnego sprzymierzeńca. - Gabriel przyłożył rękę do głowy, odczuwając znajomy ból*

- *A ja mówię, że to fałszywi sprzymierzeńcy i będą nas niewolić*



*pokolenie po pokoleniu. Narażasz naszą przyszłość, żeby wygrać dzisiejszą bitwę. - Harmodiusz był nieugięty. - Wszyscy oni są naszymi wrogami.*

*Dezyderata siedziała pogrążona w myślach. Gabriel zgadywał, co ją zabolalo. Inni też dumali, każdy na swój sposób.*

*Gabriel wziął głęboki eterealny oddech. Był to pozbawiony znaczenia symbol oddychania, konwersacyjny nawyk.*

*- Muszą być inne Moce - powiedział.*

*Harmodiusz pokiwał głową.*

*-Jedną jest Nekromanta. Drugą istota, którą Raszidi identyfikuje jako Zgniłego. Podejrzewam, że on dowodzi napaścią na Galię. Albo nią kieruje.*

*- Smoki? - zapytał Krevak.*

*- Nie wszystkie Moce są smokami - zaznaczył Exrech. - Co najmniej jeden Kraal sprawia, że wciąż pęcznieje ziemia.*

*- Głóg pragnie zastać Mocą. - Gabriel uniósł brew.*

*Harmodiusz ociężale pokiwał głową.*

*- Siostra Amicja jest od tego o krok.*

*-Jak smoki?*

*- Właściwie nie wiem - przyznał powoli Harmodiusz. - Al Raszidi też nie wie.*

*Dezyderata uniosła głowę.*

*- To dla mnie zbyt głębokie - wyznała. Spojrzała na biskupa Albinkirku.*

*Uśmiechnął się.*

*- Nie jest dla mnie żadną niespodzianką, że wola i miłosierdzie boskie rozciągają się na każdy poziom kosmosu - powiedział. - Więcej nie powiem, z tym wyjątkiem, że planowanie śmierci istoty, jakkolwiek potężnej, która nie wyrządziła wam żadnej krzywdy, jest równie straszne jak morderstwo bez względu na przewidywane konsekwencje dla przyszłych pokoleń. Ale wszak jestem księdzem i obawiam się, że nawet stosowanie przemocy w obronie słabych jest grzechem. Morderstwem.*

*Baśniowy Rycerz popatrzył na niego w zdumieniu.*

*- Są inne dzieci ludzi, które podzielają twoje stanowisko? - zapytał.*

*Biskup pokiwał głową.*

*- Niewiele. Zwiemy się chrześcijanami.*

*Baśniowy Rycerz parsknął śmiechem.*

*Nawet Gabriel musiał się roześmiać.*

*Harmodiusz pokręcił głową jak człowiek budzący się ze snu.*

*- Wasza Królewska Mość, wiem, że to będzie bolesne. Na podstawie tego, co słyszałem, i twojej tu obecności, przypuszczam, że już spotkałaś się z naszym wrogiem bezpośrednio w eterealu.*

*Dezyderata w eterealu wyglądała jak zawsze: piękna młoda kobieta w złotej sukni, bosa, w wianku stokrotek na głowie i z kwiatowym pasem w kibici. Była ucieleśnieniem kobiecości, figlarna i jednocześnie stateczna.*

*Gabriel, który ją uzdrowił i znał jej eterealne i zewnętrzne ja, spojrzął na nią i wyraźnie zobaczył piętna tego, co przeżyła w Hamdonie. W eterealu wciąż wyglądała tak, jak przed rokiem w świecie realnym. Ale cięża i udręka sprawiły, że wokół oczu pojawiły się kurze łapki i jej skóra zmieniła kolor.*

*Cechowała ją większa powaga - jej osobowość się wzbogaciła. Nie spostrzegłby różnicy, gdyby nie ujrzał jej złotej postaci w eterealu.*

*Nie uśmiechnęła się, ale też się nie skrzywiła ani nie zadrżała.*

*- Spotkałam się z Popiołem - rzekła cicho.*

*Etereał zamarł.*

*- Nie było to proste starcie mocy, bo w czymś takim natychmiast zostałam pokonana. I myślę... jeśli wolno mi uprzedzić mistrza Harmodiusza, że Popiół żyje w eterealu i że pobyt w świecie realnym jest dla niego bardzo trudny. Dla bitwy woli, z ops jako bronią, używając waszych uniwersyteckich terminów, zbudowałam to.*

*Wspominanie w eterealu może być bardzo trudne - pałac pamięci istnieje tylko w umyśle użytkownika, a słabość pamięci może spowodować, że wszystko się zmienia. Żywe wspomnienia prawdziwych wydarzeń, o czym wie każdy hermetyk, są narażone na liczne pokusy i mogą ulegać degradacji - mają na nie wpływ złudzenia sukcesu albo porażki, niepowodzenia woli, kłopoty z obrazem.*

*Ale dla większości magów wspomnienia bezpośredniego manipulowania mocą hermetyczną mają blask solidnego doświadczenia. Wspomnienia królowej, dotyczące punktów kulminacyjnych napaści Popioła na jej mur, były żywe, skomplikowane i tak naładowane emocjami, że Mogon jęknęła, a Gabriel zapłakał.*

*Kiedy skończyła się nimi dzielić, każdy pod jej kierunkiem zrobił jedną złotą cegłę - ta Mogon miała jaskrawozielony kolor.*

*- Nie próbowałam atakować. Pragnęłam tylko chronić moje*

nienarodzone dziecko. - Uśmiechnęła się. - Teraz się zastanawiam, czy przed Popiołem, czy przed Ghause.

Harmodiusz dostrzegł cień innej istoty w jej wspomnieniach.

- I kim była Tar - powiedział.

- Dziewica chciała mnie chronić- rzekła szybko królowa.

Harmodiusz ściągnął brwi.

- Oni widzą nas tylko jako niewolników i żołnierzy. - Spojrzał znacząco na Gabriela.

Gabriel pokręcił głową.

- Harmodiuszu, nie chciałbym być twoim wrogiem. I potrzebuję sojusznika, żeby wygrać tę bitwę, zwłaszcza jeśli objawi się twój mroczny smok. - Powiódł wzrokiem dokoła. - Nie mam pojęcia, jak będzie wyglądała walka ze smokiem. W zasadzie nawet nie jestem pewien, czy to w ogóle możliwe. Dwa razy widziałem mojego sprzymierzeńca w jego smoczey postaci... - Po chwili dodał: - Nie jestem pewien, czy zdołam to zaplanować.

Harmodiusz zaczerpnął tchu, jakby się szykował do pełnej pasji riposty, lecz zmilczał.

- Musimy wygrać tę walkę - oznajmił po chwili.

- Wiemy - zapewniła go Dezyderata.

- Dobrze. Ograniczę się do Popioła.

Gabriel uśmiechnął się do Baśniowego Rycerza.

- Jesteś rad, że będę dowodzić?

- Nie - odparł Baśniowy Rycerz. - Jestem rad, że możemy wzajemnie sobie pomagać. Dowodzenie jest dla mnie zbyt apodyktyczne, Gabrielu. Zostańmy przyjaciółmi, a reszta pójdzie w nasze ślady.

- Nie mogę się z tym kłócić, jak powiedziałby łucznik. - Gabriel wyciągnął rękę. - Zamierzam walczyć w lasach, w Dziurze Gilsona.

- W lasach? - zapytała Dezyderata. Jej zaskoczenie wsiąkło w etereal.

- Armia wymaszeruje wieczorem, pod osłoną ciemności -powiedział Gabriel. - W każdym razie jej większa część. Nie twój rycerz. Wezwaliśmy wieśniaków do kopania rowów i ścinania drzew. Wiemy, że naszym przeciwnikom brakuje organizacji. Spróbujmy wykorzystać ten atut, żeby zwyciężyć.

Baśniowy Rycerz uniósł rękę do czoła w szyderym, a może szczerym salucie.

- Ja jestem wstrząśnięty. Może on będzie zaskoczony.

- Przekonajmy się.

Kolejno wyszli z pałacu starego maga.

Gabriel, jak natrętny gość, postanowił zostać. Kiedy wszyscy inni odeszli, powiedział:

- Dziwnie dla odmiany przebywać w twojej głowie.

Harmodiusz się uśmiechnął.

- Nie zgadzamy się? - zapytał.

- Proszę, nie rób nic przeciwko mistrzowi Smithowi.

- Chodzi ci o smoka zwanego Losem? Masz moje słowo. Na razie. -

Harmodiusz na coś spojrział.

Gabriel nie mógł tego zobaczyć, ale ponieważ był w pokojach starego maga w swoim umyśle, wiedział, że patrzy w lustro.

- Straciłem ochronę - powiedział.

- Tak sądzisz? Hm.

- Jak objawi się ten Popiół? - zapytał Gabriel. - I jak ty uderzysz?

- Myślę, że użyje śmierci. Każda śmierć jest ważnym wydarzeniem w eterealu - zaczął stary magister.

- Poważnie? Nie miałem pojęcia.

- Brakowało mi twojego sarkazmu.

- A mnie twojego - zripostował Gabriel.

Zmierzyli się wzrokiem - i parsknęli śmiechem.

- Myślę, że używa śmierci, żeby zasilać swoje istnienie. - Harmodiusz wzruszył ramionami. - Naprawdę nic nie wiem, tylko zgaduję. Nie powiem ci, co zrobię.

- A Amicja? A Lissen Carak? - zapytał Gabriel. Puls mu przyśpieszył nawet w eterealu.

- Lissen Carak jest dobrze chronione. Amicja chce wyruszyć z armią. Uważam, że nie powinna tego robić, ale potrzebujemy każdego, kto ma talent hermetyczny. - Harmodiusz zacisnął zęby.

Gabriel pokiwał głową.

- Jak ja jestem kapitanem, tak ty jesteś magistrem. Wierzę, że mogę pokonać materialną armię Głoga. Co więcej, pozwolę sobie dodać, że mogę go pokonać przy minimalnych stratach.

- Widzę, że nauczyłeś się pokory - skomentował cierpko Harmodiusz. -

*Ale coś ci powiem. Jeśli umrzesz i ja umrę, i Popiół się objawi, i Głóg zatriumfuje, a Lissen Carak nie padnie, wtedy nie będziemy zupełnie przegrani.*

*- Prawdopodobnie przez pychę straciłem Ticondagę i całą moją rodzinę. W ciągu kilku lat prowadzenia wojny zdołałem się nauczyć, że rozpamiętywanie błędów prowadzi do popełniania kolejnych. - Wzruszył ramionami. - Obawiam się prowadzenia bitwy z tak wieloma imponderabiliami.*

*Harmodiusz pokiwał głową.*

*- Oszczędzę ci kazania, że nie powinieneś się obwiniać.*

*Gabriel wzruszył ramionami.*

*- Co się stanie, jeśli wygramy w świecie realnym, a przegramy tutaj?*

*- Wszyscy umrzemy.*

*- Odwrotność też jest prawdziwa. Chętnie wystałbyś mnie na śmierć, byle tylko nieopisana liczba istot, których nigdy nie poznałem, była bezpieczna przed Popiołem trzymającym bramę. - Gabriel pokręcił głową. - Nie jestem taki szlachetny. Pokonajmy go tutaj, to wszystko. - Zdobył się na uśmiech. - I przeżyjemy, żeby o tym opowiadać.*

*Harmodiusz pokręcił głową.*

*- W najlepszym wypadku poniesiemy zatrważające straty.*

*Gabriel westchnął.*

*- Spróbuję temu zapobiec - powiedział, ale w jego głosie można było wyczuć niepewność.*

*Gabriel wrócił jako ostatni, nie licząc Harmodiusza. Rozejrzał się z uczuciem, że jest wypoczęty. Podniósł kubek, żeby napić się wina, ale najwyraźniej już zdążył to zrobić. Ogień przygasł i większość świec się wypaliła.*

*Harmodiusz chrząknął.*

*- Jestem za stary na to wszystko - powiedział. - Dobrej nocy.*

*- Gdzie śpisz? - zapytał Gabriel.*

*- Na tym krześle. - Harmodiusz się przeciągnął. - Nawet to ciało nie jest na to dość młode.*

*- Możesz spać u mnie - zaproponował. - Chodź, stary. Wystarczy wejść po schodach, a będziesz spać na piernacie.*

*- Prowadź.*

Weszli na górę, prawie nie stękając.

Gabriel odstąpił magowi swoją połówkę - w zamku nie było zapasowych łóżek, a może dostali je inni goście.

Toby się nie obudził, gdy nad nim przestępowali. Wyglądał na wykończonego, więc Gabriel pozwolił mu spać. Znalazł skórzany kuferek, w którym przechowywał wino, i zobaczył, że obie butelki są puste.

- Psiamać - mruknął.

Harmodiusz, najpotężniejszy magister w całej Nova Terra, już chrapał.

Gabriel patrzył na niego przez chwilę. Okno było otwarte i księżycowa poświata padała na jego wyciągniętą rękę. Noc była chłodna. Podniósł pelerynę ze stosu ubrań na krzesło i okrył starego magistra. Peleryna pachniała dymem z ogniska. To przywołało kilka wspomnień.

Uśmiechnął się. Przeszedł przez swoją komnatę, gdzie Nell spała na łyżeczce z młodym mężczyzną. Z zadumą pokiwał głową, wziął manierkę Nell i wyciągnął korek. W butelce była woda. Napił się.

Nie tego chciał, więc zszedł do sali z kubkiem w ręce.

Otworzyły się drzwi komnaty królowej i Blanche wyjrzała ze świeczką w ręce.

Rozmaite myśli przemknęły mu przez głowę. Oboje się wzdrygnęli.

- Przepraszam - powiedział, chociaż nie miał pojęcia za co.

- Mogę ci pomóc? - spytała. - Dziecko śpi, podobnie jak Jej Wysokość.

Gabriel pokiwał kubkiem. Jestem kapitanem, psiamać, pomyślał. Mogę być w sali w środku nocy. Jej mina sugerowała, że znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

- Szukam wina.

Głośne chrapanie Harmodiusza tłukło się echem, spływając w dół kamiennych schodów.

- Brzmi to tak, jakby się dusił - skomentowała Blanche, tłumiąc chichot.

Spojrzeli sobie w oczy. Trwało to zbyt długo.

- Ja... - zaczął, wyklinając się w duchu od głupców.
  - Mam wino - powiedziała ochryłym głosem. - W moim pokoju.
- Ani na chwilę nie oderwała od niego wzroku.

Wyciągnął rękę.

Ujęła ją.

- Chcę zobaczyć twojego... gryfa - szepnęła.

Roześmiał się. Blanche nie miała pojęcia dlaczego. Zaprowadził ją do drzwi i wyjął klucz wykuty ze stali.

- Będzie wrzeszczał? - zapytała. Nagle się przestraszyła, że była zbyt śmiała, proponując mu wino, prosząc o pokazanie potwora.

Pokręcił głową.

- Może po naszym wyjściu. Pozwól, wejść pierwszy.

Otworzył drzwi. Była zszokowana, gdy zobaczyła, że pokój, który kiedyś był piękną komnatą, nie ma stropu i jest sklepiony baldachimem gwiazd. Ujrzała dwa krzesła, ciężki żelazny łańcuch i...

Potwora.

Gabriel do niego podszedł, pomrukując melodyjnie. Gryf był ogromny, zdawało się, że wypełnia cały duży pokój w wieży, wielki jak dom, w którym Blanche mieszkała z matką. Położył głowę na podłodze.

I przetoczył się na grzbiet niczym kocur.

- Podejź - powiedział Gabriel.

Odetchnęła głęboko i niewiele myśląc, podeszła do wielkiego stworzenia. Dotknęła jego skóry.

- Jaki będzie duży? - zapytała.

- Dwa razy większy, prawda, mały? Za parę miesięcy będzie można na nim jeździć.

Miał porośniętą piórami głowę i olbrzymi ostry dziób, zakrzywiony jak rogowy bułat, i dwoje dużych czarnych oczu, które się wydawały bezdenne, i groźne szpony. Pióra na skrzydłach układały się w rzędy. Zielone, czarne, białe i złote - naprawdę złote, jakby wszyscy złotnicy świata się zmówili, żeby je wykonać. Tuż za potężnymi mięśniami skrzydeł biegł pas, gdzie puch splatał się z sierścią podobną do końskiej czy krowiej.

Powinien wyglądać niezdarnie i brzydko, ale był dziwnie piękny, jak kocur z licznymi bliznami albo ulubiony stary but. Blanche pogładziła go po brzuchu, gdzie spotykały się pióra i futro. Stwór ni to zamruczał, ni zaskrzeczał.

- Polubił cię - stwierdził Gabriel.

Z mruzeniem popłynęło coś innego. Blanche miała niewielkie doświadczenie w sprawach eterealnych, a właściwie nie miała żadnego. Po raz pierwszy czuła w głowie strumyczek czegoś niezemskiego.

Ser Gabriel klepnął bestię po dziobie.

- Nic z tych rzeczy - przykazał.

Blanche nagle poczuła, że zalewa ją straszna, cudowna fala miłości.

W jej głowie Gabriel powiedział:

- Przestań.

Przez chwilę go widziała, ubranego w czerwony wams i rajtuzy, stojącego w jakiejś katedrze wśród posągów i liczb, a za nim piękną kobietę na piedestale, jak posągi w kościołach.

- Sam potrafię się zalecać - dodał, a ona znów usłyszała jego głos w głowie. - Leżeć, Ariosto!

Wielkie stworzenie uniosło głowę i spojrzało im w oczy. Szorstki język liznął ją po twarzy. Parsknęła śmiechem i zadrżała, bo nagle w wyobraźni ujrziała bardzo intymną, erotyczną scenę z ser Gabrielem. Spłoniła się.

Odwróciła się i otarła ramieniem o ramię Gabriela.

Jego wargi opadły na jej usta. Straciła kontrolę nad swoim ciałem i nagle do niego przywarła, od kolan po głowę. Nigdy dotąd nie robiła tego z żadnym chłopakiem. Czuła się rozkosznie.

Gryf obserwował ich bez zmrużenia oka. Gabriel musnął wargami jej szyję, chwycił ją za rękę i delikatnie pociągnął ku drzwiom.

Z gardła wielkiego potwora popłynęło jak gdyby westchnienie.

Blanche się odwróciła, a Gabriel lekko, ale stanowczo wyciągnął ją za drzwi.

Zamknął je, odsunął się od niej i przekręcił klucz.

- Jeśli chcesz mnie całować - powiedział chropawym głosem -



wolałbym, żebyś robiła to z własnej woli. - Odwrócił się. - Ariosto jest... stworzeniem Dziczy. - Wzruszył ramionami.

Blanche zdała sobie sprawę, że ciężko oddycha, że palą ją policzki, że drżą jej ręce. Pamiętała, że obok jest komnata królowej, że są na widoku.

Ruszyła do swoich drzwi, nagle pewna, czego pragnie.

Zupełnie niepewna, jak ma to wyrazić.

- Jest piękny - szepnęła.

Gabriel zrobił krok za nią.

- Chodź - rzuciła. Nie przychodziły jej do głowy słowa, którymi mogłaby wyrazić swoje myśli i uczucia. Nacisnęła klamkę.

Weszli przez niskie, okute żelazem dębowe drzwi i Blanche starannie je zamknęła. Postawiła świeczkę na kufrze. Czas jakby zwolnił. Każdy jej ruch wydawał się bezcenny. Pełen wdzięku. Piękny. Stała na palcach, żeby sięgnąć po coś na półce.

Powinienem spać, pomyślał Gabriel, jednocześnie snując tysiąc innych myśli.

Wyjęła z jego ręki pocięty srebrny kubek i naląła doń wina. Wsunęła coś do ust. Spojrzała na niego i wypila łyczek - więcej niż łyczek. Śmiało. Włożyła kubek w jego ręce i otuliła je dłońmi.

- Jeśli... - Głos jej zadrżał. - Jeśli zrobisz mi dziecko, przysięgnij, że wychowasz je jak swoje.

- Blanche...

- Przysięgnij. Jak nie, zabierz wino i odejdz. - Drżała.

- Blanche...

- Nie okpisz mnie!

Pił wino, nie odrywając od niej oczu. Ściągnął brwi. Pocałował ją. Było to łatwe - płynęli razem i stali się jednością na tak długi czas, że o mało nie wylał reszty wina.

Blanche położyła rękę na jego mostku. Nie była słaba.

- Przysięgnij - powtórzyła. - Nie każę ci udawać, że mnie poślubisz. Po prostu nie chcę, żebyś powtórzył to, co jakiś arystokratyczny łajdak zrobił mojej matce.

Gabriel usiadł na skrzyni. Miał w głowie kłębowisko myśli i zdawało się, że połowa dotyczy Amicji. Druga połowa była

zauroczona Blanche.

- Nie chodzi o to, że nie chcę przysięgnąć - szepnął. - Po prostu nie podoba mi się to, co zobaczę w lustrze, jeśli zrobię ci dziecko.

Blanche wstrzymała oddech.

- Wiem, że poślubisz królową - powiedziała nagle. - Wiem, kim jestem i kim ty jesteś.

Gabriel nie zdołał się opanować. Wybuchnął śmiechem.

- Nie. Potrafię sobie wyobrazić wiele wyników, ale akurat takich oczek nie ma na kości. - Uśmiechnął się do niej. - I skoro o tym mowa, też jestem bękartem.

Pochyliła się, jakby chciała uważniej mu się przyjrzeć.

- Naprawdę?

Wstał. Był przytłoczony jej obecnością, zapachem niemytych włosów, smakiem jej ust, goździkiem, który niedawno żuła, i tym, co powiedziała.

- Tajemnica państwowa - szepnął.

Oblizła wargi.

- Wiem, kim są twoi rodzice.

Zamarł. Czuła napięcie w jego mięśniach. Zrobił krok do drzwi, ale było tak, jakby przebywał w eterealu. Chciał podejść do drzwi, lecz zamiast tego wziął ją w ramiona. Jej ciepło wnikało w jego ręce. Bez świadomej myśli ściągnął woal z jej włosów i wsunął w nie dłoń. Miała suknię sznurowaną z boku, obcisłą jak rękawiczka, ale znalazł nagą skórę nad obojczykiem.

- Przysięgnij, psiamać! - Pchnęła go tak mocno, że usiadł na skrzyni. - Albo odejdz.

- Zabolało - mruknął. - Przysięgam na mój miecz, że jeśli spłodzę dziecko, to je uznam za moje i należycie wychowam. - Wstrzymał oddech. - Obiecuję to tylko dlatego, żebyś mnie znowu nie skrzywdziła.

Roześmiała się.

Świeczka zgasła - w ostatnim błysku światła Blanche śmiała się z jego zmieszania. Zapadła ciemność. Księżyc wędrował po drugiej stronie wieży, zamknięte okiennice przysłaniały gwiazdy. Coś szeleściło.

- Czuję, że powinienem ci powiedzieć... - rzekł do ciemności.
- Przestań mówić - poprosiła, stojąc bardzo blisko.

Jej usta znalazły jego wargi.

Po chwili dodała:

- Sznurowana z boku. Już rozluźniłam tasiemki.

Jego ręka w końcu znalazła nagą skórę...

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### Dziura Gilsona - Pyskata

Pierwsza fala boglinów uderzyła w nowe umocnienia tuż po brzasku. Właściwie nie był to atak - bogliny miały problem z przedarciem się przez moczary i rów u stóp wzniesienia, już wypełniony bagienną wodą. Kotłowały się, wystrzeliwały kamienie z proc, co było ich nową sztuczką, i hałasowały.

W końcu odeszły w młody las na zachód od Dziury.

W tym czasie zbudził się cały obóz, leżący w sporej odległości od szańców, pomiędzy starą wioską i starym fortem.

Pyskata zabrała dwie kopie na pierwszy szaniec. Mag przyszła za nią.

Bez teatralnych gestów wskazała palcem na północ i nastąpił rozbłysk-migotliwy, jakby słońce odbijało się od rozgrzanej skały w skwarny letni dzień.

Mag się uśmiechnęła.

- Muszę dokończyć szycie - powiedziała. Wróciła do obozu.

Młody Filip, jeden z moreańskich rycerzy, wyglądał trochę blado.

Pyskata się skrzywiła.

- Myślałam, że Tom budzi największe przerażenie w tej bandzie.

Odeszła sprawdzić pikietę.

Miała do przejścia długą drogę. W ciągu dwóch dni pracy ser John dokonał małego cudu budowlanego. Niski zrab, który otaczał Dziurę od południowego zachodu, był teraz pełen długich, krętych wałów ziemnych wzmocnionych belkami. Przed nim las został wycięty prawie na sto kroków do samego bagna, a spiętrzone świerki i klony utworzyły długi szaniec

Jego krańców strzegły zamknięte reduty z rowami. Po zachodniej stronie wzgórze ciągnęło się do strumienia, a od wschodu schodziło na głębokie, szerokie moczary. Pyskata miała za plecami wyższy teren ze starym fortem. Brakowało im ludzi, żeby go obsadzić, ale wiedziała, że przedarcie się przez umocnienia wymagałoby

desperackiego ataku. Nawet gdyby wróg zaatakował z zaskoczenia, poniósłby ciężkie straty.

Rozpoznała niesioną wiatrem woń upieczonych boglinów. Skrzywiła nos i wymieniła saluty ze zbrojnymi w południowej reducie. Przygotowali się do odparcia ataku i teraz wyglądali na zmieszanych i znudzonych.

- Później nie zabraknie walki - zapowiedziała. - Chryste, tylko głupiec nie może się jej doczekać.

Spojrzała nad szańcem. Ktoś przeżył, bo kamień wystrzelony z procy świsnął obok jej głowy.

- Kurwa - mruknęła. Ale była wśród żołnierzy i oddawane przez nich honory sprawiały jej przyjemność. Jeszcze nie była tym znudzona. Wyszczrzyła zęby. - Nie dajcie się trafić. To rozkaz.

Pokolenie bardzo młodych jarsayskich rycerzy odpowiedziało uśmiechami. Praktycznie rzecz biorąc, od trzech tygodni pełniła funkcję *primus pilus*. Wszyscy ją znali.

- Nie stójcie jak barany - warknęła. - Dwóch łuczników za plutejami, niech oczyszczą przedpole. Chyba wiecie, jak to się robi.

Drugie natarcie miało więcej wspólnego z atakiem. Kierował nim ktoś inteligentny, bo słyszeli rogi i wykrzykiwane rozkazy. Wrząca masa boglinów wrzuciła do rowu zaskakujące ilości drewna, trawy i innej materii organicznej, łącznie ze zwęglonymi współplemieńcami. Bogliny bezgłośnie przepęłżyły przez bagno. Towarzyszyły im impy.

Ciężka kusza szczeknęła na osłoniętym stanowisku na wzgórzu. Bełt trafił demona, który stał na jednym z niewielkich suchych pagórków na moczarach. Wrzaski trwały, dopóki ktoś nie dobił rannego. Bogliny przelazły przez rów, wspięły się na wał i zginęły.

Fala boglinów wystraszyła rolników z doliny i Brogatu, pracujących przy wycinie drzew i kopaniu. Niektórzy uciekli, kilku zdezerterowało.

Dwóch zaczęło zabijać bogliny łopatami.

- Zwerbować ich - poleciała Pyskata.

Okazało się, że obaj są parobkami, niczego nie mieli i niewiele się różnili od niewolników.

- Skąd wzięłeś wszystkich tych wieśniaków? - zapytała ser Johna.

Ser John patrzył w niebo. Mieli w budowie cztery wieże, na których miały stanąć balisty. Zastanawiał się, gdzie są wiwerny.

-W zamian za dziesięć dni kopania kapitan Albinkirku zaoferował roczne zwolnienie z podatków - wyjaśnił.

Pyskata się uśmiechnęła.

- Kapitan Albinkirku jest mądrym człowiekiem.

\*\*\*

Parę minut po drugiej po południu ustawiono kotły do obiadu. Z Albinkirku przybył konwój - czterdzieści wozów pełnych żywności, kociołków i pęków nowych strzał w płóciennych workach i kociołków. Niektóre, te mosiężne, pochodziły z Genui.

- Tęskniłaś za mną? - zapytał kapitan.

Pyskata zarzuciła mu ręce na szyję i go pocałowała. Nowsi członkowie kompanii i niektórzy rycerze, łącznie z ser Ricarem, nie kryli konsternacji. Inni krzyknęli na wiwat.

Zadarła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Wyglądasz jak kot, który spił śmietankę.

Roześmiał się.

- Zobaczymy. Śmietanka może jeszcze spać mnie. Tymczasem...

Spędził z nimi dwie godziny, omawiając niedawno zawarte przymierze, uśmierzając ich obawy związane z posiadaniem sojusznika z Dżicy. Przejechali wzdłuż dwóch pasm na południowym zachodzie od Dziury i po porośniętym bukami wysokim wniesieniu na zachód od strumienia.

Kiedy wrócili, kapitan ukłonił się w siodle ser Johnowi.

- Tyś tego dokonał. Piękne dzieło.

Ser John się wahał.

- Zamierzałem być tutaj tylko do dzisiaj... Chciałem jutro wymaszerować.

Kapitan pokiwał głową, patrząc na dalekie Zielone Wzgórza.

- Spodziewam się, że jutro będziemy walczyć, ale prawdziwy bój odbędzie się pojutrze. - Wciąż spoglądał na wzgórza. - Być może się mylę. Czarnoksiężnik może pójść w lasy na północy i ruszyć na nas po starej drodze do Ticondagi albo przez Zachodnią Kanatę.

Pyskata uniosła brew.

- Ale?

- Ale ma znacznie większe problemy z zaopatrzeniem niż my - odparł kapitan z pełnym werwy kontenansem.

- Milion potworów...

- Muszą jeść. I nie mają taboru, wozów, niczego. - Kapitan przeniósł spojrzenie na las. - Może pójść okrężną drogą, ale czy u celu będzie miał armię?

Ser John zagwizdał.

- Przynosisz mi radość - powiedział.

Kapitan pokręcił głową.

- Może jeszcze zdecydować się na marsz do Morei. Wtedy... - Westchnął. - Wtedy wszystkie nasze plany wezmą w łeb i zaczniemy improwizować. - Spojrzał na pierwsze wzniesienie. - Każdy atak boglinów czyni mnie szczęśliwym. Zły Tom powinien tu dotrzeć o zachodzie słońca.

Pyskata drgnęła. Ser John uniósł brwi.

- Przybyli posłańcy. Nadciąga tutaj cała biała banda. Górale Toma zostaną za obozem na prawej flance, w dolinach na wschodzie, na drugim brzegu Albiny. - Popatrzył na nich. - Nie zamierzam powtórzyć Chevinu. Mogę tylko mieć nadzieję, że Głóg tu jest.

Ser John przygryzł końce wąsów. Pyskata przygryzała kosmyk włosów.

- Dlaczego nie uderzy na jeden czy drugi koniec naszej linii i nas nie zmiecie? - zapytała.

Kapitan wzruszył ramionami.

- Jeśli to zrobi, będziemy mieć bitwę. Próbuję wejść w jego położenie. - Nie sądzę, żeby miał większą kontrolę nad swoimi sługami niż tylko rozkazywanie im „naprzód” i „stać”. Nie sądzę, żeby kamienne trolle mogły ustawić się czwórkami i maszerować na skrzydle. My mieliśmy czas, żeby się przygotować, i dobrze go wykorzystaliśmy. To powinno nam zapewnić zdecydowaną przewagę.

- A jednak masz wątpliwości - zauważyła Pyskata.

Czerwony Rycerz przytaknął.

- Zawsze mam wątpliwości.

Spojrzała na niego.

- Mój nauczyciel strategii w interesujący sposób definiował taką sytuację - podjął kapitan. - Mawiał, że bitwa jest sytuacją, w której obaj dowódcy myślą, że mają zdecydowaną przewagę, i jeden z nich się myli. - Wciąż obserwował dalekie wzgórza. - Staram się wejść w skórę czarnoksiężnika. Co on tu jeszcze robi? Powinien wrócić do domu i obwieścić zwycięstwo. - Zmarszczył czoło. - Coś mi umyka.

- Zabił twoją matkę, a ty uważasz, że po prostu powinien pójść do domu? - zdumiała się Pyskata. - Nie chcesz z nim walczyć?

Popatrzył na nią tak, jakby coś okropnego wyrastało jej z czoła.

- To słowa amatora, Pyskata. Sama nauczyłaś mnie czegoś lepszego. To zwykły interes.

Pyskata się roześmiała.

- Nigdy nie mówiłam niczego takiego. - Wzruszyła ramionami. - A może tak.

- Powiedziałaś. Mówiłaś o wychodkach i o seksie. Ale to ta sama lekcja. Tu nie ma miejsca na nienawiść. Liczy się tylko interes. Na wojnie liczą się pełne kotły, latryny i rozgrzani ludzie w suchych ubraniach w odwodzie. - Pokiwał głową. - Sądzę, że czarnoksiężnik nas nienawidzi. To byłoby wyśmienie.

- Zabił twoją mamę.

- Daj spokój, Pyskata. - Nagle na nią spojrzał i w jego oczach błysnęła czerwień, czego się spodziewała przez cały dzień.

- Musisz się stać bardziej ludzki.

- Ostatnio byłem bardzo ludzki. Teraz jestem kapitanem. - Miał w dłoni rękawiczkę.

Objęła spojrzeniem otaczające ich dzikie tereny.

- Dlaczego walczymy tutaj? Mówiłeś, że w Albinkirku. - Stwierdziła, że jest za. Kapitanowi coś chodziło po głowie. Pomyślała o wszystkich swoich rozmowach z Mag.

Miał minę, której nienawidziła, sugerującą, że zna wszystkie odpowiedzi i całe jego gadanie to tylko zasłona dymna.

- Myślałem, że będziemy walczyć w Albinkirku, ale sytuacja się zmieniła. Dlatego zmieniłem zdanie. Baśniowy Rycerz, Zły Tom... cesarz. - Wzruszył ramionami. - Co cię gryzie?



- Zamierzamy walczyć z Dżiczą i na terenie Dżiczy, mając w naszych szeregach stworzenia z Dżiczy. - Patrzyła na niego. - Wszystkiego, co wiem o wojnie, nauczyłam się od ciebie, Jehana, Kuma i Toma, i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to niewłaściwe miejsce. Na moczarach? W lasach?

Pokiwał głową.

- Tak.

Ściągnęła brwi.

- Nagle zostałeś kapitanem królowej. Myślałam, że jesteśmy wolną kompanią. Poszukiwaczami przygód i fortuny. Nie ludźmi, dzięki którym zostaniesz królem.

- Królem? - Zaśmiał się. - Pyskata, daję ci słowo, nie chcę być królem Alby.

Kamień spadł jej z serca.

- Ani królem Północy?

- Też nie. - Uśmiechnął się.

Nadal myślała, że jego uśmiech jest zbyt czarujący i zbyt fałszywy.

- W takim razie czego chcesz?

- Dowiesz się po bitwie - odparł. - Jest tyle aspektów, że nie mogę wszystkich spamiętać. Najpierw wygrajmy bitwę. Później zwołamy spotkanie dowódców.

To ją skłoniło do uśmiechu.

- O ile nie będziemy martwi.

- Zgadza się, w takim wypadku zebranie zostanie odwołane. - Uśmiechnął się i przez chwilę byli tacy jak kiedyś.

\*\*\*

Przed wyjazdem kapitan spędził godzinę na prywatnej rozmowie z Mag. Żadne z nich nikomu nie wyjawiało, o czym rozmawiali.

\*\*\*

O zachodzie słońca biała banda wmaszerowała do obozu ze wschodu, od strony niskich pasm, na które Zły Tom odszedł ze swoimi góralami. Przybyli pieszo i nie mieli wozów - zostawili je za rzeką.

Radość na ich widok była stonowana i niemal została zepsuta przez przypuszczony w resztkach dziennego światła atak mieszanych

sił Dżicy. Mrok nie pomógł im ustrzec się przed pułapkami; nawet ich stworzone do widzenia w ciemności oczy nie dostrzegły wykopanych kilka dni wcześniej wilczych dołów. Dwie maszyny wyrzuciły na nich kosze kamieni.

Bezgłowy obserwował to wszystko z zachodniej wieży z butelką w jednej ręce i rylcem w drugiej.

Po półgodzinie zameldował się u Pyskatej i ser Johnem na przednim szańcu nad Dziurą.

- Gelfred mówi, że są wszędzie wokół nas i szykują się do ataku na tyły obozu. - Otworzył woskową tabliczkę. - Mam cały las sugestii i dodatków do obecnego planu.

Pyskata wyglądała na zadowoloną z siebie.

Po dziesięciu minutach cały obóz stał pod bronią. Trzymali się daleko od szańców z taką bronią, jaką komu udało się zdobyć. Łucznicy obsadzali wieże, a zbrojni wszystkie cztery boki obozu.

O wschodzie księżycą zabrzmiała kakofonia rogów. Mag szyła torby do przenoszenia nowych kotłów.

Na murze ser Bescanon zadał w róg.

Mag przegryzła nitkę, wzięła kawałeczek zwęglonego płótna i pstryknęła palcami. Węgielek spłonął na popiół.

Sześćdziesiąt jardów od rowu za obozem obrońcy wyryli głęboką jamę, szeroką niemal na strzał z łuku od końca do końca. Na dnie w miękkiej ziemi zakopali gliniane dzbany zapieczętowane woskiem, zawierające po strzępku płótna z tej samej beli.

Wraz z kawałkami zardzewiałego metalu, starych gwoździ i tym podobnego żelastwa.

I kilkoma funtami prochu mistrza Smitha.

Małe dzieło Mag spowodowało sześć kolosalnych eksplozji.

W tej samej chwili otworzyła się tylna brama obozu i wypadła z niej konna wycieczka - najpierw Zak na czele dwunastu wardariotów, którzy niczym magiczna kurtyna rozsunęli się przed opancerzonymi od stóp do głów czterdziestoma rycerzami. Za nimi czterdziestu zbrojnych tworzyło tyralierę, idąc w odległości dwóch kroków jeden od drugiego.

Jeźdźcy przy świetle pochodni oczyścili drogę, ale większość

roboty spadła na piechurów. W mroku trudno jest zranić człowieka w zbroi i łatwo zlikwidować wszystko, co nie ma pancerza, szczególnie oszołomione ranne niedźwiedzie jaskiniowe i irków.

Zapach piekła opadł na ziemię - woń siarki i saletry zawisła w wilgotnym nocnym powietrzu.

\*\*\*

W nocy Mag wymieniła magiczne ciosy z czymś, co kryło się w ciemności. Przed pójściem spać postawiła nad całym obozem dwie wielkie złote tarcze, które powodowały bezsenność i konsternację tak u niedawno przybyłych mężczyzn i kobiet, jak u irków i boglinów.

Po przebudzeniu Mag stwierdziła, że na wieży młody Mortimir wypuszcza z czubków palców ogniste kule pomykające w ciemność niczym wściekle rozjarzone muchy. Gdy weszła na wieżę, popisывał się, rzucając skomplikowane łuki światła i skupione promienie czerwieni.

- Mógłbyś zaoszczędzić trochę na czas, kiedy to będzie naprawdę potrzebne - skarciła go.

Z dramatycznym świstem Morgan wyczarował wspaniałą kulę skoncentrowanej *ops*, jaśniejącej jak małe słońce, i dorzucił wijące się ramiona rozgrzanego do białości gazu. Cisnął swoje dzieło tak daleko, że znikło z oczu.

- Po co to? - zapytała Mag.

Precyzyjnie używał *ops* i robił to w skupieniu - podziwiała go bardziej jako szwaczka niż czarodziejka.

Odwrócił się i błysnął prostodusznym uśmiechem.

- Po prostu dlatego, że mogę - odparł. - Ser Milus mówi, że lasy są pełne wrogów na milę czy więcej wokół nas.

Na północnym wchodzie rozbłysła pulsująca, intensywnie czerwona jasność, po chwili napłynął głuchy pomruk, a za nim ostry trzask.

- Chciałem zobaczyć, jak daleko mogę rzucić coś naprawdę potężnego. Założę się, że kogoś zaskoczyłem.

Mag westchnęła.

- Wracam do łóżka. Proszę, nie zachowuj się jak mały chłopiec.

Skarcony Morgan zszedł za nią z wieży.

\*\*\*

Rankiem niedobitki armii cesarskiej stawily się na paradę z nowym uzbrojeniem. Otrzymali dziwną kolekcję broni - miecze i kusze z dwóch etruskich magazynów w Albinkirku; miecze, tarcze, powgniatane hełmy z arsenału w cytadeli; łuki myśliwskie i nawet kilka proc używanych do polowania na wiewiórki, a także kusze, które wyrzucały gliniane kulki zamiast bełtów.

Wszystkie zapasowe konie, łącznie z każdym rumakiem zdobytym przez kompanię na południu, zostały przekazane białej bandzie i na potrzeby całego szwadronu moreańskiej kawalerii.

Kapitan jechał ze swoim orszakiem, za nim królowa ze swoją świtą, a za nimi szło tysiąc pięciuset wieśniaków z łopatami. Nie weszli do obozu - zatrzymali się prawie milę od niego i zaczęli zakładać drugi obóz na wzniesieniu, gdzie stał stary fort.

Kapitan przemówił po archaicku do Moreańczyków. Nie krzyknęli radośnie, ale też nie narzekali. Ser Christos stanął na beczce i powiedział wszystkim filarchom, że osobiście nadzorował przygotowania zwłok cesarza i że razem zabiorą je do Liwiapolis - kiedy odniosą zwycięstwo.

Później ser Christos zabrał prawie wszystkich Moreańczyków i pomaszerował z nimi do nowego obozu.

Pyskata patrzyła za nimi.

- Co on robi? - zapytała Michaela, który już był zajęty pisaniem.

Pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że kapitan nie sądzi, żeby tutaj doszło do bitwy.

- Mówił, że tutaj? Gdzie?

Pyskata jęknęła. Michael pisał rozkazy, wszystkie numerowane. Pyskata spojrzała na niego spode łba.

- To, psiamać, za bardzo skomplikowane. Gdy nie było Toma i mnie, zerwał się ze smyczy i zaczął kreślić niebezpieczne plany, które się nie powiodły.

Michael milczał przez chwilę.

- Myślę, że tym razem się uda - powiedział neutralnym tonem.

- Dlatego jest taki gadatliwy i radosny? - zapytała.

Michael chrząknął.

- Mów! Michaelu, ile razy wstawiałam się za tobą?

- Ma dziewczynę - odparł Michael.

- Nie Amicję?

- Chodzą słuchy, że Amicja dała mu kosza. Znalazł sobie kogoś trochę bardziej chętnego. - Michael uniósł pióro. - Pyskata, to wszystko może być wyssaną z palca bzdurą.

- Królową? - warknęła Pyskata. Niemal zgrzytnęła.

- Nie. To długa historia. To jedna z dam królowej. Praczka.

W tym momencie Pyskata powstrzymała się od antyarystokratycznego splunięcia.

- Praczka?

- Pyskata, nie wiem. Czy teraz mogę dokończyć pisanie rozkazów? -Spojrzał jej w oczy. Głosem kapitana powiedział: - Nie ma czegoś, co powinnaś zrobić?

Pyskata parsknęła śmiechem.

\*\*\*

Rozmyślny Mord siedział na obozowej ulicy z Tippitem, Osiełkiem i Kumem.

- Gdzie jest Bezgłowy? - zapytał Długa Łapa. Była to stara tradycja i nawet teraz, gdy był rycerzem, lubił jej przestrzegać.

Ostrzyli stalowe groty. Łucznicy zbierali wszystkie nadające się do ponownego użytku strzały, ostre jak igła bodkiny do przebijania kolczug, i powalacze koni, które mogły wypruć wnętrzności z wiwerna, i nowe duże kamieniołamacze z drzewcami o półcalowej średnicy, tępe, ale wypełnione ołowiem, przeznaczone dla trolli jaskiniowych.

- Bezgłowy jest zbyt ważny dla takich jak my - mruknął Rozmyślny. -Mówi kopaczom, gdzie kopać. Strata czasu, jeśli ktoś mnie spyta.

Długa Łapa się roześmiał.

- Dlaczego? Podobają mi się nasze szanse za wysokim na dwadzieścia stóp szansem.

- Nie będziemy tu walczyć - powiedział Rozmyślny Mord grobowym głosem.

- Gówno prawda! - krzyknął Kum. - Jasne, że będziemy.
- Rozmyślny Mord miał na łebce słomkowy kapelusz i teraz odepchnął go z czoła.
- Jesteś pewien?
- Osiełek westchnął.
- No dobra, gadaj.
- Kapitan sprowadził konie dla każdego z tych, którzy je stracili.
- Rozmyślny Mord wzruszył ramionami. - To logiczne.
- Rycerze muszą mieć konie - zauważył Kum.
- Tippit się uśmiechnął.
- A łucznicy? - powiedział Rozmyślny dokładnie takim tonem, jakiego używał wtedy, gdy wyrzucił oczka zapewniające mu wygraną. - Niby do czego, do nędzy, nam konie, gdybyśmy mieli tu siedzieć?
- Odpowiedziała mu cisza.
- Tippit zaklął - było to jedno z jego oryginalnych, kwiecistych, trochę strasznych przekleństw, mające związek z foką i kopulowaniem. Westchnął.
- Nienawidzę, kiedy mówisz z sensem.

\*\*\*

Nie było trąbki. Tuż po północy Ganfroy jął chodzić od namiotu do namiotu i budzić rycerzy, a później poszło jak zwykle - mnóstwo zawieruszonego ekwipunku, wielu brakujących ludzi, Dębowa Ławka pijana jak biała, padające zewsząd przekleństwa. Chaos powiększyli przybywający po cichu nowi ludzie, milicja i chorągiew lorda Waylanda, Wielkiego Koniuszego. Byli to dobrzy rycerze, ale nie zawodowi żołnierze. Zajęli miejsca zwolnione przez kompanię.

- Dawno minęła pora, kiedy kładą się spać - mruknął Rozmyślny Mord.

Zamęt się skończył po niespełna godzinie, podczas której szybko wydano racje, na które składały się solona wieprzowina, boczek, groch, masło i smaczny chleb w dużych czterofuntowych bochenkach.

Rozmyślny Mord, niesłychanie zadowolony z siebie, truchtał w pierwszym świetle poranka sześć mil na północ od Dziury Gilsona.

Cała kompania - zielone stroje na przedzie, dalej orszak kapitana,

za nim czerwien i biel - jechała wolnym kłusem przez cztery godziny.

- Psiamać, nienawidzę deszczu - mruknął Tippit.

Potem coś się zmieniło i zmienił się rytm jazdy. Ptaki się budziły, niebo jaśniało.

Skręcili na północ, na wąską drogę biegnącą przez przepastne lasy. Niektórzy weterani wiedzieli, że to Zachodnia Droga do Ticondagi.

- Będzie lało - zakrakał Tom Lanthorn u boku Tippita. - Patrz, w lasach jest pełno ludzi.

To prawda, wzdłuż drogi byli ludzie z siekierami i łopatami.

Gdy słońce się wzniosło, kompania stanęła na polanie z już wykopanymi dołami pod ogniska. Droga biegła dalej na północ, w kierunku Wielkiego Skalnego Jeziora, ale robotnicy tworzyli nową na północny wschód.

Przy każdym dole leżały schludne stosy opału, połamane gałęzie i porąbane konary. Gdy jeźdźcy zeskoczyli z koni i paziowie je zabrali, z lasu wyszły kobiety.

Była tam Sukey z dwudziestoma wozami taboru.

- Nie bądźcie bezczelni - przykazał łucznikom Osiełek. - To nie nasze dziewczki, tylko z farm. Rozumiecie?

Dziewczęta szykowały potężne śniadanie, na które składały się słonina, jaja i korzenna herbata, ulubiona przez kompanię od czasów Morei.

Osiełek podszedł do ogniska Rozmyślnego.

- Dzisiaj walczymy - oznajmił.

Rozmyślny zjadł przepyszną jajecznicę i pokiwał głową.

- Też tak myślę. - Suty posiłek stanowił tradycyjną zapowiedź czekającego ich boju.

Osiełek pokiwał głową.

- Nie zapomnij robić uników - poradził.

Ruszył dalej, odchodząc od ogniska.

Niedługo później zjawił się kapitan z Pyskatą i ser Bescanonem.

- To tylko mała sztuczka dla zaoszczędzenia czasu - powiedział. - Pomyślałam, że wszyscy będą zadowoleni, jeśli po prostu wygramy i zamkniemy sprawę.

Mężczyźni się roześmiali, i kobiety też.

- Przyszło mi na myśl, że musimy odejść z tych moczarów - rzucił przy jednym ognisku.
- Tęskniłem za poranną przejażdżką - dodał przy innym i się zaśmiał.
- Zabrałem swojego sokoła, a ty nie masz swoich? - zapytał Rozmyślnego Morda.
- Szukam niechętniej damy - zakrakał do Tippita, który pokręcił głową. Przez cały czas słyszeli odgłos siekier w lesie.

## **Na północ od Dziury Gilsona, Głóg i ser Hartmut**

Hartmut sporządził makietę. Raz sam przedarł się przez moczary, a później podczas każdego ataku wysyłał ludzi, dzięki czemu zyskał dobre pojęcie o umocnieniach wroga w labiryncie ścieżek wokół Dziury.

- To ośrodek ich obrony - powiedział.

Jego słuchaczami były dwie matki-demony, jak je nazywał, wszyscy jego kapitanowie, i Głóg. Jeden dziwny wiwern - Sylch, dowódca skrzydła - też się stawił, ale nie zwracał na niego uwagi, dziobiąc coś pomiędzy rozcapierzonymi szponami prawej łapy. Przybyło również dwóch Huranów, Czarny Koc i Shag-an-ho, bystrzy mężczyźni, których niemal mógłby polubić.

I Orley.

Orley miał zbyt wiele *ops*. Było jasne, że coś się z nim stało i wskutek tego ludzie go unikali. Czarne rogi wyrosły mu na głowie, z czego, jak mogło się zdawać, nawet nie zdawał sobie sprawy.

Hartmut próbował nie zwracać na to uwagi. Przemawiał bezpośrednio do Głoga.

- Wszystko oczyścili, las i bagno na setki kroków. Całe pasmo jest jedną ufortyfikowaną linią. - Wzruszył ramionami. - Za nią leży obóz, istna forteca z wałami grubymi na piętnaście stóp i wysokimi na dziesięć. - Nie mógł się powstrzymać i mówił cierpkim tonem. - Daliśmy im tydzień i wykorzystali to, co mieli. Wieśniaków, drewno i ziemię.



Głóg się zakołysał.

- Żaden z moich czarowników nie nadwątlił obrony przygotowanej przez tę starą wiedźmę - powiedział. - Sam musiałem się nią zająć.

Okazał wahanie. Potężny czarnoksiężnik się wahał...

Pomimo ciężaru zbroi i natrętnych czarnych much Hartmut wzruszył ramionami.

- Jest nie zdobycia, chyba że sprowadzimy trebusze albo je zbudujemy. Albo po prostu spuścisz ze smyczy swoje piekielne psy, żeby rozbiły sztańce.

Głóg pokiwał głową.

- Nie takiej bitwy chciał mój pan. Jakie mamy inne możliwości?

Hartmut popatrzył na kapitanów.

- Możemy wrócić do Ticondagi i założyć tam bazę. Możemy przez całe lato zalewać granice krwią, przepędzać wieśniaków z pól i uderzać tam, gdzie chcemy, dopóki nie spłonie ostania chałupa i temu kapitanowi zabraknie ludzi do powalania drzew. Możemy wiązać jego siły, aż koszt ich utrzymania przerośnie jego króla. Możemy napuszczać potwory na ludzi, dopóki nie zrozumieją, że król nie zdoła ich chronić.

- Ich król nie żyje.

Hartmut pokiwał głową.

- Wygląda na to, że za nim nie tęsknią.

Głóg znowu się zakołysał.

- Ta twoja strategia... nie tego chce mój pan.

Hartmut, który służył kilku książętom, pokiwał głową.

- Zawsze tak jest. Ale zawsze to proponuję.

- Przedstaw mi inną możliwość.

- Zawsze możesz rzucić swoją armię na tę skałę z ziemi i drewna - powiedział Hartmut. Jego pogarda była oczywista. - O ile twoje nadprzyrodzone moce nie zapewnią ci absolutnej przewagi, twoje armia tu umrze.

Głóg pokiwał głową.

- Rozumiem. Daj mi inny wybór.

Hartmut zmarszczył brwi.

- Możemy pójść na północ, omijając tę warownię. Szerokim frontem, żeby wziąć w kleszcze i zmiażdżyć każdy napotkany opór. Omijając wszystkie silne punkty oporu. - Wzruszył ramionami. - Spróbuj przeciąć drogę. Wtedy nasz problem stanie się ich problemem: zaopatrzenie.

- My możemy żywić się martwymi, oni nie. - Głos Głoga brzmiał głucho.

- Oni mogą piec i jeść chleb. Mając wybór, wolę chleb.

- Co ze wschodem? - zapytał Głóg.

- Ma tam inną siłę, ale po drugiej stronie rzeki i za małą, żeby nam zagrozić. - Hartmut po raz kolejny wzruszył ramionami. - Chyba chce, żebyśmy poszli na wschód. Zamiast tego, skoro napłynęła nowa fala twoich potworków, ściągnę trzy czy cztery legiony tutaj i dokoła Dziury, i będę przez cały dzień rzucać je na szanice. Będą umierać powoli, dzięki czemu zyskamy czas, żeby wygrać na drodze, i tu przeniesiemy bitwę.

- Bez troski nimi szafujesz - zauważył Głóg.

- Przecież do tego służą. - Hartmut wzruszył ramionami. - Są spisani na straty. Ale w masowych falach zwiążą pozostawione tu siły, podczas gdy my uderzymy na jego flankę.

- Jego flankę - powtórzył Głóg. - Ciemnego Słońca.

- Pokonał cię wcześniej - przypomniał mu Hartmut.

- Jestem tego świadom.

Hartmut pokręcił głową.

- Chciałbym zamienić słówko na osobności, panie czarnoksiężniku.

Zamurzenie i inni się odsunęli.

- Wycofaj się i stań do walki innego dnia - powiedział Hartmut. - Taka jest moja rada.

- Nie - zaproponował Głóg.

- Potem na północ, wokół nich. Tak szybko, jak tylko damy radę. - Hartmut odetchnął. - Przez lasy. Zostaw większość boglinów, bo będą nas spowalniać. W sumie mamy ich ile? Piętnaście, dwadzieścia tysięcy? Niech idą naprzód na pasmo.

Głóg nie krył ulgi.

- I będzie wielka bitwa? - zapytał.

Hartmut się namyślał.

- Mamy szanse cztery albo nawet pięć do jednego, może lepiej. Jeśli dopisze nam szczęście i szybko ruszymy, nie dojdzie do wielkiej bitwy. Po prostu pękną i zostaną rozgromieni, gdy zajmiemy ich pozycje, albo wytrwają i zaczną przymierać głodem. Jeśli bogliny się przedrą, odniesiemy ostateczne zwycięstwo i zmasakrujemy wroga.

Zdawało się, że przez chwilę Głóg szepcze do kogoś innego.

- Masakra załatwi sprawę. Najważniejsze, żeby ściągnąć tu ich jak najwięcej. - Głóg się zakołysał. - A jeśli szczęście nam nie dopisze?

- Wtedy czeka nas straszna bitwa. - Hartmut ściągnął usta. - Niepodobna do tych, które widziałem. Nie ma sposobu, żeby przewidzieć wynik.

- Doskonale - powiedział Głóg.

Hartmut pokiwał głową.

- Skoro tak mówisz - mruknął.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### Bitwa o Dziurę Gilsona

Niebo przetarło się tuż po śniadaniu. Starzy łucznicy schowali cięciwy w nawoskowane płócienne worki, a worki włożyli pod czapki. Młodzi ich naśladowali.

Huk siekier nie ustawał.

Parę minut po dziewiątej padł rozkaz, na koń.

Kum zrobił to powoli, bo napięcie i czysty strach nasiliły łupanie w kościach.

Jechali na wschód przez buczynę, las gigantów rosnących daleko jeden od drugiego prawie bez podszytu - gdzieniegdzie trafiała się kępa kaliny, tu i ówdzie polana, czasami trawiasta, ale częściej porośnięta gąszczem malin i jeżyn. Jechali w oszałamiającym tempie drogą szeroką na dwóch w pełni uzbrojonych ludzi na roślach koniach. Droga ciągnęła się jedną milę, potem następną.

Na drugiej mili spotkali drwali, przerażonych ludzi z dolin na południu i wschodzie. I ich strażników. Złote niedźwiedzie.

Prawie wszyscy w kolumnie się wzdrygnęli, bo za niedźwiedziami zobaczyli irków - setki irków, wysokich, smukłych, groźnych, z ustami pełnymi zębów i rękami pełnymi oręźa.

Kum się zmusił, żeby jechać dalej. Na lewo od niego wielki złoty niedźwiedź, z żółtymi ślepiami na wysokości jego oczu, wyszczerzył zęby. Powiedział coś w języku, który brzmiał prawie jak albański.

Kum odpowiedział uśmiechem.

Za nim Flarch stęknął.

- Kurwa... Słyszałeś niedźwiedzia?

Kum pokręcił głową wciąż wstrząśnięty.

- Powiedział „miejmy to z głowy”.

Nerwy wzięły górę i Kum wybuchnął trochę zbyt piskliwym i głośnym śmiechem. Ludzie na niego spojrzeli.

Dalej po lewej stronie z kryjóWKi wyskoczył biały jelen. Niósł na grzbiecie najpiękniej wyekwipowanego rycerza, jakiego Kum widział.

- Baśniowy Rycerz! - krzyknęli ludzie. Niektórzy wiwatowali, w

tym wielu rolników.

Baśniowy Rycerz, który wyglądał dostojniej i wspanialej niż kapitan, przykłusował na rogaczu. Ser Gabriel czekał na swoim wierzchowcu. Wymienili uścisk dłoni.

- Miło cię widzieć - powiedział ser Tapio. - Co teraz robimy?

- Jak najszybciej będziemy jechali na wschód, dopóki nie zobaczymy Jednorożca - odparł kapitan. Jednorożcem zwano białą skalną wieżycę, która wznosiła się przy Górze Tylnego Stawu. - Stamtąd, jeśli pójdzie dobrze...

Ser Tapio uśmiechnął się i pojechali razem. Ich orszaki trzymały się z dala jeden od drugiego przez pierwszą milę spękanej ziemi, a potem powoli się zmieszały. Większość irków była szczuplejsza niż ludzie i miała znacznie bardziej staroświeckie zbroje - kolczugi z brązu, nie ze stali, i zmyślnie uformowane skórzane pancerze zamiast stalowych płyt. Wszyscy jechali wierzchem, na koniach, jeleniach i masywnych karibu, które przemierzały las lżejszym krokiem. Niewiele mężczyzn i kobiet mogłoby się z nimi równać pod względem liczby run i amuletów.

Posuwali się południowym brzegiem Dużego Skalnego Jeziora. Od czasu do czasu kapitan spoglądał na woskową tabliczkę i Kum na krótkim popasie zobaczył, że pismo pojawia się na wosku. Pokręcił głową.

- Rozpoczęli atak na umocnienia fortu - powiedział kapitan do Baśniowego Rycerza.

- Ach - mruknął ser Tapio. - Jest lepiej, niż się obawiałem. Martwiłem się, że jesteśmy myśliwymi polującymi na jelenia, który dawno uciekł.

Kapitan wzruszył ramionami.

- Z każdą milą współpraca naszych sił się polepsza.

Rzeczywiście, wzdłuż czoła długiej kolumny niedźwiedzie i irkowie wraz z ludźmi Gelfreda utworzyli tyralierę. Na północnym zachodzie od drogi, gdy minęli jezioro, równoległe do kolumny podążała długa linia boglinów, sunących przez Dzicz jak mrówki przez żwirowisko. Ludzie przystawali sparaliżowani tym mrozącym krew w żyłach widokiem, ale czuli się bezpieczniej niż bez nich.

Drwale budujący drogę drżeli i wielu musiało opanować strach, gdy mijały ich bogliny i dwa hastenochy z pyskami podobnymi do wijących się kalmarów.

Wielu się wzdrygnęło, kiedy nową drogą niezmordowanym wojennym truchtem przebiegł oddział Zamurzan. O ich obecności świadczyły tylko błyski czerwonej farby i brzęczenie srebrnych jastrzębich dzwonek w szumie lekkiego deszczu.

Nadeszło południe. Zwiadowcy wszystkich ras ruszyli w teren i ludzie zsiadli z koni, które zabrali paziowie.

Nell wyciągnęła rękę po jelenia Baśniowego Rycerza. Nie miał nawet wodzów.

- Idź z tą młodą kobietą - powiedział ser Tapio. Uśmiechnął się do niej, pokazując kły. Zwinnie zeskoczył z siodła, dając oszałamiający pokaz akrobatyki.

- Lubisz się popisywać - skomentował ser Gabriel. Przełożył nogę i zsunął się po napierśniku.

Przybyła biała banda i Toby przyprowadził Morgana Mortimira. Toby był polowym szambelanem kapitana - decydował, kogo dopuścić do wewnętrznego kręgu, a kto może zaczekać. Mortimir nie krył podeksycytowania.

- Panie - powiedział. Wyszczrzył zęby w uśmiechu do Baśniowego Rycerza i stojącej przy nim pięknej przerażającej irkowej kobiety w mosiężnej zbroi.

- Och! - krzyknęła. Śmiało przyłożyła rękę do jego policzka. - Moc!

- Ręce przy sobie, Lilith! - przykazał ser Tapio.

Irkowie się zaśmiali.

- Słucham? - zapytał kapitan. Żuł czosnkową kiełbasę i drugą trzymał w ręku.

- Panie. - Morgan wzruszył ramionami. - Trudno powiedzieć, od czego zacząć... Rozwiązałem problem końskiej plagi.

Twarz Toby'ego sugerowała, że żałuje, iż pozwolił młodzieńcowi przerwać obiad kapitana.

- Naprawdę? - zapytał ser Gabriel.

- Tak. Od samego początku miałem rozwiązanie przed nosem.

Brutalnie proste. - Wzruszył ramionami. - Co więcej, od początku miałem rację... problem powiększenia. Widzisz...

- Morganie. - Kapitan miał życzliwe spojrzenie. - Czeka mnie ważna bitwa. Muszę się przygotować. Możesz powstrzymać końską zarazę?

- W jednej chwili.

- Brawo. Podziel się swoją wiedzą ze mną i z każdym innym hermetykiem. - Uśmiechnął się łagodnie. - A potem odejdź, proszę.

Morgan miał zawstydzoną minę. Na parę sekund ich twarze straciły wyraz. Kapitan wrócił pierwszy.

- Człowiek naprawdę codziennie się czegoś uczy - mruknął. - Tapio?

Znow zniknął w pałacu i Toby przyniósł wodę, bo kapitan zawsze wracał z eterealu głodny i spragniony.

Baśniowy Rycerz pokręcił głową.

- Interesujące - powiedział śpiwnie. - Zostaw moim ludziom zrobienie czegoś z niczego. Czegoś strasznego.

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tylko ludzie są obwiniani o całe zło na świecie. - Ser Gabriel pokręcił głową. - Ale spróbujmy to naprawić i przestańmy się spierać, kto jest winien.

Ser Tapio się uśmiechnął.

- Jesteś moją bratnią duszą - powiedział.

\*\*\*

Przez cały długi, wiosenny dzień padał deszcz, nie ulewnie, ale miarowo. Ochłodziło się na tyle, że para płynęła z ust ludzi i pysków koni, niedźwiedzi i innych stworzeń. Kiedy znowu ruszyli, szybko zostawili za sobą ostatni odcinek drogi i ludzi ścinających drzewa.

Młody brodacz oderwał się od grupy drwali i stanął na drodze kapitana.

- Wybacz, panie, ale mój tata poszedł z wieloma innymi na południe, i dotąd nie wrócili. - Młodzieniec pokręcił głową. - Tata coś mówił o wycinaniu drogi z powrotem do nas. Ja na to, że...

- Gelfredzie? - powiedział kapitan. - Chłopcze, zrobimy, co w naszej mocy, żeby znaleźć twojego tatę. Wy jesteście wysunięci najdalej do przodu. Ścinajcie drzewa. Gdzieś za nami jest oksytański

książę. Potrzebuję tej przecinki, żeby wiedzieć, dokąd ma jechać. Jak cię zwa?

- Will, panie.

- Will, trzymajcie się razem i wycinajcie drzewa. - Uniósł wzrok i wymienił spojrzenie z Baśniowym Rycerzem.

- Jednorożec jest na północ stąd - powiedział Baśniowy Rycerz. - Nie muszę go widzieć, żeby wiedzieć. - Pokazał kły w uśmiechu.

Kapitan przeniósł spojrzenie na młodego Willa.

- Skręć na południe, Will. Za nami będziecie dość bezpieczni.

- Tak, panie. Ale znajdziesz mojego tatę? - zapytał młodzieniec.

Will Starling, wysoki i surowy w leśnej zieleni, poklepał chłopaka po ramieniu.

- Znajdziemy go - zapewnił.

\*\*\*

Gdy tylko kolumna skręciła, droga stała się znacznie trudniejsza. Przebycie jednej zarośniętej bobrowej łąki zabrało im godzinę i dopiero gdy wjechali na ziemię wielkich drzew i otwartych przestrzeni, Kum zdał sobie sprawę, że jadą na południe. Deszcz przeszedł w mżawkę.

Na południu zabrzmiał przeciągły grzmot, potem drugi.

Gelfred przygalopował na czoło kolumny. Machał rękami, wskazując wschód i południe.

Kapitan ściągnął wodze, wyjął kościaną tabliczkę i coś szybko napisał. Zagrzmiały rogi.

Ser Tapio zatrzymał jelenia.

- Tuż za wzniesieniem są ich tysiące - zameldował Gelfred.

- Jak daleko? - zapytał kapitan.

- Długi strzał z łuku - odparł Gelfred. Napiął kuszę i zawrócił konia. Kapitan odchylił się w siodle. Spojrzał na ser Michaela u swojego boku, na Gelfreda i przez dłuższy czas patrzył na ser Tapia.

- Ganfroy! - krzyknął bez dalszych konsultacji. - Graj „formuj front”. - Umilkł i wysłuchał bezbłędnie zagranego sygnału. - Graj „zmień konie”.

Ser Michael ruszył szybko na północ. Ser Milus przesiadł się na nowego rumaka i pośpieszył na południe.



- Chcę zaatakować - powiedział kapitan. Jego mina mówiła, że cierpi. Wszystko trwało zbyt długo. - Powinniśmy wjechać na szczyt pasma albo się cofnąć na poprzednie. - Jechali w dół, teren opadał w szeregu łagodnych i stromych zboczy jak fale oceanu aż do odległej o sześć mil rzeki Albiny. - Ale tutaj też damy radę.

- Podzielim twoje zdanie - powiedział Tapio. - Zgadzam się.

Las był widny, drzewa rosły w sporych odległościach od siebie. Moczary wokół starych bobrowych sadzawek spowalniały tyły kolumny, ale tysiące wędrujących stworzeń wydeptały drogę i nie było tak ciężko jak na czele.

- Twoi ludzie są już na skrzydłach?

- Głównie na zachodzie. Pojadę tam. Przyślij mi stu rycerzy, kiedy trzy razy zadmę w róg. - Ser Tapio się uśmiechnął. - Masz znacznie więcej rycerzy niż ja.

- Załatwione - zapewnił go ser Gabriel i wymienili uściski dłoni.

Baśniowy Rycerz pomachał ręką, zadzwoniły dzwoneczki, wszyscy jego rycerze odjechali i po chwili zniknęli z pola widzenia. Zmieniali kierunek szybko jak jaskółki.

- Ser Bescanone, zabierz trzydzieści kopii i trzymaj je w odwodzie dla ser Tapia - rozkazał Gabriel.

Rycerz potwierdził i odjechał.

Na zboczu przed nimi było pełno koni. Ich mała armia się przeformowywała. Ludzie szybko zmieniali miejsca i z kolumny powstały szeregi. Mogło się zdawać, że kompania płynie, gdy wszyscy stawali w ordynku. Nowych klepano po plecach albo popychano. Weterani pilnowali porządku. Biała banda ser Milusa prawie w połowie składała się z rekrutów, a w czerwonej było niewiele lepiej. Tylko zieloną bandę Gelfreda tworzyli sami weterani.

Kum zobaczył, że kapitan jeszcze pisze. Daleko na lewo od nich toczyła się walka. Zagrzmiały rogi.

- Chyba znaleźliśmy całą armię wroga - powiedział kapitan. - Wysyłam Pyskatą po odwód.

Uśmiechał się.

Kum nienawidził tego uśmiechu.

- Po odwód? - zapytał.

Kapitan wciąż prezentował ten paskudny uśmiech.

- Nie zastanawiałaś się, gdzie przez cały czas podziewa się mój brat?

Kum wrzasnął radośnie.

\*\*\*

Przez cały ranek słyszeli głuchoe odgłosy siekier, z zachodu i południa. Hartmut się wzdragał za każdym razem, kiedy napływał czysty dźwięk. Wyobrażał sobie długą linię fortów ciągnących się w poprzek trasy swojego marszu...

Przed południem Qwethnethogi z klanu Martwego Drzewa i hurkańscy zwiadowcy osaczyli i wybili grupę drwali.

Nikt nie stanął im na drodze, gdy wlewali się na kolejne niskie wzgórza i spływali w płytkie doliny. Hartmut nie znał kraju, ale orientował się w ogólnej topografii.

Martwiło go to, jak szybko kilka mil dziczy połknęło ich całą siłę. Jakie się okazały lasy.

Były bardziej obce niż wszystko, co dotychczas widział.

Jednakże Głóg wydawał się zadowolony z objętej trasy i parli do przodu. Dla ludzi marsz był straszny, ale Hartmut ulokował marynarzy i brygantów daleko od czoła, żeby wielkie demony, kamienne trolle i inne leśne plemiona wydeptywały dla nich szlak. W końcu wyszli na wyższe tereny z większymi drzewami i wydawało się, że z każdym krokiem ubywa kalin i okropnych olszyn.

Cunxis, jeden z wodzów Martwych Drzew, wyłonił się z lekkiego deszczu w pelerynie z piór, która czyniła go prawie niewidzialnym.

- Głogu, są niedaleko! Cała armia!

Cunxis był nieznośnie podekscytowany, jego czerwony grzebień sterczał pionowo, sztywny od nabiegłej krwi, i jego zęby niemal jarzyły się bielą.

- Gdzie? - zapytał Głóg. Słyszał bardzo cichą grę rogów nad nimi na następnym wzniesieniu, dalej na północ.

Stworzenia strzygły uszami o różnych kształtach.

Cała czereda zaczęła bez rozkazu wspinać się na zbocze pod wodzą demonów z klanu Martwego Drzewa. Za nimi popędziło tysiąc zamurzańskich wojowników, czasami ich wyprzedzając.

Posuwali się w kolumnie szerokiej na jakieś dziesięć stworzeń, miażdżąc poszycie i nabierając prędkości - ale kolumna składała się z licznych grup rozciągniętych na trzech wzniesieniach.

Hartmut splunął.

- Stać! - ryknął do swoich oddziałów pomocniczych.

Zatrzymali się, a rzeka stworzeń opływała ich jak wyspę.

\*\*\*

Nieprzyjaciele - Zamurzenie i demony - pojawili się na szczycie pierwszego wzniesienia.

Kapitan zaklął siarczyście.

- Nie zatrzymywać się! - ryknął, kiedy szyk się zachwiał.

Nawet w deszczu pierzaste peleryny, śliska skóra i sama wielkość wrogów budziły strach. Każdego nękały koszmary o demonach pod Lissen Carak.

Teren stawał się coraz trudniejszy w miarę, jak wjeżdżali coraz wyżej, a pod samym szczytem, gdzie ukazały się demony, zbocze było strome i skaliste.

- Orszak, z koni! - zawołał kapitan.

Klnąc, bo żaden rycerz nie lubi walczyć pieszo, weterani zeskoczyli z koni bojowych i przekazali je giermkom.

- Trzymać się na otwartej przestrzeni - rozkazał kapitan, gdy wchodzili na największą stromiznę.

Posypały się na nich ciężkie kamienie. Jeden z demonów cisnął kawałkiem skały dużym jak ludzka głowa i Chris Foliak zginął ze zmiażdżoną czaszką.

Jego giermek przyśpieszył, zajmując miejsce poległego, i szli dalej. Lord Wimark zatrzasnął przyłbicę, gdy mniejszy kamień złamał mu nos.

Kamienie nie były jedyną bronią wroga. Blisko szczytu czekały demony z ciężkimi toporami. Wokół nich przemykali zamurzańscy wojownicy.

Rycerze pokonali kilka ostatnich jardów osłaniani przez łuczników, którzy strzelali z bliskiego zasięgu - większość z nich już zajęła pozycje za pniami drzew wielkich niczym kolumny podtrzymujące dach kościoła.

Demony zatrzymały ludzi kapitana i nie ustąpiły ani o krok. Nell zginęła przecięta toporem prawie na dwoje. Toby zobaczył, że kapitan pada uderzony kamieniem w pierś, przetacza się i wstaje, zanim zdążył kiwnąć palcem. Sam dał się zaskoczyć i dostał czymś w głowę. Hełm wytrzymał, ale Toby z wrzaskiem runął na ziemię i przez parę sekund wokół niego śmigał szponton kapitana. Jeden demon padł trupem, drugi potknął się o własne splecione wnętrzności i sturlał się ze zbocza.

- Odwrót! - ryknął kapitan.

Toby nigdy nie widział wycofującej się kompanii. Z początku nie mógł w to uwierzyć i był tak oszołomiony, że Kum, bezpieczny za drzewem u stóp zbocza, musiał go wyrwać z gradu spadających kamieni. Demony szydziły z pobitej kompanii.

Orszak kapitana cofał się powoli, wlokąc rannych. Reszta kompanii się nie wycofywała, choć niektórzy, jak kopia ser Michaela, zdobyli szczyt.

- To była Nell? - zapytał kapitan.

- Tak - mruknął Toby.

Łucznicy w oszalałym tempie wystrzelili strzały. Kamienie nie stanowiły wystarczającej odpowiedzi i demony ponosiły straty. Jeden z ich szamanów rzucił dzieło magiczne.

Kapitan je zneutralizował.

- Słuchaj - powiedział do Toby'ego. - Słuchaj rogów. - Uśmiechnął się.

Toby słyszał tylko zgiełk desperackiej walki: brzęk stali, krzyki i wrzaski.

Nell, Chris Foliak... Nigdy nie czuł się taki zmęczony. Taki pokonany.

- Wszyscy gotowi?! - zawołał. - Jak najszybciej na górę. Wystarczy, że każdy zabije jednego. To wszystko.

Toby powiódł wzrokiem dokoła. Na pewno się nie przesłyszał? Znowu na górę?

Kapitan wyszedł zza wielkiego drzewa i kamień uderzył go w lewe ramię. Uniósł prawicę i zagrał przeciągły sygnał na rogu.

Rycerze podnieśli się z ziemi albo wyszli zza pni drzew.

Kapitan już pokonał jedną trzecią drogi na górę, pomykając po skałach jak baśniowy rumak. Toby postanowił nie patrzeć, jak w pełnej zbroi skacze ze skały na skałę.

To była obłądana głupota.

Upadł, napierśnik przyjął siłę upadku na ostrą skałę, wstał i skoczył.

Toby stracił kapitana z oczu, ale nagle nad sobą zobaczył wielkie dziobate oblicze.

\*\*\*

Czasami trzeba najpierw wejść na wzgórze.

Ironia polegała na tym, że był pewien, że ta część bitwy już została wygrana. Słyszał płynące z wierzchołka tony rogów czerwonej bandy i rozróżniał nawet krzyki Michaela. Z początku przypuszczał, że front wroga jest wąski.

To nie zmieniło taktycznej rzeczywistości. Wiedział, że musi zająć cały grzbiet, żeby zwyciężyć. Pech, że na czele wroga znajdowały się najlepsze oddziały ofensywne.

Logika była bezsporna.

Ale zmarnował pierwszą szansę i teraz musiał dowodzić z przodu, i całkiem możliwe, że zapłaci za to życiem.

Ni z tego, ni z owego, bez żadnego porządku i jednocześnie pomyślał o Harmodiuszu, o Amicji, o Blanche, o swojej matce i - kto by przypuszczał - o ser Tapiu.

Wygrana albo przegrana - być może tu umrze. I dobrze.

Pobiegł.

Miał plan - miał plan na wszystko, i gdyby nie musiał wyęczać sił, żeby oddychać w basinecie z psim pyskiem podczas wspinaczki w pełnej zbroi, mógłby się roześmiać, ponieważ nie nakreślił żadnego planu dotyczącego Blanche, będącej dlań nowym światem rozkoszy i szczęścia, światem, do którego najpewniej nigdy się nie przyzwyczai.

Planowanie jest przecenione.

Ale zaplanował, że nie będzie używać mocy, dopóki nie spotka się z Głogiem, lecz tutaj, na nagim skalnym zboczu z setką ogromnych demonów łaknących jego krwi, stwierdził, że naprawdę nie chce stracić następnego przyjaciela.

Skoczył w lewo - pewnie wylądował na dużej ostrodze skalnej w luźnym rumoszu - i machnął lewą rękawicą, rozpoczynając pierwszy z siedmiu kolejnych ataków. Nałożył warstwy *ops* z wielu dni i zmagazynował rezultaty w zawsze wiernym umyśle Pru. Nie musiał wchodzić do swojego pałacu ani wymawiać słowa wyzwającego.

Demony zginęły. Niektóre tylko straciły stopy na wysokości kostki. Ich szaman ujawnił się i rzucił najpierw mocną tarczę, żeby zapobiec powtórce, potem ogłuszający czar-młot, bardzo prosty, bardzo trudny do obrony.

Gabriel przerzucił się na walkę szpontonem. Sięgnął przez niebezpieczny teren eterealu, znalazł szamana i go subsumował, wrzeszczącego i błagającego o miłosierdzie.

Jesteśmy potworami, pomyślał. Przynajmniej ja. Ale żeby zabić mojego pazia, skurwysyny?

Szedł coraz wyżej i ścinał ich kosą swojej myśli.

W eterze ryczał:

*Chodź, Głogu. Miejmy to za sobą. Chodź, Głogu, i zdychaj.*

\*\*\*

Śmierć.

Dla Popioła wszystkie śmierci miały jednakową wartość. Co więcej, sytuacja rozwijała się zgodnie z jego przewidywaniami i płynął na fali sukcesu, z uśmiechem patrząc na usiłowania szamoczących się stworzeń. Bogliny umierały, szturmując pierwszy wał - było to bardzo satysfakcjonujące. Umierali ludzie i trolle, i złote niedźwiedzie - czuł ich słodki miodowy smak.

Awangarda wytrzymała jedno starcie, a potem rozsypała się wskutek ataku naprawdę utalentowanego maga. Popiół pomyślał, że powinien o nim wiedzieć. Myśl prześliznęła się po utwardzonej powierzchni jego umysłu i czekał, czyhał, bliski spełnienia, *ant apotheosis*, która służyła jako klucz do następnego zwycięstwa, do kaskady nieskończonych zwycięstw. Do drogi, która pozwoli wyprzedzić innych. Przynajmniej do ścieżki wiodącej ku wolności, a może nawet ostatecznej wiktorii.

Śmierć. Padł następny, potem pięciu, dwóch więcej i dziesięciu.

Czuł, że przekroczył granicę, i on, który gardził radością, poczuł

błysk czegoś bardzo do niej zbliżonego...

\*\*\*

Głóg czuł narastające uniesienie swojego pana i płynął na nim jak na fali, nawet gdy dotarło do niego wołanie Cunxisa o pomoc, nawet gdy flanki zaczęły tracić linię grzbietu i rozpoczęły odwrót. Praktycznie rzecz biorąc, jego ogromna armia jeszcze nie brała udziału w walce. Wlewała się na trzecie pasmo jak woda płynąca pod górę, niedawno wąski front rozszerzał się organicznie, gdy wszystkie stworzenia rywalizowały, żeby pędzić na czele.

Popiół już tam był, jak kochanek bliski szczytowania i żądny spełnienia, jego bełkot lał się w pustkę, którą Głóg stworzył wokół jaja w swoim umyśle.

*Chodź, Głogu,* powiedział Ciemne Słońce.

Teraz albo nigdy.

*Idę,* odparł. Zmienił formę i nastąpił wybuch czarnego światła.

\*\*\*

Toby zamierzył się młotem, celując w szponiastą stopę potwora. Nie mógł zrobić nic innego i musiał zaufać szczęściu i dobrej zbroi.

Młot opadł i demon chybił spowolniony przez strach przed tym, co zabijało jego towarzyszy. Toby znów się zamachnął - i też nie trafił. Demon opadł na jaszczurze kolano i machnął toporem, trzymając go w jednej ręce. Cios padł na skraj tarczy, obrócił Tobym i krew pociekła mu spod ramienia.

Obaj uderzyli prawie jednocześnie.

Trzymany oburącz stalowy młot sunął niemal pionowo, osłaniając głowę. Toby zadał potężny cios przeciwnikowi, tak jak go nauczył kapitan. Obuch trafił demona w prawe oko.

Potwór upadł.

Toby stał zbyt długo, przepelnięty niedowierzaniem. Ponad nim na zboczu wielcy opiekunowie podawali tyły. Po lewej stronie poruszało się coś nowego, migocząc w wodnistym świetle - ludzie w zbrojach, niektórzy konno, już na szczycie.

Ser Michael też był na górze.

Toby zobaczył kapitana. Stał w postawie, nisko trzymając włócznię, mając przed sobą puste powietrze. Kilka jardów dzieliło go

od szczytu.

Był sam.

Chwilę później to się zmieniło.

Trzasnął grzmot - wszędzie, jakby jednocześnie uderzyło tysiąc piorunów. Wzniosła się wieża czarnego dymu, wysoka jak kościelna i rozświetlona od środka przez ciemnoczerwony ogień, z rozpostartymi po obu stronach płomienistymi skrzydłami.

Głóg piętrzył się nad Czerwonym Rycerzem.

Jego laska opadła, zadając bezpośredni cios, i Czerwony Rycerz sparował drzewcem szpontona, przesuwając się w prawo.

Toby zobaczył, że zderzające się groty wybuchły oślepiająco białym światłem.

W świadomości Gabriela Głóg zadał fizyczny cios, żeby zamaskować atak hermetyczny. Tym razem nie było pogardliwych, teatralnych gestów. Na jego opancerzoną postać niczym lawina genialnie utkanej *ops* runęło sześć dzieł ukrytych jedno w drugim.

Poradził sobie ze wszystkimi w jednym mistrzowskim pokazie wykorzystania każdego dostępnego narzędzia. *Stanął z Prudencją, podniósł wszystkie osłony i amulety, i wszystko zadziało - miecz światła do parowania bełtu ciemności, idealne wyczucie chwili, już płynący kontratak - sieć splotęła, napaść na wolę uległa osłabieniu, okrążenie się nie powiodło, zostało zainicjowane kontrokrążenie i czysta biała mgła ops w większości została rozproszona...*

*Wchłonięta.*

*Został trafiony trzy razy - nie każda kontra była perfekcyjna, ale dzięki pancerzowi i runom rany nie były śmiertelne i wciąż pewnie stał na nogach, trzymając włócznię w ręce.*

*Nie było myśli. Ciął włócznią...*

*Głóg osłonił się laską, z lekkim opóźnieniem przyjął cios, sparował bełtem ciemności i się zachwiał, raniony.*

*Wyciągnął coś zza pasa, gdy pierwotne kontrokrążenie Gabriela starło się z jego pierwszym dziełem i rzuciło je z powrotem na niego. Czarnoksiężnik zgubił wątek swoich czarów i...*

*Pierwsze ukształtowane dzieło Czerwonego Rycerza w eterealu okazało się po prostu zbyt wolne - stracił warstwy obronne i teraz był zdany*



wyłącznie na siebie. Był zbyt wolny - Głóg, choć dwa razy raniony, zdołał znowu rzucić i radość Gabriela zgasła, gdy zachwiało nim genialne dzieło zaćmienia - coś trzasnęło mu w boku...

Laska Głoga uderzyła go w rękę. Utwardzona stał wgięła się jak blacha i pękły kości w przedramieniu.

*Prudencja wirowała, szykując następne dzieło, czekając tylko na wyzwajające je słowo.*

Ból niczym ryk ulewy i bębny grzmotu narastał w boku i ramieniu, ale Czerwony Rycerz na to nie zważał.

W jednej chwili - *Blanche, jej ręka, ciemność*- porzucił swój plan.

Zakręcił włącznią w drugiej fencie, przełożył drzewce w rękach.

- *Fiat lux!*- krzyknął, z opóźnieniem wypuszczając dzieło.

Głóg potraktował jego dzieło ze zdroworoządkowym szacunkiem i odbił je masywną tarczą...

Ale tym razem atak był pozorowany. Smocza włącznia zakończyła obrót i Czerwony Rycerz z całej siły dźgnął w nieosłonięte krocze Głoga.

\*\*\*

Po drugiej stronie wzniesienia Hartmut zobaczył w deszczu intensywne migotanie światła. Na prawo od niego i za nim cała horda Głoga niczym nieprzerwany dywan sunęła w górę zbocza na ostatnie wzniesienie.

Starcie - jeśli rzeczywiście było to starcie - trwało od niespełna piętnastu minut. Nawet jego rycerze się wzdrygali, słysząc potężne wybuchy, które wyznaczały centralny punkt konfliktu, i stały potok rannych demonów nie dodawał im otuchy.

- Głogu! - ryknął Hartmut.

Nie otrzymał innej odpowiedzi niż szum deszczu i potrójna eksplozja światła - trzy szybkie błyski i obsceniczne falowanie, będące uderzeniem nieopisanie wielkiego skrzydła. A wokół skrzydła - skrzydła tak wielkiego jak trzon jego armii - wirowały kości, w jednej chwili odarte z ciała przez czary. Z demonów i Zamurzan, ludzi i bestii, rycerzy i koni w ciągu jednego uderzenia serca zostały gołe szkielety.

Skrzydło było długie, granatowo-czarne, usiane żyłkami delikatnie

jarzącej się purpurowej czerni. Poruszało się ze śmiercionośną elegancją.

Ser Hartmut miał kłopot z ogarnięciem jego ogromu i wciąż nie wierzył własnym oczom.

Przesuwające się skrzydło obaliło go wraz z koniem na ziemię.

\*\*\*

Mag wstała.

- Nadchodzi - powiedziała głośno, co było o tyle interesujące, że nikt jej nie towarzyszył.

W pierwszej linii fortów nie było żywej duszy - przeklętej, błogosławionej ani żadnej innej.

Zgodnie z jej planem.

Lord Wayland, Wielki Koniuszy i ich oddziały wytrzymali dwa natarcia wręcz niewyobrażalnej hordy boglinów. Pospolite ruszenie z północnego Brogatu walczyło, z jej hermetycznym wsparciem, dopóki nie zapełniło bagna i wszystkich rowów martwymi potworami.

Obecnie wróg gromadził się po drugiej stronie moczarów i przygotowywał do kolejnego ataku. Ludzie lorda Waylanda z zadowoleniem posłuchali rozkazu i odmaszerowali na tyły, na wyższy, bezpieczniejszy teren.

Mag została. Mag miała własny plan.

- Nadchodzę, Johnie - rzekła, jakby jej kochanek był tam z nią.

Jak szept deszczu w wiosenny dzień, nadciągnął - zestalająca się czarna chmura.

Mag stanęła na palcach i chlusnęła ogniem na odległe o kilka mil formacje potworów. Wypuściła swoje dzieło w eterealu w chwili, gdy był przenikał do realnego świata i przebywał jednocześnie w obu światach. Nie rodził się, na co miała nadzieję, ale przybywał w pełni dojrzały

Mag spacerowała samotnie w pustej fortecy z ziemi i drewna. Pozwoliła wysmyknąć się wszystkim więzom, które wiązały jej moc. Nie znała praw wszechświata i nie miała pałacu pamięci, więc jej dostęp był bezpośredni i bezkompromisowy.

Błękitny ogień skoczył w niebo.

\*\*\*

Po drugiej stronie bagna niezliczona, pełzająca masa boglinów z jednego gniazda przygotowywała atak na niskim terenie. Miały płoty, drabiny, duże osłony z jeżyn, liny z pędów winorośli i trawy. Były ich dwa pełne pokolenia. Zostawiono je z Exrechem, żeby obserwowały - i pożarły - górali.

Później, kiedy flanką wroga zostanie oskrzydłona, a ich kuzyni wyścielą drogę ciałami, miały przypuścić szturm na fortecę.

Nie zjawił się ani jeden góral.

\*\*\*

Prawie pięć mil dalej na południe górale o brzasku przebyli górną Albinę, klnąc i ślizgając się na mokrych kamieniach i wypatrując w dalekiej linii lasu miejsca na zasadzkę, którą chcieli urządzić. Pod koniec przeprawy wystąpiła przeciwko nim garść irków i Kenneth Dhu zginął trafiony strzałą w gardło. Rośli mężczyźni w długich kolczugach rozbili wroga i zabezpieczyli brzeg, po czym ruszyli nie na zachód ku sprzymierzeńcom, ale prawie prosto na wschód, jakby maszerowali do Morei, zapuszczając się jeszcze dalej na bagniste równiny. Równoległe do nich po drugiej stronie rzeki, gdzie biegła stara droga poganiaczy, wędrowało stado pędzone przez koniuchów i kilku starych pograniczników.

Zanim stado dotarło do odległego o dwadzieścia mil najlepszego brodu, górale już go oczyścili, atakując zasadzkę od flanki. Ludzie Toma Lachlana sprawili się tak szybko, że on sam nawet nie zdążył wyryczeć swojego okrzyku wojennego ani zakrwawić miecza.

- Dalej, chłopaki - powiedział. - Sprowadźcie stado. Teraz pomścimy Hectora.

Rzeczywiście, znajdowali się w okolicy, gdzie poległ wielki Hector, nad tymi samymi strumieniami. Chmara duszków przyleciała z porannym deszczem i ciągnęła z nimi, pomykając wśród długich rogów bydła.

Donald Dhu miał kamienną twarz, ale wciąż pociągał kciukiem wzdłuż wielkiego miecza. Tom rozpoznał w nim człowieka, który szykuje się na śmierć.

- Był wspaniałym chłopakiem - powiedział.

- To głupi plan - warknął Donald Dhu. - Jesteś takim samym

wariatem jak twój kuzyn.

Tom Lachlan ściągnął brwi.

- Powtórz mi to o zachodzie słońca.
- Wszystko przez tego twojego Czerwonego Rycerza.
- Ja jakoś go znoszę.

- Poważnie? Nawet jeśli wysyła na śmierć twoich ludzi, żeby ocalić swoich? - Gniew błysnął w podkrążonych oczach Donalda Dhu.

Tom nawet się nie skrzywił. Kiedyś mógłby to zrobić. Teraz tylko patrzył.

- Drogi Donaldzie, straciłeś wspaniałego chłopaka i to woła o pomstę. Ale jeśli się nie zamkniesz, osobiście rozwalę ten twój okrągły łeb. - Skinął głową i pchnął konia, zostawiając Donalda.

Nikt się nie roześmiał, ale Red Rowan i Daud zwany Krową zarzucili topory na ramiona i podążyli za Złym Tomem. Nie minęło wiele czasu, a wszyscy górale śpiesznie się przedzierali przez gąszcz na skraju bagien i mokradeł.

Dwie godziny później zwierzęta wyszły na suchy grunt. Dotarli na skraj trawiastej łąki, gdzie ubiegłego roku Hector zostawił swoje stado. Tom wysłał dwóch młodszych wojowników, żeby się rozejrzeli, po czym zsiadł z konia, ulokował się pod drzewem i uciął sobie drzemkę. Wyżej w górach szalała potężna burza i co chwila słyszeli trzask błyskawicy, dudnienie gromu.

Tom zbudził się z uczuciem, że spał zbyt długo. Ale jego ludzie, a było ich prawie tysiąc, porządnie wypoczęli i zjedli posiłek. Kazał im sięść na koń i pognać stado z powrotem na zachód przez widne lasy po obu stronach starej drogi.

Burza w górach szalała z niespotykaną siłą i nagle w jednym potrójnym potężnym huku stało się jasne, że jest nie dziełem natury, ale tworem istoty rozumnej.

- Na cycki Tar... - zabluznił Donald Dhu.
- Dalej! - ryknął Tom.

Stu ludzi podchwyciło jego okrzyk, wysokie ni to wycie, ni zawodzenie, i bydło przyspieszyło. Tu i ówdzie młodsze zwierzęta padały na ziemię i stado zaczęło się rozbiegać wachlarzem po lesie.

Tom chciałby mieć skrzydła, żeby móc określić swoje położenie,

ale nagle, jakby jakiś bóg się nad nim ulitował, zobaczył ogromny klon o wielkim pniu z wystającym guzem, prastare drzewo nazywane przez jego ludzi Bogiem Lasu. Pień był dobrze znanym znakiem orientacyjnym. Tom wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Odezwało się coś upiornego. Głos był przeraźliwy, wysoki, bez cienia litości dla ludzi. Istota wyła w ciemności, kiedy jeszcze nie było gwiazd, kiedy miały minąć eony, zanim ludzka ręka zesześci ziemię. Nawet górale byli przestraszeni.

W większości.

Chociaż źródło skrzeku znajdowało się co najmniej milę dalej, Tom Lachlan wyciągnął wielki miecz.

Odwrócił się w stronę konnych poganiaczy, uniósł róg i zadał.

Odpowiedzieli krzykami, trąbieniem i strzelaniem z biczów.

W dwadzieścia uderzeń ludzkiego serca rozproszone zwierzęta zbiły się w jedno wielkie stado. Kierowane jedną wolą spanikowały.

Popędziły.

Stado szerokie na więcej niż długi strzał z łuku pędziło na zachód wzdłuż drogi, zapełniając las od krańca do krańca.

Popiół szybował, rozkoszując się pędem wilgotnego powietrza pod skrzydłami, wolny po raz pierwszy od eona - ucieleśniony, pełen życia i mocy. Niemal od niechcienia rzucił czarami w śmiertelników, gdy przeleciał nad grzbietem, i unicestwił połowę irków z N'gary. Czerwień jego ognia i szlak śmierci sprawiły, że kompania stanęła jak wryta i nawet jego armia zastygła z przerażenia.

Przypomniał sobie o akcie oddychania i odetchnął.

Skręcił, niemal leniwie, i błękitny ogień Mag uderzył go w bok pod prawym skrzydłem, gdy się unosiło...

Jego wrzask zabijał. Jego gniew był namacalny - czerwony ogień przemknął wzdłuż pasma. Ludzie umarli - Osiełek, Tom Lanthorn, Dagon La Foret i Tancred di Piast, ugotowani na śmierć w swoich zbrojach, zabici prawie na miejscu wraz z setką kopii kompanii. Rana sprawiała, że Popiół skręcił na południe i ogień jego wściekłości przemknął nad demonami o czerwonych grzebieniach, trafił w kohortę trolli i powalił bezsilne szeregi Zamurzan szykujących się do odbicia pasma, eliminując ich w cztery uderzenia serca tak, jak

palenisko w kuźni pożera węgiel.

Ogień Mag wciąż go parzył. Nie zgasł, nie był zwyczajnym ognistym pociskiem. Był majstersztykiem zimnego gniewu i ludzkiej subtelności, dziełem kobiety, która umiała zaplanować i wykonać każdy ścieg na haftowanej narzucie. Ona niczego nie zapominała.

Popiół machnął skrzydłami i ruszył na poszukiwania. W eterealu sięgnął po nią i znalazł... kolejny złoty mur. Z rykiem ciskał czystą *ops*, wielkie niekontrolowane kule, a ona przetrwała atak bez utraty sił i znowu uderzyła.

Tym razem wiedział, na co ją stać, i odbił prawie cały cios, nie licząc lekkiego oparzenia.

Cztery mile były niczym dla jego wielkich skrzydeł - przebył je w mniej niż minutę, ale ta kobieta przez ten czas opierała się jego woli i gniewowi i przytłaczającej, a jednak bezsilnej potędze jego niezrównanej mocy.

Przez tę minutę ogień palił jego bok i Mag uderzyła jeszcze sześć razy, zwiększając tempo ataków.

Niemal się bał.

Ale po siedemdziesięciu uderzeniach wielkimi skrzydłami znalazł się nad nią i w jednym syku jasnego oddechu spłonęła na popiół, jej tarcze zostały pokonane, wola wygasa.

Zmniejszył wysokość i teraz był prawie na poziomie rzeki. Widział pogrom swojej straży tylnej - coś pokotem powaliło jego bogliny.

Ale zawsze było ich więcej. Lasy wciąż były pełne, pomimo triumfu jakiegoś panicza i jego bydła. Skręcił na czubku skrzydła i wyrzucił swój gniew nad górnym obozem, lord Wayland spłonął, Wielki Koniuszy został poważnie poparzony, a dwustu rycerzy i pół pokolenia brogackich rolników zmarło, wdychając ogień.

Przeleciał nad polem bitewnym na zachód od Dziury i znowu zionął, i stado bydła zostało upieczone. Następnie skręcił na poszukiwanie ludzi. W swoim gniewie palił, przy każdym zionięciu zmniejszając wysokość, aż jego ogromne skrzydła przysłoniły słońce i zdawało się, że muska nimi czuby drzew.

\*\*\*

Tom Lachlan wzniósł miecz nad głowę, gdy potwór niczym czarna

burza pojawił się nad drzewami, i nagle otoczyła go chmara duszków.

Smok był większy niż zamek, dłuższy niż największa budowla w Liwiapolis i mknął w powietrzu jak wielki okręt wojenny, pchający przed dziobem niewidzialną falę grozy proporcjonalną do jego rozmiarów. Red Rowan i Wille Hutton, zatwardziali zabójcy, padli na twarze. Wielki topór wypadł z pozbawionych czucia palców Dauda Krowy, a Donald Dhu przeklął Boga, lecz Tom Lachlan uniósł głowę.

- Na przysięgę, jaką ci złożyłem, Smoku! Teraz żądam, pomścij mojego krewniaka! Stoimy w Kręgu! - ryknął.

Głos zaginął w szumie przelotu Popioła - niesłyszany, ale odczuty. Tom prawie sam stał przeciwko stworzeniu tysiąc razy od niego większemu. Ale wszędzie wokół niego tańczyły duszki, mknęły jak kolorowy wiatr, i nagle rozbłysły niczym ogień w świeżej brzoźowej korze, eksplodując we wszystkie strony. Dał się słyszeć głos Hectora: *Pomścij mnie.*

Czystym trafem - albo za sprawą woli boskiej - akurat wtedy smok zakończył wydech i wciągał powietrze, a przy tym wypatrywał znacznie straszniejszego wroga niż jeden żaloszny człowiek. Załopotał wielkimi skrzydłami, uniósł głowę i mimo woli odskoczył od wybuchu barw i potężnych dusz, które imitowały duszki. Jego opancerzony brzuch niemal dotknął ziemi przy drodze, gdy próbował się wznieść.

Zły Tom podskoczył na końskim grzbiecie i jego miecz, podarowany mu przez Smoka, uderzył. Skrzydlate duszki unosiły go przez pięć uderzeń jego wielkiego serca. Rana powinna być niczym więcej niż ukąszenie muchy dla człowieka, ale Tom miał silne ramię i pewne oko: długie czarne ostrze wniknęło bardzo głęboko i rozcięło brzuch na długości czterdziestu stóp, gdy smok przelatywał.

Tom spadł na ziemię i się przetoczył. Skoczył na nogi z mieczem nad głową, gdy wielkie krople czarnej krwi spadały na ziemię.

- Trafiłem plugastwo! Lachlan za Aa!

Stwór miał nowy cel na myśli i odleciał. W odpowiedzi na zew Toma Lachlana drugi wielki smok przyleciał nad pole bitwy.

\*\*\*

Na polu bitwy wokół Dziury Gilsona wszyscy - Nita Qwan

ostrożnie przeskakujący od drzewa do drzewa podczas okrążania kolumny Głoga,

boglin Sleck, próbujący nie ustępować pola, żeby utrzymać szczyt wzgórza, irk Tilowindle, usiłujący zrozumieć otaczającą go śmierć, niedźwiedź Krzemień, walczący łapa w łapę z kamiennym trollem na wierzchołku wielkiego wzniesienia - wszyscy widzieli dwa smoki kotłujące się w potężnej podniebnej walce. Popiół lśnił czernią, z wciąż płonącym błękitnym ogniem, który nie zgasł po śmierci Mag, a mniejszy, smuklejszy Smok Erchu błyskał stalową szarością i szkarłatem.

Oba kolosy zionęły i niebo stanęło w ogniu.

\*\*\*

Głóg stęknął i się zachwiał, gdy grot włócznie Czerwonego Rycerza głęboko wniknął w jego ogniście mroczną postać.

Kiedy Czerwony Rycerz przygotowywał swoje ostatnie dzieło, Głóg wyrwał ociekającą włócznię z peleryny cienia i odrzucił ją na bok.

- Nie tam mam serce - rzucił drwiąco, ale głos mu się załamał i znowu się potknął.

- *Zwyczajna błyskawica - powiedział Gabriel do Prudencji.*

*Postuchała. Posągi zawirowały i znaki astrologiczne się ustawiły.*

- *Patrz - powiedział.*

*Chwytając nic oszczędzaną od tygodni - więź łączącą eterealnego Głoga z jego wielką ómą - przestał swoje proste dzieło, które popłynęło niczym woda akweduktem do spragnionego miasta.*

- *Podobieństwa się przyciągają - mruknał.*

Głóg zadygotał, gdy niszczycielska siła przemknęła pod tarczami i go rozdarła. Upadł, jego wielkie ogniste skrzydła uderzyły w ziemię i ściółka się zatliła - dym buchnął nad ruiną jego ciała i rozległ się krzyk, jakby młoda kobieta rodziła. Kiedy Gabriel skoczył do przodu, Głóg zniknął. Jego laska upadła z ostrym klekotem, a ogniste skrzydła płonęły jeszcze chwilę i zgasły.

Gabriel z wahaniem postawił stopę na lasce, niepewny swojego zwycięstwa. W tej samej chwili Popiół uderzył na kraniec linii Baśniowego Rycerza. Wielki wąż ognia padł na ziemię i niemal go



oślepił, ale zaraz potem uniósł tarcze - miał ich trzy - żeby osłonić swoją chorągiew i część czerwonej bandy, gdy ogień omiatał wzniesienie. Płomienie w cztery uderzenia serca zabiły piątą część kompanii, a potem bez przeszkód pomknęły na południe.

Czysta siła bombardowania *ops* powaliła Gabriela na kolano. W tym czasie smok skręcił na południe. Kapitan zmusił zmęczone nogi, żeby podniosły opancerzone ciało. Czuł pot i strach jak zimną, szlamowatą rękę na plecach i brzuchu. Działo się coś złego.

Był kilka kroków od szczytu i pobiegł, podnosząc włócznie z ziemi. Z szokiem zobaczył, że jego lewa dłoń zniknęła wraz z większą częścią przedramienia. Po prostu zniknęła.

Zwalczył szok. Wszystko go szokowało - ogrom smoka, urata ręki...

Na szczycie zobaczył.

Pod nim wił się trzon armii wciąż wiele razy większej niż jego siły. Ci, którzy zdążyli wdrzeć się na szczyt wzgórza, właśnie zostali unicestwieni przez smoka, który poczynił więcej szkód we własnych szeregach niż w jego kompanii. Jego armia miała wyspy hermetycznej ochrony - Baśniowy Rycerz, księżna Mogon, Harmodiusz, lord Krevak, Morgan Mortimir i on sam osłaniali część swoich ludzi.

- Mój Boże... - szepnął.

Słowa nie przebrzmiały, gdy smok uderzył - zionął niebieskim ogniem i poleciał wzdłuż pasm na południe.

Do Mag. Gabriel wiedział, co zrobiła szwaczka i jaki będzie nieuchronny wynik. Stał jak sparaliżowany przez większą część minuty, kiedy ona samotnie mierzyła się z bogiem. Patrzył, jak smok maleje w dali, i każde uderzenie potężnych skrzydeł widział jako znak, że nie udało mu się jej dopaść.

Nagle wyrwał się z transu - przecież musi wykorzystać czas, jaki dała mu Mag, inaczej jej starania pójdą na marne.

- Do mnie! - ryknął. - Ganfroy!

Ganfroy był połamaną lalką rzuconą na skały, żeby się nigdy więcej nie podnieść. Pod nim leżała pogięta trąbka.

Gabriel uniósł swój róg z kości słoniowej i zadał.

I przybyli.

Przybył Danved ze złamanym mieczem w rękach, schylił się i z trupa demona o czerwonym grzebieniu podniósł młot bojowy z kamienną głowicą. Przyszedł Bertran ze sztandarem, a za nim Francis Atcourt i Philippe de Beause. Przyszedł Kum i Toby, i Kot Evil, i Diccon, który miał pustkę w oczach, bo kochał Nell i widział, gdzie leżą jej zwłoki, i Ricard Lanthorn, boleśnie świadom, że jego brat spłonął niemal u jego boku, i Flarch, i Adrian Złotnik, i nawet Nikomedes. Wszyscy przyszedli i formowali szeregi, gdy paziowie podprowadzali konie.

Po lewej stronie Gabriel widział ser Michaela wskazującego w dół wzgórza. Po prawej ser Milus stracił połowę swoich kopii w jednym niszczycielskim ataku, a dalej stała sparaliżowana z szoku biała banda.

Milus przeszedł pomiędzy zwęglonymi zwłokami swoich ludzi i podniósł drzewce ze starym kompanijnym sztandarem Świętej Katarzyny. Z jakiegoś powodu - za sprawą jakichś czarów, jakichś starożytnych runów- szary, pokryty sadzą jedwab wciąż trzymał się drzewca, więc śmignął na wietrze jak jęzor płomienia.

Rozległ się słaby okrzyk. Daleko mu było do wiwatu, ale w tych okolicznościach...

Gabriel pobiegł, nie bacząc, że nie ma lewej ręki. Nie czuł bólu, stracił niewiele krwi. Na razie,

Zatrzymał się, w jednej ręce uniósł włócznię i wskazał nią wroga na dole.

- Ruszamy! - krzyknął. - Głóg was nie pokonał i smok nie zdołał was zabić, więc teraz zwyciężymy!

Zamiast czekać, aż wróg wedrze się na szczyt albo na wynik powietrznej walki, kompania i jej sprzymierzeńcy runęli w wir bitwy w cieniu śmierci, a kiedy uderzyli, potwory się cofnęły.

\*\*\*

Hartmut nie mógł oderwać oczu od smoków.

Uznał, że zwycięstwo wielkiego potwora z pewnością będzie oznaczać koniec konfliktu. Ale teraz, gdy nieprzyjaciel runął ze wzniesienia na jego włóczników, zobaczył, jak wielkie zniszczenia spowodował czarny smok. Podkradając się, unicestwił prawie całą

straż przednią, która powinna tworzyć lewy kraniec linii, a po prawej stronie jego ogień spalił demony i tysiąc innych stworzeń.

Daleko na prawo od niego tysiące boglinów toczyły brutalną chitynową bitwę, a na stromym skalistym wierzchołku wielkie niedźwiedzie i kamienne trolle zmagaly się w dręcząco statycznych zapasach.

Na lewo wrodzy irkowie wspinali się na szczyt, a za nimi Zamurzenie wypuszczali strzały, które nieszkodliwie spadały pomiędzy jego ludzi.

Mimo wszystko nadal panowała równowaga. Jego ludzie byli zdyscyplinowani i jeszcze niezbyt zmęczeni.

- Na wzgórze! - krzyknął. - Prosto na nich!

Bryganci opuścili włócznie i rozpoczęli powolny marsz pod górę. Marynarze wypuścili serie bełtów.

Miał przed sobą ludzi. Widział ich, porządne zbroje płytowe i porządnie miecze. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, bo nigdy nie bał się ludzi. Dobył miecza. Gdy głównia wybuchła płomieniem, jego podkomendni krzyknęli na wiwat. Ser Cristan wskazał płonący miecz i wyryczał wyzwanie. Ser Louis zaczął przemieszczać swoich rycerzy na otwarty teren po lewej stronie, żeby zlikwidować wrogich Zamurzan.

Mam ich, pomyślał Hartmut.

Na lewo od niego wrodzy Zamurzenie ruszyli do ataku. Omijali go, co wprawilo go w chwilową konsternację. Biegli i krótkie minuty dzieliły ich od rozgromienia przez ser Louisa i jego kawalerię. Marynarze wypuścili kolejną miazdzącą serię bełtów w opancerzonych ludzi na zboczu, lecz drogo za to zapłacili zasypani strzałami z długich łuków.

Bruzdy pożłobiły twarz Hartmuta, gdy patrzył spod ściągniętych brwi.

Było za późno, żeby uniknąć starcia.

Za dzikusami powiewał sztandar, niebiesko-żółta oksytańska szachownica. I drugi, którego Hartmut nie znał, i jeszcze jeden - szereg konnych rycerzy wjeżdżał na zbocze przez widne lasy za linią Zamurzan dowodzony przez księcia Oksytanii.

Przeklął Boga i poprowadził ludzi na kompanię.

\*\*\*

Zgodnie z przebiegłym planem kapitana pospolite ruszenie z północnego Brogatu i gwardia królewska powinny wystarczyć, żeby utrzymać wyższe pasmo i zablokować drogę. Ale kapitan nigdy nie wziął pod uwagę czystej grozy smoczego oddechu ani zwartych legionów boglinów. Kiedy padł północny szaniec, Rebecca Almspend i Dezyderata przez trzy długie minuty stały wśród zwęglonych belek i ludzi pośrodku obozu, oparte o siebie plecami, i zabijały wszystko w zasięgu wzroku, władając mocą w sposób, jakiego żadna z nich nigdy bezpośrednio nie próbowała. Almspend miała moc uczonej, a królowa kochanki. Do dzisiaj.

Dezyderata cisnęła mocą, głośno modląc się o błysk słońca i z przerażeniem patrząc, jak ucieleśniony Popiół zaciemnia niebo zwarty w śmiertelnym uścisku z rywalem. Rzuciła tylko jedną złotą błyskawicę, żeby spenetrować jego skórę, po czym wróciła do podnoszenia fali u swoich stóp. Behemot o czerwonych kłach miażdżył ludzi i namioty, a za nim szeregi hastenochów tratowały tych, którzy z równą determinacją nie ustępowali pola. Bargesty rzucały się na wszystko, na co miały ochotę.

Blanche Gold patrzyła, jak wszystkie ich nadzieje wałę się w gruzy. Stała z krótkim mieczem przy łóżku małego króla. Nie miała mocy, żeby walczyć ze smokami, i nie miała *ops*, żeby wesprzeć królową. Dlatego strzegła mamki i dziecka, a kiedy padł północny mur i do namiotu wdarły się stwory, jęła je zabijać.

Znowu ocalił ją Pavaló Payam. Znow, jak wcześniej, pojawił się w ostatniej chwili, kiedy zabiła dwa bogliny i walczyła z trzecim, który wgrzył się w jej udo. Mężczyzna przeciął ściankę namiotu, jego miecz wykonał płynne, oszczędne ruchy - oglądanie takiego pokazu było niemal warte bólu - i stworzenia padły. Oczyszczył namiot, nie zwracając uwagi na wrzask mamki, pozdrowił Blanche skinieniem głowy i wyszedł przez tylną ścianę.

Blanche po chwili spostrzegła, że krew z jej rany ścieka na łóżko królowej. Otrząsnęła się z szoku i przystąpiła do działania.

Gdy okręciła udo zapasową koszulą, rozbrzmiał ryk - tak potężny

i długi, że zdawało się, iż płynie z gardeł tysiąca ludzi, i to nie jednego tysiąca.

\*\*\*

Ser John Crayford widział, jak pada północny szaniec, i zaklął. Przeklinał przede wszystkim pewnego aroganckiego młodego człowieka, który wczoraj znał wszystkie odpowiedzi. Przeklinał również swój instynkt. Ogrom smoka przekraczał wszelkie wyobrażenia.

Ser John miał garstkę swoich rycerzy i moreańską kawalerię, która kilka dni wcześniej dostała paskudne cięgi. Miał ser Giorgosa Komnena. I ser Christosa.

Pokręcił głową i zwrócił się do tego ostatniego:

- Muszę ratować królową.

Ser Christos widział pogrom i chaos w środku obozu. Tysiąc wieśniaków w kilka sekund zostało żywcem obdartych ze skóry. Spojrzał na ser Alkajosa, który widział taką rzeź w Albinkirku. I na ser Giorgosa, który to widział w Gospodzie.

Ser Alkajos popatrzył na ser Johna i spojrzenie zawierało ich wiedzę absolutną.

Podróż w jedną stronę.

Ser John chciałby się pożegnać ze swoją Helewizą. Chciałby łowić ryby w setkach strumieni i oglądać czerwono-złoty błysk, gdy pstrąg chwytą przynętę. Chciałby żyć wiecznie, gładząc plecy Helewizy albo słuchając, jak szepcze jego imię.

- Jebać to - mruknął. Uśmiechnął się bez śladu wesołości. - Klin. Dwa kliny.

Moreańczycy pod wodzą ser Christosa bardzo szybko sformowali klin.

Obaj mężczyźni zetknęli opancerzone pięści.

- Chronić królową - powiedział ser John. - Ja spróbuję oczyścić szaniec.

Ser Christos namyślał się przez chwilę.

- Dopilnujmy, żeby to było warte naszego życia.

Wykrzyczał rozkazy do Moreańczyków, niegodnych zaufania, niewypróbowanych, stojących na południowych szanćach.

Moreańczycy chwycili swoją różnorodną broń i zaczęli formować taxeis. Byli wśród nich Nordykanie, górale i spieszona miejska jazda. Byli stradioci i starzy weterani piechoty z Tracji, i młodzi obozowi pachołkowie, którzy prawie nie mieli do czynienia z orężem.

- Drugi raz nie uciekną - zawyrokował ser Giorgos. - My też nie. Ruszamy.

Ser John był prawie szczęśliwy.

- Zasłużmy na piosenkę - powiedział jak człowiek północy, którym był.

Dwa kliny miały niewiele miejsca, żeby nabrać pędu, a obóz był istnym rumowiskiem. Na szczęście nie zapewniał dostatecznej osłony, żeby bogliny mogły wytrzymać szarżę ciężkozbrojnych jeźdźców.

Kliny przebiły się przez front wysłanej przez nie fali przerażenia i idący w zwartym szyku Morańczycy runęli w stworzony przez siebie chaos.

Wielkie topory jęły rąbać, a włócznie dźgać, i zginęło tysiąc boglinów. Moreańska piechota krok po kroku posuwała się do przodu.

Ser Christos genialnie prowadził swoich ludzi; jego miecz przypominał żywą błyskawicę i wielki człek zginął z głową rozplataną po żuwaczki jednym potężnym ciosem. Klin wbił się głęboko w centrum obozu i końskie kopyta zadawały więcej śmierci niż jakakolwiek broń. Na skrajach ludzie spadali z koni, które potknęły się o paliki namiotów, i umierali straszną śmiercią pożerani żywcem przez niezliczonych wrogów, ale sam klin tratował bogliny na miazgę i wycinał sobie drogę do królowej. Zdziesiątkowana gwardia królewska ser Ranalda otworzyła szeregi, żeby ich przepuścić. Wyczerpani ludzie niemal padali na ziemię w chwili wytchnienia, jaką zapewniła im kawaleria - ludzie wymachujący toporami albo halabardami przez dziesięć minut czuli się tak, jakby przybyło im ze dwa lata.

Ser Alkajos bez pytania o pozwolenie chwycił królową i posadził ją na swoim siodle. Inni w podobny sposób postąpili z jej kobietami. Ser Giorgos wciągnął na koński zad wysoką, złotowłosą kobietę, która, jak stwierdził, trzymała w ramionach króla Alby.

Szereg moreańskiej piechoty był niepowstrzymany i pomimo poniesionych strat falanga wydawała się nietknięta. Włócznie i topory wywalczały każdy kolejny krok.

Bogliny były żywymi stworzeniami. Chciały żyć.

Wiele z nich jeło przedkładać ucieczkę nad walkę.

\*\*\*

Ser John Crayford wyciął sobie drogę do północnego szanca. Prowadził ludzi przez względnie otwarty teren, który był obozowym placem musztry - oczyścił zachodnią stronę placu, dając ludziom czas na napicie się wody albo po prostu złapanie oddechu - po czym uderzył na zbitą masę wroga w północno-zachodnim narożniku.

Skruszył kopię i wyciągnął miecz. Bogliny były małe, zbyt małe na krótką broń, i musiał sięgać w dół, żeby je zabijać. Jego rumak sprawiał się lepiej niż on.

Walczyli i po raz pierwszy od wielu lat ser John przypomniał sobie radość walki. Rozkoszował się dudniącym rytmem galopu, doznając niemal idealnego uniesienia na widok walczących towarzyszy i uczucia jedności z rumakiem.

Uczucia, jakie budzi śmierć żywej istoty rozplątanej ostrzem miecza.

Skierował konia ku nasypowi prowadzącemu na północny szaniec. Za nim ruszyła jego chorągiew. Wywalczyli sobie drogę na ziemny wał.

Bogliny roiły się w dole jak termyty, którym ktoś zniszczył termitierę.

Ser John chciałby mieć potężnego przeciwnika - człeka albo trolla jaskiniowego. Ale zamiast tego po prostu dobrze walczył - ostrożnie, jak miał w zwyczaju, oczyszczając mur po kilka kroków na raz, bacząc na bezpieczeństwo konia. Zabijał.

Zabijał.

I zabijał.

Po jakimś czasie już nie miał siły unieść ręki. Koń broczył krwią i bogliny oblażyły go jak pijawki. Ser John nie zdobył się na uśmiech, ale mógłby, biorąc pod uwagę okoliczności. W środku obozu moreańska falanga przebiła się do gwardii królewskiej. Jedno spojrzenie mu

powiedziało, że królowa jest bezpieczna. Jego rumak, dzielny do samego końca, potknął się. Nie było więcej cudów.

- Zegnaj, Helewizo - powiedział.

Stoczył się z siodła pomiędzy potwory i zabijał, dopóki w końcu go nie powaliły.

\*\*\*

Mile dalej na północy Harmodiusz stał prawie sam. Linia bitwy przesunęła się za wzgórze. Nie miał na to żadnego wpływu, a co więcej, nie miał ochoty na zabijanie jakichkolwiek stworzeń poza smokiem.

Obserwował pojedynek dwóch ogromnych drapieżników. Po pierwszym zaciekłym starciu mocy i pazurów zataczali kręgi, nabierając wysokości i prędkości, po czym znowu się ścierali. Śledził ich również w eterealu, który był pełen gęstniejącej mgły fałszu i zużytej *ops*. Nigdy nie widział używania mocy na taką skalę i po raz pierwszy w swoim długim życiu wyczuwał, że samo miejsce może wysysać *potentia*. W eterealu działo się coś, co wykraczało poza jego doświadczenie. Obserwował rozwój wypadków.

Zobaczył to na południu, w mglistym eterealu, gdy Mortimir otworzył.

To było pouczające.

Odplynęło więcej *potentia*. Podczas hermetycznej walki w świecie rzeczywistym drzewa zaczęły tracić liście, chociaż panowała wiosna. A potem umierały.

Zbliżała się burza. Harmodiusz widział, jak nadciąga, jakby natura czuła odrazę do walki i wyęczała siły, żeby położyć jej kres. Napływało coraz więcej coraz ciemniejszych chmur. Deszcz przeszedł w ulewę.

Królowa żyła, sztandar złota połyskiwał na południu.

Baśniowy Rycerz żył, na zachodzie, i Mogon na wschodzie.

Harmodiusz obserwował i czekał.

\*\*\*

Tego dnia i w tym miejscu Morgan Mortimir nie miał powodu do zachowywania ostrożności i jego młodzieńcza arogancja była w pełni usprawiedliwiona.



Zabijał.

Bombardował hordeę Głoga kulami ogni, a kiedy jakiś ich szaman albo jakiś mag nowicjusz pokazywał swój talent, Morgan koncentrował wysiłki, dopóki cel nie zginął - po czym wracał do likwidowania tych, którzy nie byli chronieni.

Wokół niego biała banda, która poniosła ogromne straty wskutek ataku smoka, przeobraziła się w jego straż przyboczną. Był z tego zadowolony, bo zapewniali mu swobodę działania. Zmiotł ostatnią kolumnę irków, którzy osłaniali flankę Galów, a potem, ponieważ Galowie byli przemieszani z kompanią, zajął się rozbijaniem trolli jaskiniowych na piasek.

Nic nie mogło mu się oprzeć. Nie miał litości. Wypuszczał dzieła magiczne, jakich żaden adept nigdy nie brał pod uwagę, ponieważ niewielu ludzi o równej mu mocy było chętnych stawiać czoło atakującej piechocie. Przełamywał tarcze i ograniczał widoczność. Naśladował ciemność i światło. Tworzył fantomy, a gdy się znudził, rzucał linie ognia, które przełamywały szeregi.

W końcu przerażona Dzicz rzuciła na niego wszystko, co jej pozostało. Zamiast koncentrować wysiłki na oskrzydleniu kompanii i wygraniu bitwy, Dzicz instynktownie reagowała na Moc.

\*\*\*

Ser Gawin jechał obok księcia Tancreda, gdy oczyścili pasmo, przebijając się z zachodu na wschód, miażdżąc gniazda oporu. Przybyła Pyskata.

- Pomocy! No dalej! - Kiedy nikt nie przyśpieszył, ryknęła: - Umieramy! Ruszać dupy, do nędzy!

Gawin zignorował protesty oburzonego księcia. Uniósł kopię.

- Prowadź!

Pyskata zawróciła konia. Jechali ramie w ramie przez długie minuty na czele Oksytańczyków, a dalej w dole pasma zachodnie rycerstwo lorda Montjoya formowało długą, grubą linię.

Podczas jazdy skosem po zboczach koń ma tendencje do skręcania w dół, więc przez trzecią część mili jechali zbyt nisko i kiedy dotarli do pola głównej bitwy, sztandary Galów powiewały wysoko nad nimi, prawie na północy. Ledwie widzieli kompanijną Świętą Katarzynę i

dużą czarną chorągiew. W dali migotał bąbel złota, który wyglądał, jakby strzelał ogniem.

- Wasza Wysokość, musimy przypuścić szarżę - powiedział Gawin do księcia. - To sztandar mojego brata.

Księżę spojrział na zasłane skałami, porośnięte drzewami zbocze.

- Zły teren - rzekł powoli. Pokręcił głową. - Zgoda - dodał nagle. - Do mnie! Formować szyk! - ryknął po oksytańsku i setka rycerzy na wyścigi podjechała do jego boku.

\*\*\*

Na zachodzie co bardziej zdyscyplinowani ludzie hrabiego Pogranicza zajęli stanowiska wysoko na zboczu. Pyskata ruszyła do nich, machając ręką, gdy nagle bełt uderzył ją w napierśnik. Zakotłosała się w siodle i obróciła głowę - zobaczyła linię kuszników. Skręciła, ale o wiele za późno.

Jej koń padł. Z wysoka runęła na ziemię, odbiła się dwa razy...

Podniosła się i wyciągnęła sztylet, jedyną broń, która przetrwała upadek. Odwróciła się i zobaczyła trzech mężczyzn z mieczami.

- *C'est une pucelle!*- krzyknął jeden. Roześmiał się.

Wszyscy ryczeli ze śmiechu, stając się mężczyznami, jakich zawsze nienawidziła. Dwóch ją okręzało, trzeci został z przodu. Bolało ją biodro, i ziemia drżała pod jej nogami, i krople deszczu nagle wydały się takie twarde...

Pyskata oparła plecy o pień powalonego drzewa i przetoczyła się na drugą stronę, wysoko podrywając nogi. Znalazła się pomiędzy tymi, którzy chcieli ją zająć od tyłu. Jednego uderzyła sztyletem w bok głowy, a drugiego trzasnęła kolaniem w jądra, jednocześnie pięścią w rękawicy pancерnej łamiąc mu nos i palcem wybijając oko. Pozwoliła, żeby siła ciężenia zrobiła swoje. Gdy upadał, wyrwała mu miecz i się odwróciła.

Kusznicy napinali broń. Trzeci mężczyzna był trzy kroki dalej, biegnąc z uniesionym puklerzem.

Pyskata poruszyła prawym nadgarstkiem i pożyczony oręż przemknął pomiędzy puklerzem i mieczem - napastnik miał kiepskich nauczycieli - wnikając w szyję prawie po rękę. Pyskata użyła sztyletu jak łomu, rozbroiła go i rzuciła, dogorywającego, na ziemię.

Przypadła za pniem, gdy kusznicy podchodzili.

Miała satysfakcję, patrząc, jak rycerze ser Gawina atakują ich od tyłu. Tylko ona wpadła w zasadzkę.

Usłyszała okrzyk wojenny Garetha Montjoya i zobaczyła szarżę pogranicznych rycerzy.

Kusznicy nie stracili zimnej krwi. Strzelili i natychmiast napięli kusze, i tuzin rycerskich siodeł opustoszał.

Pyskata przeczołgała się pod pniem, gdy kusznicy napinali broń, i pobiegła, zgięta w pół, w zbroi płytowej - niemały wyczyn.

Było ich trzydziestu - nie, ponad pięćdziesięciu.

Pyskata biegła lekkim krokiem przez krzewy kaliny i kolcolistu. W końcu ją spostrzegli.

Po dziesięciu krokach jeden załadował broń.

Wycelował. Kusza była ogromna, a w pobliżu nie było drzewa, za którym mogłaby się schować. Wywinęła kozła jak akrobatka, którą kiedyś była. Ziemia była miękka, zbyt miękka, ale skrzyżowała nogi i wstała.

Wpadła między nich, gdy zaczęli wyciągać miecze. Ci bardziej doświadczeni po prostu uciekli - nie mieliby szans w starciu z Pyskatą i szarżą rycerzy. Zabiła mieczem jednego, sztyletem drugiego i nagle ziemia zadudniła. Pyskata w ostatniej chwili pomyślała, żeby paść na płask.

Koń kopnął ją w naplecznik.

A potem szarża ją minęła.

Wstała.

Powoli powiodła wzrokiem dokoła i uniosła zasłonę hełmu.

Stała i się trzęsła.

- To było głupie - powiedziała.

Ruszyła ku sztandarowi Świętej Katarzyny, który połyskiwał czerwono w deszczu. Na lewo od niej piękny róg zagrał trzy dźwięczne tony. Niemal tuż przed nią kompania galijskich rycerzy ścierała się z Oksytańczykami.

\*\*\*

Piękny róg zagrał trzy długie czyste tony.

Bryganci - wielcy, dobrze wyszkoleni mężczyźni w ciężkich

zbrojach -cofali się niechętnie krok po kroku. Kompania miała za sobą wzgórze i już czuła smak zwycięstwa. Żadna ze stron nie chciała stracić więcej ludzi. Panowało ogromne, koszmarnie skupienie - po wybuchu przemocy zginął jeszcze jeden człowiek, przy czym przypominało to morderstwo, a później pozwolili sobie na długie chwile ponurego wytchnienia. Może wszyscy uznali, że smoki za nich rozstrzygną kwestię. Może po prostu chcieli żyć. Wszyscy zawodowi żołnierze stanowiący wyspę na wielkim morzu bestii i amatorów ścierali się i zabijali jakby od niechcenia.

W pewnym momencie Toby spostrzegł, że jego rycerz ma tylko jedną rękę i walczy - kto by pomyślał? - zakrzywionym bułatem. Miał chwilę na złapanie oddechu, gdy jedno z małych dzieł kapitana uśmierciło tuzin ludzi. Podobnie jak inni zbrojni wokół niego postanowił odsapnąć, zamiast się wdzierać w powstałą lukę.

Skoczył w lewo, żeby wrócić na miejsce za plecami Czerwonego Rycerza. Okazało się zajęte, nie do wiary, przez Diccona, chłopaka, który praktycznie nie miał żadnego pancerza i dzierżył ciężką włócznię kapitana.

- Zatlukę ich wszystkich - wydyszał.

Odniósł dwie poważne rany, tak głębokie, że było widać białe kości.

Bryganci zrobili jeszcze kilka kroków.

Z prawej strony dobiegły krzyki, słyszalne pomimo szumu ulewy. Mignął czerwony sztandar.

Kapitan się odwrócił i otworzył hełm.

- Ser Bescanon, błogosławione jego czarne serce - powiedział. Patrzył w deszcz, jakby samą siłą woli mógł przebić strugi wody.

- Powinieneś się wycofać - powiedział nagle Toby, zaskakując samego siebie.

Kapitan się uśmiechnął.

- Powiniennem - zgodził się. - Ale tego nie zrobię. - Zatrzasnął zasłonę hełmu i lekko ugiął kolana, jak zawsze, kiedy walczył. - Chodźcie, sucze syny! - krzyknął.

Usłyszało go dwadzieścia kopii i ruszyli.

Baśniowy Rycerz rozkazał Bescanonowi przypuścić atak. Z

początku efekty były znikome.

Bescanon wprowadził trzydzieści kopii na grzbiet i spojrzął dół na zamęt bitewny. Obrócił głowę w lewo. Baśniowy Rycerz, sylwetka na tle czarodziejskiej upiornej zieleni, siedział na stojącym dęba jeleniu przywodzącym na myśl rogatego jednoroźca. Irkowie, którzy przetrwali tchnienie smoka, zwierali się w śmiercionośnych uściskach z wrogami w samym środku linii złożonej z ogromnych behemotów, hastenchów, impów, wilków i bargestów.

Bescanon ustawił klin, złożył się kopią jak na turnieju, biorąc na cel bok bagiennego stwora, i zatrzasnął przyłbicę.

- Do ataku! - krzyknął.

\*\*\*

Pyskata zobaczyła sztandar kompanii i ruszyła. Bescanon - znała jego herb - zniknął w kolosalnym wirze na zachód od uzbrojonych brygantów. Biegła, próbując dotrzeć do sztandaru Świętej Katarzyny, i modliła się w biegu. Zajmowała najdziwniejszą pozycję widza w środku ogromnej bitwy. Wydawało się, że obie strony wyczerpują rezerwy siły. Nawet Morgan Mortimir jarzył się tylko ochronną energią. Ogniste pociski już nie spływały z jego palców.

W czasie, jakiego potrzeba na przerzucenie zmęczonej, opancerzonej nogi przez leżący pień, sytuacja zaczęła się zmieniać.

Mały oddział Bescanona zabił dwa hastenochy; kolejni rycerze kłuli kopiami nieopancerzone boki, dopóki stwory nie padły. Konie bojowe rozbijały impy na czerwoną miazgę, chociaż kilka przypłaciło to życiem.

Nagle Baśniowy Rycerz wyskoczył z zamętu na podmokły, ubity kopytami grunt. Zawrócił wielkiego jelenia o nogach czerwonych od krwi i przypuścił atak na behemota. Skraje utarczki jęły się załamywać i z lasu wypadli rycerze, zaciekle walcząc ręką w rękę, a z nimi biegli pomalowani Zamurzanie, wyrzaskując okrzyki wojenne.

Strzały zaczęły trafiać behemota pomimo ulewnego deszczu. Wielki potwór, istota uwieczniona na malowidłach naskalnych wokół wewnętrznego morza, a może w jakiejś jaskini na południu, ślaniał się na nogach. Otoczony przez irków i ludzi, którzy zadawali mu cios za ciosem, trąbieniem ogłaszał światu swoją wściekłość i smutek -

umierał samotnie, z dala od krewnych, dręczony przez małych drapieżników, oddając życie w zamian za tak niewiele...

Jego tragiczne trąbienie zagłuszało szum deszczu i brzmiało jak podzwonne wszystkim stworzeniom, które zginęły w błocie tego dnia.

W końcu stwór runął na ziemię i Baśniowy Rycerz był wolny. Dzicz przelała się nad grzbietem niczym woda z pękającej tamy i uderzył z boku na w pełni opancerzonych Oksytańczyków, którzy bezskutecznie walczyli z w pełni opancerzonymi Galami. Jackowie, ci, którzy przeżyli tchnienie smoka, kły behemota i włócznie irków, znaleźli się na flance galijskich rycerzy i szyli z łuków w konie, napinając mokre cięgiwy wyrzucające mokre strzały.

Galowie umierali.

Baśniowy Rycerz jechał prawie sam, smuga szkarłatu i bieli, na tyłach pola walki. Gdy przejechał sto kroków niemal o wyciągnięcie ręki od wrogów, jego rycerze przybyli doń z prędkością wiatru w lesie. Ledwie ich było widać w strugach deszczu, ale Pyskata pomyślała, że nigdy nie widziała piękniejszego widoku, i Czerwony Rycerz pomyślał to samo, a ser Gawin, choć skupiony na walce, i Morgan Mortimir, byli pod wielkim wrażeniem nawet po wszystkim, co dotąd widzieli.

Zdawało się, że kopyta wierzchowców ludzi Baśniowego Rycerza ledwie muskają ziemię, gdy mknęli wzdłuż szerokiego, płytkiego rowu i nagle niczym ławica jasnych rybek skręcili pod górę i w lewo, na tyły trolli jaskiniowych, które walczyły z ludem Krzemienia o najwyższe wzniesienie pasma. Na górze rozbłysły czary - biały, czerwony i zielony nieziemski ogień zajaśniał na wzgórzach jak ostrokrzew w Yule - gdy Baśniowy Rycerz rzucił swoją ostatnią niespodziankę, ogień Tamsin oszczędzany na chwilę potrzeby.

Morgan Mortimir podjął ostatni wysiłek, biegnąc daleko od tyłów linii kompanii. Uniósł rękę i wypuścił dwa dzieła...

Trolle jaskiniowe zostały pokonane. Jedne rozpadły się na kawałki, inne uciekły po ziemi ustępującej pod ich ciężarem, ugrzęzły w podmokłym dnie doliny i zostały wybite.

Niedźwiedzie Krzemienia wraz z Mogon, wciąż imponującą w

pelerynie z piór, zebrali niedobitków. Baśniowy Rycerz i wszyscy pozostali jeźdźcy zajęli pozycje między nimi i razem pognali w dolinę, odbierając ostatnią nadzieję, jaką mogły żywić zwerbowane przez Głoga stworzenia Dziczy.

Wszyscy inni uciekli.

Został tylko ser Hartmut.

\*\*\*

Bryganci stawali dzielnie i Toby miał wrażenie, że wszyscy razem umrą z powodu pękniętych serc, rozerwanych płuc i deszczu.

Już nie walczył z finezją. Tłukł ludzi drzewcem włóczni albo tylko ich szturchał, a oni robili to samo.

Kapitan wciąż parował i zadawał ciosy, lecz coraz wolniej i słabiej. W końcu jego miecz uderzył w kaptur kolczy i odskoczył, nie czyniąc szkody.

Zagrzmiały rogi i rozległ się ryk. Toby walczył. Przeciwnik ramieniem unieruchomił jego włócznię, a ponieważ nie mógł dosięgnąć sztyletu, jego życie zawisło na włosku, gdy nagle wybuchły radosne okrzyki. Mężczyzna pchnął go na ziemię, wykręcił mu rękę, wywichnął ramię - Toby upadł twarzą w błoto. Ale okrzyki trwały i Toby postanowił nie umierać i w paroksyzmie wyczerpanych mięśni przekręcił się na plecy ze sztyletem w ręce.

Kapitan wbił miecz w oko jego przeciwnika i pchnął trupa na ziemię.

Nagle znalazł się przy nich Czarny Rycerz na wysokim karym rumaku.

Wokół powstała wolna przestrzeń. Bryganci już nie chcieli walczyć, jednak byli zbyt dumni, żeby się poddać. Ale coś się zmieniło - wszędzie brzmiały okrzyki.

- Jestem sir Hartmut Li Orguelleus - oznajmił Czarny Rycerz. - Wyzywam cię. Stań do walki albo miej się za tchórza.

Ser Gabriel zakasał, westchnął i uniósł zasłonę hełmu.

- Ser Hartmucie...

- Nie! - ryknął ser Gawin i brutalnie pchnął brata na ziemię.

Gabriel spojrzał nań z lekkim zaskoczeniem.

Ser Gawin piętrzył się nad nim na zlanym potem koniu bojowym.

Jego mały topór ociekał krwią.

- Mój starszy brat okradł mnie z każdej wartej zachodu walki, jakie powinienem był stoczyć tej wiosny - powiedział. - Jestem ser Gawin Murien, ser Hartmucie, i nalegam, że to ja powinienem cię zabić.

Ser Hartmut warknął. Za nim jego ludzie uciekali w dół wzgórza.

Hartmut nie odezwał się więcej. Sięgnął za plecy po ciężki wielki hełm i włożył go na głowę. Gdy jego koń stąpał nerwowo, wziął od giermka ciężką kopię i schował do pochwy ognisty miecz.

Ruszył.

Ser Gawin nie miał kopii.

Mimo wszystko dał ostrogę rumakowi.

Grot kopii ser Hartmuta opadł i Gawin przyjął go na drzewce topora, a gdy konie się mijały, sięgnął lewą ręką pod drzewcem i chwycił uzdę karego rumaka.

Rumak się wykręcił, próbując uwolnić głowę.

Wodze pękły.

Ser Gawin machnął toporem i uderzył w hełm Hartmuta. Cios nie wyrządził mu szkody, ale Czarny Rycerz spadł z siodła.

Gawin zawrócił rumaka. Hartmut wstał, oszczędzając lewą nogę, i dobył miecza, który wybuchł ogniem.

- Atakujesz mojego konia? - zapytał drwiąco. - Co za tchórzostwo!

Ser Gawin parsknął śmiechem.

- Chowanie się za zasadami zawsze jest pocieszające, prawda? Zwłaszcza za tymi, które działają na twoją korzyść.

- Zsiądź i zmierz się ze mną! Inaczej będziesz nosić piętno tchórze.

Gawin nie okazał, że ma zamiar zsiąść z konia.

- Chodzi ci o to, że miałbym zostawić rumaka i ścierać się pieszo z twoim magicznym mieczem?

Bryganci zaczęli rzucać broń.

- Jesteś parodią stanu rycerskiego! - krzyknął ser Hartmut.

Ser Gawin się roześmiał.

- Myślę, ser Hartmucie, że zabiłeś moich rodziców. Myślę, że



przez całe życie ukrywałeś się za tarczą udawania. A teraz myślę, że umrzesz, i nikt nie nazwie mnie nikczemnikiem ani tchórzem, ani niegodziwcem, absolutnie nikt. Co więcej, przypuszczam, że tylko moją wersję tej walki będą opowiadać.

Jego uśmiech był straszny.

Gawin zsiadł z konia.

- Gardzę tobą jako rycerzem i jako człowiekiem. - Ser Gawin rzucił wodze Jeanowi, giermkowi Bertrana.

Czarny Rycerz wznosił miecz i zaatakował.

Uderzył powietrze.

Gawin nie był zmęczony i po prostu unikał ciosów. Hartmut walczył od kilku godzin. Gawin pozwalał mu się wyczerpać. Biegał, uskakiwał. Szydził.

W pewnym momencie nawet odwrócił głowę.

Hartmut klął po galijsku, wymachiwał mieczem i się potykał. Za nim zebrali się marynarze de Marche'a, ostatnia siła wciąż walcząca w całej czeredzie Głoga.

Ktoś - później powiadano, że Kum - podłożył nogę Czarnemu Rycerzowi. Mężczyzna ciężko upadł i na chwilę wypuścił miecz z ręki.

Wielki hełm zasłonił mu oczy. Ryknął w poczuciu bezsilności, szarpnął pasek i rzucił hełmem w ser Gawina, który nonszalanckim ruchem małego stalowego topora posłał go na ziemię. Ser Hartmut wstał - wielki mężczyzna w czarnej zbroi, w stalowym hełmie sekretnym na kolczym kapturze.

- Od dawna myślałem o tej walce - powiedział konwersacyjnym tonem ser Gawin. - Wprawdzie nie z tobą chciałem się zmierzyć, ale będziesz mi musiał wystarczyć.

- Zamknij się i walcz! - warknął ser Hartmut.

- Chcesz zasad, żeby cię chroniły, kiedy jesteś słaby, i nie uznajesz żadnych, kiedy jesteś silny - Ser Gawin zrobił posuwisty krok w bok.

Gabrielowi serce podeszło do gardła.

Długi miecz wyskoczył - była to ciężka finta, markowany cios człowieka, który nie boi się riposty.

Gawin błyskawicznie się cofnął, machnął toporem i wbił szpic w środek twarzy Hartmuta.

Czarny Rycerz upadł.

- To powinien być de Vrailly - powiedział Gawin do brata.

\*\*\*

Harmodiusz czuł, że deszcz słabnie wraz tempem walki. Czuł, kiedy Mogon przyjęła kapitulację niedobitków Martwego Drzewa i kiedy irkowie z klanu Dużego Nosa ugięli kolana przed Krzemieniem. W Dziurze Gilsona górale odparli atak boglinów, już niepewnych siebie, i małe stworzenia zniknęły w bagnistych dolinach.

Harmodiusz ich nie szukał. Zastanawiał się, dlaczego wciąż walczą. W końcu, gdy Popiół skręcił wysoko w powietrzu, tak wysoko, że rozrzedzony etereal przechodził w empireum, i brutalnie zaatakował Smoka Erchu, gdy Hartmut padł trupem, gdy Zły Tom wdarł się na zrujnowany północny szaniec królewskiego obozu i toczył ostatnią walkę...

W końcu Harmodiusz znalazł Głoga.

Głóg był małym cieniem - w eterealu ledwie cieniem cienia.

- Wiedziałem, że żyjesz - powiedział Harmodiusz. - Związane twoją mocą stworzenia wciąż walczą.

Cień Richarda Plangere'a, ongiś tak potężnego, tylko załkał.

Harmodiusz niemal delikatnie wszedł do jego pałacu. Głogowi brakowało siły, żeby temu zapobiec. Harmodiusz w ciągu jednego uderzenia serca bezlitośnie splądrował jego wspomnienia.

- Dlaczego? - zapytał.

- Próbowałem mu uciec - odparł Plangere. - Proszę, mój chłopcze, pozwól mi odejść. Wszystkim, czego pragnąłem, była Dicz. I swoboda prowadzenia badań.

Harmodiusz rzucił okiem na dokonane spustoszenia.

- Tak, mój nauczycielu. To, co zrobił ci Popiół, było straszne. - Zmarszczył brwi i utwardził serce. - Ale przez ciebie połowa kobiet Alby została dzisiaj wdowami. Idź do diabła, albo gdziekolwiek idą zdrajcy, i bądź przeklęty na wieki.

- Znasz prawdę! - wrzasnął Głóg. - Nikogo nie zdradziłem!

W świecie rzeczywistym Harmodiusz pokręcił głową.

- *Zdradziłeś nas wszystkich. I nie tylko człowieka. Jeśli to jakaś pociecha, spróbuję odwrócić to, co uczyniłeś.*

- *W ten sposób staniesz się taki jak ja, głupcze.*

- *Nie sądzę - odrzekł Harmodiusz.*

*I, jak stworzenie Dżicy, pochłonał swojego wroga.*

\*\*\*

Wysoko w eterze Popiół poczuł, że jego marionetka umarła. Jego przeciwnik był śmiertelnie ranny, ale musiał go zostawić i pozwolić mu odlecieć na krańce ziemi. Rozważył to wszystko - ogień, deszcz, ruinę i śmierć.

Spojrzał na Harmodiusza, który stał w eterealu nietknięty i gotowy - śmiertelnie groźny, potężny i posiadający całą świeżo przyswojoną wiedzę Głoga. I spojrzał na innych - na złotą aurę nikczemnej królowej, narzędzia fałszywej Tar, powalone zabawki Smoka Erchu... Nienawidził ich wszystkich.

Ale błękitny ogień wciąż płonął i Smok Erchu uderzył go dwa razy, rozdzierając ciało do kości. I ten miecz - jakieś dziecię straszliwie go zraniło. Nawet ukąszenie owada może się jątrzyć.

Popiół nigdy nie należał do tych, którzy nie baczą na ryzyko.

Dlatego się obrócił nad polem bitwy, tak wysoko, że tylko nieliczni mogli go wykryć, i wrzasnął przeciągle z triumfu i pogardy.

Pękło jedno z dwóch jaj, którymi Głóg tak długo się opiekował. Chmura czarnych spór zawirowała w parnym, wilgotnym powietrzu, budząc się do trędowatego, wrogiego życia. Z tego drugiego coś się wykluło.

Popiół byłby zachichotał, ale oddychał z trudem, bo był za wysoko. Skręcił na zachód i zaczął szybować. Mógł to robić bez wysiłku, pokonując tysiące mil.

\*\*\*

Smok Erchu łopotał uszkodzonymi skrzydłami, jedno było prawie podarte na strzępy, a drugie podziurawione.

Droga w dół była długa. Po jakimś czasie okręcił się dokoła, stracił resztki kontroli - i przytomność. Spadał jak kamień.

\*\*\*

Harmodiusz patrzył, jak zwycięzca odlatuje w cienie dalekiego

zachodu, gdy zwyciężony spadał na ziemię. Upadek był długi - niebo było bardzo wysokie.

- Wyższe, niż myślałem.

*Gabriel stanął tu jego drzwiach, a potem w jego głowie.*

- Ostał nas godzinami. Możesz go ocalić?

*Harmodiusz zaśmiał się ponuro.*

- Ocalić go? Zatańczę na jego grobie.

*Gabriel się zachnął.*

- Postuchaj, można powiedzieć, że jesteś dla mnie kimś w rodzaju nauczyciela, którego nie miałem od długiego czasu. Chcę, żebyś nad czymś pomyślał. Dzisiaj wciąż żyjemy, ponieważ niedźwiedzie, irkowie i ludzie stanęli ramię w ramię. Niektórzy irkowie i wielu ludzi są przeżarci złem. Co z tego? Niezależnie od tego, jacy jesteśmy, postanowiliśmy wierzyć, że możemy stać razem. Biskup nie jest głupi, Harmodiuszu. To morderstwo.

*Harmodiusz obserwował upadek smoka.*

- Nie ja go zabiłem - powiedział.

- Czy stanowimy przymierze wszystkich mieszkańców tej sfery? - zapytał Gabriel. - Czy może jesteśmy po prostu kolejnym zlepkiem Mocy?

*Harmodiusz chrząknął.*

- Ocal go - poprosił Gabriel.

*Harmodiusz zaklął, ale sięgnął do świata realnego i nie szczędził mocy. Dawał, dopóki drzewa nie umarły - dał więcej, kiedy Gabriel przekazał mu swoje rezerwy.*

*Wlał swoją ops, a potem śmiało dołożył ops Amicji.*

\*\*\*

Pan Smith ocknął się z głową na poduszce. Otworzył oczy.

I napotkał spojrzenie pięknej zakonnicy. Nigdy jej nie widział w ludzkiej postaci, ale znał ją dobrze.

- Byłem martwy - powiedział.

Amicja się uśmiechnęła.

- Nie. Ocaliliśmy cię. - Schowała kosmyk włosów pod barbetem. - Uczciwie, skoro ty ocaliłeś nas.

Mistrz Smith leżał bez ruchu przez długi czas, delektując się życiem. Ze straszliwą jasnością rozumiał, co go spotkało. Nie miał prawej ręki.

Nie w świecie realnym.

Druga piękna kobieta pochylała się nad łóżkiem zmęczonego ciemnowłosego mężczyzny Mistrz Smith znał go doskonale. I jego brata, który stał z trzecią piękną kobietą, ciemnowłosą. Ta przy łóżku Czerwonego Rycerza była blondynką.

- Gabrielu - powiedział. - Żyjesz. Zwyciężyłeś. - Lekko się podniósł - był to dziwny ruch, niepasujący do ludzkiej postaci - obrócił głowę i posłał uśmiech Gawinowi, bratu Gabriela. - Kim są te wszystkie piękne panny i co takiego w was widzą?

Blondynka ze świstem wciągnęła powietrze.

Gabriel chwycił jej rękę.

- To Blanche Gold i naprawdę nie mam pojęcia, co we mnie widzi. Zostań - powiedział do niej. - Nie mam przed tobą żadnych tajemnic.

Gawin parsknął śmiechem.

- Spokojnie, Blanche. Nigdy nie słyszałem, żeby to komuś mówił. - Wyszczrzył zęby. - Mistrzu Smith, to lady Mary, niegdyś znana jako „Twarde Serce”, obecnie moja narzeczona.

Mistrz Smith zdołał zmienić pozycję, co mogło zostać uznane za ukłon.

Kobiety usiadły. Mistrz Smith pomyślał, że obydwie cechuje niezwykła godność, i zakonotował sobie, żeby się do nich umizgiwać. Może po jednej na raz.

Uśmiechnął się.

Gabriel usiadł.

- Sądzę, że „zwyciężyłem” to zbyt mocne słowo - powiedział, ignorując brata. - Wciąż się trzymamy.

Mistrz Smith odetchnął głęboko, rozkoszując się życiem.

- Pierwsze przymierze Dzikich i ludzi. To jest prawdziwe zwycięstwo, czyż nie? - Po chwili zapytał: - Gdzie jest Popiół?

Tkanina eteru leciutko zadrżała.

- Harmodiusz mówi, że poleciał na zachód. - Gabriel ściągnął brwi. - Właśnie to miałem na myśli. Nic nie jest skończone. Północ tego królestwa została zniszczona. Dziesięć tysięcy ludzi straciło życie... a co ze stratami Dzikich? Są dwakroć większe.

Blanche położyła rękę na jego ustach.

- Przestań mówić takie rzeczy. Wygraliśmy.

- Nie mogę czerpać z tego radości - powiedział Gabriel. - Myślałem, że to się skończy raz na zawsze.

Mistrz Smith westchnął zdegustowany sposobem myślenia ludzi.

- Nic nigdy się nie kończy. - Uśmiechnął się do pięknych kobiet, które nie zwróciły na to uwagi. - Razem możemy dokonać znacznie więcej - dodał. Chciał, żeby zabrzmiało to proroczo.

Ranny mężczyzna uniósł kikut lewej ręki.

- Możemy razem kupować rękawiczki - zażartował.

Mistrz Smith położył się i wybuchnął śmiechem.

- Ludzie są niesamowici! - skomentował.

\*\*\*

Nazajutrz kochanka Czerwonego Rycerza - diuka Tracji i kapitana królowej - wraz z jego giermkim pomogła mu się ubrać i oboje z pewnym ceremoniałem założyli nań te części zbroi, które wciąż wyglądały przyzwoicie i były w miarę lekkie.

Uzbrojony, opancerzony Gabriel opuścił namiot szpitalny wzniesiony przez rycerzy zakonnych od świętego Tomasza i poszedł do Ataelusa, swojego konia bojowego, który czekał na niego cały i zdrowy, gdyż nie brał udziału w wielkiej bitwie.

Kapitan dał mu jabłko, po czym z pomocą Złego Toma, Toby'ego i ser Michaela wciągnął się na siodło.

Toby jechał u jego boku. Miał pełną zbroję i tabard primusa pilusa kompanii.

Przed namiotami czekała armia.

Gabriel nie wzbraniał się przed wykonaniem obowiązku. Przyjmował wiwaty, powoli jadąc wzdłuż szeregów. Czuł się dziwnie obojętny. Znał rachunek rzezi, ale wciąż się spodziewał zobaczyć ludzi, których już nie było. Ser John Crayford, hrabia Albinkirku, nigdy więcej nie poprowadzi niezależnej kompanii miasta. Kompania nie istniała, kapitan Albinkirku poległ. Nie miał Nell u boku. Kit Foliak nie kupi kolejnego haftowanego pasa. Pospolitym ruszeniem z północnego Brogatu dowodził człowiek, którego nigdy nie poznał. Lord Gregario leżał w namiocie szpitalnym, obok Wielkiego

Koniuszego.

Poległy tysiące i otaczali go zmarli, i gdyby nie zachował ostrożności, zaczęłby myśleć, że Nicholas Ganfroy jest u jego boku. Albo Osiełek, zabity w ostatniej potyczce z Galami, albo Larch.

Gelfred został tak poważnie ranny, że nawet Arnicja załamywała ręce. Pyskata odbierała saluty, i Długa Łapa, który jechał przy nim, gdy przeprowadzał inspekcję zielonej bandy - Kołek Amy poległ, a Will Starling zaginął, przypuszczalnie martwy. Nie byli jedynymi i straty ich bandy nie były najgorsze.

W białej bandzie widać było blizny - całe pokolenie zginęło w jednym smoczym tchnieniu. Ale tam, gdzie stał Morgan, kompania przeżyła - byli tam Milus i Georges Brewes. I Gonzago D'Avia, i młody Fitzsimmons. I wielu innych, których Milus zwerbował i których on sam nigdy nie poznał - Moreańczycy i Oksytańczycy, i nawet kilku Galów.

Czerwona banda miała większe szczęście. Została zdziesiątkowana -tylko zdziesiątkowana. Ser Michael siedział jak skała na bojowym koniu, Attyli, i elegancko zsalutował. Ludzie w szeregach wiwatowali.

Niektórzy pokasływali.

Gabriel nie poświęcił im większej uwagi. Uśmiechał się, gdy jechał wśród ludzi, których znał od ponad pięciu lat - tych, którzy przeżyli. Parcival D'Entre Deux Monts. Gawin Hazzart. Rozmyślny Mord, Robin Hasty, a dalej Bezgłowy. I dalej ledwie trzeźwa Dębowa Ławka. Zakaszłała i wypluła coś na rękę. Daniel Favor. Ser Ranald. Faja. Adrian Złotnik. Ser Bescanon. Ser Danved, gadający nawet teraz, i ser Bertran, jak zwykle milczący. Jego giermek, Jean, szczyrzył zęby, a Petite Mouline w nowej czerwonej przeszywanicy promieniała ze szczęścia.

Podjechał do Rozmyślnego Morda.

- Ty i Kum, Tippit, Bezgłowy i Długa Łapa. Kilku rycerzy z giermkami. Przypuszczam, że wciąż mamy kompanię.

Rozmyślny popatrzył na Tippita stojącego kilka kroków dalej i nieznacznym uśmiechem zmarszczył jego starzejącą się twarz.

- Przydałoby się, psiamać, kilku łuczników - powiedział. -

Lepszych od tych gamoniowatych darmożjadów, których mógłbym wskazać.

To nie powinno mieć znaczenia.

Ale oni wszyscy nie żyli.

Gabriel zakończył przegląd swojej kompanii, starając się, żeby ludzie nie odgadli, że czuje się tak, jakby umierał. Pojechał w lewo, do Moreańczyków, którzy pod wieloma względami byli bohaterami dnia i wrzeszczeli jak obłąkani. Zobaczył tam Janosa Turkosa, który niebawem zostanie pasowany na rycerza, i ser Giorgosa Komnena, który wraz z Iffriqu'yańczykiem, ser Pavalem, uratował Blanche. I hrabiego Zaka, znów na czele swoich wojowników. Za nimi stała gwardia królewska, która nie poczuła tchnienia smoka, a jednak wyglądała tak, jakby było inaczej, i wszyscy Oksytańczycy pod wodzą księcia Tancreda, i pospolite ruszenie lorda Garetha w pordzewiałych pancerzach. Królewskich łowczych nie było na paradzie. Bracia Redmede zebrali ich i Jacków do lasu w pościg za rozgromionym wrogiem, żeby przypieczętować zwycięstwo.

Gabriel przyspieszył do szybkiego kłusa.

Przeżyło około dziewięciu tysięcy ludzi.

Przy jego ramieniu Tom Lachlan czekał, aż dotrą do końca szeregów. Tam, po drugiej stronie obozu, stała pstra hałastra pod wodzą wspaniałego rycerza, który siedział na białym jeleniu pomiędzy ser Pavalem z Iffriqu'ya i Harmodiuszem. Obaj wyglądali na znudzonych.

- Wygrałeś - powiedział Tom Lachlan. - Ciesz się i zapomnij o całej reszcie.

- Ja...

- Śmiało - nalegał Zły Tom. - Spij się na umór. Gzij się ze swoją dziewczyną. Wymyśl parę kłamstw, żeby usprawiedliwić to, co ci się nie podoba. Wojna zawsze jest popieprzona, czy z wielkimi smokami, czy tylko z bandą głupków próbujących ci ukraść sakiewkę. Daj sobie spokój.

Ser Gabriel odwrócił głowę i spojrzał mu w oczy.

Baśniowy Rycerz zasalutował, unosząc rękę wykwintnym ruchem.

- To najgłupsza z ludzkich tradycji - powiedział. - Nie czerpię



chwały z wojny. Jedźmy gdzieś i usiadźmy w cieniu. Napijmy się wina. Popatrzmy na wszystkich waszych ładnych ludzi.

Gabriel spochmurniał.

- To wszystko znów się powtórzy, nikt nie wysnuł wniosków na przyszłość.

Baśniowy Rycerz wzruszył ramionami.

- Mam nad tobą kilka stuleci przewagi, młody kapitanie. Historia zawsze się powtarza.

Mimo to nie zostawił ich i wszyscy razem ukłonili się wielkiej księżnej Mogon stojącej z królową.

Królowa krzywiła się z dezaprobatą, która rzadko gościła na jej twarzy.

- Wasza Królewska Mość?! - zawołał Gabriel.

Skinęła głową.

- Co oni krzyczą? - zapytała. - Mój archaicki nie jest zbyt dobry. Gabriel był głuchy na okrzyki - męczyły go. Dostrzegł Blanche, która obdarzała go uśmiechem, i posłał jej całusa ku zachwytowi tysiąca rolników i obozowych pacholców. Były tam lady Mary Montroy i lady Rebecca Almspend, i był hrabia Towbray szepczący do ucha królowej. Okrzyki i wiwaty stały się bardziej zgrane i Ataelus okazał niezadowolenie z hałasu, stając dęba i szczypiąc zębami rumaka Toma.

Zły Tom spojrział na ser Gawina. Obok niego ser Alkajos szczyrzył zęby w uśmiechu zadowolenia.

- Krzyczą „Ave, Imperator” - powiedział z głęboką satysfakcją.

# Table of Contents

prolog  
rozdział pierwszy  
rozdział drugi  
rozdział trzeci  
rozdział czwarty  
rozdział piąty  
rozdział szósty  
rozdział siódmy  
rozdział ósmy  
rozdział dziewiąty  
rozdział dziesiąty  
rozdział jedenasty  
rozdział dwunasty  
rozdział trzynasty  
rozdział czternasty  
rozdział piętnasty  
rozdział szesnasty  
rozdział siedemnasty  
rozdział osiemnasty  
rozdział dziewiętnasty